

CLIVE BARKER

IMAJICA

UCZTA WYOBRAŹNI

CLIVE BARKER

IMAJICA

TYTUŁ ORYGINALNY

Imajica

WYDANIE ORYGINALNE

Copyright © 1991 by Clive Barker

PRZEKŁAD

Wojciech Szypuła

WYDAWCA

MAG

DATA WYDANIA

2002

ISBN

83-89004-00-3

WYDANIE ELEKTRONICZNE

Wydawnictwo
MAG

**PIAȚE
DOMINIUM**

ROZDZIAŁ 1

Kluczowe twierdzenie Pluthero Quexosa, najsłynniejszego dramaturga Drugiego Dominium, brzmiało następująco: W każdym dziele, bez względu na to, jak byłoby ambitne i głębokie, jest miejsce tylko dla trzech postaci. Dwóch zwaśnionych królów – i rozjemca; dwoje kochających się małżonków – i uwodziciel lub dziecko; bliźnięta – i duch matczynego łona; dwoje kochanków – i śmierć. Przez utwór mogą się naturalnie przewinąć setki, a nawet tysiące innych osób, wyłącznie jednak jako widma, słudzy i – z rzadka – odbicia trojga rzeczywistych, obdarzonych wolną wolą głównych bohaterów. Co więcej, wedle nauk Quexosa nawet to kluczowe trio nie ma prawa ostać się nietknięte. W miarę rozwoju fabuły będzie się zmniejszać – z trzech postaci zostaną dwie, potem jedna, a na końcu scena całkiem opustoszeje.

Rzecz jasna, wielu pisarzy próbowało podważyć jego dogmaty. Autorzy bajek i komedii szczególnie głośno wyrażali swoją pogardę, przypominając światnemu Quexosowi, że ich utwory nieodmiennie kończą się ślubem i uczną. On jednak pozostał nieugięty. Miał ich za oszustów, którzy pozbawiają widzów tego, co nazywał ostatnią wielką procesją: po odśpiewaniu weselnych pieśni i odtańczeniu radosnych płaśów pogrążeni w melancholii bohaterowie powinni odejść i zniknąć w mrokach zapomnienia.

Był w swej filozofii bezlitosny, utrzymywał jednak, że jest ona absolutnie niezmienna, uniwersalna – prawdziwa i w Piątym Dominium, zwanym Ziemią, i w Drugim.

A co najważniejsze, obowiązywała z taką samą bezwzględnością zarówno w sztuce, jak i w życiu.

*

Jako człowiek z natury skryty i opanowany Charlie Estabrook nie miał cierpliwości do teatru. Jego zdaniem – a wyrażał się prosto – teatr był stratą czasu: kaprysem, kłamstwem, stekiem bzdur. Gdyby jednak w tę zimną listopadową noc jakiś uczeń Quexosa zacytował mu pierwsze prawo dramatyczne, Charlie pokiwałby ponuro głową i powiedział: – Szczera prawda. Szczera prawda.

Jego osobiste doświadczenie potwierdzało słowa dramaturga. Wszystko zaczęło się od trojga bohaterów: był on, był John Furie Zacharias – i Judith pomiędzy nimi. Układ ten nie utrzymał się długo. W kilka tygodni po poznaniu Judith Charlie zajął miejsce Zacharias w jej sercu i trio zmieniło się w błogi duet. Ożenił się z nią, przez pięć lat wiedli szczęśliwy żywot – do czasu aż z przyczyn dotąd dla niego niepojętych ich radość gdzieś zniknęła i na scenie został tylko jeden bohater.

Czyli on sam, naturalnie. Noc zastała go na tylnej kanapie samochodu. Krążył po ściętych mrozem londyńskich ulicach, szukając kogoś, kto pomógłby mu dokończyć opowieść – w stylu, którym Quexos nie byłby pewnie zachwycony, ale który pomógłby Charliemu zaleczyć rany.

Nie był w tych poszukiwaniach osamotniony. Towarzyszył mu jedyny w miarę godny zaufania człowiek, kierowca, przewodnik i alfons w jednej osobie, tajemniczy pan Chant. Jednakże mimo współczucia, jakie okazywał Charliemu, był tylko zwyczajnym służącym: chętnie opiekował się swoim panem, dopóki terminowo dostawał pensję. Nie miał pojęcia, jak okrutny ból dręczy Estabrooka; na to był zbyt oschły i pełen rezerwy. Estabrook próżno by też szukał pociechy w szacownym rodzie, z którego się wywodził. Mógł wprawdzie wskazać swoich przodków wstecz aż do czasów Jakuba I, nie znalazł jednak w drzewie genealogicznym ani jednego (choćby dogrzebał się aż do samych przeklętych korzeni!), który – osobiście lub obcymi rękoma – dopuściłby się tego, co on teraz planował. Zamordowania żony.

Gdy o niej myślał (a kiedy tego nie robił?), zasychało mu w gardle i dłonie zaczynały się pocić. Oddychał ciężko, drżał na całym ciele. Widział ją oczyma wyobraźni jako istotę z innego, doskonalszego świata. Miała idealnie gładką skórę, zawsze chłodną i bladą; gibkie ciało, długie włosy, smukłe palce; lubiła się śmiać, a jej oczy... Ach, oczy potrafiły mienić się wszystkimi odcieniami liści: soczystą zielenią wiosny i późnego lata, złotem jesieni, a w

gniewie – czernią zimowej zgnilizny.

Charlie natomiast był zupełnie przeciętnym człowiekiem – przyzwoitym, z ogładą, ale przeciętnym. Dorobił się fortuny na sprzedaży wanien, bidetów i sedesów, co bynajmniej nie dodawało mu uroku. Dlatego też gdy pierwszy raz ujrzał Judith – siedziała przy biurku w gabinecie jego księgowego, olśniewając urodą w tym raczej zgrzebnym otoczeniu – pomyślał najpierw: „Chcę mieć tę kobietę”, a zaraz potem: „Ale ona mnie nie zechce”. Kiedy jednak zbliżył się do niej, doznał uczucia, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. Poczuł, że Judith należy do niego i że jeśli trochę wysili mózgownicę, zdobędzie ją bez trudu.

Zaloty rozpoczął tego samego dnia, którego się poznali; na biurko Judith trafił pierwszy z licznych dowodów jego uczucia. Charlie szybko jednak się zorientował, że przekupstwem i pochlebstwami niewiele wskóra. Podziękowała mu grzecznie i dała do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych prezentów. Przestał więc je przysyłać, próbując wszystkiego się o niej dowiedzieć. Nie było tego dużo. Prowadziła spokojne życie, miała wąski krąg znajomych, trącający lekko cyganerią. W tym kręgu znalazł jednak mężczyznę, który pierwszy zaczął się ubiegać o względy Judith – i najwyraźniej je zdobył. Nazywał się John Furie Zacharias, był powszechnie znany jako Gentle i cieszył się reputacją takiego lowelasa, że Charlie zmyłby się jak niepyszny, gdyby nie przepełniająca go niezwykła pewność siebie. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać na odpowiednią chwilę, która musiała kiedyś nadejść.

Tymczasem zaś obserwował swoją wybrankę z oddalenia, aranżując krótkie, niby przypadkowe spotkania, i cały czas próbował poznać przeszłość rywala. I tym razem niewiele udało mu się ustalić. Zacharias najczęściej pędził żywot żigolaka, a w wolnych chwilach próbował bez większego powodzenia malować obrazy. Miał opinię rozpustnika – spotkawszy go przypadkiem, Charlie odniósł wrażenie, że uzasadnioną. Gentle istotnie okazał się niezwykle przystojnym facetem, ale zdaniem Estabrooka wyglądał jak człowiek, który dopiero co otrząsnął się z gorączki. Miał w sobie coś pierwotnego, surowego, jakby wypocił wszystko co zbędne ze swojej istoty i została mu sama jej esencja. Na jego pięknej twarzy malowały się jakieś tajemne żądze, przywodzące na myśl człowieka opętanego przez diabła.

Kilka dni po tym spotkaniu Charlie dowiedział się, że jego ukochana odeszła od Gentle'a i, pogrążona w smutku, potrzebuje czułej opieki. Czym prędzej pospieszył jej z pomocą. Wdzięczność, z jaką Judith przyjęła uczucie,

zdawała się potwierdzać prawdziwość przekonania, że są dla siebie stworzeni.

Rzecz jasna, wspomnienie tego triumfu zbladło, gdy odeszła. Teraz twarz Charliego przybrała taki sam tęskny, pożądliwy wyraz, który wcześniej widział u Zachariasa, tylko że do niego grymas ten znacznie mniej pasował. Twarz Estabrooka nikomu nie wydałaby się piękna. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat wyglądał na sześćdziesiąt, rysy miał równie toporne, jak Gentle subtelne, równie mocne, jak Gentle łagodne. Jedynym ustępstwem na rzecz osobistej próżności był delikatnie podkreślony wąsik, tuż pod patrycjuszowskim nosem. Zasłaniał górną wargę, którą w młodości Charlie uważał za nadzbyt pełną i wyrazistą. Dolna wystawała lekko nad podbródkiem.

W czasie przejażdżki po skrytych w mroku ulicach dostrzegł odbicie swojej twarzy w szybie. Co za maskara! Zaczerwienił się na myśl o tym, jak bezwstydnie paradował po mieście z Judith u boku; jak żartował, że żona kocha go za zamiłowanie do czystości i dobry gust, jeśli idzie o bidety. Ci sami ludzie, którzy słuchali jego dowcipów, teraz śmiali się z niego w najlepsze. Uważali go za durnia. Nie mógł tego znieść. W jeden tylko sposób mógł ukoić ból upokorzenia – musiał ukarać Judith za to, że go zostawiła.

Oparł się czołem o szybę i wyjrzał na zewnątrz.

– Gdzie jesteśmy?

– Na południowym brzegu rzeki, proszę pana – odparł Chant.

– To wiem, ale gdzie?

– W Streatham.

Mimo że nieraz tędy przejeżdżał – mieli w pobliżu magazyn – nie poznawał okolicy. Nigdy dotąd miasto nie wydawało mu się tak obce i paskudne.

– Jak ci się wydaje, jakiej płci jest Londyn? – zagadnął.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Kiedyś był damą – stwierdził Estabrook. – Ale już nie wygląda kobieco.

– Teraz nie – odparł Chant. – Co innego wiosną.

– Parę krokusów w Hyde Parku niewiele zmieni. Londyn stracił swój urok – westchnął Estabrook. – Daleko jeszcze?

– Zaraz będziemy na miejscu.

– Twój człowiek na pewno będzie na nas czekał?

– Oczywiście.

– Nieraz już to robiłeś, prawda? Grałeś rolę pośrednika czy... Jak ty to mówisz? Ułatwiasz?

– Naturalnie – przytaknął Chant. – Mam to we krwi.

A nie była to w pełni angielska krew. Skóra i gramatyka Chanta zdradzały jego imigrancką przeszłość. Mimo to Estabrook przekonał się, że można mu czasem zaufać.

– Nie jesteś ciekawy, co planuję? – zapytał.

– To nie moja sprawa, proszę pana. Pan płaci za usługę, ja ją wykonuję. Gdyby chciał mi pan wyjawiać swoje motywy...

– Tak się składa, że nie mam na to ochoty.

– Rozumiem. Więc moja ciekawość nie ma chyba sensu, prawda?

Zgrabnie powiedziane, uznał Estabrook. Kiedy człowiek nie pragnie tego, czego i tak nie może mieć, na pewno łatwiej mu się żyje. Kto wie, czy nie powinien nauczyć się tej sztuczki, nim za bardzo się zestarzeje – nim zacznie marzyć o czasie, którego nikt mu nie podaruje. Nie żeby miał wygórowane wymagania; na przykład nie wymagał seksu od Judith. Patrzenie na nią sprawiało mu tyle samo przyjemności, co kochanie się z nią. Nie wiedziała o tym, ale na jej widok czuł, że coś przeszywa go do głębi, tak jakby to ona w niego wchodziła. Chociaż... Może i wiedziała. Może uciekła od jego bierności, od łatwości, z jaką ulegał jej urodzie. Jeżeli tak było, to po dzisiejszej nocy zmieni zdanie. On, Estabrook, pokaże, że jest mężczyzną – wynajmie mordercę; ona zaś w chwili śmierci zrozumie swój błąd. Ta myśl sprawiała mu przyjemność. Pozwolił sobie na nikły uśmiezek, który jednak zniknął mu z ust, gdy tylko samochód zaczął zwalniać.

Przed maską wozu ciągnęła się porzewiała żelazna ściana, na całej długości pomazana sprayem. Za nią – co było widać przez dziury wydarte w przeżartym korozją metalu – znajdowało się złomowisko, na którym stały przyczepy kempingowe. Najwyraźniej tam właśnie mieli się udać.

– Zwariowałeś?! – Estabrook pochylił się i złapał Chanta za ramię. – Tu jest niebezpiecznie!

– Obiecałem panu najlepszego płatnego zabójcę w całej Anglii, panie Estabrook. Tu właśnie go znajdziemy. Może mi pan wierzyć.

Estabrook odburknął coś wściekle. Spodziewał się dyskretnej atmosfery, zasłoniętych okien i szczelnie zamkniętych drzwi, a nie obozowiska Cyganów. Byłby to szczyt ironii losu: zostać zamordowanym, próbując zlecić morderstwo.

– Zawiodłem się na tobie – stwierdził Estabrook.

– Obiecuję panu, że to naprawdę niezwykły człowiek – powiedział Chant.

– W całej Europie nie ma nikogo, kto mógłby się z nim równać. Pracowałem dla niego, zanim...

– Byłbyś tak miły i podał mi nazwiska paru waszych ofiar?

Chant odwrócił się do swojego pracodawcy.

– Ja nie nalegałem, kiedy chciał pan zachować dyskrecję. Proszę tylko o to samo.

Estabrook chrząknął cicho.

– Czy chce pan, żebyśmy wrócili do Chelsea? – ciągnął Chant. – Mogę znaleźć panu kogoś innego. Nie będzie może równie dobry, ale spotkacie się w przyjemniejszym otoczeniu.

Sarkazm w słowach kierowcy był wyraźny. Estabrook rozumiał, że jeżeli chce być czysty, nie może podjąć tej gry.

– Nie, nie, skoro już tu jesteśmy, spotkam się z nim – zapewnił Chanta. – Jak się nazywa?

– Ja go nazywam Pie.

– Pie?! To imię czy nazwisko?

– Po prostu Pie.

Chant wysiadł i otworzył Estabrookowi drzwi. Mroźny wiatr dmuchnął do środka śniegiem. Tego roku zimie naprawdę było spieszno. Estabrook postawił kołnierz, wcisnął ręce głęboko do pachnących miętą kieszeni i wszedł za swoim przewodnikiem w najbliższą wyrwę w skorodowanej ścianie. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna – pomiędzy przyczepami dogasało ognisko. Woń spalenizny mieszała się z odorem zjełczałego tłuszczu.

– Proszę iść blisko mnie, żywym krokiem – poradził Chant. – I niech się pan nie rozgląda. Ci ludzie bardzo sobie cenią prywatność.

– Co ten twój as tu robi? – zdziwił się Estabrook. – Ukrywa się?

– Twierdził pan, że chce wynająć człowieka, którego nikt nie zdoła wytropić. Użył pan słowa „niewidzialny”. Taki właśnie jest Pie. Nie ma go w żadnych kartotekach. Ani policyjnych, ani ubezpieczeniowych, ani nawet w rejestrze urodzeń.

– Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

– Specjalizuję się w sprawach nieprawdopodobnych.

Do tej pory Estabrook nigdy się nie przeląkł złowrogiego błysku w oku Chanta, ale tym razem nie potrafił kierowcy spojrzeć w twarz. Chant musiał kłamać. Jaki dorosły człowiek w dzisiejszych czasach mógłby się uchować poza wszelkimi rejestrami? Jednak myśl o spotkaniu z człowiekiem, który się

za takiego uważa, była intrygująca. Estabrook skinął głową na Chanta, żeby szli dalej.

Znaleźli się na słabo oświetlonym terenie. Wszędzie walały się śmieci i złom, mijali zardzewiałe szkielety samochodów, sterty gnijących odpadków, których smrodu nie był w stanie przytłumić mróz, niezliczone wygasłe ogniska. Zwracali na siebie powszechną uwagę. Jakiś pies, w którego krwi zmieszało się więcej ras, niż miał kudłów na grzbiecie, jazgotał jak opętany, szarpiąc się na napiętym powrozie. Piana kapała mu z pyska. W kilku przyczepach niewidoczne ręce odsunęły firanki. Dwie młode dziewczyny, o włosach tak jasnych i długich, jakby ochrzczono je w płynnym złocie (w takim miejscu wyglądały wręcz niewiarygodnie pięknie), wstały od ogniska. Jedna gdzieś pobiegła, jakby chciała zawiadomić straż, druga obserwowała przybyśków z na wpół anielskim, na wpół debilnym uśmiechem na twarzy.

– Proszę na nią nie patrzeć – upomniał Estabrooka Chant, ale Charlie nie mógł się powstrzymać.

Z przyczepy wynurzył się albinos z białymi dreadami, ciągnąc za sobą blondynkę. Na widok obcych krzyknął głośno i ruszył w ich stronę. Otworzyło się jeszcze dwoje drzwi. Na plac wychodziło coraz więcej ludzi, ale Estabrook nie dojrzał, czy są uzbrojeni.

– Niech pan idzie prosto, nie rozgląda się – przypomniał mu Chant. – To ta przyczepa ze słońcem wymalowanym na ścianie, widzi ją pan?

Zostało im jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Albinos z dreadami wydawał rozkazy – nie wszystkie brzmiały sensownie, ale na pewno miały na celu zatrzymanie intruzów. Estabrook zerknął na Chanta, który zacisnął zęby i szedł ze wzrokiem utkwionym w przyczepę. Za ich plecami rozlegał się coraz głośniejszy tupot nóg. Sekundy dzieliły ich od ciosu w głowę albo pchnięcia nożem pod żebra.

– Nie uda nam się – mruknął Estabrook.

Kiedy zbliżyli się na dziesięć metrów do przyczepy i albinos deptał im już po piętach, drzwi się otwały. Wyjrzała przez nie kobieta w nocnej koszuli, z dzieckiem na ręku. Była niska i tak drobna, że chyba tylko cudem mogła podnieść malucha. Dzieciak rozplakał się, gdy dosięgnął go mróz.

Żałosne kwilenie przyspieszyło reakcję goniących ich ludzi. Albinos zatrzymał Estabrooka, kładąc mu dłoń na ramieniu. Chant – tchórz perfidny – nawet nie zwolnił kroku, gdy albinos odwrócił Estabrooka do siebie. Tak właśnie wyglądały najgorsze koszmary Charliego: stał naprzeciwko paskud-

nych, ospowatych facetów, którzy nie mieli nic do stracenia i mogli go śmiało wypatroszyć. Albinos przytrzymał go, a drugi mężczyzna, błyskając złotymi siekaczami, rozchylił mu płaszcz i z wprawą iluzjonisty przeszukał kieszenie. Tu nie chodziło o zwykły profesjonalizm – chcieli szybko zakończyć robotę, zanim ktoś zdąży im przeszkodzić. Kieszonkowiec wyciągnął właśnie portfel Estabrooka, gdy z przyczepy rozległ się głos:

– Puśćcie tego dżentelmena. Jest prawdziwy.

Bez względu na to, co znaczyło ostatnie stwierdzenie, rozkaz został natychmiast wykonany. Złodziejaszek zdążył jednak przełożyć portfel Estabrooka do swojej kurtki, po czym cofnął się i podniósł ręce, pokazując puste dłonie. Mimo opieki, którą Pie – bo to zapewne Pie – najwyraźniej otoczył gościem, upominanie się o portfel byłoby chyba nierozsądne. Estabrook odsunął się od napastników z lekkim sercem i kieszenią.

Odwrócił się i ujrzał stojącego w drzwiach przyczepy Chanta. Kobieta z dzieckiem i człowiek, który przed chwilą się odezwał, zniknęli w środku.

– Nie zrobili panu krzywdy? – upewnił się Chant.

Estabrook obejrzał się przez ramię. Złodzieje wrócili do ogniska, pewnie zamierzali w jego świetle podzielić się łupem.

– Nie – odparł. – Sprawdź, co z samochodem, zanim go ze wszystkiego oskubią.

– Najpierw chciałbym pana przedstawić...

– Idź do auta. – Wysłanie Chanta w pojedynkę na ziemię niczyją, ciągnącą się aż do żelaznej ściany, sprawiło Estabrookowi pewną satysfakcję. – Sam się przedstawię.

– Jak pan sobie życzy.

Chant oddalił się, a Estabrook wszedł po schodkach do przyczepy. Powitał go zapach i dźwięk, oba równie słodkie. Woń niedawno obranych pomarańczy unosiła się jeszcze w powietrzu. Ktoś – jakiś Murzyn siedzący w ciemnym kącie przyczepy – grał na gitarze kołysankę. Obok niego spało jedno dziecko, a w łóżeczku leżał maluch, którego matka wyniosła na zewnątrz. Gulgotał radośnie i wyciągał pulchniutkie rączki do góry, jakby chciał paluszkami chwycić melodię z powietrza. Z drugiej strony przy stole siedziała kobieta uprzątająca skórki pomarańczowe. Wnętrze przyczepy było urządzone i posprzątane z taką samą precyzją, z jaką wykonywała to zadanie; wszystkie powierzchnie lśniły.

– Pan musi być Pie – stwierdził Estabrook.

– Proszę, niech pan zamknie drzwi – powiedział gitarzysta. Kiedy Estabrook to zrobił, dodał: – Proszę usiąść. Thereso, podaj naszemu gościowi coś do picia. Na pewno jest zmarznięty.

Brandy w porcelanowym kubeczku smakowała jak najśłodszy nektar. Estabrook wypił ją duszkiem, a Theresa od razu napełniła kubek ponownie. Kiedy i tym razem pochłoniął brandy kilkoma haustami, dostał drugą dolewkę. Pie przez ten czas uśpił swoją grą dzieci i przysiadł się do stołu. Alkohol przyjemnie szumiał Estabrookowi w głowie.

W całym swoim życiu znał z nazwiska tylko dwóch Murzynów: jeden był kierownikiem fabryki płytek ceramicznych w Swindon, drugi – kolegą jego brata. Żadnego z nich nie miał ochoty poznawać bliżej. Ludzie w jego wieku i z jego klasy społecznej wciąż napawali się wspomnieniami ery kolonialnej. Fakt, że w żyłach Pie płynęła czarna krew (chyba nie tylko czarna, pomyślał Estabrook), dodatkowo przemawiał przeciw Chantowi. A jednak – może to przez brandy – facet, który siedział po drugiej stronie stołu, wydał się Charliemu intrygujący.

Pie nie wyglądał na zabójcę. Jego twarz nie była może pozbawiona wyrazu, ale wydawała się niepokojąco delikatna, nawet (choć to słowo nie przeszłoby Estabrookowi przez gardło) piękna. Wysokie kości policzkowe, pełne usta, ciężkie powieki. Włosy, w których czarne pasemka przeplatały się z jasnymi, opadały mu na ramiona drobnymi loczkami. Musiał być chyba starszy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wiek jego dzieci. A może nie, może miał dopiero trzydziestkę, tylko życie dało mu w kość? Sepiowy odcień gładkiej skóry ledwie maskował jej chorobliwy, dziwnie metaliczny połysk. Trudno było się zdecydować, jaki właściwie ma kolor, zwłaszcza gdy oczy przesłaniała człowiekowi mgiełka brandy. Najlżejszy ruch głowy Pie sprawiał, że po jego skórze przebiegały delikatne fale, mieniając się ulotnymi barwami, jakich Estabrook nigdy nie widział u żywej istoty.

Theresa zostawiła ich samych i usiadła przy kojcu. Po części przez wzgląd na śpiące dzieci, a po części ze strachu przed wyrażeniem głośno swoich myśli Estabrook mówił szeptem:

– Czy Chant powiedział panu, dlaczego tu jestem?

– Naturalnie. Chce pan, żeby ktoś został zamordowany. – Pie wyjął paczkę papierosów z kieszeni dżinsowej koszuli. Poczęstował Estabrooka, który odmówił ruchem głowy. – Po to właśnie pan tu przyjechał, prawda?

– Tak – przytaknął Estabrook. – Tylko...

– Patrzy pan na mnie i myśli, że się do tego nie nadaję – podsunął mu Pie. Włożył papierosa do ust. – Niech pan będzie ze mną szczery.

– Inaczej sobie pana wyobrażałem.

– To świetnie. – Pie zapalił papierosa. – Gdybym był taki, jak pan się spodziewa, wyglądałbym na zawodowego mordercę, a pan by wtedy stwierdził, że za bardzo się rzucam w oczy.

– Może i tak.

– Jeżeli nie chce pan skorzystać z moich usług, nie ma sprawy. Chant na pewno znajdzie kogoś innego. Jeżeli jednak chce mnie pan wynająć, proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Estabrook spojrzął, jak dym przesłania szare oczy mordercy, i ani się obejrzał, jak zaczął zwierzać się ze wszystkiego. Na śmierć zapomniał o zasadach, które miały rządzić tym spotkaniem. Zamiast wypytać Pie o wszystko i ukryć co tylko się da z własnej biografii, żeby nie dawać mu niepotrzebnie jakiegoś punktu zaczepienia, przedstawił swoją tragedię ze wszystkimi niechlubnymi szczegółami. Kilkakrotnie próbował się powstrzymać, ale tak dobrze się czuł, pozbywając się tego brzemienia, że przełamał barierę rozsądku. Gospodarz ani razu mu nie przerwał. Dopiero kiedy rozległo się pukanie do drzwi, oznajmiające przybycie Chanta, Estabrook przypomniał sobie, że tej nocy na świecie są jeszcze inne żywe istoty poza nim i jego spowiednikiem. Zresztą już skończył.

Pie otworzył drzwi, ale nie wpuścił Chanta do środka.

– Odprowadzę go do samochodu – powiedział. – To nie potrwa długo. – Zamknął drzwi i wrócił do stołu. – Napije się pan czegoś jeszcze?

Estabrook odmówił, ale przyjął papierosa. Pie wypytywał o szczegóły dotyczące miejsca pobytu i zwyczajów Judith, a Estabrook monotonnym głosem udzielał wyjaśnień. Na koniec poruszyli kwestię zapłaty. Zgodzili się na dziesięć tysięcy funtów, płatne w dwóch ratach: zaliczka, kiedy dobiją targu, reszta po wykonaniu zadania.

– Chant ma pieniądze – dodał Estabrook.

– W takim razie możemy chyba iść?

Zanim wyszli, Estabrook zajrzał do dziecinnego łóżeczka.

– Ma pan śliczne dzieci – powiedział, gdy znaleźli się na dworze.

– Nie są moje. Ich ojciec zmarł przed rokiem, w Boże Narodzenie.

– Co za tragedia.

– To stało się bardzo szybko. – Pie zerknął przelotnie na Estabrooka, który znalazł w jego spojrzeniu potwierdzenie, że to jest sprawca osierocenia dzieci. – Na pewno pragnie pan śmierci tej kobiety? W tych sprawach nie wolno mieć wątpliwości. Jeżeli jeszcze się pan waha...

– Nie waham się – przerwał mu Estabrook. – Przyszedłem tu, żeby znaleźć człowieka, który zabije moją żonę. Pan nim jest.

– Nadal ją pan kocha, prawda? – spytał Pie, gdy ruszyli do samochodu.

– Oczywiście. Dlatego chcę, żeby zginęła.

– Zmartwychwstania nie będzie, panie Estabrook. W każdym razie nie dla pana.

– To nie ja mam umrzeć.

– Chyba się pan myli. – Mijali właśnie ognisko, którego nikt już nie podsycał. – Kiedy człowiek zabija to, co kocha, w nim też coś musi umrzeć. To chyba jasne?

– Jeżeli mam umrzeć, zgoda. Pod warunkiem, że ona będzie pierwsza. Chcę, żeby stało się to jak najszybciej.

– Powiedział pan, że jest teraz w Nowym Jorku. Mam tam za nią polecić?

– A zna pan Nowy Jork?

– Tak.

– W takim razie niech pan to tam załatwi. Byle szybko. Każę Chantowi uregulować rachunek za przelot. To wszystko. Więcej się nie zobaczymy.

Chant czekał na nich przy żelaznej ścianie. Wyjął zza pazuchy kopertę z pieniędzmi, którą Pie przyjął bez pytań i bez podziękowań. Uścisnął Estabrookowi rękę na pożegnanie i pozwolił intruzom bezpiecznie wrócić do samochodu. Zapadając się w wygodne, skórzane siedzenie, Estabrook zdał sobie sprawę, że ręka, którą podał na pożegnanie, drży. Splótł palce obu dłoni i trzymał je ściśnięte przez całą podróż do domu.

ROZDZIAŁ 2

„Zrób to dla wszystkich kobiet tego świata”, głosiła kartka, którą John Furie Zacharias podniósł z podłogi. „Poderżnij sobie gardło, łgarzu”.

Obok karteczki Vanessa i jej przybocznicy (miała dwóch braci; prawdopodobnie do spółki z nimi wyczyściła dom) zostawili zgrabną kupkę potłuczonego szkła, na wypadek gdyby jej prośba poruszyła go na tyle, żeby od razu chciał pożegnać się z życiem. Wpatrywał się tępo w jej słowa, czytając je po raz setny i szukając w nich – na próżno, rzecz jasna – śladu pocieszenia. Poniżej ptaszka i bohomazu, łączących się w podpis Vanessy, papier był lekko pofałdowany. Czyżby płakała, pisząc to pożegnanie? Niewielka byłaby to pociecha, a jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo, że to prawda. Vanessa do płaczących nie należała. John nie wyobrażał też sobie, żeby kobieta, która żywiłaby wobec niego jakiegokolwiek cieplejsze uczucia, potrafiła tak metodycznie ograbić go ze wszystkiego. Co prawda ani mieszkanie w zapomnianym zaułku, ani żaden mebel zgodnie z prawem do niego nie należały, ale przecież mnóstwo sprzętów wybrali razem: ona ceniła jego zmysł estetyczny, on – jej pieniądze, za które kupowali wszystko, co wpadło mu w oko. Wszystko zniknęło, włącznie z perskim dywanem i lampą w stylu art deco. Dom, który razem urządzili i którym cieszyli się przez rok i dwa miesiące, został dokumentnie ogołocony. John też czuł się nagi, jak odarty z ciała. Nie miał nic.

Nie stała się żadna tragedia. Vanessa nie była pierwszą kobietą gotową zaspokajać jego zamięłowanie do ręcznie tkanych koszul i jedwabnych kamizelk; nie będzie też ostatnią. Była jednak jedyną w ostatnich czasach – przeszłość ulatniała się z pamięci Gentle'a po mniej więcej dziesięciu latach –

która w pół dnia zaplanowała i przeprowadziła taką grabież.

Jego błąd nie pozostawiał wątpliwości. Kiedy obudził się obok niej w łóżku, Vanessa upomniała się, żeby sprawił jej przyjemność swoją poranną erekcją. Odmówił, wiedząc, że po południu spotka się z Martine. Roztrząsanie kwestii, skąd Vanessa wiedziała, gdzie opróżnia swoje jądra, było bezcelowe. Wiedziała i już. W południe wyszedł z domu, przekonany, że kobieta, którą w nim zostawił, jest mu bez reszty oddana. Pięć godzin później wrócił i zastał dom w takim stanie jak teraz.

Potrafił być sentymentalny w najdziwniejszych chwilach. Na przykład teraz, kiedy chodził po pustych pokojach i zbierał drobiazgi, które czuła się zobowiązana mu zostawić: notes z telefonami, ubrania kupione za swoje, nie za jej pieniądze, zapasowe okulary, papierosy. Nie kochał Vanessy, ale przez te czternaście wspólnie spędzonych miesięcy było mu z nią dobrze. Na podłodze w jadalni zostawiła jeszcze trochę śmieci, pamiątek wspólnego życia: kółko z kluczami – nigdy nie znaleźli drzwi, do których by pasowały; instrukcję obsługi miksera, który spalił się którejs nocy, gdy John przyrządzał w nim koktajl z tequili; plastikową buteleczkę olejku do masażu. Wszystko to razem stanowiło żalostną kolekcję. Nie zamierzał się oszukiwać i wmawiać sobie, że ich związek był czymś więcej niż sumą tych śmieci. Miał inny problem – gdzie powinien iść i co zrobić teraz, kiedy wszystko się skończyło. Martine była mężatką w średnim wieku. Jej mąż, bankier, trzy dni w tygodniu spędzał w Luksemburgu, więc miała dość czasu na flirtowanie. Zdarzało się, że wyznawała Gentle'owi miłość, ale bez przekonania. Nie łudził się, że gdyby chciał – a z pewnością nie chciał – namówiłby Martine do rozwodu. Znał ją od ośmiu miesięcy; prawdę mówiąc, poznali się na kolacji wyprawianej przez Williama, starszego brata Vanessy, i tylko raz się przez ten czas pokłócili, ale była to kłótnia znacząca. Martine miała pretensje, że ciągle ogląda się za innymi, gapi się i gapi, jakby cały czas szukał nowej zdobyczy. Chyba niezbyt mu na niej zależało, bo odpowiedział – zgodnie z prawdą – że zgadła. Miał fioła na punkcie przedstawicielek jej płci. Cierpiał, gdy ich nie widział, znajdował się w siódmym niebie, gdy go otaczały. Był chory z miłości. Stwierdziła, że chociaż jego obsesja jest zdrowsza od manii jej męża, którego interesowały wyłącznie pieniądze i obracanie nimi, to i tak zachowuje się jak nerwicowiec. Po co ci to niekończące się polowanie? – zapytała. Zaczął coś bełkotać o poszukiwaniu idealnej kobiety, ale wciskając jej ten kit, wiedział, że prawda wygląda inaczej. I że jest gorzka. Zbyt gorzka, żeby przeszła mu

przez gardło. Odpowiedź sprowadzała się do jednego: Gentle czuł się pusty, jakby nic nie znaczył, jakby nie istniał, jeżeli chociaż jedna kobieta (lub więcej) się w nim nie podkochała. Owszem, wiedział o tym, że ma delikatne rysy twarzy, szerokie czoło, czarujące spojrzenie, usta tak ukształtowane, że nawet gniewnie skrzywione wyglądały urzekająco, ale potrzebował żywego lustra, które by to potwierdzało. Więcej – miał nadzieję, że któreś z tych lusterek znajdzie pod jego olśniewającą fasadą coś, co tylko druga para oczu może dostrzec, jakieś ukryte „ja”, które wyzwoli go z bycia Gentle'em.

*

Jak zwykle, kiedy czuł się samotny, poszedł do Chestera Kleina, mecenaśa sztuki wychodzącej spod ręki różnych artystów. Klein twierdził, że dorównuje Byronowi, jeśli idzie o liczbę szacownych biografii, z których wycięli go zawistni prawnicy. Mieszkał w Notting Hill Gate, w domu kupionym za grosze pod koniec lat pięćdziesiątych, i ostatnio rzadko go opuszczał. Cierpiał na agorafobię, czy raczej, jak to ujmował: „całkowicie racjonalny lęk przed każdym, kogo nie mógł szantażować”. W tym udzielnym księstewku urządził się doskonale. Ze względu na swój fach miał kontakt tylko z garstką wybranych klientów; poza tym liczyło się wyczucie zmian trendów kształtujących ich gust i zdolność ukrycia zadowolenia z tego, co osiągnął. Mówiąc krótko, handlował fałszywkami.

Najbardziej brakowało mu ostatniej z wymienionych zalet. Niektórzy z zaufanych odbiorców twierdzili, że to właśnie przywiedzie go do zguby, ale krakali tak już od trzydziestu lat, a Kleinowi wiodło się lepiej niż im wszystkim razem wziętym. Luminarze, którzy przez te dziesięciolecia korzystali z jego usług – zbiegli na Zachód tancerze i pomniejsi szpiedzy, uzależnione od narkotyków parweniuszki, gwiazdy rocka o mesjanistycznych zapędach, biskupi, którzy uwielbiali młodych uliczników – wszyscy mieli swoje pięć minut chwały, po których następował upadek. Klein zaś przetrwał, by opowiedzieć ich historie. Kiedy czasem jego nazwisko pojawiło się w brukowcu albo czyjejsz szczerzej do bólu biografii, zawsze był przedstawiany jako święty, patron zagubionych duszyczek.

Gentle, taka właśnie zagubiona duszyczka, mógł mieć pewność, że zostanie w rezydencji Kleina życzliwie przyjęty, ale nie tylko dlatego się tam udał. Klein cały czas szukał środków na swoje machinacje, a skoro potrzebował

pieniędzy – potrzebował i malarzy. W domu przy Ladbroke Grove można było znaleźć pocieszenie, ale i coś więcej – zatrudnienie. Minęło jedenaście miesięcy, odkąd ostatni raz rozmawiał z Chesterem, ale został powitany jak zwykle wylewnie i zaproszony do środka.

– Szybko! – ponaglił go Klein. – Pospiesz się! Gloriana znów jest w rui! – Zdołał zatrzasnąć drzwi, zanim spasiona Gloriana, jeden z jego pięciu kotów, zdołała wyskoczyć na ulicę w poszukiwaniu towarzystwa. – Za wolna jesteś, skarbie! – powiedział do niej, kiedy miauknęła żałośnie. – Specjalnie ją tak tuczę, żeby nie mogła za szybko biegać – wyjaśnił. – Poza tym przy niej czuję się szczuplejszy.

Klein poklepał się po brzuchu, a ostatnio wyraźnie utył. Koszula, która – tak jak i on sam – była czerwona i pamiętała lepsze czasy, opinała się na nim i marszczyła na szwach. Włosy nadal nosił spięte w kucyk i przewiązane wstążką. Na łańcuszku na szyi miał zawieszony krzyż ankh, ale powierzchowność przekwitłego dziecka-kwiatu kryła naturę zachłanną jak u australijskiego altannika. Nawet przedpokój, w którym przywitał gościa, był dosłownie zavalony bibelotami: drewniany piesek, plastikowe róże w psychodelicznym nadmiarze, wyłożone na talerzach głowy z cukru.

– Boże, ale przemarzłeś! – stwierdził Klein. – W ogóle fatalnie wyglądasz. Ktoś ci dał po łbie?

– Nie.

– To czemu oczy masz podsiniaczone?

– Jestem po prostu zmęczony.

Gentle zdjął gruby płaszcz i przerzucił go przez oparcie krzesła przy drzwiach. Wiedział, że kiedy po niego wróci, płaszcz będzie ciepły i cały pokryty kocią sierścią.

Klein czekał już na niego w salonie i nalewał wina. Czerwonego, jak zawsze.

– Nie zwracaj uwagi na telewizor – powiedział. – Ostatnio w ogóle go nie wyłączam. Rzecz w tym, żeby nie podkrecać głosu. Niema telewizja jest znacznie ciekawsza.

To było nowe dziwactwo Kleina. Telewizor nie pozwalał się skupić. Gentle wziął wino i usiadł na rogu sfatygowanej kanapy, skąd prawie nie widział ekranu – a i tak go kusilo, żeby tam zerkać.

– No, gnojku – odezwał się Klein. – Jakiej to katastrofie zawdzięczam ten zaszczyt?

- Żadnej, po prostu się nudzę. Szukałem kogoś, kto mnie rozweseli.
 - Zostaw je, Gentle.
 - Co mam zostawić?
 - Dobrze wiesz. Płść piękną. Odpuść sobie. Ja tak zrobiłem i wiem, że to ogromna ulga. Te wszystkie desperackie próby uwodzenia, rozmyślenia o śmierci, żeby opóźnić orgazm... Strata czasu. Mówię ci, pozbyłem się zbędnego brzemienia.
 - Ile masz lat?
 - Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Nie zadaję się z kobietami, bo łamały mi serce.
 - A cóż to za serce?
 - Też mógłbym cię o to zapytać. Tak, tak, kwiczysz żałośnie, wyłamujesz sobie palce, a potem wracasz i popełniasz te same błędy. To nużące. One są nużące.
 - W takim razie ratuj mnie.
 - Znów się zaczyna.
 - Nie mam pieniędzy.
 - Ja też nie.
 - Razem możemy coś zarobić, żeby nie musiał być na ich utrzymaniu.
- Wracam do pracowni, Klein. Namaluję ci, co zechcesz.
- Oho, gnojek przemówił.
 - Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywał.
 - Przecież to prawda. Nie zmieniłeś się przez osiem lat. Świat się starzeje, a gnojek zachowuje dawną doskonałość. A skoro o tym mowa...
 - Daj mi pracę.
 - Nie przerywaj mi, kiedy plotkuję. Skoro o tym mowa, w poprzednią niedzielę widziałem Clema. Pytał o ciebie. Bardzo przytył. Jego życie uczuciowe jest prawie równie beznadziejne jak twoje. Taylor złapał syfa. Mówię ci, Gentle, celibat to jest to.
 - Więc znajdź mi zajęcie.
 - To nie takie proste! Na rynku jest dołek, a poza tym... No, będę brutalny: mam nowego wunderkinda. – Klein wstał. – Chodź, pokażę ci. – Zaprowadził Gentle'a do pracowni. – Chłopak ma dwadzieścia dwa lata i daję słowo, gdyby miał trochę oleju w głowie, zostałby świetnym malarzem. Tylko że jest taki jak ty. Ma talent i nic więcej.
 - Dzięki – odparł oschle Gentle.

– Wiesz, że to prawda.

Klein włączył światło. W pokoju znajdowały się trzy nieoprawione płótna. Jedno przedstawiało kobiecy akt w stylu Modiglianiego. Obok znajdował się krajobraz skopiowany z Corota, ale trzeci, największy obraz był najlepszy. Sielska scenka – klasycznie odziani pasterze, załęcznieni, stojący przed drzewem, w którego pniu widać ludzką twarz.

– Odróżniłbyś go od prawdziwego Poussina?

– Farba jeszcze świeża?

– Bystry jesteś.

Gentle podszedł do obrazu, żeby obejrzeć go z bliska. Nie był ekspertem od tej akurat epoki, ale znał się na sztuce wystarczająco, żeby płótno wywarło na nim wrażenie. Gęsto tkany materiał, farba kładziona ostrożnymi, regularnymi pociągnięciami pędzla, kolory narastające w cienkich, połyskliwych warstwach.

– Precyzyjna robota, co? – zachwycił się Klein.

– Tak precyzyjna, że aż mechaniczna.

– No, no, tylko bez kwaśnych winogron proszę.

– Mówię serio. Taka perfekcja nie mieści się w słowach. Jeśli wystawisz go na sprzedaż, będziesz skończony. Ten Modigliani to zupełnie inna sprawa...

– To wprawka – przerwał Klein. – Nie mogę go sprzedać. Facet namalował tylko kilkanaście obrazów. Tak naprawdę stawiam na Poussina.

– To błąd. Sparzysz się na nim. Mogę się jeszcze napić?

Gentle wrócił do salonu. Klein szedł za nim, pomrukując coś do siebie.

– Masz niezłe oko, Gentle – przyznał. – Szkoda, że nie mogę na tobie polegać. Znajdziesz sobie inną kobietę i zaraz się ulotnisz.

– Nie tym razem.

– Nie żartowałem, mówiąc o zapaści na rynku. Nie ma na nim miejsca na gnioty.

– Miałeś kiedyś kłopoty z moimi obrazami?

Klein się zamyślił.

– Nie – przyznał po chwili.

– Mój Gauguin jest w Nowym Jorku. Moje szkice FUSELEGO...

– Wiem, w Berlinie. Nie ukrywam, widać cię tu i ówdzie.

– I nikt nigdy nie odkryje prawdy.

– Kiedyś odkryją. Za sto lat twój FUSELEGO będzie zbyt młody. Ludzie zaczną

węszyć i znajdą cię, gnojku. Rozpoznają też Kenny'ego Soamesa, Gideona i wszystkich moich kanciarzy.

– A ciebie zniszczą za to, że nam płaciłeś. Za to, że odebrałeś dwudziestemu wiekowi całą jego oryginalność.

– Gówno prawda. Dobrze wiesz, że oryginalność nie jest dziś w cenie. Mógłbyś udawać wizjonera i malować Najświętsze Dziewice.

– Tak właśnie zrobię. Celibat i całymi dniami Najświętsze Dziewice, w każdym możliwym stylu: z Dzieciątkiem, bez Dzieciątka, płaczące, rozanielone. Jądra mi odpadną z wysiłku, Klein. To zresztą nic nie szkodzi, bo nie będą mi już potrzebne.

– Daruj sobie Dziewice, są niemodne.

– Zapomniane, a nie niemodne.

– Najlepszy jesteś w dekadencji.

– Jak sobie życzysz. Tylko powiedz.

– Nie próbuj mnie wyruchać. Kiedy znajdę klienta i coś mu obiecuję, malujesz bez gadania.

– Jeszcze dziś wracam do pracowni i zaczynam od nowa. Zrób dla mnie jedną rzecz, dobrze?

– Co takiego?

– Spal Poussina.

*

Nawet mieszkając z Vanessą, zaglądał czasem do pracowni. Dwa razy spotkał się tam z Martine, kiedy jej mąż odwołał wyjazd do Luksemburga, a ona była zbyt napalona, żeby przepuścić okazję do schadzki. Atelier wyglądało jednak przygnębiająco, tak że chętnie wracał do domu przy Wimpole Mews. Tym razem było inaczej. Surowy wystrój tego wnętrza sprawił mu przyjemność. Gentle włączył kuchenkę elektryczną, zaparzył sobie kubek fałszywej kawy, dodał fałszywego mleka i zaczął myśleć o naturze oszustwa.

Ostatnie sześć lat jego życia – czyli od czasu Judith – składało się z samych fałszerstw. Niby nie było w tym żadnej tragedii (bądź co bądź, od dziś znów zacznie w ten sposób zarabiać na życie), ale o ile malarstwo dawało przynajmniej namacalne efekty – podwójne, jeśli liczyć wynagrodzenie – polowanie i uwodzenie zawsze kończyło się tak samo. Zostawał sam, nagi, z pustymi rękoma. Od dziś koniec z tym. Spełnił toast lurowatą kawą i złożył

obietnicę bogu kanciarzy (kimkolwiek był), że zostanie kimś naprawdę niezwykłym. Skoro był geniuszem wśród fałszerzy, dlaczego miałby marnować swój talent na oszukiwanie mężów i kochanek? Powinien raczej zwrócić się ku poważniejszym celom, tworzyć arcydzieła podpisane obcymi nazwiskami. Klein miał rację. Czas zweryfikuje wartość jego daru. Kiedy wszystkie obrazy zostaną odkryte, potwierdzą jego reputację wizjonera. A jeżeli nie, jeśli Klein się mylił i nikt nigdy nie pozna prawdziwego autora tych prac, tym lepiej. Będzie niewidzialny, a jednak widoczny, nieznany, lecz wpływowy. To wystarczyło, żeby całkiem zapomniał o kobietach.

W każdym razie na tę jedną noc.

ROZDZIAŁ 3

Chmury nad Manhattanem, które przez cały dzień straszyły śniegiem, o zmierzchu rozwiały się i odsłoniły czyste niebo o barwie tak nieokreślonej, że patrząc w nie, można by wszcząć filozoficzną dysputę o naturze błękitu. Nie bacząc na ciężar całodziennych zakupów, Jude postanowiła wrócić pieszo do mieszkania Marlina na rogu Park Avenue i Osiemdziesiątej. Ręce jej omdlewały, ale miała przynajmniej okazję pomyśleć spokojnie o spotkaniu, które zdominowało jej dzień. Mogła się też zastanowić, czy chce o nim opowiadać Marlinowi. Niestety, facet miał umysł prawnika. W najlepszym razie rozmawiał chłodno i analitycznie, w najgorszym – wszystko przesadnie upraszczał. Wiedziała, że jeśli się jej uczepli, ona straci cierpliwość i ich stosunki, które (poza chwilami jego wybryków) układały się miło i sympatycznie, gwałtownie się pogorszą. Musiała wyrobić sobie własną opinię na temat wydarzeń sprzed dwóch godzin, zanim podzieli się nimi z Marlinem. Wtedy będzie mógł śmiało pastwić się nad jej relacją.

W miarę, jak obracała to spotkanie w myślach na wszystkie strony, jego obraz stawał się – jak niebo nad Manhattanem – coraz bardziej niejednoznaczny. Starła się trzymać niezbitych faktów. Była w dziale męskim Bloomingdales, szukając swetra dla Marlina. Tłum był straszny, nie znalazła nic odpowiedniego, więc schyliła się po torby z wcześniejszymi zakupami. Kiedy się wyprostowała, z ludzkiej masy wyrzała znajoma twarz. Ile to mogło trwać? Sekundę, góra dwie. W sam raz, żeby serce zdążyło jej mocniej zabić, a policzki się zarumieniły; w sam raz, żeby usta złożyły się do słowa „Gentle”. Potem Gentle zniknął w tłumie. Zapamiętała miejsce, w którym się znajdował, zgarnęła zakupy i ruszyła w tamtą stronę.

Wolno przeciskała się pomiędzy ludźmi, ale po chwili znów go dostrzegła. Szedł do wyjścia. Zawołała go po imieniu – nic jej nie obchodziło, czy wyjdzie na idiotkę, czy nie – i rzuciła się za nim w pościg. W pełnym pędzie musiała robić spore wrażenie, bo ludzie się rozstąpili i gdy znalazła się przy drzwiach, on był dosłownie kilka metrów przed nią. Na Trzeciej Alei panował ścisk jak w sklepie, ale widziała, jak Gentle przechodzi przez ulicę. Kiedy doszła do przejścia dla pieszych, światło się zmieniło, wpadła jednak na jezdnię, żeby nie stracić go z oczu. Wykrzyknęła jego imię. W tej samej chwili zderzył się z jakimś zaaferowanym przechodniem. Odbił się od niego, odwrócił – i drugi raz dostrzegła jego twarz. Roześmiałyby się pewnie na głos, widząc absurdalność swojej pomyłki, gdyby nie była nią taka poruszona: albo pomieszało się jej w głowie, albo pobiegła za niewłaściwym facetem. W każdym razie Murzyn o długich, opadających na ramiona lokach na pewno nie był Gentle'em. Zawahała się, nie wiedząc, czy powinna dalej się rozglądać, czy od razu darować sobie pościg, ale przez moment nie odrywała wzroku od twarzy czarnoskórego mężczyzny. W tym ułamku sekundy jego rysy rozmyły się i w błysku słońca, może odbitym od skrzydła samolotu w stratosferze, zobaczyła Gentle'a: włosy rozwiane nad szerokim czołem, rzewne szare oczy, układające się do uśmiechu usta, za którymi tak tęskniła, nie zdając sobie z tego sprawy. Uśmiech się nie pojawił. Samolot skręcił, mężczyzna odwrócił się, Gentle zniknął. Jeszcze chwilę stała w tłumie, a potem wzięła się w garść i ruszyła do domu.

Naturalnie, nie potrafiła o nim zapomnieć. Wierzyła swoim zmysłom, toteż martwiła się, że tak ją zawiodły. Jeszcze bardziej niepokoił ją fakt, że z obszernego katalogu twarzy jej pamięć wybrała właśnie tę jedną i odmalowała ją w obliczu obcego człowieka. „Gnojek” Kleina zniknął z jej życia. Minęło sześć lat, odkąd przeszła po moście na drugą stronę dzielącej ich, wzburzonej rzeki. Nurt tej rzeki przyniósł, a potem porwał ze sobą jej małżeństwo z Estabrookiem; niósł też wiele bólu. Gentle został na drugim brzegu, jako część jej historii, nie do odzyskania. Dlaczego zatem teraz go przywołała?

Przecnicę od domu Marlina przypomniała sobie coś, co przez te sześć lat całkiem wyleciało jej z głowy – mignięcie twarzy Gentle'a, podobne do tego, którego doświadczyła dzisiaj. Poznali się na przyjęciu u Kleina, całkiem przypadkowo, i nie poświęciła mu ani jednej świadomej myśli. Dopiero trzy noce później przyśnił się jej erotyczny sen, który potem nawiedzał ją dość regularnie. Scenariusz był zawsze taki sam: leżała naga na drewnianej podłodze

w pustym pokoju, nie związana, ale w jakiś sposób skrępowana. Kochała się namiętnie z jakimś mężczyzną. Twarzy nigdy nie widziała, a jego usta miały tak słodki smak, że przy pocałunkach miała wrażenie, jakby jadła cukierek. Wreszcie w blasku ognia na kominku dostrzegła twarz widmowego kochanka. To był Gentle. Obudziła się, wstrząśnięta tym nagłym objawieniem; żal niespełnienia w tym stosunku był tak silny, że do rana nie mogła zasnąć. Następnego dnia wyciągnęła adres Gentle'a od Kleina, który bez ogródek uprzedził ją, że kobiety o czułym sercu źle znoszą znajomość z Johnem Zachariasem. Zignorowała ostrzeżenie i tego samego wieczoru spotkali się z Gentle'em w jego pracowni przy Edgware Road. Przez następne dwa tygodnie prawie z niej nie wychodzili. Przy ich namiętności jej najśmielsze sny wypadały blado.

Dopiero później, kiedy beznadziejnie się zakochała i zdrowy rozsądek stał się bezużyteczny, dowiedziała się o Gentle'u czegoś więcej. Miał reputację kobieciarza, która naprawdę robiła wrażenie – nawet jeśli była w dziewięćdziesięciu procentach fałszywa, jak przypuszczała Judith. Mimo plotek zawsze znalazł się ktoś, kto powiedział o nim coś miłego. Miał wiele przezwisk; niektórzy nazywali go Furie, inni Zach, Zachó, Mister Zee albo Gentle (tak jak ona), jeszcze inni mówili o nim Boski John. Samych imion starczyłoby dla pół tuzina ludzi. Była mu tak ślepo oddana, że nie godziła się z prawdą zawartą w plotkach, on zaś nie robił nic, żeby im zaprzeczyć. Lubił na wpół legendarną atmosferę, która go otaczała. Twierdził na przykład, że nie wie, ile ma lat. Podobnie jak Judith, nie umiał radzić sobie ze wspomnieniami, przeszłość mu się wymykała. Nie ukrywał, że ma obsesję na punkcie kobiet; słyszała i o niemowlętach porwanych z kołyski, i o spółkowaniu z kobietami na łożu śmierci. Nie był wybredny.

Gentle, którego znali portierzy wszystkich hoteli i ekskluzywnych klubów w mieście, który przez dziesięć lat na topie doświadczył wszystkich możliwych tragedii, który wciąż żył i olśniewał swoją urodą – ten sam człowiek powiedział, że ją kocha, i powiedział to tak pięknie, że zapomniała o wszystkim, co wcześniej słyszała.

Mogłaby go słuchać bez końca, gdyby nie fakt, że i ona miała swoją legendarną reputację. Wszyscy wiedzieli, co znaczy jej gniew. Jej złość była ulotna, nieuchwytna, wzbierała w niej, nawet gdy Judith nie zdawała sobie z tego sprawy. Tak było z Gentle'em. Po pół roku romansu i błógiego pławienia się w czułościach zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, żeby człowiek,

którego przeszłość stanowiła nieprzerwane pasmo zrad, nagle się nawrócił. Stąd blisko już było do podejrzenia, że może to nieprawda, chociaż musiała przyznać, że nie dawał jej powodów do podejrzeń. Jego oddanie i wierność graniczyły z obsesją, jakby dostrzegał w niej kobietę, z której istnienia sama nie zdawała sobie sprawy, swoją odwieczną towarzyszkę. A może była zupełnie inna od kobiet, które znał wcześniej, może miłość do niej zmieniła jego życie? Byli przecież ze sobą tak blisko – to niemożliwe, żeby ją zdradzał, a ona się nie zorientowała. Wyczułaby rywalkę, rozpoznałaby jej zapach na jego skórze, jej smak na jego języku. Jakieś subtelne oznaki zwróciłyby jej uwagę.

Nie doceniła go. Kiedy zbiegiem okoliczności odkryła, że Gentle ma na boku nie jedną, ale dwie kochanki, mało nie postradała zmysłów ze złości. Najpierw zniszczyła całe wyposażenie pracowni, pocięła płótna – i czyste, i zamalowane – a potem wytropiła drania i tak mu dołożyła, że dosłownie padł na kolana, bojąc się o swoje jądra.

Gniew płonął w niej przez tydzień, potem na trzy dni zaniemówiła. To były trzy dni ciszy przepełnionej smutkiem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z Estabrookiem, mogłaby odebrać sobie życie.

Oto historia Judith i Gentle'a: o jedną śmierć od tragedii, o jedno małżeństwo od farsy.

*

Zastała Marlina już w domu. Był bardzo zaniepokojony. – Gdzie byłaś? Jest szósta trzydzieści dziewięć. Natychmiast zorientowała się, że nie czas opowiadać, jak wyprawa do Bloomingdales zburzyła jej spokój ducha.

– Nie mogłam złapać taksówki – skłamała. – Musiałam wracać pieszo.

– Jeżeli ci się to jeszcze raz przydarzy, zadzwoń. Wyślę po ciebie którąś z limuzyn. Nie chcę, żebyś się tak włóczyła po ulicach, to niebezpieczne. Zresztą nieważne, jesteśmy spóźnieni. Zjemy po przedstawieniu.

– Po jakim przedstawieniu?

– W Village. Wczoraj Troy cały wieczór o nim gadał, nie pamiętasz? To jakaś nowoczesna sztuka o Narodzeniu Pańskim, podobno najlepsza rzecz od czasów prawdziwego Betlejem.

– Dawno już nie ma biletów.

– Mam swoje dojścia – rozpromienił się Marlin.

– I dziś idziemy?

– Nie pójdziemy, jeśli nie ruszysz tyłka.

– Czasem jesteś taki subtelny, Marlinie...

Judith rzuciła zakupy na podłogę i pobiegła się przebrać.

– A kiedy nie jestem subtelny, to jaki?! – krzyknął za nią. – Seksowny? Warty grzechu? Nie można mi się oprzeć?

*

Jeżeli Marlin traktował bilety jak łapówkę, dzięki której zaciągnie Jude do łóżka, to został skarcony za swoją żądzę. Przez pierwszy akt udawało mu się ukryć znudzenie, ale w przerwie nie mógł się doczekać, żeby wrócić do domu i odebrać nagrodę.

– Naprawdę musimy zostać do końca? – zapytał. Siedzieli w małym foyer i popijali kawę. – No wiesz, nie ma w tym nic niezwykłego. Dzieci się rodzą, dorastają, a potem się je krzyżuje.

– Mnie się podoba.

– Ale to bez sensu – poskarżył się. Mówił poważnie. Eklektyczne przedstawienie obrażało jego racjonalną naturę. – Dlaczego anioły grały jazz?

– A kto ma wiedzieć, co robią anioły?

Pokręcił głową.

– Nie wiem już, czy to komedia, czy satyra, czy coś jeszcze innego, do diabła! A ty wiesz?

– Uważam, że sztuka jest bardzo zabawna.

– Więc chcesz zostać?

– Tak, chciałabym.

Druga część okazała się jeszcze gorszym zlepkiem przypadkowych motywów. Jude miała coraz silniejsze wrażenie, że parodia i pastisz pełnią rolę zasłony dymnej dla artystów, którzy nagle zawstydzili się własnej szczerości. Pod koniec, kiedy anioły na dachu stajenki zawodziły w rytm melodii Charliego Parkera, a Święty Mikołaj mrucał coś nad żłóbkiem, wszystko się rozlało. Ale i tak efekt był dziwnie wzruszający. Dzieciątko się narodziło, a światło znów spłynęło na ziemię, mimo akompaniamentu stepujących elfów.

Kiedy wyszli, zaczął deszcz ze śniegiem.

– Co za ziąb – mruknął Marlin. – Odpryskam się jeszcze.

Wrócił do teatru i stanął w kolejce do toalety. Jude została przy drzwiach, patrząc, jak grube płatki mokrego śniegu migają w blasku latarni. Teatr nie był duży i w kilka minut prawie całkiem opustoszał. Ludzie ze spuszczoneymi głowami i ukryci pod parasolami szybkim krokiem zbiegali w stronę swoich aut lub lokali, w których mogliby wprowadzić do organizmu trochę płynów i zabawić się w krytyków. Światło nad wejściem zgasło, z widowni wyszedł człowiek ze szczotką i czarnym workiem na śmieci. Zaczął zamiatać foyer. Nie zwracał uwagi na Jude – nie rzucała się zresztą w oczy – dopóki nie znalazł się tuż obok. Wtedy posłał jej tak jadownicze spojrzenie, że postanowiła rozłożyć parasol i wyjść na pograżone w mroku schody. Marlin nie spieszył się z opróżnianiem pęcherza. Miała nadzieję, że nie mizdrzy się do lustra, nie przylizuje włosów i nie psika sobie odświeżaczem do ust, oczekując, że się z nią prześpi.

Kątem oka dostrzegła ruch. Jakaś postać zbliżała się szybkim krokiem, ledwie widoczna w zadymce. Jude odwróciła się w jej stronę. Ledwie zdążyła rozpoznać człowieka z Trzeciej Alei, gdy rzucił się na nią.

Otworzyła usta do krzyku i zrobiła krok w tył, próbując cofnąć się do środka. Człowiek z miotłą i workiem zniknął. Żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła, zduszony uściskiem dłoni napastnika. Bardzo fachowych dłoni. Ścisnęły mocno, brutalnie, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Ogarnęła ją panika. Zaczęła młócić na oślep rękoma i straciła równowagę. Złapał ją, z nim upadła. Rozpaczliwym ruchem rzuciła parasol w głąb korytarza.

Miała nadzieję, że może poza zasięgiem jej wzroku, w kasie, siedzi ktoś, kogo w ten sposób zaalarmuje. Kiedy mężczyzna wciągnął ją głębiej w mrok, zrozumiała, że jest już za późno na ratunek. Kręciło się jej w głowie, nogi i ręce ciążyły jak ołów. W cieniu twarz napastnika znów stała się rozmazaną plamą, w której ziały dwie ciemne dziury. Były coraz bliżej. Żałowała, że nie ma dość siły, by oderwać od nich wzrok, ale gdy mężczyzna przyciągnął ją bliżej, w niespodziewanym błysku światła dostrzegła – w każdym razie tak się jej wydawało – płynące z ciemnych oczodołów łzy. Światło zaraz zgasło i nie tylko jego twarz, ale cały świat pograżył się w ciemności. Odpływając w niebyt, Jude nie mogła opędzić się od myśli, że napastnik ją zna.

– Judith?

Ktoś ją obejmował. Ktoś do niej krzyczał. Nie napastnik. Marlin. Zwiotczała mu w ramionach, z trudem rejestrując obraz uciekającego bandyty, któremu jakiś drugi człowiek deptał po piętach. Z wysiłkiem obróciła oczy ku

Marlinowi, który pytał, czy nic się jej nie stało. Zgrzytnęły hamulce, zapiszczały opony. Niosący morderca wpadł pod rozpędzony samochód. Wozem zarzuciło i na zablokowanych kołach sunął śliską od śniegu ulicą. Napastnik spadł z jego maski na zaparkowane obok auto. Goniący go człowiek uskoczył na bok, a pędzący samochód odbił się od krawężnika i uderzył w latarnię.

Jude wyciągnęła przed siebie rękę, szukając innego oparcia niż ramiona Marlina. Natrafiła palcami na ścianę i nie zwracając uwagi na słowa Marlina, który kazał jej zostać, nigdzie nie iść, na miękkich nogach ruszyła w kierunku leżącego mężczyzny. Ktoś pomagał wysiąść z rozbitego wozu kierowcy, który bluzgał najgorszymi możliwymi obelgami. Zbiegło się trochę ludzi, ale Jude zignorowała ich zdziwione spojrzenia i weszła na jezdnię. Marlin nie odstępował jej na krok. Chciała zobaczyć zwłoki pierwsza, chciała spojrzeć w martwe oczy i zapamiętać śmiertelny grymas.

Najpierw natknęła się na kałużę krwi rozbryźniętej w szarej brei, dopiero kawałek dalej, przy krawężniku, leżało bezwładne ciało. Miała do przejścia jeszcze parę kroków, gdy okazało się, że ofiara wypadku żyje. Ranny zadrzał, odwrócił się na plecy, wystawiając twarz na padający śnieg. A potem, chociaż wydawało się to niemożliwe po takim uderzeniu, zaczął się podnosić. Był cały pokrwawiony. Wstał z jezdni.

To nie jest człowiek, przeszło jej przez myśl. Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie człowiek. Stojący za nią Marlin stęknął z odrazą, jakaś kobieta na chodniku wrzasnęła. Ranny niepewnie odwrócił się w jej stronę, zachwiał się na nogach i spojrzał na Jude.

Nie wyglądał już jak tamten napastnik, ale i nie przypominał Gentle'a. Jeżeli miał jakąś prawdziwą twarz, może tak właśnie wyglądała: zakrwawiona, poślubiona wątpliwościami, żałosna, zagubiona. Otworzył i zamknął usta, jakby próbował coś powiedzieć. Marlin ruszył w jego stronę, a on wtedy rzucił się do ucieczki. Zakrawało na cud, że po takim wypadku nogi w ogóle były w stanie go nieść. Oddalił się jednak z taką szybkością, że Marlin nie miał szans go dogonić – biegł wprawdzie przez chwilę, ale na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymał się i bez tchu wrócił do Jude.

– Cholerny ćpun! – stwierdził, zły, że nie dane mu było się popisać. – Facet jest najebany po uszy, więc nie czuje bólu. Kiedy przestaną działać, zdechnie jak pies. Skurwiel! Skąd on cię znał?

– A znał mnie?

Jude drżała na całym ciele. Łzy napłynęły jej do oczu – po części z ulgi,

że ocalała, po części ze strachu, że tak blisko otarła się o śmierć.

– Nazwał cię Judith – odparł Marlin.

Przypomniała sobie, jak napastnik poruszył ustami. Mogła odczytać sylaby tworzące jej imię.

– To ćpun – powtórzył Marlin.

Nie chciało jej się z nim kłócić, chociaż była przekonana, że Marlin nie ma racji. Tym, co napędzało napastnika, była świadomość misji, którą musi wykonać. A ta świadomość nie przestanie działać – ani tej nocy, ani w przyszłości.

ROZDZIAŁ 4

1

Jedenaście dni po zawiezieniu Estabrooka do obozowiska w Streatham Chant zdał sobie sprawę, że niedługo będzie miał gości. Mieszkał nieopodal pubu „Elephant and Castle” – sam, anonimowo, w jednopokojowym mieszkanku, w budynku komunalnym, który wkrótce miał być przeznaczony do rozbiórki. Tego adresu nie podał nikomu, nawet pracodawcy. Nie żywił nadmiernej nadziei, że uda mu się w tak prosty sposób zgubić prześladowców. W przeciwieństwie do gatunku homo sapiens, który jego dawno zmarły mistrz Sartori z upodobaniem nazywał „kwiatem na małym drzewie genealogicznym”, istoty rodzaju Chanta nie mogły ukryć się przed wysłannikami zagłady, zamykając drzwi i zasłaniając okna. Przyciągały tych, którzy na nich żerowali.

Ludziom było o wiele łatwiej. Zwierzęta, które dawniej się nimi żywiły, wystawiano teraz w ogrodach zoologicznych ku uciechu zwycięskiej małpy. Małpa nie miała pojęcia, jak blisko znajdowała się krainy, w której żarłoczne bestie z młodzieńczych lat historii Ziemi znaczyłyby nie więcej niż pchły. Kraina ta nosiła nazwę In Ovo, a po jej drugiej stronie leżały cztery inne światy, tak zwane Pojednane Dominia. Były niezwykle. Żyły w nich istoty obdarzone atrybutami, dzięki którym tutaj, w Piątym Dominium, czekałyby je albo los świętych, albo stos inkwizycji – albo jedno i drugie; kwitły kulty, których sekrety i wiedza w mgnieniu oka wywróciłyby do góry nogami dogmaty wiary i fizyki; istniały piękności zdolne urodą przyćmić słońce i zesłać

księżycowi sny o płodnych związkach. Wszystko to oddzielała od Ziemi – Piątego, Odłączonego Dominium – otchłań In Ovo.

Oczywiście można było przemieszczać się między nimi, lecz siła, która to umożliwiała, zwana zazwyczaj (pogardliwie) magią, w Piątym Dominium osłabła znacznie od czasu przybycia Chanta. Obserwował, jak obudowuje się ją murem rozumu i rozsądku, cegła po cegle; widział, jak uprawiających magię ludzi zaszczuwa się i wyśmiewa; śledził dekadentcki rozkład jej teorii, które zmieniały się w parodię samych siebie; patrzył, jak cel jej istnienia popada w zapomnienie. Piąte Dominium dusiło się w swoich ciasnych przekonaniach i chociaż myśl o utracie życia wcale Chanta nie bawiła, wiedział, że gdy zostanie usunięty z tego okrutnego i prozaicznego dominium, wcale nie będzie żałował.

Podszedł do okna i wyjrzał na leżące pięć pięter niżej podwórko. Było puste. Zostało mu jeszcze kilka minut, żeby ułożyć wiadomość dla Estabrooka. Wrócił do stołu i ponownie wziął się do pisania – dziewiąty albo dziesiąty raz. Chciał napisać o wielu sprawach, ale zdawał sobie sprawę, że Estabrook nie wie kompletnie nic o związkach jego rodziny, której nazwisko porzucił, z losem dominiów. Zostało za mało czasu, żeby nadrobić braki w jego edukacji. Musi wystarczyć ostrzeżenie. Tylko w jakiej formie je przedstawić, żeby nie brzmiało jak bełkot wariata? Usiadł i zaczął pisać. Próbował przedstawić fakty w najprostszy możliwy sposób, chociaż wątpił, żeby jego słowa ocaliły Estabrookowi życie. Jeżeli siły, które tej nocy zstąpiły na świat, chciały jego śmierci, mogłaby go uratować tylko osobista interwencja Niewidzianego, Hapexamendiosa, wszechmocnego mieszkańca Pierwszego Dominium.

Chant schował list do kieszeni i wyszedł. Rozpłynął się w mroku klatki schodowej. Czas był po temu najwyższy. W mroźnej ciszy rozległ się warkot silnika, zbyt równy i elegancki jak na samochód któregoś z mieszkańców tego domu. Kiedy Chant wychylił się przez okno korytarza, na dole z wozu wysiadali ludzie. Nie miał cienia wątpliwości, że to jego goście – jedyne równie wypucowane samochody, jakie widywał w okolicy, to karawany. Zaklął pod nosem. Zmęczenie sprawiło, że zrobił się leniwy i pozwolił, by wróg podszedł niebezpiecznie blisko. Zbiegł na schody prowadzące do tylnego wyjścia, pierwszy raz zadowolony, że na półpiętrach z rzadka świecą się żarówki. Goście szli w stronę frontowych drzwi. Z mijanych mieszkań dochodziły bożonarodzeniowe kolędy, jakaś kłótnia, śmiech dziecka, który szybko przeszedł w płacz, jakby maluch wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo.

Chant nie znał nikogo z sąsiadów. Widywał tylko przelotnie ich twarze w oknach i teraz tego żałował. Nie miał już szans niczego zmienić.

Nie niepokojony przez nikogo zbiegł na parter. Przyszło mu do głowy, że mógłby zabrać z podwórka swój samochód, ale szybko porzucił tę myśl i skierował się w stronę Kensington Park Road, na której o tej porze powinien panować największy ruch. Przy odrobinie szczęścia uda mu się złapać tak-sówkę, chociaż tak późno w nocy nie było to łatwe; przy Kensington Park Road trudniej o pasażerów niż w Covent Garden czy na Oxford Street, a ci, którzy się trafiają, bywają nieprzyjemni. Pozwolił sobie na ostatni rzut oka w tył, na dom, a potem skupił się na kwestii ucieczki.

2

Mimo że tradycyjnie uważa się, że światło dnia najlepiej ukazuje artyście braki jego dzieł, Gentle lubił malować w nocy, jakby zaprzęgał do pracy instynkt kochanka. Po mniej więcej tygodniu, odkąd wrócił do malowania, pracownia znów zaczęła przypominać miejsce pracy. Zapach farb i terpentyny kręcił w nosie, na wszystkich półkach i talerzach leżały niedopałki. Codziennie rozmawiał z Kleinem, ale zamówienia na razie nie przychodziły, zabijał więc czas przypominaniem sobie dawnych umiejętności. Jak okrutnie – i słusznie – zauważył Klein, Gentle był mistrzem techniki pozbawionym wizji, przez co z trudem godził się na beczynność. Dopóki nie wiedział, jaki styl ma podrobić, nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu, niczym jakiś współczesny Adam, który świetnie naśladuje innych, ale nie ma żadnych obiektów do naśladowania. Wyznaczył więc sobie ćwiczenie. W myślach podzielił płótno na cztery części: kubistyczną północ, impresjonistyczne południe, wschód w stylu Van Gogha i zachód à la Dali. Na tak poszatowanym płótnie postanowił skopiować „Wieczerzę w Emaus” Caravaggia. Zapewnił sobie w ten sposób zdrową rozrywkę i wciąż jeszcze pracował, kiedy o pół do czwartej rano zadzwonił telefon. W słuchawce strasznie coś szumiało, a głos brzmiał chrapliwie i smętnie. I z całą pewnością należał do Judith.

– To ty, Gentle?

– Tak. – Ucieszył się, że są takie zakłócenia na linii. Głos zaczął mu

drzeć, a nie chciał, żeby to słyszała. – Skąd dzwonisz?

– Z Nowego Jorku. Przyjechałam tu na parę dni.

– Miło cię znowu słyszeć.

– Właściwie nie mam pojęcia, po co dzwonię. Po prostu miałam dziś taki dziwny dzień i pomyślałam, że może... Nieważne. – Judith zaśmiała się pod nosem, jakby była leciutko pijana. – Nie wiem, co myślałam... To głupie. Przepraszam.

– Kiedy wracasz?

– Tego też nie wiem.

– Moglibyśmy się znów spotkać?

– Raczej nie, Gentle.

– Tak tylko, żeby pogadać.

– Coraz słabiej cię słyszę. Przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie obu...

– Trzymaj się, dobrze?

– Judith...

– I przepraszam, Gentle.

Połączenie zostało przerwane, chociaż szumy nie umilkły, zupełnie jakby trzymał przy uchu muszlę. Nie słyszał oczywiście prawdziwego szmeru fal, to było tylko złudzenie. Odłożył słuchawkę. Wiedząc, że tej nocy już się nie położy, wycisnął kilka świeżych glist farby na paletę i wrócił do pracy.

3

Gdy w mroku za jego plecami rozległ się głośny gwizd, Chant zrozumiał, że nie udało mu się wymknąć niepostrzeżenie. Takiego dźwięku nie mogły wydać ludzkie wargi. Przypominał przenikliwy zgrzyt skalpela na szkłe. Chant słyszał go w Piątym Dominium tylko raz, mniej więcej przed dwustu laty, gdy jego ówczesny właściciel, maestro Sartori, przywołał z In Ovo Chowańca. Ten stwór wydał z siebie właśnie taki gwizd, od którego Sartoriemu krwawe łzy napłynęły do oczu. Trzeba go było czym prędzej odesłać z powrotem. Kiedy później o tym rozmawiali, Chantowi udało się zidentyfikować potwora – w Pojednanych Dominium nazwano by go pustkowcem. Takie

właśnie okrutne bestie nawiedzały bezludne tereny na północ od Postnej Drogi. Występowały pod wieloma postaciami, ucieleśniając zbiorowe pragnienia, co Sartoriego głęboko poruszyło.

– Muszę kiedyś przywołać jeszcze jednego – stwierdził. – Porozmawiam z nim.

Chant odparł, że wobec tego następnym razem powinni się lepiej przygotować, gdyż pustkowce są śmiertelnie niebezpieczne i tylko najpotężniejsi maestrowie mogą je okiełznać. Do drugiej próby nigdy jednak nie doszło, ponieważ wkrótce potem Sartori zniknął. Od tego czasu Chant nieraz się zastanawiał, czy maestro nie próbował sam przywołać pustkowca i nie padł jego ofiarą. Może ten sam potwór, który teraz go gonił, był odpowiedzialny i za tamtą śmierć. Od zniknięcia Sartoriego minęły wprawdzie dwa stulecia, ale pustkowce, podobnie jak większość istot z pozostałych dominiów, żyły znacznie dłużej od ludzi.

Chant obejrzał się przez ramię i zobaczył gwizdzącą postać. Wyglądała jak zwykły człowiek w popielatym, dobrze skrojonym garniturze z czarnym krawatem i kołnierzem postawionym dla ochrony przed zimnem. Trzymała ręce wciśnięte głęboko w kieszenie i bynajmniej nie biegła – przeciwnie, szła niemal od niechcenia, a jej gwizd mącił Chantowi myśli i plątał nogi. Kiedy odwrócił się, by spojrzeć do przodu, na chodniku stał już drugi z jego prześladowców i właśnie wyjmował coś z kieszeni. Pistolet? Nie. Nóż... Też nie. Na dłoni pustkowca poruszyło się coś maleńkiego jak pchła. Ledwie Chant zdołał skupić na niej wzrok, skoczyła w jego stronę. Z odrazą zasłonił twarz ręką, nie chcąc, by dostała mu się do ust albo oczu. Wylądowała na dłoni. Próbował zgnieść ją drugą ręką, ale nie zdążył. Wpełzła mu pod paznokieć kciuka. Podniósł dłoń do oczu, patrząc, jak pchła wgryza mu się w ciało i porusza pod skórą. Złapał mocno za nasadę kciuka, mając nadzieję, że w ten sposób nie pozwoli jej przedostać się wyżej. Nagle poczuł ból nie do zniesienia, zupełnie nieodpowiadający mikroskopijnym rozmiarom insekta. Zacisnął palce na kciuku i desperacko powstrzymywał łkanie, zdecydowany za wszelką cenę zachować resztki godności w obliczu prześladowców. Potykając się, zszedł z chodnika na jezdnię i spojrzął w stronę skąpanego w blasku lamp skrzyżowania. Schronienie, jakie obiecywały światła, było może wątpliwe, ale mógłby w ostateczności rzucić się pod samochód. Nie chciał, żeby pustkowce napawały się jego powolną śmiercią.

Zaczął biec, z całej siły ściskając kciuk. Tym razem się nie oglądał. Nie

musiał. Gwizd ucichł, a rozległ się warkot silnika. Chant włożył w szaleńczy bieg wszystkie rezerwy energii, ale kiedy dotarł do jasno oświetlonej ulicy, nie było na niej ani jednego samochodu. Skręcił na północ, mijając stację metra i kierując się w stronę „Elephant and Castle”. Teraz pozwolił sobie na rzut oka w tył. Zobaczył, że samochód jedzie za nim. Widział trzech pasażerów – dwa pustkowce i kogoś jeszcze, na tylnym siedzeniu. Biegł dalej, targany rozpaczliwym łkaniem, aż wreszcie – chwalcie Pana! – zza rogu wyjechała taksówka. Żółte światelko oznaczało, że jest wolna. Starając się nie dać po sobie poznać, jak cierpi – zdawał sobie sprawę, że kierowca może się nie zatrzymać, jeśli będzie się bał, że Chant jest ranny – zszedł na jezdnię i zamachał ręką. Musiał w tym celu zwolnić uścisk na kciuku. Insekt natychmiast wykorzystał okazję i przegryzł się aż do nadgarstka, ale taksówka się zatrzymała.

– Dokąd, kolego?

Chant sam się zdziwił, gdy zamiast adresu Estabrooka podał inny, zupełnie inny:

– Clerkenwell – powiedział. – Gamut Street.

– Nie wiem, gdzie to jest – odparł taksówkarz.

Chantowi serce mocniej zabiło na myśl, że może zostać sam na ulicy.

– Powiem panu, jak jechać.

– No to wskakuj.

Ledwie zdążył zatrzaskać za sobą drzwi wozu, taksówka nabrała szybkości.

Dlaczego podał adres przy Gamut Street? Nie mógł liczyć na to, że zostanie tam wyleczony. Na to nie było lekarstwa: pchła – czy co to tam było – dotarła już do łokcia. W zgięciu ręka bolała potwornie, przedramię całkiem zdrętwiało, skóra pomarszczyła się i zaczęła łuszczyć.

Dom przy Gamut Street kiedyś był widownią cudów. Bywali w nim wielcy ludzie; może jakiś drzemiący tam duch ukoi Chanta, który znalazł się o krok od śmierci. Sartori uczył, że żadna, nawet najmniejsza istota nie przeżywa przez to dominium niezauważona. Dziecko, które umiera zaraz po przyjsciu na świat, płód, który ginie w łonie matki, topi się w wodach płodowych – nawet taki nienazwany byt ma swoje miejsce w rejestrach, a jego istnienie pociąga za sobą określone konsekwencje. Co więc zostało po wielkich ludziach z Gamut Street? Jakie echa kołatały się po tym domu?

Chantem wstrząsały dreszcze, serce waliło mu jak młotem. Bał się, że nie-

długo straci panowanie nad własnym ciałem. Wyjął z kieszeni list do Estabrooka i pochylił się do kierowcy. Odsunął dzielącą ich szybę.

– Kiedy wysiądę w Clerkenwell, chciałbym, żeby doręczył pan list. Będzie pan tak uprzejmy?

– Przykro mi, kolego, zjeżdżam do domu. Żona czeka.

Chant wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel i rzucił go na przednie siedzenie pasażera.

– Co to jest? – zdziwił się taksówkarz.

– Moje wszystkie pieniądze. Ten list musi dotrzeć do adresata.

– Wszystkie pieniądze, co? – Kierowca wziął portfel do ręki i zajrzał do środka, dzieląc uwagę pomiędzy jego zawartość i samochód. – Sporo tej kasy.

– Proszę ją wziąć. Mnie się nie przyda.

– Chory jesteś?

– I zmęczony. Proszę wziąć te pieniądze. Niech panu służą.

– Jadą za nami jacyś klienci w daimlerze. Znasz ich?

Nie było sensu kłamać.

– Tak – odparł Chant. – Pewnie nie da się od nich odskoczyć, co?

Taksówkarz schował portfel do kieszeni i wcisnął pedał gazu. Wóz skoczył do przodu jak wyścigowy koń, a śmiech kierowcy zagłuszył gardłowy ryk silnika. Nie wiadomo, czy taksówkarz poczuł zapach świeżo zarobionych pieniędzy, czy też zdopingowała go propozycja zgubienia daimlera, ale pokazał, co potrafi; jego wóz okazał się znacznie ruchliwszy, niż wskazywałaby na to przysadzista sylwetka. W niespełną minutę potem skręcili dwa razy ostro w lewo i raz, z piskiem opon, w prawo. Pędzili przed siebie zaułkiem tak wąskim, że najdrobniejszy błąd kosztowałby ich utratę klamek, felg i lusterek. A to wcale nie był koniec jazdy przez labirynt. Skręcili jeszcze raz, i jeszcze, by za chwilę znaleźć się na moście Southwark. Gdzieś po drodze uciekli daimlerowi. Chant pewnie biłby kierowcy brawo, gdyby miał dwie sprawne ręce, ale przyniesiona przez pchłą zaraza rozprzestrzeniła się w jego ciele z szybkością błyskawicy. Korzystając z faktu, że ma jeszcze pięć sprawnych palców, nachylił się do okienka i rzucił list na siedzenie. Podając adres, czuł się tak, jakby miał dziwnie zdeformowany język.

– Co z tobą? – zdziwił się taksówkarz. – To kurewstwo chyba nie jest za różliwe, co? Bo jeśli...

– Nie... – stęknął Chant.

– Wyglądasz beznadziejnie, facet. – Kierowca zerknął w lusterko. – Na pewno nie chcesz jechać do szpitala?

– Nie. Gamut Street. Chcę na Gamut Street.

Ulice zmieniły się nie do poznania. Zniknęły drzewa, wyburzono całe szeregi domów, ascetyczna forma zajęła miejsce elegancji, piękno ustąpiło przed funkcjonalnością, stare wymieniono na nowe – i to po nie najlepszym kursie. Chant nie zaglądał tu od ponad dziesięciu lat. Czy to możliwe, żeby Gamut Street zniknęła, a na jej miejscu postawiono stalowy fallus?

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W Clerkenwell. Przecież chciałeś jechać do Clerkenwell, nie?

– Gdzie dokładnie?

Kierowca rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy.

– Flaxen Street – odparł. – Brzmi znajomo?

Chant wyjrzał przez okno.

– Tak! Tak! Do końca i w prawo.

– Mieszkałeś tu kiedyś, co?

– Dawno temu.

– Kiedyś ta okolica wyglądała lepiej. – Taksówkarz posłusznie skręcił. – Jak dalej?

– W pierwszą w lewo.

– Proszę bardzo, Gamut Street. Który numer?

– Dwadzieścia osiem.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Chant niezdarnie sięgnął do klamki. Otworzył drzwi i omal nie upadł na chodnik. Zachwiał się, oparł całym ciężarem o drzwi, żeby się zamknęły, i pierwszy raz znalazł się twarzą w twarz z kierowcą. Nie miał pojęcia, co wyczynia pchła w jego organizmie, ale sądząc po odrazie malującej się w oczach taksówkarza, skutki musiały być makabryczne.

– Dostarczy pan ten list?

– Spokojna głowa, kolego.

– Potem niech pan jedzie do domu. Proszę powiedzieć żonie, że ją pan kocha, i zmówić modlitwę dziękczynną.

– Za co?

– Za to, że jest pan człowiekiem.

Kierowca postanowił tego nie komentować.

– Jak chcesz, kolego – odparł. – Cmoknę żonę i od razu zmówię paciorek,

dobra? A ty nie rób nic, czego ja sam bym nie zrobił, w porządku?

Po tej dobrej radzie odjechał, zostawiając pasażera na cichej ulicy.

Chant rozejrzał się dookoła. Wzrok mu szwankował. Domy, które pamiętały czasy Sartoriego, wyglądały w większości na opuszczone; pewnie czekały na rozbiórkę. Ale Chant wiedział, że miejsca święte – a Gamut Street na swój sposób była święta – mogły czasem przetrwać, ponieważ nie rzucały się w oczy. Nikt ich nie zauważał. Gładkie i szkliste od magii, odbijały groźne spojrzenia i znajdowały mimowolnych sprzymierzeńców w osobach tych, którzy rozumieli, co to świętość. Stawały się sanktuariami dla wtajemniczonych.

Wszedł po trzech stopniach i pchnął drzwi, ale były zamknięte na klucz. Podszedł do najbliższego okna. Zasiała je brudna pajęczyna. Przycisnął twarz do szyby. Mimo że jego oczy słabły z każdą chwilą, wciąż widział lepiej niż cywilizowana małpa. Z pokoju zniknęły wszystkie ozdoby i meble. Jeżeli ktoś mieszkał tu od czasów Sartoriego – a przecież dom nie mógł przez dwieście lat stać pusty – odszedł, zabierając wszystkie ślady swojej obecności. Chant zamachnął się zdrową ręką i łokciem stłukł szybę. Wystarczyło jedno uderzenie. Nie zwracając uwagi na to, że kaleczy się o szkło, wgramolił się na parapet, wybił dłonią resztę odłamków i osunął się na podłogę.

Wciąż jeszcze pamiętał rozkład pokoi. W snach nieraz po nich wędrował, słysząc głos maestra, który wzywał go na górę – wysoko, na samą górę, gdzie Sartori pracował. Tam też Chant chciał się teraz udać, ale z każdą chwilą jego ciało wykazywało coraz silniejsze objawy atrofii. Ręka, od której pchła rozpoczęła inwazję, uschła; paznokcie odpadły od palców, a na knykciach i nadgarstku kości wyzierały spod skóry. Nie musiał zdejmować kurтки, by wiedzieć, że cały rozpada się w podobny sposób; kiedy szedł, kawałki ciała odrywały się od żeber. Niedługo w ogóle nie będzie mógł się poruszać. Nogi niosły go coraz bardziej niechętnie. Z najwyższym trudem zachowywał przytomność. Wszedł na schody.

– Zostańcie ze mną – mamrotał błagalnym tonem, niczym stary człowiek, którego własne dzieci chcą zostawić na pastwę losu. – Jeszcze chwilę. Proszę...

Nogi zaniósły go na półpiętro, ale tam odmówiły posłuszeństwa i dalej wciągał się, przesuwając zdrową ręką po poręczy.

Był w połowie ostatniego odcinka schodów, gdy z ulicy dobiegł go gwizd pustkowca – wwiercał się w czaszkę, nie sposób go było pomylić z innym

dźwiękiem. Nie spodziewał się, że tak szybko go wywęszą na skrytych w mroku ulicach. Myśl o tym, że może już nie zobaczyć sanktuarium na górze, dodała mu sił. Resztki ciała starały się dorównać jego ambicjom.

Na parterze trzaskały wyłamywane drzwi, a potem rozległ się kolejny, głośniejszy gwizd. Jego prześladowcy weszli do domu. Chant zaczął pona-głać swoje kończyny, chociaż język ledwie formował słowa:

– Nie zawiedźcie mnie teraz! Ruszajcie się, do cholery! Szybciej!

Posłuchały go. Spazmatycznymi ruchami pokonał kilka ostatnich stopni. W tej samej chwili na dole schodów usłyszał tupot stóp pustkowców. Na górze panował mrok. Chant nie miał pojęcia, czy jest ciemno tylko dlatego, że trwa noc, czy raczej wzrok go zawodzi. Nie miało to zresztą znaczenia. Drogę do drzwi znał dobrze. Przeczłogał się do nich na łokciach i kolanach; deski skrzypiały pod jego ciężarem. Nagle ogarnął go strach, że drzwi będą zamknięte i nie zdoła ich sforsować. Sięgnął do klamki. Spróbował ją przekreślić, ale bez skutku. Spróbował ponownie – i upadł twarzą naprzód, gdy drzwi otworzyły się na oścież.

Wreszcie miał na czym zaczepić osłabione oczy. Przez okna w dachu sączyło się światło księżyca. Do tej pory kołatała mu się po głowie myśl, że tylko stare sentymenty kazały mu wrócić tutaj, teraz jednak zrozumiał, że to nieprawda. Znalazłszy się na Gamut Street, zatoczył pełny krąg – to od tego pokoju zaczął poznawać Piąte Dominium. Tu była jego kolebka i tu pobierał nauki; tutaj pierwszy raz poczuł zapach angielskiego powietrza, ostrego, zimnego, październikowego; tutaj pierwszy raz jadł i pił, pierwszy raz śmiał się i – później – płakał. W przeciwieństwie do niżej położonych pomieszczeń, w których brak sprzętów świadczył o opuszczeniu, ten pokój zawsze był skąpo umeblowany, a czasem wręcz zupełnie pusty. Na tych samych nogach, które teraz ciągnął za sobą martwe, tańczył, gdy Sartori powiedział mu, jak zamierza przejąć władzę nad tym nędznym dominium i zbudować w nim miasto, przy którym zblednie Babilon. Tańczył z radości. Jego maestro był wielkim człowiekiem i miał moc, która pozwalała mu zmienić świat.

Te ambicje przepadły. Wszystko przepadło. Zanim październik ustąpił przed listopadem, Sartori zniknął – albo którejs nocy odfrunął w mrok, albo zginął z ręki wrogów. Jego sługa został sam w mieście, którego prawie nie znał. Jakże Chant wtedy marzył o tym, żeby wrócić do eteru, z którego został wezwany, pozbyć się ciała, które narzucił mu Sartori, uciec z tego dominium! Jediną osobą, która mogła to sprawić, był ten, który go przywołał. Kiedy

Sartoriego zabrakło, Chant został skazany na wieczne zesłanie na Ziemię. Nie nienawidził go za to. Przez te kilka tygodni, które spędzili razem, Sartori niczego mu nie skąpił. Gdyby pojawił się teraz w zalanym księżycową poświatą pokoju, Chant nie oskarżyłby go o zaniedbanie, tylko ukłonił się należycie i ucieszył, że jego mentor wrócił.

– Maestro... – wymamrotał z twarzą wtuloną w zalatujące pleśnią deski.

– Nie ma go tutaj – rozległ się głos za jego plecami. Głos, który nie należał do pustkowca. Pustkowce potrafiły gwizdać, ale nie mówić. – Należałeś do Sartoriego, tak? Nie pamiętałem o tym.

Sądząc po głosie, człowiek, który mówił, był ostrożny, opanowany i stanowczy. Chant nie mógł się odwrócić, więc go nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że pozory mogą mylić – on, który nie miał własnego ciała, dopóki maestro mu go nie stworzył, wiedział o tym najlepiej. Wreszcie intruz stanął przed nim. Wyglądał na człowieka, ale towarzyszyły mu pustkowce, a w dodatku mówił o rzeczach, o jakich mało który człowiek mógłby wiedzieć. Jego twarz wyglądała jak nadmiernie dojrzały ser; z oklapniętymi policzkami i workami pod oczami do złudzenia przypominał klauna na pogrzebie. Widać było po nim, że jest pewny siebie – z namysłem oblizwał wargi, zanim się odezwał, i wystudiowanym gestem zetknął dłonie czubkami palców, patrząc na leżące u jego stóp żywe szczątki. Miał na sobie znakomicie uszyty, trzyczęściowy garnitur w kolorze kremu morelowego. Chant wiele by dał za to, żeby rozkwasić mu nos i zobaczyć, jak krew plami nieskazitelny materiał.

– Nie miałem okazji poznać Sartoriego osobiście – ciągnął intruz. – Co się z nim stało? – Przykucnął obok Chanta i gwałtownym ruchem złapał go za włosy. – Pytałem, co się stało z twoim maestrem. Jestem Dowd. Ty nie znalazłeś mojego pana, lorda Godolphina, ja nie znałem twojego, ale ich obu już nie ma, a ty szukasz pracy. No, przynajmniej już nie będziesz się długo męczył, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czy to ty... Czy to ty go do mnie przysłałeś?

– Byłoby mi cię łatwiej zrozumieć, gdybyś zechciał mówić nieco bardziej konkretnie.

– Estabrooka.

– Ach tak... Estabrook.

– Przysłałeś go. Dlaczego?

– To skomplikowane, kochaniutki. Chętnie opowiedziałbym ci tę gorzką historię od początku do końca, ale ty nie masz czasu mnie słuchać, a ja nie

mam cierpliwości wszystkiego ci wyjaśniać. Usłyszałem o człowieku, który szuka płatnego zabójcy. Znałem też człowieka, który wiedział, gdzie szukać takich zabójców. I na tym poprzestańmy.

– A skąd dowiedziałeś się o mnie?

– Nie jesteś zbyt dyskretny. Upijasz się z okazji urodzin królowej i papiasz jak Irlandczyk na festynie. A to, mój drogi, wcześniej czy później musi zwrócić czyjąś uwagę.

– Od czasu do czasu...

– Wiem, dopada cię melancholia. Wszyscy znamy to uczucie, kochaniutki, wszyscy. Tylko że niektórzy popląkują sobie w samotności, a inni... – Dowd puścił głowę Chanta. – A inni robią z siebie pośmiewisko. Wszystko ma swoje konsekwencje. Sartori ci nie mówił? Zawsze są konsekwencje. Zaczęłeś na przykład kombinować coś z tym Estabrookiem, a ja teraz będę musiał go mieć na oku, bo inaczej tylko patrzeć, jak po całej Imajice rozejdą się fale.

– Imajica...

– Zgadza się. Stąd do granicy Pierwszego Dominium. Do terytorium Niewidzianego.

Chant stęknął i Dowd – widząc, że trafił w czuły punkt – nachylił się ku niemu.

– Czyżbym wyczuwał jakiś niepokój? Boisz się chwały naszego pana Hapexamendiosa?

– Tak... – odparł Chant łamiącym się głosem.

– Dlaczego? – zainteresował się Dowd. – Popełniłeś jakieś zbrodnie?

– Tak.

– A co to za zbrodnie? Proszę, powiedz mi. Nie zawracaj sobie głowy drobiazgami, wystarczą te najbardziej wstydlive.

– Zadawałem się z Eurhetemekiem.

– Doprawdy? Jakim cudem udało ci się wrócić do Yzordderrex, żeby to zrobić?

– Nie wróciłem – przyznał Chant. – Spotkałem go... tutaj, w Piątym.

– No proszę... – mruknął Dowd. – Nie wiedziałem, że tu też są Eurhetemecowie. Codziennie uczę się czegoś nowego. Wiesz, kochaniutki, to jeszcze żadna zbrodnia. Niewidziany wybaczy ci takie małe, paskudne grzeszki. Chyba że... – Dowd umilkł, rozważając w myślach nową możliwość. – Chyba że ten Eurhetemec był mistykiem... – Zawiesił głos, lecz Chant milczał. –

Ale nim nie był, prawda, skarbie? – Znów chwila ciszy. – Jednak był. Był! – powtórzył Dowd z zachwytem. – W Piątym Dominium jest mistyf. I co dalej? Zakochałeś się w nim? Lepiej mi to powiedz, nim zabraknie ci tchu, kochaniutki. Za parę minut twoja nieśmiertelna dusza zapuka do wrót domu Hapexamendiosa.

Chant się wzdrygnął.

– Ten zabójca...

– Co zabójca? – spytał Dowd. Dopiero kiedy połączył słowa Chanta w całość, wziął głęboki wdech. – Zabójca jest mistysem?

– Tak.

– Słodka Hyo! – wykrzyknął Dowd. – Mistyf! – Tym razem w jego głosie nie było zachwytu. – Wiesz, do czego są zdolne mistyfy? Jakie znają sztuczki? Zapowiadało się anonimowe mieszanie w gównie, a patrz, co narobiłeś! – Dowd zniżył głos. – Był piękny? Nie, nic nie mów. Chcę się zdziwić, kiedy go zobaczę. – Odwrócił się do pustkowców. – Podnieście skurwiela.

Pustkowce ujęły Chanta pod pachy. Z nosa i ust ciekła mu żółtawa flegma, mięśnie karku zwiotczały zupełnie, bo głowa opadła bezwładnie na pierś.

– Jak często w plemienu Eurhetemeców trafia się taka boska istota? – zamyslił się Dowd na głos. – Raz na dziesięć lat? Raz na pięćdziesiąt? Na pewno bardzo rzadko. A ty, proszę bardzo, jak gdyby nigdy nic wynajmujesz sobie mistyfa jako płatnego zabójcę! Jakie to żałosne. Tak nisko upadł. Muszę wiedzieć, jak to się stało... – Na rozkaz Dowda jeden z pustkowców podniósł głowę Chanta za włosy. – Gdzie on jest? Jak się nazywa?

– Proszę... – chlipnął Chant, krztusząc się flegmą. – Chciałem... Ja... chciałem...

– Wiem, wiem, nikogo nie chciałeś skrzywdzić. Wykonywałeś tylko swoje obowiązki. Niewidziany ci na pewno przebaczy. Ale wróćmy do mistyfa, kochaniutki. Powiedz, gdzie go znajdę. Wypowiedz te parę słów, a więcej nie będziesz musiał o nim myśleć. Spokojny jak dziecko udasz się na spotkanie z Niewidzianym.

– Naprawdę?

– Naprawdę, zaufaj mi. Powiedz mi tylko, jak się nazywa i gdzie mogę go znaleźć.

– Imię... i... miejsce...

– Właśnie. Tylko się pospiesz, kochaniutki, zanim będzie za późno!

Chant nabrał powietrza w rozklejające się płuca.

– Nazywa się Pie'oh'pah – rzekł.

Dowd cofnął się o krok, jakby dostał w twarz.

– Pie'oh'pah? Jesteś pewien?

– ...pewien...

– To Pie'oh'pah żyje? I Estabrook go wynajął?

– Tak.

Dowd przestał się bawić w spowiednika.

– Co to wszystko znaczy? – mruknął zirytowany do siebie.

Chant jęknął z bólu; jego organizm rozpadał się coraz szybciej. Zdając sobie sprawę, że zostało naprawdę niewiele czasu, Dowd spróbował go przycisnąć:

– Gdzie jest ten mistyf? Szybko!

Twarz Chanta zaczynała się rozkładać; wysuszone mięso odpadało od oślizłych kości. Kiedy przemówił, została mu już tylko połowa ust – ale odpowiedział, żeby pozbyć się brzemienia.

– Dziękuję ci – powiedział Dowd, wysłuchawszy szczegółów. – Dziękuję. Puśćcie go – polecił pustkowcom.

Rzucili bezwładne ciało. Resztki twarzy Chanta rozbryznęły się na podłodze, ochlapując buty Dowda, który przyglądał się temu z niesmakiem.

– Wyczyśćcie to.

Pustkowce natychmiast rzuciły mu się do stóp, pracowicie usuwając szczątki z ręcznie sztych butów.

– Co to wszystko znaczy? – powtórzył Dowd.

Ostatnie wydarzenia musiały być jakoś ze sobą powiązane. Za niespełna pół roku Imajica będzie obchodziła rocznicę Pojednania; minie dwieście lat od chwili, gdy maestro Sartori podjął nieudaną próbę użycia magii na skalę niespotykaną ani tutaj, ani w innych dominiach. Plany tej uroczystości układano właśnie tutaj, przy Gamut Street 28. Mistryf był jednym z obserwatorów przygotowań.

Ambicje, które nimi kierowały w tych szalonych czasach, doprowadziły oczywiście do tragedii. Rytuały, mające zaleczyć rany Imajiki i połączyć Piąte Dominium z pozostałymi czterema, zakończyły się klęską. Zginęło wielu słynnych teurgów, szamanów i teologów. Ci, którzy przeżyli, postanowili nie dopuścić do powtórzenia się takiej katastrofy. Połączyli siły, żeby na zawsze oczyścić Piąte Dominium z wszelkiej wiedzy magicznej. Jednakże ich starania poszły na marne. Przeszłości nigdy nie da się całkiem wymazać. Ślady

magii pozostały w snach i marzeniach ludzi; ocalały fragmenty poematów sławiących Związek, chociaż nazwiska ich autorów metodycznie usunięto ze wszystkich zapisków. Dopóki zaś takie odpryski nie zginęły, przetrwać musiał i duch Pojednania.

Tylko że sam duch nie wystarczył. Potrzebny był jeszcze maestro, arogancki mag, wierzący, że odniesie sukces tam, gdzie porażkę ponieśli Chrystos i niezliczeni inni czarownicy, których imiona przepadły w pomroce dziejów. Dowd zdawał sobie sprawę, że nastąpiły ciężkie czasy, ale nie odrzucał całkowicie możliwości, że ktoś taki jednak się pojawi. Zdarzało mu się spotykać ludzi, którzy umieli przejrzeć na wylot powłokę pozorów, zwodzącą słabsze umysły. Tacy jak oni tęsknili za objawieniem, które wypali tę pozłotę, za Apokalipsą, która odsłoni przed Piątym Dominium chwałę, o jakiej jego mieszkańcy do tej pory mogli tylko marzyć.

Jeżeli jednak maestro miał się zjawić, to powinien się spieszyć. Próby Pojednania nie da się zaplanować z dnia na dzień, a jeśli przegapi się następne letnie przesilenie, Imajica pozostanie podzielona przez następne dwieście lat. Piąte Dominium będzie miało dość czasu, by z nudy i frustracji dokonać samozagłady, a wtedy idea Pojednania przepadnie na zawsze.

Dowd spojrział na swoje wypolerowane do połysku buty.

– Wyglądają doskonale – uznał. – Czego nie da się powiedzieć o reszcie tego przeklętego świata.

Podszedł do drzwi. Pustkowce kręciły się niepewnie przy zwłokach; miały dość rozumu, by wiedzieć, że jeszcze nie dopełniły swoich obowiązków. Dowd wezwał je do siebie.

– Zostawimy ciało tutaj – powiedział. – Kto wie, może obudzi jakieś duchy?

ROZDZIAŁ 5

1

Dwa dni po wczesnoporannym telefonie od Judith – dwa dni, w czasie których w pracowni zepsuł się bojler i Gentle miał do wyboru: kąpać się w wodzie lodowatej jak Ocean Arktyczny albo nie kąpać się w ogóle (wybrał tę drugą możliwość) – Klein wezwał go do siebie. Miał dobre wieści. Namierzył kupca, którego gustów nie zaspokajała podaż dzieł sztuki na konwencjonalnych rynkach. Dał mu do zrozumienia, że może znaleźć coś naprawdę atrakcyjnego. Gentle z powodzeniem namalował już kiedyś Gaugina – nieduży obrazek, wystawiony oficjalnie do sprzedaży i upłynniony bez zbędnych pytań. Czy mógłby to powtórzyć? Gentle odparł, że namaluje takiego Gaugina, przy którym sam artysta popłakałby się ze szczęścia. Klein wypłacił mu pięćset funtów zaliczki, żeby miał z czego opłacić czynsz za pracownię, i kazał brać się do roboty. Zauważył jeszcze, że Gentle wygląda o niebo lepiej niż poprzednio, za to pachnie znacznie gorzej.

Gentle'a szczególnie to interesowało. Dwa dni bez kąpieli to pestka, kiedy mieszkasz sam; zarost jest w porządku, dopóki żadna kobieta się na niego nie skarży. Na nowo odkrywa się stary, dyskretny sposób na seks: własny fiut, ręka i odrobina fantazji. Człowiek szybko się przyzwyczaja do takiego życia, zaczyna lubić swój nieco wypukły brzuszek, zapocone pachy i jądra. Dopiero w weekend zaczęło Gentle'owi brakować rozrywki bardziej wyrefinowanej niż widok własnego odbicia w lustrze w łazience. Przez cały rok nie było ani jednego piątku lub soboty, kiedy nie udzielałby się towarzysko w

gronie znajomych Vanessy.

Ich numery telefonów nadal miał zapisane w notesie, wystarczyło sięgnąć po słuchawkę – ale na samą myśl o kontakcie z nimi robiło mu się niedobrze. W porządku, oczarował je, ale wciąż były jej przyjaciółkami i z pewnością trzymały z nią sztamę.

Większość jego znajomych, dziewczyn, które poznał, zanim zaczął spotykać się z Vanessą, gdzieś zniknęła. Stały się częścią jego przeszłości, równie niepewną jak tyle innych wspomnień. Podczas gdy ludzie tacy jak Klein potrafili bezbłędnie odtworzyć z pamięci wydarzenia sprzed trzydziestu lat, Gentle nie umiał sobie przypomnieć, gdzie i z kim był marne dziesięć lat temu. A gdy próbował zajrzeć jeszcze głębiej w przeszłość, okazywało się, że ma dziurę w pamięci, tak jakby jego umysł zachowywał akurat tyle wspomnień, żeby teraźniejszość prezentowała się w miarę wiarygodnie. Reszta była nieistotna. Gentle ukrywał tę dziwną przypadłość przed znajomymi, w razie potrzeby zmyślając fakty na poczekaniu. Nie przeszkadzało mu to; nie wiedział, co znaczy dla człowieka przeszłość, więc nie mógł żałować jej braku. Z rozmów z ludźmi wywnioskował, że chociaż z dużą pewnością siebie wspominają dzieciństwo i młodość, to jednak na ich wiedzę składają się głównie plotki, teorie, a czasem czystej wody wymysły.

Nie był w swojej niewiedzy osamotniony. Judith wyznała mu kiedyś, że też nie bardzo potrafi uchwycić przeszłość – chociaż była wtedy pijana i gdy później wrócił do tego tematu, wszystkim stanowczo zaprzeczyła. Błąkając się między straconymi i zapomnianymi przyjaciółmi, Gentle czuł się w sobotę bardzo samotny, więc kiedy zadzwonił telefon, trochę się nawet ucieszył.

– Słucham, tu Furie. – Rzeczywiście czuł się jak Furia. Ktoś był na linii, ale milczał. – Kto mówi? – Cisza się przedłużała, więc zirytowany odłożył słuchawkę.

W chwilę później telefon zadzwonił ponownie.

– Kto mówi, do cholery?! – wrzasnął Gentle.

Tym razem w słuchawce zabrzmiał męski, modulowany głos. Odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Czy rozmawiam z Johnem Zachariasem?

Rzadko tak go nazywano.

– Kto mówi? – powtórzył Gentle.

– Spotkał się kiedyś, tylko raz. Pewnie mnie pan nie pamięta. Charles Estabrook.

Niektórzy ludzie na dłużej zahaczali się w pamięci Gentle'a, Estabrook był jednym z nich. To on złapał Jude, kiedy nie wyszedł jej taniec na linie. Kłasyk Anglik, efekt chowu wsobnego, jeden z mniej znacznych arystokratów, nadęty, pompatyczny i...

– Jeżeli to możliwe, chciałbym się z panem pilnie zobaczyć.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia.

– Panie Zacharias, chodzi o Judith. Zobowiązany jestem zachować rzecz całą w ścisłej tajemnicy, lecz proszę mi wierzyć, to sprawa najwyższej wagi, nie do przecenienia.

Wydumana forma ostatniego zdania sprawiła, że Gentle rzucił sucho:

– Mów pan, o co chodzi.

– Nie przez telefon. Zdaję sobie sprawę, że moja prośba jest raczej niespodziewana, ale błagam, by ją pan rozważył.

– Rozważyłem. Odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam się z panem spotykać.

– Nawet żeby się rozkoszować?

– Czym?

– Tym, że ją straciłem. Zostawiła mnie, panie Zacharias, tak jak przedtem rzuciła pana. Trzydzieści trzy dni temu. – Precyzja jego słów wyrażała najwięcej. Ciekawe, czy liczył także godziny. I minuty. – Nie musi pan przychodzić do mnie do domu, jeśli sobie pan tego nie życzy. Szczerze mówiąc, byłoby nawet lepiej, gdybyśmy spotkali się gdzieś indziej.

Estabrook mówił w taki sposób, jakby jego rozmówca już zgodził się na spotkanie, Gentle zaś wiedział, że chociaż nie powiedział tego wprost, to rzeczywiście chce się z nim widzieć.

2

Oczywistym okrucieństwem było wyciągać człowieka w wieku Estabrooka z domu w taki zimny dzień i kazać mu wdrapywać się na wzgórze, ale Gentle z doświadczenia wiedział, że warto korzystać z każdej okazji, by sprawić sobie przyjemność. Poza tym z Parliament Hill roztaczał się piękny widok na Londyn, nawet w taki ponury i pochmurny dzień. Wiatr przenikał do

szpiku kości. Jak w każdą niedzielę, na wzgórzu zebrały się gromady miłośników latawców. Ich zabawki szybowwały pod zimowym niebem niczym wielobarwne świece. Estabrook dostał zadyszki, ale chyba podobało mu się wybrane przez Gentle'a miejsce spotkania.

– Od lat nie zaglądałem na Parliament Hill – powiedział. – Moja żona lubiła tu przychodzić i oglądać latawce.

Wyjął z kieszeni piersiówkę z brandy i podał Gentle'owi, który odmówił.

– Nie potrafię już wygnać mrozu z kości. To jedna z wad mojego wieku; zalet na razie nie odkryłem. A ile pan ma lat?

Gentle nie miał pojęcia, ale wolał się do tego nie przyznawać.

– Prawie czterdzieści – odpowiedział.

– Młodo pan wygląda. Ba, praktycznie nic się pan nie zmienił, odkąd się poznaliśmy. Pamięta pan, kiedy to było? Na aukcji. To pan z nią przyszedł, nie ja. W tej dzielącej nas różnicy zawierał się cały świat, pan z nią, ja bez niej. Zazdrościłem jej panu. Nikomu niczego tak nie zazdrościłem, jak panu tej kobiety. Później, naturalnie, widywałem ten sam wyraz na twarzach innych mężczyzn...

– Nie przyszedłem tu po to, żeby słuchać takich bredni.

– Wiem o tym. Po prostu próbuję wyrazić, jak wiele dla mnie znaczyła. Lata, które spędziłem z nią, to najlepszy okres mojego życia. Ale nic, co najlepsze, nie trwa wiecznie, prawda? Inaczej nie byłoby najlepsze. – Estabrook pociągnął kolejny łyk brandy. – Wie pan, że nigdy nic o panu nie mówiła? Próbowałem ją do tego sprowokować, ale twierdziła, że zupełnie wymazała pana z pamięci, zapomniała o panu, co oczywiście było bzdurą...

– Ja w to wierzę.

– To błąd. Był pan jej wstydliwą tajemnicą.

– Dlaczego tak mi pan pochlebia?

– Bo to prawda. Cały czas pana kochała, cały czas, kiedy była ze mną. Ja o tym wiem, i pan chyba też. Dlatego teraz rozmawiamy.

Ani razu nie padło jej imię, prawie jakby obaj czuli się skrępowani jakimś przesądem. Była po prostu „nią”, kobietą, niewidzialną, wszechmocną siłą. Mogło się wydawać, że jej mężczyźni twardo stąpają po ziemi, lecz w rzeczywistości szybowali bezwolnie jak latawce, a jej wspomnienie stanowiło jedyną nić wiążącą ich z rzeczywistością.

– Zrobiłem coś strasznego, John – powiedział Estabrook, po raz trzeci przytknąwszy piersiówkę do ust. Tym razem wypił kilka haustów, zakręcił ją

i schował. – I strasznie tego żałuję.

– Co takiego?

– Może się przejdziemy? – Estabrook zerknął w stronę puszcujących latawce zapaleńców: znajdowali się zbyt daleko i byli zbyt pochłonięci swoimi zabawkami, żeby podsłuchiwać, ale uspokoił się dopiero wtedy, gdy dwukrotnie zwiększyli dzielącą ich odległość. Wtedy powiedział wprost: – Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale niedawno wynająłem kogoś, żeby ją zabił.

– Słucham?!

– Jesteś wstrząśnięty?

– A jak ci się wydaje?! Pewno, że jestem wstrząśnięty!

– Wiesz, to najwyższa forma wierności: chcieć końca czyjegoś życia tylko dlatego, że ten ktoś nie może żyć przy tobie. Miłość wyższego rzędu.

– Według mnie to najgorsze draństwo.

– Owszem, to także. Nie mogłem znieść... Po prostu nie mogłem znieść myśli, że ona żyje, a mnie przy niej nie ma... – Estabrook mówił coraz mniej składnie, dławili go łzy. – Znaczyła dla mnie... tak wiele...

Gentle przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Judith. Dzwoniła z Nowego Jorku, telefon szumiał, jakby siedziała pod wodą i właściwie nic sobie nie powiedzieli. Czy wiedziała wtedy, że jej życie jest zagrożone? A teraz? Boże, czy ona żyje?! Złapał Estabrooka za kłapy płaszcza z siłą zrodzoną ze strachu.

– Chyba nie po to mnie tu wyciągnąłeś, żeby mi powiedzieć, że nie żyje.

– Nie. Nie – powtórzył Estabrook, nie próbując się wyrwać. – Wynająłem człowieka, którego chciałbym teraz odwołać...

– No to zrób to. – Gentle go puścił.

– Nie mogę.

Estabrook wyjął z kieszeni kartkę papieru. Sądząc z tego, jak była pognieciona, ktoś musiał ją wcześniej zmiąć i wyrzucić.

– Dostałem ten list od człowieka, który zaprowadził mnie do zabójcy – mówił dalej. – Przedwczoraj w nocy. Musiał być pijany albo na haju, gdy to pisał, przekonany, że kiedy ja będę czytał list, on nie będzie żył. Przypuszczam, że miał rację. Nie odezwał się od tej pory. Bez niego nie mogę się skontaktować z mordercą.

– Gdzie go poznałeś?

– Sam mnie znalazł.

– A gdzie spotkałeś się z zabójcą?

– Gdzieś na południowym brzegu Tamizy, nie wiem dokładnie. Było ciemno, pogubiłem się po drodze. Poza tym wiem, że go tam nie będzie. Pojechał za nią.

– To ją ostrzeż.

– Próbowałem. Nie odbiera moich telefonów. Ma już nowego kochanka, który jest równie zaborczy, jak ja byłem. Listy i telegramy wracają do mnie nie otwarte. Ale on jej nie uratuje. Ten człowiek, którego wynająłem, nazywa się Pie...

– Jak to: Pie? To jakiś szyfr?

– Nie wiem. Nic nie wiem poza tym, że zrobiłem coś niewybaczalnego, a ty musisz mi pomóc to odkręcić. Po prostu musisz. Ten Pie jest śmiertelnie niebezpieczny.

– Dlaczego myślisz, że Judith ze mną zechce się spotkać, skoro ciebie nie chce widzieć?

– Pewności nie mam, ale jesteś młodszy, sprawniejszy i masz... Lepiej ode mnie wiesz, jak funkcjonuje umysł przestępcy. Łatwiej będzie ci znaleźć Pie. Dam ci pieniądze, będziesz mógł zapłacić mu za rezygnację ze zlecenia. Zapłacę, ile zechcesz. Jestem bogaty. Tylko ją ostrzeż, Zacharias. Przekonaj ją, żeby wróciła do domu. Nie chcę jej mieć na sumieniu.

– Trochę za późno, żeby o tym myśleć.

– Staram się odkupić ten grzech. Umowa stoi?

Estabrook zdjął skórzaną rękawiczkę i podał Gentle'owi rękę.

– Chciałbym zobaczyć list, który dostałeś od swojego łącznika.

– To bazgrały bez sensu.

– Ale będą jedynym dowodem w tej sprawie, jeżeli łącznik nie żyje i jeśli ona też zginie. Daj mi list, bo inaczej się nie dogadamy.

Estabrook sięgnął do wewnętrznej kieszeni, ale się zawahał. Mimo tego, co mówił o czystym sumieniu i o tym, że tylko Gentle może ją uratować, nie miał ochoty oddawać mu listu.

– Tak myślałem – stwierdził Gentle. – Chcesz mieć pewność, że kiedy coś się pochrzani, to ja oberwę. W takim razie pierdol się.

Odwrócił się i zaczął schodzić ze wzgórze. Estabrook rzucił się za nim, wołając go po imieniu, ale Gentle nie zwolnił kroku. Pozwolił Estabrookowi trochę się przebiec.

– Dobrze! – usłyszał w końcu. – Zgoda! Weź ten list. Weź!

Zwolnił, ale się nie zatrzymał. Estabrook poszarzał na twarzy z wyczerpa-

nia, zanim go dogonił. Gentle wziął kartkę i nie rozkładając, schował do kieszeni. Zdąży się nią jeszcze nacieszyć.

ROZDZIAŁ 6

1

Dziewięćdziesięcioletni Albert Burke znalazł zwłoki Chanta następnego dnia, szukając swojego wścibskiego kundla imieniem Kipper. Kipper już na ulicy wywęszył to, co jego właściciel poczuł dopiero na schodach, kiedy na przemian klął i gwizdał na nieposłusznego psa: gnijące ciało w pokoju na poddaszu. Jesienią 1916 roku Albert walczył w obronie swojej ojczyzny nad Sommą. Zdarzało się wtedy, że po kilka dni siedział w okopach przy martwych towarzyszach broni; widok i zapach śmierci specjalnie go nie wzruszały. Jego sangwiniczna reakcja dodawała smaku relacji, która trafiła do wieczornego wydania wiadomości i zajęła w nim więcej miejsca, niż można by się spodziewać. Zaczęły się spekulacje na temat tożsamości zmarłego. Dzień później opracowano jego prawdopodobny portret, a w środę kobieta z komunalnej kamienicy na południowym brzegu Tamizy rozpoznała w nim swojego sąsiada, pana Chanta.

Z przeszukania mieszkania zmarłego wyłonił się kolejny obraz – tym razem nie jego twarzy, lecz życia. Policja doszła do wniosku, że Chant był wyznawcą jakiegoś tajemniczego kultu religijnego. Z doniesień w mediach wynikało, że w pokoju znajdował się mały ołtarzyk przyozdobiony zasuszonymi głowami zwierząt, których eksperci od medycyny sądowej nie potrafili zidentyfikować. Główny motyw ołtarza miał tak oczywisty kontekst seksualny, że żadna gazeta nie odważyła się opublikować nawet jego rysunku, nie wspominając już o zdjęciu. Brukowce z rozkoszą rozpisywały się o całej sprawie,

zwłaszcza że tajemnicze przedmioty należały do człowieka, który – jak przypuszczano – został zamordowany. Naczelnicy we wstępniakach, niemal nie kryjąc się ze swoim rasizmem, opluwali zboczone religie importowane do Anglii przez imigrantów. W połączeniu z historią Alberta znaną z śmierci Chanta zajęła w gazetach całkiem sporo miejsca. Fakt ten miał pewne konsekwencje. W Londynie prawicowi ekstremiści zaatakowali kilka meczetów, podniosły się głosy żądające wyburzenia kwartału, w którym mieszkał Chant, a Dowd został wezwany do pewnego więzowca w Highgate, w zastępstwie swojego nieobecnego mistrza, brata Estabrooka – Oscara Godolphina.

2

W latach osiemdziesiątych XVIII wieku, kiedy wzgórze Highgate Hill było tak strome i poślizgnięte koleinami, że mało który powóz mógł wjechać na górę, a droga do miasta tak niebezpieczna, że lepiej było nie rozstawać się na niej z pistoletem, pewien kupiec, Thomas Roxborough, kazał wybudować przy Hornsey Lane elegancki dom według projektu niejakiego Henry'ego Hollanda. W tamtych czasach z jego okien roztaczał się piękny widok: na południu płynęła rzeka, na północy i wschodzie, w stronę maleńkiej wioski Hampstead, ciągnęły się soczyście zielone pastwiska. Turysta nadal mógł podziwiać Tamizę z mostu nad Archway Road, ale piękny dom Roxborougha zniknął. Pod koniec lat trzydziestych zastąpił go dziesięciopiętrowy wieżowiec, bezstyłowy i cofnięty w głąb parceli. Od ulicy oddzielał go rządkiem wypielęgnowanych drzew, wystarczający, by zamaskować nijaki budynek, ale nie dość gęsty, by całkowicie go ukryć. Poczta dostarczała tam tylko okólniki i różne oficjalne pisma; lokali nie wynajmowały ani osoby prywatne, ani firmy. Mimo to właściciele bardzo dbali o Roxborough Tower. Spotykali się mniej więcej raz w miesiącu w sali zajmującej całe ostatnie piętro, w imieniu człowieka, który dwieście lat wcześniej był właścicielem tego kawałka ziemi i zapisał go w spadku założonemu przez siebie stowarzyszeniu.

Mężczyźni i kobiety (razem było ich jedenaścioro), którzy zbierali się tutaj, rozmawiali przez kilka godzin i wracali do swojego zwyczajnego życia, byli potomkami garstki pasjonatów, jakich Roxborough zgromadził wokół

siebie w mrocznych dniach po nieudanej próbie Pojednania. Pasja w nich wygasła, pozostała tylko niejasna świadomość celu, jaki przyświecał Roxboroughowi, gdy zakładał Tabula Rasa, Stowarzyszenie Czystej Tablicy. Spotykali się jednak regularnie – po części dlatego że każde z nich zostało w dzieciństwie uprzedzone przez któreś z rodziców (zwykle przez ojca, chociaż nie było to regułą), iż na jego barki spadnie wielka odpowiedzialność: zachowanie pilnie strzeżonego rodzinnego sekretu, a po części dlatego że Tabula Rasa opiekowała się swoimi członkami. Roxborough był człowiekiem bogatym i przewidującym. Skupił w swoich rękach znaczne posiadłości ziemskie, a korzyści, jakie z nich uzyskiwał, rosły błyskawicznie wraz z rozwojem Londynu. Jedynym beneficjentem było stowarzyszenie, chociaż pieniądze trafiały doń okrężną drogą, przez firmy i pośredników, którzy nie mieli zielonego pojęcia o swojej roli w systemie. W efekcie nikt, kto służył stowarzyszeniu, nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia.

Mimo że pozbawiona jasno określonego celu, Tabula Rasa prosperowała świetnie. Zgodnie z poleceniem Roxborougha jej członkowie spotykali się, by dyskutować o tajemnicach, których strzegli, i podziwiać panoramę miasta z Highgate Hill.

*

Kuttner Dowd odwiedził Roxborough Tower kilkakrotnie, chociaż nigdy nie trafił na obrady stowarzyszenia. Jego pracodawca, Oscar Godolphin, należał do jedenastki wybrańców, którzy podtrzymywali tradycję Roxborougha. Był wśród nich największym hipokrytą – należąc do stowarzyszenia zajmującego się tropieniem i tłumieniem wszelkiej magicznej działalności, zatrudniał (on sam powiedziałby raczej: posiadał) istotę przywołaną za pomocą magii w tym samym czasie, gdy zdarzyła się tragedia, która doprowadziła do powołania Tabula Rasa.

Tą istotą był, rzecz jasna, Dowd. Członkowie stowarzyszenia wiedzieli o jego istnieniu, ale nie o tym, skąd pochodzi. Gdyby zdawali sobie z tego sprawę, nie zostałby wpuszczony do świętego wieżowca. Byliby zobowiązani edyktem Roxborougha do zniszczenia Dowda, bez względu na konsekwencje dla swoich ciał, dusz i zdrowia psychicznego. Posiadali odpowiednią wiedzę, a w każdym razie wiedzieli jak ją zdobyć. W Roxborough Tower mieściła się ponoć niezrównana biblioteka starych traktatów, pamiętników, encyklopedii i

sympozjonów, zgromadzona przez Roxborougha i grupę magów z Piątego Dominium, którzy pierwsi wystąpili z poparciem dla idei Pojednania. Jednym z nich był Joshua Godolphin, hrabia Bellingham. Podobnie jak Roxborough, przed dwoma wiekami wyszedł cało z katastrofy, jaka wydarzyła się w dzień przesilenia letniego; większość ich przyjaciół nie miała tyle szczęścia. Ponoć po tej tragedii Godolphin przeprowadził się do swojej wiejskiej posiadłości i do końca życia nie wyściubił z niej nosa. Roxborough natomiast, jako największy w tym gronie pragmatyk, w kilka dni po kataklizmie przejął księgozbiory tragicznie zmarłych kolegów i przeniósł tysiące woluminów do piwnicy swojego domu. Tak ukryte nie mogły przynajmniej (jak pisał później w liście do hrabiego) „plugawić niechrześcijańskimi ambicjami umysłów porządnym ludzi, takich jak nasi przyjaciele. Musimy od tej pory pilnować, by ta godna potępienia magia nie skaziła ponownie naszych brzegów”. Fakt, że nie zniszczył ksiąg, tylko je ukrył, dowodzi jednak, że sam nie wyzbył się niepewności. Mimo potworności, jakich doświadczył, i odrazy, jaką potem żywił do sił magicznych, pozostała w nim fascynacja, która zbliżyła go do Godolphina i innych przyjaciół.

Dowd wzdrygnął się nerwowo, stojąc w surowym hallu wieżowca. Wiedział, że gdzieś tutaj znajduje się największe zbiorowisko pism magicznych poza Watykanem, a wiele z nich opisuje rytuały, które pozwalają przywoływać i odsyłać takie istoty jak on. Nie można go było, rzecz jasna, porównywać ze zwyczajnymi Chowańcami, różnił się znacznie od tych głupawo uśmiechniętych, bezmyślnych sług wyciąganych z In Ovo – przestrzeni dzielącej Piąte Dominium od pozostałych – jak homary z akwarium w restauracji. Kiedyś był zawodowym aktorem, i to słynnym. To nie wrodzona głupota sprawiła, że dostał się pod władzę człowieka, lecz ból. Kiedy na własne oczy zobaczył twarz samego Hapexamendiosa, widok ten omal nie przyprawił go o utratę zmysłów. Nie zdołał się oprzeć wezwaniu i próbie spętania. Joshua Godolphin przywołał go do Piątego Dominium i kazał usługiwać sobie po wsze czasy. Po przeprowadzce na wieś Dowd mógł przynajmniej swobodnie poruszać się po świecie, czekając na zgon Joshuy, kiedy to musiał wrócić i zaoferować swoje usługi jego synowi, Nathanielowi. Postanowił, że ujawni swoją prawdziwą naturę dopiero wówczas, gdy przekona swojego nowego pana, jaki potrafi być przydatny. Obawiał się, że jeśli zrobi to zbyt szybko, znajdzie się w potrzasku: z jednej strony był związany warunkami Joshuy, z drugiej zagrażała mu chrześcijańska gorliwość Nathaniela.

Zanim jednak do tego doszło, Nathaniel wyrósł na kompletnego degenerata i nic go nie obchodziło, kim jest Dowd, dopóki zapewniał mu należyte towarzystwo. I tak to szło przez kolejne pokolenia. Od czasu do czasu Dowd zmieniał twarz (to była prosta sztuczka), żeby ukryć swoją długowieczność w więdnącym świecie ludzi. Nigdy jednak nie zapominał o tym, że Tabula Rasa może pewnego dnia odkryć jego tożsamość i podstęp, a następnie znaleźć w swojej bibliotece jakąś paskudną influencję, żeby go unicestwić. W tej chwili, czekając, aż członkowie stowarzyszenia wezwą go do siebie, był szczególnie świadom tego zagrożenia.

Wezwali go po półtorej godzinie. Przez ten czas starał się zająć sobie myśli rozważaniem premier teatralnych, które zapowiedziano na nadchodzący tydzień. Kochał teatr nie mniej niż dawniej; nie przepuścił prawie żadnego znaczącego przedstawienia. Na wtorek miał kupione bilety na cieszącego się świetnymi recenzjami „Leara” w National Theatre, a dwa dni później zarezerwowaną lożę na wznowienie „Turandot” w Coliseum. Cieszył się już na oba spektakle i chciał jak najszybciej mieć z głowy to żałosne spotkanie.

Wreszcie winda zaszumiała i wysiadł z niej Giles Bloxham, jeden z młodszych członków Tabula Rasa. Miał czterdzieści lat, chociaż wyglądał na dwa razy więcej. Trzeba być swoistym geniuszem, jak stwierdził kiedyś Godolphin (uwielbiał opowiadać o absurdach panujących w stowarzyszeniu, zwłaszcza kiedy trochę sobie podpił), żeby wyglądać na takiego rozpustnika, i to zupełnie bez pokrycia.

– Jesteśmy gotowi cię przyjąć – oznajmił Bloxham. Skinął na Dowda, żeby wsiadł do windy. – Zdajesz sobie sprawę – odezwał się, gdy winda ruszyła – że gdyby kiedyś kusiło cię szepnąć choć słówko o tym, co tu widziałeś, stowarzyszenie zlikwiduje cię szybko i skutecznie. Nawet twoja matka zapomni, że cię urodziła.

Przesadna groźba brzmiała śmiesznie, gdy Bloxham wypowiadał ją swoim nosowym, jęklwym głosem, ale Dowd wszedł w rolę pokornego sługi.

– Wiem o tym – przytaknął.

– To niezwykle, wezwać na zebranie kogoś, kto nie jest członkiem stowarzyszenia – ciągnął Bloxham. – Ale i czasy nastały niezwykle. Chociaż to oczywiście nie powinno cię obchodzić.

– Naturalnie – zgodził się Dowd, wcielenie niewinności.

Postanowił, że tym razem zniesie ich pogardę spokojnie. Z dnia na dzień nabierał pewności, że zbliżają się wydarzenia, które wstrząsną fundamentami

Roxborough Tower. A wtedy on się zemści.

Winda stanęła i poszli korytarzem surowym, ciemnym i ponurym, podobnie jak pokój, do którego Bloxham wprowadził Dowda. Zasłony w oknach były zaciągnięte. Wiszące lampy oświetlały olbrzymi stół z marmurowym blatem i siedzące przy nim sześć osób – czterech mężczyzn i dwie kobiety. Sądząc po stojących wszędzie butelkach, kieliszkach, przesypujących się popielniczkach, a także po zmęczeniu na twarzach obecnych, debata ciągnęła się ładnych parę godzin. Bloxham nalał sobie wody i usiadł. Jedno miejsce przy stole było puste: krzesło Godolphina. Nikt nie poprosił Dowda, żeby usiadł, stał więc u szczytu stołu, lekko tylko zmieszany. Przeciętny obywatel nie znał żadnego z tych ludzi. Wszyscy pochodzili z zamożnych, wpływowych rodów, które nie udzielały się zbyt na arenie publicznej. Regulamin stowarzyszenia zabraniał jego członkom zajmować stanowiska rządowe i wiązać się z osobami, które przyciągałyby uwagę prasy. Tabula Rasa działała w sekrecie, dążąc do zlikwidowania innego sekretu. Może właśnie ten paradoks miał ostatecznie doprowadzić do jej zagłady.

Naprzeciw Dowda, przed stosem gazet, w których drukowano zapewne raporty Burke'a, siedział przypominający profesora mężczyzna po sześćdziesiątce, o gładko zaczesanych siwych włosach. Dowd kojarzył go z opowieści Godolphina – Hubert Shales, przez Oscara nazywany Leniwcem. Mówił i poruszał się z ostrożnością teologa, który w dodatku ma szkielet ze szkła.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? – zapytał.

– Wie – odpowiedział za Dowda Bloxham.

– Jakiś kłopot z panem Godolphinem? – zaryzykował Dowd.

– Nie ma go – odezwała się siedząca z prawej strony kobieta. Miała wychudzoną twarz i wyszukaną fryzurę z farbowanych na czarno włosów. Alice Tyrwhitt, domyślił się Dowd. – W tym cały kłopot.

– To widzę.

– Gdzie w takim razie jest, do diabła?! – krzyknął Bloxham.

– W podróży – odparł Dowd. – Chyba nie spodziewał się tego spotkania.

– My też nie – zauważył Lionel Wakeman, zaczerwieniony od wypitej szkockiej. W zagięciu łokcia trzymał butelkę.

– Dokąd wyjechał? – spytała Tyrwhitt. – Musimy koniecznie go znaleźć.

– Niestety, tego nie wiem. Jeździ w interesach po całym świecie.

– Czy to chociaż przyzwoite interesy? – zabełkotał Wakeman.

– Poczył pewne inwestycje w Singapurze i w Indiach. Czy życzą sobie

państwo, żebym przygotował dokumentację? Pan Godolphin z pewnością byłby...

– Na gównu nam dokumentacja? – uciął Bloxham. – To on jest nam potrzebny. I to zaraz!

– Przykro mi, ale nie wiem, gdzie dokładnie przebywa. Gdzieś na Dalekim Wschodzie.

Poważna, ale nie pozbawiona wdzięku kobieta, siedząca na lewo od Wakemana, zdusiła niedopałek w popielniczce. To musiała być Charlotte Feaver, czyli Czerwona Charlotte, jak mówił o niej Oscar. Ród Roxborougha miał na niej wygasnąć, jeśli nie znajdzie sposobu na zapłodnienie którejś ze swoich dziewczyn.

– To nie jest jakiś tam klubik towarzyski, do którego można wpaść, kiedy się ma ochotę – powiedziała.

– Racja – przytaknął Wakeman. – Cholerna racja.

Shales rzucił jedną z gazet na stół przed Dowdem.

– Czytałeś pewnie o zwłokach, które znaleźli w Clerkenwell?

– Tak... Tak mi się wydaje.

Shales umilkł, spoglądając ptasimi oczami po kolei na wszystkich w pokoju. Cokolwiek chciał powiedzieć, ustalili to przed przybyciem Dowda.

– Mamy powody podejrzewać, że Chant nie pochodził z tego dominium – stwierdził.

– Słucham? – zdziwił się Dowd. – Nie rozumiem... Z jakiego dominium?

– Daruj sobie ten nadmiar dyskrecji – skarciła go Charlotte Feaver. – Wiesz, o czym mówimy. Pracujesz dla Oscara od dwudziestu pięciu lat. Nie możliwe, żeby przez cały ten czas trzymał język za zębami.

– Niewiele wiem na ten temat – zastrzegł się Dowd.

– Ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, że zbliża się rocznica – powiedział Shales.

O kurczę, pomyślał Dowd, wcale nie są tacy głupi, na jakich wyglądają.

– Rocznicą Pojednania, tak? – spytał.

– To właśnie mam na myśli. Najbliższe letnie przesilenie...

– Czy naprawdę musimy tyle o tym mówić? – przerwał Shalesowi Bloxham. – On już i tak za dużo wie.

Shales postanowił nie zwracać na niego uwagi i już otwierał usta, żeby powtórzyć swoją kwestię, gdy zabrzmiał nowy głos. Dowd już od dłuższej chwili czekał, aż siedząca poza kręgiem światła masywna postać się odezwie.

Matthias McGann. Jeśli Tabula Rasa miała w ogóle jakiegoś przywódcę, był nim właśnie McGann.

– Pozwolisz, Hubercie?

– Oczywiście – mruknął Shales.

– Panie Dowd – zaczął McGann. – Nie wątpię, że Oscar bywał niedyskretny; wszyscy mamy jakieś słabości. On pana lubi. Nikt z nas nie ma pretensji o to, że go pan słuchał. Jednakże nasze stowarzyszenie powstało w konkretnym celu i w dążeniu do niego musi działać z całą możliwą bezwzględnością. Nie będę wchodził w szczegóły; jak powiedział Giles: już wie pan więcej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Proszę mi jednak wierzyć, że uciszymy każdego, kto będzie zagrażał temu dominium. – Pochylił się w przód. Miał twarz pogodnego człowieka, który nie jest zadowolony z tego, co mu się przytrafiło. – Hubert wspomniał, że rocznica szybko się zbliża. To fakt. Siły zainteresowane zniszczeniem tego dominium mogą szykować się do jej uczczenia. Na razie ten artykuł – wskazał gazetę – jest jedynym dowodem na to, że coś się dzieje, ale jeżeli na jaw wyjdą inne przygotowania, członkowie i wysłannicy stowarzyszenia natychmiast położą im kres. Czy to jasne? – Nie czekał na odpowiedź. – Ludzie węższą. Naukowcy, ezoterycy... zadają pytania i zaczynają marzyć.

– Zdaję sobie sprawę, że to może być niebezpieczne – wtrącił Dowd.

– Tylko bez wazeliny, cwaniaczku! – wybuchnął Bloxham. – Wszyscy wiemy, co knujecie z Godolphinem! Powiedz mu, Hubercie!

– Natrafiłem na ślad pewnych artefaktów, które... które nie pochodzą z Ziemi. Tak się składa, że trop prowadzi do Oscara Godolphina.

– Nie mamy pewności – zauważył Wakeman. – Te dranie łąją jak psy.

– Ja tam uważam, że to robota Godolphina – oznajmiła Alice Tyrwhitt. – A ten facet jest jego współnikiem.

– Protestuję – powiedział Dowd.

– Zabawiacie się magią! – wrzasnął Bloxham. – Nie kłam! – Zerwał się na równe nogi i uderzył pięścią w stół. – Przyznaj się!

– Usiądź, Giles – mitygował go McGann.

– Spójrz na niego! – Bloxham wskazał Dowda kciukiem. – Ma łgarstwo wypisane na twarzy!

– Powiedziałem: usiądź – powtórzył McGann leciutko podniesionym głosem. Zastraszony Bloxham posłusznie usiadł. McGann zwrócił się do Dowda: – To nie jest rozprawa w sądzie. Chodzi nam o Godolphina.

– Znajdź go – dodała Feaver.

– I powiedz mu, że mam parę przedmiotów, które powinny wydać mu się znajome – powiedział Shales.

Zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na Matthiasa McGanna.

– To chyba wszystko – powiedział McGann. – Chyba że chce pan coś dodać od siebie.

– Raczej nie – odparł Dowd.

– Jest pan wolny.

Dowd wyszedł bez dyskusji. Charlotte Feaver odprowadziła go do windy, ale nie wsiadła i sam zjechał na dół. Wiedzieli więcej, niż podejrzewał, ale trochę im jeszcze brakowało, żeby odkryć prawdę. Jadąc samochodem na Regent's Park Road, odtwarzał z pamięci wybrane fragmenty przesłuchania, żeby wrócić do nich później: pijacki bełkot Wakemana, Shales, który za dużo mówi, McGann, gładki jak aksamitna pochwa od miecza... Powtórzy wszystko Godolphinowi; zwłaszcza pytania o miejsce jego pobytu powinny go rozbawić.

Gdzieś na Dalekim Wschodzie, powiedział Dowd. Może na wschodzie Yzordderrex, w kesaratach nieopodal portu, w którym Oscar kupował za grosze kontrabandę z Hakarideku. Może tam właśnie był, a może nie – w każdym razie Dowd nie miał jak go tu sprowadzić. Wróci w swoim czasie, a Tabula Rasa niech poczeka. Problem polegał na tym, że kiedy jego nieobecność się przedłużała, rosło ryzyko, że ktoś wyartykułuje podejrzenia, które z pewnością już żywili: handel talizmanami i spotkania z rozwiązłymi kobietami to tylko wierzchołek góry lodowej. Może domyślali się nawet, że urząda sobie wycieczki.

Rzecz jasna nie był jedynym mieszkańcem Piątego Dominium, który podróżował pomiędzy dominiami. Z Ziemi do Pojednanych Dominów prowadziło wiele szlaków – jedne bardziej bezpieczne, inne mniej, ale wszystkie uczęszczane, i to nie tylko przez magów. Poeci sami znajdowali sobie drogę (czasem nawet udawało się im wrócić i opowiedzieć, co widzieli), podobnie jak niektórzy księża, a także pustelnicy, którzy tak uparcie rozmyślali o naturze bytu, że In Ovo zagarniało ich i wypluwało w innym świecie. Każda dusza wystarczająco zdesperowana lub natchniona mogła opuścić Piąte Dominium, ale mało który z ludzi znanych Dowdowi czynił to tak regularnie jak Godolphin.

Dla podróżników nastały ciężkie czasy – i to po obu stronach In Ovo. Od

ponad stu lat w Pojednanych Dominiach rządził autarcha Yzordderrex. Za każdym razem, gdy Godolphin wracał na Ziemię, przynosił nowe, niepokojące wieści. Od obrzeży Pierwszego Dominium po Patashoqua i jego miasta satelickie w Czwartym – wszędzie szykował się bunt. Na razie nie było zgody co do metod obalenia tyranii autarchy. Rebelia tliła się jednak nieustannie, regularnie przeradzając się w wybuchy zamieszek i strajków, których przywódców znajdowano i skazywano na śmierć. Prawdę mówiąc, bywały czasy, gdy autarcha stosował jeszcze okrutniejsze represje, niejeden naród unicestwiono ku większej chwale Machiny Yzordderrex. Pewne plemiona traciły swoich bogów, ziemie i prawo do istnienia, inne społeczności ginęły bez śladu w pogromach kierowanych osobiście przez autarchę. Te makabryczne wydarzenia nie powstrzymały jednak Godolphina przed wyprawami do Pojednanych Dominiów. Być może, pomyślał Dowd, powstrzymają go dzisiejsze wydarzenia – przynajmniej do czasu uśpienia podejrzeń członków Tabula Rasa.

*

Było to męczące, ale Dowd wiedział, że nie ma wyboru, musi udać się do wiejskiej posiadłości Godolphina i znajdującego się na jej terenie pawilonu, z którego Oscar wyruszał na swoje wojaże. Tam zamierzał na niego czekać jak pies na swojego pana. Nie tylko Oscar musiał naprędce wymyślić sobie jakieś usprawiedliwienie, on, Dowd, również. Zabicie Chanta wydawało mu się w swoim czasie mądrym rozwiązaniem – zwłaszcza że tamtej nocy w teatrach nie grano nic godnego uwagi – ale nie przewidział, z jak powszechnym zainteresowaniem się spotka. Teraz rozumiał, że była to z jego strony naiwność. Anglia uwielbiała doniesienia o morderstwach, najlepiej takie z planem sytuacyjnym. Poza tym miał pecha – wszędobylski pan Burke znał Sommy i sezon ogórkowy w świecie politycznych skandali przysłużyli się pośmiertnej sławie Chanta. Powinien przygotować się na gniew Godolphina. Miał tylko nadzieję, że niepokój wywołany podejrzeniami stowarzyszenia trochę przytępi jego ostrze. Dowd będzie Godolphinowi potrzebny, żeby uciszyć głosy zwątpienia w Tabula Rasa, a człowiek, który potrzebuje psa, wie, że nie należy go zbyt mocno kopać.

ROZDZIAŁ 7

1

Gentle zadzwonił do Kleina z lotniska na kilka minut przed odlotem. Przedstawił mu poważnie okrojona wersję wydarzeń: nie wspomniał o morderczych zamiarach Estabrooka, powiedział natomiast, że Jude jest chora i prosi go, żeby przyjechał. Klein, o dziwo, nie wygłosił żadnej tyrady. Zauważył tylko ze znużeniem, że jeżeli słowo Gentle'a jest tak mało warte, i to po tym wszystkim, co on dla niego zrobił, to może powinni od razu zerwać współpracę na gruncie zawodowym. Gentle zaczął prosić o wyrozumiałość, na co Klein odparł, że za dwa dni zadzwoni do pracowni. Jeśli nikt nie odbierze telefonu, uzna ich umowę za nieważną.

– Twój fiut kiedyś cię zabije – dodał na zakończenie.

W czasie lotu Gentle miał dość czasu, żeby przemyśleć tę ostatnią uwagę, jak również rozmowę na Parliament Hill, której wspomnienie nie dawało mu spokoju. Estabrooka słuchał najpierw podejrzliwie, potem z niedowierzaniem i obrzydzeniem, a na koniec zgodził się spełnić jego prośbę. Estabrook dotrzymał słowa i przekazał mu dość pieniędzy, by starczyło na wycieczkę do Nowego Jorku. A jednak Gentle nie mógł wyzbyć się podejrzeń. Dwa elementy opowieści Estabrooka budziły jego największe wątpliwości: postać zabójcy (pana Pie, który znikąd pojawił się w tej historii) oraz – nawet w większym stopniu – osoba pośrednika, który ich sobie przedstawił. Wszystkie media żerowały na jego zgonie przez ostatnie kilka dni.

Estabrook miał rację. List, który Chant mu zostawił, był kompletnie nie-

zrozumiały, przypominał mieszaninę profesorskiej retoryki i majaczeń palacza opium. Sam fakt, że Chant, przeczuwając swoją tragiczną śmierć (to przynajmniej trzymało się kupy), postanowił spisać ten stek bzdur i przedstawić go jako informacje najwyższej wagi, dowodził poważnych zaburzeń umysłowych. Jak bardzo musiał być szalony człowiek, który – tak jak Estabrook – zadawał się z kimś takim? A idąc dalej tym tropem: czy Gentle nie był największym wariatem z nich wszystkich, skoro dał się przekonać pracodawcy Chanta?

Jednakże w całej tej plątaniu fantazji i niedorzeczności liczyły się tylko śmierć i Judith, obie jak najbardziej realne. Śmierć dopadła Chanta w zrujnowanym domu w Clerkenwell, to było jasne. Judith, nieświadoma złowrogiemu planu męża, prawdopodobnie miała być kolejną ofiarą. Gentle miał proste zadanie – nie dopuścić do tego.

*

Niedługo po piątej nowojorskiego czasu zameldował się w hotelu na rogu Pięćdziesiątej Drugiej i Madison. Z okna na czternastym piętrze miał widok na całe centrum miasta, ale nie było się czym zachwycić. Rzęsisty deszcz, który w każdej chwili mógł zmienić się w śnieg, zaczął padać już podczas drogi z lotniska Kennedy'ego; prognozy zapowiadały dalsze oziębienie. Szary półmrok, dźwięk klaksonów i pisk hamulców na skrzyżowaniu pod hotelem świetnie pasowały do nastroju Gentle'a. Czuł się w Nowym Jorku obco. Kiedyś tak jak w Londynie miał tu przyjaciół, ale wszystkich stracił. Jedyna twarz, jakiej zamierzał teraz tu szukać, należała do Judith.

Nie było sensu zwlekać z rozpoczęciem poszukiwań. Zamówił kawę do pokoju, wziął prysznic, wypił kawę, włożył najgrubszy sweter, skórzaną kurtkę, sztruksy i ciężkie buty – i wyszedł. Taksówek było jak na lekarstwo, więc po dziesięciu minutach czekania pod rozpiętą nad wejściem markizą postanowił przejść się kawałek pieszo. Może po drodze złapie taksówkę. W każdym razie chłodne powietrze na pewno rozjaśni mu w głowie. Kiedy różnym krokiem dotarł do Siedemdziesiątej, deszcz ze śniegiem zelżał i przeszedł w drobną mżawkę. Dziesięć przecznic dalej Judith zajmowała się jakimiś wieczornymi sprawami – kąpała się pewnie albo stroiła przed wyjściem.

Dziesięć przecznic, minuta na przecznicy. Dziesięć minut później stał pod jej domem.

Od czasu napadu Marlin zrobił się troskliwy, jak przykładowy mąż, który zdradza żonę. Mniej więcej co godzina dzwonił do Judith z biura; kilka razy proponował jej wizytę u psychoanalityka albo przynajmniej spotkanie z którymś ze swoich licznych przyjaciół, których napadnięto na Manhattanie. Odmówiła. Pod względem fizycznym czuła się całkiem dobrze, jej psychika też chyba nie ucierpiała. Słyszała wprawdzie, że ofiary napaści reagują czasem z opóźnieniem, między innymi depresją i bezsennością, ale na razie ani na jedno, ani na drugie nie mogła się skarżyć. Nie spała po nocach tylko dlatego, że cała sprawa wyglądała tak tajemniczo. Kim był człowiek, który znał jej imię? Przeżył wypadek, z którego nie miał prawa wyjść cało, w dodatku potem uciekł zdrowemu, sprawnemu mężczyźnie. Dlaczego przybrał twarz Johna Zachariasa? Dwa razy zaczynała już opowiadać Marlinowi o spotkaniu przed Bloomingdales – i dwa razy w ostatniej chwili zmieniała temat, niezdolna stawić czoła jego łagodnej pobłażliwości. Sama musiała rozwikłać tę zagadkę. Gdyby tak szybko się nią z kimś podzieliła – a może gdyby w ogóle ktoś dopuściła do tajemnicy – rozwiązanie mogło wymknąć się na dobre.

Na razie najbezpieczniej czuła się w mieszkaniu Marlina. Na portierni zmieniało się dwóch ludzi, Sergio siedział tam za dnia, Freddy dyżurował nocą. Marlin dokładnie opisał im napastnika i zakazał wpuszczać wszelkich obcych na drugie piętro bez zgody pani Odell. Nawet gdyby zaprosiła kogoś na górę, portierzy powinni towarzyszyć gościowi do samych drzwi mieszkania, a gdyby pani Odell nie zechciała jednak się z nim widzieć, mieli odprowadzić go do wyjścia. Dopóki siedziała za zamkniętymi drzwiami, nic jej nie groziło.

Tego wieczoru Marlin miał zostać w pracy do dziewiątej, potem planowali późną kolację w restauracji. Postanowiła poświęcić trochę czasu na porozdzielanie i pakowanie prezentów nagromadzonych podczas wypadów na Piątą Aleję. Dla osłody naląła sobie wina i puściła muzykę. Kolekcja płyt Marlina składała się głównie z miłosnych piosenek z czasów jego młodości, czyli lat sześćdziesiątych, co bardzo jej odpowiadało. Słuchając pościelowego soulu i sącząc mocno schłodzone sauvignon, niespiesznie grzebała w ozdobnych papierach i wstążkach. Chwilami wstawała od tego bałaganu i wyglądała przez okno. Szyby zachodziły mgiełką, ale nie przecierała ich, zadowolono-

na, że obraz świata rozmywa się jej przed oczami. Dziś wieczór nie miała ochoty go oglądać.

*

Kiedy Gentle dotarł do skrzyżowania, w oknie na drugim piętrze dostrzegł kobietę, która patrzyła w dół, na ulicę. Przyglądał się jej przez chwilę, aż nie-
dbały gest, jakim odrzuciła włosy z karku, pozwolił mu ją rozpoznać. Judith. Nie odwróciła się od okna, tak jakby w pokoju nikogo poza nią nie było. Popijając z kieliszka, poprawiała włosy i oglądała Nowy Jork w wieczornym deszczu. Gentle myślał dotąd, że łatwo będzie mu się z nią spotkać twarzą w twarz, ale teraz, gdy obserwował ją z oddali, zrozumiał, że się mylił.

Kiedy pierwszy raz ją zobaczył – ile to już lat minęło? – nie wiedział, co się z nim dzieje. Spanikował, nogi zrobiły mu się miękkie. Próbując ją potem uwieść, jednocześnie składał jej hołd i mścił się; chciał zapanować nad kobietą, mającą nad nim władzę. Wymykała się wszelkiej racjonalnej analizie, wciąż nie rozumiał jej istoty. Naturalnie, była czarująca, ale znał wiele kobiet nie mniej uroczych od niej, a przy żadnej nie wpadał w panikę. Co takiego miała w sobie, że zarówno wtedy, jak i teraz wprowadzała go w takie zmieszanie? Przyglądał się jej do chwili, gdy cofnęła się od okna, a później patrzył w puste okno. W końcu jednak miał dość tego widoku i przejmującego, kłusającego w stopy zimna. Musiał się jakoś zabezpieczyć – przed chłodem i przed tą kobietą. Przeszedł kawałek na wschód, do pierwszego z brzegu baru, gdzie wypił dwa burbony. Z całego serca żałował, że jest uzależniony od kobiet, a nie od alkoholu.

*

Na dźwięk obcego głosu Freddy, nocny portier, mruknął coś niechętnie i wynurzył się z przytulnego kąta obok szybu windy. Za żelazną kratką i pancernym szkłem frontowych drzwi majaczyła niewyraźna sylwetka. Nie widział twarzy, ale na pewno nie znał tego człowieka, co było dość niezwykle. Pracował w tym budynku od pięciu lat i znał z imienia większość gości, jacy odwiedzali jego stałych mieszkańców. Pomrukując, przeszedł przez wyłożony lustrami korytarz. Ujrzawszy swoje odbicie, wciągnął brzuch, po czym zmarzniętymi palcami otworzył zamek w drzwiach. Kiedy je uchylił, zrozu-

miał swój błąd. Mimo że od lodowatego podmuchu pociekły mu łzy i przesłoniły twarz gościa, znał go doskonale. Jak mógł nie poznać własnego brata? Właśnie miał do niego zadzwonić i zapytać, co słychać w Brooklynie, gdy usłyszał pukanie i głos za drzwiami.

– Co ty tu robisz, Fly?

Fly uśmiechnął się, odsłaniając niekompletne uzębienie.

– Pomyślałem, że wpadnę cię odwiedzić.

– Jakież kłopoty?

– Nie, nie, wszystko gra.

Mimo oczywistego świadectwa zmysłów Freddy czuł jakiś niejasny niepokój. Cień na progu, podmuch wiatru, sam fakt, że Fly się tu zjawił, chociaż w powszedni dzień nigdy nie zaglądał do centrum... Jakież nieuchwytnie przecucie nie dawało mu spokoju.

– To czego chcesz? Nie powinienes tu przychodzić.

– No, ale przyszedłem. – Fly wyminął Freddy'ego i wszedł do hallu. – Myślałem, że się ucieszysz na mój widok.

Freddy puścił drzwi, które zamknęły się automatycznie. Wciąż nie mógł zebrać myśli, jakby śnił. Nie potrafił zrozumieć, skąd się biorą jego wątpliwości i co Fly ma z nimi wspólnego.

– Chyba się trochę rozejrzę – oznajmił Fly, kierując się w stronę windy.

– Zaczekaj! Tam nie wolno!

– Czego nie wolno? Co ty myślisz, że ja chcę podpalić tę chałupę?

– Powiedziałem: nie! – powtórzył z naciskiem Freddy. Nie bacząc na fakt, że wzrok znów miał mętny, zagroził bratu drogę do windy. Łzy spływały mu na policzki i kiedy podniósł wzrok, ujrzał wyraźnie twarz intruza. – Ty nie jesteś Fly!

Chciał się cofnąć do portierni, gdzie trzymał broń, ale przybysz był szybszy. Złapał go i lekko skręciwszy rękę w nadgarstku, cisnął nim przez cały korytarz. Freddy krzyknął głośno, ale nikt nie mógł mu przyjść z pomocą. Strażnik nie miał strażnika. Był już trupem.

Stojący po drugiej stronie ulicy, skulony dla ochrony przed wiatrem Gentle (który dosłownie przed chwilą wrócił na swój posterunek), dostrzegł portiera czołgającego się po korytarzu. Przebiegł na drugą stronę, wymijając jadące samochody, i ujrzał, jak jakiś człowiek wsiada do windy. Grzmotnął pięścią w drzwi i zaczął krzyczeć, żeby wyrwać portiera z otępienia:

– Otwieraj! Na miłość boską, otwieraj, człowieku!

Dwa piętra wyżej Judith usłyszała krzyki, wzięła je za kłótnię rodzinną i – nie chcąc, żeby czyjeś małżeńskie nieporozumienia zepsuły jej dobry humor – wstała do gramofonu, żeby nastawić głośniej. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam?

Pukanie powtórzyło się, ale nikt nie odpowiedział. Ściszyła muzykę i poszła do drzwi, które wcześniej uczciwie pozamykała. Pod wpływem wina zrobiła się jednak nieostrożna. Niezdarnym ruchem zdjęła łańcuch i zaczęła otwierać drzwi, zanim pojawiły się pierwsze wątpliwości.

Za późno. Stojący za drzwiami człowiek natychmiast wykorzystał jej wahanie. Pchnął drzwi, które uderzyły o ścianę, i rzucił się na nią z szybkością samochodu, pod kołami którego powinien był zginąć dwie noce wcześniej. Po ranach, od których cały zalał się krwią, zostały ledwie widoczne blizny; w jego ruchach nie było znać żadnych obrażeń. Musiał w cudowny sposób się uleczyć. Tylko jego twarz przypominała tamtą noc. Była tak samo zagubiona i zboląta – nawet w tej chwili, gdy zamierzał zabić Judith – jak wtedy, gdy napadł na nią na ulicy. Zatkanął jej dłońią usta.

– Proszę – powiedział.

Jeżeli prosił ją, żeby szybko umarła, to miał pecha. Zamachnęła się kieliszkiem, celując mu w twarz, ale wyrwał go jej z ręki.

– Judith! – powiedział.

Na dźwięk swojego imienia przestała się szarpać. Cofnął dłoń z jej ust.

– Skąd wiesz, jak się nazywam, do kurwy nędzy?

– Nie chcę cię skrzywdzić – odparł.

Miał miły, ciepły głos i pachnący pomarańczami oddech. Przyszedł jej do głowy niewyobrażalnie perwersyjny pomysł, ale natychmiast wyrzuciła go ze swoich myśli. Ten człowiek przyszedł ją zabić, a teraz próbował ją zagadać i uciszyć, zanim spróbuje ponownie.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Muszę ci powiedzieć...

Nie odsunął się od niej, ale i nie dokończył zdania. Kątem oka dostrzegła za jego plecami jakiś ruch. Zauważył to i odwrócił się w samą porę, żeby dostać pięścią w twarz. Zachwiał się, ale nie upadł: płynnie, z gracją tancerza baletowego zaatakował. Teraz dopiero Judith się zorientowała, że to nie Freddy przybył jej z odsieczą, lecz Gentle. We własnej osobie. Po ciosie napastnika zatoczył się na ścianę, aż książki pospadały z półek. Zanim intruz zdążył

mu sięgnąć do gardła, Gentle uderzył go w korpus. Musiał trafić w jakiś czuły punkt, bo napastnik cofnął się i pierwszy raz spojrzął mu w oczy.

Na jego twarzy, do tej pory wyrażającej głównie ból, odbił się strach, nabożny szacunek, a przede wszystkim jakieś uczucie, którego Judith nie potrafiła nazwać. Sapiący ciężko Gentle nie zwrócił na to uwagi, tylko odepchnął się od ściany, by ponowić atak. Napastnik był jednak szybszy. Wybiegł z mieszkania. Upewniwszy się, że Judith nic się nie stało, Gentle rzucił się za nim w pościg.

*

Znów zaczął padać śnieg i szaro-biała zasłona rozdzielała Gentle'a i Pie. Napastnik, mimo że trochę poobijany, poruszał się bardzo szybko, ale Gentle był zdecydowany nie dać mu uciec. Przebiegł za nim przez Park Avenue i skręcił na zachód w Osiemdziesiątą, ślizgając się na mokrym chodniku. Ściągany dwukrotnie obejrzał się przez ramię; za drugim razem wydawało się, że nieco zwolnił, jakby chciał się zatrzymać i zaproponować zawieszenie broni, ale zaraz przemyślał sprawę i przyspieszył. Biegł Madison w stronę Central Parku i Gentle wiedział, że jeśli pozwoli mu się tam schronić, przegra. Wykrzesał z siebie resztki siły i zbliżył się do intruza na odległość wyciągniętej ręki. Kiedy jednak próbował go chwycić, pośliznął się i upadł na twarz, mówiąc bezradnie ramionami. Trochę go zamroczyło. Kiedy otworzył oczy i poczuł w ustach ostry smak krwi, spodziewał się ujrzeć, jak napastnik znika wśród drzew parku, tymczasem niezwykle pan Pie stał przy krawężniku i przyglądał mu się ze współczuciem.

– Nie ścigaj mnie – powiedział.

– To daj... jej... spokój... kutasie – wysapał Gentle, wiedząc, że w obecnym stanie do niczego go nie zmusi.

Tym bardziej zdziwiła go odpowiedź.

– Dobrze. Tylko proszę... błagam, zapomnij, że mnie widziałeś.

Mówiąc to, cofnął się i oszołomiony Gentle nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby napastnik rozpułynał się w ciemności niczym duch.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nazywam się Pie'oh'pah – odparł intruz głosem równie miękkim i delikatnym jak brzmienie tych trzech sylab.

– Ale kim jesteś?

– Nikim i niczym.

Pie zrobił następny krok w tył, potem kolejny, jeszcze jeden. Oddzielała ich coraz grubsza kurtyna mokrego śniegu. Gentle zaczął iść za nim, ale od upadku bolały go wszystkie kości. Wiedział, że nie ma szans, brnął jednak naprzód. Przystanął na krawężniku Piątej Alei – Pie w tym czasie przeszedł na drugą stronę. Ulica była pusta, lecz Pie podniósł głos, jakby przekrzykiwał szum wzburzonej rzeki:

– Wracaj już. A jeśli chcesz iść za mną, przygotuj się...

Było to absurdalne, ale Gentle też zachowywał się tak, jakby oddzielała ich spieniona kipiela.

– Na co?! – krzyknął.

Pie pokręcił głową. Mimo dzielącej ich odległości i niesionego wiatrem śniegu Gentle widział, ile jest w jego rysach rozpacz i niepewności. Nie rozumiał, dlaczego na widok tej twarzy żołądek podchodzi mu do gardła. Zszedł z krawężnika, zanurzył stopę w wyimaginowanej rzece. Na twarzy zabójcy zaszła nagła zmiana, rozpacz ustąpiła niedowierzaniu, a potem przerażeniu. Gdy Gentle znalazł się na środku jezdni, Pie zaczął coraz gwałtowniej kręcić głową i z jego piersi dobył się dziwny szloch. Znów się cofnął, jakby miał nadzieję, że zaraz stanie się niewidzialny. Jeżeli magia istniała na świecie, a w taką noc Gentle byłby skłonny w to uwierzyć, Pie nie był w niej mistrzem. Nieznajomość magii nadrabiał szybkością. Zanim Gentle znalazł się na drugim brzegu rzeki, Pie'oh'pah przeskoczył mur okalający park, najwyraźniej nie przejmując się tym, co może się znajdować po drugiej stronie. Zrobiłby wszystko, byle tylko zniknąć Gentle'owi z oczu.

Gentle był posiniaczony i przemarznięty. Nie mógł go dalej ścigać. Zanim wrócił do mieszkania Jude – dwie przecznice od parku – przemókł do suchej nitki. Z przylizanymi deszczem włosami, szczękając zębami i krwawiąc z rozbitej wargi, stanął w drzwiach. Nie mógł chyba wyglądać gorzej. Jude czekała w hallu w towarzystwie zakłopotanego portiera. Gdy tylko Gentle się pojawił, podeszła do niego. Zamienili dwa zdania, krótko i konkretnie. Nic ci się nie stało? Nie. Tamten uciekł? Tak.

– Chodź na górę – powiedziała. – Trzeba cię opatryć.

Spotkaniu Gentle'a i Judy towarzyszyły tak dramatyczne okoliczności, że postanowili tego bardziej nie upiększać i oboje powstrzymywali się od zbyt wylewnego okazywania uczuć. Nie chciał wziąć prysznic, przemył tylko twarz i ręce, ostrożnie wypłukując piasek z ran. Potem przebrał się w suche ubrania z szafy Marlina, mimo że był od niego wyższy i szczuplejszy. Jude zapytała, czy chce, żeby obejrzał go lekarz. Podziękował grzecznie, zapewniając, że nic mu nie będzie. I rzeczywiście na to wyglądało – umyty, w suchym ubraniu, był obolały, ale cały i zdrowy.

– Dzwoniłaś na policję? – zapytał, stojąc w drzwiach do kuchni i patrząc, jak parzy herbatę.

– Nie warto. Od poprzedniego razu wiedzą już o tym facecie. Może później poproszę Marlina, by dał im znać.

– To był jakiś poprzedni raz?

Skinęła głową.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy – rzekł – ale ten gość już cię chyba nie będzie niepokoił.

– Dlaczego tak mówisz?

– Wyglądał, jakby miał ochotę rzucić się pod samochód.

– Co specjalnie by mu nie zaszkodziło – zauważyła i opowiedziała mu o zdarzeniu w Village, kończąc relację opisem błyskawicznego ozdrowienia napastnika. – Powinien nie żyć. Zamiast twarzy miał miazgę... Nie wiem, jakim cudem w ogóle się pozbierał. Chcesz cukru albo mleka?

– Kropelkę szkockiej. Marlin pije?

– Nie jest takim koneserem jak ty.

– Gentle alkoholik? Tak mnie przedstawiałaś? – roześmiał się.

– Nie. Właściwie w ogóle cię nie opisywałam – przyznała z wahaniem. – To znaczy, na pewno wspomniałam mu o tobie, ale ty... Sama nie wiem. Jesteś moją wstydliwą tajemnicą.

Wspomnienie spotkania na Parliament Hill sprawiło, że pomyślał o człowieku, który go tu przysłał.

– Rozmawiałaś ostatnio z Estabrookiem?

– A po co?

– Próbował się z tobą skontaktować.

– Nie chcę z nim rozmawiać. – Jude postawiła herbatę na stole w salonie, znalazła butelkę whisky i postawiła ją obok filiżanki. – Częstuj się.

– Ty się nie napijesz?

– Tylko herbaty. I bez whisky mam wystarczający mętlik w głowie. – Wzięła swoją filiżankę i podeszła do okna. – Nic nie rozumiem. Skąd się tu wzięłeś?

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało melodramatycznie, ale chyba naprawdę powinnaś usiąść, nim zaczniemy rozmawiać.

– Po prostu powiedz mi, co jest grane. Od jak dawna mnie śledzisz?

– Kilka godzin.

– Wydawało mi się, że widziałam cię już parę dni temu.

– To niemożliwe. Dziś rano wyleciałem z Londynu.

Zdziwiła się.

– Co wiesz o człowieku, który usiłuje mnie zabić?

– Powiedział, że nazywa się Pie'oh'pah.

– Gównu mnie obchodzi, jak się nazywa. – Nareszcie przestała udawać, że ta sprawa właściwie jej nie dotyczy. – Kto to jest? Dlaczego chce mi zrobić krzywdę?

– Został wynajęty.

– Słucham?

– Ktoś mu za to zapłacił. Estabrook.

Judith wzdrygnęła się. Herbata chlapnęła na dywan.

– Zapłacił mu? Wynajął go, żeby mnie zabił? Nie wierzę. To jakiś obłąd.

– On ma obsesję na twoim punkcie, Jude. W ten sposób chce sobie zagwarantować, że nie będziesz z nikim innym.

Podniosła filiżankę od ust. Trzymała ją w obu rękach. Knykcie jej zbielały, aż dziw, że porcelana nie pękła.

– Nie wierzę – powtórzyła głosem wypranym z emocji.

– Chciał cię ostrzec. Wynajął tego faceta, ale zmienił zdanie.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Przysłał mnie, żebym powstrzymał mordercę.

– Ciebie też wynajął?

Przykro było to słyszeć z jej ust, lecz przytaknął. Tak, był kolejnym najemnikiem. Tak jakby Estabrook poszczuł Judith dwoma psami, jeden niósł jej śmierć, drugi życie. Ślepy los miał zdecydować, który pierwszy ją dopadnie.

– Może jednak się napiję – stwierdziła Judith i podeszła do stołu.

Gentle wstał, żeby napełnić jej szklanekę, ale wystarczyło, że się poruszył, by stanęła jak wryta. Zdał sobie sprawę, że się go boi. Wyciągnął do niej rękę

z butelką.

– Chyba powinienes już iść – powiedziała. – Marlin niedługo wróci. Wołałabym, żebyś...

Rozumiał jej zdenerwowanie, ale ubodła go ta nagła zmiana tonu. Kiedy obolały włókł się do niej w śniegu i mrozie, miał cichą nadzieję, że z wdzięczności przytuli go albo chociaż powie kilka ciepłych słów, na dowód tego, że jeszcze coś do niego czuje. Ale jako wspólnik Estabrooka nie był jej wybawicielem, lecz wysłannikiem wroga.

– Jeśli tego chcesz...

– Właśnie tego chcę.

– Mogę mieć jedną prośbę? Jeżeli powiesz policji o Estabrooku, spróbuj mnie w to nie mieszać.

– Niby dlaczego? Znowu pracujesz dla Kleina?

– Nie wchodźmy w szczegóły. Po prostu udawaj, że mnie tu nie było.

Wzruszyła ramionami.

– To się chyba da zrobić.

– Dzięki. Gdzie moje ubranie?

– Jeszcze nie wyschło, więc lepiej zostań w tym, co masz.

– Wołałabym nie. – Nie mógł sobie darować małej uszczypliwości: – Nie wiadomo, co by sobie Marlin pomyślał.

Nie zareagowała, ale pozwoliła mu się przebrać. Ubranie znalazł na kaloryferze w łazience. Trochę się rozgrzało, lecz gdy poczuł na skórze jego wilgoć, pożałował swojego uporu i zamarzył o suchych ciuchach nieobecnej kochanki Judith. Cóż, postanowił być twardy. Przebrał się, a kiedy wrócił do salonu, Judith stała przy oknie, jakby oczekując powrotu napastnika.

– Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Pie'oh'pah. Coś w tym guście.

– Co to za język? Arabski?

– Nie wiem.

– Wspomniałeś mi o tym, że Estabrook zmienił zdanie? Powiedziałeś, żeby zostawił mnie w spokoju?

– Nie miałem okazji – odparł niepewnie.

– Czyli może tu jeszcze wrócić?

– Już mówiłem. Nie sądzę, żeby to zrobił.

– Dwa razy próbował. Może właśnie siedzi pod domem i myśli, że do trzech razy sztuka. Jest w nim coś... nienaturalnego, Gentle. Jak to możliwe,

żeby rany mu się tak szybko goiły?

– Może nie było z nim tak źle, jak się wydawało?

Nie przekonał jej.

– Takie nazwisko... Powinno go być łatwo namierzyć.

– No, nie wiem... Tacy ludzie... są praktycznie niewidzialni.

– Marlin będzie wiedział co robić.

– To dobrze.

Odetchnęła głęboko.

– Powinnam ci chyba podziękować – stwierdziła tonem tak niewdzięcznym, jak to tylko było możliwe.

– Nie ma za co. Jestem najemnikiem. Zrobiłem to dla pieniędzy.

4

Ukryty w cieniu na schodach domu przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Pie'oh'pah patrzył, jak John Furie Zacharias wychodzi od Judith, stawia kołnierz i rozgląda się w poszukiwaniu taksówki. Od bardzo dawna oczy zabójcy nie oglądały tak miłego widoku; wiele się przez ten czas na świecie zmieniło, ale nie ten człowiek. Ułomna pamięć chroniła go przed przeobrażeniem. Dla siebie był niezmienny – a przez to wieczny. Pie mu zazdrościł. Dla Gentle'a czas był jak obłok gazu, w którym rozpuszczały się krzywdy i samoświadomość; Pie pojmował czas jako worek, do którego każdy dzień i każda godzina dorzucały swój kamień, aż dźwigającemu go człowiekowi grzbiet pękał pod ciężarem. Dopiero dziś w nocy przyszło mu do głowy, że może jednak istnieje dla niego wybawienie. Człowiek, który przemierzał teraz Park Avenue, miał moc naprawiania wszystkiego, co zniszczone i pęknięte – mógł nawet uleczyć duszę Pie. Zwłaszcza ją. Pie nie wiedział, czy to przypadek, czy dyskretne działania Niewidzianego doprowadziły do ich spotkania, ale z pewnością było ono znaczące.

Jeszcze niedawno, przerażony skalą wyłaniających się możliwości, próbował odpędzić Gentle'a, a kiedy mu się nie udało, uciekł. Teraz ten strach wydawał mu się idiotyczny. Czego miał się bać? Zmiany? Powitałby ją z radością. Objawienia? Też by go ucieszyło. Śmierci? Czy zabójca martwi się

śmiercią? Przyjdzie, kiedy przyjdzie. Nie było sensu rezygnować przez nią z takiej szansy. Wzdrygnął się. Powiało chłodem. Cała ta epoka była zimna, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on. Pie kochał porę roztopów, kiedy słońce mocniej grzało, krew żywiej tętniła w żyłach i nie było rzeczy niemożliwych. Porzucił już nadzieję, że taki czas jeszcze kiedyś nadejdzie. Zbyt wiele zbrodni musiał popełnić w tym ponurym świecie, zbyt wiele złamał serc. Gentle pewnie też. Jaki jednak mieli wybór, jeśli przeznaczone im było sprowadzić na świat wiosnę dla dobra tych, których skrzywdzili i osierocili? Co mogli zrobić, jeżeli ich powinnością było mieć nadzieję? Unikanie tego spotkania stałoby się jeszcze jedną zbrodnią, którą miałyby na sumieniu. Czy przez te długie lata samotności stał się tchórzem? Na pewno nie.

Otarł łzy i zszedł ze schodów, kierując się w ślad za znikającą postacią. Odważył się uwierzyć, że nadejdzie jeszcze wiosna, a po niej nastanie lato połączenia.

ROZDZIAŁ 8

Wróciwszy do hotelu, Gentle miał przede wszystkim ochotę zadzwonić do Jude. Nie pozostawiła mu wprawdzie cienia wątpliwości, co do niego czuje, i zdrowy rozsądek podpowiadał, że powinien poczekać, aż emocje same wygasną, ale ten wieczór przyniósł za dużo niespodzianek, żeby tak po prostu się z nich otrząsnąć. Ulice były solidne i materialne jak zawsze, domy miały swoje numery i nazwy, w alejach świeciło się dość latarni, żeby mimo późnej pory czuł się bezpiecznie – a jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że kroczy skrajem jakiegoś nieznanego terytorium i w każdej chwili może do niego przeskoczyć, nie zdając sobie z tego sprawy. A gdyby tak się stało, czy Jude by za nim poszła? Mogła sobie postanowić, że ich ścieżki się już nie przetną, lecz Gentle podejrzewał skrycie, iż ich losy są nierozzerwalnie splecione.

Nie potrafił tego logicznie wytłumaczyć. Przeczucie, na którym się opierał, stanowiło jedną wielką tajemnicę, a on nie był mocny w tajemnicach. Dobrze rozmawiało się o nich po kolacji, kiedy goście, rozleniwieni brandy i światłem świec, przyznawali się do fascynacji, o jakich godzinę wcześniej wstydziliby się powiedzieć. Słyszał, jak zatwardziali racjoniści wyznawali wtedy, że studiują horoskopy w brukowcach; ateści twierdzili, że objawiały im się niebiańskie istoty; znał opowieści o nadnaturalnym pokrewieństwie dusz i prorocत्वach wygłaszanych na łożu śmierci. Wszystkie go na swój sposób bawiły, tym razem jednak było inaczej. Sam doświadczył czegoś niezrozumiałego – i zaczynał się bać.

W końcu się poddał. Znalazł numer do mieszkania Marlina i zadzwonił. Sam kochaś odebrał telefon. Był zaaferowany, a kiedy Gentle się przedstawił, wściekł się.

- Nie wiem, w co pogrywasz, do ciężkiej cholery...
 - To nie jest żadna gra.
 - Ale trzymaj się z dala od tego mieszkania...
 - Nie zamierzam...
 - ...bo jak cię tu spotkam, to przysięgam...
 - Czy mogę rozmawiać z Jude?
 - Judith nie...
 - Jestem przy drugim aparacie – odezwała się Judith.
 - Judith! Odłóż słuchawkę! Nie będziesz chyba rozmawiać z tym gnojem!
 - Uspokój się, Marlinie.
 - Słyszałeś, Mervinie? Uspokój się.
- Marlin rzucił słuchawkę.
- Strasznie podejrzliwy, co? – odezwał się Gentle.
 - Uważa, że to wszystko twoja robota.
 - Powiedziałaś mu o Estabrooku?
 - Na razie nie.
 - Chcesz wszystko zwalić na najemnika, co?
 - Posłuchaj, żałuję tego, co powiedziałam. Miałam mętlik w głowie. Gdyby nie ty, może już bym nie żyła.
 - Żadne „może”. Nasz przyjaciel, pan Pie, to konkretny gość.
 - Konkretny, ale wcale nie jestem przekonana, że chciał mnie zamordować.
 - Przecież próbował cię udusić, Jude!
 - Tak? A może tylko uciszyć? Miał taki dziwny wyraz twarzy...
 - Chyba powinniśmy się spotkać i porozmawiać. Może urwałabyś się swojemu kochasiowi na późnego drinka? Przyjadę po ciebie pod dom, nic ci się nie stanie.
 - To chyba nie jest dobry pomysł. Muszę się spakować. Jutro wracam do Londynu.
 - Planowałaś to wcześniej?
 - Nie. Po prostu w domu będę się czuła bezpieczniej.
 - Mervin leci z tobą?
 - Marlin. Nie, zostaje.
 - Prawdziwy dureń z niego.
 - Słuchaj, muszę kończyć. Dzięki, że o mnie pomyślałeś.
 - To nie boli. Gdybyś przez noc poczuła się samotna...

- Nie poczuję się.
- Nigdy nic nie wiadomo. Zatrzymałem się w „Omni”, pokój sto trzy. Jest tu podwójne łóżko.
- To się wygodnie wyśpisz.
- Będę myślał o tobie. – Zawahał się i dodał: – Cieszę się, że się spotkaliśmy.
- Cieszę się, że się cieszysz.
- A ty nie?
- Ja muszę się spakować. Dobranoc, Gentle.
- Dobranoc.
- Baw się dobrze.

*

Miał mało rzeczy, więc szybko się spakował i zamówił skromną kolację – dużego sandwicza, lody, burbona i kawę. Po powrocie z lodowatych ulic panujące w pokoju ciepło działało rozleniwiająco. Rozebrał się, zasiadł przed telewizorem i nago zjadł kolację, wybierając sobie okruszki jak wszy z włosów łonowych. Zmęczył się jedzeniem, zanim przyszła pora na lody. Jednym haustem wychylił burbona, który natychmiast zaczął działać, i poszedł do łóżka. Telewizor zostawił włączony, ściszył tylko dźwięk, tak że głośnik buczał usypiająco.

Jego ciało i umysł zajęły się swoimi sprawami. Ciało, pozbawione pęt świadomych poleceń, oddychało, trawiło, przewracało się na łóżku i pociło, umysł zaś zaczął śnić. Najpierw o Manhattanie, precyzyjnie odwzorowanym i podanym na talerzu. Później o kelnerze, który szeptem pytał, czy życzy pan sobie nocy. I o nocy, która przyszła pod postacią syropu z jagód rozlanego z wysoka na talerz, kleistymi fałdami pokryła ulice i wieżowce. Gentle spacerował tymi ulicami wśród drapaczy chmur, trzymając za rękę cień. Cieszył się, że ma go przy sobie. Na skrzyżowaniu cień się zatrzymał, odwrócił do niego i przytknął mu delikatny jak puch palec do czoła, jakby właśnie nastał świt środy popielcowej.

Ten dotyk był cudowny. Gentle wysunął język i leciutko polizał nasadę kciuka widmowej dłoni. Cień pogłaskał go znowu, a wtedy Gentle zadrżał z rozkoszy. Zapragnął przeniknąć wzrokiem ciemność i spojrzeć cieniowi w twarz. Z wysiłkiem otworzył oczy. Ciało i umysł znów połączyły się w jed-

ność. Znajdował się w hotelowym pokoju, migotliwa poświata telewizora odbijała się w połyskliwych, półotwartych drzwiach. Obudził się, ale dotyk na czole nie ustał. W dodatku usłyszał podniecające, jedwabiste westchnienie. W pokoju była kobieta.

– Jude?

Położyła mu chłodną dłoń na ustach. Uciszyła jego wątpliwości, zarazem je wyjaśniając. Nie widział jej w mroku, ale resztki niepewności, że mogłaby należeć do świata snów, zniknęły, gdy zsunęła rękę na jego nagą pierś. Wyciągnął ręce, ujął jej twarz w dłonie i zbliżył jej usta do swoich, zadowolony, że ciemność skrywa wyraz satysfakcji na jego twarzy. Przyszła. Wszystkie sygnały, jakie wysyłała, wskazywały na to, że ma go dość, a jednak przyszła – mimo Marlina, niebezpiecznych ulic, późnej pory i gorzkiej historii ich związku. Przyniosła mu do łóżka dar swojego ciała.

Nie widział jej, ale mrok był dla niego jak płótno, na którym malował ją w myślach, doskonale piękną. Pod palcami czuł jej gładkie policzki, chłodniejsze od dłoni, które oparła mu na brzuchu. Ledwie pomyślał o jej języku, już czuł jego smak; kiedy wyobraził sobie jej piersi, położyła na nich jego dłonie; chciał, żeby coś powiedziała, a ona się odezwała (i to jak!), wypowiadając słowa, które tak bardzo chciał usłyszeć, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał:

– Musiałam... – wyszeptała.

– Wiem. Wiem.

– Wybacz mi...

– Co tu jest do wybaczenia?

– Nie mogę istnieć bez ciebie, Gentle. Należymy do siebie jak mąż i żona.

Kiedy po tak długiej rozłące znów miał ją przy sobie, idea małżeństwa wcale nie wydawała mu się głupia. Może powinien już na zawsze zachować ją dla siebie?

– Wyjdiesz za mnie? – spytał.

– Kiedy indziej mnie o to zapytaj.

– Pytam teraz.

Znów przytknęła mu dłoń do czoła, jakby chciała go namaścić.

– Ciii... Jutro już możesz nie chcieć tego, czego pragniesz w tej chwili.

Otworzył usta, żeby wyrazić swój sprzeciw, ale ta myśl rozplynęła się gdzieś po drodze z mózgu do języka, rozproszona kolistymi ruchami, jakimi Jude gładziła jego czoło. Z miejsca, w którym go dotykała, emanował spokój,

spływał w dół, do tułowia, i dalej, aż do czubków palców. Znikał gdzieś ból świeżych sińców. Gentle podniósł ręce nad głowę i przeciągnął się, żeby ta błogość mogła swobodnie przez niego przepływać. Uwolniony od bólu, czuł się jak nowo narodzony. Miał wrażenie, że promienieje niewidzialną poświatą.

– Chcę być w tobie – powiedział.

– Jak głęboko?

– Do końca.

Próbował wyłowić z mroku jakiś cień reakcji, lecz wzrok go zawiódł. Migotanie telewizora dało mu złudzenie, że dostrzega, jak przez jej ciało przepływa opalizujący blask. Chciał usiąść i odszukać jej twarz, ale już zaczęła się zsuwać w dół łóżka. Sekundę później poczuł jej usta na swoim brzuchu, a potem na żołądki członka. Brała go do ust powoli, po kawałku, bawiąc się z nim językiem, aż do chwili gdy wydawało mu się, że dłużej nie wytrzyma. Kiedy mruknął ostrzegawczo, uwolniła go – i zaraz znów pochłonęła.

Absolutna ciemność potęgowała wrażenia dotykowe. Czuł każde drgnięcie jej języka i zębów. Członek, który pieściła tak żarliwie, w jego wyobraźni rósł i rósł, aż zrobił się wielki jak całe jego ciało: miał żylasty tors, ślepa główkę i leżał na jego brzuchu jak na łóżku, cały wilgotny i rozedrgany, podczas gdy połykała go ona, ciemność. Gentle stał się czystą esencją odczuwania, a ona dawcą; rozkosz zniewoliła jego ciało, niezdolne przypomnieć sobie swój początek i wyobrazić, jaki czeka je koniec. Mój Boże, ona naprawdę wiedziała, jak zrobić mu dobrze. Uważała, żeby go nie znużyć powtarzalnością bodźców, a zarazem sprawiała, że napełnione do granic możliwości komórki nabrzmiewały jeszcze bardziej, aż z własnej woli gotów był spłynąć krwią i zginąć, byle tylko dojść.

Następny ledwie uchwytny błysk pozwolił mu wyrwać się spod jej czaru i wrócić do rzeczywistości. Interes skurczył mu się do przeciętnych rozmiarów, ona zaś nie była już ciemnością, lecz ciałem, przez które kolory tęczy zdawały się przepływać falami. Wiedział, że to tylko złudzenie, wytwór stęsknionych światła oczu. Ale iluzja się powtórzyła – rozfalowany blask przesłiznął się po jej ciele i zgasł. Złudzenie? Chciał ją wreszcie lepiej zobaczyć. Ściągnął ją z siebie, zaczął rozbierać. Kiedy leżała przed nim na białej pościeli, rozróżnił przynajmniej niewyraźny zarys jej ciała. Poruszyła się, podsunęła pod jego dłoń.

– ...w tobie... – powtórzył, płacząc się w wilgotnych fałdach jej ubrania.

Znieruchomiła, zaczęła równiej oddychać. Obnażył jej piersi i sięgnął ręką w dół, do paska spódnicy, jednak zdążyła się przebrać w dzinsy. Złożyła dłonie na sprzączce paska, jakby broniąc mu dostępu, ale nie zamierzał ani czekać, ani tym bardziej dać się odepchnąć. Ściągnął jej spodnie z bioder, muskając palcami skórę tak gładką, że zdawała się półpłynna. Całe jej ciało składało się z gładkich krzywizn, jak fala, która zaraz go pochłonie.

Pierwszy raz od przyjścia wymówiła jego imię – ostrożnie, niepewnie, jakby bała się, że w tej ciemności jest mniej rzeczywisty.

– Jestem przy tobie – szepnął. – Zawsze.

– Czy chcesz tego?

– Oczywiście – odparł. – Oczywiście.

Położył dłoń na jej sromie.

Kiedy tym razem pojawiła się opalizująca poświata, utrwaliła w umyśle Gentle'a magiczny obraz jej rozłożonych nóg i jego palców przeslizgujących się po wargach sromowych. Gdy blask zniknął, zostawiając po sobie oślepiający powidok, rozległo się natrętne dzwonienie, z początku odległe, ale powtarzające się i coraz bliższe. Telefon, do diabła! Najpierw ze wszystkich sił starał się go zignorować, ale na próżno. Sięgnął ręką do nocnego stolika, gdzie stał aparat, zrzucił słuchawkę z widełek i niezgrabnym ruchem wrócił do kobiety na łóżku. Leżała nieruchomo. Wszedł na nią i wśliznął się do jej jedwabistego wnętrza. Objęła go mocno za szyję i pocałowała. Mimo to słyszał, że powtarza jego imię takim samym pytającym tonem jak przed chwilą. Nie mógł pozwolić, żeby to wspomnienie oderwało jego uwagę od nadciągającej rozkoszy. Znalazł swój rytm, długie, powolne pchnięcia. Pamiętał, że lubiła w nim to, że się nie spieszył. W szczytowym okresie ich związku potrafili się kochać kilkakrotnie od zmierzchu do świtu; pieścili się, drażnili, przerywali, żeby wziąć kąpiel i zaznać przyjemności ponownego podniecenia. To spotkanie nie miało jednak w sobie nic z dawnej delikatności, wbijała mu palce mocno w kark, przyciągając go bliżej przy każdym pchnięciu. Nadal słyszał jej głos, stłumiony, dobiegający przez mgiełkę namiętności.

– Gentle? Jesteś tam?

– Jestem – mruknął.

Wzbierała w nich nowa fala światła. Z każdym ruchem stawało się coraz silniejsze, przepływając po ich ciałach jak widmowa sieć.

– Jesteś tam? – zapytała ponownie.

Jak mogła w to wątpić? Nigdy nie był bardziej obecny; najlepiej pojmo-

wał swoją istotę, gdy znajdował się we wnętrzu kobiety.

– Jestem.

A ona znów zapytała. Tym razem, mimo że jego umysł trwał zatopiony w rozkoszy, cichutki głosik zdrowego rozsądku podszepnął mu, że to nie jego partnerka zadaje to pytanie, lecz kobiecy głos w telefonie. Zrzucił słuchawkę z widełek, ale tamta kobieta wciąż domagała się odpowiedzi. Wsłuchał się i poznał – to była Jude. A skoro Jude do niego zadzwoniła, to kogo, kurwa, posuwał?

Kimkolwiek była, zorientowała się, że jej podstęp się wydał. Wbiła palce mocniej w plecy i pośladki Gentle'a i uniosła biodra, wciągając go głębiej w siebie. Zacisnęła się na jego członku, jakby nie chciała go wypuścić, dopóki nie dojdzie. Panował jednak nad sobą na tyle, żeby się powstrzymać, i wysunął się z niej. Serce miotło mu się w piersi jak szalenciec zamknięty w celi.

– Kim jesteś, do diabła?! – ryknął.

Czuł ciepło i nacisk jej dłoni, które jeszcze przed chwilą tak go podniecały, a teraz tylko drażniły. Strząsnął je i sięgnął do wyłącznika nocnej lampki. Złapała go za członek i poruszyła dłonią w dół i w górę. Zrobiła to tak przekonująco, że miał ochotę w nią wrócić, pogodzić się z jej anonimowością i w ciemności zaspokoić resztki żądy. Przytknęła usta do miejsca, w którym trzymała rękę, i zaczęła go ssać. W sekundę odzyskał poprzednią twardość.

Z telefonu dobiegło monotonne buczenie. To Jude porzuciła próby nawiązania z nim kontaktu. Może słyszała jego chrapliwy oddech i wypowiedane w mroku czułe słówka. Na tę myśl ogarnął go gniew. Ujął głowę kobiety w dłonie i odsunął od siebie. Co go opętało, że zapragnął kogoś, kogo nawet nie widział? Jaka dziwka mogła w ten sposób zdobywać klientów? Zasyfiona? Okaleczona? Szurnięta? Musiał ją zobaczyć. Mogła być odrażająca, ale musiał ją zobaczyć!

Drugi raz sięgnął do lampki. Poczuł, jak łóżko się zatrzęsło, gdy wiedźma zaczęła zbierać się do ucieczki. Nie mogąc namacać wyłącznika, niechcący ściągnął lampkę z haka. Nie rozbiła się, lecz odwróciła do góry nogami i rzuciła na pokój łagodną, odbitą od sufitu poświatę. Nagle zdjął go lęk, że dziwka może się na niego rzucić. Ona jednak chwyciła swoje ubranie z pościeli i znajdowała się już przy drzwiach sypialni. Jego oczy zbyt nawykły do ciemności i majaków, nie umiał sobie poradzić z rzeczywistością. Na wpół ukryta w cieniu kobieta była kłębowiskiem ruchliwych form – rozmazana twarz, rozciągnięte w smugi ciało, pulsujące, opalizujące kolory, które wolno

przepływały od stóp do głowy. Jedyne niezmienny element tego chaosu stanowiły jej oczy, bezlitośnie utkwione w Gentle'u. Przetarł twarz dłonią w nadziei, że miraż się rozwieje. Wykorzystała tę chwilę, by otworzyć drzwi. Zeskoczył z łóżka, zdecydowany za wszelką cenę przejrzeć iluzję i poznać okrutną rzeczywistość, z którą kopulował, ale kobieta już wybiegała z pokoju.

Nie wiedział, jaka moc wypacza jego zmysły, ale chwytając kobietę za ramię, wystawił ją na próbę. Wzburzone fragmenty jej twarzy układały się jak elementy trójwymiarowych puzzli, przesuwały się i wskakiwały na swoje miejsca, ukrywając niezliczone inne konfiguracje – niezwykle, paskudne, potworne, oszłamiające – pod powłoką harmonijnej rzeczywistości. Rysy twarzy uspokoiły się, nabrały wyrazu. Znał ją. Znał to okolone lokami, idealnie symetryczne oblicze, rany, które zabiżniały się z nadnaturalną szybkością, wargi, które kilka godzin wcześniej opisywały swojego właściciela jako nic i nikogo.

Kłamały. To „nic” grało co najmniej dwie role: zabójcy i dziwki; ten „nikt” miał imię. – Pie'oh'pah!

Gentle puścił jego rękę, jakby była wysmarowana trucizną. Stojąca przed nim postać nie rozmyła się ponownie. Wszystkie erotyczne wizje, których doświadczył po ciemku – twarz Judith, jej piersi, brzuch, srom – okazały się złudzeniem. Istota, z którą się połączył, w którą prawie się spuścił, nie była nawet kobietą.

Gentle nie zaliczał się ani do hipokrytów, ani do purytanów. Zanadto uwielbiał seks, żeby potępiać jakiegokolwiek sposoby zaspokajania żądz, i choć odrzucał homoseksualne zaloty, których obiektem bywał, robił to nie z odrazy, lecz z obojętności. Teraz doznał szoku po prostu dlatego, że tak dał się nabrać.

– Co ty ze mną zrobiłeś? – wykrztusił. – Co ty ze mną zrobiłeś?

Pie'oh'pah przyglądał mu się nieporuszony. Musiał zdawać sobie sprawę, że nagość jest dla niego najlepszą obroną.

– Chciałem cię uleczyć – odparł. Głos mu drżał, ale brzmiał jak upojna muzyka.

– Nafaszerowałeś mnie jakimś świństwem!

– Nie!

– Jak to nie?! Wziąłem cię za Judith, a ty pozwoliłeś, żebym tak myślał! – Gentle spuścił wzrok na swoje dłonie, a potem przeniósł go na stojące przed

nim szczupłe, mocne ciało. – Czułem ją, nie ciebie. Co ty ze mną zrobiłeś? – powtórzył żałośnie.

– Dałem ci to, czego chciałeś.

Na to Gentle nie znalazł odpowiedzi – w pewnym sensie Pie'oh'pah miał rację. Zmarszczył brwi i powąchał sobie dłonie, szukając w pocie woni narkotyku, ale poczuł tylko ciężką woń seksu i nagrzanego łóżka.

– Odeśpisz to – pocieszył go Pie'oh'pah.

– Wypierdalaj stąd! A jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Jude, przysięgam... Przysięgam, że rozszarpie cię na strzępy.

– Masz na jej punkcie obsesję, co?

– Nie twój interes, kutasie.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Stul pysk!

– Uwierz mi, będziesz tego żałował.

– Nie słyszałeś?! – ryknął Gentle. – Zamknij ten swój zasrany ryj.

– Ona nie należy do ciebie.

Gentle wpadł w szal, złapał go za gardło. Pie'oh'pah wypuścił ubranie z rąk, odsłonił się całkowicie, ale się nie bronił, tylko położył Gentle'owi dłonie na ramionach. Gentle wściekł się jeszcze bardziej. Bluznął obelgami, wbił mu kciuki w gardło, chcąc zmiażdżyć tchawicę. Pie'oh'pah ani się nie opierał, ani nie osuwał na ziemię. Stał wyprostowany jak święty w obliczu męczeńskiej śmierci.

W końcu Gentle, wykończony własnym gniewem i bezsilnością, odepchnął go od siebie z przesadnym lękiem. Dlaczego ten facet nie padł trupem ani nie próbował się bronić? Wszystko byłoby lepsze niż ta ohydna bierność.

– Wynoś się – powiedział Gentle.

Pie nie ruszył się z miejsca. Patrzył na niego łagodnie.

– Pójdiesz sobie wreszcie? – Gentle zniżył głos. Tym razem męczennik zareagował:

– Jeśli chcesz.

– Chcę.

Pie'oh'pah pochylił się i zebrał ubranie z podłogi. Jutro jakoś to sobie w głowie poukładam, pomyślał Gentle. Wysram ten obłęd z mózgu i będę mógł całą historię – o Jude, pościgu i o tym, jak uwiódł mnie płatny zabójca – opowiedzieć Kleinowi, Clemowi i Taylorowi, kiedy wrócę do Londynu. Rozbawi ich.

Kiedy zdał sobie sprawę, że jest nagi, odwrócił się do łóżka i owinął prześcieradłem. To była dziwna chwila. Ten drań ciągle stał w jego sypialni i patrzył na niego, a on mógł tylko czekać, aż wyjdzie. Dziwna, bo przypominała inne sypialniane rozstania – skłębiona pościel, stygnący pot, wstyd i poczucie winy oddzielające go od niechętnych spojrzeń. Czekał i czekał, aż w końcu trzasnęły drzwi. Nawet wtedy nie odwrócił się, lecz nasłuchiwał, by upewnić się, że w pokoju rozbrzmiewa tylko jeden oddech. Kiedy wreszcie przekonał się, że Pie'oh'pah zniknął, udrapował prześcieradło na sobie jak togę, osłaniając się przed pustką sypialni, która za bardzo przypominała jego spokój ducha. Zamknął drzwi apartamentu na klucz i płacząc się w todze, wrócił do łóżka. W głowie buczał mu sygnał z telefonu.

ROZDZIAŁ 9

1

Oscar Esmond Godolphin zawsze odmawiał krótką modlitwę ku czci demokracji, gdy wracał z dominiów na angielską ziemię, mimo że wyprawy te były niezwykle, a on sam – mile widziany w wielobarwnych kesparatach Yzordderrex. W tym mieście-państwie panowała autokracja tak surowa, że bladły przy niej wszystkie represje państwowe, jakich dopuszczał się jego rodzinny kraj. Zwłaszcza ostatnio. Miał w Drugim Dominium bliskiego przyjaciela i partnera w interesach, Hebberta Nuits-St-Georges, przez znajomych nazywanego Peccable. Peccable był kupcem, robił znakomite interesy na przesądnych i nieszczęśliwych mieszkańcach Drugiego Dominium. Regularnie narzekał, że w Yzordderrex szerzy się chaos, prawo słabnie z każdym dniem i niedługo będzie zmuszony opuścić miasto, może wręcz wynieść się z dominium i znaleźć sobie nowy dom gdzieś, gdzie otwierając rankiem okna nie będzie czuł smrodu palonych ciał. Na razie tylko narzekał, a Godolphin znał go na tyle, by wiedzieć, że dopóki źródło dostaw bożków, relikwii i juju z Piątego Dominium nie wyschnie, Peccable nie ruszy się z miejsca. A ponieważ to Godolphin dostarczał mu towar (w większości zwykle ziemskie drobiazgi, cenione w dominiach wyłącznie ze względu na pochodzenie) i nie zamierzał się wycofać, bo namiętnie kolekcjonował wytwory mieszkańców Imajiki, na które wymieniał bibeloty z Ziemi – interes Peccable'a kwitł. Żaden z nich nie znudzi się szybko handlem talizmanami.

Godolphina nie nudził też żywot Anglika w najbardziej nieangielskim z

miast. W małym, lecz wpływowym kręgu znajomych wszyscy natychmiast go rozpoznawali. Był pod każdym względem człowiekiem wielkim – wysoki, z okazałym brzuszyskiem, zarazem porywczy i układny, serdeczny i nieuprzejmy. Miał pięćdziesiąt dwa lata, dawno stworzył swój niepowtarzalny styl i czuł się z nim świetnie. Fakt, ukrywał potrójny podbródek pod ciemną, siwiejącą brodą, którą przycinać mogła tylko Hoi-Polloi, najstarsza córka Peccable'a. Prawdą było też, że nosił okulary w srebrnych oprawkach, żeby trochę mądrzej wyglądać; prawie ginęły na jego ogromnej twarzy i nie dodawały mu uroku, ale – jego zdaniem – tym bardziej mógł się kojarzyć z profesorem. Takie drobne sztuczki pozwalały mu wyróżniać się z tłumu, co lubił. Przerzedzone włosy obcinał krótko, nosił wysokie kołnierzyki i prążkowane koszule do gładkich tweedowych marynarek. Zawsze miał krawat, obowiązkowo kamizelkę. Doprawdy, trudno byłoby go nie zauważyć – i o to mu właśnie chodziło. Nic go tak nie cieszyło, jak fakt, że ludzie o nim mówią. A zwykle mówili dobrze.

Teraz jednak się nie uśmiechał. Wyszedł z pawilonu – eufemistycznie nazywanego Azylem – w którym podjęto próbę Pojednania, i zastał Dowda siedzącego na przenośnym stołeczku parę metrów od drzwi. Dopiero niedawno minęło południe, ale słońce zsunęło się już nisko po niebie, a powietrze było równie chłodne jak reakcja Dowda. Właściwie miał ochotę okręcić się na pięcie i wrócić do Yzorderrex, nie bacząc na szykującą się tam rewolucję.

– Mam przeczucie, że nie przynosisz wspaniałych wieści. Nie myślę się?

Dowd wstał, jak zwykle poruszając się z teatralną przesadą.

– Obawiam się, że ma pan absolutną rację – przyznał.

– Niech zgadnę. Rząd upadł! Dom się spalił! – Nagle w oczach Godolphina pojawił się strach. – Chyba nie chodzi o mojego brata? – Z twarzy Dowda nic nie mógł wyczytać. – Nie o Charliego, prawda? Mów! Nie żyje? Rozległy zawał, tak? Kiedy pogrzeb?

– Spokojnie, żyje. Ale jest z nim pewien problem.

– Jak zwykle. Jak zwykle. Weź towar i moje drobiazgi z pawilonu. Porozmawiamy po drodze. Możesz wejść do środka, nic cię nie ugryzie.

Czekając na Godolphina (czyli przez całe trzy dni, które wlokły się bez końca), Dowd nie zaglądał do Azylu, mimo że mógłby się w nim schronić przed kłusującym mrozem. Był wprawdzie całkowicie nieczuły na takie niewygody, ale uważał się za istotę, która rozumie odczucia innych. Długie lata spędzone na Ziemi nauczyły go pojmować chłód jako koncept intelektualny,

jeśli nie fizyczny, i właściwie miał ochotę się przed nim ukryć – gdziekolwiek, byle nie w Azylu. Nie dość że zginęło w nim wielu ezoteryków (a Dowd nie lubił bliskości śmierci, jeśli sam nie był jej sprawcą), to jeszcze był przystankiem na drodze z Piątego Dominium do czterech pozostałych, w tym jego rodzinnego, z którego został na wieki wygnany. Cierpiałby okrutnie, znalazłszy się tak blisko drzwi prowadzących do domu i nie mogąc ich otworzyć – nie pozwalały mu na to zaklęcia pierwszego właściciela, Joshuy Godolphina. Wolał marznąć.

Teraz jednak wszedł do środka, bo nie miał wyboru. Azyl wybudowano w stylu neoklasycystycznym. Dwanaście marmurowych kolumn wspierało pustą kopułę, która aż się prosiła o dekorację. Surowość przydawała powagi i funkcjonalności wnętrzu będącemu po prostu stacją przesiadkową, zaprojektowaną do obsługi tłumów pasażerów, chociaż obecnie służyła tylko jednemu. Na podłodze, pośrodku mozaiki, która zdawała się stanowić jedyne ustępstwo budowniczych na rzecz upiększenia pawilonu, a w istocie dowodziła prawdziwego celu jej istnienia, znajdował się stosik przywiezionych przez Godolphina pakunków. Hoi-Polloi Nuits-St-Georges opieczętowała je szkarłatnym woskiem. Wosk stał się ostatnio jej ulubioną zabawką i Dowd klął ją za to w żywy kamień, kiedy przychodziło mu rozsypywać węzły. Przeszedł ostrożnie na środek pawilonu; wiedział, że porusza się po niepewnym terenie. Po chwili wynurzył się jednak z budynku z naręczem skarbów Godolphina, który tymczasem wyszedł już z zagajnika oddzielającego pawilon od domu (opustoszałego, rzecz jasna, i w ruinie). Drzewa zasłaniały też pawilon przed spojrzzeniami przypadkowych ciekawskich, którzy wspięliby się na mur. Dowd odetchnął głęboko i ruszył w ślad za mistrzem. Czekają go nieprzyjemne wyjaśnienia.

2

– Wezwali mnie do siebie, tak? – powtórzył Oscar, gdy wracali do Londynu. Ruch na drodze nasilał się, jak zwykle pod wieczór. – No to sobie poczekają.

– Nie powiadomi ich pan o swoim powrocie do miasta?

– Sam zadecyduję, kiedy to zrobić. Mamy tu straszny bałagan, Dowdy. Paskudna sprawa.

– Kazał mi pan w razie potrzeby pomóc Estabrookowi.

– Ale nie chodziło mi o to, żebyś pomógł mu znaleźć zabójcę.

– Chant nikomu nie pisał słowa.

– Bo zginął. Schrzaniłeś sprawę na całej linii.

– Nie zgadzam się – zaprotestował Dowd. – Co miałem zrobić? Wiedział pan, że on chce zabić tę kobietę, i umył pan od tego ręce.

– To wszystko prawda. Rozumiem, że ona faktycznie nie żyje?

– Wątpię. Czytam gazety i nie znalazłem nekrologu.

– No to dlaczego kazałeś zabić Chanta?

Tu Dowd musiał zachować ostrożność. Gdyby zbyt dużo przemilczał, Godolphin zaczęłyby podejrzewać, że coś przed nim ukrywa; gdyby zaś się rozgadał, jego pracodawca mógłby za wiele się dowiedzieć. Im dłużej mistrz nie miał pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra, tym lepiej. Dowd przedstawił więc dwa gotowe wyjaśnienia:

– Przede wszystkim był bardziej nieodpowiedzialny, niż sądziłem. Pół dnia pracował, drugie pół pił i rozklejał się nad butelką. Poza tym wiedział za dużo i mógł zaszkodzić zarówno panu, jak i pańskiemu bratu. W końcu pewnie dowiedziałyby się o pana wycieczkach.

– A tak stowarzyszenie nabrało podejrzeń.

– Mieliśmy pecha, że sprawy przybrały taki obrót.

– Gówno prawda. Po prostu wszystko spieprzyłeś.

– Bardzo mi przykro.

– Wiem, Dowdy. Mamy teraz inny problem. Skąd wziąć kozła ofiarnego?

– Pański brat?

– Może... – Godolphin nie dał po sobie poznać, jak bardzo podoba mu się ta sugestia.

– Kiedy mam im powiedzieć, że pan wrócił?

– Jak wymyślę kłamstwo, w które sam uwierzę.

*

Wróciwszy do domu przy Regent's Park Road, Oscar dokładnie przeczytał wszystkie artykuły na temat śmierci Chanta. Dopiero później wszedł do skarbcza na trzecim piętrze, zabierając ze sobą towar i spory materiał do prze-

myśleń. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien raz na zawsze wynieść się z tego dominium. Mógłby zamieszkać w Yzordderrex i przystąpić do spółki z Peccable'em, ożenić się z Hoi-Polloi (co z tego, że miała zezę?), spłodzić stadko dzieciaków, a potem przenieść się na Wzgórza Świądomego Obłoku w Trzecim Dominium i hodować papugi. Wiedział jednak, że prędzej czy później zatęskniłby za Anglią, a tęsknota bywa okrutna. Skończyłoby się na biciu żony, terroryzowaniu dzieci i jedzeniu papug. Zatem, skoro musiał wracać do Anglii – chociażby na sezon krykietowy – a przebywając tu, rozliczać się przed stowarzyszeniem, tym razem też powinien stawić im czoło.

Zamknął się w skarbcu, usiadł pośród swoich eksponatów i czekał na natchnienie. Ciągące się pod sufit półki uginały się pod ciężarem kolekcji. Tworzyły ją przedmioty zebrane na całym obszarze od skraju Drugiego Dominium po granice Czwartego. Wystarczyło, że wzięłoby któryś z nich do ręki, a w wyobraźni przeniósłoby się do miejsca i chwili, w których go nabył. Posążek Etook Ha'chiit pochodził ze Slew, małej miejsciny, która – niestety – została zmieciona z powierzchni ziemi, a wszyscy jej mieszkańcy zgładzeni za rozpowszechnianie piosenki sugerującej w miejscowym dialekcie, że autarcha Yzordderrex nie ma jaj.

Innym skarbem był siódmy tom „Encyklopedii Znaków Niebieskich” Gaud Maybellome, pierwotnie napisany w naukowym żargonie Trzeciego Dominium, lecz przełożony później na wiele języków ku uciechu plebsu. Ten egzemplarz kupił od kobiety imieniem Jassick, która zaczęła go w kasynie, gdy próbował przybliżyć tubylcom zasady krykieta. Twierdziła, że rozpoznała go z opowieści jej męża, który służył w armii autarchy w Yzordderrex.

– Jest pan tym angielskim samcem – powiedziała.

Nie było sensu zaprzeczać.

Pokazała mu książkę, prawdziwy biały kruk. Encyklopedia nigdy nie przestała fascynować Godolphina, ponieważ intencją Maybellome było zgromadzić w jednym dziele opisy całej flory, fauny, wszystkich języków, osiągnięć naukowych, idei i poglądów moralnych – inaczej mówiąc, wszystko, co jej przyszło do głowy – jakie trafiły z Piątego Dominium, Kraju Soczystej Skały, do innych światów. Podjęła się pracy godnej Herkulesa i zmarła przy początku dziewiętnastego tomu, nie widząc końca swego zadania. Ale wystarczył jeden tom, żeby Godolphin do końca swoich dni szukał pozostałych. Encyklopedia była niezwykła, niemal nierzeczywista. Nawet jeśli tylko poło-

wa hasła mówiła prawdę (albo niewiele się z nią mijała), Ziemia wywarła wpływ na chyba wszystkie aspekty życia w światach, od których była oddzielona. Weźmy na przykład faunę: Maybellome wymieniała w encyklopedii niezliczone gatunki zwierząt, które, jak twierdziła, powędrowały z Ziemi do innych dominiów. Do oczywistych przykładów należały zebry, krokodyle i psy; oprócz nich opisywała mieszańki genetyczne, które część DNA zawdzięczały ziemskim przodkom. Wiele istot jednak, przedstawionych na rysunkach jakby żywcem wyjętych ze średniowiecznych bestiariuszy, wyglądało tak niesamowicie, że Godolphin wątpił, by mogły istnieć naprawdę – słoń żyjący w olbrzymiej muszli; robak, który umiał pisać i układał swoje kilometrowe, cienkie jak nić ciało w przepowiadnie; wilki wielkości ludzkiej dłoni, o skrzydłach kanarków. Prawdziwe cuda. Wystarczyło, że wziął encyklopedię do ręki, a już był gotów wkładać buty i wracać do dominiów.

Wystarczyło pobieżnie przejrzeć księgę, by zorientować się, jak przemożny wpływ wywierało jedno nie połączone dominium na cztery pozostałe. Różne odmiany ziemskich języków, szczególnie angielskiego, włoskiego, hindi i chińskiego, były znane dosłownie wszędzie, chociaż wyglądało na to, że autarcha, który doszedł do władzy w zamieszczeniu po nieudanym Pojednaniu, upodobał sobie angielski i doprowadził do jego największego rozpowszechnienia. Angielskie imiona uchodziły za wyjątkowo szczęśliwe, mimo że mało kto przejmował się ich znaczeniem. Stąd brały się takie potworki jak Hoi-Polloi^[1] – i tak jedno z mniej dziwacznych, jakie poznał Godolphin w czasie swoich wędrówek.

Pochlebiał sobie, że sam jest w jakiejś maleńkiej części odpowiedzialny za takie rozkoszne dziwadła. Przez lata podróżował przecież między Soczystą Skałą a dominiami i wywierał wpływ na ich życie. W dominiach był stały popyt na gazety i kolorowe magazyny (większy niż na książki). Słyszał o chrzcicielach z Patashoqua, którzy nadając dziecku imiona, przekłuwali szpilką egzemplarz londyńskiego „Timesa” i wybierali pierwsze trzy słowa, na które trafiło ostrze, nie bacząc na sens i brzmienie takiej zbitki. Oczywiście nie on jeden przyczyniał się do zmian; nie on sprowadził krokodyla, zebreczy psa (choćby mógłby zgłaszać pewne pretensje do papugi). Co to, to nie, szlaki łączące Ziemię z dominiami istniały zawsze, ten wychodzący z Azylu nie był jedynym. Niektóre musiały zostać otwarte przez maistrów i ezoteryków z różnych społeczeństw i kultur, którzy chcieli swobodnie poruszać się

pomiędzy światami. Inne mogły otworzyć się przypadkiem, a miejsca, w których się zaczynały, uchodziły za nawiedzone lub święte; ludzie unikali ich lub zazdrośnie strzegli. Jeszcze inne, najmniej liczne, zostały stworzone dzięki nauce innych dominiów jako drogi do nieba – do Kraju Soczystej Skały.

W takim właśnie miejscu, przy murach Iahmandhas w Trzecim Dominium, Godolphin zdobył najcenniejszy ze swoich skarbów: Puchar Bostoński i czterdzieści jeden kamieni do kompletu. Sam nigdy go nie używał, ale słyszał, że to jedno z najdokładniejszych narzędzi profetycznych we wszystkich światach. Godolphin siedział wśród swoich skarbów z narastającym przekonaniem, że wydarzenia, jakie mają ostatnio miejsce na Ziemi, prowadzą do jakiegoś znaczącego zakończenia. Ściągnął Puchar z najwyższej półki, odwinął go z papieru i postawił na stole. Na dno wysypał kamienie z woreczka. Prawdę powiedziawszy, nie wyglądało to zbyt obiecująco. Puchar przypominał jakieś naczynie kuchenne – gładka miska z pokrytej szkliwem ceramiki, w sam raz, żeby ubić w niej parę jajek na suflet. Kamyki były kolorowe, miały najróżniejsze kształty i rozmiary – od małych, płaskich otoczków, aż do idealnie toczonych kul wielkości gałki ocznej.

Kiedy włożył je do miski, naszyły go wątpliwości. Czy w ogóle wierzył w przepowiednie? A jeśli nawet, to czy rozsądnie będzie znać przyszłość? Raczej nie. Śmierć czekała go prędzej czy później; tylko bogowie i maestrowie żyli wiecznie, a człowiek mógł zakłócić równowagę swojego życia, wiedząc, kiedy ma ono dobiec końca. No dobrze, a gdyby jednak dzięki Pucharowi Bostońskiemu dowiedział się, jak rozwikłać sprawę stowarzyszenia? Kamień spadłby mu z serca.

– Bądź dzielny – przykazał sobie i przytknął środkowe palce obu dłoni do krawędzi naczynia. Peccable mówił mu, jak należy to robić. Sam miał kiedyś podobny puchar, ale żona rozbiła mu go podczas rodzinnej kłótni.

Nic się nie stało. Peccable uprzedzał go, że puchary potrzebują zwykle trochę czasu, żeby się rozgrzać. Godolphin czekał więc i czekał. Pierwszą oznaką działania Pucharu było grzechotanie, gdy kamienie zaczęły się poruszać; drugą – wyraźna kwaśna woń; trzecią – najbardziej widowiskową – gwałtowne podskoki kamieni. Odbijały się od ścianek, wyskakiwały nawet ponad krawędź – najpierw jeden, potem dwa, dziesięć, dwadzieścia, aż wszystkie śmigwały z taką szybkością, że misa drgnęła i zaczęła się przemieszczać po stole. Godolphin musiał ją mocno przytrzymać, żeby się nie przewróciła. Kamyki obijały mu boleśnie palce, ale widok, jaki ujrzał, osłodził mu

ból. Z ruchu kamieni w powietrzu ponad misą wyłaniały się obrazy.

Jak to zwykle bywa z prorocत्वami, o ich kształcie decyduje oko patrzącego. Być może, inny obserwator dostrzegłby w tych samych plamach kolorów coś zupełnie innego. Godolphin nie miał wątpliwości, co widzi. Przede wszystkim był tam Azyl, na wpół schowany w zagajniku. Potem on sam, stojący na środku mozaiki – albo wracał z Yzordderrex, albo właśnie się tam udawał. Obrazy zmieniały się szybko, grad kamyków rozbił Azyl i z chaosu wyłoniła się nowa budowla: wieżowiec, w którym urzędowała Tabula Rasa. Początkowo Godolphin oglądał budynek z ulicy, teraz znalazł się w środku. Oto oni – mędracy zebrani przy stole, pogrążeni w kontemplacji swojego boskiego obowiązku. Mogą sobie pogrzebać w pępku i podłubać w nosie, pomyślał. Tylko na to ich stać. W zaułkach na wschodzie Yzordderrex – w pobliżu portu, gdzie nawet koty mają swoich alfonsów – nie przeżyliby nawet godziny. Patrzył, jak sam pojawia się w tym obrazie. Zrobił albo powiedział coś takiego, że wszyscy zerwali się z miejsc. Nawet Lionel.

– Co to znaczy? – mruknął.

Ich twarze wyrażały ogromne emocje. Śmiali się? Co on takiego zrobił? Opowiedział im kawał? Pierdnął głośno? Nie, nie śmiali się, byli śmiertelnie przerażeni.

– Proszę pana?

Dobiegający zza drzwi głos Dowda wyrwał go z zamyślenia. Godolphin oderwał wzrok od misy i kamieni.

– Odejdź – burknął.

– Dzwoni McGann.

– Powiedz mu, że nie wiesz, gdzie jestem – prychnął Oscar.

Przez tę chwilę, gdy nie patrzył w Puchar, wydarzyło się coś okropnego. Członkowie Tabula Rasa wciąż wyglądali na wystraszonych, ale Godolphin zniknął. Odesłali go? Tak szybko? Boże, a może leżał martwy na podłodze? Niewykluczone, plama na stole połyskiwała jak świeża krew.

– Proszę pana!

– Spadaj, Dowdy!

– Wiedzą, że pan tu jest.

Wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli. Obserwowali dom.

– Dobrze. Powiedz mu, że zaraz zejde.

– Co pan powiedział?

Oscar podniósł głos, żeby przekrzyczeć stukot kamyków. Kiedy tym ra-

zem odwrócił wzrok, zrobił to świadomie.

– Dowiedz się, gdzie jest. Oddzwonię.

Wrócił spojrzeniem do Pucharu, ale zdekoncentrował się na dobre i nie umiał już zinterpretować obrazów tworzonych przez ruchome kamienie. Poza jednym. Kiedy zaczęły zwalniać, na mgnienie oka wyłowił z zamętu kobiecą twarz. Nie wiedział, czy ogląda swojego następcę przy stole stowarzyszenia, czy raczej zabójcę.

3

Czuł, że przed rozmową z McGannem musi się koniecznie czegoś napić. Dowd, jak zwykle zapobiegliwy, zawczasu przyrzędził mu whisky z sodą, ale Oscar nie przyjął jej, bojąc się, że rozwiąże mu język. Niejasna wizja z Pucharu Bostońskiego – paradoksalnie – pomogła mu w rozmowie z McGannem. W najtrudniejszych sytuacjach umiał zachować niemal patologiczną rezerwę i oschłość, co stanowiło jedną z najbardziej angielskich cech jego charakteru. Teraz więc też, chłodny i opanowany jak rzadko, tłumaczył McGannowi, że tak, istotnie trochę podróżował, i nie, stowarzyszenie nie powinno się interesować, gdzie i w jakiej sprawie wyjechał. Naturalnie, z przyjemnością pojawi się następnego dnia na spotkaniu w Roxborough Tower, ale czy McGann zdaje sobie sprawę (czy w ogóle go to obchodzi), że to będzie Wigilia?

– A ja zawsze chodzę na pasterkę do St Martin's-in-the-Field – dodał Oscar. – Byłbym zatem wdzięczny, gdyby spotkanie skończyło się na tyle wcześniej, żebym zdążył zająć dobre miejsce w kościele.

Głos ani przez chwilę mu nie zadrżał. McGann próbował się dowiedzieć, gdzie Godolphin podziewał się przez ostatnie kilka dni. Co go to obchodzi?

– Czy mnie interesują twoje sprawy prywatne? – spytał Oscar lekko urażony. – Tak czy nie? Nawiasem mówiąc, nie szpieguję cię i nie sprawdzam, kiedy wychodzisz z domu i kiedy wracasz. Przestań się pienić, McGann. Wy mi nie ufacie, ja wam nie ufam. Jutro na spotkaniu podniosę kwestię prywatności członków stowarzyszenia. Będzie to świetna okazja, by przypomnieć pozostałym, że nazwisko Godolphin to opoka Tabula Rasa.

– Tym bardziej powinienes być szczery – zauważył McGann.

– I będę. Dostarczę wam dość dowodów na swoją niewinność. – Dopiero teraz, po zwycięskim pojedynku intelektów, Oscar wziął do ręki szklaneczkę z whisky. – Niepodważalnych dowodów.

Skinął szklanką Dowdowi i wychylił ją w kilku łykach. Zdawał sobie sprawę, że zanim nastanie Boże Narodzenie, dojdzie do krwawej rzezi. Perspektywa była ponura, ale nie do uniknięcia.

– Chyba włożę jutro garnitur w jodełkę – oznajmił, odkładając słuchawkę.

– I białą koszulę, gładką. Z wykrochmalonym kołnierzykiem.

– A krawat? – spytał Dowd, podając mu drugą szklankę, pełną.

– Później idę prosto na pasterkę.

– W takim razie czarny.

– Czarny.

ROZDZIAŁ 10

1

Następnego dnia po zjawieniu się napastnika w mieszkaniu Marlina, po południu w Nowym Jorku rozszalała się śnieżycą. Zbiegła się w czasie z coroczną gorączką wyjazdową, przez co znalezienie wolnego miejsca na lot do Anglii graniczyło z niemożliwością. Ale Jude łatwo się nie poddawała, zwłaszcza kiedy powzięła jakieś mocne postanowienie. W tej chwili była przekonana, że – mimo protestów Marlina – najrozsądniej będzie wynieść się z Manhattanu. Zdrowy rozsądek kazał przyznać jej rację. Zabójca dwa razy próbował ją zamordować i nadal przebywał na wolności. W Nowym Jorku będzie stale zagrożona. A nawet jeśli nie (nie mogła pozbyć się wrażenia, że za drugim razem chciał ją przeprosić i coś wyjaśnić), znalazłaby inne wytłumaczenie szybkiego powrotu do Anglii, byle tylko pozbyć się Marlina. Robił się obrzydliwie sentymentalny, sypał przesłodzonymi komunałami rodem ze świątecznych staroci telewizyjnych i wodził za nią oczami spaniela. Rzecz jasna, zawsze taki był, ale po napadzie te cechy się w nim uwypukliły, a tolerancja Judith, podbudowanej spotkaniem z Gentle'em, spadła do zera.

Odłożywszy słuchawkę poprzedniego wieczoru, natychmiast pożałowała swojej płochości, a po szczerej rozmowie z Marlinem – kiedy zapowiedziała mu, że wraca do Anglii, on odparł, że rano wszystko będzie inaczej wyglądało, na razie niech łyknie pigułkę i się prześpi – postanowiła oddzwonić do Gentle'a. Marlin chrapał już w najlepsze. Wstała z łóżka, poszła do salonu, włączyła jedną jedyną lampkę i zadzwoniła. Czuła się jak szpieg.

Marlin bynajmniej nie ucieszył się na wieść, że jeden z jej dawnych kochanków popisywał się u niego w domu i zgrywał bohatera; nie byłby też zadowolony, widząc, jak Jude dzwoni do Gentle'a o drugiej nad ranem. Do tej pory nie miała pojęcia, co się właściwie wydarzyło, kiedy uzyskała połączenie. Ktoś podniósł słuchawkę i wypuścił ją z ręki. Z narastającą złością mogła więc słuchać, jak Gentle się z kimś kocha. Zamiast natychmiast się rozłączyć, nasłuchiwała przez dłuższą chwilę, trochę im zazdroszcząc. Ostatecznie jednak, nie mogąc się dowołać Gentle'a, odłożyła słuchawkę i w paskudnym humorze wróciła do wyziębionego łóżka.

Zadzwoił następnego dnia. Marlin odebrał telefon. Pozwoliła mu powiedzieć Gentle'owi, że jeśli jeszcze raz go zobaczy w tym domu, wezwie policję i oskarży go o współudział w próbie zabójstwa.

– Co odpowiedział? – zapytała, kiedy rozmowa dobiegła końca.

– Niewiele. Chyba się schlał.

Więcej do tej sprawy nie wracali. Marlin był przygnębiony jej poranną deklaracją, że upiera się przy natychmiastowym powrocie do Anglii. Nie przedstawiał się dopytywać, dlaczego chce to zrobić. Czy mógłby zrobić dla niej coś, żeby poczuła się lepiej tu, na miejscu? Może zainstalować dodatkowe zamki? Obiecać, że nie będzie jej odstępował ani na krok? Te pomysły nie zwiększały oczywiście jej entuzjazmu. Ze dwadzieścia razy powtarzała mu, że jest doskonałym gospodarzem, że nie powinien brać sobie tego tak do serca, ale chciałyby wrócić do siebie do domu, do miasta, w którym czułaby się bezpieczniej. Wtedy zaproponował, że poleci z nią, by nie musiała sama wracać do pustego domu. Odparła – czując, że jej zapas cierpliwości i uprzejmości jest na wykończeniu – że o niczym tak nie marzy jak o chwili samotności.

Postawiła na swoim. Z powodu śnieżycy w zółwym tempie dojechała takśówką na lotnisko, poczekała na opóźniony o pięć godzin samolot i odbyła lot wkliniowana między zakonnicę, która modliła się głośno za każdym razem, gdy samolot wpadał w dziurę powietrzną, i dzieciaka, którego należałoby odrobaczyć. Była panią samej siebie, w pustym mieszkaniu. W Wigilię.

Obraz namalowany w czterech różnych stylach czekał w pracowni. Gentle spóźnił się z powodu tej samej śnieżycy, która omal nie uniemożliwiła Judith opuszczenia Manhattanu. Przekroczył wyznaczony przez Kleina termin, lecz podczas podróży tylko przez krótką chwilę myślał o interesach. Cały czas głowę zaprzętało mu spotkanie z zabójcą. Nadal nie miał pojęcia, co Pie'oh'pah namieszał mu w głowie, ale mimo że rankiem wszystko wróciło do normy – widział nie gorzej niż zwykle i myślał na tyle jasno, żeby poradzić sobie z załatwieniem lotu do Anglii – echa nocnej wizyty pozostały. Drzemiąc w samolocie, czuł jedwabistą twarz mordercy pod swoimi palcami, muskające go po dłoni włosy, woń wilgotnej skóry i ciężar ciała Pie'oh'paha na biodrach – wspomnienie było tak żywe, że erekcja, jakiej doznał, zwróciła uwagę stewardesy. Doszedł do wniosku, że musi chyba oddzielić się od wspomnień jakimś nowym doznaniem – wyruchać je z siebie, wypocić do czysta. Od razu mu ulżyło. Kiedy znów zasnął, a wspomnienia wróciły, nie opierał się. Wiedział, jak się ich pozbędzie, gdy wróci do Londynu.

Siedział teraz przed czterostylowym obrazem i przeglądał notes z telefonami, szukając partnerki na noc. Zadzwoił do paru dziewczyn, ale wybrał najgorszy możliwy moment na odnawianie przelotnych znajomości. Mężowie wrócili do domów, szykowały się zjazdy rodzinne... Święta.

W końcu porozmawiał także z Kleinem, którego przekonał do przyjęcia przeprosin. Dowiedział się, że następnego dnia u Taylora i Clema szykuje się przyjęcie i będzie na nim mile widziany, o ile, naturalnie, nie ma innych planów.

– Wszyscy mówią, że to ostatnie święta Taylora – dodał Chester. – Myślę, że chciałby cię zobaczyć.

– W takim razie chyba powinienem pójść.

– Powinieneś. Taylor jest bardzo chory. Wyszedł z zapalenia płuc, ale dostał raka. Wiesz przecież, że darzy cię sympatią.

Nagłe przejście sprawiło, że Gentle zaczął myśleć o sympatii jak o nowej chorobie, ale nie skomentował tego. Ustalił szczegóły, umówił się z Kleinem, że wpadnie po niego, i odłożył słuchawkę. Znalazł się w jeszcze głębszym dołku. Wiedział o chorobie Taylora, ale nie zdawał sobie sprawy, że jego dni są policzone. Nastaly ponure czasy. Gdzie spojrzeć, świat się walił, a w przyszłości czaił się mrok, pełen rozmazanych kształtów i litościwych spojrzeń. Może to właśnie był Wiek Pie'oh'paha. Czas zabójcy.

*

Mimo że był zmęczony, nie położył się, lecz do drugiej nad ranem siedział nad ciekawostką, którą wcześniej odrzucił jako stek bzdur – nad pożegnalnym listem Chanta. Kiedy w samolocie do Nowego Jorku czytał go pierwszy raz, wydał mu się absurdalny. Od tej pory przeżył jednak kilka dziwnych doświadczeń i stronice, które kilka dni temu wyglądały na bezużyteczne, teraz uznał za warte wnikliwych dociekań. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś wskazówkę, zaszyfrowaną w fantazyjnej, egzaltowanej i zmanierowanej epistole Chanta. Szukał klucza do tajemniczych czasów i tożsamości tych, którzy pociągali za sznurki. Czyim bogiem, na przykład, był ten cały Hapexamendios, którego Chant kazał Estabrookowi czcić? Gentle wyszukał synonimy: Niewidziany, Pierwotny, Wędrowiec. Jaki boski plan Chant miał na myśli? W ostatnich godzinach życia żywił nadzieję, że jest jego częścią.

„Byłbym gotów na śmierć w tym DOMINIUM, wiedząc, że stałem się INSTRUMENTEM w rękach Niewidzianego”, napisał. „Chwała niech będzie Hapexamendiosowi, albowiem on to zostawił swe dzieci w Kraju Soczystej Skały, by CIERPIAŁY, i ja tu cierpiałem, i moje cierpienie DOBIEGŁO KOŃCA”.

W tym przynajmniej miał rację. Wiedział, że śmierć jest blisko, a to sugerowało, że znał też swojego zabójcę. Czy oczekiwał przyjscia Pie'oh'paha? Raczej nie. Pisał o nim, ale nie jako o tym, który wykona wyrok. Szczerze mówiąc, kiedy Gentle pierwszy raz czytał list, nie zorientował się nawet, że następne słowa odnoszą się właśnie do Pie'oh'paha. Teraz jednak nie miał wątpliwości.

„Zawarł pan pakt z istotą RZADKĄ nie tylko w tym DOMINIUM, ale we wszystkich, ja zaś nie wiem, czy śmierć, która nadchodzi, jest moją karą czy nagrodą za pośrednictwo w tej sprawie. Proszę zachować czujność. Taka siła bywa kapryśna. Jest mieszaniną cech i możliwości, nie rzeczą OSTATECZNĄ, choćby w części, lecz zmienną i wielobarwną jak pawie pióra, jak tęcza w pryzmacie.

Nigdy nie byłem jej przyjacielem – ona ma tylko CZCICIELI I NIWELATORÓW – ale ufała mi jako swojemu przedstawicielowi, ja zaś wyrzuciłem jej przy tym tyleż samo krzywdy co panu. Może nawet więcej. Jest bowiem samotna i cierpi w tym DOMINIUM tak jak ja. Ma pan przyjaciół, którzy do brze pana znają i przed którymi nie musi pan ukrywać swojej PRAWDZI-

WEJ NATURY. Proszę się ich trzymać i cieszyć się ich miłością. Kraj Soczystej Skały niebawem zatrzęsie się i zadrży, a w takich chwilach dusza może liczyć tylko na wsparcie tych, którzy ją kochają. Wiem to, bo widziałem taki czas i CIESZĘ SIĘ, że jeżeli znów ma nadejść w PIĄTYM DOMINIUM, ja będę już martwy, a moje oblicze zwróci się ku glorii NIEWIDZIANEGO.

Chwała niech będzie HAPEXAMENDIOSOWI.

Do pana w tej chwili kieruję moją modlitwę i skruchę".

List na tym się nie kończył, ale pismo robiło się niewyraźne, a struktura zdań jeszcze bardziej skomplikowana, tak jakby Chant wpadł w panikę i dopisywał końcówkę, wkładając w pośpiechu płaszcz. Kilka w miarę składnych akapitów zawierało jednak dość wskazówek, by Gentle'owi odechciało się spać. Najbardziej niepokojąco brzmiał opis Pie'oh'paha:

„RZADKA istota... mieszanina cech i możliwości...”.

Jak należało to interpretować, jeśli nie jak potwierdzenie tego, co na własne oczy widział w Nowym Jorku? Czym wobec tego była ta istota, która stała przed nim naga, niezwykła, kryjąc w sobie mnogość form? Chant twierdził, że „ta siła” nie ma przyjaciół (tylko „CZCICIELI I NIWELATORÓW”, jak pisał) i że wyrządzono jej „tyleż samo krzywdy” (znów cytata z Chanta) co Estabrookowi, któremu ofiarował modlitwę i żal. Na pewno nie była człowiekiem, nie przyszła na świat w żadnym plemienu ani narodzie, które znał Gentle. Czytany wielokrotnie list za każdym razem brzmiał coraz bardziej wiarygodnie. Gentle był gotów go zaakceptować. Czuł, że prawda przychodzi do niego z krainy, której istnienia domyślał się już w Nowym Jorku. Wcześniej się jej bał, ale teraz nie – może dlatego że był świąteczny poranek, czas cudów i niezwykłych przemian na świecie.

Im bliższy był zrozumienia – i poranka – tym bardziej żałował, że pozbył się zabójcy, który tak pożył jego towarzystwa. Jedyne wskazówki dotyczące jego tajemnicy pochodziły z listu Chanta, ale po setnym odczytaniu go wiedział, że nic więcej z nich nie wycisnie. Potrzebował czegoś więcej. Wciąż miał przed oczami mozaikową twarz Pie'oh'paha, ale znał słabość swojej pamięci. Musiał ten obraz utrwalić! Tak, to było teraz najważniejsze, zatrzymać tę wizję, zanim całkiem się rozplynie.

Odłożył list i wbił wzrok w swoją wersję „Wieczerzy w Emaus”. Czy w którymś z tych stylów zdołałby odtworzyć to, co widział? Wątpliwe. Musiał więc wymyślić coś nowego. Ambicja popchnęła go do działania. Postawił

„Wieczerzę” pionowo na blejtramie i zaczął wyciskać na płótno sjenę paloną prosto z tubki. Rozprowadził ją szpachlą, aż całkowicie zamazał namalowaną scenę. W grubo nałożonym tle zaczął wyciskać zarys sylwetki. Nigdy specjalnie nie studiował ludzkiej anatomii. Estetyka męskiego ciała niezbyt go interesowała, a ciało kobiety było tak zmienne, tak uzależnione od gry światła, od ruchu, że wszelkie próby jego statycznego odwzorowania były z góry skazane na niepowodzenie. Teraz jednak, choć zdawałoby się to niemożliwe, chciał nakreślić kształt wiecznie zmienny, znaleźć sposób na zamrożenie na płótnie tego, co widział w hotelowej sypialni, kiedy twarze Pie'oh'paha migaly mu przed oczami jak karty w dłoniach iluzjonisty. Gdyby mu się to udało, gdyby chociaż wiedział, jak się do tego zabrać, mógłby z czasem poznać istotę, która go nawiedziła.

Przez dwie godziny pracował jak w transie. Stawiał farbie wymagania, jakie przedtem nie przyszyłyby mu do głowy, lepił ją szpachlą i palcami, próbując uchwycić przynajmniej kształt i proporcje głowy i szyi. Pamiętał wyraźny obraz tej istoty (od zeszłej nocy myślał o niej prawie bez przerwy), ale nie umiał stworzyć nawet najprostszego szkicu. Nie był należycie przygotowany do takiego zadania, zbyt długo żył jak pasożyt, kopista, który powiela wizje innych. Tym razem sam doświadczył wizji – tylko jednej, ale przez to tym cenniejszej – i nie umiał jej wyrazić. Chciało mu się płakać. Z rękami ubrudzonymi farbą położył się w zimnej pościeli i czekał, aż sen przyniesie mu ukojenie.

Zanim ześliznął się w otchłań marzeń sennych, dwie myśli przysły mu do głowy. Po pierwsze, z rękami po łokcie umazanymi sjeną paloną wygląda, jakby babrał się we własnym gównie. Po drugie, jedyne, co mógł zrobić, aby rozwikłać dręczący go problem artystyczny, to spotkać się ponownie z modelem. Odpłynął w sen wolny od kłamstw i nabożnej czci. Z uśmiechem rozmyślał o tym, że znów ujrzy twarz rzadkiej istoty.

ROZDZIAŁ 11

Mimo że z domu Godolphina w Primrose Hill do siedziby Tabula Rasa nie było daleko i znaleźli się w Highgate punktualnie o szóstej, Oscar zaproponował, żeby przejechali się jeszcze do Crouch End i przez Muswell Hill wrócili pod wieżowiec. W sam raz, żeby dziesięć minut się spóźnić.

– Nie powinniśmy się przed nimi płaszczyć – stwierdził, gdy drugi raz zajeżdżali pod gmach. – Zrobią się arogancy.

– Mam zaczekać na dole?

– Sam, na mrozie? Nie ma mowy, mój drogi Dowdy. Wejdziemy na górę razem. Z darami.

– Jakimi darami?

– Z naszym sprytem, naszym dobrym gustem, jeśli chodzi o dobór marynarek... No, właściwie to z moim dobrym gustem. My będziemy tym darem.

Wysiedli i podeszli do wejścia. Kamery znad drzwi rejestrowały każdy ich ruch. Zamek szcęknął i znaleźli się w środku. Skierowali się do windy.

– Cokolwiek się dziś wydarzy, Dowdy – szepnął Godolphin – pamiętaj, że...

Nie skończył. Drzwi windy się otwały. W kabinie stał Bloxham, eleganczyki jak nigdy.

– Ładny krawat – zauważył Oscar. – Do twarzy ci w żółtym. – Krawat był niebieski. – Dowd chyba nie będzie wam przeszkadzał, prawda? Nigdzie się bez niego nie ruszam.

– Dla niego nie ma tu dziś miejsca – odparł Bloxham.

Dowd powtórzył, że może zaczekać, ale Oscar nie chciał o tym słyszeć.

– Broń cię Panie Boże! Poczekaś na górze. Stamtąd jest ładny widok.

Wszystko to ogromnie irytowało Bloxhama, ale nie umiał się postawić Godolphinowi. W milczeniu wjechali na górę. Kiedy wysiedli, zostawili Dowda przy windzie i Bloxham zaprowadził Oscara do sali narad. Wszyscy już czekali, wpatrzeni w niego oskarżycielsko. Niektórzy – na pewno Shales i Charlotte Feaver – nie kryli satysfakcji, że najbardziej niepokorny członek stowarzyszenia został przywołany do porządku.

– Och, przepraszam... – powiedział Oscar, gdy zamknęły się za nim drzwi. – Długo czekacie?

*

W jednym z mniejszych, pustych pokoi na ostatnim piętrze Dowd siedział pogrążony w rozmyślaniach, słuchając maleńkiego radyjka. O siódmej w wiadomościach podano informację o wypadku na autostradzie, w którym zginęła cała rodzina wybierająca się na święta. W więzieniach w Bristolu i Manchesterze wybuchły zamieszki. Skazańcy twierdzili, że strażnicy przetrzepali ich paczki od rodzin, niszcząc zawartość. Nie obyło się bez obowiązkowych doniesień z wojen i prognozy pogody, która zapowiadała szare ponure Boże Narodzenie i wiosenny wietrzyk. W Hyde Parku ciepły zefirek pewnie spowoduje do zakwitnięcia krokusy, które parę dni później zetnie mróz. O ósmej Dowd wciąż wyglądał przez okno. W serwisie skorygowano jedną z wiadomości sprzed godziny – ktoś jednak ocalał z karambolu na autostradzie. Trzymiesięczny berbecz wyszedł z niego osierocony, ale bez szwanku. Siedząc w ciemnym pokoju, Dowd zapłakał cicho, chociaż płacz był równie obcy jego psychice, jak uczucie zimna jego nerwom. Wyćwiczył się jednak z sztuce odgrywania smutku z tym samym zaangażowaniem, z którym nauczył się udawać dreszcze – wszystko w celu stworzenia pełnej iluzji człowieczeństwa. Jego nauczycielem był Szekspir, a ulubioną czytanką – „Król Lear”. Zapłakał nad dzieckiem i krokusami. Miał jeszcze oczy mokre od łez, gdy w pokoju zebrań rozległ się jazgot podniesionych, gniewnych głosów. Drzwi otworzyły się z rozmachem i Godolphin wezwał go do siebie, niepomny protestów pozostałych.

– To gwałt, Godolphin! – wykrzyknął Bloxham.

– Zmusiliście mnie do tego – odparł nie mniej wzburzony Oscar. Spotkanie wyraźnie nie układało się po jego myśli. Ściągną na karku wystąpiły mu pod skórą jak postronki, przy każdym słowie z ust tryskały kropelki śliny, pot

perlił się w workach pod oczami. – Nie znacie nawet połowy prawdy! Nawet połowy! Padliśmy ofiarą spisku sił, których nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Ten Chant z pewnością był ich wysłannikiem. Oni potrafią przybierać ludzką postać!

– Nonsens – stwierdziła Tyrwhitt.

– Nie wierzysz mi?

– Nie wierzę, a już na pewno nie mam ochoty, żeby twój przydupas przysłuchiwał się naszej rozmowie. Czy mógłbyś wyprosić go z Izby?

– On ma dowody na poparcie moich słów – upierał się Oscar.

– Czyżby? – spytał z powątpiewaniem Shales.

– Sam wam pokaże. – Godolphin odwrócił się w stronę Dowda. – Chyba nie mamy wyjścia – dodał i sięgnął za pazuchę.

Dowd zrozumiał, co się święci, na ułamek sekundy przed tym, jak w dłoni Oscara błysnął nóż. Zaczął się cofać, ale Godolphin był szybszy. Błysnęła stal. Dowd poczuł rękę Godolphina na szyi. Zewsząd dobiegały okrzyki przerażenia. Dowd padł na stół z rozpostartymi ramionami, niczym oporny pacjent przed operacją. Chirurg zadał mu jedno błyskawiczne pchnięcie nożem – w sam środek klatki piersiowej.

– Chcecie dowodów?! – ryknął Oscar, przekrzykując krzyk Dowda i hałas panujący przy stole. – Tak? Dowodów?! Proszę bardzo!

Oparł się całym ciężarem ciała na nożu i ciął mocno na boki – najpierw w prawo, potem w lewo. Ostrze nie napotkało żadnego oporu, nie natrafiło ani na żebra, ani na mostek. Nie popłynęła krew, lecz jakaś brudnawa, wodnista ciecz, która ściekała na blat. Dowd miotał się i szarpał głową na boki, nie mogąc znieść takiego upokorzenia. Przez moment patrzył oskarżycielsko na Oscara, zbyt zajętego, by się tym przejąć. Mimo protestów wszystkich zebranych Godolphin nie przerywał zabiegu, dopóki nie rozciął leżącego przed nim ciała od pępka do gardła. Dowd przestał się rzucać. W Izbie rozszedł się wstrętny zapach – ostra mieszanina odorów ścieków i aromatu wanilii. Dwoje świadków rzuciło się do wyjścia. Jednym z nich był Bloxham, mdłości pokonały go, zanim wybiegł na korytarz. Jego jęki nie powstrzymały jednak Godolphina, który bez wahania zanurzył rękę w rozciętym ciele i wyciągnął garść wnętrzności, splątaną masę błękitnej i czarnej tkanki, która ostatecznie dowodziła nieludzkiej natury Dowda. Triumfalnym gestem rzucił dowody obok ciała, cofnął się od stołu i cisnął nóż do wnętrza rany. Całe przedstawienie trwało niespełna minutę, ale Izba przypominała teraz rynsztok na targu

rybnym.

– Zadowoleni?

Protestów nie było. Ciszę mącił tylko rytmiczny plusk wyciekającej z rozciętej arterii cieczy.

– Pogięło cię – wyszeptał McGann.

Oscar ostrożnie sięgnął do kieszeni w spodniach i wyjął chusteczkę. Jej wyprasowanie było jedną z ostatnich rzeczy, jakich dokonał biedny Dowd. Wyglądała doskonale. Strząsnął ją, rozprostował ostre jak brzytwa kanty i zaczął wycierać ręce.

– A jak inaczej miałem wam udowodnić, że mam rację? Sami mnie do tego zmusiliście. Proszę, oto dowód w całej swojej krasie. Nie wiem, co stało się z Dowdem, moim przydupasem, jak go nazwałaś, Alice, ale to coś zajęło jego miejsce.

– Od jak dawna o tym wiedziałaś? – spytała Charlotte.

– Podejrzywałem go od mniej więcej dwóch tygodni. Nie wyjechałem z miasta. Śledziłem go. A wy wszyscy myśleliście, że wygrzewam się gdzieś na słończku.

– Co to właściwie jest? – zdziwił się Lionel. Szturchnął palcem strzępek ciała Dowda.

– Bóg jeden wie – odparł Godolphin – ale na pewno nie pochodzi z tego świata.

– Należałoby chyba zapytać, czego tu szukało – podsunęła Alice.

Godolphin powiódł wzrokiem dookoła.

– Mogę tylko zgadywać, że chciało wkraść się do Izby, co, jak rozumiem, udało mu się trzy dni temu. Mam nadzieję, że żadne z was się nie wygadało.

– Kilka osób wymieniło przelotne spojrzenia. – A jednak? Szkoda. Miejmy nadzieję, że nie zdążyło o niczym powiadomić swoich przełożonych.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdził McGann. – Odpowiedzialność spada na nas wszystkich. Na ciebie też, Oscarze. Nie powinieneś ukrywać przed nami swoich podejrzeń.

– A uwierzylibyście mi? Sam z początku nie wierzyłem, dopóki nie zacząłem zauważać pewnych zmian u Dowda.

– Dlaczego ty? – zdziwił się Shales. – To naprawdę chciałbym wiedzieć. Dlaczego akurat ciebie wybrali na swoją ofiarę? Musieli uznać, że jesteś bardziej podatny na ich wpływy niż my; może liczyli, że do nich dołączysz. Może już dołączyłeś.

– Jak zwykle, Hubercie, jesteś za bardzo przekonany o własnej racji, żeby dostrzec luki w swoim rozumowaniu. Kto mówi, że jestem jedynym celem? Czy mógłbyś mi przysiąc, że wszyscy, których znasz, są poza wszelkim podejrzeniem? Jak bacznie obserwujesz swoich przyjaciół? A rodzinę? Każdy może być w spisku.

Sianie wątpliwości sprawiało mu perwersyjną przyjemność. Widział, że trafiają na podatny grunt. Twarze, pół godziny temu nadęte pewnością siebie, flaczały teraz jak przekłute baloniki. Warto było zaryzykować ten spektakl, choćby po to, żeby zobaczyć, jak się boją. Shales jednak łatwo nie odpuścił.

– Co nie zmienia faktu, że to ty zatrudniałeś tę istotę.

– Dość już słyszeliśmy, Hubercie – wtrącił spokojnie McGann. – Nie czas na spory. Musimy walczyć i bez względu na to, czy pochwalamy metody Oscara, czy nie – nawiasem mówiąc, ja jestem im przeciwny – nie możemy chyba wątpić w jego lojalność. – McGann popatrzył po zebranych. Zewsząd odpowiedziały mu pomruki aprobaty. – Bóg jeden wie, do czego zdolny byłby taki stwór, gdyby odkrył, że go zdemaskowano. Godolphin wiele ryzykował w naszym imieniu.

– Zgadza się – przytaknął Lionel. Stał obok Oscara i włożył mu w świeżo wytartą dłoń szklanekę dobrej słodowej whisky. – Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Pij.

– Zdrowie. – Oscar opróżnił szklanekę jednym haustem.

– Nie mamy sobie czego gratulować – stwierdziła Charlotte Feaver. Pierwsza usiadła z powrotem przy stole, nie przejmując się tym, co na nim leży. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym, wydymając wargi. – Jeżeli Godolphin ma rację i ten stwór rzeczywiście chciał się zbliżyć do stowarzyszenia, powinniśmy zadać sobie pytanie: po co?

– Śmiało, pytaj – zasugerował oschle Shales. – On niewiele nam powie. Co na pewno dla niektórych jest bardzo wygodne.

– Jak długo mam jeszcze znosić te insynuacje? – zdenerwował się Godolphin.

– Powiedziałem: dość, Hubercie – powtórzył McGann.

– To jest demokratyczne spotkanie. – Shales sprzeciwił się nieoficjalnemu przywództwu McGanna. – Jeżeli chcę coś powiedzieć...

– Już powiedziałeś – wtrącił Lionel z pijackim sprytem. – Możesz się już zamknąć.

– Co teraz? – spytał Bloxham. Otarł już brodę i wrócił do stołu. Chciał za-

trzeć złe wrażenie wywołane niegodną mężczyzny postawą. – Nastały niebezpieczne czasy.

– Dlatego tu jesteśmy – powiedziała Alice. – Oni wiedzą, że zbliża się rocznica i chcą od nowa zacząć całą tę szopkę z Pojednaniem.

– Ale po co mieliby infiltrować stowarzyszenie? – nie rozumiał Bloxham.

– Żeby włożyć nam kij w szprychy – odparł Lionel. – Gdyby wiedzieli, co zamierzamy, mogliby pokrzyżować nam plany. Dużo dałeś za ten krawat?

Bloxham spuścił wzrok na krawat – był cały zarzygany – i zerwał go z szyi. Posłał Lionelowi wściekłe spojrzenie,

– Nadal nie rozumiem, czego mogliby się od nas dowiedzieć – mówiła Alice Tyrwhitt. – Nie wiemy nawet, co to jest Pojednanie.

– Ależ wiemy – zaproponował Shales. – Nasi przodkowie chcieli wprowadzić Ziemię na orbitę niebios.

– To bardzo poetycka wizja – mruknęła Charlotte. – Tylko co konkretnie oznacza? Wiemy czy nie? – Zapadła cisza. – Raczej nie. Siedzimy tu, bo przysięgliśmy strzec tajemnicy, o której nie mamy pojęcia.

– To był jakiś eksperyment – przypomniał Bloxham. – Nieudany.

– Czy oni wszyscy byli nienormalni? – spytała Alice.

– Miejmy nadzieję, że nie. To bywa dziedziczne – zauważył Lionel.

– Ja nie zwariowałam. Jestem cholernie pewna, że moi przyjaciele są równie zdrowi na umyśle jak ja. I że są ludźmi. Wiedziałabym, gdyby było inaczej.

– Milczysz, Godolphin – powiedział McGann. – To do ciebie niepodobne.

– Chłonę waszą mądrość.

– Do jakich wniosków cię doprowadziła?

– Świat ma naturę cykliczną – odparł z namysłem Godolphin. Słuchali go nad podziw uważnie. – Zbliża się koniec tysiąclecia. Rozum ustępuje przed głupotą, naukowa ostrożność przed sentymentami. Gdybym był początkującym ezoterykiem, który ma dryg do historii, bez trudu chyba ustaliłbym szczegóły tego... eksperymentu, jak nazwał go Bloxham. Może przyszłoby mi przy okazji do głowy, że czas spróbować ponownie.

– To bardzo prawdopodobne – przytaknął McGann.

– Kto by mu to wszystko powiedział? – zapytał Shales.

– Musiałby być samoukiem.

– A skąd czerpałby wiedzę? Wszystkie księgi są zakopane tutaj, pod nami.

– Wszystkie? Skąd ta pewność? – zadrwił Godolphin.

– Ponieważ od dwustu lat na Ziemi nie odnotowano żadnej znaczącej próby użycia magii. Ezoterycy są zagubieni i bezradni. Gdyby czegoś próbowali, wiedzielibyśmy o tym.

– Nowy przyjaciel Godolphina uniknął naszej uwagi – zauważyła Charlotte, pozbawiając Oscara frajdy wytknięcia im tego osobiście. – Czy mamy przynajmniej pewność, że biblioteka jest nienaruszona? Że nikt nie ukradł ksiąg?

– Niby kto? – zdumiał się Bloxham.

– Na przykład Dowd. Nie skatalogowaliśmy ich nigdy. Leash próbowała to zrobić, ale wszyscy wiemy, co się z nią stało.

Historia pani Leash należała do wstydliwych sekretów stowarzyszenia, a składała się z tragicznie zakończonej serii wypadków. Clare Leash miała obsesję na punkcie spisania wszystkich ksiązek, które znalazły się w posiadaniu Tabula Rasa. Nie zdążyła, bo dostała zawału i dwa dni przeleżała na posadzce w piwnicy. Kiedy ją znaleziono, była ledwie żywa i postradała rozum. Przeżyła jednak i obecnie, jedenaście lat później, mieszkała w hospicjum w Sussex. Nigdy nie doszła do siebie.

– Mimo to powinniśmy móc stwierdzić, czy ktoś się tam włamał – upierała się Charlotte.

– To prawda – zgodził się z nią Bloxham. – Należałoby się tym zająć.

– Rozumiem, że zgłaszasz się na ochotnika. – McGann spojrział na niego pytająco.

– Poza tym podziemia Roxborough Tower nie są jedynym źródłem takiej wiedzy – ciągnęła Charlotte. – Chyba nikt nie twierdzi, że mamy u siebie wszystkie książki na temat Imajiki, prawda?

– Oczywiście, że nie, ale dwa stulecia działalności stowarzyszenia doprowadziły do zaniku tradycji – odparł McGann. – W kraju nie ma żadnych liczących się tajnych kultów, to wiemy. Te, które są, zbierają informacje z różnych ochłapów, które im się trafią. Robota głupiego. Nie mają środków, które pozwalałyby im myśleć poważnie o Pojednaniu; mało który zdaje sobie sprawę, czym właściwie jest Imajica. Ćwiczą swoje uroki na przełożonych w banku.

Godolphin od lat słyszał te same przechwałki: twierdzenia, że magia w świecie zachodnim się wyczerpała, i gratulacje z okazji rozpracowania sekretnych kultów. Nie było żadnych kultów. Pseudonaukowcy przerzucali się tajemniczymi teoriami, używając języka, którego sami nie rozumieli; mania-

cy seksualni wymuszali na podwładnych usługi, do których nie umieli ich inaczej przekonać; najczęściej zaś trafiało się na wariatów tworzących mitologię, które – choć godne pożałowania – pozwalały im nie stoczyć się na samo dno psychozy. Może jednak wśród oszustów i świrów był jakiś człowiek, który umiał trafić do Imajiki, kierując się wyłącznie instynktem? Urodzony maestro, w którego genach tkwiła zakodowana wiedza o Pojednaniu. Godolphin nigdy dotąd o tym nie myślał – zanadto absorbowana go tajemnica, z którą przeżył prawie całe dorosłe życie – ale pomysł był intrygujący. I niepokojący.

– Nie możemy lekceważyć zagrożenia – odezwał się. – Nawet jeśli wydaje się nam mało prawdopodobne.

– Jakiego zagrożenia? – zdziwił się McGann.

– Że gdzieś tam istnieje maestro, o którym nie wiemy. Ktoś, kto rozumie ambicje naszych przodków i może próbować na własną rękę powtórzyć eksperyment. Może nie chodzi mu o księgi, może wcale ich nie potrzebuje. Siedzi sobie w domu i rozpracowuje problem.

– To co robimy? – spytała Charlotte.

– Czystkę – odparł Shales. – Przykro mi to mówić, ale Godolphin ma rację. Nie wiemy, co się dzieje. Śledzimy rozwój wydarzeń na odległość i bywa, że załatwiamy komuś dożywotnią kurację psychiatryczną, ale unikamy czystek. Czas to zmienić.

– Jak się do tego zabrać? – zapytał Bloxham z fanatycznym błyskiem w wodnistych oczach.

– Mamy sprzymierzeńców. Wykorzystajmy to. Zajrzemy pod każdy kamień, a gdy znajdziemy coś, co się nam nie spodoba, zabijemy to.

– Nie jesteśmy szwadronem śmierci.

– Ale mamy pieniądze, żeby sobie taki szwadron kupić. I przyjaciół, którzy w razie potrzeby zatuszują sprawę. Osobiście uważam, że naszym najważniejszym zadaniem jest za wszelką cenę powstrzymać ewentualną próbę Pojednania. Po to przyszliśmy na świat.

Shales mówił bez śladu melodramatycznej przesady, jakby recytował listę zakupów, co zrobiło spore wrażenie na słuchaczach. Ostatnia uwaga również. Któż nie dałby się porwać myślom o tak szczytnym celu, sięgającym dwa stulecia wstecz, do ludzi, którzy pierwsi zebrali się w tym miejscu? Nieliczni ocaleli z katastrofy przysięgli, że oni sami, ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci i ich potomstwo aż do końca świata będzie żyć i umierać, mając na

względnie tylko jedno – niedopuszczenie do powtórzenia się tragedii.

McGann zaproponował głosowanie, które natychmiast przeprowadzono. Decyzja zapadła jednogłośnie. Całe stowarzyszenie było zgodne, że jedynym wyjściem z sytuacji jest likwidacja wszelkich osób, które mogłyby – obecnie lub w przyszłości – odprawić rytuały otwierające drogę do tak zwanych Pojednanych Dominiów. Postanowienie nie dotyczyło tradycyjnych organizacji religijnych. Były z natury nieszkodliwe, a mogły odciągnąć uwagę części ludzi, których kusiły praktyki ezoteryczne. Odpuszczali sobie też szarlatanów i spekulantów, wróżbitów, rzekome media i spirytualistów, którzy piszą nowe koncerty dawno zmarłych kompozytorów i sonety nieżyjących poetów. Liczyli się tylko ci, którzy mogli natrafić na ślad Imajiki i jakoś ten fakt wykorzystać – tych należało się pozbyć. Zapowiadała się żmudna, czasem brutalna robota, ale stowarzyszenie było na to przygotowane. Nie pierwszy raz opracowało założenia czystki (choć nigdy jeszcze nie przeprowadziło akcji na taką skalę); jego struktura świetnie nadawała się do takich dyskretnych, a przy tym szeroko zakrojonych akcji. Zamierzali uderzyć w tajemne kultury, rozproszyć ich członków, przekupić lub aresztować przywódców. Kiedyś już pozbyto się z Anglii wszystkich znaczących ezoteryków i cudotwórców. Teraz zapowiadała się powtórka.

– Czy na tym możemy zakończyć spotkanie? – zapytał Oscar. – Spieszę się na pasterkę.

– Co mamy zrobić z ciałem? – spytała Alice Tyrwhitt.

Godolphin miał gotową odpowiedź.

– Ja narobiłem bałaganu, ja posprzątam – odparł z należytą pokorą. – Dziś w nocy zostanie spalone na autostradzie. Chyba że ktoś ma lepszy pomysł.

Nikt się nie sprzeciwił.

– Byle stąd zniknęło – rzuciła tylko Alice.

– Potrzebuję pomocy, żeby jakoś je zawinąć i znieść do samochodu. Bloxham?

Bloxham, nie wiedząc, jak odmówić, poszedł poszukać czegoś do opakowania zwłok.

– Nie widzę sensu, żebyśmy wszyscy tu siedzieli – zauważyła Charlotte, wstając od stołu. – Jeżeli to koniec, wracam do domu.

Była przy drzwiach, kiedy Oscar postanowił wykręcić ostatni, triumfalny numer.

– Dziś w nocy pewnie wszyscy będziemy myśleć o tym samym – powie-

dział.

– To znaczy? – zdziwił się Lionel.

– Skoro te istoty tak świetnie udają ludzi, może nie powinniśmy ufać sobie nawzajem. Zakładam, że w tej chwili wszyscy jesteśmy ludźmi, ale kto wie, co przyniesie Gwiazdka?

*

Pół godziny później Oscar był gotów wybrać się na pasterkę. Bloxham, który początkowo wyglądał na mięczaka, spisał się całkiem nieźle – wepchnął Dowdowi do brzucha rozwleczone po stole wnętrzności i za pomocą folii oraz taśmy klejącej zmajstrował z niego przyzwoitą mumię. Z Oscarem zawlekli trupa do windy, a potem przenieśli go do samochodu. Noc była pogodna, na rozgwieżdżonym niebie lśnił cieniutki sierp księżyca. Wyczulony na piękno Godolphin przystanął, podziwiając ten widok.

– Czy to nie wspaniałe, Giles?

– Rzeczywiście. Aż mi się w głowie kręci.

– Tyle światów...

– Nic się nie martw. Postaramy się, żeby do tego nie doszło – odparł Bloxham.

Zmieszany tymi słowami Oscar spojrzał na niego. Bloxham wcale nie patrzył w gwiazdy, lecz cały czas mocował się z ciałem. Rozmyślał o planowanej czystce.

– To powinno wystarczyć. – Bloxham zatrzasnął bagażnik i podał Godolphinowi rękę na pożegnanie.

Oscar uściskał ją, ciesząc się, że w ciemności nie widać, jak bardzo jest zdegustowany. Pożegnał się z Gilesem, wiedząc, że już wkrótce będzie musiał zdecydować po czyjej stronie stanąć. Mimo sukcesu przedstawienia, które urządził dziś wieczorem, i poczucia bezpieczeństwa, jakie dzięki niemu zyskał, nie mógł mieć pewności, że członkowie Tabula Rasa uznają go za swojego. Z drugiej strony – gdzie było jego miejsce, jeśli nie wśród nich? To była prawdziwa zagadka i cieszył się, że pasterka pozwoli mu o niej zapomnieć.

Dwadzieścia pięć minut później wchodził po schodach kościoła St Martin's-in-the-Field. Zmówił krótką modlitwę w intencji zbliżonej do tych, które przepełniały serca wiernych szykujących się do śpiewania kolęd. Modlił się o

nadzieję, która oczyściłaby jego duszę z wątpliwości i wahania, i o blask, który płonąłby nie tylko w jego piersi, ale rozprzestrzenił się na wszystkie dominia i rozświetlił całą Imajicę. Jeżeli jednak ta światłość rzeczywiście się zbliżała, modlił się, by wierni się mylili. Opowieści o Narodzinach Pańskich brzmiały pięknie, ale czas biegł nieubłaganie i jeśli dziś nadzieja była dopiero dzieciątkiem, to zanim osiągnie wiek odkupienia, światy, które przyszła zbawić, umrą.

ROZDZIAŁ 12

1

Taylor Briggs powiedział kiedyś Judith, że odmierza swoje życie porami letnimi. Na łożu śmierci, mówił, będzie pamiętał każde lato i poczytywał je sobie za błogosławieństwo. Pamiętał całą swoją młodzieńczą karierę, od młodzieńczych miłostek do ostatnich wielkich orgii w zacisznych gabinetach i łaźniach Nowego Jorku i San Francisco. Wtedy Judith mu tego zazdrościła. Podobnie jak Gentle, sięgała pamięcią nie dalej niż dziesięć lat wstecz. Nie pamiętała nic ze swego dzieciństwa i młodości, nie potrafiła wyobrazić sobie swoich rodziców, nie wiedziała, jak mieli na imię. Ta niezdolność do wiązania się z przeszłością nie przeszkadzała jej zbytnio (nie rozumiała, jak można żyć inaczej), dopóki nie spotykała kogoś takiego jak Taylor, który rozkoszował się wspomnieniami. Miała nadzieję, że to się nie zmieniło – wspomnienia były jedną z niewielu przyjemności, jakie mu w życiu pozostały.

Pierwszy raz usłyszała o jego chorobie rok wcześniej, w lipcu, od Clema, jego kochanka. Mimo że obaj prowadzili podobnie rozwiązłe życie, choroba go ominęła. Jude strawiła kilka nocy, przekonując Clema, by nie czuł się winny, iż niezasażenie wyszedł z tego cało. Później, jesienią, ich drogi się rozeszły, toteż zdziwiła się, gdy po powrocie z Nowego Jorku znalazła w skrzynce zaproszenie na przyjęcie bożonarodzeniowe. Wciąż roztrzęsiona po tym, co ją spotkało, zadzwoniła, by odmówić, Clem jednak zdradził jej półgłosem, że Taylor prawdopodobnie nie dożyje najbliższej wiosny, o lecie nie wspominając. Wobec tego może by jednak przyszła, ze względu na niego?

Naturalnie, zgodziła się. Jeżeli ktokolwiek z jej znajomych naprawdę umiał wyciągnąć ją z dołka, to właśnie Clem z Taylorem, czuła się więc zobowiązana poświęcić im trochę czasu. Ciekawe, czy dlatego, że miała tyle kłopotów z heteroseksualnymi facetami, znajdowała ukojenie w towarzystwie mężczyzn, dla których jej płeć nie stanowiła powodu do wojny?

Było krótko po ósmej wieczorem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, kiedy Clem otworzył drzwi i zaprosił ją do środka. W korytarzu pod jemiolą skradł jej całusa – zanim, jak powiedział, rzucą się na nią barbarzyńcy. Dom był przystrojony jak dziewiętnastowieczna rezydencja, bez cynfolii, sztucznego śniegu i migocących lampek, za to cały w jedlinie porozwieszanej na ścianach i kominkach. Człowiek czuł się jak w lesie. Clem, którego młodość długo opierała się wiekowi, nie prezentował się tego dnia najlepiej. Przed pięćmioma miesiącami w korzystnym świetle mógł uchodzić za korpulentnego trzydziestolatka, teraz wyglądał co najmniej o dziesięć lat starzej. Entuzjazm i komplementy nie były w stanie zamaskować zmęczenia.

– Ubrałaś się na zielono – powiedział, prowadząc ją do salonu. – Wiedziałem, że tak zrobisz; mówiłem Taylorowi. Zielone oczy, zielona sukienka.

– Podoba ci się?

– Naturalnie! W tym roku mamy pogańskie święta. *Dies Natalis Solis Invictus*.

– Co to znaczy?

– Narodziny Niezwyciężonego Słońca. Światłości świata. Przydałaby się.

– Znam tu kogoś? – zapytała Judith, zanim weszli w tłum.

– Wszyscy znają ciebie, skarbie – odparł pieszczotliwie Clem. – Nawet ci, którzy na oczy cię nie widzieli.

Dostrzegła sporo znajomych twarzy, tak że pięć minut trwało, nim przebiła się do Taylora, siedzącego niczym udzielny książę na miękkim fotelu przy kominku, na którym buzował ogień. Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo na jego widok jest wstrząśnięta. Taylor stracił niemal kompletnie swoją słynną lwią grzywę i każdy gram zbędnego ciała z twarzy. Oczy, zawsze tak przenikliwe (jedna z wielu cech, które łączyły go z Jude), zdawały się olbrzymie, jakby chciał w tym krótkim czasie, jaki mu pozostał, pochłonąć wszystko, co śmierć mu odbierze. Rozłożył ramiona.

– Moja kochana – powiedział. – Przytul mnie. Wybacz, że nie wstaję.

Objęła go. Skóra i kości. Był przemarznięty, mimo że tuż obok huczał ogień.

– Clem podał ci coś do picia?
– Już się robi – powiedział Clem.
– To i mnie przynieś jeszcze jedną wódkę – polecił Taylor swoim zwykłym, rozkazującym tonem.
– Chyba ustaliliśmy...
– Wiem, że mi szkodzi, ale na trzeźwo czuję się jeszcze gorzej.
– To cię zabije – rzekł Clem. Jego szczerość wstrząsnęła Judith, ale kiedy Clem i Taylor zmierzyli się wzrokiem, dostrzegła w ich oczach zapalczywość i czułość zarazem. Zrozumiała, że okrucieństwo Clema jakoś tam pomaga im zмагаć się z tragedią.
– Chciałbyś – powiedział Taylor. – Napiję się soku pomarańczowego. Nie, czekaj, Krwawą Mary bez wódki. Lepiej pasuje do świąt.
– Podobno to pogańska uroczystość – zauważyła Jude, gdy Clem się oddalił.
– Nie wiem, po co komu w święta Matka Boska. Ludzie nie wiedzą, z czym ją jeść. Weź sobie krzesło, kochanie. Doszły mnie plotki, że balowałaś za granicą.
– To prawda. Tylko co wróciłam. Miałam pewne kłopoty w Nowym Jorku.
– Czyje serce złamałaś tym razem?
– Nie o to poszło.
– A o co? Bądź plotkarą, powiedz Taylorowi.
To był ich stary, prywatny żart. Uśmiechnęła się i zaczęła opowieść, którą solennie obiecywała sobie zatrzymać dla siebie.
– Ktoś chciał mnie zamordować.
– Żartujesz.
– Niestety nie.
– Co się stało? Mów. Jestem w takim nastroju, że chętnie słucham, co się innym złego przydarzyło. Im gorzej, tym lepiej.
Wzięła go za rękę.
– Najpierw ty mi powiedz, jak się czujesz.
– To groteska. Clem jest oczywiście cudowny, ale najczulsza opieka na świecie nie wróci mi zdrowia. Bywają dni lepsze i gorsze; ostatnio więcej jest tych gorszych. Jak mówiła moja mama, niedługo już tu zabawię. – Taylor podniósł wzrok. – No proszę, idzie święty Klemens od nocnika. Zmieńmy temat. Clem, czy Jude mówiła ci, że ktoś chciał ją zabić?

- Nie. Gdzie to było?
- Na Manhattanie.
- Bandyta?
- Nie.
- Ktoś znajomy? – spytał Taylor.

Widziała wyczekujące spojrzenie Taylora, nie mogła go zawieść. Kiedy zaczęła mówić, od czasu do czasu przerywał jej okrzykami zachwytu i niedowierzania, aż zauważyła, że sama zapala się do swojej historii, jakby nie opowiadała mu ponurej prawdy, lecz idiotyczną bajeczkę. Tylko raz, wspomniawszy Gentle'a, straciła trochę impetu i Clem wykorzystał okazję, by wtrącić, że Gentle też został zaproszony. Serce Jude zawahało się, ale zaraz przyspieszyło i nadgoniło zgubione uderzenie.

- Co było potem? – ponaglił ją Taylor. – Co się działo?

Mówiła dalej, ale łapała się na tym, że cały czas wstrzymuje oddech i czeka na Gentle'a. Nie mogła się skupić, co odbiło się niekorzystnie na jej opowieści. Z drugiej strony każda chyba historia morderstwa, relacjonowana przez ofiarę, jest na swój sposób przewidywalna. Jude zakończyła swoją z przesadnym pośpiechem:

- Najważniejsze, że żyję.

– Wypiję za to – rzekł Taylor, oddając Clemowi nietknięty kieliszek. – Może jednak kropelkę wódki?

Clem bez entuzjazmu wzruszył ramionami, wziął od Jude pusty kieliszek i zaczął się przeciskać przez tłum do barku. Jude miała okazję rozejrzeć się po salonie. Odkąd usiadła, pojawiło się kilka nowych twarzy, lecz nie było wśród nich Gentle'a.

– Szukasz pana Porządnickiego? – zainteresował się Taylor. – Jeszcze go nie ma.

Odwróciła się do niego. Przyglądał się jej z rozbawieniem.

- Nie wiem, o kim mówisz.

- O panu Zachariasie.

- Co w tym zabawnego?

– Wy dwoje. Najsłynniejszy romans ostatnich lat. Wiesz, że kiedy o nim mówisz, głos ci się zmienia? Staje się...

- Jadowity.

- Chrapliwy. Tęskny.

- Nie tęsknię za Gentle'em.

– Pomyliłem się – mruknął ironicznie Taylor. – Dobry był w łóżku?

– Miewałam lepszych.

– Chcesz wiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem? – Taylor nachylił się do niej z uśmiechem, który wcale nie wyglądał wesoło. Myślała, że nagły ruch sprawił mu ból, dopóki nie usłyszała: – Zakochałem się w Gentle'u od pierwszego wejrzenia. Za wszelką cenę chciałem go mieć w łóżku, próbowałem go upić, próbowałem nafaszerować prochami. Nic z tego. Ale nie rezygnowałem i jakieś sześć lat temu...

Clem podał im szklanki i zaraz się oddalił, by powitać nową grupę gości.

– Przespałeś się z nim? – spytała Jude.

– Niezupełnie. Powiem tak: namówiłem go, że zrobię mu laskę. Był na strasznym hajku, uśmiechał się, jak to tylko on potrafi. Wielbiłem go za ten uśmiech. Wyobraź sobie... – ciągnął Taylor. Jude nigdy nie słyszała, żeby opowiadał o swoich podbojach z tak pikantnymi szczegółami. – Robię, co mogę, żeby mu stanął, a on... Nie wiem, jak to powiedzieć. Zaczyna gadać, jakby coś go opętało. Leży na moim łóżku na wznak ze spodniami ściągniętymi do kostek i nagle odzywa się w jakimś dziwnym języku. Nie potrafiłem rozpoznać, ani to hiszpański, ani francuski... I wiesz co? Mnie opadł, a jemu stanął. – Taylor zaśmiał się hałaśliwie, ale zaraz spoważniał i mówił dalej: – Nagle się go przestraszyłem. Naprawdę przestraszyłem. Nie mogłem skończyć tego, co zacząłem, więc wstałem i zostawiłem go samego, ze sterczącym fiutem, gadającego jak w transie.

Wyjął Jude drinka z ręki i pociągnął solidny łyk. To wspomnienie wyrażnie go poruszyło. Oczy miał błyszczące, na szyi wystąpiły mu czerwone plamy.

– Opowiadał ci kiedyś o tym?

Pokręciła głową.

– Pytam, bo wiem, że szybko się rozstaliście. Myślałem, że może ciebie też przepłoszył.

– Nie, po prostu rznął wszystko, co napotkał.

Taylor chrząknął niezobowiązująco.

– Ostatnio strasznie się pocę. Czasem o trzeciej rano muszę wstawać, żeby Clem mógł zmienić pościel. Przez pół nocy nie wiem nawet, czy śpię. Wracają wspomnienia sprzed wielu lat. To było jedno z nich. Słyszę go, stojąc w sypialni w kałuży potu. Mówił, jakby był opętany.

– Martwi cię to?

– Sam nie wiem. Wspomnienia mają dla mnie teraz różne znaczenie. Gdy śni mi się matka, mam ochotę wpełznąć w nią z powrotem i narodzić się na nowo. Kiedy myślę o Gentle'u, zastanawiam się, dlaczego odpuściłem sobie w życiu tyle tajemnic. Teraz jest za późno, żeby je rozwikłać. Co to znaczy, być zakochanym, mówić tak jak Gentle, obojętne... Nic z tego nie zrozumiałem. – Taylorowi po twarzy pociekły łzy. – Przepraszam, w święta zawsze się rozklejam. Zawołaj Clema, dobrze? Muszę iść do łazienki.

– Może ja ci pomogę?

– Są rzeczy, do których wciąż jest mi potrzebny. Ale dziękuję.

– Nie ma za co.

– I za to, że mnie wysłuchałaś.

Jude przepchnęła się do Clema, który rozmawiał z jakąś dziewczyną, i szepnęła mu do ucha, że Taylor czegoś od niego chce.

– Znasz Simone, prawda? – rzucił na odchodnym i zostawił je same.

Istotnie, znała Simone, chociaż niezbyt dobrze, a po rozmowie z Taylorem nie czuła się na siłach, żeby dotrzymywać komuś towarzystwa i bić pianę. Simone jednak gadała jak nakręcona, jakby miała ochotę poflirtować; śmiała się do rozpuku z najmniejszego nawet żartu i głaskała po szyi, jak gdyby wskazując miejsce, w które lubi być całowana. Jude przygotowywała sobie właśnie w myśli grzeczną odmowę, gdy ujrzała, jak Simone zerka gdzieś w bok, niezręcznie maskując się przesadnym wybuchem śmiechu. Niezadowolona z roli marionetki, spytała:

– Kto to jest?

– Kto? – Simone zmieszała się i zarumieniła. – Przepraszam. Jakiś facet mi się przygląda.

Wróciła spojrzeniem do adoratora i Jude nabrała nagle absolutnej pewności, że jeśli się teraz odwróci, spojrzy prosto w oczy Gentle'a. Przyszedł i od razu zaczął swoje sztuczki. Skupiał na sobie spojrzenia kobiet, żeby później wybrać jedną, najładniejszą.

– To idź z nim porozmawiaj.

– Nie wiem, czy powinnam.

– Zawsze możesz jeszcze zmienić zdanie, jeśli trafi się coś lepszego.

– Może masz rację.

Bez dalszych prób podtrzymywania rozmowy Simone poszła się śmiać gdzie indziej.

Jude przez dwie sekundy walczyła z pokusą, żeby podążyć za nią wzro-

kiem, ale w końcu się odwróciła. Uwodziciel Simone stał obok choinki i uśmiechał się szeroko do obiektu swoich żądz, który przebijał się przez tłum w jego stronę. Nie był to jednak Gentle, lecz – o ile dobrze pamiętała – brat Taylora. Ulżyło jej, za co sama się na siebie zezłościła. Przy barku dołała sobie wina i wyszła, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Na półpiętrze ktoś grał na wiolonczeli, udało mu się uzyskać wyjątkowo melancholijny efekt. Frontowe drzwi były otwarte. Wiało zza nich chłodem. Chciała je przy-
mknąć, ale któryś ze słuchaczy szepnął:

– Ktoś źle się poczuł i wyszedł.

Wyrzała na ulicę. Rzeczywiście, ktoś siedział na krawężniku w pozie człowieka pogodzonego z kapryсами żołądka – głowa spuszczone, łokcie oparte na kolanach. Czekał na kolejną falę mdłości.

Może ją usłyszał, może tylko poczuł na sobie jej spojrzenie. Podniósł głowę.

– Gentle! Co ty tu robisz?

– A jak myślisz? – Kiedy ostatnio się widzieli, wyglądał kiepsko, teraz jednak wyglądał znacznie gorzej. Wychudzony, nieogolony, zielony na twarzy od mdłości.

– W domu jest łazienka – powiedziała.

– I wózek inwalidzki – dodał Gentle z niemal przesadnym błyskiem w oku. – Wolę rzygać tutaj.

Otarł usta wierzchem dłoni. Ręce miał całe w farbie, podobnie jak koszulę i spodnie.

– Nie próżnowałeś.

Źle ją zrozumiał.

– Nie powinienem był nic pić.

– Chcesz, żebym ci przyniosła wody?

– Nie, dzięki. Wracam do domu. Pożegnaj ode mnie Taylora i Clema, dobrze? Niedobrze mi się robi na myśl o tym, że miałbym tam wrócić. Wyglupiłbym się. – Wstał i zachwiał się na nogach. – Ostatnio spotykamy się w dość przykrych okolicznościach, prawda?

– Chyba powinnam cię odwieźć. Albo kogoś rozjedziesz, albo sam się zabijesz.

– Wszystko w porządku. – Podniósł ubrudzone farbą ręce w uspokajającym geście. – Drogi są puste. Nic mi nie będzie. – Zaczął szukać kluczyków w kieszeni.

– Ocaliłeś mi życie. Pozwól, żebym ci się odwdzięczyła.

Podniósł na nią wzrok. Oczy mu się zamykały.

– Może to nie taki głupi pomysł...

Jude wróciła, żeby pożegnać się w imieniu swoim i Gentle'a. Taylor już znowu siedział w fotelu; dostrzegła go pierwsza. Patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. Jego spojrzenie nie wyrażało smutku, lecz zmęczenie tak ogromne, że wyparło wszystkie inne uczucia – może poza żalem za nierozwiązanymi zagadkami. Podeszła do niego i wyjaśniła, że Gentle źle się czuje i ona musi go odwieźć do domu.

– Nie przyjdzie się pożegnać? – zdziwił się Taylor.

– Chyba się boi, że zrzyga ci się na marynarkę albo na dywan. Albo jedno i drugie.

– Powiedz mu, niech do mnie zadzwoni. Chcę się z nim niedługo spotkać.

– Taylor uścisnął dłoń Jude. Zdumiała ją jego krzepa. – Niedługo!

– Powtórzę mu.

– Chcę jeszcze raz zobaczyć, jak się uśmiecha.

– Będziesz miał wiele okazji.

Taylor pokręcił głową.

– Jeden raz musi mi wystarczyć – odparł cicho.

Pocałowała go i obiecała, że zadzwoni, kiedy bezpiecznie wróci do domu. Po drodze do wyjścia natknęła się na Clema, któremu powtórzyła swoje przeprosiny. Pożegnała się z nim.

– Zadzwon, gdybym mogła wam jakoś pomóc.

– Dziękuję, ale teraz to już można chyba tylko czekać.

– Możemy poczekać razem.

– Lepiej będzie, jak zostaniemy z tym sami, ja i on. Ale zadzwonię. – Clem zerknął w stronę Taylora, który znów patrzył w pustkę. – Uparł się, że doczeka wiosny. Jeszcze jedna wiosna, powtarza. Nigdy dotąd krokusy go nie interesowały. Wiesz, co jest w tym wszystkim cudowne? Od nowa się w nim zakochałem.

– To wspaniałe.

– I muszę go stracić właśnie teraz, kiedy zaczynam rozumieć, ile dla mnie znaczy. Nie zrób tego błędu, pamiętaj. – Clem przyjrzał się jej badawczo. – Wiesz, o kim mówię.

Pokiwała głową.

– To dobrze – powiedział Clem. – Zawieź go do domu.

2

Na drogach było pusto. W piętnaście minut zawiozła Gentle'a do pracowni. Nie kontaktował normalnie. Rozmowa w samochodzie rwała się i nie kleiła, jakby jego umysł stale albo wyprzedzał język, albo za nim nie nadążał. Nie chodziło o alkohol. Jude widziała go pijanego po różnych drinkach – robił się hałaśliwy, potem lubieżny, wreszcie świętszy od papieża. Nigdy nie wyglądał tak jak teraz: odchylony do tyłu, z głową na zagłówku i zamkniętymi oczami, mówił jak z głębi studni. W jednej chwili dziękował, że się nim zajęła, a w następnej zapewniał, że ręce ma umazane farbą, a nie gównem. To nie gówno, powtarzał, to sjena palona, pruski błękit, kadmowa żółć, ale zawsze, jak się zmiesza kolory, upodabniają się do gówna. W końcu ucichł, by za minutę czy dwie podjąć nowy temat.

– Nie mogę na niego patrzeć, rozumiesz, na to jak...

– Na kogo?

– Na Taylora. Nie mogę patrzeć, jest tak ciężko chory. Wiesz, jak nie znośnię chorób.

Zapomniała, że w jego wypadku lęk przed chorobą graniczy z paranoją, co wiązało się pewnie z faktem, że chociaż nie dbał o zdrowie, to nie tylko nigdy nie chorował, ale praktycznie się nie starzał. Kryzys, który przecież musiał nadejść, będzie druzgocący. Nieumiarkowany tryb życia, nadmiar emocji i upływ lat nagle upomną się o Gentle'a. Do tego czasu jednak nie chciał, by cokolwiek przypominało mu, jaki jest kruchy.

– Taylor jest umierający, prawda? – zapytał.

– Clem twierdzi, że tak.

Gentle westchnął ciężko.

– Powinienem poświęcić mu trochę czasu. Kiedyś bardzo się przyjaźniliśmy.

– Krążyły o was plotki.

– To on je rozpowiadał.

– Ale to tylko plotki, prawda?

– A jak ci się wydaje?

– Wydaje mi się, że próbowałaś wszystkiego, co się nawinęło pod rękę. Przynajmniej raz.

– On nie jest w moim typie – odparł Gentle, nie otwierając oczu.

– Powinieneś się z nim jeszcze zobaczyć. Prędzej czy później też się pospiesz. Jak każdy.

– Ja nie. Kiedy poczuję, że się rozkładam, popełnię samobójstwo. Słowo honoru. – Zacisnął pięści i potarł nimi twarz. – Nie pozwolę, żeby mi się to przydarzyło.

– Życzę powodzenia.

Więcej się po drodze nie odzywali, chociaż jego milczenie niepokoiło Judith. Po głowie chodziła jej usłyszana od Taylora historia i czekała, aż Gentle zacznie mówić, sypnie swoimi idiotyzmami. Dopiero kiedy zajechali pod pracownię, zorientowała się, że zasnął. Patrzyła na niego przez chwilę. Gładkie czoło, delikatnie zarysowane wargi. Ciągłe coś do niego czuła, bez wątplenia, ale co ją czekało, gdyby się zaangażowała? Rozczarowanie, frustracja i złość. Mimo zachęty ze strony Clema była prawie pewna, że sprawa jest z góry przegrana.

Obudziła go i zapytała, czy może skorzystać z łazienki; pęcherz upominał się o swoje prawa. Gentle zawahał się, co trochę ją zdziwiło. Nagle zaczęła podejrzewać, że wprowadziła się do niego jakaś kobieta, przelotny ptaszek – w sam raz, żeby w święta go wypchać, a przed Nowym Rokiem wyrzucić. Ciekawość dodała jej pewności siebie. Najwyraźniej było to Gentle'owi nie w smak, ale musiał się zgodzić. Weszła za nim po schodach, rozmyślając o tym, jak wygląda jego nowa zdobycz, ale w pracowni nie było nikogo. Zobaczyła obraz, od którego tak ubrudził sobie ręce. Gentle zaniepokoił się, gdy spojrzała na płótno, i popędził ją do łazienki chyba z większym jeszcze zmieszaniem, niż gdyby jej podejrzania okazały się prawdziwe i na wysiedzianej sofie wylegiwała się jakaś panienska. Biedaczysko. Z dnia na dzień coraz bardziej dziwaczał.

Kiedy wyszła z toalety, obraz był zasłonięty poplamioną szmatą. Gentle zerkał nerwowo, jakby chciał się pozbyć jej jak najprędzej. Nie widziała powodu, żeby się z nim cackać.

– Pracujesz nad czymś nowym? – zapytała.

– To nic takiego.

– Chciałabym zobaczyć.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Dla mnie nie gra roli, czy to fałszywka, czy nie. Wiem, co kombinujecie z Kleinem.

– To nie fałszywka. – Tak zaciętego wyrazu twarzy jeszcze dziś u niego nie widziała. – To moje dzieło. – A tak zapalczego głosu nie słyszała.

– Prawdziwy Zacharias? Tym bardziej muszę zobaczyć.

Sięgnęła po szmatę, zanim zdążył ją powstrzymać. Wchodząc, zdążyła przelotnie zerknąć na obraz, w dodatku z daleka. Z bliska widać było, że Gentle dosłownie szalał przy płótnie. W niektórych miejscach zostało przebite na wylot, jakby przedziurawił je pędzlem czy szpachlą; gdzie indziej nałożył farbę bez umiaru, a potem ugniótł ją palcami, naginając do swojej wizji. I to wszystko po to, żeby uzyskać podobiznę... Czego właściwie? Dwojga ludzi stojących twarzą w twarz pod brutalnym niebem. Skórę mieli białą, lecz prześwieconą rozbłyskami jaskrawych barw.

– Kim oni są? – spytała.

– Oni?! – Gentle zdziwił się chyba, że tak właśnie zinterpretowała jego dzieło, ale zamaskował zmieszanie wzruszeniem ramion. – Nikim. To tylko taki eksperyment. – Zasłonił obraz.

– Na zamówienie?

– Wolałbym o tym nie mówić.

Jego poruszenie było dziwnie urokliwe; zachowywał się jak dziecko przyłapano podczas jakiegoś tajemnego rytuału.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać – powiedziała z uśmiechem.

– Przesadzasz.

Gentle bynajmniej się nie uspokoił i Jude zdała sobie sprawę, że rozmowa na temat obrazu i jego znaczenia dobiegła końca.

– To ja już pójdę – stwierdziła.

– Dzięki, że mnie podwiozłaś.

Odprowadził ją do drzwi.

– Nadal masz ochotę na drinka? – zapytała.

– Nie wracasz do Nowego Jorku?

– Na razie nie. Za parę dni zadzwonię. Nie zapomnij o Taylorze.

– Jesteś moim sumieniem? – próbował zartować Gentle, ale nie udało mu się ukryć poważnej nuty w głosie. – Nie zapomnę.

– Zostawiasz ślad na ludziach, Gentle. Nie możesz udawać, że za nic nie odpowiadasz.

– Spróbuję od dziś być niewidzialny.

Nie odprowadził jej na dół; zamknął drzwi, zanim pokonała kilka pierwszych stopni. Sama zeszła po schodach. Nie mogła zrozumieć, skąd wzięła ten poroniony pomysł, żeby umówić się z nim na drinka. Trudno, w razie potrzeby łatwo będzie się z tej propozycji wymigać – nawet gdyby pamiętał, w co była skłonna wątpić.

Na ulicy podniosła wzrok, szukając go w oknie. Musiała przejść na drugą stronę jezdni. Stał przed obrazem, który znów był odsłonięty. Przechylił lekko głowę i przyglądał mu się z natężeniem. Nie miała pewności, ale wydawało jej się, że Gentle porusza wargami. Zupełnie jakby rozmawiał z tym, co przedstawił na płótnie. Ciekawa była, co mówi. Czy próbował wywołać z chaosu jakiś konkretny obraz? A jeśli tak, to w jakim języku mówił?

ROZDZIAŁ 13

1

Zobaczyła dwie osoby tam, gdzie on namalował jedną. Nie zapytała o „nią” ani o „niego”, lecz o „nich”. Spojrzała na obraz i dostrzegła jego prawdziwe znaczenie, którego Gentle sam nie widział. Stał teraz przed sztalugami, odsłonił płótno i spojrzał na nie jeszcze raz, jej oczami. Rzeczywiście, widział dwoje ludzi. W swoim dążeniu do uchwycenia jakiegoś obrazu Pie'oh'paha namalował go, jak wynurza się z cienia (albo w nim znika); smuga ciemności przecinała mu twarz i pierś, dzieląc postać na pół. Jej zewnętrzne krawędzie, rozmyte i poszarpane, układały się w kształt widzianych z profilu, zwróconych ku sobie twarzy, wyciętych białą linią z tego, co w zamierzeniu Gentle'a było jednym obliczem. Twarze zdawały się mieć po jednym oku, jak na egipskich malowidłach, a tyły głów rozpływały się w cieniu. Kim były te dwie osoby? Co chciał wyrazić, ustawiając je w ten sposób?

Gentle przyglądał się obrazowi długą chwilę po wyjściu Judith, szykując się do następnego ataku na płótno, ale w kluczowym momencie zabrakło mu sił. Dłonie miał spocone, ręce mu się trzęsły, nie mógł skupić wzroku. Bał się dotknąć portretu, żeby nie zepsuć tego, co już udało mu się uzyskać. Dzieło tak łatwo może się wymknąć swemu twórcy – wystarczy kilka niewprawnych maźnięć pędzlem (na twarzy, na obrazie innego malarza) i jest nie do odzyskania. Postanowił na razie je zostawić, odpocząć i zebrać siły na następny dzień.

*

Śniło mu się, że jest chory. Leżał w łóżku nagi, przykryty cienkim prześcieradłem i wstrząsany dreszczami, od których zęby mu szczękały. Z sufitu od czasu do czasu padał śnieg, który nie topił się na jego skórze, bo była zbyt zimna. Przyszli do niego goście, którym próbował wytłumaczyć, jak bardzo marznie, ale jego głos nie miał żadnej mocy; słowa ulatywały mu z piersi jak westchnienia, jakby rozpaczliwie walczył o ostatni oddech przed śmiercią. Zaczął się bać, że zapadł na jakąś śmiertelną chorobę i zaraz umrze. Przysypie go śnieg. Musiał coś zrobić, musiał wstać z łóżka i udowodnić żałobnikom, że za bardzo się pospieszyli.

Z wysiłkiem przesunął dłonie na skraj materaca, próbując się dźwignąć, ale pościel była wilgotna i śliska od potu. Nie mógł znaleźć solidnego oparcia. Wpadł w panikę i zrozpaczony zaczął dyszeć jeszcze gwałtowniej niż do tej pory. Drzwi były otwarte, wszyscy żałobnicy wyszli. Słyszał ich, jak rozmawiają i śmieją się w sąsiednim pomieszczeniu. Słońce padało na próg jego pokoju. Po sąsiedzku panowało lato, a tu – ziąb, który mroził mu serce, z każdą chwilą coraz bezwzględniej biorąc go w posiadanie. Przestał udawać Łazarza. Rozluźnił się, położył dłonie płasko na pościeli, przymknął oczy. Serce biło mu coraz mniej rytmicznie. Gwar w pokoju obok ścichł do niewyraźnego pomruku, na dworze zerwał się wiatr, gałęzie chrobotwały o szyby. Czyjś głos wzbił się ponad inne w modlitwie; ktoś inny szlochał. Czym był spowodowany ten smutek? Na pewno nie jego śmiercią. Zbyt mało znaczył, żeby zasłużyć na taki lament. Otworzył oczy. Łóżko zniknęło, śnieg również. W blasku pioruna ujrzał sylwetkę mężczyzny, który wyglądał przez okno. Szalała burza.

– Możesz sprawić, bym zapomniał? – Gentle usłyszał swój głos. – Znasz taką sztuczkę?

– Naturalnie – dobiegła go cicha odpowiedź. – Ale nie chcesz tego.

– Nie, chcę śmierci, ale dziś za bardzo się jej boję. To właśnie jest prawdziwa choroba, lęk przed śmiercią. Zapominając, jakoś wytrzymam. Pozwól mi zapomnieć.

– Na jak długo?

– Do końca świata.

Następna błyskawica wypaliła sprzed jego oczu sylwetkę mężczyzny, a chwilę później całą scenę. Wszystko zniknęło. Zamrugał, żeby pozbyć się

spod powiek powidoku okna i mężczyzny. W tej samej chwili przekroczył granicę snu i jawy.

W pokoju było zimno, ale nie tak lodowato, jak na jego łożu śmierci. Usiadł i wbił wzrok najpierw w swoje brudne ręce, a potem w okno. Była jeszcze noc, ale z Edgware Road dobiegał uspokajający warkot samochodów. Koszmar rozplątywał się, rozwodniony widokami i odgłosami świata.

Gentle wyplątał się z pościeli i poszedł do kuchni poszukać czegoś do picia. W lodówce znalazł karton mleka. Wypił duszkiem, chociaż było na wpół skwaśniałe, otarł usta i wrócił obejrzeć obraz. Intensywność przeżyć sennych nie pozwoliła mu jednak niczego w nim zobaczyć; nie dało się przywołać postaci zabójcy za pomocą tak prostackiej magii. Mógłby namalować dziesięć, dwadzieścia, sto portretów i nie uchwycić zmienności Pie'oh'paha. Beknął i poczuł w ustach smak kwaśnego mleka. Co powinien zrobić? Zamknąć się gdzieś i czekać, aż wypali się w chorobie, którą zaszczepił w nim widok zabójcy? Czy raczej obmyć się, wypachnić i poszukać twarzy, które oddzieliłyby go od wspomnień? Oba pomysły były skazane na klęskę. Zostawało mu jeszcze jedno, najbardziej niepokojące, wyjście: znaleźć Pie'oh'paha, wypytać o wszystko, nasycić się nim i rozproszyć wszelkie wątpliwości.

Nie odrywając oczu od obrazu, rozważał w myślach tę możliwość. Jak go znaleźć? Na pewno należało zacząć od rozmowy z Estabrookiem, co nie powinno być trudne. Potem musiałyby przeczesać miasto w poszukiwaniu miejsca, którego Estabrook, jak twierdził, nie pamiętał. Właściwie też prosta sprawa. Lepsze to niż kwaśne mleko i jeszcze kwaśniejsze sny.

Zdawał sobie sprawę, że światło poranka może odebrać mu klarowność myśli, i postanowił zawczasu odciąć sobie przynajmniej jedną drogę ucieczki. Wycisnął na dłoń grubą gąsienicę kadmowej żółci i wtarł ją w jeszcze wilgotne płótno. Twarze kochanków natychmiast zniknęły, ale nie poprzestał na tym i rozmasował farbę po całym obrazie. Żółć przez chwilę walczyła o należyty jej blask, ale wkrótce zbladła, zmieszana z mrokiem, który usiłowała przesłonić. Kiedy skończył, płótno wyglądało tak, jakby nikt nigdy nie próbował malować na nim Pie'oh'paha.

Zadowolony cofnął się i znów beknął. Mdłości już mu nie dokuczały. Czuł się dziwnie podniesiony na duchu. Może jednak skwaśniałe mleko wyszło mu na dobre.

2

Pie'oh'pah siedział na schodkach swojej przyczepy i patrzył w niebo. W przyczepie spała jego przybrana żona i adoptowane dzieci. Gwiazdy świeciły na nocnym niebie, za zasłoną żółtawej od lamp sodowych chmury. W swoim długim życiu Pie'oh'pah rzadko bywał tak samotny jak w tej chwili. Odkąd wrócił z Nowego Jorku, trwał w stanie dziwnego wyczekiwania. Coś miało się wydarzyć, coś ważnego dla niego i dla jego świata, a on nie wiedział co. Cierpiał z tego powodu. W obliczu nadchodzących zdarzeń będzie bezradny, dawne umiejętności w nim zanikły. Skończyły się dni, kiedy umiał z powietrza odczytać przyszłość. Stawał się coraz bardziej więźniem teraźniejszości – a i ona, i ciało, które obecnie zajmował, były dalekie od niegdysiejszej wspaniałości. Tak dawno z nikim nie czuł takiej wspólnoty jak z Gentle'em, nie traktował czyichś pragnień jak świętej mowy ciała, że niemal zapomniał, jak to się robi. Żądza płonąca w Gentle'u była jednak dość silna, żeby mu to przypomnieć. Co prawda, koniec był niezbyt udany, ale Pie'oh'pah nie żałował tych skradzionych życiu minut. Drugie takie spotkanie mogło się nigdy nie zdarzyć.

Wyszedł na granicę obozu. Brzask zaczynał z wolna zwyciężać mrok. Któryś z obozowych kundli wrócił właśnie po nocy pełnej przygód, przecisnął się między arkuszami zardzewiałej blachy i podbiegł, merdając ogonem. Pie pogłaskał psa po pysku i za potarganymi w bojach uszami. Żałował, że sam nie potrafi tak łatwo odnaleźć drogi do domu i swojego pana.

3

Esmond Bloom Godolphin, świętej pamięci ojciec Oscara i Charlesa, często powtarzał, że człowiek nigdy nie ma za wiele kryjówek. Z wielu maksym E.B.G. ta właśnie najbardziej podziałała Oscarowi na wyobraźnię. W Londynie miał cztery miejsca zamieszkania. Oprócz domu w Primrose Hill, swej głównej rezydencji, miał kawałek ziemi w Maida Vale, nieduże mieszkanie w Notting Hill oraz lokal, w którym obecnie się znajdował – pozbawiony

okien magazyn ukryty w labiryncie rozsypujących się ruder nad Tamizą.

Niechętnie odwiedzał to miejsce – zwłaszcza zaraz po świętach – ale na przestrzeni lat magazyn nieraz udowodnił swą przydatność jako schronienie dla pustkowców, teraz zaś służył jako kaplica dla Dowda. Jego nagie, okryte całunem zwłoki leżały na zimnym betonie. W misach stojących przy głowie i stopach dymiły aromatyczne zioła ze zboczy Jokalaylau, zgodnie z tamtejszym obyczajem. Pustkowców nie zainteresowało zbytnio pojawienie się ciała ich pana. Były prostymi funkcjonariuszami i w ich umysłach zachodziły tylko najbardziej elementarne procesy myślowe. Nie znały żadnych pragnień i żądz, nie czuły głodu ani pragnienia, nie miały ambicji. Całe dni i noce przesiadywały w magazynie i czekały na polecenia Dowda. Oscar czuł się w ich towarzystwie bardzo nieswojo, ale nie mógł się zmusić do wyjścia przed dokończeniem rytuału. Przyniósł sobie do czytania almanach krykietowy, przy którym zawsze się uspokajał. Od czasu do czasu wstawał i dosypywał ziół do misek. Poza tym mógł tylko czekać.

Minęło półtora dnia, odkąd w pokazowym stylu odebrał Dowdowi życie. Słusznie był dumny ze swojego występu, stratę odczuł jednak boleśnie. Dowd, który leżał teraz przed nim na ziemi, od dwóch stuleci przechodził w spadku z ojca na syna wśród Godolphinów i miał im służyć do końca świata lub do wygaśnięcia rodu Joshuy. A był dobrym sługą. Któż inny przyrzadziłby taką świetną whisky z sodą? Kto potrafiłby tak jak on wycierać i pudrować skórę między palcami Oscara, który był szczególnie podatny na grzybicę stóp? Nikt go nie zastąpi i Oscar naprawdę cierpiał, kiedy musiał się posunąć do tak drastycznych środków. Zrobił to jednak, zdając sobie sprawę, że chociaż zachodzi minimalne ryzyko śmierci Dowda, istota taka jak on może przeżyć wypatroszenie – pod warunkiem że szybko i we właściwy sposób odprawi się nad nią rytuał wskrzeszenia. Oscar trochę się na tym znał. Niejeden leniwy wieczór w Yzorderrex spędził na dachu domu Peccable'a, patrząc, jak ogon komety chowa się za wieżami pałacu autarchy. Dyskutowali wtedy o teorii i praktyce znanych w Imajice sztuk, kanonów, pneum i rytuałów. Wiedział, jakimi olejkami nasycić zwłoki Dowda i jakie kwiaty spalić przy ciele. Miał nawet w swoim skarbcu fonetyczny zapis formuł, spisany przez Peccable'a na wypadek śmierci Dowda. Nie wiedział, ile rytuał może potrwać, ale nie był na tyle głupi, żeby przedwcześnie zaglądać pod całun. Mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że wszystko zrobił, jak należy.

Cztery minuty po czwartej wreszcie się doczekał. Spod materiału dobiegł

go zduszony oddech, a w chwilę później Dowd usiadł. Poruszył się tak gwałtownie i tak – po długim oczekiwaniu – niespodziewanie, że Oscar zerwał się na równe nogi, wypuszczając z rąk almanach i przewracając krzesło. Widział w swoim życiu wiele rzeczy, które mieszkańcy Piątego Dominium uznaliby za cuda, ale nigdy w tak ponurych okolicznościach – w pustym, ciemnym magazynie, za którego drzwiami zwykły świat ze zgrzytem toczył się naprzód. Wziął się w garść, próbując coś powiedzieć, ale w ustach tak mu zaschło, że językiem mógłby jak bibułą osuszyć zapisaną kartkę. Gapił się bez słowa na Dowda, który ściągnął z siebie całun. Twarz miał całkiem bez wyrazu, jak oczy siedzących pod ścianą pustkowców.

Popełniłem jakiś straszny błąd, pomyślał Oscar. Odtworzyłem ciało, ale duch zniknął bezpowrotnie. Chryste Panie, co teraz?

Dowd patrzył tępo przed siebie, aż nagle – jak pacynka, w którą ktoś włożył dłoń, nadając jej pozory życia i wolnej woli – podniósł głowę i jego twarz nabrała wyrazu. A wyrażała tylko jedno: wściekłość. Dowd zmrużył oczy i powiedział, odsłaniając zęby:

– Pan mnie skrzywdził. Wyrządził mi wielkie zło.

Oscar poruszył językiem i do ust napłynęła mu odrobina śliny gęstej jak błoto.

– Zrobiłem to, co uznałem za konieczne.

Postanowił, że nie da się potworowi zastraszyć. Joshua spętał Dowda swoją mocą tak, że nie mógł skrzywdzić żadnego Godolphina. Nawet jeśli – tak jak w tej chwili – bardzo chciał.

– Co ja panu zrobiłem, żeby mnie tak upokarzać? – spytał Dowd.

– Musiałem dowieść swojej lojalności wobec Tabula Rasa. Sam rozumiesz.

– Czy moje upokorzenie musi trwać? Czemu jestem nagi?

– Twój garnitur jest brudny.

– Lepszy taki niż żaden.

Ubranie leżało obok, ale Dowd nie ruszył się, by po nie sięgnąć. Oscar zdawał sobie sprawę, że lokaj sprawdza, jak daleko sięga skrucza jego pana, lecz postanowił podjąć grę. Przesunął garnitur bliżej Dowda.

– Wiedziałem, że nożem cię nie zabiję – powiedział.

– Ja nie – odparł Dowd. – Ale nie w tym rzecz. Odegrałbym tę scenę razem z panem, jeśli o to panu chodziło. Zrobiłbym to chętnie, byłbym niewolniczo posłuszny. Wszedłbym na scenę i zginał dla pana. Ale pan zaplanował

wszystko za moimi plecami. Musiałem cierpieć jak zwyczajny bandyta.

– Nie mogłem ryzykować, że połapią się w naszej grze. Gdyby zaczęli podejrzewać, że wszystko ustawiłem...

– Ach, rozumiem... – mruknął Dowd. Oscar nie zdawał sobie sprawy, że tym usprawiedliwieniem mimowolnie pogрузzył się jeszcze bardziej. – Nie wierzył pan w mój talent aktorski. Grałem główne role we wszystkich dramatach Quexosa, w komediach, tragediach, farsach, a pan nie ufał mi na tyle, żeby dać mi odegrać scenkę z umieraniem!

– Zgoda, myliłem się.

– Wydawało mi się, że rana od noża była wystarczająco bolesna, ale to...

– Proszę, przyjmij moje przeprosiny. Zachowałem się grubiańsko i niepotrzebnie cię skrzywdziłem. Jak mogę ci to wynagrodzić, co? Mów śmiało, Dowdy. Czuję, że zawiodłem twoje zaufanie i muszę to naprawić. Mów, zrobię, co zechcesz.

– To nie takie proste. – Dowd pokręcił głową.

– Wiem, ale od czegoś trzeba zacząć. Mów.

Dowd długo dumał ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

– Zacznę od tego zabójcy – powiedział w końcu. – Pie'oh'paha.

– Czego chcesz od mistyfa?

– Chcę go dręczyć, upokorzyć, a potem zabić.

– Dlaczego?

– Powiedział pan, że mam wolny wybór. Miałem mówić śmiało.

– Masz wolną rękę w tej kwestii – zgodził się Oscar. – To wszystko?

– Na razie, bo nie wątpię, że z czasem wypłynie coś jeszcze. Po śmierci przyszły mi do głowy różne dziwne pomysły, ale wrócę do nich w swoim czasie.

ROZDZIAŁ 14

1

O ile wydobyć z Estabrooka szczegółów nocnej eskapady, która zawiodła go do Pie'oh'paha, miało jeszcze przysporzyć Gentle'owi kłopotu, o tyle samo spotkanie z Estabrookiem wydawało się dość proste. Kiedy w południe udał się do jego domu, wszystkie zasłony w oknach były starannie zaciągnięte. Przez kilka minut na przemian pukał i dzwonił, ale nie doczekał się odpowiedzi. Doszedł do wniosku, że Estabrook widocznie udał się na przechadzkę, toteż poszedł coś zjeść. Burczenie w brzuchu, tak lekceważąco potraktowanym poprzedniego wieczoru, odbijało się echem w pustym żołądku. W Boxing Day^[2], naturalnie, wszystkie kafejki i restauracje były pozamykane, ale udało mu się znaleźć mały sklepik prowadzony przez rodzinę Pakistańczyków, która robiła złoty interes, zaopatrując chrześcijan w czerstwy chleb, żeby mieli się czym przełamać. Mimo że większość towarów zdążyła zniknąć z półek, sklepik kusił paradą stymulatorów próchnicy. Gentle kupił czekoladę, biszkopty i ciasto, zamierzając opchać się słodyczami. Znalazł sobie ławeczkę, usiadł i zaczął zaspokajać głód. Ciasto było jak na jego gust nieco zbyt ciężkie i wilgotne, pokruszył je więc na kawałki i rzucił gołębiom. Wieści o darmowej wyżerze szybko się rozeszły i prywatny piknik zmienił się w hałaśliwe zebranie. Zamiast chleba i ryb, które uspokoiłyby tłum, Gentle rzucił między uczujących resztki biszkoptów i wrócił do domu Estabrooka, pocieszając się czekoladą. W jednym z okien na piętrze dostrzegł ruch, toteż nie bawił się już w dzwonienie do drzwi, lecz zawołał:

– Chcę pogadać, Charlie! Wiem, że jesteś w domu. Otwórz!

Estabrook nie dawał znaku życia, więc Gentle podniósł głos. W wolny dzień nie musiał przekrzykiwać samochodów; jego głos brzmiał donośnie i czysto jak dźwięk rogu.

– Charlie, otwórz! A może chcesz, żebym opowiedział sąsiadom o naszej cichej umowie?

Tym razem zasłonę odciągnięto na bok i Gentle'owi mignęła twarz Estabrooka – tylko mignęła, gdyż okno natychmiast zostało zasłonięte. Gentle czekał cierpliwie. W chwili, gdy gotów był znów zacząć pokrzykiwać na gospodarza, usłyszał szcęk zamka w drzwiach frontowych. Estabrook stanął na progu, bosy i łysy. Gentle przyglądał mu się zaskoczony. Nie wiedział, że Estabrook nosi tupecik. Teraz jego twarz była okrągłutka i blada jak talerz, a jej rysy upodabniały się do składników dziecięcego śniadania: oczy jak jajka, nos jak pomidor, wargi jak cienkie kielbaski. Wszystko to polane tłustym sosem strachu.

– Chyba czas, żebyśmy porozmawiali – stwierdził Gentle i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Nie zamierzał Estabrooka oszczędzać. Od razu na wstępie dał mu jasno do zrozumienia, że nie wpadł z towarzyską wizytą. Chciał się dowiedzieć, gdzie może znaleźć Pie'oh'paha, i nie zamierzał dać się zbyć byle czym. Przyniósł nawet stary, podniszczony plan Londynu, żeby wspomóc kulejącą pamięć gospodarza.

– Będziemy tu siedzieć tak długo, aż mi powiesz, gdzie wtedy pojechaliście. Jeśli mnie okłamiesz, przysięgam, że wrócę i skręcę ci kark.

Estabrook zachowywał się jak człowiek, który przeżył wiele dni w strachu, że lada chwila usłyszy czyjeś kroki na progu, i ulżyło mu, kiedy jego gość okazał się zwyczajnym człowiekiem. Oczy wychodziły mu z orbit, przez co jeszcze bardziej upodabniały się do jajek. Ręce mu się trzęsły, gdy przeglądał indeks ulic. Powtarzał półgłosem, że niczego nie jest pewien, ale spróbuje sobie przypomnieć. Gentle nie naciskał zbyt mocno, pozwolił mu odbyć całą podróż we wspomnieniach i śledził ruch jego palca po planie.

Usłyszał, że jechali Lambeth, potem Kensington i Stockwell. Estabrook nie przypominał sobie, żeby mijali Clapham Common, więc musieli przejechać na wschód od niego, w kierunku Streatham Hill. Pamiętał kościół, zaczął więc szukać na mapie krzyżyka, który by go oznaczał. Znalazł kilka, ale tylko jeden w pobliżu innego charakterystycznego obiektu, który sobie przy-

pomniął: torów kolejowych. Stwierdził, że od tego punktu nie potrafi już podać wskazówek, jak jechali. Mógł tylko opisać miejsce, do którego dotarli – porzewiały parkan, przyczepy, ogniska.

– Znajdzie je pan – zapewnił Gentle'a.

– Dobrze by było.

Gentle na razie nie wspomniął, co sprowadza go do Londynu, mimo że Estabrook pytał kilkakrotnie o Judith. Teraz też ponowił pytanie:

– Niech mi pan powie, bardzo proszę. Ja byłem z panem szczerzy, słowo honoru. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak ona się czuje?

– Jude ma się znakomicie.

– Mówiła coś o mnie? Na pewno. Co powiedziała? Powtórzył jej pan, że nadal ją kocham?

– Nie jestem pańskim alfonsem – zauważył Gentle. – Sam jej to może pan powiedzieć, jeżeli będzie chciała słuchać.

– Co powinienem zrobić? – Estabrook złapał go pod łokieć. – Pan jest ekspertem w sprawach kobiet, prawda? Wszyscy tak mówią. Jak mógłbym ją przeprosić?

– Byłaby pewnie zadowolona, gdyby pan wysłał jej swoje jaja. Myślę, że mniej poważny gest nie wchodzi w grę.

– Bawi to pana.

– To, że kazał pan zabić żonę? Nie, wcale nie uważam tego za śmieszne. Co innego zmienić zdanie i próbować wszystko odkręcić, żeby znów było cacy. To histeria.

– Proszę poczekać, aż pokocha pan kogoś tak, jak ja kochałem Judith. O ile w ogóle jest pan do tego zdolny, w co wątpię. Aż zapragnie pan kogoś tak bardzo, że będzie pan odchodził od zmysłów. Sam się pan wtedy przekona.

Gentle nie zareagował. Słowa Estabrooka zbyt dobrze opisywały jego obecny stan ducha, czego nawet sam przed sobą nie chciał przyznać. Kiedy jednak wyszedł z domu z planem Londynu w rękę, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Znalazł punkt zaczepienia. Ściemniało się już, zimowy wieczór zamykał miasto w swojej pięści, ale ciemność jest łaskawa dla kochanków, nawet jeśli świat już ich nie lubi.

W południe, gdy nocny niepokój bynajmniej nie ustępował, Pie'oh'pah podsunął Theresie myśl, że może powinni wynieść się z obozowiska. Przyjęła jego propozycję bez entuzjazmu. Młodsze dziecko nabawiło się kataru i płakało bez przerwy, odkąd się obudziło, a starsze właśnie dostało gorączki. Nie pora wyjeżdżać, stwierdziła Theresa zdecydowanie, nawet gdyby mieli gdzie się podziać – a nie mieli. Zabierzemy przyczepę, powiedział Pie'oh'pah; pojedziemy za miasto, choćby na wybrzeże, gdzie jest świeże powietrze. Dzieciom dobrze by zrobiło. To się Theresie spodobało. Jutro, powiedziała, może pojutrze. Nie dziś.

Pie upierał się jednak przy swoim, aż zapytała, czym się tak denerwuje. Nie miał gotowej odpowiedzi – w każdym razie nie taką, którą by zaakceptowała. Właściwie go nie znała, nie wypytywała o przeszłość. Był dla niej opiekunem, człowiekiem, dzięki któremu jej dzieci nie głodowały, a ona miała się do kogo przytulić w nocy. Pytanie jednak pozostało, postarał się więc odpowiedzieć najlepiej, jak mógł:

– Boję się o nas.

– Chodzi o tego starucha, prawda? Tego, który tu niedawno do ciebie przyjechał. Kto to był?

– Miał dla mnie robotę.

– Wykonałeś ją?

– Nie.

– Boisz się, że wróci, tak? Poszczujemy go psami.

Słuchanie jej prostych, rozsądnych pomysłów wpływało na niego kojąco, nawet jeśli – tak jak w tym wypadku – niczego nie rozwiązywały. Jego umysł mistyfa zbyt łatwo dawał się czasem ponieść wątpliwościom, które drzemały w duszy. Theresa go powstrzymywała, przypominała, że przybrał twarz, konkretną rolę i płęć; należał do stałego świata dzieci, psów i zapachu pomarańczy. Tu nie było miejsca na poezję. Między brutalnym światem i niepewnym zmierzchem brakowało czasu na luksusy wątpliwości i spekulacji.

Zapałł właśnie jeden z takich zmierzchów. W przyczepie Theresa usypiała maleństwa. Dobrze sypiały. Pie'oh'pah znał zakłęcie, które zostało mu z czasów, gdy władał wielką mocą. Dbał o nie. Nasycił poduszkę modlitwą, żeby osłodziła sny tego, kto przyłoży do niej głowę. Jego maestro często prosił o tę przysługę, a Pie nadal – po dwustu latach – potrafił ją wyświadczyć. Theresa kładła dzieci na puchu przesyconym kołysankami, które zabierały je do lepszego, jasnego świata.

Kundel, którego w porannej szarudze spotkał przy ogrodzeniu, rozszczękał się jak opętany. Jego właściciela Pie prawie nie znał; porywczy Szkot znęcał się nad psem, ilekroć udało mu się go dogonić. Pie podszedł do kundla, by go uciszyć; hałas mógł zwabić zapitego Szkota.

– O co chodzi, piesku? – szepnął Pie'oh'pah, drapiąc go między potarganymi w bojach uszami. – Masz tam gdzieś panienkę?

Zerknął w stronę parkanu. W cieniu za jedną z przyczep mignęła mu ludzka sylwetka. Pies również ją dostrzegł i zaczął ujadać. Pie wstał.

– Kto tam?! – zawołał.

Z drugiego krańca obozu dobiegł go plusk wody. Nie, nie wody. Poczuł zapach benzyny. Odwrócił się w stronę swojej przyczepy. Na rolecie odbijał się cień Theresy, która wyłączała właśnie nocną lampkę przy dzieciennym łóżeczku. Stamtąd też zalaływało benzyną. Pie spuścił psa z uwięzi.

– Bierz go, mały! Bierz go!

Pies ujadając popędził za człowiekiem, który precyzyjnie przecisnął się właśnie przez dziurę w ogrodzeniu. Pie rzucił się biegiem do przyczepy, wołając Theresę.

Ktoś z tyłu krzyknął, żeby się zamknął, do cholery, ale jego głos zginął w huku podwójnego wybuchu i blasku dwóch ognistych obłoków, które rozświetliły całe obozowisko. Pie usłyszał krzyk Theresy. Wokół ich przyczepy wykwitły płomienie. Rozlane paliwo było tylko zapalnikiem – zanim Pie przebiegł następne dziesięć metrów, pod przyczepą eksplodował zbiornik z benzyną. Siła wybuchu uniosła przyczepę z ziemi i przewróciła na bok.

Ściana gorąca odrzuciła go do tyłu. Zanim pozbierał się i wstał na nogi, przyczepa zmieniła się w ognisty stos. Rzucił się w jej stronę, nie bacząc na rozpalone powietrze. Usłyszał czyjś płacz i dopiero po chwili zorientował się, że szloch wydarł się z jego piersi. Zapomniał już, że jest zdolny wydać taki odgłos, ale dźwięk brzmiał znajomo. Był przepojony bezbrzeżnym smutkiem.

*

Gentle dostrzegł właśnie kościół, który był ostatnim punktem orientacyjnym Estabrooka, gdy z przodu nagle rozkwitł dzień, jakby słońce postanowiło zniecka wypalić noc. Jadący przed nim samochód skręcił ostro i Gentle, chcąc uniknąć zderzenia, musiał wjechać na chodnik. Ledwie wyhamował, zatrzymując się dosłownie o centymetry od ściany kościoła.

Wysiadł i szybkim krokiem ruszył w kierunku pożaru. Kiedy skręcił na

skrzyżowaniu, znalazł się na wprost chmury dymu, która kłębiła się i pełzła po ziemi, cały czas zasłaniając mu widok. Zaczął biec. Zobaczył zardzewiały metalowy parkan, a za nim skupisko przyczep kempingowych. Większość z nich stała już w ogniu. Poznał z opisu Estabrooka, że tu właśnie mieszka Pie'oh'pah. Śmierć uprzedziła go niczym cień, który kładł się przed nim na ziemi – za jego plecami płonęło światło jeszcze jaśniejsze niż ogień w obozowisku. Wiedział, że ta druga poświata ma coś wspólnego z nim i Pie'oh'pahem. Pierwsza iskra przeskoczyła, gdy spotkali się na Piątej Alei. Ta właśnie iskierka rozpałała gniew, który zmusił go do rozprawy z płótnem na sztalugach. Ogień zapłonął najjaśniej we śnie, w tym pokoju, który sobie wymyślił (albo przypomniał) i w którym błagał Pie'oh'paha o zapomnienie. Jakie potworne doświadczenia ich łączyły, że wołał zapomnieć całe życie, niż żyć z takimi wspomnieniami? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że tragedia, której jest świadkiem, stanowi ich przedłużenie. Żałował, że nie może cofnąć decyzji o pozbyciu się wspomnień i dowiedzieć się, jaką popełnił zbrodnię. Zbrodnię, za którą niewinni ludzie muszą tak cierpieć.

Obozowisko zmieniło się w piekło. Wiatr podsycił płomienie, które pochłaniały kolejne ciała. Gentle biegł w stronę ognia. Oczy piekły od dymu, łzy ciurkiem płynęły mu po twarzy. Nie interesowało go, czy przeżyje – wiedział tylko, że gdzieś w tym piekle znajduje się Pie'oh'pah. Gdyby teraz go stracił, równie dobrze mógłby umrzeć.

Ocalała żałosna garstka mieszkańców. Minął ich, kierując się ku wyrwie w ogrodzeniu, przez którą uciekli. Chwilami widział, dokąd biegnie, chwilami poruszał się na oślep; wiatr to rozwiewał dym, to dmuchał nim w twarz. Gentle zarzucił sobie skórzaną kurtkę na głowę, żeby jakoś osłonić się przed gorącem, i zanurkował w dziurę w parkanie. Zaraz za nią napotkał ścianę ognia, nie miał szans się przedrzeć. Skręcił w lewo, gdzie udało mu się znaleźć lukę między dwoma płonącymi samochodami. Schylił się, przemknął między nimi i znalazł się w samym środku obozu. Czuł odór spalonej skóry. Plac, na którym się zatrzymał, był względnie wolny od ognia, ze wszystkich stron otaczał go jednak wściekły żywioł. Tylko trzy przyczepy nie płonęły, ale zanosilo się na to, że zmienny wiatr lada chwila poniesie ogień w ich stronę. Gentle nie miał pojęcia, ilu ludzi zdołało uciec, zanim pożar rozszalał się na dobre, teraz jednak dla nikogo nie było już nadziei. Żar stał się niemal nie do zniesienia, bił ze wszystkich stron, gotował mu mózg i roztopiał myśli. Gentle wciąż miał jednak przed oczami istotę, której szukał. Był zdecydowa-

ny nie opuszczać pogorzeliska, dopóki nie dotknie jej twarzy – lub nie zdobędzie pewności, że zmieniała się w popiół.

Z chmury dymu wybiegł ujadający pies. Kiedy mijał Gentle'a, nowy słup ognia przeciął mu drogę i spanikowany kundel zawrócił. Gentle podążył jego śladem w ognisty chaos. Biegąc, wykrzykiwał imię Pie, chociaż każdy kolejny wdech palił go w płucach i głos brzmiał coraz bardziej chrapliwie. Nawet jeśli istniała jakaś droga ucieczki, nie wiedział, gdzie jej szukać. Zewsząd otaczał go ogień.

Gdzieś z przodu znów usłyszał szczekanie. Przyszło mu do głowy, że może jedyną istotą, jaką dane mu będzie ocalić z pożogi, jest pies. Pognał za kundlem. Łzy płynęły mu po policzkach. Bez przerwy się potykał, bo nierówny grunt rozmazywał mu się przed oczami. Szczekanie ucichło, stracił punkt odniesienia, ale mógł tylko biec naprzód i mieć nadzieję, że pies jeszcze żyje. Żył. Śmiertelnie przerażony przysiadł na zadzie.

Gentle nabrał powietrza w płuca, żeby go zawołać, i w tej samej chwili ujrział postać wynurzającą się z dymu. Ogień nie oszczędził Pie'oh'paha, ale przynajmniej go nie zabił. Oczy mu łzawiły, miał krew na wargach, szyi i rękach. W ramionach trzymał jakieś smętne zawiniątko. Dziecko.

– Jest ktoś jeszcze?! – krzyknął Gentle.

Pie obejrzał się przez ramię na płonące szczątki przyczepy. Zamiast parzyć sobie płuca i odzywać się ponownie, Gentle ruszył biegiem w jej kierunku. Pie złapał go za ramię i podał mu dziecko.

– Weź ją.

Gentle odrzucił kurtkę i wziął małą na ręce.

– Uciekaj! – powiedział Pie. – Zaraz pobiegnę za tobą!

Nie czekając, aż Gentle go posłucha, zawrócił w stronę płonącej przyczepy.

Gentle spojrział na dziecko – miało poczerniałą skórę i było całe we krwi, prawdopodobnie nie żyło, ale jeżeli się pospieszy, może jeszcze uda się je reanimować. Tylko którą biec? Nie mógł zawrócić, przed sobą także miał ścianę ognia. Po krótkim wahaniu skręcił w lewo – stamtąd dobiegało czyjeś pogwizdywanie. Nie rozumiał, po co ktoś miałby teraz gwizdać, ale to przynajmniej dowodziło, że gdzieś tam można swobodnie zaczerpnąć tchu.

Pies biegł mu przy nodze, lecz po paru krokach stanął jak wryty i zaczął się cofać, mimo że z przodu powietrze z każdym krokiem robiło się coraz chłodniejsze, a tuż-tuż rysowała się przestrzeń wolna od ognia.

Wolna od ognia, ale nie pusta. Zza jednego ze stosów wynurzyła się jakaś postać. Cały czas pogwizdywała, mimo że włosy jej płonęły, a dłonie, które trzymała w górze, zmieniły się w dymiące kikuty. Idąc, odwróciła głowę i spojrzała w stronę Gentle'a.

Melodia, którą gwizdała, była zupełnie nijaka, ale w porównaniu z tym spojrzeniem mogła wydawać się piękna. Oczy tej dziwnej istoty przypominały zwierciadła, w których odbijał się pożar – same płonęły i dymiły. Gentle zdał sobie sprawę, że ma przed sobą podpalacza. Dlatego stwór pogwizdywał, chociaż jego ciało płonęło – dla niego to był raj. Odwrócił wzrok ku płomieniom i wszedł w chmurę dymu. Droga do ogrodzenia stała otworem. Gentle'owi od chłodniejszego powietrza zakręciło się w głowie. Potknął się, ale nie wypuścił dziecka z rąk. Postanowił za wszelką cenę wynieść je bezpiecznie na ulicę, w czym pomogli mu dwaj strażacy w maskach tlenowych, którzy wybiegli mu na spotkanie. Jeden odebrał od niego małą, a drugi podtrzymał go, gdy nogi się pod nim ugięły.

– Tam są jeszcze żywi ludzie! – krzyknął Gentle, skinieniem głowy wskazując piekło za plecami. – Trzeba ich ratować!

Strażacy wyprowadzili go za parkan, na ulicę. Tam zajęli się nim pielęgniarze z noszami i kocami. Powtarzali mu, że jest bezpieczny i wszystko będzie dobrze, ale wiedział, że nic nie będzie dobrze, dopóki Pie pozostaje w samym środku pożaru. Zrzucił koc i odsunął podtykaną mu pod nos maskę tlenową, twierdząc uparcie, że nie potrzebuje pomocy. Nikt nie tracił czasu, by go przekonać, że się myli. Potrzebujących było zbyt wielu – wszędzie kręcili się zapłakani, zrozpaczeni ludzie. Syreny karetek wyły ogłuszająco. Gentle widział wiele ciał leżących na chodniku, przykrytych zaimprovizowanymi naprędce całunami, spod których sterczały zwęglone kończyny. Odwrócił się plecami do tej makabrycznej sceny i zaczął iść wzdłuż ogrodzenia.

Strażacy zrywali arkusze blachy z płotu, żeby zrobić miejsce dla węży strażackich, które kłębiły się na ulicy jak parzące się żmije. Silniki pomp ryczały głośno, tłocząc wodę. Niebieskie, migające światła wozów strażackich ginęły w oślepiającym blasku ognia. Na ulicy zebrał się tłum, który wiwatował głośno, gdy udało się obalić znaczny kawał parkanu i snop iskier strzelił w niebo. Strażacy podeszli bliżej i wycelowali węże w serce żywiołu. Gentle ruszył dalej. Kiedy znalazł się naprzeciwko wyrwy w parkanie, ogień w kilku miejscach już udało się opanować. W niebo wzbijały się słupy dymu i pary. Wypatrywał znaku życia na pogorzeliisku, aż pojawienie się następnej ekipy i

dwóch wozów strażackich zmusiło go do powrotu na poprzednie miejsce.

Nigdzie nie dostrzegł śladu Pie'oh'paha – ani wśród ofiar, ani wśród tych, którzy przeżyli. Ogień przegrywał walkę z wodą, dym jednak gęstniał i kiedy Gentle zatrzymał się przy leżących na chodniku ciałach – ich liczba przez ten czas się podwoiła – niewiele było widać. Czy gdzieś tu leży Pie'oh'pah? Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Policjant o twarzy śpiewającego sopranem chłopca – gładkiej, a przy tym zatroskanej – zapytał:

– Czy to ty wyniosłeś małą dziewczynkę z pożaru?

– Ja. Co z nią?

– Przykro mi, stary, nie żyje. To twój dzieciak?

– Nie. – Gentle pokręcił głową. – Widziałem jeszcze jedną osobę, czarnoskórego faceta z długimi kręconymi włosami. Miał krew na twarzy. Wyszedł stamtąd?

– Nikogo takiego nie widziałem.

Gentle spojrzał na ułożone na ziemi zwłoki.

– Tu nie ma sensu szukać – uprzedził go policjant. – Zresztą teraz oni wszyscy są czarni.

– Muszę ich obejrzeć.

– Powtarzam, to nie ma sensu. Nikogo nie rozpoznasz. Może pójdziesz ze mną do karetki? Trzeba cię opatrzyć.

– Nie, muszę szukać – uparł się Gentle. Chciał odejść, ale policjant złapał go za ramię.

– Nie zbliżaj się do parkanu. Coś jeszcze może wybuchnąć.

– Ale on może tam być.

– Jeśli rzeczywiście masz rację, to chyba już po nim. Jest niewielka szansa, że jeszcze ktoś przeżył. Cofnij się za nasz kordon. Stamtąd możesz bezpiecznie patrzeć.

Gentle uwolnił się z jego uścisku.

– Sam pójde – burknął. – Nie potrzebuję eskorty.

Po godzinie udało się opanować pożar. Przez ten czas Gentle mógł tylko stać i patrzeć. Karetki przyjeżdżały i odjeżdżały, zabierając ostatnich poszkodowanych, a potem zmarłych. Sopranista miał rację, że zgliszcz nikogo już nie wyniesiono – żywego ani martwego, mimo że Gentle odczekał, aż tłum (nie licząc największych spóźnialskich) rozproszył się, a strażacy ugasiли ogień. Dopiero kiedy z pogorzelniska wyszedł ostatni strażak, a wężom odcięto wodę, stracił resztki nadziei. Dochodziła druga nad ranem. Nogi i ręce cią-

żyły mu ze zmęczenia, ale w porównaniu z ciężarem, jaki zaległ mu w piersi, ważyły tyle co nic. „Ciężkie serce” to nie tylko poetycka metafora, Gentle miał wrażenie, jakby zmieniło mu się w ołów i kaleczyło wnętrze.

Wracając do samochodu, usłyszał gwizd – ten sam monotony świst, przenikający gęste od dymu i sadzy powietrze. Zatrzymał się i rozejrzał na wszystkie strony, ale nie zobaczył nikogo. Nie miał siły na poszukiwania i gonitwę. Zresztą gdyby tego kogoś dopadł, potrząsnął za kłapy i zagroził, że połamie mu wszystkie osmolone gnaty, co by to dało? Jeżeli nawet istota przejęłaby się jego groźbą (a stwór, który pogwizduje sobie, kiedy jego ciało płonie, bólu się pewnie nie boi), nie zrozumiałby jej odpowiedzi. Z podobnych przyczyn nie rozumiał listu Chanta. I Chant, i tajemniczy stwór uciekli z jakiegoś nieznanego kraju, o którego granicę Gentle otarł się w Nowym Jorku; ze świata, w którym mieszkał bóg imieniem Hapexamendios i w którym urodził się Pie'oh'pah. Obiecał sobie, że prędzej czy później dowie się, jak tam trafić, a wtedy pozna wszystkie tajemnice – sekret gwizdzącego, sekret listu i sekret kochanka. Może nawet uda mu się przeniknąć tę tajemnicę, którą prawie codziennie widywał w lustrze przy goleniu. Do niedawna wydawało mu się, że świetnie zna tę twarz. Dopiero ostatnio zrozumiał, że zapomniał do niej szyfru i bez pomocy nieznanych bogów nigdy go nie odzyska.

3

Wróciwszy do domu w Primrose Hill, Godolphin nie położył się spać, lecz do rana słuchał doniesień z miejsca tragedii. Liczba ofiar rosła z każdą godziną. Każdy miał swoją teorię na temat przyczyn pożaru; eksperci wykonywali okazję, żeby skomentować niewystarczające środki bezpieczeństwa na polach kempingowych, gdzie koczują robotnicy sezonowi. Żądali też powołania parlamentarnej komisji śledczej, której ustalenia pozwoliłyby uniknąć podobnych tragedii w przyszłości.

Doniesienia mediów były wstrząsające. Zgadza się, pozwolił Dowdowi pozbyć się mistyfa – swoją drogą ciekawe, dlaczego tak mu na tym zależało? – ale Dowd nadużył ofiarowanej mu swobody i należała mu się kara. Nie miał jednak ochoty myśleć o tym w tej chwili. Postanowił poczekać, wybrać

odpowiedni moment... Bo taki moment na pewno nadejdzie. Tymczasem przemoc, którą stosował Dowd, potwierdzała, zdaniem Godolphina, niepokojącą prawidłowość. Zmieniały się rzeczy, które wydawały mu się wieczne i niezienne. Władza wyslizgiwała się z rąk tym, którzy tradycyjnie ją dzierżyli, i trafiała się ich podwładnym – pomagierom, Chowańcom i funkcjonariuszom, którzy nie umieli się nią posługiwać. Dowodziła tego dzisiejsza katastrofa.

Zaraza dopiero zaczynała się rozprzestrzeniać. Kiedy rozpleni się we wszystkich dominiach, nic jej nie powstrzyma. W Vanaeph i L'Himby już wybuchły powstania, mówiło się o buncie w Yzorderrex, Tabula Rasa szykowała w Piątym Dominium czystkę, która świetnie wpisywała się w krwawą wendetę Dowda. Wszędzie pojawiały się oznaki rychłego rozpadu.

Paradoksalnie, najgroźniejsze z tych objawów przypominały z pozoru próby odbudowy. Na przykład Dowd zmienił twarz, żeby w razie spotkania nikt z członków Tabula Rasa go nie rozpoznał. Robił to przy każdej zmianie właściciela, ale Oscar był pierwszym Godolphinem, który widział przemianę na własne oczy. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że Dowd specjalnie chciał się popisać swoimi zdolnościami zmiany kształtu, które potwierdzały jego rosnące wpływy. Udało mu się. Widok tak znajomych rysów, które rozplývają się i zastygają zgodnie z wolą właściciela, był jednym z najbardziej wstrząsających spektakli w życiu Godolphina. Twarz, na którą ostatecznie zdecydował się Dowd, nie miała wąsów ani brwi, była smuklejsza i młodsza od poprzedniej. Idealne oblicze faszysty. Dowd musiał się zorientować, jakie robi na ludziach wrażenie, bo utlenił włosy i kupił kilka nowych garniturów – morelowych, ale znacznie bardziej tradycyjnie skrojonych niż te, które nosił dotychczas. Równie wyraźnie jak Oscar wyczuwał zbliżające się zaburzenia, czuł zepsucie toczące państwo i szykował się na nadejście Nowej Prostoty.

A jakie narzędzie nadawało się lepiej do jej zaprowadzenia niż ogień – szczęście dla palacza książek i rozkosz dla inkwizytora? Oscar wzdrygnął się na myśl, jaką przyjemność sprawił Dowdowi nocny pożar i zamordowanie z zimną krwią niewinnych ludzi. Wszystko po to, by dopaść mistyfa. Dowd na pewno przyjdzie do domu zapłakany i powie, że żałuje krzywdy, jaką wyrządził dzieciom, ale będzie grał, udawał. Był ucieleśnieniem oszustwa i Godolphin wiedział, że od tej pory musi się mieć na baczności. Lata spokoju dobiegły końca. Musi zacząć zamykać drzwi do sypialni.

ROZDZIAŁ 15

1

Wściekła na Estabrooka Judith rozważała kilka możliwych wariantów zemsty – od krwawej i nad wyraz osobistej, po bardziej klasyczną i bezosobową. Jednak jej własna natura znów ją zaskoczyła. Pomysły, w których główną rolę odgrywały sekatory i inne narzędzia kary, szybko ustąpiły miejsca świadomości, że najbardziej skrzywdzi Estabrooka – pod warunkiem że jej samej nic już nie groziło – ignorując go całkowicie. Po co dawać mu satysfakcję, że w ogóle się nim interesuje? Niech stanie się niegodny nawet jej pogardy. Opowiedziawszy całą historię Taylorowi i Clemowi, nie potrzebowała nowych słuchaczy. Od tej pory jego imię nie zbruka więcej jej ust. Tak poprzysięgła sobie w duchu. Trudniej było dotrzymać słowa – w Boxing Day zadzwonił po raz pierwszy, dając początek całej serii telefonów. Rozłączyła się, gdy tylko rozpoznała jego głos. Nie brzmiał tak stanowczo jak dawniej i musiała chwilę porozmawiać, zanim zorientowała się, kto dzwoni. Pstryknęła w widełki i do końca dnia zostawiła słuchawkę obok aparatu. Rano zadzwonił ponownie. Tym razem, na wypadek gdyby miał jednak jakieś wątpliwości, powiedziała wprost:

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć twojego głosu.

I rozłączyła się.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że płakał w słuchawkę. Sprawilo jej to niemałą przyjemność i dało nadzieję, że więcej się nie odezwie. Myliła się. Tego wieczoru – wyszła wówczas na imprezę urządzaną przez Chestera Kle-

ina – zadzwonił jeszcze dwukrotnie i zostawił dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. U Kleina usłyszała nowinę o Gentle'u, z którym nie rozmawiała od czasu ich dziwnego rozstania w pracowni. Chester, który po wódce robił się wręcz nieznośny, powiedział jej bez ogródek – Gentle jest na skraju załamania nerwowego. Od świąt rozmawiali dwukrotnie i coraz trudniej było się z nim dogadać.

– Co się z wami dzieje, mężczyźni? – zdziwiła się. – Tak łatwo się poddajecie.

– To dlatego że jesteśmy bardziej tragiczną z dwóch płci. Boże, kobieto, czy ty nie widzisz, jak cierpimy?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Ale cierpimy. Uwierz mi na słowo. Cierpimy.

– A macie po temu jakieś konkretne powody, czy może jest to takie cierpienie swobodne?

– Jesteśmy odgradzeni od świata. Nic nie może się do nas przebić.

– Tak jak do kobiet. O co...

– Kobiety się rżnie – przerwał jej Klein, wymawiając ostatnie słowo z pijacką przesadą. – A wy to uwielbiacie. Wiem, biadolicie, ale uwielbiacie. No, śmiało, przyznaj się.

– Chodzi ci o to, że mężczyźni też by chcieli, żeby ktoś ich rżnął? Czy mówisz tylko za siebie?

Odpowiedziała jej salwa śmiechu. Otaczała ich spora grupka gości, którzy oderwali się od niezobowiązującej pogawędki, by śledzić fajerwerki.

– Nie dosłownie – odburknął Klein. – Nie słuchasz mnie.

– Słucham, ale mówisz od rzeczy.

– Weźmy na przykład Kościół...

– W dupie mam Kościół!

– Nie, zaczekaj. Ja tu mówię szczerą prawdę, do cholery! – Klein zacisnął zęby. – Jak ci się wydaje, po co mężczyźni wymyślili Kościół? Co?

Jude rozzłościła się do tego stopnia, że nic nie odpowiedziała. Klein mówił więc dalej, powoli, z namaszczeniem, jak do skretyniałej uczennicy:

– Mężczyźni wymyślili Kościół po to, żeby mogli krwawić za Chrystusa. Żeby Duch Święty mógł w nich wejść i ocalić ich przed samotnością. – Skończywszy wykład, odchylił się na oparcie krzesła i uniósł kieliszek. – In wódka veritas – dodał.

– Gównu in wódka – odparła Jude.

– Typowa reakcja – skomentował Klein. – Jak tylko dostajecie w dupę, zaczynacie bluzgać.

Pokręciła z niesmakiem głową, ale Klein miał jeszcze jedną tajną broń:

– Czy nie w ten sposób doprowadziłaś Gentle'a do obłądu?

Zabolało.

– Jego w to nie mieszaj – warknęła.

– Chcesz zobaczyć, co to znaczy, że ktoś jest odgradzony? No to masz gotowy obiekt. On zwariował, wiesz?

– Kogo to obchodzi? Jeśli chce się załamać, droga wolna.

– Jakie to humanitarne z twojej strony.

Jude spięła się cała na te słowa. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze chwila i zupełnie straci panowanie nad sobą.

– Wiem, na czym polega problem Gentle'a – ciągnął Klein. – To anemik. Ma za mało krwi, żeby wystarczyło jednocześnie na mózg i na fiuta. Kiedy mu staje, zapomina, jak się nazywa.

Jude zakręciła kostkami lodu w szklance.

– Nie wiedziałam.

– Z tobą też tak jest? Masz tam, poniżej pasa, coś, o czym nam nie powiedziałaś?

– Nawet gdyby tak było, ty dowiedziałabyś się o tym ostatni. – Chlusnęła drinkiem na odsłonięty w rozcięciu koszuli tors Kleina.

Później oczywiście tego żałowała. Jadąc do domu, zastanawiała się, jak bez przeprosin pogodzić się z Kleinem. Ponieważ nic nie przychodziło jej do głowy, postanowiła na razie o tym zapomnieć. Kłóciła się z nim nie raz i nie dwa, na trzeźwo i po pijanemu; sprzeczki szły w niepamięć po miesiącu, najdalej dwóch.

W domu zastała wiadomości od Estabrooka. Już nie płakał; jego głos brzmiał jak bezosobowy lament, wyprany z prawdziwej rozpacz. Za pierwszym razem nagrał na sekretarkę te same błagania, które słyszała już wcześniej. Mówił, że bez niej postrada zmysły. Błagał o chwilę rozmowy, żeby mógł wszystko wytłumaczyć. Druga wiadomość była mniej spójna – opowiadał, że nie zdawał sobie dotąd sprawy, ile skrywa sekretów, że pogrążają go coraz głębiej i dusi się wśród nich. Może zgodziłaby się z nim spotkać, wpaść z wizytą, chociażby po to, żeby zabrać swoje rzeczy?

To prawdopodobnie był jedyny fragment sceny rozstania, który rozegrałaby inaczej, gdyby ktoś dał jej drugą szansę. W złości zostawiła Estabrookowi

spora kolekcję osobistych drobiazgów, biżuterii i ubrań. Widziała w wyobraźni, jak płacze nad nimi, obwąchuje je... Cholera! Może nawet je przymierza?! Ale mimo że była zła na siebie za ten moment nieuwagi, nie zamierzała się teraz targować. Kiedy ochłonie, opróżni mu komody i szafy. Ale jeszcze nie teraz.

Tego wieczoru nikt więcej nie dzwonił. Nowy Rok zbliżał się wielkimi krokami i Jude uznała, że najwyższy czas się zastanowić, jak zarobi na życie w styczniu. Kiedy Estabrook się jej oświadczył, rzuciła pracę w Vandenburgu. Dopóki byli razem, swobodnie korzystała z jego pieniędzy, wierząc – naiwnie, bez wątpienia – że jeżeli kiedyś się rozstaną, Estabrook załatwi sprawę, jak przystało na dżentelmena. Nie przewidziała ani dręczącego niepokoju, który kazał jej od niego odejść (nie mogła pozbyć się wrażeń, że stała się jego własnością i jeśli zostanie z nim choćby chwilę dłużej, nigdy już nie wyzwoli się z okowów), ani jego bezlitosnej zemsty. Czuła, że nadejdzie czas, kiedy będzie gotowa na wzajemne obrzucanie się błotem przy okazji rozwodu, ale (podobnie jak z ubraniami) na razie wolała z tym poczekać, mimo że pewnie byłyby z tego jakieś pieniądze. Tymczasem musiała znaleźć jakąś pracę.

Trzydziestego grudnia zadzwonił do niej Lewis Leader, adwokat Estabrooka, którego spotkała tylko raz w życiu, ale taki był wygadany, że na dobre zapadł jej w pamięć. Tym razem jednak zrobił się małomówny. Zaznaczył tylko delikatnie, że jest zdegustowany stylem, w jakim rozstała się z jego klientem. Jego zdaniem jej zachowanie graniczyło z chamstwem. Czy wie o tym, zapytał, że Estabrook jest w szpitalu? Kiedy zaprzeczyła, napomknął, że jest pewien, iż nic jej to nie obchodzi, ale kazano mu przekazać taką właśnie informację. Zapytała, co się stało. Leader odparł krótko, że Estabrooka znaleziono wczesnym rankiem dwudziestego ósmego na ulicy, odzianego tylko w jedną część garderoby. Nie powiedział w jaką.

– Został ranny? – spytała Judith.

– Fizycznie nie, ale psychicznie jest wykończony. Uznałem, że powinna to pani wiedzieć, chociaż on na pewno nie chciałby się z panią spotkać.

– Z pewnością ma pan rację.

– Zasługiwał na coś lepszego.

Tym truizmem Leader zakończył rozmowę, zostawiając Jude do przemyślenia pytanie, dlaczego wszyscy mężczyźni, z którymi się wiązała, popadali w obłęd. Dwa dni wcześniej usłyszała, że Gentle lada chwila się załamie; te-

raz Estabrook był na prochach. Czy to jej obecność w ich życiu do tego doprowadziła, czy raczej wrodzone szaleństwo? Pomyślała, że mogłaby zadzwonić do pracowni i spytać Gentle'a, jak się miewa, ale porzuciła ten zamiar. Mógł się kochać ze swoim obrazem i niech ją diabli, jeśli będzie rywalizowała z kawałkiem szmaty o jego względy.

Z telefonu od Leadera wyniknęła przynajmniej jedna użyteczna możliwość działania. Skoro Estabrook znalazł się w szpitalu, mogła spokojnie pojechać do niego do domu i zabrać rzeczy. Był to doskonały pomysł na ostatni dzień grudnia – pozbiera pamiątki swojego życia z legowiska męża i przygotuje się na samotne powitanie Nowego Roku.

2

Nie zmienił zamków; może miał nadzieję, że któregoś dnia ona wróci i wejdzie mu do łóżka. Mimo to nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że zachowuje się jak złodziejka. Na dworze panowała zimowa szaruga. Jude włączyła wszystkie światła, ale pokoje dziwnie opierały się iluminacji – jak gdyby smród psującej się żywności zagaścił powietrze. Dzielnie zapuściła się do kuchni w poszukiwaniu czegoś do picia, zanim zacznie się pakować. Na stole i blacie wszędzie piętrzyły się talerze z gnijącymi resztkami jedzenia, porcje były prawie nietknięte. Otworzyła najpierw okno, a potem lodówkę, gdzie znalazła dalsze cuchnące zapasy, ale także wodę i lód. Nalała sobie wody do czystej szklanki, wrzuciła trochę lodu i wzięła się do pracy.

Na piętrze panował taki sam bałagan. Po jej odejściu Estabrook musiał prowadzić nędzny żywot – ich niegdyś wspólne łóżko zmieniło się w kłębowisko nieświeżej pościeli, wszędzie po podłodze wałała się brudna bielizna. Jude nigdzie nie dostrzegła swoich ubrań, znalazła je dopiero w sąsiedniej garderobie, równo rozwieszone i nietknięte. Chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, znalazła walizki i zaczęła się pakować. Nie zajęło jej to wiele czasu. Opróżniła szuflady i spakowała drobiazgi, które w nich znalazła. Biżuterię trzymała w sejfie na parterze. Udała się tam prosto z sypialni. Przy okazji przeniosła walizki pod drzwi wejściowe. Wiedziała wprawdzie, gdzie są klucze do sejfu, ale nigdy sama go nie otwierała. W domu obowiązywał ustalony

rytuał, którego Estabrook ściśle przestrzegał: kiedy miała założyć którąś z otrzymanych od niego ozdób, najpierw wypytywał ją, co to ma być, następnie przynosił żadaną sztukę biżuterii z sejfów i osobiście zakładał Jude na szyję, na rękę czy wpinał do ucha. Z perspektywy czasu lepiej pojmowała, że w ten sposób chciał okazać jej swoją władzę. Nie rozumiała, w jakim stanie otępienia musiała się znajdować, żeby tak długo znosić podobne idiotyzmy. Z pewnością nie narzekała na luksusy, z jakich przy okazji korzystała, ale dlaczego zachowywała się tak biernie? To była jakaś groteska.

Klucz znalazła w spodziewanym miejscu – ukryty w głębi szuflady biurka Estabrooka. Sam sejf znajdował się pod szkicem wiszącym na ścianie gabinetu, przedstawiającym różne elewacje pseudoklasycznego pawilonu, który artysta nazwał Azylem. Obrazek nie zasługiwał na tak ozdobną, ciężką ramę; zdjęcie go ze ściany przysporzyło Jude nieco kłopotów, ale ostatecznie dopięła swego. Otworzyła sejf.

W środku były dwie półki: na niższej leżał stos papierów, wyższą zajmowały małe pudełka, pośród których – jak się domyślała – musiały znajdować się jej skarby. Wyjęła wszystkie szkatułki i rozstawiła na biurku. Ciekawość zwyciężyła, Jude przestała myśleć o tym, żeby zabrać, co się jej należy, i jak najszybciej zniknąć. W dwóch pudełkach znalazła swoją biżuterię, trzy pozostałe wyglądały jednak o wiele bardziej intrygująco – między innymi dlatego że owinięto je w delikatny, aksamitny materiał i roztaczały woń słodkich (prawie do przesady) przypraw, zamiast typowej dla reszty sejfów stęchlizny.

Otworzyła największe z nich. W środku spoczywał rękopis spisany na zszytych wyrafinowanym ścięciem arkuszach pergaminu. Nie miał żadnej okładki, stanowił raczej luźny zbiór kartek i na pierwszy rzut oka wyglądał na traktat poświęcony ludzkiej anatomii. Przyjrząwszy mu się bliżej, doszła do wniosku, że ma przed sobą podręcznik nie chirurgii, lecz miłości, opisujący rozmaite techniki i pozycje seksualne. Przekartkowała go, mając nadzieję, że jego autor jest gdzieś bezpiecznie zamknięty i nie ma możliwości wcielenia swoich pomysłów w czyn. Ludzkie ciało nie było wystarczająco elastyczne ani nie zmieniało kształtu dość dowolnie, żeby odtworzyć wizje przedstawione tuszem na kartach manuskryptu. Niektóre splecione pary przypominały wściekle kałamarnice, inne zostały pobłogosławione (lub przeklęte) tak licznymi i dziwacznymi organami i otworami, że trudno było rozpoznać w nich ludzi.

Kartkowała rękopis w tył i w przód, ale zawsze wracała do zajmujących

dwie strony ilustracji w samym środku. Kilka kolejnych obrazków układało się w logiczny ciąg. Pierwszy z nich przedstawiał mężczyznę i kobietę, nagich i zupełnie normalnych. Kobieta leżała na wznak z głową opartą na poduszce, mężczyzna natomiast klęczał między jej nogami i lizał ją w stopę. Niewinny początek stanowił wstęp do kanibalistycznej orgii. Mężczyzna stopniowo pożerał kobietę, poczynając od nóg, ona zaś odwdzięczała mu się tym samym. Cały akt przeczył oczywiście fizyce i fizjologii, artyście udało się jednak uniknąć groteski, zupełnie jakby przedstawiał instrukcje, które pozwalają osiągnąć niezwykle, magiczne złudzenie rzeczywistości. Dopiero gdy zamknęła książkę i nie mogła pozbyć się rysunków z pamięci, zaczęły ją niepokoić. Chcąc przegnać je z myśli, wpadła w słuszny gniew na Estabrooka, który nie tylko kupował takie ohydztwa, ale w dodatku je przed nią ukrywał. Tym bardziej należało się trzymać od niego z daleka.

W drugiej paczusce znalazła coś znacznie mniej interesującego. Mlecznoniebieski, z delikatnymi żyłkami czerwieni i czerni, kamień wielkości jej pięści. Wyglądał na fragment jakiejś statuetki. Niezbyt artystycznie wyrzeźbiono w nim łzawiące oko, sutek, z którego ścieka mleko, lub pączek puszczający sok. Kamień przyjemnie leżał w dłoni, toteż z żalem odłożyła go na bok, żeby zajrzeć do trzeciego pudełka. W nim natrafiła na najładniejsze znalezisko ze wszystkich: pół tuzina koralików wielkości ziaren grochu, z obłędną precyzją ozdobionych płaskorzeźbami. Widywała już kawałki kości słoniowej, obrobione z podobną precyzją przez orientalnych artystów, zawsze jednak znajdowały się w muzeum, za szkłem. Wzięła jeden z koralików do ręki i podeszła z nim do okna. Wyglądał jak kłębek pajęczej nici i bardzo przyciągał uwagę. Obracała go w palcach i czuła, jak coraz silniej koncentruje się na niezwyklej splotach cieniutkiej nici, zupełnie jakby spodziewała się znaleźć jej koniec, ukryty gdzieś w głębi kłębka, a gdyby się jej to udało, odkryłaby jakąś niesamowitą tajemnicę. Siłą woli zmusiła się do oderwania wzroku od koralika; bała się, że ulegnie jego mocy i będzie się tak długo w niego wpatrywać, aż zemdleje z wyczerpania.

Odłożyła koralik na miejsce. Po tej chwili wytężonej uwagi czuła się dziwnie, kręciło się jej lekko w głowie, rozrzucone na biurku drobiazgi rozpląwały się jej przed oczami. Rozgarnęła je po omacku. Jej ręce dobrze wiedziały, czego szukają, chociaż świadomość nie miała o tym pojęcia. Jedną dłoń namacała błękitny kamień, drugą chwyciła koralik. Dwie pamiątki. Cemu nie? Kamień i koralik. Kto by miał pretensje, że Jude zabiera Estabrooko-

wi takie drobiazgi, gdy on ją tak chciał skrzywdzić? Bez dalszego namysłu schowała je do kieszeni, manuskrypt i resztę skarbów Estabrooka włożyła do sejfu. Zabrała też szmatkę, w którą owinięto kamień, wzięła biżuterię i wyszła do hallu. W drodze do drzwi powyłączała światła. Przypomniała sobie, że otworzyła okno w kuchni, i wróciła je zamknąć. Nie chciała, żeby ktoś się tu włamał. Tylko jeden złodziej miał prawo tu grasować – ona.

3

Zadowolona z uczciwie przepracowanego poranka, pozwoliła sobie na kieliszek wina do skąpego lunchu, po którym zaczęła rozpakowywać łupy. Kiedy rozkładała ubrania na łóżku, przypomniał się jej znaleziony w sejfie rękopis. Zaczęła żałować, że go zostawiła. Świetnie nadawałby się na prezent dla Gentle'a, który z pewnością wyobrażał sobie, że zaznał wszelkich dostępnych człowiekowi rozkoszy. Mniejsza z tym. Przy okazji mu o nim opowie i zaskoczy go pamięcią do zboczeń.

Zadzwoił Clem, odrywając ją od pracy. Mówił tak cicho, że musiała dobrze nadstawić ucha. Nie miał dobrych wieści. Taylor znalazł się o krok od śmierci. Dwa dni wcześniej wróciło ciężkie zapalenie płuc, ale nie chciał iść do szpitala. Powiedział, że ma jedno ostatnie życzenie: umrzeć tam, gdzie żył.

– Cały czas dopytuje się o Gentle'a – dodał Clem. – Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie odbiera telefonu. Nie wiesz przypadkiem, czy nie wyjechał?

– Raczej nie, ale od świąt z nim nie rozmawiałam.

– Mogłabyś spróbować go dla mnie znaleźć? Właściwie nie dla mnie, tylko dla Taylora. Może zajrzałabyś do pracowni, wyciągnęła go stamtąd? Sam bym poszedł, ale nie odważę się wyjść z domu. Boję się, że jak tylko przestąpię próg... – Łzy zdławiły mu głos w gardle. – Chcę tu być, gdyby coś się stało.

– Rozumiem. Zaraz się zbiorę.

– Dzięki. Zostało mu niewiele czasu, Judy.

Przed wyjściem zadzwoniła jeszcze do Gentle'a, ale nikt się nie odezwał.

Po dwóch próbach dała sobie spokój z telefonem, narzuciła kurtkę i wyszła do samochodu. Sięgając do kieszeni po kluczyki, zorientowała się, że wciąż ma ze sobą kamień i koralik. Odezwało się w niej jakieś niejasne przeczucie, że może powinna je zostawić w domu, nie miała jednak czasu, by się zastanawiać. Nikt nie mógł ich zobaczyć, dopóki miała je w kieszeni. A gdyby nawet, to co z tego? Śmierć była tuż-tuż; kto by się przejmował jakimiś wykradzionymi drobiazgami?

*

Tej nocy, kiedy zostawiła Gentle'a w pracowni, przekonała się, że z drugiej strony ulicy może zajrzeć przez okno do środka. Kiedy więc nie reagował na pukanie, wyszła i stanęła na chodniku naprzeciw domu. Nikogo nie widziała, ale goła żarówka świeciła się w pokoju. Jude odczekała dłuższą chwilę, zanim Gentle znalazł się w jej polu widzenia, półnagi i brudny. Zrobiła dobry użytek ze swoich całkiem pojemnych płuc, wykrzykując jego imię. Z początku nie zareagował, ale za drugim razem obrócił się w jej stronę i podszedł do okna.

– Wpuść mnie! – zawołała. – To pilne!

Kiedy otworzył jej drzwi, na jego twarzy malowała się niechęć. Jeżeli na przyjęciu prezentował się kiepsko, to teraz wyglądał wprost beznadziejnie.

– O co chodzi? – spytał.

– Taylor jest ciężko chory. Clem mówi, że cały czas o ciebie pyta.

Gentle zamyślił się, jakby próbował sobie przypomnieć, kim są Clem i Taylor.

– Musisz się umyć i ubrać – mówiła dalej. – Słuchasz mnie, Furie?

Kiedy się na niego złościła, zawsze nazywała go Furie. Teraz też imię to wywarło na niego cudowny wpływ. Spodziewała się usłyszeć sprzeciw, tym silniejszy, że panicznie bał się wszelkich chorób, ale Gentle bez słowa ruszył na górę. Wydawał się zbyt wycieńczony, żeby zaproponować. Miał niespokojny, pusty wzrok, jakby bezskutecznie szukał obiektu, na którym mógłby zaczepić oko. Poszła za nim do pracowni.

– Pójdę się umyć – rzekł i zniknął w łazience, zostawiając ją samą w bałaganie.

Słyszała, jak odkręcił prysznic; jak zwykle zostawił drzwi otwarte na oścież. Żadne czynności fizjologiczne nigdy nie wywoływały u niego uczucia

wstydu. Z początku ją to szokowało, ale po jakimś czasie przywykła i przeprowadziwszy się do Estabrooka, musiała na nowo uczyć się przyzwoitości.

– Znajdziesz mi jakąś czystą koszulę? – zawołał Gentle. – I bieliznę?

Wyglądało na to, że dziś miała dzień grzebania w cudzych rzeczach. Zanim znalazła dżinsową koszulę i sprane bokserki, wyszedł spod prysznic i stanął przed lustrem, zaczesując do góry opadające na czoło włosy. Nie zmienił się, odkąd ostatnio widziała go nago, był smukły, miał jędrne pośladki, płaski brzuch i gładką pierś. Przykryty napletkiem członek przyciągnął jej uwagę. Był jedyną częścią ciała, która zaprzeczała przezwiskowi właściciela^[3]. W stanie spoczynku nie był może zbyt imponujący, ale się jej podobał. Gentle nie dał po sobie poznać, czy wie, że jest obserwowany. Obejrzał się z dezaprobatą w lustrze i pokręcił głową.

– Nie powinienem się ogolić? – spytał.

– Nie przesadzaj. Tu masz ubranie.

Ubrał się szybko. Z sypialni przyniósł sobie buty, zostawiając Jude na chwilę samą w pracowni. Obraz dwojga osób, który widziała w święta, zniknął; cały malarski warsztat – pędzle, sztalugi i zagruntowane płótna – leżały w kącie, bezceremonialnie zrzucone na stos. Najwięcej miejsca w pokoju zajmowały gazety, w większości otwarte na stronie z doniesieniem o tragedii, o której Jude przelotnie słyszała: dwadzieścia jeden osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – zginęło w pożarze na południu Londynu. Przyczyną pożaru było podpalenie. Nie chciała ich czytać; tego dnia miała dość powodów do żałoby.

*

Clem był blady, ale nie płakał. Przytulił ich oboje w drzwiach i zaprosił do środka. Nie zdjął jeszcze świątecznych ozdób – czekały na święto Trzech Króli. W powietrzu unosił się zapach igliwia.

– Zanim do niego pójdziesz, powinieneś wiedzieć, że jest nafaszerowany prochami – uprzedził Gentle'a Clem. – Chwilami zupełnie odpływa. Ale bardzo chciał się z tobą zobaczyć.

– Powiedział dlaczego?

– Nie potrzebuje chyba specjalnego powodu, prawda? Zostaniesz ze mną, Judy? Jeżeli będziesz chciała zajrzeć do niego, kiedy Gentle wyjdzie...

– Chętnie.

Clem zaprowadził Gentle'a do sypialni, Jude zaś poszła do kuchni zapa-

rzyć herbaty. Żałowała, że nie powiedziała Gentle'owi, co Taylor mówił o nim przed tygodniem, zwłaszcza o jego niezrozumiałym bełkotaniu. W Boże Narodzenie Taylor cały czas rozmyślał o odkrywaniu tajemnic; może teraz, na prochach czy nie, miał nadzieję znaleźć jakiś ład w zamęcie, który go otaczał. Wątpiła jednak, żeby Gentle miał jakieś gotowe odpowiedzi. Kiedy przeglądał się w lustrze, sprawiał wrażenie człowieka, dla którego własne odbicie stanowi zagadkę.

*

Tak gorąco robi się w sypialni tylko przy okazji choroby lub miłości, pomyślał Gentle, gdy Clem gestem zaprosił go do środka; tyle potu bierze się tylko z żądz lub zarazy. Nie zawsze wynika z tego coś dobrego, ale nawet kiedy człowiekowi nie układa się w miłości, ma przynajmniej jakąś satysfakcję w łóżku.

Odkąd wyjechał z pogorzelniska w Streatham, prawie nie jadł. Od zaduchu i gorąca zakręciło mu się w głowie. Musiał dwa razy obejrzeć pokój, zanim zwrócił uwagę na łóżko, w którym leżał Taylor – tak dokładnie przesłaniali je bezduszni towarzysze współczesnej śmierci: zbiornik z tlenem, rurki i maska, stół zasypany opatrunkami i ręcznikami, drugi stolik z miską na wymiociny i kaczką, i trzeci, stojący obok, z lekarstwami i maściami. Pośrodku jak magnes, który przyciągnął cały ten ekwipunek, a teraz stał się jego niewolnikiem, leżał Taylor z zamkniętymi oczami, wsparty na obleczonych w folię poduszkach. Wyglądał jak wiekowy starzec. Zostało mu niewiele włosów, schudł przeraźliwie, tak że przez skórę barwy prześcieradła boleśnie przebiegały mu wszystkie kości, nerwy i żyły. Gentle ledwie powstrzymał odruch, który kazał mu uciekać z tego domu, gdy nagle Taylor otworzył oczy. Dało się wyczuć bliskość śmierci. Żar był mniejszy, sceneria zupełnie inna, ale Gentle poczuł tę samą mieszaninę strachu i bezradności co w Streatham.

Ciągle stał przy drzwiach, bo puścił Clema przodem, żeby delikatnie obudził śpiącego. Taylor drgnął i skrzywił się, wodząc wzrokiem po pokoju, aż jego oczy spoczęły na Gentle'u. Złość wywołana powrotem do świata bólu odpłynęła z jego twarzy.

– Znalazłeś go, Clem – powiedział.

– To Judy go znalazła, nie ja.

– Judy... Ona jest cudowna. – Taylor próbował usadowić się wygodniej

na poduszkach, ale nie miał siły. Zaczął oddychać szybko, z wysiłkiem. Przez twarz przebiegł mu grymas bólu.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

– Nie, dzięki. Wolę mieć jasne myśli, żeby porozmawiać z Gentle'em. Zamienisz ze mną kilka słów, John? W cztery oczy?

– Naturalnie.

Clem skinął na Gentle'a. Taylor klepnął ręką materac, więc Gentle usiadł na łóżku, nie na krześle. Zachrząsało foliowe prześcieradło.

– Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebował – dodał Clem pod adresem Gentle'a i wyszedł z pokoju.

– Należysz mi wody? – poprosił Taylor.

Gentle napełnił szklankę. Zorientował się, że Taylor nie ma siły utrzymać jej w rękach, więc przytknął mu ją do ust. Balsam, którym posmarowano wargi chorego, lekko je nawilżył, ale i tak były spękane i obrzmiałe od wrzodów. Po kilku łykach Taylor coś zamruczał.

– Wystarczy? – spytał Gentle.

– Tak, dzięki.

Gentle odstawił szklankę.

– Wszystkiego mi już w życiu wystarczy – powiedział Taylor. – Czas z tym skończyć.

– Jeszcze wrócą ci siły.

– Nie po to prosiłem o spotkanie z tobą, żebyśmy nawzajem się okłamywali. Chciałbym ci powiedzieć, jak dużo o tobie myślałem, Gentle. Dniem i nocą.

– Z pewnością na to nie zasługuję.

– Moja podświadomość jest przeciwnego zdania. Nie tylko podświadomość. Chyba źle ostatnio sypiasz, Gentle.

– Po prostu dużo pracuję.

– Malujesz?

– Trochę. Poza tym szukam natchnienia, sam rozumiesz...

– Muszę ci coś wyznać, ale najpierw obiecaj, że nie będziesz się na mnie złościł.

– A co takiego zrobiłeś?

– Opowiedziałem Jude o naszej wspólnej nocy – odparł Taylor i spojrzał Gentle'owi w twarz, jakby oczekiwał wybuchu. Kiedy nic się nie stało, mówił dalej: – Wiem, że dla ciebie nie było to nic wielkiego, ale mnie to wspomnie-

nie nie dawało spokoju. Nie masz mi tego za złe, prawda?

Gentle wzruszył ramionami.

– Na pewno jej to nie zaskoczyło.

Taylor odwrócił rękę dłonią do góry i Gentle wziął ją w swoją dłoń. W palcach Taylora zostało niewiele siły, ale zacisnęły się lekko. Były zimne.

– Ty drzysz – zauważył Taylor.

– Od dawna nic nie jadłem.

– Musisz dbać o siebie. Za dużo pracujesz.

– Czasem trzeba sobie swobodnie poszybować.

Taylor uśmiechnął się. W jego wynędzniałych rysach mignął cień dawnej urody.

– Oczywiście – przytaknął. – Cały czas to robię. Szybuję w powietrzu po całym pokoju, czasem nawet wylatuję za okno i oglądam samego siebie w łóżku. Tak właśnie będzie, kiedy odejdę, Gentle. Wypłynę przez okno, ale tym razem już nie wrócę. Wiem, że Clem będzie za mną tęsknił. Pół życia przeżyliśmy razem. Zaopiekujecie się nim z Judy, prawda? Jeśli zdołacie, pomóżcie mu zrozumieć, jak to jest. Wy tłumacz mu, że poszybowałem. Nie lubi, kiedy tak do niego mówię, ale ty mnie rozumiesz.

– Świetnie cię rozumiem.

– Jesteś artystą.

– Fałszerzem.

– W moich snach jesteś artystą. Śni mi się, że chcesz mnie uleczyć. Wiesz, co ci odpowiadam? Że nie chcę wyzdrowieć. Że chcę się wyzwolić i odejść do światła.

– To musi być dobre miejsce. Może pójdę z tobą.

– Tak ci źle? Powiedz mi szczerze. Tak ci źle?

– Mam przesrane życie, Tay.

– Nie dokopuj sobie. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Mówiłeś, że mamy się nie okłamywać.

– Ja nie kłamię. To prawda. Potrzebny ci tylko ktoś, kto by ci o tym od czasu do czasu przypominał. Zresztą nie tylko tobie. Bez tego wszyscy tarzamy się w błocku.

Gentle ścisnął go mocniej za rękę. Targały nim uczucia, których nie pojmował i nie umiał wyrazić. Taylor otwiera przed nim swoje serce, mówi o miłości, o snach i o tym, co będzie, gdy umrze, a co on, Gentle, ma do dodania? Co najwyżej wstyd i zapomnienie. Złapał się na tym, że nie wie, który z

nich dwóch jest bardziej chory – Taylor, który, choć kruchy i delikatny, potrafi mówić szczerze, czy on, zdrowy i milczący. Uznał, że nie może się z nim rozstać, nie podjąwszy choćby próby podzielenia się tym, co przeżył.

– Chyba kogoś znalazłem – wykrztusił, szukając właściwych słów. – Kogoś, kto pomoże mi... przypomnieć sobie, kim jestem.

– To dobrze.

– Ale nie jestem pewien... – Jego głos załamał się i ścichł. – Przez ostatnie parę tygodni widziałem różne rzeczy, Tay... Nie chciałem w nie uwierzyć, ale nie miałem wyboru. Czasem wydaje mi się, że wariuję.

– Opowiedz mi...

– W Nowym Jorku ktoś chciał zabić Jude.

– Wiem, mówiła mi o tym. Co z nim? – Taylor wytrzeszczył oczy. – Czy to właśnie on?

– To nie mężczyzna – odparł Gentle. – I nie kobieta. W ogóle nie jest człowiekiem, Tay.

– A czym?

– Czymś cudownym. – Gentle bał się nawet w myślach użyć tego słowa, ale każde inne byłoby kłamstwem, a na kłamstwa nie było między nimi miejsca. – Mówiłem, że wariuję. Przysięgam tylko, że gdybyś zobaczył, jak się zmienia... W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

– Gdzie jest teraz?

– Obawiam się, że nie żyje. Za długo go szukałem. Z początku próbowałem o nim zapomnieć. Bałem się tego, co we mnie obudził. Potem chciałem się go pozbyć, malując jego portret. Na próżno. Oczywiście, że na próżno, stał się już częścią mnie. A kiedy wreszcie poszedłem go poszukać... spóźniłem się.

– Jesteś pewien? – Taylor zmarszczył brwi.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się Gentle.

– Nie, nie, w porządku. Chcę usłyszeć, co było dalej.

– Nie ma już czego słuchać. Może Pie gdzieś tam jeszcze istnieje, ale nie wiem gdzie.

– Czy dlatego masz ochotę poszybować? Chcesz... – Taylor zaczął nagle oddychać szybko, chrapliwie, z trudem. – Wiesz co, zawołaj Clema.

– Już się robi.

Gentle wstał, ale zanim doszedł do drzwi, Taylor odezwał się ponownie:

– Musisz zrozumieć, Gentle. Nie wiem, co to za sekret, ale musisz go

przeniknąć za nas dwóch.

Gentle, który kładł już rękę na klamce, miał dość powodów, by pospiesznie się wycofać i uniknąć odpowiedzi; mógł nie podjąć wyzwania i zostawić starca samego. Wiedział jednak, że jeśli coś mu odpowie, będzie zobowiązany dotrzymać słowa.

– Spróbuję zrozumieć. – Spojrzał Taylorowi w oczy. Malowała się w nich desperacja. – Obaj spróbujemy. Obiecuję.

Taylor uśmiechnął się z wysiłkiem. Gentle otworzył drzwi.

– On cię potrzebuje – powiedział czekającemu Clemowi.

Clem zamknął za sobą drzwi sypialni, a Gentle, który nagle poczuł się jak banita, zszedł na parter. Jude siedziała przy stole w kuchni, bawiąc się kawałkiem kamienia.

– Jak on się czuje? – zapytała.

– Kiepsko. Clem do niego poszedł.

– Chcesz herbaty?

– Nie, dzięki. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Przejdę się trochę.

Siąpił kapuśniaczek, który po zaduchu sypialni wydawał się całkiem przyjemny. Gentle prawie nie znał okolicy, postanowił więc nie oddalać się zbyt daleko od domu Taylora. Pogrążony w myślach, szybko zapomniał o tym zamiarze i zaczął błąkać się bez celu w labiryncie uliczek. Chciał stąd uciec. W Nowy Rok wszyscy będą podejmować nowe zobowiązania i planować sobie życie jak dobrze rozpisaną farsę. Nie miał na to ochoty.

Kiedy zawrócił, przypomniał sobie, że Jude prosiła, by kupił mleko i papierosy. Poszukiwanie jednego i drugiego zajęło mu sporo czasu. Gdy wreszcie z zakupami w ręku znalazł się przed domem, na ulicy zastał karetkę. Drzwi były otwarte, a na progu stała Jude. Płakała.

– On nie żyje – powiedziała.

Gentle stanął jak wryty.

– Kiedy? – zapytał, jakby to miało znaczenie.

– Zaraz po twoim wyjściu.

Nie chciał płakać; nie kiedy ona patrzyła. Było mnóstwo innych rzeczy, w których nie chciał jej mieć za świadka.

– Gdzie jest Clem? – zapytał z kamienną twarzą.

– Przy nim, na górze. Zostań tutaj. I tak jest tam za dużo ludzi.

Wypatrzyła papierosy w jego ręce i sięgnęła po nie. Kiedy ich dłonie się zetknęły, Gentle'owi łzy napłynęły do oczu. Oboje się rozszlochali, padli so-

bie w ramiona jak wrogowie połączeni wspólną stratą – lub kochankowie, którzy zaraz się rozstaną. Albo jak dwie dusze, które nie pamiętają, czy są wrogami, czy kochankami, i z tej niewiedzy płaczą.

ROZDZIAŁ 16

1

Od czasu spotkania, na którym poruszono sprawę biblioteki Tabula Rasa, Bloxham dwukrotnie planował spełnić zobowiązanie, czyli zagłębić się w trzewia Roxborough Tower i sprawdzić zabezpieczenia zbiorów. Za każdym razem odkładał jednak tę sprawę na później, powtarzając sobie, że czekają go pilniejsze obowiązki – organizacja zaplanowanej przez stowarzyszenie wielkiej czystki. Oględziny biblioteki były odwłókł i po raz trzeci, gdyby nie Charlotte Feaver, która zaproponowała, że może mu towarzyszyć. Kobiety stanowiły dla Bloxhama wielką zagadkę. Pociąg, jaki do nich czuł, równoważył się zwykle z niepokojem, jaki odczuwał w ich towarzystwie, ale ostatnio instynkt seksualny dawał mu o sobie znać tak wyraźnie, jak chyba nigdy przedtem. Nawet sam przed sobą, w odosobnieniu i modlitwie nie odważył się wyartykułować powodu, dla którego tak się działo. Czystka go podniecała. Gdy o niej myślał, krew się w nim burzyła, a jego męskość twardniała. Przypuszczał, że Charlotte zareagowała na tę właśnie żądę, chociaż starał się nic po sobie nie okazywać. Przyjął więc propozycję i umówili się w Roxborough Tower w ostatni wieczór starego roku. Bloxham przyniósł szampana.

– Możemy się przy okazji zabawić – powiedział, gdy dotarli do resztek pierwotnego domu Roxborougha zachowanych w murach wieżowca.

Od lat żadne z nich tu nie schodziło. Wnętrze było prymitywne. Zainstalowano tu wprawdzie oświetlenie elektryczne – ciągnięte po murze kable, z których zwieszały się gołe żarówki – ale poza tym wszystko wyglądało tak

samo jak w pierwszych latach istnienia Tabula Rasa. Piwnicę zbudowano specjalnie w tym celu, by przechowywać w niej zbiory stowarzyszenia, i to najlepiej przez tysiąc lat. Od podnóża schodów rozchodziło się promieniście kilka korytarzy. Na nagich, ceglanych ścianach od ziemi do sufitu zawieszono półki. Jediną ozdobę wewnątrz stanowiły piękne krzyżowe sklepienia w miejscach przecięcia korytarzy.

– Może otworzymy butelkę, zanim weźmiemy się do roboty? – zasugerował Bloxham.

– Zgoda. Z czego będziemy pić?

Bloxham wyjął z kieszeni dwa smukłe kieliszki. Charlotte wzięła je, kiedy mocował się z korkiem, który wyskoczył z szyjki z dyskretnym westchnieniem. Dźwięk ten poniósł się daleko w głąb labiryntu, ale nie odbił się echem od ścian. Wypili za czystkę.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdziła Charlotte, otulając się futrem. – Czego właściwie szukamy?

– Śladów włamania lub kradzieży. Rozdzielimy się, czy będziemy chodzić razem?

– Och, wolałabym razem.

Roxborough twierdził, że na tych półkach znajdują się dosłownie wszystkie znaczące książki na całej zachodniej półkuli. Kiedy przechadzali się wśród dziesiątków tysięcy woluminów, byli skłonni mu wierzyć.

– Jakim cudem zebrali tu taką masę książek, do cholery? – zdziwiła się Charlotte.

– Świat był wtedy mniejszy, jak mniemam – zauważył Bloxham. – Poza tym oni wszyscy się znali, prawda? Casanova, Sartori, hrabia de Saint-Germain, sami kanciarze i palanty.

– Kanciarze? Naprawdę myślisz, że to oszuści?

– W większości. – Bloxham napawał się niezasłużoną rolą eksperta. – Może ze dwóch wiedziało, co robi, ale reszta...

– A ciebie nigdy nie kusilo? – spytała Charlotte, biorąc go pod ramię.

– Do czego?

– Żeby zobaczyć, co to całe gadanie jest warte. Nie chciałeś sobie przywołać Chowańca? Przenieść się do innego dominium?

Bloxham spojrział na nią z autentycznym zdumieniem.

– To wbrew zasadom stowarzyszenia.

– Nie o to pytałam – rzuciła ostro Charlotte. – Nigdy cię nie kusilo?

– Ojciec nauczył mnie, że zadając się z Imajicą, narażę swoją duszę na niebezpieczeństwo.

– Mój też tak mówił, ale chyba pod koniec życia żałował, że sam tego nie sprawdził. No bo jeżeli to wszystko bzdury, nie ma żadnego ryzyka.

– No nie, mnie się wydaje, że jest w tym trochę prawdy.

– Wierzysz w istnienie dominiów?

– Sama widziałaś tego potwora, którego Godolphin pochłastał na naszych oczach.

– Widziałam przedstawiciela obcego gatunku, to wszystko. – Charlotte przystanęła i na chybił trafił wybrała jedną z książek. – Po prostu zastanawiam się czasem, czy nie strzeżemy pustej twierdzy. – Z otwartej książki wypadł pukiel włosów. – Może to wszystko urojenia, narkotykowe sny i fantazje. – Odłożyła książkę na miejsce i odwróciła się do Bloxhama. – Naprawdę zabrałeś mnie tutaj, żeby sprawdzić zabezpieczenia? Bo jeśli tak, to będę diabelnie rozczarowana.

– Niezupełnie – odparł Bloxham.

– To dobrze.

Zagłębili się w labirynt korytarzy.

2

Mimo że zapraszano ją na kilka imprez sylwestrowych, Jude nikomu nie obiecywała, że przyjdzie, za co teraz, po przepełnionym smutkiem dniu, była sobie wdzięczna. Zapropowała Clemowi, że zostanie z nim, gdy lekarze zabiorą ciało Taylora, ale podziękował jej, twierdząc, że chciałby mieć trochę czasu dla siebie. Obiecał, że zadzwoni, gdyby zaczął się za bardzo rozklejać.

Jedno z przyjęć, na które została zaproszona, odbywało się w domu naprzeciwko. Z doświadczenia ubiegłych lat wiedziała, że będzie bardzo hałaśliwe. Kilkakrotnie sama się tam bawiła, ale tym razem nie przeszkadzało jej specjalnie, że zostanie sama. Nie miała nastroju na witanie nowego roku, jeżeli miał przynieść kontynuację wydarzeń ze starego. Zasłoniła okna, licząc na to, że jej obecność w domu przejdzie niezauważona, zapaliła świece, włączyła płytę z koncertem na flet i zaczęła przygotowania do lekkiej kolacji.

Myjąc ręce, zauważyła, że skóra na dłoniach zrobiła się lekko niebieska od kamienia. Po południu kilka razy łapała się na tym, że się nim bawi. Chowała go do kieszeni, a mimo to wkrótce potem znów miała go w rękach. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że kamień brudzi jej dłonie. Tarła je mocno pod strumieniem wody, próbując spłukać drobinki pyłu, ale kiedy osuszyła ręce, kolor stał się jeszcze bardziej wyrazisty. Poszła do łazienki, by obejrzeć skórę w lepszym świetle. Myliła się: pył z kamienia nie przyłgnał jej do skóry, lecz wniknął w nią jak plama z henny. W dodatku zabarwił nie tylko dłonie, ale sięgał nadgarstków, które na pewno nie miały z kamieniem kontaktu. Zdjęła bluzkę i ze zdumieniem odkryła, że nieregularne plamy błękitu wystąpiły jej również na łokciach. Zaczęła mówić do siebie; zawsze się tak zachowywała, kiedy coś ją zaskakiwało.

– Co to ma być, do ciężkiej cholery? Cała się zrobię niebieska? To śmieszne.

Nie, wcale nie śmieszne. Żołądek zacisnął się jej ze strachu. Czy mogła złapać od kamienia jakąś chorobę? Czy dlatego Estabrook go schował w sejfie?

Odkręciła prysznic i rozebrała się do naga. Nie znalazła na swoim ciele innych plam, co troszkę ją pocieszyło. Weszła pod strumień wrzącej wody, namydliła się i zaczęła trzeć zaniebieszczone miejsca. Z gorąca i strachu kręciło się jej w głowie. Bała się, że zemdleje, i musiała na chwilę wyjść spod prysznic. Chciała otworzyć drzwi łazienki, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, ale namydlona ręka ześliznęła się jej z klamki. Zaklęta i sięgnęła po ręcznik, chcąc zetrzeć mydło – i w tej chwili spojrzała w lustro. Jej szyja zrobiła się niebieska, podobnie jak skóra wokół oczu i całe czoło. Cofnęła się przed tym makabrycznym widokiem i przyłgnęła płasko do wykładanej glazurą ściany.

– To nie dzieje się naprawdę – powiedziała na głos.

Drugi raz złapała klamkę, szarpnęła mocno. Od zimnego podmuchu na całym ciele wystąpiła jej gęsia skórka, ale ucieszyła się z tego. Może chłód pozwoli otrząsnąć się z koszmaru. Wzdrygnęła się i uciekła przed swoim odbiciem do rozświetlonego blaskiem świec salonu. Na niskim stoliku leżał niebieski kamień, wpatrując się w nią swoim jedynym okiem. Nie pamiętała, żeby wyjęła go z kieszeni, nie mówiąc o układaniu go na stoliku w tak wyszukany sposób, w otoczeniu świeczek. Nagle zaczęła się go bać, jak gdyby miał moc bazyliuszka i potrafił zamienić ją w coś podobnego do siebie. Jeżeli

istotnie tak było, nie mogła na to już nic poradzić; kiedy obracała go w dłoniach, zawsze w końcu miała przed sobą jego oko. Ten fatalizm pomógł jej podjąć decyzję. Podeszła do stolika, wzięła kamień i – nie dając mu czasu, żeby znów ją zauroczył – z całej siły cisnęła nim o ścianę.

Pozwolił jej jeszcze zrozumieć, że zrobiła błąd. Pod jej nieobecność wziął we władanie cały pokój, stał się bardziej rzeczywisty od ręki, która go rzuciła, i od ściany, w którą miał uderzyć. Czas był jego igraszką, przestrzeń – jego zabawką; próbując go zniszczyć, musiała unicestwić jedno i drugie.

Było już za późno, żeby coś zmienić. Kamień uderzył w ścianę. Rozległ się głośny huk i Jude poczuła, że została wypchnięta z własnego ciała, tak jakby ktoś sięgnął jej ręką do głowy, wyszarpnął świadomość i wyrzucił przez okno. Ciało zostało w pokoju, nie mając pojęcia o podróży, którą rozpoczęła jego właścicielka. Ze wszystkich zmysłów został jej tylko wzrok – i to wystarczyło. Szybowała nad opustoszałą, mokrą od deszczu ulicą w stronę domu po drugiej stronie. Czwooro gości – trzech młodych mężczyzn i podchmielona dziewczyna – stało na schodach. Jeden z chłopaków niecierpliwie dobijał się do drzwi. Najwyższy z całej trójki facet wyciskał na ustach dziewczyny pocałunki, ugniatając dyskretnie jej piersi. Dziewczyna chichotała, ale uwagi Jude nie uszedł grymas niezadowolenia, jaki od czasu do czasu malował się na jej twarzy. Zaciskała bezradnie dłonie w pięści, gdy zalotnik przyciskał język do jej warg, i otwierała niechętnie usta, bardziej z rezygnacji niż z pożądania. Kiedy drzwi się otwały i cała czwórka chwiejnym krokiem zagłębiła się w hałaśliwy tłum, Jude wzniosła się ponad dachy i poleciała dalej. Chwilami zlatywała niżej, śledząc rozgrywające się w domach dramaty.

Wszystkie były – tak jak kamień, który wysłał ją w tę misję – fragmentami większych całości. Jakaś kobieta w pokoju na piętrze przyglądała się rozłożonej na prążkowanej pościeli sukience. Inna stała w oknie, kołysząc się do muzyki, której Jude nie była w stanie usłyszeć. Spod jej przymkniętych powiek płynęły łzy. Jeszcze inna wstawiała zde gustowana od stołu, przy którym siedzieli elegancko ubrani goście. Żadnej z nich Jude nie знаła, ale wszystkie wydały się jej znajome – w krótkim okresie swojego życia, jaki pamiętała, bywały chwile, w których zachowywała się tak jak one, czuła się opuszczona i bezradna, tęskniła. Zaczęła dostrzegać pewną prawidłowość. Podążała od jednej migawki do drugiej, jak gdyby przeglądała własne życie, znajdując swoje odbicie w kobietach różnych stanów i klas.

W ciemnej uliczce na tyłach King's Cross znalazła parę na przednim sie-

dzeniu samochodu. Kobieta pochylona nad różowym członkiem brała go do ust, które miały kolor menstruacyjnej krwi. Jude też robiła podobne rzeczy, bo chciała, żeby ją kochano. Kobieta, która przejeżdżała obok, słusznie zdegustowana wystającymi na chodniku dziwkami – to też była ona. I jakaś piękność, wydzierająca się w deszczu na swojego amanta, i podpita wiedźma, która stała w oknie i biła jej brawo... Była tak samo obecna w ich życiu, jak one w jej.

Wędrówka dobiegała końca. Jude znalazła się nad mostem, z którego rozciągał się zapewne piękny widok na miasto, ale padało tu bardziej niż w Notting Hill i dalszy plan rozmywał się w mroku. Jej umysł nie zawahał się, lecz mknął przed siebie w ulewie – nie marzył i nie mókł – w kierunku pogrążonego w ciemności wieżowca, ledwie widocznego spoza szeregu drzew. Zwolniła, przemknęła przez listowie zygzakiem, jak pijany ptak, osiadła na ziemi i przeniknąwszy ją, zagłębiła się w wilgotną, absolutną czerń.

Przestraszyła się, że zostanie żywcem pogrzebana w tym miejscu, lecz ciemność zaraz ustąpiła. Jude przeniknęła przez sufit jakiejś piwnicy, w której na półkach zamiast butelek wina stały książki. W korytarzach paliły się światła. Powietrze było ciężkie – nie od kurzu, lecz od czegoś, co tylko instynktownie wyczuwała i ledwie rozumiała. Kryła się w nich świętość i moc. Niczego podobnego dotąd nie doświadczyła – ani w katedrze Świętego Piotra, ani w Chartres, ani w Duomo. Znów zapragnęła mieć ciało, a nie tylko włóczący się bez celu umysł. Chciała tu spacerować, dotykać książek i cegieł, czuć woń powietrza. Musiało być przesycone kurzem – ale jakim kurzem! Każda jego drobinka zrobiła się niewiarygodnie mądra od samego fruwania w takim świętym miejscu.

Kątem oka dostrzegła ruch w głębi korytarza. Podleciała w tamtą stronę, zastanawiając się mimochodem, jakie książki zebrano w podziemiach. Cień, który, jak pierwotnie sądziła, należał do jednej osoby, rzucało dwoje ludzi splecionych w miłosnym uścisku. Kobieta opierała się plecami o książki, przytrzymując się półki nad głową; jej partner stał przyciśnięty do niej, ze spodniami opuszczonymi do kostek. Posapywał w rytm gwałtownych pchnięć biodrami. Oboje mieli zamknięte oczy; wygląd żadnego z nich nie mógł działać jak afrodyzjak. Czy po to tu przybyła, żeby to oglądać? Doprawdy, ani jej nie podniecali, ani nie mogła się niczego z ich prób nauczyć. Nie po to chyba niebieskie oko wysłało ją w miasto i kazało śledzić opowieści o kobiecości, żeby na koniec stała się świadkiem tego żalostnego aktu.

Chodziło o coś innego. Może coś w ich rozmowie? Nie, postękiwali tylko. Książki na trzęsących się półkach za plecami kobiety? Być może.

Zerknęła z bliska na tytuły, ale jej wzrok przeniknął grzbiety książek i sięgnął ściany. Cegły wyglądały zwyczajnie, za to zaprawa miała znajomy, niebieskawy odcień. Podekscytowana, podążyła głębiej – wyminęła kochanków, książki i wcisnęła się pomiędzy cegły. Otoczyła ją ciemność jeszcze głębsza niż pod ziemią, mrok, który powstał nie tylko z braku światła, lecz przede wszystkim ze smutku i rozpaczy. Instynkt kazał się jej wycofać, lecz dostrzegła w ciemności coś, co kazało jej zostać – na podłodze tej ohydnej celi leżało ledwie widoczne ciało. Związane, oplątane sznurem jak kokonem, tak że nie mogła dostrzec twarzy. Sznur był delikatny jak nitka, ale owinięto nim ciało z maniacką dokładnością, co pozwoliło Judy stwierdzić, że ma przed sobą – znowu, tak jak podczas całej nocnej eskapady – kobietę.

Ci, którzy ją spętali, wykazali się niezwykłą starannością; nie pozostawili odsłoniętego ani jednego paznokcia, ani włosa. Judy zawisła nad ciałem i przyjrzała mu się uważnie. Mogłoby stanowić jej dopełnienie, jak zwłoki dla duszy zmarłego, wiecznie od niej oddzielone. Ale na nią czekało własne ciało, do którego mogła wrócić. Miała nadzieję, że kiedy jej niezwykła pielgrzymka dobiegnie końca, będzie mogła wrócić do swojej zaplamionej błękitem skóry. Coś jednak wciąż ją powstrzymywało – nie ciemność, nie ściany, lecz poczucie, że nie dopełniła jakiegoś obowiązku. Czy oczekiwano od niej okazania szacunku? Jak miała to zrobić? Nie mogła złożyć dłoni do modlitwy, nie mogła śpiewać hymnów, nie mogła uklęknąć ani dotknąć relikwii. Co jej pozostało? Chyba tylko – Boże, miej mnie w swojej opiece! – wejść w ciało.

W chwili, gdy ta myśl uformowała się w jej umyśle, Jude zrozumiała, że po to właśnie ją tu sprowadzono. Zostawiła własne ciało w domu, żeby wcielić się w więźnia cegieł, sznura i rozkładu, po trzykroć spętanego truchła, z którego mogła nigdy się już nie wynurzyć. To odrażające, ale czy przebyła tak długą drogę tylko po to, żeby zawrócić, ponieważ ostatni wymagany rytuał tak ją odrzucał? Nawet gdyby potrafiła oprzeć się sile, która ją tu ściągnęła, i wbrew jej woli wrócić do swojego ciała, do końca życia by się zastanawiała, co ją ominęło. Nie była tchórzliwa. Wejdzie w to ciało i poniesie konsekwencje.

Natychmiast stało się to, o czym pomyślała. Jej umysł spłynął do kokonu i przecisnął się przez opłot wprost do labiryntu ciała. Spodziewała się, że za-

stanie tam ciemność, ale pomyliła się – kontury wnętrzości rysowały się mlecznobłękitną poświatą, którą nauczyła już się kojarzyć z tajemnicą kamienia. Nie było najmniejszych znaków rozkładu – zamiast w kostnicy, znalazła się w katedrze, która, jak się domyślała, była źródłem przesycającej podziemia świętości. Ale – jak prawdziwa katedra – była całkiem martwa. W żyłach nie płynęła krew, serce nie pracowało, płuca nie oddychały. Rozprzestrzeniła swoją jaźń na całe ciało, chcąc wyczuć jego rozmiary. Kobieta za życia musiała być wysoka, miała szerokie biodra i ciężkie piersi. Pętająca ją nić werżnęła się jednak w ciało i karykaturalnie je odkształciła. Jakże straszny ta kobieta musiała mieć koniec! Leżała oślepiona na brudnej posadzce i słyszała, jak cegła po cegle oprawcy murują ścianę jej grobowca. Jaką zbrodnię popełniła? Czemu skazano ją na taką śmierć? Kim byli ci, co wykonali wyrok i zbudowali ścianę? Czy podśpiewywali przy pracy, a ich głosy cichły w miarę jak mur rósł coraz wyżej? Czy raczej pracowali w milczeniu, zawstydzeni własnym okrucieństwem?

Tyłu rzeczy nie wiedziała, tylu pragnęła odpowiedzi... zakończyła swą podróż tak samo, jak ją zaczynała: niepewna i wystraszona. Powinna wyrwać się z kokonu i wracać do domu. Zapragnęła opuścić błękitne zwłoki, ale – ku jej przerażeniu – została uwięziona w ciele więźnia. Boże, co teraz? Upominając się, że nie powinna wpadać w panikę, skoncentrowała się na swojej sytuacji. Wyobraziła sobie celę, w której spoczywał kokon, ścianę, przez którą bez wysiłku przeniknęła, parę kochanków i korytarz prowadzący na górę, na świat. Ale wyobraźnia nie wystarczyła. Jude sama pozwoliła, by ciekawość wzięła w niej górę. Rozmyśla swoją świadomość w ciele kobiety, a później to ciało zaanektowało jej ducha.

Wezbrał w niej gniew. Uwolniła go. Gdyby znajdowała się we własnym ciele, serce biłoby jej szybko ze złości. Wydawało jej się, że je słyszy; był to pierwszy dźwięk, jaki dobiegł ją od opuszczenia domu. Wcale go sobie nie wyobraziła, lecz czuła w ciele, które ją otaczało. Przez dawno unieruchomiony organizm przebiegły dreszcze; jej gniew na nowo rozpalił w nim płomień życia. W sali tronowej – w czaszce – obudził się umysł, który natychmiast zrozumiał, że do jego królestwa zakradł się intruz.

Jude przez ułamek sekundy poczuła, jak jej świadomość ociera się o świadomość skazanej kobiety i łączy się z nią, a potem została wypchnięta na zewnątrz. Usłyszała krzyk przerażenia dobiegający nie z gardła, ale wprost z umysłu tamtej kobiety. Towarzyszył jej, gdy wymykała się z celi, przenikała

ścianę, mijała kochanków, których zdekcentrowały opadające znikąd kłęby kurzu, i gdy znalazła się na deszczu w nocy nie błękitnej, lecz czarnej jak sadza. Słyszała go przez całą drogę do domu, gdzie z niesłychaną ulgą i bez wysiłku wśliznęła się w swoje stojące na środku pokoju ciało. Przez długą chwilę nie poruszała się, wstrząsana łkaniem, aż zaczęła dygotać z zimna. Znalazła szlafrok. Kiedy go wkładała, zauważyła, że z jej nadgarstków i łokci zniknęły błękitne plamy. Weszła do łazienki i stanęła przed lustrem. Twarz również miała czystą.

Nie mogła opanować dreszczy, gdy wróciła do pokoju w poszukiwaniu niebieskiego kamienia, który odłupał ze ściany pokaźny kawał tynku i leżał na dywaniku przed kominkiem. Nie wzięła go do ręki. Jak na jedną noc miała dość halucynacji. Unikając złowrogiego spojrzenia, przykryła kamień poduszką. Jutro wymyśli jak się go pozbyć, a teraz musiała opowiedzieć komuś, co się stało, zanim sama zacznie w to wątpić. Potrzebowała słuchacza lekko szurniętego, człowieka, który by jej nie wyśmiał, kogoś już na wpół wierzącego. Potrzebowała Gentle'a, naturalnie.

ROZDZIAŁ 17

Przed północą ruch na ulicy pod oknami pracowni zmalał niemal do zera. Wszyscy, którzy wybierali się na przyjęcia, dotarli już na miejsce i oddawali się picciu, dyskusjom i próbom uwodzenia; zamierzali wydrzeć nowemu rokowowi to wszystko, czego odmawiał im stary. Zadowolony ze swojej samotności Gentle siedział po turecku na podłodze, z butelką burbona między nogami. Otaczały go oparte o meble płótna, w większości puste, co sprzyjało jego medytacyjnym nastrojom. Przyszłość też była niezapełniona.

Od mniej więcej dwóch godzin siedział w tym kręgu pustki i pociągał z butelki, aż wreszcie jego pęcherz upomniał się o swoje prawa. Gentle poszedł do łazienki; nie zapalał lampki przy lustrze, żeby nie widzieć swojego odbicia. Kiedy strząsnął ostatnie krople do sedesu, zgasło światło w pokoju. Zapiał rozporek i wrócił do pracowni. Deszcz bił wściekle o szyby, ale przyćmiony blask latarń wystarczył, by Gentle dostrzegł uchylone drzwi na schody.

– Kto tam? – zapytał.

Z początku nic się w pokoju nie poruszyło, dopiero po chwili ujrzał przy oknie jakiś kształt. Zimna woń spalenizny zapiekła go w nozdrzach. Ten gwizdzący stwór! Boże, znalazł go!

Przerażenie wyrwało Gentle'a z otępienia. Rzucił się do drzwi. Wypadłby pewnie na schody i zbiegł na dół, gdyby nie pies, który grzecznie warował za progiem. Kundel zamierdał ogonem przyjaźnie i Gentle stanął jak wryty. Ten, który gwizdał, nie był miłośnikiem psów; kto w takim razie przyszedł go odwiedzić? Gentle odwrócił się i sięgnął do wyłącznika, gdy nagle powstrzymał go niepowtarzalny głos Pie'oh'paha:

– Nie. Wolę ciemność.

Ręka Gentle'a osunęła się po ścianie. Serce waliło mu jak młotem, ale już z innych powodów niż przed chwilą.

– Pie? To ty?

– Tak, to ja – zabrzmiała odpowiedź. – Słyszałem, że mnie szukasz. Twój przyjaciel mi powiedział.

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Byłem wśród martwych, byłem z Theresą i dziećmi.

– Boże... mój Boże...

– Ty też kogoś straciłeś.

Gentle rozumiał już, że te słowa rzeczywiście powinny paść w ciemności: cień i mrok pasowały do rozmowy o grobach i jagniętach, które w nich złożono.

– Spotkałem się z duchami moich dzieci. Twój przyjaciel znalazł mnie w miejscu żałoby. Powiedział, że chcesz się jeszcze ze mną widzieć. Zaskoczyłeś mnie, Gentle.

– Tak jak mnie zaskoczył fakt, że rozmawiałeś z Taylorem – odparł Gentle, chociaż w duchu przyznał, że po ostatnim spotkaniu z umierającym przyjacielem nie powinien się dziwić. – Jest szczęśliwy?

Zdawał sobie sprawę, że pytanie brzmi banalnie, ale potrzebował takiego zapewnienia.

– Żaden duch nie jest szczęśliwy. Żaden nie może wydostać się na wolność ani w tym dominium, ani w pozostałych. Tłoczą się przy drzwiach, ale nie mają dokąd pójść.

– Dlaczego?

– To pytanie zadajemy sobie od pokoleń, Gentle. I od pokoleń udziela się na nie różnych odpowiedzi. W dzieciństwie uczono mnie, że zanim Niewidziany udał się do Pierwszego Dominium, było tam miejsce, do którego trafiały wszystkie duchy. Mój lud mieszkał wtedy w Pierwszym Dominium i strzegł tego obszaru. Niewidziany przepędził i nas, i wszystkie duchy.

– Tak że teraz nie mają dokąd iść?

– Właśnie. Duchów stale przybywa, ich smutek narasta.

Gentle pomyślał o Taylorze, który na łożu śmierci marzył o wyzwoleniu i połączeniu z Absolutem. Tymczasem, jeśli Pie miał rację, stał się teraz jedną z zagubionych dusz odartych i z ciał, i z objawienia. Jaką wartość miało zrozumienie, jeżeli ostatecznym końcem wszechrzeczy jest otchłań?

– Kto to jest Niewidziany? – zapytał Gentle.

– Hapexamendios, bóg Imajiki.

– Czy jest też bogiem tego świata?

– Kiedyś był, ale przed wiekami go opuścił, przemierzył pozostałe dominia, niszcząc ich bóstwa, i trafił do Domu Duchów. Wówczas przesłonił całe dominium woalem...

– I stał się Niewidzianym.

– Tak mnie uczono.

Prostota i oficjalny charakter słów Pie'oh'paha przydawały wagi jego historii, ale – mimo elegancji – wciąż była to opowieść o innych bogach i światach, nieskończenie odległa od ciemnego pokoju i deszczu za oknem.

– Mam uwierzyć, że to wszystko prawda?

– Nie uwierzysz, dopóki nie zobaczysz tego na własne oczy – odparł Pie'oh'pah ciepłym, uwodzicielskim głosem.

– Jak mam to zrobić?

– Musisz zadawać mi szczegółowe pytania, a ja spróbuje na nie odpowiedzieć. Ogólniki nie wystarczą.

– No dobrze. Czy możesz zabrać mnie do innych dominiów?

– Mogę.

– Chciałbym podążać śladem Hapexamendiosa. Czy to możliwe?

– Spróbujmy.

– I chcę zobaczyć Niewidzianego, Pie'oh'pahu. Chcę się dowiedzieć, dlaczego Taylor i twoje dzieci trafili do czyśćca. Chcę zrozumieć, dlaczego cierpią.

Gentle nie zadał pytania, toteż Pie'oh'pah milczał. Tylko jego przyspieszony oddech świadczył o tym, że słucha.

– Możemy ruszać?

– Jeśli tego chcesz.

– Właśnie tego chcę, Pie. Udowodnij, że mówiłeś prawdę, albo zostaw mnie w spokoju.

*

Do północy brakowało osiemnastu minut, gdy Jude wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę domu Gentle'a. Ulice były puste i kilka razy kusił ją, żeby przeskoczyć skrzyżowanie na czerwonym świetle. Wiedziała jednak, że w

taką noc policja jest szczególnie wyczulona na piratów drogowych i najmniejsze wykroczenie może wywabić radiowóz z ukrycia. Nie miała wprawdzie we krwi ani grama alkoholu, ale wcale nie była pewna, czy w jej organizmie nie znaleziono by innych obcych substancji. Jechała więc ostrożnie, jak w południe, i dotarcie do pracowni zajęło jej całe piętnaście minut. Okna były zaciemnione. Przyszło jej na myśl, że Gentle postanowił ruszyć się z domu i utopić świeże smutki w szampańskiej zabawie. A może po prostu poszedł spać? Jeśli tak, to dla wieści, które mu przynosiła, warto go było obudzić.

*

– Zanim wyruszymy w drogę, powinieneś wiedzieć o kilku rzeczach – mówił Pie, związując swoją lewą rękę z prawą Gentle'a. – To może być trudna przeprawa. Piąte Dominium, w którym się znajdujemy, nie jest połączone z pozostałymi; podróż do Czwartego może być ryzykowna. Trzeba mieć moc. To coś więcej niż przejście po moście. Jeżeli nam się nie uda, konsekwencje będą poważne.

– Jak poważne?

– Pomiędzy Piątym Dominium a czterema Połączonymi rozciąga się kraina nazwana In Ovo, eter, w którym utkwili istoty wyrwane z macierzystych światów. Niektóre z nich trafiły tam przez przypadek i są zupełnie nieszkodliwe; inne zesłano tam za karę – i te mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Mam nadzieję, że przemkniemy przez In Ovo, zanim nas zauważą. Jednak gdybyśmy się rozdzielili...

– Wyobrażam sobie. Mocniej zaciśnij ten supeł, żeby na pewno nie puścił.

Pie zaczął się mocować z węzłem; Gentle próbował mu po omacku pomagać.

– Założmy, że przebrniemy przez In Ovo – powiedział. – Co dalej?

– Czwarte Dominium. Jeżeli dobrze namierzyłem, powinniśmy wylądować niedaleko miasta Patashoqua.

– A jeżeli nie?

– Nie wiem. W morzu, na bagnach...

– Cholera!

– Nie bój się, mam niezłe wycucie kierunku. Poza tym razem dysponujemy znaczną mocą. Sam nie mógłbym tego dokonać, ale z tobą...

– Czy to jedyny sposób?

– Ależ skąd! Tutaj, w Piątym Dominium, jest wiele bram, ukrytych na odludziu kamiennych kręgów. Większość z nich prowadzi jednak w ustalone miejsca, a my chcemy podróżować jako wolni strzelcy, niezauważeni i nieoczekiwani goście.

– Dlaczego w takim razie wybrałeś Patashoqua?

– Z powodów... sentymentalnych. Wkrótce sam się przekonasz. – Pie się zawahał. – Nadal chcesz to zrobić?

– Oczywiście.

– Mocniej nas nie zwiążę, bo utrudniłbym krążenie krwi.

– Na co czekamy?

– Zamknij oczy.

Gentle poczuł muśnięcie palców Pie na twarzy.

– Musisz mi pomóc – powiedział Pie.

– Mów, co mam robić.

– Zaciśnij pięść, lekko. Zostaw dość miejsca, żeby oddech mógł się środkiem przedostać. Dobrze, tak; dobrze. Cała magia bierze się z tchnienia, pamiętaj.

Gentle pamiętał o tym, chociaż nie wiedział skąd.

– Podnieś dłoń do ust i oprzyj kciuk na brodzie. Niewiele będzie inkantacji, żadnych pięknych słówek, tylko pneuma i siła woli.

– Woli mi nie brakuje, jeśli to właśnie masz na myśli – zapewnił Gentle.

– W takim razie wystarczy nam jedno solidne tchnienie. Zrób wydech, długi, aż będzie bolało w płucach. Ja zajmę się resztą.

– Mogę później nabrać powietrza?

– Nie w tym dominium.

Dopiero po tej odpowiedzi Gentle ogarnął powagę sytuacji. Za chwilę mieli opuścić Ziemię, przejść z jedynej rzeczywistości, jaką w życiu znał, do innej. Uśmiechnął się w ciemności i palcami spętanej ręki ucisnął dłoń swojego wyzwoliciela.

– Możemy zaczynać?

W ciemności przed jego twarzą błysnęły zęby Pie'oh'paha, który odpowiedział mu uśmiechem.

– Czemu nie?

Gentle nabrał powietrza w płuca. Gdzieś z głębi domu dobiegło go trzasknięcie drzwi i na schodach do pracowni zadudniły czyjeś kroki. Było już jednak za późno. Zrobił wydech przez zaciśniętą pięść; Pie'oh'pah zdawał się

wychwytywać jego oddech z powietrza. Coś błysnęło w zwiniętej w pięść dłoni mistyfa, jakby chciało mu się przepalić przez palce...

*

Zatrzymawszy się w drzwiach, Jude ujrzała odtworzony w rzeczywistości obraz Gentle'a: dwie postaci, otoczone nienaturalną poświatą, która rozrastała się między nimi niczym płomień spowolnionej eksplozji. Zdążyła rozpoznać obie sylwetki; widziała, jak się uśmiechali, patrząc sobie w oczy – a później z przerażeniem obserwowała, jak obaj zostają wywróceni na nice. Wilgotne, czerwone wnętrza ich ciał zwinęły się i złożyły kilkakrotnie, szybko, raz za razem. Z każdym takim złożeniem ciała kurczyły się coraz bardziej i bardziej, malały coraz szybciej i wreszcie zniknęły.

Roztrzęsiona Jude oparła się o futrynę drzwi. Warujący u szczytu schodów pies wszedł do pracowni i bez cienia lęku obwąchał miejsce, w którym przed chwilą stali dwaj mężczyźni, ale wszelka magia się ulotniła i nie mógł podążyć za nimi. Pracownia była pusta i martwa. Zniknęli, dranie!

Jude wrzasnęła wściekle, aż pies podkulił ogon. Miała szczerą nadzieję, że Gentle – gdziekolwiek jest – słyszy ją. Przecież przyszła do niego podzielić się swoim odkryciem, żeby mogli razem wyruszyć na spotkanie nieznanego! Tymczasem on cały czas kombinował, jak się jej urwać. I zniknął bez niej!

– Jak śmiesz?! – krzyknęła do pustego pokoju.

Pies zaskomlał. Na widok przerażonego zwierzaka serce Jude zmiękło. Przykucnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Chodź do mnie. Nie jestem zła na ciebie, tylko na tego zasańca Gentle'a.

Pies nie od razu dał się przekonać, ale po jakimś czasie zbliżył się do niej ostrożnie. Coraz śmieiej machał ogonem, upewniając się, że jego nowa pani wcale nie zwariowała. Pogłaskała go po łbie; kontakt z żywą istotą przyniósł jej ulgę. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeżeli Gentle mógł to zrobić, ona też mogła. Nie miał przecież wyłączności na przygody. Znajdzie jakiś sposób, żeby za nim podążyć, choćby miała w tym celu zjeść po kawałku cały błękitny kamień.

Rozmyślała jeszcze o tym, gdy zabrzmiały kościelne dzwony, natarczwym dzwonieniem ogłaszając nadejście północy. Zawtórowały im klaksony samochodów i wiwaty dobiegające z sąsiedniego domu.

– Hura – mruknęła pod nosem Jude.

Jej twarz przybrała ten sam nieobecny wyraz, który przez lata nieodmiennie fascynował mężczyzn. O większości z nich już zapomniała: jedni o nią walczyli, inni w pogoni za nią opuszczali żony, jeszcze inni tracili rozum. Wszyscy odeszli w zapomnienie. Historia nigdy jej specjalnie nie interesowała, za to przyszłość w tej chwili rysowała się bardziej kusząco niż kiedykolwiek przedtem.

Przeszłość tworzyli mężczyźni – ale przyszłość, brzemienna możliwościami, była kobietą.

ROZDZIAŁ 18

1

Do czasu rozkwitu Yzordderrex (doszło do niego za sprawą autarchy, dla którego liczyły się przede wszystkim względy polityczne), Patashoqua, położone na skraju Czwartego Dominium, w pobliżu granicy połączonych światów z In Ovo, miało słuszne pretensje do miana najważniejszego miasta dominiów. Jego dumni mieszkańcy nazywali je *casje au casje*, czyli po prostu „ulem ulów”, miejscem wytężonej i owocnej pracy. Bliskość Piątego Dominium sprawiła, że Patashoqua szczególnie mocno odczuwało jego wpływy. Nawet gdy Yzordderrex przejęło palmę pierwszeństwa w dominiach, oczu tych, którzy niecierpliwie wyczekiwali wszelkich nowinek, zwrócone były na Patashoqua. Pojazdy silnikowe zagościły na jego ulicach znacznie wcześniej niż w Yzordderrex; wyprzedziło dumne miasto Drugiego Dominium także z rock and rollem, hamburgerami, kinem, džinsami i niezliczonymi innymi oznakami nowoczesności. Zresztą z Piątego Dominium przejmowało nie tylko takie błahostki jak modę – także filozofię i systemy wierzeń. Ukuto nawet takie powiedzenie, że obywatel Yzordderrex wygląda tak, jak mieszkaniec Patashoqua dzień wcześniej, i wierzy w to, co w Patashoqua od wczoraj uchodzi za nieaktualne.

Podobnie jednak jak wiele miast rozmiłowanych w nowoczesności, Patashoqua zachowało swoje bardzo konserwatywne korzenie. Yzordderrex było grzesznym miastem (szczególnie złą sławą cieszyły się kesparaty), natomiast na ulicach Patashoqua po zmroku panował spokój; jego mieszkańcy kładli się

do łóżek w towarzystwie własnych małżonków i rozmyślali o nowych trendach w modzie. Mriaż stylowej elegancji i konserwatyzmu nigdzie nie uwiadaczał się tak wyraźnie, jak w architekturze miasta. Dzięki umiarkowanemu klimatowi projekty domów nie musiały brać pod uwagę odporności na ekstremalne warunki pogodowe – inaczej niż w Yzordderrex, które leżało w tropikach. Budynek albo były eleganckie, klasyczne i tak solidne, jakby miały przetrwać wieczność, albo odzwierciedlały bieżące szaleństwa stylistyczne i nikt nie planował, że postoją dłużej niż tydzień.

Najciekawsze widoki czekały jednak gościa na obrzeżach Patashoqua, gdzie przycupnęło drugie, pasożytnicze miasteczko. Zamieszkiwali je uchodźcy ze wszystkich czterech dominiów, którzy uciekali przed prześladowaniami i ścigali do Patashoqua jako jednego z nielicznych miejsc, gdzie nikt nie ograniczał ich wolności myśli i działania. Pytanie, jak długo stan taki miał się utrzymać, stanowiło przedmiot dysput na wszystkich spotkaniach towarzyskich. Autarcha nie darował miasteczkom, metropoliom i państwom, które on i jego doradcy uznali za tygle nastrojów rewolucyjnych. Niektóre równano z ziemią, inne przechodziły pod bezpośredni zarząd Yzordderrex i tłumiono w nich wszelkie przejawy niezależności. Hezoir, znany ośrodek uniwersytecki, został obrócony w gruzy, a wyrwane z czaszek studentów mózgi wały się po ulicach; mieszkańcy jednej z prowincji Azzimulto zostali dosłownie zdziesiątkowani za sprawą choroby, którą – jak głosiła plotka – rozsiewali wysłannicy autarchy; opowieści o jego okrucieństwach docierały z tak licznych źródeł, że ludzie przestawali na nie reagować, przynajmniej dopóki nie zadali sobie pytania, kiedy autarcha zwróci swój bezlitosny wzrok na ul ulów. Wtedy bledli i szeptem snuli plany ucieczki lub obrony. Patrzyli na swoje niezwykle miasto, które miało przetrwać do dnia sądu ostatecznego, i zastanawiali się, jak bliski jest ten dzień.

2

Mimo że Pie'oh'pah opowiedział pokrótce o istotach zamieszkujących In Ovo, Gentle ledwie zwrócił uwagę na ciemne, falujące królestwo. Całkowicie pochłaniał go inny proces, który bardziej bezpośrednio go dotyczył – prze-

miana, jakiej ulegli z Pie'oh'pahem, kiedy ich ciała przybrały postać obowiązującą w podróży między dominiami. Otumaniony brakiem tlenu, nie miał nawet pewności, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę. Czy ciało mogło otworzyć się jak kwiat i uwolnić jaźń jak nasiona? I czy to samo ciało można było odtworzyć na końcu podróży, tak żeby mimo przebytej traumy wyglądało jak nowe? Najwidoczniej tak. Świat, który Pie nazywał Piątym Dominium, zwinął się przed ich oczami i pomknęli niczym sen do zupełnie innego miejsca. Widząc światło, Gentle padł na kolana na skalisty grunt, z wdzięcznością chłonąc powietrze nieznanego dominium.

– Całkiem niezłe – odezwał się Pie. – Udało nam się. Przez chwilę w to nie wierzyłem, ale się udało!

Gentle podniósł głowę. Pie szarpnął za łączący ich sznurek.

– Wstawaj! – powiedział. – No, wstawaj! Nie powinno się zaczynać wędrówki na kolanach.

W tym świecie, w środku dnia, niebo było bezchmurne, a jego barwy i połysk przywodziły na myśl opalizujący pawi ogon. Gentle nie widział słońca ani księżyca; powietrze lśniło własnym blaskiem. Dopiero teraz mógł zobaczyć Pie'oh'paha pierwszy raz od czasu przelotnego spotkania w pożarze. Może przez wzgląd na pamięć o zmarłych mistyf wciąż miał na sobie to samo ubranie co wtedy, osmalone i poplamione krwią. Zmył tylko sadzę z twarzy, skóra lśniła mu w jasnym świetle dnia.

– Miło cię znów widzieć – stwierdził Gentle.

– Ciebie również.

Pie zaczął rozplątywać łączące ich więzy, Gentle zaś rozglądał się po nowym dominium. Znajdowali się pod szczytem wzgórza, niespełna pół kilometra od miasteczka namiotów i szałasów, skąd dobiegał zwykły codzienny gwar. Miasteczko spływało ze wzgórza. Nieco dalej, na płaskiej, bezdrzewnej równinie koloru ochry przecinała je ruchliwa droga, wzdłuż której wzrok Gentle'a podążył w stronę błyszczących kopuł i wież dużego miasta.

– To Patashoqua?

– A cóż by innego?

– Trafiłeś w dziesiątkę.

– Poszło nam lepiej, niż się spodziewałem. Podobno na tym wzgórzu odpoczywał sam Hapexamendios po przybyciu z Piątego Dominium. Nazywa się Lipper Bayak, ale nie pytaj mnie dlaczego.

– Czy miasto jest obleżone?

– Nie sędzę. Brama jest chyba otwarta.

Gentle spojrział w stronę odległych murów. Rzeczywiście, brama była otwarta na oścież.

– Co to za ludzie? Uciekinierzy?

– Zaraz się dowiemy.

Węzeł puścił. Gentle roztarł zdrętwiały nadgarstek, w który sznurek mocno się werznął. Pomiędzy prymitywnymi domostwami dostrzegł postaci, które wcale nie przypominały ludzi, ale nie brakowało też istot o zupełnie ludzkich kształtach. Przynajmniej łatwo będzie udawać tubylca.

– Powiedz mi coś o tym świecie, Pie. Chcę się wiele nauczyć. Muszę wiedzieć, kto jest kim. Czy tu się mówi po angielsku?

– Kiedyś był to język bardzo popularny. Sam nie mogę się nadziwić, że wyszedł z mody. Zanim pójdziemy dalej, powinieneś chyba wiedzieć, z kim podróżujesz. W przeciwnym razie reakcje ludzi na mój widok będą dla ciebie niezrozumiałe.

– Mów, ale chodźmy już stąd. – Gentle nie mógł się doczekać, kiedy z bliska zobaczy obce stworzenia.

– Jak chcesz.

Zaczęli schodzić po zboczu.

– Jestem mistyferem i nazywam się Pie'oh'pah, tyle już wiesz. Nie wiesz jednak, jakiej jestem płci.

– Już się nad tym zastanawiałem.

– Tak? – uśmiechnął się Pie. – I co?

– Jesteś obojnakiem. Mam rację?

– W pewnym sensie.

– I masz dryg do tworzenia iluzji. W Nowym Jorku widziałem, jak to robisz.

– Nie lubię słowa „iluzja”. Kojarzy się z udawaniem, a ja nie udaję.

– Kim zatem jesteś?

– W Nowym Jorku pragnęłaś Judith, więc ją właśnie zobaczyłaś. To była twoja wizja, nie moja.

– Wizja, do której się dopasowałeś.

– Bo chciałem z tobą być.

– A teraz też się dopasowujesz?

– Nie oszukuję cię, jeśli o to chodzi. Widzisz to, czym dla ciebie jestem.

– A jak widzą cię inni?

– Różnie, jedni jako mężczyznę, inni jako kobietę.

– Mógłbyś być biały?

– Przez chwilę. Gdybym przyszedł do ciebie do łóżka za dnia, zorientowałbyś się, że nie jestem Judith. Tak samo przejrzałbyś mnie, gdybyś pożądał ośmiolatki. Albo psa. Psa też nie umiałbym naśladować. Chyba że... – Mistryf obejrzał się za siebie. – Chyba że w bardzo szczególnych okolicznościach.

Gentle przez chwilę zmagał się z tą ideą oraz jej implikacjami natury biologicznej, filozoficznej i seksualnej. Zatrzymał się i spojrzał na Pie.

– Powiem ci, jak cię widzę – zaproponował. – Żebyś na przyszłość wiedział.

– Dobry pomysł.

– Gdybym minął cię na ulicy, wziąłbym cię chyba za kobietę. – Przechylił głowę. – Chociaż... może nie. Pewnie zależałoby to od oświetlenia i od tego, jak szybko byś szedł. – Roześmiał się. – Rany, im dłużej ci się przyglądam, tym więcej widzę, a im więcej widzę...

– Tym mniej wiesz.

– Właśnie. Nie jesteś człowiekiem, to oczywiste, ale... – Gentle pokręcił głową. – Czy teraz jesteś prawdziwy? To znaczy, czy to twoja pierwotna postać?

– Oczywiście nie. I ty, i ja potrafimy przybierać dziwniejsze kształty. Dobrze o tym wiesz.

– Dotąd nie wiedziałem.

– Nie możemy chodzić po świecie zbyt nadzy, bo wypalilibyśmy sobie nawzajem wzrok.

– Ale to, co widzę, to prawdziwy ty.

– W tej chwili tak.

– Podobasz mi się. Nie wiem, jak bym cię nazwał, widząc cię na ulicy, ale obejrzałbym się za tobą. Co ty na to?

– Czegóż więcej mógłbym sobie życzyć?

– Czy spotkamy więcej takich istot jak ty?

– Nie wiem, może... Mistryfów jest mało. Kiedy rodzi się mistryf, mój lud długo to świętuje.

– Twój lud?

– Eurhetemecowie.

– A ich tu spotkamy? – Gentle skinął głową w kierunku miasta.

– Wątpię. Za to w Yzordderrex na pewno. Mają tam swój kesparat.

– Co to jest kesparat?

– Dzielnica. Mój lud ma swoje miasto w mieście, a przynajmniej kiedyś miał. Ostatni raz byłem tam dwieście dwadzieścia jeden lat temu.

– Boże... Ile ty masz lat?

– Jeszcze o ponad sto więcej. Wiem, że to wydaje się niezwykle, ale czas wolniej oddziałuje na ciało potraktowane sztuką.

– Sztuką?

– Magicznym zaklęciem. Sztuką, figlem, influencją. Magia czyni cuda nawet w organizmie takiej dziwki jak ja.

– Rety!

– To fakt. Jest jeszcze coś, co powinieneś o mnie wiedzieć. Dawno temu powiedziano mi, że mam prowadzić żywot albo zabójcy, albo kurwy. To właśnie robię.

– Robiłeś do tej pory, owszem, ale koniec z tym.

– A czym stanę się teraz?

– Moim przyjacielem – odparł bez wahania Gentle.

– Dziękuję ci – odparł mistyf z uśmiechem.

Gentle wyczerpał zapas pytań i ruszyli dalej.

– Nie daj po sobie poznać, że jesteś wszystkiego ciekawy – doradził mu Pie, gdy znaleźli się na granicy miasteczka. – Udawaj, że takie widoki to dla ciebie chleb powszedni.

– Nie będzie mi łatwo – zauważył Gentle.

Nie było łatwo. Kiedy szli krętymi zaułkami wśród bud i szałasów, odnosił wrażenie, że powietrze w tym świecie ma własne ambicje i próbuje wpłynąć na proces ewolucji, wystarczy się nim zaciągnąć, by zacząć mutować. Setki różnych oczu śledziły ich z okien i drzwi, setki stworzeń najróżniejszych kształtów i rozmiarów wykonywały codzienne prace – gotowały, karmiły, wytwarzały różne przedmioty, knuły spiski, paliły ogniska, targowały się i kochały. Widoki zmieniały się tak szybko, że po paru krokach Gentle coraz częściej spuszczał wzrok i patrzył pod nogi, w błotnisty rynsztok, którym szli. Bał się, że zemdleje od nadmiaru wrażeń wzrokowych. Zapachy też były ostre i nieznanne – aromatyczne, odrażające, słodkie i kwaśne; od obcych dźwięków pękała mu czaszka i drżały wnętrzności.

Nic w dotychczasowym życiu, ani we śnie, ani na jawie, nie przygotowało go na to spotkanie. Studiował dzieła wielkich mistrzów wyobraźni (namalo-

wał kiedyś całkiem znośnego Goyę, a za jakiegoś Ensora zgarnął małą fortunę), ale różnicy między obrazem i rzeczywistością do tej pory nawet sobie nie wyobrażał – nie mógł, gdyż otaczała go tylko jedna strona tego równania. Nie znajdował się w świecie wymyślonym, zamieszkanym przez stworzenia, które byłyby wariacją na temat znanych mu istot. To, co widział, miało się nijak do jego układu odniesienia, stanowiło całkiem odrębny świat. Kiedy znów podniósł wzrok, szykując się na atak niezwykłości, ucieszył się, że wraz z Pie jest w kwartale zamieszkanym przez istoty bliższe wyglądem ludziom, chociaż i tu czekały go niespodzianki. Przez drogę przebiegło im trójnogie dziecko. Odwróciło się i spojrzało na nich przez ramię. Miało twarz zasuszoną jak mumia, a trzecia noga była w rzeczywistości ogonem. Na progu domu siedziała kobieta, mąż rozczesywał jej włosy. Kiedy Gentle spojrzał w jej stronę, zasłoniła się spódnicą, ale nie dość szybko. Drugi małżonek, o skórze śledzia i z okiem, które poruszało się dookoła głowy, klęczał przed nią i zaostrzoną nasadą dłoni kreślił jej na brzuchu jakieś hieroglify. Wokół rozbrzmiewały najróżniejsze języki. Angielski słyszało się najczęściej, chociaż z dziwną melodią i zniekształcony stosownie do anatomii obcych narządów mowy. Niektóre stworzenia śpiewały, inne wymiotowały zgłoskami.

Ale sepleniący, pompatyczny głos, który rozległ się w zaułku po prawej stronie i kazał im się zatrzymać, mógł rozbrzmiewać gdzieś w Londynie. Odwrócili się w jego stronę. Tłum rozstał się przed właścicielem głosu i towarzyszącymi mu trzema osobami.

– Udawaj niemowę – mruknął Pie do Gentle'a, gdy zbliżył się do nich opasły gargulec.

Był łysy, tylko z absurdalnym, natłuszczonym pierścieniem loczków wokół czaszki. Miał wysokie, lśniące czarne buty i kanarkową marynarkę, obficie haftowaną, zgodnie z – jak później miał się Gentle przekonać – obowiązującą w Patashoqua modą. Za nim szedł człowiek w znacznie skromniejszym stroju. Oko miał przesłonięte przepaską, z której sterczały purpurowe ptasie pióra, prawdopodobnie pamiątka momentu okaleczenia. Na ramieniu siedziała mu kobieta w czerni, o skórze pokrytej srebrzystymi łuskami. W małych dłoniach trzymała laskę, którą postukiwała mężczyznę w głowę, kiedy chciała, żeby przyspieszył. Na samym końcu szło najdziwniejsze stworzenie z całej czwórki.

– Nullianac – szepnął Pie.

Gentle nie musiał pytać, czy pojawienie się nullianaca to dobry omen.

Stwór sam stanowił dla siebie najlepszą reklamę. Wyglądał paskudnie. Jego głowa najbardziej przypominała złożone do modlitwy dłonie ze sterczącymi do przodu kciukami, na czubkach których znajdowały się oczy jak u homara. Odstęp między dłońmi był dość duży, by przeświecało niebo, ale migotał cały czas w rytm przeskakujących wyładowań. Bez wątpienia była to najbrzydsza istota, jaką Gentle w życiu widział. Gdyby Pie nie kazał mu się zatrzymać, uciekłby gdzie pieprz rośnie, byle dalej od nullianaca.

Sepleniący gargulec zatrzymał się i przemówił:

– Czego szukacie w Vanaeph?

– Jesteśmy tu przejazdem – odparł Pie.

Gentle uznał, że nie była to zbyt wyszukana odpowiedź.

– Kim jesteście?

– A kim ty jesteś? – odpowiedział pytaniem Gentle.

Wierzchowiec z opaską na oku parsknął śmiechem i dostał laską w łeb od swojej amazonki.

– Loitus Hammeryock – odparł gargulec.

– Ja się nazywam Zacharias – powiedział Gentle. – A to jest...

– Casanova – wszedł mu w słowo Pie.

Gentle spojrzał na niego pytająco.

– Mófi angielski? – zapytała kobieta.

– Pewnie – odparł Gentle. – Mófi angielski.

– Uważaj – szepnął ostrzegawczo Pie.

– Bene! Bene! – ucieszyła się kobieta i zaczęła im tłumaczyć (w języku w połowie złożonym z różnych odmian angielskiego, w jednej czwartej z łaciny i w jednej czwartej z jakiegoś dialektu Czwartego Dominium, czyli cmoknięć i kłapnięć zębami), że wszyscy, którzy przybywają do Neo Vanaeph, muszą się zarejestrować, podać kraj pochodzenia i cel wizyty, zanim zostaną wpuszczeni do miasta – albo zanim będą mogli je opuścić. Z pozoru nędzne Vanaeph nie było najwyraźniej slumsem, w którym króluje bezprawie, lecz porządnym, dobrze pilnowanym miasteczkiem. Kobieta, która w swoim wielojęzycznym słowotoku przedstawiła im się jako pontyfika Farrow, zajmowała tu dość wysokie stanowisko.

Kiedy skończyła, Gentle spojrzał pytająco na Pie. Czuł, że z każdą chwilą porusza się po coraz bardziej niepewnym gruncie. W przemowie pontyfiki kryła się wcale nie zawoalowana groźba, że jeżeli nie udzielią satysfakcjonujących odpowiedzi, zostaną na miejscu straceni. A wykonawcy egzekucji nie

trzeba by było długo szukać. Pacierzogłowy nullianac czekał na instrukcje.

– No właśnie – powiedział Hammeryock. – Możecie potwierdzić swoją tożsamość?

– Ja nie – odparł Gentle.

– A ty? – Hammeryock zwrócił się do Pie'oh'paha, który pokręcił głową.

– Szpiegi – zasyczała pontyfia.

– Jesteśmy... turystami – zaprotestował Gentle.

– Turystami?

– Przybyliśmy tu podziwiać piękne widoki Patashoqua. – Gentle odwrócił się do Pie, szukając w nim oparcia. – Widoki Patashoqua.

– Grobowce Żarliwego Loki Lobba... – ciągnął Pie, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć, jakie cuda Patashoqua ma do zaoferowania. – I Merrow Ti' Ti'.

Gentle'owi spodobało się brzmienie tego imienia.

– Merrow Ti' Ti'! – rozpromienił się. – Naturalnie! Za Chiny nie przegapiłbym Merrow Ti' Ti'!

– Za Chiny? – powtórzył Hammeryock.

– Powiedziałem „Chiny”?

– Tak powiedziałeś.

– Piąte Dominium... – mruknęła pontyfia. – Spiati z Piątego Dominium.

– Stanowczo sprzeciwiam się podobnym oskarżeniom – odezwał się Pie'oh'pah.

– Ja również – rozległ się głos za ich plecami.

Pie i Gentle odwrócili się jak na komendę. Za nimi stał krościasty, brodaty człowieczek, którego strój można by łaskawie określić mianem eklektycznego, a mniej łaskawie – mianem łachmanów. Stał na jednej nodze i patykiem czyścił obcas z psich odchodów.

– Bebechy mi się wywracają od waszej hipokryzji, Hammeryock – powiedział z nieprzeniknioną twarzą. – Perorujecie o tym, że należy usunąć niepożądany element z ulic, ale z kupą nic nie zrobicie!

– To nie twoja sprawa, Tick Raw – zaperzył się Hammeryock.

– Ależ moja, jak najbardziej. To są moi przyjaciele, a wy obrażacie ich swoimi podejrzeniami.

– Przyjaciele, mófi? – mruknęła pontyfia.

– W rzeczy samej, pani, przyjaciele. Są jeszcze wśród nas tacy, którzy odróżniają rozmowę od napastliwej krytyki. Mam przyjaciół, z którymi mogę

porozmawiać i wymienić poglądy. Wiesz, co to są poglądy? To coś, dla czego warto żyć.

Po Hammeryocku widać było, że czuje się nieswojo, słysząc, jakim tonem brodacz zwraca się do jego pani, ale Tick Raw widocznie miał wystarczający autorytet, by uciszyć dalsze protesty.

– Moi drodzy – zwrócił się do Gentle'a i Pie – czy pozwolicie, że udamy się do mnie do domu?

Na pożegnanie rzucił patyk w stronę patrolu. Patyk wbił się w ziemię między stopami Hammeryocka.

– Sprzątnij to, Loitusie. Nie chcielibyśmy chyba, żeby autarcha pośliznął się na psiej kupie?

Tick Raw ruszył przodem, prowadząc Gentle'a i Pie przez labirynt uliczek.

– Chcielibyśmy ci podziękować – odezwał się Gentle.

– Za co? – Tick Raw wymierzył kopniaka kowie, która weszła mu pod nogi.

– Za wyciągnięcie nas z tarapatów. Już sobie pójdziemy.

– Ależ musicie pójść ze mną!

– Nie ma potrzeby.

– Potrzeby? Jest potrzeba, i to jaka! Mam rację? – zwrócił się Tick Raw do Pie. – Jest potrzeba czy nie ma?

– Twoja przenikliwość z pewnością będzie dla nas bezcenna – odparł Pie.

– Obaj jesteśmy tu obcy. – Mistyf mówił dziwnie sztywno, jakby coś nie pozwalało mu swobodnie się wyrazić. – Przyda się nam reedukacja.

– Naprawdę?

– Kim jest ten cały autarcha? – zapytał Gentle.

– Władcą Pojednanych Dominiów. Ma siedzibę w Yzorderrex i największą władzę w całej Imajice.

– I chce tu przyjechać?

– Chodzą takie słydy. Czwarte Dominium wymyka mu się z rąk i on o tym wie, więc postanowił zjawić się tu osobiście. Przybędzie z oficjalną wizytą do Patashoqua, które jest źródłem wszystkich kłopotów.

– Myślisz, że faktycznie przyjedzie? – spytał Pie.

– Jeżeli tego nie zrobi, cała Imajica dowie się, że autarcha boi się pokazać. Naturalnie, to zawsze fascynowało ludzi. Tyle lat rządzi dominiami i nikt na dobrą sprawę nie wie, jak wygląda. Ale czar prysł. Jeżeli chce uniknąć rewolucji, musi pokazać, że ma charyzmę.

– Czy po tym, jak powiedziałaś Hammeryockowi, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi, możesz mieć kłopoty? – zainteresował się Gentle.

– Być może, ale oskarżano mnie już o gorsze rzeczy. Poza tym prawie nie kłamałem. Tu każdy obcy jest moim przyjacielem. – Tick Raw zerknął na Pie. – Nawet mistyf. Ci, którzy mieszkają w tym gnoju, nie mają w sobie za grosz poezji. Wiem, że powinienem im współczuć. To uchodźcy, potracili ziemię, domy, krewnych... Ale tacy są zapamiętali w swoich zasmarkanych smuteczkach, że nie mają dystansu do życia.

– A z dystansu ma się lepszy widok?

– O tym lepiej rozmawiać za zamkniętymi drzwiami – odparł Tick Raw i nie dał się wciągnąć w dalszą dyskusję, póki nie weszli do jego chaty.

*

Wnętrze było spartańskie aż do przesady. Przykryta kocami deska służyła za łóżko, druga za stół, obok leżało kilka pogryzionych przez mole poduszek do siedzenia.

– Tyle mi tylko zostało – powiedział Tick Raw do Pie, tak jakby mistyf rozumiał, może nawet podzielał jego upokorzenie. – Gdybym przeniósł się dalej, może wszystko wyglądałoby inaczej. No, ale tego nie mogłem zrobić.

– Dlaczego? – zdziwił się Gentle.

Tick Raw spojrział na niego z niedowierzaniem, przeniósł wzrok na Pie i znów zerknął na Gentle'a.

– Myślałem, że to oczywiste. Zachowałem posadę. Czekam, aż nadejdą lepsze dni.

– A kiedy to będzie?

– Może ty mi powiesz? – odparł z goryczą Tick Raw. – Jutro wcale nie byłoby za wcześnie. To nie jest życie, psia mać, dla mistrza influencji! Sami popatrzcie. – Powiódł wzrokiem po izbie. – Cóż, to i tak luksus w porównaniu z niektórymi ruderami, jakie mógłbym wam tu pokazać. Ludzie żyją we własnych ekskrementach i sępią jedzenie, a wszystko to pod nosem jednego z najbogatszych miast w dominiach. To nieprzyzwoite. Ja mam przynajmniej pełny brzuch. No i cieszę się jakim takim szacunkiem, ma się rozumieć. Nikt nie wchodzi mi w drogę. Wiedzą, że jestem wywoławcą i trzymają się ode mnie z dala. Nawet Hammeryock. Nienawidzi mnie, ale nie odważyłby się wysłać nullianaca, żeby mnie zabił; boi się, że gdyby nullianac skrewił, ja

bym go dopadł. I ma rację, zrobiłbym to z rozkoszą. Zastrany bufon.

– Może powinienes się stąd wynieść? – zasugerował Gentle. – Do Pata-shoqua.

– Proszę... – jęknął Tick Raw. – Czy musimy się bawić w takie gierki? Nie wierzycie w moją uczciwość? Ocaliłem wam życie.

– Jesteśmy ci za to wdzięczni.

– No to czego chcecie? Pieniędzy? – Tick Raw wstał z poduszki. Poczernieniał z gniewu. – Nie zasłużyłem sobie na to.

– Na co? – zdziwił się Gentle.

– Żyję w kupie, ale niech mnie diabli, jeśli będę ją jadł! W porządku, żaden ze mnie maestro. A szkoda! Szkoda, że Uter Musky nie żyje, bo to on czekałby tu tyle lat, a nie ja. Ale jego już nie ma, zostałem sam. Albo się z tym pogodzicie, albo wynocha!

Ten wybuch kompletnie zbił Gentle'a z pantałyku. Pie zwiesił ponuro głowę.

– Może jednak już pójdziemy – powiedział Gentle.

– Oczywiście! Czemu nie? – krzyknął Tick Raw. – Spadajcie stąd! Może wskrzescie Musky'ego? Sam go pochowałem na Lipper Bayak, tymi rękoma! – Głos mu się łamał. Oprócz złości brzmiał w nim teraz smutek. – Możecie go tak samo wykopać!

Gentle zaczął się zbierać, wyczuwając, że jeśli jeszcze coś powie, Tick Raw się załamie, a tego nie miał ochoty oglądać. Mistyf złapał go jednak za ramię.

– Zaczekaj.

– On chce, żebyśmy wyszli.

– Daj mi z nim porozmawiać.

Tick spojrzał podejrzliwie na mistyfa.

– Nie jestem w nastroju do pieszczot – uprzedził.

– Ja też nie. – Pie pokręcił głową, patrząc znacząco na Gentle'a.

– Mam wyjść? – spytał Gentle.

– Na chwilę.

Gentle wzruszył ramionami, chociaż pomysł zostawienia Pie'oh'paha sam na sam z Tickiem wcale mu się nie podobał. Zaczynał podejrzewać, że coś przed nim ukrywają. A jeśli tak, to z pewnością miało to coś wspólnego z seksem, mimo że obaj temu zaprzeczali.

– Poczekam na zewnątrz – oznajmił i zostawił ich samych.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, usłyszał ze środka głosy Pie i Tickka. W chacie naprzeciwko panował spory hałas – słyhać było płacz dziecka i śpiewaną na fałszywą nutę kołysankę matki – ale udało mu się wychwycić fragmenty rozmowy. Tick Raw szalał:

– Czy to ma być jakaś kara? – zapytał w pewnej chwili. I za moment: – Cierpliwości? Jak długo jeszcze mam być cierpliwy, do ciężkiej cholery?

Kołysanka zagłuszyła odpowiedź, a gdy znów przycichła, rozmowa toczyła się już zupełnie innym torem:

– Czeka nas długa droga... – mówił Pie – ...dużo nauczyć...

Gentle nie dosłyszał odpowiedzi Tickka Raw, ale Pie wyjaśnił:

– Jest tu obcy.

Tick znów coś odburknął.

– Nie mogę. Odpowiadam za niego – rzekł Pie.

Tym razem Tick Raw podniósł głos na tyle, że Gentle go usłyszał:

– Tracisz czas. Lepiej zostań ze mną. Przyda mi się ktoś, kto zagrzeje mi łóżko.

Pie zniżył głos do szeptu i Gentle zrobił pół kroku w stronę drzwi. Zdołał wyłapać kilka pojedynczych słów – coś o złamanym sercu, potem „wiara”, reszta jednak była zbyt cicha. Uznawszy, że dość im już podarował samotności, uprzedził głośno, że wchodzi, i otworzył drzwi. Pie i Tick Raw spojrzeli na niego chyba z poczuciem winy.

– Chcę już stąd iść – powiedział.

Tick Raw trzymał dłoń na karku Pie, jakby zaznaczał swoje prawa do niego.

– Jeżeli odejdziecie, nie mogę wam zagwarantować bezpieczeństwa – uprzedził mistyfa. – Hammeryock będzie chciał waszej krwi.

– Obronimy się – odparł Gentle, nieco zaskoczony swoją pewnością siebie.

– Może nie powinniśmy się tak spieszyć – wtrącił Pie.

– Czeka nas długa podróż.

– Niech ona sama zdecyduje – powiedział Tick Raw. – Nie jest twoją własnością.

Na te słowa twarz Pie'oh'paha przybrała intrygujący wyraz – poczucie winy zniknęło, ustępując miejsca zatroskaniu i rezygnacji. Mistyf sięgnął ręką i strącił z karku dłoń Tickka.

– On ma rację – powiedział do Tickka. – Czeka nas podróż.

Wywoławca wydał wargi, jakby się zastanawiał, czy warto upierać się przy swoim.

– Dobrze – powiedział. – W takim razie idźcie. – Spojrzał spode łba na Gentle'a. – Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje, przybyszu.

– Dziękuję – odparł Gentle.

Wyszli z Pie'oh'pahem na zabłocone, hałaśliwe uliczki Vanaeph.

*

– Dziwne słowa – zauważył Gentle, gdy zaczęli oddalać się od chatki Ticka Raw. – Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje.

– W ustach mistrza influencji to najgorsza klątwa.

– Rozumiem.

– Wręcz przeciwnie, nic nie rozumiesz.

Oskarżycielski ton Pie dotknął Gentle'a do żywego.

– W każdym razie świetnie rozumiałem, coście rozważali – odciął się. – Chciałeś z nim zostać. Trzepotałeś rzęsami jak jakaś...

– Śmiało, dokończ. Jak kurwa.

– Nie to miałem na myśli.

– Proszę cię, przestań – rzeki z goryczą Pie. – Bluzgaj śmiało. Czemu nie? To potrafi być podniecające.

Gentle spojrział na niego z niesmakiem.

– Mówiłeś, że chcesz się uczyć, Gentle. Proszę bardzo, zagniemy od „Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje”. To jest klątwa, bo gdyby te słowa były prawdziwe, żylibyśmy tylko po to, żeby umrzeć, a w dominiach królowałoby bagno.

– Jasne. Ty byłbyś zwykłą kurwą.

– A ty fałszerzem, pracującym dla...

Pie nie skończył zdania, bo spomiędzy dwóch chałup wypadło stadko zwierząt. Kwiczały jak świnie, chociaż z wyglądu przypominały raczej miniaturowe lamy. Gentle spojrział w kierunku, z którego biegły. Ciarki przebiegły mu po plecach.

– Nullianac!

– Widzę!

Dłonie tworzące łeb oprawcy na przemian rozchylały się i składały, jakby rozdmuchiwały przepływający między nimi zabój czy żar. W okolicznych

domach rozlegały się okrzyki przerażenia, trzaskały drzwi, stukały zamykane okiennice, ktoś porwał płaczące dziecko z progu. Gentle zdążył jeszcze ujrzeć, jak nullianac wyciąga dwa miecze, w których odbija się oślepiające światło elektrycznego łuku między dłońmi, a potem pobiegł za Pie.

Uliczka, w której dali się zaskoczyć, była niewiele szersza od rynsztoka, ale w porównaniu z zaułkiem, w który skręcili, wydawała się jasno oświetloną aleją. Pie pędził jak wiatr. Gentle nie; dwa razy zdarzyło mu się przegapić skręt mistyfa. Za drugim razem zgubił go kompletnie w półmroku. Chciał zawrócić, gdy usłyszał za plecami świst broni. Obejrzał się przez ramię. Jeden z mniejszych szafasów złożył się w chmurze kurzu jak domek z kart. Rozległ się płacz i z obłoku wyłoniła się sylwetka nullianaca z głową pełną błyskawic. Stwór utkwiał wzrok w Gentle'u i gwałtownie przyspieszył. Gentle rzucił się biegiem przed siebie, skręcił w pierwszą z brzegu uliczkę, przemknął przez bagnisty ściek, w którym cudem się nie przewrócił, i zniknął w jeszcze węższym przejściu.

Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później zapędzi się w zaułek bez wyjścia, a wtedy zabawa się skończy. Skóra na karku swędziała go, jakby już dotykały jej miecze nullianaca. To było nie fair! Godzinę temu wyrwał się z Piątego Dominium, a już tylko sekundy dzieliły go od śmierci. Obejrzał się. Oprawca go doganiał. Gentle przyspieszył, ostro skręcił i wpadł w ślepy korytarz o ścianach z zardzewiałego metalu.

– No i kupa! – krzyknął, zapożyczając od Ticka jego ulubione słówko. – Furie, właśnie popełniłeś samobójstwo!

Ściany pułapki były wysokie i śliskie od brudu. Wiedział, że nie ma szans się na nie wdrapać, pobiegł więc do końca i rozpędzony uderzył barkiem w mur, licząc na to, że pęknie. Niestety, jego budowniczowie (niech ich szlag!) musieli być lepszymi rzemieślnikami niż większość okolicznych fachowców. Mur zatrzęsł się, z góry posypał się cuchnący tynk, ale Gentle uzyskał tylko tyle, że zwabiony łoskotem nullianac rzucił się prosto na niego.

Gentle jeszcze raz grzmotnął całym ciałem o ścianę, widząc w tym ostatnią szansę ocalenia, ale znów tylko się poobijał. Swędzenie na karku stało się boleśnie przykre. Dać się pokroić na plasterki w rurze ściekowej to naprawdę upokarzająca śmierć. Czym na nią zasłużył?

– Co ja zrobiłem? Co takiego zrobiłem, do kurwy nędzy?!

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, chociaż... Kiedy jego słowa ucichły, zorientował się, że podnosi rękę do ust, choć nie miał zielonego pojęcia po

co. Coś kazało mu otworzyć dłoń i w nią splunąć. Albo ślina była wyjątkowo zimna, albo skórę miał rozpaloną. Nullianac znalazł się o metr od niego i brał właśnie zamach oboma ostrzami. Gentle lekko zacisnął pięść i przytknął ją do ust. Kiedy miecze osiągnęły najwyższy punkt łuku, dmuchnął.

Poczuł, jak oddech pali mu rękę. Na ułamek sekundy przed tym, jak ostrza spadły na jego głowę, pneuma wystrzeliła mu z pięści niczym kula z pistoletu. Trafiła nullianaca w gardło z wielką siłą. Oślepiająca błyskawica wystrzeliła oprawcy z głowy pod niebo niczym piorun, który pomylił kierunki. Potwór wypuścił oba ostrza z rąk, upadł, drgnął spazmatycznie i wyzionął ducha. Jego rozmodlona głowa zgasła.

Gentle pozbierał się, równie wstrząśnięty śmiercią nullianaca, jak bliskością własnej. Z niedowierzaniem spoglądał to na leżące w gnoju zwłoki, to na swoją pięść. Otworzył ją. Ślina zniknęła, zmieniawszy się w zabójczy pocisk. Od nasady kciuka przez całą dłoń biegła ciemna smuga, jedyny ślad przejścia pneumy.

– A niech mnie... – wykrztusił.

Przy drugim końcu pułapki zebrał się już spory tłumek, nad ścianami również sterczały głowy ciekawskich. Ze wszystkich stron dobiegał szmer podniekscytowanych głosów, który, jak domyślał się Gentle, musiał lada chwila ściągnąć Hammeryocka i pontyfię Farrow. A naiwnością byłoby sądzić, że rządzą w Vanaeph, mając tylko jednego kata. Znajdą się inni, i to niedługo. Przystąpił nad ciałem nullianaca, nie przyglądając się dokładnie jego ranom. Kątem oka dostrzegł, że były poważne.

Gapie rozstąpili się na widok zwycięzcy, niektórzy mu się kłaniali, inni rzucili się do ucieczki, jeden zawołał „Brawo!” i próbował pocałować Gentle'a w rękę. Gentle odepchnął adoratora i rozejrzał się w poszukiwaniu Pie'oh'paha. Nie widząc go, zaczął się zastanawiać, co dalej. Dokąd mógł pójść Pie? Nie na Lipper Bayak; góra stanowiła świetny punkt kontaktowy, ale wróg od razu by ich tam znalazł. W takim razie gdzie? Do bramy Patashoqua? Pokazywał ją Gentle'owi zaraz po przybyciu na wzgórze. Tak, to najlepsze miejsce, uznał Gentle i skierował się przez tętniące życiem uliczki Vanaeph w stronę błyszczącego miasta.

Jego najgorsze przeczucia – że pontyfia dowie się o śmierci nullianaca – szybko się sprawdziły. Dobiegł do skraju miasteczka, a przed sobą miał równinę oddzielającą Patashoqua od Vanaeph, gdy za jego plecami wybuchł zgiełk, który sygnalizował, że pościg jest blisko. Gdyby ruszył ku bramie, za-

pewne zostałyby łatwo rozpoznany po dzinsach i koszuli z Piątego Dominium; jeżeli jednak zatrzymałby się w Vanaeph, prześladowcy dopadliby go jak nic. Postanowił zaryzykować i skorzystać z faktu, że jeszcze ma nad nimi przewagę. Nawet jeśli nie dotrze do samej bramy, nie odważą się go zabić o rzut kamieniem od lśniących murów Patashoqua.

Nabrał całkiem niezłej szybkości i w niespełna minutę znalazł się poza obrębem slumsów. Hałas za jego plecami narastał. W świetlistym powietrzu trudno było ocenić odległość do bramy, ale miał do niej co najmniej półtora kilometra – może nawet dalej. Nie uciekł daleko, gdy szpica pościgu opuściła Vanaeph. Prześladowcy byli szybsi i mniej zmęczeni, dzięki czemu łatwo zmniejszyli dystans do uciekiniera. Na drodze znajdowało się mnóstwo podróżnych, zmierzających w obu kierunkach. Niektórzy szli pieszo, w grupach, ubrani jak pielgrzymi. Inni, zamożniejsi i lepiej odziani, jechali konno; boki i łby wierzchowców zdobiły krzykliwe malunki. Jeszcze inni dosiadali kudłatych krewniaków mułów. Najrzadziej spotykało się godnych zazdrości podróżnych w pojazdach z własnym napędem, które wprawdzie przypominały z grubsza samochody z Piątego Dominium – miały nadwozie i koła – ale poza tym w każdym calu stanowiły miejscowe wynalazki. Niektóre były ozdobne jak barokowe ołtarze, rzeźbione w delikatne wzory; u innych koła miały niedorzecznie cienkie obręcze i były dwa razy wyższe od samego pojazdu, co upodabniało je do dziwnych, egzotycznych owadów; jeszcze inne – ożywione wraki, niesymetryczne i brzydkie dziwadła ze szkła i stali – poruszały się na kilkunastu małych kółeczkach, plując z rur wydechowych gęstym, gryzącym dymem.

Ryzykując śmierć pod kopytami lub kołami, Gentle włączył się do ruchu, klucząc między pojazdami. Czoło pościgu również dotarło do drogi. Widział, że goniący go ludzie są uzbrojeni i wcale się z tym nie kryją. Nagle stracił nadzieję, że nie odważą się go zabić na oczach tyłu świadków. Może prawo Vanaeph obowiązywało aż do samych bram Patashoqua. Jeśli tak, był trupem. Dopadną go, zanim dobiegnie do bram azylu.

Nagle ponad harmider na drodze wzbił się inny, obcy dźwięk. Gentle zaryzykował rzut oka w lewo i ujrzał mały, całkiem zwyczajny pojazd, który skręcał w jego kierunku. Miał źle wyregulowany silnik, był bez dachu. W fotelu kierowcy siedział Pie'oh'pah, niech go Bóg błogosławi, i prowadził wóz jak człowiek – czy raczej mistyf – natchniony. Gentle skręcił, zbiegł z drogi, roztrącając grupkę pielgrzymów, i popędził w kierunku hałaśliwego rydwanu

Pie'oh'paha.

Chóralne wrzaski za plecami podpowiadały mu, że ścigający także zmienili kierunek, ale na widok Pie poczuł przypływ nowych sił. Biegł, jakby u nóg wyrosły mu skrzydła. Niepotrzebnie się tak spieszył. Zamiast zwolnić i dać mu wsiąść, Pie minął go w pełnym pędzie, kierując się prosto w sferę goniących go zbrojnych. Ci na przedzie rozpierzchli się, ale Pie celował w siedzącą w lektyce postać, której Gentle wcześniej nie zauważył. Hammeryock, który z podwyższenia zamierzał śledzić egzekucję, nagle z myśliwego stał się zwierzyną. Ryknął na tragarzy, ale ci w panice nie zdołali się porozumieć. Dwóch pociągnęło w prawo, dwóch w lewo. Jeden z drągów pękł, Hammeryock wyleciał z lektyki, wyrznął mocno w ziemię i już nie wstał. Tragarze porzucili lektykę i uciekli, Pie zaś spokojnie zawrócił w stronę Gentle'a. Pozbawieni wodza prześladowcy, zmuszeni przede wszystkim do służby pontyfii, stracili ducha walki. Nie mieli dość zapału, żeby ryzykować los, jaki spotkał Hammeryocka.

- Myślałem, że wróciłeś do Ticka Raw – wysapał Gentle.
- Nie chciałby mnie widzieć – odparł Pie. – Zadaję się z mordercą.
- To znaczy?
- Z tobą, mój przyjacielu, z tobą! Teraz obaj jesteśmy zabójcami.
- Chyba tak.
- I to niemile widzianymi w tej okolicy.
- Skąd wytrzasnąłeś wóz?
- Stało ich kilka na skraju slumsów. Niedługo zaczną nas nimi gonić.
- W takim razie im szybciej znajdziemy się w mieście, tym lepiej.
- Obawiam się, że i tam nie bylibyśmy bezpieczni.

Mistyf skierował zadarty nos pojazdu w stronę drogi. Mogli skręcić w lewo do Patashoqua albo pojechać w prawo, omijając Lipper Bayak, w kierunku rysujących się na horyzoncie gór.

- Wybieraj – powiedział Pie.

Gentle spojrział tęsknie w stronę miasta. Iglice kusiły go, ale wiedział, że Pie ma rację.

- Kiedyś tu wrócimy, prawda? – zapytał.
- Oczywiście, jeśli tylko zechcesz, wrócimy.
- W takim razie jedźmy w przeciwnym kierunku.

Wjechali na drogę, zostawili miasto za plecami i wkrótce zaczęli nabierać szybkości.

– To tyle, jeśli idzie o Patashoqua – stwierdził Gentle, gdy mury miasta rozplynęły się jak miraż.

– Niewielka strata.

– Żałuję Merrow Ti' Ti'.

– Niepotrzebnie.

– Jak to?

– To czysty wymysł – odparł Pie'oh'pah. – Jak wszystko, co lubię. Jak ja sam. Czysty wymysł.

ROZDZIAŁ 19

1

Mimo że Jude obiecała sobie solennie, że podąży za Gentle'em, gdziekolwiek się udał, kilka niecierpiących zwłoki spraw pokrzyżowało jej plany. Najważniejszy był Clem. W ponure, deszczowe dni, które nastąpiły po Nowym Roku, potrzebował jej rady, pocieszenia i umiejętności organizacyjnych. Nie mogła mu odmówić. Pogrzeb Taylora odbył się dziewiątego stycznia. Clem dołożył wszelkich starań, żeby nabożeństwo wypadło doskonale, i udało mu się, chociaż sukces miał melancholijny posmak. Przyjaciele i krewni Taylora zeszli się, żeby wyrazić swoje gorące uczucia dla zmarłego. Jude spotkała ludzi, których nie widziała od lat; tylko nieliczni nie komentowali rzucającej się w oczy nieobecności Gentle'a. Wszystkim powtarzała to samo, co powiedziała Clemowi – że Gentle przeżywa ostatnio trudny okres i kiedy ostatnio z nim rozmawiała, planował urlop. Clema nie udało się, naturalnie, zbyć tak ogólnikowymi wykrętami. Gentle wiedział o śmierci Taylora, toteż Clem ocenił jego zachowanie jako tchórzliwe. Jude nie próbowała go bronić, starała się po prostu jak najmniej o nim mówić przy Clemie.

Ale sprawa Gentle'a wracała jak bumerang. Po pogrzebie, przeglądając rzeczy Taylora, Clem natknął się na trzy akwarele namalowane przez Gentle'a w stylu Samuela Palmera, podpisane jednak jego własnym nazwiskiem i dedykowane Taylorowi. Przedstawiały wyidealizowane krajobrazy i w naturalny sposób skierowały myśli Clema na nieodwzajemnioną miłość Taylora do Gentle'a. Jude pod ich wpływem znów zaczęła się zastanawiać, gdzie

Gentle zniknął. Clem zamierzał (z zemsty, zapewne) zniszczyć obrazy, ale Jude mu to wyperswadowała. Jeden dał więc jej, drugi zostawił sobie na pamiętkę, a trzeci oddał Kleinowi.

Chwile spędzone z Clemem nie tylko zabierały jej cenny czas, ale także utrudniały koncentrację. Kiedy więc w połowie miesiąca oznajmił, że wybiera się na dwa tygodnie na Teneryfę, żeby poopalać się i zapomnieć o kłopotach, ucieszyła się, że zostanie zwolniona z codziennych obowiązków przyjaciółki i pocieszycielki, ale nie potrafiła rozpaść w sobie żaru postanowienia, jaki płonął w niej w pierwszych godzinach nowego roku. Zachowała niezwykle pamiętkę tamtej chwili. Psa. Wystarczyło jedno spojrzenie na kundla i natychmiast przypominała sobie, jak stoi w drzwiach pracowni i widzi rozpływające się w powietrzu dwie osoby. Wraz z tym obrazem wracało wspomnienie nowiny, z którą przyszła do Gentle'a, opowieści o podróży jak ze snu, wywołanej przez niebieski kamień, który opatulony szmatką leżał teraz dobrze ukryty w szafie. Nie była miłośniczką psów, ale tamtej nocy wzięła kundla do domu; zdawała sobie sprawę, że bez jej opieki długo nie pożyje. Szybko wkupił się w jej łaski. Z zapalem merdał ogonem na powitanie za każdym razem, gdy wracała od Clema, a wczesnym rankiem zakradał się do sypialni i mościł sobie legowisko w jej ubraniach z poprzedniego dnia. Miał tak mało sierści, że nazwała go Skin^[4]. Musiała przyznać, że go lubi. Kilka razy złapała się na tym, że próbuje z nim rozmawiać. Nie słuchał jej chyba, liżąc się po łapach i po jądrach, ale takie monologi pomagały jej zebrać myśli i odsunąć groźbę obłędu. Trzeciego dnia po odlocie Clema do ciepłych krajów, kiedy dyskutowała ze Skinem o tym, co powinna zrobić, w monologu wypłynęło nazwisko Estabrooka.

– Nie znasz go – tłumaczyła psu – ale na pewno byś go nie polubił. Kazał mnie zabić, wiesz?

Skin przerwał toaletę i podniósł łeb.

– Poważnie. Ja też się zdziwiłam. No bo wiesz, zachował się gorzej niż zwierzę. Bez urazy, ale to prawda. W końcu byłam jego żoną... Dalej jestem, a on kazał mnie zamordować. Co byś zrobił na moim miejscu? Wiem, wiem, powinnam się z nim spotkać. Miał w sejfie niebieskie oko. I taką książkę, że... Przypomnij mi, to ci kiedyś o niej opowiem. Chociaż... może lepiej nie. Jeszcze coś ci do łba strzeli.

Skin położył głowę na łapach, westchnął z zadowoleniem i zapadł w

drzemkę.

– Bardzo mi pomagasz – ciągnęła Jude. – Potrzebuję twojej rady. Co się mówi człowiekowi, który kazał cię zabić?

Skin nie otworzył oczu, więc musiała sama udzielić sobie odpowiedzi.

– Powiem: Cześć, Charlie. Opowiedz mi historię swojego życia.

2

Następnego dnia zadzwoniła do Lewisa Leadera z pytaniem, czy Estabrook nadal jest w szpitalu. Dowiedziała się, że owszem, ale przeniesiono go do prywatnej kliniki w Hampstead. Leader podał jej adres i telefon. Jude zadzwoniła, by zapytać o stan chorego i godziny odwiedzin. Usłyszała, że pacjent nadal jest pod obserwacją, ale doszedł już trochę do siebie i można go w każdej chwili odwiedzić. Nie było sensu odwlekać spotkania, pojechała więc do Hampstead jeszcze tego samego wieczoru, mimo że rozszalała się burza. W klinice przywitał ją pielęgniarz Estabrooka, gadatliwy chłopak imieniem Maurice. Kiedy się uśmiechał – a robił to często – tak rozciągał górną wargę, że stawała się prawie niewidoczna. O stanie pacjenta wypowiadał się z entuzjazmem zakrawającym na niedyskrecję.

– Miewa dobre dni – stwierdził z ożywieniem. Z nie mniejszym zapałem ciągnął: – Chociaż rzadko. Jest w poważnej depresji. Zanim do nas przyjechał, próbował popełnić samobójstwo.

– Przyjmuje środki uspokajające?

– Pomagamy mu zwalczyć lęki, ale nie faszerujemy go do nieprzytomności. Nie moglibyśmy mu wtedy pomóc.

– A na czym polega problem? – zapytała Jude, oczekując oskarżeń pod swoim adresem.

– To dość mętna sprawa – przyznał Maurice. – Wyraża się o pani bardzo ciepło i jestem przekonany, że pani wizyta dobrze mu zrobi. Ma jakieś kłopoty z bliskimi. Udało mi się wyciągnąć z niego co nieco na temat ojca i brata, ale jest strasznie zamknięty w sobie. Ojciec oczywiście już nie żyje, ale może pani wie coś o bracie?

– Nigdy go nie widziałam.

– Szkoda. Charles czuje do niego wiele złości, na razie jednak nie znam powodu. Dowiem się wszystkiego, potrzebuję tylko więcej czasu. Potrafi być skryty, prawda? No, to pani wie i beze mnie. Zaprowadzić panią do niego? Mówiłem mu, że pani dzwoniła, więc spodziewa się tej wizyty.

Jude zirytowała się, słysząc, że straciła przewagę zaskoczenia; Estabrook zdążył pewnie przygotować sobie wymówki. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Zamiast objechać wiecznie uśmiechniętego Maurice'a, zachowała niezadowolenie dla siebie. Kto wie, może ten wesolek jeszcze się jej przyda.

Pokój Estabrooka prezentował się całkiem sympatycznie. Był przestronny, wygodny, a powieszzone na ścianach reprodukcje Moneta i Renoira działały kojąco. Nawet płynący z głośników ściszony koncert fortepianowy zdawał się rozbrzmiewać po to, by łagodzić wzburzony umysł. Estabrook siedział przy oknie. Jedną zasłonkę odsunął na bok i patrzył w deszcz. Miał na sobie piżamę i elegancki szlafrok. Palił papierosa. Nie zdziwił się bynajmniej, kiedy Jude stanęła w drzwiach. Tak jak się spodziewała, miał też gotowe powitanie:

– Nareszcie jakaś znajoma twarz.

Nie próbował jej przytulić. Podeszła bliżej i pocałowała go w oba policzki.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował. – Poproszę pielęgniarza.

– Kawy, jeśli można. Przemarzłam.

– Może nawet przekonam Maurice'a, żeby ci zaparzył. Muszę mu tylko obiecać, że jutro otworzę przed nim serce.

– Obiecujesz? – zapytał Maurice.

– Tak, obiecuję. Jutro o tej porze będziesz już wiedział, jak nauczyłem się siadać na nocnik.

– Z mlekiem i z cukrem? – zapytał Maurice.

– Z mlekiem – odparł Charlie. – Chyba że gust ci się zmienił.

– Nie – uspokoiła go Jude.

– Oczywiście. Judith się nie zmienia. Judith jest wieczna.

Maurice wyszedł i zostali sami. Nie zapadła pełna zakłopotania cisza, bo Estabrook miał gotową przemowę. Kiedy mówił o tym, jak się cieszy z jej odwiedzin i ma nadzieję, że może pewnego dnia jednak mu wybaczy, obserwowała go uważnie. Schudł i nie miał tupecika, przez co jego twarz zupełnie się zmieniła. Wydatny nos i obwisłe wargi – zwłaszcza dolna, nadmiernie obfita – upodabniały go do upadłego arystokraty. Wątpiła, żeby udało się jej

wykrzesać z serca choćby resztki miłości do niego, ale nie mogła go nie żałować.

- Pewnie chcesz rozwodu – powiedział.
- Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Na razie nie.
- Gdybyś potrzebowała...
- Poproszę.

Pielęgniarka przyniosła kawę dla Jude, gorącą czekoladę dla Estabrooka i biszkopty. Kiedy zniknął za drzwiami, Jude postanowiła się wypowiedzieć z tego, co zrobiła, licząc, że natchnie Estabrooka do podobnej szczerości.

- Byłam w domu – zaczęła. – Chciałam zabrać biżuterię.
- I nie mogłaś otworzyć sejfu.
- Nie, udało mi się.

Estabrook, nie podnosząc wzroku, głośno siorbnął czekolady.

– Znalazłam w sejfie bardzo dziwne rzeczy, Charlie. Chciałabym o nich porozmawiać.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- O kawałku posążka i książce.
- Nie są moje. – Nadal nie patrzył jej w oczy. – I nic o nich nie wiem.

Oscar dał mi je na przechowanie.

Ciekawy trop, uznała Jude.

- Skąd je wziął?
- Nie pytałem – odparł z rezerwą Estabrook. – Wiesz, on dużo podróżuje.
- Chciałabym go poznać.
- Nie chciałabyś – zaprotestował pospiesznie. – Nie spodobałby ci się.
- Globtroterzy zawsze są interesujący – zauważyła, starając się zachować

beztroski ton.

- Uwierz mi, on by ci się nie spodobał.
- Odwiedzał cię?
- Nie. Nawet gdyby przyszedł, nie chciałbym się z nim widzieć. Dlaczego mnie o niego wypytyjesz? Nigdy przedtem się nim nie interesowałam.
- Jest twoim bratem. Powinien się tobą zaopiekować.
- Oscar? Obchodzi go tylko własny tyłek. Te prezenty to łapówka.
- Więc jednak prezenty. Myślałam, że wzięłaś je tylko na przechowanie.
- Jakże to ma znaczenie? – spytał Estabrook podniesionym głosem. – Nie

ruszaj ich, są niebezpieczne. Odłożyłaś je na miejsce, prawda?

Skłamała, nie chciała bardziej go rozdrażniać.

– Widać coś z tego okna?

– Całe Heath. W słoneczny dzień jest ponoć bardzo ładne. W poniedziałek znaleźli tam zwłoki jakiejś kobiety. Ktoś ją udusił. Wczoraj i dziś przeczesywali krzaki, pewnie w poszukiwaniu śladów. W taką pogodę... To potworne moknąć w takiej ulewie i grzebać się w błocie, żeby znaleźć jakieś ubrudzone majtki czy coś w tym guście. Wyobrazasz sobie? Pomyślałem sobie: mam cholerne szczęście, że siedzę w takim ciepłym i przytulnym miejscu.

Jeżeli można było doszukać się zmian w pracy jego umysłu, to przejawiały się właśnie w tej dziwnej dygresji. Dawny Estabrook nie miał cierpliwości do rozmów, które nie prowadziły do żadnego konkretnego celu. Plotki wywoływały u niego grymas pogardy, zwłaszcza gdy sam był ich przedmiotem. Co do wyglądania przez okno i żałowania marznących policjantów – dwa miesiące temu byłoby to dosłownie nie do pomyślenia. Podobała się jej ta zmiana, tak jak podobała się jej nowo odkryta szlachetność jego profilu. Jude znów zaczęła wierzyć w swoją intuicję. Może takiego właśnie Estabrooka kochała przez cały czas.

Rozmawiali jeszcze chwilę, nie wracając już do spraw osobistych, i zostali się jak dobrzy przyjaciele. Uścisnęli się serdecznie.

– Kiedy znowu przyjdiesz? – spytał Estabrook.

– Za kilka dni.

– Będę czekał.

*

Zatem prezenty, które znalazła w sejfie, pochodziły od Oscara Godolphina, który zachował rodowe nazwisko, gdy Charles się go zrzekł. Tajemniczy, zagadkowy Oscar. Wędrowiec. Gdzie się zapuścił, żeby zdobyć tak niewiarygodne pamiątki? Może do innego świata, tego samego, w którym zniknęli Gentle i Pie'oh'pah? Zaczynała węszyć spiszek. Skoro dwóch mężczyzn, Oscar Godolphin i John Zacharias, niezależnie od siebie dowiedziało się o tym innym świecie i potrafiło się do niego przenieść, kto jeszcze z jej znajomych również to potrafił? Czy takie informacje były zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn? Czy wiązały się nierozłącznie z penisem i fiksacją na punkcie matki? Czy Taylor o tym wiedział? Albo Clem? Czy też był to sekret rodzin-

ny, a jedyny element łamigłówki, którego jej brakowało, stanowiło pokrewieństwo Godolphina i Zachariasasa?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania i wiedziała, że Gentle ich jej nie udzieli, co oznaczało, że musi odszukać braciszka Oscara. Zaczęła w najprostszy możliwy sposób – sięgnęła po książkę telefoniczną. Nie znalazła go w spisie abonentów. Zadzwoiła więc do Lewisa Leadera, który jednak twierdził, że nie zna ani jego miejsca pobytu, ani żadnych szczegółów na jego temat. Jak powiedział, bracia nie kontaktowali się ze sobą i nigdy nie musiał szukać Oscara Godolphina.

– Na dobrą sprawę facet może już nie żyć – dodał na zakończenie.

Z bezpośrednimi kanałami dostępu się jej nie poszczęściło, spróbowała więc drogi okrężnej. Pojechała do domu Estabrooka i dokładnie go przeczesała w poszukiwaniu adresu lub numeru telefonu Godolphina. Nie znalazła ich, lecz natrafiła na album ze zdjęciami, którego Charlie nigdy jej nie pokazywał. Były w nim fotografie, przedstawiające – jak podejrzewała – obu braci. Łatwo było ich odróżnić. Nawet na starych zdjęciach aparat wyłapywał zatroskany wyraz twarzy Charliego, natomiast Oscar, chociaż o sześć lat młodszy, sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie. Miał lekką nadwagę, ale było mu z nią do twarzy. Obejmował brata za ramię. Wyjęła z albumu najświeższe zdjęcie, na którym Charles był mniej więcej w wieku dojrzewania. Odkryła, że za drugim razem kradzież przychodzi człowiekowi z większą łatwością.

Nie znalazła innych informacji na temat Oscara. Jeżeli chciała się od niego dowiedzieć, z jakiego świata przywiózł pamiątki dla brata, musiała popracować nad Estabrookiem. Wiedziała, że to potrwa, a jej cierpliwość wyczerpywała się z każdym krótkim, deszczowym dniem. Mogła wprawdzie kupić sobie bilet i polecieć w dowolne miejsce na kuli ziemskiej, ale i tak dokuczała jej narastająca klaustrofobia. Musiała przedostać się do innego świata i dopóki się jej to nie uda, Ziemia będzie dla niej więzieniem.

3

Rano siedemnastego stycznia Leader zadzwonił do Oscara z wiadomością,

że pytała o niego żyjąca w separacji z mężem szwagierka.

– Powiedziała, dlaczego mnie szuka?

– Nie, ale widać, że węszy. W zeszłym tygodniu trzy razy widziała się z Estabrookiem.

– Dziękuję, Lewis. Doceniam twój wysiłek.

– Docień go w gotówce, Oscarze. Miałem duże wydatki na święta.

– Czy kiedyś wyszedłeś ode mnie z pustymi rękoma? Informuj mnie na bieżąco.

Adwokat obiecał, że tak właśnie zrobi, ale Oscar miał wątpliwości, czy może liczyć na jakieś użyteczne informacje z tego źródła. Tylko ludzie wyjątkowo zrozpaczeni mogli pokładać zaufanie w prawnikach, a Jude chyba aż tak zdesperowana nie była. Nie znał jej – Charlie dopilnował, żeby nigdy się nie spotkali – ale skoro wytrzymała z nim trochę czasu, musiała mieć stalowe nerwy. Następne pytanie nasuwało się samo. Dlaczego kobieta, która wie, że mąż próbował ją zabić (o ile Jude faktycznie o tym wiedziała), spotyka się z nim jak gdyby nigdy nic? Musi chyba mieć jakiś ukryty powód, prawda? Czy to możliwe, żeby próbowała w ten sposób namierzyć Oscara? Jeżeli tak, próby takie należało stłumić w zarodku. W grze pojawiło się wystarczająco dużo zmiennych elementów – zaczynała się zarządzona przez stowarzyszenie czystka, policja deptała im po piętach, a nowy lokaj, Augustine (primo voto Dowd), robił się coraz bardziej nieznośny. Najbardziej niepewna z tych zmiennych znajdowała się w przytułku nieopodal Heath – Charlie, prawdopodobnie obłąkany, a z pewnością nieprzewidywalny, wiedział dość, żeby mu zaszkodzić. Prędzej czy później zacznie mówić, a wtedy gdzie znajdzie wierniejszego słuchacza od wścibskiej żony?

Tak więc Oscar wieczorem wysłał Dowda (nie mógł się przyzwyczaić do nowego imienia lokaja) do kliniki, z koszem owoców dla Estabrooka.

– Jeżeli ci się uda, zaprzyjajnij się z kimś – powiedział. – Chcę wiedzieć, o czym na przykład Charlie gada w kąpielu.

– Dlaczego sam go pan o to nie spyta?

– On mnie nie cierpi. Uważa, że go ograbiłem, kiedy papa wprowadził mnie do Tabula Rasa zamiast niego.

– A czemu ojciec tak postąpił?

– Wiedział, że Charlie jest nieźrównoważony i bardziej stowarzyszeniu zaszkodzi, niż pomoże. Do tej pory trzymałem rękę na pulsie: przywoziłem mu prezenty z dominiów, ty mu się podlizywałeś, kiedy potrzebował czegoś

niezwykłego... Na przykład zabójcy żony! Wszystko zaczęło się od tego cholernego mordercy! Dlaczego sam nie zabiłeś tej baby?

– Za kogo mnie pan uważa? – Dowd był wyraźnie zniesmaczony. – Nie mógłbym zranić kobiety, zwłaszcza pięknej kobiety.

– Skąd wiesz, że jest piękna?

– Tak słyszałem.

– Nieważne, nie obchodzi mnie, jak wygląda. Chcę, żeby przestała się mieszać do moich spraw. Dowiedz się, co kombinuje. Wtedy obmyślimy dalsze posunięcia.

Po kilku godzinach Dowd wrócił. Przynosił niepokojące wieści:

– Przekonała go, żeby zabrał ją do posiadłości na wsi.

– Co? Co takiego?! – Oscar zerwał się z krzesła. Papugi zaskrzeczały współczująco. – I bez tego wie więcej, niż powinna! Niech ją diabli! Tak się staramy, żeby stowarzyszenie nam nie bruździło, a tu zjawia się taka suka i siedzimy po uszy w gównie!

– Nic się jeszcze nie stało.

– Ale stanie się! Zobaczysz! Tak go omota, że głupek wszystko jej wyśpiewa.

– Co by pan chciał z nim zrobić?

– Co bym chciał? – Oscar pogłaskał papugi, żeby je uciszyć. – Byłoby najlepiej, gdyby Charlie zniknął z powierzchni ziemi.

– Tak jak on zamierzał zlikwidować żonę.

– Co masz na myśli?

– Że obaj jesteście tak samo zdolni do morderstwa.

Oscar chrząknął pogardliwie.

– Charlie tylko bawił się tym pomysłem. On nie ma jaj. Nie ma wizji! – Zatroškany wrócił na krzesło. – Nie poradzimy sobie z nim. Czuję to. Dotąd udawało nam się utrzymać porządek, ale dłużej nie damy rady. Charliego trzeba z tego równania usunąć.

– Jest pańskim bratem.

– Jest dla mnie ciężarem.

– Miałem na myśli coś innego. Pan jest jego bratem, więc to pan powinien go zlikwidować.

Oscar wytrzeszczył oczy.

– Mój Boże...

– Proszę pomyśleć, co pomyślą o panu w Yzordderrex, jeśli im pan o tym

opowie.

– O czym? O zabiciu brata? To nie jest czyn godny pochwały.

– O tym, że został pan zmuszony do tak paskudnego postępuku, by tajemnica nie wyszła na jaw. – Dowd zawiesił głos, pozwalając Oscarowi docenić ten pomysł. – To godne bohatera. Proszę tylko pomyśleć...

– Myślę.

– Przecież liczy się przede wszystkim pańska reputacja w Yzordderrex, a nie to, co się stanie w Piątym Dominium, prawda? Mówił pan, że ten świat z dnia na dzień robi się coraz nudniejszy.

Oscar się zamyślił.

– Może istotnie powinienem zniknąć. Zabić oboje, żeby nikt nie wiedział, dokąd się wybieram...

– Wybieramy.

– ...a potem usunąć się w cień i przejść do legendy. Oscar Godolphin zostawił swojego obłąkanego brata martwego oraz martwą szwagierkę i zniknął bez śladu. Sensacja w sam raz dla Patashoqua. – Zastanowił się jeszcze chwilę. – Czym u klasyków zabija się krewnych?

– Oślą żuchwą.

– To żalosne.

– Pan wymyśli coś lepszego.

– Bez wątpienia. Nalej mi drinka, Dowdy. Sobie też. Wypijemy za udaną ucieczkę.

– Jak wszyscy – mruknął Dowd, ale planujący morderstwo Godolphin już go nie słyszał.

ROZDZIAŁ 20

1

Gentle i Pie od sześciu dni jechali Drogą Patashoquańską. Czas odmierzali nie zegarkiem na przegubie Pie, lecz okresami jasności i ciemności na pawim niebie. Piątego dnia zegarek i tak wyzionął ducha. Pie przypuszczał, że nie wytrzymał pola magnetycznego otaczającego miasto piramid, obok którego przejeżdżali. Gentle próbował jakoś śledzić bieg czasu w dominium, które opuścili, ale nie mogło być o tym mowy. Po paru dniach ich ciała dostosowały się do rytmu nowego świata, a ciekawość Gentle'a zaprzętały bieżące sprawy. Przede wszystkim otaczający ich krajobraz.

Był niezwykle zróżnicowany. Z suchej równiny zjechali na Cosacosa, obszar zajmowany przez rozległe stawy, a po dwóch dniach znaleźli się w lesie iglastym, w którym drzewa były tak wysokie, że w górnych gałęziach grzęzły chmury niczym gniazda widmowych ptaków. Za lasem rozciągały się góry, na które Gentle już wcześniej zwrócił uwagę. Pasma nosiło nazwę Jokalay-lau, jak powiedział mu Pie, i wedle legendy Hapexamendios, opuściwszy Lipper Bayak, wybrał je na miejsce swojego drugiego odpoczynku w podróży przez dominia. Nieprzypadkowo okolica przypominała Piąte Dominium – właśnie dlatego Niewidziany ją wybrał. Kiedy przemierzał Imajicę, rozsiewając po drodze ludzkie ziarno aż do granic swojego azylu, chciał zapewnić ulubionemu gatunkowi możliwie najlepsze warunki rozwoju. Wybierał miejsca, których mieszkańców łatwo było podbić lub asymilować; tereny, nieprzyjazne, gdzie przetrwać mogli tylko najsilniejsi, a zarazem wystarczająco

żyzne, żeby zdołali wyżywić potomstwo; krainy dobrze nawodnione i nasłonecznione, a zarazem obfitujące w niespodzianki – jak huragany, trzęsienia ziemi, powodzie – które mogły wzmocnić gatunek.

O ile jednak krajobraz wydawał się z grubsza znajomy, o tyle żaden jego szczegół – nawet najmniejszy kamyczek na drodze – nie wyglądał dokładnie tak samo jak w Piątym Dominium. Niektórych kontrastów nie sposób było nie zauważyć; rzucał się w oczy zielonozłocisty odcień nieba czy olbrzymie węże żerujące pod sięgającymi chmur drzewami. Inne różnice były może mniej znaczne. Widywali dzikie psy o bezwłosej, błyszczącej skórze. Groteskowo wyglądały rogate latawce o purpurowych skrzydłach, które spadały z nieba jak kamień na każde martwe lub umierające stworzenie na drodze i odrywały się od posiłku, dopiero gdy pojazd Gentle'a i Pie już, już miał je rozjechać. Absurdalny był widok białych jak śnieg jaszczurek, które tysiącami gromadziły się na brzegach stawów i falami poddawały się manii fikania koziółków.

Może stosowna reakcja na taką mnogość nowych doświadczeń nie wchodziła w grę, bo opowieści niezliczonych ziemskich podróżników praktycznie wyczerpały dostępne odkrywcy słownictwo, ale Gentle się wściekał, gdy ujmując swoje wrażenia w słowa, uciekał się do klisz. Wędrowców poruszało pierwotne piękno nowych krain, wstrząsało nimi okrucieństwo tubylców, podziwiali ich wrodzoną mądrość, a chwilami niesamowite przejawy nowoczesności zapierały im dech w piersi. Czasem traktowali miejscową ludność protekcjonalnie, a czasem dawali się jej upokorzyć; niecierpliwie wypatrywali, co leży za horyzontem, i okrutnie tęsknili za domem. Gentle nie używał chyba tylko ostatniego z tych wyświechtanych zwrotów. Wracał myślami do Piątego Dominium tylko wtedy, gdy wypływało w rozmowie z Pie, to zaś zdarzało się coraz rzadziej, gdyż prawie bez reszty zaprzętały ich bieżące problemy. Z początku nie mieli kłopotów ze znalezieniem pożywienia, miejsca na nocleg i paliwa do samochodu. Wszędzie przy drodze znajdowały się małe wioski i hoteliki. W nich Pie – mimo braku gotówki – zawsze załatwiał coś do zjedzenia i dwa łóżka. Gentle zaczynał rozumieć, że mistyf zna dziesiątki sztuczek, którymi umie ugłaskać najbardziej nawet chciwych hotelarzy. Kiedy wyjechali z lasu, sprawy zaczęły wyglądać gorzej. Większość pojazdów zniknęła z drogi, która zmieniła się z szerokiego, dobrze utrzymanego szlaku w niepozorną jezdnię; tu było łatwiej o dziurę niż o samochód. Skradziony przez Pie pojazd nie nadawał się do długich podróży i zaczynał wykazywać

objawy zużycia, aż zdecydowali, że zjadą do najbliższej wioski i spróbują wymienić go na inny, bardziej godny zaufania model.

- Ten już ledwie dycha – powiedział Pie.
- A właśnie... Nie zapytałeś o nullianaca.
- To znaczy?
- Jak go zabiłem.
- Domyślałem się, że użyłeś pneumy.
- Nie jesteś zdziwiony?
- A jak inaczej byś to zrobił? Miałeś wolę i moc.
- Skąd się wzięły?
- Zawsze w tobie były.

Po takiej odpowiedzi Pie'oh'paha Gentle zorientował się, że pytań ma jeszcze więcej niż przed chwilą. Chciał zadać pierwsze z brzegu, ale nagle samochodem zakołysało i zrobiło mu się niedobrze.

- Zatrzymajmy się na chwilę – poprosił. – Chyba sobie rzygnę.

Pie zatrzymał pojazd. Gentle wysiadł. Niebo ciemniało, woń kwiatów niosła się w chłodnym powietrzu. Na zboczach niedalekich wzgórz stada białych zwierząt, spokrewnionych z jakami, tutaj nazywanych doeki, snuły się leniwie po pastwiskach, milcząc smętnie. Niebezpieczeństwa Vanaeph i zatłoczona droga u bram Patashoqua wydały się nagle nieskończenie odległe. Gentle odetchnął głęboko i mdłości – podobnie jak pytania – przestały go dręczyć. Spojrzał w niebo, na którym wschodziły pierwsze gwiazdy, niektóre czerwone jak Mars, inne złote jak kawałeczki dziennego nieba, których nie udało się zgasić.

– Czy to dominium znajduje się na innej planecie? – zapytał. – W innej galaktyce?

- Nie. Piąte Dominium oddziela od reszty nie kosmos, lecz In Ovo.
- Czy cała Ziemia jest Piątym Dominium, czy tylko jakaś jej część?
- Nie wiem – odparł mistyf. – Chyba cała... Ale są różne teorie.
- A jaką ty masz?

– Kiedy zaczniemy podróżować między dominiami, przekonasz się, jakie to łatwe. Z Czwartego do Trzeciego prowadzi całe mnóstwo przejść, z Trzeciego do Drugiego też. Wchodzi się w obłok mgły i wychodzi w innym świecie. Po prostu. Wydaje mi się jednak, że granice nie są ustalone i zmieniają się na przestrzeni wieków; zmienia się też kształt i wielkość dominiów. Może z Piątym jest tak samo. Kiedy zostanie połączone, rozszerzy się i cała planeta

będzie miała dostęp do pozostałych czterech. Nikt nie wie, jak naprawdę wygląda Imajica. Nikt nie wykreślił jej mapy.

– Czas, żeby ktoś spróbował.

– Może to twoje zadanie. Nim zostałeś podróżnikiem, byłeś artystą.

– Fałszerzem, nie artystą.

– Umiesz malować.

– Umiem, ale brakuje mi natchnienia.

Natychmiast dał się ponieść melancholii i wrócił myślami do tych, którzy zostali w Piątym Dominium: do Jude, Clema, Estabrooka, Vanessy i całej reszty. Co robili w taką piękną noc? Czy któreś z nich zauważyło, że zniknęła? Pewnie nie.

– Lepiej ci? – spytał Pie. – Widać jakieś światła przy drodze. To pewnie ostatnia osada przed górami.

– Możemy ruszać. – Gentle wsiadł do pojazdu.

Przejechali może z pół kilometra i wyraźnie widzieli wioskę, gdy musieli się zatrzymać i przepuścić dziewczynkę przepędzającą doeki w poprzek drogi. Wyglądałaby jak każda normalna trzynastolatka, gdyby nie pewien drobniaczek: twarz i nieosłonięte sukienką części ciała miała pokryte rdzawymi, delikatnymi jak puch włoskami. Na łokciach i skroniach, gdzie włosy urosły nieco dłuższe, miała je zaplecione w warkoczyki, a na karku związane wstążką.

– Co to za wioska? – zapytał ją Pie, kiedy ostatni doeki wahał się, czy zejść z jezdni.

– Beatrix – odparła dziewczynka i niepytana dodała: – Lepszego miejsca nie znajdziecie w żadnym niebie.

Popędziła zwierzę, zeszła z drogi i rozplynęła się w zapadającym zmierzchu.

2

Ulice w Beatrix były wprawdzie szersze niż w Vanaeph, ale nie nadawały się dla pojazdów. Pie zaparkował wóz na obrzeżu wioski i razem z Gentle'em poszli dalej pieszo.

Niepozorne, zbudowane z rudobrazowego kamienia domy stały w zagajnikach drzew przypominających skrzyżowanie brzozy z bambusem. Światła, które Pie dostrzegł z oddali, nie świeciły się w oknach, lecz na tych drzewach. Były to uliczne latarnie. Prawie każdy zagajnik miał własnego opiekuna lamp – przypominającego małą pasterkę dzieciaka o kudłatej twarzy. Dzieci siedziały przykucnięte pod drzewami lub ostrożnie wdrapywały się po gałęziach. Niemal we wszystkich domach drzwi stały otworem; z niektórych dobiegała muzyka, w takt której podrygiwały dzieciaki na ulicy. Na pierwszy rzut oka życie w Beatrix biegło całkiem znośnie. Niezbyt szybko może, ale znośnie.

– Nie możemy oszukiwać tych ludzi – powiedział Gentle. – To byłoby niegodziwe.

– Zgadzam się.

– To jak zdobędziemy pieniądze?

– Może zgodzą się wziąć samochód w zamian za solidną kolację i ze dwa konie.

– Nie widzę koni.

– Mogą być doeki.

– Nie są za powolne?

Pie wskazał Gentle'owi zbocza Jokalaylau. Lodowce pod szczytami odbijały jeszcze resztki dziennego światła, lecz potężne góry szybko kryły się w mroku.

– Dopiero tam żyje się naprawdę powoli i pewnie – rzeki Pie. – Pójdę, poszukam jakiegoś wodza. – Podszedł do najbliższego strażnika latarni.

Zwabiony wybuchem śmiechu Gentle poszedł kawałek ulicą. Za zakrętem natknął się na liczącą ponad dwadzieścia osób grupę mieszkańców wioski, głównie chłopców i mężczyzn, którzy oglądali przedstawienie teatryku marionetek, rozstawionego przy ścianie jednego z domów. Treść sztuki kłóciła się z sielskim nastrojem wsi. Sądząc po namalowanych na płótnie iglicach, opowieść rozgrywała się w Patashoqua. Dwie postaci – olbrzymia, otyła kobieta i mężczyzna o ciele płodu i genitaliach osła – kłóciły się tak zaciekle, że trzęsły się kopuły Patashoqua. Lalkarze – trzech młodzi, szczupli mężczyźni z identycznie przyciętymi wąsami, dobrze widoczni ponad sceną – zapewniali efekty dźwiękowe i prowadzili pełen barokowo rozbudowanych obelg dialog. Nagle na scenę weszła trzecia postać, garbaty krewniak Pulcinelli, który nie namyślając się wiele, obciął głowę Oślemu Kutasowi. Głowa spadła na zie-

mię, a gruba kobieta uklękła nad nią i wybuchnęła płaczem. Wówczas głowie za uszami wyrosły anielskie skrzydełka i uniosły ją do nieba. Lalkarze po krzykiwali coś falsetem, a publika klaskała zachwycona. W tej chwili Gentle zauważył, że Pie stoi na środku ulicy obok wielkouchego chłopaka, któremu sierść sięgała połowy pleców. Podszedł do nich.

– To jest Efreet Splendid – przedstawił tubylca Pie. – Powiedział... uważaj, powiedział, że jego matce śnią się często biali, bezwłosi mężczyźni i bardzo chciałyby cię poznać.

Uśmiech, który błysnął w gąszczu włosów na twarzy Efreeta, był koślawy, ale zachęcający.

– Spodobaś się jej – powiedział Efreet.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście!

– A da nam coś do zjedzenia?

– Dla białego bez futra zrobi wszystko.

Gentle spojrział na Pie z powątpiewaniem.

– Mam nadzieję, że wiesz, na co się decydujemy.

Efreet szedł przodem i gadał jak najęty, głównie wypytując ich o Patashoqua. Wyznał, że w przyszłości też zamierza je odwiedzić.

Zamiast go rozczarować i przyznać, że nie przekroczyli bram Patashoqua, Gentle powiedział mu, że miasto jest niewyobrażalnie piękne i wspaniałe. – Zwłaszcza Merrow Ti' Ti' – dodał.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. Od tej pory, stwierdził, będzie wszystkim opowiadał, że poznał białego bezwłosego człowieka, który widział Merrow Ti' Ti'. Gentle'owi przyszło na myśl, że z takich właśnie niewinnych kłamstewek rodzą się legendy. W drzwiach Efreet odsunął się na bok i przepuścił go przodem.

Siedząca w środku kobieta drgnęła na widok Gentle'a, wypuściła kota, któremu rozczesywała futro, i padła na kolana. Zmieszany Gentle kazał jej wstać, ale długo musiał ją do tego przekonywać, a nawet potem siedziała ze spuszczoną głową i obserwowała go ukradkiem, kątem oka. Była niska, niewiele wyższa od syna, i miała delikatnie rzeźbioną, pokrytą puchem twarz. Nazywała się Larumday i, jak powiedziała, chętnie gościła w domu Gentle'a i jego żonę (czyli Pie). Zmusiła Emblema, młodszego syna, żeby pomógł jej przygotować kolację, Efreet zaś przez ten czas objaśnił gościom, gdzie znajdują kupca na samochód. Nikomu w wiosce taki pojazd nie jest potrzebny, powie-

dział, ale wśród wzgórz mieszka człowiek, któremu może się przydać. Nazywał się Coaxial Tasko i Efreet nie ukrywał zdziwienia, gdy ani Gentle, ani Pie nie skojarzyli jego nazwiska.

– Wszyscy znają Żałosnego Tasko. Kiedyś był królem w Trzecim Dominiu, ale cały jego lud wyginął.

– Przedstawisz mu nas rano? – spytał Pie.

– Nie ma sensu tyle czekać.

– No to jeszcze dziś.

Jedzenie, które podała Larumday, było mniej wyrafinowane od tego, czym karmiono ich w osiedlach wzdłuż Drogi Patashoquańskiej, ale całkiem smaczne: mięso doeki marynowane w korzennym winie, chleb, różne marynaty – między innymi jajka wielkości bochnów chleba – oraz rosół, który palił w gardło jak chili. Gentle aż się nad nim popłakał ku nieklamanej ucieście Efreeta. Przy jedzeniu i picciu (wino miało swoją moc, ale chłopcy pili je jak wodę) Gentle zapytał o przedstawienie, które widział na ulicy. Efreet, jak zwykle pierwszy do popisania się wiedzą, wyjaśnił, że lalkarze zmierzają do Patashoqua, poprzedzając orszak autarchy, który za kilka dni nadciągnie z gór. Zaczął opowiadać, jak słynni są ponoć w Yzorderrex, ale matka nie dała mu skończyć.

– Mamo...

– Powiedziałam: cicho bądź. W moim domu nie mówi się o tym mieście. Wasz ojciec nigdy z niego nie wrócił, nie zapominaj.

– I tak się tam wybiorę, tylko najpierw zobaczę Merrow Ti' Ti', jak pan Gentle – postawił się Efreet i zarobił kuksańca w ucho.

– Dość tego – powiedziała Larumday. – Na dziś wystarczy gadania. Chwilą spokoju dobrze nam zrobi.

Od tego momentu rozmowa się nie kleiła. Kiedy skończyli jeść, Efreet i Pie zaczęli się szykować do wycieczki na wzgórze i spotkania z Żałosnym Tasko. Gentle chciał iść z nimi, Efreet jednak wytłumaczył mu, że matka – która akurat wyszła z pokoju – prosi, żeby z nią został.

– Powinieneś zaskarbić sobie jej względy – zauważył Pie, kiedy Efreet zniknął za drzwiami. – Jeżeli Tasko nie kupi wozu, będziemy musieli sprzedać twoje ciało.

– Myślałem, że to ty jesteś w tych sprawach ekspertem.

– No, no – uśmiechnął się Pie. – Mieliśmy nie mówić o mojej podejrzanej przeszłości.

– Idź już. Zostaw mnie na jej łasce. Powybierasz mi potem futro spomiedzy zębów.

Znalazł matkę Efreeta w kuchni, gdzie zagniała ciasto na chleb.

– To zaszczyt dla naszego domu, że przestąpiłeś jego próg i siadłeś z nami do stołu – powiedziała, nie przerywając pracy. – Nie gniewaj się, że pytam, ale... – Wystraszona zniżyła głos do szeptu: – Czego chcecie?

– Niczego – odparł Gentle. – I tak byliście dla nas bardzo hojni.

Spojrzała na niego spode łba, jakby była zła, że tak okrutnie się z nią drażni.

– Śniło mi się, że ktoś tu przybędzie, biały i bez włosów, jak ty. Nie wiedziałam, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta, ale kiedy widzę cię tutaj, przy stole, wiem, że to ty.

Najpierw Tick Raw, pomyślał Gentle, teraz matka Splendid. Co było w jego twarzy takiego, że ludzie go rozpoznawali? Czy po Czwartym Dominium wałęsał się jego sobowtór?

– Jak ci się wydaje, kim jestem? – zapytał.

– Nie wiem, ale we śnie wiedziałam, że kiedy przyjdiesz, wszystko się zmieni.

Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po owłosionych policzkach. Gentle'owi zrobiło się przykro, zwłaszcza że przyczynił się do cierpienia Larumday, chociaż nie wiedział jak. Śniła o nim – wyraz jej twarzy, gdy obaj przekroczyli próg, był tego wystarczającym dowodem – ale co to mogło oznaczać? Trafili tu przypadkiem, a rano ruszą dalej; w Beatrix nie pozostanie nawet ślad ich obecności. On sam nic nie znaczył dla domu Splendidów – tyle tylko, że gdy odjedzie, będą go wspominać.

– Mam nadzieję, że wasze życie się nie zmieni – powiedział. – To bardzo przyjemna miejscowość.

– To prawda – przyznała Larumday, ocierając łzy. – Bezpieczna. Dobrze się tu chowa dzieci. Wiem, że Efreet niebawem wyjedzie. Chce zobaczyć Patashoqua, a ja nie zdołam go zatrzymać. Emblem zostanie. Kocha te wzgórza i lubi się opiekować doeki.

– Ty też zostaniesz, prawda?

– Tak. Ja już się dość nawędrowałam. W młodości mieszkałam w Yzorderrex, niedaleko Oke T'Noon. Tam poznałam Eloigha. Wyprowadziliśmy się zaraz po ślubie. To okropne miasto, panie Gentle.

– Jeżeli jest takie złe, to dlaczego on tam wrócił?

– Jego brat wstąpił do armii autarchy. Kiedy Eloigh się o tym dowiedział, poszedł tam, żeby namówić go do dezercji. Mówił, że to wstyd mieć w rodzinie człowieka na usługach mordercy, który osierocił tyle dzieci.

– Człowiek z zasadami.

– O tak – przytaknęła z czułością Larumday. – Dobry człowiek, cichy, tak jak Emblem, ale i ciekawy świata jak Efreet. Zbierał książki. Czytał wszystko, co mu wpadło w rękę.

– Długo go nie ma?

– Za długo. Obawiam się, że brat go zabił.

– Brat zabił brata? Niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć.

– Yzordderrex dziwnie działa na ludzi, panie Gentle. Nawet dobrzy mężczyźni mogą się w nim zagubić.

– Tylko mężczyźni?

– Przecież mężczyźni tworzą nasz świat. Boginie odeszły i mężczyźni robią, co chcą.

Nikogo nie oskarżała. Takie po prostu były fakty, a Gentle nie miał żadnych dowodów, że jest inaczej. Zapytała, czy ma zaparzyć herbaty, ale podziękował. Stwierdził, że wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza, może poszuka Pie'oh'paha.

– Jest bardzo piękna – powiedziała Larumday. – Czy jest także mądra?

– Nawet bardzo.

– To rzadkość u takich ślicznotek, prawda? Dziwne, że mi się nie śniła.

– Może śniła, tylko nie pamiętasz.

– Nie. – Larumday pokręciła głową. – Ten sen powtarzał się wiele razy, zawsze tak samo. Ktoś o białej skórze, bez włosów, siedział przy stole ze mną i moimi synami.

– Szkoda, że taki przeciętny ze mnie gość.

– Ale przecież to dopiero początek, prawda? Kto będzie następny?

– Nie wiem. Może twój mąż, który wróci z Yzordderrex.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– To będzie coś... co zmieni nas wszystkich.

Efreet zapowiedział, że wspinaczka nie będzie trudna, i jeśli wziąć pod uwagę tylko nachylenie stoku, istotnie nie była. Po ciemku jednak szło się ciężko, nawet komuś tak zwinnemu jak Pie'oh'pah. Efreet zwalniał kroku, gdy słyszał, że Pie nie nadąża. Uprzedzał go też o przeszkodach na drodze. Po jakimś czasie znaleźli się wysoko ponad wioską. Za wzgórzami, wśród których leżała Beatrix, lśniły ośnieżone szczyty Jokalaylau – wysokie i majestatyczne, a jednak niepozorne przy górach, których podnóże rysowało się jeszcze dalej, a wierzchołki ginęły w chmurach. Chłopak zapowiedział, że są już blisko celu, i po kilku krokach Pie zobaczył rysujący się na tle nieba dom. Na werandzie świeciło się światło.

– Hej, Tasko! – zawołał Efreet. – Masz gościa. Masz gościa!

Nikt mu nie odpowiedział. Podeszli bliżej. Drzwi były otwarte, przed nimi paliła się latarnia. Na stole czekała kolacja, ale Żałosnego Tasko nigdzie nie było widać. Efreet wyszedł go poszukać, Pie został sam na werandzie. Zwierzęta w zagrodzie za domem tupały i prychały niespokojnie, jakby przeczuwały coś złego. Po chwili wrócił Efreet.

– Widziałem go na górze, pod samym szczytem.

– Co on tam robi?

– Może patrzy w niebo. Chodźmy do niego, nie będzie na nas zły.

Ruszyli więc dalej w górę. Człowiek stojący wyżej na stoku zwrócił na nich uwagę.

– Kto idzie?

– To ja, Efreet, panie Tasko. Przyszedłem z przyjacielem.

– Za głośno krzyczysz, chłopcze. Nie hałasuj tak.

– Mamy być cicho – wyszeptał Efreet.

– Zrozumiałem.

Zimny wiatr wiejący na tej wysokości uświadomił Pie'oh'pahowi, że nie mają z Gentle'em odpowiednich ubrań na czekającą ich podróż. Coaxial był opatulony we włochaty płaszcz i czapkę z nausznikami. Z pewnością nie pochodził z tych stron. Ważył tyle, co ze trzech mieszkańców wioski, a skórę miał niemal tak ciemną jak Pie.

– To mój przyjaciel Pie'oh'pah – szepnął mu do ucha Efreet.

– Mistyf – zauważył Tasko.

– Zgadza się.

– Aha... Jesteś tu nowy?

– Tak.

– Z Yzordderrex?

– Nie.

– Dobrze choć to. Tylu obcych w jedną noc. Co z tego wyniknie?

– Są jacyś inni? – zdziwił się Efreet.

– Słuchaj... – Tasko powiódł wzrokiem po całej dolinie i piętrzących się po drugiej stronie górach. – Nie słyszysz silników?

– Nie, tylko wiatr.

Tasko podniósł go i obrócił w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

– Teraz posłuchaj! – rzucił ostro.

Wiatr niósł niskie dudnienie, podobne do odległego grzmotu, ale nieprzerwane. Nie pochodziło z wioski, mało prawdopodobne było też, żeby gdzieś pośród wzgórz znajdował się czynny kamieniołom. Jednak taki dźwięk mogły wydawać tylko maszyny.

– Zbliżają się.

Efreet zaczął wiwatować, ale Tasko zasłonił mu dłonią usta i pochwycił go tak mocno, że chłopak wił się z bólu.

– Z czego się tak cieszysz, dzieciaku? Nie wiesz, co to strach? Nie, pewnie nie. Ale wkrótce się dowiesz. To maszyny z Yzordderrex. Należą do autarchy.

Tasko puścił Efreeta, który odsunął się od niego. Teraz i dla chłopca odległy łoskot brzmiał niepokojąco.

– Może ominą nas. – Tasko splunął. – Są inne doliny, nie tylko nasza jedna. – Znów splunął. – No, nie ma sensu tu sterczeć. Jeżeli przyjadą, to przyjadą i już. Przepraszam, że byłem taki nieprzyjemny, chłopcze, ale ja znam ten dźwięk. Takie same maszyny zabiły mój lud. Uwierz mi, nie ma się z czego cieszyć. Rozumiesz, co mówię?

– Tak – odparł Efreet, chociaż Pie wątpił w jego szczerość.

Perspektywa odwiedzin dudniących maszyn chłopakowi nie wydawała się przerażająca, lecz ekscytująca.

– Powiedz mi, czego chcesz, mistyfie – rzekł Tasko, gdy ruszyli w dół zbocza. – Nie po to się tu wdrapaliście, żeby podziwiać gwiazdy. Chociaż kto cię tam wie... Jesteś zakochany?

Idący z tyłu Efreet zachichotał.

– Gdybym był, nie mówiłbym o tym.

– O co w takim razie chodzi?

– Przybyłem tu z przyjacielem z... z dość daleka. Nasz pojazd odmawia

posłuszeństwa. Chcielibyśmy wymienić go na wierzchowce.

– Dokąd się wybieracie?

– W góry.

– Jesteście przygotowani na taką podróż?

– Nie, ale nie mamy wyboru.

– Im szybciej wyjedziecie z doliny, tym będziemy bezpieczniejsi. Intruzi przyciągają intruzów.

– Pomożesz nam?

– Mam propozycję. Jeżeli zgodzicie się natychmiast opuścić Beatrix, dam wam dwa doeki i zapas jedzenia. Tylko musicie się pospieszyć, mistyfie.

– Rozumiem.

– Może wtedy maszyny nas ominą.

4

Bez przewodnika Gentle szybko zgubił w ciemności drogę, ale nie chciał zawracać do Beatrix i tam czekać na Pie. Szedł więc dalej, licząc na wspaniałe widoki ze szczytu i na chłodny wiatr, który pomógłby zebrać myśli. Nie zawiódł się – lodowaty wiatr i rozległa panorama zapierały dech w piersi. Pasma gór rozmywały się w oddali; najwyższe szczyty wyglądały tak potężnie, że wątpił, by w Piątym Dominium znajdowały się podobne olbrzymy. Z tyłu, częściowo zasłonięte łagodnymi wzgórzami, rozpościerały się lasy, przez które przejechali.

Znowu zaczął żałować, że nie ma mapy – mógłby przynajmniej w przybliżeniu ogarnąć skalę czekającej ich wędrówki. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałby ten krajobraz na kartce papieru, na szkicu obrazu. Góry w tle, bliżej wzgórze i równina. Oszałamiający widok nie dawał się jednak przełożyć na symbole, nie pozwalał się pomniejszyć i odwzorować. Gentle porzucił więc te próby i odwrócił się w stronę Jokalaylau. Nagle uświadomił sobie, że dolina jest zdumiewająco symetryczna – oba jej zbocza tworzyły taki sam wzór i wznosiły się na tę samą wysokość. Spojrzał na przeciwległy stok. Z tej odległości nie miał szans wypatrzeć żadnych znaków życia, ale im bardziej uparcie wpatrywał się w ciemność, tym silniejsze miał wrażenie, że ma przed

sobą ciemne lustro, spoza którego ktoś niewidoczny próbuje go obserwować. Z początku był zaintrygowany tym pomysłem, ale zaraz poczuł strach. Ziąb zaczął torować sobie drogę od skóry do wnętrza jego ciała. Gentle drżał z zimna, lecz bał się ruszyć, żeby tajemniczy obserwator nie dostrzegł go, bo wtedy wydarzyłaby się tragedia. Długą chwilę stał jak wrośnięty w ziemię. Lodowate podmuchy wiatru przyniosły dźwięki, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Dudnienie ciężkich maszyn, skargi głodnych zwierząt, szloch... Wiedział, że mają coś wspólnego z istotą, która wypatruje go z drugiej strony doliny. Nie przybyła sama. Miała maszyny i zwierzęta. Przynosiła łązy.

Kiedy zimno przeniknęło go do szpiku kości, usłyszał wołanie Pie'oh'paha. Gentle modlił się, żeby wiatr nie zmienił się i nie poniósł wolanta na drugą stronę doliny – mógłby w ten sposób zdradzić miejsce jego pobytu. Pie wciąż go wołał i był coraz bliżej. Gentle wytrzymał jeszcze pięć okropnych minut, targany sprzecznymi pragnieniami. Chciał, żeby Pie jak najszybciej go znalazł i przytulił, powiedział, że nie ma się czego bać; a zarazem bał się, że wtedy Pie zdradzi go przed stworzeniem ukrytym naprzeciwko. W końcu mistyf się poddał i wrócił do bezpiecznego Beatrix.

Gentle ani drgnął. Odczekał jeszcze kwadrans, ale wreszcie wypatrzył w ciemności jakiś ruch. Wyglądało na to, że strażnik na przeciwległym zboczu opuścił stanowisko i zszedł niewidocznym z doliny stokiem. Był człowiekiem, a w każdym razie wyglądał jak człowiek. Gentle poczekał jeszcze minutę i wreszcie ruszył w dół. Nogi i ręce mu zdrętwiały, zęby dzwoniły z zimna, całym ciałem wstrząsały dreszcze, ale szedł szybko. Raz pośliznął się i przejechał kawałek na tyłku, płosząc kręcące się w pobliżu doeki. Pie czekał na niego w drzwiach domu Splendidów. Na ulicy stały dwa osiodłane zwierzęta z uzdami. Efreet karmił jedno z nich z ręki.

– Gdzie byłeś? – spytał Pie. – Szukałem cię.

– Później porozmawiamy. Muszę się rozgrzać.

– Nie mamy czasu. Dostaliśmy doeki, jedzenie i ubrania, ale musimy wyjechać od razu.

– Nagle bardzo się nas chcą pozbyć.

– To prawda.

Spomiędzy drzew po drugiej stronie uliczki wyszedł ciemnoskóry mężczyzna o bladych, hipnotyzujących oczach.

– To ty jesteś Zacharias?

– Zgadza się.

– Nazywam się Coaxial Tasko, niektórzy nazywają mnie Żalonym. Do-
eki są wasze. Dałem mistyfowi zapasy na drogę. Proszę, nie mówcie nikomu,
że tu byliście.

– Uważa, że przynosimy pecha – wyjaśnił Pie.

– Niewykluczone, że ma rację – przyznał Gentle. – Czy wolno mi uści-
snąć pańską dłoń, panie Tasko, czy to też może przynieść pecha?

– Proszę bardzo.

– Dziękuję za wierzchowce. Przyrzekam, że nikomu nie wspomnimy o
wizycie w Beatrix. Być może, napiszę o panu w moich pamiętnikach.

Ponure rysy Tasko rozjaśnił uśmiech.

– Proszę bardzo, ale dopiero po mojej śmierci, dobrze? Nie lubię wścib-
stwa.

– W porządku.

– Ruszajcie. Im szybciej wyjedziecie, tym prędzej zaczniemy udawać, że
was tu nie było.

Płaszcz przyniesiony przez Efreeta sięgał Gentle'owi do pól łydki. Mocno
pachniał zwierzęciem, które kiedyś nosiło go jako skórę.

– Matka prosiła, żebym was od niej pożegnał – powiedział chłopak. Zni-
żył głos do wstydliwego szeptu. – Nie wyjdzie. Bardzo płacze.

Gentle skierował się ku drzwiom, ale Tasko go powstrzymał.

– Panie Zacharias, proszę... Jedźcie, póki macie nasze błogosławieństwo.

– On mówi poważnie – dodał Pie, sadowiąc się na grzbiecie doeki. Zwie-
rzę odwróciło się do niego ciekawie. – Musimy ruszać.

– Nie powiesz mi dokąd?

– Tasko dał mi kompas i udzielił wskazówek. Pojedziemy tam. – Mistyf
wskazał wychodzącą z wioski wąską ścieżkę.

Gentle bez entuzjazmu włożył stopę w skórzane strzemię i wskoczył na
siodło. Tylko Efreet zdobył się na pożegnalny gest. Rzykując gniew Tasko,
ścisnął dłoń Gentle'a.

– Spotkamy się w Patashoqua – obiecał.

– Mam nadzieję.

Na tym pożegnaniu dobiegło końca. Gentle miał wrażenie, jakby przerwa-
no im rozmowę, której nie będą już mieli okazji dokończyć.

– O co właściwie chodziło? – spytał Gentle, gdy wyjechali z Beatrix. Ścieżka skręcała i spokojne, oświetlone latarniami uliczki miały im zaraz zniknąć z oczu.

– Batalion wojsk autarchy przeprowia się tu przez góry w drodze do Pata-shoqua. Tasko bał się, że obecność obcych we wsi da żołnierzom pretekst, by ją złupić.

– To był ten dźwięk, który słyszałem na wzgórzu.

– Zgadza się.

– Widziałem kogoś na przeciwległym zboczu doliny. Przysiągłbym, że mnie szukał... No może nie mnie, ale kogoś na pewno. Dlatego nie odezwa-łem się, kiedy mnie wołałeś.

– Masz jakiś pomysł, kto to mógł być?

Gentle pokręcił głową.

– Czuję jego wzrok, a potem na zboczu mignęła mi czyjaś sylwetka. Kto wie? Teraz to brzmi absurdalnie.

– W odgłosach, które słyszałem, nie było nic absurdalnego. Najlepiej będzie jak najszybciej stąd zniknąć.

– Bez dwóch zdań.

– Tasko mówił mi, że na północny wschód stąd granica Trzeciego Domi-nium wrzyna się głęboko w Czwarte, na ponad półtora tysiąca kilometrów. Może pojedziemy na skrót?

– Niezły pomysł.

– Tylko że po drodze jest Wysoka Przełęcz.

– To już gorzej.

– Ale szybciej byśmy dojechali.

– Jeśli przeżyjemy. Chcę zobaczyć Yzordderrex, a nie zamarznąć na śmierć w Jokalaylau.

– W takim razie jedziemy okrężną drogą?

– Tak proponuję.

– To przedłuży naszą podróż o dwa, może nawet trzy tygodnie.

– A nasze życie o wiele lat – zauważył Gentle.

– Tak jakbyśmy nie żyli wystarczająco długo.

– Zawsze uważałem, że nie można ani żyć za długo, ani kochać zbyt wielu kobiet.

Doeki szły posłusznie i pewnie wąską ścieżką, nie przejmując się, czy pod nogami mają plaskające błoto, piach czy kamienie. Przepaściste wąwozy, zięjące dosłownie centymetry od ich kopyt, nie robiły na nich wielkiego wrażenia, podobnie jak huczące strumienie. Chociaż minęło kilka godzin i świt powinien już wstawać nad wzgórzami, pawie niebo kryło się w bezgwiezdnej czerni.

– Czy to możliwe, żeby noce były tu dłuższe niż na drodze? – zdziwił się Gentle.

– Na to wygląda. Moje wnętrzości mówią, że słońce od dawna powinno być na niebie.

– Zawsze mierzysz czas swoimi bebechami?

– Są dokładniejsze niż zarost – odparł Pie.

– Skąd zaświeci słońce, kiedy wreszcie wstanie? – Gentle obrócił się w siodle, oglądając cały widnokrąg. Kiedy spojrział w stronę, z której przyjechali, jęknął głośno.

– Co się stało? – zapytał mistyf. Zatrzymał doeki i też odwrócił się do tyłu.

Z doliny wśród wzgórz bił w niebo słup dymu, u dołu podświetlony ogniem. Gentle zeskoczył z siodła i wdrapał się na skalne zbocze, żeby więcej zobaczyć. Na górze został dosłownie na kilka sekund, nim zdyszany i spocony zsunął się na dół.

– Zawracamy – stwierdził.

– Dlaczego?

– Beatrix się pali.

– Skąd wiesz? To daleko stąd.

– Wiem, do cholery! Beatrix płonie! Musimy tam wrócić! – Wskoczył na grzbiet swojego wierzchowca.

– Zaczekaj – powiedział Pie. – Zaczekaj, na miłość boską!

– Musimy im pomóc. Byli dla nas dobrzy.

– Bo chcieli, żebyśmy się wynieśli!

– Najgorsze już się wydarzyło. Musimy zrobić co w naszej mocy.

– Kiedyś zachowywałeś się bardziej racjonalnie.

– Nie znasz mnie, więc nie próbuj mnie oceniać! A jeśli nie chcesz jechać

ze mną, to pocałuj mnie w dupę!

Gentle'owi udało się obrócić doeki i teraz wbił mu piętę w boki, żeby szybciej ruszył naprzód. Po drodze ścieżka rozwidlała się raptem trzy, może cztery razy i nie miał wątpliwości, że bez trudu wróci do wioski. Jeżeli się nie mylił, jeżeli rzeczywiście Beatrix stało w ogniu, mógł liczyć na słup dymu, który go poprowadzi. Po jakimś czasie dogonił go Pie. Nie miał wyboru. Cieszył się, że ktoś traktował go jak przyjaciela, ale w głębi duszy pozostał niewolnikiem.

Nie rozmawiali, co po ostatniej wymianie zdań nie było dziwne. Tylko raz, gdy wjechali na grań, skąd rozpościerał się widok na Beatrix – teraz nie mieli już wątpliwości, że wieś się pali – Pie wymamrotał:

– Dlaczego to za każdym razem jest ogień?

Gentle nagle zdał sobie sprawę, że zlekceważył niechęć Pie do powrotu. Ogień, który widzieli, musiał być dla mistyfa odbiciem pożaru, w którym zginęła jego przybrana rodzina. Nigdy nie rozmawiali o tamtym wydarzeniu.

– Mam dalej jechać sam? – zapytał.

Pie pokręcił głową.

– Albo ze mną, albo wcale.

Droga zrobiła się łatwiejsza. Stoki były łagodniejsze, ścieżka lepiej utrzymana, a w dodatku zaczęło się przejaśniać i wreszcie nadciągał świt. Zanim ujrzeni Beatrix, na niebo wrócił pawi blask. Przy jego wspaniałości scena pożogi wydawała się jeszcze potworniejsza. Wieś wciąż płonęła, chociaż ogień strawił już większość domostw i brzozowo-bambusowych zagajników. Gentle zatrzymał doeki. Po podpalaczach nie było śladu.

– Dalej idziemy pieszo? – zasugerował.

– Chyba tak.

Spętali zwierzęta i zaczęli schodzić do wioski. Dobiegł ich lament mieszkańców. Rozbrzmiewający w kłębach dymu szloch przypomniał Gentle'owi odgłosy, które słyszał w nocy na wzgórzu. Niestety Beatrix w jakiś sposób wiązało się z tym, co wtedy widział. Udało mu się wprawdzie uniknąć wzroku strażnika, ale nie uśmierzył jego podejrzeń. Wystarczyło przypuszczenie, że Gentle jest w wiosce, by mieszkańców spotkała tragedia.

– To moja wina – powiedział. – Boże mój... to przeze mnie.

Odwrócił się do mistyfa, który stał na środku ulicy. Twarz miał bladą i pozabawioną wyrazu.

– Zostań tutaj – polecił mu. – Poszukam Splendidów.

Pie nie zareagował, Gentle założył jednak, że zrozumiał jego słowa, i ruszył w stronę domu, w którym znaleźli gościnę. Nie tylko ogień przyniósł Beatrix zagładę. Niektóre domy były przewrócone, chociaż płomienie ich nie tknęły. Drzewa w zagajnikach powyrywano z korzeniami. Nigdzie nie było jednak widać ofiar i w Gentle'u obudziła się nadzieja, że Coaxial Tasko przekonał mieszkańców do ucieczki w góry, zanim intruzi zjawili się we wsi. Nadzieja ta zgasła, gdy znalazł się w miejscu, w którym stał dom Splendidów. Budynek był wypalony, a dym z żarzących się belek długo ukrywał potworny widok. Zwłoki mieszkańców Beatrix rzucono na wysoki, krwawy stos, wyższy od dorosłego człowieka. Kilku ocalałych z rzezi, zapłakanych wieśniaków szukało swoich bliskich wśród zmasakrowanych ciał. Niektórzy kurczowo chwyтали ręce, które – jak im się wydawało – rozpoznali, inni tylko klęczeli w krwawym błocie i szlochali bezradnie.

Gentle obszedł stos dookoła, szukając wśród żałobników znajomej twarzy. Jeden z mężczyzn, których widział na przedstawieniu teatru lalek, kołysał w ramionach martwą żonę albo siostrę. Jakaś kobieta grzebała w stosie zwłok, wykrzykując czyjeś imię. Chciał jej pomóc, ale wrzasnęła, by się nie zbliżał. Odsunął się od niej i zobaczył Efreeta. Chłopak leżał na stosie ciał, oczy miał otwarte, usta – które umiały wyrażać tak niepohamowany entuzjazm – zmiażdżone butem lub kolbą karabinu. W tej chwili Gentle oddałby wszystko, nawet życie, byle tylko dorwać skurwiela, który to zrobił.

Odwrócił się w poszukiwaniu jakiegokolwiek celu, nawet gdyby nie był nim morderca Efreeta; kogoś w mundurze albo z bronią, człowieka, którego mógłby nazwać wrogiem. Nie przypominał sobie, żeby kiedyś tak się czuł, ale też nigdy przedtem nie miał takiej mocy jak teraz (chyba że, jeśli wierzyć słowom Pie, miał ją zawsze, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy). Wiedział, że z płuc, gardła i dłoni może uczynić śmiertcionośną broń, która bez wysiłku zgładziłaby winnego. Ruszył dalej, szukając pretekstu do egzekucji.

Przeszedł kawałek krętą uliczką i za rogiem natknął się na jedną z machin bojowych. Stał jak wryty, spodziewając się, że potwór lada chwila zwróci na niego stalowe oczy. Miał przed sobą idealnego siewcę śmierci – pojazd był opancerzony jak krab, z jego kół sterczały na boki zakrwawione kosy, wieżyczka jeżyła się lufami karabinów. Ale i jego śmierć nie oszczędziła. Z wieżyczki buchał dym, kierowca leżał we włazie, gdzie dogonił go ogień. Zwycięstwo nie było może znaczące, ale przynajmniej dowodziło, że maszyny mają swoje słabe punkty. Któregoś dnia ta wiedza mogła rozstrzygnąć o

nadziei i rozpacz.

Ktoś zawołał go po imieniu i zza dymiącego wraku wyszedł Żałosny Tasko. Naprawdę wyglądał żałośnie, miał zakrwawioną twarz i utyłane w błocie ubranie.

– Za grosz wyczucia czasu, Zacharias – powiedział. – Wyjechałeś za późno i przybywasz też za późno.

– Dlaczego to zrobili?

– Autarcha nie potrzebuje powodów.

– Był tutaj? – Serce zabiło Gentle'owi mocniej, kiedy pomyślał, że rzeźnik z Yzordderrex zjawił się w Beatrix.

– Kto wie? Nikt nigdy nie widział jego twarzy. Może był tu wczoraj i nikt nie zwrócił na niego uwagi?

– Wiesz, co się stało z matką Splendid?

– Jest gdzieś na stosie.

– Jezu Chryste!

– Nie nadawała się na świadka. Ze smutku pomieszało się jej w głowie. Zostawili przy życiu tych, którzy najlepiej opowiedzą, co się stało. Okrucieństwo potrzebuje świadków, Zacharias, ludzi, którzy poniosą słowo w świat.

– To miało być ostrzeżenie?

Tasko pokręcił głową.

– Nie wiem, jak oni myślą.

– Może powinniśmy się tego dowiedzieć, żeby ich powstrzymać.

– Wolałbym umrzeć niż zrozumieć takie bagno. Jeżeli cię to pociąga, jedź do Yzordderrex. Tam wszystkiego się dowiesz.

– Chciałbym się przydać tutaj. Na pewno mogę coś dla was zrobić.

– Zostaw nas, żebyśmy mogli opłakać zmarłych.

Trudno o ostrzejsze słowa pożegnania. Gentle chciał Tasko pocieszyć, przeprosić, ale w obliczu tak potwornej tragedii wypadało zachować pełne szacunku milczenie. Ukłonił się i zostawił tego króla bez poddanych, dźwigającego brzemień świadka. Minął stos ciał, podszedł do Pie'oh'paha. Mistyf nawet nie drgnął przez ten czas. Kiedy Gentle stanął przy nim i powiedział, że pora ruszać, Pie nie od razu zareagował.

– Nie powinniśmy byli wracać – powiedział po chwili.

– Każdy stracony przez nas dzień to ryzyko takiej samej tragedii...

– A ty myślisz, że możesz temu zapobiec? – spytał Pie z nutką sarkazmu w głosie.

– Nie pojedziemy okrężną drogą, tylko skrótem przez góry. Zaoszczędzimy trzy tygodnie.

– Naprawdę tak myślisz, prawda? Wydaje ci się, że możesz ich powstrzymać.

– My nie zginiemy. – Gentle objął Pie'oh'paha. – Nie pozwolę na to. Przybyłem tu, by zrozumieć, i zrozumieć.

– Ile jeszcze zniesiesz?

– Tyle, ile będę musiał.

– Uważaj, mogę ci to kiedyś przypomnieć.

– Nie zapomnę. Od tej pory będę wszystko pamiętał.

ROZDZIAŁ 21

1

Azyl w wiejskiej posiadłości Godolphina powstał w okresie mody na pawilony. Najstarsi synowie zamożnych i potężnych rodów, z braku wojen niemający nic lepszego do roboty, zabawiali się wydawaniem nagromadzonych przez pokolenia fortun na budowle, które miały tylko jedną funkcję: zaspokoić ich wybujałe ego. Większość z tych pomyślonych dzieł nie miała nic wspólnego z zasadami sztuki architektonicznej i obróciła się w proch szybciej od swoich twórców. Nieliczne cacka ocalały jednak i nawet kiedy popadały w ruinę, często o nich mówiono: albo ich właściciele cieszyli się wyjątkowo złą sławą, albo one same stały się miejscem dramatycznych wydarzeń. Azyl Godolphina należał do obu tych kategorii. Jego konstruktor, Geoffrey Light, zmarł w West Riding sześć miesięcy po zakończeniu budowy. Udławił się byczym penisem. Ta groteskowa śmierć przyciągnęła powszechną uwagę, podobnie jak wycofanie się jego mecenasa, lorda Joshuy Godolphina, z życia publicznego. Coraz wyraźniejsze szaleństwo lorda komentowane było szeroko zarówno na dworach, jak i w kawiarniach. O Godolphinie mówiło się sporo, nawet gdy był w pełni władz umysłowych – przede wszystkim dlatego że zadawał się z czarownikami. Nawet Cagliostro, hrabia de Saint-Germain i Casanova (ponoć całkiem niezły taumaturg) bywali w jego posiadłości, o mniej znacznych magach nie wspominając.

Jego lordowska mość nie krył się bynajmniej ze swymi okultystycznymi zainteresowaniami, chociaż ich szczegóły nigdy nie wyszły na jaw. Zakłada-

no, że towarzystwo szarlatanów zwyczajnie go bawi. Ale bez względu na przyczyny nagle zniknięcie Godolphina przypomniało wszystkim o jego ostatniej ekstrawagancji – pawilonie, którego budowę zlecił Lightowi. Rok po śmierci architekta ukazał się jego domniemany dziennik, a w nim relacja z prac przy budowie. Pomijając autentyczność zapisków, trzeba było przyznać, że dostarczały niezwyklej lektury. Fundamenty pawilonu wybudowano w noc, gdy układ gwiazd był wyjątkowo pomyślny; kamieniarze – wybrani i najęci w tuzinie różnych miast – zostali zobowiązani do zachowania tajemnicy i złożenia przysięgi groźnej jak arabskie zaklęcia. Każdy kamień z osobna ochrzczono w mieszaniu mleka i kadzidła. Przez na wpół wykończony budynek trzy razy przepędzono jagnię; ołtarz i chrzcielnicę zbudowano w miejscach, gdzie złożyło swą niewinną główkę.

Wielokrotnie powtórzone, szczegóły te rychło zmieniły treść i budowli przypisano szatańskie przeznaczenie. Kamienie chrzczono rzekomo krwią dzieci, a ołtarz stanął nad grobem wściekłego psa. Sam lord Godolphin, bezpiecznie zamknięty w swoim majątku, nie miał prawdopodobnie pojęcia o tych plotkach – do czasu gdy dwa lata po jego zniknięciu, we wrześniu, mieszkańcy Yoke zaczęli szukać kozła ofiarnego, którego można by obarczyć winą za kiepskie żniwa. Podjudzeni dodatkowo wygłoszonym z ambony cytatem z Ezechiela, w niedzielne popołudnie wyruszyli na krucjatę przeciw dziełu szatana. Przedarli się przez bramy posiadłości, zamierzając zrównać Azyl z ziemią. Nie znaleźli jednak nic z obiecywanych bluźnierstw; nie było ani odwróconego krzyża, ani splamionego krwią dziewic ołtarza. Rozwścieczeni i sfrustrowani zniszczyli pawilon, na ile mogli, a na koniec zapalili na środku mozaiki wielkie ognisko z bel siana. Płomień tylko poczercił sadzą ściany pawilonu, lecz Azyl zyskał nowe miano. Od tej pory nazywano go Czarną Kaplicą lub Grzechem Godolphina.

2

Gdyby Jude znała tę historię, może przejeżdżając przez Yoke szukałaby jej współczesnych śladów. Musiałaby się bardzo postarać, ale echa rzeczywistości pozostały. Mało który dom nie miał wyrytego krzyża w kamieniach nad-

proza, a przynajmniej końskiej podkowy wmurowanej w posadzkę przy wejściu. Gdyby miała więcej czasu i zajrzała na cmentarz, znalazłaby nagrobne inskrypcje z prośbą do Pana, by zachował żywych ode złego, a zmarłych przyjął na swe łono. Ogłoszenie na tablicy przy wejściu zapowiadało, że w najbliższą niedzielę kazanie będzie poświęcone „Barankowi w naszym życiu”, jak gdyby pastor chciał wypłenić z głów mieszkańców kołaczące się jeszcze myśli o jagnięciu z piekła rodem.

Nie zwróciła uwagi na żadne z tych znaków. Uwagę dzieliła między prowadzenie samochodu i rozmowę z siedzącym obok niej mężczyzną; od czasu do czasu uspokajała kręcącego się na tylnym siedzeniu psa. Nagłe natchnienie kazało jej zmusić Estabrooka, żeby pokazał drogę, ale za tym natchnieniem kryła się żelazna logika. Dzięki niej mógł na cały dzień wyrwać się z kliniki i pooddychać świeżym powietrzem. Miała nadzieję, że w bardziej naturalnej scenerii będzie bardziej skłonny porozmawiać o rodzinie, w szczególności zaś o Oscarze. A które miejsce nadawało się lepiej na niewinne pytania o dzieje Godolphinów niż majątek należący do nich od pokoleń?

Posiadłość znajdowała się niespełna kilometr za wioską. Prywatna droga prowadziła do wjazdu, oblężonego – nawet teraz, w styczniu przez zielone wojsko bluszczu i ciernistych krzewów. Bramę dawno temu zdjęto z zawiasów. Zastąpiła ją znacznie mniej elegancka zaporą z desek i zardzewiałych prętów, opleciona dodatkowo drutem kolczastym. Grudniowe burze powaliły jednak tę barykadę; gdy tylko zaparkowali samochód i podeszli bliżej – rozszekany Skin w podskokach biegł przodem – stwierdzili, że jeżeli zaryzykują kontakt z jeżynami i pokrzywami, bez trudu wejdą na teren posiadłości.

– Co za smutny widok – powiedziała Jude. – Kiedyś musiało tu być pięknie.

– Nie za mojej pamięci – stwierdził Estabrook.

– Mam torować drogę? – Jude podniosła z ziemi patyk i zaczęła obrywać go z liści.

– Nie, pójdę pierwszy.

Wziął od niej gałązkę i ruszył naprzód, bezlitośnie siekąc pokrzywy. Jude szła wyciętą w zielsku ścieżką. W miarę, jak zbliżała się do bramy, pałała coraz większym entuzjazmem – przypuszczalnie dlatego, pomyślała, że Estabrook tak się zaangażował. Zupełnie nie przypominał ludzkiego wraku, jaki dwa tygodnie wcześniej zastała w klinice. Podał jej rękę, kiedy gramoliła się przez powalone pnie drzew, i jak para zakochanych, którzy szukają zaciszne-

go kąta na rendez-vous, przez powaloną zaporę weszli na teren majątku Golphina.

Spodziewała się rozległej perspektywy, widoku podjazdu ściąającego wzrok ku rezydencji. I może kiedyś rzeczywiście tak to wyglądało, ale dwieście lat zaniedbań i szaleństwa przodków sprawiło, że chaos pochłoniął wszelką symetrię, a park rozrósł się w dżunglę. Artystycznie rozmieszczone zagajniki, dające niegdyś cień flirtującym parom, zmieniły się w gęsty las; idealnie przystrzyżone trawniki zarosły chwastami. Angielscy ziemianie w rodzinnych posiadłościach czasem urządzali w nich parki safari i sprowadzali zwierzę z terenów byłego imperium, żeby zajęła miejsce jeleni i saren. Zdaniem Jude wypadało to żałośnie: parki były zbyt zadbane, a lwy i pawiany nie prezentowały się najlepiej wśród dębów i platanów. Tutaj jednak mogła sobie wyobrazić, że jest w królestwie dzikich zwierząt, na skrawku obcej ziemi, zrzuconym w sam środek Anglii.

Dom znajdował się jeszcze dość daleko, ale Estabrook różnym krokiem ruszył w jego kierunku, mając Skina za zwiadowcę. Jude zastanawiała się, o czym myśli, że z taką ochotą brnie przez gąszcz. Może o przeszłości, o tym, jak przyjeżdżał tu w latach chłopięcych? Czy może cofa się jeszcze dalej w przeszłość, do czasów świetności High Yoke, kiedy tę drogę pokrywał równo zagrabiony żwir, a w domu zbierali się ludzie możni i wpływowi?

– Często tu przyjeżdżałeś w dzieciństwie? – zapytała.

Estabrook obejrzał się przez ramię i posiał jej zaskoczone spojrzenie, jakby zapomniał, że nie jest sam.

– Nie. Ale bardzo lubiłem te wizyty. To było wymarzone miejsce do zabawy. Później myślałem o tym, żeby sprzedać dom, ale Oscar nie chciał o tym słyszeć. Miał swoje powody, naturalnie...

– Jakie? – spytała niby od niechcienia.

– Szczerze mówiąc, cieszę się, że tak zapuściliśmy ogród. Jest o wiele ładniejszy.

Szedł nie zatrzymując się i wywijał gałęzią jak maczetą. Kiedy zbliżyli się do domu, Jude przekonała się na własne oczy, jak bardzo jest zaniedbany. Okna powybijano, z dachu zostały tylko drewniane krokwie, drzwi jak pijane zwieszały się z powykrzywianych zawiasów. Był to wyjątkowo smutny widok, gdy człowiek uświadomił sobie, jak pięknie wyglądała rezydencja przed laty. Niebo zaczęło się przecierać i słońce przygrzewało coraz mocniej. Kiedy weszli na werandę, przeświecało przez resztki dachu. Cienie belek tworzy-

ły geometryczny wzór na podłodze. Schody, choć zaśmiecone gruzem, wciąż prowadziły na podest, na którym znajdowało się niegdyś okno, jakiego nie powstydziliby się niejedna katedra. Zostało wybite przez gałęzie powalonego wiele zim wcześniej drzewa. Ich wyschnięte kikuty sięgały miejsca, w którym pan i pani domu zatrzymywali się na chwilę przed zejściem do gości. Boazeria na ścianach hallu i odchodzących od niego korytarzy była nienaruszona, drewniane podłogi solidne jak dawniej. Mimo że dach nie wytrzymał próby czasu, sam budynek nie sprawiał wrażenia, jakby miał się lada dzień zawalić. Miał służyć Godolphinom wiecznie; żyzna ziemia i płodne łądzwie powinny zagwarantować przetrwanie rodu aż do czasów, gdy zgaśnie słońce. Ludzie zawiedli pierwsi, nie dom.

Estabrook ze Skinem skręcili do wielkiej jak restauracja jadalni. Jude poszła z początku za nimi, ale coś ciągnęło ją na schody. Cała jej wiedza o okresie, w którym dom przeżywał swoje najlepsze chwile, pochodziła z filmów i telewizji, ale wyobraźnia z niezwykłym zapałem wzięła się do pracy. Podsuwała obrazy tak żywe, że prawie zacierały zniechęcającą terażniejszość. Kiedy Jude weszła na schody, z zakłopotaniem napawając się swoją wizją arystokratycznego świata, wydawało jej się, że widzi, jak świece rozświetlają hall, słyszy dobiegający z podestu śmiech, a gdy zaczęła schodzić, usłyszała szelest jedwabnego trenu na stopniach. Zawołał ją ktoś stojący przy wejściu. Odwróciła się, spodziewając się ujrzeć Estabrooka, ale ten głos musiał być tylko złudzeniem. Nikt nigdy nie nazywał jej Mirabelką.

Nieco rozdrażniona zeszła poszukać Estabrooka, pragnąc kontaktu z rzeczywistością. Znalazła się w dawnej sali balowej. Jedną ścianę pokoju na całej długości zajmowały wysokie do sufitu okna, z których roztaczał się widok na tarasy i ozdobne ogrody, aż do zaniedbanego pawilonu. Tu zastała Estabrooka. Wzięła go pod ramię. Sączące się przez rozbite szkło promienie słońca rozświetliły wspólną mgiełkę ich oddechów.

– Tu musiało być przepięknie – odezwała się Jude.

– Z pewnością. – Estabrook pociągnął mocno nosem. – Ale te czasy już nie wrócą.

– Dom można by odnowić.

– Kosztowałyby to fortunę.

– Masz fortunę.

– Nie taką.

– A Oscar?

– Nie. Posiadłość należy do mnie. Oscarowi wolno tu przyjeżdżać, ale dom jest mój. Taka była umowa.

– Umowa? – zdziwiła się Jude. – Opowiedz mi o tym.

Estabrook westchnął głęboko.

– Jestem starszy od Oscara. W naszej rodzinie jest taka tradycja, wywodząca się z czasów, gdy dom był jeszcze zamieszkały, że najstarszy syn, albo córka, jeżeli rodzice nie mają syna, zostaje członkiem stowarzyszenia Tabula Rasa.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Podejrzewam, że Tabula Rasa chciałaby, żeby tak zostało. Nie powinienem ci o tym mówić, ale co mi tam... Mam wszystko gdzieś, a poza tym to już historia. No więc... Miałem wstąpić do stowarzyszenia, lecz papa pominął mnie i wybrał Oscara.

– Dlaczego?

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale uznali, że jestem niezrównoważony. – Charlie uśmiechnął się lekko. – Ja! Wyobrażasz sobie? Bali się, że nie będę dość dyskretny. – Parsknął śmiechem. – Ach, pieprzyć ich, właśnie zamierzam być niedyskretny.

– Czym się to stowarzyszenie zajmuje?

– Zostało założone, aby zapobiec... Czeka, spróbuję zacytować... zapobiec „splugawieniu angielskiej ziemi”. Joshua kochał Anglię.

– Kto?

– Joshua Godolphin, człowiek, który zbudował ten dom.

– Co to miało być za plugastwo?

– Kto go tam wie? Katolicy? Francuzi? Był wariatem i zadawał się z wariatami. A tajne stowarzyszenia były wtedy w modzie...

– I ono nadal działa?

– Tak przypuszczam. Rzadko rozmawiam z Oscarem, a już nigdy o Tabula Rasa. To dziwny człowiek, bardziej zwariowany ode mnie. Po prostu lepiej się z tym maskuje.

– Kiedyś i ty się świetnie maskowałeś, Charlie.

– Byłem głupi. Powinienem był się odstąpić, może bym cię zatrzymał. – Estabrook dotknął palcami policzka Jude. – Byłem głupcem, Judith. Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Wybacz mi.

Poczuła wyrzuty sumienia, że jej manipulacje tak go poruszyły. Ale przynajmniej przyniosły jakiś efekt. Do układanki doszły dwa elementy: Tabula

Rasa i powody jej istnienia.

– Wierzysz w magię? – zapytała.

– Pytasz starego Charliego czy nowego?

– Nowego. Tego wariata.

– W takim razie wierzę. Kiedy Oscar przynosił mi prezenty, mówił: „Masz, oto kawałek cudu”. Zwykle je wyrzucałem; zostały mi tylko te, które znalazłaś. Nie interesowało mnie, skąd Oscar je bierze...

– Nie zapytałeś?

– W końcu zapytałem. Którejś nocy, kiedy ciebie nie było, przyniósł książkę, którą znalazłaś w sejfie. Wypiłem już trochę, więc zapytałem, skąd wytrzasnął takie gówno. Nie byłem gotowy, żeby uwierzyć. Wiesz, co mnie przygotowało?

– Nie, powiedz mi.

– Zwłoki z Heath. Opowiadałem ci o tym, prawda? Przez dwa dni patrzyłem, jak szukają ciała w błocie i przy padającym deszczu. Cały czas myślałem o tym, jakie mamy gówniane życie. Jedyne sposob, żeby się z niego wydostać, to nogami do przodu. Miałem ochotę podciąć sobie żyły, ale przyjechałaś, a ja przypomniałem sobie, co czułem, kiedy się poznaliśmy. Wydawało mi się to niewiarygodne, ale miałem wrażenie, że odzyskałem coś, co utraciłem. I doszedłem do wniosku, że skoro mogę uwierzyć w jeden cud, mogę uwierzyć i w inne, nawet te, o których opowiadał Oscar: w dominia, w Imajicę, w zamieszkujące ją istoty, w miasta. Pomyślałem, czemu nie... Czemu nie pogodzić się z ich istnieniem, zanim stracę tę szansę? Zanim znajdą moje ciało w deszczu.

– Nie umrzesz w deszczu.

– Nic mnie nie obchodzi, gdzie umrę, Jude. Ważne jest, gdzie żyję, a żeby żyć, potrzebuję nadziei. Chcę być z tobą.

– Charlie... – szepnęła z wyrzutem. – Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać.

– Dlaczego nie? Będzie jakiś lepszy moment? Wiem, że przywiozłaś mnie tutaj, bo chciałaś uzyskać odpowiedzi na pewne pytania. Nie mam do ciebie pretensji. Gdybym to ja zobaczył mordercę, który dybie na moje życie, sam miałbym mnóstwo pytań. Ale zastanów się, Judy, o nic więcej nie proszę. Zastanów się, czy nowy Charlie nie jest wart odrobiny twojego czasu. Zrobisz to?

– Zrobię.

– Dziękuję. – Estabrook podniósł jej dłoń do ust i ucałował. – Znasz już większość tajemnic Oscara, więc równie dobrze możesz poznać wszystkie. Widzisz ten lasek ciągnący się w stronę muru? Tam znajduje się stacyjka kolejowa, z której zawsze wyjeżdża.

– Chciałabym ją zobaczyć.

– Przejdziemy się, madame? Gdzie się podział ten pies? – Estabrook gwizdnął i Skin wpadł do pokoju, wzniesając złocisty kurz. – Świetnie. Ruszajmy.

3

W piękne, jasne popołudnie łatwo było sobie wyobrazić, jak uroczo musi wyglądać rezydencja – mimo że bliska ruiny – wiosną czy w środku lata, gdy wieczory są długie i ciche, wszędzie uwijają się ptaki, wiatr unosi puch dmuchawców. Dlatego też Jude nie forsowała tempa, mimo że bardzo chciała zobaczyć miejsce, które Estabrook nazwał stacją kolejową. Szli niespiesznie, od czasu do czasu odwracali się, żeby obejrzyć malowniczy dom. Z tej perspektywy prezentował się jeszcze lepiej. Mimo że zagajnik nie był duży, gęste poszycie zasłaniało im miejsce, do którego zmierzali, dopóki nie znaleźli się pod drzewami, na wilgotnej ściółce. Dopiero wtedy Jude zdała sobie sprawę, jaką budowlę ogląda. Widziała ją mnóstwo razy na rysunku zasłaniającym sejf.

– Azyl – powiedziała.

– Poznajesz?

– Oczywiście.

Zmyłone ciepłą zimą ptaki śpiewały wśród drzew, szykując się do zalotów. Kiedy Jude podniosła wzrok, wydało się jej, że drzewa splatają się nad Azylem w sklepienie, jakby stanowiły drugą kopułę budynku. Ten widok i ptasie trele sprawiały, że zakątek wyglądał jak świątynka.

– Oscar nazywa go Czarną Kaplicą – powiedział Charlie. – Nie wiem dlaczego.

Pawilon nie miał okien, a od strony, z której się zbliżali, nie widać było także drzwi – musieli obejść go z boku, zanim odsłoniło się wejście. Skin dy-

szał na progu, ale kiedy Charlie uchylił drzwi, pies nie miał ochoty wejść do środka.

– Tchórz – stwierdził Charlie, przekraczając próg pawilonu. – Tu jest bezpiecznie.

Podniosły nastrój w środku był jeszcze wyraźniejszy. Nic z tego, co przeszła, odkąd Pie'oh'pah próbował ją zamordować, nie przygotowało jej na takie tajemnice. Przeszkadzała jej własna nowoczesność; żałowała, że ze swojej okaleczonej historii nie potrafi wyłować jakiegoś zapomnianego „ja”, które byłoby lepiej dostosowane do tego, co się dzieje. Charlie odrzucił rodowe nazwisko, ale w jego żyłach płynęła krew przodków. Drozdy, które słyszała, śpiewały tak samo jak w czasach, gdy potężne drzewa dopiero kiełkowały. A ona dryfowała samotnie, do nikogo niepodobna – nawet do kobiety, którą była sześć tygodni wcześniej.

– Nie denerwuj się, chodź. – Charlie skinął na nią.

Mówił trochę zbyt głośno ale chyba tego nie zauważył. W Azylu czuł się swobodnie. Jude pomyślała, że mógł gadać, ile chciał, o pogodzeniu się z cudami, lecz w głębi serca pozostał pragmatykiem. Ona wyczuwała działające w tym miejscu niezwykle siły, on był na nie obojętny.

Zdawało jej się dotąd, że Azyl jest zupełnie pozbawiony okien. Dopiero w środku przekonała się, że nie miała racji. W miejscu, gdzie kopuła wyrastała ze ścian, okalał ją pierścień okien, niczym aureola biegnąca wokół czaszki Czarnej Kaplicy. Były malutkie, ale przepuszczały dość światła, żeby odbite od podłogi skupiało się nad środkiem mozaiki. Jeżeli Azyl naprawdę miał być stacją, to tu znajdował się peron.

– Nic specjalnego, prawda? – spytał Charlie.

Zastanawiała się, jak zaprzeczyć i wyjaśnić, co czuje, gdy pozostawiony na zewnątrz Skin zaczął szczekać. Nie brzmiało to jak radosne ujadanie, którym witał po drodze każde nowe drzewo do obsikania, lecz rozpaczliwy jaszgot. Jude rzuciła się do drzwi, ale magnetyczny wpływ Azylu spowolnił jej reakcję. Charlie wybiegł pierwszy. Krzyknął na psa i Skin nagle ucichł.

– Charlie! – zawołała.

Estabrook nie odpowiedział. Kiedy pies umilkł, zapadła niewiarygodna cisza. Ptaki przestały śpiewać. Ktoś stanął w progu.

Nie Charlie. Nie znała tego masywnego, brodatego mężczyzny, ale na jego widok doznała szoku, jakby zobaczyła dawno zaginionego przyjaciela. Uznałaby pewnie, że wariuje, gdyby na jego twarzy nie odmalowały się po-

dobne uczucia. Zmrużył oczy i obrócił lekko głowę.

– Judith?

– Tak. Kim pan jest?

– Oscar Godolphin.

Do tej pory oddychała szybko i płytko, dopiero teraz pozwoliła sobie wziąć głębszy wdech.

– Dzięki Bogu. Wystraszył mnie pan. Myślałam... Sama nie wiem, co myślałam. Pies się na pana rzucił?

– Mniejsza z tym. – Godolphin wszedł do Czarnej Kaplicy. – Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

– Nie wydaje mi się... Gdzie Charlie? Nic mu się nie stało?

Godolphin miarowym krokiem szedł w jej kierunku.

– To wprowadza zamieszanie – powiedział.

– O czym pan mówi?

– O tym, że... że panią znam. Nie wiem, kim pani jest, ale panią znam. Stąd to zamieszanie.

– Nie rozumiem. Chciałam pana poznać i kilkakrotnie prosiłam Charliego, żeby nas sobie przedstawił, ale był oporny... – Jude mówiła bez przerwy, trochę dla podtrzymania rozmowy, a trochę po to, żeby zapomnieć o jego natarczwym spojrzeniu. Bała się, że jeśli zamilknie, zupełnie się zagubi, stanie się jego zabawką. – Bardzo mi miło, że możemy wreszcie porozmawiać. – Godolphin był już całkiem blisko. Wyciągnęła rękę. – Naprawdę, bardzo mi przyjemnie.

Pies znów zaczął szczekać, ale tym razem ktoś próbował uciszyć go krzykiem.

– Boże! Ugryzł kogoś! – Judy skoczyła do drzwi.

Oscar złapał ją za rękę – lekko, ale gestem posiadacza – i zatrzymał. Odwróciła się i nagle wszystkie zabawne sceny z romansów wydały się jej prawdziwe i śmiertelnie poważne. Serce podeszło jej do gardła, policzki poczerwieniały, ziemia zatrzęsała się pod stopami. Nie było w tym nic miłego, tylko mdła bezsilność, przed którą nie umiała się bronić. Jediną pociechę – w dodatku niewielką – stanowił fakt, że jej partner w tym tańcu pożądania był chyba równie wypłoszony.

Ujadanie psa ucichło jak nożem uciął. Charlie zawołał ją po imieniu i Oscar odwrócił się w stronę drzwi. Jude również. Na progu stał zdyszany Estabrook, w ręce trzymał sękatą gałąź. Za jego plecami pojawił się potwór –

istota o spalonej, zmiażdżonej twarzy (na gałęzi, którą trzymał Charlie, widać było strzępy spalonej skóry) wyciągała na oślep ramiona, próbując go dosięgnąć.

Jude krzyknęła. Poparzony stwór rzucił się naprzód, stracił na progu równowagę i upadł. Opaloną do gołej kości dłonią próbował się jeszcze złapać futryny, ale Charlie wyrznął go gałęzią w głowę. Bryznęły odłamki kości. Potwór nie znalazł ręką oparcia i poleciał na ziemię. Srebrzysta krew trysnęła na posadzkę.

Oscar jęknął cicho.

– Ty popaprańcu! – krzyknął Charlie. Dyszał ciężko, jego oczy płonęły żarem. – Puść ją!

Oscar zwolnił uścisk na ramieniu Jude, a jej zrobiło się żal. Uczucie, jakim darzyła Charliego, stanowiło zaledwie preludium do tego, co czuła w tej chwili – tak jakby kochała go przez wzgląd na pamięć mężczyzny, którego nigdy nie знаła. Teraz zaś, kiedy go spotkała, kiedy usłyszała prawdziwy głos, a nie tylko jego echo, Estabrook – mimo spóźnionych przejawów bohaterstwa – wydał się jego nędzną namiastką.

Nie wiedziała, skąd biorą się w niej te uczucia, ale miały moc pierwotnego instynktu i nie zamierzała się im sprzeciwiać. Oscar był otyły, ubierał się z przesadną elegancją i wyglądał na aroganta; gdyby miała wybór, z pewnością nie takiego mężczyzny by szukała. A jednak z powodów, których na razie nie rozumiała, odmówiono jej tego wyboru; zwyciężył popęd bardziej prymitywny niż świadome pożądanie. Obawy o bezpieczeństwo Charliego i jej własne nagle straciły znaczenie, stały się zupełnie abstrakcyjne.

– Nie zwracaj na niego uwagi – dodał Charlie. – Nie robi ci krzywdy.

Przy bracie wyglądał jak cień człowieka, wstrząsany drgawkami i tikami nerwowymi. Jak mogła go kochać?

– Chodź – powiedział i skinął na nią.

Nie poruszyła się, dopóki Oscar się nie odezwał:

– Idź.

Bardziej z posłuszeństwa wobec Oscara niż z własnej woli ruszyła w stronę Charliego.

Na próg padł cień następnej postaci i w drzwiach stanął elegancki młody człowiek. Miał tlenione włosy i twarz tak idealną, że aż banalną.

– Nie zbliżaj się, Dowd – uprzedził go Oscar. – To tylko ja i Charlie.

Dowd spojrział na leżące przy drzwiach zwłoki i przeniósł wzrok na Osca-

ra.

– On jest niebezpieczny – ostrzegł.

– Wiem – odparł Oscar. – Wyjdź na zewnątrz z Dowdem, Judith.

– Nie podchodź do tego skurczybyka – uprzedził ją Charlie. – To on zabił Skina. A drugi taki potwór czeka przy drzwiach.

– To są pustkowce, Charles – zauważył Oscar. – Żaden z nich nie skrzywdzi naszej ślicznej Judith. Spójrz na mnie, Judith. – Jude odwróciła się do niego. – Nic ci nie grozi. Rozumiesz? Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Wierzyła mu. Nie patrząc w stronę Charliego, podeszła do wyjścia. Morderca psa podał jej rękę, kiedy musiała przestąpić nad ciałem pustkowca, ale nie przyjęła jej. Wyszła lekkim krokiem i z lekkim sercem. Dowd szedł za nią. Czuła na sobie jego wzrok.

– Judith... – powiedział, jak gdyby zaskoczony.

– Tak, to ja – przytaknęła. Czuła, że jej imię ma w tej chwili ogromne znaczenie.

Niedaleko pawilonu dostrzegła drugiego pustkowca. Przykucnięty na ziemi bezmyślnie przyglądał się zabitemu Skinowi, wodząc palcami po jego boku. Odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby ponury widok zepsuł jej radosny nastrój.

Wyszli z Dowdem na skraj lasu, skąd widziała szmat nieba. Słońce zachodziło, przybierając coraz bardziej ognisty kolor. Park, ogrodowe tarasy i dom malowały się w jego świetle niezwykle urokliwie.

– Czuję się tak, jakbym już tu kiedyś była – stwierdziła Jude.

Ta myśl wydała się jej dziwnie kojąca. Podobnie jak uczucia wobec Oscara, wypływała z otchłani jaźni, których istnienia sobie nie uświadamiała; pogodzenie się z nią było w tej chwili ważniejsze niż znalezienie jej źródła. I to właśnie zrobiła. Z radością. Ostatnio tak często bywała świadkiem i uczestnikiem wydarzeń, na które nie miała żadnego wpływu, że miło było doświadczyć tak głębokiego i instynktownego uczucia, którego źródeł nie musiała analizować.

– Pamięta pani coś szczególnego w związku z tym miejscem? – zainteresował się Dowd.

– Nie – odparła po namyśle. – Po prostu wydaje mi się, jakbym tu... pasowała.

– Może to i lepiej. Wie pani, jak to jest z pamięcią. Bywa zdradliwa.

Nie podobał się jej ten człowiek, ale mówił sensownie. Z trudem sięgała

pamięcią dziesięć lat wstecz; starsze wspomnienia na dobrą sprawę nie istniały. Jeżeli kiedyś – gdy nadejdzie czas – wróca, przyjmie je z wdzięcznością, ale na razie miała przed sobą pełny puchar uczuć, kto wie czy nie bardziej atrakcyjnych przez swą tajemniczość.

Z Czarnej Kaplicy dobiegały podniesione głosy, ale tak zwielokrotnione echem i stłumione odległością, że nie dało się zrozumieć słów.

– Rodzinna sprzeczka – mruknął Dowd. – Co czuje kobieta, o którą walczą mężczyźni?

– Nikt o mnie nie walczy.

– Oni chyba myślą inaczej.

Głosy wzniosły się do krzyków i nagle przycichły. Jeden z braci – Oscar, pomyślała Jude – mówił, drugi z rzadka wtrącał coś od siebie. Targowali się o nią? Przerzucali się ofertami? Przyszło jej do głowy, że mogłaby wmieszać się do rozmowy. Wrócić do Kaplicy i ujawnić, co czuje – choćby nawet miało się to wydać kompletnie irracjonalne. Lepiej od razu powiedzieć prawdę, niż pozwolić, by Charlie spłukał się zupełnie, a potem przekonał, że nagrody i tak nie dostanie. Zawróciła.

– Co pani robi? – zdziwił się Dowd.

– Muszę z nimi porozmawiać.

– Pan Godolphin mówił...

– Słyszałam. Muszę z nimi porozmawiać.

Zobaczyła, jak z prawej strony ścieżki pustkowiec wstaje z ziemi. Nie patrzył na nią; wzrok miał utkwiony w drzwi pawilonu. Wciągnął w nozdrza powietrze i gwizdnął przenikliwie, żałośnie, jak gdyby wył z bólu. Długim, nieco zwierzęcym krokiem ruszył w stronę wejścia. Wyprzedził Jude, pierwszy stanął w progu i w pośpiechu podeptał ciało swojego zabitego brata. Kiedy znalazła się kilka metrów od drzwi, poczuła zapach, który napawał go takim smutkiem. Zefirek – zbyt ciepły jak na tę porę roku i niosący woń nieznaną w tym świecie perfum – powiał z Kaplicy. Jude z przerażeniem uświadomiła sobie, że oto historia się powtarza, pasażerowie właśnie wsiadają do pociągu, który zabierze ich do dominiów. Zapach, który czuła, niósł się wzdłuż toru z miejsca, do którego się udawali.

– Oscar! – krzyknęła i skoczyła do środka, potykając się o zwłoki pustkowca.

Podróżni znikali jej właśnie z oczu jak Gentle i Pie'oh'pah. Pustkowiec rzucił się w wir, który po nich został. Miała ochotę zrobić to samo – na szczę-

ście zorientowała się, że popełniłaby gruby błąd. Pustkowiec wpadł jeszcze w węzeł mocy, ale spóźnił się na przejazdzkę. Gwizd przeszedł w przeraźliwy skowyt, gdy jego głowa i ramiona, schwymane w pajęczynę sił, zaczęły wywracać się na nice. Dolna połowa jego ciała, nietknięta, zadygotała, kiedy próbował znaleźć na posadzce punkt oparcia i cofnąć się. Za późno. Zawirowanie przestrzeni odarło mu głowę, tułów i ręce ze skóry.

Moc, która na chwilę spętała pustkowca, szybko wygasła, on jednak nie umarł tak szybko. Z zaciśniętymi ramionami, jakby próbował pochwycić w nie świat – który może udało mu się zobaczyć, zanim oczy wybuchły mu w czaszce – padł na ziemię. Sinoczarne sploty wnętrzości rozpląnęły się po mozaice. Oślepienie i wypatroszone ciało nie chciało się poddać. Pustkowiec miotał się w konwulsjach jak ofiara epilepsji.

Dowd wyminął Jude i ostrożnie zbliżył się do centrum Kaplicy. Bał się, że wciąż pozostały tam resztki energii, kiedy jednak się przekonał, że nic mu nie grozi, sięgnął po broń. Wypatrzył jakiś czuły punkt w wijącej mu się pod stopami masie i dwa razy strzelił. Po chwili pustkowiec znieruchomiał.

– Nie powinna była pani tu przychodzić i tego oglądać – powiedział Dowd.

– Dlaczego? Wiem, dokąd się udali.

– Czyżby? – Zaciekawiony Dowd uniósł brwi. – Dokąd?

– Do Imajiki – odparła, udając, że doskonale wie, o czym mówi.

Kiedy Dowd uśmiechnął się leciutko, nie była pewna, czy zgadza się z nią, czy kpi. Nie spuścił wzroku, napawając się jej spojrzeniem. Może wydało mu się, że go podziwia.

– Skąd pani wie o Imajice?

– Chyba każdy o niej wie.

– Pani wie więcej niż każdy. Chociaż nie jestem pewien o ile więcej.

Jude domyślała się, że stanowi dla Dowda zagadkę. Dopóki to się nie zmieni, mogła liczyć na jego uprzejmość.

– Myśli pan, że im się udało?

– Kto wie? Pustkowiec mógł im przeszkodzić, próbując się podłączyć. Mogli nie dotrzeć do Yzorderrex.

– Gdzie wtedy by się znaleźli?

– Jak to gdzie? W In Ovo, naturalnie. Gdzieś między Ziemią i Drugim Dominium.

– Jak stamtąd wrócą?

– To proste. Nie wrócą w ogóle.

4

Czekali więc. A właściwie – ona czekała. Słońce chowało się za drzewami upstrzonymi gniazdami wron; wieczorne gwiazdy zajmowały jego miejsce i rozsiewały własny blask. Dowd wywlókł zwłoki pustkowców z Kaplicy, sklecił naprędce stos i spalił je na nim. Zupełnie nie przejmował się obecnością Jude. Zakładał chyba, że wraz z nim i pustkowcami należy do tajemnego świata, w którym nie obowiązują zwykłe prawa i zwykła moralność. Po tym, co zobaczyła i jak podała się za eksperta od Imajiki, stała się jednym ze spiskowców. Nie było dla niej powrotu do ludzi, których znała, i do dawnego stylu życia. Poznała sekret i nie mogła się od niego uwolnić.

Gdyby Godolphin wrócił, pomógłby jej znaleźć drogę wśród tych tajemnic. W przeciwnym razie konsekwencje byłyby przykre. Nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby przestawać z Dowdem tylko dlatego, że oboje nie należeli do tego świata. Z pewnością szybko zmarniałaby i umarła. Nie miałoby to wielkiego znaczenia, skoro Godolphin na zawsze by zniknął z jej życia. W ciągu godziny odbyła podróż od ekstazy do rozpacz. Czy naprawdę życzyła sobie zbyt wiele, kiedy modliła się, żeby przed końcem dnia wahadło zatoczyło łuk w drugą stronę?

Mróz wcale nie poprawiał jej nastroju. Podeszła ogrzać się przy stosie. Miała zamiar się wycofać, gdyby widok lub zapach okazały się zbyt odrażające. Dym, który powinien cuchnąć palonym mięsem, miał miłą, aromatyczną woń, a leżące w płomieniach kształty były nie do rozpoznania. Dowd poczęstował ją papierosem, którego zapaliła od wyciągniętej ze stosu rozżarzonej gałązki.

– Kim były te istoty? – zapytała, patrząc w ogień.

– Nie słyszała pani o pustkowcach? To najnędniesze z nędznych istot. Osobiście sprowadziłem je z In Ovo, a że żaden ze mnie maestro, widać chyba, jak bardzo są naiwne.

– Kiedy ten drugi zaczął gwizdać...

– Rzeczywiście, to była wzruszająca scena. Poczul zapach Yzordderrex.

– Może tam się urodził.

– Bardzo możliwe. Niektórzy twierdzą, że pustkowce są materializacją wspólnych pragnień, ale to nieprawda. To dzieci zemsty. Rodzą je kobiety, które same podążają Drogą.

– To źle?

– Dla istot waszej płci ściśle zakazane.

– A kobietę, która złamie prawo, za karę się zapładnia?

– Właśnie. Widzi pani, takiej ciąży nie można usunąć. Pustkowce są głupie, ale nawet w łonie matki będą walczyć o życie. Natomiast zabicie stworzenia, które wydało się na świat, jest sprzeczne z kodeksem moralnym kobiet. Dlatego matki pustkowców płacą za to, żeby zesłać je do In Ovo. A tam pustkowce radzą sobie chyba najlepiej ze wszystkich istot. Jedzą wszystko, także siebie nawzajem, a jeśli dopisze im szczęście, zostaną przywołane przez kogoś z tego dominium.

Tyle jeszcze muszę się nauczyć, pomyślała Jude. Może powinna podtrzymać przyjaźń z Dowdem? Im więcej się od niego dowie, tym lepiej będzie przygotowana, gdy w końcu przekroczy bramę Yzordderrex. Chciała właśnie zapytać go o to miasto, gdy rozdzielił ich snop iskier wzniecony podmuchem wiatru od strony Kaplicy.

– Wracają – stwierdziła i ruszyła w stronę pawilonu.

– Niech pani uważa – ostrzegł ją Dowd. – Nie wiadomo, czy to oni.

Kiedy dopadła drzwi budynku, aromatyczny letni wietrzyk zamarł. W środku panował półmrok, ale widziała, że na środku mozaiki stoi tylko jeden człowiek. Potykając się i rżąc, zrobił kilka kroków w stronę Judith, która rozpoznała go dopiero po dłuższej chwili. Oscar Godolphin trzymał się za rozbity, krwawiący nos.

– To drań – powiedział.

– Gdzie on jest?

– Nie żyje – odparł bez ogródek. – Musiałem to zrobić, Judith. On oszalał. Bóg jeden wie, co by powiedział albo zrobił... – Wyciągnął do niej rękę. – Pomożesz mi? Omal nie złamał mi nosa!

– Ja się nim zajmę – odezwał się władczo Dowd, który rozdzielił ich i podał Oscarowi chusteczkę. Oscar zbył go machnięciem ręki.

– Nie umrę od tego. Wracajmy do domu.

Kiedy wyszli z Kaplicy, spojrzął na stos.

– Pustkowce – wyjaśnił Dowd.

Oscar zerknął na Judith.

– Kazał ci patrzeć, jak się palą? Przepraszam. – Z wyrazem bólu na twarzy zwrócił się do Dowda: – Nie tak traktuje się damy. W przyszłości musimy bardziej się postarać.

– To znaczy?

– Judith zamieszka z nami. Prawda?

Wahała się tak krótko, że powinno jej być wstyd.

– Oczywiście.

Zadowolony Oscar odwrócił się w stronę ognia.

– Wrócisz tu jutro – polecił Dowdowi. – Rozrzucisz popiół i pogrzebiesz kości. Dostałem od Peccable'a mały modlitewnik, znajdę w nim coś stosownego.

Judith patrzyła w głąb skrytej w mroku Kaplicy, próbując sobie wyobrazić, w jaką podróż można z niej wyruszyć i jak wygląda miasto, z którego powiał tak podniecający wietrzyk. Kiedyś do niego trafi. Na razie szukając drogi straciła męża, ale z jej obecnej perspektywy strata wydawała się mało znacząca. Oscar Godolphin budził w niej emocje wyższego rzędu. Nie wiedziała jeszcze, ile będzie dla niej znaczył, ale miała nadzieję, że wkrótce go przekona, by zabrał ją ze sobą.

*

Mimo że chętnie oddawała się rozmyśleniom o cudach, które czekały na nią za zasłoną oddzielającą Piąte Dominium od reszty, nie miała szans wyobrazić sobie, jak naprawdę wygląda taka podróż. Zainspirowana słowami Dowda, wyobrażała sobie In Ovo jako rozległe pustkowie, w którym pustkowce tkwiły jak ludzie w okopach na dnie morza, a stwory, które nigdy nie widziały słońca, pęły ku niej, rozświetlając sobie drogę własną ohydą poświatą. Tymczasem najbardziej nawet niezwykle istoty z morskich otchłani bładły w porównaniu z mieszkańcami In Ovo. Ich kształtów i upodobań nie opisały żadne księgi; ich gniew i złość tliły się przez setki lat.

Sceny, jakie wyobrażała sobie po drugiej stronie tego więzienia, również wyglądały w rzeczywistości zupełnie inaczej. Gdyby udała się w podróż Ekspresem Yzordderrex, nie trafiłaby do centrum letniego kurortu, lecz do zawilgoconej piwnicy, w której wszystkie półki zajmował zakazany skarb Peccable'a w postaci amuletów i skamielin. Chcąc wyjść na świeże powietrze, mu-

siałyby wspiąć się po schodach na górę i przejść przez dom. Na ulicy mogłaby uznać, że jej oczekiwania zostały przynajmniej częściowo spełnione. Powietrze było ciepłe i aromatyczne, niebo jasne i piękne. Nad głową nie świeciło jednak słońce, lecz kometa, której ogon rozświetlał całe Drugie Dominium. Gdyby Jude przyjrzała się jej przez chwilę, a potem spuściła wzrok, ujrzalaby jej odbicie w kałuży krwi. To tu zakończyła się bójka między Charliem i Oscarem i to tu, na ziemi, leżał pokonany.

Nie leżał długo. Wieść o mężczyźnie w cudzoziemskim stroju, którego porzucono w rynsztoku, rozeszła się lotem błyskawicy. Wciąż jeszcze krwawił, kiedy przyszło po niego trzech jegomościów, których nikt nigdy w tym kesparacie nie widział. Sądząc po tatuażach, musieli należeć do niebytowców. Gdyby Jude stała na progu domu Peccable'a, byłaby wzruszona, widząc, jak delikatnie obchodzą się z ciałem. Uśmiechali się smutno na widok poobijanej i bezwładnie opadającej głowy, jeden z nich zapłakał. Mogłaby również zauważyć – choć niewykluczone, że w panującym na ulicy rozgardiaszu szczególnie ten uszedłby jej uwagi – że choć zabity spoczywał w ich rękach całkiem nieruchomo, miał zamknięte oczy i bezwładne ręce, które musieli złożyć mu na piersi, to ta właśnie pierś leciutko unosiła się i opadała.

Charles Estabrook, porzucony na ulicach Yzordderrex na pewną śmierć, miał szczęście. Zamiast wyzionąć ducha i stać się trupem, był po prostu półżywym przybyszem z innego świata.

ROZDZIAŁ 22

1

W miarę, jak Gentle i Pie podążali w górę, dni robiły się coraz krótsze. Potwierdzało to podejrzenie, że noce w Jokalaylau są dłuższe niż na równinach, chociaż nie mogli mieć pewności. Chronometry, jakimi dysponowali – zarost Gentle'a i organizm Pie – rozregulowały się: Gentle przestał się golić, a częstotliwość przyjmowania posiłków i wypróżnień u Pie zmieniały się wraz z wysokością. Sycili się rozrzedzonym powietrzem, które nie pobudzało apetytu, ale przynajmniej pozwalało na jakiś czas zapomnieć o fizycznych potrzebach. Naturalnie, pamiętali o tym, że posiadają jeszcze ciała. Bezcenne były pod tym względem kudłate doeki – kiedy robiły się głodne, zatrzymywały się w miejscu i za nic w świecie nie dawały się odciągnąć od znalezionej skrawka zieleni, dopóki nie zaspokoily głodu. Z początku było to trochę irytujące i jeźdźcy klęli je w żywy kamień. Czekala ich godzina nudy i bezczynności. Z upływem dni nauczyli się jednak żyć w rytmie dyktowanym przez układ pokarmowy doeki. Korzystając z przymusowych przystanków, sami też coś zjadali.

Szacunki Pie odnośnie do długości podróży szybko okazały się beznadziejnie optymistyczne. Jedno tylko z jego przewidywań się sprawdzało – uciążliwość jazdy. Zanim jeszcze dotarli do wysokości, na jakiej zalegał śnieg, i jeźdźcy, i wierzchowce zaczęli wykazywać oznaki zmęczenia. Ścieżka, którą podążali, z każdą chwilą robiła się coraz mniej wyraźna. Miękka ziemia zamarzła na kamień i nie utrwały się w niej ślady ich poprzedników.

Mając w perspektywie jazdę przez pola śnieżne i lodowce, dali doeki cały dzień odpoczynku, żeby ostatni raz przed przekroczeniem przełęczy najadły się do syta.

Gentle nadał swojemu zwierzęciu imię Chester – na pamiątkę Kleina, który roztaczał podobny, spokojny urok przeżuwacza. Pie jednak nie chciał chrzcić drugiego doeki. Twierdził, że zjadanie istot, które znamy z imienia, przynosi nieszczęście, a okoliczności mogły ich zmusić do żywienia się mięsem wierzchowców, zanim znajdą się w Trzecim Dominium. Pomijając to drobne nieporozumienie, dogadywali się świetnie. Obaj świadomie unikali tematu Beatrix i nie próbowali zgadywać znaczenia wydarzeń, które tam zaszły. Zimno wkrótce zaczęło dawać im się boleśnie we znaki. Zabrane z wioski płaszcze ledwie chroniły przed wściekłymi atakami wichury i tumanami śniegu, które często ograniczały widoczność do zera. W takich chwilach Pie wyciągał kompas – jego tarcza Gentle'owi najbardziej przypominała mapę nieba – i wyznaczał kierunek dalszego marszu. Tylko raz Gentle wyraził głośno nadzieję, że mistyf wie, co robi, ale Pie zmroził go wzrokiem, na dobre zniechęcając do tego tematu.

Mimo pogarszającej się z dnia na dzień pogody (Gentle zaczynał już tęsknić za angielskim styczniem) szczęście nie opuściło ich zupełnie. Piątego dnia po przekroczeniu linii zalegania śniegu, w chwili ciszy między podmuchami wiatru, Gentle usłyszał dźwięk dzwonek. Kierując się nim, znaleźli grupę kilku mieszkańców gór, którzy opiekowali się stadem stu albo i więcej krewniaków ziemskich kóz. Zwierzaki były jednak bardziej kosmate i fioletowe, jak krokusy. Pasterze nie znali angielskiego, tylko jeden, imieniem Kuthuss, o brodzie skudlonej i fioletowej jak sierść kóz (aż Gentle zaczął się zastanawiać, do jakich mariaży dochodzi z konieczności na tym odludziu), używał paru słów, które Pie potrafił rozpoznać. A były to słowa ponure. Pasterze wcześniej niż zwykle schodzili ze stadem z gór, bo śnieg przykrył pastwiska, na których w normalnych warunkach zwierzęta pasłyby się jeszcze przez dwadzieścia dni. To jednak nie był normalny czas, co zresztą Kuthuss kilkakrotnie podkreślał. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem śnieg spadł tak wcześnie i w takiej obfitości; wiatry też nigdy nie wiały tak wściekle. Odradzał dalszą podróż, która jego zdaniem równała się samobójstwu.

Pie i Gentle przedyskutowali tę kwestię. Zajechali już znacznie dalej, niż się spodziewali. Gdyby zawrócili i zeszli poniżej linii śniegu, straciliby sporo czasu. Nikt nie wiedział, jakie potworności mogą się wydarzyć, ile wiossek

zostanie zrównanych z ziemią, ile będzie ofiar.

– Pamiętasz, co mówiłem, kiedy wyjeżdżaliśmy z Beatrix? – spytał Gentle.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Powiedziałem, że nie umrzemy. Dalej tak twierdę. Przejedziemy.

– Twój mesjanizm wcale mi się nie podoba. Ludzie pełni najlepszych chęci też umierają, Gentle. Właściwie chyba nawet szybciej niż inni.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że zostajesz tutaj?

– Powiedziałem, że pójdę za tobą wszędzie, i dotrzymam słowa, ale dobre intencje na nic się nie zdadzą na mrozie.

– Ile mamy pieniędzy?

– Niewiele.

– Wystarczy, żeby kupić kozłe skóry od pasterzy? I może trochę mięsa?

Rozpoczęła się skomplikowana rozmowa w trzech językach – Pie tłumaczył słowa Gentle'a na mowę zrozumiałą dla Kuthussa, który z kolei przekładał je tak, żeby zrozumieli go pozostali pasterze. Szybko dobili targu, najwidoczniej wizja gotówki podziałała na wyobraźnię ludzi gór. Zamiast jednak oddać przybyszom swoje płaszcze, dwaj z nich zabrali się do zarzynania i oprawienia czterech kóz. Ugotowanym mięsem podzieliła się cała grupa. Było tłustawe i na wpół surowe, ale Gentle i Pie nie odmówili poczęstunku. Spłukali go napojem przyrządzonym z wrzątku ze stopionego śniegu, suszonych liści i paru kropli napoju, który – według Pie – Kuthuss nazywał kozimi szczynami. Mimo wszystko postanowili go spróbować. Miał moc. Gentle wypił swoją porcję jednym haustem, jak wódkę. Nie przeszkadzało mu, że właśnie stał się amatorem koziego moczu.

Następnego dnia, zaopatrzeni w skóry, mięso i surowiec, którego wystarczyłoby na kilka garów pasterskiego napitku, a także w patelnię i dwie szklanki, pożegnali się w krótkich, niezrozumiałych słowach. Zima znów dała znać o sobie i wkrótce brnęli w zamieci. Spotkanie z pasterzami podniosło ich jednak na duchu i przez dwa i pół dnia dzielnie parli naprzód. Trzeciego dnia pod wieczór doeki Gentle'a zaczął zdradzać oznaki wyczerpania, spuścił smętnie łeb i z trudem wydeptywał sobie drogę w śniegu.

– Chyba powinien odpocząć – stwierdził Gentle.

Znaleźli niszę między dwoma wielkimi jak pagórki głazami i rozpalili ogień, żeby uwarzyć pasterskiego napoju. To właśnie on – bardziej chyba niż mięso – pozwolił im przetrwać najgorsze odcinki dotychczasowej drogi.

Mimo że starali się oszczędzać surowiec, zużyli już prawie cały zapas.

Pijąc, rozmawiali o tym, co ich jeszcze czeka. Przewidywania Kuthussa się sprawdzały. Pogoda była coraz gorsza, a szanse spotkania żywej istoty, która w razie potrzeby przysłaby z pomocą, na tej wysokości równały się zeru. Pie znów przypomniał Gentle'owi jego zapewnienia, że nie zginą, choćby przyszły zamiecie i huragany, a z gór spłynął ku nim głos samego Hapexamendiosa.

– Nadal jestem tego pewny – odparł Gentle. – Co nie przeszkadza mi się denerwować. – Przybliżył ręce do ognia. – Zostało jeszcze coś w nocniku?

– Chyba nie.

– Coś ci powiem. Kiedy będziemy tędy wracać...

Pie skrzywił się z powątpiewaniem.

– Będziemy, będziemy. Musimy wziąć od pasterzy przepis, żeby warzyć to cudo na Ziemi...

Od strony doeki dobiegło ich żalosne muczenie.

– To Chester!

Gentle poszedł sprawdzić, co się dzieje. Chester leżał na boku i ciężko dyszał. Z pyska i nozdrzy ciekła mu krew, topiąc śnieg.

– Niech cię diabli, Chester! Nie umieraj!

Pogłaskał zwierzę, które zwróciło na niego szkliste oczy, ostatni raz stęknęło i przestało oddychać.

– Właśnie straciliśmy połowę naszych środków transportu.

– Spójrz na to z innej strony. Zyskaliśmy tygodniowy zapas mięsa.

Gentle zerknął przez ramię na martwe zwierzę. Żałował, że nie posłuchał Pie i nadał doeki imię. Wysysając szpik z jego kości, będzie myślał o Kleinie.

– Ty to zrobisz czy ja? – zapytał. – Chyba ja. Skoro dałem mu imię, to muszę obdrzeć go ze skóry.

Mistyf nie oponował, zasugerował tylko, żeby drugiego wierzchowca odprowadzić kawałek dalej. Na widok oprawianego towarzysza mógłby stracić chęć do życia. Gentle odczekał, aż Pie odciągnie zaniepokojone zwierzę na bok, wziął do ręki nóż, który dostali przed wyjazdem z Beatrix, i zaczął bawić się w rzeźnika. Szybko przekonał się, że ani nóż, ani on sam nie nadają się do tej roboty. Skóra doeki była gruba, tłuszcz gumowaty, a mięso twarde. Po godzinie darcia i szarpania zdołał ściągnąć skórę z górnej połowy zadniej nogi i kawałka boku. Był cały spocony i lepki od krwi.

– Chcesz, żebym cię zastąpił? – zapytał Pie.

– Nie – odwarknął Gentle. – Dam sobie radę.

Próbował pracować dalej, chociaż osłabł i stępił nóż, ale w końcu wrócił do ogniska. Pie siedział bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w płomienie. Zirykowany porażką Gentle rzucił nóż w topniejący śnieg przy ogniu.

– Poddaję się – powiedział. – Jest twój.

Pie niechętnie sięgnął po nóż, naostrzył go na kamieniu i wziął się do pracy. Gentle nie patrzył. Krew, którą się ubrudził, napawała go odrazą, postanowił więc mimo mrozu trochę się umyć. W pobliżu ogniska znalazł miejsce, w którym ziemia nie była zdeptana, zdjął kozie futro i koszulę, i przyklęknął, żeby obmyć się śniegiem. Od razu dostał gęziej skórki, ale ten sprawdzian ducha i ciała pozwolił mu zaspokoić jakieś dziwne pragnienie umartwienia. Kiedy wytarł krew z rąk i twarzy, zaczął wcierać lodowaty śnieg w brzuch i pierś, chociaż ich nie ubrudził. Chwilę wcześniej zelżał wiatr. Widoczne między głazami niebo było bardziej złociste niż zielone. Gentle'a nagle ogarnęła chęć znalezienia się pod nim bez zbędnego brzemienia. Wciąż rozebrany wdrapał się na gład. Ręce mu drętwiały, a wspinaczka okazała się bardzo uciążliwa, jednak widok, jaki roztaczał się ze szczytu gładu, wynagrodził mu wszystkie trudy. Nic dziwnego, pomyślał, że Hapexamendios postanowił tutaj odpocząć. Takie piękno musiało urzezać nawet bogów. Szczyty Jokalay-lau ciągnęły się przed nim w nieskończonej procesji, białe zbocza lśniły złotawą poświatą spływającą z nieba, którego próbowały dosięgnąć. Większej ciszy nie sposób było sobie wyobrazić.

Punkt widokowy posłużył zarówno celom estetycznym, jak i praktycznym. Wysoką Przełęcz było widać jak na dłoni. Dalej na prawo rozciągała się sceneria tak niezwykła, że Gentle zawołał mistyfa, odrywając go od pracy. Kilometr, może dwa od miejsca, w którym się znajdowali, biegł połyskujący lodowiec. Ale to nie bezmiar lodu przyciągnął oko Gentle'a, lecz widoczne w nim ciemne kształty.

– Chcesz iść sprawdzić, co to jest? – spytał Pie, obmywając śniegiem ręce z krwi.

– Chyba należałoby. Jeżeli podążamy śladami Niewidzianego, powinniśmy próbować zobaczyć to, co on widział.

– I do czego doprowadził.

Zeszli do ogniska. Gentle włożył koszulę i futro. Nagrzały się, leżąc blisko płomieni, i przyjemnie było je mieć na sobie, ale śmierdziały jego potem i krwią zwierząt. Gentle trochę żałował, że nie może chodzić nagi.

– Oprawiłeś go? – spytał, kiedy ruszyli.

Szli pieszo, żeby nie trwonić energii ostatniego wierzchowca, jaki im został.

– Zrobiłem, co mogłem, ale wyszło dość topornie. Żaden ze mnie rzeźnik.

– A kucharz?

– Też nieszczególny. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Ostatnio dużo myślę o jedzeniu. Widzisz, po tej podróży może mi się do końca życia odechcieć mięsa. Ten łój! Te chrząstki! Na samą myśl niedobrze mi się robi.

– Lubisz słodczyce, co?

– Nie da się ukryć. Dałbym się pokroić za talerz ptysiów polanych kremem czekoladowym. – Gentle parsknął śmiechem. – To ci dopiero! Przed nami rozciągają się przepiękne Jokalaylau, a ja rozczulam się nad ptysiami. Czy w Yzordderrex znają czekoladę? – spytał poważniejszym tonem.

– Teraz już na pewno. Mój lud odżywia się dość zwyczajnie, więc nie zdążyłem uzależnić się od cukru. Co innego ryby...

– Ryby? Nie przepadam za rybami.

– W Yzordderrex je polubisz. Niedaleko portu są takie restauracje... – Mistyf uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Upodabnam się do ciebie. Chyba nie mam ochoty na mięso doeki.

– Mów dalej, chcę zobaczyć, jak ci ślinka cieknie.

– Niedaleko portu są restauracje, gdzie ryby jeszcze żywe trafiają do kuchni.

– To zachęta?

– Nie ma nic lepszego od świeżej ryby. Po dobrym połowie gość ma do wyboru czterdzieści, pięćdziesiąt dań, od maleńkich jep po squeffahy wielkie jak ja sam. Albo i większe.

– Są tam jakieś ryby, które znam?

– Kilka gatunków na pewno, ale chyba nie po to przebyłeś taki szmat drogi, żeby zjeść stek z dorsza, jeśli możesz dostać squeffaha? Mam lepszy pomysł. Jest takie danie, które będę musiał dla ciebie zamówić. Rybka nazywa się ugichee, niewiele większa od jepy. Żyje w żołądku innych ryb.

– Samobójczyni?

– To jeszcze nie wszystko. Tę drugą, większą rybę często zjada w całości coliaic. To rodzaj śledzia, paskudny jak noc, ale jego mięso dosłownie rozpływa się w ustach. Przy odrobinie szczęścia dostaniesz trzy sztuki zapieczo-

ne razem, tak jak je złapano...

- Jedną w drugiej?
- Z głową, ogonem i całą resztą.
- Obrzydlistwo.
- A jeżeli będziesz miał wyjątkowe szczęście...
- Pie!
- ...ugichee okaże się samicą i po rozcięciu trzech warstw mięsa...
- ...będę się mógł dostać do kawioru.
- Zgadłeś. Czy to nie kusząca perspektywa?
- Wolę mus czekoladowy i lody.
- Jak to możliwe, że się nie roztyłeś?
- Vanessa mówiła, że mam podniebienie dziecka, libido nastolatka, a...

No, reszty chyba sam się domyślasz. Uwielbiam się bzykać. W każdym razie kiedyś uwielbiałem.

Doszli tymczasem niemal na krawędź lodowca. Rozmowy o rybach i czekoladzie ustąpiły miejsca ponuremu milczeniu, kiedy z bliska zobaczyli zatopione w lodzie ludzkie ciała. Obok wrośnięte w lód, tkwiły odłamki błękitnego kamienia, olbrzymie misy z kutego metalu, zakrwawione resztki ubrań. Gentle wszedł na lód i ślizgając się, dotarł do miejsca dokładnie ponad ciałami. Niektóre tkwiły głęboko, ale te bliższe powierzchni lodu, z podniesionymi głowami i rozpaczliwie rozrzuconymi rękoma, były aż nazbyt dobrze widoczne. Wszystkie zmarłe istoty były kobietami – najmłodsza ledwie wyrosła z wieku dziecięcego, najstarsza była nagą wiedźmą o wielu piersiach. Oczy miała otwarte, lód utrwalił jej spojrzenie na tysiące lat. Albo gdzieś w pobliżu, albo nieco wyżej w górach, musiało dojść do masakry, której dowody zatopiono w rzece, gdy jeszcze swobodnie płynęła. Później zamarzła, więżąc ofiary i to, co miały przy sobie.

– Kim one są? – dziwił się Gentle. Ciała zachowały się tak doskonale, że czas przeszły wydawał mu się nie na miejscu. – Masz jakiś pomysł?

– W drodze przez Dominia Niewidziany obalał wszystkie prymitywne religie. Większość z nich czciła boginie; wyrocznie i najzagorzalsi wierni byli płci żeńskiej.

– Myślisz, że to robota Hapexamendiosa?

– Jeśli nie Jego osobiście, to Jego wysłanników. Jego Sprawiedliwych. Chociaż... podobno przybył tu sam, więc może to jednak Jego własne dzieło.

Gentle spojrział na zatopione w lodzie dziecko.

– Wobec tego jest mordercą. Nie lepszym niż ty czy ja.

– Na twoim miejscu nie mówiłbym tego głośno.

– Niby czemu? Tu go przecież nie ma.

– Jeżeli rzeczywiście On to zrobił, mógł zostawić kogoś na straży.

Gentle rozejrzał się dookoła. Powietrze było krystalicznie czyste, ale ani na polach śnieżnych w dole, ani wśród szczytów nic się nie poruszało.

– Nikogo nie widzę.

– Tacy, których nie widać, są najgorsi – odparł Pie. – Wracamy do ogniska?

2

Byli przygnębieni i droga powrotna zajęła im więcej czasu. Zanim wrócili do bezpiecznego schronienia w skalnej niszy, gdzie jedyny żywy doeki powitał ich radosnym pochrząkiwaniem, złocista poświata zaczęła spływać z nieba. Nadciągał zmierzch. Chwilę dyskutowali o tym, czy wyruszyć na noc, ale porzucili ten pomysł. Wypogodziło się wprawdzie, lecz z doświadczenia wiedzieli, że warunki atmosferyczne są na tej wysokości nieprzewidywalne. Gdyby w nocy zaskoczyła ich burza śnieżna, na pewno zgubiliby drogę. Teraz, gdy tak niewiele zostało im do Wysokiej Przełęczy, za którą podróż miała stać się znacznie łatwiejsza, nie chcieli ryzykować bez potrzeby.

Zebrane jeszcze w lesie drewno skończyło się, musieli dorzucić do ognia uprząż i siodło padłego wierzchowca. Ognisko paliło się niechętnie, wydziełało chmury gryzącego dymu, ale było lepsze niż nic. Ugotowali trochę mięsa. Gentle zauważył, że ma tylko niewielkie opory przed zjedzeniem zwierzęcia, któremu nadał imię. Zaparzył odrobinę napoju pasterzy i wrócili przy nim do rozmowy o kobietach zamrożonych w lodzie.

– Po co tak potężny bóg jak Hapexamendios miałby zabijać bezbronne kobiety? – dziwił się Gentle.

– A kto mówi, że były bezbronne? Przypuszczam, że miały sporą moc. Wyrocznie uprzedziły je, co się wydarzy, więc zdążyły przygotować wojsko...

– Wojsko? Armię kobiet?

– Oczywiście, dziesiątki tysięcy żołnierek. Na północ od Postnej Drogi, gdzie mniej więcej co pięćdziesiąt lat drży ziemia, odsłonił się kiedyś jeden z ich zbiorowych grobów.

– Wszystkie zginęły? Żołnierki, wyrocznie...

– Jeśli nie, to musiały się ukrywać, i to tak skutecznie, że po paru pokoleniach zapomniały, kim są. Nie ma się czemu dziwić, tak się zdarza.

– Ile bogiń pokonał jeden bóg? Dziesięć? Dwadzieścia?

– Nieprzeliczone mnóstwo.

– Jak to zrobił?

– Był jednością i prostotą. Ich było wiele i różnych.

– W jedności siła...

– Przynajmniej na krótką metę. Kto ci to powiedział?

– Próbuję sobie przypomnieć... Ktoś, kogo nie lubiłem. Może Klein.

– Mniejsza z tym, najważniejsze, że miał rację. Hapexamendios głosił w dominiach kuszącą ideę: gdziekolwiek jesteś i cokolwiek się dzieje, wystarczy wypowiedzieć jedno imię, odmówić jedną modlitwę, wznieść jeden ołtarz, a On otoczy cię opieką. Sprowadził też istoty, które miały utrzymywać zaprowadzony przez Niego porządek. Was.

– Te kobiety w łodzi wyglądały całkiem jak ludzie.

– Ja też tak wyglądam, a jednak nie jestem człowiekiem.

– To prawda... Masz bardzo niejednorodną naturę, prawda?

– Kiedyś miałem...

– Co stawia cię po stronie bogiń, prawda? – szepnął Gentle.

Mistyf przytknął palec do ust.

Gentle bezgłośnie poruszył wargami:

– To herezja.

Zapadła ciemna noc. Obaj wpatrywali się w płomienie, które przygasały coraz bardziej, pochłaniając resztki siodła.

– Może spalimy jakieś futro – podsunął Gentle.

– Nie, niech dogasa. Patrz.

– Na co?

– Na co chcesz.

– Mam tylko ciebie pod ręką.

– To patrz na mnie – powiedział Pie.

Gentle posłuchał go. Trudy ostatnich dni nie odbiły się specjalnie na mistyfie. Nie miał zarostu, który mąciłby symetrię jego rysów, od skąpej diety

nie zapadły mu się oczy i policzki. Obserwując tę twarz, Gentle miał wrażenie, że ogląda ulubiony obraz w muzeum. Była idealnie spokojna, piękna i niewzruszona, lecz w przeciwieństwie do obrazu zdolna do nieskończonych przemian. Upłynęły miesiące od dnia, gdy pierwszy raz był świadkiem tego zjawiska, teraz jednak, kiedy płomienie pełgały coraz słabiej i cienie się pogłębiały, zdał sobie sprawę, że taka sama chwila jest blisko. Symetria rozplynęła się w nagłym błysku ogniska, nieruchome rysy drgnęły.

– Chcę patrzeć... – mruknął Gentle.

– Zatem patrz.

– Ale ogień gaśnie...

– Nie potrzebujemy go, żeby widzieć się nawzajem – odparł szeptem mistyf. – Uważaj.

Gentle skupił się, nie odrywając wzroku od twarzy Pie. Wpatrywał się w nią z takim natężeniem, że oczy go rozbolewały, ale coraz trudniej przychodziło mu odpierać mrok.

– Przystań patrzeć... – powiedział Pie. Jego głos zdawał się dobiegać z umierających płomieni. – Przystań patrzeć i zobacz.

Gentle próbował doszukać się sensu w tych słowach, ale poddawały się analizie nie bardziej niż ciemność, która go otaczała. Zawodziły go dwa zmysły jednocześnie – jeden fizyczny, drugi językowy, dwa sposoby uchwycenia świata, który mu się wymykał. Miał wrażenie, że zaraz umrze. Ogarnął go paniczny lęk, taki sam, jak czasem, kiedy budził się w środku nocy we własnym ciele i własnym łóżku, i ani jednego, ani drugiego nie poznawał. Jego szkielet zaciskał się jak klatka, krew w żyłach gęstniała jak owsianka. Jedyne, czego był pewien, to że roztapia się w ciemności. W takich chwilach włączał wszystkie światła w domu. To przynosiło ulgę. Tu jednak nie było lamp – tylko ciała, które stawały się coraz zimniejsze, gdy ogień dogasał.

– Pomóż mi – powiedział Gentle.

Mistyf milczał.

– Jesteś tam, Pie? Boję się. Dotknij mnie, proszę.

Mistyf ani drgnął. Gentle wyciągnął rękę w jego kierunku. Przypomniał mu się Taylor. Leżał na poduszce, z której – o czym obaj wiedzieli – nie miał się już podnieść, i prosił Gentle'a, żeby wziął go za rękę. Strach zmienił się w smutek, w żal za Taylorem, za Clemem, za wszystkimi duszami, które zostały oddzielone od bliskich przez z natury niedoskonałe zmysły. Za sobą samym. Chciał jak dziecko potwierdzonej dotykem świadomości, że ktoś przy

nim jest. Wiedział jednak, że to nie jest żadne rozwiązanie.

Mógł znaleźć w ciemności mistyfa, ale tak samo jak nie był w stanie odzyskać zmysłów, które już stracił, nie mógł również na wieki zatrzymać go przy sobie. Nerwy ulegały rozkładowi, palce ześlizgiwały się z palców. Zdając sobie sprawę, że nie znajdzie w ten sposób pociechy, cofnął rękę.

– Kocham cię – powiedział.

A może tylko tak pomyślał? Nie sformułował sylab tych słów, lecz samą ideę, jak poświatę, którą zapamiętał z pierwszej przemiany Pie. Wiedział już, że blask mistyfa nie rozświetlał bezgwiazdnej nocy, lecz ciemność panującą w jego umyśle. Dostrzegł to nie dlatego, że otworzył oczy, lecz dzięki bliskości istoty, którą kochał i która jego kochała.

Uwolnił to uczucie i skierował je ku Pie, chociaż wątpił, by mogło swobodnie płynąć. Przestrzeń – tak jak i czas – należała do innej opowieści, do tragedii odosobnienia, które mieli już za sobą. Odarty ze zmysłów i ich wymagań, jakby znów znalazł się w łonie matki, poczuł ulgę mistyfa. Wiedział, że Pie go rozumie. Roztopienie się w mroku, którego tak się bał, objawiło mu się nagle jako źródło rozkoszy.

Podmuch wiatru wdarł się między głązy i na sekundę wzniecił z żaru płomień. Jego blask padł na twarz mistyfa i jej widok znów cofnął Gentle'a do czasów sprzed narodzin. Nie był to przykry powrót. Miejsce, które obaj znaleźli, istniało poza czasem i nie podlegało rozkładowi. Twarz Pie była piękna mimo swej kruchości. A może właśnie dzięki niej?

– Powinniśmy się przespać – stwierdził Gentle. – Jutro czeka nas daleka droga.

Następny podmuch przyniósł lodowate płatki śniegu, które osiadły mu na twarzy. Naciągnął na głowę kaptur i wstał zobaczyć, jak miewa się doeki. Zwierzę wygrzebało sobie w śniegu płytki dołek i zasnęło. Kiedy Gentle wrócił do ognia, który znalazł sobie jakiś łatwopalny strzęp i łapczywie go pożerał, mistyf też już spał. Głowę miał otuloną kapturem. Chociaż wiatr jęczał złowieszczo wśród skał, gotowy pogrzebać ich pod śniegiem, chociaż doliną zawładnęła śmierć, a przed nimi leżało słynące z okrucieństwa miasto, Gentle był szczęśliwy. Położył się na zmarzniętej ziemi obok mistyfa. Tuż przed snem przyszedł mu jeszcze na myśl Taylor, umierający na poduszce, która zmieniała się w śnieżne pole. Jego twarz robiła się coraz bardziej przezroczysta, aż w końcu rozpułnęła się całkowicie, tak że kiedy Gentle ześliznął się w otchłań snu, zamiast ciemności otuliła go biel łoża śmierci. Ze-

wsząd otaczał go świeży śnieg.

ROZDZIAŁ 23

1

Gentle śnił, że wiatr się wzmaga i zwiewa świeży śnieg z wierzchołków gór. Wstał jednak z względnie przytulnego legowiska przy wygasłym ogniu, zdjął futro i koszulę, zzuł buty, ściągnął skarpetki, spodnie i bieliznę. Nago przecisnął się wąską szczeliną między głazami. Minął śpiącego doeki i wyszedł na otwartą przestrzeń. Nawet we śnie wiatr przenikał go do szpiku kości, ale Gentle nie miał wyjścia – musiał pokornie udać się na lodowiec, z nagimi łędźwiami i grzbietem, żeby okazać należyty szacunek tym, którzy cierpieli w lodzie. Od wieków trwali w bólu, nie pomszczeni. Przy ich mękach jego niewygody nic nie znaczyły.

Niebo było dostatecznie jasne, żeby bez trudu znalazł drogę, ale pustkowiu zdawało się ciągnąć bez końca, a wiatr nasilał się coraz bardziej, kilka razy nawet przewrócił go w zaspę. Wszystkie mięśnie tężały z zimna, oddech stał się krótki i urywany, wydobywał się spomiędzy odrętwiałych warg pod postacią małych, zmrożonych obłoczków. Gentle miał ochotę płakać z bólu, ale łzy zamarzały mu na rzęsach i nie chciały płynąć.

Dwa razy zatrzymał się, wyczuwając, że burza niesie coś więcej niż śnieg. Przypomniawszy sobie słowa Pie o wysłannikach Hapexamendiosa, którzy mieli strzec miejsca zbrodni, i choć wiedział, że śni, bał się. Jeżeli te istoty naprawdę miały nie dopuszczać świadków do lodowca, nie ograniczą się do odpedzenia go na jawie. Dopadną go także we śnie. Ci, którzy tak jak on przychodzą, by okazać szacunek zabitym, muszą szczególnie je złościć. Rozglądał

się, próbując przebić wzrokiem śnieg. Raz nawet wydawało mu się, że dostrzega nad głową kształt niewidzialnej istoty, wokół której śnieg się rozstępował. Przypominała węgorza z kulistym łbem, ale zniknęła tak szybko, że zaczął wątpić, czy w ogóle ją widział. Całą siłą woli zmuszał mięśnie do wysiłku, aż stanął na skraju lodowca. Otarł śnieg z czoła i policzków, zszedł na lód. Kobiety patrzyły na niego tak samo jak wtedy, gdy znalazł się tutaj z Pie'oh'pahem, ale teraz stał nad nimi nagi i drżący, ze skurczoną z zimna męskością. Jego twarz i wargi wyrażały pytanie, na które znał tylko część odpowiedzi. Jeżeli zbrodni rzeczywiście dopuścił się sam Hapexamendios, który dysponował przecież wielkim niszczycielskim potencjałem, dlaczego nie usunął wszelkiego śladu po swoich ofiarach? Czy dlatego że były kobietami, i to obdarzonymi mocą? Czy to możliwe, że zaszkodził im, ile mógł – zdruzgotał ich ołtarze i zburzył świątynie – ale ich samych unicestwić nie zdołał? A jeśli tak, to czy lodowiec stał się dla nich grobowcem, czy tylko więzieniem?

Uklęknął i przytknął dłonie do lodu. Tym razem z całą pewnością usłyszał głos. Wiatr przyniósł chrapliwy skowyt. Niewidzialni strażnicy dość już mieli jego sennej postaci. Zrozumieli, do czego zmierza, i zaczęli zataczać w powietrzu koła, szykując się do ataku. Dmuchnął w dłoń i zacisnął pięść, zanim powietrze się z niej wydostało. Wziął zamach i uderzył w lód, w tym samym momencie otwierając dłoń.

Uwolniona pneuma zadudniła niczym grzmot. Jeszcze nie umilkło echo i ziemia nie przestała drżeć, a Gentle już wymierzył w lód drugi oddech, zaraz po nim dwa dalsze. Pneumy biły w twardą jak stal powierzchnię z taką mocą, że gdyby nie amortyzowały uderzenia, potrzaskałyby sobie wszystkie kości od nadgarstka po czubki palców. Jego wysiłki przyniosły pewien skutek. Z miejsca uderzenia rozchodziły się promieniście cienkie jak włos szczeliny.

Zachęcony, wymierzał kolejne ciosy w lodowiec, gdy wtem coś złapało go za włosy i wykręciło mu głowę do tyłu. Drugi chwyt unieruchomił jego podniesione ramię. Zanim Gentle został podniesiony w powietrze, poczuł, jak lód pęka mu pod stopami. Szarpał się i próbował wyrwać – gdyby dał się ponieść zbyt wysoko, zginałby niechybnie, bo napastnik albo rozszarpałby go wysoko w chmurach, albo po prostu upuścił na ziemię.

Uchwyt na włosach był słabszy, toteż Gentle, wijąc się rozpaczliwie, zdołał się z niego uwolnić, chociaż przy okazji krew pociekła mu po twarzy. Podniósł wzrok i wtedy zobaczył swoich prześladowców. Było ich dwóch, każdy miał szczątkowy łeb skąpo obrośnięty mięśniami, długi na dwa metry

kręgosłup, z którego wyrastały niezliczone żebra, i dwanaście pozbawionych kości kończyn. Tylko w ruchu tych stworów, w płynnych, węzowych splotach ciał było coś pięknego.

Gentle wyciągnął rękę i złapał bliższy z dwóch łbów. Brakowało mu wprawdzie konkretnych rysów twarzy, ale wyglądał delikatnie, a Gentle'owi dłoń wibrowała jeszcze echem ostatniej pneumy. Wbił palce w ciało bestii, która zaczęła się wić z bólu. Oplotła ciało towarzysza, szukając w nim oparcia, i na oślep młóciła kończynami. Gentle szarpnął się mocno, uwolnił i poleciał w dół. Spadł z wysokości niespełna dwóch metrów, ale boleśnie uderzył w twarde, potrzaskany lodowiec. Nie mógł złapać tchu, a co dopiero uciekać. Strażnicy rzucili się na niego. Wiedział, że to już koniec – czy we śnie, czy na jawie, te stwory umiały zadać ostateczną śmierć.

Zanim jednak dopadły go, oślepiły i wykastrowały, lodowiec zadygotał i wypiętrzył się z łoskotem. Gentle poleciał w śnieg. Obsypały go ostre odłamki, ale mrużąc oczy, ujrzał, jak odziane w lód kobiety powstają z grobu. Wstrząsy się wzmogły, a grzmot towarzyszący uwolnieniu kobiet niósł się echem daleko wśród gór.

Gentle uciekł co sił w nogach.

Burza dyskretnie osłoniła śniegiem scenę zmartwychwstania. Nie wiedział więc, czy dzieło, które zapoczątkował, dokonało się. Jedno było pewne – wysłannicy Hapexamendiosa go nie ścigali, co stanowiło jednak wątplą pociechę. Był mocno poobijany, a do obozu miał spory szmat drogi. Nie mógł długo biec, nogi mu się plątały, potykał się i zataczał, znacząc swój ślad krwią. Doszedł do wniosku, że czas przestać śnić i otworzyć oczy. Chciał przewrócić się na drugi bok, przytulić Pie'oh'paha, ucałować i podzielić się z nim tą wizją. Miał jednak zbyt wielki zamęt w głowie, żeby udało mu się uchwycić mocno jawy i przebudzić. Bał się nawet położyć w śniegu, by śmierć we śnie nie uprzedziła poranka i przebudzenia. Brnął naprzód, słabnąc z każdym krokiem, i starał się nie myśleć o tym, że mógł zabłądzić w drodze do obozowiska.

Spuścił wzrok i patrzył na swoje stopy, gdy usłyszał krzyk. Odruchowo zadarł głowę, szukając w zamieci stworów Niewidzianego, ale zanim spojrzał pionowo w górę, dostrzegł ruch z lewej strony, na ziemi. Mająca w śnieżycy postać była kudłata i zakapturzona, ale rozkładała przyjaźnie ręce. Skreślił i ruszył prosto na spotkanie mistyfa. Pie poruszał się szybciej, podszedł, zrzucił na niego z ramion kozią skórę, pozwalając zatopić się w jej ciepłe.

Gentle nie czuł tego ciepła, w ogóle poza ogromną ulgą mało co czuł. Niesiony przez mistyfa, zatracił wszelkie świadome myśli i resztę wędrówki zapamiętał jako rozmazaną chmurę śniegu. Dobiegał z niej chwilami głos Pie, który zapewniał go, że są już blisko.

*

– Nie śpię? – Otworzył oczy i usiadł, chwytając się płaszczem mistyfa. – Czy ja nie śpię?

– Nie.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu. Bałem się, że zamrznę na śmierć.

Opadł na posłanie. Na twarzy i całym ciele czuł ciepło podsycanego zwierzęcą skórą ogniska. Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, co to oznacza. Usiadł i stwierdził, że jest nagi. Nagi i poraniony.

– Dalej śpię! Cholera jasna! Wcale się nie obudziłem!

Pie zdjął z ognia garnek i nalał pasterskiego naparu do kubka.

– To ci się wcale nie przyśniło – rzekł, podając kubek Gentrowi. – Poszedłeś na lodowiec i ledwie udało ci się wrócić.

Gentle wziął kubek w zakrwawione dłonie.

– Musiałem chyba oszaleć. Myślałem: to mi się tylko śni. A potem zacząłem się rozbierać... Po co, do ciężkiej cholery?

Pamiętał, jak brnąc przez zasy, dotarł do lodowca. Pamiętał też ból i odłamki lodu, ale reszta wspomnień zalegała tak głęboko, że nie potrafił ich przywołać. Pie wyczytał to z jego oczu.

– Nie próbuj sobie teraz nic przypominać – powiedział. – We właściwym czasie wspomnienia same wrócą, a jak będziesz za bardzo naciskał, serce ci pęknie. Powinieneś się przespać.

– Nie mam ochoty. To zbyt podobne do umierania.

– Będę przy tobie – zapewnił Pie. – Twoje ciało potrzebuje odpoczynku. Pozwól mu o siebie zadbać.

Mistyf rozgrzał nad ogniem koszulę Gentle'a. Teraz ostrożnie pomógł mu ją włożyć. Gentle czuł, jak sztywniej mu stawy, ale bez pomocy Pie wciągnął spodnie, chociaż nogi miał pokaleczone i pokryte siniakami.

– Nie wiem, co tam nawyrabiałem, ale sam na pewno nieźle sobie dowaliłem – stwierdził.

– Szybko zdrowiejesz – zauważył Pie. Miał rację, chociaż Gentle nie przy-

pominał sobie, żeby dzielił się z nim tą informacją. – Idź spać. Obudzę cię, jak zrobi się jasno.

Gentle oparł głowę na stosiku skór, które Pie przygotował mu zamiast poduszki, i pozwolił przykryć się futrem.

– Śnij o snach. – Pie pogłaskał go po twarzy. – I zbudź się w jednym kawałku.

2

Gentle'owi się wydawało, że ledwie zasnął, a Pie od razu go obudził. Widoczne w szczelinie między skałami niebo było jeszcze ciemne, ale purpurowa czerń nocy w Jokalaylau ustąpiła przed szarym półmrokiem śnieżnych chmur. Gentle usiadł. Był wyczerpany, bolały go wszystkie kości.

– Dałbym się pokroić za filiżankę kawy – mruknął. Postanowił się nie przeciągać, żeby oszczędzić sobie bólu. – I ciepłego croissanta z czekoladą.

– Jeżeli nie mają ich w Yzordderrex, wymyślimy je – obiecał Pie.

– Zaparzyłeś coś?

– Nie ma już czym palić.

– Jaka pogoda?

– Nie pytaj.

– Aż tak źle?

– Powinniśmy ruszać. Im więcej napada śniegu, tym trudniej będzie znaleźć przełęcz.

Obudzili doeki, który głośno dał wyraz swemu niezadowoleniu z faktu, że na śniadanie zamiast siana dostanie kilka zachęcających słów. Załadowali mu na grzbiet mięso, które Pie przyrządził poprzedniego dnia, i wyszli z kryjóweki między głazami prosto w śnieżny bezmiar. Pie upierał się, żeby wyczerpany Gentle dosiadł wierzchowca, ale trafił mu do przekonania argument, że mogą go jeszcze obaj potrzebować, gdyby wpadli w gorsze tarapaty. Należało oszczędzać zwierzaka na czarną godzinę. Wkrótce Gentle zaczął się potykać i zapadać w śniegu po pas. Sen trochę go wzmocnił, ale trudy podróży przerastały.

– Wsiadasz – zdecydował Pie.

Tym razem nie musiał tego dwa razy powtarzać. Gentle wgramolił się na doeki tak osłabiony, że z trudem utrzymywał równowagę w siodle, a po którymś z kolei gwałtownym podmuchu przylgnął do szyi wierzchowca. Od tego momentu rzadko podnosił głowę.

– Nie powinniśmy już być na przełęczy? – wymamrotał za którymś razem, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz mistyfa. Zrozumiał, że zabłądzili.

Wyprostował się z wysiłkiem. Zmrużył oczy, żeby osłonić je przed zacinającym śniegiem, i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Dookoła jak okiem sięgnąć rozciągała się biel, tylko on, doeki i Pie tworzyli ciemniejsze plamy. Nawet oni coraz bardziej upodabniali się do otoczenia, gdyż śnieg oblepiał futra. Do tej pory, mimo przeciwności losu, ani razu nie pomyślał o tym, że może im się nie udać; sam się nawrócił na ewangelię własnej niezniszczalności. Teraz jednak coraz częściej przychodziło mu do głowy, że się oszukuje. Biały świat wyszła z nich wszelkie barwy i dosięgnie bieli ich kości.

Wychylił się, żeby złapać Pie za ramię, ale źle ocenił odległość i spadł z siodła. Pod doeki ugięły się nogi i gdyby nie refleks Pie, Gentle zostałby zmiażdżony jego ciężarem. Odrzucił na plecy kaptur, odgarnął śnieg z karku i wstał. Pie posłał mu udręczone spojrzenie.

– Myślałem, że dobrze idziemy... – mruknął.

– Oczywiście.

– Jednak jakimś cudem minęliśmy przełęcz. Idziemy teraz pod górę, Gentle, i nie mam zielonego pojęcia, gdzie, do ciężkiej cholery, jesteśmy.

– W tarapatach. W dodatku zmęczenie nie pozwala nam rozsądnie myśleć. Musimy odpocząć.

– Gdzie?

– Tutaj. Zamieć nie może trwać wiecznie. W chmurach jest ograniczony zapas śniegu, którego większość już spadła, prawda? Prawda?! Jeżeli przetrzymamy śnieżycę i zobaczymy, gdzie jesteśmy...

– A jeśli przez ten czas znów zrobi się ciemno? Zamarzniemy, przyjacielu.

– Jakie mamy inne wyjście? Idąc dalej, zamęczymy doeki, a przy okazji samych siebie. W tych warunkach możemy w każdej chwili spaść w jakąś przepaść, natomiast jeśli zostaniemy tu, w tym miejscu, razem... Może nam się uda.

– Wydawało mi się, że wiem, gdzie iść.

– Może miałeś rację i kiedy niebo się przetrze, okaże się, że jesteśmy za przełęczą. – Gentle oparł dłonie na ramionach mistyfa. Pogłaskał go po karku. – Nie mamy wyboru – powiedział wolno i wyraźnie.

Pie skinął głową i razem schronili się za wątpliwą zasłoną, jaką stanowił doeki. Zwierzę oddychało jeszcze, ale podejrzewali, że niewiele życia mu zostało. Co zrobią, gdy doeki padnie, a burza nie zelżeje? – myślał Gentle. Jeżeli śmierć zajrzy im w oczy, najlepiej byłoby wspólnie stawić jej czoło. Podciąliby sobie żyły i razem się wykrwawili, zamiast zamarzać powoli i do końca udawać, że jeszcze mogą wyjść z tego cało. Miał nawet ochotę powiedzieć o tym głośno, dopóki starczało mu sił i koncentracji, ale kiedy odwrócił się w stronę mistyfa, usłyszał w ryku wiatru głos, który kazał mu wstać. Podniósł się i byłby upadł z powrotem, obalony podmuchem wichury, gdyby Pie nie wstał razem z nim i go nie podtrzymał. Nie zobaczyłby wtedy majaczących w zamieci sylwetek.

Pie nachylił się do niego.

– Jak się stamtąd wydostały, do cholery?

Kobiety stały sto metrów przed nimi. Stopami dotykały śniegu, ale nie zostawiały na nim śladów. Były opatulone szatami wydobytymi z lodu, które wydymały się wokół nich, targane wiatrem. Niektóre trzymały w rękach skarby, z którymi uwięziono je w lodowcu: fragmenty świątyni, części arki, odłamki ołtarza. Dziewczynka, której widok tak poruszył Gentle'a, niosła wykutą w błękitnym kamieniu głowę bogini. Rzeźba była bardzo zniszczona, miała popękane policzki, brakowało jej oka i kawałka nosa, ale mimo to lśniła delikatną poświatą.

– Czego one chcą? – spytał Gentle.

– Może ciebie? – podsunął Pie.

Kobieta stojąca najbliżej, której długie, szarpane wichurą włosy stały dęba, skinęła ręką.

– Chyba obaj powinniśmy do niej podejść – zasugerował Gentle.

– Na to wygląda. – Pie ani drgnął.

– No to na co czekamy?

– Myślałem, że są martwe – przyznał mistyf.

– Może były.

– Mamy kierować się wskazówkami otrzymanymi od widm? To chyba niezbyt mądre.

– Same nas znalazły, Pie.

Kobieta odwróciła się powoli na palcach, niczym mechaniczna Madonna, którą Gentle dostał kiedyś w prezencie od Clema. Figurka kręciła się, a pozytywka wygrywała „Ave Maria”.

– Jeśli się nie pospieszymy, stracimy je z oczu. O co ci chodzi, Pie? Rozmawiałeś już z duchami.

– Ale nie z takimi. Nie wszystkie boginie miały matczyną, zdolną do wybaczenia naturę. Ich rytuały też nie nadawałyby się dla dzieci. Boginie bywały okrutne. Wierne składały im mężczyźni w ofierze.

– Myślisz, że po to właśnie jesteśmy im potrzebni?

– To nie jest wykluczone.

– Mamy więc do wyboru przyjąć tę możliwość lub zostać tu na pewną śmierć.

– Decyzja należy do ciebie.

– Nie, tę podejmiemy wspólnie. Możesz oddać jeden głos z dwóch i bierziesz na siebie połowę odpowiedzialności za wynik głosowania.

– A ty co byś chciał zrobić?

– Znowu to samo... Chociaż raz sam się na coś zdecyduj!

Pie spojrział na znikające w zamieci kobiety. Przeniósł wzrok na Gentle'a, na doekiego, znów na Gentle'a.

– Słyszałem, że one jedzą męskie jądra.

– No to czym się martwisz?

– Dobrze! – burknął mistyf. – Chodźmy za nimi.

– Decyzja zapadła jednogłośnie.

Pie próbował postawić doeki na nogi. Zwierzę nie miało ochoty się ruszać, ale mistyf w trudnych chwilach potrafił soczyście zakląć i nie żałował mu teraz ostrych słów.

– Pospiesz się, bo je zgubimy! – ponaglił go Gentle.

Zwierzę wstało wreszcie i Pie, ciągnąc je za uzdę, ruszył w ślad za Gentle'em, który brnął przez śnieg i z trudem nadążał za przewodniczkami. Chwilami zupełnie znikają mu z oczu, ale widział, że ta, która na nich kiwała, odwraca się od czasu do czasu. Nie chciała, żeby znów się zgubili. Wreszcie z zawiei wyłonił się cel ich wędrówki – skalna ściana, szara i stroma, której szczyt ginął we mgle.

– Jeżeli myśłą, że wleziemy na górę, to niech jeszcze raz się zastanowią! – zawołał Pie, przekrzykując zawodzenie wiatru.

– Są drzwi! – odkrzyknął przez ramię Gentle. – Widzisz?

Słowo „drzwi” bardzo pochlebiało poszczerbionej szczelinie, która jak czarna błyskawica wcinała się w ścianę urwiska. Jednak obiecywała przynajmniej jakieś schronienie.

– Widzisz, Pie? – Gentle odwrócił się do tyłu.

– Widzę, ale kobiety gdzieś zniknęły.

Faktycznie, albo weszły w szczelinę, albo pofrunęły do nieba. W każdym razie zniknęły w mgnieniu oka.

– To widma – stwierdził zaniepokojony Pie.

– Jeśli nawet, co z tego? Wskazały nam kryjówkę.

Gentle wziął od Pie uzdę i zaczął przemawiać do zwierzęcia:

– Widzisz tę dziurę w ścianie? W środku będzie ciepło. Pamiętasz, co to znaczy?

Śnieg padał coraz gęściej, gdy pokonywali ostatnie kilkaset metrów dzielących ich od skały; zalegał sięgającymi do pasa zaspami, ale całą trójką – człowiek, zwierzę i mistyf – szczęśliwie dotarli do szczeliny. W środku czekało ich coś więcej, nie tylko zaciszny kąt. Światło. Czarne ściany wąskiego korytarza obrastał lód, a gdzieś w głębi jaskini płonął ogień. Gentle wypuścił uzdę z ręki i mądry doeki podreptał powoli korytarzem, a echo niesło stukot jego kopyt. Pie z Gentle'em wkrótce dotarli do dużej, płytkiej misy z kutego mosiądzu, w której wesoło płonął ogień. Intrygujące, że płomienie były błękitne, a nie złote, w dodatku nie potrzebowały paliwa, gdyż unosiły się jakieś piętnaście centymetrów ponad pustym dnem misy. Dawały jednak rozkoszne ciepło. Grudy lodu rozmarzały i wypadały Gentle'owi z brody, płatki śniegu na gładkim czole i policzkach Pie zmieniały się w kropelki wody. Gentle krzyknął z radości i rozłożył ramiona, żeby objąć Pie'oh'paha.

– Nie umrzemy! – zawołał. – A nie mówiłem? Nic się nam nie stanie!

Mistyf uścisnął Gentle'a, muskając wargami najpierw jego szyję, a potem twarz.

– Dobrze, myliłem się – przyznał. – Przyznaję bez bicia!

– To co, idziemy poszukać tych kobiet?

– Oczywiście!

Kiedy ucichło echo ich entuzjastycznych okrzyków, dosłyszeli delikatny dźwięk, jak brzęk lodowego dzwoneczka.

– Wzywają nas – stwierdził Gentle.

Doeki czuł się przy ogniu jak w raju i nie było mowy, żeby Pie zdołał zmusić go do wstania z ziemi.

– Zostaw go na razie. – Gentle uprzedził nową wiązaną wyzwisk pod adresem zwierzęcia. – Dobrze nam służył, niech odpocznie. Później po niego wrócimy.

Korytarz, którym dalej szli, nie tylko zakręcał, ale rozwidlał się, i to wielokrotnie. Wszystkie odnogi były oświetlone blaskiem płomieni w misach. Wybierali drogę, kierując się dźwiękiem dzwoneczków, który wcale się nie przybliżał. Naturalnie, każde rozwidlenie zmniejszało szansę, że uda im się wrócić do wierzchowca.

– To istny labirynt – stwierdził Pie z dawnym niepokojem w głosie. – Powinniśmy się chyba zatrzymać i zastanowić, co właściwie robimy.

– Szukamy bogini.

– A przy okazji tracimy środek transportu. Żaden z nas daleko na piechotę nie zajdzie.

– Nie czuję się wcale tak kiepsko. Tylko ręce... – Gentle podniósł dłonie. Były opuchnięte, poranione i sine. – Pewnie cały wyglądam podobnie. Słyszałeś dzwoneczki? Przysiągłbym, że brzęknęły za najbliższym zakrętem!

– Tak jak przez ostatnie trzy kwadransy. Nie zbliżamy się do nich. To jakaś sztuczka. Wracajmy, zanim ktoś zarżnie doeki.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał tu przelewać krew – odparł Gentle. Rozległo się dzwonięcie. – Posłuchaj, naprawdę jesteśmy blisko. – Ślizgając się na lodzie, podszedł do najbliższego zakrętu. – Pie! Chodź, zobacz.

Pie podszedł do niego. Za zakrętem korytarz się zwężył i kończył drzwiami.

– Nie mówiłem?

Gentle przekroczył próg.

Sanktuarium, które się za nimi znajdowało, nie było duże – najwyżej wielkości skromnego kościółka – ale wykuto je w skale z taką maestrią, że robiło naprawdę niesamowite wrażenie. Uległo jednak znacznym zniszczeniom. Przetrwały niezliczone kolumny, wyciosane przez mistrzów kamieniarstwa, i sklepienia z połyskliwego jak lód kamienia, ale ściany się częściowo zawaliły, a podłoga w wielu miejscach zapadła. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zorientować się, że przedmioty zamrożone w lodowcu stanowiły niegdyś część wyposażenia wnętrza. Na środku leżały resztki ołtarza, wśród nich kawałki niebieskiego kamienia – takiego samego jak ten, który trzymała w rękach dziewczynka. Bez wątplenia znajdowali się w miejscu, które odwiedził Hapexamendios.

– Podążamy Jego śladem – mruknął Gentle.

– Z pewnością. Był tutaj.

– Kobiety też. Chociaż nie wydaje mi się, żeby jadły męskie jądra. Podejrzewam, że odprawiały tu bardziej czułe obrzędy. – Gentle przykucnął i dotknął odłamka rzeźby. – Ciekawe, co tu się działo. Chciałbym być świadkiem takich rytuałów.

– Zostałbyś rozerwany na strzępy.

– Czemu?

– Te obrzędy nie były przeznaczone dla męskich oczu.

– Ale ty byś się tu prześliznął, co? Byłbyś idealnym szpiegiem. Przed tobą nie miałyby tajemnic.

– Nie chodzi o to, co mógłbym zobaczyć – odparł cicho Pie – lecz o to, co bym poczuł.

Gentle spojrział na niego z podziwem.

– Chyba ci zazdrozczę, Pie. Wiesz, co czują obie strony, prawda? Nigdy o tym nie myślałem. Powiesz mi, jak to jest?

– Będzie dla ciebie lepiej, jeżeli sam się przekonasz.

– Jak mam to zrobić?

– Nie czas teraz...

– Powiedz mi.

– Mistyfy też mają swoje obrzędy, tak jak mężczyźni i kobiety. Nie bój się, nie będziesz musiał mnie szpiegować. Zaproszę cię, jeśli chcesz.

Głęboko w duszy Gentle poczuł łagodne ukłucie lęku. Naoglądawszy się podczas wędrówki najrozmaitszych cudów, zrobił się strasznie zblazowany, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie wie praktycznie nic o istocie, której towarzyszył. Od czasu pierwszego spotkania w Nowym Jorku nie widział jej nagiej, nie całował jej jak kochanek, nie pozwalał sobie na żadne seksualne skojarzenia na jej temat. Może dlatego że myślał o kobietach i ich tajemnych rytuałach, ale czy mu się to podobało, czy nie, był teraz podniecony.

Ból wyrwał go z zamyślenia. Gentle spojrział na obolałe ręce. Ze zdenerwowania zacisnął je w pięści i pootwierały mu się rany na dłoniach. Wstrząsająco czerwona krew kapiała na skrzący mu się pod stopami lód.

Na jej widok przypomniał sobie coś, co skrywał w najdalszych zakamarkach pamięci.

– Co się stało? – zdziwił się Pie.

Gentle'owi zaparło dech w piersi. Słyszał trzask zamarzniętej rzeki pod

stopami i skowyt wysłanników Niewidzianego, którzy kołowali nad jego głową. Czuł, jak uderza ręką w lód, uderza, uderza i uderza, a lodowe igły biją go po twarzy.

Mistyf stanął obok niego.

– Powiedz coś, Gentle – poprosił zaniepokojony. – Co się dzieje?

Położył mu ręce na ramionach. Czując jego dotyk, Gentle zdołał nabrać powietrza w płuca.

– Kobiety... – wybełkotał.

– Co kobiety?

– To ja je uwolniłem.

– Jak?

– Użyłem pneумы. Jak inaczej?

– Zniszczyłeś dzieło Niewidzianego? – wyszeptał mistyf ledwie słyszalnym głosem. – Dla naszego własnego dobra, mam nadzieję, że poza kobietami nikt tego nie widział.

– Miałeś rację. Zostawił strażników. Omal mnie nie zabili, ale się im odgryzłem.

– To niedobrze.

– Jak to? Skoro ja cierpię, niech i on trochę pokrwawi.

– Hapexamendios nie krwawi.

– Wszystko krwawi, Pie. Nawet bóg. Zwłaszcza bóg. Po co by się ukrywał, gdyby było inaczej?

Tym razem dźwięk dzwoneczków zabrzmiał naprawdę bardzo blisko.

– Pewnie specjalnie czekała na tę małą herezję. – Pie zerknął ponad ramieniem Gentle'a.

Gentle odwrócił się i ujrzał ich przewodniczkę, która stała w cieniu. Otułający jej ciało lód nie stopniał, co dowodziło, że jest równie zimna jak ściany jaskini. We włosach miała pajęczyny szronu. Kiedy leciutko poruszyła głowę, zadzwoniły jak maleńkie dzwoneczki.

– Wydobyłem was z lodu – powiedział Gentle. Podszedł do kobiety, która wciąż milczała. – Rozumiesz, co mówię? Wyprowadzisz nas stąd? Chcielibyśmy przejść na drugą stronę gór.

Cofnęła się w głębszy cień.

– Nie bój się – próbował ją uspokoić. – Pie! Chodź, pomóż mi!

– W jaki sposób?

– Może ona nie zna angielskiego?

– Rozumie cię wystarczająco dobrze.

– Porozmawiaj z nią, proszę.

Jak zwykle posłuszny Pie przemówił w języku, którego Gentle nigdy nie słyszał. Nie rozumiał słów, ale łagodna melodia działała kojąco. Ani melodia, ani treść przemowy nie zrobiły jednak na kobiecie żadnego wrażenia. Cofała się w ciemność, a Gentle ostrożnie szedł za nią. Bał się ją spłoszyć. Coraz rzadziej dodawał coś od siebie do słów mistyfa:

– Przysługa za przysługę...

Pie się nie mylił. Rozumiała go. Gentle widział błakający się po jej ustach uśmieszek. Do cholery, pomyślał, dlaczego nie chce mi odpowiedzieć? Dzwoneczki dźwięczały jej we włosach i szedł ich śladem, nawet gdy niemal zupełnie rozplynęła się w mroku. Obejrzał się na mistyfa, który porzucił próby porozumienia się z kobietą i ostrzegł go:

– Nie idź dalej.

Dzieliło ich najwyżej pięćdziesiąt metrów, ale głos Pie wydał się nienaturalnie stłumiony, jak gdyby przestrzeń pomiędzy nimi rządziła się innymi prawami.

– Tutaj jestem! – odrzyknął Gentle. – Widzisz mnie?

Kiedy Pie odpowiedział, że tak, Gentle znowu wbił wzrok w ciemność. Kobieta zniknęła na dobre. Zaklął i rzucił się do miejsca, w którym widział ją po raz ostatni. Wrażenie niezwykłości pogłębiało się. Ciemność zwodziła go niczym kiepski łgarz, który wzruszeniem ramion próbuje zbyć rozmówcę. Nie dał się odpędzić. Im bardziej mrok zdawał się drzeć, tym silniejszą czuł Gentle pokusę, żeby sprawdzić, co skrywa. Nic nie widział, ale zdawał sobie sprawę z ryzyka. Przed chwilą sam powiedział mistyfowi, że wszystko krwawi, lecz nikt, nawet Niewidziany, nie mógł zranić ciemności. Gdyby go złapała, może drzeć ją pazurami po wieczne czasy i nawet nie zadraśnie jej nagiego grzbietu.

– Gdzieś ty polazł, do cholery! – wolał Pie, zagłębiając się w cień.

– Nie idź dalej – ostrzegł go Gentle.

– Dlaczego?

– Mogę potrzebować punktu orientacyjnego, żeby wrócić.

– Wystarczy, że się odwrócisz.

– Nie zrobię tego, dopóki jej nie znajdę.

Gentle brnął przed siebie z rozłożonymi szeroko rękoma. Musiał bardzo uważać, żeby nie pośliznąć się na pokrytej lodem podłodze. Zdawał sobie

sprawę, że bez przewodniczki zgubią się w labiryncie. Musiał ją odszukać.

– Słyszysz mnie jeszcze?! – krzyknął do Pie.

Głos, który mu odpowiedział, brzmiał jak międzymiastowa na kiepskiej linii telefonicznej.

– Mów do mnie! – wołał Gentle.

– Co mam mówić?

– Co chcesz. Zaśpiewaj jakąś piosenkę.

– Nie mam za grosz słuchu.

– No to opowiedz coś o jedzeniu.

– Dobrze. Mówiłem ci już o ugichee i ikrze, którą nosi w brzuchu...

– To najbardziej obrzydliwa potrawa, o jakiej słyszałem.

– Kiedy raz spróbujesz, polubisz.

– Powiedziała aktorka do biskupa.

Dobiegł go stłumiony śmiech mistyfa.

– Nienawidziłeś mnie prawie tak samo, jak teraz tej ryby, pamiętasz? Nawróciłem cię.

– Nigdy cię nie nienawidziłem.

– A w Nowym Jorku?

– Wtedy też nie. Byłem po prostu zmieszany. Nigdy wcześniej nie spałem z mistyfem.

– Jak ci się podobało?

– Lepsze od ryby, ale nie tak dobre jak czekolada.

– Co powiedziałaś?

– Że...

– Gentle? Ledwie cię słyszę.

– Jestem tutaj! – krzyknął Gentle. – Chciałbym kiedyś zrobić to jeszcze raz, Pie!

– Co zrobić?

– Pójść z tobą do łóżka.

– Będę musiał to przemyśleć.

– Czego oczekujesz? Oświadczyn?

– To byłby dobry pomysł.

– W porządku. Wyjdź za mnie! – zawołał Gentle.

Odpowiedziała mu cisza. Zatrzymał się i odwrócił. Pie był już tylko zamażaną sylwetką na tle odległej poświaty ognia w sanktuarium.

– Słyszałeś?!

– Zastanawiam się – odparł mistyf.

Gentle parsknął śmiechem.

– Nie będę czekał całą wieczność, Pie! Muszę mieć twoją odpowiedź... –
Palcami wyciągniętej ręki dotknął czegoś zimnego i twardego. – Cholera jasna!

– Co się stało?

– To ślepy zaułek! – Gentle zrobił jeszcze krok do przodu i przesunął dłońmi po lodzie. – Korytarz kończy się ścianą.

Ale to nie była cała prawda. Przeczucie, że w tym miejscu jest coś niezwykłego, jeszcze bardziej się wzmogło. Za tą ścianą znajdowało się coś, czego nie mógł dosięgnąć.

– Wracaj już! – zawołał błagalnie Pie.

– Jeszcze nie – mruknął Gentle, wiedząc, że mistyf nie dosłyszy tych słów. Podniósł dłoń do ust i złapał w pięść mgiełkę swojego oddechu.

– Słyszysz mnie, Gentle?!

Bez słowa grzmotnął pneumatą w ścianę – jego dłonie opanowały tę technikę do perfekcji. Odgłos uderzenia rozpląnął się w ciemności, z sufitu spadł deszcz lodowych odłamków. Gentle nie czekał, aż wibracje ustaną, lecz uderzył mocno drugi i trzeci raz. Z każdym ciosem coraz więcej ran otwierało mu się na dłoni. Krew zdawała się zwiększać siłę uderzeń. Jeżeli tchnienie i ślina miały taką moc, to czego dokona krew? Albo sperma?

Zawahał się, wziął głęboki wdech i usłyszał krzyk mistyfa. Kiedy się odwrócił, Pie brnął w jego stronę przez kałużę cienia. Pneumy wstrząsnęły nie tylko ścianami i stropem korytarza – samo powietrze oszalało i sylwetka Pie zdawała się rozpadać w nim na kawałki. Gentle próbował zmusić oczy do posłuszeństwa i unieruchomić obraz, gdy nagle ogromna bryła lodu spadła na ziemię i roztrzaskała się na kawałki. Zdążył zasłonić twarz rękoma, ale impet uderzenia pchnął go na ścianę.

– Zaraz się wszystko zawali! – krzyknął Pie.

Z góry poleciały nowe lodowe pociski.

– Za późno! Biegiem, Pie!

Szybki i zwinny mistyf popędził w stronę Gentle'a, który nie czekając na niego, ponowił atak na ścianę. Wiedział, że jeśli kamień szybko nie ustąpi, lód wkrótce pogrzebie ich żywcem. Schwycił w dłoń kolejny oddech i wymierzył go w skałę. Tym razem mrok nie zdołał pochłonąć łoskotu, który zabrzmiał jak dźwięk ogromnego dzwonu. Gdyby nie mistyf, który w porę zła-

pał Gentle'a w ramiona, fala uderzeniowa powaliłaby go na ziemię.

– Tu jest przejście! – krzyknął Pie.

– Co to znaczy?

– Potrzebne będą dwa tchnienia, moje i twoje, złączone w jednej dłoni.

Rozumiesz?

– Rozumiem.

Niewidoczny w mroku mistyf przysunął sobie jego dłoń do ust.

– Na trzy – powiedział. – Raz!

Gentle nabrał powietrza w płuca.

– Dwa!

Jeszcze trochę...

– Trzy!

Razem wydmuchnęli powietrze w dłoń Gentle'a. Ich oddechy się zmieszały. Ludzkie ciało nie było w stanie znieść działania takiej siły. Gdyby nie Pie, który złapał go za ramię i nadgarstek, uwolniona z dłoni moc wyrwałaby mu rękę. Rzucili się razem do przodu i Gentle otworzył dłoń na ułamek sekundy przed tym, jak uderzyła o skałę.

Rozbrzmiewający nad nimi bez przerwy grzmot wzmógł się, ale zaraz zagłuszył go huk wywołany działaniem pneumy. Ze stropu runął deszcz stalaktytów, a oni mogli tylko osłonić rękoma głowy, gdy korytarz próbował ich ukamienować za zbrodnię, której się dopuścili. Padli na kolana. Chaos trwał długo, ziemia trzęsła się gwałtownie. Upadli na twarz. Wreszcie kataklizm pomału ustał, grad lodu i kamieni przeszedł w deszczyk i też ustąpił. Czuli na twarzach cudowny, ciepły powiew.

Podnieśli wzrok. Powietrze było niezbyt przejrzyste, ale płynące gdzieś z góry światło błyskało na odłamkach lodu, wśród których leżeli. Mystyf pozbierał się pierwszy i pomógł wstać Gentle'owi.

– Tu jest przejście – powtórzył.

Potykając się, ruszyli w kierunku ciepła. Mrok nie ustępował łatwo, ale widzieli ścianę przed sobą. Mimo ogromnych zniszczeń, wyłom, jakiego w niej dokonali, był niewiele większy od człowieka. Z drugiej strony szczeliny napływała mgła, ale przynajmniej po przejściu przez nią z każdym krokiem zbliżali się do światła. Ich stopy zaczęły zapadać się w miękkim piasku, który miał taki sam kolor jak mgła. Kiedy usłyszeli znajome dzwonięcie, odwrócili się, spodziewając się widoku kobiet, ale mgła przesłoniła już pęknięcie w skale i leżącą za nim świątynię. Dzwoneczki umilkły.

– Przeszliśmy do Trzeciego Dominium – oznajmił Pie.
– Koniec z górami? I ze śniegiem?
– Chyba że chcesz wrócić i podziękować tym kobietom...
– Czy to jedyna droga, która prowadzi tu z Czwartego Dominium? – Gentle usiłował przeniknąć wzrokiem otaczające ich opary.
– Dobry Boże, nie! Gdybyśmy jechali dalej naszą widokową trasą, znaleźlibyśmy przy niej setki dogodnych przejść. To tutaj musiało być trzymane w tajemnicy i używane, dopóki lód go nie skuł. Świetnie się spisaleś. Bałem się, że ci odbiło.
– Trochę chyba tak... Ujawniły się we mnie niszczycielskie instynkty. Hapexamendios byłby ze mnie dumny. – Gentle zatrzymał się, by chwilę odzipnąć. – Mam nadzieję, że w Trzecim Dominium jest coś jeszcze oprócz mgły.
– Zapewniam cię, że tak. Podczas pobytu w Piątym Dominium najbardziej tęskniłem właśnie za Trzecim. Jest pełne światła i życia. Odpoczniemy, podjemy sobie, nabierzemy sił. Może pójdziemy do L'Himby i spotkamy się ze Scopique'em. To mój przyjaciel. Zasłużyliśmy na to, żeby trochę zaszaleć, nim wejdziemy na Postną Drogę i udamy się do Drugiego Dominium.
– Trafimy nią do Yzordderrex?
– Owszem – odparł Pie, leciutko popychając Gentle'a. – Postna Droga to najdłuższy szlak w Imajice. Mogłaby biec przez obie Ameryki i jeszcze by się nie skończyła.
– Mapa! – przypomniał sobie Gentle. – Muszę zacząć rysować mapę.
Mgła rzedła, przybywało światła, pojawiły się rośliny – pierwszy raz, odkąd opuścili podnóża Jokalaylau. Przyspieszyli kroku. Rośliny rosły coraz gęściej i pachniały cudownie, przyzywając ich do słońca.
– Pamiętaj, Gentle, że zostały przyjęte – odezwał się nagle Pie.
– Co zostało przyjęte?
Z mgły pozostały już tylko pojedyncze pasemka. Widzieli już, że czeka na nich nowy, ciepły świat.
– Twoje oświadczyzny, przyjacielu. Zapomniałeś?
– Nie słyszałem, żebyś je przyjął.
– To nic – odparł mistyf, gdy zielony krajobraz rozpostarł się przed nimi w pełnej krasie. – Jedną rzecz na pewno musimy w tym dominium zrobić. Wziąć ślub.

ROZDZIAŁ 24

1

Tego roku wiosna wcześniej zawitała do Anglii. Pod koniec lutego zima złagodniała, a w połowie marca zrobiło się tak ciepło, że kwietniowe i majowe roślinki ciekawie wyjrzały z ziemi. Eksperci utrzymywali, że jeżeli spóźnione mrozy nie zetną kwiatów i nie wymrożą piskląt w gniazdach, w maju zaroi się na drzewach od młodych, a ptaki zaczną się szykować do drugich, czerwcowych godów. Pesymiści zapowiadali suszę, ale ich krakanie utonęło w ulewach, jakie spadły na kraj w pierwszych dniach marca.

Kiedy pierwszego deszczowego dnia Jude wspominała dni, które upłynęły, odkąd w towarzystwie Oscara i Dowda opuściła wiejską posiadłość Godolphinów, miała wrażenie, że nie traciła czasu. Szczegóły jednak rysowały się jej w myślach w najlepszym razie ogólnikowo. Od początku była mile widzianym gościem w domu, mogła wychodzić, kiedy jej się podobało, ale wychodziła rzadko. Poczucie przynależności, które tak ją uderzyło, gdy pierwszy raz ujrzała Oscara, nie osłabło, wciąż jednak nie poznała jego źródła. To fakt, że Oscar okazał się hojnym gospodarzem, ale wielu mężczyzn dobrze ją traktowało, a żadnemu nie czuła się tak oddana. Oddanie to pozostało nieodwzajemnione, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Oscar traktował ją z dystansem, który narzucał oficjalną formę wszystkim ich rozmowom, ale tylko wzmacniał uczucie, jakim go obdarzyła. Sam na sam z Oscarem czuła się jak dawno zagubiona kochanka, której cudem udało się powrócić do ukochanego. Miała wrażenie, że znają się tak dobrze, iż otwarte

okazywanie uczuć nie jest im potrzebne. Kiedy zaś znajdowała się z nim w większym towarzystwie, na przykład w teatrze czy na kolacji z przyjaciółmi, robiła się małomówna. Bardzo ją to cieszyło – i dziwiło zarazem. Przyzwyczaiła się, że mówi dużo i swobodnie, wygłasza swoje (niekoniecznie prawdziwe) opinie na każdy temat, nawet niepytana. Teraz jednak milczenie wcale jej nie przeszkadzało. Słuchała paplaniny o polityce, dyskusji o finansach, ploteczek towarzyskich jak dialogu w sztuce. To nie było jej przedstawienie, nie musiała grać żadnej roli, wystarczało jej być tam, gdzie chciała się znaleźć. Skoro sama obecność w towarzystwie dawała jej tyle przyjemności, nie było sensu żądać więcej.

Godolphin był człowiekiem bardzo zajęтым i chociaż codziennie spędzali trochę czasu razem, najczęściej musiała radzić sobie sama. Ogarniało ją wtedy miłe rozleniwienie, które ostro kontrastowało z okresem gorączkowej aktywności, jaki poprzedził spotkanie z Oscarem. Starła się wręcz wyrzucić ten czas z pamięci i dopiero wracając do domu, żeby zabrać osobiste drobiazgi i przejrzeć rachunki (które na zlecenie Godolphina opłacał Dowd), przypominała sobie o przyjaciółach, z którymi chwilowo nie miała ochoty utrzymywać kontaktu. Czekwały na nią wiadomości na automatycznej sekretarce – od Kleina, Clema i innych, później zaczęły pojawiać się listy (niektóre z trokliwymi pytaniami o zdrowie), a nawet wsuwane pod drzwi karteczki z prośbą o kontakt. Umówiła się z Clemem, ponieważ dręczyły ją wyrzuty sumienia, że od pogrzebu się do niego nie odezwała. Zjedli obiad niedaleko jego biura w Marylebone. Przyznała mu się, że poznała mężczyznę i tymczasowo przeprowadziła się do niego. Clem, oczywiście, był go bardzo ciekaw. Co to za szczęściarz? Ktoś, kogo zna? W łóżku jest niewiarygodny czy tylko zwyczajnie świetny? Czy to miłość? Przede wszystkim: czy to miłość? Odpowiadała najlepiej, jak potrafiła. Powiedziała, jak facet się nazywa; opisała go; wyjaśniła, że na razie związek jest platoniczny, chociaż kilka razy myślała o seksie; a co do miłości – było jeszcze za wcześnie, żaby coś wyrokować. Znając dobrze Clema, zdawała sobie sprawę, że przed wieczorem jej zeznania staną się tajemnicą poliszynela, co bardzo jej odpowiadało. Przynajmniej uspokoi znajomych, że nic jej się nie stało.

– Kiedy będziemy mieli okazję poznać ten wzór cnót wszelakich? – spytał Clem na pożegnanie.

– Niedługo...

– Zrobił na tobie spore wrażenie, co?

– Tak?

– Jesteś... Nie wiem, jak to powiedzieć... Spokojna? Nigdy cię takiej nie widziałem.

– Chyba nigdy się tak nie czułam.

– No to pilnuj tylko, żebyśmy nie stracili tej Judy, którą znamy i kochamy, dobrze? Nadmiar opanowania źle robi na krążenie. Od czasu do czasu każdy musi się powściąkać.

Dopiero następnego wieczoru uderzyła ją wymowa tej pożegnalnej wymiany zdań. Siedziała w cichym domu, czekając na powrót Oscara, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo się zrobiła bierna. Zupełnie jakby słynną z gadulstwa i napadów szału dawną Jude zrzuciła jak starą skórę i świeża, delikatna przeszła w stan wyczekiwania. Czekwała na instrukcje, nie mogła chyba do końca życia zachować takiego spokoju. Wiedziała też, od kogo spodziewa się je usłyszeć – od człowieka, którego głos sprawiał, że serce szybciej jej biło, a w głowie zaczynało się kręcić. Od Oscara Godolphina.

O ile jednak znajomość z Oscarem dostarczyła jej sporo radości, o tyle Kutner Dowd okazał się kompletnym niewypałem. Był dość bystry, żeby szybko się zorientować, że Jude wie o dominiach i ich sekretach znacznie mniej, niż udawała w rozmowie przed drzwiami Azylu. Nie miał najmniejszej ochoty stać się dla niej źródłem informacji, na które tak liczyła. Był mało mówny, podejrzliwy, a chwilami wręcz niegrzeczny – chociaż nigdy w obecności Oscara. Ba, kiedy spotykali się we troje, przykładowie okazywał jej szacunek. Ironia, z jaką to czynił, kompletnie uchodziła uwagi Oscara, który przywykł do służalczego stylu bycia Dowda.

Jude szybko nauczyła się odpowiadać podejrzliwością na podejrzliwość i kilka razy przymierzała się do tego, żeby porozmawiać o nim z Oscarem. Powstrzymywało ją tylko to, co widziała przy Azylu. Dowd pozbył się ciał spokojnie i z nonszalancją, jakby nieraz wykonywał na zlecenie pracodawcy podobne zadania. Nie dopominał się też o pochwały, a w każdym razie Jude tego nie słyszała. Kiedy pana i sługę łączą stosunki tak bliskie, że przestępstwo – pozbycie się zwłok – nie jest niczym niezwykłym, nie powinno się ich rozdzielać. To ona była tu intruzem, nową dziewczyną pana, która żyła nadzieją, że zostanie z nim na zawsze. Nie mogła marzyć o tym, żeby zbliżyć się do niego tak jak Dowd. Próby zasiania ziarna zwątpienia mogły łatwo obrócić się przeciwko niej. Milczała więc i czas płynął spokojnie. Aż do dnia, w którym spadł deszcz.

2

Na drugi marca zaplanowali wyjście do opery. Późne popołudnie Jude poświęciła na niespieszne przygotowania, przebierając w sukienkach i butach, pławiąc się w swoim niezdecydowaniu. Dowd zniknął gdzieś w porze lunchu, tłumacząc się pilną robotą dla Oscara; wiedziała, że nie powinna go o nic wypytywać. Gdy tylko zjawiła się w domu Godolphina, dano jej do zrozumienia, że wszelkie pytania o prywatne sprawy Oscara będą niemile widziane. Nigdy nie próbowała się temu żądaniu sprzeciwić. Nie taka była przecież rola kochanki. Tym razem jednak, kiedy Dowd poruszony wybiegł z domu, zaczęła się zastanawiać – w kąpielni i w garderobie – czym zajmuje się Godolphin. Czy właśnie przebywa w Yzordderrex? W mieście, w którym zapewne znajduje się Gentle ze swoim ukochanym, a jej niedoszłym zabójcą? Zaledwie dwa miesiące wcześniej, gdy londyńskie dzwony obwieszczały nadejście nowego roku, obiecała sobie, że podąży tam za nim. Tymczasem w obecności mężczyzny, który mógł ją tam zabrać, zupełnie nie była w stanie myśleć o tej wyprawie. Mimo że wracała myślami do tajemniczego miasta, dawna żądza poznania go ulotniła się bez śladu. Owszem, Jude ucieszyłaby wieść, że Gentle cały i zdrowy spaceruje po jego ulicach, może nawet rozbawiłby ją opis mroczniejszych zakątków Yzordderrex, ale pomysł, że miałyby tam jechać, wydał się jej absurdalny. Tutaj, w Anglii, znalazła wszystko, co było jej potrzebne do szczęścia.

Zadowolenie przytłumiło w niej nie tylko chęć zobaczenia innych dominiów, ale także zainteresowanie wydarzeniami na Ziemi. Mimo że ustawiony w kącie sypialni telewizor bełkotał bez wytchnienia, działał głównie usypiająco i praktycznie nie zwracała na niego uwagi. Nie zauważyłaby pewnie popołudniowego serwisu informacyjnego, gdyby przypadkiem zasłyszana wiadomość nie nasunęła jej skojarzeń z Charliem.

W płytkim grobie na Hampstead Heath znaleziono trzy zmasakrowane ciała. Sposób, w jaki zostały okaleczone, sugerował rytualne morderstwo. Wstępne dochodzenie wykazało, że zmarli byli dobrze znani w lokalnym środowisku spirytystów i adeptów czarnej magii. W związku z dalszymi tajem-

niczymi zniknięciami osób z tych kręgów podejrzewano, że rozpoczyna się planowa, krwawa wendeta. Materiał zilustrowano zdjęciami policjantów przeszukujących zarośla Hampstead Heath. Padający deszcz podkreślał bijącą z ekranu beznadzieję.

Wiadomość zaniepokoiła Jude z dwóch powodów, z których każdy łączył się z jednym z braci. Przede wszystkim przypomniał jej się Charlie, który obserwował Heath z dusznego pokoju w klinice i rozważał samobójstwo. Zaraz potem przyszło jej na myśl, że wendeta może zagrozić Oscarowi, który po uszy siedział w okultyzmie.

Te skojarzenia nie dawały jej spokoju, a spóźnienie Oscara, który miał wrócić przed szóstą, wcale nie pomogło. Przestała się stroić, zeszła na dół i czekała dalej przy otwartych frontowych drzwiach. Deszcz chłostał rosnące przy schodach krzaki.

Oscar wrócił za dwadzieścia siódma razem z Dowdem, który z miejsca oznajmił, że z wyjścia do opery nic nie będzie. Godolphin natychmiast mu zaprzeczył – Dowd poczuł się upokorzony – i kazał Jude ubrać się i przygotować, żeby za dwadzieścia minut mogli wyjść.

Kiedy posłusznie zaczęła wchodzić po schodach, dobiegł ją głos Dowda:

– Wie pan chyba, że McGann chce się z panem spotkać?

– Zdążę – uspokoił go Oscar. – Przygotowałeś mi czarny garnitur? Nie? To coś ty robił przez cały dzień? Nie, lepiej mi nie opowiadaj. Nie na pusty żołądek.

Oscar świetnie prezentował się w czerni, o czym nie omieszkała mu powiedzieć, gdy dwadzieścia pięć minut później zszedł na dół. Uśmiechnął się, słysząc komplement, i skłonił się lekko.

– Ty też wyglądasz ślicznie jak nigdy dotąd – oparł. – Wiesz, że nie mam żadnego twojego zdjęcia? Przydałoby mi się; mógłbym je nosić w portfelu. Każę Dowdowi się tym zająć.

Dowd tymczasem zniknął. Zwykle pełnił funkcję szofera, tym razem jednak musiał mieć coś innego na głowie.

– Spóźnimy się na pierwszy akt – zauważył Oscar, prowadząc samochód.

– Muszę coś załatwić w Highgate, jeśli pozwolisz.

– Oczywiście. Nie mam nic przeciwko temu.

Pogłaskał ją po rękę.

– To nie potrwa długo.

Być może dlatego, że rzadko siadał za kierownicą, prowadzenie samocho-

du wymagało od niego ogromnego skupienia i choć popołudniowe wiadomości nie dawały Jude spokoju, nie chciała mu przeszkadzać rozmową. Dość szybko dotarli na miejsce, wybierając boczne uliczki zamiast zalanych deszczem i zakorkowanych głównych dróg. Powitało ich istne oberwanie chmury.

– No, jesteśmy – oznajmił Oscar. Potoki deszczu na przedniej szybie ograniczały widoczność do dziesięciu metrów. – Zostań tu, żeby nie marznąć. Ja zaraz wrócę.

Zostawiwszy Jude w samochodzie, przebiegł przez dziedziniec niczym nie wyróżniającego się budynku. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Drzwi otworzyły się automatycznie i same za nim zamknęły. Dopiero gdy łoskot deszczu o dach nieco zelżał, Jude pochyliła się, żeby wyrzeć przez przednią szybę. Od razu rozpoznała wieżowiec ze snu błękitnego oka. Podświadomie sięgnęła ręką do drzwi. Jej oddech przyspieszył, gdy szeptała gorączkowo:

– Nie. Och, nie...

Wysiadła w zimny deszcz i jeszcze zimniejsze wspomnienia. Ten dom – podobnie jak cała wędrówka, która ją do niego przywiodła, podglądanie kobiet i poznawanie ich smutku i gniewu – ześliznął się do obszaru pamięci, w którym rzeczywistość mieszała się ze snem. Nauczyła się wierzyć, że cała nocna przygoda w ogóle nie miała miejsca, a teraz stała przed gmachem, w którym wszystko się wydarzyło; każde okno, każda cegła w murze wyglądały identycznie jak wtedy. Skoro z zewnątrz się nie zmienił, w środku również powinien być taki sam.

Przypomniała sobie podziemny labirynt i szeregi półek zastawionych po suficie książkami i manuskryptami. Była tam ściana (a pod nią para splecionych w uścisku kochanków), za którą znajdowała się ciemna cela, ukryta przed wzrokiem wszystkich, dostępna tylko dla niej. W celi znalazła kobietę leżącą tam od wieków. Usłyszała w wyobraźni krzyk, obłąkańczy skowyt, który wypędził ją spod ziemi i przez ciemne ulice zagnał do bezpiecznego schronienia w domu i w głowie. Czy dalej krzyczy? – pomyślała Jude. Czy może wróciła do stanu śpiączki, z której tak brutalnie ją obudzono? Na myśl o bólu uwięzionej łyzy napłynęły jej do oczu i zmieszały się z deszczem.

– Co ty robisz? – Oscar wyszedł z budynku i szybkim krokiem szedł w jej stronę. Marynarką osłaniał sobie głowę. – Zamarzniesz tu, kochanie. Wskakuj, proszę. Proszę cię, wsiądź do wozu.

Posłuchała go. Deszcz spływał jej po karku.

– Przepraszam... – wyjąkała. – Ja tylko... Po prostu nie wiedziałam, gdzie

poszedłeś, a potem... Sama nie wiem... Ten dom wyglądał jakoś znajomo.

– Ten dom jest nieważny... Cała drzysz. Może wolisz wrócić do domu?

– A miałbyś coś przeciwko temu?

– Nic a nic. Wieczór w operze powinien być przyjemnością, a nie męką. Przemokłaś, zmarzłaś, nie chciałbym, żebyś się zaziębiła. Jeden chory wystarczy...

Nie zapytała, co znaczyło to zdanie; zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. Chciało jej się płakać, chociaż nie wiedziała, czy z radości, czy z żalu. Sen, który przyzwyczała się traktować jak mrzonkę, znalazł oparcie w rzeczywistym świecie, w faktach, a jeden z takich faktów – Oscar Godolphin – siedział obok niej. Wiedziała, że jest kimś niezwykłym, ale przyzwyczała się do jego niedomówień: kiedy wspominał o wycieczce do dominiów, mówił o „przejażdżce pociągiem”, a gdy jechał do Yzorderrex, miało się wrażenie, że jest to po prostu forma turystyki, na razie niedostępna zwykłym zjadaczom chleba. To pozorne lekceważenie stanowiło jednak rodzaj zasłony dymnej, którą stawiał – niekoniecznie świadomie – by ukryć prawdziwe znaczenie swojej działalności. Zaczynała dochodzić do wniosku, że jego ignorancja (a może arogancja) kiedyś go zabije. To ją zasmucało. A skąd brała się radość? Z nadziei, że go przed tym uratuje, a on z wdzięczności ją pokocha.

*

W domu przebrali się z wieczorowych strojów. Kiedy Jude wyszła ze swojego pokoju na piętrze, Oscar czekał na nią przy schodach.

– Tak sobie pomyślałem... Może porozmawiamy?

Zeszli na parter, do zagraconego bez cienia dobrego smaku salonu. Deszcz bił wściekle o szyby. Oscar zaciągnął zasłony i do dwóch szklanek nalał brandy, która miała ich rozgrzać. Usiadł naprzeciw Judith.

– Mamy problem – oznajmił.

– My?

– Tak wiele powinniśmy sobie nawzajem powiedzieć. W każdym razie ja... Zakładam, że ty też to czujesz... Ja na pewno chciałbym ci opowiedzieć o mnóstwie rzeczy, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, od czego zacząć. Jestem ci winien wyjaśnienia, po tym co widziałas w mojej posiadłości; przydałoby się wspomnieć o Dowdzie i pustkowcach, o tym, co zrobiłem z Charliem... Lista jest długa. Próbowalem, naprawdę próbowałem znaleźć jakiś sposób,

żeby ci to wszystko wytłumaczyć. Sam nie jestem pewien, co jest prawdą, a co nie. Pamięć płata człowiekowi figle...

Jude mruknęła potakująco.

– Zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z takimi istotami i bywa się w takich miejscach, które wydają się w połowie należeć do świata snów – ciągnął Oscar. – Albo koszmarów.

Dopił brandy i sięgnął po butelkę.

– Nie lubię Dowda – stwierdziła nagle Jude. – Nie ufam mu.

Spojrzał na nią.

– Spozrzegawcza jesteś. Chcesz jeszcze brandy? – Jude podstawiła szklankę i Oscar dolał jej trunku. – Rozumiem cię. Z kilku powodów Dowd jest niebezpieczny.

– Nie mógłbyś się go pozbyć?

– Obawiam się, że za dużo wie. Byłby jeszcze groźniejszy niż teraz.

– Ma coś wspólnego z tymi morderstwami? Widziałam dziś w wiadomościach...

Godolphin zbył ją machnięciem ręki.

– Nic nie musisz o tym wiedzieć, kochanie.

– Ale jeżeli coś ci grozi...

– Nie. Nic mi nie grozi. Tego możesz być pewna.

– Zatem wiesz o wszystkim?

– Co nieco... – przytaknął posepnie Oscar. – Dowd też, on właściwie orientuje się w tej sytuacji lepiej niż my oboje razem wzięci.

Jude przez chwilę rozważała jego słowa. Czy Dowd wiedział także o uwięzionej w podziemiach kobiecie? Czy może ona jedna znała ten sekret? Jeśli tak, to chyba nie powinna tego zmieniać. Tylu uczestników rozgrywki wiedziało więcej od niej, że dzielenie się taką informacją – nawet z Oscarem – osłabiłoby jej pozycję. Może nawet zagrażało jej życiu. Jakaś część jej istoty, nie podatna na kuszenie luksusów i potrzebę miłości, pozostała w tamtej celi, z kobietą, którą przebudziła. Jude postanowiła ją tam zostawić; w ciemnościach była bezpieczna. Resztę ujawni. Całą resztę.

– Nie jesteś jedynym, który przechodzi na drugą stronę – odezwała się. – Mój przyjaciel też ruszył w podróż.

– Naprawdę? Kto taki?

– Gentle. To znaczy, naprawdę nazywa się Zacharias, John Furie Zacharias. Charlie trochę go znał.

– Charlie... – Oscar pokręcił głową. – Biedny Charlie. Opowiedz mi o Gentle'u.

– To skomplikowana sprawa. Kiedy odeszłam, Charlie zapalał żądzą zemsty. Wynajął kogoś, żeby mnie zabił...

Opowiedziała Oscarowi o zamachu w Nowym Jorku i interwencji Gentle'a, a później o wszystkim, co zaszło w Sylwestra. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Godolphin zna już przynajmniej część faktów. Podejrzenie zmieniło się w pewność, gdy opisała mu, w jaki sposób Gentle zniknął z Piątego Dominium.

– Mistyf zabrał go ze sobą? – zdziwił się Oscar. – Boże, przecież to niebezpieczne...

– Co to jest mistyf?

– Bardzo rzadka istota. Mistyfy rodzą się w plemienu Eurhetemeców raz na pokolenie. Są ponoć niezwykle kochankami. Słyszałem, że nie mają własnej tożsamości seksualnej, lecz reagują na pragnienia partnera.

– To byłby raj dla Gentle'a.

– Pod warunkiem, że wie, czego chce. Bo jeśli nie, to może się zdziwić.

– Możesz mi wierzyć, że Gentle dobrze wie, czego chce – zaśmiała się Jude.

– Wiesz to z doświadczenia?

– Gorzkiego doświadczenia.

– Być może odgryzł większy kęs, niż będzie w stanie przełknąć. Peccable, mój przyjaciel z Yzorderrex, miał przez jakiś czas burdelmamę za kochankę. Była właścicielką eleganckiego burdeliku w Patashoqua. Świetnie się rozumieliśmy. Powtarzała mi, że powinienem wziąć się za handel niewolnikami i przywozić jej dziewczyny z Piątego Dominium; mogłaby wtedy rozkręcić interes w Yzorderrex. Twierdziła, że zbilibyśmy fortunę. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ale lubiliśmy rozmawiać na tematy... weneryczne, jeśli można tak powiedzieć. Wszyscy od razu zakładali, że chodzi nam o chorobę, a nie o Wenus... – Oscar zamyślił się, jakby zgubił wątek. – Mniejsza z tym. Opowiadała mi, że przez krótki czas pracował u niej mistyf, ale miała z nim same kłopoty. Niewiele brakowało, a musiałyby zamknąć burdel, taką miał złą reputację. Wydawałoby się, że taka istota będzie dziwką doskonałą, prawda? Tymczasem klienci najwyraźniej nie mieli ochoty oglądać, jak spełniają się ich fantazje. – Uśmiechnął się, patrząc na Jude. – Myślę, że ich rozumiem.

– Może bali się tego, kim byli.

– Uważasz, że to głupota, tak?
– Naturalnie. Jesteś tym, kim jesteś, i już.
– Ostra filozofia. Trudno z nią żyć.
– Jeszcze trudniej od niej uciec.
– No, nie wiem... Ostatnio dużo myślałem o uciekaniu. Chciałbym zniknąć. Na zawsze.
– Poważnie? – Jude starała się nie okazać, jak bardzo poruszyły ją te słowa. – Dlaczego?
– Tu jest za duży tłok.
– Ale na razie postanowiłeś zostać?
– Waham się. Wiosną Anglia jest taka miła. Poza tym brakowałoby mi letnich meczów krykieta.
– Przecież chyba wszędzie gra się w krykieta?
– W Yzordderrex nie.
– Chciałbyś tam zostać?
– A czemu nie? Nikt by mnie nie znalazł, bo nikt by nie wpadł na to, gdzie szukać.
– Ja bym się domyśliła.
– Może w takim razie zabrałbym cię ze sobą – odparł z czułością Oscar, tak jakby właśnie całkiem serio się jej oświadczył i bał się, że go odrzuci. – Co ty na to? Mam na myśli porzucenie Piątego Dominium, oczywiście.
– Jakoś bym to zniosła.
Oscar się zawahał.
– Chyba powinienem pokazać ci moje skarby – uznał wreszcie, wstając z krzesła. – Chodź.
Z wygłaszanych przez Dowda półgębkiem uwag wiedziała, że w zamkniętym na klucz pokoju na piętrze znajduje się jakaś kolekcja. Oscar otworzył drzwi i skinął na nią.
– Wszystko wyszperałem w dominiach – powiedział. – I osobiście przywiozłem tutaj.
Oprowadził Jude po pokoju, wyjaśniając pokrótce przeznaczenie co dziwniejszych przedmiotów i wskazując drobiazgi, które mogła przeoczyć. Do pierwszej kategorii zaliczał się między innymi Puchar Bostoński i „Encyklopedia Znaków Niebieskich” Gaud Maybellome, do drugiej – bransoletka z chrząszczy, złapanych w słoik z trucizną w trakcie zbiorowego parzenia się; czternaście ogniw łańcuszka, wyjaśnił z dumą Oscar, samiec wchodził od

tyłu w samiczkę, która pożerała samca znajdującego się przed nią, i tak dalej. Krąg zamykała ostatnia samiczka i pierwszy samiec, którego akrobatyczny obrót sprawił, że byli zwrócenii do siebie głowami.

Jude wypytywała go o wszystko, a Oscar z przyjemnością grał rolę nauczyciela, ale na niektóre pytania nie znał odpowiedzi. Podobnie jak u imperialnych grabieżców, których był potomkiem, w jego kolekcjonerstwie mieszały się w równych proporcjach zaangażowanie, dobry smak i ignorancja. Kiedy jednak opowiadał o okazach – nawet o tych, o których przeznaczeniu nie miał zielonego pojęcia – mówił ze wzruszającym zapałem. Znał je doskonale.

– Dawałeś też takie prezenty Charliemu, prawda?

– Czasami... Widziałaś je?

– Widziałam.

Brandy kusila, żeby opowiedzieć o historii z niebieskim kamieniem, ale Judy się powstrzymała.

– Gdyby rzeczy inaczej się ułożyły, to Charlie wędrowałby po dominiach. Byłem mu coś winien.

– Kawalek cudu – zacytowała Charliego.

– Właśnie. Pewnie nie bardzo wiedział, co o nich myśleć.

– Cały Charlie.

– To fakt. Anglik aż do bólu. Zawsze bał się uczuć. Tylko dla ciebie zrobił wyjątek. Trudno mieć o to do niego pretensje.

Jude podniosła wzrok i stwierdziła, że Oscar przygląda się jej z taką samą uwagą, z jaką ona podziwiała kolejny okaz z jego kolekcji. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości.

– To u nas rodzinne – dodał. – Tacy właśnie jesteśmy w sprawach... sercowych. – Zmieszał się i dotknął dłonią żeber. – Rozejrzyj się tu jeszcze, jeśli chcesz. Nie ma tu nic, czego powinnaś się bać.

– Dziękuję.

– Zamkniesz potem drzwi?

– Naturalnie.

Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, żeby go zatrzymać. Poczula się samotna. Słyszała, jak Oscar wchodzi do sypialni, i wróciła do podziwiania skarbów. Nie wystarczały jej jednak. Pragnęła ciepła. Po chwili wahania zgasila światło i zamknęła drzwi. Postanowiła od razu oddać klucz Oscarowi. Jeżeli jego zachwyty nie były czczymi pochlebstwami, jeżeli

naprawdę miał na myśli łóżko, powinna się szybko zorientować. A jeśli ją odepchnie, skończy się ciągła niepewność.

Zapukała do sypialni. Odpowiedziała jej cisza, ale spod drzwi sączyło się światło, więc zastukała jeszcze raz i weszła. Nocna lampka oświetlała wiszący na ścianie portret. Z połączonych ram wyglądał poważny, blady człowiek, wpatrywał się w puste łóżko. W łazience szumiała woda. Jude przeszła przez pokój, odruchowo rejestrując dziesiątki szczegółów prywatnego apartamentu Oscara: miękkie poduszki i pościel; karafka i kieliszek na nocnym stoliku; papierosy i popielniczka na stosie sczytanych książek. Bez pukania otworzyła drzwi do łazienki. Oscar siedział na krawędzi wanny w samych bokserkach i przytykał flanelową szmatkę do częściowo zagojonej rany z boku tułowia. Po owłosionym, wydatnym brzuchu spływała zaczerwieniona od krwi woda. Jude nie próbowała go przeproszać, że wchodzi bez zapowiedzi, on nie dopominał się o przeprosiny. Twarz miał wykrzywioną bólem.

– To robota Charliego – powiedział tylko.

– Powinieneś iść do lekarza.

– Nie ufam lekarzom. Poza tym już jest lepiej. – Wrzucił szmatkę do umywalki. – Zawsze bez pytania wchodzisz do zajętej łazienki? Mogłabyś zastać mnie w jakiejś...

– Wenerycznej sytuacji?

– Nie kpij ze mnie. Wiem, że kiepski ze mnie uwodziciel. Przez lata musiałem płacić za towarzystwo.

– Lepiej byś się czuł, płacąc mi?

– Mój Boże! – Oscar był wstrząśnięty. – Za kogo ty mnie masz?

– Za kochanka – odparła bez ogródek. – Mojego kochanka.

– Chyba nie wiesz, co mówisz.

– Ale się dowiem. Ukrywałam się przed samą sobą, Oscarze. Nie dopuszczałam do głosu uczuć. A jest ich niemało. I chcę, żebyś o tym wiedział.

– Wiem. Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. I boję się, Judith.

– Nie ma się czego bać.

Zdziwiła się, że to właśnie ona wypowiada te uspokajające słowa, chociaż był od niej starszy, a zapewne także silniejszy i mądrzejszy. Oparła mu dłoń na piersi. Nachylił się, żeby ją pocałować. Usta miał zamknięte, dopóki nie dotknęły jej rozchylnych warg. Jedną ręką objął ją, drugą sięgnął do jej piersi. Pomruk zadowolenia rozpląnął się w ich połączonych ustach. Jego dłoń zjechała po jej brzuchu na uda, wśliznęła się pod spódnicę i zaczęła przesu-

wać się z powrotem do góry. Jude była cała wilgotna, i to już od chwili, gdy weszła do skarbca. Włożył jej rękę pod bieliznę, oparł nasadę dłoni na wzgórkę łonowym i długim palcem środkowym sięgnął aż do odbytu, muskając go paznokciem.

– Do łóżka – powiedziała.

Nie puścił jej. Niezdarnie wyszli z łazienki; prowadził ją, idącą tyłem, aż oparła się udami o skraj łóżka. Wtedy usiadła, złapała za gumkę jego brudnych od krwi bokserek i pociągnęła je delikatnie w dół, całując go po brzuchu. Znienacka zawstydził się i wyciągnął rękę, jakby chciał ją powstrzymać, ale nie ustąpiła i odsłoniła jego penis. Stanowił swoiste kuriozum – był tylko odrobinę obrzmiały, ale pozbawiona napletka, pękata, purpurowa żołądź tętniła kolorem żywszym niż rana w boku. Trzon był wyraźnie cieńszy i bledszy, poznaczony żyłkami przenoszącymi krew do korony. Jeżeli ta właśnie dysproporcja wprawiała Oscara w zakłopotanie, przy Jude nie musiał się przejmować. Z przyjemnością pocałowała żołądź członka. Oscar cofnął dłoń i jęknął cicho, a kiedy Jude podniosła wzrok, dostrzegła na jego twarzy coś w rodzaju nabożnej czci. Sięgnęła od dołu pod jądra, przysunęła go sobie bliżej i wzięła kuriozum do ust. Mając obie ręce wolne, zaczęła rozpinąć sobie bluzkę. Jednak gdy tylko poczuła, że twardnieje jej w ustach, mruknął coś przepaszająco, cofnął członek i odsunął się od niej. Podciągnął bokserki.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Bo to lubię. – Był poruszony do żywego; kręcił z niedowierzaniem głową i zawstydzony zasłaniał się ręką.

– Ale dla kogo... Widzisz, nie musisz...

– Wiem o tym.

– Zaskoczyłaś mnie. – W jego głosie brzmiało szczere zdziwienie. – Nie chcę cię wykorzystać.

– Nie dałabym się.

– Mogłabyś się nie zorientować.

Rozzłościła się. Tak wściekła dawno nie była. Wstała z łóżka.

– Wiem, czego chcę, ale nie zamierzam o nic błagać.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Ja też cię pragnę.

– No to zrób coś!

Jej gniew go podniecił. Podeszedł bliżej i czułym, niemal bolesnym głosem

powiedział:

- Chciałbym cię rozebrać. Mogę?
- Pewnie.
- Masz nic nie robić...
- Nie będę.
- ...tylko spokojnie leżeć.

Położyła się. Oscar zgasił światło w łazience i stanął przy łóżku. W świetle lampki nocnej rzucał na ścianę olbrzymi cień, przez co wydawał się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Wielkość ciała partnera nigdy nie wydawała się jej szczególnie podniecająca, tym razem jednak pociągała ją jako dowód jego apetytów i żądz. Miała przed sobą człowieka, który nie dał się zamknąć w jednym świetle i jednym zbiorze doświadczeń, a jednak klęczał przed nią jak niewolnik. Miał twarz człowieka opętanego.

Niezmiernie delikatnie zaczął ją rozbierać. Miewała już fetyszystów; nie była dla nich istotą ludzką, lecz wieszakiem, na którym wystawiano godne uwielbienia części garderoby. Jeśli ten człowiek miał jakiś fetysz, było nim ciało, które odsłaniał. Robił to w określony sposób i w określonym tempie, które nadawały całej czynności wyższy, zrozumiały tylko dla niego sens. Najpierw zsunął jej figi. Potem rozpiął do końca bluzkę, ale zamiast ją zdjąć, oswobodził jej piersi ze stanika, jakby chciał je pieścić. I z tym jednak postanowił zaczekać. Ściągnął jej buty i ustawił obok łóżka, a następnie podwinął spódnicę, napawając się widokiem jej sromu. Przesunął dłonią po jej udzie do krocza i z powrotem, ani przez moment nie patrząc jej w twarz. Jude obserwowała go uważnie, ciesząc się pragnieniem i czcią, jakimi pałały jego oczy. Wreszcie zaczął ją całować. W stopy, łydki i kolana, później w brzuch i piersi, a na koniec wrócił do ud i przesunął się po nich do miejsca, którego dotyku do tej pory obojgu im odmawiał. Jude była przygotowana na rozkosz – i nie zawiodła się. Pieścił ją językiem, a ogromną dłonią gładził jej piersi. Kiedy ją rozchylił, zamknęła oczy, czując każdą odrobinę wilgoci na udach i wargach sromowych.

Wstał, żeby do końca ją rozebrać – najpierw zdjął z niej spódnicę, potem bluzkę i stanik. Rzucił ubranie na podłogę, wstał i oparłszy jej dłonie na kolanach, rozchylił jej nogi. Teraz mógł ją podziwiać w całej okazałości.

- Zrób to palcami – powiedział.

Włożyła ręce między uda i pokazała mu, co potrafi. Dobrze ją naoliwił, ale palcami mogła sięgnąć głębiej niż on językiem. Chciała być gotowa na

przyjęcie kuriozum. Gorączkowo chłonał widok jej obnażonego ciała; chwilami spoglądał jej w oczy, ale zaraz z powrotem spuszczał wzrok. Nie było w nim już śladu nieśmiałości czy zakłopotania. Nie szczędził jej wyrazów zachwyty i czułości. Napięte bokserki najlepiej dowodziły – gdyby potrzebowała takiego dowodu – jak bardzo jest podniecony. Uniosła biodra i zaczęła wypychać je do góry, na spotkanie palców. Złapał ją mocniej za kolana i jeszcze bardziej rozchylił, a potem poślinił palec i zaczął delikatnie gładzić jej drugą dziurkę.

– Obciągniesz mi teraz? – zapytał. – Tylko troszeczkę.

– Pokaż go.

Odsunął się i zdjął bokserki. Kuriozum wezbrało krwią i zrobiło się ciemnoczerwone. Jude usiadła i wzięła je do ust. Jedną ręką chwyciła jego drgającego trzon, drugą dalej zabawiała się ze sobą. Nigdy nie umiała wyczuć, kiedy zbliża się wytrysk, więc puściła go na chwilę, żeby trochę ochłonał. Spojrzała mu w oczy.

Albo wystarczyło to spojrzenie, albo sam fakt, że przestała go całować.

– Cholera! – zaklął Oscar. – Cholera jasna!

Cofnął się i ścisnął mocno swoje kuriozum w dłoni.

Przez chwilę wydawało się, że sytuacja została opanowana – na podłogę skapnęły tylko dwie kropelki – ale w chwilę potem jądra uwolniły cały, niezwykle obfity ładunek spermy. Oscar pojękiwał cicho – na wpół z rozkoszy, na wpół ze wstydu, pomyślała Jude. Nie myliła się.

– Przepraszam... – wyjąkał. – Strasznie cię przepraszam...

– Nic się nie stało.

Wstała i pocałowała go w usta, ale cały czas mamrotał onieśmielony:

– Dawno już tego nie robiłem. Zachowałem się jak dzieciak.

Milczała, wiedząc, że cokolwiek powie, wywoła tylko kolejną falę samopotępienia z jego strony. Wymknął się do łazienki po ręcznik. Kiedy wrócił, zbierała z ziemi ubranie.

– Wychodzisz? – zdziwił się.

– Tylko do swojego pokoju.

– Czy to konieczne? Wiem, że nie spisałem się najlepiej, ale... Łóżko jest spore. A ja nie chrapię.

– Łóżko rzeczywiście jest olbrzymie.

– Właśnie... To jak, zostaniesz?

– Chętnie.

Uśmiechnął się czarująco.

– To dla mnie zaszczyt. Pozwolisz, że przeproszę cię na momencik?

Włączył światło w łazience, wszedł do środka i zamknął drzwi. Jude mogła chwilę spokojnie pomyśleć. Niezwykłość ostatnich wydarzeń bynajmniej jej nie dziwiła. Cała jej wędrówka zaczęła się przecież od nieszczęśliwej miłości, potem było morderstwo, a teraz znalazła się tutaj, w łóżku mężczyzny, którego trudno nazwać pięknym, ale którego ciężar pragnęła poczuć na swoim ciele; którego dłonie, zdolne do bratobójstwa, podniecały ją jak żadne inne; który przemierzył i poznał więcej światów niż dawni poeci po opium, ale mówiąc o miłości, jąkał się; który był prawdziwym tytanem, a jednak się bał. Umościła się na poduszkach z kaczego puchu i czekała, aż wróci i opowie jej bajkę o miłości.

Po dłuższym czasie wyszedł z łazienki i wsunął się obok niej pod koc. Tak jak sobie wymarzyła, powiedział, że ją kocha, ale dopiero kiedy zgasił światło i nie mogła mu spojrzeć w oczy.

*

Mocno spała. Kiedy się obudziła, z początku wcale tego nie poczuła, tak było ciemno i miło. Przez szparę między zasłonami widziała nocne niebo. Oscar leżał za jej plecami. Był w niej. Jedną dłoń trzymał na jej piersi, drugą uniósł jej udo, żeby ułatwić sobie wejście. Zdała sobie sprawę, że wniknął w nią dyskretnie i umiejętnie – nie tylko nie obudził jej, dopóki nie zaczął się w niej poruszać, ale w dodatku wybrał drugie, dziewicze gniazdko, co zapewne próbowałyby mu odradzić, bojąc się bólu. Uczucie było jednak całkiem przyjemne, chociaż zupełnie nowe. Całował ją w szyję i w łopatki, lekko, niepewnie, jakby nie wiedział, czy się obudziła. Westchnęła, żeby pomóc mu pozbyć się wątpliwości. Zamarł bez ruchu, więc przycisnęła pośladki do jego lędźwi, dzięki czemu kuriozum wniknęło w nią po sam koniec. Przyjęła go z rozkoszą. Przycisnęła jego dłoń do piersi, żeby mocniej ją poczuć, i wolną ręką sięgnęła do miejsca, w którym byli złączeni. Grzecznie założył prezerwatywę, co w połączeniu z faktem, że raz już tej nocy wytrysnął, czyniło zeń idealnego kochanka: spokojnego i pewnego.

Nie próbowała, korzystając z ciemności, wyobrazić go sobie inaczej. Mężczyzna, który wtulał twarz w jej włosy i kąsał ją w bark, nie był – w przeciwieństwie do mistyfa, o którym jej opowiadał – odbiciem wyimaginowanych

idei, lecz Oscarem Godolphinem, z jego brzuchem, kuriozum i całą resztą. Postanowiła więc sama się zmienić: stała się żywym, uproszczonym obrazem zmysłów. Wyobraziła sobie, że wyraźna linia łączy jądro jej istoty, przeszywane pchnięciami Oscara, z czubkami piersi i karkiem, by pod czaszką przejść w splątane spirale. Dodała w myślach jeszcze jedno udoskonalenie: wykreśliła krąg wokół swojej postaci i cały rysunek zapłonął jej pod powiekami jak wywołana natchnieniem wizja. Wtedy przyjemność sięgnęła zenitu. Jude była zarazem abstrakcją w ramionach mężczyzny i ciałem, którego pragnienia zaspokajał. Większa rozkosz nie mogła istnieć.

Zapytał, czy nie mogliby się inaczej ułożyć.

– Ta rana... – mruknął.

Uklękła i oparła się na rękach. Rozłączyli się na krótką, przykrą chwilę, ale kuriozum zaraz wróciło na swoje miejsce. Przyspieszyło rytm ruchów. Oscar pieścił jej srom i szeptał do ucha, na dwa sposoby naraz wyrażając rozkosz, jaką odczuwał. W jej głowie obraz, w który się przeobraziła, cały rozpalił się ogniem. Zaczęła krzyczeć – z początku było to tylko „Tak! Tak!”, potem przyszedł czas na konkretne żądania, które zmuszały go do większego wysiłku. Światło obrazu oślepiło ją, wypaliło wszelką świadomość tego, kim jest i gdzie się znajduje, wypełniło jej wszechświat. Wspomnienia rozplynęły się w nim bez śladu.

Nie zdawała sobie sprawy, że skończył, dopóki nie spróbował się z niej wysliznąć. Sięgnęła ręką za siebie, żeby zatrzymać go jeszcze chwilę. Posłuchał jej. Rozkoszowała się tym, jak w niej mięknie, a potem jak wysuwa się z niej, niechętnie uwolniony przez delikatne mięśnie. Przetoczył się na łóżko obok niej i włączył lampkę. Jej światło nie raziło boleśnie w oczy, ale i tak było za silne. Chciała zaprotestować, zauważyła jednak, że Oscar dotyka obolałego boku. W czasie ich zespolenia rana otworzyła się do reszty. Krew spływała w dół, w stronę ciągle otulonego prezerwatywą kuriozum, i w bok, po żebrach, na prześcieradło.

– Nic mi nie jest – uspokoił ją, gdy próbowała wstać. – Wygląda gorzej, niż boli.

– Ale trzeba jakoś zatamować krwotok.

– To dobra, godolphińska krew. Zawsze sporo jej przelewano. – Oscar skrzywił się i uśmiechnął jednocześnie. Spojrzał na portret nad łóżkiem.

– Chyba się zgorszył – zauważyła Jude.

– Wprost przeciwnie. Jestem pewien, że byłby tobą zachwycony. Joshua

rozumiał, co to znaczy oddanie.

Spuściła wzrok. Krew ciekła Oscarowi pomiędzy palcami.

– Może jednak cię opatrzę? Robi mi się niedobrze.

– Dla ciebie zrobię wszystko. Zgoda.

– Masz jakieś bandaż?

– Dowd pewnie ma, ale nie chcę, żeby o nas wiedział. Jeszcze nie teraz.

Niech to będzie nasza tajemnica.

– Moja, twoja i Joshuy.

– Nawet Joshua nie wie, na co nas stać – odparł Oscar bez cienia ironii w głosie. – Jak myślisz, dlaczego zgasilem światło?

Poszła do łazienki po czysty ręcznik.

– Nawiasem mówiąc, wcale nie żartowałem – usłyszała z pokoju.

– Z czym?

– Że dla ciebie zrobię wszystko. W każdym razie wszystko co w mojej mocy. Chcę, żebyś ze mną została, Judith. Wiem, że żaden ze mnie Adonis, ale dużo się od Joshuy nauczyłem... o oddaniu i poświęceniu. Co tylko chcesz – dodał, gdy wyszła z łazienki.

– To bardzo hojna oferta.

– Przyjemnie jest dawać.

– Chyba wiesz, czego najbardziej pragnę.

– Nie jestem dobry w zgadywankach. – Pokręcił głową. – Tylko w krykieta jakoś sobie radzę. Powiedz mi.

Usiadła na skraju łóżka, delikatnie odsunęła jego dłoń od rany i zaczęła wycierać ją z krwi.

– Powiedz – powtórzył.

– Dobrze. Chcę, żebyś zabrał mnie z tego dominium i pokazał mi Yzorderrex.

ROZDZIAŁ 25

1

Dwadzieścia dwa dni po opuszczeniu lodowych pustkowi Jokalaylau – dni podróży przez tereny Trzeciego Dominium, w czasie których Pie i Gentle'owi szczęście sprzyjało jak nigdy dotąd – stali na peronie stacji nieopodal małej miejsciny Mai-Ké. Czekali na pociąg, który raz w tygodniu przejeżdżał tędy w drodze z Iahmandhas na północnym wschodzie do leżącego pół dnia drogi na południe L'Himby.

Nie mogli się go już doczekać. Ze wszystkich miast i wiosek, które przez ostatnie trzy tygodnie odwiedzili, Mai-Ké okazało się najmniej gościnne. Miało swoje powody. Oblężone przez dwa słońca Trzeciego Dominium, od sześciu lat nie mogło się doczekać na deszcz, który pozwoliłby zebrać plony. Tarasowo ułożone pola, na których powinny szumieć bujne łąny, były nagie i wypalone na popiół, a zapasy żywności prawie się wyczerpały. Mieszkańcom głód zaglądał w oczy i wcale nie mieli ochoty przyjmować gości. Ubiegłej nocy wylegli na ulice i modlili się głośno, prowadzeni przez duchowych przywódców, którym chyba zaczynało brakować natchnienia. Hałasy trwały aż do brzasku, tak że nie dało się oka zmrużyć. Gentle uznał, że nawet najbardziej współczujące bóstwo taka impreza doprowadziłaby do białej gorączki. Na skutek nieprzespanej nocy stosunki między nim a Pie stały się cokolwiek napięte.

Nie czekali na stacji sami. Jakiś pasterz z Mai-Ké przyprowadził na peron stado owiec; zwierzęta były tak wychudzone, że ledwo trzymały się na no-

gach. W ślad za owcami przybyły chmary miejscowego robactwa – insektów zwanych zarzi, o skrzydłach wązki i ciełe pękatym i owłosionym jak u pszczoły. Zarzi żywiły się żerującymi na owcach kleszczami, przynajmniej dopóki nie znalazły nic bardziej atrakcyjnego. Tym razem miały szczęście – krew Gentle'a bardzo przypadła im do gustu. Nie mógł się od nich opędzić.

Jedyna osoba z Mai-Ké, od której czegoś udało im się dowiedzieć, Hairstone Banty, twierdziła, że pociąg powinien przyjechać o czasie. Nie była godna zaufania. Pociąg sporo się już spóźniał.

Żar lał się z nieba. Gentle, opędzając się od zarzi, wyszedł z cienia stacyjki i wyrzwał na tory. Biegły prosto jak strzełił aż po horyzont i w oddali nic się na nich nie poruszało. Za to kilka metrów od jego stóp uwijało się stadko obrzydliwych szcurów, zwanych tu grobownikami. Zbierały suchą trawę na budowę gniazd, wciśniętych między szyny i żwir, na którym oparto podkłady. Ich krzątania dodatkowo go zirytowała.

– Nie wydostaniemy się stąd – powiedział do Pie, który siedział na ziemi i ostrym odłamkiem rysował kamienną krawędź peronu. – Hairstone chciała się zemścić na dwóch hoopreo.

Mnóstwo razy słyszał to słowo wypowiedane szeptem w ich obecności. Miało wiele znaczeń, równie dobrze mogło określać przybysza z egzotycznych krain, jak i odrażającego trędowatego – wszystko zależało od wyrazu twarzy, jaki mu towarzyszył. Mieszkańcy Mai-Ké byli mistrzami w strojeniu min. Kiedy mówili o Gentle'u „hoopreo”, nie miał wątpliwości, który koniec skali znaczeń jest im bliższy.

– Pociąg przyjedzie – odparł Pie. – Nie my jedni czekamy.

Parę minut wcześniej na peronie zjawiły się dwie kolejne grupki: trypokoleniowa rodzina mieszkańców Mai-Ké, która ściągnęła na stację chyba cały swój dobytek, oraz trzy kobiety w obszernych szatach, o głowach ogolonych do gołej skóry i oblepionych błotem – mniszki z zakonu Goetic Kicranki, znienawidzone w Mai-Ké na równi z każdym dobrze odżywionym hoopreo. Widok potencjalnych współtowarzyszy podróży nieco Gentle'a pocieszył, ale tory nadal były puste, a grobowniki, które pierwsze musiałyby wyczuć drgania szyn, nie przerywały pracy. Szybko mu się znudziły.

– Co robisz, Pie?

– Staram się policzyć, ile już tu jesteśmy.

– Dwa dni w Mai-Ké, wcześniej półtora dnia drogi z Attaboy...

– Nie. Liczę ziemskie dni, od początku. Odkąd przybyliśmy do dominiów.

– Próbowaliśmy to robić w górach i nic nam z tego nie wyszło.
– Mózgi nam pozamarzały.
– To znaczy, że teraz ci się udało?
– Potrzebuję jeszcze trochę czasu.
– Czasu mamy aż nadto. – Gentle wrócił spojrzeniem do szczurów. – Małe skurczybyki dochowają się wnuków, zanim ten cholerny pociąg przyjedzie.

Mistyf skupił się na swoich rachunkach i Gentle wrócił do względnie przytulnej poczekalni, w której, sądząc po bobkach na podłodze, musiały ostatnio pomieszkiwać całe stada owiec. Zarzi wleciały za nim do środka i z namolnym bzyczeniem krążyły mu nad głową. Z kieszeni kurtki (kupili ją za pieniądze wygrane w Attaboy, ale źle na nim leżała) wyciągnął podniszczony egzemplarz „Fanny Hill” – jedynej oprócz „Wędrówek pielgrzyma” anglojęzycznej książki, jaką mógł nabyć – i przez jakiś czas próbował tłuc nim insekty, ale szybko dał za wygraną. Doszedł do wniosku, że albo się im znudzi, albo uodporni się na ich ukąszenia, i było mu wszystko jedno, co nastąpi wcześniej.

Oparł się o upstrzoną rysunkami ścianę i ziewnął. Nudził się. Śmiertelnie się nudził. Kto by pomyślał! Gdyby po przybyciu do Vanaeph Pie powiedział mu, że po kilku tygodniach będzie znużony cudami Pojednanych Dominiów, wyśmiałyby go. Wówczas miał nad głową złocistozielone niebo, w oddali lśniły iglice Patashoqua i wydawało mu się, że czekają go tysiące przygód. Kiedy jednak dotarli do Beatrix, którego miłych wspomnień późniejsza masakra nie zdołała całkowicie zatrzeć, przypominał już zwyczajnego podróżnika w obcym kraju: był przygotowany na trafiające się od czasu do czasu wspaniałości, ale dochodził do wniosku, że wszystkie rozumne dwunogi są takie same, bez względu na to, jakie słońce im przyświeca. Naturalnie, przez ostatnie kilka dni byli świadkami niezwykłych wydarzeń, ale nie aż tak niesamowitych, żeby nie mógł ich sobie wyobrazić, siedząc w domu i pijąc na umór.

Owszem, zdarzały się wspaniałe widoki, lecz nie brakowało też nudy, niewygód i banałów. Na przykład po drodze do Mai-Ké mieszkańcy pewnej bezimiennej wioski namawiali ich gorąco, żeby zostali na czas miejscowego święta połączonego z topieniem osła. Pochodzenie tego rytuału owiane było, jak im powiedziano, mgłą tajemnicy. Odmówili – Gentle stwierdził, że naprawdę sięgnęliby dna, godząc się udział w festiwalu – i pojechali dalej wozem, którego właściciel z dumą obwieścił, że od sześciu pokoleń służy do

przewozu gnoju. Następnie ze szczegółami objaśnił im cykl rozwojowy odwiecznego wroga jego rodu, pensanu, zwanego leż gównokogulem, którego śladowa ilość odchodów mogła sprawić, że cały ładunek gnoju nie nadawał się do jedzenia. Nie wypytywali go już, kto w okolicy gustuje w takim pożywieniu, ale przez następne dni bardzo dokładnie oglądali zawartość swoich talerzy.

Kiedy tak siedział w poczekalni, rozgniatając pod butem twarde owcze bobki, przypominał też sobie najciekawsze chwile podróży przez Trzecie Dominium: pobyt w Effatoi, które zaraz przemianował na Attaboy. Miasto nie było duże – wielkością i urokiem przypominało Amsterdam – ale stanowiło prawdziwy raj dla hazardzistów. Z całego dominium ściągali do niego ci, którzy nie potrafili żyć bez hazardu. W Attaboy mogli zagrać w każdą znaną w Imajice grę. Jeżeli nie chcieli cię już widzieć w żadnym kasynie ani na nielegalnych walkach kogutów, zawsze mogłeś znaleźć desperata, który założy się o kolor twoich szczyń. Dzięki niemal telepatycznej współpracy Gentle i Pie zbili małą fortunę (w co najmniej ośmiu walutach), która powinna zapewnić im wikt i opierunek aż do Yzordderrex. Jednak to nie perspektywa zysku zdecydowała o tym, że Gentle prawie kupił dom w Attaboy, lecz miejscowy smakołyk – strudel ze zmiękczoneymi w miodzie pestkami owocu, który wyglądał jak krzyżówka brzoskwini z granatem. Zajadał się nim przed grą, żeby dodać sobie ducha, w trakcie gry, żeby się uspokoić, i po grze, żeby uczcić zwycięstwo. Dopiero gdy Pie zapewnił go, że przysmak ten można dostać absolutnie wszędzie (albo za wygrane pieniądze wynająć cukiernika, który przyrzędzi go na zawołanie), Gentle dał się przekonać do wyjazdu.

– Musimy jechać dalej – mówił mistyf. – Scopique czeka.

– Brzmi to tak, jakby się nas spodziewał.

– Zawsze jestem wyczekiwany gościem.

– Kiedy ostatni raz byłeś w L'Himby?

– Co najmniej... dwieście trzydzieści lat temu.

– To on przecież dawno umarł.

– Scopique jest inny. Musimy się z nim zobaczyć, to bardzo ważne. Zwłaszcza teraz, gdy szykują się takie zmiany.

– Zrobimy to, jeśli chcesz. Jak daleko jest stąd do L'Himby?

– Dzień drogi pociągiem.

Wtedy właśnie Gentle pierwszy raz usłyszał o torach kolejowych łączących Iahmandhas z L'Himby, miasto pieców z miastem świątyni.

– Spodoba ci się w L'Himby – stwierdził Pie. – To miejsce zadumy.

Wypoczęci i znacznie bogatsi, następnego ranka opuścili Attaboy. Przez cały dzień jechali wzdłuż rzeki Fefer, przez Happi i Omootajive dotarli do prowincji Ched Lo Ched, Kwiecistego Miejsca (w którym chwilowo nic nie kwitło) i wreszcie do Mai-Ké, tkwiącego w kleszczach nędzy i purytanizmu.

– Dobrze – dobiegł go z peronu głos Pie.

Wstał i wyszedł z chłodnej poczekalni.

– Jedzie?

– Nie, skończyłem obliczenia. – Mistryf wpatrywał się w porysowaną powierzchnię peronu pod stopami. – Wynik jest oczywiście przybliżony, ale dopuszczam pomyłkę najwyżej o dzień lub dwa. No, może o trzy.

– Który dziś jest?

– Zgadnij.

– Marzec... Dziesiąty marca.

– Pudło. Z obliczeń – podkreślam: przybliżonych obliczeń – wynika, że mamy siedemnasty maja.

– Niemożliwe.

– Ale prawdziwe.

– Wiosna się kończy?

– Chciałbyś wrócić?

Gentle rozważał to przez chwilę.

– Niespecjalnie. Szkoda tylko, że pociągi nie są tu zbyt punktualne. – Zszedł na krawędź peronu i spojrzał na tory.

– Ani widu, ani słyhu – stwierdził Pie. – Szybciej byśmy jechali na do-eki.

– Cały czas to robisz...

– Co robię?

– Wypowiadasz słowa, które mam na końcu języka. Czytasz w moich myślach?

– Nie. – Pie zaczął zacierać obliczenia obcasem.

– Jak wobec tego wygrywaliśmy w Attaboy?

– Nie potrzebujesz się uczyć.

– Tylko mi nie wmawiaj, że to mój wrodzony geniusz. Przez całe życie nic nie wygrałem, aż nagle, odkąd jeździmy razem, zrobiłem się nieomylny. To nie może być przypadek. Powiedz prawdę.

– To właśnie jest prawda. Nie musisz niczego się uczyć, najwyżej coś so-

bie przypomnieć... – Pie uśmiechnął się.

– No właśnie, następną sprawą... – Gentle machnął ręką i ku swojemu zdumieniu złapał natrętne zarzi. Otworzył dłoń. Zmiażdżył owadowi skorupkę, z której wyciekał teraz siny śluz, ale zarzi żył jeszcze. Gentle strzepnął dłonią, rzucił owada na kamienie, wyrwał garść rachitycznej trawy spomiędzy płyt peronu i zaczął wycierać sobie rękę. – O czym to ja mówiłem? A, już wiem, o tym, czego nie pamiętam. – Otworzył dłoń. – Pneumy. Dlaczego miałbym o nich zapomnieć?

– Albo straciły dla ciebie znaczenie...

– Wątpię.

– ...albo chciałeś o nich zapomnieć.

W słowach mistyfa coś zgrzytnęło nieprzyjemnie, ale Gentle nie ustępował.

– Dlaczego miałbym chcieć zapomnieć?

Pie spojrzął na tory. W oddali niebo częściowo przesłaniał obłok kurzu.

– No, słucham! – naciskał Gentle.

Mistyf nie odwrócił się do niego.

– Może pamięć za bardzo boli – odparł.

Ta odpowiedź zabrzmiała jeszcze paskudniej. Gentle musiał się nieco wysilić, żeby ogarnąć jej sens.

– Przestań!

– O co ci chodzi?

– Przestań mówić do mnie jak do głupka. Flaki się od tego wywracają.

– Ja nic nie robię. – Tym razem zmiana w głosie Pie była bardziej subtelna. – Uwierz mi. Nic nie robię.

– Opowiedz mi o pneumach. Chcę wiedzieć, skąd mam taką moc.

Pie otworzył usta, ale słowa wydobyły się z nich tak zdeformowane, zabrzmiały tak ohydnie, że Gentle poczuł, jakby ktoś z całej siły wyrzucił go pięścią w żołądek.

– Chryste Panie! – Zaczął rozcierać sobie brzuch, żeby złagodzić mdłości.

– Nie wiem, w co pogrywasz...

– W nic! – zaprotestował Pie. – To wszystko przez ciebie. Nie chcesz usłyszeć tego, co mam do powiedzenia.

– Właśnie, że chcę! – Gentle otarł lodowaty pot z twarzy. – Chcę poznać wszystkie odpowiedzi, chcę je usłyszeć jasno i wyraźnie!

Pie z ponurą miną zaczął mówić, ale Gentle natychmiast zgiął się w pół,

targany nową falą mdłości. Niech go diabli, jeśli mistyfowi uda się coś przed nim ukryć! To już była kwestia zasad. Pie po kilku pierwszych słowach umilkł.

– Powiedz mi! – Gentle zamierzał zmusić go do posłuszeństwa, nawet gdyby nie miał zrozumieć ani słowa z tego, co mówił. – Co zrobiłem, że tak bardzo chcę o tym zapomnieć? Mów!

Cała twarz Pie wyrażała opór, ale otworzył usta. Popłynęła z nich mowa tak zniekształcona, że Gentle z trudem wychwycił jej szczątkowy sens – coś o mocy, coś o śmierci...

Uznając, że zwyciężył, machnięciem ręki uciszył mistyfa. Odwrócił się w poszukiwaniu widoku, który przyniósłby mu ulgę, ale otaczająca go sceneria była jak żywcem wyjęta z taniego horroru: grobowniki wiły swoje żałosne gniazda pod szynami, tor ciągnął się w nieskończoność, na ziemi leżał martwy zarzi z rozprutym odwłokiem, z którego wysypały się jaja. Właśnie ta ostatnia scena, choć paskudna, nasunęła mu skojarzenia z jedzeniem. Ryba w brzuchu ryby wewnątrz ryby, a w tej najmniejszej pełno ikry... Ta wizja była kroplą, która przepełniła czarę. Zatoczył się na skraj peronu i zwymiotował na szyny. Brzuch miał prawie pusty, ale skurcze trwały długo. W końcu wstrząsany drgawkami odsunął się od torów. Czuł jeszcze zapach wymiocin, lecz torsje ustały. Kątem oka dostrzegł idącego w jego stronę mistyfa.

– Nie zbliżaj się! – krzyknął. – Nie dotykaj mnie!

Odwrócił się plecami do wymiocin i tego, który je wywołał, wrócił do poczekalni i usiadł na twardej drewnianej ławce. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Kiedy ból z wolna zaczął ustępować, Gentle wrócił myślami do napaści Pie. W ostatnich miesiącach kilkakrotnie wypytywał go o naturę mocy, jak się ją zdobywa i jak w szczególności on, Gentle, ją posiadał. Mistyf udzielał niewiarygodnie wykrętnych odpowiedzi, ale do tej pory Gentle nie czuł potrzeby zgłębienia tej kwestii. Być może jego podświadomość wcale nie chciała znać prawdy. Taki dar miał zwykle swoje konsekwencje, lecz Gentle za bardzo cieszył się rolą obdarowanego i posiadacza, żeby psuć sobie przyjemność rozważaniem własnej pychy. Wystarczało mu, że półsłówka i mętne wzmianki zniechęcały go do poszukiwań – i pewnie nic by się nie zmieniło, gdyby nie zarzi i spóźnienie pociągu do L'Himby, które wspólnie go zdenerwowały. Nudził się i szukał zaczepki, choć i tak była to tylko połowa prawdy. Naciskał mistyfa, bez wątpienia, ale do niczego go nie zmuszał; atak z jego strony wydawał się przesadzony i nie na miejscu. Gentle zadał

niewinne pytanie, a w rewanżu Pie wywrócił go na nice. To tyle, jeśli chodzi o czułe słówka w górach.

– Gentle...

– Spierdalaj!

– Ale pociąg...

– Co pociąg?

– Nadjeżdża.

Otworzył oczy. W drzwiach stał zasmucony mistyf.

– Gentle, przykro mi, że do tego doszło, ale tak musiało być.

– Nie musiało. To wszystko przez ciebie.

– Nie. Uwierz mi.

– Nie przez ciebie? To co się stało, strułem się czymś?

– Nie. Są jednak pytania...

– Od których robi mi się niedobrze.

– ...na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

– Za kogo ty mnie masz? – spytał z pogardą Gentle. – Zadałem ci pytanie, a ty przelałeś mi do głowy takie szambo, że się porzygałem. I co? To wszystko moja wina, bo nie powinienem był się dopytywać. Co to za chora logika?

Pie uniósł ręce, udając, że się poddaje.

– Nie będę się z tobą kłócił.

– I bardzo dobrze.

Dalsza rozmowa i tak nie miałyby sensu, bo łoskot zbliżającego się pociągu narastał z każdą chwilą. Zebrani na peronie głośno wiwatowali i klaskali. Gentle na chwiejnych nogach wyszedł za Pie z poczekalni.

Wyglądało na to, że połowa mieszkańców Mai-Ké zgromadziła się na stacji. Większość z nich, jak się domyślał, przybyła raczej w charakterze gości niż podróżnych; przyjazd pociągu pozwalał na chwilę zapomnieć o głodzie i niewysłuchanych modłach. Jednak kilka rodzin zamierzało wyjechać z miasta i ludzie z bagażami w rękach przeciskali się przez tłum. Wielkich wyrzeczeń wymagała od nich ta decyzja. Ze łzami żegnali seniorów, którzy najwyraźniej nie spodziewali się już więcej ujrzeć dzieci i wnuków. Dla Gentle'a i Pie wyjazd do L'Himby stanowił krótki skok w podróży; dla nich oznaczał zatonięcie w otchłani pamięci.

Należało uczciwie przyznać, że niewiele było w Imajice równie spektakularnych środków transportu jak olbrzymia lokomotywa, która powoli wyłaniała się z obłoków pary. Ktokolwiek nakreślił plany tego lśniącego, ryczące-

go monstrum, musiał świetnie znać jego ziemskie odpowiedniki – wycofane ze służby w świecie zachodnim, ale wciąż używane w Chinach i w Indiach. Naśladownictwo nie było tak niewolnicze, żeby zabić wszelki ślad radości życia – jaskrawe kolory upodabniały lokomotywę do samca w godowym upierzeniu, który przemierza szlaki w poszukiwaniu samicy – ale pod warstwą farby kryła się maszyna, która w czasach po pierwszej wojnie światowej nie zdziwiłaby nikogo na Marylebone czy King's Cross. Ciągnęła sześć wagonów pasażerskich i drugie tyle towarowych; do dwóch ostatnich załadowano stado owiec. Pie przeszedł już wzdłuż pociągu i właśnie wracał do Gentle'a.

– Do drugiego – powiedział. – Tam jest najluźniej.

Wsiedli do wagonu. Wnętrze kiedyś musiały być luksusowe, ale lata służby na torze zrobiły swoje. Większość foteli nie miała już ani obić, ani zagłówków, w niektórych w ogóle brakowało oparcia. Podłogę pokrywała warstwa kurzu, ściany zaś – dawniej ozdobione w równie barwnym i chaotycznym stylu co lokomotywa – aż się prosiły o świeżą warstwę farby. W przedziale zastali dwóch pasażerów, groteskowo otyłych mężczyzn w czarnych płaszczach, z których rękawów wynurzały się niewiarygodnie powyginane kończyny. Wyglądali jak księża po ciężkim wypadku, zbiegli z oddziału chirurgicznego. Oczy, nosy i usta mieli drobne, ledwie widoczne, skupione pośrodku twarzy, jakby bały się, że utoną w zwałach tłuszczu. Obaj zajadali orzechy, rozgniatali je w pulchnych dłoniach i zrzucali na podłogę deszcz skorup.

– To Bulwarowi Bracia – mruknął Pie, gdy Gentle sadowił się jak najdalej od ogromnych dziadków do orzechów.

Mistyf usiadł naprzeciw niego. Obok siebie postawił torbę zawierającą nieliczne drobiazgi, których się dorobili. Długo trwało, zanim odporne owce dały się namówić lub zmusić do wejścia do wagonu (zupełnie jakby wiedziały, że jadą prosto do rzeźni), a pożegnania na peronie ostatecznie dobiegły końca. Otwartym oknem do przedziału wleciały zarzi, które jednak na widok Braci i ich posiłku straciły zainteresowanie Gentle'em.

Zmęczony długimi godzinami oczekiwania i udręczony kłopotami z żołądkiem, Gentle zasnął. Kiedy się ocknął, mieli za sobą już dwie godziny podróży. Za oknem niewiele się zmieniło. Widział szarobure pola, takie same jak w okolicach Mai-Ké, i rzadko rozsiane skupiska domów, trudnych do odróżnienia od ziemi, na której stały, a budowanych z błota w czasach, gdy pa-

dał deszcz. Niekiedy mignął mu kawałek ziemi – bliski źródła albo lepiej nawodniony niż okoliczne pola – na którym uchowały się ślady życia; nieco rzadziej trafiali się żniwiarze zbierający plony. Poza tym sceneria potwierdzała przewidywania Hairstone Banty. Będziecie długo jechać przez jałowe ziemie, mówiła; potem przejedziecie przez Stepę, dalej będą Trzy Rzeki i prowincja Bem, której stolicą jest L'Himby. Gentle nie dowierzał jej trochę (paliła zielsko tak ostre, że nie mogła tego robić dla czystej przyjemności, poza tym uśmiechała się, a tego nie robił nikt w mieście), ale – naćpana czy nie – miała pojęcie o geografii.

Znów zaczął się zastanawiać, skąd bierze się moc, którą Pie w nim obudził. Jeżeli, jak przypuszczał, mistyf wpłynął na bierną do tej pory część jego mózgu i wyzwolił siły, które drzemały we wszystkich ludziach, dlaczego, do cholery, nie chciał się do tego przyznać? Czy kiedy byli w górach, Gentle nie udowodnił mu, że jest więcej niż chętny, by zaakceptować ideę komunii umysłów? A może mistyf czuł się tą bliskością zawstydzony i przez swój atak na peronie chciał przywrócić dzielący ich dawniej dystans? W takim razie udało mu się. Przez pół dnia żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Popołudnie było upalne. Pociąg zatrzymał się w małej mieścinie na dłuższą chwilę, żeby wyładować przywieziony z Mai-Ké żywy inwentarz. W tym czasie przez pociąg przeszło aż czterech sprzedawców przekąsek i napojów orzeźwiających. Jeden roznosił wyłącznie słodczyce. Wśród nich Gentle wypatrzył miejscową odmianę ciasta z pestkami i miodem, przez które omal nie zamieszkał w Attaboy. Poprosił o trzy plasterki, od drugiego handlarza kupił dwie filiżanki słodkiej kawy i to połączenie szybko pobudziło jego ospały organizm. Mistyf kupił i zjadł kawałek suszonej ryby, której zapach jeszcze bardziej zniechęcił Gentle'a do niego.

Kiedy rozległ się krzyk, zapowiadający odjazd ze stacji, Pie zerwał się z miejsca i rzucił do drzwi. Gentle'owi przeszło przez myśl, że mistyf zamierza go opuścić, ale nie – Pie wyskoczył z wagonu, na peronie kupił pospiesznie gazetę i wrócił, gdy pociąg ruszał ze stacji. Usiadł obok resztek ryby z obiadu i ledwie zaczął czytać, gwizdnął cicho.

– Powinieneś to zobaczyć, Gentle.

Największy nagłówek był w języku, którego Gentle nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie rozpoznał, lecz nie miało to większego znaczenia. Zdjęcia mówiły same za siebie – na szubienicy wisiało sześć ciał, a mniejsze wstawki przedstawiały portrety straconych. Rozpoznał dwoje z nich, Hammeryocka i

pontyfię Farrow, prawodawców Vanaeph. Poniżej znajdował się starannie wykonany portret Ticka Raw, szalonego wywoławcy.

– No, no... dostali za swoje. To najlepsza wiadomość od kilku dni.

– Wcale nie.

– Przecież próbowali nas zabić, nie pamiętasz? – zauważył rozsądnie Gentle, obiecując sobie w duchu, że nie da się sprowokować do kłótni. – Teraz zawisli na szubienicy, a ja nie zamierzam po nich płakać! Co właściwie zrobili? Chcieli ukraść Merrow Ti' Ti'?

– Merrow Ti' Ti' nie istnieje.

– To był dowcip – odparł z powagą Gentle.

– Wybacz, nie zorientowałem się. Popełnili... – Pie odebrał od Gentle'a gazetę. – Popełnili znacznie gorszą zbrodnię. – Ściszył głos i zaczął czytać szeptem: – Tydzień temu stracono ich za próbę zamachu na życie autarchy, kiedy ten wraz z orszakami przybył do Vanaeph z misją pokojową...

– Żartujesz!

– Nie, tak jest tu napisane.

– Udało im się?

– Oczywiście że nie. – Pie w milczeniu przebiegł wzrokiem resztę artykułu. – Trzech jego doradców zginęło od bomby, jedenastu żołnierzy zostało rannych. Bombę... Zaraz, trochę zapomniałem omootajivski... Bombę przemyślała pontyfika Farrow. Spiskowców pojmano żywcem, ale powieszono martwych, co oznacza, że zginęli na torturach, a mimo to autarcha postanowił zrobić przedstawienie i urządził publiczną egzekucję.

– Barbarzyńca!

– To powszechny zwyczaj, zwłaszcza w wypadku procesów politycznych.

– Co ma z tym wspólnego Tick Raw? Dlaczego zamieścili jego zdjęcie?

– Piszą, że należał do spisku, ale udało mu się uciec. Dureń...

– Dlaczego?

– Nie powinien mieszać się do polityki, kiedy gra toczy się o taką stawkę. Nie pierwszy raz to zrobił, naturalnie. I nie ostatni...

– Zaraz! Nie rozumiem.

– Ludzie, którzy mają dość czekania, zniżają się do polityki. Jakie to krótkowzroczne! Palant.

– Dobrze go znasz?

– Kogo, Tickę? – Na twarzy Pie odmalowało się zmieszanie. – Powiedzmy, że jest... na swój sposób sławny. Na pewno go znajdą. W całych domi-

niach nie będzie jednej dziury, w której mógłby się schować.

– A co tobie do tego?

– Mów ciszej.

– Odpowiedz mi. – Gentle posłusznie zniżył głos.

– Był maestrem, Gentle. Sam siebie nazywał wywoławcą, ale to na jedno wychodzi. Miał moc.

– Czemu w takim razie mieszkał w takim rynsztoku jak Vanaeph?

– Nie wszystkim zależy na pieniądzach i kobietach, Gentle. Niektórzy mają wyższe aspiracje.

– Na przykład?

– Mądrość. Pamiętasz jeszcze, dlaczego wyruszyliśmy w podróż? Chciałeś zrozumieć. To piękny cel. – Pierwszy raz od rozmowy na peronie Pie spojrzał Gentle'owi w oczy. – Twój cel, przyjacielu. Ty i Tick Raw macie wiele wspólnego.

– Wiedział o tym?

– Oczywiście...

– Czy dlatego tak się zapienił, kiedy nie chciałem z nim dłużej porozmawiać?

– Tak sędzę.

– Jasny gwint!

– Hammeryock i Farrow wzięli nas pewnie za szpiegów, którzy chcą wy-
niuchać, kto dybie na życie autarchy.

– Ale Tick Raw wiedział, że to nieprawda.

– Tak. Kiedyś był niezwykłym człowiekiem, Gentle... W każdym razie tak głosiła plotka. Teraz albo nie żyje, albo wzięli go na tortury. A to bardzo dla nas niedobrze.

– Myślisz, że zdradzi nasze imiona?

– Kto wie? Maestrowie potrafią bronić się przed torturami, ale nawet naj-
twardszych można złamać, jeśli się wie, jak to zrobić.

– Chcesz przez to powiedzieć, że autarcha nas ściga?

– Raczej nie. Chybabyśmy się połapali, gdyby tak było. Oddaliliśmy się
kawał drogi od Vanaeph. Trop wystygł.

– A może wcale nie złapali Tickę, co? Może im się wymknął.

– Na pewno dopadli Hammeryocka i pontyfię. Możemy chyba założyć, że
mają nasze dokładne rysopisy.

– Cholera! – jęknął Gentle. – Niewielu zdobywamy sobie przyjaciół, co?

– Tym bardziej nie powinniśmy się rozdzielać – odparł mistyf. Na jego twarzy zamigotał cień mijanego zagajnika bambusowego, ale Pie nawet nie mrugnął. Wpatrywał się w Gentle'a. – Przepraszam cię za wszystkie krzywdy, które twoim zdaniem ci wyrządziłem, dawniej i ostatnio. Nigdy nie chciałem ci nic złego zrobić, Gentle. Proszę, uwierz mi.

– Wiem – przytaknął mrukiwie Gentle. – Ja też cię przepraszam. Serio.

– Proponuję odłożyć nasz spór do czasu, gdy jedynymi naszymi przeciwnikami w Imajice będziemy my sami. Zgoda?

– To może potrwać.

– Tym lepiej.

– Zgoda. – Gentle roześmiał się i podał Pie rękę. – Widzieliśmy razem zdumiewające rzeczy, prawda?

– Istotnie.

– W Mai-Ké zacząłem po prostu wątpić w cudowność tej podróży.

– Czeka na nas jeszcze wiele cudów.

– Ale obiecaj mi jedno, dobrze?

– Słucham.

– Nigdy więcej nie jedz przy mnie surowych ryb. Nie zniosę tego.

2

Hairstone Banty tak tęsknym głosem opowiadała im o L'Himby, że Gentle spodziewał się drugiego Katmandu, miasta świątyń, pielgrzymów i taniej trawki. Może L'Himby istotnie kiedyś tak wyglądało – w dawno minionych czasach młodości Banty ale kiedy niedługo po zapadnięciu zmroku wysiedli z Pie z pociągu, atmosfera miasta daleka była od przesyconej duchowym spokojem. Przy wyjściu stali żołnierze. Palili papierosy i rozmawiali swobodnie, ale kilku obserwowało wychodzących ze stacji pasażerów. Na szczęście chwilę wcześniej inny pociąg zajechał na sąsiedni peron i przy wyjściu tłoczyli się podróżni, z tobołkami, w których nieśli dorobek całego życia. Pie i Gentle bez większego trudu przecisnęli się przez tłum, przepchnęli przez bramkę i niezauważeni wyszli ze stacji.

Na szerokich, jasno oświetlonych ulicach kręciło się znacznie więcej żoł-

nierzy; ich pozorna obojętność bynajmniej nie działała uspokajająco. Szeregowcy mieli ponure, szare mundury, oficerowie – białe, doskonałe na tropikalne noce. Wszyscy obnosili się z bronią. Gentle starał się nie przyglądać im zbyt ciekawie, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Nawet przelotne spojrzenia wystarczały jednak, żeby stwierdzić, iż broń i zaparkowane w bocznych uliczkach wozy pancerne do złudzenia przypominają przerażający sprzęt, który widzieli na ulicach Beatrix. Dowódcy z Yzordderrex musieli być mistrzami sztuki wojennej. Technika, jaką dysponowali, o kilka pokoleń wyprzedzała lokomotywę.

Jednak najbardziej fascynowały go nie pistolety maszynowe i nie czołgi, lecz wchodzące w skład oddziałów istoty, jakich jeszcze nigdy nie widział. Pie nazywał je oethacami. Były wzrostu człowieka, ale jedną trzecią ich ciała stanowiła głowa oparta na groteskowo szerokim korpusie, który musiał udźwignąć jej masę. Gentle zwrócił uwagę, że muszą być łatwym celem, lecz Pie wyjaśnił mu szeptem, że mają małe mózgi i grube czaszki, a o ich odporności na ból krążą legendy. To stwierdzenie zdawało się potwierdzać rozliczne karminowe blizny, odcinające się wyraźnie od białej jak kość skóry.

Wyglądało na to, że wojsko od dawna stacjonuje w L'Himby, bo mieszkańcy spokojnie zajmowali się codziennymi sprawami, nie zwracając uwagi na żołnierzy i ich śmiertcionośne maszyny. Nie bratali się z nimi, ale i nie narzekali.

– Dokąd teraz? – spytał Gentle, gdy wyszli z tłumu przed stację.

– Scopique mieszka na północnym wschodzie miasta, blisko świątyni. Jest doktorem, i to bardzo szanowanym.

– Myślisz, że ciągle jeszcze leczy?

– On nie zestawia złamanych kości, Gentle. Jest doktorem teologii. Polubił to miasto za jego niegdysiejszą senną atmosferę.

– Zmieniło się, prawda?

– Z pewnością. I wzbogaciło.

Dowody nowo nabytego bogactwa miasta widać było na każdym kroku – w błyszczących gmachach, które wyglądały, jakby farba na ich fasadach nie zdążyła wyschnąć, w ogromnej różnorodności strojów mieszkańców i wielkiej liczbie luksusowych samochodów na ulicach. Przetrwały nieliczne ślady kultury sprzed nagłego rozkwitu miasta. Między pojazdami przemykały czasem juczne zwierzęta, na które wszyscy zgodnie trąbili i klęli; ze starych budynków pozostały resztki fasad, włączone – zazwyczaj niezbyt zręcznie – w

nowe konstrukcje. Tubylcy mieli na głowie krystaliczne narośle, żółte i purpurowe, czasem układające się w kształt korony lub tonsury, ale zwykle wyrastające na przykład na samym środku czoła lub nieregularnie rozrzucone wokół ust. Pie twierdził, że nie pełnią żadnej znaczącej funkcji, ale elity najwidoczniej uważały je za wstydlivy defekt i dokładały starań, żeby ukryć pokrewieństwo z pospółstwem. Jedni nosili kapelusze, woalki i makijaż, inni, którzy zdecydowali się na pomoc chirurga, chodzili z gołą głową, pokazując świadczące o zamożności blizny.

– Żalotne – rzekł Pie, kiedy Gentle zwrócił na to jego uwagę. – To właśnie jest szkodliwy wpływ mody. Waszej mody. Ci ludzie chcą wyglądać jak modele i modelki z Patashoqua, a tamtejsi styliści od zawsze czerpią natchnienie z Piątego Dominium. Idioci! Spójrz na nich! Założę się, że gdybyśmy zaczęli rozpowiadać, że w Paryżu najmodniejsze jest ostatnio obcinanie sobie rąk, brodzilibyśmy w oderżniętych kończynach aż pod sam dom Scopi-que'a.

– Kiedy ostatnio byłeś w dominiach, wyglądało to inaczej?

– W L'Himby tak. To było spokojne miasto, już ci mówiłem. Patashoqua to co innego. Zawsze miało blisko do Piątego Dominium, więc jego wpływy są tam silniejsze. Nigdy nie brakowało pomniejszych maistrów, którzy podróżowali na Ziemię i z powrotem i przynosili nowe style i idee. Niektórzy nawet zrobili na tym jaki taki interes: co kilka miesięcy przemierzali In Ovo, poznawali ziemskie nowinki i sprzedawali je domom mody, architektom i tak dalej. Totalna dekadencja. Odrażające.

– Przecież zrobiłeś to samo, prawda? Stałeś się częścią Piątego Dominium.

– Nie tutaj. – Mistyf przyłożył pięść do piersi. – Nie w głębi serca. Popęliłem błąd, że zabłądziłem w In Ovo. Potem dałem się ściągnąć do Piątego Dominium. Znalazłszy się na Ziemi, udawałem człowieka, ale tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Mimo workowatych, wymiętych strojów Pie i Gentle z gołymi głowami i gładkimi czaszkami przyciągali zawistne spojrzenia spacerujących chodnikiem pozerów. Zawistne, a więc niezbyt przyjazne. Jeżeli Pie miał rację i Hammeryock lub pontyfia Farrow podali ich rysopis opracowcom, ich podobizny już się pewnie ukazały na rozkładówkach w miejscowych gazetach. A wtedy pierwszy lepszy zazdrosny dandys mógł pozbyć się konkurentów, szepnąwszy słówko któremuś z żołnierzy. Czy nie było zatem lepiej, podsu-

nał Gentle, złapać taksówkę i poruszać się po mieście nieco bardziej dyskretnie? Mistyf nie chciał się na to zgodzić. Nie pamiętał adresu Scopique'a i tylko blakając się pieszo, mógł mieć nadzieję na odnalezienie jego domu. Starali się na wszelki wypadek unikać najruchliwszej części deptaka, gdzie ludzie przesiadywali w restauracyjnych ogródkach i gdzie spotykali się żołnierze. Zwracali na siebie uwagę, ale nikt ich nie zaczepiał, a po dwudziestu minutach skręcili z głównej arterii komunikacyjnej w bok. Po kilku przecznicach nowe budynki ustąpiły miejsca bardziej zaniedbanym kwartałom, a dandysi – paskudnym typom.

– Od razu czuję się bezpieczniej – mruknął Gentle. Jego uwaga zabrzmiała o tyle paradoksalnie, że w każdym mieście Piątego Dominium podobnych zaułków unikaliby jak ognia.

We wszystkich oknach świeciły się lampy, a mimo późnej pory na ulicach bawiły się dzieci. Ich gry przypominały zabawy rówieśników z Ziemi, nie zostały jednak skopiowane, lecz wymyślone w oparciu o te same rekwizyty: piłka i kij, kreda i kawałek wolnego chodnika, sznurek i wyliczanka. Gentle'owi zrobiło się lżej na duszy, gdy słuchał śmiechu tych ludzi; nie odróżniłby go od chichotu maluchów z Piątego Dominium.

Dalej domy mieszkalne się skończyły i znaleźli się w całkiem odludnej okolicy. Pie spochmurniał. Widać było, że nie wie, gdzie są, gdy nagle dobiegł ich słaby śmiech. Mistyf wypatrzył w oddali charakterystyczną budowlę.

– To świątynia – powiedział, wskazując oddalony o kilka kilometrów ciemny gmach. – Pamiętam, że u Scopique'a widać go z okna w toalecie. Mówił mi, że lubi w pogodne dni otworzyć okno i kontemplując, defekować. – Uśmiechnął się na wspomnienie tych słów i odwrócił plecami do świątyni. – Okno łazienki wychodziło na świątynię. Od domu Scopique'a oddzielała ją pusta przestrzeń, ziemia niczyja, na której pielgrzymi rozbijali namioty.

– W takim razie idziemy w dobrym kierunku – zauważył Gentle. – Musimy tylko znaleźć ostatnią ulicę po prawej.

– To logiczne – przytaknął Pie. – A już zaczynałem się bać, że pamięć mnie zawodzi.

Nie musieli długo iść. Dwie przecznice dalej kończyły się zasypane gruzem ulice.

– To tutaj – oznajmił Pie.

Próżno by się doszukiwać nuty triumfu w jego głosie, ale Gentle wcale

mu się nie dziwił, gdy patrzył na ruiny. O ile poprzednio mijane ulice podpadły pokonane przez czas, o tyle ta, na którą teraz wyszli, została systematycznie zniszczona. Kilka domów spalono, inne wyglądały, jakby dywizja pancerna urządziła sobie w pobliżu poligon.

– Ktoś nas uprzedził – stwierdził Gentle.

– Na to wygląda. Przyznam, że nie jestem bardzo zaskoczony.

– To po co tu przyszliśmy?

– Musiałem zobaczyć to na własne oczy. Nie bój się, ślad się tu nie urywa. Scopique na pewno zostawił wiadomość.

Gentle postanowił nie mówić, jak mało wydaje mu się to prawdopodobne, i bez słowa poszedł za mistykiem. Zatrzymali się przed budynkiem, który nie zmienił się jeszcze w kupę osmalonych gruzów, ale był bliski tego stanu. Ogień wyżarł mu okna, wspaniałe drzwi wejściowe zastąpiono spróchniałymi deskami, a za oświetlenie służyły nie uliczne latarnie, których zresztą nie było na całej ulicy, lecz gwiazdy.

– Lepiej zostać tutaj – uprzedził Gentle'a Pie. – Scopique mógł zastawić pułapki.

– Jakie pułapki?

– Nie tylko Niewidziany umie przywołać strażników. Proszę cię, Gentle... Wolałbym wejść sam.

– Jak chcesz. – Gentle wzruszył ramionami. – Najczęściej wszystko robisz sam.

Patrzył, jak Pie wchodzi na zasypane gruzem schody, odsuwa kilka rozpadających się desek i znika mu z oczu. Zamiast czekać beczynn timer na progu, przeszedł kawałek dalej, skąd miał dobry widok na świątynię. Przyszło mu do głowy, że Trzecie Dominium – podobnie jak Czwarte, nawiasem mówiąc – zaskoczyło nie tylko jego, ale również Pie. Bezpieczna przystań, jaką stanowiło Vanaeph, omal nie stała się ich grobem, za to na zabójczych górskich pustkowiach znaleźli ocalenie. A teraz L'Himby, kiedyś miasto zadumy, dziś jarmarcznie kolorowe gruzowisko. Co będzie dalej? Czy po przybyciu do Yzordderrex przekonają się, że z Babilonu Dominiów stało się Nową Jerozolimą?

Patrzył na zaciemnioną świątynię, rozważając w myślach kwestię, która już go nieraz dręczyła – jak zabrać się do wykreślenia mapy dominiów, żeby po powrocie na Ziemię potrafił chociaż w przybliżeniu wyjaśnić przyjacielom, gdzie co leży? Podróżowali po różnych traktach, od Drogi Patashoquań-

skiej po bite ścieżki między Happi a Mai-Ké. Przemierzali zielone doliny i wspinali się na wysokość, na której nie przetrwały nawet najbardziej zahartowane mchy. Poznali luksusy rydwanów i wierność doeki. Pocili się, zamazali i brnęli we mgle jak nawiedzeni poeci w gorączce, nie wierząc zmysłom i wątpiąc we własne istnienie. Wszystko to należało poukładać – trasy, miasta, góry i równiny zamknąć w dwóch wymiarach, żeby dały się spokojnie oglądać. Później, pomyślał, jak zwykle odsuwając od siebie to zadanie. Później.

Odwrócił się w stronę domu Scopique'a. Pie nie było nigdzie widać i Gentle zaczął się niepokoić, czy nic złego mu się nie przytrafiło. Wrócił, wszedł po schodach i z poczuciem winy przecisnął się między deskami. Światło gwiazd nie mogło przeniknąć do środka. Znalazł się w całkowitej ciemności i chłodzie, który nasuwał skojarzenia z katedrą pod lodem. Wtedy był z nim mistyf, tym razem znajdował się gdzieś z przodu. Gentle odczekał chwilę przy drzwiach, aż zaczął rozróżniać kształty w mroku. Dom był wąski i ciasny. Z głębi dobiegał cichy, ledwie słyszalny głos. Gentle niepewnie ruszył w jego stronę. Po kilku krokach zdał sobie sprawę, że chrapliwy i wystraszony głos nie należy do Pie. Może w ruinach ukrywał się Scopique?

Mdła poświata, słabsza od blasku najbledszej gwiazdy, zaprowadziła go do drzwi, za którymi na środku ciemnego pokoju stał Pie. Ponad jego ramieniem Gentle widział słabnące źródło światła – w powietrzu, delikatnym wieتریku, unosiła się pajęczyna utkana w taki kształt, jakby pajak miał zapędy portrecisty. Nie poruszała się przypadkowo, lecz otwierała i zamykała usta, dzieląc się z mistykiem swą wiedzą.

– ...lepszych dowodów niż w tych kataklizmach. Musimy wytrwać, przyjacielu... wytrwać i modlić się... Nie, lepiej się nie módlmy. Wątpię już we wszystkich bogów, a zwłaszcza w Tubyłca. Jeżeli można mierzyć ojca miarą jego dzieci, z pewnością nie kocha dobra i sprawiedliwości.

– Dzieci? – powtórzył Gentle.

Pajęcze nici zatrzepotały w podmuchu powietrza wywołanym słowem Gentle'a. Twarz wydłużyła się, usta ponownie otworzyły.

Mistyf obejrzał się przez ramię i pokręcił głową, żeby uciszyć nieproszonego gościa. Scopique – bo Gentle nie miał już wątpliwości, że właśnie jego ma przed sobą – mówił dalej:

– Uwierz mi, znamy tylko dziesiątą część dziesiątej części spisków, które się tu knuje. Na długo przed Pojednaniem uaktywniły się siły, które próbowały je powstrzymać. Jestem o tym święcie przekonany. Rozsądnie będzie zało-

żyć, że siły te nie zanikły. Działają w tym dominium i w dominium, z którego przybywasz. Snując swoje plany, mają w perspektywie nie dziesięciolecia, lecz wieki. Powinniśmy je naśladować. Wprowadziły swoich wysłanników bardzo głęboko. Nikomu nie ufaj, Pie'oh'pahu, nawet samemu sobie. Ich plany sięgają czasów przed naszym urodzeniem. Każdy z nas mógł zostać poczęty tylko po to, żeby nieświadomie im się przysłużyć w jakiś pokrętny sposób. Wiem, że niedługo po mnie przyjdą. Przyprawdzą pewnie pustkowce. Jeżeli zginę, zorientujesz się; jeśli zdołam ich przekonać, że jestem nieszkodliwym maniakiem, czeka mnie Kołyska i *maison de santé*. Znajdź mnie tam, Pie'oh'pahu. A jeżeli masz pilniejsze sprawy na głowie, zapomnij o mnie. Nie będę miał do ciebie żalu. Wiedz jednak, przyjacielu, że wciąż z sympatią myślę o tobie. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

Zanim jeszcze Scopique skończył mówić, pajęczyna zaczęła tracić moc przyjmowania jego kształtów. Zapadała się powoli, a kiedy wypowiedział ostatnie słowa, spłynęła bezwładnie na ziemię. Mistryf przykucnął i pogładził ją palcami.

– Scopique... – mruknął.

– O jakiej kołysce on mówił?

– Kołyska Chzercemit. To morze śródlądowe, które znajduje się jakieś dwa, może trzy dni drogi stąd.

– Byłeś tam?

– Nie, to miejsce zsyłki. Na Kołysce jest wyspa i tam trafiają więźniowie, głównie kryminaliści, którzy dopuścili się okrutnych zbrodni, ale byli zbyt niebezpieczni, żeby ich zlikwidować.

– Nie rozumiem...

– Zapytaj mnie o to innym razem. Wygląda jednak na to, że z wyspy zrobiono przytułek. – Pie wstał. – Biedny Scopique. Zawsze bał się obłędu...

– Znam to uczucie.

– ...a oni wsadzili go do domu wariatów.

– Musimy go stamtąd wyciągnąć – stwierdził Gentle.

Pie podniósł ręce do oczu i zaczął szlochać.

– Hej... – Gentle go przytulił. – Znajdziemy Scopique'a. Wiem, że nie powinienem cię tak szpiegować, ale bałem się, że coś ci się stało.

– Przynajmniej sam go słyszałeś. Wiesz, że to prawda.

– Dlaczego miałbym pomyśleć, że to kłamstwo?

– Bo mi nie ufasz.

– Zgodziliśmy się co do tego, że mamy tylko siebie nawzajem i tylko to daje nam nadzieję na przyszłość. Prawda?

– Tak.

– Trzymajmy się tego.

– To nie takie proste. Jeżeli Scopique miał rację, któryś z nas może być agentem wroga, nic o tym nie wiedząc.

– Mówiąc „wroga”, masz na myśli autarchę?

– Między innymi. Sądzę, że on jest tylko ucieleśnieniem ogólnego zepsucia. Imajica jest chora, Gentle. Cała, od końca do końca. To, co stało się z L'Himby, dobiło mnie.

– Wiesz co? Powinieneś był mnie zmusić, żebym pogadał z Tickiem Raw. Mógłbyś udzielić nam paru wskazówek.

– Moja rola nie polega na zmuszaniu cię do czegokolwiek. Poza tym nie wierzę, żeby wiedział więcej od Scopique'a.

– Może zanim znów go spotkamy, dowie się czegoś nowego.

– Miejmy nadzieję.

– Tym razem nie obrażę się i nie ucieknę jak idiota.

– Jeżeli przedostaniemy się na wyspę, nie będzie dokąd uciekać.

– To fakt. W każdym razie potrzebny nam jest jakiś środek transportu.

– Dyskretny.

– Szybki.

– I taki, żeby łatwo dało się go ukraść.

– Wiesz, jak trafić do Kołyski?

– Nie, ale mogę poprozić. Przez ten czas ty ukradniesz samochód.

– Świetnie. Jeszcze jedno, Pie... Kup przy okazji jakąś gorzałę i papierosy, dobrze?

– Widzę, że zrobisz jeszcze ze mnie dekadenta.

– Mój błąd. Wydawało mi się, że jest dokładnie odwrotnie.

3

Sporo przed świtem wyjechali z L'Himby samochodem, który Gentle wybrał ze względu na kolor (szary) i absolutną przeciętność. Wóz dobrze im słu-

żył. Dwa dni jechali bez żadnych przeszkód. Im bardziej oddalali się od świątyni i miasta, tym mniejszy ruch panował na drodze. Poza obrębem miasta również stacjonowali żołnierze, ale zachowywali się bardzo dyskretnie i w ogóle nie próbowali ich zatrzymywać. Tylko raz widzieli z daleka oddział artylerii, który za pomocą ciężkiego sprzętu ustawiał działa wycelowane w L'Himby. Manewry prowadzono akurat na tyle otwarcie, żeby mieszkańcy dobrze wiedzieli, na czyją łaskę i niełaskę są zdani.

Przed południem trzeciego dnia droga opustoszała zupełnie, a równina, na której leżało miasto, przeszła w łagodne wzgórza. Wraz z krajobrazem zmieniła się też pogoda. Niebo się zachmurzyło, a ponieważ wiatr chmurom nie dokuczał, gęstniały z minuty na minutę. Sceneria, którą mogło pięknie ożywiać słońce, stała się ponura i nieprzyjazna. Sporadycznie napotykali pojedyncze gospodarstwa, dawno popadłe w ruinę, a jeszcze rzadziej zdarzało im się ujrzeć żywą istotę. Ludzie ci byli zawsze potargani, niechlujnie ubrani i samotni, jakby całe terytorium oddano we władanie zagubionym duszom.

*

W końcu dotarli do Kołyski. Pojawiła się całkiem nieoczekiwanie – droga wyprowadziła ich na wzgórze, z którego roztaczała się rozległa panorama szarej plaży i srebrzystego morza. Gentle nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo przygnębiał go widok wzgórz, ale teraz od razu poczuł się lepiej.

Niektóre elementy krajobrazu trochę go jednak dziwiły – przede wszystkim tysiące milczących ptaków. Siedziały nieruchomo na plaży – żaden nie fruwał ani nie pływał – jak gdyby oczekiwały spektaklu, który lada chwila rozegra się na morskiej arenie. Dopiero gdy Pie z Gentle'em zjechali nad wodę, zatrzymali się na obrzeżach stada i wysiedli z wozu, zrozumieli przyczynę ich bezruchu. Nie tylko one tkwiły nieruchomo – także chmury nad nimi i sama Kołyska się nie poruszały. Gentle przeszedł przez stado (dominowali w nim bliscy krewniacy mew, ale rozpoznał też gęsi, ostrygojady i kilka papug), stanął na skraju morza i dotknął go najpierw stopą, potem palcami dłoni. Nie było zamrznięte, wiedział z niedawno nabytego doświadczenia, jaki jest lód w dotyku. Po prostu stężało. Widział znieruchomiałą falę, która łamała się przy brzegu, widział wiry i prądy.

– Przynajmniej nie musimy pływać – zauważył mistyf, przesuwając wzrokiem po linii horyzontu.

Drugiego brzegu nie było widać, ale wyspa, szara ostra skała, wyrastała z morza kilka kilometrów od miejsca, w którym stali.

Maison de santé, jak powiedział Scopique, musiał zajmować przycupnięte pod jej szczytem skupisko budynków.

– Idziemy, czy czekamy, aż się ściemni? – spytał Gentle.

– Po ciemku w życiu jej nie znajdziemy. Musimy ruszać od razu.

Wrócili do samochodu i przejechali przez stado ptaków, które równie niechętnie ustępowały przed kołami, jak przedtem przed stopami Gentle'a. Kilka na chwilę wzbiło się w powietrze, ale zaraz siadały z powrotem; większość jednak wolała zachować swój stoicyzm i ginęła na miejscu.

Tak gładkiej jazdy nie mieli od czasu Drogi Patashoquańskiej. Morze musiało być spokojne jak staw, gdy znieruchomiało. Minęli zwłoki kilkunastu ptaków, które życiem zapłaciły za obecność przy tym procesie. Nie rozłożyły się jeszcze, co sugerowało, że Kołyska stężała całkiem niedawno.

– Słyszałem, że można chodzić po wodzie – przyznał Gentle. – Ale jeździć? To całkiem inny cud.

– Masz jakiś pomysł, co robić, kiedy dotrzemy na wyspę?

– Powiemy, że chcemy się widzieć ze Scopique'em, a jak nas do niego zaprowadzą, zabierzemy go i odjedziemy. Jeżeli będą stawiać opór, użyjemy siły. To proste.

– Strażnicy mogą mieć broń.

– Widzisz te dłonie? – Gentle zdjął ręce z kierownicy. – To dłonie zabójcy. – Roześmiał się na widok wyrazu twarzy mistyfa. – Nie bój się, będę uważał. – Złapał kierownicę. – Ale lubię czuć moc, naprawdę lubię. Chyba podnieca mnie myśl, że mogę jej użyć. Hej, popatrz tylko! Słońca wychodzą z chmur.

Chmury zaczęły się rozpraszać i błysnęły zza nich pierwsze promienie światła. Padły na skałę, od której dzielił ich niespełna kilometr. Zauważono ich. Pod szczytem i na murze więzienia pojawili się strażnicy. Jacyś ludzie biegli krętymi schodami w dół urwiska, kierując się do zacumowanych w pobliżu łodzi. Na dalekiej już plaży ptaki wszczęły straszny harmider.

– Nareszcie się obudziły – mruknął Gentle.

Pie się odwrócił.

Światło słońca padło na plażę i oświetliło skrzydła wzbijających się do lotu ptaków.

– Jezu!...

– Co się stało?

– Morze...

Pie nie musiał dodawać nic więcej, gdyż to samo zjawisko, które nadciągało od brzegu, wybiegało im także na spotkanie od strony wyspy: wolno posuwająca się fala uderzeniowa zmieniała naturę materii, której dotknęła. Gentle przyspieszył, chcąc jak najszybciej zmniejszyć dystans dzielący ich od stałego lądu. Morze wokół wyspy było już całkiem płynne. Przemiana postępowała szybko.

– Stój! – ryknął Pie. – Jeśli zaraz nie wysiądziemy, pójdziemy z samochodem na dno!

Gentle zahamował z poślizgiem. Wyskoczyli i zaczęli biec. Grunt był jeszcze wystarczająco twardy, ale dały się w nim wyczuć zwiastujące przemianę drgania.

– Umiesz pływać? – spytał Gentle.

– Jeśli muszę – odparł mistyf, nie spuszczać wzroku z nadciągającej fali. Woda przypominała rtęć i burzyła się, jakby rzucały się w niej setki ryb. – Ale tu chyba nie chcielibyśmy się kąpać.

– Boję się, że nie będziemy mieli wyboru.

Przynajmniej mogli mieć nadzieję na ocalenie – łodzie odbijały od brzegu wyspy, rytmiczne pokrzykiwania wioślarzy i plusk wiosł zagaśniały szum wody. Mistryf nie upatrywał jednak szansy w łodziach. Dostrzegł wąską groblę, która jak pas mięknącego lodu łączyła miejsce, w którym się znajdowali, z wyspą. Złapał Gentle'a za rękę i wskazał mu drogę.

– Widzę! – krzyknął Gentle i zygzakiem rzucili się w jej stronę. Wioślarze w lot pojęli co się dzieje i skręcili, żeby ich przejąć.

Mimo że morze z obu stron podmywało groblę, wizja ratunku zdawała się coraz bardziej realna. Nagle Gentle'a usłyszał łoskot przewracającego się i tonącego samochodu. Zwolnił, odwrócił się i zderzył z Pie. Mistryf upadł. Gentle poderwał go na nogi, ale oszołomiony przez chwilę nie wiedział, co robić.

Od strony łodzi dobiegły okrzyki grozy; woda buzowała wściekle dosłownie o kilka metrów za ich plecami. Podtrzymując Pie, Gentle pobiegł dalej, stracili jednak bezpowrotnie cenne sekundy. Od łodzi dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów, ale woda z obu stron była za blisko. Gdyby nie ruszyli się z miejsca, przypływ szybciej by ich zagarnął niż łodzie. Gdyby zaś Gentle zaczął biec z półprzytomnym mistykiem w ramionach, rozminąłby się z ratownikami.

Nie dane mu było zdecydować. Między stopami zbulgotały mu srebrne wody Chzercemit. Siedząca w bliższej łodzi istota – poblížniony oethac z olbrzymią głową – krzyknęła ostrzegawczo. Ułamek sekundy później stopa Gentle'a zapadła się o dobre piętnaście centymetrów, gdy pękła pod nią krusza kra. Teraz z kolei Pie go podtrzymał, ale walka była przegrana.

Zdesperowany Gentle spojrział w dół, do wody. Stworzenia, które miotając się wzburzyły morze, nie znajdowały się w wodzie, lecz były nią. Małe fale miały grzbiety i szyje, piana błyszczała tysiącami maleńkich oczek.

Łódź pędziła w ich stronę i przez chwilę wydawało się, że jednym skokiem zdołają pokonać dzielącą ich do niej odległość.

– Skacz! – krzyknął Gentle i z całej siły pchnął mistyfa.

Pie zdołał odbić się i przemienić upadek w skok. Złapał się krawędzi burty. Niestety, Gentle również stracił równowagę i wpadł do wody. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak ktoś wciąga mistyfa do rozkołysanej łódki, i pomyśleć, że jemu też wystarczy czasu, by chwycić wyciągnięte w jego kierunku ręce. Jednak morze nie zamierzało rozstać się z oboma smaczными kaskami naraz. Gentle wpadł w srebrną pianę, która otuliła go ciasno jak żywa istota. Wyrzucił ręce w górę. Miał nadzieję, że może oethac zdoła je złapać. Na próżno. Stracił przytomność i zatonął jak statek bez kapitana.

ROZDZIAŁ 26

1

Obudziły go słowa modlitwy. Nie znał języka, w którym wypowiedziano jej słowa, ale bez wątpienia była to modlitwa błagalna. Głosy wznosiły się i opadały w taki sam pozbawiony harmonii sposób jak w kościołach na Ziemi. Było ich z pół tuzina, a jeden lub dwa spóźniały się o sylabę i rwały rytm, ale Gentle ucieszył się, że w ogóle coś słyszy. Kiedy tracił przytomność, nie spodziewał się jej odzyskać.

Światło musnęło jego oczy, lecz obraz był przymglony i nieostry. Miał za to jakąś ulotną fakturę, na której Gentle próbował się skoncentrować. Dopiero kiedy czoło, policzki i broda przekazały do mózgu uczucie podrażnienia, zrozumiał, dlaczego nie widzi normalnie. Leżał na plecach, a głowę miał przykrytą kawałkiem materiału. Chciał podnieść rękę i ściągnąć szmatę z twarzy, ale głupia kończyzna ani drgnęła. Skupił się, wydając jej kategoryczny rozkaz. Ton modłów uległ zmianie i stał się bardziej natarczywy. Łoże, na którym spoczywał, zatrzęsło się nagle. Nie krzyknął, bo coś tkwiło mu w gardle i tłumilo głos. Co się z nim działo? Spokojnie, tylko spokojnie! Wszystko się wyjaśni, pomyślał. Zachowaj spokój. Szlag by to trafił, przecież łóżko się rusza! Gdzie go niosą?! Do diabła ze spokojem! Nie mógł przecież leżeć nieruchomo, kiedy ktoś obnosił go po okolicy. Jeszcze nie umarł, na miłość boską!

A może? Leżał na deskach, z twarzą przykrytą całunem, i ktoś gdzieś go niósł. Czy nie tak właśnie dzieje się po śmierci? Modlili się, żeby pomóc jego

duszy wzbić się do nieba, a zarazem zamierzali pozbyć się doczesnych szczątków. Ciekawe jak. Pochowają go? Spalą na stosie? Musiał ich powstrzymać – skinąć ręką, jęknąć, coś zrobić, żeby zorientowali się, że jeszcze nie odszedł. Jak dać im znak? Nie zdążył tego przemyśleć, gdy jeden głos wzniósł się ponad chóralne mamrotanie. Modlitwy ucichły, tragarze niosący mary stanęli w miejscu. Ten sam głos – głos Pie! – zabrzmiał ponownie:

– Jeszcze nie!

Ktoś z prawej strony mruknął coś, czego Gentle nie zrozumiał, może jakieś słowa pocieszenia. Mistyf odpowiedział smutno w tym samym języku. Głos mu się łamał.

Do rozmowy włączyła się trzecia osoba, która najwidoczniej próbowała przekonać Pie, żeby zostawił zmarłego w spokoju. Co mogli mówić? Że zwłoki to tylko pusta skorupa, cień człowieka, którego duch udał się już do lepszego świata? Gentle siłą woli próbował zmusić Pie, żeby ich nie słuchał. Jego duch był na miejscu! Tutaj!

I wtedy – o radości! – ktoś ściągnął mu całun z twarzy. Pie spojrzął mu w oczy. Sam wyglądał jak chodzący trup, powieki miał zaczerwienione i był przeraźliwie smutny.

Jestem uratowany, pomyślał Gentle. Pie widzi, że patrzę na niego, a w mojej czaszce zachodzą inne procesy niż proces rozkładu. Mistyf jednak rozpłakał się tylko. Jakiś człowiek z gąszczem kryształków na głowie położył mu rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha. Pie musnął palcami twarz Gentle'a i dotknął jego ust, ale tchnienie, które jeszcze niedawno było tak potężne, że strzaskało mur pomiędzy dominiami, osłabło tak bardzo, że go nie poczuł. Pocieszyciel zdjął palce mistyfa z twarzy Gentle'a i zakrył ją całunem.

Żałobnicy podjęli modlitwę, mary na ich ramionach drgnęły i ruszyły naprzód. W Gentle'u zgasła iskierka nadziei, a jej miejsce zajął strach i gniew. Pie twierdził zawsze, że jest taki wrażliwy. Jak to możliwe, że właśnie teraz, kiedy wszystko rozbijało się o empatię, nie wyczuł, co grozi jego przyjacielowi? Więcej niż przyjacielowi – ukochanemu, dla którego przekształcił własne ciało.

Lęk osłabł na chwilę. Czy w tym żalu nie było dla niego cienia nadziei? Ukochany? Przekształcone ciało? Ależ oczywiście!

Dopóki myślał, mógł pożądać, a mistyf potrafi wyczuć jego pożądanie. Odpowiedzieć na nie. Gdyby zdołał zapomnieć o śmierci i skoncentrował się na seksie, może sięgnie w ten sposób do samego serca zmiennej istoty Pie.

Może wywoła w nim metamorfozę, żeby zasygnalizować, że żyje?

Nagle – jakby chcąc go zdekoncentrować – pamięć podsunęła mu pochodzące z innego świata słowa Kleina:

– Te rozmyślania o śmierci, żeby opóźnić orgazm... Beznadziejne.

Z początku miał wrażenie, że to wspomnienie jest zupełnie nie na miejscu, po chwili jednak zdał sobie sprawę, że w istocie stanowi idealne lustrzane odbicie jego sytuacji. Pożądanie było jego jedyną bronią w walce z przedwczesną śmiercią. Zwrócił myśli ku drobiazgom, które zawsze go podniecały: nagi kark pod zaczesanymi do góry lokami, usta zwilżone muśnięciem języka, spojrzenia, dotyk, kokieteria. Ale Tanatos trzymał Erosa za gardło. Strach wygrywał z żądzą. Jak Gentle mógł skupić się na seksie dość długo, żeby zwrócić uwagę Pie, jeśli świeżo wykopany grób albo ułożony stos czekały u jego stóp?! Nie był gotowy na spotkanie z nimi. Zbyt zimna ziemia, zbyt gorący ogień, absolutny mrok i oślepiająca jasność. Pragnął tylko kilku tygodni, dni, może nawet godzin – tak, godziny też przyjąłby z wdzięcznością – pomiędzy tymi dwoma skrajnościami; tam gdzie było miejsce na ciało i na miłość. Nie mogąc wyzbyć się lęku przed śmiercią, spróbował ostatniej sztuczki. Postanowił go oswoić, wpleść w materię swoich fantazji seksualnych.

Płomień? Niech będzie ciepłem przyciśniętego do niego ciała mistyfa. Chłód? To pot na jego plecach, kiedy się połączyli. Ciemność to noc, która skrywała ich szaleństwo, a blask stosu to jasność ich spełnienia. Czuł, że sztuczka zaczyna działać. Dlaczego właściwie śmierć miałyby być antyerotyczna? Gdyby razem umierali i gnili w ziemi, czy rozkład nie mógłby wskazać im nowych dróg miłości, odkrywać ich warstwa po warstwie, mieszać płyny ich ciał i szpik kości, aż połączyliby się ostatecznie?

Oświadczył się mistyfowi; oświadczyzny zostały przyjęte. Miał go na wieki, mógł przemieniać go bez końca, nadawać mu formy najsłodszych, zakazanych pragnień. Teraz też to robił. Wyobraził sobie, że Pie jest całkiem nagi, dosiada go i za każdym dotknięciem zmienia skórę jak ubranie. Raz był Jude, za chwilę Vanessą, jeszcze później Martine. Ujeżdżały go. Czuł się cudownie, jakby wszystko, co w świecie piękne, skupiło się na czubku jego członka.

Zatopiony w takich wizjach nie zauważył, że modły znów umilkły, a tragarze musieli się zatrzymać. Dookoła rozlegały się niespokojne szepty, ponad które wzbił się cichy, zdumiony śmiech. Znów ktoś zerwał mu zasłonę z twarzy. Pie uśmiechał się, twarz mu jaśniała nadzieją.

– On żyje! Jezu Chryste, on żyje!

Odpowiedziały mu pełne powątpiewania głosy, ale uciszył je śmiechem.

– Czuję go w sobie! Przysięgam! On wciąż jest tu z nami. Połóżcie go!

Tragarze posłusznie złożyli mary na ziemi i Gentle pierwszy raz miał okazję ujrzeć nieznanym, którzy omal nie zgotowali mu ostatecznego pożegnania. Nie byli zachwyceni. Patrzyli z niedowierzaniem, ale groźba pogrzebu została zażegnana. Przynajmniej chwilowo. Mistryf pochylił się i pocałował go w usta. Promieniał radością.

– Kocham cię – szepnął. – Będę cię kochał, dopóki miłość nie umrze.

2

Był żywy, ale bynajmniej nie zdrowy. Przenieśli go do niedużego pokoiku o ścianach z szarej cegły i złożyli na łóżku niewiele wygodniejszym od drewnianych mar, na których leżał jako trup. Pokój miał jedno okno. Gentle wyrzwał przez nie, dopiero gdy Pie'oh'pah pomógł mu unieść się na łóżku. Widok za oknem nie był interesujący – pod zachmurzonym niebem rozciągało się srebrzyste, skamieniałe morze.

– Morze zmienia się, kiedy wychodzi słońce – wyjaśnił mu Pie. – Czyli rzadko. Mieliśmy zwyczajnie pecha. Wszyscy są zdumieni, że przeżyłeś. Ta sztuka nie udała się jeszcze nikomu, kto wpadł do Kołyski.

Liczba gości – strażników i więźniów – którzy go odwiedzali, potwierdzała niezwykle status Gentle'a. Odniósł wrażenie, że na wyspie panuje dość łagodny reżim. Okna miały wprawdzie kraty, a po każdej wizycie strażnicy starannie zamykali drzwi na klucz, ale oficerowie (zwłaszcza kierujący przytułkiem oethac, Vigor N'ashap, oraz jego zastępca, zarozumiały Aping, który buty i guziki przy mundurze miał bardziej błyszczące niż oczy, a rysy twarzy oklapłe jak po nasączeniu wodą) zachowywali się całkiem uprzejmie.

– Nie mają tu aktualnych wiadomości – powiedział Pie. – Po prostu przysłała się im więźniów i mają ich pilnować. N'ashap słyszał o spisku i zamachu na autarchę, ale pewnie nawet nie wie, czy zamach się powiódł. Wypytywali mnie przez kilka godzin, lecz o nas nie pytali ani razu. Powiedziałem tylko, że jesteśmy przyjaciółmi Scopique'a, który ponoć postradał rozum, i że przy-

byliśmy go odwiedzić. Chodząca niewinność. Chyba to łyknęli. Kłopot w tym, że co osiem, dziewięć dni – zawsze za późno, jak utyskuje Aping – dostarczają tu żywność i gazety, więc szczęście nie może nam zbyt długo sprzyjać. Na razie robię, co mogę, żeby byli zadowoleni. Samotność bardzo im tu doskwiera.

Znaczenie ostatnich słów mistyfa umknęło uwagi Gentle'a, ale na razie mógł tylko słuchać i modlić się o szybki powrót do zdrowia. Mięśnie rozluźniły mu się nieco, mógł mrugać, przełykać i odrobinę poruszać rękoma, ale cały tułów nadal miał zupełnie sztywny.

Drugim regularnym gościem Gentle'a – i zdecydowanie najbardziej interesującym – był Scopique, który chętnie przedstawiał swoją opinię na każdy temat, także w kwestii odrętwienia pacjenta. Był niewysoki, cały czas mrużył oczy jak zegarmistrz, a nos miał tak krótki i zadarty, że pośrodku twarzy widniały po prostu dwie dziurki. Lubił się śmiać; kurze łapki i zmarszczki miał chyba dostatecznie głębokie, żeby posiać w nich trawę. Jego szare więzienne ubranie było podobnie pogniecione. Przychodził codziennie, siadał na skraju łóżka, popijał kawę i snuł głośne rozważania: o polityce, o chorobach innych więźniów; o tym, jak komercja wzięła L'Himby w posiadanie, o śmierci przyjaciół (którzy ginęli głównie, jak to nazywał, od „powolnego ostrza rozpacz”) i, naturalnie, o aktualnym stanie Gentle'a. Twierdził, że widział już podobne przypadki paraliżu. Jego zdaniem miały podłoże nie fizjologiczne, lecz psychiczne. Ta teoria trafiała Pie do przekonania. Któregoś razu, gdy Scopique skończył swoje teoretyczne wywody i wyszedł, mistyf zaczął żalić się Gentle'owi, jakie dręczą go wyrzuty sumienia. Wszystko stało się z jego winy – powinien był od początku postawić się na miejscu Gentle'a, zrozumieć go. Oskarżał się, że był zbyt okrutny, a chodziło mu przede wszystkim o sprzeczkę na stacji w Mai-Ké. Czy Gentle mu wybaczy? Czy uwierzy, że zachował się tak tylko przez własną nieporadność, a nie złośliwość? Od dawna się zastanawiał, co robi, jeżeli rozpoczną taką podróż, próbował zawczasu przygotować sobie wszystkie odpowiedzi, ale w Piątym Dominium był całkiem samotny. Nie miał z kim dzielić się strachem i nadzieją, a spotkali się i wyruszyli w drogę w tak chaotycznych okolicznościach, że zapomniał o wszystkich zasadach, których obiecał sobie się trzymać.

– Wybacz mi – powtarzał. – Kocham cię. Zraniłem cię, ale błagam, wybacz mi.

Gentle starał się wyrazić wszystko oczami. Żałował, że nie ma dość siły w

rękach, żeby ująć pióro i napisać „wybaczam”. Nie wracał do zdrowia, mimo że Pie karmił go, kąpał, masował i nie szczędził słów zachęty. Śmierć nie chciała Gentle'a wypuścić z objęć. Wyciągała też rękę po Pie, który za opiekę nad przyjacielem płacił wysoką cenę. Marniał z każdym dniem, aż Gentle zastanawiał się, czy jest po prostu zmęczony, czy też po kilku wspólnie spędzonych miesiącach połączyła ich symbiotyczna więź. Bo jeśli tak, to umierając, pociągnie ich obu w otchłań zapomnienia.

*

W dzień, kiedy słońca znów zaświeciły nad wyspą, był sam w celi, ale Pie przed wyjściem posadził go na łóżku, żeby mógł wyglądać przez okno. Widział, jak chmury z wolna rozplývają się i pierwsze delikatne promienie światła padają na powierzchnię morza. Zdarzyło się to pierwszy raz, odkąd przybyli na wyspę. Z innych cel dobiegły go radosne okrzyki, a zaraz potem tupot stóp, kiedy strażnicy rzucili się na mury, żeby oglądać przemianę.

Z miejsca, w którym siedział, widział powierzchnię Kołyski i niecierpliwie wyczekiwał tego spektaklu, ale gdy słońca mocniej zajaśniały, poczuł mrowienie w stopach, które powoli pełzło w górę ciała i stawało się coraz wyraźniejsze. Gdy dosięgło czaszki, zdawało mu się, że zaraz wypali mu wszystkie zmysły. Przez chwilę miał wrażenie, że zrywa się i podbiega do okna – na razie tylko wyglądał przez kraty na morze – jednak powstrzymał go dźwięk otwierających się drzwi. Odwróciwszy się, ujrzał Scopique'a, który wraz z Apingiem weszli do celi. Kierowali się prosto do bladego, wychudłego człowieczka, który siedział na łóżku ze szklistym wzrokiem utkwionym w ścianę. On był tym człowieczkiem.

– Musisz to zobaczyć, Zacharias! – stwierdził rozentuzjasmowany Scopique. Chwycił go pod pachy i dźwignął z łóżka.

Razem z Apingiem przenieśli Gentle'a pod okno, z którego jego świadomość właśnie startowała do lotu. Zostawił ich z ich uprzejmością; uniesienie i radość, które czuł, posłużyły mu w locie za silnik. Pomknął ponurym korytarzem, obok cel, w których więźniowie głośno się dopominali, żeby ich wypuścić, bo chcą zobaczyć słońca. Nie znał rozkładu pomieszczeń i na moment zabłądził w labiryncie z szarego kamienia. Natknął się jednak na dwóch strażników, którzy biegli w górę po schodach, i – niewidzialny – trafił za nimi do bardziej przestronnych, jaśniejszych pokoi. Kilku strażników wsta-

wało właśnie od kart i wybiegało na zewnątrz.

– Gdzie jest kapitan N'ashap? – zapytał jeden z nich.

– Dam mu znać – odparł inny i podbiegł do zamkniętych drzwi.

– Jest na naradzie – powstrzymał go trzeci. – Z mistysem.

Wszyscy ryknęli rubasznym śmiechem.

Duch Gentle'a zawrócił, przeleciał przez drzwi bez wahania i bez wysiłku. Nie znajdowało się za nimi, jak zakładał, biuro N'ashapa, lecz mały przedpokój z dwoma krzesłami i pustym stołem. Na ścianie ponad blatem wisiał rysunek przedstawiający małe dziecko, ale tak niezdarnie namalowany, że trudno byłoby się domyślić płci modelu. Podpis pod nim głosił „Aping”. Obok znajdowały się następne drzwi, równie solidnie zamknięte jak te, przez które właśnie się przebił. Spoza nich dobiegały jęki rozkoszy Vigora N'ashapa.

– Jeszcze! – mówił. – Jeszcze! – Zabelkotał coś w obcym języku, a potem znowu: – Jeszcze! Tak! Tak, właśnie tak!

Gentle przeniknął przez drzwi zbyt szybko, żeby przygotować się na wstrząs. Nawet gdyby wymyślił, że zastanie N'ashapa ze spuszczoneymi spodniami i purpurowym, oethackim członkiem na wierzchu, z pewnością nie mógłby wyobrazić sobie przy nim Pie'oh'paha, zwłaszcza że odkąd wyruszyli, nie widział go nagiego. Teraz go zobaczył. Szok wywołany jego urodą ustępował tylko obrzydzeniu z powodu jego upokorzenia. Mistyf miał ciało równie spokojne jak twarz, i równie nijakie – bez włosów, brodawek, pępka. Między nogami, które rozłożył szeroko, klękawszy przed N'ashapem, Gentle ujrzał jądro jego zmiennej istoty, rdzeń, który partner mistyfa kształtował swoim pożądaniem. Nie przypominał pochwy ani fallusa, lecz zupełnie odmienny od nich organ jakiejś trzeciej płci. Trzepotał w kroczu jak spłoszona gołębica i przy każdym poruszeniu zmieniał kształt. Gentle przyglądał się jak zahipnotyzowany. Widział siebie, jak przepływa między dominiami, widział niebo nad Patashoqua i rozplływające się w słońcu morze za okratowanym oknem. Było też tam jego tchnienie, zamknięte w zaciśniętej pięści, i moc, którą ze sobą niosło. Wszystko to dostrzegł w przemianie mistyfa.

N'ashapa ten widok nie interesował; prawdopodobnie kapitan był tak podniecony, że w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Trzymał w pobliżnionych dłoniach głowę mistyfa i wpychał mu do ust nabrzmiąły członek. Pie nie protestował. Ręce trzymał zwieszane po bokach, dopóki N'ashap nie kazał mu się nimi pieścić.

Gentle nie mógł tego dłużej znieść. Skoczył przez pokój w stronę oethaca.

Czy Scopique nie mówił, że myśl jest równoważna potencji? Jeśli tak, pomyślał, jestem jej wcieleniem, twardym jak diament. Usłyszał jeszcze, jak N'ashap posapuje z rozkoszy, wbijając się w usta mistyfa, i uderzył go z tyłu w głowę. Pokój zniknął; ze wszystkich stron otaczało Gentle'a gorące mięso, ale siłą rozpędu zdołał przebić się na wylot. Kiedy się odwrócił, N'ashap puścił głowę mistyfa i złapał się za swoją. Z jego bezwargich ust dobył się okrzyk bólu.

Na twarzy Pie, do tej pory zupełnie pozbawionej wyrazu, odbił się strach. N'ashapowi krew trysnęła z nozdrzy. Gentle poczuł dreszcz satysfakcji, Pie jednak wstał i zgarnawszy z podłogi jakąś część własnej garderoby, chciał pomóc oficerowi zatamować krwotok. N'ashap najpierw próbował odpędzić go gestem, ale zaraz złagodniał, opadł na fotel i pozwolił się opatrzeć. Przytulny głos i pieścizotliwy dotyk mistyfa denerwowały Gentle'a nie mniej niż scena, której przed chwilą był świadkiem. Wycofał się zmieszany i zdeglustowany.

W przedpokoju zatrzymał się na chwilę, oglądając rysunek Apinga, ale gdy z pokoju znów dobiegło pojękiwanie N'ashapa, błyskawicznie przemierzył cały labirynt i wrócił do swojego pokoju. Scopique z Apingiem położyli jego ciało na łóżku. Twarz miał pozbawioną wyrazu, jedna z rąk zsunęła mu się z piersi i zwisała swobodnie. Wyglądał jak martwy. Czy należy się dziwić, że opieka ze strony Pie stała się tak mechaniczna, skoro dzień w dzień miał do czynienia z tym wychudzonym manekinem? Podleciał bliżej, chociaż kusiło go, żeby nigdy więcej nie wchodzić już w to ciało; miał ochotę dać mu umrzeć, ale bał się ryzykować. A gdyby się okazało, że jego obecny stan jest możliwy tylko pod warunkiem, że ciało będzie żyło? Myśl pozbawiona ciała mogła istnieć – na własne uszy słyszał słowa Scopique'a. Mogło się jednak okazać, że nie jest to możliwe w wypadku tak słabo rozwiniętych istot. Skóra, krew i kości tworzyły szkołę, w której duch uczył się latać, a on na razie był ledwo opierzonym pisklęciem. Wprawdzie mu się to nie podobało, ale musiał wrócić do swojej głowy.

Podfrunął do okna i spojrzał na połyskliwe morze. Widok fal łamiących się w dole na skałach przypomniał mu niedawny lęk przed utonięciem. Czuł, jak żywe fale tłoczą się wokół niego, napierają na jego wargi jak członek N'ashapa, domagając się, żeby je wchłonał. Odwrócił się przerażony, przemknął przez pokój i niczym kula wbił się we własne czoło. Mając świeżo w pamięci obrazy N'ashapa i morza, natychmiast zrozumiał naturę dręczącej go

choroby. Scopique się mylił! Jego paraliż miał jak najbardziej fizjologiczną przyczynę, czuł ją teraz w brzuchu. Nałykał się wody z morza, która do tej pory w nim tkwiła i żywiła się jego kosztem.

Zanim zdążył zareagować rozumem, ogarnęło go obrzydzenie. Ruszać się! – wrzasnął w duchu pod adresem każdej cząsteczki ciała. Ruszać! Siły w gniewie dodawało mu wyobrażenie, że to N'ashap wykorzystuje go w taki sam sposób, jak wykorzystał Pie'oh'paha; co by zrobił, gdyby miał żołądek pełen spermy oethaca? Lewą ręką z wysiłkiem namacał krawędź łóżka, zdołał się przekręcić na bok i spadł z łóżka. Uderzył mocno o ziemię. Coś poruszyło mu się w brzuchu, jakby wypuściło jelita z uchwytu i teraz próbowało złapać je ponownie. Szarpało się gwałtownie, miotając Gentle'em jak workiem żywych ryb. Każdy wstrząs odrywał jednak pasożyta coraz mocniej, uwalniając przy tym nieszczęsną ofiarę z jego władzy. Gentle'owi stawy trzaśkały jak skorupy orzechów, ścięгна rozciągały się gwałtownie. Cierpiał potwornie i miał ochotę wyć z bólu, ale zdołał tylko zarzęzić cicho. Mimo wszystko brzmiało to dla niego jak muzyka – pierwszy odgłos, jaki wydał z siebie od czasu krzyku, gdy pochłoneęła go Kołyska. Nadzieja nie trwała długo. Udręczoney organizm próbował wypchnąć pasożyta z żołądka do góry. Gentle czuł go w piersi jak kłęb haczyków do ryb, które najchętniej by zwymiotował, gdyby nie bał się, że przy okazji wywróci się na lewą stronę. Chwilowo nastąpił impas. Pasożyt przestał się miotać i Gentle zdołał wziąć rozpaczliwy wdech, mimo że tchawicę miał na wpół zmiażdżoną uciskiem stwora. Z względnie pełnymi płucami chwycił się łóżka, podciągnął i zanim pasożyt zdążył go obezwładnić kolejnym atakiem, stanął wyprostowany.

Rzucił się na płask na ziemię. Gdy zderzył się z posadzką, pasożyt podszedł mu do gardła. Gentle włożył rękę do ust, żeby go wyrzucić. Dwoma szarpnięciami zdołał się go pozbyć z ust, chociaż stwór do samego końca walczył i próbował odpełznąć w głąb przełyku. Zaraz po nim z żołądka wylały się resztki ostatniego posiłku.

Dysząc ciężko, Gentle wyprostował się i oparł o łóżko. Strugi śliny i żółci ściekały mu po brodzie. Leżący na ziemi stwór miotał się i rzucał. Dopóki tkwił Gentle'owi w żołądku, zdawał mu się ogromny. Teraz miał wielkość męskiej dłoni – bezkształtny strzęp mlecznego mięcha był poprzecinany srebrzystymi żyłkami i miał aż dwadzieścia cienkich jak sznurek macek. Nie wydał żadnego dźwięku, plaskał tylko o ziemię w kałuży żółci.

Kiedy chwilę później Scopique zajrzał do pokoju w poszukiwaniu Pie,

Gentle, wciąż jeszcze za słaby, żeby się poruszyć, stał oparty o łóżko. Scopique wytrzeszczył oczy, zawołał kogoś i pomógł Gentle'owi się położyć. Wy-
pytywał go przy tym z taką szybkością, że Gentle'owi ledwie starczało siły i
tchu, by nadążyć z odpowiedziami. Wyjaśnił jednak dość, żeby Scopique za-
czął sobie wyrzucać swoją pomyłkę.

– Myślałem, że to ci siedzi w głowie, Zacharias, a siedziało w brzuchu!
Cały czas w brzuchu! Co za draństwo!

Pojawił się Aping z nową serią pytań. Scopique udzielił mu niezbędnych
odpowiedzi i poszedł dalej szukać Pie. Aping wezwał ludzi, którzy posprzą-
tali, podali pacjentowi wodę i przynieśli czyste ubranie.

– Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytał.

– Jeść – odparł Gentle. W życiu nie był taki głodny.

– Zajmę się tym. Dziwnie się czuję, słysząc twój głos i widząc, jak się po-
ruszasz. Przyzwyczaiałem się już, że wyglądasz inaczej. – Aping się uśmiech-
nął. – Kiedy nabierzesz sił, będziemy musieli porozmawiać. Mistyf mówił
mi, że jesteś malarzem.

– Kiedyś byłem, to prawda – przytaknął Gentle i dodał, próbując wyson-
dować rozmówcę: – A czemu pytasz? Malujesz coś?

– Owszem – rozpromienił się Aping.

– Rzeczywiście, musimy porozmawiać. Co malujesz?

– Krajobrazy. Czasem ludzi.

– Akty? Portrety?

– Dzieci.

– Ach, dzieci... A masz dzieci?

– Później do tego wrócimy – odparł zaniepokojony Aping i zerknął w
stronę otwartych drzwi. – Na osobności.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Z korytarza dobiegały jakieś głosy. To Scopique przyprowadził N'ashapa,
który od razu zajrzał do wiadra z pasożytem. Posypały się nowe pytania, a
właściwie stare, tylko na nowo sformułowane – tym razem Aping ze Scopi-
que'em odpowiadali na zmianę. N'ashap słuchał jednym uchem, obserwując
Gentle'a. Później pogratulował mu w dziwnie sztywny, oficjalny sposób.
Gentle z zadowoleniem odnotował widoczne w jego nosie skrzepy krwi.

– Musimy przekazać pełny raport do Yzorderrex – stwierdził N'ashap. –
Ta sprawa z pewnością zaintryguje ich tak samo jak mnie.

Wyszedł i zabrał ze sobą Apinga.

– Nasz dowódca coś kiepsko wygląda – zauważył Scopique. – Ciekawe dlaczego?

Gentle uśmiechnął się pod nosem, ale na widok ostatniego z gości natychmiast spoważniał. W drzwiach stanął Pie'oh'pah.

– No, jesteś wreszcie! – zawołał Scopique. – Zostawię was samych.

Wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Mistyf nie podszedł do Gentle'a, nie próbował go objąć, nawet nie podał mu ręki. Stanął przy oknie i wyjrzał na morze, wciąż oświetlone promieniami słońca.

– Teraz wiemy już, dlaczego nazywają to miejsce kołyską – stwierdził.

– Co masz na myśli?

– A gdzie indziej mężczyzna mógłby powić dziecko?

– To nie był poród, nie przesadzaj.

– Dla nas może nie, ale kto wie, skąd brały się dzieci w zamierzchłych czasach? Może mężczyźni zanurzali się w morzu, pili wodę, czekali, aż taka istota podrośnie...

– Widziałem cię – przerwał mistyfowi Gentle.

– Wiem. – Pie nadal wyglądał przez okno. – Omal nie straciliśmy przez ciebie sprzymierzeńca.

– Mówisz o N'ashapie? Jest naszym sprzymierzeńcem?

– On tu rządzi.

– Jest oethakiem i gnojem. Zamierzam sprawić sobie trochę przyjemności i go zabić.

– Chcesz zostać moim rycerzem? – Pie wreszcie odwrócił się i spojrzał na Gentle'a.

– Widziałem, co ci robił.

– To nic wielkiego. Panowałem nad sytuacją. Jak sądzisz, czemu zawdzięczamy takie specjalne traktowanie? Ja mogę się widywać ze Scopique'em, kiedy zechcę, ty masz zapewnione wyżywienie, a N'ashap nie zadaje pytań. Teraz się to zmieni. N'ashap nabierze podejrzeń. I trzeba się będzie stąd szybko wynieść, zanim uzyska wszystkie odpowiedzi.

– Lepsze to, niż żebyś musiał go tak obsługiwać.

– Powtarzam, to nic wielkiego.

– Nie dla mnie. – Słowa zachręściły Gentle'owi w obolałym gardle. Z trudem wstał i spojrzał mistyfowi w twarz. – Na początku opowiadałeś mi, jak ci się wydawało, że mnie skrzywdziłeś, pamiętasz? Mówiłeś o stacji w Mai-Ké i prosiłeś o przebaczenie. Myślałem wtedy, że nie zajdzie między

nami nic, czego nie dałoby się wybaczyć albo zapomnieć; chciałem ci to powiedzieć, kiedy tylko będę mógł mówić. Ale teraz nie jestem tego taki pewien. On cię widział nagiego, Pie. Dlaczego on mógł cię oglądać, a ja nie? Tego chyba ci nie będę umiał wybaczyć. Dopuściłeś go do tajemnicy, której mi pożałowałeś.

– On nie ma pojęcia o żadnej tajemnicy. Patrząc na mnie, widział kobietę, którą kochał i którą stracił w Yzordderrex. I która w dodatku przypominała mu matkę. Stąd ta obsesja: odbicie matki. Dopóki dyskretnie zapewniałem mu dostęp do tej iluzji, był posłuszny. Wydawało mi się to ważniejsze niż moja godność.

– To się zmieni. Jeżeli mamy stąd odejść razem, chcę, żebyś należał do mnie. Kimkolwiek jesteś. Nie będę się tobą z nikim dzielił, Pie. Za żadną cenę – ani posłuszeństwa, ani życia.

– Nie wiedziałem, że tak stawiasz sprawę. Gdybyś mi powiedział...

– Nie miałem jak. Czułem to, zanim tu trafiliśmy, ale nie mogłem się zmusić, żeby to zrobić.

– Nie wiem, ile to dla ciebie warte, ale przepraszam...

– Nie chcę przeprosin.

– A czego?

– Obietnicy. Przysięgi. – Gentle zawiesił głos. – Małżeńskiej przysięgi.

– Naprawdę? – mistyf uśmiechnął się.

– Jak najbardziej. Oświadczyłem ci się, ty wyraziłeś zgodę. Czy muszę pytać jeszcze raz? Zrobię to, jeśli chcesz.

– Nie trzeba. To dla mnie największy zaszczyt. Ale czy tutaj? Tak, właśnie tutaj... – Mystyf się rozpromienił. – Scopique mi mówił, że trzymają tu w lochach jednego niebytowca. Mógłby dać nam ślub.

– Jakiego jest wyznania?

– Trafił tu, bo uważa się za Chrystusa.

– W takim razie ma szansę to udowodnić. Uczynić cud.

– Jaki cud?

– Zrobić porządnego człowieka z Johna Furie Zachariasia.

*

Ślub mistyfa z plemienia Eurhetemeców i ściganego Johna Furie Zachariasia, znanego jako Gentle, odbył się tej samej nocy w mrocznych wnętrzach

prztyłku. Na szczęście kapłan miał akurat okres wyjątkowej jasności umysłu i zgodził się, żeby zwracali się do niego tak, jak naprawdę się nazywał, per ojciec Athanasiusie. Nosił jednak inne widoczne oznaki obłądu. Głębokie blizny na czole znaczyły ślad po koronie cierniowej, którą regularnie plótł i zakładał na głowę; na dłoniach miał strupy po gwoździach. Równie chętnie chmurzył się, jak Scopique uśmiechał, chociaż filozoficzna zaduma nie przystawała do jego twarzy komedianta. Miał bezkształtny, wiecznie usmarkany nos, szerokie szpary między zębami, brwi jak włochate gąsienice, marszczące się co chwila jak dwa akordeony. Trzymano go w najgłębszej partii prztyłku, wraz z mniej więcej dwudziestką najbardziej buntowniczych więźniów. Pozbawionej okien celi strażnicy pilnowali znacznie skrupulatniej niż tych na wyższych piętrach. Scopique musiał się trochę nabiedzić, żeby się do niego dostać, a i tak przekupiony strażnik, oethac, dał im tylko kilka minut. Krótką z konieczności ceremonię ojciec Athanasius odprawił w improwizowanej mieszance łaciny i angielskiego, wplatając w nią od czasu do czasu słowa z ksiąg własnego zakonu z Drugiego Dominium – ich melodia z nawiązką wynagradzała kompletną niezrozumiałość. Przysięga małżeńska również została ograniczona do minimum ze względu na brak czasu i powtarzalność wielu kwestii.

– Nie bierzemy na świadka Hapexamendiosa – powiedział Athanasius. – Nie widzi nas żaden inny bóg ani żaden boski wysłannik. Módlmy się jednak, by Nasza Pani zechciała pobłogosławić ten związek swą nieskończoną łaską i żebyście połączyli się także później, w sprzyjających okolicznościach. Do tego czasu mogę być jedynie zwierciadłem, w którym odbije się wasz sakrament, zawarty dla waszego dobra.

Znaczenie tych słów dotarło do Gentle'a znacznie później, gdy ceremonia dobiegła końca i leżeli z Pie w pokoju.

– Zawsze sobie powtarzałem, że nigdy się nie ożenię – szepnął.

– Już żałujesz?

– W żadnym wypadku. Po prostu dziwnie się czuję. Jestem po ślubie i nie mam żony.

– Możesz nazywać mnie żoną. W ogóle możesz mnie nazywać, jak chcesz. Wymyśl mnie od nowa. Po to jestem.

– Nie po to się z tobą ożeniłem, żeby cię wykorzystywać.

– Ale na tym to polega! Musimy być od siebie uzależnieni; może powinniśmy być dla siebie jak lustra. – Pie dotknął twarzy Gentle'a. – Możesz mi

wierzyć, że ja będę cię wykorzystywał.

– W jakim celu?

– W każdym. Będziesz mnie pocieszał, kłócił się ze mną, dawał mi rozkosz.

– Chcę się od ciebie uczyć.

– Czego?

– Jak to zrobić, żebym mógł znowu wylecieć z własnej głowy. Tak jak dzisiaj. Jak podróżować dzięki mocy samego umysłu.

– Dzięki potencji – odpowiedział Pie, powtarzając określenie, jakiego Gentle użył, przebijając głowę N'ashapa. – Potencja napędza cząstki myśli jak tańczące w świetle słońca drobinki kurzu.

– Czy można to robić tylko w świetle słońca?

– Nie, chociaż tak jest łatwiej. Właściwie wszystko łatwiej się robi przy świetle słonecznym.

– Poza tym jednym... – Gentle pocałował mistyfa. – Do tych spraw zawsze wolałem noc...

Kiedy kładli się do małżeńskiego łóżka, był zdecydowany kochać się z mistysem w jego prawdziwej postaci. Nie chciał, żeby wyobraźnia oddzieliła go od Pie, którego widział w biurze N'ashapa. Ten pomysł sprawił, że czuł się jak prawiczek; wymagał podwójnego odsłonięcia. Tak jak powinien rozpiąć i zdjąć z mistyfa ubranie, będzie musiał zedrzeć z oczu dzielącą ich wygodną zasłonę iluzji. Jak się będzie z tym czuł? Łatwo dać się podniecić istocie, którą pożądanie przekształca tak bardzo, że nie sposób ją odróżnić od rzeczywistego obiektu żądzy. Jak jednak wyglądała naga, oglądana gołym okiem?

Ukryte w ciemności ciało mistyfa mogłoby należeć do kobiety – łagodne krzywizny, gładka skóra... Cechowała je jednak zupełnie nie kobieca surowość i twardość mięśni. Nie miało też bujnych pośladków ani piersi. Mistryf nie był jego żoną, chociaż chętnie pozwalał się widzieć w takiej roli. Umysł Gentle'a pragnął poddać się temu złudzeniu, lecz oparł się pokusie. Musiał ograniczyć się do tego, co widział i czuł. Zaczynał żałować, że w celi nie jest choć trochę jaśniej; obraz byłby wtedy jednoznaczny. Kiedy wsunął mistyfovi dłoń w cień między udami, poczuł ciepło i ruch.

– Chcę cię zobaczyć – powiedział.

Pie posłusznie wstał i ustawił się w padającej z okna poświacie. Serce waliło Gentle'owi jak oszalałe, ale krew nie spływała do krocza. Cała gromadziła się w głowie. Rumieńce wystąpiły mu na policzki i teraz cieszył się, że w

celi jest dość ciemno. Wiedział jednak, że mrok skrywa tylko zewnętrzne pozory, a mistyf dobrze wie, co się dzieje w jego sercu. Czuje jego strach. Odechnął głęboko i wstał. Podszedł do chodzącej zagadki na tyle blisko, żeby jej dotknąć.

– Dlaczego sam sobie to robisz? – zapytał Pie szeptem. – Czemu odpędzasz sny?

– Nie chcę cię śnić. Udałem się w podróż, żeby zrozumieć. Jak mogę coś zrozumieć, kiedy otaczają mnie same złudzenia?

– Może poza nimi nie ma nic.

– To nieprawda.

– Może w takim razie poczekaj do jutra. Jutro pozbędziesz się iluzji, a dziś spróbuj się dobrze bawić. Nie z mojego powodu znaleźliśmy się w Imajice. Nie jestem zagadką, którą przybyłeś rozwikłać.

– Wręcz przeciwnie – odparł Gentle. – Myślę, że możesz być tym właśnie powodem i zagadką jednocześnie. Nawet gdybyśmy zostali tutaj, w zamknięciu, moglibyśmy wyleczyć Imajicę, korzystając z tego, co jest między nami.

– Uśmiechnął się. – Dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Właśnie dlatego chcę cię zobaczyć naprawdę, Pie. Żeby nie rozdzieliły nas kłamstwa. – Położył dłoń na organach płciowych mistyfa. – Możesz tym rznąć albo dać się rznąć, prawda?

– Tak.

– Czy mógłbyś urodzić dziecko?

– Nigdy tego nie zrobiłem, ale słyszałem, że to możliwe.

– A możesz kogoś zapłodnić?

– Mogę.

– To cudownie. Potrafisz coś jeszcze?

– Na przykład?

– Wybór aktywny-pasywny to nie wszystko, prawda? Wiem, że tak. Musi być coś więcej.

– To prawda.

– Trzeci sposób.

– Tak.

– Zrób to ze mną.

– Nie mogę, Gentle. Jesteś mężczyzną; masz ustaloną płć. To fakt fizyczny. – Pie położył dłoń na miękkim, ukrytym w spodniach członku Gentle'a. – Nie mogę ci go zabrać. Zresztą... Nie chciałbyś tego. – Zmarszczył brwi. –

Mam rację?

– Nie wiem. Może...

– Nie mówisz poważnie.

– Jeżeli dzięki temu pomogę nam znaleźć jakiś sposób, to mówię poważnie. Używałem swojego fiuta na wszelkie znane mi sposoby. Może nie jest mi już potrzebny.

Pie uśmiechnął się, ale słabo, niepewnie, jakby udzieliło mu się uprzednie zakłopotanie Gentle'a. Zmrużył połyskliwe oczy.

– O czym myślisz? – zapytał Gentle.

– O tym, że trochę mnie przerażasz.

– Czym?

– Obietnicą bólu. I straty.

– Nie stracisz mnie. – Gentle położył mistyfowi dłoń na karku i pogłaskał go kciukiem. – Mówię ci, możemy, nie ruszając się z miejsca, uleczyć Imajicę. Jesteśmy silni, Pie.

Mistyf nie dał się łatwo uspokoić, więc Gentle go pocałował – najpierw delikatnie, potem z zapalem, który Pie nie od razu odwzajemnił. Chwilę wcześniej, na łóżku, Gentle się bał – teraz wszystko się zmieniło. Wsunął mistyfowi rękę w krocze; miał nadzieję, że pieszczoty pozwolą mu zapomnieć o lęku i smutku.

Ciało Pie poruszyło się, jakby wychodząc mu na spotkanie. Było ciepłe i żłobkowane. Sączący się z niego płyn spływał Gentle'owi na stuloną dłoń, która chłoneła go jak nektar. Przycisnął mocniej i poczuł, jak coś rośnie mu w dłoni. Nie wyczuwał śladu wahania; ciało nie przejawiało smutku ani wstydu, chętnie ujawniało swoje pragnienia – a pragnienia zawsze go podniecały. Widok wykrzywionej żądzą kobiecej twarzy działał jak najlepszy afrodyzjak; teraz było podobnie.

Jedną ręką odpiął sobie pasek u spodni, ale nie zdążył wyjąć boleśnie nabrzmiałego członka. Mistyf zrobił to za niego i wprowadził go w siebie z gwałtownością, która wcale nie odbijała się na jego twarzy. Pochłonał Gentle'a razem z jądrami, ukoił jego ból i westchnął z rozkoszy, gdy jego wyposzczone nerwy zapłonęły żywym ogniem. Zamknął oczy i stał z rozwartymi ustami.

Pocałowali się. Gentle wsunął mu język między wargi. Mistyf zareagował z nieoczekiwaną namiętnością. Oplótł Gentle'a ramionami i trzymając go w podwójnym uścisku, oparł się o ścianę. Zrobił to tak gwałtownie, że Gentle

poczuł w ustach wypchnięte z płuc mistyfa powietrze. Wciągnął je do płuc i zapragnął poczuć je znowu. Pie zrozumiał go bez słów. Wziął głęboki wdech i wypełnił nim płuca Gentle'a, jakby próbował przywrócić do życia topielca. Gentle odpowiedział na ten dar mocnymi pchnięciami łędźwi; czuł, jak płyn mistyfa ścieka mu po wewnętrznej stronie ud. Pie oddawał mu swój oddech raz za razem. Gentle chłonał powietrze z jego ust łapczywie, w tym samym rytmie ofiarowując w zamian swój członek. Napawał się wyrazem rozkoszy na twarzy mistyfa. Każdy z nich zarazem wnikał w ciało drugiego i dawał mu się przenikać. Być może coś podobnego miał na myśli Pie, mówiąc o kopulacji dwóch istot nieustalonej płci, do której nie mogło dojść, dopóki Gentle nie pozbyłby się członka. Teraz, gdy wbijał się nim w ciepłe wnętrze mistyfa, pomysł ten wydawał mu się nedorzeczny. Nie istniało nic lepszego. Mogło być co najwyżej inaczej.

Zamknął oczy. Nie musiał się już bać, że wyobraźnia podsunie mu jakieś wspomnienie albo nieistniejący ideał w miejsce Pie. Obawiał się za to, że jeśli dłużej będzie świadkiem rozkoszy mistyfa, pozbędzie się hamulców. Obraz, który teraz stanął mu przed oczami, był jeszcze wspanialszy – stali spleceni ze sobą, przenikali się nawzajem, tchnienie jednego i członek drugiego nabrzmiały tak mocno, że zaczynało brakować im miejsca. Chciał ostrzec Pie, że dłużej tego nie wytrzyma, ale mistyf i bez tego wiedział, o co chodzi. Złapał Gentle'a za włosy i oderwał go od swoich ust. Ból i szloch, który wyrwał się im obu z piersi, dodatkowo ich podniecił. Gentle otworzył oczy. Wytyskując, chciał widzieć piękną twarz Pie, ale zanim do tego doszło, mistyf zmienił się w lustro. Gentle widział w nim własną twarz, trzymał w objęciach własne ciało. Ta iluzja bynajmniej go nie speszyła, przeciwnie – zanim zwierciadło przyjęło na powrót kształt ciała, a szklana powierzchnia zmieniła się w pot połyskujący na twarzy mistyfa, Gentle uwolnił swój wzburzony strumień. Wrażenie było jak zwykle niepowtarzalne i wstrząsające; krótka chwila szaleństwa, a potem uczucie straty, z którym nigdy nie umiał się pogodzić.

Mistyf zaczął się śmiać, zanim Gentle na dobre skończył. Pierwszy świeży oddech Gentle zużył na pytanie:

– Co cię tak bawi?

– Ta cisza – odparł Pie i przestał się śmiać, żeby Gentle mógł docenić dowcip.

Przeleżał wiele godzin w tej celi, nie mogąc nawet jęknąć, ale nigdy

przedtem cisza nie była tak idealna. Cały przytułek słuchał – od przepastnych lochów, w których ojciec Athanasius zakładał swoje cierniowe korony, aż po biuro N'ashapa, gdzie krew oethaca na zawsze splamiła dywan. Nie było żywej duszy, która by nie słyszała, jak się kochają.

– Co za cisza – powtórzył mistyf.

W tej samej chwili ktoś zaczął krzyczeć. Samotny, wściekły ryk niósł się po przytułku przez resztę nocy, jakby chciał oczyścić szare kamienie z radości, która na krótko je splugawiła.

ROZDZIAŁ 27

1

Gdyby Jude się postarała, wymieniłaby pewnie z tuzin mężczyzn – kochanków, adoratorów, niewolników – którzy twierdzili, że zrobią absolutnie wszystko, byle spojrzała na nich łaskawym okiem. Kilku z nich próbowała nawet trzymać za słowo, ale jej żądania, nawet najbardziej ekstrawaganckie, były niczym w porównaniu z darem, którego zażądała od Oscara Godolphina. Powiedziała: „Pokaż mi Yzordderrex” i patrzyła, jak na jego twarzy odmalowuje się strach.

Nie odmówił jej od razu. Zdawał sobie sprawę, że mógłby w ten sposób zaprzepaścić wszystko, co się między nimi działo, a takiej straty nigdy by sobie nie wybaczył. Wysłuchał jej i więcej nie wspomniał ani słowem o tej propozycji, mając najwyraźniej nadzieję, że Jude o niej zapomni. Nic z tego. Rozkwit łączącej ich fizycznej zażyłości pozwolił jej wyzbyć się dziwnej bierności, którą do tej pory wykazywała. Teraz знаła jego słabe punkty, widziała go zranionego, zawstydzonego; widziała, jak się kocha – delikatnie, słodko perwersyjnie. Jej uczucia do niego były tak samo silne jak przedtem, ale z jej oczu zniknęła zasłona bezwarunkowej akceptacji. Kiedy przekonała się, jak bardzo jej pożąda – co okazywał kilkakrotnie po pierwszym zbliżeniu – wróciła dawna, pewna siebie i odważna Judith, uśmiechnięta i czujna. Patrzyła i czekała. Jej oddanie z każdym dniem dodawało jej sił. Napięcie między dwoma połówkami jej osobowości – bezwolnej kochanki, którą stała się na początku przy Oscarze, i dawnej (a także obecnej) konkretnej kobiety – na

dobre wyrwało ją z letargu i znów miała ogromną ochotę na podróż przez dominia. W ciągu kilku następnych dni parokrotnie przypomniała Godolphinowi, co jej obiecał, ale przy pierwszych dwóch okazjach zbywał ją grzecznie, jakby nie chciał o tym rozmawiać. Za trzecim razem westchnął ciężko i przewrócił oczami.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – zapytał. – Yzorderrex to przeludnione, paskudne miasto. Nie znam tam ani jednego przyzwoitego człowieka, który nie wolałby mieszkać tutaj, w Anglii.

– Tydzień temu twierdziłeś, że chciałbyś się tam wyprowadzić. Brakowałyby ci tylko krykieta.

– Masz dobrą pamięć.

– Pamiętam każde słowo – przytaknęła, nie bez lekkiej goryczy w głosie.

– Cóż, sytuacja się zmieniła. W Yzorderrex szykuje się rewolucja. Gdybyśmy teraz się tam znaleźli, zostalibyśmy pewnie zlinczowani na ulicy.

– Byłeś tam wielokrotnie – zauważyła Jude. – Przybyszów takich jak ty są pewnie setki, prawda? Nie ty jeden odwiedzasz to miasto. Magia służy do przekraczania dzielących dominia barier. – Godolphin milczał. – Chcę zobaczyć Yzorderrex, Oscarze. Jeżeli mnie ze sobą nie weźmiesz, znajdę maga, który to zrobi.

– Nawet nie próbuj na ten temat żartować.

– Mówię serio – rzuciła zapalczywie Jude. – Nie możesz być jedynym, który to potrafi

– Ale prawie jedynym.

– Są inni. Znajdę ich, jeśli mnie do tego zmusisz.

– Wszyscy pozostali albo są obłąkani, albo martwi.

– Zostali zamordowani? – spytała, zanim zdała sobie sprawę, co to naprawdę oznacza.

Wyraz jego twarzy (a raczej całkowity brak wyrazu, bo nie drgnął w niej ani jeden mięsień) potwierdził jej podejrzenia. Zwłoki, które widziała w dzienniku telewizyjnym, nie należały do naćpanych hipisów i zwariowanych na punkcie seksu satanistów, lecz do ludzi, którzy posiadli prawdziwą moc. Może nawet bywali tam, dokąd tak bardzo chciała się dostać – w Imajice.

– Czyja to robota, Oscarze? Wiesz, kto to robi, prawda?

Wstał i podszedł do niej. Zrobił to płynnie i szybko, nawet przez chwilę bała się, że chce ją uderzyć, ale tylko uklękł i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Posłuchaj mnie uważnie. Mam pewne zobowiązania rodzinne, których,

Bóg mi świadkiem, wolałbym nie mieć. Gdybym mógł, najchętniej bym o nich zapomniał...

– To się jakoś wiąże z tym wieżowcem, prawda?

– Wolałbym nie poruszać tego tematu.

– Właśnie go poruszyliśmy, Oscarze.

– To sprawa bardzo delikatnej, prywatnej natury. Zadaję się z osobnikami całkowicie pozbawionymi moralności. Gdyby dowiedzieli się, ile już ci powiedziałem, obojgu nam groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo. Błagam, żebyś nigdy nie wspominała o tym przy obcych. Nie powinienem był zabierać cię do tamtego budynku.

Jeśli nawet jego mieszkańcy są tylko w połowie tak groźni, jak twierdzi Oscar, pomyślała, to do czego by się posunęli, gdyby wiedzieli, jakie sekrety znam?

– Obiecuj mi, że nie będziemy wracać do tej sprawy – mówił dalej.

– Chcę zobaczyć Yzordderrex, Oscarze.

– Obiecuj mi to. Nie wspomnisz o wieżowcu, ani tutaj, ani poza tym domem. Obiecuj mi to, Judith.

– Dobrze. Nie wrócę do sprawy wieżowca.

– Ani tu, w tym domu...

– ...ani poza nim. Ale...

– Słucham, skarbie?

– Nadal chcę zobaczyć Yzordderrex.

2

Następnego ranka poszła do Highgate. Znów padał deszcz, a ponieważ nie udało się jej złapać taksówki, postanowiła zaryzykować przejażdżkę metrem. To był błąd. Nie lubiła podziemnych kolejek, które zawsze budziły w niej klaustrofobiczne lęki, teraz zaś jadąc przypominała sobie, że dwie z zabitych ostatnio osób zginęły właśnie w tunelach metra – jedna została zepchnięta pod pociąg z peronu Piccadilly, drugą zasztyletowano w środku nocy gdzieś na trasie linii Jubilee. Ktoś, kto miał choćby mętne pojęcie o żyjących w ukryciu potworach (a Jude zaliczała się do takich ludzi), nie powinien za-

puszczać się do tych tuneli. Z ogromną ulgą wyszła więc na powierzchnię ze stacji Archway i pieszo ruszyła w górę Highgate Hill. Chmury się rozproszyły. Bez trudu znalazła wieżowiec, chociaż jego nijaki wygląd i oddzielający go od ulicy szpaler drzew pomagały mu unikać powszechnej uwagi.

Mimo śmiertelnie poważnych ostrzeżeń Oscara nie potrafiła do końca uwierzyć, że coś może jej tu grozić. Wiosenne słońce mocno przygrzewało, aż musiała zdjąć kurtkę. W trawie buszowały wróble, kłócąc się o wywabione deszczem na powierzchnię robaki. Spojrzała w okna domu w poszukiwaniu śladów zamieszkania, ale niczego nie zauważyła. Ominęła szerokim łukiem frontowe drzwi – pamiętała, że przy schodach zamontowano kamerę – i zaczęła okrążyć gmach, nie napotykając murów ani zwojów drutu kolczastego. Właściciele wieżowca musieli uznać, że najlepszą obroną będzie jego absolutna nijakość i że im mniej będą się oganiać od potencjalnych intruzów, tym mniej się ich zjawi. Od tyłu gmach był jeszcze zwykleszy niż od frontu. Większość okien zakrywały żaluzje, a nieliczne odsłonięte ukazywały puste pokoje. Jude obeszła wieżowiec dookoła, ale nie znalazła drugiego wejścia.

Wracając do drzwi frontowych, próbowała sobie wyobrazić ciągnącą się pod ziemią sieć korytarzy, półki z książkami, uwięzioną w ciemności kobietę. Liczyła na to, że duchem wślizgnie się tam, gdzie jej ciało nie zdoła dotrzeć, ale próby te okazały się równie bezowocne jak zagłądanie przez okna do środka. Prawdziwy świat był nieubłagany i nie zamierzał poruszyć nawet najmniejszej cząsteczki ziemi, żeby wpuścić Jude do środka. Zniechęcona obeszła budynek ostatni raz dookoła i postanowiła na razie sobie odpuścić. Może powinna wrócić nocą, kiedy rzeczywistość nie będzie aż tak narzucać się zmysłom; a może ponownie wypróbować na sobie działanie niebieskiego kamienia z okiem – chociaż ten akurat pomysł przyprawiał ją o dreszcze. Nie wiedziała, jak naprawdę działa oko, bała się więc całkowicie poddawać jego mocy. Wystarczy, że poddawała się władzy Oscara.

Włożyła kurtkę i zaczęła schodzić w dół. Sądząc po braku samochodów na Hornsey Lane, całe Highgate Hill musiało stać w korkach, przez co pojazdy nie docierały tak wysoko. Uliczka, która zwykle tętniła rykiem silników, nie była jednak zupełnie pusta. Jude usłyszała kroki i kobiecy głos:

– Kim jesteś?

Odwróciła się, nie oczekując właściwie, że pytanie jest skierowane do niej, ale stwierdziła, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo poza bladą, biednie ubraną kobietą po sześćdziesiątce, która przyglądała się jej natarczywie.

– Kim jesteś? – powtórzyła nieznajoma.

Ślady śliny wokół ust sugerowały przebyty w przeszłości wylew.

Judith, poirytowana dotychczasowym niepowodzeniem, nie miała ochoty na pogawędkę z miejscową wariatką. Odwróciła się i zamierzała odejść, gdy kobieta zapytała:

– Nie wiesz, że mogą ci zrobić krzywdę?

– Kto?

– Ludzie z wieżowca. Tabula Rasa. Czego szukałaś?

– Niczego.

– Bardzo ci zależało, żeby to nic znaleźć.

– Jest pani ich szpiegiem?

Kobieta wydała paskudny dźwięk, który Jude postanowiła uznać za śmiech.

– Nie wiedzą nawet, że żyję. Kim jesteś? – Nieznajoma trzeci raz zadała to samo pytanie.

– Nazywam się Judith.

– Ja jestem Clara Leash. – Kobieta obejrzała się przez ramię na wieżowiec. – Idź już. W połowie drogi ze wzgórza na dół jest kościół. Tam się spotkamy.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie tutaj. Porozmawiamy w kościele.

Odwróciła się i odeszła w swoją stronę. Jude nie zamierzała iść za nią, jednak dwa słowa z ich rozmowy – Tabula Rasa – przekonały ją, że powinna pójść do kościoła i wysłuchać Clary Leash.

Poprzednim razem słyszała te nazwę z ust Charliego na wsi, w majątku Godolphinów. Starszy brat został pominięty w sukcesji i członkostwo w Tabula Rasa przypadło w udziale Oscarowi. Wtedy słowa te zdawały się nie mieć wielkiej wagi, a późniejsze doświadczenia dodatkowo zatarły je w pamięci Judith. Teraz gorączkowo próbowała przywołać wspomnienia. Charlie napomknął coś o splugawionej angielskiej ziemi. Zapytała, czym splugawionej, a on odpowiedział coś pół żartem, pół serio. Teraz już wiedziała, jakie plugastwo miał na myśli: magię. W tym wieżowcu zapadały wyroki na ludzi, których ciała znajdowano później w płytkich grobach na Heath lub zeskrobano z torów metra przy Piccadilly. Nie dziwota, że Oscar chudł w oczach i popłakiwał przez sen. Należał do stowarzyszenia stawiającego sobie za cel unicestwienie innej, kurczącej się grupy, której również był członkiem. Słu-

żył dwóm panom: magii i jej niszczycielom.

Musiała dołożyć wszelkich starań, żeby mu pomóc. Bez niej groziło mu zmiążdżenie w imadle sprzecznych powinności. Była jego ukochaną, a on – jej biletem do Yzordderrex, bez którego nigdy nie ujrzy cudów Imajiki. Potrzebowali się nawzajem, żywi i zdrowi na umyśle.

Pół godziny czekała pod kościołem.

– Nie możemy tu zostać – stwierdziła zaniepokojona Clara, kiedy wreszcie się zjawiała. – Wejdźmy do środka.

W kościele panował półmrok. Usiadły blisko ołtarza, żeby nie słyszała ich trójka rozmodlonych wiernych w tylnych rzędach, ale nie było to najlepsze miejsce na cichą pogawędkę. Echo niosło ich szept i nawet jeśli nie dało się rozróżnić słów, głosy odbijały się wielokrotnie od nagich ścian. W dodatku nie ufały sobie nawzajem. Broniąc się przez palącym spojrzeniem Clary, Judith z początku siedziała bokiem do niej. Spojrzała jej w oczy dopiero, gdy skończyły się podchody i poczuła, że może zadać dręczące ją pytanie:

– Co pani o wie o Tabula Rasa?

– Wszystko. Przez wiele lat należałam do tego stowarzyszenia.

– Czy reszta myśli, że pani nie żyje?

– Niewiele się mylą. Zostało mi najwyżej kilka miesięcy życia. Właśnie dlatego muszę komuś przekazać swoją wiedzę...

– Mnie?

– To zależy. Przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć, czego szukałaś na wzgórzu.

– Wejścia do wieżowca.

– Byłaś kiedyś w środku?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Duchem tak, ciałem nie – odparła Judith, spodziewając się dziwnego parsknięcia śmiechem w odpowiedzi, ale Clara stwierdziła tylko:

– Nocą trzydziestego pierwszego grudnia.

– Skąd pani wie, do diabła?!

Clara położyła jej palec na ustach. Był lodowaty.

– Przede wszystkim muszę ci wyjaśnić, jak to się stało, że odeszłam z Tabula Rasa.

Mimo że opowiadała swoją historię bez zbędnych ozdobników, zabrało jej to sporo czasu – także ze względu na liczne wyjaśnienia, których musiała

udzielać, żeby Jude w pełni pojęła znaczenie faktów. Podobnie jak Oscar, urodziła się w rodzinie jednego z członków założycieli Tabula Rasa. Wychowano ją w poszanowaniu głównych wartości stowarzyszenia: Anglię, splugawioną i niemal zniszczoną przez działanie magii, należy chronić przed działaniem kultów i osób, które chciałyby kształcić nowych adeptów sztuki magicznej. Na pytanie Judith o zagładę, której Anglia ponoć cudem uniknęła, Clara przytoczyła osobną historyjkę. W dniu najbliższego przesilenia letniego, wyjaśniła, minie dwieście lat od odprawienia pewnego rytuału, który kompletnie się nie powiódł. Miał na celu połączenie Ziemi z czterema pozostałymi wymiarami.

– Z dominiami. – Judith zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

– Powiedz to głośno. Z dominiami! Z dominiami! – Clara wypowiedziała te słowa swoim normalnym głosem, który po dłuższej chwili ciszy i tak brzmiał ogłuszająco. – Zbyt długo trzymano to w tajemnicy i wróg urósł w siłę.

– Kto jest wrogiem?

– Jest ich wielu. W tym dominium: Tabula Rasa i jej sługi. A ma ich wiele, możesz mi wierzyć. I to wysoko postawionych.

– Jakim cudem?

– Przecież jej członkowie są potomkami ludzi, którzy decydowali o obsadzeniu europejskich tronów. Gdyby nawet zabrakło im odpowiednich wpływów, zawsze można kupić demokrację. Tak jest od wieków.

– A w innych dominiumach?

– Ostatnio o informację coraz trudniej. Słyszałam o dwóch kobietach, które regularnie podróżowały z Ziemi do Pojedynych Dominiumów i z powrotem. Jedną z nich przed tygodniem znaleziono martwą, druga zniknęła bez śladu. Też mogła zostać zamordowana...

– ...przez Tabula Rasa.

– Ty też już swoje wiesz, prawda? Można wiedzieć skąd?

Judith wiedziała, że nie uniknie tego pytania, i zastanawiała się od dłuższej chwili, jak na nie odpowie. Przekonała się, że Clara Leash nie jest bynajmniej wariatką. Bała się jednak dzielić sekretem, od którego mogło zależeć życie Oscara, z nieznaną kobietą wyglądającą na żebraczkę.

– Nie mogę pani tego powiedzieć – odparła. – Ta osoba i tak jest w niebezpieczeństwie.

– A ty mi nie ufasz. – Clara uciszyła ją gestem. – Nie próbuj mnie oszu-

kać, nie ufasz mi, a ja nie powinnam mieć do ciebie pretensji. Pozwól jednak, że zadam ci jedno pytanie. Czy to męczyzna?

– Tak, a co?

– Kiedy pytałaś o wroga, wskazałam ci Tabula Rasa. Ale jest inny jeszcze nieprzyjaciel, bardziej oczywisty. Płeć przeciwna.

– Słucham?

– Mężczyźni, Judith. Niszczyciele.

– No, no, chwileczkę...

– Kiedyś w dominiach panowały boginie, potężne istoty, które w kosmicznym dramacie grały naszą rolę. Już nie żyją, Judith. I nie umarły ze starości. Zostały z premedytacją wymordowane.

– Przeciętni mężczyźni nie zabijają bogiń.

– Ale służą nieprzeciętnym, którym z kolei bogowie zsyłają wizje. Bogowie zabijają boginie.

– To zbyt proste, jak szkolna lekcja.

– Zapamiętaj ją dobrze i podważ jej prawdziwość, jeśli zdołasz. Chciałabym, żebyś miała rację; żeby się okazało, że wszystkie boginie czekają gdzieś w ukryciu...

– Tak jak ta kobieta w podziemiach wieżowca?

Pierwszy raz Clarę dosłownie zatkało.

– Mówiłam, że duchem byłam w środku – ciągnęła Judith. – To niezupełnie prawda. Byłam tylko w podziemiach, w ciągnącej się jak labirynt piwnicy. Za jedną ze ścian, w celi, znalazłam kobietę. Z początku wydawało mi się, że nie żyje, ale się myliłam. Jest może bliska śmierci, lecz kurczowo trzyma się życia.

Widać było, że jej słowa poruszyły Clarę.

– Myślałam, że tylko ja o niej wiem.

– A bardziej konkretnie? Kto to jest?

– Nie jestem pewna, ale się domyślam – odparła Clara i podjęła przerwana opowieść o tym, jak rozstała się z Tabula Rasa.

Biblioteka w podziemiach, wyjaśniła, jest największym na świecie zbiorem manuskryptów okultystycznych, w szczególności poświęconych legendom i tajemnej wiedzy Imajiki. Zgromadzili ją założyciele stowarzyszenia, z Roxboroughem i Godolphinem na czele, by nic, co ma związek z Imajicą, nie splamiło rąk i umysłów niewinnych Anglików. Zamiast jednak skatalogować kolekcję i sporządzić indeks ksiąg zakazanych, kolejne pokolenia Tabula

Rasa pozwoliły im gnić w lochu.

– Podjęłam się uporządkowania zbiorów. Teraz pewnie trudno w to uwierzyć, ale kiedyś uwielbiałam porządek. Miałam to po ojcu, był żołnierzem. Z początku dwie osoby ze stowarzyszenia patrzyły mi na ręce; takie jest prawo. Żaden członek Tabula Rasa nie ma prawa sam zejść do biblioteki. Gdyby wykazał nadmierne zainteresowanie księgami lub gdyby okazało się, że jest pod ich wpływem, może zostać osądzony i stracony przez stowarzyszenie. Chociaż nie sądzę, żeby kiedyś doszło do takiej sytuacji. Wiele książek jest po łacinie, a kto dziś zna łacinę? Wiele – co sama pewnie widziałaś – gnije tak jak my wszyscy. Ja jednak chciałam je poukładać, zaprowadzić porządek, który spodobałby się tacie. Wszystko na swoim miejscu. Moi stróże szybko się znudzili i zostawili mnie samą przy tej pracy, a ja w środku nocy poczułam, że coś... albo ktoś... ciągnie mnie za myśli jak za włosy i pojedynczo wyrwa mi je z głowy. Oczywiście najpierw pomyślałam, że to przez książki, że słowa w nich zawarte zdobyły nade mną jakąś władzę. Próbowałam wyjść z piwnicy, ale tak naprawdę nie miałam ochoty tego robić. Przez pięćdziesiąt lat byłam biedną córeczką tatusia i teraz coś we mnie pękło. Celestine też o tym wiedziała...

– Celestine? To ona została uwięziona za ścianą?

– Tak mi się wydaje.

– No więc, kim ona jest?

– Zaraz do tego dojdę. W miejscu, gdzie dziś stoi wieżowiec, znajdował się dawniej dom Roxborougha. Piwnice pozostały właśnie po nim, nie zmienił. Celestine była, a właściwie dalej jest więźniem Roxborougha, który zamurował ją żywcem w lochu, bo bał się ją zabić. Widziała oblicze Hapexamendiosa, boga bogów. Postradała potem zmysły, lecz nawet Roxborough nie ważył się tknąć człowieka, który otarł się o boskość.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Kilka dni przed śmiercią Roxborough spisał testament, w którym przyznał się do winy. Wiedział, że kobieta, którą zamurował za ścianą, przeżyje go o stulecia, i chyba domyślał się, że prędzej czy później ktoś ją znajdzie. Jego spowiedź była więc zarazem ostrzeżeniem dla wszystkich biednych, udręczonych mężczyzn, żeby jej nie dotykali. „Pogrzebcie ją ponownie”, pisał, dobrze to pamiętam. „Pogrzebcie ją w najgłębszej otchłani, jaką zdołacie znaleźć...”.

– Gdzie znalazła pani ten testament?

– W ścianie. Tej nocy, kiedy zostałam sama. Celestine chyba mnie do niego zaprowadziła, wrywając mi jedne myśli z głowy i zastępując je innymi. Ale przesadziła, mój mózg tego nie wytrzymał. Miałam wylew. Przeleżałam tam trzy dni.

– To straszne...

– Mój ból to i tak nic w porównaniu z jej cierpieniem. Roxborough znalazł Celestine w Londynie, może wytropili ją jego szpiedzy. Wiedział, że trafił na istotę obdarzoną ogromną mocą. Chyba zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ona sama. W testamencie pisał, że sama sobie była obca. Widziała rzeczy, których nie oglądało ludzkie oko. Została porwana z Piątego Dominium, przeniesiona przez całą Imajicę i postawiona przed obliczem Hapexamendiosa.

– Dlaczego?

– Tu historia robi się coraz bardziej niezwykła. Celestine powiedziała przesłuchującemu ją Roxboroughowi, że została odesłana do Piątego Dominium brzemienna.

– Miała urodzić dziecko boga?

– Tak mówiła Roxboroughowi.

– Mogła to wszystko zmyślić, żeby jej nie skrzywdził.

– Wątpię, czyby się na coś takiego odważył. Przypuszczam raczej, że się w niej zakochał. W testamencie napisał, że czuje się jak jego przyjaciel Godolphin: „Złamało mnie oko kobiety”, napisał.

Dziwne zdanie, uznała Jude. Przypomniała sobie niebieski posążek i jego władcze spojrzenie.

– Godolphin zmarł opętany obsesją na punkcie jakiejś dziewczyny, którą pokochał i stracił; twierdził, że go zniszczyła. Bo widzisz, mężczyźni zawsze są niewinni i padają ofiarą kobiecych knowań. Śmiem nawet twierdzić, że kiedy Roxborough zamurował Celestine w piwnicy, nazwał to aktem miłości. Chciał ją zachować dla siebie na zawsze.

– Co się stało z dzieckiem?

– Może sama nam powie.

– Czyli musimy ją stamtąd wydostać.

– Właśnie.

– Ma pani jakiś pomysł, jak to zrobić?

– Jeszcze nie. Dopóki cię nie spotkałam, byłam załamana, ale teraz wiem, że razem coś wymyślimy.

Zrobiło się późno i Jude zaczynała się niepokoić, że Oscar zauważy jej przedłużającą się nieobecność. Dlatego też zgodziły się na bardzo ogólny zarys planów dalszych działań. Należało jeszcze raz obejrzeć z bliska wieżowiec, tym razem – jak zasugerowała Clara – pod osłoną nocy.

– Dzisiaj – dodała.

– Nie zdążę. Potrzebuję czasu, żeby wymyślić jakieś usprawiedliwienie, kiedy zniknę na całą noc.

– Co za cerber cię pilnuje?

– Zwyczajny mężczyzna.

– Podejrzliwy?

– Czasem.

– Dobrze, Celestine czeka już na tyle długo, że dwadzieścia cztery godziny jej nie zbawią. Ale proszę cię, nie więcej; nie jestem już taka młoda.

Jude przykryła dłonią jej dłoń; dotknęły się pierwszy raz, odkąd Clara ją uciszyła.

– Nie umrzesz – powiedziała.

– Owszem, umrę. To nic strasznego. Chciałabym tylko najpierw zobaczyć twarz Celestine.

– Obie ją zobaczymy – zapewniła Judith. – Jeśli nie jutrzejszej nocy, to niedługo potem.

3

Nie wierzyła, żeby opinia Clary na temat mężczyzn mogła odnosić się także do Oscara. Nie mordował bogiń – ani osobiście, ani przez pośredników. Co innego Dowd. Zachowywał pozory, był kulturalny, żeby nie powiedzieć ugrzeczny, ale nie potrafiła zapomnieć, z jaką obojętnością pozbył się zwłok pustkowców i grzał ręce przy ogniu, jakby paliły się w nim gałęzie drzew, a nie kości żywych stworzeń.

Miała pecha. Gdy wróciła, Dowd czekał na nią, i to sam, bez Oscara. Musiała odpowiedzieć na jego pytania, jeżeli nie chciała milczeniem ściągnąć na siebie podejrzeń. Kiedy spytał, co robiła przez cały dzień, odparła, że wybrała się na długi spacer nabrzeżem Tamizy. Zapytał, czy w metrze był tłok –

odpowiedziała, że tak. Następnym razem proszę raczej wziąć taksówkę, poradził jej. Albo dać mi znać, to panią podwiozę. Pan Godolphin na pewno życzyłby sobie, żeby podróżowała pani wygodnie. Podziękowała mu za uprzejmość. Czy planuje pani w najbliższym czasie jakieś wycieczki? – zapytał. Miała już gotową historyjkę na następny wieczór, ale rozmowy z Dowdem zawsze zbijały ją z pantałyku.

Wiedząc, że kłamstwo natychmiast zwróci jego uwagę, powiedziała, że jeszcze nie wie. Dał jej spokój.

Oscar wrócił do domu około północy i dyskretnie – na ile pozwalała mu masywna sylwetka – wśliznął się do łóżka. Judith udała, że ją obudził. Wy-mamrotał przeprosiny, szepnął jakieś czułe słówko. Udając, że jest zaspana, powiedziała mu, że następnego wieczoru chce się spotkać z Clemem. Czy nie miałyby nic przeciwko temu? Odparł, że może robić, co chce, byle tylko zachowała dla niego swoje piękne ciało. Pocałował ją w kark i w ramię, i zasnął.

*

Umówiły się z Clarą o ósmej pod kościołem, ale Jude wyszła dwie godziny wcześniej, żeby po drodze zajść do swojego starego mieszkania. Nie wiedziała, jaką rolę miało do odegrania niebieskie oko, lecz poprzedniej nocy uznała, że musi je mieć przy sobie podczas próby uwolnienia Celestine.

W mieszkaniu panował chłód i nieporządek. Spędziła w nim zaledwie chwilę. Wyjęła rzeźbę z szafy, przejrzała pocztę, na którą w większości składały się reklamówki, i wyszła.

Tak jak jej radził Dowd, złapała taksówkę. Dotarła do Highgate dwadzieścia pięć minut przed czasem, ale Clara już na nią czekała.

– Jadłaś coś, dziecko? – zapytała. Jude skinęła głową. – To dobrze. Dziś musimy być silne.

– Zanim pójdziemy dalej, chciałabym pani coś pokazać. Nie wiem, czy się nam do czegoś przyda, ale powinna pani to zobaczyć. – Wyjęła z torebki owiniętą w kawałek materiału paczuszkę. – Pamięta pani, jak opowiadała mi o Celestine? O tym, jak wyrywała pani myśli z głowy?

– Naturalnie.

– Ten kamień zrobił ze mną to samo.

Jude zaczęła rozpakowywać zawiniątko. Palce drżały jej lekko. Odkąd z

przesadną starannością schowała je w szafie, minęły ponad trzy miesiące, ale wspomnienia nie osłabły. Spodziewała się, że i teraz kamień będzie próbował nią zawładnąć. Nic takiego się nie stało. Leżał w zwojach materiału i wyglądał tak niewinnie, że zrobiło się jej wstyd. Po co ta cała szopka?

Clara jednak uśmiechnęła się na jego widok.

– Skąd go masz?

– Wolałabym o tym nie mówić.

– Nie czas na sekrety – warknęła Clara. – Skąd go masz?

– Mój mąż dostał go w prezencie. Były mąż.

– Od kogo?

– Od brata.

– Kim jest jego brat?

Jude wzięła głęboki wdech, nie wiedząc jeszcze, czy zaraz powie prawdę, czy skłamię.

– Nazywa się Oscar Godolphin – odparła.

Clara cofnęła się o krok, jakby, słysząc to nazwisko, mogła się czymś zarazić.

– Znasz Oscara Godolphina? – wyszeptała wstrząśnięta.

– Znam.

– To on jest twym cerberem?

– Tak.

– Zasłoń ten kamień – powiedziała Clara. – Zawiń i schowaj. – Stanęła plecami do Judith. Powykrzywianymi palcami przeczesła włosy. – Ty i Godolphin? – mruknęła. – Co to oznacza? Co to oznacza?

– Nic. To, co do niego czuję, i to, co tu robimy, to dwie kompletnie odrębne sprawy.

– Nie bądź naiwna. Godolphin jest mężczyzną i członkiem Tabula Rasa. Ty i Celestine jesteście kobietami i jego więźniami...

– Nie jestem więźniem! Robię, co chcę i kiedy chcę.

– Dopóki nie próbujesz zmienić biegu historii. Bo wtedy przekonasz się, co on o tym sądzi. – Clara zniżyła głos do dramatycznego szeptu. – Zrozum, nie możesz jednocześnie ocalić Celestine i żyć z nim w zgodzie. Zamierzasz właśnie podkopać fundamenty – dosłownie! – jego rodziny i wiary. Kiedy się o tym dowie, a dowie się, gdy Tabula Rasa zatrzęsie się w posadach, wasz związek będzie bez znaczenia. To nie tylko kwestia płci, Judith. Jesteśmy innym gatunkiem istot. To, co dzieje się w naszych ciałach i umysłach, nawet

w przybliżeniu nie przypomina tego, co dzieje się w nich. Mamy różne piekła, różne nieba; jesteśmy wrogami. W tej wojnie nie możesz stać po obu stronach barykady jednocześnie.

– To nie jest żadna wojna. W czasie wojny byłabym wściekła, a jestem spokojna jak nigdy.

– Zobaczmy, co już wkrótce się stanie z twoim spokojem.

Jude westchnęła głęboko.

– Przestańmy się kłócić i weźmy do pracy – zaproponowała.

Clara spiorunowała ją wzrokiem.

– Pewnie szuka pani słów w rodzaju „uparta suka”. – Jude podsunęła jej uprzejmie.

– Nie ufam tym, którzy są bierni – odparła Clara z nutą podziwu w głosie.

– Zapamiętam to sobie.

*

W wieżowcu nie paliły się żadne lampy. Światło ulicznych latarni nie mogło przedrzeć się przez listowie drzew. Na dziedzińcu panował półmrok, a ścieżka wokół budynku była ukryta w całkowitej ciemności. Clara musiała tu jednak nieraz myszkować po ciemku, gdyż szła pewnie naprzód. Jude bezlitośnie chłostały ciernie i pokrzywy, których za dnia łatwo unikała. Zanim stanęły z tyłu budynku, jej oczy przywykły trochę do ciemności. Clara stała dwadzieścia metrów od ściany gmachu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

– Co pani robi? Wiemy przecież, że do środka prowadzi tylko jedna droga.

– Zamknięta na cztery spusty. Pod ziemią może być inne wejście, chociażby kanał wentylacyjny. Powinnyśmy przede wszystkim namierzyć celę, w której zamurowano Celestine.

– Jak to zrobimy?

– Użyjemy oka, które zabrało cię w podróż. Daj mi je...

– Sądziłam, że tak splugawionych przedmiotów nie można nawet dotknąć...

– Ależ skąd!

– Pani tak na nie spojrzała...

– Bo zostało ukradzione, dziecko. To właśnie napawa mnie odrazą. Oto część kobiecej historii, która trafiła w męskie ręce.

– Oscar na pewno nie wiedział, co to jest – zaperzyła się Jude, chociaż w duchu musiała przyznać, że sama w to nie wierzy.

– Kiedyś znajdowało się w pięknej świątyni...

– A już na pewno nie grabi świątyń! – Jude wyjęła kamień z kieszeni.

– Nie twierdzę, że to robi – odparła Clara. – Kiedy burzono świątynie, ród Godolphinów jeszcze nie istniał. No co, dasz mi go czy nie?

Jude poczuła, że wcale nie ma ochoty się nim dzielić. Oko nie wyglądało już tak niewinnie jak przed chwilą. Emanowało lekką błękitną poświatą, przy której mogły z Clarą widzieć swoje twarze.

Spojrzały sobie w oczy. Oko w kamieniu lśniło między nimi, jakby należało do trzeciego spiskowca, którego obecność – w stłumionym pomruku samochodów i buczeniu mknących wśród chmur odrzutowców – dodawała powagi chwili. Ile kobiet zbierało się w tym świetle na przestrzeni wieków? Modliły się, składały ofiary, prosiły o ochronę. Na pewno było ich mnóstwo. Dawno zmarłe i zapomniane, w tej krótkiej chwili poza czasem udało się je wydobyć z otchłani anonimowości. Nie miały imion, ale przynajmniej nowe kapłanki uznały ich obecność.

Jude oderwała wzrok od Clary i skupiła się na kamieniu. Nagle otaczający ją świat materialny stracił znaczenie, stał się w najlepszym razie grą iluzji, w najgorszym zaś – pułapką, w której miotał się bezsilny duch, a miotając się, dawał moc kłamstwu. Nie było sensu słuchać praw tego świata, skoro mogła wylecieć myślą poza niego. Spojrzała na Clarę, która również powinna szukać się do drogi, ale patrzyła gdzieś poza krąg światła, w stronę narożnika budynku.

– Co się stało? – Jude podążyła za jej wzrokiem. Ktoś szedł w ich stronę. Poznała ten nonszalancki krok.

– Dowd.

– Znasz go? – zdziwiła się Clara.

– Trochę – przytaknął Dowd równie niedbale, jak szedł. – Ale tylu rzeczy poza tym nie wie...

Clara puściła ręce Jude. Czar trzech kobiet został przerwany.

– Nie zbliżaj się – powiedziała.

O dziwo, Dowd stanął jak wryty kilka metrów przed nimi. Blask kamienia sięgał akurat na tyle daleko, żeby Jude dostrzegła jego twarz. Coś wiło mu się wokół ust, jakby właśnie zjadł garść mrówek i kilka próbowało wymknąć mu się spomiędzy warg.

– Z przyjemnością zabiłbym was obie – rzekł Dowd. Kilka maleńkich pajęczków wybiegło mu z ust na brodę i policzki. – Twój czas wkrótce nadejdzie, Judith. Już niedługo. A na razie zajmę się Clarą... Clarą, prawda? Nie myślę się chyba?

– Idź do diabła, Dowd – powiedziała Jude.

– Odsuń się od tej starej baby.

Jude złapała Clarę za rękę.

– Nikomu nie zrobisz krzywdy, gnojku.

Takiego gniewu jak w tej chwili nie czuła od miesięcy. Kamień ciążył jej w dłoni. Była gotowa zdzielić nim drania po łbie, gdyby zrobił jeszcze krok w ich stronę.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem, kurwo jedna? – Dowd ruszył w jej kierunku. – Odsuń się!

Zamachnęła się i rzuciła na niego, lecz gdy puściła rękę Clary, Dowd zrobił unik i zniknął jej z oczu. Zrozumiała, że o to mu właśnie chodziło. Usłyszała okrzyk przerażenia i Clara zatoczyła się w tył. Pajęczki rozbiegły się po jej twarzy. Oślepiły ją. Jude chciała złapać Clarę, zanim upadnie, ale Dowd jednym uderzeniem wytrącił jej kamień z ręki. Zamiast go szukać, rzuciła się na pomoc Clarze, która jęczała przeraźliwie, miotając się w drgawkach.

– Coś ty jej zrobił?! – ryknęła Jude.

– Odczyliłem ją, kochaniutka. Zostaw ją. Nic nie możesz na to poradzić.

Clara była lekka, ale kiedy nogi się pod nią ugięły, pociągnęła Jude za sobą. Już nie jęczała, lecz wyła z bólu. Chciała wydrapać sobie oczy, gdyż tam pajęczki sprawiały jej największy ból. Jude próbowała namacać je po ciemku, ale albo były dla niej za szybkie, albo wpełzały w miejsca, do których nie mogła sięgnąć. Mogła tylko błagać Dowda o litość.

– Zrób coś, żeby przestały! – krzyknęła. – Zabierz je!

– Żarłoczne skurczybyki, co?

Dowd klęknął przy kamieniu. Niebieskie światło padało mu na twarz, zastygła w lodowatym grymasie powagi. Zdejmował sobie pająki z twarzy i puszczał je na ziemię.

– Nie mają uszu, więc chyba nie mogę kazać im wrócić – wyjaśnił. – Potrafią tylko odczyniać. Odczyniają wszystko oprócz swego stwórcy, czyli w tym wypadku mnie. Na twoim miejscu zostawiłbym ją w spokoju. Nie są wybredne.

Jude spojrzała na Clarę, która nie próbowała już wydrapywać sobie oczu.

Drgawki też stawały się coraz słabsze.

– Mów do mnie... – powiedziała, sięgając do jej twarzy. Czuła wstyd, że słowa Dowda napełniły ją takim lękiem.

Clara nie zareagowała – chyba że w jej przedśmiertnych jękach kryły się jakieś słowa. Jude słuchała uważnie, szukając w nich śladu sensu, ale na próżno. Ciałem Clary wstrząsnął ostatni spazm, jakby coś trzasnęło jej w mózgu. Zwiotczała. Od chwili pojawienia się Dowda minęło najwyżej półtorej minuty. W tym czasie udało mu się unicestwić wszelką nadzieję. Jude zastanawiała się, czy Celestine słyszała, co się wydarzyło; czy do jej nieszczęść doszła kolejna tragedia.

– Ona już nie żyje, kochaniutka – rzekł Dowd.

Jude wypuściła ciało Clary z objęć.

– Na nas już czas – dodał Dowd obojętnym tonem, jakby właśnie zostawiali za sobą nieudany piknik, a nie trupa. – Nie martw się o Clare. Zajmę się nią później.

Słyszając za plecami jego kroki, wstała. Nie chciała, żeby jej dotykał. W górze, wśród chmur, buczał następny samolot. Spojrzała na kamień, ale i on został odczyniony.

– Niszczyciel – powiedziała.

ROZDZIAŁ 28

1

Gentle zapomniał o rozmowie na temat malarstwa, Aping nie. W dzień po ślubie w celi Athanasiusa sierżant przyszedł po Gentle i zaprowadził go do przerobionego na pracownię pokoju w drugim końcu kompleksu. Dzięki mnóstwu okien światło było wprost wymarzone, a podczas długich miesięcy służby Aping zgromadził godną pozazdroszczenia kolekcję materiałów. Niestety, jego starania przynosiły mizerne efekty. Obrazy, malowane przez pozbawionego talentu dyletanta, bez wyczucia koloru i kompozycji, mogły zainteresować tylko z jednego powodu. Było ich, jak z dumą poinformował Gentle'a Aping, sto pięćdziesiąt trzy, i wszystkie miały jeden temat: przedstawiały jego córeczkę Huzzah. Poprzednio na wzmiankę o niej portrecista reagował dość nerwowo, teraz jednak, na osobności, wszystko spokojnie wyjaśnił. Huzzah była jeszcze mała, a ponieważ jej matka nie żyła, musiał zabrać ją ze sobą, gdy przeniesiono go z Iahmandhas nad Kołyskę.

– Nie mogłem jej zostawić w L'Himby, to dziecko.

– Jest tutaj? Na wyspie?

– Tak. Za dnia nie wyściubia nosa z pokoju. Mówi, że boi się zarazić obłędem. Bardzo ją kocham. Sam zobacz, jaka jest śliczna – dodał Aping, wskazując obrazki.

Gentle musiał mu uwierzyć na słowo.

– Gdzie jest w tej chwili? – zapytał.

– Tam gdzie zawsze, w swoim pokoju. Ma bardzo dziwne sny.

– Wiem, jak to bywa.

– Tak? – Napięcie w głosie Apinga zdradzało, że nie po to jednak ściągnął do siebie Gentle'a, żeby rozmawiać z nim o sztuce. – Ty też śnisz?

– Jak każdy.

– Moja żona też tak mówiła. – Aping zniżył głos. – Miała prorocze sny. Przewidziała, kiedy umrze. Co do godziny! A mnie się nic nie śni i nie wiem, co czuje Huzzah.

– Sugerujesz, że będzie mi łatwiej z nią rozmawiać?

– To bardzo delikatna sprawa... Prawo Yzorderrex zabrania głoszenia proroctw.

– Nie wiedziałem o tym.

– Zwłaszcza w wypadku kobiet, rzecz jasna. Przede wszystkim dlatego trzymam ją w ukryciu. Ona naprawdę boi się obłędu, ale ja bardziej obawiam się tego, co w niej siedzi.

– Dlaczego?

– Jeżeli zaczniesz więcej przebywać z ludźmi, może coś chlapnąć. N'ashap od razu się zorientuje, że Huzzah ma wizje, tak jak jej matka.

– A to byłaby...

– Katastrofa! Moją karierę szlag by trafił. Niepotrzebnie ją tu przywoziłem. – Aping spojrzał na Gentle'a badawczo. – Mówię ci to tylko dlatego, że obaj jesteście artystami, a artyści muszą sobie ufać jak bracia. Mam rację?

– Oczywiście – odparł Gentle. Widział, że Apingowi trzęsą się ręce i jest o krok od załamania. – Chcesz, żebym porozmawiał z twoją córką?

– Nie tylko...

– Mów śmiało.

– Chcę, żebyście zabrali ją ze sobą do Yzorderrex. Ty i mistyf.

– A czemu zakładasz, że się tam wybieramy... że w ogóle gdzieś się wybieramy?

– Tak jak i N'ashap, mam swoich szpiegów. Znamy wasze plany lepiej, niż się wam wydaje. Proszę, zabierzcie ją, panie Zacharias. Rodzice jej matki jeszcze żyją, zajmą się nią.

– To ogromna odpowiedzialność zabierać dziecko w tak długą drogę.

Aping wyduł wargi.

– Ułatwiłbym wam, naturalnie, opuszczenie wyspy, gdybyście zgodzili się zabrać Huzzah.

– A jeśli nie zechce z nami jechać?

– Będziesz musiał ją do tego namówić – odparł z przekonaniem Aping, jakby wiedział, że Gentle ma wieloletnie doświadczenie w namawianiu dziewczynek, żeby robiły dokładnie to, czego on chce.

*

Natura spletała Huzzah Aping trzy paskudne figle. Po pierwsze, zesłała jej moc, która w państwie autarchy była absolutnie zakazana; po drugie, obdarowała ją ojcem, który mimo sentymentalnych odruchów, bardziej niż jej losem przejmował się swoją karierą w wojsku; po trzecie, dała jej twarz, którą tylko ojciec mógł opisać jako śliczną. Była chudym, wymizerowanym stworzeniem w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat, miała śmiesznie przystrzyżone ciemne włosy i drobne, ściągnięte usta. Kiedy po długich namowach udało się ją przekonać, żeby coś powiedziała, odezwała się słabym, żalonym głosikiem. Dopiero kiedy Aping przedstawił jej gościa jako wyratowanego z morza topielca, który cudem uszedł z życiem, ożywiła się.

– Wpadłeś do Kołyski? – zapytała.

– Tak.

Gentle podszedł do łóżka. Huzzah siedziała na nim skulona, obejmując kolana ramionami.

– A widziałeś królową Kołyski?

– Kogo?

Aping próbował córkę uciszyć, ale Gentle zbył go machnięciem ręki.

– Kogo? – powtórzył.

– Ona mieszka w morzu – wyjaśniła Huzzah. – Często mi się śni, czasem nawet ją słyszę, ale jeszcze nigdy nie widziałam.

– Czy ma jakieś imię?

– Tishalulle – odparła bez zająknienia Huzzah. – Tak zaszumiały fale, kiedy przyszła na świat. Tishalulle.

– Śliczne imię.

– To prawda. Ładniejsze niż Huzzah.

– Huzzah też jest ładne – pocieszył ją Gentle. – Tam, skąd pochodzę, ludzie mówią „huzzah”, kiedy są szczęśliwi^[5].

Dziewczynka spojrzała na niego tak, jakby idea szczęścia nic dla niej nie znaczyła, i Gentle był skłonny w to uwierzyć. Widząc ojca i córkę razem, lepiej rozumiał paradoksalne zachowanie Apinga – sierżant bał się swojego

dziecka. Jej nadnaturalna moc na pewno nie pozwalała mu spokojnie myśleć o karierze, ale także przypominała o istnieniu sił, na które nie ma wpływu. Malując dziesiątki razy delikatną twarzyczkę Huzzah, nie tylko dawał wyraz swojej miłości, ale także próbował odprawiać egzorcyzmy. Dziewczynce zresztą również dar do niczego się nie przydał. Sny skazywały ją na pobyt w celi i dręczyły tajemniczą tęsknotą; wyrządziły jej więcej złego niż dobrego.

Gentle dwoił się i troił, żeby wydobyć z niej więcej informacji o Tishalulle, ale Huzzah albo niewiele wiedziała, albo bała się powiedzieć coś więcej przy ojcu. Gentle domyślał się, że w grę wchodzi raczej ten drugi powód. Kiedy wychodził, zapytała cichutko, czy jeszcze do niej przyjdzie. Obiecał, że tak.

*

Pod drzwiami celi stał strażnik. Pie z ponurą miną siedział w środku.

– To zemsta N'ashapa – wyjaśnił, skinieniem głowy wskazując drzwi. – Chyba nadużyliśmy jego gościnności.

Gentle opowiedział mu o rozmowie z Apingiem i spotkaniu z Huzzah.

– Prawo zakazuje głoszenia przepowiedni, tak? To dla mnie coś nowego.

– Kiedy mówiła o królowej Kołyski...

– Miała pewnie na myśli matkę.

– Skąd wiesz?

– Jest przerażona, tęskni za matką... Trudno się jej dziwić. Kim mogłaby być królowa Kołyski, jeśli nie matką małej?

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Gentle. – Zakładałem raczej, że w jej słowach tkwi ziarno prawdy.

– Wątpię.

– Bierzemy ją ze sobą czy nie?

– To ty decydujesz, naturalnie, ale ja jestem zdecydowanie przeciw.

– Aping powiedział, że nam pomoże, jeśli ją zabierzemy.

– Co nam przyjdzie z jego pomocy, jeśli będziemy musieli ciągnąć ze sobą dzieciaka? Nie zapominaj, że nie jesteśmy sami. Musimy zabrać Scopi-que'a, który tak jak my siedzi w celi. N'ashap przykręcił śrubę. Wszystkich kazał zamknąć.

– Musi za tobą bardzo tęsknić.

Pie uśmiechnął się kwaśno.

– Nasze rysopisy pewnie już są w drodze. Kiedy N'ashap uzyska odpowiedź, na którą czeka, będzie bardzo szczęśliwym oethakiem. Ma pod kluczem parę bandytów. Jeśli się dowie, kim jesteśmy, w życiu mu się nie wyrwiemy.

– No to musimy uciec, zanim się zorientuje. Dzięki Bogu, że w tym dominiu nie znają telefonu.

– Może po prostu autarcha zabronił go używać. Im mniej ludzie gadają, tym mniej mogą knuć. Wiesz co, może powinienem jednak porozmawiać z N'ashapem? Na pewno przekonałbym go, żeby trochę nam odpuścił; wystarczy mi parę minut.

– Rozmowy go nie interesują. Pie. Znajdź inne zajęcie dla twoich ust.

– No to jak masz zamiar się przebić przez strażników? Użyć pneumy?

– To nie byłoby najmądrzejsze – odparł po namyśle Gentle. – Jestem jeszcze osłabiony. Za parę dni może bym się na to porwał, ale jeszcze nie teraz.

– Nie możemy czekać.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nawet gdybyśmy mogli, i tak powinniśmy unikać bezpośredniego starcia. Żołnierze N'ashapa są może rozleniwieni, ale jest ich sporo.

– Może w takim razie faktycznie powinieneś trochę go ugłaskać. Ja pogadam z Apingiem; poschlebiam mu trochę, jaki świetny z niego malarz.

– Naprawdę potrafi malować?

– Powiem tak: jak na malarza, jest naprawdę świetnym ojcem. W każdym razie ufa mi, bo obaj jesteśmy artystami i tak dalej.

Mistyf wstał i krzyknął na strażnika, każąc mu przekazać prośbę o spotkanie z kapitanem N'ashapem. Strażnik mruknął coś ponuro, stuknął kolbą karabinu w zasuwę na drzwiach, żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma, i zszedł z posterunku. Gentle podszedł do okna. Chmury były podświetlone, jakby lada chwila miały się pokazać słońca. Pie stanął za nim i objął go za szyję.

– O czym myślisz?

– Pamiętasz Beatrix i matkę Efreeta?

– Pewnie.

– Śniło jej się, że przychodzę i siadam z nią do stołu. Nie wiedziała tylko, czy będę mężczyzną, czy kobietą.

– Poczujesz się głęboko urażony, kiedy ci to powiedziała.

– Kiedyś może bym się tak poczuł – przyznał Gentle – ale kiedy to mówiła, nie miało to wielkiego znaczenia. Po paru tygodniach w twoim towarzy-

stwie głównie mnie obchodziło, jakiej jestem płci. Widzisz, jak mnie demoralizujesz?

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, czy może to już wszystko?

– Jest jeszcze coś. Pamiętam, że opowiadała mi o boginiach, o tym, że się ukryły...

– Myślisz, że Huzzah właśnie znalazła jedną z nich?

– Widzieliśmy w górach kapłanki, prawda? Dlaczego boginie miałyby nie przeżyć? Może Huzzah udała się we śnie na poszukiwanie matki...

– ...i zamiast niej znalazła boginię.

– Właśnie. Tishalulle, która drzemie w Kołysce i czeka, żeby wrócić na świat.

– Podoba ci się ten pomysł, co?

– Ukrywające się boginie? Nawet bardzo. Może budzi się we mnie pies na kobitki, a może tak jak Huzzah czekam na kogoś, kogo nie pamiętam, szukam jego twarzy, chcę, żeby mnie zabrał...

– Ja już tu jestem. – Pie pocałował go w kark. – I mam wszystkie twarze, których kiedykolwiek pragnęś.

– Twarz bogini też?

– Hm...

Przerwał im szcęk zasuw. Strażnik przyniósł wiadomość, że kapitan N'ashap zgodził się spotkać z mistyfem.

– Gdybyś zobaczył Apinga – powiedział Gentle – powiedz mu, że chętnie z nim porozmawiam o malarstwie, dobrze?

– Nie omieszkam.

Pie wyszedł i Gentle wrócił do okna. Chmury zagęściły szyki obronne przeciw słońcom, Kołyska leżała pod nimi nieruchoma i pusta. Gentle powtórzył imię, które zdradziła mu Huzzah:

– Tishalulle.

Brzmiało jak łamiąca się fala.

Morze się nie poruszyło. Bogini nie przybyła na wezwanie. Przynajmniej nie do niego.

*

Zaczynał się właśnie zastanawiać, ile czasu minęło od wyjścia Pie – uznał,

że ponad godzina – gdy Aping wszedł do celi i odesłał strażnika.

– Od kiedy siedzicie pod kluczem? – zapytał Gentle'a.

– Od rana.

– Dlaczego? Z tego, co mówił kapitan, zrozumiałem, że jesteście z misty-
fem naszymi gośćmi. W pewnym sensie.

– Już nie.

Na twarzy Apinga odbił się strach.

– Skoro jesteś więźniem, to trochę zmienia sytuację.

– To znaczy, że nie możemy już rozmawiać o malarstwie?

– To znaczy, że nie wyjedziecie.

– A co z twoją córką?

– Problem stał się czysto akademicki.

– Mała zmarnieje tutaj. Pozwolisz jej umrzeć?

– Nie umrze.

– Obawiam się, że tak.

Rozdrażniony Aping odwrócił się do Gentle'a plecami.

– Prawo jest prawem.

– Rozumiem. Nawet artyści muszą się ugiąć.

– Widzę, co knujesz. Nie myśl, że się na to nabiorę.

– To jeszcze dziecko, Aping.

– Wiem o tym. Będę musiał się nią zaopiekować najlepiej, jak umiem.

– Może zapytaj ją, czy widziała zapowiedź swojej śmierci?

– Jezu! – Roztrzęsiony Aping zaczął kręcić głową. – Dlaczego właśnie
mnie musiało się to przydarzyć?

– Nic się jeszcze nie przydarzyło. Możesz ją ocalić.

– To nie takie proste. – Aping spojrzał na niego zboląłym wzrokiem. –
Mam swoje obowiązki. – Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i zaczął trzeć
usta, jakby przylgnęły mu do nich okruchy winy, które mogą go zdradzić. –
Muszę się zastanowić. Wszystko wydawało się takie proste, a teraz... Muszę
pomyśleć.

Kiedy otworzył drzwi, strażnik stał na posterunku. Gentle nie zdążył za-
gadnąć sierżanta o Scopique'a.

Powrót Pie dodatkowo go dobił. N'ashap kazał mistyfowi czekać dwie go-
dziny, a ostatecznie uznał, że nie chce się z nim widzieć.

– Słyszałem go, chociaż nie widziałem – powiedział Pie. – Chyba był za-
lany w pestkę.

- Wygląda na to, że mamy pecha. Wątpię, żeby Aping chciał nam pomóc. Mając do wyboru służbę i córkę, wybierze służbę.
- Czyli utknęliśmy na dobre.
- Do czasu, aż coś wymyślimy.
- Cholera jasna!

2

Nastał wieczór; słońce przez cały dzień się nie pokazało. Kiedy roznoszono kolację do cel, zatupotały buty strażników na korytarzach, potem rozległ się łoskot zamykanych drzwi, szcęk zasuw i zapadła cisza. Obeszło się bez protestów, gdy więźniom odebrano wieczorne przywileje – możliwość gry w końkości i recytacji scen z Quexosa i z „Numbubo” Malbakera, które większość z nich znała na pamięć. Nikt nie miał ochoty przerwać milczenia, jak gdyby każdy siedzący w pojedynczej celi więzień zdecydował, że rezygnuje z luksusów – nawet z głośnej modlitwy – byle tylko nie zwrócić na siebie uwagi.

- N'ashap musi być groźny po pijanemu – stwierdził Pie, jakby próbował wyjaśnić głuchą ciszę w przytułku.
 - Może lubi nocne egzekucje.
 - Mógłbym się założyć, że znam czołówkę listy kandydatów.
 - Szkoda, że jestem jeszcze taki słaby. Ale gdyby po nas przyszli, będziemy walczyć, prawda?
 - Oczywiście. Tymczasem może byś się przespał, co?
 - Chyba żartujesz!
 - No to przynajmniej przestań dreptać tam i z powrotem...
 - Nigdy w życiu nie siedziałem w zamknięciu – odparł Gentle. – Dostaję klaustrofobii.
 - Wystarczy jedna pneuma, żebyś stąd wyszedł – przypomniał mu Pie.
 - Może właśnie to powinniśmy zrobić. Użyć pneumy.
 - Zrobimy to w ostateczności. Jeszcze nie teraz. Na miłość boską, połóż się wreszcie!
- Chcąc nie chcąc, Gentle posłuchał go i mimo lęków, które leżały tuż obok

i szeptały mu niespokojnie do ucha, szybko zasnął. Jego ciało wolało odpocząć, niż ich słuchać.

Pie go obudził.

– Masz gościa – szepnął.

Gentle usiadł. Światło w celi zostało wieczorem zdalnie zgaszone i gdyby nie zapach farby olejnej, nie wiedziałby, kogo ma przed sobą.

– Potrzebuję twojej pomocy, Zacharias.

– Co się stało?

– Huzzah... chyba wariuje. Chodź ze mną. – Głos Apinga drżał. Jego ręką, którą położył Gentle'owi na ramieniu, również. – Boję się, że ona umiera.

– Pie idzie z nami.

– Nie mogę tak ryzykować.

– Tak jak ja nie mogę ryzykować, zostawiając tu przyjaciela.

– Ja ryzykuję, że ktoś się o niej dowie. Jeżeli strażnik zajrzy tu i zobaczy, że cela jest pusta...

– On ma rację – wtrącił Pie. – Idź, pomóż dziecku.

– Czy to rozsądne?

– Współczucie zawsze jest rozsądne.

– Dobra. Tylko nie zaśnij. Nie zmówiliśmy jeszcze pacierza. Będą nam potrzebne oba nasze oddechy.

– Rozumiem.

Gentle wymknął się na korytarz w ślad za Apingiem, który krzywił się i syczał ma każdy zgrzyt klucza w zamku. Gentle świetnie go rozumiał; na myśl o tym, że zostawia mistyfa samego, ścisnęło go w dołku, ale chyba rzeczywiście nie mieli wyboru.

– Może nam być potrzebna pomoc doktora – zauważył, gdy ruszyli zaciemnionym korytarzem przed siebie. – Proponuję sprowadzić Scopique'a.

– To on jest doktorem?

– Jak najbardziej.

– Ale ona pyta o ciebie. Nie wiem, czego chce. Obudziła się z płaczem i poprosiła, żebym cię przyprowadził. Jest przemarznięta.

Aping doskonale znał rozkład wart na poszczególnych piętrach, więc bez przeszkód dotarli do pokoju Huzzah. Wbrew temu, czego spodziewał się Gentle, dziewczynka nie leżała na łóżku, lecz siedziała w kucki na podłodze z głową i dłońmi przyciśniętymi do ściany. Na środku celi stała misa, w której

palik się pojedynczy knot. Huzzah zerknęła w ich stronę, gdy weszli, ale się nie poruszyła, więc Gentle podszedł do niej i ukucnął. Widział, że cała się trzęsie, chociaż grzywkę miała przylepioną do wilgotnego czoła.

– Co tam słyszysz? – zapytał ją.

– Już jej nie ma w moich snach, panie Zacharias – odparła, bardzo starannie wymawiając nazwisko, jakby właściwe nazywanie otaczających ją bytów i sił dawało jej nad nimi władzę.

– A gdzie jest?

– Na zewnątrz. Słyszę ją. Niech pan słucha.

Przyłożył ucho do ściany. Rzeczywiście, z głębi muru niósł się jakiś pomruk, ale podejrzewał, że to nie głos królowej Kołyski, raczej warkot generatora albo buzowanie pieca w piwnicy.

– Słyszysz pan?

– Słyszę.

– Chce wejść. Próbowwała wejść przez moje sny, ale jej się nie udało. Teraz próbuje się przebić przez ścianę.

– Może... może powinniśmy się od niej odsunąć – zaproponował Gentle i położył dziewczynce dłoń na ramieniu. Skórę miała zimną jak lód. – Chodź, wracaj do łóżka. Przemarzałaś.

– Byłam w morzu – powiedziała Huzzah, dając mu się wziąć na rękę.

Gentle spojrzał znacząco na Apinga. Bezgłośnie poruszył wargami: „Scopique”. Sierżant spojrzał na wtuloną w niego Huzzah i wyszedł posłusznie jak pies.

Gentle położył dziewczynkę na łóżku i przykrył kocem.

– Królowa Kołyski wie, że pan tu jest.

– Naprawdę?

– Mówiła mi, że prawie pana utopiła, ale pan się jej wyrwał.

– Dlaczego chciała to zrobić?

– Nie wiem. Będzie pan ją musiał zapytać, kiedy tu przyjdzie.

– Nie boisz się jej?

– Skądże! A pan?

– Wiesz, próbowała mnie utopić...

– Nie robi tego więcej, jeżeli będzie pan blisko mnie. Ona mnie lubi. Jeżeli będzie wiedziała, że ja pana też lubię, nie zrobi panu krzywdy.

– Świetnie. A co by powiedziała, gdybyśmy stąd wyjechali?

– Nie możemy tego zrobić.

– Dlaczego?

– Nie chcę iść na górę. Nie lubię tego miejsca.

– Wszyscy śpią, moglibyśmy pójść na paluszkach: ty, ja i moi przyjaciele. Byłoby miło, prawda? Twój tata chyba chce, żebyśmy cię zabrali do Yzordderrex – ciągnął Gentle, widząc malujące się na twarzy dziecka niezdecydowanie. – Byłaś tam kiedyś?

– Tak, ale byłam bardzo malutka.

– Moglibyśmy tam wrócić.

– Królowa Kołyski nas nie puści. – Huzzah pokręciła głową.

– Puściłaby, gdybyś jej powiedziała, że tego właśnie chcesz. Może pójdziemy na górę trochę się rozejrzeć?

Huzzah spojrzała w bok, na ścianę, jakby spodziewała się, że fala Tishalulle właśnie w tej chwili rozbije mur. Kiedy jednak nic się nie wydarzyło, powiedziała:

– Yzordderrex jest bardzo daleko stąd, prawda?

– Tak, to kawał drogi.

– Czytałam o tym w książkach.

– Ubierz się cieplej, Huzzah.

Milczące przyzwolenie bogini uciszyło wątpliwości dziewczynki, która wstała i zaczęła przeglądać swoją skąpą garderobę rozwieszoną na ścianie naprzeciwko. Korzystając z okazji, Gentle zerknął na leżący na łóżku stosik książek. Niektóre były typowo dziecięce – przypominały pewnie Huzzah dawne, szczęśliwsze czasy. Pewien opasły tom okazał się encyklopedią, autorstwa kogoś nazwiskiem Maybellome. W innych okolicznościach stanowiłby zapewne ciekawą lekturę, ale miał zbyt gęsty druk, żeby go przejrzeć na miejscu, i był za ciężki, żeby zabrać go ze sobą. Poza tym Gentle znalazł tomik nonsensownych wierszy oraz coś, co wyglądało na powieść; Huzzah założyła kawałkiem papieru miejsce, do którego doczytała.

Kiedy dziewczynka stanęła do niego plecami, wsunął książkę do kieszeni – z myślą i o niej, i o sobie. Podszedł do drzwi, wypatrując Apinga i Scopique'a, ale jeszcze się nie pojawili. Huzzah skończyła się ubierać.

– Jestem gotowa – oznajmiła. – Idziemy? Papa nas znajdzie.

– Mam nadzieję – mruknął Gentle.

Zwlekanie byłoby stratą cennego czasu. Huzzah spytała, czy może wziąć Gentle'a za rękę – oczywiście zgodził się – i razem weszli w labirynt korytarzy, które w półmroku wyglądały identycznie. Kilka razy zatrzymywali się,

słyszając stukot strażniczych buciorów, ale Huzzah nie gorzej od Gentle'a zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i dwa razy ocalała ich oboje przed złapaniem.

Kiedy znaleźli się na ostatnim odcinku schodów, z którego wyjście prowadziło na otwartą przestrzeń, gdzieś całkiem niedaleko rozległy się hałasy. Zatrzymali się i cofnęli głębiej w cień, ale szybko zrozumieli, że nie oni są przyczyną całego zamieszania. Z korytarzy dobiegał krzyk N'ashapa, któremu wtórował upiorny łoskot. Gentle od razu pomyślał o Pie. Zanim zdrowy rozsądek zdążył go powstrzymać, wyskoczył z ukrycia. Chciał przykazać Huzzah, że ma zostać na miejscu, ale mała deptała mu już po piętach.

Rozpoznał następny korytarz. Dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stanęli, znajdowały się otwarte drzwi do celi. Tam zostawił Pie, stamtąd rozlegały się ryki kapitana. Stek przekleństw i oskarżeń zdążył już zwabić strażników. Gentle odetchnął głęboko. Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez użycia przemocy.

– Dalej nie idź – powstrzymał Huzzah i pobiegł w stronę drzwi. Z naprzeciwka zbliżało się trzech strażników – w tym dwa oethaki, ale tylko jeden partrył na Gentle'a. Trzeci, człowiek, krzyknął coś, lecz wrzask N'ashapa zagłuszył jego słowa. Gentle na wszelki wypadek podniósł ręce do góry, nie chcąc prowokować go do strzału, i zwolnił. Znajdował się dziesięć kroków od drzwi. Strażnicy byli szybsi. Zamienili dwa zdania z N'ashapem – Gentle zdążył w tym czasie skrócić dzielący go od nich dystans o połowę, ale tym razem strażnik kazał mu stanąć i wymierzył w niego broń. Gentle zatrzymał się w miejscu.

Ledwie wyhamował, z celi wynurzył się N'ashap. Jedną ręką włókł mistyfa za włosy, w drugiej trzymał nagi miecz, przytknięty do brzucha Pie. Blizny na jego pękatej głowie poczerwieniały od alkoholu, poza nimi skórę miał trupio białą. Zatoczył się na progu; kłopoty z zachowaniem równowagi czyniły go jeszcze bardziej niebezpiecznym. W Nowym Jorku mistyf udowodnił, że wytrzymuje obrażenia, po których normalny człowiek ległby martwy w rynsztoku, ale ostrze broni N'ashapa mogło go w każdej chwili wypatroszyć jak rybę, a tego nie miał prawa przeżyć. Kapitan z trudem skupił na Gentle'u spojrzenie swoich małych oczek.

– Twój mistyf strasznie się zrobił wierny – wysapał. – Co się stało? Najpierw sam mnie szukał, a teraz nie pozwala się do siebie zbliżyć. Potrzebuje twojego pozwolenia? O to chodzi? To mu je daj! – Przycisnął miecz do brzu-

cha Pie. – Ale już! Albo będzie grzeczny, albo go zarżnę!

Gentle opuścił dłoń, bardzo powoli, jakby próbował uspokoić Pie.

– Chyba nie mamy wyboru – powiedział.

Przeniósł wzrok z beznamiętnej twarzy mistyfa na miecz, ważąc w myślach czas, jakiego potrzebuje pneuma, żeby urwać głowę N'ashapowi, przeciw ułamkom sekund, które wystarczą kapitanowi, żeby rozciąć Pie na dwoje. Należało też pamiętać o pozostałych uczestnikach rozgrywki – trzech uzbrojonych strażników stało tuż-tuż, a następnymi pewnie już nadbiegali.

– Lepiej go posłuchaj – dodał i wziął głęboki wdech.

N'ashap patrzył, jak Gentle podnosi dłoń do ust. Mimo że był mocno pijany, wyczuł niebezpieczeństwo i krzyknął ostrzegawczo do stojących za jego plecami strażników. Jednocześnie płynnym ruchem zszedł im – i Gentle'owi również – z linii strzału.

Jeden cel zniknął, ale pozostały trzy inne. Pneuma wystrzeliła w chwili, gdy strażnicy kładli właśnie palce na cynglach. Pierwszy, trafiony z takim impetem, że rozerwało mu klatkę piersiową, upadł do tyłu. Jeden jego kolega upuścił broń, drugiemu wnętrzności trupa chlapnęły na twarz. Był oślepiony przez ułamek sekundy, szybko jednak doszedł do siebie, ale Gentle już przyskoczył do zabitego, podniósł z podłogi broń i zaczął strzelać. Oethacka krew pozwoliła strażnikowi nie przejmować się zbyt kulami, dopóki jedna nie trafiła go w oko. Wtedy wypuścił karabin z ręki, złapał się za głowę i upadł.

Nie zwracając uwagi na trzeciego, który pojękiwał na podłodze, Gentle wszedł do celi. N'ashap stał twarzą w twarz z Pie, który dłonią odpychał ostrze miecza od swojego brzucha. Krew płynęła mu z rozciętej dłoni, ale kapitan nie próbował mocniej go zranić. Otepiały patrzył mistyfowi w oczy.

Gentle stanął jak wryty; zdawał sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, może wyrwać N'ashapa z transu. Nie miał pojęcia, kogo kapitan widzi w Pie. Może dziwkę, która przypominała mu matkę; byłoby to kolejne odbicie Tishalulle na tej wyspie zagubionych matek. W każdym razie wystarczyło to, żeby nie chciał odciąć mistyfowi palców.

Łzy popłynęły N'ashapowi z oczu. Mistyf się nie poruszył, nie oderwał wzroku od jego twarzy; na razie wygrywał w walce między żądzą i morderczym instynktem oethaca. Kapitan rozluźnił chwyt na mieczu, Pie puścił ostrze i broń upadła na podłogę z brzękiem. N'ashap się ocknął, pokręcił gwałtownie głową i odruchowo spojrzął na leżący mu pod nogami miecz.

Mistyf zareagował błyskawicznie – dwoma krokami znalazł się przy

drzwiach. Gentle wziął wdech, ale gdy podnosił rękę do ust, usłyszał pisk Huzzah. Obejrzał się. Mała cofała się przed dwoma oethacami. Pie złapał Gentle'a za rękę, odciągnął od drzwi. N'ashap porwał z ziemi miecz i rzucił się na nich. Chwila, kiedy można było sprzątnąć go pneumą, minęła bezpowrotnie. Gentle zdołał tylko zatrzaskać drzwi celi i przekręcić tkwiący w nich klucz, zanim potężne ciało kapitana wyrznęło w nie z drugiej strony.

Huzzah zaczęła biec w jego kierunku. Goniący ją strażnik oddzielał Gentle'a od drugiego oethaca, który próbował wycelować broń. Gentle rzucił karabin mistyfowi, złapał dziewczynkę – dosłownie o krok wyprzedził pościg – i usunął się mistyfowi z linii strzału.

– Zabij skurwieli! – krzyknął.

Mistyf tylko przyglądał się karabinowi z obrzydzeniem.

– Pie! Na miłość boską, zastrzel ich!

Pie uniósł broń, ale nie potrafił pociągnąć za cyngiel.

– Strzelaj! – ryknął Gentle.

Mistyf pokręcił głową. Jego niezdecydowanie kosztowałoby ich obu życie, gdyby ktoś nie strzelił strażnikom w plecy.

– Tatuś! – zawołała Huzzah.

Istotnie, z chmury dymu wynurzyli się Aping ze Scopique'em. Sierżant nawet nie spojrział na córkę, którą właśnie uratował od śmierci. Patrzył na żołnierzy, których musiał zabić. Był wstrząśnięty. Nawet gdy Huzzah przytuliła się do niego, płacząc ze strachu, ledwie zwrócił na nią uwagę. Dopiero Gentle wyrwał go z oparów poczucia winy, mówiąc, że muszą uciekać, póki jeszcze jest szansa.

– To byli moi ludzie – powiedział Aping.

– A to jest twoja córka. Dokonałeś właściwego wyboru.

N'ashap bębnił w drzwi celi i wzywał pomoc. Ktoś musiał go w końcu usłyszeć.

– Którędy najszybciej się wydostaniemy? – Gentle zapytał Scopique'a.

– Jest jeszcze mnóstwo innych więźniów – zauważył Scopique. – Ojciec Athanasius, Izaak, Squalling...

– Nie mamy czasu. Pie, wytłumacz mu to! Albo zaraz się stąd wyrwiemy, albo wcale. Pie? Słyszysz mnie?

– Tak...

– To obudź się i uciekajmy!

Scopique cały czas narzekał, że nie powinni zostawiać reszty, ale wypro-

wadził ich z budynku. Nie wyszli jednak na mury, lecz wprost na skały.

– Dokąd teraz? – spytał Gentle. Z dołu dobiegały głosy strażników. Najwidoczniej uwolniony N'ashap ogłosił alarm. – Musimy dotrzeć do najbliższego kawałka stałego lądu.

– Czyli na półwysep – stwierdził Scopique, wskazując mu ledwie widoczny w ciemnościach pas ziemi.

Mrok był teraz ich najlepszym sprzymierzeńcem. Prześladowcy nie wiedzieliby nawet, gdzie ich szukać. Wąziutka ścieżka wiła się w dół urwiska, na brzeg morza. Gentle ruszył przodem, zdając sobie sprawę, że na pozostałych nie może polegać. Huzzah była jeszcze dzieckiem, jej ojcem targały wyrzuty sumienia, Scopique bezustannie oglądał się przez ramię, a Pie nie mógł się otrząsnąć po krwawej rzezi, której był świadkiem – dziwne, jak na istotę, która na Ziemi była płatnym mordercą. Cóż, wspólna podróż zmieniła ich obu.

– Przykro mi, ale nie mogę iść z wami – oznajmił Scopique, gdy zeszli na plażę. – Poradzicie sobie. Ja muszę wrócić po resztę.

Gentle nie próbował go zatrzymać.

– Skoro tego właśnie chcesz, powodzenia. My musimy uciekać.

– Naturalnie! Pie, przyjacielu, przepraszam cię, ale nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym ich zostawił. Zbyt wiele razem przeszliśmy.

– Scopique złapał mistyfa za rękę. – Nic nie mów. Przeżyję. Znam swoje obowiązki i będę gotów, gdy nadejdzie czas.

– Wiem – odparł Pie.

– To stanie się już wkrótce.

– Szybciej, niżbym chciał.

Scopique zaczął wdrapywać się na górę, a Pie ruszył za Gentle'em, Apingiem i Huzzah, którzy znaleźli się przez ten czas dziesięć metrów od brzegu.

Rozmowa Pie ze Scopique'em nie uszła uwagi Gentle'a. Zwłaszcza wzmianka o utrzymanym dotąd w sekrecie wspólnym planie. Zamierzał wypytac mistyfa o wszystko – ale nie w tej chwili. Od półwyspu dzieliło ich co najmniej dziesięć kilometrów, tymczasem za plecami już słyszeli narastający zgiełk. Światło latarek przeszywało mrok; pierwsi żołnierze N'ashapa zaczęli szukać zbiegów. Z przytułku dobiegały wrzaski więźniów, którzy wreszcie odważyli się dać wyraz swojej wściekłości. To też mogło trochę zmylić pogoń, ale nie na długo.

Latarki wyłowiły z ciemności Scopique'a i coraz szerszymi zakolami zaczęły przeczesywać plażę, z której wyruszył na górę. Aping wziął Huzzah na

ręce, co pozwoliło im trochę przyspieszyć i w Gentle'u obudziła się nadzieja, że wyjdą z tego z życiem, gdy wtem zahaczył ich krąg światła. Natychmiast rozpoczęła się kanonada, ale nie stanowili łatwego celu i kule przeszły bokiem.

– Teraz im nie uciekniemy – wysapał Aping. – Powinniśmy się poddać. – Postawił córkę na ziemi i wyrzucił pistolet. Odwrócił się do Gentle'a i z pretensją w głosie zapytał: – Dlaczego ja cię posłuchałem? Musiałem zwariować.

– Jeżeli tu zostaniemy, zastrzelą nas bez zastanowienia. Huzzah również. Tego chcesz?

– Nikogo nie zastrzelą. – Aping wziął córkę za rękę, a drugą podniósł w pojednawczym geście. – Nie strzelać! Nie strzelać! Kapitanie! Kapitanie, poddajemy się!

– Chrzań się! – rzucił Gentle i pociągnął Huzzah w swoją stronę.

Nie opierała się, ale Aping nie rezygnował tak łatwo. Odwrócił się, żeby odebrać córkę Gentle'owi. Pocisk uderzył w łód pod jego stopami. Sierżant chciał ponownie odwrócić się, żeby coś krzyknąć do strażników, lecz kolejne strzały nie dały mu dojść do słowa. Pierwszy trafił go w nogę, drugi w pierś. Huzzah pisnęła głośno i wyrwała się Gentle'owi. Uklękła przy ojcu.

Stracili tylko kilka sekund, ale już nie mieli szansy na ucieczkę. Zbliżało się ze dwudziestu żołnierzy, a każdy mógł ich powystrzelać jak kaczki. Nawet podpity N'ashap, który nimi dowodził, nie miałby z tym kłopotu.

– Co teraz? – spytał Pie.

– Musimy się bronić. Nie mamy wyjścia.

Tymczasem łód pod ich stopami był niepewny jak krok N'ashapa. Słońca świecące w tym dominium znajdowały się wprawdzie nad drugą półkulą planety i po horyzont panowała noc, ale zamarznęte morze przenikał dreszcz, który Gentle i Pie znali z doświadczenia. Poprzednim razem niewiele brakowało, żeby zwiastował im śmierć. Huzzah też go poczuła. Podniosła głowę.

– Królowa...

– Słucham? – zdziwił się Gentle.

– Jest blisko.

Dziewczynka złapała Gentle'a za rękę, a jemu serce zaczęło walić jak młotem, gdy przypomniał sobie roztapiające się morze.

– Możesz ją powstrzymać? – zapytał.

– Nie przyszła po nas – odparła dziewczynka i spojrzała na ludzi N'asha-

pa.

– Bogini... – mruknął Gentle.

Od strony zbliżającego się oddziału dobiegły pierwsze okrzyki przerażenia. Jedna z latarek zaczęła błyskać na wszystkie strony jak szalona, po niej następna i jeszcze jedna. Żołnierze zaczęli rozumieć, co się dzieje. N'ashap wywrzaskiwał rozkazy. Nikt go nie słuchał.

Trudno było zobaczyć coś konkretnego, ale Gentle mógł sobie wyobrazić, co się dzieje. Lód rozmiękał i srebrzysta woda Kołyski pieniała się żołnierzom pod nogami. Któryś strzelił w powietrze, gdy skorupa pod nim się rozpękała; dwóch czy trzech próbowało wrócić na wyspę, lecz wpadli do wody jakby wciągnięci przez rekiny. Został po nich tylko srebrny pióropusz piany. N'ashap wciąż próbował zapanować nad oddziałem, ale nie miał już najmniejszych szans. Rozumiejąc to, otworzył ogień do trójki uciekinierów. Ponieważ grunt drżał mu pod stopami, a latarki nie były już nakierowane na cel, strzelał praktycznie na oślep.

– Zmykajmy stąd – zasugerował Gentle, ale Huzzah go powstrzymała.

– Nic nam nie zrobi, jeśli nie będziemy się jej bać.

Gentle miał ochotę odpowiedzieć, że już się boi, ale postanowił milczeć i nie ruszać się z miejsca. Martwił się tylko, czy bogini ma dość cierpliwości, by rozróżnić złych od błędzących, niepokornych od pobożnych. Na powierzchni morza zostało już tylko czterech żołnierzy z pościgu, wśród nich N'ashap. Niektórzy z tych, o których upomniały się fale, walczyli jeszcze o życie i próbowali dotrzeć na twardszy grunt. Jednemu udało się nawet wyczołgać z wody na lód, który roztopił się pod nim z taką szybkością, że biedak nie zdążył nawet krzyknąć. Inny krzyczał na bulgoczącą dookoła wodę, aż zakryła go całkowicie i było widać tylko uniesiony, strzelający karabin.

Wszystkie latarki zostały porzucone. Scenerię oświetlały tylko lampy z urwiska, pod przytułkiem. Szczęściarze, którzy zostali na posterunkach, kierowali snopy światła w miejsce, gdzie rozgrywała się masakra. Wyławiali z mroku sylwetki N'ashapa i ostatnich trzech żołnierzy. Jeden z nich rzucił się biegiem w kierunku kawałka lodu, na którym stali Gentle, Pie i Huzzah. Zdążył zrobić pięć kroków, gdy spieniły się przed nim srebrzyste fale. Chciał się jeszcze cofnąć, ale droga, którą pokonał, też zmieniła się w bulgoczący srebrem kocioł. Zrozpaczony odrzucił broń i skoczył. Nie udało mu się uratować.

Jeden z pozostałej trójki, oethac, padł na kolana i zaczął się modlić, co tyl-

ko przyspieszyło przybycie kata. Został wciągnięty w głębiny w środku pa-cierza. Zdążył jeszcze chwycić towarzysza za nogę i obaj zniknęli pod wodą. Wzburzone fale nie uspokoiły się, lecz zaatakowały ze zdwojoną wściekło-ścią. N'ashap, ostatni wśród żywych, stał z podniesioną głową. Spiętrzona fala była wyższa od niego.

– Królowa... – wyszeptała Huzzah.

Tak, to była ona. Wyrzeźbione w wodzie ciało, piersi i migotliwa twarz. Bogini – albo jej wierna kopia – rozplynęła się w mgnieniu oka i runęła na oethaca. Zniknął tak szybko, a woda zrobiła się po nim tak spokojna, jakby matka nigdy nie wydała go na świat.

Huzzah odwróciła się powoli do Gentle'a. Nie zwracając uwagi na leżące obok ciało ojca, uśmiechnęła się – pierwszy raz, odkąd Gentle ją znał.

– Królowa Kołyski przyszła do nas.

*

Odczekali jeszcze chwilę, ale bogini więcej im się nie objawiła. Cokol-wiek zrobiła – i bez względu na to, czy chciała w ten sposób ocalić Huzzah, w co dziewczynka gorąco wierzyła, czy wykorzystała fakt, że mogła dosię-gnąć tych, którzy okrucieństwem skazili jej wody – uczyniła to z wyrachowa-niem. Nie zamierzała wszystkiego psuć, rozkoszując się własnym dziełem. Zamknęła morze równie szybko i skutecznie, jak przedtem je otworzyła.

Strażnicy z przytułku nie zamierzali rzucać się w pościg za zbiegami.

– Mamy kawał morza do przejścia przed świtem – zauważył Pie. – Żle by było, gdyby słońca wzeszły, zanim staniemy na półwyspie.

Huzzah wzięła Gentle'a za rękę.

– Czy tatuś mówił panu, dokąd mamy się udać w Yzordderrex?

– Nie, ale znajdziemy właściwy dom.

Dziewczynka nie spojrzała więcej na zwłoki ojca, lecz utkwivszy wzrok w ciemnym zarysie lądu, szła bez słowa skargi. Czasem uśmiechała się na myśl o nowo poznanym rodzicu, który nigdy jej nie opuści.

ROZDZIAŁ 29

1

Do czasu interwencji autarchy terytorium rozciągające się od brzegów Koryski do granic Trzeciego Dominium powszechnie uważano za środek Imajiki, a to z powodu pewnego naturalnego fenomenu – znajdowała się tam kolumna z doskonale obrobionego i wypolerowanego kamienia, której przypisywano tyle nazw i mocy, ilu szamanów, poetów i gawędziarzy znalazło się pod wpływem jej uroku. W Pojednanych Dominiach nie istniała chyba społeczność, która nie włączyłaby tej kolumny do swej mitologii i nie znalazła własnego słowa na jej określenie. Jednak najprawdziwsze jej miano było zarazem najprostsze: Oś. Od stuleci trwały dysputy, czy Niewidziany umieścił ją na dymiącym pustkowiu Kwem w centrum Imajiki, czy może w dawnych czasach rósł tu cały las podobnych kolumn, z którego ktoś (być może wiedziony mądrością Hapexamendios) wyrwał wszystkie poza tą jedną.

Mimo sporów na temat jej pochodzenia nikt nie kwestionował mocy, jaką dawała kolumnie pozycja w centrum dominiów. Od setek lat krzyżowały się w Kwem myśli i idee, które Oś przyciągała i wchłaniała z nieodpartą siłą. Stała się największym ośrodkiem mocy w całej Imajice, zanim autarcha trafił do Trzeciego Dominium, odcisnąwszy uprzednio na Yzordderrex piętno dyktatury. Kilkakrotnie odwiedził Kwem, snując własne plany co do losów Osi, i za każdym razem wracał do powstającego w Yzordderrex pałacu. Przebudo- wywał go i udoskonalał, a cel przeróbek stał się jasny dopiero dwa lata później. Z szybkością, jaka zwykle towarzyszy zamachom stanu, autarcha kazał

kolumnę obalić i przewieźć do swojej siedziby, gdzie umieścił ją w specjalnie wybudowanej wieży, i to zanim zakrzepła krew tych, którzy śmieli protestować przeciw świętokradztwu.

W jedną noc zmieniła się topografia Imajiki. Yzordderrex stało się środkiem Pojednanych Dominiów. Od tej pory nie było władzy – świeckiej ani duchowej – która nie wywodziłaby się z tego miasta. Jego nazwa pojawiła się na wszystkich skrzyżowaniach szlaków w Imajice; zawsze na każdej drodze znajdował się chociaż jeden podróżny, który zwracał ku niemu wzrok w nadziei na ocalenie. Modlitwy kierowano w dalszym ciągu do Niewidzianego, błogosławiono, posługując się zakazanymi imionami bogiń, ale prawdziwym bogiem stało się Yzordderrex; autarcha był jego umysłem, a Oś – jego fallusem.

*

Od dnia, gdy Kwem straciło swoją cudowną kolumnę, minęło sto siedemdziesiąt dziewięć lat, ale autarcha nadal pielgrzymował na to odludzie, gdy czuł potrzebę samotności. Niedługo po przeniesieniu Osi kazał zbudować pałac nieopodal miejsca, w którym się znajdowała – mały i spartański w porównaniu z architektonicznym cudem, które wieńczyło Yzordderrex. Tu właśnie chronił się w trudnych chwilach, żeby pomedytować nad smutkiem władzy absolutnej. Radę Wojskową – grupę generałów rządzących w jego imieniu Połączonymi Dominiami – zostawiał pod okiem niegdyś ukochanej królowej Quaisoir. Ostatnimi czasy wykazywała narastające zamięłowanie do stosowania tortur i przemocy, które w nim już wygasało; kilkakrotnie myślał nawet o tym, żeby na dobre wycofać się do pałacu w Kwem i zostawić jej pełnię władzy, skoro sprawiało jej to tak wielką przyjemność. Wiedział jednak, że karmi się złudzeniami. Mimo że rządził Imajicą całkowicie niewidoczny – nikt spoza kręgu około dwudziestu ludzi, którzy widywali go codziennie, nie rozpoznałby go w tłumie białych, elegancko ubranych mężczyzn – to właśnie jego wizja doprowadziła do wyniesienia Yzordderrex i nikt nie mógł go w tej roli zastąpić.

W takie dni jak ten, gdy zimne wiatry znad Postnej Drogi zawodziły smutno w iglicach pałacu w Kwem, patrzył w lustro i żałował, że nie może odeśłać do Yzordderrex swojego lustrzanego odbicia, by rządziło zamiast niego. Wtedy mógłby tu zostać i oddać się rozmyśleniom o dawnych czasach. Lato

w Anglii. Mokra od porannego deszczu londyńskie ulice, spokojne podmiejskie pola, na których roi się od pszczół. Takie obrazy podsuwała mu wyobraźnia, gdy miał wyjątkowo ponury nastrój. Chwile te trwały jednak krótko – był realistą i nawet od swojej pamięci bezwzględnie domagał się prawdy. Owszem, deszcz padał w Londynie często, ale był tak gwałtowny, że zбивał owoce z drzew, a te, które nie spadły, zostawiał paskudnie poobijane. A cisza pól była spokojem pola bitwy, gdzie zamiast pszczół przylatywały muchy, by składać jaja.

Tamtego lata zaczęło się jego życie, którego najwcześniejsze dni pełne były zwiastunów nie miłości i płodności, lecz bliskiej zagłady. Wszyscy karczownicy w parku znali Apokalipsę na pamięć; wszystkie dziwki z Drury Lane powtarzały klientom, że nocą diabeł tańczy na okolicznych dachach. Ta atmosfera musiała i na niego wywrzeć wpływ. Bał się rychłej zagłady, tęsknił za porządkiem, za prawem... może za imperium? Był dzieckiem swoich czasów; jeśli stał się okrutny w dążeniu do ładu, czy należało za to winić jego, czy epokę, w której żył?

Tragedia nie polegała na cierpieniu, które jest nieodłącznym elementem wszelkich przemian społecznych. Najgorsze było co innego – jego dokonaniom zagrażały siły, które w razie zwycięstwa wtrąciłyby Imajicę z powrotem w chaos. Zniszczyłyby wszystko, co osiągnął, i zajęłyby im to ułamek czasu, jakiego na to potrzebował. Jeżeli chciał utrzymać je w korbach, nie miał wielkiego wyboru. Po wydarzeniach w Patashoqua, gdzie odkryto spisek na jego życie, udał się do cichego pałacu w Kwem, żeby przemyśleć dostępne mu możliwości działania.

Mógł traktować bunty, strajki i powstania jak nic nieznaczące incydenty, ograniczając się do drobnych, lecz wymownych aktów okrucieństwa, takich jak spalenie Beatrix czy proces i egzekucja w Vanaeph. Wybór tej drogi wiązał się jednak z kłopotami dwojakiej natury. Od ostatniego spisku na jego życie, mimo że nieudolnego i wykrytego w porę nie mógł zaznać spokoju; dopóki choć jeden radykał i rewolucjonista pozostanie przy życiu, on, autarcha, nie będzie się czuł bezpiecznie. Po drugie, jeżeli w całym jego włościach co rusz zdarzały się podobne incydenty, wymagające kontrolowanej reakcji, czy taka fala represji w ogóle ma sens? Czy nie nadszedł czas, żeby zrealizować jakąś bardziej ambitną wizję? Wprowadzić stan wojenny w miastach, aresztować tetrarchów i ujawnić ich zepsucie w imię sprawiedliwego, lepszego Yzordderrex, obalić rządy, a na opór odpowiedzieć pełnymi siłami armii Dru-

giego Dominium. Może Patashoqua będzie musiało podzielić los Beatrix. Albo L'Himby z jego żalonymi świętymi.

Gdyby wybrał to drugie rozwiązanie i wszystko poszło po jego myśli, oczyściłby Imajcę z buntowników raz na zawsze. Gdyby jednak coś mu nie wyszło – okazało się na przykład, że jego doradcy nie docenili skali niepoko-
jów albo zlekceważyli przywódców rewolucji – wtedy krąg zacznie się zaci-
skać i apokalipsa, z którą od dziecka był za pan brat, znów przybliży się nie-
bezpiecznie. Dopadnie go tutaj, w sercu ziemi obiecanej. Co się stanie, jeśli
zamiast Patashoqua spłonie Yzordderrex? Dokąd będzie mógł się udać, by
ukoić ból? Może wróci do Anglii? Ciekawe, czy dom w Clerkenwell jeszcze
stoi. I czy wciąż jest tak ozdobny jak dawniej. A może odejście maestra odar-
ło go do gołych desek? Drażniły go takie pytania. Rozmyślając nad nimi, od-
krył w sobie dziwną ciekawość... Nie, coś więcej – pragnienie, by przekonać
się, jak wygląda Odłączone Dominium dwieście lat po jego akcie tworzenia.

Z rozmyślań wyrwał go Rosengarten – przezwisko to miało wysoce iro-
niczny wydźwięk, gdyż człowiek, któremu je nadał, był zupełnie bezpłod-
ny^[6]. Całe ciało miał w plamach po chorobie, którą złapał na bagnach Loqu-
iot. Targany nią, w malignie pozbawił się męskości i żył już tylko po to, żeby
wypełniać obowiązki. Był jedynym generałem, który nie splugawił murów
pałacu swoimi ekscesami. Poruszał się i mówił cicho, nie śmierdział perfu-
mami, nie pił i nie jadał kreauchee. Był ucieleśnieniem pustki, jedyną osobą,
której autarcha bezgranicznie ufał.

Przynosił wieści, które przekazał w krótkich słowach: w przytułku na wy-
spie pośrodku Chzercemit wybuchł bunt. Zginęli prawie wszyscy żołnierze
garnizonu. Śledztwo, które miało wyjaśnić okoliczności buntu, jeszcze się nie
zakończyło, ale większość więźniów uciekła. Prowadził ich niejaki Scopique.

– Ilu ich było? – zapytał autarcha.

– Mam tu listę, panie. – Rosengarten otworzył teczkę. – Zaginęło pięć-
dziesiąt jeden osób, w większości dysydentów religijnych.

– Były wśród nich jakieś kobiety?

– Ani jednej.

– Powinniśmy byli ich powiesić, a nie trzymać w zamknięciu.

– Niektórym z nich męczeńska śmierć dobrze by zrobiła, panie. Mając to
na uwadze, uznaliśmy, że lepiej ich wsadzić do więzienia.

– Żeby teraz wrócili do swoich trzódek i od nowa zaczęli nauczać o rewo-

lucji? To się musi skończyć. Ilu z nich działało w Yzordderrex?

– Dziewięciu, w tym ojciec Athanasius.

– Athanasius? A kto to jest?

– Niebytowiec, który podaje się za Christosa. Nauczał w okolicach portu.

– I tam też zapewne wróci.

– To bardzo prawdopodobne.

– Prędzej czy później wszyscy wrócą do swoich wiernych. Będziemy na to przygotowani. Obejdzie się bez aresztowań i bez procesów, ale muszą zniknąć.

– Tak, panie.

– I nie chcę, żeby Quaisoir się o tym dowiedziała.

– Obawiam się, że już wie, panie.

– W takim razie należy dopilnować, by nie robiła nic na pokaz.

– Rozumiem.

– Dyskrecja przede wszystkim.

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie.

– Tak?

– Przed wybuchem buntu na wyspie przebywały jeszcze dwie osoby...

– Co z nimi?

– Trudno powiedzieć coś pewnego na podstawie raportu. Jedna z nich była chyba mistyferem, ale rysopis drugiej jest chyba jeszcze ciekawszy...

Rosengarten podał plik papierów autarsze, który przejrzał je najpierw po-
bieżnie, a potem z większym zainteresowaniem.

– Czy to pewne informacje? – zapytał.

– W tej chwili nie wiem. Rysopisy zostały potwierdzone, ale nie przesłu-
chiwałem tych ludzi osobiście.

– Zrób to.

– Tak, panie.

Autarcha oddał raport generałowi.

– Ilu ludzi to widziało?

– Gdy tylko przeczytałem raport, kazałem zniszczyć wszelkie kopie. Znają
go tylko oficerowie śledczy, ich dowódca i ja.

– Uciszcie wszystkich żołnierzy z garnizonu, którzy przeżyli bunt; zrób
sąd polowy, zamknij ich i wyrzuć klucz. Oficerom śledczym zapowiedz, że
jeżeli z dowolnego źródła pojawi się jakiś przeciek, będą za niego odpowie-
dzialni. Czeka ich kara śmierci.

– Tak, panie.

– Co zaś się tyczy mistyfa i tego drugiego człowieka, musimy założyć, że kierują się do Drugiego Dominium. Najpierw było Beatrix, teraz Kołyska... Z pewnością zmierzają do Yzordderrex. Kiedy doszło do buntu?

– Jedenaście dni temu, panie.

– Będą w Yzordderrex najdalej za parę dni, nawet jeśli idą pieszo. Namierzyć ich! Chcę się o nich jak najwięcej dowiedzieć. – Autarcha wyrzął przez okno, na rozciągające się za nim pustkowie Kwem. – Prawdopodobnie wybrali Postną Drogę i przechodzili niedaleko stąd – mruknął z nutą zdenerwowania w głosie. – Już drugi raz niewiele brakowało, żeby nasze ścieżki się przecięły. Teraz mamy wiarygodnych świadków. Co to oznacza, Rosengarten? Co to oznacza?

Kiedy Rosengarten nie wiedział, co odpowiedzieć – tak jak w tej chwili – po prostu milczał. Cecha godna pochwały, pomyślał autarcha.

– Ja też tego nie wiem – dodał. – Chyba pójdę na spacer. Czuję się dziś bardzo stary.

*

Dziura, z której wyrwano Oś, wciąż odcinała się od równiny, chociaż wichury niemal zatarły jej ślad. Autarcha zauważył, że kiedy stoi nad jej krawędzią, dobrze mu się myśli o rzeczach, których już nie ma. Teraz też próbował się na nich skupić. Twarz miał owiniętą jedwabnym szalem dla osłony przed porywistym wiatrem, długie futro starannie zapięte, ręce w rękawiczkach wcisnął głęboko w kieszenie. Nie mógł jednak osiągnąć spokoju, jaki zawsze ogarniał go przy takich medytacjach.

O braku i pustce rozmyślało się najlepiej, gdy całe bezgraniczne bogactwo świata znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Teraz było inaczej. Przypomniała mu się próżnia, której się obawiał, ale którą bał się też wypełnić; była niczym puste miejsce u boku bliźniaka, który stracił brata w łonie matki. Mógł budować dowolnie wysokie ściany w swojej fortecy, mógł na wszelkie sposoby odcinać się od świata, ale był ktoś, kto zawsze będzie miał do niego dostęp. Ta myśl przyprawiała go o szybsze bicie serca. Ten ktoś znał go równie dobrze jak on sam, jego słabe punkty, jego pragnienia i ambicje. Ich przeszłość – krwawa przeszłość – od dwóch stuleci pozostawała nie odkryta i nie pomszczona, ale zawsze wiedział, że ten stan rzeczy nie może trwać wiecz-

nie. I teraz wszystko miało się zakończyć. Już wkrótce.

Mimo że ziąb nie przenikał w głąb futrzanego kokonu, autarcha zadygotał. Długo żył jak człowiek, nad którym słońce zawsze stoi w zenicie i który nie rzuca cienia. Prorocy nie potrafili przewidzieć jego nadejścia, oskarżyciele nie umieli mu udowodnić żadnych zbrodni. Był nietykalny. Teraz się to zmieni. Kiedy spotka swój cień – a nie wątpił, że to nastąpi – na obu spadnie brzemie tysięcy prorocत्व i oskarżeń.

Odślonił twarz i wystawił ją na siekący bezlitośnie wiatr. Nie było sensu dłużej stać w tym miejscu. Wichura tylko posieka mu policzki, a przez ten czas Yzordderrex wymknie mu się z rąk. Niby niewielka strata, ale kto wie, czy za kilka godzin twarz nie okaże się jedynym skarbem, który uda mu się ocalić.

2

Gdyby boscy inżynierowie, którzy wzniesli szczyty Jokalaylau, ustawili najwyższą ze swych gór pomiędzy pustynią i oceanem, gdyby następnej nocy wrócili i co noc przez sto lat rzeźbili w jej przepaścistych zboczach – od podnóży aż po skryty w chmurach wierzchołek – skromne domostwa, cudowne place, ulice, fortyfikacje i pawilony, gdyby wreszcie rozpalili w sercu góry ogień, który nie płonąłby, lecz tlił się wiecznie, wówczas ich dzieło, wypełnione do granic możliwości wszelkimi wyobraźnymi formami życia, miałoby szansę wytrzymać porównanie z Yzordderrex. Ponieważ jednak taki twór nie istniał, miasto nie miało sobie równych w Imajice.

Pierwszy raz ukazało się podróżnym z grobli, która jak dobrze rzucony kamień przecinała skokami deltę Noy. Przybyli tu wczesnym rankiem, gdy unoszące się nad ujściem rzeki mgły, prześwietlone niepewnym blaskiem poranka, skrywały miasto. I nagle mgła się rozwiła. Prawie nie było widać nieba, morze i pustynia skurczyły się do mikroskopijnych rozmiarów. Yzordderrex stał się całym światem.

Zanim Postną Drogą dotarli z Trzeciego Dominium do Drugiego, Huzzah opowiedziała im wszystko, co wyczytała na temat miasta w książkach ojca. Jeden z autorów opisywał Yzordderrex jako boga. Gentle uznał pomysł za

idiotyczny, dopóki nie zobaczył miasta na własne oczy, a wtedy zrozumiał teologa, który postanowił deifikować tę olbrzymią termitierę. Yzordderrex warte było czci i miliony mieszkańców czciły je codziennie, tłocząc się zarówno na jego powierzchni, jak i we wnętrzu. Ich domy niczym miriady spanikowanych alpinistów tkwiły uczepione urwisk ponad portem i stały na spiętrzonych pod szczyt tarasach. Niektóre z tarasów zabudowano tak gęsto, że skrajne domostwa trzeba było podporać od zewnątrz; same podpory również obrosły gniazdami, w których musiały mieszkać albo istoty skrzydlate, albo samobójcy. Cała góra tętniła życiem; niebezpiecznie strome uliczki i schody prowadziły wzrok ku górze, skacząc z jednej przepełnionej półki na drugą. Były tam bezlistne bulwary obstawione kamiennymi domostwami, były bramy prowadzące do cienistych parków i wyżej, na szczyt miasta, gdzie stał pałac autarchy Imajiki. Tam z kolei panował nadmiar innego rodzaju: pałac miał więcej cudownie rzeźbionych iglic i kopuł niż Rzym na Ziemi, a nad wszystkim wznosiła się Wieża Osi, równie gładka i zwyczajna, jak jej towarzyszki ozdobne i niezwykle. Na niebie ponad miastem świeciła kometa, której Drugie Dominium zawdzięczało długie dni i niespieszne zmierzchy – gwiazda Yzordderrex, nazywana Giess, czyli Posucha.

Zaczęła się krzątania tych, którzy nie znaleźli mieszkania na grzbiecie ani w trzewiach miasta, a codziennie przybywali do Yzordderrex do pracy. Zanim wędrowcy dotarli do końca grobli, otoczył ich obłok kurzu i zgiełk samochodów, rowerów, rikszy i pieszych zmierzających w tym samym kierunku. Było ich troje pośród dziesiątków tysięcy: mała, chuda, szeroko uśmiechnięta dziewczynka; biały mężczyzna, kiedyś zapewne przystojny, teraz jednak wymizerowany i blady, ze skudloną brązową brodą; i mistyf z plemienia Eurhetemeców, którego oczy – jak zwykle u mistyfów – z trudem skrywały dręczący go smutek. Ludzka powódź niosła ich naprzód. Nie opierali się. Zmierzali tam, gdzie przed nimi zniknęły już nieprzeliczone tłumy: do brucha miasta-boga, do Yzordderrex.

ROZDZIAŁ 30

1

Po tragicznie zakończonym spotkaniu z Clarą Leash Judith nie była już gościem, lecz więźniem w domu Godolphina. Dowd zamknął ją w sypialni, którą zajmowała na początku. Zanim Oscar przyszedł się z nią zobaczyć, przez pół godziny naradzał się z Dowdem (słyszała, że rozmawiają, ale nie mogła rozróżnić słów). Z miejsca oznajmił jej, że nie zamierza dyskutować o tym, co się wydarzyło. Swoim zachowaniem mogła mu poważnie zaszkodzić – sobie zresztą też. Czy naprawdę o tym nie pomyślała? Teraz będzie potrzebował czasu, żeby rozważyć, jakie będą skutki jej zachowania.

– Ufałem ci – powiedział. – Żadnej kobiecie w życiu nie ufałem tak jak tobie. A ty mnie zdradziłaś. Dowd to przewidział. Wyszedłem na durnia. Zraniłaś mnie.

– Pozwól, że ci wyjaśnię...

Uciszył ją gestem.

– Nie chcę słuchać. Może za parę dni wrócimy do tej rozmowy, ale teraz nic nie mów.

Zostawił ją samą. Czy naprawdę wierzył, że darzy go tak płytkim uczuciem, iż nie pomyślała o konsekwencjach? Istniała jeszcze druga, gorsza możliwość – Dowd przekonał go, że uknuła wszystko od samego początku: uwiodła go i wymusiła wyznanie miłości, żeby go osłabić. Wydawało jej się to całkiem prawdopodobne, ale nie rozgrzeszało Oscara. Nie dał jej nawet szansy się wytłumaczyć.

Nie widziała go przez trzy dni. Dowd przynosił jej posiłki. Słyszała, jak Oscar przychodzi i wychodzi; czasem dobiegały ją strzępy rozmów. Miała wrażenie, że zorganizowana przez Tabula Rasa czystka osiągnęła punkt krytyczny. Niejeden raz przychodziło jej do głowy, że po tym, co chciały z Clarą Leash zrobić, stała się potencjalną ofiarą czystki i dzień po dniu Dowd coraz bardziej rozwiewa wątpliwości Oscara, że należy się jej pozbyć. Może popadała w paranoję, ale jeśli coś do niej czuł, dlaczego nawet nie zajrzał? Nie tęsknił tak jak ona? Nie chciał mieć jej przy sobie w łóżku – choćby po to, żeby było mu cieplej? Kilkakrotnie prosiła Dowda, by przekazał mu, że chciałyby się z nim zobaczyć, na co Dowd – zachowując się jak strażnik, który ma pod opieką setki więźniów – odpowiadał, że robi co w jego mocy, ale osobiście wątpi, żeby pan Godolphin chciał z nią rozmawiać. W każdym razie Oscar nie interesował się nią i zaczęła zdawać sobie sprawę, że jeżeli nie podejmie bardziej zdecydowanych działań, może już nigdy nie zobaczyć słońca.

Plan ucieczki miała prosty. Zatrzymanym po posiłku nożem wyłamała zamki w drzwiach sypialni – nie on ją zresztą powstrzymywał od swobodnego poruszania się po domu, lecz groźba Dowda, że poszczuje ją pajakami, które zabiły Clarę – i wymknęła się na schody. Celowo odczekała, aż Oscar wróci do domu, wierząc, być może naiwnie, że nawet jeśli jego uczucia ochłody nieco, obroni ją w razie potrzeby przed Dowdem. Ogromnie ją kusilo, żeby od razu go poszukać, ale pomyślała, że łatwiej będzie jej się z nim rozmawiało z dala od jego domu, kiedy znów poczuje się panią swego losu. Gdyby wówczas uznał, że nie chce mieć z nią nic wspólnego, jej obawy o rolę Dowda w całej sprawie się potwierdzą. Wtedy będzie musiała znaleźć inny sposób na dotarcie do Yzordderrex.

Z najwyższą ostrożnością zeszła po schodach. Słyszając głosy we frontowej części domu, postanowiła wyjść kuchennymi drzwiami. Światła – jak zwykle – paliły się wszędzie, kuchnia była pusta. Jude podeszła do zamkniętych na oba zamki drzwi. Przykucnęła i otworzyła dolny, a kiedy wstała, rozległ się głos Dowda:

– Tędy nie wyjdiesz.

Odwróciła się. Stał przy kuchennym stole z tacą brudnych naczyń po kolacji. Miał zajęte ręce, więc spróbowała go wyminąć. Rzuciła się biegiem do hallu. Był jednak szybszy, niż sądziła; błyskawicznie odstawił naczynia i złapał ją za ramię. Szarpnęła się i zrzuciła ze stołu kieliszek, który rozprysnął się dźwięcznie.

– Popatrz, co narobiłaś – powiedział Dowd z wyrzutem. Wyglądał, jakby naprawdę się zmartwił. – Ten kieliszek był w rodzinie od pokoleń. Myślałem, że czujesz z nim pewną więź.

Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o potłuczonych kieliszkach, ale musiała wdać się w rozmowę, żeby ściągnąć do kuchni Godolphina. Był jej jedyną nadzieją.

– A co mnie obchodzi jakiś cholerny kieliszek?

Dowd przykucnął i podniósł odłamek szkła do światła.

– Wiele was łączy, kochaniutka. Oboje nic o sobie nie wiecie, oboje jesteście piękni i delikatni. – Wstał. – Zawsze byłaś piękna. Mody się zmieniają, ale Judith jest śliczna jak zawsze.

– Nic o mnie nie wiesz, do diabła!

Dowd pozbiierał kawałki szkła i odłożył je na stół, obok brudnych naczyń i sztućców.

– Wprost przeciwnie. My też jesteśmy do siebie podobni, i to bardziej, niż ci się wydaje.

Zachował sobie jeden odłamek, który przyłożył do nadgarstka i ciał. Odwróciła wzrok, ale na dźwięk upuszczonego na podłogę szkła spojrzała na Dowda ponownie. Z rozwartej rany nie pociekła krew, lecz galaretowata, ohydna maź. Twarz Dowda nie wyrażała bólu, tylko zainteresowanie.

– Nie pamiętasz przeszłości – powiedział. – Ja pamiętam ją aż za dobrze. Ty masz w sobie żar, ja nie; ty kochasz, ja nigdy nie rozumiałem, co to jest miłość. Ale wcale tak bardzo się nie różnimy, Judith. Oboje jesteśmy niewolnikami.

Patrzyła mu w oczy, na ranę, w oczy, na ranę, znów w oczy – i z każdą chwilą narastał w niej strach. Nie chciała Dowda słuchać. Pogardzała nim. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak wyglądał przy stosie pogrzebowym pustkowców, a potem w cieniu wieżowca w Highgate, gdy pająki wypełzały mu z ust. A jednak wciąż go słuchała. Dawno porzuciła próby rozwiązania zagadki swojej osoby, teraz Dowd podsuwał jej strzępki, które musiała zbierać.

– Kim jesteś? – spytała.

– Ważniejsze jest, kim ty jesteś.

– Różnimy się, i to bardzo. Ja krwawię, ty nie; ja jestem człowiekiem, ty nie.

– Czy aby na pewno krwawisz swoją krwią? To pytanie powinnaś sobie

zadać.

– Płynię z moich żył! Oczywiście, że jest moja!

– Kim w takim razie jesteś?

Pytał niby bez złośliwości, ale była pewna, że to podstęp. Wiedział, że Jude nie pamięta swojej przeszłości, i próbował zmusić ją, żeby się do tego przyznała.

– Wiem, czym nie jestem – odparła, chcąc zyskać na czasie. – Nie jestem kieliszkiem i nie jestem delikatna. Poza tym wiem o sobie całkiem sporo. I nie...

Co tam jeszcze było poza urodą i delikatnością? Schylił się po stłuczone szkło i jakoś tak ją opisał...

– Co nie? – Dowd przyglądał się jej, jak zмага się z niechcianymi wspomnieniami.

Wróciła myślami do chwili, gdy wszedł do kuchni. „Popatrz, co narobiłaś”, powiedział i ukucnął (oczami wyobraźni znów widziała, jak to robi). Zaczął zbierać szkło z podłogi i wtedy to powiedział. Przypomniała sobie.

„Ten kieliszek był w rodzinie od pokoleń. Myślałem, że czujesz z nim pewną więź”.

– Nie – powiedziała zdecydowanie.

Pokręciła głową, broniąc się przed docierającym do niej sensem tych słów, ale obudziła tylko dalsze wspomnienia – wycieczka z Charliem do wiejskiej posiadłości; przyjemne uczucie, że zna ten dom; głosy, które wzywały ją słodkimi imionami z przeszłości; spotkanie z Oscarem na progu Azylu; natychmiastowa świadomość, że jej miejsce jest przy jego boku, bez cienia wątpliwości; portret nad łóżkiem, mężczyzna patrzący na nich tak władcym wzrokiem, że Oscar musiał zgasić światło, zanim mogli się kochać.

Te myśli stawały się coraz bardziej natarczywe. Potrząsała głową gwałtownie, jak w drgawkach. Łzy popłynęły jej z oczu. Wyciągnęła błagalnie ręce; nie miała siły inaczej poprosić o pomoc. Dowd stał obok stołu i trzymał się za zraniony przegub. Obserwował ją. Rozpływał się jej przed oczami. Odwróciła się od niego. Bała się, że upadnie, roztrzaska sobie głowę albo zadławi się własnym językiem; wiedziała, że nie przyszedłby jej z pomocą. Chciała zawołać Oscara, ale z jej ust dobył się tylko żałosny charkot. Potykając się, próbowała wyjść z kuchni. Kręciła głową jak szalona – i nagle dostrzegła w hallu Oscara. Szedł w jej stronę. Wyciągnęła do niego ramiona. Zdążył ją złapać za ręce, ale nie mógł wyciągnąć jej z otchłani, w którą się zapadała.

2

Kiedy się obudziła, siedział przy niej. Nie leżała w wąskim łóżku, na które była skazana przez ostatnie kilka nocy, lecz u Oscara w sypialni, na szerokim łóżu, o którym przyzwyczaiła się myśleć, że należy do niej i do niego. Nie miała, oczywiście, racji. Jego prawdziwym właścicielem był mężczyzna, którego portret podsuwała jej wyobraźnia podczas ataku drgawek. Obląkany lord Godolphin wisiał nad nią, a jego późniejsza odmiana siedziała obok, głaskała ją po ręce i powtarzała, że ją kocha. Gdy tylko oprzytomniała, odsunęła się od niego.

– Nie jestem... zwierzątkiem... – wykrztusiła z wysiłkiem. – Nie możesz mnie... głaskać... kiedy ci przyjdzie... ochota.

– Przepraszam cię za wszystko – powiedział wstrząśnięty. – Nie ma dla mnie wytłumaczenia. Bardziej zajmowałem się stowarzyszeniem niż opieką nad tobą. To niewybaczalne. W dodatku Dowd, który ciągle szeptał mi do ucha... Czy był bardzo okrutny?

– To ty byłeś okrutny.

– Niczego nie zrobiłem celowo. Uwierz mi, proszę.

– Okłamywałeś mnie. – Jude próbowała usiąść na łóżku. – Wiesz o mnie rzeczy, o których ja sama nie mam pojęcia. Dlaczego nie podzieliłeś się ze mną tą wiedzą? Nie jestem dzieckiem!

– Właśnie miałaś atak – odparł Oscar. – Zdarzało ci się to już kiedyś?

– Nie.

– Sama widzisz. Są sprawy, w które nie należy wnikać.

– Za późno. Przeżyłam ten atak i jestem gotowa poznać swoją tajemnicę. – Spojrzała w górę, na portret Joshuy. – To się jakoś z nim łączy, prawda? On ma nad tobą władzę.

– Nie nade mną...

– Kłamiesz! Kłamiesz! – Odrzuciła pościel i uklękła na łóżku, żeby znaleźć się twarzą w twarz z oszustem. – Dlaczego najpierw mówisz, że mnie kochasz, a zaraz potem zaczynasz kłamać? Dlaczego mi nie ufasz?!

– Nikomu nie powiedziałem aż tyle, co tobie. Przekonałem się jednak, że

spiskowałaś przeciw stowarzyszeniu.

– Nie tylko spiskowałam – odparła, mając na myśli swoją wizytę w podziemiach wieżowca.

Znów miała ochotę powiedzieć mu o wszystkim, co widziała, ale powstrzymały ją słowa Clary: „Nie możesz jednocześnie ocalić Celestine i żyć z nim w zgodzie. Zamierzasz właśnie podkopać fundamenty jego rodziny i wiary”. Miała rację; teraz Jude doskonale to rozumiała. Mogła mu wszystko powiedzieć – z przyjemnością pozbyłaby się brzemienia – ale nie miała pewności, czy on nie użyje swojej wiedzy przeciwko niej. Na co zdałyby się wówczas cierpienie Celestine i śmierć Clary? Pozostała ich jedyną przedstawicielką w świecie żywych. Nie miała prawa szafować ich poświęceniem.

– A co jeszcze zrobiłaś? Co zrobiłaś?!

– Ty nie byłeś ze mną szczery. Dlaczego miałabym ci teraz coś powiedzieć?

– Bo nadal mogę cię zabrać do Yzordderrex.

– Co to ma być, próba przekupstwa?

– Nie chcesz już tam jechać?

– Chcę poznać prawdę na swój temat.

Oscar posmutniał lekko.

– Ech... – westchnął. – Tak długo kłamię, że nie wiem, czy rozpoznałbym prawdę, gdyby spadła mi na głowę. Poza...

– Tak?

– Poza tym, co do siebie czujemy. A przynajmniej co ja do ciebie czuję... To chyba jest prawdziwe, co?

– Ale niewiele znaczy. Zamknąłeś mnie, kazałeś Dowdowi trzymać mnie pod kluczem...

– Już ci wyjaśniłem...

– Tak, wiem, miałeś inne sprawy na głowie, więc o mnie zapomniałeś.

– Nie zapomniałem. Ani na moment. Przysięgam!

– No to co się stało?

– Bałem się.

– Mnie?

– Wszystkich. Ciebie, Dowda, stowarzyszenia. Wszędzie widziałem spiski. Nagle wydało mi się, że dzielenie z tobą łóżka to zbyt wielkie ryzyko. Obawiałem się, że mnie udusisz albo...

– To idiotyczne.

– Czyżby? Skąd mam wiedzieć, do kogo należysz?

– Do samej siebie.

Oscar pokręcił głową i spojrzał na portret Joshuy.

– Skąd ta pewność? Skąd wiesz, że to, co do mnie czujesz, płynie z serca?

– A jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że cię kocham. Spójrz na mnie!

Oscar nie odrywał wzroku od obrazu.

– On nie żyje – przypomniała mu Jude.

– Ale jego dziedzictwo...

– W dupie mam jego dziedzictwo! – Zerwała się na nogi, złapała za ciężkie, złocone ramy i szarpnęła z całej siły.

Oscar próbował zaprotestować, ale była szybsza. Ściągnęła obraz z haków i cisnęła nim przez pokój. Usiadła na łóżku.

– On nie żyje – powtórzyła. – Nie ma go. Nie może nas osądzać, nie może mieć nad nami władzy. To, co nas łączy, a nie będę udawać, że wiem, co to jest, jest tylko nasze! – Poglaskała go po brodzie. – Przestań się bać. Przytul mnie.

Objął ją posłusznie.

– Zabierzesz mnie do Yzordderrex, Oscarze. Nie za tydzień, nie za kilka dni, lecz jutro. Chcę tam jutro pojechać. A jeśli nie... – Opuściła ręce. – Jeśli nie, to wypuść mnie od razu. Chcę stąd wyjść. Zniknąć z twojego życia. Nie zamierzam być twoim więźniem, Oscarze. Może jego kochanki jakoś to znosiły, ale ja jestem inna. Prędzej popełnię samobójstwo, niż pozwolę ci się znowu zamknąć.

Mówiąc to, nie płakała; proste uczucia wyraziła w prostych słowach. Oscar wziął ją za ręce i przytknął do swoich policzków, jak gdyby zachęcał ją, by zagarnęła go na własność. Nie zwróciła wcześniej uwagi na setki drobniutkich zmarszczek na jego twarzy. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Dobrze – odparł.

3

Kiedy następnego dnia wyjeżdżali z Londynu, padał ciepły deszcz, zanim

jednak znaleźli się na wsi, zza chmur wyjrzało słońce i cały park lśnił w jego promieniach. Nie zaglądając po drodze do domu, skierowali się wprost do zagajnika, w którym stał Azyl. Lekki wiatr poruszał migoczącymi w słońcu liśćmi. Wszędzie unosił się zapach nowego życia. Burzył Jude krew w oczekiwaniu na bliską podróż.

Oscar doradził jej, by ubrała się wygodnie i ciepło, bo w Yzordderrex zdarzały się gwałtowne skoki temperatury. Kiedy wiatr wiał z pustyni, na ulicach człowiek piekł się żywcem, jeśli zaś wiatr się odwrócił, niósł znad oceanu przenikający do szpiku kości chłód i mgłę. Nie zraziła się tym, naturalnie, i była gotowa na spotkanie z przygodą życia.

– Wiem, że dużo ci już nagadałem o niebezpieczeństwach Yzordderrex – mówił Oscar, gdy szli przez zagajnik, uchylając się przed gałęziami. – Masz tego pewnie po dziurki w nosie, ale pamiętaj, to nie jest cywilizowane miasto. Peccable jest chyba jedynym człowiekiem, któremu tam ufam. Gdybyśmy się rozdzielili albo coś mi się stało, możesz na niego liczyć.

– Rozumiem.

Oscar przystanął, podziwiając, jak precedzone przez listowie promienie słońca padają na blade ściany i kopułę Azylu.

– Wiesz, że dawniej przychodziłem tu tylko nocą? Wydawało mi się, że to święte chwile, kiedy magia jest najsilniejsza. To nieprawda. Lubię księżyc o północy, ale tutaj i w południe zdarzają się cuda, i są równie niezwykłe. – Spojrzał między drzewa. – Czasem trzeba opuścić świat, żeby świat zobaczyć. Kilka lat temu wybrałem się do Yzordderrex i zostałem tam... Sam nie wiem, dwa, może dwa i pół miesiąca; kiedy wróciłem, patrzyłem na Piąte Dominium jak dziecko. Słowo daję, jak dziecko. Nie zobaczymy po drodze innych dominiów. Jeżeli uda nam się bezpiecznie wrócić...

– Uda się.

– Skąd ta wiara? Jeżeli się nam uda, wszystko się zmieni, bo my się zmienimy.

– Niech tak będzie.

Jude wzięła go za rękę i razem zaczęli iść w stronę Azylu. Czuła jednak jakiś dziwny niepokój. Nie chodziło o jego słowa – ostrzeżenia przed zmianami zabrzmiały ekscytująco – ale o ciszę, która nagle wydała się jej niezwykle głęboka.

– Co się stało? – spytał Oscar, gdy mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Ta cisza...

– Tu zawsze panuje dziwna atmosfera. Nieraz miałem takie wrażenie. No, zginęło tu wielu wspaniałych ludzi.

– Przy próbie Pojednania, tak?

– Słyszałaś o niej?

– Od Clary. Mówiła, że latem tego roku minie dwieście lat. Może duchy wracają, żeby zobaczyć, czy ktoś nowy nie próbuje zrobić tego znowu.

Zatrzymał się i pociągnął ją za rękę.

– Proszę cię, nie mów tak. Nawet w żartach. Do Pojednania nie dojdzie ani w tym roku, ani później. Maestrowie nie żyją. Wszystko to...

– Dobrze, uspokoń się. Nie wrócę do tego tematu.

– Po letnim przesileniu nie będzie to miało żadnego znaczenia – dodał Oscar z udawaną obojętnością. – W każdym razie przez najbliższe kilka stuleci. Umrę i zostanę pochowany na długo przedtem, nim zamieszanie rozpocznie się na nowo. Mam swój kawałek ziemi, wiesz? Peccable pomógł mi go wybrać. Znajduje się na skraju pustyni. Jest stamtąd świetny widok na Yzordderrex.

Jego nerwowa gadanina dziwnie głośno brzmiała w głuchej ciszy. Wreszcie stanęli przed drzwiami Azylu. Wtedy Oscar umilkł, co Jude przyjęła z zadowoleniem. Takie miejsce wymagało większego szacunku. Z łatwością mogła sobie wyobrazić gromadzące się w pobliżu duchy – zmarli sprzed lat łączyli się z tymi, których ostatni raz widziała tu żywych. Na przykład Charlie: zapraszał ją do środka, tłumaczył z uśmiechem, że Azyl nie ma w sobie nic niezwykłego, ot, kupa kamieni. A potem pustkowce: jeden spalony, drugi obdarty ze skóry. Oba czekały na progu.

– Jeżeli nie ma przeszkód, przejdźmy do rzeczy – zaproponował Oscar.

Weszli i stanęli na środku mozaiki.

– Musimy trzymać się razem, kiedy ta chwila nadejdzie – ciągnął. – Nawet gdyby ci się wydawało, że nie masz się czego chwycić, będzie to tylko złudzenie. Nie chciałbym cię zgubić po drodze. In Ovo nie jest najlepszym miejscem do włączeni.

– Nie zgubisz mnie – zapewniła go Jude.

Przykucnął i wygrzebał z mozaiki kilkanaście kamieni o kształcie piramidki i wielkości dwu złożonych pięści. Dopóki tkwiły na swoich miejscach, były praktycznie niewidoczne.

– Nie do końca rozumiem działanie mechanizmu, który nas przeniesie – tłumaczył, grzebiąc w posadzce. – Nie wiem, czy w ogóle ktoś go rozumie.

Peccable w każdym razie twierdzi, że istnieje pewien wspólny język, na który można przełożyć każdego z nas. Działanie magii opiera się na tym właśnie przekładzie. – Mówiąc to, układał kamienie na krawędzi okręgu w pozornie przypadkowy wzór. – Kiedy duch i materia zostaną wyrażone w tym samym języku, jedno może na różne sposoby oddziaływać na drugie. Ciało i krew można przekształcić, odrzucić...

– Albo przenieść w inne miejsce?

– Właśnie.

Jude przypomniała sobie, jak wygląda pierwszy moment podróży. Ciało zwija się i składa, zdeformowane nie do rozpoznania...

– Czy to boli? – zapytała.

– Przez chwilę tak, ale nie bardzo.

– Kiedy się zacznie?

Oscar wstał z klęczek.

– Już się zaczęło – odparł.

W tej samej chwili poczuła ucisk w żołądku i w pęcherzu, zaparło jej dech w piersi.

– Oddychaj powoli – powiedział Oscar, kładąc jej dłoń na mostku. – Nie walcz z tym. Poddaj się. Nic złego ci się nie stanie.

Spojrzała na jego dłoń, przeniosła wzrok na otaczający ich krąg i kilka kroków dalej, gdzie za otwartymi drzwiami widniała rozświetlona słońcem trawa. Nie mogła już tam wrócić. Pociąg, do którego zgodziła się wsiąść, nabierał szybkości. Za późno na wątpliwości i wahanie. Znalazła się w pułapce.

– Wszystko jest w porządku – próbował uspokoić ją Oscar, ale wcale nie czuła się dobrze.

Żołądek bolał ją wściekle, jakby została otruta; głowa pękała z bólu; skóra świerzbiała tak mocno, że żadne drapanie by nie pomogło. Jeśli Oscar czuł się podobnie, to mężnie znosił ból. Uśmiechał się jak anestezjolog.

– Już niedługo – mówił. – Wytrzymaj. Już niedługo...

Przyciągnął ją do siebie. W całym ciele poczuła mrowienie, jakby zaczynał w niej padać deszcz, który zmywa osad bólu.

– Lepiej?

Odebrała to słowo bardziej jako kształt niż dźwięk.

– Tak – odparła i pocałowała go z uśmiechem. Przymknęła z rozkoszą oczy, gdy ich języki się spotkały.

Ciemność pod powiekami rozjaśniły nagle świetliste linie, przecinające

mrok niczym meteoryty. Otworzyła oczy. Światła wypłynęły jej z czaszki, malując blaskiem twarz Oscara. Tuzin jaskrawych barw podkreślał zmarszczki i bruzdy na jego skórze; tuzin innych wyławiał z ciemności fakturę leżących pod nią kości; tuzin kolejnych odsłaniał ze szczegółami siateczkę nerwów i żył. A potem trzy warstwy mapy ciała uległy gwałtownemu uproszczeniu, zupełnie jakby umysł, który je interpretował, dokonał dosłownego przekładu i mógł wznieść się na wyższy poziom, w sferę poezji. Odpadły zbędne powtórzenia, pojawiły się kształty tak piękne i ponadczasowe, że materia, którą odzwierciedlały, mdła i nieciekawa w porównaniu z nimi, zniknęła. Jude przypomniała sobie rysunek, który pojawił się w jej umyśle, gdy pierwszy raz kochali się z Oscarem: spirala i krzywa rozkoszy odbijały się w aksamitnym mroku w głębi czaszki. Tutaj ten proces się powtarzał, z tą różnicą, że ich obrazy kreślił sam krąg, w którym stali, wzmocniony siłą kamieni i wolą podróżników.

Jakiś ruch przy drzwiach na ułamek sekundy przyciągnął jej uwagę. Ota- czające ich powietrze było gotowe zatrzeć iluzję rzeczywistości i wszystko rozmazywało się jej przed oczami, ale rozpoznała kolor garnituru stojącego na progu mężczyzny. Kto, jeśli nie Dowd, ubierał się w tak absurdalne odcie- nie moreli? Chciała wypowiedzieć na głos jego imię. Nie słyszała, żeby jakiś dźwięk wydobył się z jej gardła, ale Oscar wyczuł jej lęk i odwrócił się ku drzwiom.

Dowd szybkim krokiem zmierzał w stronę kręgu. Nie było cienia wątpli- wości co do jego zamiarów. Chciał zabrać się z nimi na wycieczkę do Dru- giego Dominium. Jude widziała ponure skutki podobnej ingerencji – tutaj, w tym właśnie miejscu – i złapała mocniej Oscara za rękę, szykując się na wstrząs.

Oscar, zamiast zaufać mocy kręgu, który mógłby sam odrzucić intruza, odwrócił się od niej i zamierzył na Dowda. Wir energii w kręgu dziesięcio- krotnie wzmocnił cios. Rysunek ciała Oscara zmienił się w nieczytelny boho- maz, kolory pociemniały w mgnieniu oka. Wrócił ból; krew pociekła Jude z nosa i spływała do otwartych do krzyku ust. Skóra swędziała ją potwornie. Podrapałaby się do krwi, gdyby nie rwanie w kościach, które nie pozwalało jej się ruszyć.

Z majaczącej przed oczami plamy nie mogła wyłowić żadnego kształtu, dopóki nie mignęła jej rozmazana twarz Oscara. Krzyczał coś, przewracając się na ziemię. W każdej chwili mógł wypaść z kręgu. Mimo rozdzierającego

bólu wyciągnęła do niego ramiona; nie obchodziło jej, czy trafią do Yzorderrex, czy zginą, wiedziała tylko, że muszą być razem. Złapał ją za ręce i wciągnął się z powrotem do pędzącego ekspresu. Kiedy z rozmazanej plamy wyłoniła się twarz, Jude zrozumiała swój błąd.

Wciągnęła do siebie Dowda.

Puściła go natychmiast, bardziej z odrazy niż ze złości. Był potwornie zdeformowany, krew płynęła mu z uszu, oczu i nosa. Moc odpowiedzialna za przeniesienie natychmiast zaczęła przekładać go na język podróży między dominiami. Jude nie mogła przerwać tego procesu, a wyjście z kręgu równałoby się w tej chwili samobójstwu. Wnętrze Azylu ciemniało i rozpływało się coraz szybciej, ale mignęła jej jeszcze sylwetka Oscara, który podnosił się właśnie z ziemi. Dziękowała wszystkim możliwym bóstwom opiekuńczym, że przynajmniej ocaliły mu życie. Wstał i zbliżył się do kręgu, jakby chciał ponownie zanurzyć się w jego wir. Cofnął się jednak i zasłonił twarz rękoma; musiał uznać, że ekspres mknie już zbyt szybko. Sekundę później zniknął Jude z oczu. Słońce igrające na progu przetrwało jedno mgnienie oka dłużej, ale i ono rozplynęło się w nicość.

Teraz widziała jedynie macierz linii odzwierciedlających postać Dowda. Mogła go serdecznie nie znosić, ale z braku lepszego punktu odniesienia wpatrywała się w jego obraz. Poza tym wszelkie wrażenia zmysłowe ustały; nie wiedziała, czy unosi się w powietrzu, czy spada, nie była nawet pewna, czy oddycha – chociaż podejrzewała, że żaden z tych opisów nie odpowiada prawdzie. Stała się czystym symbolem zakodowanym do podróży między dominiami. Lśniący obraz Dowda rysował się nie przed jej oczami, lecz bezpośrednio w umyśle, który pozostał jedyną ważną walutą na tej drodze. Nagle, jakby jej zdolność pojmowania poszerzała się gwałtownie, zaczęła rozróżniać szczegóły w otaczającej ją pustce. Oscar nazywał ją In Ovo. Ciemność In Ovo wypełniały miliony kształtów. Rozciągały się, stawały coraz cieńsze, aż rozpękały się na części. Wypływała z nich kleista maź, która sama pęczniała i pękała niczym owoc, który wyrósł z pestki posianej we wnętrzu innego owocu i karmił się jego gnijącą tkanką, a potem sam wysypywał nasiona. Ten widok napawał ją obrzydzeniem, ale nie był wcale najgorszy. Dalej pojawiły się inne istoty, przywodzące na myśl resztki z uczt kanibali, przeżute i pozbawione krwi; kretyńskie maskary, które nie zniosłyby przekładu na żadną materialną postać. Mimo że prymitywne, wyczuły obecność doskonałych, skończonych form życia i wyciągały się w ich stronę jak potępieńcy na wi-

dok aniołów. Spóźniły się jednak, przybysze mknęli dalej, a ciemność zasklepiła się i odpływała w dal.

Wewnątrz świetlistego rysunku Jude widziała sylwetkę Dowda, wciąż jeszcze bezcielesną, ale z każdą chwilą coraz bardziej materialną. Znów wrócił ból, chociaż nie dokuczał jej już tak jak na początku podróży. Nawet sprawiał radość, gdyż dowodził, że jej nerwy działają bez zarzutu. Zapewne oznaczał też, że podróż zbliża się do końca. Potwory z In Ovo prawie całkiem zniknęły, gdy poczuła na twarzy muśnięcie ciepłego powietrza. Ale dopiero niesiony łagodnym wiatrem zapach upewnił ją w przekonaniu, że Yzordderex jest blisko – mieszanina słodczy i kwasku, którą pierwszy raz wyczuła kilka miesięcy wcześniej, w podmuchu bijącym z wnętrza Azylu.

Dowd wykrzywił twarz w uśmiechu, od którego popękała zakrzepła na niej krew. W chwilę później wybuchnął śmiechem, który odbił się echem od materializujących się wokół nich ścian piwnicy Peccable'a. Jude nie miała ochoty uczestniczyć w jego radości, ale nie mogła się opanować. Ulga, że przeżyła podróż, i czysta rozkosz, że wreszcie znalazła się w wymarzonym mieście, kazały i jej się roześmiać. Wciągnęła do płuc powietrze Drugiego Dominium.

ROZDZIAŁ 31

1

Osiem kilometrów w górę zbocza od domu, gdzie Jude i Dowd chłonęli pierwsze hausty powietrza Yzordderrex, autarcha Pojednanych Dominiów siedział w jednej z wież strażniczych i obserwował miasto, które za jego sprawą rozkwitło ponad miarę. Trzy dni wcześniej wrócił z pałacu w Kwem. Przez ten czas niemal co godzinę ktoś – najczęściej Rosengarten – przynosił mu wieści o nowych niepokojach społecznych. Do jednych dochodziło tak daleko od centrum Imajiki, że wiadomości pochodziły sprzed kilku tygodni; inne, bardziej niepokojące, wybuchały niemal tuż za murami pałacu. Pogrążony w zadumie, żuł kreauchee, narkotyk, od którego uzależnił się dobre siedemdziesiąt lat temu. Jego efekty uboczne były bardzo groźne i zupełnie nieprzewidywalne dla osób nieprzyzwyczajonych; okresy letargicznego spokoju przeplatały się z halucynacjami i gorączką seksualną. Niektórym ludziom palce rąk i nóg puchły do ogromnych rozmiarów. Autarcha, od dawna obcu-jący z kreauchee, nie odczuwał żadnego ujemnego wpływu; mógł się cieszyć ożywym oddziaływaniem narkotyku, nie bojąc się przykrych skutków.

Tak przynajmniej było do niedawna. Ostatnio narkotyk coraz rzadziej przynosił mu ulgę, jakby działał w zмовie z siłami, które dążyły do zniszczenia urzeczywistnionego snu autarchy – rozciągającego się w dole miasta. Medytując w Kwem, w miejscu, z którego kazał zabrać Oś, zażyczył sobie świeżej dostawy do pałacu. Po powrocie do Yzordderrex przekonał się jednak, że jego dostawcy z kesparatu Żuźłowisko zostali zamordowani. Ich za-

bójcy należeli ponoć do niebytowców, renegackiego zakonu czcicieli Madonny. Od lat stanowili zarzewie rewolucji, ale dotychczas stwarzali tak nikłe zagrożenie, że pozwalał im istnieć ze względu na ich walory rozrywkowe. Pamflety niebytowców – pomieszanie fantazji na temat kastracji i kiepskiej teologii – śmieszyły go do łez. Kiedy ich przywódca Athanasius trafił do więzienia, wielu odeszło na pustynię, by kontynuować swoje praktyki na tak zwanym Wybielu przy granicy Pierwszego Dominium, gdzie twarda rzeczywistość Drugiego rozpływała się i bladła. Athanasius uciekł jednak z miejsca odosobnienia i po powrocie do Yzordderrex wezwał wiernych, by sięgnęli po broń. Wyglądało na to, że zaczął od zlikwidowania handlarzy kreauchee – niby nic wielkiego, ale dobrze wiedział, jak dotkliwy zadaje cios. Bez wątpienia przedstawił go jako akt uzdrowicielski, którego dokonał na chwałę Madonny.

Autarcha wypluł grudę narkotyku i zszedł z wieży. Zagłębił się w rozległy labirynt pałacowy, kierując się ku komnatom Quaisoir; po cichu liczył na to, że uda mu się zwędzić coś z jej zapasów. Po lewej i prawej stronie otwierały się korytarze tak rozległe i długie, że ludzki głos ginął w nich bez echa. Z każdego wchodziło się do kilkunastu pokoi – pięknie urządzonych i zupełnie pustych, a czasem tak wysokich, że pod sufitem zbierały się rzadkie chmury. Kiedyś pałac służył we wszystkich dominiach ze swej niewiarygodnej architektury, obecnie jednak wyglądał na kpinę z ogromu ambicji i osiągnięć autarchy. Zamiast tracić energię na budowę tego cudu, powinien był baczej śledzić rozchodzące się po Imajice drgania wywołane powstaniem imperium. Analitycy twierdzili, że obecne kłopoty nie są bynajmniej następstwem ostatnich pogromów, lecz konsekwencją znacznie mniej gwałtownych zmian w strukturze dominiów. Jedną z nich – prawdopodobnie najbardziej znaczącą – było nagłe podniesienie rangi Yzordderrex i innych wielkich miast. Wszystkie oczy zwróciły się ku ich jarmarcznej chwale. Plemiona i społeczności, które dawno przestały wierzyć w duchy skał i drzew, przyjmowały nowy panteon. Setki tysięcy wieśniaków porzucały jałową ziemię ojców, by upomnieć się o cząstkę tej cudowności, a kończyli w zabitych dechami dziurach w rodzaju Vanaeph, hołubiąc swą rozpacz i zazdrość. Zdaniem analityków było to jedno ze źródeł rewolucyjnych nastrojów – rodziły się nie z ideologii, lecz z frustracji i gniewu. Inny problem polegał na tym, że niektórzy uznali, iż na anarchii można nieźle zarobić. Pojawiła się na przykład grupa nomadów – bezlitosnych bandytów, dumnych ze swojej złej reputacji – którzy zajmo-

wali fragmenty Postnej Drogi i pobierali myto. Byli wreszcie nowobogacy, członkowie dynastii, które urosły w siłę dzięki gwałtownemu rozwojowi konsumpcji, gdy Yzordderrex rozkwitło. Początkowo często i chętnie uciekali się pod opiekuńcze skrzydła reżimu, chroniąc się przed zaborczą biedotą. Kiedy jednak okazało się, że nie mogą liczyć na pomoc zajętego budową pałacu autarchy, zaczęli tworzyć prywatne armie, które strzegły ich rezydencji. Zaklinali się na wszystkie świętości, że są wierni imperium, co nie przeszkadzało im knuć, a teraz te knowania zaczynały przynosić owoce. Pod osłoną gotowych na wszystko wojsk baronowie ogłaszali niezależność od Yzordderrex i służb podatkowych autarchy.

Analitycy utrzymywali, iż nie ma żadnych dowodów na to, że baronowie ze sobą współpracują. Nic dziwnego – byli wśród nich neofeudaliści, neokomuniści i neoanarchiści, których nic nie mogło łączyć. Czysty przypadek zdecydował o tym, że w jednym okresie pomyśleli o buncie. A jeśli nie przypadek, to z pewnością niekorzystny układ gwiazd.

Autarcha słuchał tych argumentów jednym uchem. Na początku rządów polityka sprawiała mu pewną (niewielką, ale zawsze) przyjemność, z czasem jednak coraz mniej go interesowała. Nie czuł do niej powołania, szybko się nudził intrygami. Wyznaczył tetrarchów, którzy władali czterema Połączonymi Dominiami – w pierwszym tetrarcha rządził, naturalnie, *in absentia* – a sam mógł spokojnie zająć się przekształceniem Yzordderrex w miasto, które nie miałoby sobie równych, zwieńczone wspaniałą koroną pałacu. W rzeczywistości wybudował pomnik ku czci swoich bezcelowych wysiłków i ilekroć znajdował się pod wpływem kreauchee, klął go w żywy kamień niczym najgorszego wroga.

Któregoś dnia, kiedy narkotyk wyjątkowo dał mu się we znaki, kazał po-wybijać wszystkie szyby w oknach wychodzących na pustynię, a na wykładanej mozaiką posadzce rozłożyć tony nadpsutego mięsa. Nie minął dzień, gdy padlinożerne ptaki porzuciły szybowanie nad piaskami i zleciały się na ucztę na stołach i łóżach władców dominiów. Przy innej okazji polecił nazwozić z delty Noy ryb i wpuścić je do pałacowej łaźni. Dobrze karmione i pływające się w ciepłej wodzie, mnożyły się tak szybko, że po paru tygodniach mogłyby suchą stopą spacerować po ich grzbietach. Kiedy ryb naprawdę zrobiło się za dużo, godzinami obserwował skutki tego faktu: ojcobójstwo, bratobójstwo i dzieciobójstwo. Najokrutniejsza zemsta, jaką wywarł na swym dziele, miała zarazem najbardziej osobisty charakter. W wysokich komnatach, gdzie pod

sufitem szybowały chmury, po kolei wystawiał sztuki, w których aktorzy niczego nie udawali – nawet śmierć była prawdziwa. Po zakończeniu ostatniego aktu komnatę zamurowywano szczelnie jak królewski grób, autarcha zaś przenosił się do następnej. Wspaniały pałac w Yzorderrex z wolna zmieniał się w olbrzymie mauzoleum.

Pokoje, do których w tej chwili się kierował, zostały z tego procesu wyłączone. Sypialnie, łazienki, salony i kaplica Quaisoir stanowiły praktycznie odrębne państwo, którego suwerenności dawno temu obiecał nie naruszać. Wyposażyła swoje apartamenty we wszelkie możliwe luksusy i ozdobiła je zgodnie ze swym eklektycznym gustem. Przed obecnym okresem melancholii podzielał jej smak. Pokoje, w których obecnie gnieździły się drapieżne ptaki, wypełnił znakomitymi kopiami barokowych i rokokowych mebli; kazał wyłożyć ściany lustrami jak w Wersalu i pozłocić muszle w toaletach. Z czasem stracił jednak zapach do takich ekstrawagancji i widok pokoi Quaisoir przyprawiał go o mdłości. Gdyby nie nagła potrzeba, która go do nich przywiodła, uciekłby czym prędzej, przytłoczony przepychem.

Zawołał żonę po imieniu. Szedł przez salony, w których walały się resztki wielu ostatnich posiłków, trafił do prywatnej bawialni Quaisoir – jeszcze bardziej ozdobnej od salonów, lecz równie pustej – wreszcie znalazł się w sypialni. W progu powitał go tupot bosych stóp na marmurowej posadzce. Zobaczył Concupiscentię, pokojówkę. Była jak zwykle naga, z grzbietu wystawała jej mrowie wielobarwnych macek, zwinnych jak małpie ogony, ręce zaś miała słabe, zdeformowane i pozbawione kości. Z zielonych oczu nieustannie płynęły jej łzy, które ocierała jednym z dwóch pierzastych wachlarzy wystających po obu stronach twarzy.

– Gdzie Quaisoir? – spytał autarcha.

Zasłoniła się kokieteryjnie wachlarzem i zachichotała jak gejsza. Kiedyś po większej porcji kreauchee przespał się z nią i od tej pory nie przepuściła żadnej okazji, żeby z nim poflirtować.

– Nie teraz, na miłość boską! – warknął zde gustowany. – Chcę rozmawiać z żoną! Gdzie ona jest?

Concupiscentia pokręciła głową i odskoczyła przed jego pięścią. Odepchnął ją na bok i wszedł do sypialni. Jeżeli Quaisoir gdzieś trzymała choćby odrobinę kreauchee, to najprawdopodobniej właśnie tutaj, w buduarze, gdzie wylegiwała się całymi dniami, słuchając hymnów i kołysanek Concupiscentii. W komnacie pachniało jak w portowym burdelu – łóżko otulały muślino-

we zasłony, pomiędzy którymi zalegały mdłe wonie kilkunastu perfum.

– Chcę kreauchee! – powiedział. – Gdzie je znajdę?

Tym razem Concupiscentia nie tylko pokręciła głową, ale w dodatku jęknęła żałośnie.

– Gdzie?! – krzyknął. – Gdzie?!

Niedobrze mu się robiło od słodkich zapachów. Rozwścieczony, zaczął szarpać jedwabie i koronki. Służąca nie reagowała jednak, dopóki nie złapał leżącej na poduszkach Biblii i nie zagroził, że powyrywa z niej kartki.

– Nie, panie! Prosi! Ona bije, jak pan drze książka! Quaisoir bardzo lubi książka.

Rzadko zdarzało mu się słyszeć głos, uproszczony, zdeformowany angielski używany na wyspach. Wściekł się jeszcze bardziej. Wydarł parę kartek z Biblii, tylko po to, żeby pokojówka zaczęła krzyczeć. Nie zawiódł się.

– Chcę kreauchee! – powtórzył.

– Ma! Ma!

Zaprowadziła go do sąsiadującej z sypialnią olbrzymiej garderoby i zaczęła przeszukiwać stojące na toalecie złożone szkatułki. Jak skarcone dziecko uśmiechnęła się nieśmiało do odbicia autarchy w lustrze. Z najmniejszego pudełka wyjęła małą paczuszkę, którą wyrwał jej z ręki. Po zapachu, który uderzył go w nozdrza, poznał, że towar jest pierwszej jakości. Bez zastanowienia wepchnął sobie całą grudkę do ust.

– Dobra dziewczynka – pochwalił Concupiscentię. – Dobra dziewczynka. Wiesz, skąd pani to wzięła?

Concupiscentia pokręciła głową.

– Sama chodzi do kesarat, mnóstwo noc. Czasem przebiera się żebraczka, czasem...

– Za dziwkę.

– Nie, nie, Quaisoir nie dziwka.

– Czy dlatego jej nie ma? Kurwi się gdzieś na mieście? Chyba trochę za wcześnie... A może po południu jest tańsza?

Kreauchee było świetne. Błyskawicznie szło do głowy i melancholia ustępowała miejsca euforii. Mimo że od czterech dziesięcioleci nie sypiał z Quaisoir (i nie miał ochoty tego robić), świadomość jej niewierności potrafiła go czasem zasmucić. Na szczęście narkotyk tłumił ból. Mogła sypiać z pięćdziesięcioma facetami dziennie i nie oddalała się od niego nawet na krok. To, czy czuli do siebie pogardę, czy targała nimi namiętność, nie miało znaczenia.

Historia sprawiła, że stali się nierozłączni i dopiero apokalipsa mogła ich rozdzielić.

– Nie kurwi – zapiszczała Concupiscentia, zdecydowana bronić honoru pani. – Idzie Żużłowisko.

– Do Żużłowiska? Po co?

– Egzekucje – odparła Concupiscentia, idealnie wymawiając trudne słowo, przyswojone bezpośrednio od Quaisoir.

– Egzekucje? – powtórzył autarcha. Delikatny niepokój zmącił wywołaną kreauchee błogość. – Jakie egzekucje?

Concupiscentia pokręciła głową.

– Nie wie. Egzekucje. Dużo. Modli się.

– Z pewnością.

– My wszyscy modli się za dusze. One idzie czyste do Niewidziany...

Dalej nastąpiło jeszcze kilka wyuczonych po papuziemu zwrotów – chrześcijański bełkot był równie obrzydliwy jak wystrój tych wnętrz. I tak jak wystrój wnętrz, był dziełem Quaisoir. Dopiero przed kilkoma miesiącami przyjęła do serca Syna Smutku, ale od razu zaczęła się uważać za jego wybrankę.

Kolejny dowód niewierności z jej strony, mniej syfilityczny, lecz równie żaloszny jak setki poprzednich.

Autarcha zostawił trajkoczącą Concupiscentię i kazał strażnikowi znaleźć Rosengartena. Potrzebował – i to pilnie – odpowiedzi na kilka ważnych pytań. W przeciwnym razie nie tylko w Żużłowisku polecą głowy.

2

Na Postnej Drodze Gentle doszedł do wniosku, że Huzzah wcale nie jest dla nich nieznośnym ciężarem, lecz prawdziwym skarbem. Gdyby nie ona, bogini Tishalulle najpewniej nie zechciałyby interweniować; podróż autostopem również przysporzyłaby im więcej kłopotów bez milutkiej dziewczynki, która machała na przejeżdżające pojazdy. Mimo długich miesięcy spędzonych w celi przytułku (a może właśnie dzięki nim) Huzzah chętnie zagadywała każdego napotkanego wędrowca. Z odpowiedzi na jej niewinne pytania Pie i Gentle dowiedzieli się znacznie więcej, niż gdyby próbowali sami wy-

badać sytuację. Już na samej grobli przed miastem Huzzah zaczepiła kobietę, która wyliczyła jej wszystkie kesparaty, pokazując od razu te widoczne z miejsca, gdzie się zatrzymali. Gentle nie potrafił zapamiętać nazw i wskazówek, ale zauważył, że Pie słucha pilnie. Zanim przejdą przez rzekę, nauczy się wszystkiego na pamięć, pomyślał.

– Cudownie – mistyf pochwalił Huzzah, gdy kobieta się oddaliła. – Nie byłem pewien, czy trafię z powrotem do zajmowanego przez mój lud kesparatu, ale teraz to będzie łatwe.

– Do góry przez Oke T'Noon i Karmelową Kuchnię. Tam robi się słodycze, które trafiają na stół autarchy – powtórzyła Huzzah, jakby czytała z tablicy. – Potem wzdłuż muru Karmelowej Kuchni do ulicy Dymnej i Wiatyku. Stamtąd będzie widać bramę.

– Jak ty to wszystko spamiętałaś? – zdziwił się Gentle, na co Huzzah z wyższością spytała, jak mógł cokolwiek zapomnieć.

– Nie wolno nam zabłądzić – dodała.

– Nie zabłądzimy – zapewnił ją Pie. – Ludzie z mojego kesparatu pomogą nam znaleźć twoich dziadków.

– Nawet jeśli nie pomogą, nic się nie stanie. – Huzzah z poważnym wyrazem twarzy spojrzała na Gentle'a. – Przyszłam z wami do Pierwszego Dominium i dziadkowie mnie nie interesują. Chciałabym zobaczyć Niewidzianego.

– Skąd wiesz, że go szukamy?

– Słyszałam, jak o nim rozmawialiście. Mam rację, prawda? Nie martwcie się, wcale się nie boję. Boginię już widzieliśmy, prawda? On będzie taki sam, tylko brzydszy.

Gentle uśmieł się serdecznie z tego rzeczowego stwierdzenia.

– Jesteś prawdziwym aniołkiem, wiesz? – Ukucnął i przytulił małą.

Odkąd wyruszyli w drogę, przybrała parę kilo na wadze i umiała odwzajemnić się całkiem mocnym uściskiem.

– Jestem głodna – szepnęła mu do ucha.

– No to zaraz znajdziemy coś do jedzenia. Nie możemy pozwolić, żeby nasz aniołek głodował.

Szli pod górę stromymi uliczkami Oke T'Noon, aż przeredziły się tłumy podróżnych z grobli. Właściwie w dowolnej chwili mogli zatrzymać się na śniadanie – nie brakowało ani straganów z pieczoną rybą, ani kafejek jakby żywcem przeniesionych z paryskich ulic, tyle że tak egzotyczną klientelą nie mogłoby się pochwalić nawet to słynące z egzotyki miasto. Dziwaczność nie-

których gatunków nie robiła już na Gentle'u wrażenia. Rozpoznawał oethaki i heraty, odległych krewnych matki Splendid i Hammeryocka, dostrzegł kilku osobników przypominających jednookiego krupiera z Attaboy. Na każdego, którego rysy wydawały mu się znajome, przypadało jednak dwóch lub trzech, których widział pierwszy raz w życiu. Podobnie jak w Vanaeph, Pie ostrzegł go, że nie należy zbyt natrętnie przyglądać się obcym.

Wreszcie znaleźli sobie malutką knajpkę, z której dolatywały smakowite zapachy. Gentle usiadł przy oknie, skąd mógł wyglądać na ulicę, nie zwracając na siebie powszechnej uwagi.

– Miałem kiedyś przyjaciela, nazywał się Klein – powiedział, gdy zaczęli jeść. – Jeszcze w Piątym Dominium. Lubił zadawać ludziom pytanie, co by zrobili, gdyby wiedzieli, że zostały im jeszcze tylko trzy dni życia.

– Dlaczego trzy? – zainteresowała się Huzzah.

– Nie wiem. To jedna z tych liczb, których chętnie używamy.

– W każdym dziele jest miejsce tylko dla trzech postaci – zauważył mistyf. – Inne mogą być wyłącznie... – Zawahał się. – ...sługami, kimś tam i kimś tam. To cytat z Pluthero Quexosa.

– A kto to jest?

– Nieważne.

– Na czym to ja skończyłem?

– Na Kleinie – odpowiedziała Huzzah.

– Kiedy mnie o to zapytał, odpowiedziałem: pojechałbym do Nowego Jorku, bo tam człowiek ma największą szansę zrealizować najbardziej szalone marzenia. Ale teraz, gdy zobaczyłem Yzorderrex...

– Niewiele go widziałeś – zauważyła Huzzah.

– Ale mi wystarczy, aniołku. Jeżeli jeszcze kiedyś mnie o to zapyta, powiem: chciałbym umrzeć w Yzorderrex.

– Jedząc śniadanie z Pie i Huzzah.

– Tak byłoby idealnie.

– Idealnie – powtórzyła, bezbłędnie kopiując jego intonację.

– Czy jest coś, czego bym tu nie znalazł, choćbym bardzo się starał?

– Trochę ciszy i spokoju – odparł Pie.

Rzeczywiście, nawet w restauracyjce dobiegający z zewnątrz hałas dawał się we znaki.

– W pałacu na pewno są jakieś miłe, ciche dziedzińce.

– A idziemy do pałacu? – zaciekała się dziewczynka.

– Posłuchaj – wtrącił Pie – przede wszystkim ten cholerny pan Zacharias nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi...

– Licz się ze słowami, Pie – upomniał go Gentle.

– ...a poza tym przyszliśmy tu, żeby znaleźć twoich dziadków. To jest najważniejsze. Mam rację, panie Zacharias?

– Co będzie, jeśli ich nie znajdziemy? – spytała Huzzah.

– Znajdziemy. Moi pobratymcy znają to miasto na wylot.

– Czy to możliwe? – zapytał Gentle. – Bo ja jakoś w to wątpię.

– Dopij kawę. Później sami ci udowodnią, że się mylisz.

Z pełnymi brzuchami wrócili na ulicę i ruszyli zaplanowaną trasą – do Karmelowej Kuchni, potem wzdłuż muru do Dymnej.

Wskazówki okazały się trochę nieprecyzyjne. Wąska ulica Dymna nie doprowadziła ich do Wiatyku, lecz w głąb labiryntu domków tak do siebie podobnych, że przypominały koszary. W błocie bawiły się dzieci, a wśród nich dziki ragem, niefortunna krzyżówka świni z psem. W Mai-Ké podawano ragemy z różną, tu najwyraźniej traktowano je jak domowe zwierzątka. Coś – nie wiedzieli: błoto, dzieci czy ragem – śmierdziało paskudnie i odór zwabił stado zarzi.

– Chyba przegapiliśmy jakiś skręt – odezwał się mistyf. – Najlepiej będzie...

Przerwał w pół zdania, gdyż w pobliżu rozległy się krzyki. Dzieci natychmiast zerwały się z blocka i pobiegły szukać źródła hałasu. Wysoki, przenikliwy wrzask narastał i przycichał jak okrzyk bojowy. Zanim Pie lub Gentle zdążyli zareagować, Huzzah pobiegła za dziećmi, klucząc między kałużami. Gentle spojrzał na mistyfa, który wzruszył ramionami, i obaj ruszyli za dziewczynką. Wyszli na szeroką, ruchliwą ulicę, która błyskawicznie pustoszała. Piesi i kierowcy na gwałt szukali schronienia przed czymś, co na złamanie karku pędziło z góry.

Najpierw zobaczyli krzykacza. Mężczyzna w zbroi, dwukrotnie przewyższający wzrostem Gentle'a, trzymał w obu rękach długie szkarłatne proporce, które powiewały za nim, i chociaż biegł szybko, nie przeszkadzało mu to krzyczyć pełną piersią. Po piętach deptał mu oddział opancerzonych żołnierzy, z których każdy miał przynajmniej dwa i pół metra wzrostu, a za nimi jechał dziwny pojazd, zaprojektowany chyba specjalnie po to, by pokonywanie stromizn Yzordderrex jak najmniej dawało się we znaki pasażerom. Koła miał wysokości poprzedzającego go herolda, sam zaś zwieszał się nisko

pomiędzy nimi, smukły i ciemny, o jeszcze ciemniejszych oknach. W szprychy zaplątała się zbłąkana mewa, która bezradnie trzepotała zakrwawionymi skrzydłami. Jej pisk brzmiał żałośnie, ale doskonale uzupełniał kakofonię kół, silnika i wrzasków herolda.

Gdy pojazd przejeżdżał obok nich, Gentle złapał Huzzah za rękę, chociaż nie groziło jej rozjechanie.

– Kto to był? – zapytała.

– Nie wiem.

– Quaisoir – wyjaśniła kobieta stojąca w drzwiach pobliskiego domu. – Żona autarchy. W Żużłowisku aresztowano następnych niebytowców.

Przesunęła palcami od jednego oka do drugiego i opuściła dłoń do ust. Wskazującym i serdecznym palcem ścisnęła się za nos środkowym zaś sięgnęła dolnej wargi – a wszystko to z wprawą kogoś, kto czyni taki znak wiele razy dziennie. Odeszła, trzymając się blisko ściany.

– Athanasius był chyba niebytowcem? – powiedział Gentle. – Powinniśmy zobaczyć, co się tam dzieje.

– Trochę za dużo ludzi – zauważył Pie.

– Będziemy się trzymać z tyłu. Chcę zobaczyć wroga w akcji.

Nie czekając na sprzeciw Pie, Gentle wziął Huzzah za rękę i ruszył za orszakiem Quaisoir. Łatwo było go śledzić, bo wszędzie twarze pojawiały się w oknach i drzwiach, niczym polipy koralu, które otwierają się po muśnięciu przez rekina – ostrożne gotowe w każdej chwili znów się schować, gdyby cień drapieżnika mignął w pobliżu. Tylko kilkoro dzieciaków, nienawykłych jeszcze do strachu, wyszło – tak jak troje przybyszów – na sam środek ulicy, gdzie światło komety było najjaśniejsze. O dzieci szybko upomnieli się dorośli, ściągając je bliżej względnie bezpiecznych bram i schodów.

Kiedy we troje schodzili ze wzgórza, ujrzeni ocean i widniejący między budynkami port. Domy były w tej okolicy znacznie starsze niż w Oke T'Noon czy wyżej, w Karmelowej Kuchni, a powietrze czyste i orzeźwiające. Szli różnym krokiem. Dość szybko domy ustąpiły miejsca dokom, magazynom, dźwigom i silosom, ale tłok panował tu nie mniejszy niż w dzielnicach mieszkalnych. W przeciwieństwie do mieszkańców wyżej położonych kespapatów robotnicy portowi nie dali się łatwo zastraszyć i porzuciwszy pracę, pędzili na wyścigi, by zobaczyć, co się dzieje. Stanowili znacznie bardziej jednolitą grupę niż miejski tłum. Przeważały wśród nich krzyżówki homo sapiens z oethacami – barczyści mężczyźni o dzikim wyglądem, którzy w od-

powiednio licznym oddziale z powodzeniem stawiliby czoło żołnierzom Quaisoir. Gentle wziął Huzzah na barana, żeby jej nie stratowali. Niektórzy uśmiechali się do małej, inni przepuszczali ją i jej wierzchowca, by mógł zająć lepsze miejsce. Zanim znów ujrzeni orszak Quaisoir, byli dobrze ukryci w tłumie.

Część eskorty oddelegowano do pilnowania porządku. Żołnierze bardzo się starali nie dopuszczać widzów zbyt blisko miejsca egzekucji, ale gapie mieli ogromną przewagę liczebną. Tłum spychał kordon do tyłu, zacieśniając jego pierścień wokół znajdującego się trzydzieści metrów dalej magazynu, który niedawno jeszcze musiał być oblężony. W ścianach ziały dziury po kulach, z okien na parterze buchały kłęby dymu. Armia oblężnicza (żołnierze nosili nie ozdobne stroje gwardii Quaisoir, lecz jednobarwne mundury znane Gentle'owi z L'Himby) wyносиła ze środka ciała. Z okien pierwszego piętra wyrzucali trupy – i rannych – prosto na ulicę, na krwawy stos. Gentle przypomniał sobie Beatrix. Czyżby kurhany z ciał były jednym ze znaków firmowych autarchy?

– Nie powinnaś tego oglądać, aniołku – powiedział, próbując postawić Huzzah na ziemi, dziewczynka wczepiła się jednak z całej siły w jego włosy.

– Chcę zobaczyć. Z tatą oglądałam takie sceny mnóstwo razy.

– Tylko nie zwymiotuj mi na głowę – ostrzegł ją Gentle.

– Nie martw się – odparła urażona.

Żołnierze pastwili się nad ocalałymi buntownikami. Jednego wyciągnęli z budynku i skopali, stojąc obok pojazdu Quaisoir, który miał zamknięte wszystkie okna i drzwi. Inny dzielnie bronił się przed pchnięciami bagnetów, klnąc otaczających go prześladowców. Wszyscy znieruchomieli nagle, gdy na dachu budynku pojawił się mężczyzna w samej tylko przybrudzonej bieliźnie. Rozłożył ręce, jak człowiek gotowy na męczeńską śmierć, i zaczął wykrzykiwać coś pod adresem zgromadzonych na ulicy żołnierzy.

– Athanasius! – mruknął zdumiony Pie.

Gentle miał słabszy wzrok i musiał zmrużyć oczy. Mistyf się nie mylił, rzeczywiście był to ojciec Athanasius. Włosy i brodę miał dłuższe niż na wyspie, a ręce, twarz i bok całe we krwi.

– Co on tam robi, do licha? – zdziwił się Gentle. – Kazanie wygłasza?

Athanasius nie kierował apelu wyłącznie do żołnierzy i kulących się na bruku ofiar. Kilka razy podnosił głowę i krzyczał coś do tłumu, wiatr jednak skutecznie zagłuszał jego oskarżenia, modły czy wezwania do walki. Obraz

bez dźwięku wyglądał nieco absurdalnie.

Żołnierze wzięli Athanasiusa na cel, lecz zanim któryś zdążył strzelić, pierwszy z jeńców, skopany i rzucony na kolana przed powozem Quaisoir, zdołał się uwolnić. Athanasius odwrócił uwagę strażników, którzy zareagowali z opóźnieniem, gdy więzień biegł już w stronę tłumu. Nie wybrał najkrótszej drogi ucieczki, ale pozornie najbezpieczniejszą. Robotnicy zaczęły się rozstępować, żeby przyjąć go w swoje szeregi. Żołnierze już mierzyli w ich stronę. Gdy tylko Gentle zdał sobie sprawę, że zamierzają oddać salwę w tłum, przykucnął i wrzasnął na Huzzah, żeby zsiadła mu z ramion. Tym razem nie protestowała. Pierwsze strzały rozległy się, zanim jeszcze zeskoczyła na ziemię. Gentle podniósł wzrok i pomiędzy sylwetkami robotników dostrzegł Athanasiusa, który nagle upadł i zniknął za murem.

– Głupek – mruknął pod nosem. Wyciągnął rękę, żeby zgarnąć Huzzah i uciec z nią, ale druga salwa osadziła go w miejscu.

Pocisk trafił stojącego metr dalej robotnika, który padł jak ścięte drzewo. Gentle wstał z klęczek, rozglądając się za mistyfem. Uciekający niebytowiec również dostał kulę, ale brnął naprzód. Ludzie w tłumie wpadli w panikę. Jedni uciekali na oślep, inni dumnie stali w miejscu, kilku rzuciło się na pomoc postrzelonemu dokerowi.

Niebytowiec prawdopodobnie nic z tego nie zauważył. Niosła go jeszcze siła rozpędu, ale twarz – młodą, bez zarostu – miał całkiem bez wyrazu, oczy szkliste i niewidzące. Poruszał ustami, jakby chciał wypowiedzieć jeszcze jedno, ostatnie słowo, lecz strzelający z dołu ulicy snajper nie dał mu tej szansy. Druga kula trafiła niebytowca w kark i wyszła z przodu, rozszarpując gardło ozdobione trzema cienkimi liniami tatuazu, z których jedna biegła przez środek jabłka Adama. Kilku ludzi rozstąpiło się i ciało uderzyło o bruk metr od Gentle'a. Drgało jeszcze. Ręce przez chwilę wyciągały się w stronę Gentle'a; lewa chybiła celu, ale prawa miała dość sił, żeby musnąć jego but.

Gdzieś blisko rozległ się głos Pie. Mistyf przekonywał, że powinni zniknąć czym prędzej, ale Gentle nie mógł tak po prostu zostawić umierającego człowieka. Chciał się pochylić i chwycić go za rękę, ale się spóźnił. Pozbawione siły ramię osunęło się po jego stopie na ziemię.

– Możemy już iść? – zapytał Pie.

Gentle oderwał wzrok od trupa. Scena, która się przy nim rozegrała, ściągnęła uwagę gapiów. Dokerzy przyglądali mu się z niepokojącym wyczekiwaniem, zdumieniem i szacunkiem, jakby spodziewali się, że zaraz wygłosi

jakąś mowę. Nie miał jednak nic do powiedzenia. Rozłożył bezradnie ręce. Przyglądali mu się natarczywie, aż zaczął się bać, że go zlinczują, jeśli wciąż będzie milczał. Na szczęście padły kolejne strzały i gapie przestali się w niego wpatrywać. Potrząsali głowami, jakby huk karabinów wyrwał ich z transu. Drugiego z jeńców rozstrzelano pod ścianą magazynu, a potem żołnierze strzelali w stertę ciał na ulicy, by uciszyć rannego, który się w niej uchował. Pojawili się też na dachu – zapewne chcieli zrzucić na dół zwłoki Athanasiusa, ale nie dana im była ta satysfakcja. Athanasius albo tylko udał, że go trafili, albo przeżył niezbyt celny strzał i korzystając z zamieszania, odczołgał się w bezpieczne miejsce. W każdym razie jego prześladowcy zeszli na dół z pustymi rękoma.

Trzej spośród żołnierzy z kordonu, którzy rozbiegli się, gdy ich kompani otworzyli ogień do tłumu, wróciło po ciało uciekiniera. Napotkali silny bierny opór – robotnicy nie chcieli usunąć się z drogi, poszturchiwali ich i popychali. Żołnierze musieli sobie torować drogę uderzeniami bagnatów i kolb. Gentle miał dość czasu, żeby zejść im z oczu.

Zdążył też spojrzeć przez ramię ponad głowy dokerów. Drzwi pojazdu Quaisoir były otwarte. Gwardia przyboczna utworzyła przy nich żywą tarczę i królowa wyszła wreszcie na ulicę. Gentle zwlekał z ucieczką, ciekaw, jak wygląda małżonka najokrutniejszego tyrana Imajiki. Jakie piętno odcisnęło na niej obcowanie ze złem.

Kiedy wreszcie ją zobaczył, mimo że z daleka, zaparło mu dech w piersi. Była człowiekiem, piękną kobietą. Nie byle jaką piękną kobietą. Miał przed sobą Judith.

Pie złapał go za ramię i próbował odciągnąć, ale Gentle stał jak wmurowany w ziemię.

– Spójrz na nią, Pie! Tylko spójrz! Na miłość boską, Pie!

Mistyf zerknął na kobietę.

– To Judith! – dodał Gentle.

– Niemożliwe.

– Możliwe! Co ty, ślepy jesteś?! To jest Judith!

Jego podniesiony głos był dla gniewu robotników niczym iskra na suche wióry. W mgnieniu oka rozpętało się piekło, w którego środku znaleźli się trzej żołnierze wysłani po zwłoki młodego uciekiniera. Jeden upadł po ciosie w głowę, drugi próbował się wycofać, strzelając na oślep w tłum. Poszły w ruch noże i maczety. Bezbronny tłum przeobraził się w armię, która zgładziła

pierwszych trzech wrogów. W zamieszaniu Gentle stracił Judith z oczu i nie pozostało mu nic innego, jak uciekać razem z Pie, bardziej przez wzgląd na Huzzah niż na własne bezpieczeństwo. Czuł się dziwnie nietykalny.

– To była Judith, Pie – powtórzył, gdy oddalili się na tyle, że strzały i krzyki nie zagłuszały normalnej rozmowy.

Podekscytowana Huzzah, która cały czas trzymała się blisko niego, pociągnęła go za rękę.

– Kto to jest Judith? – zapytała.

– Nasza znajoma.

– Jak to możliwe? – Głos mistyfa brzmiał niepewnie i chrapliwie. – Sam pomyśl i mi odpowiedz. Jak to możliwe, żeby to była Judith? Słucham.

– Nie wiem, ale wierzę w to, co widzę.

– Została w Piątym Dominium, Gentle.

– Jeżeli mnie udało się tu dotrzeć, to czemu nie jej?

– I co, w dwa miesiące awansowała na żonę autarchy? Nie uważasz, że to byłaby naprawdę błyskawiczna kariera?

Od strony magazynu rozbrzmiała nowa kanonada. Odpowiedział jej gardłowy, niski ryk, od którego wibrował bruk pod stopami. Gentle przystanął i odwrócił się w stronę portu.

– Zanosi się na rewolucję.

– Rewolucja już się chyba zaczęła – odparł Pie.

– Zabiją Judith. – Gentle zawrócił i ruszył w dół zbocza.

– Dokąd się wybierasz, do ciężkiej cholery?!

– Idę z tobą! – pisnęła Huzzah, ale mistyf w porę złapał ją za rękę.

– Nigdzie nie idziesz. Chyba że do dziadków. Posłuchaj mnie, Gentle. To nie jest Judith.

– No to jej sobowtór – odparł Gentle, starając się myśleć rozsądnie. – Jej odbicie, częśćka jej natury, która istnieje tu, w Yzorderrex.

Pie milczał, jakby czekał na rozwinięcie tej teorii.

– Może ludzie potrafią być w dwóch miejscach naraz – dodał zmieszany Gentle i skrzywił się. – Wiem, że to była ona, i nie zmienię zdania. Idźcie we dwojkę do kesparatu i tam na mnie czekajcie. Przez ten czas ja...

Znów rozległ się okrzyk zapowiadający przejazd Quaisoir. Tym razem brzmiał piskliwie i zaraz zagłuszyły go wiwaty.

– To brzmi jak sygnał do odwrotu – zauważył Pie.

Zaraz okazało się, że miał rację. Ulicą jechał pojazd królowej w otoczeniu

żałosnych resztek orszaku. Mieli dość czasu, żeby zejść mu z drogi, gdyż dudniący pojazd posuwał się pod górę znacznie wolniej niż w dół – nie tylko ze względu na stromiznę, ale także z powodu stanu towarzyszących mu żołnierzy, którzy broniąc go przed atakiem, odnieśli poważne rany.

– Będzie coraz więcej ataków odwetowych – dodał mistyf.

Gentle mruknął coś na znak zgody, patrząc w ślad za wozem.

– Muszę się z nią zobaczyć – stwierdził.

– To nie będzie łatwe.

– Ze mną się spotka. Jeżeli ja ją rozpoznałem, to i ona mnie pozna. Założę się o każde pieniądze.

Pie nie przyjął zakładu, lecz spytał:

– Co teraz?

– Idziemy do twojego kesparatu, skąd wysyłamy ludzi na poszukiwanie rodziny Huzzah. A potem pójdziemy na górę. – Gentle ruchem głowy wskazał pałac. – Przyjrzymy się Quaisoir z bliska. Mam do niej kilka pytań.

3

Wiatr zmienił kierunek, nie niósł już ożywczego oceanicznego powietrza, lecz upał znad pustyni. Dla mieszkańców miasta jego kaprysy nie stanowiły zaskoczenia, toteż przy pierwszych oznakach zmian rozpoczęli mechaniczne, a przez to niemal komiczne przygotowania. Zabierali ze sznurków pranie i kwiaty doniczkowe z parapetów; ragemy i koty porzucały ciepłe, nasłonecznione legowiska i znikwały w domach; markizy zwijano, zatraskiwały się okiennice. W kilka minut ulica opustoszała.

– Znam tutejsze burze piaskowe – stwierdził Pie. – Są paskudne. Nie powinniśmy dać się im złapać na ulicy.

Gentle poradził mu, żeby nie martwił się bez potrzeby. Wziął Huzzah na barana i dziarsko szedł dalej. Wiatr bezlitośnie smagał ulice. Na szczęście chwilę wcześniej zapytali, jak powinni dalej iść, a zagadnięty sklepikarz najwidoczniej znał okolicę. Wiatr śmierdział jak pierdnięcie i oprócz otumaniającego żaru niósł ogromne masy piasku, ale przynajmniej na ulicach panował spokój. Widywali tylko przestępców, wariatów i bezdomnych, zresztą sami

się do tych kategorii zaliczali. Bez przeszkód dotarli do Wiatyku, skąd mistyf umiał już trafić dalej. Mniej więcej dwie godziny po wyjściu z portu znaleźli się w kesparacie Eurhetemeców. Wiatr słabł, oni również, ale Pie niemal śpiewał z radości, gdy oznajmił:

– To tutaj. Tu się urodziłem.

Kesparat był obwiedziony murem, lecz bramy nie zamknięto. Jej skrzydła kołysały się na wietrze.

– Prowadź – rzekł Gentle do mistyfa, stawiając Huzzah na ziemi.

Pie rozchylił skrzydła wrót i weszli na uliczki. Wiatr sypał im piaskiem pod nogi. Główna ulica biegła pod górę w kierunku pałacu, jak prawie wszystkie ulice w Yzordderrex, ale stojące przy niej domy wyglądały zupełnie inaczej niż w innych częściach miasta. Stały osobno, były wysokie i wysmagane piaskiem, każdy miał pionowe okno, które zaczynało się nad wejściem i ciągnęło aż po szczyt budynku. Miały czterospadowe dachy z okapami, co upodabniało okolicę do lasu skamieniałych drzew. Wzdłuż ulicy rosły prawdziwe drzewa. Ich gałęzie kołysały się jeszcze w zamierających podmuchach jak morszczyń na falach przyływu. Burze nie mogły zaszkodzić potężnym konarom i małym, białym, przycupniętym na nich kwiatkom.

Niepewny wyraz twarzy Pie najlepiej świadczył o tym, ile uczuć zmaga się w jego duszy, gdy po tylu latach wrócił do miejsca swych narodzin. Obdarzony krótką pamięcią Gentle nigdy nie dźwigał podobnego brzemienia. Nie pamiętał dziecięcych zabaw, Bożych Narodzeń, kołysanek, dlatego też próbując zrozumieć mistyfa, musiał zaufać swojemu intelektowi.

– Dom moich rodziców stał między chianculą... – Pie wskazał na prawo, gdzie unoszący się w powietrzu piasek wciąż zasłaniał widok – ...a hospicjum. – Tu mistyf pokazał biały budynek po lewej.

– To chyba gdzieś niedaleko – zauważył Gentle.

– Chyba tak... – Pie wyraźnie się zmartwił, że pamięć płata mu figle.

– Może kogoś zapytamy? – zaproponowała Huzzah.

Pie zapukał do drzwi najbliższego domu. Kiedy nikt mu nie odpowiedział, przeszedł do następnych, ale i ten dom musiał być pusty. Wyczuwając zaniepokojenie mistyfa, Gentle z Huzzah razem z nim stanęli przed drzwiami trzeciego budynku. Wiatr osłabł na tyle, że cisza wydawała się jeszcze głębsza niż przed chwilą.

– Tu nikogo nie ma – stwierdził Pie.

Gentle zdawał sobie sprawę, że ma na myśli nie tylko opustoszałe domy,

ale całą wymarłą okolicę. Burza ustała, ludzie powinni zacząć odgarniać piach przed drzwiami i sprawdzać, czy nie osadziło się go za dużo na dachach. Ale nikogo nie widzieli. Piękne, precyzyjnie wytyczone ulice były całkiem puste.

– Może wszyscy zebrali się w jakimś jednym miejscu? – podsunął Gentle.

– Macie tu jakąś salę zgromadzeń? Nie wiem... Kościół? Senat?

– Chiancula pełni podobną rolę.

Pie wskazał cztery bladożółte kopuły stojące w zagajniku cyprysokształtnych drzew o liściach w kolorze pruskiego błękitu. Nad nimi krążyły ptaki.

– Do czego służy chiancula?

– Ach, chiancula! – zawołał Pie pozornie beztroskim tonem. – Kiedy byłem młody, występował tam cyrk.

– Nie wiedziałem, że wywodzisz się z rodu cyrkowców.

– To nie był taki cyrk jak w Piątym Dominium. Pomagał nam nie zapomnieć o dominium, z którego zostaliśmy wygnani.

– Bez kłownów i kucyków?

– Bez kłownów i kucyków – przytaknął Pie i nic więcej nie dało się z niego wyciągnąć.

Dopiero kiedy zbliżyli się do chianculi, mogli docenić jej rozmiary – i rozmiary otaczających ją drzew. Od ziemi do szczytu największej kopuły Gentle naliczył pięć kondygnacji. Ptaki zakończyły rundę honorową wokół kesparatu i znów obsiadały drzewa, trajkocząc jak gwarki, które ktoś nauczył japońskiego. Na chwilę przyciągnęły uwagę Gentle'a, ale Pie zaraz przywołał go do porządku:

– Nie wszyscy pomarli – powiedział.

Spomiędzy drzew wyszło czterech krewniaków mistyfa. Wyglądali jak Murzyni odziani w płachty niebarwionego płótna, które przytrzymywali w zębach, zasłaniając w ten sposób dół twarzy. Przypominali pustynnych nomadów. Ani strój, ani sposób poruszania się nie pozwalały domyślić się ich płci, ale widać było, że są gotowi na spotkanie z intruzami, bo każdy trzymał w rękach metrowej długości srebrny pręt.

– Pod żadnym pozorem nie odzywaj się i stój bez ruchu – ostrzegł Gentle'a mistyf, gdy Eurhetemecowie zbliżyli się na dziesięć metrów.

– Dlaczego?

– To nie jest komitet powitalny.

– A co?

– Pluton egzekucyjny.

Po tych słowach mistyf podniósł ręce na wysokość piersi, dłońmi na zewnątrz, i – łamiąc własny zakaz – zrobił krok w przód i coś powiedział. Nie mówił po angielsku, ale w jego słowach brzmiała orientalna śpiewność jak w świergocie ptaków. Może one naprawdę znały tutejszych mieszkańców?

Jeden z Eurhetemeców wypuścił zawój z ust. Była to kobieta w średnim wieku, bardziej chyba zdumiona niż zła. Słuchając Pie, mruknęła coś do towarzysza po prawej stronie, ale on tylko pokręcił głową w odpowiedzi. Nie zatrzymali się, lecz cały czas zbliżali do mówiącego mistyfa. Dopiero gdy Gentle wyłowił w jego słowach znajome sylaby „Pie'oh'pah”, kobieta kazała im stanąć. Opadły dwie dalsze zasłony. Tym razem oczom przybyszów ukazały się męskie twarze o delikatnych rysach. Jeden z Eurhetemeców miał krótki wąsik, ale nawet po nim znać było ślad płciowej dwuznaczności, która w pełni rozkwitła u mistyfa. Bez dalszego rozkazu ze strony kobiety drugi z mężczyzn puścił jedną ręką metalowy pręt, który zafalował na całej długości, jakby był zrobiony nie ze stali, lecz z jedwabiu. Mężczyzna podniósł go do ust, dotknął nim języka i srebrzysty materiał spłynął mu z ust i palców w luźnych splotach. Marszczył się i trzepotał, ale nadal lśnił jak metal.

Gentle nie wiedział, czy jest to gest przyjazny, czy wrogi, ale Pie uklękła i dał mu na migi znać, żeby zrobili z Huzzah to samo. Dziewczynka zerknęła ponuro na Gentle'a, szukając u niego potwierdzenia. Wzruszył ramionami i skinął głową. Uklęknęli, chociaż musiał przyznać, że w obliczu plutonu egzekucyjnego była to skrajna głupota.

– Uważaj – szepnął do Huzzah. – Może będzie trzeba uciekać...

Mężczyzna z wąsami przemówił do Pie w tym samym dziwnym języku. Nic w jego głosie ani sposobie mówienia nie wskazywało na to, żeby im groził, chociaż Gentle zdawał sobie sprawę, że może się mylić. Sam fakt, że rozmawiali, przynosił mu jednak ulgę. W pewnym momencie także czwarta zasłona opadła. Ukrywała się pod nią młoda, ale mniej sympatyczna kobieta, która wtrącała się do rozmowy, przemawiając pełnym napięcia głosem i wymachując srebrzystą wstążką dosłownie centymetry od pochylonej głowy Pie. Nie można już było mieć wątpliwości, że jest to zabójcza broń. Spadała ze świstem i z buczeniem wznosiła się w górę, trzepocząc z pozoru przypadkowo, lecz kobieta w pełni nad nią panowała. Zapewne padł rozkaz wstania, bo Pie podniósł się z klęczek i spojrzał znacząco na Gentle'a i Huzzah.

– Zabiją nas? – spytała Huzzah.

– Nie. – Gentle wziął ją za rękę. – Gdyby spróbowali, mam dla nich w płucach niespodziankę.

– Gentle, proszę cię... – odezwał się Pie. – Nawet o tym...

Przywołany do porządku przez starszą kobietę umilkł i odpowiedział na kolejne pytanie, podając imiona towarzyszy: Huzzah Aping i John Furie Zacharias. Członkowie plutonu egzekucyjnego wymienili kilka zdań między sobą. Pie skorzystał z okazji, żeby porozmawiać z Gentle'em.

– Sytuacja jest bardzo delikatna – wyjaśnił.

– Tyle to sam zrozumiałem.

– Większości moich rodaków nie ma już w tym kesparacie.

– Dokąd poszli?

– Jedni zginęli na torturach, innych porwano jako niewolników.

– Aż tu wraca syn marnotrawny! Dlaczego ci się nie cieszą na twój widok?

– Biorą mnie za szpiega albo wariata, w każdym razie jestem dla nich zagrożeniem. Chcą mnie zatrzymać i przesłuchać. I tak dobrze, że nie zamierzają nas zabić.

– Nie ma to jak wrócić do domu.

– Dobrze, że chociaż kilkoro przeżyło. Na początku myślałem...

– Wiem, co myślałeś. Ja też. Znają angielski?

– Naturalnie, są tylko zbyt dumni, żeby go używać.

– Ale rozumieją, kiedy im coś powiem?

– Nie rób tego, Gentle...

– Chcę, by wiedzieli, że nie jesteśmy ich wrogami. – Gentle odwrócił się do Eurhetemeców. – Wiecie już, jak się nazywam. Przyszliśmy tu z Pie'oh'pahem, bo mieliśmy nadzieję znaleźć przyjaciół. Nie jesteśmy szpiegami ani płatnymi mordercami.

– Daj spokój, Gentle.

– Przybyliśmy z daleka, z Piątego Dominium. Pie od dawna marzył o spotkaniu z rodakami. Rozumiecie? Ucieleśniacie jego marzenia.

– Ich to nie obchodzi, Gentle.

– Musi ich obchodzić.

– To ich kesparat. Niech będzie, jak chcą.

– Pie ma rację – przyznał Gentle po chwili zastanowienia. – To wasz kesparat, a my jesteśmy tu tylko gośćmi, ale chcę, żebyście coś zrozumieli. – Zwrócił się do kobiety, której srebrzysta broń śmigała niebezpiecznie blisko

głowy mistyfa. – Pie jest moim przyjacielem. Będę go bronił.

– Możesz nam tylko zaszkodzić – upomniał go Pie. – Przestań.

– Myślałem, że przyjmą cię z otwartymi ramionami. – Gentle popatrzył po niewzruszonych twarzach gospodarzy. – Co się stało?

– Bronią tego, co im zostało. Autarcha przysyłał tu już swoich szpiegów, były czystki, były porwania. Znikały dzieci, odsyłano im same główki.

– Jezu Chryste!... Przykro mi – rzekł Gentle do wszystkich. – Chciałem tylko to powiedzieć.

– Powiedziałaś. Możesz teraz resztę zostawić mnie? Daj mi parę godzin, a przekonam ich, że mogą nam zaufać.

– Nie ma sprawy. Parę godzin. Poczekamy z Huzzah gdzieś w pobliżu.

– Nie tutaj. To chyba nie najlepszy pomysł.

– Jak to?

– Uwierz mi – odparł z naciskiem Pie.

– Boisz się, że nas wszystkich zabiją, tak?

– Mam pewne... wątpliwości... Tak, boję się.

– W takim razie chodźmy stąd.

– To nie wchodzi w grę. Ja zostanę, wy wyjdziecie. To propozycja nie do odrzucenia.

– Rozumiem.

– Nic mi nie będzie, Gentle. Może wróćcie do knajpki, w której jedliśmy śniadanie, co? Traficie tam?

– Ja trafię – mruknęła Huzzah. Do tej pory nie podnosiła główki, teraz jednak spojrzała na Pie. Oczy miała pełne łez.

– Czekał tam na mnie, aniołku. – Pie pierwszy raz użył ulubionego określenia Gentle'a. – Oba moje aniołki, czekajcie tam na mnie.

– Jeżeli przed zmierzchem się nie pojawisz, wrócimy cię poszukać – uprzedził Gentle z uśmiechem i złowieszczym błyskiem w oku.

Mistyf podał mu rękę na pożegnanie. Gentle uścisnął ją i przyciągnął go bliżej.

– To bardzo oficjalne pożegnanie – powiedział.

– Mniej oficjalne byłoby nietaktem. Uwierz mi.

– Zawsze ci wierzyłem. I zawsze będę wierzył.

– Szczęściarze z nas, Gentle.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo spędziliśmy ze sobą tyle cudownych chwil.

Gentle spojrział mu w oczy i nagle zrozumiał, że pod tą sztywną otoczką kryje się głębsze, poważniejsze pożegnanie, którego wcale nie chciał usłyszeć. Mistyf nie był pewien, czy jeszcze się spotkają.

– Zobaczymy się za parę godzin, Pie – rzekł Gentle. – Wierzę w ciebie, jasne? Łączą nas śluby.

Pie pokiwał głową i cofnął rękę, którą Huzzah od razu złapała w swoją drobną, ciepłą dłoń.

– Chodź, aniołku – powiedział Gentle i wyprowadził dziewczynkę za bramę, zostawiając Pie w rękach czteroosobowego oddziału.

Huzzah dwa razy spoglądała przez ramię, ale Gentle oparł się tej pokusie. Niepotrzebne sentymenty nie wyszłyby Pie na dobre. Lepiej było wierzyć, że za kilka godzin spotkają się przy kawie w Oke T'Noon. Przy bramie nie zdołał się jednak opanować i zerknął w ukwieconą uliczkę, żeby ostatni raz spojrzeć na ukochaną istotę. Niestety, pluton egzekucyjny zniknął już w chianculi, zabierając ze sobą syna marnotrawnego.

ROZDZIAŁ 32

1

Do zapadnięcia zmierzchu w Yzordderrex pozostało jeszcze wiele godzin. Autarcha znajdował się w komnacie w pobliżu Wieży Osi, gdzie nigdy nie dochodził świt. Pociechy, jaką przynosiło kreauchee, nie mąciło światło dnia. Łatwo było uwierzyć, iż rzeczywistość jest snem, a zatem nie warto jej żałować, jeśli przeminie – czy raczej kiedy przeminie. Jednak Rosengarten jak zwykle bezbłędnie znalazł kryjówkę swego pana i przyniósł mu wieści równie niepokojące jak brzask. Próba cichego zlikwidowania kierowanej przez ojca Athanasiusa komórki niebytowców zmieniła się – za sprawą Quaisoir – w wielkie publiczne widowisko. Akty przemocy szerzyły się teraz po całym mieście. Żołnierze, którzy oblegali kryjówkę Athanasiusa, zostali ponoć wybici do nogi, chociaż trudno było to sprawdzić, bo port został odcięty od miasta improwizowanymi barykadami na ulicach.

– Buntownicy tylko czekali na taki sygnał – stwierdził Rosengarten. – Jeżeli natychmiast nie stłumimy rebelii, wierni wszystkich, nawet najmniej znaczących religii w dominiach usłyszą, że czas nadszedł.

– Dzień Sądu Ostatecznego, co?

– Tak to zinterpretują.

– I może będą mieli rację. Pozwolimy im się wyszaleć? Nie lubią się. Świetliki nienawidzą niebytowców, niebytowcy nie znoszą zenetyków... Popodrzynają sobie nawzajem gardła.

– Chodzi o miasto, panie.

– Miasto! Miasto! Cholerne miasto! Ono i tak jest stracone, Rosengarten. Nie rozumiesz? Siedziałem tutaj i myślałem. Gdybym mógł sprawić, żeby uderzyła w nie kometa, nie wahałbym się ani chwili. Powinno zginąć tak, jak żyło. Pięknie. Skąd ta rozpacz, Rosengarten? Będą inne miasta. Mogę zbudować drugie Yzordderrex.

– W takim razie powinien pan chyba wyjechać jak najszybciej, nim zamieszki się rozprzestrzenia.

– Nic nam tu przecież nie grozi, prawda? – spytał autarcha.

Zapadła cisza.

– Nie jesteś o tym przekonany.

– Na ulicach naprawdę wszędzie leje się krew.

– Wszystko przez nią, tak?

– Od dawna wiedzieliśmy, że coś się święci.

– Ale to przez nią nastąpił wybuch? – Autarcha westchnął. – Niech ją szlag... Sprowadź generałów.

– Wszystkich?

– Mattalusa i Racidio. Wiedzą, jak zrobić z pałacu fortecę. – Autarcha wstał. – A ja porozmawiam z moją kochaną żoną.

– Czy mamy cię szukać w jej komnatach, panie?

– Nie. Jeżeli nie chcecie być świadkami morderstwa, nie szukajcie mnie tam.

*

Tak jak poprzednio, apartamenty Quaisoir były puste. Tym razem jednak Concupiscentia – nie frywolna bynajmniej, lecz roztrzęsiona i z suchymi oczami, co u istot jej gatunku odpowiadało łzom – wiedziała, gdzie szukać pani: w prywatnej kaplicy. Kiedy autarcha wparował do środka, Quaisoir zapalała świece na ołtarzu.

– Wołałem cię.

– Słyszałam.

Jej głos, niegdyś tak melodyjny, że każde słowo brzmiało niczym pieśń, stał się całkiem bezbarwny. Tak jak i ona sama.

– Czemu się nie odezwałaś?

– Modliłam się.

Zdmuchnęła trzymaną w dłoni świeczkę i odwróciła się plecami do autar-

chy. Ołtarz przypominał jej komnaty; był ozdobny aż do przesady. Pomalowana figura Chrystusa wisiała na pozłacanym krzyżu w otoczeniu cherubinów i serafinów.

– Za kogo?

– Za siebie.

Złapał ją za ramię i odwrócił do siebie.

– A co z tymi, których rozszarpał tłum?! Za nich się nie pomodlisz?

– Za nich ma się kto modlić. Ludzie, którzy ich kochali. Ja nie mam nikogo takiego.

– Serce mi krwawi, gdy to słyszę.

– Nieprawda. Ale Syn Smutku cierpi i za mnie.

– Wątpię w to, pani. – Autarcha musiał przyznać, że jej pobożność bardziej go bawi, niż drażni.

– Widziałam Go dzisiaj. To było coś nowego.

– Gdzie? – spytał z zaciekawiony.

– W porcie. Objawił nam się na dachu budynku. Żołnierze strzelali do Niego. Trafili Go, sama widziałam, ale nigdzie nie znaleźli ciała.

– Wiesz co? Powinienem cię chyba zamknąć w Bastionie Banu razem z innymi wariatkami. Tam spokojnie doczekasz jego powtórnego przyjścia. Jeśli chcesz, służący zawiozą ci tam całe wyposażenie.

– On tu po mnie przyjdzie – odparła Quaisoir. – Nie boi się. To ty się boisz.

– Czyżbym się pocił? – Autarcha zerknął na swoją dłoń. – Nie. Błagam go na kolanach, żeby mnie oszczędził? Też nie. O wiele rzeczy można mnie oskarżyć, o większość nie bezpodstawnie, ale nie o strach. Znasz mnie.

– On jest tutaj, w Yzordderrex.

– Niech do mnie przyjdzie. Nigdzie się nie wybieram. Jeżeli naprawdę tak mu na mnie zależy, znajdzie mnie. Chociaż zapewne nie przy modlitwie... Może będę akurat sikał, kto wie... Zniesie taki widok? – Autarcha wziął rękę Quaisoir i włożył sobie między uda. – Może się poczuć upokorzony. – Roześmiał się. – Pamiętasz, jak modliłaś się do tego bożka? Pamiętasz? Powiedz, że tak.

– Przyznaję się do tego.

– To nie zbrodnia. Tacy już jesteśmy. Co innego nam pozostało, jak nie pogodzić się z tym i cierpieć? – Przysunął się bliżej. – Niech ci się nie wydaje, że zostawisz mnie dla niego. Należymy do siebie. Krzywdząc mnie,

krzywdzisz samą siebie. Pomyśl o tym. Kiedy nasze marzenia spłoną, razem usmażymy się w ich ogniu.

Jego słowa powoli do niej docierały. Nie szarpała się już, tylko trzęsła ze strachu.

– Nie chcę ci odbierać wszystkich przyjemności – mówił autarcha. – Możesz sobie wierzyć w tego Syna Smutku, jeżeli to ci pomaga zasnąć, ale nie zapominaj, co nas łączy. To, że poznałaś w Bastionie parę influencji, nic nie zmienia.

– Modlitwy nie wystarczą... – wyszeptała Quaisoir.

– Modlitwy są bezużyteczne.

– W takim razie muszę Go znaleźć. Pójdę do Niego, pokażę Mu, jak Go wielbię.

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Muszę. To jedyny sposób. Jest w mieście i czeka na mnie. – Odepchnęła go. – Pójdę do Niego w łachmanach – powiedziała i zaczęła drzeć na sobie ubranie. – Albo nie, nago! Pójdę do Niego naga!

Autarcha nie próbował jej powstrzymać, lecz odsunął się, jakby obłąd mógł okazać się zaraźliwy. Quaisoir szarpała na sobie szaty i rozdrapywała skórę do krwi. Zaczęła się głośno modlić, obiecywać, że przyjdzie na kolana i będzie Go błagać o przebaczenie. Kiedy odwróciła się do ołtarza, autarcha stracił cierpliwość, złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie.

– Nie słuchasz! – krzyknął. Współczucie i odraza ustąpiły miejsca wściekłości, której nawet kreauchee nie zdołałoby ugasić. – Yzordderrex ma tylko jednego władcę!

Odepchnął ją na bok i trzema krokami pokonał wiodące na ołtarz stopnie. Zamaszystym gestem zgarnął z niego wszystkie świece i wszedł na ołtarz, żeby ściągnąć krucyfiks. Quaisoir próbowała go powstrzymać, ale ani jej prośby, ani pięści nie poskutkowały. Pierwsze poleciały złoczone anioły – zerwał je z rzeźbionych obłoków i cisnął na ziemię. Złapał Zbawiciela za głowę i mocno pociągnął. Kolce z pięknie wyrzeźbionej korony cierniowej wbiły mu się w dłonie, ale ból tylko podsycił wściekłość. Trzasnęło pękające drewno, krzyż oderwał się od ściany i grawitacja dokonała reszty. Autarcha przez chwilę miał wrażenie, że Quaisoir rzuci się pod krucyfiks, żeby go podtrzymać, ale w ostatniej chwili zrobiła krok w tył i krzyż upadł pośród szczątki serafinów. Roztrzaskał się na kamiennej posadzce.

Zamieszanie w kaplicy ściągnęło oczywiście świadków. Stojąc na ołtarzu,

autarcha dostrzegł Rosengartena, który z bronią w ręku pędził nawą.

– Nic się nie stało, Rosengarten! – wydyszał autarcha. – Najgorsze już za nami.

– Ty krwawisz, panie.

Autarcha włożył palec do ust.

– Każ odprowadzić moją żonę do komnat, dobrze? – Splunął na podłogę. W jego krwi migotały złociste drobinki. – I dopilnuj, żeby nie miała pod ręką żadnych ostrych narzędzi, którymi mogłaby sobie zrobić krzywdę. Jest chyba poważnie chora. Od tej pory powinniśmy dzień i noc mieć ją na oku.

Zapłakana Quaisoir klęczała przy szczątkach krucyfiks.

– Proszę cię, pani... – Autarcha zeskoczył z ołtarza. – Po co płakać za umarłym człowiekiem? Należy czcić tylko swoje... – Zawiesił głos, zdumiony własnymi słowami. – Tylko swoje prawdziwe „ja”.

Podniosła na niego wzrok, nasadą dłoni otarła łzy z oczu.

– Każę ci przynieść trochę kreauchee – mówił dalej autarcha. – Uspokoi cię.

– Nie chcę kreauchee – odparła bezbarwnym głosem. – Chcę przebaczenia.

– W takim razie przebaczam ci – odparł z powagą.

– Nie o twoje przebaczenie chodzi.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę.

– Mieliśmy się kochać i żyć wiecznie – rzekł cicho. – Kiedy ty się tak zestarzałaś?

Nie odezwała się, więc zostawił ją tam, klęczącą pośród odłamków drewna. W kaplicy zjawił się już Seidux, podwładny Rosengartena.

– Bądź dla niej miły – uprzedził go autarcha. – Kiedyś była wielką damą.

Nie czekał, aż ją odprowadzą, lecz udał się z Rosengartenem na spotkanie z generałami Mattalausem i Racidio. Dobrze mu zrobił mały wysiłek fizyczny. Mimo że czas nie miał się go, tak jak wszystkich wielkich maistrów, jego organizm flaczał i wymagał okresowej podniety. A nic nie sprawiało mu takiej frajdy jak niszczenie bałwanów.

Kiedy jednak mijali okno, z którego rozciągał się widok na miasto, autarcha spochmurniał. Wszędzie znać było ślady zniszczeń. Mógł zawadiacko zapowiadać, że w każdej chwili zbuduje nowe Yzordderrex, ale żał byłoby patrzeć, jak stare rozpada się kesparat po kesparacie. Kilka słupów dymu znać miało miejsca, w których wybuchły pożary. W porcie płonęły okręty, a przy

ulicy Pożądliwej – burdele. Rosengarten miał rację, spełniały się wszystkie apokaliptyczne prorocтва. Ci, który zapowiadali, że zagłada nadejdzie od strony morza, palili statki; ci, którzy przeklinali miłość fizyczną, podkładali ogień w domach publicznych. Zerknął w stronę kaplicy. Quaisoir na nowo wybuchnęła płaczem.

– Niech sobie popłacze – powiedział. – Ma powód.

2

Obrażenia, jakie odniósł Dowd, wskakując do pędzącego Ekspresu Yzordderrex, stały się w pełni oczywiste, dopiero gdy znaleźli się w pełnej skarbów piwnicy domu kupca. Udało mu się uniknąć wywrócenia na nice, ale został poważnie poraniony. Wyglądał tak, jakby ktoś przeciągnął go po świeżo wysypanej żużlem drodze. Skórę na twarzy i rękach miał zdartą do żywego, z ran leniwie sączył się płyn, który wypełniał jego żyły. Kiedy poprzednio Jude widziała go rannego, sam się okaleczył i chyba specjalnie nie cierpiał. Teraz było inaczej. Krzywił się z bólu, choć trzymał przegub jej dłoni w żelaznym uścisku i groził śmiercią, przy której męki Clary byłyby niczym.

Nie tak wyobrażała sobie początek wizyty w Yzordderrex. Tego, co zobaczyła na parterze domu, też się nie spodziewała może dlatego że widok, okazał się aż nadto przewidywalny. Przypomniała sobie, że budynek przecież należy do Peccable'a, współnika Oscara. Silny wpływ estetyki Piątego Dominium na dom, w którego piwnicy znajdowało się przejście na Ziemię, nie powinien nikogo dziwić. Jednak domowe zacisze w wykonaniu Peccable'a było przygnębiająco nijakie. Jedyne egzotyczne akcent stanowiła drzemiąca na żerdce przy oknie papuga, poza tym wewnątrz było beznadziejnie małomiasteczkowe – od szeregu rodzinnych fotografii na kominku, po przywiedle tulipany w wazonie na wypolerowanym do połysku stole. Z pewnością na zewnątrz czekały ich bardziej niezwykle widoki, ale Dowd nie był w stanie zwiedzać miasta. Zapowiedział, że poczekają w domu, aż poczuje się lepiej, a gdyby wrócili gospodarze, ma trzymać buzię na kłódkę. Sam będzie mówił, chyba że Jude ma ochotę wystawić na szwank życie nie tylko własne, ale całej rodziny Peccable'a.

Nie miała wątpliwości, że spełniłby swoje groźby. Zażyczył sobie ponadto, żeby się nim zaopiekowała, więc posłusznie obmyła mu twarz przyniesionym z kuchni mokrym ręcznikiem. Zmartwiła się, widząc, że obrażenia są bardziej powierzchowne, niż początkowo sądziła. Kiedy oczyściła mu rany, zaczął szybko wracać do zdrowia. Stała przed trudnym wyborem. Dowd zdrowiał z nadnaturalną szybkością, więc jeśli chciała wykorzystać jego osłabienie, musiała się spieszyć. Gdyby jednak od razu uciekła, straciłaby jedyne- go przewodnika po mieście. Co gorsza, zniknęłaby z miejsca, gdzie, jak miała nadzieję, przybędzie Oscar, gdy podąży za nią przez otchłań In Ovo. Nie mogła ryzykować, że od razu zgubią się w mieście, które – jak słyszała – było tak rozległe, że nawet przez dziesięć kolejnych wcieleń mogliby się nie spotkać.

*

Niedługo potem zerwał się wiatr. Do domu przyszła jedna z latorośli Pec- cable'a. Rozchichotana dwudziestoletnia dziewczyna w długim płaszczu i sukience z kwiatowym nadrukiem wesoło przywitała gości.

– Jesteście przyjaciółmi papy? – zapytała i zdjęła okulary, zza których wyjrzały zezujące oczy.

Dowd przytaknął i zaczął tłumaczyć, jak trafili do jej domu, ale poprosiła grzecznie, żeby zaczekał, aż pozamyka wszystkie okiennice. Nadciąga burza piaskowa, wyjaśniła. Poprosiła Jude o pomoc. Dowd nie oponował, słusznie zakładając, że jego podopieczna nie zamierza sama błąkać się po obcym mie- ście, gdy szaleje burza. Pierwsze podmuchy targały już nieomkniętymi oknami, gdy Jude i Hoi-Polloi obeszyły cały dom, wszystko pozamykały i za- trzasnęły okiennice, żeby wiatr nie wytłukł szyb. Mimo że niesiony wichurą piasek poważnie ograniczał widoczność, Jude zdążyła zerknąć na ciągnące się za oknem miasto. Miała na to tylko boleśnie krótką chwilę, ale to wystar- czyło, by się upewnić, że gdy wreszcie wyjdzie na ulice, Yzordderrex sowicie wynagrodzi jej miesiące oczekiwania.

Na zboczu ponad domem ciągnęły się niezliczone, tarasowato ułożone uliczki prowadzące do monumentalnych murów i wież budowli, którą Hoi- Polloi nazwała pałacem autarchy. Ze strychu było nawet widać ocean, woda połyskiwała słabo w gęstym od piasku powietrzu. Ale ocean, dachy domów i wieże pałacu niewiele różniły się od tego, co mogła oglądać w Piątym Domi-

nium. Tym, co odróżniało Yzordderrex od ziemskich miast, byli jego mieszkańcy – trochę ludzi i wiele nieznanymi jej istot; wszyscy chowali się przed burzą. Jakiś stwór z olbrzymią głową brnął ulicą pod górę, trzymając pod każdą pachą po jednej rozszczekanej świni z ostro zakończonym ryjem. Grupa ogolonych na łyso młodzieńców w powłóczystych szatach biegła w przeciwną stronę, wymachując nad głową dymiącymi kadzielnicami. Do domu naprzeciwko wniesiono rannego mężczyznę z kanarkową brodą, o skórze jak porcelanowa lalka. Darł się jak opętany.

– Wszędzie są zamieszki – powiedziała Hoi-Polloi. – Chciałabym, żeby tata już wrócił.

– A gdzie jest w tej chwili?

– W porcie. Przyszła dostawa z wysp.

– Możesz do niego zatelefonować?

– Zatelefonować?

– Tak! Wiesz, telefon to taki...

– Wiem, co to jest – przerwała jej Hoi-Polloi. – Wujek Oscar kiedyś mi go pokazywał. Ale prawo zabrania używania telefonów.

– Dlaczego?

Hoi-Polloi wzruszyła ramionami.

– Prawo jest prawem. – Wyjrzała przez ostatnie otwarte okno i zatrzasnęła je szczelnie. – Tata na pewno zachowa się rozsądnie. Zawsze mu powtarzam, żeby był rozsądny, a on mnie słucha.

Kiedy zeszły na parter, Dowd stał na progu otwartych na oścież drzwi. Do środka wdzierало się rozpalone, gryzące od piasku powietrze, niosące woń korzennych przypraw i dalekich podróży. Hoi-Polloi rozkazującym tonem zapędziła go do środka. Jude przez chwilę się o nią bała, ale Dowd chętnie wszedł w rolę nie zorientowanego w sytuacji gościa i posłusznie wszedł do domu. Hoi-Polloi trzasnęła drzwiami, zamknęła je na zasuwę i zaproponowała gościom herbatę. Trudno było udawać, że nic się nie dzieje, gdy wiatr kołysał lampami w pokojach i próbował wyrwać każdą oblużowaną okiennicę, Hoi-Polloi starała się jednak paplać o drobiazgach. Zaparzyła dzbanek darjelingu i podała gościom po kawałku ciasta. Absurdalność całej sytuacji coraz bardziej bawiła Jude: oni tu siedzą przy popołudniowej herbatce, a za drzwiami niewiarygodne, niezwykle miasto drży w porywach wiatru i rewolucji. Gdyby Oscar teraz przybył, śmiałyby się do łez, pomyślała. Usiadłby z nimi i maczając ciasto w herbatce, zaczęłby rozmowę o krykocie. Anglik w każ-

dym calu.

– A gdzie podziała się reszta rodziny? – spytał Dowd, kiedy rozmowa znów zesłała na jej nieobecnego ojca.

– Mama i bracia wyjechali na wieś, jak najdalej od kłopotów.

– Nie chciałaś z nimi jechać?

– Nie, dopóki tata tu siedzi. Ktoś musi się nim opiekować. Zwykle jest rozsądny, ale muszę go pilnować.

Po wyjątkowo mocnym podmuchu dachówki zaterkotały jak karabin maszynowy. Hoi-Polloi aż podskoczyła.

– Gdyby tata był tu z nami, zaproponowałyby pewnie coś na uspokojenie – powiedziała.

– A co macie, kochaniutka? – zainteresował się Dowd. – Odrobinę brandy? Oscar pewnie przywozi wam brandy, prawda?

Przytaknęła i wstała po butelkę i trzy małe szklaneczki.

– Przywiózł nam też Siewkę.

– Kto to jest Siewka?

– Nasza papuga. Dostałam ją w prezencie, kiedy byłam jeszcze malutka. Miałam też drugą, do pary, ale zjadł mi ją ragem z sąsiedztwa. To potwór! Siewka został sam i jest bardzo nieszczęśliwy, ale Oscar niedługo przywiezie mi nową papugę. Obiecał mi. Kiedyś przywiózł mamie perły. A tacie zawsze przynosi gazety; tata uwielbia gazety.

Hoi-Polloi gadała jak nakręcona, szklaneczki coraz to były napełniane. Alkohol zmniejszał zdolność Jude do koncentracji. Monolog gospodyni i kołyszące się światło nad głową usypiały. W końcu zapytała, czy mogłaby się na chwilę położyć. Dowd i tym razem nie protestował – rzucił tylko przeciągłe „słodkich snów, kochaniutka” – i za Hoi-Polloi poszła do sypialni dla gości.

Położyła się z prawdziwą przyjemnością. W głowie jej huczało. Uznała, że to doskonały moment na drzemkę, skoro i tak nie może wypuścić się w miasto. Kiedy burza się skończy, ona wyruszy w drogę – z Dowdem albo bez niego. Najwidoczniej Oscar nie zamierzał się po nią fatygować. Może został ranny, a może skok Dowda uszkodził Ekspres Yzorderrex – nieważne. Nie mogła dłużej odwlekać czekających ją przygód. Kiedy się obudzi, pójdzie w ślady burzy i szturmem weźmie Yzorderrex.

Śniła, że jest w bardzo smutnej, ciemnej komnacie, o oknach i okiennicach zamkniętych dla ochrony przed tą samą burzą, która srożyła się za oknami pokoju, gdzie kładła się spać. Zdawała sobie sprawę, że śni. Płakała jakaś kobieta. Jude chciała ją pocieszyć. Szła przez mrok w stronę, skąd dobiegał szloch. Napotykała i odgarniała kolejne zasłony, cienkie jak pajęczyna, jakby w komnacie rozwieszono welony tysiąca sukni ślubnych. Spóźniła się jednak; wyprzedziła ją jakaś ciemna sylwetka. Stała przy łóżku, w którym leżała zrozpaczona kobieta, i zaczęła coś do niej szeptać.

Jude dosłyszała jedno słowo – „kreauchee”. Istota była dziwaczna ponad wszelkie wyobrażenie, blada i naga, z pleców wyrastał jej gąszcz ogonów. Kiedy Jude podeszła bliżej, stwór zobaczył ją, a przynajmniej dostrzegł falowanie zasłon, bo rozejrzał się po komnacie. W jego – kobiecym – głosie zabrzmiał strach.

– Ktoś jest, pani.

– Nikogo nie widzę. Nawet Seiduxa.

– Nie Seidux. Nikogo nie widzi, ale czuje, że ktoś jest.

Szloch ustał i kobieta na łóżku podniosła wzrok. Oddzielały ją od Jude warstwy muślinu, a w komnacie było całkiem ciemno, ale Jude nie mogła mieć cienia wątpliwości. Ta kobieta, chociaż opuchnięta od płaczu, miała jej twarz. Nagle wstała z radością w oczach.

– Zesłał mi anioła – powiedziała, zwracając się do towarzyszącej jej istoty. – Concupiscentio... On zesłał anioła, żeby mnie do siebie wezwać.

– Tak?

– Tak, z pewnością! To znak. Przebaczy mi.

Jakiś dźwięk przy drzwiach odwrócił jej uwagę. Stał tam umundurowany mężczyzna. Ognik papierosa oświetlał mu twarz.

– Wynoś się – rozkazała mu kobieta.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje, pani Quaisoir.

– Powiedziałam: wynoś się, Seidux.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, pani...

Quaisoir rzuciła się na niego. Gwałtowność ataku zaskoczyła zarówno Jude, jak i strażnika. Quaisoir, choć o głowę niższa, bez lęku doskoczyła, wymierzyła mu policzek i wytrąciła papierosa z ust.

– Nie chcę, żebyś mi się przyglądał! Wynoś się, słyszałeś? Albo zacznę krzyczeć, że chcesz mnie zgwałcić!

Zaczęła szarpać na sobie podarte już ubranie. Odśloniła piersi. Seidux

spuścił wzrok i wycofał się zmieszany.

– Jak sobie życzysz, pani... Jak sobie życzysz.

Quaisoir zatrzasnęła za nim drzwi.

– Gdzie jesteś, duchu? – zapytała, rozgarniając zasłony. – Zniknąłeś już? Na pewno nie. Wyczuwasz jego obecność? – spytała Concupiscentii, która ze strachu nie mogła wykrztusić słowa. – Bo ja nie. Niech Seiduxa diabli wezmą! Wypłoszył mi ducha!

Nie mając jak wyprowadzić jej z błędu, Jude mogła tylko stać przy łóżku i mieć nadzieję, że skoro Seidux zniknął z komnaty, jego wpływ szybko zaniknie. Przypomniała sobie, co Clara mówiła jej o destrukcyjnych zdolnościach mężczyzn. Czy właśnie miała okazję oglądać ich próbkę? Czy obecność Seiduxa wystarczyła, żeby zakłócić kontakt między duchem ze snu i duchem z jawy? Jeśli tak, Seidux zabił to całkiem nieświadomie, co rzecz jasna nie oczyszczało go z winy. Ciekawe, jak często Seidux i inni jemu podobni – czy Clara nie powiedziała, że należy do innego gatunku? – nieświadomie niszczyli i krzywdzili subtelniejsze istoty?

Quaisoir opadła na łóżko, co pozwoliło Jude skupić się na jej twarzy. Od pierwszej chwili zdawała sobie sprawę, że trafiła do tej komnaty podobnie, jak pierwszy raz do wieżowca Tabula Rasa. Sen dawał jej wolność, mogła w niewidzialnej postaci przemierzać rzeczywisty świat. Rozwikłanie sekretu, dlaczego nie potrzebuje już do tego błękitnego kamienia, postanowiła zostawić sobie na inną okazję. Na razie znacznie bardziej intrygowało ją, jak to możliwe, że są z nieznaną podobne jak dwie krople wody. Czy to dominium mogło być zwierciadłem świata, który opuściła? A jeżeli nie, jeśli była jedyną osobą z Piątego Dominium, która ma swojego sobowtóra, co to mogło oznaczać?

Wiatr zaczynał słabnąć i Quaisoir kazała służącej otworzyć okiennice. W powietrzu unosił się jeszcze czerwony pył, ale i tak widok, który ukazał się Jude, gdy stanęła za plecami niezwyklej istoty, zaparłby jej dech w piersi – gdyby w swoim obecnym stanie mogła oddychać. Znajdowała się wysoko ponad miastem, w jednej z wież, które mignęły jej, gdy wraz z Hoi-Polloi kręciły się po domu Peccable'a i zamykały okna. Przed nią rozpościerało się nie tylko samo Yzordderrex, ale także oznaki jego rychłej zagłady. W kilkunastu miejscach poza pałacem szalały pożary, w obrębie murów zaś, na dziedzińcach, żołnierze autarchy ćwiczyli musztrę. Odwróciła się do Quaisoir i dopiero teraz zauważyła, z jakim przepychem urządzona jest sypialnia. Ścia-

ny były obite materiałem, każdy, nawet najmniejszy element wyposażenia lśnił złoceniami. Jeżeli było to więzienie, to godne królów.

Quaisoir również podeszła do okna.

– Muszę Go znaleźć – powiedziała. – Zesłał anioła, który miał mnie do Niego zaprowadzić, ale Seidux odpędził posłańca. Muszę więc pójść sama. Jeszcze dziś...

Jude słuchała jednym uchem. Co to wspomniała wewnątrz mówi o jej bliźniaczkiej siostrze? Wyglądało na to, że Quaisoir to miejscowa znakomitość, dawniej obdarzona władzą, a teraz władzy pozbawiona. Chciała wydostać się na wolność. Chyba z miłości. W mieście czekał na nią mężczyzna, z którym za wszelką cenę pragnęła się połączyć; kochanek, który przysyłał anioły, żeby szeptały jej do ucha czułe słówka. Co to za człowiek? Może jakiś maestro, mistrz sztuki magicznej.

Napatrzywszy się na miasto, Quaisoir przeszła do garderoby.

– Nie mogę iść do Niego w takim stroju – mruknęła i zaczęła się rozbierać. – To dopiero byłoby wstyd.

Zerknęła w lustro i usiadła przed nim, przyglądając się sobie z niesmakiem. Ciemny puder zmienił się pod wpływem łez w błoto, policzki i szyję miała całe w plamach. Wzięła z toaletki kawałek płótna, spryskała go wonnym olejkami i zaczęła zmywać makijaż.

– Pójdę do Niego naga. – Uśmiechnęła się na myśl o tej rozkoszy. – Bardziej mu się spodoba.

Tajemniczy kochanek coraz bardziej intrygował Jude. Czy nie byłoby ciekawie zobaczyć akt spełnienia tego uczucia? Nie planowała wcześniej podglądania samej siebie kochającej się w Yzordderrex z jakimś czarownikiem, ale na tę myśl czuła erotyczny dreszczyk. Przyglądała się odbiciu swego odbicia. Różnice były kosmetyczne. Ta twarz wyglądała dokładnie tak samo jak jej własna, z dokładnością do najdrobniejszego pieprzyka. Nie chodziło o zwykłe podobieństwo – były identyczne. Dziwnie ją to podniecało. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby jeszcze tego dnia porozmawiać z Quaisoir. Nawet jeśli zbliżył je wyłącznie kaprys natury, mogły się sporo o sobie dowiedzieć. Potrzebowała tylko wskazówki, gdzie jej odbicie zamierza szukać tajemniczego maestra.

Oczyściwszy twarz, Quaisoir wstała przed lustro i wróciła do sypialni. Concupiscentia siedziała przy oknie. Quaisoir podeszła do niej na kilkanaście centymetrów i dopiero wtedy odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

– Potrzebny nam będzie nóż.

Dziwna istota pokręciła głową.

– Oni zabiera wszystkie – odparła. – Pani widzi, jak oni szuka i szuka.

– No to musimy sobie jakiś zrobić. Seidux nas tak łatwo nie wypuści.

– Chce go zabić?

– Tak, chcę go zabić.

Jude przebiegł dreszcz. Mimo że Seidux wycofał się, gdy Quaisoir zagroziła, że oskarży go o gwałt, nie wydawało się jej możliwe, by zachował podobną bierność w obliczu fizycznego zagrożenia. Gdyby mogła, przemówiłaby teraz słowami Clary i ostrzegła Quaisoir przed mężczyzną – niszczycielem, jeśli mogłoby ją to ocalić. Byłaby to nieznośna ironia losu, gdyby po przebyciu połowy Imajiki i trafieniu do pokoju tej niezwyklej kobiety (z pewnością nie przez przypadek) miała ją tak po prostu stracić.

– Może zrobi nóż – powiedziała Concupiscentia.

– To zrób. – Quaisoir nachyliła się nad nią jeszcze bardziej.

Następna wymiana zdań umknęła uwagi Jude, gdyż ktoś zawołał ją po imieniu. Zaskoczona rozejrzała się po komnacie. Rozpoznała głos – to Hoi-Polloi próbowała ją obudzić. Burza się skończyła.

– Tata wrócił! – usłyszała Jude. – Obudź się! Tata wrócił!

Nie miała czasu pożegnać się z Quaisoir: jej pokój rozplątał się, ustępując miejsca twarzy córki Peccable'a.

– Tata...

– Dobrze, już wstaję – odparła szorstko Jude, mając nadzieję, że dziewczyna da jej spokój i pozwoli przypomnieć sobie cały sen. Wiedziała, że ma na to niewiele czasu. Senne wizje szybko odpływały w mrok i traciły szczegóły.

Miała szczęście. Hoi-Polloi wybiegła przywitać się z ojcem i Jude mogła spokojnie powtórzyć na głos wszystko, co widziała i słyszała. Quaisoir i Concupiscentia, jej służąca; Seidux, którego chciały zabić; no i kochanek, naturalnie. Nie mogła zapomnieć o kochanku, który znajdował się gdzieś w mieście, tęsknił za swą ukochaną zamkniętą w pozłacanej celi. Utrwaliwszy sobie te kilka faktów w głowie, poszła na spotkanie z gospodarzem.

Dobrze ubrany i jeszcze lepiej odżywiony Peccable miał twarz, na której gniew kiepsko się prezentował. W furii wyglądał absurdalnie – zbyt pulchne policzki i zbyt małe usta nie pasowały do wściekłych słów. Wzajemna prezentacja trwała krótko; nie było czasu na zbędne uprzejmości. Złość Pecca-

ble'a gwałtownie potrzebowała ujścia i właściwie chyba nie interesowało go, kim są słuchacze, o ile tylko wyrażą należyte współczucie. Miał powody do wściekłości. Z jego magazynu w okolicach portu zostały zgliszcza, on sam zaś ledwie uniknął śmierci z rąk tłuszczy, która zajęła już trzy kesparaty i ogłosiła je niepodległymi państewkami, rzucając wyzwanie autarsze. Na razie autarcha zareagował ostrożnie, wysłał małe oddziały do Karmelowej Kuchni, Oke T'Noon i siedmiu kesparatów po drugiej stronie góry, żeby zdusić bunt w zarodku, nie podjął natomiast żadnych działań przeciw rebeliantom, którzy zajęli port.

– To dzicz! – powiedział kupiec. – Nic ich nie obchodzi cudza własność ani nietykalność osobista. Chcieliby tylko niszczyć. Nie przepadam za autarchą, ale w trudnych chwilach jego obowiązkiem jest reprezentować takich ludzi jak ja. Powinienem był rok temu sprzedać firmę; rozmawiałem o tym z Oscarem. Chcieliśmy się wynieść z tego paskudnego miasta, ale jakoś nie mogłem się z nim rozstać, ponieważ wierzę w ludzi. To jest moja największa wada. – Peccable wzniósł oczy ku niebu jak męczennik ginący w obronie przyzwoitości. – Jestem zbyt łatwowierny. – Spojrzał na Hoi-Polloi. – Prawda?

– Oj tak, tato. Szczera prawda.

– Ale dość tego. Pakuj się, skarbie, wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj.

– A co z domem? – zainteresował się Dowd. – Co z kolekcją w piwnicy?

– Może od razu zacznij się pakować, co? – zasugerował Peccable córce. Nie czułby się chyba zbyt pewnie, gdyby musiał przy niej omawiać kulisy czarnorynkowych transakcji. Spojrzał też znacząco na Jude, ale udała, że go nie rozumie, i nie wstała z miejsca. Zaczął mówić: – Nie wrócimy już tutaj. Nie będzie do czego. – Wściekłego mieszczanina, który przed chwilą narzekał na niepokoje społeczne, zastąpił apokaliptyczny wizjoner. – Wcześniej czy później to się musiało stać. Nie mogli w nieskończoność kontrolować wszystkich kultów.

– Kto nie mógł? – spytała Jude.

– Autarcha – odparł Peccable. – I Quaisoir.

Dźwięk tego imienia był jak cios w samo serce.

– Quaisoir? – powtórzyła.

– Jego kobieta. Małżonka. Królowa Yzordderrex, madame Quaisoir. Moim zdaniem to ona doprowadziła go do zguby. Autarcha nie pokazywał się ludziom. Bardzo rozsądnie. Jeżeli handel szedł dobrze, a ulice były nocą

oświecone, nikt się nim nie interesował. No, podatki, oczywiście... Podatki wszystkim nam doskwierały, zwłaszcza ludziom z rodzinami, takim jak ja, ale wierzcie mi, lepiej nam się tu żyje niż w Patashoqua czy w Iahmandhas. Wcale nie myślę, że źle się z nami obszedł. Wystarczy sobie przypomnieć, co się działo, gdy doszedł do władzy. Chaos na ulicach, połowa kesparatów uwikłana w wojny z drugą połową... Autarcha przywrócił porządek, nastąpiła stabilizacja, ludziom wiodło się dobrze. Nie, nie, on prowadził porządną politykę. Wszystko przez Quaisoir. Przywiodła go do zguby. Póki się do niczego nie mieszała, było w porządku. Jej się chyba wydaje, że wyświadcza nam łaskę, występując publicznie.

– Widziałeś ją? – zapytała Jude.

– Osobiście nie. Nawet kiedy uczestniczy w egzekucjach, nie pokazuje się ludziom. Chociaż słyszałem, że dziś zrobiła wyjątek. Są tacy, którzy ponoć widzieli jej twarz. Mówią, że jest brzydka. Brutalna. Wcale mnie to nie dziwi, te egzekucje to jej pomysł. Lubi je. A ludziom się to nie podoba. Podatki – dobrze. Czasem jakaś czystka, proces polityczny – niech będzie, też możemy się z nimi pogodzić. Ale nie można robić widowiska z wymierzania sprawiedliwości. To kpina! W Yzordderrex nie kpi się z prawa.

Peccable długo jeszcze perorował w podobnym stylu, ale Jude przestała go słuchać. Próbowała ukryć targające nią sprzeczne uczucia. Quaisoir – kobieta, która miała jej twarz – nie jest w Yzordderrex jakąś płótką, lecz władczynią miasta, a zatem i całej Imajiki. Czy Jude mogła wątpić, że przybyła tutaj w jakimś konkretnym celu? Twarz mogła jej dać istic królewską władzę. Quaisoir nie była powszechnie znana, lecz rozkazywała autarsze. Pytanie tylko – co z tego wynikało? Jude została wezwana do tego dominium z Ziemi, gdzie prowadziła nic nieznaczącą egzystencję, żeby zakosztować władzy, którą jej sobowtór zawsze się cieszył? Czy też miała jako pozorantka odwrócić uwagę mieszkańców od królowej i cierpieć za jej winy? Jeśli tak, to kto ją przywołał? Na pewno jakiś maestro, który miał swobodny dostęp do Piątego Dominium i umieścił tam swoich agentów. Czy Godolphin wiedział o spisku? Albo Dowd? Tak, to bardziej prawdopodobne. A co z Quaisoir? Czy знаła te plany, czy też była nieświadoma ich istnienia?

Dziś się wszystko wyjaśni, obiecała sobie Jude. Znajdzie sposób, żeby porozmawiać z Quaisoir, zanim ona spotka się z przysyłającym jej anioły kochankiem. Dowie się, czy ściągnięto ją z Piątego Dominium, żeby grała rolę królewskiej siostry – czy kozła ofiarnego.

ROZDZIAŁ 33

Gentle dotrzymał danego Pie słowa i wrócił z Huzzah do restauracyjki, w której jedli śniadanie. Czekali tam, aż kometa skryła się za górą i światło dnia przygasło. Była to dla nich próba nie tylko cierpliwości, ale i nerwów, ponieważ rozruchy z niżej położonych dzielnic miasta szybko rozprzestrzeniały się na wyższe kesparaty i zanosilo się na to, że przed wieczorem knajpka znajdzie się na linii frontu. Odgłosy bijatyk i wystrzałów przybliżały się, klienci wstawali od stolików i wychodzili. Z zasnutego dymem nieba zaczęły padać płatki sadzy.

Kiedy na ulicy pojawili się pierwsi ranni na noszach, co wskazywało, że front musi być dosłownie za rogiem, właściciele pobliskich sklepów zebrali się w knajpce na krótką naradę – zapewne mieli ustalić najlepszy sposób obrony lokali. Dyskusja skończyła się awanturą i wzajemnymi oskarżeniami; Gentle i Huzzah nauczyli się całkiem nowych wyzwisk. Dwóch sklepikarzy wróciło po chwili z bronią, a karczmarz – przedstawił się jako Bunyan Blew – zapytał gości, czy mają gdzie się podziać. Gentle odparł, że są w tym miejscu umówieni i byliby bardzo wdzięczni, gdyby pozwolił im zostać w lokalu do czasu spotkania.

– Pamiętam cię – powiedział Blew. – Byliście tu dziś rano, prawda? Z kobietą?

– Właśnie na nią czekamy.

– Przypominała mi dawną znajomą. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

– My też.

– No to zostańcie. Ale pomóż mi zabarykadować drzwi i okna.

Bunyan wyjaśnił, że od dłuższego czasu spodziewał się tych wydarzeń i

był przygotowany. Miał deski do zabicia okien i trochę ręcznej broni, na wypadek gdyby rabusie wdarli się do środka.

Środki ostrożności okazały się jednak zbędne. Uliczką odprowadzano i przenoszono rannych z frontu, który przemieszczał się w górę zbocza jedną przecznicę na wschód. Gentle, Huzzah i Bunyan przeżyli dwie nerwowe godziny, kiedy krzyki i strzały dobiegały dosłownie ze wszystkich stron, a butelki na półkach za barem dzwoniły głośno za każdym razem, gdy ziemia zadrziała – co zdarzało się dość często. Jeden ze sklepikarzy, który wcześniej uniósł się dumą i jak niepyszny wyszedł z narady, załomotał rozpaczliwie do drzwi. Wpuścili go. Potknął się na progu, krew płynęła mu z rany na głowie, ale miał najnowsze wiadomości o zniszczeniach. Przed godziną, jak twierdził, wojsko ściągnęło artylerię, która zrównała z ziemią port i zniszczyła groblę, przez co miasto zostało odcięte od reszty dominium. To część planu autarchy, dodał. Bo czy w przeciwnym razie pozwalałby, żeby płonęły całe dzielnice? Czekał, aż miasto samo pochłonie mieszkańców; pożary nie mogły przenieść się na pałac.

– Tłum sam się zniszczy – ciągnął. – A jego nic nie obchodzi, co się z nami przez ten czas stanie. Drań! Spalą nas żywcem, a on palcem nie kiwnie, żeby nam pomóc!

Wyglądało na to, że taki scenariusz dobrze opisuje rzeczywistość. Za radą Gentle'a weszli na dach, żeby zorientować się w sytuacji. Ocean przesłaniała chmura dymu ze zgliszcz portu, następne prześwietlone płomieniami słupy dymu wzbijały się z ponad dwudziestu bliższych i dalszych dzielnic, przez ciemne od sadzy powietrze nad Oke T'Noon widać było zaśmiecające deltę rzeki resztki grobli. Odgradzona czarnymi chmurami od miasta kometa świeciła blado. Nadchodził zmierzch.

– Na nas już czas – powiedział Gentle do Huzzah.

– Dokąd pójdziemy?

– Poszukamy Pie'oh'paha. Póki jeszcze możemy.

*

Z dachu widzieli, że nie ma bezpiecznej drogi do rodzinnego kesparatu mistyfa. Rozruchy i uliczne bitwy przenosiły się z miejsca na miejsce w nie-
możliwy do przewidzenia sposób; opustoszały w jednej chwili zaułek mógł za moment zaroić się ludźmi, a po paru minutach zmienić się w gruzowisko.

Musieli zaufać instynktowi i modlić się o odrobinę szczęścia, wybierając możliwie najkrótszą trasę. Zmierzch w Drugim Dominium trwał mniej więcej tyle co zimowy dzień w Anglii – czyli pięć, sześć godzin; ogon komety rozjaśniał niebo jeszcze długo po tym, jak jej ognista głowa zniknęła za horyzontem. Dym jednak gęstniał szybko, przesłaniał niebo i pogrążał miasto w brudnym półmroku. Pożary, naturalnie, rozjaśniały krajobraz, ale tam, gdzie nic się nie paliło, nie było lamp, a mieszkańcy pozasłaniaли okna i dziurki od kluczy, panowała nieprzenikniona ciemność. Wtedy Gentle brał Huzzah na barana, żeby z większej wysokości mogła wypatrywać punktów orientacyjnych.

Ich wędrówka była bardzo powolna. Na każdym skrzyżowaniu przystawali, żeby wybrać najbezpieczniejszą drogę; kryli się po bramach zarówno przed wojskiem autarchy, jak i przed buntownikami. Na każdego żołnierza przypadało jednak z pół tuzina gapiów, którzy niczym zbieracze śmieci na plaży uskakiwali przed każdą nadciągającą falą, by zaraz po jej przejściu wrócić na swoje punkty obserwacyjne. Czasem dosłownie igrali ze śmiercią, ale Gentle i Huzzah zmuszeni byli pójść w ich ślady. Raz po raz spychani z obranego kursu, musieli wierzyć, że instynkt wskaże im właściwy kierunek – ale w końcu instynkt ich opuścił.

Na chwilę zapadła niesamowita cisza pomiędzy wystrzałami.

– Aniołku, już nie wiem, gdzie jesteśmy – stwierdził Gentle.

Systematyczne bombardowanie zrównało kesarat z ziemią i niewiele zostało miejsc, w których można by się chować, lecz Huzzah uparła się, żeby zaraz znaleźć jakąś kryjówkę; nie mogła dłużej lekceważyć zewu natury. Kiedy Gentle postawił ją na ziemi, ruszyła w stronę stojącego nieopodal, na wpół zburzonego domu. Gentle stanął na straży przy drzwiach, ostrzegając dziewczynkę, żeby nie zapuszczała się za daleko w ruiny. Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy sam musiał się schować. Na ulicy pojawiła się grupka uzbrojonych mężczyzn. Gdyby nie broń – z pewnością zdobyczna – trudno byłoby ich wziąć za rewolucjonistów. Najstarszy miał około sześćdziesięciu lat i beczkowaty tułów. Nie zdjął nawet kapelusza i krawata, w których zapewne rano wyszedł do pracy. Dwaj z jego współników byli niewiele starsi od Huzzah. Obok szła oethacka kobieta i przedstawiciel rasy znanej Gentle'owi z Vanaeph – nullianac, z głową jak złączone w modlitwie dłonie.

Gentle odwrócił się i spojrział do tyłu, w ciemność. Chciał dać znać Huzzah, żeby była cicho, ale nigdzie jej nie widział. Zagłębił się w ruiny. Podłoga kleiła mu się pod stopami, ale nie wiedział od czego. W końcu dostrzegł

małą; wstawiała właśnie z kucków. Zaprotestowała na jego widok, więc uci-
szył ją najgłośniejszym syknięciem, na jakie się odważył. Gdzieś w pobliżu
wybuchło kilka pocisków artyleryjskich. W błyskach eksplozji Gentle mógł
wreszcie rozejrzeć się po ich kryjówce. Jadalnia, stół nakryty do kolacji, mar-
twa kucharka pod stołem, podłoga lepka od jej krwi... Skinął na Huzzah,
przytulił ją mocno i razem wrócili pod drzwi. Kolejne eksplozje kazały gru-
pie szabrowników szukać schronienia w bramie i oethacka kobieta zauważyła
Gentle'a, zanim zdążył się usunąć w cień. Krzyknęła i jeden z chłopców
strzelił na oślep w mrok. Odbity tynk i drzazgi zafurkotały w powietrzu. Gen-
tle odciągnął Huzzah od drzwi, przez które musieli wejść napastnicy, kazał
się jej schować i wziął głęboki wdech. Chłopak z karabinem stanął na progu i
znów nacisnął cyngiel, nie patrząc, gdzie sieje kulami. Gentle uwolnił pneu-
mę. Nie docenił jej siły – strzelec w mgnieniu oka zniknął, a wraz z nim fu-
tryna i znaczna część ściany po obu stronach drzwi.

Zanim opadł kurz i reszta rabusiów wpadła do pokoju, Gentle rzucił się na
poszukiwanie Huzzah, ale ściana, pod którą ją zostawił, popękała i wygięła
się jak kamienna fala. Zawołał dziewczynkę. Mur runął, ale Huzzah odpo-
wiedziała mu gdzieś z lewej strony. Wpadła w ręce nullianaca i przez jedną
prerażającą chwilę wydawało się, że zaraz zginie, lecz nullianac przytulił ją
jak lalkę i zniknął w następnym obłoku kurzu.

Nie oglądając się za siebie, Gentle pobiegł za nim. To był błąd. Zdążył
zrobić dwa kroki, gdy oethacka kobieta dźgnęła go czymś ostrym w krzyż.
Padł na kolana. Rana nie była głęboka, ale zaparło mu dech przy upadku.
Gdyby odruchowo nie odturlał się na bok, drugi cios rozłupałby mu czaszkę.
Mokry od jego krwi nadziak, który trzymała w dłoni, wbił się w podłogę. Za-
nim zdążyła go wyciągnąć, Gentle pozbierał się i pobiegł za Huzzah i pory-
waczem. Drugi chłopak biegł za nullianakiem i darł się jak opętany. Albo się
schlał, albo naćpał, uznał Gentle, podążając za jego głosem tam, gdzie dym
ograniczał widoczność. Wybiegli ze zrujnowanej dzielnicy i znaleźli się w
kesparacie, który niewiele ucierpiał w zamieszkach.

Nie bez powodu. To była dzielnica uciech seksualnych i interesy kwitły.
Tak wąskie uliczki widział w Yzorderrex po raz pierwszy, ale w oknach i
drzwiach wszędzie paliły się lampy i świece, żeby jak najlepiej oświetlić wy-
stawiający się w niedbałej pozie towar. Nawet przelotny rzut oka wystarczył,
by stwierdzić, że zakres usług pozostawił daleko w tyle najbardziej rozpustne
dzielnice Bangkoku i Tangerangu. Na brak klientów też nikt nie mógł narzekać.

Bliskość śmierci chyba dodatkowo zwiększała popyt. Nawet jeśli alfonsi i handlarze ciał, którzy na wyścigi oferowali biegnącemu Gentle'owi najlepsze kąski w swojej kolekcji, mieli nie dożyć rana, chcieli umrzeć bogaci. Naturalnie widok nullianaca uciekającego z dziesięcioletnim dzieckiem na rękach nikogo w takim miejscu nie gorszył, toteż okrzyki Gentle'a, żeby go zatrzymać, nie wywołały żadnej reakcji.

Im dalej biegli, tym bardziej gęstniał tłum i w końcu nie dość, że stracił z oczu porywacza, to jeszcze przestał słyszeć wydzierającego się chłopaka. Od głównej ulicy (Lubieżnej, jak głosił wymalowany na ścianie burdelu napis) odchodziły mniejsze, ciemniejsze; nullianac mógł się ukryć w każdej z nich. Gentle zawołał Huzzah, ale zagłuszyły go głosy naganiaczy i targujących się z nimi klientów. Chciał już pobiec dalej, gdy z najbliższej przecznicy wynurzył się mężczyzna z dziwnym wyrazem twarzy. Gentle złapał go za rękę, ale nieznajomy wyrwał się i uciekł.

Kilkadziesiąt kroków dalej płonęła sterta materaców, podsycana przez kobietę w masce. Owady, które załęgły się w materiale, próbowały uciekać przed ogniem; podfruwały na osmolonych skrzydłach, ale kobieta rozgniatała je na miejscu. Uchylając się przed jej wymachami, Gentle zapytał o nullianaca. Skinieniem głowy wskazała mu drugi koniec uliczki. Na ziemi roiło się od robactwa, które wypełzło z materaców. Przy każdym kroku miażdżył pod podeszwą setkę chitynowych pancerzyków, dopóki nie oddalił się od ogniska. Jasno oświetlona ulica Lubieżna została daleko z tyłu. Bombardowanie trwało bez przerwy. Eksplozje pocisków na stoku góry krótkimi, oślepiającymi błyskami rozświetlały mroczny zaułek. Drzwi i okna w domach były zabite deskami lub zamurowane, uliczka wąska i brudna, niewiele szersza niż rynsztok, dławiący się śmieciami i zgniłym jedzeniem. Odór rozkładu przysparzał o mdłości, ale Gentle wciągał go głęboko do płuc, mając nadzieję, że zrodzona z niego pneuma będzie miała większą moc. Ci, którzy uprowadzili Huzzah, już zasłużyli na śmierć, ale jeśli zrobili jej jakąś krzywdę, przysięgał w duchu, że zrewanżuje się z nawiązką, zanim ich zabije.

Uliczka kluczyła, a miejscami zwężała tak bardzo, że tylko jeden człowiek mógł się przecisnąć. Gentle wkrótce usłyszał znajomy wrzask chłopca. Brodził w sięgającej do pół łydki warstwie odpadków, aż dostrzegł przed sobą światło. Kilka metrów dalej uliczka się kończyła. Nullianac przykucnął i oparł się plecami o ścianę naprzeciwko. Źródłem światła nie była żadna lampa ani płomień, lecz jego głowa. Między tworzącymi ją dłońmi lśnił łuk

elektryczny.

W migotliwym świetle wyładowań Gentle dostrzegł swojego aniołka. Huzzah leżała na ziemi. Nie poruszała się, miała zamknięte oczy i całkiem bezwładne ciało, za co Gentle w duchu dziękował niebiosom, widząc, co robi nullianac. Stwór rozebrał ją od pasa w dół i obmacywał długimi, bladymi palcami. Chłopak, który przez całą drogę pokrzykiwał radośnie, stał nieopodal z rozpiętym rozporkiem. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej na wpół stwardniały członek. Od czasu do czasu mierzył z karabinu w głowę Huzzah i wydawał swój charakterystyczny okrzyk. Gentle miał ochotę od razu, nie ruszając się z miejsca, zabić ich obu pneumą, bał się jednak, że nie ma jeszcze dość wprawy we władaniu mocą i mógłby zrobić krzywdę dziewczynce. Podszedł więc nieco bliżej. Wybuch w położonym wyżej kesparacie rozświetlił scenę brutalnym blaskiem. Mignęły mu palce nullianaca i usłyszał jęk Huzzah. Ścisnęło go w dołku. Mrok znów zgęstniał i tylko łeb nullianaca rzucał słabą poświatę na cierpiące dziecko. Chłopak umilkł i stał nieruchomo. Nie odrywał wzroku od rozgrywającej się przed nim sceny. Nullianac podniósł głowę i wypowiedział kilka słów, które zadudniły w komorze między połówkami jego czaszki. Krzykacz odsunął się jeszcze trochę – posłusznie, choć bez entuzjazmu. Zbliżał się krytyczny moment. Głowa nullianaca zapłonęła ze zdwojoną mocą, jego dłonie gmerały przy Huzzah, jakby chciał ją jak najlepiej ułożyć, zanim wystrzeli swój ładunek. Gentle wziął głęboki wdech. Jeżeli miał uratować Huzzah, musiał zaryzykować, że zrobi jej krzywdę.

Krzykacz usłyszał go i odwrócił się, patrząc w ciemny wylot uliczki. Ekspłodował następny pocisk i z góry spłynęła na nich trupio blada poświata. Chłopak zobaczył Gentle'a i strzelił serią, ale albo brak wprawy, albo podniecenie nie pozwoliły mu należycie wycelować. Nie trafił, a Gentle nie dał mu drugiej szansy. Oszczędzając pneumę na nullianaca, doskoczył, wytrącił chłopcu broń z ręki, podciął go i przewrócił. Dzieciak wciąż miał karabin na wyciągnięcie ręki, ale kiedy po niego sięgał, Gentle zmiażdżył mu palce i z gardła chłopaka dobył się zupełnie inny okrzyk niż dotychczas.

Nullianac podniósł ognisty łeb. Wyładowania brzmiały jak strzały z bata. Gentle przytknął pięść do ust i wypuścił pneumę. W tej samej chwili leżący obok krzykacz szarpnął go za nogę. Zabójczy pocisk dosięgnął nullianaca, ale zamiast w głowę, trafił go w bok i nie zadał śmiertelnej rany. Dzieciak pociągnął mocniej i Gentle przewrócił się w błoto obok niego. Uderzył zranionymi plecami o ziemię. Przed oczami zamigotały mu czarne plamy, a za-

nim wzrok mu wrócił, krzykacz zdążył się pozbierać i grzebał przy pasku, szukając innej broni. Gentle zerknął na nullianaca – stwór osunął się na ścianę i siedział z odrzuconą w tył głową. Spomiędzy tworzących ją dłoni tryskały iskry. Nie dawały wiele światła, ale wystarczyły, żeby Gentle wypatrzył leżący tuż obok karabin. Sięgnął po niego i wycelował w krzykacza. Mierzył nie w głowę i nie w pierś, lecz prosto w krocze – cel był mniejszy, ale dzieciak natychmiast wypuścił broń.

– Niech pan tego nie robi! – zawył.

– Pas... – powiedział Gentle, wstając.

Chłopak posłusznie odpiął pas i pozbył się skradzionego arsenału.

Kolejny błysk eksplozji ukazał Gentle'owi roztrzęsione, żalodne i bezbronne dziecko. Jakiegokolwiek zbrodnie popełniło, jego śmierć nikomu nie przyniosłaby chwały.

– Wracaj do domu. Jak cię jeszcze raz zobaczę...

– Nie zobaczy mnie pan! Przysięgam! Przysięgam, że nie!

Krzykacz nie dał Gentle'owi czasu na zmianę decyzji, lecz uciekł, zanim jeszcze zgasło światło ostatniego wybuchu. Z karabinem w rękach Gentle odwrócił się do nullianaca, który opierając się o ścianę, zdołał wstać z ziemi. Obie dłonie przytknął do miejsca, w które trafiła go pneuma; palce miał czerwone od krwi. Gentle miał nadzieję, że ten stwór bardzo cierpi, ale nie mógł mieć pewności, dopóki nullianac się nie odezwał. Kiedy przemówił i słowa popłynęły z jego czaszki, ledwie można je było zrozumieć:

– Które z was... Ciebie czy ją? Jedno zabiję, zanim umrę. Kogo wybierasz?

– Ja zabiję cię wcześniej. – Gentle wycelował karabin w głowę nullianaca.

– To możliwe, zdaję sobie z tego sprawę. Pod Patashoqua zabiłeś mojego brata.

– Brata?

– Jest nas mało. Wiemy, co się z każdym dzieje.

– Jak będziesz grzeczny, to nie zrobi się was jeszcze mniej. – Gentle zrobił krok w stronę Huzzah, nie spuszczając nullianaca z oka.

– Żyje – uspokoił go porywacz. – Nie zabiłbym nic tak młodego, nie tak szybko. Młode zasługują na powolną śmierć.

Gentle zaryzykował spojrzenie na dziewczynkę. Huzzah miała szeroko otwarte oczy. Przyglądała mu się przerażona.

– Wszystko w porządku, aniołku – uspokoił ją. – Nic ci się nie stanie. Mo-

żesz chodzić?

Przeniósł wzrok na nullianaca. Żałował, że nie rozumie, co znaczy taniec płomieni w jego czaszce. Czy rana okazała się poważna i oszczędzał siły, żeby szybciej wrócić do zdrowia? Czy raczej czekał na dogodny moment, żeby zaatakować?

Huzzah usiadła z wysiłkiem, pojękując z bólu. Miał ochotę utulić ją i pocieszyć, ale odważył się tylko przykucnąć obok niej i po omacku znaleźć ubranie, które zdarł z niej nullianac.

– Możesz chodzić, aniołku?

– Nie wiem – odparła przez łyzy.

– Spróbuj. Pomogę ci.

Wyciągnął do niej rękę, ale odsunęła się, wykrztusiła „nie” i sama wstała.

– Świetnie, malutka – ucieszył się Gentle. Płomyki w głowie nullianaca wyraźnie się ożywiły. – Teraz zacznij iść, aniołku. Nie martw się o mnie. Zaczekam na ciebie.

Powoli, nie mogąc jeszcze opanować łkania, Huzzah posłusznie ruszyła w stronę wylotu uliczki.

– Co za widok – mruknął nullianac. – Serce mi pęknie. – Wyładowania w jego głowie wydawały już znajomy trzask, na razie przypominający słyszane z daleka fajerwerki. – Co bylibyś gotów zrobić, żeby ją ocalić?

– Wszystko.

– Oszukujesz sam siebie. Kiedy zabiłeś mojego brata, rozpytywaliśmy o ciebie, ja i inni krewni. Wiemy, jaki z ciebie nędzny zbawiciel. Co znaczy moja zbrodnia w porównaniu z twoją? To nic wielkiego, popełniłem ją, ponieważ miałem na to ochotę. Ale ty... ty... zniweczyłeś nadzieje wielu pokoleń. Zniszczyłeś owoce drzew wielkich ludzi. Mimo to śmiesz twierdzić, że poświęciłbyś życie, żeby ratować jej duszyczkę?

Dziwna była nie tylko nagła elokwencja nullianaca, ale także treść jego słów. Co to za bzdury?! Łgał jak z nut, to oczywiste, ale odwrócił uwagę Gentle'a na ten jeden krytyczny moment. Zareagował natychmiast, gdy tylko zauważył niepewność przeciwnika. Mimo że dzieliły ich najwyżej dwa metry, Gentle wychwycił trwającą ułamek sekundy ciszę, która oddzielała błysk od odgłosu strzału. Ta pustka najlepiej potwierdzała, że nędzny z niego zbawiciel. Śmierć już wybiegła dziewczynce na spotkanie.

Odwrócił się i ujrzał Huzzah w głębi uliczki. Albo postanowiła na niego zaczekać, albo słuchała przemowy nullianaca – w każdym razie zwróciła się

twarzą na spotkanie śmierci. Czas jednak zwolnił bieg. Gentle zdążył zobaczyć smutne oczy dziecka i wysychające łzy na policzkach; zdążył nawet krzyknąć. Huzzah zamknęła oczy i jej twarz stała się czystą kartą, na której mógł wypisać słowa każdego oskarżenia, jakie podsuwało mu sumienie.

I wtedy trafił ją ładunek z głowy nullianaca. Uderzył z pełną mocą, ale nie zranił jej ciała. Przez ułamek sekundy Gentle łudził się nadzieją, że znalazła jakiś sposób, żeby się przed nim obronić. Strzał nullianaca był jednak bardziej zdradziecki od kuli czy noża. Z miejsca, w które trafił, światło rozlało się po ciele Huzzah, sięgnęło jej twarzy, gdzie przez wszystkie możliwe otwory wniknęło do wnętrza i spłynęło w dół, do miejsca, którego już wcześniej dotykały palce zabójcy.

Gentle krzyknął jeszcze raz, z obrzydzenia. Odwrócił się do nullianaca, uniósł zapomniany na chwilę karabin i strzelił mu w serce. Nullianac poleciał bezwładnie na ścianę, ale jego czaszka wciąż jarzyła się morderczym blaskiem. Kiedy Gentle ponownie spojrzał na Huzzah, światło pożerało ją od środka. Rozpływała się w powietrzu i śladem zabójczego promienia zdążyła prosto do komory, z której wytrysnął. Na oczach Gentle'a twarz dziewczynki rozpadła się, jej ręce, i tak chude, stały się niematerialne i Huzzah spłynęła do czaszki nullianaca. Zanim jednak stwór pochłoniął ją całkowicie, odczuł skutek strzału z karabinu. Świetlisty strumień mocy zamigotał, popękał, a wreszcie zgasł. Zapadła ciemność i przez chwilę Gentle nie widział nawet zwłok nullianaca. Kiedy jednak nasilił się ostrzał wyższych dzielnic, ujrzał w błyskach eksplozji martwego stwora na ziemi.

Przyglądał mu się podejrzliwie, spodziewając się jakiegoś ostatniego aktu zemsty, ale nic się nie stało. Światło przygasło. Wycofał się tą samą uliczką, którą przyszedł. Ciążyły mu nie tylko wyrzuty sumienia z powodu śmierci Huzzah, ale też niemożność zrozumienia, co się właściwie stało. W krótkich słowach można by to ująć tak: dziecko, którym się opiekował, zostało uprowadzone i zabite, a on nie zdołał temu zapobiec. Za długo jednak wędrował po dominiach, żeby zadowalać się prostymi wyjaśnieniami. Z pewnością i tutaj chodziło o coś więcej niż niespełniona żądza i gwałtowna śmierć. Słowa, które usłyszał od nullianaca, bardziej pasowały do uniwersyteckiej katedry niż do rynsztoka. Sam nazwał Huzzah aniołkiem, prawda? Czy tuż przed śmiercią nie zmieniła się w anioła, który wie, że zginie, i godzi się ze swoim losem? Czy nullianac nie nazwał go niedoskonałym zbawicielem? Czy zabijając dziewczynkę, nie udowodnił mu, że ma rację? Wszystko to były pod-

niosłe słowa, ale Gentle musiał wierzyć, że są jak najbardziej na miejscu – nie po to, żeby zadośćuczynić swoim mesjanistycznym fantazjom, lecz by ukoić wzbierający w nim smutek. Musiał żyć nadzieją, że jest w tym wszystkim jakiś wyższy cel, który zrozumie, gdy czas się wypełni.

Wybuch rozjaśnił uliczkę. Cień Gentle'a padł na jakiś drgający w rynsztoku kształt. Nie od razu się zorientował, co ma przed sobą, ale gdy to do niego dotarło, zawył z rozpaczy. Huzzah nie zniknęła bez śladu. Resztki jej skóry i skrawki mięśni, porzucone, gdy moc nullianaca wygasła, opadły między śmieci i poruszały się jeszcze. Nie dało się jej rozpoznać. Łzy napłynęły mu do oczu. Wyciągnął rękę, lecz zanim musnął szczątki Huzzah, życie odpłynęło z nich ostatecznie.

Wstał. Czuł narastający gniew. Miał dość brudu pod stopami i pustych domów nad rynsztokiem; brzydził się samego siebie, bo on przeżył, a aniołek musiał zginąć. Odwrócił się do najbliższej ściany, nabrał powietrza w płuca i przytknął do ust nie jedną, lecz obie pięści, zamierzając przynajmniej pogrzebać zwłoki dziecka.

Pneuma zaczerpnęła moc z jego złości i odrazy. Gdy wystrzeliła z jego dłoni, przebiła nie jedną ścianę, lecz kilka; wchodziła w nie jak pocisk z pistoletu w talię kart. Odłamki kamienia fruwały w powietrzu, domy waliły się w gruzy i każdy pociągał za sobą następny; chmura kurzu rosła w miarę, jak rozszerzało się gruzowisko.

Gentle pobiegł przed siebie zaułkiem, próbując prześcignąć pneumę. Zaczynał się bać. Pneuma kierowała się w stronę Lubieżnej, gdzie kłębił się nieświadomy niczego tłum. Naturalnie ci, którzy się tam znaleźli, zdawali sobie sprawę z otaczającego ich zepsucia i w nim uczestniczyli, ale nie zasługiwali na śmierć. Zaczął żałować, że nie może równie łatwo przywołać pneumy z powrotem, wchłonąć jej do płuc. Mógł tylko biec za nią i modlić się, żeby burząc domy, wyczerpała swą energię, zanim uderzy w tłum.

W deszczu odłamków majaczyła mu już ulica Lubieżna. Przyspieszył i zdołał minimalnie wyprzedzić pneumę, gdy ujrzał tabuny klientów. Przybyło ich od czasu, gdy skręcił w zaułek. Niektórzy odrywali się od podziwiania wystaw i obserwowali postępujące zniszczenia. Widział ich wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte usta; uśmiechali się i kręcili z niedowierzaniem głowami, ale nikt nie rozumiał zagrożenia. Zdając sobie sprawę, że ostrzegawcze krzyki utoną w ogólnej wrzawie, dobiegł do końca uliczki i rzucił się z impetem w tłum. Chciał roztrącić i rozproszyć ludzi, lecz jego rozpaczliwe

próby przyciągnęły tylko następnych widzów, którzy w dodatku szybko zainteresowali się walącym się w gruzy zaułkiem. Dopiero teraz pojedynczy gapię zaczynali pojmować, co się za chwilę stanie; wyraz zaciekawienia na ich twarzach ustępował przerażeniu. Kiedy inni podchwycili ich niepokój i rzucili się do ucieczki, było już za późno.

Pneuma uderzyła jak piorun. Przedarła się przez ostatni mur, sypnęła dookoła zabójczym deszczem kamieni i drewna, i trafiła w największe skupisko ludzi. Gdyby Hapexamendios w napadzie boskiego gniewu chciał oczyścić Lubieżną z grzechu, naprawdę trudno byłoby mu zrobić to lepiej. Tłum w mgnieniu oka zmienił się w krwawą miazgę.

Znajdujący się w samym jego środku Gentle uszedł z masakry cało. Patrzył, jak jego tajna broń sieje zniszczenie. Wyglądało na to, że przebicie kilkunastu domów wcale jej nie osłabiło. W dodatku po tym, jak wycięła w tłumie krwawy szlak, zoczyła z trajektorii, jaką wyznaczyło jego dmuchnięcie. Poczwała krew. Zamierzała unicestwić wszelkie życie.

Ta myśl nim wstrząsnęła. Nie chciał, żeby do tego doszło. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zastąpić pneumie drogę, co też natychmiast uczynił. Kilkakrotnie już użył płynącej z płuc mocy – zabił nullianaca w Vanaeph, dwa razy przydała mu się w górach, raz na wyspie, gdy uciekali z przytułku Vigora N'ashapa – ale cały czas miał mętne pojęcie o tym, jak właściwie wygląda pneuma. Czy przypomina ogniste zionięcie smoka, czy raczej niewidzialny pocisk utworzony z energii i powietrza? Może to drugie przypuszczenie było bliższe prawdy, ale stanąwszy na drodze pneumy, przekonał się, że w locie osiadły na niej kurz i krew, dzięki którym stała się widzialna. I upodobniła się do swego stwórcy. Widział pędzącą ku niemu własną twarz, z grubą ciosaną, ale identyczną: czoło, oczy, usta otwarte w chwili wydechu, z którego pneuma wzięła swój początek. Nie zwolniła, lecz uderzyła go prosto w pierś – tak jak wielu innych przed nim. Poczwał wstrząs, ale się nie przewrócił. Wróciwszy do źródła, moc rozpląnęła się w jego ciele; poczuł mrowienie w palcach, zaświerzbiła go skóra czaszki. Wszystko trwało ułamki sekund. Zniknęła i został sam wśród zniszczeń i trupów. Stał z rozłożonymi ramionami. Kurzawa wolno osiadała.

Zrobiło się cicho. Gdzieś z daleka słyszał szloch rannego człowieka i łoskot walącej się ściany, ale otaczała go pełna szacunku cisza. Ktoś nieopodal uklęknął. Gentle pomyślał, że pewnie próbuje pomóc któremuś z rannych, ale po chwili ujrzał wyciągnięte w jego stronę ręce i usłyszał głośne, pełne

uwielbienia okrzyki. Następny człowiek padł na kolana, po nim dalsi, jak gdyby doczekali się wreszcie jakiegoś znaku. Długo powstrzymywane wyrazy boskiej czci płynęły wprost z ich serc.

Zdegustowany Gentle odwrócił się od pałających wdzięcznością twarzy. Miał tylko jeden cel – odszukać Pie i schronić się przed tym obłędem w jego ramionach. Wszedł z kręgu wiernych i ruszył do góry, nie zwracając uwagi na wyciągnięte ręce i okrzyki uwielbienia. Chciał zbesztać ich za naiwność, ale na nic by się to nie zdało. Jakiegokolwiek słowa z jego ust – choćby najbardziej samokrytyczne – potraktowano by zapewne jako przyczynek do jakiejś ewangelii. Milczał więc i szedł ze spuszczoną głową, klucząc wśród trupów i kamieni. Hosanny ścigały go po całej Lubieżnej, ale udawał, że ich nie słyszy, choć ta obojętność mogła mu zostać poczytana za boską skromność.

Pobojowisko u wylotu bocznej uliczki wyglądało przerażająco. Ruszył przez nie na oślep. Nic nie mogło go już przerazić, po tym jak widział drgające w błocie szczątki Huzzah – i słyszał dobiegające z za jego pleców pochwalne hymny. Ci, którzy je śpiewali, nie wiedzieli, że wybawca Lubieżnej był zarazem jej katem, ale pieśni nie brzmiały przez to mniej kusząco.

ROZDZIAŁ 34

1

Wszelka radość, jakiej świadkami były wnętrza chianculi (cyrk obchodził się bez kłownów i kucyków, ale i tak każdy przedsiębiorca rozrywkowy z Piątego Dominium dałby się pokroić, żeby go mieć u siebie), zniknęła bez śladu. Rozległe, dudniące echem sale stały się miejscem żałoby i sądu. Dziś oskarżonym był Pie'oh'pah, oskarżycielem zaś – jeden z niewielu prawników, jacy ocalili z organizowanych na zlecenie autarchy czystek, astmatyczny, wiecznie skwaszony Thes'reh'ot. Tym razem publiczność składała się z dwóch osób – Pie'oh'paha i sędziego – ale Thes'reh'ot wygłaszał litanię przestępstw oskarżonego z taką swadą, jakby sala była wypełniona po brzegi. Win mistyfa wystarczyłoby, żeby kilkanaście razy skazać go na karę śmierci. Pie'oh'pah był z pewnością zdrajcą i tchórzem, a najprawdopodobniej także donosicielem i szpiegiem. Najgorsze, czego się dopuścił, to opuszczenie rodzimego dominium i osiedlenie się w innym bez zgody rodziny i nauczycieli. Odmówił w ten sposób swojemu ludowi przywileju obcowania ze swoją niezwykłą istotą. Czy w swej arogancji zapomniał, że kondycja mistyfa jest rzeczą świętą i że prostytuując się w innych światach (jakby tego było mało, musiał wybrać akurat Piąte Dominium – grzęzawisko, gdzie żyły najgorsze męty!), grzeszył nie tylko przeciw sobie, ale i przeciw swojemu gatunkowi? Opuszczał dom w czystości, a śmiał wrócić splugawiony i zepsuty, w towarzystwie istoty z Piątego Dominium, w dodatku oświadczył, że ta istota jest jego mężem!

Pie spodziewał się niemiłego przyjęcia – jego lud szczylił się znakomitą pamięcią i hołubił tradycję jako jedyny łącznik z Pierwszym Dominium – lecz zdumiała go zaciekłość mowy oskarżycielskiej. Sędzina Culus'su'erai była kobietą wielkiej powagi i niepozornej postury. Siedziała okutana szatą równie bezbarwną jak jej skóra i słuchała litanii grzechów, nie patrząc ani na oskarżyciela, ani na podsądnego. Kiedy Thes'reh'ot skończył, przyznała mistryfowi prawo do obrony. Pie zrobił co w jego mocy.

– Przyznaję, że popełniłem liczne błędy. Przede wszystkim porzuciłem rodzinę i mój lud, nie mówiąc im ani dokąd się wybieram, ani po co. Moje wytłumaczenie jest proste. Sam tego nie wiedziałem. Miałem szczerzy zamiar wrócić po roku, może dwóch; wydawało mi się, że wszyscy z przyjemnością usłyszą, jak opowiadam o swojej podróży. Wróciłem więc, jednak nie ma mnie kto słuchać.

– Co cię podkusiło, żeby udać się do Piątego Dominium? – spytała Culus.

– Kolejna pomyłka z mojej strony. W Patashoqua poznałem teurga, który zaproponował, że mnie tam zabierze. Zabawimy tam dzień, powiedział, i zaraz wracamy. Krótki skok. Jeden dzień. Uznałem, że to świetny pomysł. Zapłaciłem więc...

– W jaki sposób? – wtrącił Thes'reh'ot.

– Gotówką i paroma drobnymi przysługami. Nie prostytuowałem się, jeśli to chciał pan zasugerować. Chociaż może to też był błąd, może gdybym z nim poszedł, dotrzymałby słowa... A tak odprawił rytuał i znalazłem się w In Ovo.

– Jak długo tam przebywałeś? – spytała Culus'su'erai.

– Nie wiem. Cierpienie w In Ovo zdaje się nie mieć końca, ale w rzeczywistości mogło trwać tylko kilka dni.

Thes'reh'ot prychnął pogardliwie.

– Sam sobie przysporzył tych cierpień, Wysoki Sądzie. Jaki to ma związek ze sprawą?

– Może nie mieć żadnego – zgodziła się Culus'su'erai. – Z In Ovo do Piątego Dominium przywołał cię jakiś maestro, tak?

– Tak, Wysoki Sądzie. Nazywał się Sartori. Reprezentował Piąte Dominium w pracach Synodu podczas przygotowań do Pojednania.

– Służyłeś mu?

– Tak.

– W jaki sposób?

– W każdy, jakiego sobie zażyczył. Byłem jego chowańcem.

Thes'reh'ot parsknął zde gustowany. On wcale nie udaje, pomyślał Pie. Myśl, że jeden z jego pobratymców – zwłaszcza obdarzony takim darem jak mistyf – mógłby służyć homo sapiens, była szokująca.

– Czy twoim zdaniem Sartori był dobrym człowiekiem? – spytała Culus.

– To była taka sama paradoksalna natura, jak oni wszyscy. W najmniej oczekiwanych chwilach przejawiał i współczucie, i okrucieństwo. Miał nadmiernie wybujałe ego, ale wydaje mi się, że inaczej nie mógłby przyjąć na siebie odpowiedzialności związanej z Pojednaniem.

– Był wobec ciebie okrutny?

– Słucham, Wysoki Sądzie?

– Nie rozumiesz pytania?

– Rozumiem, ale nie widzę związku ze sprawą.

Culus'su'erai chrząknęła z niezadowoleniem.

– Sąd obraduje może z mniejszą pompą niż dawniej, to fakt. Jego funkcjonariusze się postarzel, ale ich władza nie uległa umniejszeniu. Rozumiesz mnie, mistyfie? Kiedy zadaję pytanie, oczekuję szybkiej i szczerej odpowiedzi.

Pie wymamrotał przeprosiny.

– Dobrze... Powtórzę teraz moje pytanie. Czy Sartori był wobec ciebie okrutny?

– Czasem tak.

– Lecz mimo to po nieudanej próbie Pojednania postanowiłeś z nim zostać i nie wracać do rodzimego dominium?

– Przywołał mnie z In Ovo. To mnie zniewoliło. Nie miałem prawa go opuścić.

– Niemożliwe! – stwierdził Thes'reh'ot. – Mamy uwierzyć...

– Chyba nie słyszałam, żeby prosił pan o głos, prawda?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Chce pan zadać oskarżonemu pytanie?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Nie wyrażam zgody. – Culus'su'erai zwróciła się do Pie: – Chyba sporo się nauczyłeś w Piątym Dominium, mistyfie. Tym gorzej dla ciebie. Jesteś arogancki, przebiegły i pewnie nie mniej okrutny od swojego maestra. Nie wierzę jednak, byś był szpiegiem. Gorzej, jesteś głupcem. Odwróciłeś się plecami do tych, którzy cię kochali. Dałeś się zniewolić człowiekowi, który

odpowiada za śmierć wielu dobrych mieszkańców Imajiki. Widzę, że chce pan coś koniecznie powiedzieć, Thes'reh'ot. Byle szybko. Zaraz wydam wyrok.

– Chciałem przypomnieć, że szpiegostwo nie jest jedynym zarzutem, jaki na nim ciąży, Wysoki Sądzie. Popełnił poważne wykroczenie przeciwko swoim bliskim, odmawiając im swojej osoby.

– Nie wątpię. Szczerze mówiąc, ta splugawiona istota, która kiedyś otarła się o doskonałość napawa mnie obrzydzeniem. Pozwoli pan jednak, że przypomnę, jak niewiele nas zostało, Thes'reh'ot. Nasze plemię prawie nie istnieje. Mistyf jest ostatnim członkiem swojego rodu.

– Ostatnim? – zdziwił się Pie.

– Tak, ostatnim! – Głos Culus'su'erai drżał. Wstała z miejsca. – Podczas gdy ty zabawiałeś się beztrosko w Piątym Dominium, nasz lud został zdiełsiątkowany. W mieście została nas niespełna pięćdziesiątka, pozostali albo zginęli, albo uciekli. Twój ród nie istnieje, Pie'oh'pahu: ci, których nie wymordowano, pomarli z żalu.

Mistyf ukrył twarz w dłoniach, ale Culus'su'erai nie oszczędziła mu reszty:

– Dwa inne mistyfy wyszły cało z czystek i żyły tu aż do zeszłego roku. Jeden zginął tu, w chianculi, kiedy opiekował się chorym dzieckiem. Drugi uszedł na pustynię. Tam, na skraju Pierwszego Dominium, mieszkają niebytowcy. Żołnierze autarchy niechętnie zapuszczają się tak blisko Wybielu, ale złapali mistyfa, zanim znalazł namioty niebytowców. Przywieźli jego ciało z powrotem i powiesili na bramie. – Culus podeszła do płaczącego mistyfa. – Sam widzisz. Być może, postąpiłeś właściwie, choć kierowałeś się złymi przesłankami. Gdybyś został z nami, już byś nie żył...

– Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie – przerwał jej Thes'reh'ot.

– O co panu chodzi? Chce pan przelać krew tego głupca, żeby połączyła się z morzem już przelanej? Nie. Powinniśmy wykorzystać to, że został splugawiony.

Pie spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Może jesteśmy zbyt czyści, zbyt przewidywalni; może za łatwo jest przejrzeć nasze podstępny i odkryć nasze spiski. Ale ty, mistyfie... Ty przybywasz z innego świata. Jesteś silniejszy od nas. – Culus'su'erai westchnęła. – Oto wyrok: doberz sobie ochotników spośród nas i zabijcie naszego wroga. Jeżeli nikt do ciebie nie dołączy, idź sam. Nie wracaj tu, mistyfie, dopóki serce autarchy będzie biło.

Thes'reh'ot roześmiał się głośno.

– Znakomicie! – zawołał. – Znakomicie!

– Miło mi, że mój wyrok pana rozbawił. Może pan odejść, Thes'reh'ot. – Oskarżyciel chciał jeszcze zaprotestować, ale kiedy sędzina krzyknęła: – Powiedziałam, że może pan odejść! – skrzywił się, jakby go spoliczkowała.

Uklonił się sztywno, mamrocząc pod nosem jakieś chłodne pożegnanie, i wyszedł. Culus'su'erai odprowadziła go wzrokiem.

– Wszyscy staliśmy się okrutni – powiedziała. – Ty na swój sposób, my na swój. – Spojrzała na Pie'oh'paha. – Wiesz, dlaczego się śmiał, mistyfie?

– Ponieważ uznał, że Wysoki Sąd wydał w istocie wyrok śmierci?

– Tak, to właśnie pomyślał. Kto wie, może ma rację... Ale może właśnie dziś jest ostatnia noc tego dominium i rzeczy ostateczne mają dziś większą moc niż kiedykolwiek przedtem.

– A ja jestem ostatni.

– Właśnie.

– Rozumiem. – Mistyf pokiwał głową. – To sprawiedliwe.

– Świetnie. – Mimo że proces dobiegł końca, żadne z nich się nie poruszyło. – Chcesz o coś zapytać?

– Tak.

– Zrób to teraz.

– Czy szaman Arae'ke'gei żyje?

Culus'su'erai uśmiechnęła się lekko.

– Ciekawa byłam, kiedy o niego zapytasz. Był jednym z tych, którzy przeżyli próbę Pojednania, prawda?

– Zgadza się.

– Słabo go znałam, lecz słyszałam, jak o tobie opowiadał. Długo walczył ze śmiercią, inni wcześniej by się poddali, ale on powtarzał, że wrócisz. Nie wiedział, naturalnie, że twój maestro cię spętał. – Jej słowa nie brzmiały szczerze. Wbiła w Pie przeszywające spojrzenie. – Dlaczego nie wróciłeś, mistyfie? Nie opowiadaj mi bajek o tym, że nie miałeś prawa. Gdybyś się bardziej do tego przyłożył, zrzuciłbyś więzy, zwłaszcza w zamieszaniu, jakie zapanowało po próbie Pojednania. Ale tego nie zrobiłeś. Woląłeś zostać z tym żalonym Sartorim, chociaż twój lud padł ofiarą jego niekompetencji.

– Sartori się załamał, a ja byłem dla niego kimś więcej niż chowańcem. Byłem jego przyjacielem. Nie mogłem go zostawić.

– Nie powiedziałeś mi wszystkiego. – Culus'su'erai zbyt długo była sę-

dział, żeby nie zauważyć nadmiernego uproszczenia w jego słowach. – O co chodziło, mistyfie? Dziś jest ostatnia noc, pamiętasz? Jeśli teraz mi nie powiesz, możesz już nie mieć okazji.

– Dobrze. Zawsze miałem nadzieję, że ktoś podejmie ponowną próbę Pojednania. Nie ja jeden zresztą.

– Arae'ke'gei też o tym marzył?

– Tak.

– To dlatego o tobie pamiętał. I długo żył. Czekał, aż wrócisz. – Culus'su'erai pokręciła głową. – Dlaczego nie porzucisz tych mrzonek? Nie ma mowy o Pojednaniu. Prędkiej o rozkładzie. Imajica rozpadnie się i odizolowane dominia będą wegetować samotnie.

– To smutna wizja.

– Ale uczciwa. I rozsądna.

– W każdym dominium są ludzie, którzy chcieliby jeszcze raz spróbować. Czekali na swą szansę dwieście lat i łatwo z niej nie zrezygnują.

– Arae'ke'gei zrezygnował. Zmarł dwa lata temu.

– Ja... Liczyłem się z tym. Był już stary, kiedy widziałem go po raz ostatni.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale umierał z twoim imieniem na ustach. Wierzył do końca.

– Są tacy, którzy potrafią zastąpić go w ceremonii.

– Miałam rację. Jesteś głupcem. – Culus podeszła do drzwi. – Chcesz uczcić pamięć maestra?

Pie otworzył przed nią drzwi i wyszli. W powietrzu ostro pachniało dymem.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Ponieważ go kochałeś. – Posłała mu oskarżycielskie spojrzenie. – Właśnie dlatego do nas nie wróciłeś. Kochałeś go bardziej niż własny lud.

– Może to prawda, ale od kiedy czcimy pamięć żywych?

– Żywych?

Mistyf uśmiechnął się i uklonił. Kiedy odsunął się od drzwi, zdawał się rozpląwać w półmroku niczym widmo.

– Powiedziałem, że Sartori był załamany, a nie martwy. Sen jest wciąż żywy, Culus'su'erai. Mój maestro również.

2

Quaisoir była ukryta za muślinowymi zasłonami. Przez pootwierane okna napływał ciepły powiew. Seidux usłyszał dziwnie podniecający jęk. Czyżby była naga? Na to wyglądało.

– Jestem ci winna przeprosiny – powiedziała.

– Ależ skąd...

– Wiem, co mówię. Obserwując mnie, spełniałeś tylko swój obowiązek. – Umilkła, a gdy odezwała się ponownie, głos miała melodyjny i kuszący: – Lubię być oglądana.

– Tak? – wymamrotał.

– Nawet bardzo. Pod warunkiem, że widz umie mnie docenić.

– Ja umiem.

Dyskretnie odrzucił papierosa i zgniótł go obcasem.

– Zamknij drzwi – poleciała. – Wiesz, gdybyśmy zaczęli hałasować... I powiedz strażnikom, żeby poszli się napić.

Kiedy wrócił do sypialni, przez zasłony zobaczył, że Quaisoir klęczy na łóżku. Trzymała dłoń między udami i... Tak, była naga.

Muślin falował, chwilami klejąc się do jej połyskliwej skóry. Uniosła dłońmi piersi, podstawiając je do pocałunków. Seidux wyciągnął rękę, żeby rozgarnąć zasłony, ale było ich za dużo. Zdawały się nie mieć końca.

Jej dłoń znów powędrowała między uda. Seidux nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy. Widział, że Quaisoir trzyma coś w dłoni; pewnie dawała sobie rozkosz jakąś zabawką, czekając na jego przybycie. Teraz będzie gotowa i przyjmie go całego od razu. Zmysłna kobieta, zmysłna i uległa. Podała mu nawet ten przedmiot, jakby wyznając swój grzech. Może chciała, żeby poczuł jej ciepło i wilgoć. Wyciągnęła rękę przez zasłony, on zaś napierał coraz mocniej, szepcząc słówka, które wszystkie kobiety lubią słyszeć.

Usłyszał trzask rozdieranego materiału. Domyślił się, że to wiedziona żądzą Quaisoir próbuje dostać się do niego. Sam zaczął szarpać oddzielający ich muślin, gdy nagle poczuł potworny ból w brzuchu. Spojrzał w dół przez oblepiające mu twarz firany. Na materiale rozpląwała się ciemna plama. Krzyknął i próbował się wyplątać z zasłon. Jej zabawka tkwiła głęboko w jego ciele.

Quaisoir wyciągnęła nóż z rany, ale tylko po to, żeby pchnąć znowu, i

znowu. Zostawiła ostrze w jego sercu, kiedy upadł na plecy, pociągając za sobą zwiewne zasłony.

*

Jude stała przy jednym z okien na piętrze domu Peccable'a i patrzyła na szerzące się wszędzie pożary. Wzdrygnęła się. Spojrzała na swoje dłonie. Były całe we krwi. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale nie miała cienia wątpliwości, co widziała i co to znaczyło. Quaisoir popełniła planowaną zbrodnię.

– Niezwykły widok, co? – usłyszała głos Dowda. Odwróciła się do niego zdezorientowana – czy mógł widzieć krew na jej rękach? Nie, na pewno nie. Miał na myśli pożary.

– Niezwykły – przytaknęła.

Stanął obok niej. Szyby w oknie drżały przy każdym wystrzale.

– Peccable'owie są prawie spakowani. Niedługo już ich tu nie będzie. Proponuję, żebyśmy zrobili to samo. Czuję się znacznie lepiej.

Rzeczywiście, zdrowiał w niewiarygodnym tempie. Rany na twarzy prawie mu się wygoiły.

– Dokąd pójdziemy?

– Obejdziemy miasto z drugiej strony. Tam pierwszy raz stanąłem na scenicznych deskach. Peccable twierdzi, że teatr jeszcze stoi. Nazywa się „Ipse”. Zbudował go sam Pluthero Quexos. Chciałbym go znów zobaczyć.

– W taką noc chcesz zwiedzać miasto?

– Jutro teatru może już nie być. Ba, nie wiadomo, czy o świcie całe Yzordderrex nie będzie jedną wielką ruiną. Wydawało mi się, że to ty chcesz je obejrzeć.

– Jeżeli to dla ciebie podróż sentymentalna, może powinieneś iść sam.

– Czyżbyś miała inne plany?

– Jak to sobie wyobrażasz? Pierwszy raz w życiu tu jestem.

Dowd przyglądał się jej podejrzliwie.

– Ale zawsze chciałaś tu przyjechać, prawda? Od samego początku. Godolphin często się zastanawiał, skąd u ciebie to obsesyjne pragnienie. Teraz i ja się zaczynam zastanawiać. – Odwróciła się do okna. Podążył za jej wzrokiem. – Co tam takiego jest, Judith?

– Sam widzisz. Zabiją nas, zanim dojdziemy do pierwszej przecznicy.

- Nie. Jesteśmy błogosławieni.
- Czyżby?
- Jesteśmy tacy sami, nie pamiętasz? My, wspólnicy doskonali.
- Pamiętam.
- Za dziesięć minut wychodzimy.
- Będę gotowa.

Nie odwracając się od okna, odczekała, aż drzwi zamkną się za Dowdem, i jeszcze raz obejrzała sobie ręce. Po krwi nie został żaden ślad. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Dowd na pewno wyszedł, a potem zamknęła oczy i przytknęła dłonie do szyby. Dziesięć minut na znalezienie kobiety, która ma jej twarz. Za dziesięć minut znajdzie się z Dowdem w zgiełku ulic i wszelka nadzieja kontaktu zniknie.

– Quaisoir... – szepnęła.

Poczuła, jak szkło drży jej pod palcami; usłyszała niosący się nad dachami krzyk umierających ludzi. Powtórzyła imię sobowtóra, wyobrażając sobie wieże, które powinna widzieć z tego właśnie miejsca, gdyby dym ich nie zasłaniał. W wyobraźni chmury dymu wypełniły jej myśli, chociaż nie przywołała ich świadomie. Poczuła, jak jej umysł zaczyna unosić się nad miastem w prądzie ognistego powietrza.

*

Quaisoir nie mogła znaleźć wśród swoich szat ani jednej, która nie rzucałyby się w oczy. Nic dziwnego, przecież kupowała je właśnie ze względu na ich wyjątkowość. W końcu, zerwawszy wszystkie zdobienia z najskromniej wyglądającej sukni, uznała, że prezentuje się w niej przyzwoicie. Wyszła ze swoich komnat i zaczęła się szykować do ostatniej wędrówki przez pałac. Drogę za murami zaplanowała już bardzo starannie: wróci do portu, gdzie na dachu magazynu ukazał się jej Syn Smutku. Albo Go tam zastanie, albo zapyta kogoś o miejsce Jego pobytu. Nie po to chyba przybył do Yzordderrex, żeby teraz tak po prostu zniknąć. Z pewnością zostawi swoim akolitom ślady, po których Go odnajdą; przygotowuje też próby, w których udowodni, jak bardzo chcą z Nim obcować.

Najpierw jednak musiała wydostać się z pałacu. Wybierała schody i korytarze, których od dziesięcioleci nikt nie używał. Znała je tylko ona i autarcha; kamieniarze, którzy wybudowali je z zimnego kamienia, sami byli już zimni

jak gład. Tylko maestrowie i ich kochanki mogli się cieszyć wieczną młodością, chociaż i dla nich nie była to już taka rozkosz jak dawniej. Żałowała, że kiedy stanie przed obliczem Nazarejczyka, na jej twarzy nie będzie znać upływu lat. Poznałby wtedy, ile wycierpiała, i zrozumiał, że zasługuje na przebaczenie. Musiała wierzyć, że za zasłoną doskonałości dostrzeże ból, który trawi ją od środka.

Była boso. Zimno ciągnęło od posadzek i wsączało się w jej bose stopy. Zanim wyszła na dwór, szczękała zębami. Rozejrzała się, próbując znaleźć drogę w labiryncie pałacowych dziedzińców. Oderwawszy się na chwilę od spraw praktycznych na rzecz bardziej abstrakcyjnych, poczuła, że w głębi czaszki jakaś obca myśl czeka na taki właśnie zwrot. Wiedziała, skąd pochodzi. Anioł, którego Seidux przegnał z jej komnaty, czekał na progu, wiedząc, że przyjdzie do niego jak do przewodnika. Oczy wezbrały jej łzami, gdy zrozumiała, że nie jest sama. Syn Dawida widział jej cierpienie. Jego posłaniec szeptał:

– Ipse... Ipse...

Wiedziała, co znaczy to słowo. Często bywała w „Ipse”. Zawsze wówczas nosiła maskę, podobnie jak inne kobiety z wyższych sfer, które odwiedzały podejrzane lokaliki. Widziała tam wszystkie dramaty Pluthero Quexosa, przekłady Flottera, czasem nawet rubaszne farsy Koppocoviego. Dziwne, że Syn Smutku wybrał akurat to miejsce na spotkanie – kim jednak była, żeby kwestionować Jego decyzje?

– Słyszę cię – odpowiedziała głośno.

Jej słowa jeszcze nie przebrzmiały, a już pędziła ku bramie, która prowadziła wprost do kesparatu Deliquium. Pluthero zbudował tam przybytek sztuki, który niebawem miał zostać na nowo poświęcony – tym razem w imię Prawdy.

*

Jude odjęła dłonie od szyby i otworzyła oczy. W tym kontakcie brakowało jej klarowności, której zaznała we śnie – właściwie nie była nawet pewna, czy w ogóle doszło do kontaktu – ale nie miała czasu na ponowną próbę. Wzywał ją Dowd, wzywały ją płonące ulice Yzordderrex. Z okna widziała kałuże krwi, bitych ludzi, szturmy i odwroty wojska. Jedni cywile wdawali się we wściekłe bijatki, inni karnie maszerowali w uzbrojonych oddziałach.

Panował taki chaos, że nie była w stanie ocenić, po czyjej stronie jest słuszość. I prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Miała znaleźć w tym rozgardiaszu swoją siostrę. Miała nadzieję, że i ona jej szuka.

Quaisoir z pewnością byłaby rozczarowana, gdyby się spotkały – Jude nie była wysłańcem Pana, na spotkanie z którym tak się spieszyła. Ale też wbrew temu, co mówiły legendy, różni boscy i świeccy Panowie nie byli odkupicielami i zbawicielami świata. Byli rabusiami i niszczycielami. Dowody na to widniały wszędzie na ulicach, na które właśnie miała wyjść Jude. Gdyby udało się jej sprawić, żeby Quaisoir ujrzała i zrozumiała jej wizję, może siostrzane więzi nie byłyby wcale niemile widzianym darem. Nie umiała myśleć o czekającym ją spotkaniu inaczej, jak o ponownym połączeniu się z rodziną.

ROZDZIAŁ 35

1

Wypytyując napotkanych – głównie rannych – ludzi o drogę, Gentle w kilka godzin dotarł z rozśpiewanej hosannami Lubieżnej do kesparatu mistyfa. Obserwował przez ten czas, jak miasto coraz bardziej pogrąża się w chaosie. Nie był pewien, czy równo stojące przy ulicach domy i kwitnące drzewa nie obrócą się w popiół, zanim je zobaczy. Kiedy jednak dotarł do obwiedzonego murami miasta w mieście, zastał je nietknięte przez rabusiów i podpalaczy, którzy albo wiedzieli, że nie ma w nim nic interesującego, albo – co bardziej prawdopodobne – powstrzymały ich przesady dotyczące dawnych mieszkańców dominium Niewidzianego.

Poszedł prosto do chianculi, gotowy na wszystko – mógł grozić, błagać, schlebiać, byle tylko oddali mu Pie. Ani tam, ani w sąsiednich budynkach nie znalazł nikogo. Ulice także były puste. Coraz bardziej zrozpaczony i coraz mniej dyskretny zaczął wykrzykiwać imię mistyfa jak włóczący się po nocy pijak.

Taka taktyka w końcu zaczęła przynosić skutki. Na ulicy pojawił się młody, wąsaty mężczyzna, jeden z tej czwórki, która zgotowała im takie chłodne przyjęcie. Tym razem nie przytrzymał zawoju w zębach, a kiedy przemówił, zniżył się do użycia angielskiego. Tylko zabójcza wstążka trzepotała mu jak przedtem w rękach. Tej groźby nie próbował maskować.

– Wróciłeś – powiedział.

– Gdzie Pie?

- Gdzie dziewczynka?
- Nie żyje. Gdzie Pie?
- Wyglądasz inaczej.
- Zmieniłem się. Gdzie Pie?
- Tu go nie ma.
- A gdzie jest?
- Mistyf poszedł do pałacu.
- Po co?
- Taki wydano wyrok.

– Kazaliście mu tam iść? Nic więcej? – Gentle podszedł o krok bliżej. – Z pewnością to nie wszystko.

Eurhetemec zdawał sobie sprawę, że moc Gentle'a jest nieporównanie silniejsza od jedwabnego ostrza. Odpowiedział wprost:

- Wyrok brzmiał: zabić autarchę.
- Posłaliście go tam samego?
- Nie. Zabrał ze sobą kilku naszych. Zostawił garstkę na straży kesparatu.
- Kiedy tam poszli?
- Niedawno, ale nie mają szans dostać się do pałacu. To samobójstwo.

Gentle zawrócił ku bramie, zostawiając strażnika kwiatów i pustych ulic samego. W pobliżu wrót zobaczył jednak dwie kolejne osoby, mężczyznę i kobietę, którzy właśnie weszli za mury i przyglądali mu się ciekawie. Oboje byli nadzy od pasa w górę. Na szyjach mieli trzy poziome kreski, takie same widział u niebytowca w porcie. Kiedy się zbliżył, złożyli dłonie i ukłonili się lekko. Kobieta była półtora raza wyższa i bardziej barczysta od mężczyzny; miała wspaniałe ciało (ramiona i brzuch tak umięśnione, że przy najdrobniejszym ruchu dawała prawdziwy pokaz muskulatury). Jej głowa była ogolona prawie na łyso, pozostawiono tylko włosy z tyłu zebrane w kucyk; była węższa niż potężny, żyłasty kark.

- Wiedziałaś, że tu będzie! – oznajmiła olbrzymka całemu światu.
- Nie wiem, czego chcecie – odparł Gentle – ale ja tego nie mam.
- Ty jesteś John Furie Zacharias?
- Tak.
- Znany także jako Gentle?
- Tak, ale...

– Chodź z nami. Proszę. Ojciec Athanasius kazał nam cię znaleźć. Kiedy usłyszeliśmy, co się wydarzyło na Lubieżnej, od razu wiedzieliśmy, że mu-

siałeś tam być. Jestem Nikaetomaas, a to Floccus Dado. Czekamy na ciebie od czasu, gdy przybył Estabrook.

– Estabrook? – zdziwił się Gentle. Od miesiący o nim nie myślał. – Znacie go?

– Znaleźliśmy go na ulicy. Myśleliśmy, że może jest wybrańcem, ale on nic nie wie.

– Czego ode mnie chcecie?! – spytał zrozpaczony Gentle. – Posłuchajcie. Ja nic, kurwa, nie wiem! Nie obchodzi mnie, za kogo mnie macie, ale nie jestem tym człowiekiem!

– Tak właśnie mówił ojciec Athanasius. Żyjesz w nieświadomości...

– Miał absolutną rację.

– Ale ożeniłeś się z mistykiem.

– I co z tego? Kocham go i nie obchodzi mnie, kto się o tym dowie.

– Naturalnie – odparła Nikaetomaas, jakby mówili o rzeczach zupełnie oczywistych. – Dzięki temu cię znaleźliśmy.

– Wiedzieliśmy, że mistyk tu przyjdzie – wyjaśnił Floccus. – A ty razem z nim.

– Nie ma go tutaj – powiedział Gentle. – Poszedł do pałacu...

– Do pałacu? – Nikaetomaas spojrzała na mury. – Chcesz iść za nim?

– Tak.

– Pójdę z tobą. Panie Dado, proszę wrócić do Athanasiusa, powiedzieć mu, kogo znaleźliśmy.

– Nie potrzebuję towarzystwa – zaprotestował Gentle. – Nawet sam sobie nie ufam.

– Jak chcesz się w pojedynkę dostać do pałacu? Ja wiem, gdzie są bramy, znam rozkład dziedzińców...

Gentle rozważył jej propozycję. Miał ochotę udać się do pałacu jak dzikus, siejąc zagładę jak na Lubieżnej. Jednak nieznanostwo pałacowych pomieszczeń rzeczywiście utrudniłoby mu zadanie, a o życiu lub śmierci Pie mogły decydować minuty.

Rozdzielili się przy bramie. Floccus Dado wrócił do ojca Athanasiusa, a Gentle i Nikaetomaas udali się do pałacu autarchy.

*

Podczas wspólnej wędrówki rozmawiali tylko o Estabrooku.

– Co z nim? – zapytał Gentle. – Czy nadal zachowuje się jak wariat?

– Kiedy go znaleźliśmy, był umierający. Brat zostawił go na pewną śmierć, ale zabraliśmy go do naszych namiotów na Wybielu. Doszedł do siebie. A właściwie ciągle dochodzi.

– Zrobiliście to, biorąc go za mnie?

– Wiedzieliśmy, że z Piątego Dominium przybędzie ktoś, kto podejmie próbę Pojednania. Zdawaliśmy sobie, oczywiście, sprawę, że zostało niewiele czasu, więc zjawi się wkrótce. Nie mieliśmy tylko pojęcia, jak wygląda.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Pomyliliście się po raz drugi. Tak jak Estabrook, nie jestem tym, którego szukacie.

– Po co w takim razie przyjechałeś?

To pytanie zasługiwało na poważne przemyślenie. Pomijając ciekawość Nikaetomaas, był to winien samemu sobie.

– Chciałem poznać odpowiedzi na pewne pytania, odpowiedzi, których na Ziemi nikt nie mógł mi udzielić. Mój przyjaciel zmarł bardzo młodo. Moja przyjaciółka omal nie padła ofiarą morderstwa...

– Judith.

– Tak, Judith.

– Dużo o niej słyszeliśmy. Estabrook ma obsesję na jej punkcie.

– Cały czas?

– Dawno z nim nie rozmawiałam, ale wiem, że próbował ją ściągnąć do Yzordderrex, w czym przeszkodził mu brat.

– Przybyła tutaj?

– Na razie chyba nie, ale Athanasius uważa, że prędzej czy później się zjawi. Twierdzi, że jej historia wiąże się ściśle z Pojednaniem.

– Skąd on to wszystko wie?

– Przypuszczam, że wyciągnął wnioski ze słów i obsesji Estabrooka, który mówi o niej jak o świętej. Athanasius uwielbia takie kobiety.

– Możesz mi wierzyć, że dobrze znam Judith. Żadna z niej Święta Dziewica.

– Nasza płeć zna różne definicje świętości – zauważyła rozdrażniona Nikaetomaas.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Ale Jude nade wszystko nie znosi, kiedy się ją stawia na piedestale.

– Może w takim razie powinniśmy zająć się nie idolem, lecz jego czcicielem. Athanasius mówi, że obsesja to ogień w naszej twierdzy.

- Co to znaczy?
- Że musimy spalić mury, które nas otaczają, ale potrzebny jest do tego bardzo jasny płomień.
- Na przykład obsesja.
- Na przykład.
- A po co właściwie palić te mury? Przecież nas chronią.
- Jeśli tego nie zrobimy, umrzemy w nich, całując własne odbicia – odparła Nikaetomaas. Ta odpowiedź brzmiała jak dobrze wyuczona lekcja.
- To też pomysł Athanasiusa?
- Nie, mojej ciotki. Od lat siedzi zamknięta w Bastionie, ale tutaj... – Nikaetomaas popukała się w skroń – jest wolna.
- A co z autarchą? – Gentle przeniósł wzrok na piętrzące się przed nimi ściany. – Czy on też całuje swoje odbicie?
- Kto wie? Może od lat nie żyje, a państwo funkcjonuje samo.
- Naprawdę w to wierzysz?
- Nie. – Nikaetomaas pokręciła głową. – Żyje i mieszka za murami.
- Przed czym go chronią?
- Nikt tego nie wie. Ten, kogo boi się autarcha, oddycha innym powietrzem niż my.

Zanim opuścili zasłane gruzem uliczki Hittahitte, rozciągającego się między kesparatem Eurhetemeców i szerokimi, romańskimi alejami dzielnicy biurowej Yzordderrex, Nikaetomaas rozejrzała się w ruinach za jakimś przebraniem. Znalazła brudne łachmany i zmusiła Gentle'a, żeby je włożył, a potem znalazła równie obrzydliwy strój dla siebie. Wyjaśniła, że powinni ukryć twarze i zamaskować sylwetki, żeby bez przeszkód wtopić się w tłum biedoty przy bramie. Wkrótce znaleźli się wśród klasycystycznych – w skali i w charakterze – budowli, których nie dosięgnął jeszcze płomień pochodni, w niżej położonych kesparatach przekazywany z ręki do ręki i przenoszący się z dachu na dach. Nikaetomaas podejrzewała, że już niedługo płomień buntu ogarnie te gmachy – Sąd Podatkowy i Urząd Sprawiedliwości. Na razie jednak poruszali się wśród ogromnych budowli, cichych jak mauzolea.

Po drugiej stronie ulicy Gentle zrozumiał, dlaczego musieli się przebrać w cuchnące, zawszone łachmany. Nikaetomaas zaprowadziła go nie do głównej bramy pałacu, lecz do jednego z bocznych wejść, przy którym skupiła się grupka mieszkańców w takich samych szmatach. Niektórzy mieli świece. W ich niepewnym blasku Gentle mógł stwierdzić, że wszyscy są jakoś okaleczeni.

ni.

– Czekają, żeby ktoś ich wpuścił? – zapytał.

– Nie. To brama świętych Creaze i Evendown. Nie słyszałeś o nich w Piątym Dominium? Wydaje mi się, że tam właśnie zginęły męczeńską śmiercią.

– To możliwe.

– W Yzordderrex wszędzie się o nich słyszy, występują w wierszykach dla dzieci, teatrach lalkowych...

– Ale co tu się dzieje? Czy te święte mają zwyczaj objawiać się wiernym?

– W pewnym sensie.

– Na co ci ludzie czekają? – Gentle rozejrzał się po tłumie. – Na uzdrowienie?

Z pewnością każdemu z nich przydałby się taki cud. Byli chorzy, pozabawieni kończyn, zdeformowani, owrzodzeni – niektórzy wyglądali tak kiepsko, jakby mieli nie dożyć poranka.

– Nie. Na jedzenie. Mam nadzieję, że rewolucja nie zamąciła świętym w głowach i audyencja odbędzie się na czas.

Nikaetomaas nie skończyła jeszcze mówić, gdy dźwięk puszczonej w ruch maszyny wprawił ludzi pod bramą w szal. Kule stały się nagle groźną bronią, podobnie jak ślina zakaźnie chorych – inwalidzi bili się o udział w łupach, które zaraz mieli otrzymać. Nikaetomaas popchnęła Gentle'a w sam środek ciżby, gdzie musiał dosłownie walczyć o życie. Było mu wstyd, ale moment nieuwagi wystarczyłby, żeby ci, którzy mieli mniej kończyn od niego, wyrwali mu rękę albo nogę ze stawu. Ze spuszczoną głową, młócąc na oślep rękoma, przedzierał się do przodu. Brama zaczęła się otwierać.

Wszystkim zapało dech w piersi – żebrakom z nabożnej czci, Gentle'owi z niedowierzania. Do bramy toczyło się blisko pięciometrowej wysokości kiczowate arcydzieło. Posąg przedstawiał święte Creaze i Evendown. Stały ramie w ramie, wyciągały ręce nad stęsknionym tłumem i przewracały oczami jak karnawałowe kukły; w jednej chwili patrzyły na swą trzódkę, jakby przestraszone jej widokiem, w następnej wznosiły oczy ku niebu. Od stóp do głów były ubrane w dary, które niosły ludziom – w jedzenie. Płaszcz gorącego, parującego mięsa okrywały ich tułowia; dymiące pęta kiełbasy zwieszały się z szyi i przegubów dłoni; w kroku kołysały się worki z chlebem; owoce i ryby tworzyły spódnicę. Tłum rzucił się rozbierać święte, bezlitosny dla siebie i dla nich. Żebracy bili się o najlepsze kąski.

Święte nie były jednak całkowicie bezbronne. Największych żarłoków

czekała kara – wśród zwałów jadła ukryto przemyślnie uformowane zadziory i ostrza, które raniły boleśnie. Wierni jednak nie przejmowali się nimi zbyt-
nio, wspinali się po spódnicach, gardząc owocami i rybami, żeby jak najszybciej
dobrać się do smakowitych steków i kiełbas. Niektórzy spadali, kalecząc
się przy okazji paskudnie, inni – czołgając się po plecach ofiar – dopadali
celu i z okrzykami radości ładowali zdobycz do worków. Ale i wtedy, w
chwili triumfu, nie mogli czuć się bezpiecznie. Ci, którzy zostali z tyłu, ściga-
li ich w dół albo zabierali im wypchane torby i zrzucali współnikom.

Nikaetomaas trzymała Gentle'a za pasek, żeby nie rozdzielili się w tym za-
mieszaniu. Po dłuższym kluczeniu i manewrowaniu stanęli u stóp posągów.
Machina automatycznie blokowała wrota, ale Nikaetomaas przykucnęła przy
postumencie i – ukryta przed wzrokiem stojących nad bramą strażników –
szarpnęła kawał blachy maskującej koła wehikułu. Kuty metal darł się w jej
rękach jak szmata, nity pryskały na wszystkie strony. Chwilę później zanur-
kowała w powstałą wyrwę.

Gentle wśliznął się za nią. Gdy znaleźli się pod stopami świętych, jazgot
tłumu przycichł, tylko odgłos spadających ciał miarowo wybijał się ponad
ogólny harmider. Czołgali się po ciemku. Z olbrzymiej, gorącej maszyny ska-
pywały na nich jakieś krople.

Przeleźli pod całym postumentem, a wtedy Nikaetomaas zaczęła wyrywać
drugi otwór w poszyciu. Hałas nagle przybrał na sile. Żebracy odkryli wyrwę
i pełzli za nimi, zapewne w poszukiwaniu skarbów ukrytych we wnętrzu
rzeźby. Gentle rzucił się Nikaetomaas do pomocy. Za ich plecami wybuchały
nowe kłótnie i bójki, gdy wszyscy naraz próbowali wepchnąć się do dziury.
Cała ogromna rzeźba zaczęła się chwiać pod naporem ciał z zewnątrz i od
środką. Kołysała się coraz wyraźniej i w pewnej chwili Gentle'owi mignął
przed oczami spory dziedziniec za plecami świętych, plac pocięty śladami
kół maszyny i zaśmiecony resztkami jedzenia.

Rozkołysane święte zwróciły uwagę dwóch strażników. Zerwali się od
znakomitych steków i w panice podnieśli alarm. Nikaetomaas wyszła spod
posągu niezauważona i pomogła wyczołgać się Gentle'owi. Olbrzymki lada
moment miały runąć na ziemię. Rozległy się strzały – to strażnicy próbowali
przemówić wiernym do rozsądku. Gentle poczuł czyjeś dłonie zaciskające
mu się na nogach, ale skopał je i dał się pociągnąć do światła. Nikaetomaas
pomogła mu wstać. W tej samej chwili głośne, przypominające grzmot trza-
ski zapowiedziały rychłe obalenie świętych. Gentle i Nikaetomaas chyłkiem

przebiegli przez zaśmiecony mięsem i chlebem dziedziniec. Ukryli się w cieniu budowli. Z głośnym łoskotem święte obwieszane ludźmi, którzy uczepili się ich rąk, płaszczy i spódnic, przewróciły się w tył. Cała konstrukcja rozpadła się przy zderzeniu z ziemią, siejąc na wszystkie strony kawałkami upieczonego i krwawego mięsa.

Strażnicy zbiegali z blanków, gotowi karabinami powstrzymać napór tłumu. Gentle i Nikaetomaas, nie mając ochoty oglądać dalszego ciągu tej makabry, wzięli nogi za pas. Błagania i skowyty rannych niesły się za nimi w ciemności.

2

- Co to za hałas, Rosengarten?
- Przy Bramie Świętych mamy drobne kłopoty, panie.
- Jesteśmy oblegani?
- Nie, panie. To tylko nieszczęśliwy wypadek.
- Są ofiary?
- Nic poważnego. Wrota zostały już zamknięte.
- Co z Quaisoir?
- Nie widziałem jej dziś wieczorem.
- Dowiedz się.
- Oczywiście, panie.

Rosengarten wyszedł i autarcha odwrócił się z powrotem do siedzącego nieruchomo mężczyzny.

– Te noce w Yzordderrex... – powiedział. – Tak się wloką. Bo widzisz, w Piątym Dominium są o połowę krótsze. Kiedyś narzekałem, że tak szybko się kończą, ale teraz... – Westchnął. – Teraz zastanawiam się, czy może powinienem tam wrócić i założyć Nowe Yzordderrex. Co o tym sądzisz?

Mężczyzna na krześle nie odpowiedział. Dawno już przestał krzyczeć, chociaż echo jego wycia – cenniejsze i bardziej podniecające niż sam dźwięk – wciąż przeszywało powietrze, sięgając do samego sufitu komnaty. Czasem zbierały się tam chmury, z których padał delikatny, oczyszczający deszcz.

Autarcha przysunął się bliżej. Do piersi ofiary przywarł żywy bąbel cie-

czy. Miał wielkość ludzkiej głowy i cieniutkie jak nici kończyny, którymi przebił się do wnętrza ciała, sięgał serca, płuc i wątroby. Autarcha przywołał to monstrum – marną resztkę wspaniałej niegdyś bestii zwanej wyrzeczencem – z In Ovo. Wybrał je starannie, jak chirurg narzędzie do operacji, żeby wykonało pewne konkretne, delikatne zadanie. Nie bał się potworów, które przywoływał. Przez dziesięciolecia podobnych ceremonii zaznajomił się ze wszystkimi zamieszkującymi In Ovo istotami i choć były wśród nich takie, których nigdy nie odważyłby się sprowadzić, większość instynktownie rozpoznawała głos mistrza i była mu posłuszna – w granicach, które wyznaczała ich inteligencja. Tę istotę nazwał Abelove na pamiątkę poznanego kiedyś w Piątym Dominium prawnika, który był równie podobny do pijawki i podobnie śmierdział.

– Jakie to uczucie? – zapytał, wytyżając słuch w oczekiwaniu na odpowiedź. – Ból minął, prawda? Nie mówiłem?

Mężczyzna otworzył z wysiłkiem oczy i oblizał wargi. Prawie się uśmiechnął.

– Musicie być z Abelove bardzo bliscy sobie. Dotarł do każdego zakątka twojego ciała. Mów do mnie, bo ci go zabiorę. Będziesz krwawił ze wszystkich ran, jakie ci zadał, ale ten ból będzie niczym wobec cierpienia spowodowanego stratą.

– Nie...

– No to mów – poradził rozsądnym tonem autarcha. – Wiesz, jak trudno znaleźć te pijawki? Już prawie wyginęły. A jednak dałem ci taką, nieprawdaz? Proszę tylko, żebyś w zamian powiedział mi, jak się czujesz.

– Czuję się... dobrze.

– Czy to ty do mnie mówisz, czy Abelove?

– Jesteśmy jednym.

– Czy to przypomina seks?

– Nie.

– To może miłość?

– Nie. Czuję się, jakbym się nie narodził.

– Jakbyś jeszcze był w łonie?

– Tak, w łonie.

– Boże, jak ja ci zazdroszczę! Nie mam takich wspomnień. Nigdy nie pływałem w wodach płodowych.

Autarcha wstał i przysłonił dłonią usta. Zawsze czuł się podle, gdy w ży-

łach krążyły mu popłuczyny po kreauchee. Robił się wtedy nieznośnie wrażliwy; byle co go zasmucało lub złościło.

– Zjednoczyć się z inną istotą. Stać się jednością. Dać się jej pochłonąć, a zarazem scalić. Bezgraniczna rozkosz. – Nie zauważył, że więźniowi znów zamykają się oczy. – W takich chwilach żałuję, że nie jestem poetą, że nie znajduję słów, którymi mógłbym wyrazić moją tęsknotę. Wydaje mi się, że gdybym wiedział, iż pewnego dnia... Nieważne, ile lat czy wieków musiałoby upłynąć, mniejsza o to; gdybym pewnego dnia miał na zawsze zjednoczyć się z drugą duszą, może stałbym się dobrym człowiekiem.

Usiadł przy więźniu, któremu powieki całkiem opadły.

– Ale nic z tego – ciągnął ze łzami w oczach. – Nie zmieniamy się. Boimy się odrzucić to, czym jesteśmy, bo mogłoby się okazać, że jesteśmy niczym. Trzymamy się tego tak kurczowo, że tracimy wszystko inne. – Drżał ze wzruszenia i łzy kapały mu na policzki. – Słuchasz? – Potrząsnął więźniem, któremu opadła szczeka i ślina pociekła z kącika ust. – Słuchaj mnie! – krzyknął autarcha. – Zwierzam ci się z mojego cierpienia!

Nie widząc żadnej reakcji, wstał i uderzył więźnia w twarz. Cios przewrócił go razem z krzesłem na ziemię. Stwór uczepiony piersi więźnia zadygotał.

– Nie po to cię tu ściągnąłem, żebyś spał! Masz dzielić ze mną mój ból!

Zaczął wyrywać pijawkę z ciała. Jej strach udzielił się żywicielowi, który wił się i szarpał. Spod krępujących go sznurów popłynęła krew. Spazmatycznymi ruchami starał się zatrzymać stwora przy sobie. Niespełna godzinę wcześniej, gdy pierwszy raz zobaczył pijawkę, błagał, żeby go oszczędzono. Teraz odzyskał mowę i dwakroć głośniej błagał, żeby mu jej nie odbierać. Prośby zmieniły się w krzyk, gdy opatrzone zadziorami macki pasożyta wysuwały się z przebitych organów. Poza ciałem miotały się dziko na wszystkie strony w poszukiwaniu nowego żywiciela. Autarcha, niewzruszony cierpieniem kochanków, rozdzielił ich niczym śmierć. Cisnął Abelove w drugi koniec komnaty i ujął twarz więźnia w lepkie od krwi pasożyta palce.

– A jak teraz się czujesz?

– Oddaj mi go... proszę, oddaj go...

– Czy to przypomina narodziny?

– Co tylko chcesz! Tak, przypomina! Tak! Tylko mi go oddaj!

Autarcha odprawił rytuał przywołania pijawki. Kluczył wśród ludzkich wnętrzności, wyłożonych na podłogę jako przynęta. Podniósł nóż, który leżał w kałuży krwi obok ludzkiej głowy z przepaską na oczach. Niespiesznym

krokiem wrócił do swojej ofiary.

Rozciął więzy i odsunął się, żeby spokojnie podziwiać dalszy ciąg przedstawienia. Więzień był ciężko ranny, podziurawione płuca z trudem zasysały powietrze, ale utkwiał wzrok w ubóstwionym Abelove i czołgał się w jego kierunku. Miał twarz barwy popiołu. Autarcha obserwował go ciekawie. Odległość była zbyt wielka; ta scena musiała się skończyć tragicznie.

Więzień przebył zaledwie kilka metrów, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Nie przeszkadzać! – krzyknął autarcha, ale stukanie się powtórzyło i zza drzwi dobiegł głos Rosengartena:

– Quaisoir zniknęła, panie!

Autarcha patrzył na rozpacz pełzającego mu u stóp człowieka i sam był zrozpaczony. Żona, której tak pobłażał, porzuciła go dla Syna Smutku.

– Wejść! – zawołał.

Rosengarten złożył mu raport. Seidux nie żył, został zasztyletowany, a ciało zrzucano z okna. Komnaty Quaisoir były puste. Jej służąca również zniknęła, a garderobę ktoś przewrócił do góry nogami. Poszukiwania porywaczy już się rozpoczęły.

– Porywaczy? Nie, Rosengarten. Nie ma żadnych porywaczy. Ona odeszła z własnej woli. – Autarcha nie spuszczał wzroku z więźnia, który słabł w oczach. – To koniec. Poszła szukać swojego odkupiciela. Biedna suka.

– Czy to znaczy, że nie powinienem wysyłać żołnierzy, żeby jej szukali? Miasto jest niebezpieczne.

– Ona też. Kobiety w Bastionie nauczyły ją paru sztuk.

– Mam nadzieję, że z tej przeklętej nory zostały zgliszcza – odparł Rosengarten z niezwykłą jak na siebie zapalczywością.

– Wątpię. Takie umieją się bronić.

– Nie przede mną – zauważył chełpliwie Rosengarten.

– Nawet przed tobą. I przede mną. Możemy się bardzo starać, ale mocy kobiet nie da się łatwo wyplenić. Niewidziany też próbował. Na próżno. Zawsze gdzieś, w jakimś zakątku...

– Powiedz słowo, panie – przerwał autarsze Rosengarten – a zaraz tam pójde i powywieszam te suki na ulicach.

– Nic nie rozumiesz – zganił go autarcha monotonnym, jeszcze przez to smutniejszym głosem. – Ten zakątek znajduje się tutaj. – Pokazał na swoją głowę. – W naszych umysłach. Nawet jeśli zamkniemy kobiety w odosobnie-

niu, ich tajemnice nie dają nam spokoju. Ja też to czuję, a Bóg jeden wie, że powinienem być wolny od tego brzemienia. Nie jestem ulepiony z tej samej gliny co wy tutaj. Jak mogę tęsknić za czymś, czego nigdy nie miałem? Nie wiem, ale tęsknię. – Westchnął ciężko. – Jeszcze jak! Spójrz na niego. Pijawka dała mu posmakować i choć zostały mu ostatnie sekundy życia, chce jeszcze.

– Czego posmakował?

– Łona, Rosengarten. Powiedział, że czuje się jak w łonie. Jesteśmy wyrzutkami. Choćbyśmy budowali imperium, zostaliśmy wyrzuceni z łona matki.

Więzień wydał z siebie ostatni, bolesny jęk i znieruchomiał. Autarcha przyglądał mu się przez chwilę. Ciszę mąciły tylko coraz wolniejsze podrygi leżącej na podłodze pijawki.

– Pozamykaj i zamuruj drzwi – polecił autarcha, nie odwracając się do Rosengartena. – Ja idę do Wieży Osi.

– Tak, panie.

– Znajdziesz mnie tam, kiedy wstanie dzień. Tutejsze noce są za długie. Za długie. Czasem się zastanawiam...

To, nad czym zastanawiał się autarcha, uleciało mu z myśli, zanim dotarło do ust. W milczeniu opuścił grobowiec kochanków.

ROZDZIAŁ 36

1

Podczas podróży z Pie myśli Gentle'a rzadko krążyły wokół Taylora, kiedy jednak pod murem pałacu Nikaetomaas zapytała go o powody przybycia do Imajiki, wymienił najpierw śmierć Taylora, a dopiero później próbę zamordowania Judith. Gdy przez pogrążone w aromatycznym mroku dziedzińce szli do zamku, wspomniał Taylora. Przyjaciel leżał na łożu śmierci, mówił o swobodnym szybowaniu i prosił Gentle'a o wyjaśnienie tajemnic, z którymi nie zdążył się uporać.

– Miałem w Piątym Dominium przyjaciela, który byłby zachwycony pałacem – powiedział. – Uwielbiał samotność.

Samotność wyzierała z każdego podwóreczka. Na wielu z nich założono ogrody, które później zdziczały. Ale zdziczenie wymagało energii i natura była zmęczona walką. Rośliny po krótkim, gwałtownym wzroście dusiły się nawzajem, a potem więdły i opadały na szarą jak popiół ziemię. Dostali się do wnętrza pałacu i szli bez mapy galeriami, gdzie kurz zalegał warstwą równie grubą, jak ziemia w zapuszczonych ogrodach; trafiali do zapomnianych aneksów i komnat, przygotowanych dla gości, którzy przed dziesiątkami lat wydali ostatnie tchnienie. Ściany w komnatach i w galeriach były przyozdobione freskami i kobiercami. Pewne sceny Gentle rozpoznawał z niedawnych podróży – tak jak Patashoqua pod zielonożółtym niebem, na którym unosiły się balony, albo festiwal w świątyniach w L'Himby – ale narastało w nim przekonanie, że najpiękniejsze obrazy zaczerpnięto z Ziemi, a konkretnie z

Anglii. Dominował nastrój sielankowy; pastuszkowie uwodzili nimfy w Pojednanych Dominiach dokładnie tak samo, jak opiewali to poeci Piątego w swoich sonetach, ale pewne szczegóły jednoznacznie wskazywały na Anglię: jaskółki przecinające nocne niebo; bydlę pijące wodę przy śpiących pasterzach; wieża katedry w Salisbury wyrastająca ponad dębowy zagajnik; widoczne w oddali wieże i dachy Londynu, oglądane ze wzgórza, na którym dziewczęta płały wesoło z kochankami; nawet Stonehenge, dla dobra kompozycji przeniesione na wzgórze i przedstawione na tle burzowych chmur.

– Anglia – powiedział Gentle głośno. – Mają komuś przypominać Anglię.

Choć zbyt szybko mijali te arcydzieła, żeby mógł im się dokładnie przyrzyć, był pewien, że żadne nie jest podpisane. Artyści, którzy tak pięknie odmalowali angielskie krajobrazy, pozostawali anonimowi.

– Chyba powinniśmy iść na górę – zauważyła Nikaetomaas, stając u podnóża monumentalnych schodów. – Im wyżej się znajdziemy, tym łatwiej będzie się zorientować w rozkładzie pałacu.

Pokonali pięć odcinków schodów. Na każdym piętrze witały ich nowe opustoszałe korytarze, aż wyszli na dach, skąd mogli ogarnąć skalę labiryntu, po którym się błakali. Wszędzie piętrzyły się wieże, dwu- i trzykrotnie przewyższające tę, na którą się wdrapali. W dole we wszystkich kierunkach rozciągała się sieć dziedzińców; na niektórych mignęły im oddziały wojska, ale większość była pusta. Jeszcze dalej wyrastały mury pałacu, a za nimi widniało spowite w dym miasto; odgłosy wstrząsających nim starc były z tej odległości ledwie słyszalne. Pustka i cisza działały kojąco, toteż oboje wzdrygnęli się nagle, gdy gdzieś w pobliżu wybuchło nagle zamieszanie. Niemal z wdzięcznością powitali oznaki życia w tym mauzoleum – nawet jeśli zgiełk wszczęli wrogowie – i pobiegli w kierunku, skąd dobiegał hałas. Jedno piętro w dół wpadli na zabudowany most, łączący dwie wieże.

– Kaptur! – krzyknęła Nikaetomaas. Wcisnęła kucyk pod koszulę i naciągnęła na głowę szorstki kaptur. Gentle zrobił to samo, chociaż wątpił, by ich przebranie na coś się przydało, gdyby zostali odkryci.

Przed nimi w galerii ktoś wydawał rozkazy; Gentle schował się i pociągnął za sobą Nikaetomaas, podsłuchując. Przemawiał jakiś oficer: obiecywał miesiąc płatnego urlopu każdemu, kto ustrzeli Eurhetemeca. Któryś z żołnierzy zapytał, ilu ich jest, na co oficer odparł, że podobno sześciu, ale on osobiście w to nie wierzy. Przecież wyróżnili już co najmniej dziesięć razy tyle Eurhetemeców. Nieważne, ilu ich było – sześciu, sześćdziesięciu, sześciuset

– są w mniejszości i w pułapce. Nie wydostaną się z zamku żywi. Po tych słowach oficer podzielił oddział na mniejsze grupki i kazał strzelać bez ostrzeżenia.

Trzech żołnierzy ruszyło w stronę kryjówki Gentle'a i Nikaetomaas. Gdy tylko ich minęli, Nikaetomaas wynurzyła się z cienia i dwoma uderzeniami powaliła dwóch z nich. Trzeci próbował się bronić, ale Gentle rzucił się na niego z takim impetem, że po zderzeniu obaj upadli na ziemię. Kiedy żołnierz usiłował przyłożyć Gentle'owi karabin do głowy, Nikaetomaas złapała go za rękę i dźwignęła do góry, aż znalazł się z nią twarzą w twarz. Karabin był teraz wycelowany w sufit. Zerwała hełm z głowy żołnierza.

– Gdzie autarcha? – zapytała.

Przerazony żołnierz nie próbował ich oszukiwać.

– W Wieży Osi – odparł.

– Czyli gdzie?

– To najwyższa wieża – wyjąkał z płaczem, szarpiąc się na zakrwawionej ręce, za którą trzymała go Nikaetomaas.

– Bardzo cię proszę, zaprowadź nas tam.

Żołnierz zgrzytnął zębami i pokiwał głową. Puściła go. Upadł na ziemię i wypuścił broń ze zmiażdżonej dłoni. Nikaetomaas skinęła na niego palcem.

– Jak się nazywasz?

– Yark Lazarevich – powiedział, układając obolałą rękę w zgięciu drugiego ramienia.

– Posłuchaj, Yarku Lazarevichu, jeżeli będziesz próbował wezwać pomoc albo jeżeli ja tak zinterpretuję twoje zachowanie, wycisnę ci mózg z czaszki tak szybko, że znajdzie się w Patashoqua, zanim narobisz w gacie. Czy wyrażam się jasno?

– Tak.

– Masz dzieci?

– Tak, dwoje.

– Pomyśl, co się z nimi stanie, jeśli stracą ojca, i bądź rozsądny. Jakies pytania?

– Nie. Chciałem tylko dodać, że ta wieża jest dość daleko. Nie chcę, żebyście pomyśleli, że was zwodzę.

– W takim razie pospieszmy się.

Lazarevich ruszył z powrotem do schodów, wyjaśniając po drodze, że najkrótsza droga do Wieży Osi wiedzie przez Cesscordium, które znajduje się

dwa piętra niżej.

Zeszli kilkanaście stopni, gdy za ich plecami rozległy się strzały. To jeden z dwóch ogłuszonych kompanów Lazarevicha na przemian strzelał i krzyczał na alarm. Gdyby nie zataczał się po niedawnym ciosie, trafiłby pewnie Nikaetomaas albo Gentle'a, ale zdążyli zbiec na dół, zanim stanął u szczytu schodów. Lazarevich zarzekał się, że nie ma z tym nic wspólnego, bardzo kocha swoje dzieci i jeszcze kiedyś chciałby je zobaczyć.

Z dolnej galerii dobiegł tupot kroków, hałasującemu na górze żołnierzowi odpowiedziały krzyki. Nikaetomaas bluznęła stekiem wyzwisk, które brzmiały tym paskudniej, że Gentle nic z nich nie rozumiał. Wyciągnęła rękę po Lazarevicha, który jednak zbiegł długimi susami po schodach, zanim zdążyła go złapać. U dołu spotkał się z grupką żołnierzy. Nikaetomaas w pogoni wyprzedziła Gentle'a i wpadła im prosto pod karabiny. Cztery lufy bryznęły ogniem, cztery kule dosięgły celu. Padła jak ścięta, stoczyła się kawałek po schodach i zatrzymała kilka stopni przed podłogą. Kiedy Gentle na to patrzył, trzy myśli przebiegły mu przez głowę. Po pierwsze, ci dranie muszą za to zapłacić. Po drugie, nie ma sensu dłużej się skradać. Po trzecie, gdyby udało mu się zwalić im sufit na głowy i po pałacu rozniosłaby się wieść, że poza autarchą jest w nim jeszcze ktoś, kto włada mocą, mogłoby się zrobić ciekawie. Żałował ludzi, których zabił na Lubieżnej, ale tych nie będzie mu żal. Musiał tylko sięgnąć ręką i odgarnąć kaptur z twarzy, nim zaczną strzelać. Na dole zbierało się coraz więcej żołnierzy, przybiegali ze wszystkich stron. Śmiało, pomyślał i podniósł ręce, udając, że chce się poddać. Pospieszcie się, zaraz zaczynamy.

W zbieraninie znalazł się jeden człowiek wyższy stopniem, na jego widok pozostali strzelali obcasami i salutowali sztywno. Spojrzał na schody, gdzie stał zakapturzony jeniec.

– Generale Racidio, mamy tu dwóch buntowników – zameldował jeden z kapitanów.

– To nie są Eurhetemecowie. – Racidio spojrział na Gentle'a, na Nikaetomaas, i wrócił wzrokiem do Gentle'a. – Prędzej niebytowcy.

Wszedł na schody i ruszył na spotkanie Gentle'a, który korzystając z faktu, że materiał kaptura był rzadko utkany, dyskretnie wziął wdech. Zdawał sobie sprawę, że w najlepszym wypadku będzie miał dwie, góra trzy sekundy na reakcję. Może akurat wystarczy mu czasu, żeby zasłonić się Racidem jak tarczą, gdyby pneuma nie zabiła wszystkich żołnierzy.

– No, przyjrzyjmy ci się z bliska – powiedział generał i zerwał mu szmatę z twarzy.

W tej samej chwili, w której pneuma powinna wystrzelić z dłoni Gentle'a, Racidio cofnął się, oszołomiony widokiem jego twarzy. Zobaczył w niej coś, co najwyraźniej uszło uwagi żołnierzy, trzymali bowiem Gentle'a na muszce, dopóki Racidio nie kazał im opuścić broni. Gentle był równie zdumiony jak oni, ale nie zamierzał kwestionować odroczenia wyroku. Opuścił ręce, przestąpił nad ciałem Nikaetomaas i zszedł do końca schodów. Racidio cofał się przed nim, kręcąc z niedowierzaniem głową i oblizując wargi, ale najwidoczniej brakowało mu słów. Wyglądał tak, jakby spodziewał się, że ziemia zaraz rozstąpi mu się pod nogami – i prawdę mówiąc, chciał, żeby tak się stało.

Zamiast ryzykować, że odzywając się, wyprowadzi go z błędu, Gentle sknieniem palca wezwał do siebie Lazarevicha, podobnie jak chwilę wcześniej zrobiła to Nikaetomaas. Lazarevich schronił się za plecami żołnierzy i nader niechętnie porzucił ich towarzystwo. Zerknął z nadzieją na kapitana i generała, ale nie zareagowali. Kiedy Gentle wyszedł mu na spotkanie, Racidio wykrztusił pierwsze słowa od chwili, gdy ujrzął jego twarz:

– Wybacz mi. Czuję się upokorzony.

Gentle nie ulżył mu w zgryzocie i nie odpowiedział. Z Lazarevichem u boku ruszył w stronę oddziału blokującego zejście na następny odcinek schodów. Rozstąpili się bez słowa. Zwalczył pokusę przyspieszenia kroku i wszedł między nich. Żałował też, że nie zdążył się pożegnać z Nikaetomaas, ale ani niecierpliwość, ani sentymenty nie przyniosłyby mu teraz korzyści. Był błogosławiony. Może gdy nadejdzie odpowiedni moment, zrozumie dlaczego. Na razie jednak musiał znaleźć autarchę. Miał nadzieję, że mistyf już przy nim będzie.

– Nadal chcesz iść do Wieży Osi? – zapytał Lazarevich.

– Tak.

– Puścisz mnie wolno, kiedy cię tam zaprowadzę?

– Tak – powtórzył Gentle.

Lazarevich rozejrzał się po galerii.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Chciałbyś to wiedzieć? – odpowiedział Gentle.

Sam sobie również zadawał to pytanie.

Na początku było ich sześcioro, teraz zostali we dwóch. Jedną z ofiar był Thes'reh'ot; zginął, kiedy zaznaczał wyrytym w kamieniu krzyżykiem kolejne przejście w labiryncie dziedzińców. To był jego pomysł, żeby oznaczać przebytą drogę. Dzięki temu mieliby ułatwioną ucieczkę po wykonaniu zadania.

– Tylko wola autarchy trzyma te mury – powiedział, gdy weszli na teren pałacu. – Kiedy autarcha zginie, runą. Będziemy musieli się spieszyć, żeby nas żywcem nie pogrzebały.

Sam fakt, że Thes'reh'ot zgłosił się na ochotnika do misji, którą wyśmiał jako samobójczą, był zdumiewający, ale jego późniejszy optymizm graniczył z histerią. Teraz Pie stracił nie tylko nieoczekiwane sprzymierzeńca, ale także szansę, żeby dowiedzieć się, dlaczego do nich dołączył. Całemu przedsięwzięciu od początku towarzyszyły zagadki i tajemnice, z których największą było chyba poczucie nieodwracalności losu przebijające ze słów sędziny. Odnosił wrażenie, jakby wyrok zapadł na długo przed tym, jak zjawili się z Gentle'em w Yzordderrex. Próbując mu się sprzeciwić, podważałby opinię ważniejszych niż Culus urzędników. Takie myślenie musiało, naturalnie, zrodzić fatalizm i choć mistyf nie przeszkadzał Thes'reh'otowi oznaczać drogi ucieczki, nie żywił też nadziei, żeby naprawdę była im potrzebna. Starał się nie myśleć o tym, co straci, jeśli zginie, dopóki ostatni z jego towarzyszy, Lu'chur'chem – czystej krwi Eurhetemec, o czarnej, wpadającej w granat skórze i podwójnych źrenicach – nie poruszył tego tematu. Znajdowali się w galerii ozdobionej freskami miasta, w którym Pie kiedyś mieszkał. Ulice Londynu wyglądały niedzisiejszo; widział na nich sprzedawców gołębi, mimów i dandysów.

– Już nigdy, co? – zagadnął Lu'chur'chem.

– Słucham?

– Już nigdy nie wyjdziemy na ulicę, żeby podziwiać poranek.

– Nie?

– Nie. Nie wyjdziemy stąd żywi. Obaj o tym wiemy.

– Nic nie szkodzi. Dużo w życiu widziałem, jeszcze więcej czułem... Niczego nie żałuję.

– Długo żyłeś?

– Owszem.

– A twój maestro? On też był długowieczny?

– Tak – odparł Pie, podziwiając malowidła na murach.

Nie były zbyt wyrafinowane, ale działały na wyobraźnię i budziły wspomnienia. Przypomniały mu się zgiełkliwe, tłoczne zaułki, po których spacerowali z maestrem w pięknych, pełnych nadziei dniach przed Pojednaniem. Na modnych ulicach Mayfair pełno było eleganckich sklepów i jeszcze elegant-szych dam, które przychodziły po wodę lawendową, mantuańskie jedwabie i śnieżnobiały muślin. Na zatłoczonej Oxford Street pół setki kramarzy naga-bywało klientów, sprzedawali pantofle, dzikie ptactwo, wiśnie i pierniki, wal-cząc o skrawek miejsca na chodniku i odrobinę powietrza, które poniosłoby ich krzyki. A oto odpust, zapewne przy kościele Świętego Bartłomieja, gdzie więcej grzeszono za dnia niż w Babilonie w mrokach najczarniejszej nocy.

– Kto je malował? – zastanawiał się na głos Pie.

– Sądząc po tym, jak wyglądają, to chyba wielu artystów. Można rozróż-nić miejsca, gdzie zmienia się styl.

– Ale ktoś musiał nimi kierować, podpowiadać szczegóły, kolory. Chyba że autarcha po prostu wykradł malarzy z Piątego Dominium.

– Co wcale nie jest wykluczone – zauważył Lu'chur'chem. – Architektów kradł. Zniewalał całe szczepy, żeby budowały mu pałac.

– Nikt mu się nigdy nie sprzeciwił?

– Ludzie cały czas próbowali wzniecać bunty, ale krwawo je tłumił. Palił uniwersytety, wieszał teologów i radykałów. Siła była po jego stronie, a poza tym miał jeszcze Oś. Ludzie wierzą, że to znak, iż Niewidziany mu sprzyja. Gdyby Hapexamendios nie chciał, żeby autarcha rządził w Yzordderrex, nie pozwoliliby mu ściągnąć tu Osi, prawda? Tak mówią. A ja nie... Co się stało? – spytał, gdy Pie stanął jak wryty.

Mistyf wpatrywał się w obraz. Ze wzruszenia zaczął szybciej oddychać.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Lu'chur'chem.

Pie potrzebował dłuższej chwili, żeby znaleźć właściwe słowa:

– Nie powinniśmy chyba iść dalej.

– Dlaczego?

– W każdym razie nie razem. Wyrok wydano na mnie i sam powinienem dokończyć dzieła.

– Co się z tobą dzieje? Dotarłem tu z tobą i chcę mieć z tego jakąś satys-fakcję.

– A co jest ważniejsze: twoja satysfakcja czy powodzenie naszej misji?

– Znasz moją odpowiedź.

– No to mi zaufaj. Dalej muszę iść sam. Poczekaj tu na mnie, jeśli chcesz...

Lu'chur'chem odchrząknął, trochę podobnie jak Culus, tylko bardziej chrapliwie.

– Przyszedłem tutaj, żeby zabić autarchę.

– Nie. Przyszedłeś mi pomóc i już mi pomogłeś. Ja mam go zlikwidować, nie ty. Tak brzmiał wyrok.

– Wyrok, wyrok! Czemu tak nagle zacząłeś się nim przejmować? Sram na wyrok! Chcę widzieć, jak autarcha umiera; chcę patrzeć mu w oczy.

– Przyniosę ci jego oczy. Mówię serio. Niczego więcej nie mogę ci obiecać. Muszę tam iść sam.

Lu'chur'chem splunął na ziemię.

– Nie ufasz mi, prawda?

– Jeśli tak chcesz myśleć...

– Mistyfi szajs! Jeśli przeżyjesz, sam cię zabiję! Przysięgam!

Rozmowa została zakończona. Lu'chur'chem splunął jeszcze raz i odszedł. Mistyf został sam przed obrazem, którego widok wzburzył mu krew.

Dziwnie się czuł, widząc obrazy Oxford Street i odpustu u Świętego Bartłomieja w miejscu tak odległym w czasie i w dominiach od oryginałów, ale traktował to jak zbieg okoliczności, chociaż podejrzenia narastały w nim podczas całej rozmowy z Lu'chur'chemem. Nadal tak by o nich myślał, gdyby nie ostatni obraz w cyklu, całkiem inny od poprzednich. Tamte przedstawiały publiczne widowiska, powielane w nieskończoność chociażby na satyrycznych rysunkach. Ten nie. Na tamtych widniały znane na całym świecie widoki. Na tym nie.

Obraz przedstawiał niepozorną, zapomnianą przez Boga i ludzi uliczkę w Clerkenwell. Pie wąpił, by jakiś artysta z Piątego Dominium kiedykolwiek użył pióra lub pędzla, by ją odmalować. Tu jednak przedstawiono ją ze wszystkimi szczegółami, do ostatniego listka i ostatniej cegły. Gamut Street. Na samym środku, pod numerem dwudziestym ósmym, pysznił się dom maestra Sartoriego.

Był prześlicznie namalowany. Na dachu ptaszki uganiały się w zalotach, na progu gryzły się psy, a między kochankami i wojownikami stał dom oświetlony przesianym przez liście światłem słońca, które nie padało na żaden inny budynek w sąsiedztwie. Frontowe drzwi były zamknięte, za to okna

na piętrze pootwierane na oścież. W jednym z nich stał człowiek ukryty w cieniu. Nie można było mieć wątpliwości, co zwróciło jego uwagę. W oknie domu po drugiej stronie ulicy dziewczyna siedziała przed lustrem, trzymając na kolanach psa. Sięgała palcami do wstążki, która przytrzymywała gorset. Na ulicy pomiędzy piękną dziewczyną i jej tajemnym adoratorem pełno było szczegółów, które mógł namalować tylko ktoś, kto widział je na własne oczy. Chodnikiem przechodziła mała procesja sierot, którymi opiekowała się miejscowa parafia; wszystkie miały białe ubranka i trzymały w rączkach gałązki. Na przedzie szedł Willis, okrutny, prymitywny urzędnik parafialny, którego Sartori pobił kiedyś do nieprzytomności za znęcanie się nad podopiecznymi. Zza rogu wyjeżdżał powóz Roxborougha, zaprzężony w jego ulubionego gnidosza, Bellamare, nazwanego tak na cześć hrabiego de Saint Germain. Używając tego pseudonimu, hrabia kilka lat wcześniej uwiódł połowę weneckich kobiet. Z domu pod numerem trzydziestym drugim właścicielka wypędzała właśnie jakiegoś dragona; słynęła z tego, że pod nieobecność męża zabawiała oficerów regimentu księcia Walii, słynnej Dziesiątki. Z naprzeciwnika obserwowała to zazdrosna wdowa.

Na obrazie rozgrywało się jeszcze kilkanaście małych dramatów. Każdy z nich Pie znał dobrze. Kto pomagał malarzom w pracy, podpowiadając im, jak wiernie oddać powóz, dziewczynę, żołnierza, wdowę, psy, ptaki, podglądacza i całą resztę?

Nie mogąc rozwikłać tej zagadki, Pie oderwał wzrok od obrazu i spojrzał w głąb galerii. Lu'chur'chem splunął jeszcze parę razy po drodze i zniknął. Mistyf został sam. Wiedział, że będzie mu brakowało Lu'chur'chemy; żałował, że nie umiał go przekonać do swoich racji, nie obrażając jednocześnie. Jednakże ostatni obraz stanowił dowód na istnienie sekretów, przy których odkrywaniu wolał nie mieć świadków. Świadczenie zbyt łatwo mogli stać się oskarżycielami, a on i bez tego miał dość wyrzutów sumienia. Jeżeli tyran Yzordderrex miał coś wspólnego z domem przy Gamut Street, być może, Pie nieświadomie stał się jego sprzymierzeńcem.

Nie mógł się lepiej przygotować na niespodzianki. Odszedł przed obrazu, przypominając sobie daną Lu'chur'chemowi obietnicę. Jeżeli przeżyje, musi mu przynieść oczy autarchy. Oczy, które – był tego pewien – oglądały kiedyś Gamut Street z taką samą natarczywością, z jaką mężczyzna w oknie wpatrywał się w ukochaną, która siedziała w oknie naprzeciw niego, zniewolona własnym odbiciem w lustrze.

POJEDNANIE

ROZDZIAŁ 37

Podobnie jak wiele dzielnic rozrywki w innych dużych miastach Imajiki – czy to w Pojednanych Dominiach, czy w Piątym – okolica, w której znajdował się „Ipsę”, miała niezbyt chlubną przeszłość. W minionych czasach aktorki obojga płci dorabiali sobie do pensji występami w starej jak świat pięcioaktówce wystawianej dzień i noc, bez przerwy: krótkie targi, cichy kąpiel, łatwy flirt, szybkie zbliżenie i stosowna zapłata. Z czasem jednak centrum tego rodzaju zabaw przeniosło się na przeciwległą stronę miasta, gdzie wywodząca się z klasy średniej – coraz liczniejsza – klientela czuła się mniej wystawiona na natrętne spojrzenia sąsiadów szukających bardziej szacownej rozrywki. Wystarczyło kilka miesięcy, by na Lubieżnej i w pobliżu wyrosło mrowie domów, tworząc trzeci pod względem zamożności kesparat Yzordderrex. Dzielnicę teatrów mogła śmiało pograć się w praworządności.

Może właśnie dzięki temu, że mało kto się nią interesował, przetrwała wstrząsy ostatnich kilku godzin w znacznie lepszym stanie niż inne kesparaty. Nie żeby nic się w niej nie działo: oddziały generała Mattalausea przemaszerowały tędy, zmierzając na południe, ku grobli, gdzie buntownicy próbowali zbudować prowizoryczny most w poprzek rzecznej delty; później z Karmelowej Kuchni przybyło kilka rodzin, żeby ukryć się w należącym do Kopocowego „Rialto”. Nikt jednak nie budował barykad, nikt nie palił domów. Poranek miał zastać Deliquium nietknięte – ale wcale nie dlatego, że nikt się nim nie interesował, lecz ze względu na sąsiedztwo Białego Kopca, który ani nie był biały, ani nie przypominał kopca. Był to pamiątkowy krąg, pośrodku którego znajdowała się studnia. Od niepamiętnych czasów używano jej jako zbiorowej mogiły dla skazańców, samobójców, żebraków oraz – czasami –

romantyków, którym zamarzyło się gnić w takim towarzystwie. Nazajutrz miała rozejść się plotka, że zapomniane dusze powstały z martwych, by bronić swojej ziemi; że ocaliły kesparat, ponieważ nawiedzając „Ipse” i „Rialto”, i wyjąc niczym psy obłąkane od pogoni za ogonem komety, przepłoszyły wandalów i budowniczych barykad.

*

Quaisoir – w łachmanach, z pokorną modlitwą na ustach – kilkakrotnie uszła z ognia walki praktycznie nie drażnięta. Tej nocy na ulicach Yzordder-rex znalazło się wiele otepiałych od smutku kobiet, które błagały Hapexamendiosa, żeby zwrócił im dzieci i mężów. Zazwyczaj bez przeszkód przepuszczano je przez linie frontu – ich szloch wystarczał za przepustkę.

Oglądanie samych walk nie było jeszcze najgorsze – w swoim czasie zorganizowała dostatecznie dużo masowych egzekucji, by się z nimi oswoić. Kiedy jednak zaczynały spadać głowy, oddalała się czym prędzej z miejsca widowiska, zostawiając sprzątaną innym. Teraz musiała boso przemierzać podobne do jatek ulice. Jej legendarna obojętność wobec śmierci zawodziła w obliczu takich potworności. Nie raz i nie dwa musiała kluczyć po mieście, żeby uniknąć ulic szczególnie śmierdzących wnętrznościami i przypaloną krwią. Wiedziała, że gdy wreszcie spotka Syna Smutku, będzie musiała wyspowiadać się przed Nim ze swojego tchórzostwa, ale tyle grzechów obciążało jej sumienie, że jeden więcej nie robił różnicy.

Kiedy skręciła w ulicę, na której końcu stał należący do Pluthero teatr, ktoś zawołał ją po imieniu. Zatrzymała się i rozejrzała. Siedzący na schodach domu mężczyzna w niebieskich szatach wstał na jej widok. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej owoc, który obierał. Nie był chyba przekonany, kogo ma przed sobą.

– Jesteś jego żoną – powiedział niepewnie.

Czyżby to był Pan? Człowiek, którego widziała w porcie na dachu, miał za plecami rozświetlone niebo i nie widziała wyraźnie jego twarzy. Czy to mógł być On?

Mężczyzna krzyknął do kogoś, kto znajdował się w głębi budynku – dawnego burdelu, jak kazały się domyślać nieprzyzwoite zdobienia na portyku. Ze środka wynurzył się oethac z butelką w jednej ręce. Drugą dłonią burzył włosy na głowie chłopca, który miał nagie, błyszczące ciało i twarz kretyna.

Quaisoir zaczęła podejrzewać, że pomyliła się w ocenie nieznanego, ale postanowiła zaczekać, aż jej nadzieje potwierdzą się lub legną w gruzach.

– Czy to ty jesteś Synem Smutku?

Człowiek z owocem w dłoni wzruszył ramionami.

– A kto nim nie jest w taką noc?

Odrzucił owoc. Kretyn zbiegł po schodach, porwał go i wepchnął sobie w całości do ust. Policzki mu się wybrzuszyły, sok pociekł po brodzie.

– To przez ciebie. – Mężczyzna dźgnął nożem w kierunku Quaisoir i odwrócił się do oethaca. – Była w porcie. Widziałem.

– Kto to jest?

– Quaisoir, żona autarchy. – Zrobił krok w jej stronę. – Mam rację, prawda?

Nie potrafiła zaprzeczyć, tak jak nie umiałaby w tej chwili uciec. Jeżeli to rzeczywiście był Jezu, nie mogła zaczynać błagań o przebaczenie od kłamstwa.

– Tak, to ja – odparła. – Byłam żoną autarchy.

– Ładna jest, w mordę – stwierdził oethac.

– Nie ma znaczenia, jak wygląda. Liczy się tylko to, co zrobiła.

– Tak... – Quaisoir zaczynała nieśmiało wierzyć, że faktycznie ma przed sobą syna Dawida. – Tylko to, co zrobiłam.

– Egzekucje...

– Właśnie.

– Pogromy...

– Tak.

– Straciłem wielu przyjaciół. Wszystko przez ciebie...

– Przebacz mi, Panie. – Quaisoir padła na kolana.

– Widziałem cię dziś rano w porcie – stwierdził Jezu, podchodząc bliżej. – Uśmiechałaś się.

– Przebacz mi.

– Rozglądałaś się dookoła i uśmiechałaś. Pomyślałem sobie, kiedy cię tam zobaczyłem...

Był trzy kroki od niej.

– ...oczy tak ci błyszczały...

Lepką od soku dłonią złapał ją za głowę.

– Pomyślałem, że te oczy... Uniósł nóż...

– ...muszą zgasnąć.

...i pchnął w dół, szybko i mocno, mocno i szybko. Oślepił swoją czi-
cielkę, zanim zdążyła krzyknąć.

*

Łzy, które nagle napłynęły Jude do oczu, zakłuły boleśnie. Jęknęła i przy-
cisnęła dłonie do oczodołów, żeby powstrzymać strumień łez. Na próżno;
płynęły nieprzerwanie, gorące i piekące. Ból pulsował jej w głowie. Dowd
złapał ją za ramię i była mu za to wdzięczna. Przewróciłaby się, nie znalazł-
szy w nim oparcia.

– Co się stało? – zapytał.

Nie mogła mu powiedzieć, że czuje ból Quaisoir.

– To przez ten dym – odparła. – Ledwo widzę.

– Jesteśmy już niedaleko „Iipse”, ale jeszcze kawałek musimy przejść. Na
otwartym terenie nie jesteśmy bezpieczni.

Nie mylił się. Choć w tej chwili przed oczami latały jej tylko czerwone
plamy, to przez ostatnią godzinę naoglądała się dość okropności, żeby mieć
koszmary do końca życia. Wyśnione Yzordderrex – miasto, którego korzenny
aromat kilka miesięcy wcześniej przyzywał ją do Azylu niczym kochanek do
łóża – leżało w ruinie. Może dlatego Quaisoir tak płakała.

Łzy w końcu obeschły, lecz ból nie ustępował. Nienawidziła mężczyzny,
który służył jej swoim ramieniem, ale bez niego by upadła i nie miała siły
wstać. Przekonywał ją do każdego kolejnego kroku; „Iipse” jest już blisko,
mówił – przecnicę, najwyżej dwie stądy. Tam będzie mogła odpocząć, on zaś
zacznie wspominać dawną chwałę. Słuchała go jednym uchem; myślała tylko
o swojej siostrze, chociaż wizja spotkania z nią napawała niepokojem. Oby
Quaisoir zjawiała się w asyście strażników, na których widok Dowd wycofa
się i nie będzie im przeszkadzał. Co się jednak stanie, jeżeli nie ulegnie prze-
sądnemu lękowi, lecz zareaguje agresją? Czy Quaisoir będzie umiała się
obronić przed jego pajakami? Potykając się, Jude zaczęła trzeć oczy; w klu-
czowej chwili musi dobrze widzieć, żeby móc Dowdowi uciec.

Nagle jego monolog gwałtownie się urwał. Dowd stanął w miejscu i po-
ciągnął Jude za ramię. Zatrzymała się. Podniosła wzrok. Ulica, którą szli, nie
była najlepiej oświetlona, tylko między domami przesączała się poświata od-
ległych pożarów. W jej blasku Jude ujrzała siostrę. Quaisoir czołgała się po
ziemi, zbliżając się do jednego z tych słabych snopów światła. Szloch wyrwał

się z piersi Jude, bo Quaisoir miała wyłupione oczy, a ci, którzy ją skrzywdzili, deptali jej po piętach. Jeden z nich był chłopcem, drugi oethakiem, trzeci zaś – cały we krwi – najbardziej przypominał człowieka, chociaż miał twarz wykrzywioną zgoła nieludzkim grymasem rozkoszy. W dłoni wciąż trzymał nóż, którym oślepił Quaisoir. Wzniósł ostrze do ciosu nad jej obnażoną szyją.

– Zostaw ją! – krzyknęła Jude.

Nóż znieruchomiał w powietrzu i wszyscy trzej prześladowcy Quaisoir spojrzeli na Jude. Bezmyślna pusta twarz dziecka nawet nie drgnęła. Człowiek z nożem przyglądał się Jude z niedowierzaniem, ale milczał. Pierwszy odezwał się oethac.

– Nie... nie zbliżaj się... – powiedział, wodząc przerażonym wzrokiem od oślepionej kobiety do jej zdrowego lustrzanego odbicia i z powrotem. Mężczyzna z nożem odzyskał mowę i próbował go uspokoić, ale oethac bełkotał dalej: – Zobacz! Co to, kurwa, jest? Co? Sam zobacz!

– Zamknij jadaczkę! Ona nas nawet palcem nie tknie.

– Skąd wiesz? – Oethac złapał chłopca jedną ręką i zarzucił go sobie na plecy. – To nie ja. – Cofnął się. – Nawet jej nie dotknąłem. Przysięgam. Przysięgam na wszystkie moje blizny!

Nie zwracając na niego uwagi, Jude zrobiła krok w stronę Quaisoir. Oethac rzucił się do ucieczki, ale człowiek z nożem nie tracił rezonu.

– Ciebie też tak załatwię – ostrzegł. – Gównu mnie obchodzi, kim jesteś. Załatwię cię!

Za jej plecami rozległ się głos Dowda. Nigdy nie słyszała, żeby mówił tak zdecydowanie:

– Na twoim miejscu dałbym jej spokój.

Quaisoir obróciła głowę w jego kierunku. Oczu nie miała przebitych nożem, lecz wydłubane z oczodołów. Na widok ziejących tam dziur Jude zrobiło się wstyd, że tak się załamała, czując niewielki przecież – w porównaniu z nią – ból.

– Panie? – odezwała się Quaisoir niemal z radością. – Słodki Panie, czy dostatecznie zostałam ukarana? Czy teraz mi już przebaczysz?

Ani omyłka Quaisoir, ani wynikająca z niej ironia sytuacji nie uszły uwagi Jude. Dowd nie był Zbawicielem, ale chyba z przyjemnością wszedł w tę rolę. Kiedy odpowiedział Quaisoir, przemawiał równie łagodnie jak wcześniej stanowczo:

– Naturalnie, że ci przebaczę. Po to tu jestem.

Jude miałyby może ochotę od razu pozbawić Quaisoir wszelkich złudzeń, gdyby nie fakt, że występ Dowda zupełnie zaskoczył nożownika.

– Powiedz mi, kim jesteś, dziecko – ciągnął Dowd.

– Dobrze wiesz, kim jest! – wycedził mężczyzna. – To Quaisoir. Ta kurwa Quaisoir!

Dowd zerknął na Jude. Nie zdziwił się zbyt; na jego twarzy odbiło się raczej zrozumienie. Przeniósł wzrok na nożownika.

– Zgadza się – przytaknął.

– Obaj wiemy, co zrobiła. Zasługuje na jeszcze gorsze traktowanie.

– Gorsze, powiadasz? – Dowd ruszył w stronę napastnika, który niepewnie przerzucał nóż z ręki do ręki. Wyczuł chyba, że Dowd okrucieństwem przewyższa go tysiącrotnie, i szykował się do obrony. – A co gorszego chciałbyś jej zrobić?

– To samo, co ona robiła ludziom. Wiele razy.

– Sądzisz, że osobiście się tym zajmowała?

– Wcale bym się nie zdziwił. Kto ich wie, co oni robią tam, na górze? Ludzie znikają bez śladu, a potem rzeka wyrzuca ich na brzeg w kawałkach... – Nożownik uśmiechnął się lekko. Widać było, że jest zdenerwowany. – Wiesz, że na to zasługuje.

– A ty? Na co ty zasługujesz?

– Nie twierdę, że jestem bohaterem. Powiedziałem tylko, że jej się należy.

– Rozumiem – rzekł Dowd.

Jude bardziej się domyślała, niż widziała, co się później wydarzyło. Oprawca Quaisoir skrzywił się z obrzydzeniem i cofnął o krok, a potem nagle skoczył w przód, próbując pchnąć Dowda w serce. Wtedy znalazł się w zasięgu pajaków. Musiały go obleźć, nim ostrze sięgnęło ciała Dowda, bo z wrzaskiem odskoczył w tył. Wolną ręką złapał się za twarz. To, co działo się później, raz już widziała: darł sobie paznokciami oczy, nozdrza i usta; nogi ugięły się pod nim, gdy pająki niszczyły jego ciało od środka. Upadł u stóp Dowda i zaczął wściekle miotać się po ziemi, aż w końcu wepchnął sobie nóż do ust, próbując wygarnąć robactwo, które go odczyniało. Popłynęła krew, zaraz potem umarł. Ręka opadła mu z twarzy, tylko ostrze noża zostało w ustach, jakby się nim zadławił.

– Już po wszystkim – powiedział Dowd do Quaisoir, która skulona leżała

kilka metrów od trupa swojego oprawcy. – Już cię nie skrzywdzi.

– Dzięki ci, Panie.

– A te oskarżenia pod twoim adresem, dziecko...

– To wszystko prawda.

– Straszne rzeczy.

– Tak.

– Jesteś winna tych czynów?

– Tak. Chcę się z nich wypowiadać przed śmiercią. Wysłuchasz mnie, Panie?

– Wysłucham – odparł wspaniałomyślnie Dowd.

Jude, która do tej pory biernie śledziła rozwój wypadków, teraz postanowiła podejść bliżej. Na dźwięk jej kroków Dowd odwrócił się i pokręcił głową.

– Zgrzeszyłam, Panie Jezu – mówiła Quaisoir. – Po wielekroć. Błagam, przebacz mi.

Rozpacz w głosie siostry – bardziej niż nieme polecenie Dowda – powstrzymała Jude przed ujawnieniem swojej obecności. Quaisoir była bliska śmierci; skoro chciała się wypowiadać jakiejś współczującej duszy, nikt nie miał prawa jej przeszkadzać. Myliła się, biorąc Dowda za Chrystusa, ale jakie to miało znaczenie? Gdyby Jude wyjawiała prawdę, tylko przysporzyłaby siostrze nowych cierpień.

Dowd uklęknął przy żonie autarchy i wziął ją w ramiona; Jude nigdy by go nie podejrzewała o zdolność do takiej czułości – ani prawdziwej, ani nawet udawanej. Quaisoir, choć w agonii, była wniebowzięta. Ścisnęła poły marynarki Dowda i raz po raz dziękowała mu za łaskawość. Szeptał do niej łagodnie, zapewniając, że nie musi wyliczać wszystkich swoich win.

– Masz je w sercu – powiedział. – Widzę wszystko i wybaczam ci. Opowiedz mi o swoim mężu. Gdzie teraz jest? Dlaczego nie przybył wraz z tobą, by prosić o przebaczenie?

– Nie uwierzył, że przybyłeś, Panie. Mówiłam, że widziałam Cię w porcie, ale nie ma w nim wiary.

– Nic a nic?

– Wierzy tylko w siebie – odparła z goryczą.

Dowd zaczął kołysać ją w ramionach, zadając dalsze pytania. Skupiony bez reszty na Quaisoir, nie zauważył, kiedy Jude podeszła bliżej. Pozazdrościła mu; sama chciałaby tak tulić siostrę.

– A kim właściwie jest twój mąż? – zapytał Dowd.
– Znasz go, Panie. To autarcha, którzy rządzi Imajicą.
– Ale przecież nie zawsze był autarchą, prawda?
– Tak.
– Kim zatem był wcześniej? Zwyczajnym człowiekiem?
– Nie. Chyba nigdy nie był taki całkiem zwyczajny. Nie pamiętam za dobrze...

Dowd znieruchomiał.

– Mnie się wydaje, że pamiętasz. – Ton jego głosu nieco się zmienił. – Powiedz mi. Kim był, nim zawładnął Yzordderrex? I kim ty byłaś?

– Ja byłam nikim.

– Jak zatem udało się wam zejść tak wysoko?

– Kochał mnie. Od samego początku mnie kochał.

– Nie odprawiliście przypadkiem jakiegoś wstrętnego rytuału, żeby się tak wywyższyć? – spytał Dowd, a widząc wahanie Quaisoir, naciskał dalej: – Co takiego zrobiliście? Co?!

W jego słowach pobrzmiwało echo tonu Oscara; był sługą, który przemawiał głosem swego pana. Quaisoir, bojąc się jego nagłej złości, odparła:

– Wiele razy byłam w Bastionie Banu. I do Aneksu też chodziłam.

– Kto tam mieszka?

– Wariatki. Kobiety, które zabiły swoich mężów, dzieci...

– Po co szukałaś towarzystwa takich żałosnych istot?

– W nich drzemią... ukryte... moce.

Jude słuchała z uwagą.

– Jakie moce? – Dowd zadał pytanie, które sama bezgłośnie wypowiedziała.

– Nie zrobiłam nic złego – zastrzegła się Quaisoir. – Chciałam tylko zostać oczyszczona. W snach widziałam Oś. Co noc padał na mnie jej cień, przygniatał mnie. Pragnęłam się od niego uwolnić.

– Udało ci się? – spytał Dowd. Quaisoir milczała, powtórzył więc z naciskiem: – Udało ci się?

– Nie zostałam oczyszczona, lecz odmieniona. Te kobiety mnie splugawiły. Noszę w swoim ciele skazę. Chcę się jej pozbyć! – Quaisoir rozdarła na sobie szaty, odsłaniając piersi i brzuch. – Wymazać ją! Zesłała mi nowe sny, jeszcze gorsze od tamtych.

– Uspokój się.

– Chcę się jej pozbyć! Na zawsze! – Ciałem Quaisoir wstrząsnęły drgawki tak gwałtowne, że wyrwała się z objęć Dowda. – Czuję ją! – krzyknęła, rozdrapując sobie skórę na piersiach.

Jude zerknęła na Dowda, próbując siłą woli zmusić go do jakiejś reakcji, ale on tylko wstał i z nieskrywaną przyjemnością obserwował miotającą się Quaisoir. Ona zaś nie żartowała: po brzuchu płynęły jej strugi krwi, kiedy krzyczała, że chce zetrzeć skazę. Jej ciało przechodziło przemianę, tak jakby plugastwo, o którym mówiła, wysączało się zeń wszystkimi porami. Skóra połyskiwała opalizująco, zmieniając powoli kolor. Jude znała ten odcień błękitu, który od szyi Quaisoir rozprzestrzeniał się w obu kierunkach – w dół, na całe ciało, i w górę, na wykrzywioną twarz. To był błękit kamiennego oka, błękit bogini.

– Co się dzieje? – zdziwił się Dowd.

– Wyjdź ze mnie! Wyjdź!

Przykucnął obok żony autarchy.

– Czy to jest ta skaza?

– Wymaż ją ze mnie! – zaszlochała i znów zaczęła się kaleczyć.

Jude nie mogła dłużej tego znieść. Pozwolić siostrze umrzeć w pokoju w ramionach zastępczego bóstwa – to jedno, ale patrzeć, jak się maltretuje – zupełnie coś innego.

– Powstrzymaj ją – zażądała.

Dowd spojrział na nią i przesunął kciukiem po gardle, żeby ją uciszyć. Spóźnił się jednak, oszalała z bólu Quaisoir usłyszała głos siostry. Przestała się miotać i zwróciła ku Jude twarz o krwawych oczodołach.

– Kto tam jest? – zapytała.

Dowd skrzywił się z wściekłości, ale jeszcze próbował ją uciszyć. Na próżno.

– Kto jest z Tobą, Panie?

Odpowiadając, popełnił błąd, którym zniszczył jej złudzenia:

– Nikogo tu nie ma – skłamał.

– Słyszałam kobiecy głos. Kto tam jest?

– Powiedziałem ci przecież. Nikogo nie ma. Uspokój się. Jesteśmy sami.

– To nieprawda.

– Nie wierzysz mi, moje dziecko? – Głos Dowda, tak ostry przy niedawnych pytaniach, zabrzmiał nagle tak łagodnie, jakby nieufnością zraniła go do głębi. Bez słowa ujęła jego dłoń w błękitne, zalane krwią ręce. – Tak lepiej –

powiedział.

Przesunęła palcami po wnętrzu jego dłoni.

– Nie masz blizn – stwierdziła.

– Blizny zostają na zawsze – odparł dostojnie.

Nie zrozumiał jednak, co miała na myśli.

– Na twojej dłoni nie ma blizn – powtórzyła.

Cofnął rękę.

– Zaufaj mi – powiedział.

– Nie. Nie jesteś Synem Smutku. – Uniesienie i radość zniknęły z jej głosu. – Nie możesz mnie zbawić. – Zaczęła młócić na oślepe ramionami, chcąc odpędzić oszusta jak najdalej. – Gdzie mój Zbawiciel? Chcę do Zbawiciela!

– Nie ma go tutaj – odparła Jude. – Nigdy go tu nie było.

Quaisoir odwróciła się do niej.

– Kim jesteś? Skądś znam twój głos...

– Zamknij jadaczkę! – Dowd wycelował w Jude palec. – Albo, słowo daję, zapoznasz się bliżej z pajakami...

– Nie bój się go – przerwała mu Quaisoir.

– Ona wie, że mam rację – zauważył Dowd. – Widziała, co potrafię.

Chcąc dać Quaisoir szansę usłyszenia głosu, który znała, lecz którego nie potrafiła rozpoznać, Jude postanowiła potwierdzić słowa Dowda:

– To prawda. On może nas obie skrzywdzić. Nie jest Synem Smutku, siostrze.

Nie wiadomo, czy sprawiły to słowa, które sama kilkakrotnie powtórzyła – Syn Smutku – czy też fakt, że została nazwana siostrą, ale Quaisoir nagle zobojętniała. Zaczęła się podnosić z ziemi.

– Jak masz na imię? – wychrypiała. – Powiedz mi, jak masz na imię?

– Ona jest nikim – wtrącił Dowd, jakby cytując jej własne słowa sprzed kilku chwil. – Jest martwą kobietą. – Ruszył w stronę Jude. – Tak mało rozumiesz, a ja wiele ci przez to wybaczyłem, lecz nie mogę ci dłużej pobłażać. Zepsułaś mi zabawę. Mam tego dość. – Podniósł lewą dłoń i położył sobie palec na ustach. – Zostało mi już niewiele pajaków, więc jeden będzie musiał wystarczyć. Trochę to potrwa, ale nawet taki cień jak ty można odczytać.

– Więc teraz jestem cieniem, tak? A wydawało mi się, że jesteśmy podobni, pamiętasz? Pamiętasz, jak to mówiłeś?

– To było w innym życiu, kochaniutka. Tu wszystko wygląda inaczej. Tutaj mogłabyś zrobić mi krzywdę, więc nie pozostaje mi nic innego, jak po-

wiedzieć „Dziękuję i dobranoc państwu”.

Jude cofała się przed nim. Nie wiedziała, jak daleko musi się odsunąć, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego ohydnych pajaków. Obserwował ją z wyrazem udawanego zatroskania na twarzy.

– To na nic, kochaniutka. Znam tę okolicę jak własną kieszeń.

Zignorowała jego protekcyjny ton i zrobiła następny krok do tyłu. Nie odrywała wzroku od ust Dowda, gdzie gnieździły się pajaki, ale kątem oka widziała, że Quaisoir stoi obok niego.

– Siostró? – zapytała Quaisoir.

Dowd odwrócił się, dając Jude czas na ucieczkę. Krzyknął coś i Quaisoir, kierując się jego głosem, zaatakowała. Złapała go za szyję i rękę, i wydała z siebie dźwięk, jakiego Jude nigdy nie słyszała z ludzkich ust. Zazdrościła jej tego wrzasku; zdawał się zdolny kruszyć kości niczym szkło i wyciskać wszelkie barwy z powietrza. Gdyby znajdowała się bliżej Quaisoir, powaliłby ją na kolana.

Odwróciła się tylko raz. Widziała, jak Dowd wypłuł zabójcze pajaki wprost w puste oczodoły Quaisoir. Modliła się, żeby jej siostra umiała lepiej się przed nimi bronić niż człowiek, który wyłupił jej oczy. W każdym razie ona jej pomóc nie mogła; powinna uciekać, póki ma jeszcze szansę. Przynajmniej jedna z nich przeżyje kataklizm.

Skręciła w pierwszą przecznicę i dalej biegła krętą ścieżką. Im więcej zakrętów pokona, tym dłużej Dowd będzie musiał zastanawiać się, którędy uciekła. Z pewnością nie przechwalał się na próżno i naprawdę świetnie znał dzielnicę, w której kiedyś – jak twierdził – triumfował. Wobec tego im prędzej Jude zostawi za sobą te uliczki i znajdzie się na terenie obcym dla nich obojga, tym łatwiej go zgubi. Tymczasem zaś musiała się spieszyć i nie rzucać w oczy; stać się jak cień, o którym mówił Dowd, jak plama mroku w ciemności, ulotna, rozmazana, nieuchwytna.

Jednak ciało nie chciało jej słuchać; było zmęczone, obolałe i rozdygotane. W piersiach palił ją żywy ogień – podwójny, jakby w każdym płucu z osobna rozgorzał pożar; niewidzialne ręce zdzierały jej do krwi skórę z pięt. Nie odważyła się zwolnić kroku, dopóki burdele i teatry nie zostały daleko z tyłu. Znalazła się w miejscu, które mogłoby posłużyć za scenę którejś z tragedii Pluthero Quexosa. Okrągły plac miał sto metrów średnicy, a otaczały go wysokie ściany z gładkiego czarnego kamienia. Tutaj ognisty żywioł nie szalał tak jak w innych dzielnicach; małe białe płomyczki niczym błędne ogniki

pełgały po koronie muru, rozświetlając chodnik, który opadał łagodnie ku czarnej dziurze w samym środku kręgu. Jude nie miała pojęcia, co to jest. Zejście do świata podziemnego? A może zwyczajna studnia? Wszędzie dookoła leżały kwiaty, których płatki opadły i zaczęły gnić; bruk zrobił się od nich oślizły i musiała bardzo uważnie stawiać stopy. Narastało w niej przeświadczenie, że jeżeli rzeczywiście ma przed sobą studnię, to w wodzie unoszą się ludzkie zwłoki, czyniąc ją niezdarną do picia. Na chodniku wszędzie widniały klepsydry – nazwiska, daty, kilka słów, czasem niezdarny rysunek; im bliżej studni się znajdowała, tym było ich więcej. Niektóre wyryto nawet od wewnątrz cembrowiny. Żalobnicy, którzy ryzykując upadek wyrysowali je w takim miejscu, musieli być albo bardzo odważni, albo beznadziejnie zrozpaczeni.

Mimo że otwór w ziemi ją przyciągał – podobnie jak to bywa z przepaścią w górach – i zachęcał, by zajrzała w głąb, oparła się pokusie i zatrzymała o kilka kroków od jego krawędzi. Mdlący odór w powietrzu nie dawał się tu zbyt łatwo we znaki. Być może, studni od dawna nie używano – a może jej obecni mieszkańcy spoczywali naprawdę głęboko.

Rozejrzała się dookoła. Na plac prowadziło osiem dróg (dziewięć, jeśli liczyć studnię). Podeszła do wylotu dokładnie naprzeciwko zaułka, którym przyszła. Uliczka była ciemna, zadymiona i Jude chętnie by się w nią zagłębiła, gdyby nie sterta gruzu, która sygnalizowała, że kawałek dalej przejście może być zablokowane. W następną również nie udało się jej wejść – zwalone belki lizał ogień. Chciała zajrzeć w trzecią z kolei, gdy za plecami usłyszała Dowda. Odwróciła się. Stał po drugiej stronie studni. Przekrzywił lekko głowę, udając troskę, niczym rodzic, który właśnie dopędził swoje włóczące się na wagarach dziecko.

– A nie mówiłem? Znam tę okolicę...

– Już to słyszałam.

– Właściwie to nawet dobrze się składa, że tu przyszłaś. – Ruszył w jej stronę. – Zaoszczędzę pajęczka.

– Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Bo przecież chciałabyś mnie skrzywdzić, prawda? Z rozkoszą byś to zrobiła. Nie zaprzeczaj!

– Nie zaprzeczam.

– No proszę... Nie uważasz, że mimo wszystko dobry ze mnie spowiednik? A to dopiero początek. Skrywasz sekrety, których istnienia nawet nie

podejrzewasz. – Zakręcił dłonią w powietrzu. – Zaczynam dostrzegać doskonałość tej sytuacji; historia zatoczyła koło, wszystko wraca tam, gdzie się zaczęło. To znaczy: do niej. Albo do ciebie, to bez znaczenia. Jesteście takie same.

– Jak bliźniaczki? – spytała Jude. – Czy o to chodzi?

– To zbyt trywialne, kochaniutka. Obraziłem cię, nazywając cieniem. Jesteś czymś o wiele cudowniejszym. Jesteś... – Zawiesił głos. – Nie, zaczekaj. To nie fair. Opowiadam ci wszystko, co wiem, a ty nie dajesz mi nic w zamian.

– Bo nic nie wiem. A szkoda.

Dowd schylił się i podniósł z ziemi kwiat – jeden z nielicznych, które uchowały się nietknięte.

– Wiesz wszystko to, co Quaisoir – powiedział. – A już na pewno wiesz, co poszło nie tak.

– Z czym?

– Z Pojednaniem. Byłaś tam. Ależ naturalnie, zdaję sobie sprawę, że uważasz się tylko za niewinną obserwatorkę, ale w tej sprawie nikt nie jest niewinny. Nikt. Ani Estabrook, ani Godolphin, ani Gentle, ani ten jego mistyf. Wszyscy mają coś na sumieniu.

– Ty też?

– Cóż... Ze mną sprawa wygląda nieco inaczej. – Dowd westchnął i powąchał kwiat. – Jestem aktorem. Udaję rozkosz. Chciałbym zmienić świat, a kończę jako komediant, podczas gdy was wszystkich, kochanków – prychnął pogardliwie – gównem cały ten świat obchodzi, póki kieruje wami namiętność. To przez was płoną miasta i umierają narody. To wy jesteście siłą sprawczą tragedii, choć zwykle nie macie o tym pojęcia. Co wobec tego ma robić aktor, który chce być poważnie traktowany? Powiem ci: musi się nauczyć grać uczucia tak dobrze, żebyście pozwolili mu zejść ze sceny i wpuścili go do prawdziwego świata. Wierz mi, zanim znalazłem się tu, gdzie jestem, solidnie się napracowałem. Zaczynałem praktycznie od zera. Byłem gońcem. Statystą. Kiedyś w roli alfonsa służyłem nawet Niewidzianemu, ale to był jednorazowy występ. A potem wróciłem do służby u kochanków...

– Takich jak Oscar?

– Takich jak Oscar.

– Nienawidziłeś go, prawda?

– Nie. Oscar zwyczajnie mnie nudził, on i cała jego rodzina. Był taki sam

jak jego ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie, aż do szurniętego Joshuy. Straciłem cierpliwość. Wiedziałem, że mój czas kiedyś wreszcie nadejdzie, ale czekanie mnie męczyło i od czasu do czasu dawałem temu wyraz.

– Spiskowałeś.

– Naturalnie! Chciałem przyspieszyć bieg wydarzeń, prowadzących do mojej... emancypacji. Wszystko to sobie wyliczyłem. Bo ja już taki jestem, rozumiesz? Artysta o duszy księgowego.

– Wynająłeś Pie, żeby mnie zabił?

– Świadomie nie. Uruchomiłem pewien proces, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że sprawy zajdą tak daleko. Nawet nie wiedziałem o istnieniu tego mistyfa. W miarę rozwoju sytuacji zacząłem jednak rozumieć, że to było nieuniknione. Najpierw zjawił się Pie, potem ty spotkałaś Godolphina, pokochałaście się... Tak musiało być. Po to się urodziłaś. A tak nawiasem mówiąc, tęsknisz za nim? Powiedz, tylko szczerze.

– Prawie o nim nie myślę – odparła Jude, zdumiona, jak prawdziwe jest to stwierdzenie.

– Co z oczu, to z serca, nie? Jak ja się cieszę, że nie odczuwam miłości. Jest żałosna. Zwyczajnie, beznadziejnie żałosna. – Dowd zastanowił się chwilę. – Czuję się prawie tak, jakby to był pierwszy raz. Kochankowie płoną z tęsknoty, świat drży w posadach. Rzecz jasna z tą różnicą, że ostatnio byłem statystą. Teraz zamierzam być księciem.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że urodziłam się po to, by pokochać Godolphina? Nie przypominam sobie, żebym w ogóle się urodziła.

– Chyba czas to zmienić. – Dowd zbliżył się jeszcze bardziej i odrzucił kwiat. – Rytuały inicjacyjne nigdy nie są przyjemne, więc przygotuj się, kochaniutka, na najgorsze. Przynajmniej wybrałaś dobre miejsce. Siądziemy na brzegu studni, zwiesimy nóżki w dół i pogadamy sobie o tym, jak to przyszedliśmy na świat.

– Nie ma mowy – odparła zdecydowanie Jude. – Nie zbliżę się do tej dziury.

– Myślisz, że zamierzam cię zabić? Nie zamierzam. Chcę ci tylko ulżyć, odciążyć cię, ująć ci wspomnień. Chyba nie proszę o zbyt wiele, prawda? Bądź uczciwa. Pozwoliłem ci zajrzeć w moje serce, teraz ty pokaż mi swoje. Nie odmawiaj. – Dowd złapał ją za rękę i pociągnął na skraj studni.

Jude zakręciło się w głowie. Przeklinała Dowda, że zaciągnął ją tu siłą, ale cieszyła się zarazem, że mocno ją trzyma.

– Usiądziesz? – zapytał, a kiedy odmówiła, ciągnął dalej: – Jak chcesz. Stojąc, możesz łatwiej się pośliznąć i spaść, ale decyzja należy do ciebie. Za-uważyłem, kochaniutka, że zrobiłaś się uparta. Z początku byłaś bardziej ustępliwa. Bądź co bądź, tak cię wychowano.

– Nijak mnie nie wychowano.

– Skąd ta pewność? Przed chwilą twierdziłaś, że nie pamiętasz własnej przeszłości. Skąd wiesz, kim miałaś być? Kim cię stworzono? – Dowd spoj-rzał w głąb studni. – Te wspomnienia tkwią gdzieś w twojej główce, kocha-niutka. Musisz tylko wywabić je z kryjówki. Quaisoir szukała jakiejś bogini; może z tobą było podobnie, chociaż tego nie pamiętasz. A jeśli tak, to może jesteś kimś więcej niż Mirabelką Joshuy; kimś, kogo w tej rozgrywce nie uwzględniłem.

– A gdzie ja miałabym spotkać jakieś boginie, Dowd? Mieszkam w Piątym Dominium, w Londynie. W Notting Hill Gate nie ma bogów.

Ledwie skończyła mówić, pomyślała o Celestine, pogrzebanej pod należą-cym do Tabula Rasa wieżowcem. Czy Celestine mogła być siostrą bóstw na-wiedzających Yzordderrex? Uosobieniem zmienności, uwięzionym przez przedstawicieli płci, która wielbi stałość? Na wspomnienie jej celi Jude nagle rozjaśniło się w głowie, jakby wypiła szklaneczkę whisky na pusty żołądek. Przecież doświadczyła wtedy cudu – a skoro wtedy, to może i wcześniej, w przeszłości, której nie pamiętała?

– Nie wiem, jak odnaleźć te wspomnienia – poskarżyła się jak dziecko.

– To proste. Wyobraź sobie, jak to było: urodzić się.

– Nie pamiętam nawet swojego dzieciństwa.

– Bo go nie miałaś, kochaniutka. I nie miałaś młodości. Urodziłaś się od razu taka, jaka jesteś. Quaisoir była pierwszą Judith, ty zaś, moja droga, je-steś jej kopią. Być może doskonałą, ale tylko kopią.

– Nie... Nie wierzę ci.

– Oczywiście z początku musisz zaprzeczyć faktom. To całkowicie zrozu-miało. Twoje ciało wie jednak, co jest prawdą, a co nie. Cała się trzęsiesz, od środka też...

– Jestem zmęczona – wyjaśniła Jude, wiedząc, jak żałośnie brzmi ta wy-mówka.

– To chyba coś więcej niż zmęczenie, prawda? Powiedz że tak.

Przypomniała sobie, co się stało, gdy poprzednio usłyszała prawdę o swo-jej przeszłości – padła na kuchenną posadzkę, jakby niewidzialny nóż prze-

ciał jej ścięgną w nogach. Bała się, że teraz, na skraju studni ogarnie ją podobna słabość. A Dowd o tym wiedział.

– Musisz stawić czoło wspomnieniom. Wyrzuć je z siebie. Śmiało. Od razu lepiej się poczujesz.

Czuła, jak słabnie jej ciało i wola. Perspektywa spotkania z tym, co kryło się w mrocznej otchłani jej umysłu (a chociaż nie ufała Dowdowi, nie miała wątpliwości, że drzemią tam koszmary) przerażała ją nie mniej od tego, że mogłaby wpaść do studni. Może lepiej by było, gdyby zginęła właśnie tutaj, w tej chwili; siostry odeszłyby ze świata o jednej godzinie. Nigdy by się nie dowiedziała, czy Dowd miał rację. Załóżmy jednak, że cały czas ją okłamywał – dając wielki pokaz aktorstwa – i że nie była cieniem, kopia stworzoną po to, by służyć, lecz prawdziwym dzieckiem prawdziwych rodziców, samodzielna istota, rzeczywista, kompletna. Wówczas poddałaby się śmierci ze strachu przed samą sobą. Dowd zapisałby kolejną ofiarę na swym koncie. Mogła go pokonać tylko w jeden sposób. Musiała sprawdzić, czy nie blefuje. Posłuchać go, sięgnąć w głąb swojej jaźni i nie cofać się przed tym, co tam znajdzie. Którąkolwiek Judith była – oryginałem czy kopia, naturalną czy wyhodowaną – najważniejsze, że istniała. Nie mogła przed sobą uciec, lepiej więc było poznać prawdę.

Gdy podjęła decyzję, pod czaszką zapłonął jej mały ognek i oczyma wyobraźni ujrzała pierwsze cienie przeszłości.

– O bogini! – mruknęła półgłosem. Odrzuciła głowę do tyłu. – Co to? Co to jest?

Widziała siebie samą, jak leży na gołych deskach w pustym pokoju. Spała, grzejąc się w ciepłe ognia na kominku. Blask ognia pochlebnie kładł się na jej nagiej skórze. Korzystając z tego, że śpi, ktoś wymalował na jej ciele niezwykły symbol. Wyglądał znajomo: rozpoznała w nim rysunek, który wyobraziła sobie, kochając się pierwszy raz z Oscarem, a potem dostrzegła jeszcze raz, przez mgnienie oka, w czasie podróży między dominiami. Spirala jej ciała namalowana na tymże ciele wieloma barwami. Kiedy poruszyła się przez sen, wzór zdawał się zostawiać po sobie ślad w powietrzu. Trwał jeszcze, gdy jej uwagę zwrócił inny ruch – tym razem krąg z piasku, który okalał jej twarde łoże, uniósł się niczym zasłona. Przypominał zorzę polarną, gdy migotał tymi samymi kolorami co rysunek na jej skórze. Miała wrażenie, że jakiś kluczowy element jej natury przenika powietrze w pokoju. Widok był tak piękny, że stała zauroczona.

– Co widzisz? – usłyszała pytanie Dowda.

– Siebie... Leżę na podłodze... dookoła mnie jest krąg z piasku...

– Jesteś pewna, że to ty?

Już miała odburknąć coś pogardliwie, gdy nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia jego słów. Może widziała nie siebie, lecz siostrę.

– Jak mam nas rozróżnić? – zapytała.

– Wkrótce się dowiesz.

I rzeczywiście. Piaskowy parawan zaczął gwałtownie falować, jak gdyby wewnątrz kręgu zerwał się wiatr. Drobinki piasku rozbryzgiwały się na boki, wyraźnie odcinając się od ciemnego tła: punkciki czystego koloru wzbijały się wysoko niczym wschodzące gwiazdy, po czym spadały, płonąc w miejscu, gdzie leżała na podłodze obok siostry. Chłoneła wielobarwny deszcz jak wdzięczna gleba, która potrzebuje go, by wydać owoce.

– Czym jestem? – spytała, wodząc wzrokiem za spadającymi światełkami. Ziemia, na którą spadały, migotała w ich blasku.

Piękno tego spektaklu uspiło jej czujność. Widok własnego niedokończonego ciała był jak nagły cios, który wytrącił ją ze wspomnień. Nagle stwierdziła, że balansuje na krawędzi studni i tylko uścisk dłoni Dowda powstrzymuje ją przed upadkiem. Objął ją lodowaty pot.

– Nie puszczaj mnie – powiedziała.

– Co widzisz?

– Czy tak wyglądają narodziny? – zaszlochała. – Chryste Panie, czy tak to właśnie wygląda?

– Wracaj do wspomnień – ponaglił ją Dowd. – Dokończ, co zaczęłaś! Słyszysz mnie? – Potrząsnął nią. – Słyszysz mnie? Dokończ to!

Widziała przed sobą jego wściekle wykrzywioną twarz, widziała kuszącą otchłań studni za jego plecami. Pomiędzy nimi, w rozświetlonym ogniem pokoju, który czyhał gdzieś w głębi jej umysłu, ujrzała widok jeszcze bardziej koszmarny: jej na wpół skończone ciało leżało w kręgu ohydnych formuł magicznych. Patrzyła, jak mięśnie pokrywają się skórą powstałą z wydzielin ciała drugiej kobiety; jak ta skóra nabiera koloru; jak oczy zaczynają lśnić, a usta połyskiwać; jak zarysowują się takie same piersi, brzuch i genitalia. Oglądała nie narodziny, lecz duplikację. Była kopią, podobizną wykradzioną pogrążonemu we śnie oryginałowi.

– Nie mogę na to patrzeć – powiedziała.

– Przecież cię ostrzegałem, kochaniutka. Powtórka z początku naszego ist-

nienia nigdy nie jest łatwa.

– Nie jestem nawet prawdziwa.

– Nie bawmy się w metafizykę – usłyszała w odpowiedzi. – Jesteś, czym jesteś. Prędzej czy później musiałaś się tego dowiedzieć.

– To ponad moje siły! Nie zniosę tego!

– Ależ właśnie to znosisz. Nie spiesz się. Powoli.

– Więcej nie...

– Ależ tak. Dużo więcej. To było najgorsze, dalej będzie łatwiej.

Dowd kłamał. Kiedy znów – bez żadnej zachęty z jej strony – zawładnęły nią wspomnienia, trzymała ramiona w górze, czekając, aż kolory zgęstnieją wokół wyciągniętych palców. Nawet ładnie to wyglądało, przynajmniej dopóki nie opuściła jednej ręki i nie wyczuła leżącej obok, dzielącej z nią łono istoty. Odwróciła się w jej stronę i krzyknęła.

– Co się stało? – spytał Dowd. – Bogini cię nawiedziła?

To nie była bogini, lecz drugi niedokończony twór, który wpatrywał się w nią pozbawionymi powiek oczami. Wysunął bezbarwny język, tak szorstki, że przy dotyku zdarłby jej świeżą skórę. Cofnęła się; jej strach rozbawił bladego stwora, który zatrzęsł się ze śmiechu. On również zbierał cętki kradzionych kolorów, ale nie pławił się w nich tak jak ona; łapał je w ręce i napawał się własną nagością, odsuwając moment, kiedy okryje się skórą.

– Czy to bogini? – dopytywał się Dowd. – Co widzisz? Mów, kobieto! Powiedz to...

Nagle jego głos ucichł. Zapadła cisza, która trwała ułamek sekundy, zanim przeszył ją ostry krzyk. Wizja kręgu i drugiej znajdującej się w nim istoty natychmiast się rozwiązała. Jude poczuła, że Dowd już jej nie trzyma za rękę, a potem się przewróciła. Przez chwilę młóciła na oślep ramionami – i mogła mówić o szczęściu, gdyż nie wpadła do studni, lecz przy jej skraju. Zaczęła ześlizgiwać się do środka. Próbowwała zaczepić się palcami o bruk, ale liczne stopy tak go przez wieki wygładziły, że zsuwała się dalej. Ciemna otchłań upominała się o nią jak o dawno zapomniany dług. Jude wierzgnęła nogami w powietrzu. Przejechała biodrami przez krawędź studni, wciąż szukając punktu zaczepienia dla rąk – głębiej wyrytego nazwiska, różanego ciernia, który utkwiał między kamieniami, czegokolwiek. Usłyszała drugi krzyk Dowda. Podniosła wzrok i ujrzała dowód cudu.

Quaisoir przeżyła spotkanie z pajakami. Przemiany, które dokonywały się w jej ciele, gdy stawiała czoło Dowdowi, dobiegły końca. Cała jej skóra przy-

brała błękitny odcień, a twarz, niedawno tak okrutnie okaleczona, promieniała. Były to jednak drobiazgi. Z pleców wyrastały jej długie na kilka metrów macki, ocierające się o ziemię, nad którą unosiła się w niezwykłym locie. Przepęniała ją moc, którą zdobyła w Bastionie. Dowd cofnął się przed nią na skraj studni. Nic nie mówił. Przykucnął, zamierzając przemknąć dołem pomiędzy skręcającymi się w powietrzu mackami.

Jude poczuła, że jej palce ślizgają się po bruku. Krzyknęła.

– Siostrze? – zapytała Quaisoir.

– Tutaj! – zawołała Jude. – Szybko!

Quaisoir pomknęła w jej stronę, odpychając się od ziemi muśnięciem macek. Dowd wybrał ten moment na ucieczkę, ale źle wymierzył: jedna z macek trafiła na jego ramię, owinęła się wokół szyi i cisnęła nim w czeluść. W tej samej chwili Jude straciła oparcie i wydała ostatni rozpaczliwy okrzyk. Quaisoir jednak równie szybko przysła jej w sukurs, jak wcześniej przyniosła Dowdowi zagładę. Zanim brzeg studni zdołał przesłonić Jude cały świat, oplótła mackami jej rękę i pociągnęła do góry. Jude przetoczyła się po bruku, dysząc jak sprinter na mecie biegu.

Usiadła wyprostowana, słysząc dobiegające z wnętrza studni błagania Dowda. W jego krzykach nie było nic, czego nie spodziewałaby się po człowieku, który od pokoleń ćwiczył się w pozornej służalczości. Obiecywał Quaisoir wieczne posłuszeństwo, jeśli tylko go oszczędzi. Czy miłosierdzie nie jest klejnotem w koronach istot niebieskich? I czy ona sama nie jest aniołem?

– Nie – odparła Quaisoir. – Tak jak nie jestem oblubienicą Chrystusa.

Niezrażony Dowd nadal błagał i wychwalał jej cnoty. Quaisoir nigdzie nie znalazłaby lepszego sługi, wierniejszego akolity. Czego chce? Jego męskości? Proszę bardzo! On, Dowd, może się na miejscu wykastrować. Wystarczy jedno jej słowo.

Jeśli Jude miała jeszcze jakieś wątpliwości co do siły Quaisoir, teraz się rozwiały. Macki wydobyły więźnia ponad krawędź studni. Ociekał pochlebstwami jak dziurawe wiadro wodą.

– Dziękuję, pani, dziękuję po tysiącokroć...

Dopiero teraz dostrzegła, że Dowdowi zagraża podwójne niebezpieczeństwo: nie dość, że wisiał w powietrzu nad studnią, to jeszcze macki Quaisoir zaciskały mu się na gardle z taką siłą, że udusiłby się, gdyby nie wcisnął pod nie palców. Po jego policzkach łzy spływały w teatralnym nadmiarze.

– Szlachetne panie! – zaczął. – Jak ja się wam odwdzięczę?

– Dlaczego dałam ci się zwieść? – odpowiedziała pytaniem Quaisoir. – Jesteś tylko człowiekiem. Co wiesz o istotach boskich?

Dowd wyglądał, jakby bał się odpowiedzieć; wahał się, co byłoby groźniejsze – zaprzeczenie czy potwierdzenie?

– Powiedz prawdę – doradziła mu Jude.

– Kiedyś służyłem Niewidzianemu – odparł Dowd. – Znalazł mnie na pustyni i wysłał do Piątego Dominium.

– Po co?

– Żebym coś dla niego załatwił.

– Co?

Dowd znów zaczął się wić w więzach. Łzy mu obeschły, dramatyczny ton ulotnił się z głosu.

– Potrzebowałam kobiety, która urodzi mu syna w Piątym Dominium.

– Znalazłeś mu ją?

– Tak. Nazywała się Celestine.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem. Zrobiłem, co mi kazano, i...

– Co się z nią stało? – powtórzyła z naciskiem Quaisoir.

– Umarła... – Dowd zawiesił głos, czekając na ewentualne wyrazy powątpiewania. Kiedy nikt się nie odezwał, ciągnął z zapalem: – Tak, tak, odeszła ze świata. Prawdopodobnie zmarła w połogu. Bo widzicie, Hapexamendios zapłodnił ją, ale jej biedne ciało nie potrafiło znieść takiej odpowiedzialności.

Tym razem jego zachowanie było zbyt znajome, żeby Jude dała się zwieść. Znała melodię, która przenikała do jego głosu, gdy kłamał; teraz też wyraźnie ją usłyszała. Dobrze wiedział, że Celestine żyje. Melodii tej brakowało jednak w jego wcześniejszych odpowiedziach o stręczeniu dla Hapexamendiosa, co wskazywałoby, że istotnie służył Bogu.

– Co się stało z dzieckiem? – pytała dalej Quaisoir. – To był chłopiec czy dziewczynka?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Kolejne kłamstwo, które tym razem wyczuła Quaisoir. Poluzowała pętlę i Dowd zsunął się o parę centymetrów. Zaszlochał z przerażenia, zacisnął dłonie na mackach.

– Nie puszczaj mnie! Na Boga, trzymaj!

– Co z dzieckiem?

– Skąd miałbym wiedzieć? – Kiedy tym razem w oczach Dowda wezbrały

łzy, były prawdziwe. – Jestem nikim. Gońcem. Statystą.

– Alfonsem – dodała Quaisoir.

– To też, przyznaję. Jestem alfonsem! Ale poza tym nikim, zupełnie nikim! Powiedz jej, Jude: jestem marnym aktorzyną, do cholery! Nic niewartym aktorzyną!

– Nic niewartym, tak?

– Nic a nic!

– W takim razie dobranoc – powiedziała Quaisoir i puściła Dowda.

Pętla macek prześliznęła mu się przez palce tak niespodziewanie, że nie zdążył jej mocniej chwycić. Spadł jak odcięty ze stryczka wisielec; przez kilka sekund nawet nie krzyczał, jakby niedowierzanie zamknęło mu usta. Dopiero gdy krąg zadymionego nieba nad głową zmniejszył się do rozmiarów punkcika, wrzasnął – piskliwie i krótko.

Jude oparła się dłońmi o bruk i nie patrząc na Quaisoir, wymamrotała słowa podziękii za ocalenie i za zgładzenie Dowda.

– Kto to był? – zaciekawiała się Quaisoir.

– Niewiele o nim wiem.

– Po kawałku... Tak właśnie uczymy się wszystko rozumieć. Po... kawałku...

Głos Quaisoir zdradzał wyczerpanie i gdy Jude podniosła na nią wzrok, zorientowała się, że cud dobiega końca. Quaisoir opadła na ziemię. Jej ciało zapadało się w sobie, błękit znikał ze skóry. Jude wstała i odkuśtykała od krawędzi otworu.

– Dokąd idziesz? – zapytała Quaisoir, słysząc dźwięk jej kroków.

– Jak najdalej od studni – odparła Jude. Oparła się dłońmi i czołem o przyjemnie chłodny mur. – Wiesz, kim jestem? – spytała po chwili.

– Tak... Jesteś tą częścią mnie, którą straciłam. Drugą Judith.

– Zgadza się.

Odwróciwszy się, Jude stwierdziła, że Quaisoir mimo bólu się uśmiecha.

– To dobrze. Jeżeli przeżyjemy, może zaczniesz wszystko od nowa. Za nas obie. Może ujrysz wizje, do których ja odwróciłam się plecami.

– Jakie wizje?

Quaisoir westchnęła.

– Kiedyś kochał się we mnie pewien wielki maestro. Pokazał mi anioły. Zjawiały się przy naszym stole opromienione słońcem. Słowo daję, anioły w promieniach słońca. Wydawało mi się, że będziemy żyć wiecznie i poznam

wszystkie sekrety morza. Ale pozwoliłam mu się wywieść ze słonecznych krain; dałam się przekonać, że duchy nic nie znaczą. Liczy się tylko nasza wola. Jeżeli chcemy zadawać ból, to jest to mądrość. Tak szybko się zgubiłam, Judith. Tak szybko. – Wzdrygnęła się. – Moje zbrodnie mnie oślepiły, jeszcze zanim zrobiło to ostrze noża.

Jude ze współczuciem spojrzała na okaleczoną twarz siostry.

– Musimy znaleźć kogoś, kto oczyści ci rany.

– Wątpię, czy w Yzordderrex ostał się choć jeden lekarz. Podczas rewolucji lekarze zawsze uciekają pierwsi, prawda? Razem z poborcami podatkowymi, poetami...

– Jeżeli nikogo nie znajdziemy, sama to zrobię – stwierdziła Jude. Odsunęła się od dającej poczucie bezpieczeństwa ściany i wróciła na pochyły bruk, do siedzącej na nim Quaisoir.

– Wydawało mi się wczoraj, że widzę Jezusa. Stał na dachu z rozłożonymi rękoma. Miałam nadzieję, że przyszedł po mnie, że będę mogła się wyśpowiadać. Dlatego tu przyszłam. Szukałam Jezusa. Słyszałam Jego posłańca.

– To byłam ja.

– Ty... w moich myślach?

– Tak.

– Znalazłam więc ciebie zamiast Christosa. To chyba jeszcze większy cud. – Wyciągnęła rękę do Jude. – Nie mam racji, siostrze?

– Jeszcze nie wiem – odparła Jude, ściskając jej dłoń. – Dziś rano byłam sobą. A teraz kim jestem? Kopia. Falsyfikatem.

Przypomniał się jej Gentle, gnojek, jak nazywał go Klein; fałszerz, który zarabiał na geniuszu innych. Czy dlatego miał obsesję na jej punkcie? Czyżby dostrzegł cień jej prawdziwej natury, która go pociągała? Czy podążał za nią, by odkryć, jak nędzną jest podróbką?

– Byłam szczęśliwa – ciągnęła, wracając pamięcią do szczęśliwych chwil spędzonych z Gentle'em. – Może nie zawsze zdawałam sobie z tego sprawę, ale byłam szczęśliwa. Byłam sobą.

– Nadal jesteś.

– Nie. – Jude nigdy nie była tak zropanczona. – Jestem częścią innej osoby.

– Wszyscy jesteśmy częściami – odparła Quaisoir. – I ci, którzy się rodzą, i ci, którzy zostają stworzeni. – Zaciśnęła palce na dłoni Jude. – I wszyscy mamy nadzieję kiedyś znów stać się całością. Zaprowadzisz mnie na górę, do

pałacu? Tam będzie bezpieczniej.

– Oczywiście. – Jude pomogła jej wstać.

– Wiesz, w którą stronę iść?

Mimo ciemności i dymu ściany pałacu majaczyły nad nimi – masywne, chociaż odległe.

– Czeka nas nielicha wspinaczka – stwierdziła Jude. – Nie wiem, czy zdążymy przed świtem.

– Noce w Yzorderrex są długie.

– Ale nie trwają wiecznie.

– Dla mnie tak.

– Przepraszam, nie pomyślałam. Chodziło mi o to...

– Nie przepraszaj. Lubię mrok, bo w nim lepiej pamiętam słońce. Słońce i anioły przy stole. Będziesz mnie prowadzić za rękę, siostrze? Nie chciałabym cię znowu stracić.

ROZDZIAŁ 38

W innych okolicznościach Gentle czułby się może przygnębiony taką ilością zamkniętych na głucho i opieczętowanych pomieszczeń, ale gdy zbliżali się z Lazarevichem do wieży, cieszył się, że nikt i nic łatwo się przez te drzwi nie wydostanie. Lazarevich odzywał się rzadko – tylko wówczas, gdy proponował Gentle'owi, żeby dalszą drogę odbył sam.

– To niedaleko stąd – mówił. – Nie będę ci już potrzebny.

– Nie tak się umawialiśmy – przypominał mu Gentle.

Żołnierz klął, biadolił, a potem szedł jakiś czas w milczeniu, aż wrzask dobiegający z bocznych tuneli albo odbłask światła w kałuży krwi pod nogami kazały mu powtórzyć prośby o zwolnienie z zobowiązania.

Nikt ich nie zatrzymywał. Może kiedyś w tych gigantycznych komnatach panował tłok (w każdej zmieściłaby się mała armia), ale już całkiem opustoszały. Nieliczni intendenci i służący, których spotkali, uciekali z pałacu, niosąc pospiesznie zebrane drobiazgi. Martwili się przede wszystkim o własne życie, zakrwawiony żołnierz i jego niechlujnie odziany towarzysz nie budzili ich zainteresowania.

W końcu ukazały się nie opieczętowane drzwi, za które Lazarevich za żadne skarby nie chciał wejść.

– To jest Wieża Osi – oznajmił ledwie słyszalnym szeptem.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Nic nie czujesz?

Gentle musiał przyznać, że odczuwa w dłoniach, jądrach i pod czaszką niezwykle, ledwie uchwytnie mrowienie.

– Przysięgam, że to tutaj – szepnął Lazarevich.

– No dobrze. – Gentle dał się przekonać. – Zrobiłeś, co do ciebie należało. Teraz znikaj.

– Mówisz serio? – Lazarevich uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Jak najbardziej.

– Nie wiem, kim jesteś, ale dziękuję ci. Dziękuję.

Zanim jednak zdążył się oddalić, Gentle złapał go pod ramię i przyciągnął do siebie.

– Powiedz swoim dzieciom, żeby nie szły do wojska. Niech lepiej zostaną poetami, może pucybutami... Byle nie żołnierzami. Rozumiesz?

Lazarevich pokiwał z zapalem głową, ale Gentle wątpił, by choć słowo zrozumiał. Myślał wyłącznie o ucieczce; gdy tylko odzyskał wolność, zawrócił i w dwie sekundy nie było po nim śladu. Gentle uchylił kute mosiężne drzwi i wszedł. Końcówki nerwów w kroczu i czubkach palców podpowiadały mu, że nie jest to zwyczajne miejsce – delikatne do niedawna mrowienie stawało się bolesne. Za drzwiami zalegał mrok. Gentle przystanął i odczekał, aż wzrok przywyknie mu do ciemności. Wyglądało na to, że nie znalazł się jeszcze w sąsiedztwie Wieży Osi, lecz w dusznym jak szpitalna sala przedpokoju o nagich ścianach. Był tu jedynie stół, na którym leżała przewrócona, pusta klatka dla kanarka. Po przeciwnej stronie stołu znajdowały się drugie drzwi. Gentle przeszedł przez nie i znalazł się w korytarzu, w którym powietrze było jeszcze bardziej zastałe niż w komnacie. Niepokojący, monotony dźwięk, który w nim rozbrzmiewał, w innych okolicznościach mógłby nawet być kojący. Nie wiedząc, skąd dobiega, Gentle skierował się w prawo i zaczął ostrożnie brnąć przed siebie. Z lewej strony odchodziły w bok schody, które zaraz ginęły w ciemnościach. Nie skręcił na nie, lecz poszedł prosto i po chwili ujrzał z przodu słabą poświatę. Buczenie, którego źródłem była zapewne Oś, wzmagало się, przez co miał wrażenie, że pakuje się prosto w pułpkę, ale nie ustępował – musiał się upewnić, że Pie nie jest więziony w jednym z tych korytarzy.

Do otwartych drzwi kolejnej komnaty brakowało mu dosłownie kilku kroków, gdy ciemna sylwetka zasłoniła na chwilę światło, ale zniknęła zbyt szybko, by zdołał ją rozpoznać. Przyłgął płasko do ściany i zaczął się powoli przesuwac do wejścia. Blask, który go zwabił, rzucała stojąca na stole lampa oliwna, obok niej na kilku talerzach dostrzegł resztki jakiegoś posiłku. Stanął przy drzwiach, czekając, aż nieznajomy – zapewne strażnik – znowu się pojawi. Nie chciał go zabijać, dopóki nie okaże się to absolutnie koniecz-

ne; nawet bez jego ingerencji w Yzordderrex będzie o świcie dostatecznie dużo wdów i sierot. Kilka razy słyszał, jak strażnik puszcza wiatry ze swobodą człowieka, który jest przekonany, że nikt go nie widzi i nie słyszy. Potem skrzypnęły jakieś drzwi i kroki nieznajomego zaczęły się oddalać.

Gentle sprawdził, czy pokój jest pusty. Wszedł do środka, żeby zabrać ze stołu leżące na nim dwa noże. Na jednym z talerzy znalazł garść przebranych już cukierków. Nie oparł się pokusie, wziął jeden i wkładał go do ust, gdy ktoś z tyłu zapytał:

– To ty, Rosengarten?

Gentle się odwrócił. Gdy zobaczył twarz człowieka naprzeciwko, odruchowo zacisnął szczęki i zgryzł cukierek. Widok i smak połączyły się w jedno doznanie; zachwiał się na nogach, porażony docierającą do mózgu falą słodocy.

Miał przed sobą żywe lustrzane odbicie. Widział swoje oczy, swój nos i usta, włosy i sylwetkę; swoje zakłopotanie i zmęczenie. Tylko krój płaszcza i żałoba pod paznokciami różniły odbicie od oryginału. No i z pewnością imię.

Przełknąwszy słodkie nadzienie cukierka, Gentle wykrztusił:

– Kim... jesteś... na litość boską?

Na twarzy nieznajomego zdumienie ustąpiło miejsca rozbawieniu. Pokręcił głową.

– Kreauchee...

– Tak się nazywasz? Kreauchee? – upewnił się Gentle.

Podczas wędrówki przez dominia słyszał już dziwniejsze imiona. Jego sobowtór uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To nie byłby taki zły pomysł – odparł. – Mam go dość w organizmie. Autarcha Kreauchee... Nieźle brzmi.

Gentle wypluł resztki cukierka.

– Autarcha?

Nieznajomy spoważniał.

– Pokazałeś mi się, wystarczy. A teraz spadaj, gnojku. – Autarcha zamknął oczy. – Weź się w garść – szepnął. – Wszystko przez to cholerne kreauchee. Nie pierwszy raz ci się to zdarza. I nie ostatni.

Gentle zrozumiał, co się dzieje.

– Myślisz, że ci się śnię, prawda? – zapytał.

Autarcha otworzył oczy, zły, że halucynacje nie ustępują.

– Mówiłem ci...

– Co to jest kreauchee? Jakiś alkohol? Narkotyk? Że niby naćpałeś się i ja ci się zwiduję? No więc nie.

Gentle ruszył w stronę autarchy, który odsunął się zaniepokojony.

– Daj spokój. – Gentle wyciągnął do niego rękę. – Dotknij mnie. Ja naprawdę istnieję. Nazywam się John Zacharias i przybyłem z bardzo daleka, żeby się z tobą spotkać. Nie wiedziałem, że o to właśnie mi chodziło, ale teraz jestem tego pewien.

Autarcha przycisnął pięści do skroni, jakby chciał wydusić sobie z mózgu narkotykowe zwidy.

– To niemożliwe – stwierdził głosem, w którym oprócz niedowierzania brzmiał lęk. – Nie mogłeś tu wrócić. Nie po tylu latach.

– A jednak. Możesz mi wierzyć, mam taki sam mętlik w głowie jak ty, ale naprawdę jestem tutaj.

Autarcha przyglądał mu się uważnie, kręcąc głową na wszystkie strony, jakby wciąż liczył na to, że uda mu się zdemaskować zjawę.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał niepewnie.

– Myślałem, że wiesz.

– Z Piątego Dominium?

– Tak.

– Chcesz mnie obalić, prawda? Jak to możliwe, że wcześniej tego nie rozumiałem? To ty wzniciłeś rewolucję! Wszedłeś na ulice i zasiałeś ziarno buntu! Nic dziwnego, że nie mogłem go stłumić. Cały czas się zastanawiałem: Kto za tym stoi? Kto knuje przeciwko mnie? Tyle było egzekucji, tyle czystek, ale nigdy nie dotarłem do tego, który wszystkim kierował. Do człowieka, który dorównywał mi mądrością. Tyle bezsennych nocy strawiłem na rozmyślaniach: Kto to jest? Kto?! Zrobiłem listę nazwisk długą jak moja ręka, ale ciebie na niej nie było, maestro. Nie było Sartoriego!

Gentle doznał wstrząsu. W głowie zaszumiało mu tak samo jak na peronie stacji w Mai-Ké. Zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Chciał się oprzeć o stół, żeby nie stracić równowagi, ale nie trafił w blat i upadł na podłogę, we własne wymiociny. Ślizgając się w nich, próbował otrząsnąć się i uciszyć chaos w głowie, zdołał jednak tylko wychwycić z niego pojedyncze słowa.

Sartori! To on jest Sartorim! Nie było sensu podawać tego w wątpliwość. Wiedział, że to prawda; czuł, że to jego imię. Niosło mnogość znaczeń bardziej poplątanych niż wszystko, co widział w dominiach; całe światy odsła-

niały się przed nim, jakby nagle w jakimś domu otwały się szeroko wszystkie okiennice. Wiedział, że nie będzie ich już w stanie zamknąć.

Słyszał to imię w setkach wspomnień. Kobieta wypowiadała je z westchnieniem, przywołując go do rozścielonego łoża; ksiądz skandował je z ambony, wieszcząc potępienie; hazardzista szeptał je, chuchając w trzymane w dłoni kości. Potępieni czynili z niego modlitwę, pijacy je wyśmiewali, biesiadnicy wyśpiewywali na całe gardło. Jego sława sięgała daleko. Podczas odpustu na świętego Bartłomieja trupy aktorskie nabijały sobie kabzę, odgrywając jego dzieje jako farsę; właściciel burdelu w Bloomsbury chełpił się, że ma u siebie zakonnice, którą dotyk Sartoriego wpędził w nimfomanię i która (tak twierdziła) modli się do niego, gdy klienci ją rzną. Stał się symbolem wszystkiego, co wspaniałe i zakazane; był groźbą dla trzeźwo myślących mężczyzn, sekretną uciechą dla ich żon. A dla dzieci, które za urzędnikiem parafialnym przechodziły sznureczkiem obok jego domu... Dla dzieci był rymowanką:

Maestro Sartori

Bardzo pragnie sławy.

Kocha koty oraz psy,

Damy zmienia w żaby,

A ze szczura czapkę robi.

Ale to nie nasze sprawy.

Ten wierszyk, wyśpiewywany piskliwymi głosikami parafialnych sierot, był na swój sposób gorszy niż szloch, modlitwy i klątwy z ambony. Powtarzał się, trwał w nieskończoność, nie zyskując ani na melodii, ani na znaczeniu – podobnie jak dotychczasowe, pozbawione celu życie Gentle'a.

– Zapomniałeś o tym? – zdziwił się autarcha.

– O tak! – zaśmiał się gorzko Gentle. – Zapomniałem.

Nawet teraz, gdy przywołane z pamięci głosy chrzcily go na nowo, nie potrafił w to uwierzyć. Czy jego ciało mogło przeżyć z górą dwa stulecia w Piątym Dominium, gdy umysł sam się oszukiwał? Pamiętał tylko ostatnie dziesięć lat, a ukrywał resztę. Gdzie mieszkał przez ten czas? Kim był? Jeżeli to, co słyszał, było prawdą, to przypomniał sobie zaledwie cząstkę przeszłości. Dwieście lat wspomnień tkwiło gdzieś w jego mózgu, czekając na odkrycie. Nic dziwnego, że Pie o niczym mu nie mówił. Już teraz miał wrażenie, że

znalazł się o krok od obłądu. Wstał, opierając się o stół.

– Czy Pie'oh'pah jest tutaj?

– Ten mistyf? Nie. A czemu pytasz? Przybyliście razem?

– Owszem.

Autarcha uśmiechnął się przelotnie.

– Czyż one nie są niezwykle? Sam miałem kiedyś mistyfa. Albo dwa... Trzeba w nich zasmakować, ale potem nigdy się ich nie zapomina. Tego twojego nie widziałem.

– A Judith?

– Ach, Judith... Rozumiem, że masz na myśli kobietę Godolphina? Ma wiele imion, prawda? Tak jak my wszyscy. Jak ty się ostatnio nazywasz?

– Już mówiłem. John Furie Zacharias. Albo Gentle.

– Paru przyjaciół nazywa mnie Sartorim. Chciałbym, żebyś i ty się do nich zaliczał. A może zależy ci na odzyskaniu tego imienia?

– Wystarczy Gentle. Ale mówiliśmy o Judith. Była rano w porcie.

– Chrystusa też tam widziałeś?

– Jakiego Chrystusa?

– Wróciła tu przepęłniona bojaźnią bożą, twierdząc, że widziała Syna Smutku. Zwariowała. – Autarcha westchnął. – To był naprawdę przykry widok. Najpierw myślałem, że kreauchee jej zaszkodziło, ale nie, po prostu postradała zmysły. Całkiem jakby mózg wylał się jej uszami.

– O kim mówisz? – spytał Gentle, dochodząc do wniosku, że któryś z nich dwóch musiał się pogubić w tej rozmowie.

– O Quaisoir, mojej żonie. Przybyła tu ze mną z Piątego Dominium.

– Miałem na myśli Judith.

– Ja też.

– Czy to znaczy...

– Są dwie. Rany boskie, przecież jedną sam zrobiłeś! A może tego też nie pamiętasz?

– Nie. Nie pamiętam.

– Była piękna, ale nie na tyle, żeby poświęcić dla niej Imajicę. Popełniłeś wielki błąd. Trzeba było myśleć głową, a nie pałą; wtedy ja bym się nie narodził, Bóg mieszkałby sobie spokojnie w niebie, a ty zostałbyś papieżem Sartorim. Ha! Czy po to właśnie wróciłeś? Chcesz być papieżem? Za późno, bracie. Nim wstanie dzień, z Yzordderrex zostaną zgliszcza. To moja ostatnia noc w tym mieście, wracam do Piątego Dominium. Zbuduję tam nowe impe-

rium.

– Po co?

– Nie pamiętasz, co śpiewały dzieci? Dla sławy.

– Nie dość ci jej jeszcze?

– I kto to mówi! Wszystko, co czuję w sercu, pochodzi od ciebie. Nie mów mi, że nie śniłeś o władzy. Byłeś największym maestrem w Europie. Nikt nie mógł się z tobą równać. Takie uczucia nie ulatniają się w jedną noc.

– Po raz pierwszy od początku rozmowy autarcha zrobił krok w stronę Gentle'a. Położył mu dłoń na ramieniu. – Sądzę, że powinieneś zobaczyć Oś, bracie. Przypomnisz sobie, co znaczy moc. Dobrze się czujesz?

– Mniej więcej.

– W takim razie chodźmy.

Wrócili w korytarz i do kręconych schodów, które Gentle ominął. Teraz wszedł na nie za autarchą i stanęli przed pozbawionymi klamki drzwiami.

– Odkąd zbudowano tę wieżę, nikt poza mną nie oglądał Osi – rzekł autarcha. – Stała się bardzo wrażliwa na spojrzenia innych.

– Moje oczy są twoimi oczami – przypomniał mu Gentle.

– Oś wyczuje różnicę. Będzie cię chciała... sprawdzić. – Seksualny podtekst słów autarchy nie uszedł uwagi Gentle'a. – Odpręż się i spróbuj myśleć o Anglii, to nie potrwa długo.

Poślinił kciuk i przytknął go do znajdującej się pośrodku drzwi prostokątnej płytki z szarego kamienia. Mechanizm zareagował, zgrzytnęły zamki.

– Więc ślina też działa? – mruknął Gentle. – Myślałem, że tylko oddech.

– Używasz pneumy? W takim razie ja też mogę, chociaż na razie jakoś nie opanowałem tej sztuki. Będziesz musiał mnie nauczyć. Ja ci w zamian... przypomnę parę influencji.

– Nie wiem, jak działają pneumy.

– No to będziemy się uczyć razem. Podstawowe reguły są proste. Umysł i materia; materia i umysł. Jedno przekształca drugie... Może to właśnie zrobimy, zmienimy się nawzajem.

Sartori pchnął drzwi, które – choć grube na piętnaście centymetrów – ustąpiły bezszelestnie. Gestem wskazał Gentle'owi drogę, mówiąc:

– Podobno Hapexamendios ustawił Oś w centrum Imajiki, żeby jego płodność spływała po niej na wszystkie dominia. – Zniżył głos, jakby zdradzał jakiś sekret. – Inaczej mówiąc: Oś jest fallusem Niewidzianego.

Rzecz jasna, Gentle widział już tę kamienną wieżę z zewnątrz – strzelała

wysoko ponad inne pałacowe kopuły i iglice – ale dopiero teraz w pełni ogarnęła jej niewiarygodne rozmiary. Miała w podstawie kwadrat o boku długości dwudziestu, może dwudziestu pięciu metrów, była zaś tak wysoka, że sznur umieszczonych na ścianach reflektorów ciągnął się w górę i ginął w mroku pod jej szczytem jak szereg lamp na autostradzie. Widok był niesamowity, tym bardziej że wewnątrz zajmował tylko monolit, dla którego wieżę zbudowano.

Gentle przygotował się na atak. Zęby drżały mu od dźwięku, który wcześniej słyszał w korytarzu; mrowienie paliło mu palce. Nie wydarzyło się jednak nic niezwykłego, co tym bardziej go zaniepokoiło. Oś wiedziała o jego obecności w wieży, ale nie reagowała. Oceniała go.

Uderzyły go w niej dwie rzeczy. Po pierwsze, była piękna. Miała kolor burzowych chmur i migotała światłem, jak gdyby od środka przesywały ją pioruny. Po drugie, nie wyrastała z ziemi, lecz pomimo ogromnych rozmiarów unosiła się trzy metry nad posadzką. Niżej zalegał cień tak gęsty, że mógłby stanowić jej fundament.

– Robi wrażenie, prawda? – mruknął Sartori. Jego lekceważący ton wydał się Gentle'owi równie niestosowny jak śmiech przed ołtarzem. – Możesz pod nią wejść, śmiało. Nic ci się nie stanie.

Gentle nie miał na to ochoty, wiedział jednak, że autarcha szuka jego słabych punktów. Jeżeli teraz okaże strach, Sartori wykorzysta to przeciwko niemu. Wystarczy, że widział go wymiotującego i na kolanach.

Odwrócił się do autarchy.

– Nie pójdziesz ze mną?

– To bardzo osobista chwila – odparł Sartori i cofnął się.

Gentle sam zagłębił się w cień. Miał wrażenie, jakby znów znalazł się na pustkowiach Jokalaylau. Ziąb przeniknął go do szpiku kości. Powietrze wydarło mu się z płuc i zawisło przed nim w postaci zmrożonej pary. Bez tchu podniósł wzrok. Nie wiedział, czy poddać się racjonalnej chęci bliższego zbadania tego cudu, czy raczej paść na kolana i błagać, żeby go nie zmiażdżył. Sufit wieży miał pięć boków – po jednym na każde dominium – które, podobnie jak ściany obelisku, połyskiwały światłem błyskawic. Z bliska widział, że nie jest to zwyczajne złudzenie; skały nad jego głową naprawdę kłębiły się jak burzowe chmury. Zerknął na Sartoriego, który z obojętnym wyrazem twarzy stał przy drzwiach i właśnie wkładał papierosa do ust. Kiedy go zapalił, ogień wydał się Gentle'owi tak daleki, jakby błyskał w innym świe-

cie. Nie zazdrościł autarsze jego ciepła. Marzył w cieniu Osi, ale nie mógł się doczekać chwili, gdy kamienne niebo objawi mu swoją moc. Z pogardą odwrócił wzrok. Przyszło mu do głowy, że mimo przechwałek Sartoriego o posiadaniu Osi na własność, lata, które monolit spędził zamknięty w wieży, były dla niego jak krótka chwila; Gentle i Sartori przeminą, ci, którzy przyjdą po nich, zatrą wszelkie ich ślady, a dla kamiennego olbrzyma wszystko to potrwa nie dłużej niż mgnienie oka.

Być może, kolumna odczytała tę myśl wprost z jego mózgu – i przytaknęła, gdyż rozbłysła łagodnym światłem. Oprócz piorunów w kamieniu rozbłysło słońce; ogień mógł ogrzewać, nie tylko zabijać. Oś rozjaśniła się i snopy światła padły najpierw na ziemię wokół stóp Gentle'a, a zaraz potem także na jego twarz. Przypomniawszy sobie wydarzenia z przeszłości, które zapowiadały tę chwilę. Stał kiedyś na Highgate Hill (główna droga była wtedy jeszcze gliniastą ścieżką) i patrzył, jak z chmur sączy się cudowny blask; ten sam widok oglądał z okna swojego pokoju przy Gamut Street; patrzył, jak obłoki dymu rozwiewają się po nocnym bombardowaniu i jak przedziera się przez nie słońce. To było w 1941 roku, w okresie szczytowego nasilenia niemieckich nalotów. Gdzieś w sercu, tak głęboko, że bał się tam sięgnąć, czuł wówczas, że zapomniał o czymś wspaniałym i że jeżeli kiedyś dowie się, co to było – jeśli cudowne światło wypali zasłonę niepamięci – odsłoni się przed nim cały świat.

Teraz wrażenie było podobne, lecz znacznie bardziej konkretne. Dźwięk, który wibrował mu niedawno w głowie, rozbrzmiał ponownie, łącząc się ze światłem. W ledwie słyszalnych zmianach tonu zaczął rozumieć słowa. To Oś do niego przemówiła:

– Pojednawco...

Miał ochotę zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć tego głosu. Chciał upaść na twarz niczym prorok, który błaga Boga, by uwolnił go od brzemienia proctwa. Na próżno. Słowa uparcie rozbrzmiewały mu pod czaszką. Nie mógł przed nimi uciec.

– Zadanie nie zostało jeszcze ukończony.

– Jakie zadanie?

– Dobrze wiesz jakie.

Wiedział, naturalnie; ale poprzednia próba sprawiła mu wiele bólu i nie był gotów podjąć następnej.

– Dlaczego odmawiasz?

Gentle spojrział wprost w blask Osi.

– Raz już zawiodłem. Wielu ludzi zginęło. Nie mogę drugi raz do tego dopuścić. Proszę.

– Po co tu przybyłeś?

Głos zabrzmiał tak słabo, że Gentle wstrzymał oddech, by nie uronić ani słowa. Wrócił pamięcią do leżącego na łożu śmierci Taylora, który go prosił, by zrozumiał wszystko za niego.

– Żeby zrozumieć...

– Co zrozumieć?

– Nie wiem, jak to powiedzieć... To takie żalosne...

– Mów, ja słucham.

– Żeby zrozumieć, po co się urodziłem. Po co wszyscy się rodzimy.

– Przecież wiesz, po co przyszedłeś na świat.

– Nie. Żałuję, ale naprawdę nie wiem.

– Jesteś tym, który zjednoczy dominia. Uzdrowicielem Imajiki. Spróbuj temu zaprzeczyć, a uchylicz się przed zrozumieniem. Wspomnienia nie są najgorszą udręką; inni cierpią katusze, ponieważ ty nie dokończyłeś swojego dzieła. Wróć do Piątego Dominium i zrób, co do ciebie należy. Niech dzięki tobie dominia staną się jednością. To dla ciebie jedyna droga wybawienia.

Kamienne niebo znów zaczęło falować, chmury zakryły słońce. Wrócił mrok, a wraz z nim chłód, lecz Gentle wciąż nie wychodził z cienia Osi. Miał nadzieję, że otworzy się jeszcze jakaś szczelina i Bóg przemówi po raz ostatni, pocieszy go, może szepnie, jak przekazać brzemie komuś lepiej przygotowanemu. Nic się jednak nie stało. Wizja się rozmyła. Nie pozostało nic innego, jak skulić się z zimna i wycofać do miejsca, gdzie stał Sartori. Papieros wypadł autarsze z ręki i dopalał się u jego stóp. Twarz Sartoriego zdradzała, że choć nie rozumiał wszystkich szczegółów, wiedział mniej więcej, co się wydarzyło.

– Niewidziany przemówił – stwierdził głosem równie bezbarwnym jak głos Boga.

– Ja nie chcę...

– A ja nie sądzę, żeby to było najlepsze miejsce do odmawiania Mu. – Autarcha obrzucił Oś niepewnym spojrzeniem.

– Nie odmawiam – zauważył Gentle. – Po prostu nie chcę tego robić.

– O tym też lepiej rozmawiać na osobności – odparł szeptem Sartori i otworzył drzwi.

Nie wrócili jednak do małego, skąpo urządzonego pokoiku, w którym się spotkali. Autarcha poprowadził Gentle'a do komnaty na drugim końcu korytarza, która mogła się pochwalić jednym z nielicznych w okolicy okien. Było wąskie i brudne, lecz i tak wyglądało lepiej niż niebo, które się za nim rozposcierało. Brzask muskał już chmury, ale słupy gęstego dymu prawie całkowicie tłumiły jego światło.

– Nie po to tu przybyłem – rzekł Gentle, wyglądając na zewnątrz. – Szukałem odpowiedzi.

– Znalazłeś je.

– Mam wziąć to, co do mnie należy? Choćby nie wiem jakie ohydztwo mi się trafiło?!

– Nie tobie, lecz nam. To nasza odpowiedzialność, nasz ból... – Autarcha zawiesił głos. – ...I nasza sława, rzecz jasna.

Gentle zerknął na niego przelotnie.

– Moja – poprawił go.

Sartori wzruszył ramionami, jakby to słowo nic dla niego nie znaczyło. Gentle rozpoznał w tym geście jedną z własnych sztuczek. Ileż razy identycznie wzruszał ramionami, unosił brwi, wydymał usta i z udawaną obojętnością spuszczał wzrok! Postanowił nie wyprowadzać Sartoriego z błędu. Niech myśli, że bluff zadziałał.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz – dodał. – To naprawdę moje brzemie.

– Poprzednio zawiodłeś.

– Ale byłem blisko – odparował Gentle, udając, że pamięta więcej niż w rzeczywistości. Miał nadzieję, że odpowiedź Sartoriego rozjaśni mu w głowie.

– „Blisko” to za mało. „Blisko” to śmiertelne niebezpieczeństwo. Tragedia. Sam widzisz, jak skończyłeś. Wielki maestro ledwie zachował resztki rozumu.

– Oś we mnie wierzy.

Trafił chyba w czuły punkt, bo autarcha zaczął krzyczeć:

– Gównu mnie ta cała Oś obchodzi! Dlaczego to ty masz dokonać Pojednania, co? Dlaczego?! Sto pięćdziesiąt lat rządziłem Imajicą! Wiem, jak używać władzy, a ty nie masz o tym pojęcia!

– O to ci właśnie chodzi? – spytał Gentle, pozwalając mu złapać haczyk. – Chcesz zająć moje miejsce? Chcesz być Pojednawcą?

Sartori szalał.

– Lepiej się do tego nadaję! Ty potrafisz tylko uganiać się za babami!

– A ty nie? Jesteś impotentem?

– Wiem, co ci chodzi po głowie, na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Podpuszczasz mnie. Czekasz, aż się podłożę. Nie licz na to. Nie tylko potrafię wszystko to, co ty, ale jestem od ciebie lepszy! Przez lata ukrywałeś się i traciłeś czas, a ja nie próżnowałem. Nauczyłem się budować imperia. A ty? – Autarcha nie czekał na odpowiedź; za dobrze znał swojego rozmówcę. – Niczego się nie nauczyłeś. Gdybyś teraz spróbował dokonać Pojednania, popełniłbyś te same błędy.

– To znaczy?

– Właściwie wszystko sprowadza się do jednego błędu: do Judith. Gdybyś jej tak nie pragnął... – Sartori urwał, obserwując Gentle'a badawczo. – Nawet tego nie pamiętasz, prawda?

– Nie – przyznał Gentle. – Jeszcze nie.

– Opowiem ci coś, bracie. – Sartori podszedł do Gentle'a na wyciągnięcie ręki. – Ale to smutna historia.

– Nie będę płakał.

– Judith była najpiękniejszą kobietą w Anglii; niektórzy twierdzili, że w całej Europie. Należała jednak do Joshuy Godolphina, który strzegł jej jak oka w głowie.

– Byli małżeństwem?

– Nie. Była jego kochanką, ale kochał ją o wiele goręcej, niż gdyby miał ją za żonę. Wiedział, naturalnie, co do niej czujesz. Wcale się z tym nie kryłeś. Bał się – mój Boże, jak on się bał! – że prędzej czy później uwiedziesz ją i mu odbierzesz. Zrobiłbyś to bez trudu, ty, Sartori, wszechmocny maestro. Był jednym z twoich mecenasów, więc wolałeś się nie spieszyć; może czekałeś, aż się nią znudzi. Wtedy mógłbyś ją mieć, nie psując sobie stosunków z nim. Niestety, nie znudził się. Mijały miesiące, a on niezmiennie ją kochał. Nigdy przedtem nie musiałeś tak długo czekać na kobietę. Męczyłeś się jak chory z miłości dzieciak, nie mogłeś spać, na dźwięk jej głosu serce waliło ci jak młotem... Nie wróżyło to dobrze próbie Pojednania, toteż Godolphin równie gorąco jak ty pragnął znaleźć wyjście z tej kabały. Kiedy złożyłeś mu propozycję, nie wahał się.

– Jaką propozycję?

– Że zrobisz drugą Judith, identyczną jak oryginał. Znałeś odpowiednie

sztuki.

– On miałby jedną...

– ...a ty drugą. Proste, prawda? Otóż nie. Wcale nie takie proste. I bardzo niebezpieczne. Ale wtedy nikt o tym nie myślał. Wyglądało na to, że wystarczy kilka obrzędów, aby dominia, od zarania dziejów niedostępne dla ludzi, nagle stanęły otworem. Niebo było na wyciągnięcie ręki. Stworzenie Judith to przy tym pestka. Wyjaśniłeś mu wszystko, a on się zgodził...

– Tak po prostu?

– Przekupiłeś go. Obiecałeś, że dostanie nową Judith, lepszą od dawnej; taką, która nie będzie się starzeć i do śmierci dotrzyma towarzystwa jemu, a potem jego synom i wnukom. Miała po wsze czasy być własnością mężczyzny z rodu Godolphinów, kochanką uległą, skromną, doskonałą.

– A co na to oryginał?

– Prawdziwa Judith o niczym nie wiedziała. Uśpiłeś ją, przenieś do domu przy Gamut Street, rozebrałeś do naga, namaściłeś olejkami, położyłeś w kręgu usypanym z piasku zebranego na granicy Drugiego Dominium... To najświętsza ziemia w Imajice. Potem zmówiłeś modlitwę i czekałeś, co się stanie. – Autarcha przerwał dla nabrania oddechu. Dobrze się bawił. – Przypomnę ci może, że stworzenie takiej kopii zajmuje dużo czasu, co najmniej jedenaście godzin. Zadbaleś oczywiście, żeby w domu nie było nikogo, nawet twojego ukochanego mistyfa. Chciałeś zachować rytuał w tajemnicy, byłeś więc sam. Szybko ci się znudziło. Zacząłeś pić. Siedziałeś pijany w pokoju i zachwycałeś się doskonałym ciałem Judith rysującym się w blasku ognia. A gdy brandy zamąciła ci w głowie, popełniłeś największy błąd w życiu. Rozebrałeś się, wszedłeś do kręgu i zrobiłeś z nią chyba wszystko, co mężczyzna może zrobić z kobietą; nie przejmowałeś się tym, że jest w śpiączce ani że masz pijackie zwidy. Rznąłeś ją raz po raz, zupełnie jakbyś chciał cały w nią wleźć. Bez przerwy. A potem zasnąłeś i zwałeś się na podłogę.

Gentle zaczynał rozumieć.

– Zasnąłem w kręgu?

– Nie inaczej.

– I stąd ty się wziąłeś.

– Właśnie. Trzeba ci wiedzieć, że niezgorsze miałem narodziny. Ludzie zwykle nie pamiętają swojego przyjścia na świat, a ja tak! Gdy otworzyłem oczy, leżałem w kręgu obok Judith, a z góry spływał deszcz materii, która gęstniała wokół mojego ducha. Stawała się moim ciałem. – Twarz autarchy

przybrała obojętny wyraz. – Pamiętam, jak w którymś momencie Judith zorientowała się, że nie jest sama. Odwróciła się do mnie, a ja jeszcze nie byłem skończony. Musiałem wyglądać jak żywy, krwawy manekin do lekcji anatomii. Ale się wydarła...

– A ja cały czas spałem?

– Zczołgałeś się po schodach na parter, żeby zmoczyć sobie głowę, i tam zasnąłeś. Wiem o tym, bo kiedy cię potem znalazłem, leżałeś rozwalony na stole w jadalni.

– To znaczy, że influencja zadziałała, chociaż wyszedłem z kręgu?

– Ależ z ciebie teoretyk! Tak, zadziałała. Byłeś łatwym obiektem. Odkodowanie i skopiowanie Judith ciągnęło się bardzo długo, za to ty nie stanowiłeś zagadki. Influencja odczytała cię błyskawicznie, powstałem w parę godzin.

– I od razu wiedziałeś, kim jesteś?

– Pewnie. Byłem tobą. Czułem twoją chciwą, miałem twoje pijackie zwiady, chciałem rznąć i rznąć. Ale wiedziałem też, jak się czułeś po tym wszystkim, z pustymi jajami i głową; rozumiałem, jak to jest, siedzieć między jej nogami i nie pamiętać, po co się żyje. Tym człowiekiem też byłem. To pomieszanie uczuć mnie przerażało... – Autarcha zamyślił się. – Nadal mnie przeraża.

– Pomógłbym ci wtedy, gdybym zdawał sobie sprawę, co się stało.

– Pomógłbyś mi? Raczej skrócił moje męczarnie. Wyprowadziłbyś mnie do ogrodu i zastrzelił jak wściekłego psa. Nie mogłem przewidzieć, co zrobisz. Zszedłem na dół; spałeś jak zabity. Chciałem cię nawet obudzić, żeby mieć z kim dzielić ten straszny lęk, ale zanim zebrałem się na odwagę, tuż przed świtem zjawił się Godolphin. Chciał zabrać Judith do domu. Ukryłem się i widziałem, jak cię obudził. Chwilę rozmawialiście, a potem poszliście na piętro. Wyglądaliście jak ojcowie, którzy wyczekują narodzin potomka. Kiedy z góry dobiegły wasze triumfalne okrzyki, wiedziałem z całą pewnością, że jestem niechcianym dzieckiem.

– Co zrobiłeś potem?

– Ukradłem trochę pieniędzy, jakieś ubranie... Uciekłem. Po jakimś czasie wyzbyłem się strachu, zaczęło do mnie docierać, kim jestem. I zrozumiałem, że czuję tę samą żądzę co ty... Żądzę sławy.

Gentle podszedł do okna. Właśnie wschodziła kometa, odsłaniając pełnię zniszczeń w mieście.

– To wszystko dla sławy? Wspaniałe dzieło, bracie, bez dwóch zdań.

– Yzorderrex było pięknym miastem, ale teraz powstaną inne, jeszcze cudowniejsze. Zbudujemy je wspólnie i wspólnie będziemy nimi rządzić.

– Nie zrozumieliśmy się. Ja nie chcę władać imperium.

– Nie masz wyboru! – zaprotestował rozgorączkowany Sartori. – Jesteś Pojednawcą, bracie. Uzdrowicielem Imajiki. Wiesz, co to dla nas znaczy? Jeżeli połączysz dominia, potrzebne będzie nowe Yzorderrex, żeby nimi rządzić. Ja je znajdę i będę nim zarządzał, a ty możesz zostać nowym papieżem.

– Nie chcę być papieżem.

– To o co ci właściwie chodzi?

– Przede wszystkim o Pie'oh'paha. A poza tym chciałbym po prostu zrozumieć, co się dzieje.

– Nie wystarczy ci, że urodziłeś się Pojednawcą? Koniecznie potrzebujesz innego celu w życiu? Nie uciekaj przed tym.

– A jaki jest sens twojego istnienia? Nie możesz w nieskończoność budować nowych miast. – Gentle powiódł wzrokiem po spustoszonej metropolii. – Czy dlatego zniszczyłeś Yzorderrex? Chcesz zacząć wszystko od nowa?

– Nie zniszczyłem go. Wybuchła rewolucja.

– Do jej wybuchu doprowadziły egzekucje, które nakazałeś – przypomniał ma Gentle. – Kilka tygodni temu przejeżdżałem przez Beatrix. To mała wioska...

– Taaak, Beatrix... – westchnął ciężko autarcha. – To musiałeś być ty. Wiedziałem, że ktoś mnie obserwuje, ale nie miałem pojęcia kto. Byłem taki sfrustrowany, że mnie poniosło. A wtedy bywam okrutny.

– Okrutny? To było nieludzkie!

– Na razie tego nie rozumiesz, ale od czasu do czasu taka demonstracja siły jest niezbędna.

– Znałem tych ludzi.

– Nie będziesz musiał brudzić sobie rąk w równie nieprzyjemny sposób. Obiecuję, że wszystkim się zajmę.

– Ja również.

Sartori zmarszczył brwi.

– Grozisz mi?

– Wszystko zaczęło się ode mnie i na mnie się skończy.

– Którego siebie masz na myśli, maestro? Tego? – Autarcha wskazał Gentle'a. – Czy tego? – Pokazał na siebie. – Naprawdę nie rozumiesz, że nie po-

winniśmy być wrogami? Znacznie więcej osiągniemy współpracując. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Przeznaczenie sprawiło, że poznaliśmy się w takich okolicznościach. To dlatego Oś przez tyle lat milczała jak zaklęta. Czekwała na twoje przybycie i nasze zjednoczenie. Nie chcę mieć w tobie wroga – dodał z obojętnym wyrazem twarzy. – Na samą myśl...

Z korytarza dobiegł czyjś krzyk i autarcha umilkł w pół zdania. Do komnaty wpadł żołnierz. Trzymał się za poderżnięte gardło i bezskutecznie usiłował powstrzymać krwotok. Zatoczył się, oparł o ścianę i osunął na ziemię.

– Tłuszcza musi być blisko – stwierdził Sartori z nutą zadowolenia w głosie. – Czas podjąć decyzję, bracie. Czy dalej pójdziemy razem, czy też sam mam rządzić Piątym Dominium?

Tym razem hałas uniemożliwił dalszą wymianę zdań. Sartori wyszedł na korytarz.

– Zostań tu – polecił Gentle'owi. – Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Ledwie zniknął za zakrętem, Gentle ruszył za nim. Odgłosy zamieszania ucichły, słychać było jedynie świst powietrza w rozciętej tętnicy żołnierza. Gentle przyspieszył kroku; nagle poczuł lęk, że jego sobowtór mógł wpaść w zasadzkę. Sartori zasługiwał na śmierć, a Gentle był nie lepszy od niego, lecz jeszcze nie wszystko z niego wycisnął. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, dlaczego nie powiodła się poprzednia próba Pojednania. Należało więc chronić autarchę, przynajmniej do czasu wydobycia z niego wszystkich informacji. Przyjdzie czas, gdy obaj słono zapłacą za swoje zbrodnie – ale jeszcze nie teraz.

Przestąpił nad ciałem umierającego żołnierza, gdy nagle usłyszał głos mistyfa:

– Gentle...

Żaden głos – ani we śnie, ani na jawie – nie brzmiał równie cudownie. Na jego dźwięk Gentle zapomniał o bezpieczeństwie Sartoriego i własnym. Musiał natychmiast znaleźć mistyfa, zobaczyć go, objąć. Rozłąka trwała zbyt długo. Zaczął biec, obiecując sobie w duchu, że nigdy – choćby wszelkie możliwe prawa, zobowiązania i ludzka złośliwość chciały ich rozdzielić – przenigdy się z nim nie rozstanie.

Skręcił w boczny korytarz prowadzący do przedpokoju. Sartori stał w drugim końcu pomieszczenia, częściowo schowany za załomem ściany. Na dźwięk kroków Gentle'a odwrócił się i uśmiech, którym powitał Pie'oh'paha,

zniknął mu z twarzy. Dwoma krokami przemierzył odległość dzielącą go od drzwi, żeby zatrzaskać je swojemu stwórcy przed nosem. Widząc, co się święci, Gentle próbował zawołać Pie po imieniu, ale zanim krzyknął, drzwi się zamknęły i został sam w ciemnym korytarzu. Przysięga, którą sam sobie złożył chwilę wcześniej, została złamana – znów zostali z mistyfy rozdzieleni, zanim zdążyli się choćby zobaczyć. Z wściekłością wyrznął barkiem w drzwi, które jednak były solidne jak cała wieża i miały przetrwać wieki. Uderzył w nie jeszcze parę razy, lecz zarobił tylko parę siniaków. Bolały, ale wspomnienie obleśnego uśmiechu Sartoriego, jaki towarzyszył wzmiance o mistyfach, bolało jeszcze bardziej. W tej chwili autarcha ścisnął zapewne Pie'oh'paha w ramionach. Obejmował go, całował. Miał na własność.

Gentle ostatni raz rzucił się na drzwi i zrezygnował z dalszych prymitywnych ataków. Nabrał powietrza do płuc, wydmuchnął je w dłoń i skierował pneumę w drzwi, tak jak nauczył się to robić w Jokalaylau. Wtedy miał przed sobą lód, który pękł dopiero po kilku próbach. Tym razem – może dlatego że bardziej chciał się znaleźć po drugiej stronie drzwi niż wówczas uwolnić kobiety z lodu, a może przez to, że był już maestro Sartorim, znał swoje prawdziwe imię i (przynajmniej częściowo) możliwości – stał ustąpiła już po pierwszej pneumie. W drzwiach pojawiła się poszarpana szczelina.

Usłyszał krzyk autarchy, ale nie tracił czasu, żeby zrozumieć słowa. Uderzył w drzwi drugą pneumą. Poleciały strzępy blachy, jego dłoń przebiła metal. Trzeci raz przyłożył rękę do ust. Poczł zapach własnej krwi, ale nawet jeśli wyrządził sobie krzywdę, jego mózg nie rejestrował w tej chwili bólu. Wziął wdech i wypuścił trzecią pneumę z okrzykiem, jakiego samuraj by się nie powstydział. Zawiasy zgrzytnęły, drzwi wyleciały z futryny. Nie zdążyły jeszcze upaść na posadzkę, gdy Gentle wskoczył do pokoju. Znalazł tylko trupy. Trzej towarzysze żołnierza, który podniósł alarm, leżeli z rozrzuconymi ramionami i poderżniętymi gardłami. Przeskoczył nad zwłokami. Krew ciekąca mu z dłoni skapywała w kałuże, które rozbryzgiwał, idąc dalej.

W korytarzu kłębił się gryzący dym, jakby w trzewiach pałacu paliły się gnijące odpadki. Mimo to Gentle dostrzegł biegnących Sartoriego i Pie'oh'paha. Nie miał pojęcia, jakim kłamstwem autarchia odwiódł mistyfa od wypełnienia nakazanej mu misji, ale poskutkowało. Uciekali z wieży, nie oglądając się za siebie, jak kochankowie, którzy właśnie wyrwali się ze szponów śmierci.

Nabrał powietrza do płuc, by zawołać mistyfa po imieniu. Dym rozsnuwał

się przed jego wołaniem na boki, tak jakby słowa maestra miały materialną postać. Pie się zatrzymał. Choć Sartori szarpał go i naglił do biegu, odtrącił jego rękę i zrobił krok w stronę Gentle'a. Zastłona dymu, na chwilę rozdarta okrzykiem, zgęstniała z powrotem, zamazując Gentle'owi obraz twarzy Pie, ale całe jego ciało wyrażało wahanie. Mistyf nie wiedział, co powinien zrobić.

– To ja! – krzyknął Gentle. – To ja!

Widział stojącego przy mistyfie Sartoriego; dolatywały go strzępy ostrzegawczych szeptów autarchy, który wyjaśniał wpływ Osi na umysły.

– To nie złudzenie, Pie – powiedział Gentle, zbliżając się do nich. – To ja, Gentle. Istnieję naprawdę.

Mistyf pokręcił głową. Spojrzał na Sartoriego, znów odwrócił się do Gentle'a.

– To taka sztuczka. – Sartori nie silił się już na szept. – Chodź, Pie, zanim na dobre tobą zawładnie. Można od tego oszaleć.

Za późno, pomyślał Gentle. Znalazł się dość blisko, by dobrze widzieć wyraz twarzy Pie. Mistyf wyglądał jak obłąkany, miał wytrzeszczone oczy i zaciśnięte zęby, a pot łączył się z krwią i różowymi strużkami spływał mu po twarzy. Dawny zabójca dawno nie pałał żądzą mordu – tego Gentle mógł być pewien już nad Kołyską, kiedy mistyf wahał się w walce, chociaż chodziło o jego życie – ale tu, w pałacu, znów musiał zabijać. Cała jego twarz wyrażała ból. Nic dziwnego, że Sartori łatwo przekonał go do porzucenia krwawej misji. Pie był o krok od załamania nerwowego, teraz zaś, w obliczu dwóch identycznych postaci, z których każda przemawiała głosem ukochanego, tracił resztki zdrowego rozsądku.

Opuścił dłoń do pasa, z którego zwisała jedna z ostrych jak brzytwy wstęg. Gentle widział taką broń w rękach plutonu egzekucyjnego. Świsnęła przenikliwie. Przelana krew nie stępiła jej ostrza.

– Dlaczego nie? – powiedział stojący za plecami mistyfa Sartori. – To tylko cień.

Mistyf wziął zamach wstęgą. Gentle stanął w miejscu; krok dalej znalazłby się w zasięgu broni.

– Dalej! – zachęcał mistyfa Sartori. – Zabij go! Jeden cień mniej, jeden więcej...

Gentle na ułamek sekundy przeniósł wzrok na autarchę. Ten minimalny ruch najwyraźniej wystarczył, żeby sprowokować Pie. Wstęga śmignęła w

powietrzu, mistyf skoczył naprzód. Gentle cofnął się odruchowo – srebrzyste ostrze przecięłoby mu pierś, gdyby się zawahał – ale Pie najwyraźniej nie zamierzał drugi raz popełnić tego samego błędu i zrobił krok do przodu. Gentle odsunął się, unosząc ręce w pokojowym geście, lecz mistyf pozostał obojętny. Chciał tylko, żeby ten obłęd jak najszybciej się skończył.

– Pie?! – Wysapał Gentle. – To ja! Naprawdę ja! Zostawiłem cię w kespacie, pamiętasz?!

Pie ciął wstęgą na odlew – nie raz, lecz dwa razy. Drugim ciosem sięgnął celu. Ostrze przecięło ubranie i skórę na ramieniu i piersi Gentle'a, który zachwiał się, dzięki czemu uniknął następnego trafienia. Odskoczył i poczuł pod plecami twardą ścianę korytarza. Nie miał już gdzie uciekać.

– Nie będzie ostatniej wieczerzy? – zapytał, patrząc nie na wstęgę, lecz prosto w oczy Pie, jakby szukał w nich umysłu, który tonął w oparach morderczej furii. – Obiecałeś mi ją, Pie. Nie pamiętasz? Ryba w rybie, ta w następnej rybie i...

Mistyf zamarł bez ruchu. Wstęga zatrzepotała na wysokości jego ramienia.

– ...w jeszcze jednej.

Ostrze drżało, lecz nie opadło.

– Powiedz, że to pamiętasz, Pie. Proszę cię, przypomnij sobie.

Gdzieś w głębi korytarza Sartori znów zaczął coś krzyczeć.

Gentle patrzył w oczy mistyfa. Wypatrywał znaku, który potwierdziłby, że jego słowa dotarły do niedoszęłego kata. Pie westchnął płytko.

– Gentle?

Gentle milczał. Opuścił ręce i stał nieruchomo pod ścianą.

– Zabij go! – powtarzał Sartori. – Zabij! To iluzja!

Pie odwrócił się. Wciąż trzymał rękę wzniesioną do ciosu.

– Nie... – zaczął Gentle, ale mistyf już rzucił się na autarchę. Gentle odepchnął się od ściany, próbując go złapać. – Pie! Posłuchaj mnie...

Mistyf odwrócił do niego głowę, a wtedy Sartori jednym płynnym ruchem podniósł rękę do oka, wyłuskał je z oczodołu, wyprostował ramię i otworzył pięść. Z jego dłoni wyleciało coś więcej niż samo oko – pod postacią dymiącej kuli wystrzeliła cała esencja jego zabójczego spojrzenia. Gentle wyciągnął rękę, żeby zepchnąć Pie z drogi influencji, ale chybił. Pocisk trafił w cel. Mistyf pchnięty impetem uderzenia poleciał w tył, upadł Gentle'owi w ramiona. Przewrócili się. Gentle błyskawicznie przetoczył się na bok, wysliznął

spod ciała mistyfa i podniósł dłoń do ust, Sartori jednak rzucił się do ucieczki. Wyraz jego twarzy w tej chwili miał przez wiele dni i nocy prześladować Gentle'a: więcej było w nim strachu niż triumfu, więcej smutku niż złości.

– Kto nas teraz połączy? – spytał autarcha i zniknął, zupełnie jakby władał dymem i mógł się w nim ukryć.

Zamiast biec za nim, Gentle uklęknął przy Pie.

– Kto to był? – spytał mistyf.

– Sam go stworzyłem, kiedy byłem maestrem.

– Drugi Sartori?

– Tak.

– No to złap go i zabij! Tacy są najbardziej...

– Później.

– ...żeby nie uciekł.

– On nie może przede mną uciec. Nie ma miejsca, w którym mógłby się ukryć.

Pie przyciskał ręce do piersi, gdzie trafiła go influencja autarchy.

– Pokaż – powiedział Gentle. Rozwarł jego palce i rozdarł koszulę. Rana wyglądała jak plama na ciele, czarna w środku, bliżej krawędzi żółknąca niczym wrzód.

– Gdzie Huzzah? – zapytał z wysiłkiem Pie.

– Nie żyje. Zabił ją nullianac.

– Tyle zabijania... Śmierć mnie oślepiła. Zabiłbym i ciebie, nie wiedząc, co robię.

– Nie czas na rozmowy o śmierci – rzekł Gentle. – Musimy cię jakoś wyleczyć.

– Są ważniejsze sprawy. Przybyłem tu, by zamordować autarchę...

– Nie, Pie...

– Taki zapadł wyrok – upierał się Pie. – Ale teraz nie mogę wykonać zadania. Zrobisz to za mnie?

Gentle pomógł mu usiąść.

– To niemożliwe – odparł.

– Dlaczego? Zabiłbyś go pneumą.

– Nie, Pie. Wtedy zabiłbym samego siebie.

– Jak to? – zdumiał się Pie, ale zanim Gentle zdołał mu cokolwiek wyjaśnić, westchnął żałośnie: – O mój Boże!

– Natknąłem się na niego w Wieży Osi. Z początku nie mogłem uwie-

rzyć...

– Autarcha Sartori – powiedział Pie, jakby bawił się dźwiękiem tych słów.
– Brzmi nieźle – dodał grobowym tonem.

– Od początku wiedziałeś, że jestem maestrem, prawda?

– Naturalnie.

– Nie powiedziałaś mi!

– Podpowiadałem ci, jak mogłem. Bałem się. Przysięgałem, że nigdy ci nie przypomnę, kim byłeś.

– Kto zmusił cię do takiej przysięgi?

– Ty, maestro. Cierpiałeś strasznie i chciałeś zapomnieć o bólu.

– Jak to się stało, że faktycznie zapomniałem?

– To prosta sztuka.

– Twoje dzieło?

Pie skinął głową.

– Byłem twoim wiernym sługą. Obiecałem, że kiedy będzie po wszystkim, kiedy przeszłość zniknie, nigdy powtórnie ci jej nie objawię. Przysięgi się nie starzeją.

– A jednak cały czas miałeś nadzieję, że zadam właściwe pytanie...

– Tak.

– I wspomnienia powrócą.

– Właśnie. Niewiele brakowało.

– W Mai-Ké. I w górach.

– Nigdy jednak nie znalazłeś się dość blisko, by zwolnić mnie z danego słowa. Musiałem milczeć.

– Od tej pory przysięga cię nie obowiązuje, mój drogi. Kiedy wyzdrowiejesz...

– Nie, maestro. Takiej rany nie da się wyleczyć.

– Da się. Już ja o to zadbam – uciszył go Gentle, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce.

Przypomniało mu się, co Nikaetomaas mówiła o znajdującym się na granicy Pierwszego i Drugiego Dominium obozowisku niebytowców. Tam właśnie miał trafić Estabrook. I tam ponoć zdarzały się cudowne uzdrowienia. Pomógł mistyfowi wstać.

– Czeka nas nielicha podróż, przyjacielu.

– Nie wysilaj się. Możemy się tutaj pożegnać.

– Nie zamierzam się z tobą żegnać. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. No,

obejmij mnie, kochany. Przed nami długa droga.

ROZDZIAŁ 39

1

Mimo że po wschodzie komety Yzordderrex zostało zalane światłem dnia, okrucieństwa nie ustały. Przeciwnie – w mieście niepodzielnie królował bóg zagłady; mieszkańcy świętowali jego koronację, obnosili triumfalnie oznaki jego władzy (najczęściej martwe) i szykowali się do dworskich ceremonii, oczekując długiego panowania odrażającego bóstwa. Umazane popiołem dzieci niosły w rączkach znalezione w zgliszcach głowy rodziców, dymiące jak kadzielnice. Psy panoszyły się w mieście i bezkarnie pożerały ciała swoich niedawnych panów. Padlinożerne ptaki, które Sartori przywabił z pustyni, podsuwając im zepsute mięso, gromadziły się na ulicach w rozwrzeszczane stada i ucztowały na zwłokach.

Rzecz jasna, z pożogi ocaleli i tacy, którym marzył się dawny porządek. Zbierali się w grupy, przekopywali gruzy w poszukiwaniu żywych, gasili pożary w domach, które opłacało się jeszcze ocalić, podtrzymywali na duchu strapionych i nieśli szybką śmierć najciężej rannym, którym nie starczało sił, by zaczerpnąć powietrza w płuca. Byli jednak zbyt nieliczni; mieszkańcy Yzordderrex w większości stoczyli się w objęcia obłędu i przywitani kometę z zamętem w sercach. Przed południem, gdy Gentle i Pie stanęli przy bramie prowadzącej na pustynię, ci, którzy rankiem obiecali sobie walczyć o ocalenie czegoś z tego kataklizmu, poddali się i uchodzili z miasta zadowoleni, że żyją. Rozpoczęła się wędrówka ludów, która w kilka dni miała pozbawić Yzordderrex większości jego obywateli.

*

Gentle mógł kierować się tylko niejasną sugestią Nikaetomaas, że na pustyni, przy granicy dominium, znajduje się obozowisko, do którego niebytowcy zabrali Estabrooka. Nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Liczył na to, że po drodze spotka kogoś, kto udzieli mu dokładniejszych wskazówek, ale uchodźcy byli tak wyczerpani – psychicznie i fizycznie – że nikogo takiego nie znalazł. Przed opuszczeniem pałacu opatrzył sobie najlepiej jak umiał poranioną dłoń. Kłuta rana, którą odniósł w walce o Huzzah, i cięcie wstęgi mistyfa nie dokuczały mu zbyt. Jego ciało, wzmocnione naturalną u maestra odpornością, przetrwało bez większych uszczerbków trzy ludzkie żywoty i teraz też regenerowało się błyskawicznie.

Nie dało się tego powiedzieć o poranionym Pie. Influenca Sartoriego okazała się wyjątkowo zjadliwa, systematycznie wysysała z ofiary siłę i świadomość. Gdy opuszczali miasto, mistyf ledwie powłóczył nogami, przez co Gentle zmuszony był go prawie nieść. Miał nadzieję, że znajdą niebawem jakiś środek transportu; na własnych nogach nie doszliby do celu. Nie mogli liczyć na to, że podwiezie ich któryś z opuszczających Yzordderrex uchodźców – większość szła pieszo, a ci, którzy jechali na wychudzonych mułach, wozach i innych pojazdach, mieli zazwyczaj nadkomplet pasażerów. Niektóre przeciążone wehikuły odmówiły posłuszeństwa tuż przed bramą; na poboczu pasażerowie, którzy zapłacili za transport, wykłócali się z ich właścicielami. Większość jednak posuwała się naprzód w dziwnym pośpiechu, nie odrywając wzroku od drogi.

Na rozstajach zrobił się mały zator, niezdecydowani uciekinierzy kręcili się w kółko, nie wiedząc, którą z trzech odnóg wybrać. Na wprost w dość dużej odległości od miasta piętrzyły się góry równie ogromne i potężne jak pasmo Jokalaylau. W prawo droga przecinała zielone obszary uprawne – nic więc dziwnego, że większość podróżnych tam skręcała. Najmniejszym powodzeniem cieszył się trakt odbijający na skrzyżowaniu w prawo, który z punktu widzenia Gentle'a prezentował się najbardziej obiecująco. Kiepsko utrzymana bita droga wiała się wśród jałowej równiny i można było mieć nadzieję, że dalej wyprowadza w głąb pustyni. Po kilku miesiącach spędzonych w dominium Gentle zdawał sobie jednak sprawę, że krajobraz Imajiki potrafi się błyskawicznie zmienić. Nie wiedział, czy dalej, gdzie trakt niknął mu z oczu, nie rozpościerają się żyzne pastwiska, ani czy szlak wiodący w drugą stronę

nie kończy się w niegościnnej dziczy.

Stał w samym środku zgietkliwego tłumu i rozmyślał, gdy dobiegł go piskliwy głosik. W tumanach kurzu mignął mu niski, półnagi, łysy człowiek w okularach, który przeciskał się w jego stronę.

– Zacharias! – wołał. – Zacharias!

Gentle wiedział, że go zna, chociaż nie mógł sobie przypomnieć skąd. Człowiek ten jednak, najwyraźniej przyzwyczajony, że ludzie z trudem go kójarzą, pospieszył z wyjaśnieniami:

– Jestem Floccus Dado. Pamiętasz mnie?

Oczywiście, to był towarzysz Nikaetomaas. Zdjął okulary i spojrzał na Gentle'a z ukosa.

– Twoja pani musi być bardzo chora – zauważył.

– To nie żadna pani, to mistyf.

– Przepraszam, przepraszam. – Floccus zamrugał z zakłopotaniem i wcisnął okulary z powrotem na nos. – Pomyliłem się. Nigdy nie byłem mocny w seksie. Bardzo z nim źle?

– Obawiam się, że tak.

– Jest z wami Nikae? – Floccus rozejrzał się dookoła. – Tylko nie chcę słyszeć, że poszła dalej sama. Kazałem jej tu czekać, gdybyśmy się rozdzielili.

– Nikaetomaas nie przyjdzie, Floccusie.

– Dlaczego nie, na Hyo?!

– Bo nie żyje.

Nerwowe tiki i mruganie momentalnie ustąpiły. Floccus patrzył na Gentle'a z lekkim uśmiechem, jakby przyzwyczajony, że wszyscy się z niego nabijają. Chciał wierzyć, że i tym razem padł ofiarą żartu.

– Niemożliwe – powiedział.

– A jednak. Zginęła w pałacu.

Floccus znów zdjął okulary i przetał palcami oczy.

– To smutne.

– Była bardzo odważna – zapewnił go Gentle.

– W istocie.

– Dzielnie się broniła, ale mieli przewagę liczebną.

– A jak tobie udało się uciec? – spytał Floccus całkiem niewinnie.

– To długa historia i chyba nie jestem jeszcze gotowy, żeby ją opowiedzieć.

– Dokąd idziecie?

– Nikaetomaas mówiła mi, że wy, niebytowcy, macie jakiś obóz na granicy Pierwszego Dominium. Czy to prawda?

– Owszem.

– Tam właśnie się udajemy. Podobno wyleczyliście mojego znajomego, Estabrooka. Mówi ci coś to nazwisko? Chciałbym uzdrowić Pie.

– Pojedźmy razem. I tak nie mam już na co czekać. Duch Nikae na pewno dawno tędy przemknął.

– Masz jakiś pojazd?

– W rzeczy samej – rozpromienił się Floccus. – W Karmelowej Kuchni znalazłem piękny samochód. Tam stoi. – Wyciągnął rękę przed siebie.

– Jeśli jeszcze stoi.

– Zostawiłem go pod strażą – odparł Floccus z uśmiechem. – Chodź, pomogę ci z mistykiem.

Złapał nieprzytomnego Pie pod ramię, Gentle stanął z drugiej strony i razem zagłębili się w tłum. Floccus próbował okrzykami torować im drogę, ale tłuszcza pozostała obojętna, dopóki nie wydarł się:

– Ruukassh! Ruukassh!

Ludzie się rozstąpili.

– Co to jest ruukassh? – zdziwił się Gentle.

– Taka choroba. Chodź, już niedaleko.

Po kilku krokach faktycznie ujrzeli samochód. Floccus w roli szabrownika miał znakomity gust. Od czasu wspaniałej podróży Drogą Patashoquańską Gentle nie widział pojazdu równie smukłego, błyszczącego – i równie niezdatnego do jazdy przez pustynię. Jasnobłękitna karoseria ze srebrnym wykończeniem, białe opony i wnętrze obite futrzaną tapicerką. Na masce zaś, uwiązany smyczą do jednego z lusterek, siedział strażnik pięknego samochodu, a zarazem jego całkowite przeciwieństwo – zwierzę spokrewnione chyba z ragemem i hieną jednocześnie, po których odziedziczyło najmniej sympatyczne cechy. Stwór był gruby jak prosię, grzbiet i boki miał porośnięte cętkowaną sierścią, a z krótkiego pyska sterczały mu długie, sztywne wąsy. Na widok Floccusa zastrzygł uszami jak pies i wydał z siebie serie szczeknięć i kwiknięć tak piskliwych, że głos Dado brzmiał przy nich jak głęboki bas:

– Dobra mała, dobra. Grzeczna.

Zwierzę poderwało się i stanęło na króciutkich nóżkach, kręcąc kuprem ze szczęścia. Widoczne na jego podbrzuszu liczne sutki podskakiwały w rytm

radosnych podrygów.

Floccus Dado otworzył drzwi. Na fotelu pasażera znajdował się skarb strażniczki wozu: pięć rozszczekanych szczeniąt, malutkich, ale podobnych do matki jak dwie krople wody. Floccus wskazał Gentle'owi i Pie tylną kanapę; Mamuśka Sighshy, jak ją nazywał, miała się usadowić przy młodych. W środku unosił się zwierzęcy odór. Na szczęście dzięki zamięłowaniu poprzedniego właściciela do komfortu wewnątrz było naprawdę wygodne i Gentle mógł podłożyć mistyfowi poduszkę pod głowę. Kiedy Sighshy zajęła swoje miejsce (warcząc przy tym wrogo na Gentle'a), smród spotęgował się dziesięciokrotnie, ale Floccus zagadał do niej przyjaźnie i wkrótce ułożyła się na fotelu, a małe zabrały się do ssania. Ruszyli w stronę gór.

*

Po dwóch, może trzech kilometrach zmęczenie dało znać o sobie i Gentle zasnął, oparłszy głowę na ramieniu mistyfa. Przez następne kilka godzin nawierzchnia stawała się coraz gorsza i podskoki na wybojach parę razy wyrwały go z drzemki, chociaż trudno mu było całkiem otrząsnąć się ze snu. Nie śnił o Yzordderrex ani o przygodach, które przeżyli z Pie w podróży przez Imajicę. Jego umysł wracał do Piątego Dominium, wycofując się przed potwornościami Pojednanych Dominiów na znane, bezpieczne terytorium.

Chociaż... wcale nie takie znowu bezpieczne. Człowiek, którym był – ulubieniec Kleina, gnojek, lowelas i fałszerz – nigdy naprawdę nie istniał. Nie było dla niego powrotu do tamtego prostego, wygodnego życia. Żył kłamstwem, z którego skali nie zdawały sobie sprawy nawet najbardziej podejrzliwe kochanki (takie jak Vanessa, od rozstania z którą wszystko się zaczęło). Trwał w zakłamaniu przez pełne trzy pokolenia. Pomyślał o Londynie, przypomniał sobie smutek i żal, które czuł, gdy całe jego życie dawało się zawrzeć w tym, co miał na sobie, w serii krótkotrwałych romansów i paru podrobionych obrazach. Teraz go to bawiło, ale wtedy wydawało mu się, że niżej już upaść nie może. Cóż za naiwność! Od tamtej pory zaznał dość rozpaczy, żeby wspomnieniami o niej wypełnić książkę. A ten, przez którego cierpiał najwięcej, spał ranny obok niego.

Myśl o tym, że mógłby stracić Pie, była bardzo bolesna, ale nie pozwalała sobie jej ignorować. W przeszłości aż nazbyt często odwracał się plecami do wszystkiego, co niemiłe, i zwykle miało to katastrofalne skutki. Tym razem

postanowił stawić czoło faktom. Mistyf słabł z godziny na godzinę, skórę miał lodowatą, oddychał tak płytko, że chwilami Gentle miał wątpliwości, czy żyje. Nawet jeżeli w rewelacjach Nikaetomaas o uzdrowicielskiej mocy Wybielu było ziarno prawdy, z pewnością nie ma cudownego lekarstwa na tak straszną przypadłość. To znaczyłoby, że musi sam wybrać się do Piątego Dominium i mieć nadzieję, że Pie wkrótce do niego dołączy. Im dłużej będzie zwlekał z powrotem, tym mniejsze ma szanse zebrać sprzymierzeńców w wojnie z Sartorim – bo nie miał wątpliwości, że do wojny dojdzie. Chęć podboju jak ogień płonęła w duszy jego bliźniaka. Kiedyś zapewne i on pałał podobnym pragnieniem, zanim stłumiła je żądza, zapomnienie i wygodne życie. Gdzie powinien szukać wsparcia? Czy znajdzie ludzi, którzy nie wyśmiewają go, gdy opowie o podróży przez dominia i o zagrożeniu ze strony człowieka, który ma jego twarz? Pół roku wcześniej sam się śmiał z takich pomysłów. Nie miał znajomych, którym wyobraźnia pozwoliłaby pogodzić się z rewelacjami, jakie chciałby im przekazać. Zgodnie z obowiązującą modą nie kryli się ze swoim niedowiarstwem. Nawet jeśli nie wiedzieć czemu zrywali się w nocy złani zimnym potem, rano wszystko umieli sobie racjonalnie wyjaśnić. Skłonni byli się przyznać jedynie do mętnego panteizmu, ale i temu na trzeźwo zaprzeczali. Jeden Clem powiedział kiedyś, że bliski mu jest zorganizowany kult religijny, lecz jego dogmaty były równie odległe od posłania Imajiki jak poglądy nihilisty. Nawet gdyby udało się go przekonać, żeby zapomniał o komunii świętej i przystał do Gentle'a, byłoby ich dwóch przeciwko maestrowi, który tak długo doskonalił swoją moc, aż pozwoliła mu zapanować nad dominiami.

Pozostała jeszcze jedna możliwość. Judith. Ona z pewnością nie roześmiałaby mu się w twarz, ale od początku całej tej tragedii traktował ją tak okrutnie, że nie oczekiwał przebaczenia – ani tym bardziej współpracy. Poza tym nie mógł być pewien, po czyjej stronie ostatecznie się opowie. Z pozoru nie różniła się niczym od Quaisoir, ale powstała z tego samego bezkrwawego łona, w którym poczęty został Sartori. Czy nie była zatem jego duchową siostrą? Podobnie jak on nie urodziła się, lecz została stworzona. Czy na pewno nie poparłaby rzeźnika Yzorderrex, jeżeli przyszłoby jej wybierać pomiędzy nim a ludźmi, którzy chcą go zniszczyć? Przecież ich zwycięstwo oznaczałoby, że Judith straci jedyną w całej Imajice istotę, która dzieliła jej los. Kiedyś wiele dla siebie z Gentle'em znaczyli (ciekawe, ile razy spotykali się przez te dwa stulecia? Ile razy rozniecali na nowo ogień pożądania, który złączył ich

na początku? Jak często rozstawali się i zapominali o sobie?), teraz jednak musiał traktować ją z największą ostrożnością. W dawnych rozgrywkach mogła być niewinna, jak zabawka w rękach okrutnych i obojętnych ludzi, ale kobieta, którą się stała, nie była ani zabawką, ani ofiarą. Jeżeli pozna swoją przeszłość, czy raczej kiedy ją pozna, może chcieć zemścić się na swoim stwórcy, choćby niegdyś żarliwie go kochała.

Widząc, że Gentle nie śpi, Floccus zdał mu krótką relację z dotychczasowej podróży. Twierdził, że utrzymują dobre tempo i za godzinę powinni być w górach. A za górami zaczynała się pustynia.

– Jak daleko jest do Wybielu? – spytał Gentle.

– Dojedziemy przed zmrokiem. Co z mistyfm?

– Chyba nie najlepiej.

– Nie smuć się – pocieszył go Floccus. – Znałem ludzi stojących nad grobem, którzy na Wybielu wrócili do zdrowia. Tam zdarzają się cuda. Zresztą wszędzie się zdarzają, tylko trzeba wiedzieć, jak ich szukać. Ojciec Athanasius mi to powtarzał. Siedzieliście razem w więzieniu, prawda?

– Ja właściwie nie byłem więźniem... Nie w tym sensie co on.

– Ale poznałeś go tam?

– Tak. Udzielił nam ślubu.

– Wam? Tobie i mistyfowi? Jesteście małżeństwem? – Floccus gwizdnął przez zęby. – No to prawdziwy szczęściarz z ciebie. Dużo słyszałem o mistyfach, ale żeby któryś wziął ślub... nigdy. Zwykle są kochankami, łamią innym serca. – Znów gwizdnął z podziwem. – Coś wspaniałego! Nic się nie bój, zrobimy wszystko, żeby z tego wyszła... Och, przepraszam, to nie jest „ona”, nie powinienem o tym zapominać. Tylko że jak na nią... to znaczy na niego patrzę, widzę kobietę, rozumiesz? Na tym chyba polega ich niezwykłość.

– Między innymi.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Kogo ty widzisz, gdy na nią patrzysz?

– Różnie. Widziałem kobiety, mężczyzn... Nawet siebie samego.

– A w tej chwili?

Gentle odwrócił się do mistyfa.

– Widzę Pie. Widzę twarz, którą kocham.

Floccus nie odpowiedział. Gentle zdał sobie sprawę, że po takim wybuchu

entuzjazmu jego milczenie musi być znaczące.

– O czym myślisz? – zapytał.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? A przynajmniej zaprzyjaźniamy się. Powiedz mi.

– Boję się, że za bardzo się przejmujesz jej wyglądem. Na Wybielu nie należy przyjmować rzeczy takimi, jak się wydają. Ludzie tam nie tylko zdrowieją, ale przy okazji się zmieniają. Rozumiesz? – Floccus zdjął ręce z kierownicy i podniósł dłonie jak szalki wagi. – Równowaga musi zostać zachowana. Coś dostajesz, coś tracisz.

– Jakie to są zmiany?

– Różne. Sam się niedługo przekonasz. W pobliżu Pierwszego Dominium nic nie jest takie, jak się wydaje.

– Nie tylko tam – zauważył Gentle. – Im dłużej żyję, tym mniej widzę rzeczy, których prawdziwej natury mogą być pewien.

Floccus się zamyślił. Pogodny ton ulotnił się z jego głosu.

– O tym ojciec Athanasius chyba nie mówił. Chociaż... nie wszystko pamiętam.

Na tym rozmowa się skończyła i Gentle został sam ze swoimi wątpliwościami. Oto mistyf wracał na skraj dominium, z którego wygnano jego lud. Gentle zastanawiał się, czy wioząc go do krainy wiecznej zmienności, nie rozplątuje węzła, którym ojciec Athanasius złączył ich na wyspie pośród wód Kołyski Chzercemit.

2

Jude zawsze drażnił brak umiaru w architekturze, a dziedzińce i korytarze pałacu autarchy nie pomagały jej zmienić zdania. Niektóre widoki zachwycały swoją naturalnością – kiedy dym snuł się po zapomnianych ogrodach jak poranna mgła albo oblepiał zimny kamień wież niczym chmura skalną iglicę – ale niewiele miała takich przyjemności. Dominował bezmyślny przepych. Olbrzymie budowle miały zapewne wzbudzać nabożny lęk, lecz dla niej były pozbawione wyrazu.

Ucieszyła się, gdy wreszcie dotarły do komnat Quaisoir, którym absurdalna ilość ozdób nadawała dziwnie ludzki wyraz. Właśnie w nich usłyszały pierwsze od wielu godzin przyjazne słowa, które jednak zmieniły się w wyrazy przerażenia, gdy Concupiscentia, wieloogoniasta służąca, ujrzała, że jej pani w poszukiwaniu zbawienia straciła oczy i zyskała siostrę bliźniaczkę. Dopiero po długich lamentach dała się przekonać, że powinna zająć się Quaisoir. Roztrzęsiona zabrała się do pracy.

Kometa wspięła się już na niebo i z okna roztaczał się rozległy widok na zrujnowane miasto. Jude widziała i słyszała dość, by zdawać sobie sprawę, że tragedia zasłużenie je dotknęła. Wielu mieszkańców podsycalo ogień, który trawił kesaraty; nazywali go sprawiedliwym i oczyszczającym. Nawet Pecable, który nie miał natury anarchisty, sugerował, że nadchodzi koniec miasta. Nie zmieniało to faktu, że było jej żal Yzordderrex. Nie bez powodu błagała Oscara, żeby ją tu zabrał. Tęskniła za aromatycznym wiatrem i rajskim ciepłem, które sączyły się tamtego pamiętnego dnia z Azyłu. A teraz miała wrócić do Piątego Dominium, przynosząc na podszwach popioły, a na skórze sadzę spalonego miasta – jak turysta, który z tonącej Wenecji przywiózłby zdjęcia bąbelków wody w zatoce.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała Quaisoir. – Myślisz, że mogę się zdrzemnąć?

– Ależ oczywiście! – odparła Jude.

– Czy łóżko jest ciągle brudne od krwi Seiduxa?

– Tak, proszę pani – odparła Concupiscentia.

– Wobec tego położę się gdzie indziej. – Quaisoir wyciągnęła rękę. – Zaprowadź mnie do niebieskiego pokoju, tam się zdrzemnę. Tobie też by się to przydało, Judith. Wykąp się i prześpij. Musimy sporo przemyśleć i zaplanować.

– Tak?

– Tak, siostrze. Ale nie teraz...

Concupiscentia wyprowadziła Quaisoir i Jude została sama w apartamentach żony autarchy. Rzeczywiście, na pościeli zostały plamki krwi, ale łóżko wyglądało i pachniało niezwykle kusząco. Oparła się jego puchowym pokusom i postanowiła znaleźć łazienkę. Spodziewała się ujrzeć kolejny barokowy salon, lecz łazienka okazała się jedynym pomieszczeniem w okolicy, które od biedy można by nazwać skromnie urządzone. Jude z przyjemnością zabawiła tam dłużej; zrobiła sobie gorącą kąpiel i odmoczyła popiół ze skóry,

podziwiając swoje rozmazane odbicie w zaparowanych czarnych kafelkach.

Kiedy wyszła z wanny z zaróżowioną od gorąca skórą, brudne ubranie wydało się jej odpychające. Zostawiła je na podłodze i włożywszy najskromniejszą spośród rozrzuconych po pokoju szat, wśliznęła się do perfumowanej pościeli. Zaledwie przed kilkoma godzinami w tym łóżku zabito człowieka, ale ta myśl – chociaż dawniej obrzydziłaby jej całą sypialnię, nie tylko łóżko – nie robiła na niej żadnego wrażenia. Musiała przyznać, że słodki aromat poduszki może mieć pewien wpływ na tę obojętność. W połączeniu z ciepłem kąpieli i zmęczeniem rozleniwiał ją do tego stopnia, że nie ruszyłaby się z miejsca, choćby od tego zależało jej życie. Napięcie ustąpiło z mięśni i stawów, żołądek przestał się zaciskać w lodowatą kulę. Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby łóżko siostry ukołysało ją do snu.

*

W najczarniejszych rozmyślaniach na skraju pozostałej po Osi dziury Sartori nie odczuwał samotności tak dotkliwie jak teraz, oddzielony od brata. Po spotkaniu z Gentle'em, którego Oś wezwała do zjednoczenia Imajiki, czuł, że otwierają się przed nim nowe możliwości. Miał nadzieję, że jego dwie połowy złączą się i staną jednością. Lecz Gentle go wyśmiał; wolał mistyfa od brata. Po śmierci Pie'oh'paha mógł zmienić zdanie, ale Sartori mocno w to wątpił. Gdyby to on był Gentle'em – a przecież nim był – jego żal nie miałby granic. Wyczekiwałby tylko dogodnej chwili do zemsty. Tak więc zostali wrogami i nie powinien liczyć na pojednanie.

Nie wspomniał o niczym Rosengartenowi, który znalazł go w pałacyku, zajętego popijaniem czekolady i pogrążonego w smutnych myślach. Nie chciał też słuchać relacji z nocnych wydarzeń (generałowie nie żyli, a pozostali przy życiu żołnierze zbuntowali się przeciw niemu). Zapowiedział Rosengartenowi, że muszą wspólnie zaplanować przyszłość, zamiast rozwodzić się nad tym, co zostało stracone.

– Wracamy do Piątego Dominium – oznajmił autarcha. – Tam zbudujemy nowe Yzordderrex.

– W Piątce? – uśmiechnął się Rosengarten.

– Wiem, jak wyglądała przed laty, ale wiele wskazuje na to, że w tej chwili świeci pustkami. Maestrowie, których znałem, pomarli, ich mądrość została zapomniana. Piąte Dominium jest bezbronne. Zaskoczmy ich takimi influ-

encjami, że nie zorientują się, kiedy stracili władzę. A potem Nowe Yzorderrex na dobre zapadnie im w serca.

Rosengarten mruknął z aprobatą.

– Pożegnaj się, z kim musisz – dodał Sartori. – Ja też to zrobię.

– Wyruszamy od razu?

– Zanim dopalą się zgliszcza.

*

Jude znów miała dziwny sen, ale wystarczająco często zapuszczała się do krainy nieświadomości, żeby czuć się w niej bezpiecznie. Tym razem nie przeniosła się nigdzie z sypialni, tylko napawała jej przepychem, falując na wietrze jak otaczające łóżko muśliny. Z leżącego daleko w dole dziedzińca od czasu do czasu dobiegały ją jakieś odgłosy, otwierała wtedy na moment oczy i z przyjemnością ponownie je zamykała. Raz zbudził ją głos Concupiscentii, która śpiewała coś w dalszych komnatach. Nie rozumiała słów, wiedziała jednak, że słyszy tren przepelniony tęsknotą za tym, co bezpowrotnie minęło. Wśliznęła się w sen z myślą, że żałobne pieśni brzmią podobnie w każdym języku – celtyckim, navajo czy patashoquańskim. Muzyka była esencją tęsknoty, podobnie jak symbol, który Jude sobie wyobrażała, był esencją jej istnienia. I tak jak on, muzyka potrafiła przenikać między dominiami.

Melodia i zapach pościeli działały jak narkotyk, tak że po kilku melancholijnych wersach pieśni Jude nie miała pewności, czy lament się jej śni, czy może słyszy go na jawie, wyzwolona z cielesnych pęt mocą perfum i unosząca się ponad łóżem. Niewiele ją to obchodziło; wrażenie było przyjemne, a ona ostatnio miała tak mało przyjemności...

Tak, to z pewnością był sen. Jakiś cień stanął w drzwiach komnaty. Rozpoznała go, zanim jeszcze się zbliżył. Ostatnio rzadko o nim myślała, zdziwiła się więc, że jej umysł przywołał właśnie jego, ale stało się. Poczowała niezwykle podniecenie. Przed nią stał Gentle, dokładnie taki, jakiego zapamiętała. Twarz miał zatroskaną (co często mu się zdarzało), dłońmi gładził zasłony łóżka, jakby głaskał jej uda, które rozdzielił pieszczotą.

– Nie spodziewałem się znaleźć cię tutaj – powiedział. Głos miał chrapliwy, a z jego twarzy bił równie wielki żal, jak z pieśni Concupiscentii. – Kiedy wróciłaś?

– Przed chwilą.

- Słodko pachniesz...
- Wykąpałam się.
- Kiedy tak na ciebie patrzę... to żałuję, że nie mogę cię zabrać ze sobą.
- Dokąd?
- Wracam do Piątego Dominium. Przyszedłem się pożegnać.
- Tak na odległość?

Uśmiechnął się przesadnie, Jude zaś natychmiast przypomniała sobie, z jaką łatwością uwodził kobiety – wystarczył jeden taki uśmiech, a już zsuwały z palców obrączki i zdejmowały majtki. Ale co z tego? To była jej erotyczna fantazja, a nie jakiś test silnej woli. Musiał jednak dostrzec jej oskarżycielskie spojrzenie, bo zaczął ją przeproszać:

- Wiem, że cię skrzywdziłem.
- To było dawno – odparła wielkodusznie.
- Kiedy na ciebie patrzę...
- Nie rozczulaj się. Nie mam ochoty na sentymenty. Chcę cię tu mieć.

Rozłożyła nogi, odsłaniając przygotowane dla niego zagłębienie. Nie wahał się dłużej. Odgarnął zasłonę i wszedł na łóżko, zdzierając z niej przy okazji szatę. Przywarł ustami do jej ust. Nie wiedziała dlaczego, ale w tym śnie smakował jej czekoladą. Zdziwiło ją to, lecz nie przeszkodziło w pocałunkach.

Próbowała go rozebrać, ale wysnzione ubranie stawiało opór. Ciemnoniebieska koszula, jakby uszyta specjalnie dla fetyszystki, miała niewiarygodną ilość troczków i guzików. Cała była pokryta drobną łuską, jak gdyby liczna jaszczurcza rodzina zrzuciła skóry, żeby Gentle miał co na siebie włożyć.

Miała ciało wydelikaczone po kąpieli. Kiedy położył się na niej i potarł szorstką koszulą o jej brzuch i piersi, było to niezwykle podniecające doznanie. Oplotła go nogami. Nie oponował, coraz mocniej i gwałtowniej ją całował.

- Wszystko, co zrobiliśmy... – wymruczał. – To, co zrobiliśmy...

Błądząc myślami, przeskakiwała od jednego wspomnienia do drugiego, aż cofnęła się pamięcią do znalezionej w mieszkaniu Estabrooka książki, którą Oscar przywiózł z dominiów i dał bratu w prezencie. Wówczas niezwykle podręcznik wydał się jej szokujący. Pozycje, które proponował, były możliwe chyba jedynie w bezwstydnym snach; wymagałyby rozdzielenia mężczyzny i kobiety na kawałki i splecenia ich w całkiem nowych kombinacjach. Jude przysunęła usta do ucha wysnionego kochanka i szepnęła, że niczego

mu nie zabroni i że jest gotowa dzielić z nim najbardziej niezwykle doznania, jakie podsunie mu fantazja. Tym razem nie uśmiechnął się (co ją ucieszyło), tylko uniósł na wyprostowanych rękach, wsparty na poduszkach po obu stronach jej głowy. Spojrzał na nią z tym samym smutkiem w oczach, który widziała przed chwilą, gdy stanął w drzwiach.

– Ostatni raz, co? – zapytał.

– Wcale nie musi być ostatni – zauważyła. – Zawsze mogę cię wyśnić.

– A ja ciebie – oparł czule.

Sięgnęła w dół pomiędzy ich ciała, zdjęła mu pasek i mocnym szarpnięciem rozdarła spodnie, nie chcąc się bawić w rozpinanie guzików. Poczowała w dłoni obiekt równie miękki, jak szorstki był materiał, który go skrywał; na razie był dopiero na wpół nabrzmiały, ale tym chętniej zaczęła go głaskać. Gentle westchnął i pochylił głowę. Przesunął językiem po jej wargach i zębach; poczuła w ustach smak czekolady. Wyprężyła się i przeciągnęła swoim wilgotnym rowkiem od spodu po jego członku. Wymruczał coś, zapewne jakieś czule słówka, chociaż – podobnie jak pieśń *Concupiscentii* – w całkiem obcym języku. Brzmiały tak samo słodko, jak smakowała jego ślina, i pieszczotliwie niczym kołysanka, zupełnie jakby chciał ją uspić we śnie. Przytknęła oczy. Poczowała, jak Gentle unosi biodra i odsuwa się od jej sromu, a potem jednym potężnym pchnięciem wchodzi, aż zaparło jej dech w piersi.

Czułości się skończyły, pocałunki również. Jedną rękę położył jej na czole i wplótł palce we włosy, drugą oparł na szyi, wsłuchany w dobywające się z jej gardła westchnienia. Powiedziała mu, że może z nią zrobić wszystko, i nie zamierzała cofać tej obietnicy tylko dlatego, że tak nagle ją posiadł. Uniosła uda i skrzyżowała nogi za jego plecami, a potem zaczęła go prowokować: co to, tylko na tyle go stać? Głębiej nie sięgnie? W dodatku nie jest ani dość twardy, ani wystarczająco napalony, a ona chce czegoś więcej. Przyspieszył i przycisnął mocniej jej tchawicę, chociaż nie na tyle, żeby zaczęła się dusić. Dysząc, za każdym razem rzucała nowe obelgi.

– Mógłbym cię tak rznąć bez końca – powiedział, a w jego głosie rozkosz łączyła się z groźbą. – Zrobisz, co każę. Powiesz, co każę. Będę cię rznął bez końca.

Nie chciałyby słyszeć takich słów, wypowiedzianych przez prawdziwego kochanka z krwi i kości, ale we śnie brzmiały podniecająco. Pozwalała mu na wszystko, rozchylając szerzej ramiona i uda, on zaś opowiadał, co z nią zrobi. Rytm tej litanii odpowiadał rytmowi jego ruchów. Przytulny pokój Qu-

aisoir, który Jude sobie wyśniła, rozmywał się, odsłaniając inne wnętrza, bardziej mroczne i rozjaśnione blaskiem płomieni. Kochanek ze snu nie rozwiął się jednak wraz z nim. Był na niej i w niej, a jego pchnięcia i obietnice stały się jeszcze bardziej żarliwe. Widziała go nad sobą, jak gdyby ten sam blask, który ogrzewał jej nagie ciało, oświetlał jego rysy. Twarz miał spoconą i zastygłą w grymasie pożądania, przez zaciśnięte zęby wyliczał kolejne obietnice. Uczyni z niej lalkę, dziwkę, żonę i boginię; wypełni sobą każdy otwór jej ciała, raz na zawsze; posiadzie ją, będzie wielbił, wywróci ją na nice. Znów przyszły jej na myśl rysunki z książki Estabrooka. Miała wrażenie, że pod wpływem tego wspomnienia wszystkie komórki jej ciała nabrzmiewają jak pąki kwiatów; rozkosz tworzyła ich płatki, które pachniały jej jękiem i westchnieniami. Ten aromat dodatkowo podniecał Gentle'a, który na przemian szeptał do niej czule i zapowiadał najgorsze okrucieństwa. W jednej chwili chciał być jej niewolnikiem, gotowym na każde skinienie, karmiącym się jej odchodami i mlekiem wyssanym z jej piersi. Zaraz potem była dla niego mniej warta niż ekskrementy, o które przed momentem błagał, a on stawał się jej jedyną nadzieją na przetrwanie. Różąc, wskrzeszał ją z martwych, wypełniał ognistym strumieniem, który wypłukiwał jej oczy z czaszki, aż zaczynała się w nim topić. Mówił dalej, ale Jude coraz głośniejsze krzyczała z rozkoszy i coraz słabiej go słyszała. Widziała też coraz mniej, przymknęła oczy i przenikające się komnaty – pełna muślinów sypialnia i nagi, oświetlony ogniem pokój – zniknęły. W jej myślach płonęły kształty, które zawsze towarzyszyły rozkoszy, jakby przedstawiający ją symbol rozplatał się i łączył w nowe formy.

Wtedy właśnie, gdy znalazła się o krok od pierwszego szczytu (a przed nią rozciągało się całe pasmo sięgających stratosfery wierzchołków), poczuła, jak Gentle zadygotał i znieruchomiał. Nie mogła uwierzyć, że już skończył. Wyśniła go sobie, powinien być zupełnie inny niż prawdziwi mężczyźni. Miał ją kochać, jak długo ona tego zechce, a nie rozchlapywać swoje obietnice i dyszeć przeproszająco. Nie miał prawa jej tak zostawić!

Otworzyła oczy. Mroczny pokój zniknął, a wraz z nim zgasł ogień w oczach Gentle'a. Kochanek wysunął się z niej i poczuła między udami jego palce, mokre i lepkie.

– Kusi mnie, żeby zostać – powiedział. – Ale mam mnóstwo pracy.

Pracy? Jakiej pracy? Co senna zjawa ma do roboty poza spełnianiem zachcianek tego, kto ją wyśnił?!

– Nie odchodź – rozkazała mu.

– Ja już skończyłem.

Wstał z łóżka. Wyciągnęła rękę, ale nawet we śnie była rozleniwiona. Zdążył zniknąć za zasłoną, zanim go złapała. Opadła wolno na poduszki i patrzyła, jak jego postać rozmywa się, gdy przybywało oddzielających ich warstw muślinu.

– Jeżeli nadal będziesz taka piękna – dodał – to może wrócę po ciebie, kiedy już zbuduję Nowe Yzordderrex.

Nie wiedziała, co miał na myśli, ale nic jej to nie obchodziło. Był przecież jej własnym tworem, żalonym i bezwartościowym. Nie próbowała go zatrzymać, gdy przystanął w drzwiach – może obejrzał się po raz ostatni przez ramię – i zniknął. Ledwie jednak pozwoliła mu odejść, dla równowagi jej umysł powołał do istnienia nową istotę. Zasłony u stóp łóżka rozchyliły się, odsłaniając Concupiscentię, która przyglądała się jej pożądliwie. Nie czekając na zaproszenie, wśliznęła się na łóżko. Nie odrywała wzroku od łona Jude i oblizywała się łakomie. Jude rozłożyła nogi, a wtedy niezwykła istota pochyliła głowę i zaczęła zlizywać to, co pozostawił po sobie widmowy kochanek. Jedwabistymi dłońmi gładziła uda Jude, która, ukojona pieścizotą, przyglądała się jej spod półprzymkniętych powiek. Concupiscentia obmyła ją do czysta, ale zanim jeszcze skończyła, sen stał się niewyraźny i na umysł Jude opadła kolejna zasłona – tym razem odebrała jej i wzrok, i resztki świadomości.

ROZDZIAŁ 40

1

Jak dawne galeony łapiące w żagle pustylny wiatr, namioty niebytowców przedstawiały z daleka wspaniały widok. Dopiero gdy Gentle mógł z bliska należycie ocenić ich rozmiary, zwykłe zainteresowanie zmieniło się w nabożny podziw. Potężne, wydęte wiatrem wieże w kolorach ochry i szkarłatu miały wysokość pięciopiętrowych domów. Odcinały się jaskrawymi kolorami od pustyni, która z piaskowej zmieniała pod wieczór barwę na czarną. Wznoszące się ponad nią góry, oddzielające Drugie Dominium od nieznanego świata Hapexamendiosa, były ciemnoszare.

Floccus zatrzymał samochód trzysta metrów od obozowiska.

– Powinieniem pójść tam sam i wyjaśnić, co nas tu sprowadza – powiedział.

– Tylko się pospiesz.

Floccus pomknął przed siebie jak gazela, chociaż grunt z piaszczystego zrobił się kamienisty – ziemię zaścielały ostre odłamki skał, jakby odłupane z gigantycznego posągu. Gentle spojrzał na Pie, który z pogodną twarzą spał w jego ramionach. Pogłaskał go po chłodnym policzku. Zastanawiał się, ilu przyjaciół i kochanków sam stracił podczas z górą dwóch stuleci życia. Usunął te wspomnienia ze świadomości, ale z pewnością odcisnęły piętno w jego umyśle; zmieniły mu serce w kamień i nauczyły lęku przed chorobami. Może zawsze był tylko lowelasem i fałszerzem, mistrzem podrobionych emocji, ale jak tu się dziwić człowiekowi, który wie, że cały ten dramat – nawet najbar-

dziej rozdzierający – powtarza się regularnie? Twarze się zmieniały, scenariusz nie. Klein lubił powtarzać, że oryginalność nie istnieje. Wszystko już ktoś powiedział. Albo przecierpiał. Nic dziwnego, że dla kogoś, kto zdawał sobie z tego sprawę, miłość stawała się czynnością mechaniczną, a śmierć przykrym widowiskiem, którego należało unikać. Ani jedna, ani druga nie miała żadnej ponadczasowej wartości – były zaledwie jednym z wielu obrotów na karuzeli, przy których twarze widzów zlewają się w jedną smugę. A jednak uczucia, jakie żywił wobec mistyfa, były prawdziwe. Nie bez powodu. W samozaprzeczeniach, jakimi częstował go Pie na początku znajomości („Jestem nikim i niczym”), Gentle słyszał echo cierpienia, które sam odczuwał; w jego oczach, znużonych przeżyтыми latami, dostrzegał bratnią duszę, która rozumie jego nienazwany ból. To dzięki mistyfowi wyzbył się fałszu i manieryzmu, pojął, kim był i kim jeszcze się stanie. A mając taką moc, mógł zdziałać wiele dobrego – leczyć rany, budzić ze snu narody, odnawiać nadzieje. Jeżeli miał stać się wielkim Pojednawcą, potrzebował inspiracji mistyfa.

– Kocham cię, Pie'oh'pahu – wyszeptał.

– Gentle! – wołał go Floccus. Stał przy samochodzie. – Widziałem się z Athanasiusem. Macie iść prosto do niego.

– Świetnie! – odparł Gentle. Otworzył drzwi na oścież. – Doskonale!

– Mam ci pomóc z mistyfam?

– Nie, sam go zaniosę.

Gentle wysiadł i wyciągnął Pie z tylnego siedzenia.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że to miejsce święte? – spytał Floccus, prowadząc go w stronę namiotów.

– Mamy nie śpiewać, nie tańczyć i nie pierdzieć, tak? Nie rób takiej zbolalej miny, Floccusie, wiem, o co ci chodzi.

Kiedy podeszli bliżej, Gentle zdał sobie sprawę, że to, co brał do tej pory za skupisko odrębnych namiotów, jest w istocie ciągiem różnej wielkości pawilonów. Te mniejsze, przycupnięte obok większych, łączyły obóz w olbrzymią bestię z wiatru i płótna.

W jej targanych wiatrem trzewiach panował wieczny ruch. Nawet najmocniej napięte ściany dygotały, a pod sklepieniem płachty materiału wirowały jak szaty tańczących derwiszów, wydając niekończące się westchnienia. Pośród nich przemykali ludzie – jedni poruszali się po pajęczynach lin jak po twardym granicie, inni siedzieli przy olbrzymich otwartych oknach w dachu,

zwróceni twarzami w stronę Pierwszego Dominium, jak gdyby oczekiwali wezwania, które lada chwila miało stamtąd nadejść. Nawet gdyby nadeszło, nie należało spodziewać się gorączkowego pośpiechu. Atmosfera w obozie była spokojna i kojąca jak szelest płacht u sufitu.

– Gdzie znajdziemy lekarza? – spytał Floccusa Gentle.

– Tu nie ma lekarzy. Chodź ze mną, wiem, gdzie położyć mistyfa.

– Na pewno macie tu jakichś medyków.

– Mamy czystą wodę i ubrania; może znalazłoby się jakieś laudanum czy coś w tym guście, ale mistyfowi to na nic. Influencji, która go zraniła, nie da się odczynić lekarstwami. Tylko bliskość Pierwszego Dominium może mu pomóc.

– W takim razie powinniśmy go wynieść na zewnątrz, jak najbliżej Wybielu.

– Ani ja, ani ty, Gentle, nie mamy dość siły, żeby bardziej się zbliżyć do Wybielu. Chodź już. I zachowuj się przyzwoicie.

Floccus poprowadził Gentle'a w głąb rozedrganego ciała pustynnej bestii, do małego namiotu, w którym stało kilkanaście łóżek. Niektóre były zajęte, ale większość nie miała właścicieli. Gentle położył Pie i zaczął rozpinać mu koszulę, Floccus zaś poszedł rozejrzeć się za chłodną wodą do obmycia rozpalonej skóry mistyfa. Miał też przynieść coś do jedzenia. Czekaając na jego powrót, Gentle obejrzał ranę, z której choroba rozprzestrzeniała się po całym ciele. Nie mógł obejrzać Pie dokładniej, nie rozbierając go, a tego nie chciał robić, gdy w pobliżu kręciło się mnóstwo obcych ludzi. Pie zawsze zazdrośnie strzegł swojej prywatności – upłynęło wiele czasu, zanim Gentle pierwszy raz ujrzał go nagiego – i jego życzenie należało uszanować. W rzeczywistości prawie nikt nie zwracał na nich uwagi i po jakimś czasie Gentle się rozluźnił; strach, który go dręczył, trochę zelżał. Niewiele mógł zrobić. Dotarli na skraj znanych dominiów, tu kończyły się wszystkie mapy i zaczynało nieznanie. Nie było sensu się bać; powinien zaufać mocy, która przepełniała Wybiel, i czekać na rozwój wypadków z godnością i opanowaniem.

Kiedy Floccus wrócił, Gentle zapytał go, czy może zostawić ich samych, bo chciał dyskretnie umyć mistyfa.

– Naturalnie – odparł Floccus. – Gdzieś tu powinni być moi przyjaciele, chętnie ich odszukam i odwiedzę.

Kiedy wyszedł, Gentle zaczął obmywać nabrzmiałe wrzody na ciele Pie. Zamiast krwi sączyła się z nich srebrzysta ropa, której zapach drażnił nozdrza

jak amoniak. Ciało, z którego wypływała, wydawało się dziwnie półmaterialne, jakby za chwilę miało rozpuścić się w powietrzu. Gentle nie miał pojęcia, czy to wpływ influencji, czy tylko naturalny stan u mistyfa, który z wolna traci życie, a wraz z nim zdolność wpływania na zmysły obserwatora. Przypominał sobie, w jakich postaciach objawiał się mu się Pie. Jako Judith, naturalnie; zabójca, obnoszący się ze swoją nagością jak z pancerzem; kochający hermafrodyta – w poślubną noc na wyspie Kołyski, gdy na moment przybrał jego twarz, jakby prorokował mu spotkanie z Sartorim. Teraz zaś wyglądał niczym utkana z lśniącej mgły powłoka, która przepływała mu prawie między palcami.

– To ty, Gentle? Nie wiedziałem, że widzisz w ciemnościach.

Gentle podniósł wzrok. Zajęty mistykiem i zatopiony we wspomnieniach nie zauważył nawet, kiedy zapadł zmierzch. Przy sąsiednich łózkach paliły się lampki, ale przy Pie'oh'pahu rzeczywiście było ciemno. Ledwie widział jego ciało.

– Ja też nie – odparł i wstał, żeby przywitać się z gościem.

To Athanasius przyniósł mu lampę. W blasku jej płomienia – targanego wiatrem nie mniej od płótna namiotów – widać było, że został ranny w dogorywającym Yzordderrex: miał strupy na twarzy i szyi oraz szeroką szramę na brzuchu. Człowiek, który czcił niedzielę, przywdziewając koronę cierniową, zapewne zbyt się nimi nie przejął.

– Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, ale mamy tylu rannych, że udzielanie ostatniej posługi zajmuje mi mnóstwo czasu.

Gentle milczał, tylko po krzyżu przebiegł mu lodowaty dreszcz.

– Dociera do nas wielu żołnierzy autarchy. Martwi mnie to, bo zaczynam się bać, że w końcu wpuścimy jakiegoś zamachowca samobójcę, który wysadzi obozowisko w powietrze. To by było coś w stylu tego skurczybyka; został obalony, więc niech cały świat się zawali.

– Jestem pewien, że bardziej troszczy się o własny tyłek – stwierdził Gentle.

– A dokąd miałby uciec? Wieści rozniosły się już po Imajice. W Patashoqua wybuchło powstanie, na Postnej Drodze trwają walki... W dominiach wrze. Nawet w Pierwszym.

– W Pierwszym? Jak to?

– Nic nie widziałeś? Najwyraźniej nie... Chodź.

Gentle skinął głową na Pie.

– Mistyf będzie tu bezpieczny – zapewnił go Athanasius. – Zresztą to nie potrwa długo.

Wyszli z brzucha bestii na pustynię. Mrok gęstniał. Floccus ostrzegwał wprawdzie przed szkodliwym wpływem Wybielu, ale Gentle nie czuł nic niezwykłego. Albo chroniła go obecność Athanasiusa, albo wykazywał jakąś naturalną odporność – w każdym razie mógł bez przeszkód podziwiać rozgrywający się przed nim spektakl.

Granica między Drugim Dominium a królestwem Hapexamendiosa nie istniała, nie wyznaczał jej ani pas mgły, ani nawet głębsza ciemność. Pustynia rozmywała się po prostu w nicość, traciła barwy i szczegóły jak rysunek wycierany przez drzemiącą w oddali moc. Widok rozpływającej się rzeczywistości, materii, która ustępuje miejsca kompletnej pustce, przyprawiał Gentle'a o dreszcze. Zbieżność między znikającym światem i stanem Pie nie uszła jego uwagi.

– Mówiłeś, że Wybiel się porusza – szepnął.

Athanasius patrzył w nicość, szukając jakichś znaków.

– Nie przez cały czas – westchnął. – Bywają jednak chwile, gdy przebiegają po nim fale.

– Czy to rzadki widok?

– Najdawniejsze relacje pochodzą z odległej przeszłości, ale ta okolica nie zachęca do naukowych badań. Obserwatorzy robią się tu romantyczni, naukowcy zmieniają się w poetów... – Athanasius się zaśmiał. – To tylko żart. Na wypadek gdybyś się bał, że zaczniesz rymować mimo woli.

– Jak się czujesz, kiedy patrzysz na Wybiel?

– Przeraza mnie. Nie jestem gotów, tam się znaleźć.

– Ja też nie, ale obawiam się, że dla Pie czas już nadszedł. Żałuję, że tu przyjechałem, Athanasiusie. Może powinienem go jeszcze stąd zabrać, póki to możliwe?

– Sam musisz zdecydować, jednak moim zdaniem umrze, jeżeli spróbujesz go gdzieś przenieść. Ta influencja wsączyła w jego ciało paskudny jad. Jeżeli Pie ma wyzdrowieć, to tylko tu, na granicy Pierwszego Dominium.

Gentle zapatrzył się na niepokojącą nicość Wybielu.

– Czy rozpląnięcie się w nicość oznacza wyzdrowienie? Mnie raczej przypomina śmierć.

– Śmierć i uleczenie mogą być sobie bliższe, niż się nam wydaje.

– Nie chcę tego słuchać. Zostajesz tu?

– Jeszcze chwilę... Gdybyś postanowił odejść, odszukaj mnie przedtem. Chciałbym się pożegnać, dobrze?

– Oczywiście.

Gentle zostawił Athanasiusa wpatzonego w pustkę i wrócił do namiotu. Przyszło mu do głowy, że chętnie znalazłby jakąś knajpę i zamówił coś mocniejszego. Ruszył w stronę łóżka Pie, gdy nagle powstrzymał go chrapliwy, niewyraźny głos. Brzmiał niestosownie w tak świątobliwym miejscu, a przy tym sugerował, że jego właściciel naprawdę znalazł jakiś bar – i osuszył w nim wszystkie butelki.

– Gentle! Ty stary draniu!

Staął przed nim uśmiechnięty szeroko Estabrook. Brakowało mu paru zębów.

– Słyszałem, że tu jesteś, i nie mogłem uwierzyć. – Ucisnął Gentle'owi dłoń. – Ale to prawda, Gentle we własnej osobie. Kto by pomyślał, że się tu spotkamy?

Życie w obozie odcisnęło na Charliem wyraźne piętno. W niczym nie przypominał obłąkanego z rozpaczy spiskowca, którego Gentle spotkał na Parliament Hill. Właściwie mógłby udawać kłowna: spodnie w paski, postrzępione szelki i wielobarwna, niedopięta kamizelka, a do tego łysina i szczerbaty uśmiech.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – Estabrook nie posiadał się ze szczęścia. – Musimy porozmawiać. To doskonały moment. Wszyscy wychodzą z namiotów i medytują nad własną niewiedzą. Na krótką metę to nawet przyjemne, ale jaka ta pustynia jest nudna, Boże! Chodź, chodź ze mną! Dostałem tu własny kąt, żebym się im nie pętał pod nogami.

– Może później – odparł Gentle. – Muszę odwiedzić pewną chorą osobę.

– Coś o tym słyszałem... Masz na myśli mistyfa, tak? Tak to się mówi?

– Tak się mówi.

– Podobno są kapitalne. Bardzo seksowne. Może byśmy razem zajrzeli do pacjenta, co?

Gentle nie miał ochoty spędzać z Estabrookiem więcej czasu, niż to się okaże konieczne. Miał nadzieję, że na widok Pie nieproszony gość czmychnie gdzie pieprz rośnie – gdy tylko rozpozna w nim niedoszłego płatnego zabójcę żony.

Razem stanęli przy łóżku mistyfa, gdzie zastali już Floccusa z lampą i zapasem jedzenia. Floccus wstał, żując, gdy Gentle dokonał prezentacji, ale Es-

tabrook ledwie na niego zerknął. Nie odrywał wzroku od Pie, który leżał z twarzą ukrytą w cieniu, zwróconą w stronę Pierwszego Dominium.

– Ty farciarzu – powiedział. – Śliczna dziewczyna.

Floccus spojrział na Gentle'a, ciekaw reakcji na ewidentną pomyłkę gościa, ale Gentle ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Nie posiadał się ze zdumienia. Ciało Pie reagowało na ludzi jak dawniej, pokazując im się tak, jak chcieli je widzieć. Choroba w niczym nie przeszkadzała. Było to tym bardziej niezwykle, że on, Gentle, widział zupełnie co innego – jego ukochany stawał się z godziny na godzinę coraz bardziej bezcielesny. Czy tylko maestro mógł widzieć i rozumieć tę prawdę? Uklęknął przy łóżku, wpatrzony w coraz mniej materialną twarz mistyfa. Oczy Pie poruszały się pod zamkniętymi powiekami.

– Śniesz o mnie? – szepnął Gentle.

– Co z nią? Ma się lepiej? – zainteresował się Estabrook.

– Nie wiem. To miejsce ma podobno uzdrawiające właściwości, ale nie jestem tego pewien.

– Chyba naprawdę powinniśmy pogadać – rzekł Estabrook, siląc się na nonszalancję, niczym ktoś, kto ma coś ważnego do powiedzenia, ale nie w szerszym gronie. – Może wpadniesz do mnie na drinka? Floccus na pewno po ciebie przyjdzie, gdyby coś się stało.

Floccus pokiwał głową w rytm ruchu szczęk i Gentle przyjął zaproszenie. Estabrook mógł wiedzieć coś, co pomoże mu podjąć decyzję, czy zostać w obozie.

– Wracam za pięć minut – zapowiedział i pozwolił się Estabrookowi zaprowadzić do namiotu.

Płócienny pokój, który właściciel próbował oswoić za pomocą kilku przywiezionych z Ziemi drobiazgów, znajdował się nieco na uboczu. Nad łóżkiem – niczym wystrzępiony sztandar zdobyty w wiekopomnej bitwie – wisiała koszula poplamiona zakrzepłą już krwią. Portfel, grzebień, pudełko zapalek, rulon miętowych dropsów i kilka kolumienek drobnych monet tworzyło na nocnym stoliku ołtarzyk ku czci duszka zamieszkującego kieszenie Estabrooka.

– Skromnie tu jest – przyznał gospodarz – ale to mój dom.

– Jesteś tu więźniem? – Gentle usiadł na krześle obok łóżka.

– Skądże!

Estabrook wyjął spod poduszki butelkę, która wydała się Gentle'owi zna-

joma. Widział takie flaszki w Oke T'Noon, w knajpce, w której przesiedzieli z Huzzah cały dzień. Zawierały kloupo, sfermentowaną żywicę kwiatu porastającego bagna w Trzecim Dominium. Estabrook pociągnął solidny łyk. Tak samo wyglądał tamtego dnia na Parliament Hill, gdy popijał brandy z pierśiówki. Wtedy Gentle nie przyjął poczęstunku, teraz dał się skusić.

– Mógłbym stąd odejść w każdej chwili – ciągnął Estabrook. – Ale za każdym razem sobie powtarzam: dokąd pójdziesz, Charlie? Właśnie, dokąd?

– Nie wróciłeś do Piątego Dominium?

– Po co, na litość boską?!

– Nie tęsknisz za domem? Nic a nic?

– Może trochę... Czasem się rozklejam i piję – to znaczy, piję więcej – i mam sny.

– Co ci się śni?

– Wiesz, głównie moje dzieciństwo; szczegóły, które dla innych ludzi byłyby bez znaczenia. – Estabrook zabrał butelkę Gentle'owi i pociągnął łyk. – Ale przeszłość nie wróci, więc po co sobie łamać serce? Było, minęło.

Gentle chrząknął z powątpiewaniem.

– Nie zgadzasz się ze mną – zauważył Estabrook.

– Nie do końca.

– Wymień chociaż jedną rzecz, która trwa wiecznie.

– Ja nie...

– Nie, nie, mów. Jedną rzecz.

– Miłość.

– Ha! Wracamy do punktu wyjścia, co? Miłość! Wiesz co? Pół roku temu przyznałbym ci rację, nie ukrywam. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym przestać kochać Judith. Ale stało się. Kiedy pomyślę, co do niej czułem, wydaje mi się to żalosne. Teraz przyszła kolej na Oscara, on jest nią naprawdę zafascynowany. Najpierw ty, potem ja, teraz Oscar... ale i on długo nie wytrwa.

– Dlaczego tak uważasz?

– Za dużo srok próbuje złapać za ogon. To się musi źle skończyć. Słyszałeś chyba o Tabula Rasa, co?

– Nie...

– No tak, niby skąd? Zostałeś w tę sprawę wplątany, o niczym nie mając pojęcia, prawda? To moja wina. Nie żeby poczucie winy mogło nam pomóc, ale chcę, byś wiedział, że nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji tego,

co robię. Gdyby było inaczej, przysięgam, że zostawiłbym Judith w spokoju.

– To akurat było chyba ponad nasze siły.

– Co? Dać Jude święty spokój? Może tak... To przeznaczenie, prawda? Słuchaj, nie twierdzę, że jestem niewinny, bo bym skłamał. Zdarzało mi się w życiu paskudnie rozrabiać, na samo wspomnienie robi mi się słabo, ale w porównaniu z Tabula Rasa albo z tym świrem Sartorim nie jestem taki znowu najgorszy. Kiedy rano wychodzę popatrzeć na Bożą Pustkę...

– Tak ją tu nazywają?

– Gdzie tam! Oni mają do niej znacznie więcej szacunku. Sam wymyśliłem tę ksywkę. Więc kiedy tak na nią patrzę, to sobie myślę, że niedługo wszystkich nas pochłonie, świrów, kochanków, pijaków... Nie będzie w nas przebierać. Prędzej czy później obrócimy się w nicość. I wiesz, co ci powiem? Może już jestem stary, ale wcale się tym nie przejmuję. Każdy ma swoje pięć minut i na każdego przychodzi koniec.

– Przecież musi być coś dalej, Charlie, po drugiej stronie.

– To wszystko bzdury. – Estabrook pokręcił głową. – Widziałem mnóstwo ludzi, którzy poszli na Wybiel. Modlili się, a po kilku krokach znikali bez śladu. Tak jakby nigdy nie było ich na świecie.

– Ale są tacy, którzy tu zdrowieją. Tak jak ty.

– Rzeczywiście, Oscar nieźle mnie poharatał, a ja wciąż żyję, ale wątpię, żeby mój pobyt w obozie miał z tym coś wspólnego. Zastanów się. Czy gdyby Bóg naprawdę mieszkał za tymi górami i taki był, cholera, chętny do leczenia, to czy nie wyciągnąłby ręki trochę dalej, żeby powstrzymać szaleństwo w Yzordderrex? Czemu miałyby tolerować taki koszmar? Nie, Gentle. Mówię „Boża Pustka”, ale ta nazwa jest tylko w połowie prawdziwa. Boga tu nie ma. Może kiedyś był...

Estabrook zawiesił głos. Zabułgotało kloupo, gdy podniósł butelkę do ust.

– Dzięki – powiedział Gentle.

– Za co?

– Pomogłeś mi podjąć decyzję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cholernie trudno się myśli, kiedy wiatr tak bez przerwy duje, nie? Trafisz sam do swojej ślicznej pani? Czy chcesz, żebym cię odprowadził?

– Dam sobie radę – odparł Gentle.

Szybko pożałował, że odrzucił propozycję Estabrooka. Już po paru zakrętach przekonał się, że w blasku lamp korytarze o ścianach z płótna wyglądają niemal identycznie i że nie tylko nie umie wrócić do łóżka Pie, ale chyba nie trafiłby już z powrotem do pokoju Estabrooka. Przypadkiem zaszedł do kaplicy, gdzie kilkoro niebytowców klęczało przed oknem wychodzącym na Bożą Pustkę. W nocnych ciemnościach Wybiel wyglądał tak samo jak o zmierzchu – ciut jaśniejszy niż otaczający go mrok, ale bynajmniej nie rozświetlony. Nicość za oknem poruszyła Gentle'a bardziej niż koszmar w Beatrix czy zamurowane pokoje w pałacu. Odwrócił się plecami do Wybielu i jego czcicieli i poszedł dalej na poszukiwanie mistyfa. Kiedy całkiem przypadkowo trafił do właściwego pomieszczenia, łóżko Pie było puste. Już miał zamiar zapytać któregoś z pacjentów, czy na pewno się nie pomylił, ale na podłodze przy łóżku dostrzegł resztki posiłku Floccusa, okruchy i parę dokładnie obgryzionych kości. Zatem nie pomylił się – tylko gdzie jest Pie? Rozzejrzał się po pokoju. Pozostali chorzy spali lub leżeli nieprzytomni, lecz to nie mogło mu przeszkodzić. Musiał wiedzieć, co się stało. Podeszedł do najbliższego łóżka, gdy usłyszał tupot stóp i głos Floccusa.

– Tu jesteś! Wszędzie cię szukałem...

– Mistryfa nie ma w łóżku, Floccusie.

– Wiem o tym, wiem. Poszedłem opróżnić pęcherz; nie było mnie najwyżej dwie minutki, a kiedy wróciłem, zniknął. Mistryf, naturalnie, nie mój pęcherz. Pomyślałem, że może ty go zabrałeś.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Nie złość się. Nic mu się tu nie stanie. Możesz mi wierzyć.

Po rozmowie z Estabrookiem Gentle wcale nie był przekonany, że Floccus ma rację, ale nie zamierzał tracić czasu na kłótnie.

– Gdzie go szukałeś?

– Wszędzie!

– Mógłbyś wyrażać się bardziej precyzyjnie?

– Zabłądziłem – odparł roztrzęsiony Floccus. – Te namioty są takie do siebie podobne!

– Wychodziłeś na zewnątrz?

– Nie, a po co? – Floccus nie był już podenerwowany, lecz ciężko chory z

przerażenia. – Chyba nie podejrzewasz, że poszedł na Wybiel?

– Tego się nie dowiemy, póki nie sprawdzimy sami. Którędy poszedłem z Athanasiusem? Wyszliśmy przez drzwi...

– Zaczekaj! Zaczekaj! – Floccus złapał Gentle'a za rękaw. – Nie możesz tak po prostu...

– Czyżby? Jestem przecież maestrem.

– Są odpowiednie rytuały...

– ...które mnie gównie obchodzą.

Nie czekając na reakcję Floccusa, Gentle wyszedł z pokoju, mając nadzieję, że idzie w dobrym kierunku. Floccus dreptał obok i co parę kroków zasypywał go nowymi argumentami. Nocą Wybiel jest niespokojny, twierdził; podobno tworzą się w nim dziury i zawirowania; niebezpiecznie jest wtedy włączyć się po okolicy, bardzo niebezpiecznie; poza tym idąc tam, zbezczeszczy Wybiel. Może sobie być maestrem, ale to go nie zwalnia od obowiązku przestrzegania etykiety. Jest przecież gościem w obozie; skoro został zaproszony, powinien się zachowywać zgodnie z pewnymi regułami. Tym bardziej że reguł nie wymyślono ot tak, dla zabawy, lecz po to, by obcy nie włązili, gdzie nie trzeba. Ich ignorancja mogła dla wszystkich mieć katastrofalne skutki.

– Po co komu reguły, skoro nikt nie rozumie, co się tam naprawdę dzieje? – spytał Gentle.

– Jak to nikt? My rozumiemy! Tam się zaczyna Bóg.

– Jak zginę na Wybielu, będziesz wiedział, co napisać w moim nekrologu. „Gentle skończył w miejscu, w którym Bóg się zaczyna”.

– To nie jest zabawne, Gentle.

– Nie, nie jest.

– To kwestia życia i śmierci.

– Zgadza się.

– No to dlaczego tam idziesz?

– Bo moje miejsce jest przy Pie. Wydawało mi się, że rozumie to nawet taki półwidz i krótkogłówek jak ty!

– Chyba krótkowidz i półgłówek...

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

Znaleźli się przed drzwiami, przez które wcześniej Gentle wyszedł z Athanasiusem na pustynię. Były otwarte i nikt ich nie pilnował.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Daj spokój, Floccusie.

– ...że nasza przyjaźń trwała zbyt krótko.

Gentle stanął jak wryty, zawstydzony słowami Floccusa.

– Nie opłakuj mnie jeszcze – odparł półgłosem.

Floccus bez słowa cofnął się od drzwi, ustępując mu z drogi. Noc była cicha, wiatr osłabł i tylko leciutko poruszał płótnami. Gentle rozejrzał się na boki. Niebytowcy klęczeli z pochylonymi głowami, pogrążeni w medytacjach nad Bożą Pustką. Nie chciał im przeszkadzać, szedł jak umiał najciszej. Mimo to drobne kamyki usuwały mu się spod nóg, grzechocząc donośnie, jakby chciały wszem wobec rozgłosić jego przybycie. Nie tylko one reagowały na jego obecność. Powietrze, które tak często wykorzystywał do zabijania, wydobywało się teraz z jego ust pod postacią ciemnych chmur przesytych szkarłatnymi liniami. Obłoki te nie rozplływały się na wietrze, lecz opadały w dół, jak gdyby pod ciężarem śmierci, którą mogły zadać. Niczym żałobny całun otulały tułów i nogi Gentle'a. Nie próbował się od nich opędzać, chociaż wkrótce zgęstniały przy ziemi na tyle, że musiał zwolnić kroku. Nie miał też wątpliwości, skąd się wzięły. Próbował wejść na Wybiel bez Athanasiusa i powietrze zamierzało go zdradzić. Nie był zwyczajnym, niewinnym człowiekiem, który szuka swojej ukochanej. Czerń szat i werble kamieni nie pozwalały mu zamaskować prawdy. Był maestrem, umiał zabijać i nie mógł tego ukryć ani przed Wybielem, ani przed tymi, którzy medytowali nad jego naturą.

Stukot kamyków wyrwał kilku niebytowców z zadumy. Podnieśli wzrok na kroczącą wśród nich złowieszczą postać odzianą w czerń. Jeden, który klęczał samotnie i znalazł się najbliżej Gentle'a, zerwał się w panice i uciekł z modlitwą na ustach, inny skulił się na ziemi i szlochał bezsilnie. Zamiast przerażać ich dodatkowo swoim spojrzeniem, Gentle próbował przeniknąć wzrokiem Wybiel. Na granicy materii i nicości szukał śladów Pie'oh'paha. Boża Pustka nie niepokoiła go już tak bardzo jak za pierwszym razem. Nie krył się ze swoją mocą i szedł odważnie na spotkanie Wybielu. Jeżeli podjął się w przeszłości próby Pojednania, musiał wówczas rozwikłać i tę tajemnicę. Nie miał więc czego się bać.

Kiedy dostrzegł Pie, znajdował się już dobre trzysta, może czterysta kroków od drzwi i grono wiernych wyraźnie się przerzedziło. Tak daleko zapuszczali się jedynie najodważniejsi, którym najbardziej zależało na samotności. Niektórzy na jego widok wracali do obozu, ale kilku niewzruszonych

zostało, poświęcając mu tylko przelotne spojrzenie. Gentle zawołał mistyfa po imieniu, bojąc się, że Pie nie rozpozna go za czarną zasłoną. Okrzyk pozostał bez odpowiedzi. Głowa mistyfa była tylko niewyraźną plamą mroku, Gentle wiedział jednak, że Pie nie patrzy w jego stronę. Wzrok miał utkwiony w ciemność, w tajemnicę, która przyciągała go tak jak przepaść przyciąga samobójcę. Gentle przyspieszył kroku; coraz większe kamienie przetaczały mu się z łoskotem pod stopami. Nie wyglądało na to, żeby Pie szczególnie się spieszył, ale Gentle bał się, że gdy znajdzie się na granicy rzeczywistości i nicości, nie będzie dla niego powrotu.

– Pie! – zawołał. – Słyszysz mnie? Stój! Proszę cię, stój!

Słowa wypłynęły chmurą z jego ust i oblekły go jak płaszcz, ale mistyf nie zareagował, dopóki nie wydał mu rozkazu:

– Pie'oh'pahu, to ja, twój maestro. Zatrzymaj się!

Mistyf potknął się, jakby Gentle rzucił mu coś pod nogi. Jęknął cicho jak udręczone zwierzę, ale wykonał polecenie tego, który dawno temu go wezwał. Zatrzymał się jak posłuszny sługa i czekał, aż jego pan się z nim zrówna.

Dzieliło ich zaledwie dziesięć kroków. Z tej odległości Gentle widział już, jak dalece zaawansowany był proces rozpadu. Pie wyglądał jak cień pośród cieni, jego ciało stało się prawie niematerialne, rysów nie dało się rozeznaczyć. Jeżeli Gentle jeszcze wątpił, czy Wybiel ma cudowne właściwości uzdrawiające, wystarczyło spojrzeć na wrzody: wyglądały lepiej niż ciało; którym się karmiły. Były sine i pulsowały słabą poświatą, niczym żarzące się węgle na wietrze.

– Dlaczego wstałeś z łóżka? – zapytał Gentle i zwolnił kroku. Mistyf wyglądał tak delikatnie, jakby miał się rozpaść przy pierwszym gwałtowniejszym ruchu. – Za Wybielem niczego nie znajdziesz, Pie. Twoje miejsce jest przy mnie. Tu powinieneś żyć.

Mistyf nie odpowiedział od razu, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał słabo, jak ostatnie błaganie umierającego ducha.

– Moje życie dobiegło końca, maestro.

– O tym ja zadecyduję. Obiecałem sobie, że więcej się nie rozstaniemy, Pie. Zaopiekuję się tobą; chcę, żebyś przy mnie wrócił do zdrowia. Rozumiem już, że niepotrzebnie cię tu przywiozłem. Przykro mi, że sprawiłem ci ból, ale teraz cię stąd zabiorę...

– Postąpiłeś słusznie, przybywając tutaj. Miałeś swoje powody.

– Ty jesteś moim powodem, Pie. Nie wiedziałem, kim jestem, dopóki mnie nie znalazłeś. Jeśli cię zabraknie, znowu zapomnę sam siebie.

– Już nie. – Rozmyty kontur głowy mistyfa poruszył się i odwrócił do Gentle'a. Mimo że żaden blask nie wskazywał, gdzie znajdowały się jego oczy, Gentle był pewien, że Pie na niego patrzy. – Byłeś maestrem, Sartorim, Pojednawcą Imajiki. – Mistryf umilkł na dłuższą chwilę, po czym ciągnął ledwie słyszalnym szeptem: – Byłeś także moim panem, mężem i ukochanym bratem... Zostanę, jeżeli mi każesz, ale jeśli mnie kochasz, Gentle... proszę cię... pozwól... mi... odejść.

Trudno byłoby wyrazić tę prośbę prościej lub bardziej jednoznacznie. Gdyby Gentle przypuszczał, że po drugiej stronie pustki jest rajski ogród, a w nim miejsce przygotowane na przyjęcie ducha Pie, nie wahałby się ani chwili dłużej. Pozwoliłby mu odejść, niepomny własnego bólu. Nie wierzył w to jednak i nie zamierzał się z tym kryć, nawet w bezpośrednim sąsiedztwie Wybielu.

– To nie jest niebo, Pie. Może przebywa tam Bóg, a może nie. Dopóki nie mamy pewności...

– Może sam pójde i się przekonam? Nie boję się. W tamtym dominium narodził się mój lud. Chcę je zobaczyć. – Pierwszy raz w słowach Pie zabrzmiał cień emocji. – Umieram, maestro. Muszę się położyć. Zasnąć.

– A jeżeli tam niczego nie ma, Pie? Jeśli to tylko pustka?

– Wolę nieistnienie od bólu.

Na to Gentle nie znalazł odpowiedzi.

– W takim razie idź – rzekł.

Żałował, że nie potrafi czulej pożegnać się z mistyfaem, ale nie był w stanie maskować osamotnienia gładkimi słówkami. Bardzo chciał oszczędzić mu cierpienie, lecz współczucie dla Pie nie równoważyło pragnienia bycia z nim. Nie umiał wyzbyć się instynktu posiadacza, który – choć niechlubny – stanowił nieodłączny składnik uczuć, jakimi go darzył.

– Szkoda, że nie możemy w tę ostatnią podróż wyruszyć razem, maestro – powiedział Pie. – Wiem jednak, że masz do wykonania zadanie. Wspaniałe zadanie.

– Jak mam je wykonać bez ciebie? – spytał Gentle, zdając sobie sprawę, że to cios poniżej pasa. Było mu wstyd, ale nie chciał rozstawać się z mistyfaem, używał wszystkich argumentów, żeby go zatrzymać.

– Nie jesteś sam. Poznałeś Tickę Raw, poznałeś Scopique'a. Obaj uczest-

niczyli w ostatnim Synodzie i chętnie ponowią próbę Pojednania.

– Tick Raw i Scopique są maestrami?

– Teraz już tak. Poprzednio byli nowicjuszami, ale wiele się nauczyli. Ty wrócisz do Piątego Dominium, a oni zajmą się przygotowaniami u siebie.

– Czekali tyle czasu?

– Wiedzieli, że przyjdiesz. A jak nie ty, to ktoś, kto cię zastąpi.

A ja ich tak nieuprzejmie potraktowałem, pomyślał Gentle. Zwłaszcza Ticka.

– Kto zajmie się Pierwszym Dominium? Kto Drugim?

– W Yzorderrex mieszkał pewien Eurhetemec, który chciał ci pomagać w Drugim Dominium, ale zmarł. Poprzednim razem był już stary. Nie mógł tak długo czekać. Prosiłem Scopique'a, żeby znalazł kogoś na jego miejsce.

– A tutaj?

– Miałem nadzieję, że mnie przypadnie ten zaszczyt, ale teraz musisz poszukać kogoś innego. Nie martw się, maestro, proszę cię. Byłeś znakomitym Pojednawcą...

– Zawiodłem. To nie powód do dumy.

– Drugi raz nie zawiedziesz.

– Nawet nie znam rytuałów.

– Przypomnisz sobie. Wszystko w swoim czasie.

– Jak to?

– Wszystko, co robiliśmy, czuliśmy i o czym rozmawialiśmy, czeka na ciebie w domu przy Gamut Street. Nasze przygotowania, dyskusje... nawet ja sam.

– Wspomnienia nie wystarczą, Pie.

– Wiem o tym...

– Chcę cię mieć naprawdę. I... na zawsze.

– Może jeszcze się spotkamy, gdy zjednoczysz Imajicę i Pierwsze Dominium zostanie otwarte.

Rzeczywiście, to jest jakiś cień nadziei, przyznał w duchu Gentle. Nie wiedział jednak, czy ten cień wystarczy, by nie stoczyć się w otchłań rozpaczy, gdy zabraknie Pie.

– Mogę odejść? – zapytał mistyf.

Nigdy w życiu żadne słowo nie przeszło Gentle'owi przez gardło z takim trudem jak ta krótka sylaba:

– Tak.

Pie położył mu na ustach rękę – a właściwie opatrzone pięcioma palcami pasemko mgły. Gentle nie poczuł dotknięcia, ale serce podskoczyło mu w piersi.

– Jeszcze nie wszystko stracone – szepnął Pie. – Nie zapominaj.

Ruszył w stronę Wybielu, od którego dzielił go może z tuzin kroków. Gentle patrzył, jak ta odległość nieuchronnie się zmniejsza. Serce waliło mu jak młotem, krew tętniła w skroniach. Nawet teraz, gdy nie mógł już cofnąć danego słowa, z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby nie pobiec za Pie i nie zatrzymać go jeszcze na chwilę. Chciał stanąć przy nim, usłyszeć jego głos, stać się cieniem jego cienia.

Mistyf się nie obejrzał. Z kamiennym spokojem szedł przez krainę niczyją. Gentle nie spuścił oczu – odprowadzał go wzrokiem z uporem graniczącym z heroizmem. Wybiel zasługiwał na swoją nazwę; postać mistyfa blakła z każdym krokiem, jak szkic do rysunku, który spełnił swoją rolę i można go zetrzeć. Jednak w przeciwieństwie do szkicu (który – nawet najstaranniej wytarty – wciąż pozwalał wychwycić błąd rysownika) Pie zniknął bez śladu. Gdyby Gentle nie zachował go w pamięci, tej jakże niepewnej księdze, mistyf mógłby nigdy nie istnieć.

ROZDZIAŁ 41

Kiedy wrócił do obozu, przy wejściu czekało na niego ponad pięćdziesiąt osób, które – choć z daleka – widziały, co się wydarzyło. Dopóki ich nie minął, nikt nie odważył się nawet kaszlnąć, ale gdy Gentle wszedł do namiotu, szepty zabrzmiały jak bzyczenie roju owadów. Czy naprawdę nie mieli nic lepszego do roboty, tylko plotkować o jego smutku? Pora się stąd wynosić, uznał. Pożegna się z Estabrookiem i Floccusem i odejdzie.

Wrócił do łóżka, które zajmował Pie. Miał cichą nadzieję, że mistyf zostawił mu jakąś pamiątkę, ale jedynym śladem było zagłębienie w poduszce, gdzie jeszcze niedawno spoczywała jego piękna głowa. Gentle sam miał ogromną ochotę położyć się i zapłakać, ale nie chciał tego robić publicznie. Odda się rozpaczy, gdy znajdzie się daleko stąd.

Wychodził już, gdy zjawił się Floccus. Poruszał się nerwowo, podskakiwał jak bokser robiący uniki.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– I tak miałem iść cię poszukać. Chciałem ci podziękować i pożegnać się.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedział Floccus. Mrugał nerwowo i zaciął się przy każdym słowie. Wyglądał, jakby wypocił całą krew z twarzy. – Zanim sobie pójdiesz. Mam wiadomość.

– Przepraszam za moje zachowanie – rzekł pojednawczo Gentle. – Zrobiłeś, co mogłeś, a ja się tylko na ciebie wściekłem.

– Nie przepraszaj.

– Pie musiał odejść, a ja muszę zostać. Po prostu.

– Cieszę się, że wróciłeś – wykrztusił Floccus. – Naprawdę, maestro. Naprawdę.

„Maestro” był dla Gentle'a jednoznaczną wskazówką.

– Ty się mnie boisz, Floccusie, prawda?

– Czy się boję? Eee, no... Trochę. W pewnym sensie. Tak. Po tym, co tam się wydarzyło, jak poszedłeś na sam skraj Wybielu i nie zniknąłeś, i w dodatku tak się zmieniłeś...

Gentle zdał sobie sprawę, że wciąż otula go czarny całun, rozplywa się powoli jak gęsty dym.

– Nie miałem pojęcia... – jękał się dalej Floccus. – Wybacz mi, proszę, byłem głupi, bo widzisz, nie wiedziałem, że znalazłem się w towarzystwie takiej... takiej mocy. Jeżeli, rozumiesz, czymś cię uraziłem...

– Nie uraziłeś mnie.

– Bo ja czasem przesadzam w żartach.

– Miło mi było z tobą podróżować, Floccusie.

– Dziękuję ci, maestro. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Przestań mi dziękować.

– Oczywiście, już przestaję. Dziękuję.

– Mówiłeś, że masz dla mnie wiadomość.

– Tak? Ach tak, mówiłem.

– Od kogo?

– Od Athanasiusa. Bardzo chciałby się z tobą spotkać.

No tak, to trzecia osoba, której jestem winien pożegnanie, pomyślał Gentle.

– Zaprowadź mnie do niego, jeśli łaska – powiedział.

Floccus, któremu wyraźnie ulżyło, że przeżył tę rozmowę, wyprowadził go z pokoju.

*

Przejście przez labirynt w namiocie zajęło im kilka minut. W tym czasie wiatr, który o zmierzchu ucichł niemal zupełnie, zerwał się z nową energią i kiedy Floccus wskazał Gentle'owi pokój, gdzie czekał Athanasius, wichura szarpała ściany z dzikim zapałem. Stojące na podłodze lampy migotały przy każdym podmuchu, jakby bały się wiatru. W ich niepewnym blasku Gentle zrozumiał, jak ponure miejsce wybrał Athanasius na to spotkanie. Znajdowali się w kostnicy, której całą podłogę zaścielały okryte najróżniejszymi łachmanami ciała – niektóre zgrabnie zawinięto w całuny, ale większość była ledwie

przysłonięta. Miał przed sobą kolejny dowód (tak jakby jeszcze potrzebował dowodów!), że obóz nie sprawdzał się w roli uzdrowiska. Ale uznał to za kwestię czysto akademicką – nie zamierzał urazić uczuć Athanasiusa, zwłaszcza gdy ze wszystkich stron otaczały go zwłoki.

– Mam zostać z wami? – zapytał Floccus, modląc się w duchu, żeby Athanasius pozwolił mu odejść.

– Nie, nie musisz. Idź już.

Floccus uklonił się Gentle'owi.

– Jestem zaszczycony, że cię spotkałem – powiedział i czmychnął z kostnicy.

Gentle odprowadził Floccusa wzrokiem, a potem odwrócił się do Athanasiusa, który tymczasem przeszedł w kąt pokoju i przyglądał się jednemu z owiniętych w całun ciał. Był ubrany stosownie do atmosfery kostnicy; zamiast jasnej, luźnej szaty przywdział strój granatowy, tak ciemny, że wpadał w czerń.

– Maestro... – odezwał się. – Szukałem wśród nas Judasza, ale ciebie przegapiłem. To chyba nieostrożność z mojej strony.

Mówił tonem spokojnym, uprzejmym, przez co jego słowa – i tak niejednoznaczne – jeszcze bardziej zmieszały Gentle'a.

– Co masz na myśli?

– Podstępem dostałeś się do naszych namiotów, a teraz zamierzasz odejść, nie bacząc na świętokradztwo, którego się dopuściłeś.

– Nie użyłem podstępu. Mistyf był chory; myślałem, że tutaj wyzdrowieje. A jeżeli naruszyłem wasze reguły, musisz mi wybaczyć. Nie miałem czasu na lekcje teologii.

– Mistyf wcale nie chorował. A jeśli nawet, sam wywołałeś tę chorobę, żeby się zakraść pomiędzy nas. Nawet nie próbuj zaprzeczać. Widziałem, co zrobiłeś na Wybielu. Jakie zadanie wyznaczyłeś mistyfowi? Ma na nas donieść Niewidzianemu?

– O co ty mnie właściwie oskarżasz?

– Wiesz, zastanawiam się nawet nad tym, czy naprawdę przybyliście z Piątego Dominium. Może to też kłamstwo, element spisku.

– Nie ma żadnego spisku.

– Słyszałem, że w Piątym Dominium rewolucja i teologia nie idą w parze. Dla nas to oczywiście brzmi dziwnie, bo niby jak można je rozdzielić? Jeżeli zmienisz swoje życie, choćby nawet minimalnie, musisz liczyć się z tym, że

ta wieść dotrze do uszu bogów. A wtedy lepiej żebyś umiał się z tego wytłumaczyć.

Gentle słuchał Athanasiusa i zastanawiał się, czy nie powinien po prostu wyjść, bo przecież kapłan ewidentnie bredził od rzeczy. Uznał jednak, że jest mu winien odrobinę cierpliwości, choćby za te kilka mądrych słów, które usłyszał od niego na ślubnej ceremonii.

– Uważasz, że jestem zamieszany w jakiś spisek – stwierdził. – Dobrze cię rozumiem?

– Uważam, że jesteś mordercą, kłamcą i wysłannikiem autarchy.

– Ty mnie nazywasz kłamcą?! A kto przekonał tych wszystkich biedaków, że zostaną tu uleczeni, co? Ja czy ty? Spójrz na nich! – Gentle wskazał leżące wokół ciała. – Nazywasz to uzdrowieniem? Bo ja nie. Gdyby mogli przemówić...

Schylił się i ściągnął całun z najbliższego trupa. Była to piękna kobieta. Miała otwarte, szkliste oczy i twarz pomalowaną i błyszczącą. Wyrzeźbioną, pomalowaną i błyszczącą. Szarpnął całun mocniej, słysząc za plecami ponury śmiech Athanasiusa. W zgięciu ręki kobieta trzymała wyrzeźbione, pomalowane dziecko, którego główkę otaczała złocona aureola. Malutką rączkę miało wzniesioną do błogosławieństwa.

– Rzeczywiście, nie rusza się – stwierdził Athanasius. – Ale pozory mylą. Nie jest martwa.

Gentle przeszedł dalej i odsłonił sąsiednie ciało – kolejną Matkę Boską, wykonaną w bardziej barokowym stylu, z oczami wniesionymi ku niebu. Całun wysliznął mu się pomiędzy palców.

– Słabo ci, maestro? Umiesz ukryć strach, ale mnie nie oszukasz.

Gentle powiódł wzrokiem po pokoju. Dookoła leżało co najmniej trzydzieści ciał.

– Czy to wszystko są Madonny?

Athanasius, który opacznie zrozumiał zdumienie Gentle'a, odparł:

– Widzę, że się boisz. To święta ziemia. Bogini się nią opiekuje.

– Dlaczego?

– Wedle tradycji niedaleko stąd dokonano zbrodni na przedstawicielce jej płci. Kobieta z Piątego Dominium została tu zgwałcona. Matka Boska każe czcić takie miejsca. – Athanasius przyklęknął, odsłonił następną rzeźbę i dotknął jej z szacunkiem. – Jest tutaj z nami. W każdym posągu, w każdym kamieniu, w każdym podmuchu wiatru. Błogosławi nas, ponieważ odważyli-

śmy się podejść tak blisko dominium jej nieprzyjaciela.

– Jakiego nieprzyjaciela?

– Co to, nie możesz wymówić jego imienia, nie padłszy na kolana? Hapexamendiosa. Twojego pana. Niewidzianego. Przyznaj się. Czemu się wzbranasz? Znasz moją tajemnicę, a ja znam twoją; jesteśmy dla siebie nawzajem jak otwarte księgi. Chociaż nie, mam jeszcze jedno pytanie, zanim odejdiesz...

– Słucham.

– Skąd się dowiedziałeś, że czcimy boginię? Floccus ci o tym powiedział? Czy Nikaetomaas?

– Nikt mi nie powiedział. Nie wiedziałem o tym, a teraz, kiedy wiem, nic mnie to nie obchodzi. – Gentle ruszył w stronę Athanasiusa. – Nie boję się twoich bogiń.

Zatrzymał się przy najbliższym posągu i odsłonił go – od gwiazdzistej korony po spowite chmurami stopy. Madonna miała dłonie złożone jak do modlitwy. Pochylił się, tak jak wcześniej Athanasius, i położył rękę na splecionych palcach rzeźby.

– Chociaż nie da się ukryć, że są piękne. Wiem, co mówię. Kiedyś byłem artystą.

– Muszę przyznać, że jesteś silny, maestro. Spodziewałem się, że nasza pani rzuci cię na kolana.

– Najpierw mam klękać przed Hapexamendiose, a teraz przed nią?

– Przed nim – z obowiązku; przed nią – ze strachu.

– Przykro mi, że cię rozczaruję, ale moje nogi należą tylko do mnie. Klękam, kiedy chcę. Jeśli chcę.

– Ty chyba naprawdę wierzysz w to, co mówisz – stwierdził zaskoczony Athanasius.

– Tak, do cholery! Nie mam pojęcia, o co mnie oskarżasz, ale przysięgam ci, że nie ma żadnego spisku.

– Może jesteś tylko bezwolnym narzędziem w jego rękach. Nie wiesz, jaki ma cel.

– Nie, nie, dobrze wiem, co mam zrobić, i nie widzę powodu do wstydu. Jeśli tylko zdołam, przyłączę Piąte Dominium do Imajiki. Chcę, żeby stała się jednością; wydawało mi się, że i ty powinieneś tego pragnąć. Mógłbyś wybrać się do Watykanu. Tam mają Matek Boskich w bród.

Wiatr, jak gdyby do głębi poruszony jego słowami, z impetem uderzył w

płótno, przedarł się do wnętrza namiotu, zerwał kilka całunów i zgasił jedną lampę.

– On cię nie ocali – rzekł Athanasius, najwyraźniej przekonany, że wiatr ma zanieść Gentle'a w bezpieczne miejsce. – Twoja niewiedza też ci nie pomoże, nawet jeśli do tej pory cię chroniła. – Odwrócił się w stronę ciał, którym przyglądał się na początku rozmowy. – Wybacz nam, pani, że robimy to przy tobie.

Te słowa musiały być umówionym sygnałem, bo cztery posągi poruszyły się nagle, usiadły i odrzuciły całuny. Nie były Madonnami, lecz niebytowcami uzbrojonymi w noże o sierpowatych ostrzach. Athanasius spojrzął na Gentle'a.

– Czy przed śmiercią przyjmiesz błogosławieństwo naszej pani?

Słyszając za plecami słowa modlitwy, Gentle odwrócił się i ujrzał jeszcze troje zabójców. Dwóch miało takie same niezwykle noże, trzecim była dziewczyna mniej więcej w wieku Huzzah, półnaga, o sarnich oczach. Idąc, odkrywała mijane posągi. Nie było wśród nich dwóch jednakowych – jedno wykuto w kamieniu, inne wyrzeźbiono w drewnie, jeszcze inne odlano z gipsu; niektóre miały ledwie rozpoznawalne kształty, a niektóre wyglądały tak prawdziwie, jakby lada chwila miały zaczerpnąć tchu i wstać. Mimo że przed chwilą Gentle sam dotknął jednego z nich, teraz nogi się pod nim ugięły. Czyżby Athanasius wiedział o maestrach coś, o czym on nie miał pojęcia? Czy podobizna Madonny może osłabiać jego moc, tak jak w poprzednim życiu rozbierał go widok nagiej – lub rozbierającej się – kobiety?

Może i była w tym jakaś tajemnica, ale nie zamierzał biernie czekać, aż Athanasius go zamorduje. Nabrał powietrza i przyłożył dłoń do ust, patrząc, jak kapłan sięga po broń i rusza w jego stronę. Oddech był szybszy niż ostrze; Gentle wypuścił pneumę pod nogi Athanasiusa, tak że roztrzaskała kamienie i obsypała kapłana odłamkami. Athanasius zatoczył się w tył, wypuścił nóż, przewrócił się i złapał obiema rękami za twarz. Krzyknął – bardziej chyba ze złości niż z bólu – i nawet jeśli w jego słowach krył się jakiś rozkaz, zabójcy go nie dosłyszeli albo zignorowali. Nie zblizali się do Gentle'a, gdy szedł w stronę ich rannego przywódcy. W powietrzu unosił się jeszcze szary obłok kamiennego pyłu. Gentle ukucnął przy Athanasiusie i delikatnie odsunął jego dłonie. Z głębokich ran pod lewym i nad prawym okiem – a także z mnóstwa drobnych skaleczeń – tryskała krew, ale żadna nie mogła być groźna dla człowieka, który nosił blizny jak inni biżuterię. Kiedy się za-

goją, staną się ozdobą jego kolekcji.

– Odwołaj swoich ludzi, Athanasiusie. Nie przybyłem tu nikogo skrzywdzić, ale jeżeli zostanę do tego zmuszony, zabiję wszystkich, co do jednego. Rozumiesz? – Gentle pomógł kapłanowi wstać. – Każ im się cofnąć.

Athanasius strząsnął jego dłoń z ramienia i przez zalewającą mu oczy krew spojrzął na swoją kohortę.

– Zostawcie go – polecił. – Innym razem się nim zajmiemy.

Zabójcy stojący Gentle'owi na drodze do drzwi rozstąpili się, chociaż nie opuścili broni. Gentle wstał i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Nie chciałbym zabić człowieka, który udzielił mi ślubu – powiedział. – Proszę cię, Athanasiusie, zanim ponownie zaatakujesz, przemyśl sobie, jakie dowody masz przeciwko mnie. Zajrzyj w głąb swojej duszy. Nie jestem twoim wrogiem, chcę tylko uzdrowić Imajicę. Czy twoja bogini nie pragnie tego samego?

Jeśli nawet Athanasius chciał mu coś odpowiedzieć, nie zdążył. Zanim otworzył usta, gdzieś z zewnątrz dobiegł okrzyk, zaraz po nim następny, i jeszcze jeden. Chwilę później rozległ się zwielokrotniony wrzask bólu i strachu, tak zniekształcony wiatrem, że brzmiał jak piskliwy zgrzyt. Kiedy Gentle odwrócił się do drzwi, wichura objęła pokój w posiadanie. Jedna ze ścian wydeła się, wzburzyła i uniosła, jakby szarpnęła ją jakaś olbrzymia dłoń. Niosący wrzaski przerażenia wiatr wpadł do środka i powywracał lampy; oliwa rozlała się na podłogę i buchnęła płomieniem. W blasku ognistych kul Gentle oglądał rozgrywające się dookoła makabryczne sceny. Zabójcy przewracali się jak lampy, nie mogąc oprzeć się sile wichury; jeden nadział się na własny nóż, inny wpadł w ogień i spłonął w mgnieniu oka.

– Co to jest?! – zawołał Athanasius. – Jaką siłę przywołałeś?

– To nie ja – odparł Gentle.

Athanasius piskliwym głosem wykrzyczał jakieś następne oskarżenie, ale jego słowa utonęły w ogólnym zgiełku. Następna ściana została podarta w strzępy, które jak kurtyna uniosły się i odsłoniły obraz rozgrywającej się na zewnątrz tragedii. Burza szalała w całym obozowisku, patrosząc piękną, szkarłatną bestię, w której trzewia Gentle zanurzył się z tak nabożnym lękiem. Wyrывała z ziemi kolejne namioty, rwała płótno na kawałki; liny i kołki śmigwały dookoła z morderczym impetem. Za ścianą wichury widać było jej źródło: Wybiel, niedawno pozbawiony wszelkiej formy, przetaczał się i bu-

rzył tak samo jak niebo, które Gentle oglądał ponad Osią. Wydawało mu się, że ośrodkiem potężnego wiru jest wyrwa w samym sercu Wybielu. Może oskarżenia Athanasiusa nie były takie bezpodstawne; może istotnie – zagrożony mocą Madonn i śmiercią z rąk zabójców – podświadomie przywołał z Pierwszego Dominium jakąś istotę, która teraz próbowała go chronić? Jeśli rzeczywiście tak było, musiał ją odszukać i nad nią zapanować, zanim śmierć kolejnych niewinnych ludzi obciąży jego sumienie.

Ze wzrokiem utkwionym w wyrwę, ruszył prosto w stronę Wybielu. Szedł tą samą drogą, którą wybrała burza. W powietrzu unosiły się resztki namiotów, a wichura wracała do miejsc spustoszonych pierwszym atakiem, by wylapać tych, którzy jeszcze żyli. Porywała ich, ciskała pod niebo jak worki zakrwawionego pierza i rozpruwała, zanim spadli na ziemię. Z góry padał krwawy deszcz. Zbryzgany szkarłatem Gentle szedł uparcie naprzód – o dziwo, siła, która masakrowała ludzi dookoła, jemu nie czyniła najmniejszej krzywdy. Nawet nie próbowała go przewrócić. Co go chroniło? Oddech, który Pie nazwał kiedyś źródłem całej jego magii.

Czarny płaszcz otulał Gentle'a ciasno i – najwyraźniej – osłaniał przed wściekłością żywiołu. Mimo że nie przeszkadzał już w marszu, przydawał mu ciężaru znacznie ponad ludzką miarę.

W pół drogi Gentle obejrzał się za siebie, ciekaw, czy rzeźbione Madonny wykazują jakieś oznaki życia. Mimo wszechobecnego chaosu łatwo odszukał wzrokiem rzekomą kostnicę. Stała w płomieniach, ustawicznie podsycanych wiatrem. W powietrzu gęstym od krwi i szczątków materii rzeźby podniosły się z kamiennych katafalków, otaczając kręgiem Athanasiusa i jego ocalałych podwładnych. Gentle'owi wydawało się, że stanowią wątłą osłonę, ale kilku innych niebytowców już czołgało się w ich stronę, nie odrywając oczu od posągów.

Odwrócił się i ruszył na spotkanie Wybielu. Dostrzegł jeszcze jedną postać, która z powodzeniem opierała się wichurze. Mężczyzna w szacie tej samej barwy, co podarte namioty, siedział po turecku na ziemi nie dalej niż dwadzieścia metrów od źródła huraganu. Na głowie miał kaptur, twarz trzymał zwróconą w stronę Wybielu. Gentle'owi przyszło do głowy, że to może być potwór, którego przywołał – bo jeśli nie, jakim cudem zdołał ocaleć, znajdując się tak blisko środka wiru?

Krzyknął, chociaż wątpił, by wśród zgiełku i wycia wiatru wołanie coś dało, ale mnich odwrócił się do niego. Miał łagodną, miłą twarz. Jego policz-

kom przydałaby się brzytwa, nos – w przeszłości złamany – można by nastawić i wyprostować, za to oczom niczego nie brakowało. Na widok maestra odmalowała się w nich radość. Mnich uśmiechnął się szeroko, zerwał na równe nogi i uklonił.

– To dla mnie zaszczyt gościć cię tutaj, maestro – powiedział. Nie musiał podnosić głosu, Gentle doskonale słyszał jego słowa. – Widziałeś już mistyfa?

– Odszedł – odparł Gentle, zdając sobie sprawę, że też nie musi krzyżeć. Zupełnie jakby jego głos, podobnie jak ciało, stał się bardziej materialny, cięższy.

– Widziałem to – przytaknął mnich – ale wiem też, że wrócił, maestro. Przebił się przez Wybiel i ściągnął na nas burzę.

– Gdzie? – Gentle rozejrzał się dookoła. – Gdzie jest? – Posłał mnichowi oskarżycielskie spojrzenie. – Znalazłby mnie, gdyby wrócił.

– Próbuje cię znaleźć, wierz mi. – Mnich odrzucił kaptur. Miał przerzedzone rude włosy, ale wciąż zachował urok chłopca z kościelnego chóru. – Jest już bardzo blisko, maestro.

Odwrócił się do Wybielu; nie patrzył jednak przed siebie ani na boki, lecz w górę, w głąb trąby powietrznej. Gentle podążył za jego spojrzeniem. Wyssoko na wietrze miały się strzępy płótna, szybowały niepewnie, niczym olbrzymie, poranione ptaki. Obok fruwały kawałki mebli, resztki ubrań i fragmenty ciał. Przez tę chmurę śmiecia przedzierał się jakiś ciemny kształt. Opał w dół. Mnich podszedł do Gentle'a.

– To mistyf – stwierdził. – Chcesz, żebym cię chronił, maestro?

– Jest moim przyjacielem. Nie potrzebuję ochrony.

– Myślę, że się mylisz.

Mnich wzniosł ręce nad głowę i rozcapierzył palce. Zbliżający się duch na widok tego gestu zwolnił i Gentle mógł mu się dobrze przyjrzeć. Rzeczywiście, miał przed sobą Pie – a w każdym razie coś, co go przypominało. Trudno było powiedzieć, czy ukradkiem, czy na siłę przedarło się przez zaporę Wybielu, w każdym razie niewiele dobrego mu z tego przyszło. Owrzodzenie zaogniło się jeszcze bardziej i rozlało niemal po całym ciele. Mystyf był przejmująco. Chyba nawet wyprucie wnętrzości nie sprawiłoby mu większego bólu.

Zatrzymał się w locie, zawisł nad Gentle'em i mnichem jak zamrożony w locie nurek – z rozpostartymi ramionami i odrzuconą w tył głową (czy raczej

tym, co z niej zostało).

– Pie? – odezwał się Gentle. – Ty to zrobiłeś?

Mistyf wył jak opętany. Jeśli nawet próbował odpowiedzieć, Gentle nic z tego nie rozumiał.

– Muszę z nim porozmawiać – powiedział, zwracając się do swojego obrońcy. – Jeżeli przez ciebie tak cierpi, zostaw go w spokoju, na miłość boską!

– Krzyczy tak od samego początku, odkąd wrócił.

– Przynajmniej opuść ręce.

– Zaatakuj nas.

– Jestem skłonny zaryzykować.

Mnich opuścił ręce. Ciemny kształt w powietrzu zwinął się, skręcił i obrócił, ale nie opadł niżej i Gentle zdał sobie sprawę, że spętała go inna siła. Mistyf walczył z mocą Wybielu, który upominał się o niego i kazał wracać, skąd przybył.

– Słyszysz mnie, Pie? – zapytał Gentle.

Bolesne wycie nie milkło.

– Jeżeli możesz mówić, mów!

– On mówi – zauważył mnich.

– Ja słyszę tylko skowyt.

– Wsłuchaj się w słowa.

Mistyf szarpał się coraz bardziej rozpaczliwie, z jego ran ciekła ropa. Cuchnęła zgnilizną i – kiedy skapnęła Gentle'owi na twarz – wżerała się w skórę, ale krzyk stał się bardziej zrozumiały.

– ...Odczyniony... Wszyscy jesteśmy... odczynieni...

– Dlaczego rozpętałeś burzę?

– To nie... ja. Przysłał ją... żeby mnie... zabrała.

– Nadciągnęła z Pierwszego Dominium?

– Taka jest... Jego wola – odparł Pie. – Jego... wola...

Mimo że skulona w męczarniach postać prawie wcale nie przypominała istoty, którą kochał i z którą się ożenił, Gentle rozpoznawał w jej słowach cień dawnego Pie'oh'paha i sam miał ochotę wyć z wściekłości, że musi być świadkiem jego tortury. Przecież po to mistyf odszedł do Pierwszego Dominium, żeby więcej nie cierpieć – tymczasem jego męka wcale się nie skończyła, a w dodatku był wobec niej całkowicie bezsilny. Jedyne, co Gentle mógł dla niego zrobić, to zapewnić go, że go rozumie. Nie kłamał. Wiedział,

co Pie próbuje mu przekazać. Przy ich bolesnym rozstaniu mistyf wyczuł jego wahanie, które teraz jednak zniknęło bez śladu. Musiał mu to powiedzieć.

– Wiem, co muszę zrobić – rzekł. – Możesz być spokojny, Pie. Rozumiem. Jestem Pojednawcą. Nie będę uciekał przed przeznaczeniem.

Mistyf szarpnął się jak ryba na haczyku; nie mógł dłużej opierać się rybakowi, który próbował go wciągnąć do Pierwszego Dominium. Drapał paznokciami powietrze, jakby nabranie w dłonie drobinek kurzu mogło dać mu oparcie, lecz moc, która w pogoń za nim wysłała huragan, trzymała go nadal w uścisku. Duch mistyfa został pociągnięty w stronę Wybielu. Gentle instynktownie sięgnął w jego kierunku mimo ostrzegawczego krzyku mnicha. Mistyf w odpowiedzi wyciągnął rękę; mroczna materia jego ciała oplotła palce maestra, który zadygotał i byłby upadł na ziemię, gdyby mnich go nie podtrzymał. Gentle miał wrażenie, że szpik w kościach rozgorzał mu żywym ogniem; poczuł bijącą od Pie woń zgnilizny, tak jakby śmierć brała ciało w posiadanie od zewnątrz i od środka jednocześnie. Miał ochotę puścić dłoń mistyfa, przestać wsłuchiwać się w jego skowyt, ale zwalczył tę pokusę, desperacko szukając sensu w tych kilku sylabach, które zdołał wychwycić. Trzy z nich składały się na jego imię:

– Sartori...

– Jestem tu, Pie – odparł, przypuszczając, że mistyf już go nie widzi. – Cały czas.

Ale Pie nie jego miał na myśli:

– Ten drugi – powiedział. – Drugi...

– Co z nim?

– On wie. Znajdź go, Gentle. On wie.

Po tych słowach ich palce się rozdzieliły. Pie jeszcze raz wyciągnął rękę, ale w chwili gdy stracił oparcie w Gentle'u, natychmiast padł łupem Wybielu i został wessany w wyrwę, przez którą przybył. Gentle rzucił się za nim w pościg, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo wstrząs wywołany dotykem Pie poraził jego kończyny; nogi ugięły się pod nim i upadł jak długi na ziemię. Zdążył podnieść głowę w samą porę, by ujrzeć, jak mistyf znika w oku cyklonu. Leżąc, przypomniał sobie, jak pierwszy raz ścigał Pie po pustych ulicach Manhattanu. Wtedy też się przewrócił i podniósłszy głowę widział, jak tajemnica wymyka mu się z rąk nierozwikłana. Wówczas jednak mistyf odwrócił się do niego, odwrócił i przemówił ponad Piątą Aleją dzielą-

cą ich jak rzeka. Dał mu nadzieję, choćby nikłą, że jeszcze się spotkają. Teraz było inaczej. Pie zniknął w Wybielu jak dym zassany przez szparę w drzwiach. Jego skowyt ucichł jak nożem uciął.

– Znowu... – mruknął Gentle.

Mnich przykucnął przy nim.

– Dasz radę wstać? – zapytał. – Czy mam iść po pomoc?

Gentle oparł się na rękach i bez słowa uklęknął. Odkąd mistyk zniknął, wiatr, który towarzyszył jego przybyciu i wyrządził tyle szkód w obozowisku, słabł z każdą chwilą. Z góry posypały się śmieci, do tej pory unoszone przez wichurę. Mnich znów utworzył z rąk barierę ochronną, ale Gentle ledwie zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Patrzył na Wybiel, który na jego oczach przestawał się kotłować. Zanim deszcz szmat, kamieni i ludzkich szczątków ustał, z Wybielu zniknął wszelki ślad ruchu i kształtu, oko znów gubiło się w jego próżni, bezskutecznie szukając punktu zaczepienia.

Gentle wstał i ogarnął spojrzeniem otaczające go z trzech stron pobojowisko. Krąg Madonn, który mignął mu wcześniej, przetrwał burzę nienaruszony, dając schronienie kilkudziesięciu ludziom. Niektórzy modlili się i szlochali na kolanach, inni całowali stopy posągów, jeszcze inni wpatrywali się w Wybiel, skąd nadciągnęła zagłada, z której ocaleli tylko oni, maestro i samotny mnich.

– Widzisz gdzieś Athanasiusa? – zapytał Gentle.

– Nie, ale na pewno żyje. Jest podobny do ciebie, maestro. Wola życia jest w nim zbyt silna, żeby mógł zginąć.

– Wola życia nie ocaliłaby mnie, gdyby ciebie tu nie było. W twoich żyłach płynie prawdziwa moc.

– Może trochę... – przyznał skromnie mnich. – Miałem znakomitego nauczyciela.

– Ja też – szepnął Gentle. – Straciłem go.

Widząc łzy wzbierające w oczach maestra, mnich chciał odejść, ale Gentle go powstrzymał.

– To nic takiego. Zbyt długo już uciekałem od łez. Chciałbym o coś prosić. Nie będę ci miał za złe, jeżeli odmówisz.

– Słucham, maestro.

– Kiedy stąd odejdę, wrócę do Piątego Dominium, żeby przygotować się do Pojednania. Czy zaufasz mi i dołączysz do Synodu? Czy będziesz w nim reprezentował Pierwsze Dominium?

Mnich rozpromienił się cały; wyglądał, jakby nagle lat mu ubyło.

– Jestem zaszczycony, maestro.

– To ryzykowne zadanie – uprzedził go Gentle.

– Nie ono jedno. Ale gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

– Co masz na myśli?

– Jesteś moim natchnieniem, maestro. – Mnich z szacunkiem schylił głowę. – O cokolwiek poprosisz, zrobię wszystko, by nie zawieść twojego zaufania.

– Zatem zostań tutaj. Obserwuj Wybiel i czekaj na mnie. Znajdę cię, kiedy nadejdzie czas.

W słowach Gentle'a brzmiało przekonanie, którego bynajmniej nie czuł w sercu, ale stwarzanie złudzenia pewności siebie najwyraźniej stanowiło część repertuaru każdego maestra.

– Będę czekał – powiedział mnich.

– Jak się nazywasz?

– Kiedy przystałem do niebytowców, nazwali mnie Chicka Jackeen.

– Jackeen?

– To znaczy: człowiek bezwartościowy.

– Widzę, że wiele nas łączy. – Gentle uściśnął jego dłoń. – Nie zapomnij o mnie, Jackeen.

– Zawsze o tobie pamiętam.

Gentle czuł, że jakiś podtekst słów Jackeena mu się wymyka, ale nie miał czasu na drażnienie tej kwestii. Czekająca go trudna, niebezpieczna podróż: do Yzordderrex, a stamtąd do Azylu. Podziękował Jackeenowi za przysługę i zostawiwszy go na skraju Wybielu, klucząc wśród śmiecia, ruszył w stronę kręgu posągów. Ci, którzy ocalili, właśnie zaczęli wyczołgiwać się spod ich osłony; domyślał się, że mają nadzieję znaleźć jakichś rannych w zdruzgotanym obozie. Aż nazbyt często w drodze przez dominia oglądał podobne smutne sceny. Bardzo chciał wierzyć, że działo się tak wskutek zbiegu okoliczności, ale nie powinien sam siebie oszukiwać. Z burzą, która przeszła nad obozem, łączyły go śluby równie trwałe jak z Pie. Może nawet silniejsze, odkąd mistyfa zabrakło.

Jackeen nie mylił się co do Athanasiusa. Przywódca niebytowców stał pośrodku kręgu Madonn w grupie wiernych, wspólnie z nimi zanosząc dziękczynne modły do Matki Boskiej, która ich ocaliła. Kiedy Gentle się zbliżył, Athanasius podniósł głowę. Jedno oko zlepiła mu zakrzepła krew zmieszana

z ziemią, za to nienawiść, jaką pałało drugie, wystarczyłaby, żeby obdzielić pół tuzina ludzi. Gentle nie spuścił wzroku. Zatrzymał się, a kapłan zniżył głos do szeptu, nie chcąc, by bluźnierca słyszał słowa modlitwy. Kilka zdań doleciało jednak na granicę okręgu tworzonych przez święte figury. Mimo że posągi bez wątpienia przedstawiały Maryję Dziewicę, najwyraźniej zdaniem niebytowców miała ona jeszcze inne imiona, a może wzywali jej siostry. Usłyszał:

„Uma Umagammagi, Matka Imajica”; usłyszał też imię, które Huzzah zdradziła mu szeptem w podziemnej celi *maison de sante*: Tishalulle. Było i trzecie, którego zrazu nie był pewien, ale wkrótce przekonał się, że się nie myli – Jokalaylau. Athanasius prosił Jokalaylau, żeby przygotowała im miejsce w swoim śnieżnym raj. Gentle pomyślał z goryczą, że kapłan chyba nigdy nie musiał przemierzać bezmiernego pustkowia gór, skoro wyobrażał je sobie jako rajską krainę.

O ile same nazwy brzmiały dziwnie, o tyle duch, który przenikał wier-nych, był znajomy. Mizerna trzódka Athanasiusa modliła się do tej samej mi-łosiernej bogini, w której świątyniach w Piątym Dominium codziennie zapa-łano niezliczone świece. Nawet taki poganin jak Gentle zawsze ją czcił, choć w jedyny znany sobie sposób – uwodził przedstawicielki jej płci, żeby choć na krótko ją posiąść. Gdyby miał kochającą matkę (czy choćby siostrę), może poznałby inne niż żądza formy uwielbienia, głęboko wierzył jednak, że świę- ta pani mu wybaczy – nawet jeśli Athanasius nie da się ubłagać. To było po- cieszające. W bitwie, do której zbierał siły, przyda mu się każde wsparcie. Świadomość, że Matka Imajica ma swoje kaplice w Piątym Dominium, w którym bitwa się rozegra, działała kojąco.

Zaimprovizowane nabożeństwo dobiegło końca i wierni rozchodzili się, żeby przeszukać zrujnowany obóz. Athanasius stał nieruchomo, aż zostali przy nim tylko ci, którzy zdążyli się schronić pod opiekę Madonn, lecz mimo to nie przeżyli.

– Podejź, maestro – odezwał się. – Chciałbym ci coś pokazać.

Gentle wszedł w krąg. Spodziewał się, że Athanasius pokaże mu zwłoki dziecka albo jakiejś pięknej dziewczyny, tymczasem twarz, na którą zwrócił jego uwagę, należała do mężczyzny, i to niemłodego.

– Znałeś go, prawda? – zapytał kapłan.

– Tak. Nazywał się Estabrook.

Charlie miał zamknięte oczy i usta. Nie było po nim widać żadnych po-

ważnych obrażeń, tak jakby jego serce zwyczajnie nie wytrzymało napięcia.

– Nikaetomaas mówiła, że znalazł się tutaj, bo pomyliliście go ze mną – przypomniał sobie Gentle.

– Myśleliśmy, że jest mesjaszem. Kiedy zrozumieliśmy nasz błąd, szukaliśmy dalej, czekając na cud. A zamiast cudu...

– ...doczekaliście się mnie. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale na dobrą sprawę miałeś rację, to przeze mnie rozpętała się ta niszczycielska nawałnica. Nie rozumiem dokładnie, jak do tego doszło, i nie spodziewam się przebaczenia z twojej strony, ale chcę, byś wiedział, że nie sprawiło mi to frajdy. Teraz zależy mi już tylko na tym, żeby śmierć tych ludzi nie poszła na marne.

– Co w związku z tym zamierzasz, maestro? – W jedynym zdrowym oku Athanasiusa wezbrały łzy, gdy patrzył na zwłoki. – Wskrzesisz ich tym, co ci dynda między nogami? Znasz taką sztuczkę? Zerznieś ich, a oni ożyją?

Gentle odchrząknął z niesmakiem.

– Bo przecież tak się właśnie wam, maestrom, wydaje, prawda? Nie chcecie cierpieć, tylko pławić się w chwale. Dotykasz swoją laską ziemi, a ona rodzi owoce. Chcielibyście, żeby tak było, ale to niemożliwe. Ziemia pragnie waszej krwi, waszej ofiary. Dopóki temu zaprzeczacie, inni umierają za was. Możesz mi wierzyć, że poderznąłbym sobie gardło, gdybym mógł w ten sposób wskrzesić tych ludzi. Kłopot w tym, że splątano mi paskudnego figla. Mam dość siły, żeby to zrobić, ale moja krew jest gównem warta. Twoja – to co innego. Nie wiem, dlaczego tak jest, żałuję, ale to fakt.

– Czy Uma Umagammagi chciałaby mojej krwi? A Tishalulle? Albo Jokalylau? Czy tego właśnie pragną wasze miłościwe, kochające matki?

– Ty do nich nie należysz. Nie wiem, skąd się wzięłeś, bo z pewnością nie narodziłeś się z ich słodkich ciał.

– Skądś jednak muszę pochodzić. – Pierwszy raz w życiu Gentle ubrał tę myśl w słowa. – Jest we mnie wola. Myślę, że dał mi ją Bóg.

– Nie szukaj jej źródła zbyt wytrwale, maestro. Może się okazać, że twoja niewiedza jest naszą jedyną obroną. Porzuć swoje ambicje, zanim się dowiesz, na co naprawdę cię stać.

– Nie mogę.

– To nie takie trudne. Popełnij samobójstwo, maestro. Podaruj ziemi swoją krew. To największa przysługa, jaką możesz oddać dominium.

W słowach Athanasiusa Gentle usłyszał gorzkie echo listu, który czytał kilka miesięcy wcześniej, w innym, choć nie mniej dzikim świecie. Vanessa

napisała: „Zrób to dla wszystkich kobiet tego świata. Poderżnij sobie gardło”.

Czy naprawdę tylko po to przemierzył dominia, żeby rada, której udzieliła mu zdradzona kochanka, wróciła do niego jak bumerang? Tyle czasu walczył o zrozumienie, a na koniec okazał się maestrem równie okrutnym i nieszczerym jak wcześniej kochankiem?

Athanasius wyczytał w jego twarzy, że ostatnie słowa sięgnęły celu. Uśmiechnął się drapieżnie, próbując dobić ofiarę.

– Pospiesz się, maestro. W dominiach i bez twojej pomocy jest dostatecznie dużo sierot. Nie możemy czekać, aż zaspokoisz swoje ambicje kosztem następnych.

Gentle puścił jego słowa mimo uszu.

– Athanasiusie, udzieliłeś mi ślubu z istotą, którą kocham nad życie. Nie zapomnę ci tej łaski.

– Biedny Pie'oh'pah. Kolejna z twoich ofiar. Ileż musi być w tobie jadu, maestro!

Gentle odwrócił się i w milczeniu wyszedł z kręgu, żegnany ponagleniami kapłana:

– Zabij się, maestro. Zrób to dla siebie, dla Pie i dla nas wszystkich. Byle szybko.

*

W kwadrans Gentle wy dostał się ze zdruzgotanego obozowiska na otwarty teren. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć jakiś pojazd – na przykład samochód Floccusa – którym wróci do Yzordderrex. Gdyby nic mu się nie trafiło, zapowiadała się długa piesza wędrówka, ale nie miał wyboru. Pożar, który zostawił za sobą, przez krótki czas oświetlał mu drogę, potem musiało wystarczyć światło gwiazd. Zapewne przegapiłby samochód, gdyby nie pisk towarzyski Floccusa, Sighshy, która razem z małymi siedziała zamknięta w wozie. Huragan wywrócił pojazd, toteż Gentle skrzył w jego stronę tylko po to, żeby uwolnić zwierzęta; zanosilo się na to, że i tak musi poszukać innego środka transportu. Kiedy jednak mocował się z klamką, w zaporowanym oknie pojawiła się ludzka twarz. Floccus, który również siedział wewnątrz, przywitał Gentle'a wybuchem radości nie mniej hałaśliwym od skomlenia Sighshy. Gentle wdrapał się na burtę auta, poklął trochę, napocił się, ale wreszcie szarpnięte z całej siły drzwi ustąpiły.

– Jak ja się cieszę, że cię widzę, maestro! – wykrzyknął Floccus. – Bałem się już, że się uduszę.

Ze środka bił taki smród, że Gentle'a dosłownie zatkało. Gdy kierowca wygramolił się na zewnątrz, odór jeszcze się wzmógł. Całe ubranie Floccusa było pokryte warstwą zaskorupiałych odchodów Sighshy i szczeniąt.

– Jakżeś tam wlaźł, człowieku? – zdziwił się Gentle.

Floccus przetarł okulary.

– Kiedy Athanasius kazał mi cię przyprowadzić, pomyślałem sobie: Coś tu nie gra, Dado; zmywaj się, póki możesz. Ledwie zdążyłem wskoczyć do samochodu, jak rozszalała się ta wichura. Przewróciła wóz, z nami w środku. Zamki się zacięły, szyby są pancerne... Nie miałem jak wyjść.

– Powinieneś się cieszyć, że tu siedziałeś.

– Też mi się tak wydaje. – Floccus spojrzał na zniszczony obóz w oddali.
– Co się tam stało?

– Coś przybyło z Pierwszego Dominium w pogoni za Pie'oh'pahem.

– To dzieło Niewidzianego?

– Na to wygląda.

– To nieładnie z jego strony – przyznał Floccus z nadmierną powściągliwością.

Wyjął z auta Sighshy i szczeniaki – dwa młode zginęły, gdy matka je przygniotła – a potem spróbowali z Gentle'em postawić samochód na kołach. Nie było to łatwe zadanie, ale Floccus, choć niski, okazał się całkiem silny i w końcu sobie poradził. Gentle nie ukrywał, że zamierza wrócić do Yzorderrex, nie wiedział jednak, co planuje Floccus, dopóki nie zapuścili silnika.

– Jedziesz ze mną? – zapytał.

– Powiniennem tu zostać – odparł Floccus i niepewnie zawiesił głos. – Ale nie radzę sobie z bliskością śmierci.

– O seksie też mówiłeś coś podobnego.

– To prawda.

– Niewiele ci w takim razie zostaje, co?

– Chciałbyś jechać sam, maestro?

– W żadnym razie. Jeśli chcesz, możemy jechać razem, ale ruszmy się już. Zamierzam przed świtem być w Yzorderrex.

– Dlaczego? Co ma do tego świt? – W głosie Floccusa zabrzmiała przesądna nuta.

– Zacznie się nowy dzień.

– I powinniśmy się z tego cieszyć? – upewnił się Floccus, jakby przeczuwał głębię mądrości w słowach maestra, lecz nie umiał jej do końca pojąć.

– W rzeczy samej, Floccusie. W rzeczy samej. Z nowego dnia i nowej szansy.

– Eee... Jakiej... jaką dokładnie szansę masz na myśli?

– Może uda się zmienić świat.

– Ach tak... naturalnie. Zmienić świat. Od dziś będę się o to modlił.

– Razem ułożymy tę modlitwę. Teraz wszystko musimy wymyślić od nowa: kim jesteśmy, w co wierzymy... Za często podążaliśmy wydeptanymi ścieżkami, zbyt chętnie odgrywaliśmy stare dramaty. Do jutra musimy znaleźć sobie nową drogę.

– Nową drogę.

– Właśnie. Postawmy sobie taki cel, dobrze? Zanim wzejdzie kometa, stanimy się nowymi ludźmi.

Nawet w słabym świetle gwiazd widać było, że Floccus się waha.

– Mamy mało czasu – zauważył.

Gentle w duchu przyznał mu rację. W Piątym Dominium zbliżało się letnie przesilenie, a choć nie rozumiał jeszcze wszystkich powodów, wiedział, że właśnie tego dnia musi dojść do Pojednania. Co za ironia losu, pomyślał. Przebalował kilka ludzkich żywotów, uganiając się za przyjemnościami, a czas, jaki został mu na naprawienie tego błędu, mierzyło się w godzinach.

– Wystarczy – odparł na głos.

Liczył na to, że rozwieje wątpliwości Floccusa i przytłumi własne, w głębi serca wiedział jednak, że nie osiągnie ani jednego, ani drugiego.

ROZDZIAŁ 42

1

Ze snu, w który zapadła na wonnym królewskim łożu, obudził ją nie dźwięk – przywykła już do dobiegającego z ulic jazgotu, który nie milkł nawet w nocy – lecz dziwny niepokój; zbyt delikatny, by rozpoznała jego źródło, zbyt natarczywy jednak, żeby go zignorować. Coś ważnego stało się w tym dominium i choć Jude przebudziła się jeszcze otumaniona rozkoszą, nerwy nie pozwoliły jej przyłożyć głowy z powrotem do poduszki. Z pulsującą bólem głową wygramoliła się z łóżka i poszła szukać siostry. Concupiscentia przy drzwiach uśmiechnęła się ukradkiem. Jude miała wrażenie, że pamięta ją z któregoś ze snów, ale wspomnienie tonęło we mgle, a złe przecucia, które kazały jej wstać, były ważniejsze od niedawnych fantazji. Quaisoir siedziała przy oknie w ciemnym pokoju.

– Coś cię obudziło, siostrze? – zapytała, słysząc kroki Jude.

– Tak, chociaż właściwie nie wiem co. Może ty mi powiesz?

– Coś się stało na pustyni – odparła Quaisoir i odwróciła się do okna, chociaż nie mogła przez nie nic zobaczyć. – Coś bardzo doniosłego.

– Możemy się dowiedzieć czegoś więcej?

– Nie ma na to łatwego sposobu – westchnęła Quaisoir.

– A trudny?

– Owszem. Pod Wieżą Osi...

Concupiscentia, która zakradła się za Jude aż tutaj, na dźwięk tej nazwy chciała wyjść z pokoju. Nie była jednak dość szybka ani wystarczająco dys-

kretna i Quaisoir wezwała ją do siebie.

– Nie bój się – powiedziała. – Nie musisz z nami wchodzić. Tylko weź ze sobą lampę, dobrze? I coś do jedzenia i picia. Możemy tam zabawić dłużej.

*

Odkąd Jude i Quaisoir schroniły się w królewskich komnatach, minęło półtora dnia. Do tego czasu wszyscy pozostali mieszkańcy pałacu pouciekali, niewątpliwie ze strachu przed gorączką powstańczą, która miała oczyścić gmach ze wszystkich śladów autarchy – w tym także z jego biurokratów. Uciekli więc, ale ich miejsca wcale nie zajęli fanatycy. Jude słyszała przez sen hałasy na dziedzińcach, lecz wszystko rozgrywało się daleko od pokojów królowej. Albo gniew, który poruszył rewolucyjną lawinę, chwilowo się wyczerpał i buntownicy odpoczywali przed szturmem na pałac, albo w ogóle stracili zapał i powyrzynali się nawzajem w walce o prawo pierwszeństwa w plądrowaniu miasta. Skutek był jeden: pałac, który mógł pomieścić tysiące ludzi – służących, żołnierzy, gryzipiórków, kucharzy, lokajów, gońców, oprawców i majordomów – opustoszał i kiedy szły przez niego (Jude podążała za światłem lampy Concupiscentii, prowadząc Quaisoir), wyglądały jak trzy drobinki życia zagubione w przeogromnej mrocznej maszynie. Ciszę mącił tylko tupot ich stóp i naturalne dźwięki tej zwalniającej maszynerii: rury z ciepłą wodą pstrykały cicho, gdy gasł ogień w zasilających je piecach; miotane wiatrem okiennice rozbijały się w drzazgi o mury pustych pokojów; złe psy szczekały jak opętane i gryzły smycze. Bały się, że ich panowie mogą już nie wrócić – i miały rację. Piece wystygną, okiennice się porozpadają, a psy, wyszkolone w zadawaniu śmierci, doczekają chwili, gdy śmierć sama do nich przyjdzie. Panowanie maestra Sartoriego dobiegło końca, a nowa epoka jeszcze się nie zaczęła.

Kiedy po drodze Jude zapytała o miejsce, do którego się udają, Quaisoir opowiedziała jej historię Osi. Żadne machinacje autarchy mające na celu okiełznanie Imajiki – ani obalanie wielkich religii i nieprzyjaznych rządów, ani szczucie władców przeciw sobie nawzajem – na nic by mu się nie zdały, mówiła królowa. Nie utrzymałby się na szczycie nawet przez dziesięć lat, gdyby nie jedno genialne posunięcie. Kazał ukraść i przenieść do centrum swojego imperium najpotężniejszy symbol władzy we wszystkich dominiach. Sam Hapexamendios postawił Oś w środku Imajiki. Najwyraźniej pozwolił

autarsze dotknąć jej – a nawet ją przenieść – co dla wielu mieszkańców dominiów było dowodem, że choć nienawidzą Sartoriego, nie mają szans go obalić, był przecież bożym pomazańcem. Nawet Quaisoir nie miała pojęcia, jaką moc ma Oś.

– Bywały chwile, gdy tak naćpał się kreauchee, że opowiadał o niej, jakby byli sobie poślubieni, jakby to on był jej żoną. Powtarzał to nawet, kiedy się kochaliśmy; mówił, że Oś wnika w niego tak samo, jak on we mnie. Później zawsze temu zaprzeczał, ale nie potrafił przestać o niej myśleć. Wszyscy mężczyźni są tacy.

Jude dała wyraz swoim wątpliwościom.

– Ależ oni chcą, żeby ktoś ich posiadał – odparła Quaisoir. – Pragną, by przeniknął ich jakiś Duch Święty. Posłuchaj ich modłów.

– Rzadko mam okazję.

– Jeszcze je usłyszysz, niech no tylko dymy opadną. Będą przerażeni, gdy okaże się, że autarcha zniknął. Nienawidzili go, ale jego brak okaże się jeszcze gorszy.

– Wystraszeni mogą być niebezpieczni – stwierdziła Jude. Zauważyła, że podobne słowa mogłaby usłyszeć od Clary Leash. – Wcale nie pobożni.

Zanim Quaisoir podjęła swoją opowieść, idąca przodem Concupiscentia zatrzymała się i zaczęła mruzczyć pacierz pod nosem.

– To tutaj? – zapytała królowa.

Służąca przerwała modlitwę i przytaknęła. Ani drzwi, przed którymi stały, ani kręcone schody po bokach niczym szczególnym się nie wyróżniały; były olbrzymie, co w tym gmachu oznaczało – zwyczajne. Minęły już dziesiątki podobnych przejść w stygnących trzewiach pałacu. Tym razem jednak widać było, że Concupiscentia trzęsie się ze strachu.

– Czy stąd jest już blisko do Osi? – spytała Jude.

– Wieża wznosi się dokładnie nad naszymi głowami – odrzekła Quaisoir.

– To nie idziemy do niej?

– Nie. Oś najprawdopodobniej zabiłaby nas obie. W podziemiach pod wieżą jest jednak komnata, do której spływają zbierane przez Oś wieści. Często do niej zaglądałam. Nigdy się o tym nie dowiedział.

Jude puściła rękę Quaisoir i podeszła do drzwi, usiłując nie dać po sobie poznać, jaka jest zła. Więc jednak nie zobaczy Osi, wspaniałego tworu wzniesionego ponoć boską ręką. Mimo ostrzeżeń królowej nie mogła mieć pewności, dopóki nie spróbuje. Może straszne pogłoski to jedynie wymysł

autarchy? Dzięki nim cieszył się Osią w samotności. Świetnie mu się żyło pod jej ochroną. Co mógłby zrobić inny człowiek, gdyby zyskał jej błogosławieństwo? Zmienić noc w dzień?

Przekręciła klamkę i otworzyła drzwi. Ze środka powiało chłodem i stęchlizną. Zabrała Concupiscentii lampę i podniosła ją do góry. Za drzwiami zaczynał się wąski korytarz o pochyłej podłodze i wygładzonych do połysku ścianach.

– Mam zaczekać, pani? – spytała służąca.

– Daj nam jedzenie i zostań tutaj – odparła Quaisoir. – Dopiero gdybyś kogoś zobaczyła lub usłyszała, wejdź do środka i zawiadom nas. Wiem, że to nie będzie dla ciebie miłe, ale musisz być dzielna. Rozumiesz, skarbie?

– Tak, pani. – Concupiscentia podała jej butelkę i zawiniątko z prowiantem.

Quaisoir wzięła Jude pod ramię i razem weszły w korytarz. Pałacowa machina najwyraźniej była jeszcze częściowo sprawna; zamknięcie drzwi spowodowało zamknięcie jakiegoś obwodu i poczuły na skórze drzenie powietrza. Drzenie i szept.

– To one – powiedziała Quaisoir. – Wiadomości.

Jude uznała, że to zbyt cywilizowane słowo. W korytarzu panował przyciszony chaos, jakby mieszały się w nim głosy z tysiąca stacji radiowych wyłączanych szybko obracającym pokrętkiem odbiornika. Podniosła lampę i spojrzała do przodu. Korytarz kończył się dziesięć metrów dalej, ale szum z każdym krokiem narastał – nie stawał się głośniejszy, lecz coraz bardziej złożony, jak gdyby ściany dostrajały się do coraz to nowych fal. Żadna stacja nie nadawała muzyki; czasem rozbrzmiewał gwar wielu głosów, czasem słowa jednej osoby, szloch, krzyki i recytacje.

– Co to za hałas?

– Oś wyczuwa każdą drobinę magii w dominiach, słyszy każdą inwokację, spowiedź, przysięgę na łożu śmierci. Dzięki temu Niewidziany wie, jakich innych bogów czczą mieszkańcy Imajiki. I jakie boginie.

– Podśłuchuje umierających? – Jude była zdegustowana.

– Jest wszędzie tam, gdzie śmiertelnik przemawia do bóstwa. Nieważne, czy to bóstwo odpowie na modlitwy ani czy w ogóle istnieje. On słyszy.

– Tu też?

– Nie, dopóki nie zaczniesz się modlić.

– Nie zamierzam.

Doszły do końca korytarza. Zrobiło się chłodniej. Ściany rozbrzmiewały tysiącami głosów. W świetle lampy ukazał się pokój o kształcie dużej misy i średnicy nieco ponad pięciu metrów. Ściany miał tak samo wypolerowane jak korytarz. Pośrodku podłogi znajdował się przykryty kratą otwór – jak ściek pod rzeźnickim stołem: tamtędy wypływały strzępki modlitw niesione łzami radości lub wyrwane z serc żałobników. Wsiąkały w głąb góry, na której zbudowano Yzordderrex. Jude nie potrafiła się pogodzić z tym, że pacierze można zgromadzić, przeanalizować, a potem splukać do rynsztoka jak czysto materialne twory. Zdawała sobie sprawę, że wszystkiemu winien jest świat, w którym mieszkała, świat pozbawiony radości transformacji. Wiedziała już, że nie ma rzeczy tak namacalnych, by nie dało się ich odcieleśnić; nie ma też nic duchowego, co by nie istniało w świecie materialnym. Po jakimś czasie modlitwa mogła stać się ciałem, a myśl (którą do czasu zdarzenia z błękitnym okiem uważała za uwięzioną w głębi czaszki) szybować swobodnie jak ptak, oglądając świat z dala od tego, kto ją splodził; pajak umiał odczytać ludzkie ciało, jeśli tylko znał do niego szyfr, ciało zaś przenosiło się między światami jak rysunek wykreślony w umyśle kierującym teleportacją. Wszystkie te tajemnice składały się na spójny system, którego prawideł na razie nie udało się jej odkryć. Jedna forma przechodziła w drugą, ta w następną, tamta w jeszcze następną, tworząc wspaniały cykl przemian, których sumę stanowiła esencja istnienia.

Nieprzypadkowo właśnie tutaj Jude dostrzegła tę możliwość. Mimo że na razie nie rozróżniała dobiegających zewsząd głosów, wyczuwała, że czegoś od niej chcą. Puściła ramię Quaisoir i wyszła na środek komnaty. Postawiła lampę na ziemi, przy odpływie. Rozumiała, że przybyła tu w konkretnym celu, którego musiała się trzymać, by potok modlitw nie uniósł jej myśli w dal.

– Co trzeba zrobić, żeby je zrozumieć? – spytała.

– To musi potrwać – odparła jej siostra. – Nawet ja potrzebuję czasu. Wyrysowałam na ścianach symbole stron świata. Widzisz je?

Widziała – niezdarne znaki wyryte w lśniącej powierzchni.

– Wybiel znajduje się na północny zachód stąd. Zwracając się w jego kierunku, częściowo się dostroimy. – Quaisoir rozłożyła ręce jak duch. – Zaprowadź mnie na środek pokoju.

Jude spełniła jej prośbę i obie odwróciły się w stronę Wybielu. Niewiele jej to pomogło, chaos wcale nie zmniejszył. Quaisoir natomiast opuściła ra-

miona i, kręcąc lekko głową, z natężeniem wsłuchiwała się w głosy. Upłynęło kilka minut. Jude nie odzywała się, żeby nie przeszkadzać. W końcu jej cierpliwość została nagrodzona.

– Modlą się do Madonny – szepnęła Quaisoir.

– A kto?

– Niebytowcy. Na skraju Wybielu. Dziękują za ocalenie i proszą, żeby przyjęła dusze zmarłych do raju.

Quaisoir umilkła, a Jude, mając z grubsza pojęcie, czego nasłuchiwać, starała się filtrować napływające jej do głowy wiadomości. Jednak mimo że była już w stanie wyłowić pojedyncze słowa i zdania, na żadnym nie umiała się skupić dość długo, by złożyć je w sensowną całość. Po dłuższej chwili Quaisoir wzruszyła ramionami.

– Teraz są już tylko strzępki – stwierdziła. – Pewnie znajdują ciała. Słysząc szloch i przekleństwa.

– Wiesz, co się stało?

– Minęło już trochę czasu; modlitwy dotarły do Osi przed paroma godzinami. Ale z całą pewnością wydarzyła się jakaś tragedia. Jest mnóstwo ofiar.

– Tak jakby zagłada, która dosięgła Yzorderrex, rozprzestrzeniła się.

– Może... Zjemy coś?

– Tutaj?

– A czemu nie? Na mnie ten szmer działa kojąco. – Quaisoir oparła się o Jude i przykucnęła. – Przyzwyczaisz się do niego; może nawet od niego uzależnisz. A skoro o uzależnieniach mowa... Gdzie jest jedzenie?

Jude włożyła jej do rąk pakunek.

– Mam nadzieję, że moja mała zapakowała trochę kreauchee – dodała Quaisoir.

Mocnymi palcami rozdarła materiał, włożyła dłonie do środka. Podała Jude jakieś owoce, trzy bochenki razowego chleba, mięso. Na końcu z jękiem radości wydobyła paczuszkę, której nie oddała Jude. Obwąchała ją.

– Bystra mała. Wie, czego mi trzeba.

– To jakiś narkotyk? – spytała Jude, odkładając jedzenie na bok. – Nie chcę, żebyś go brała. Jesteś mi potrzebna; nie pora na odloty.

– Chcesz mi zabronić przyjemności? Po tym, jak spałaś w moim łóżku? Tak, tak, słyszałam, jak jęczysz i wzdychasz. Kogo sobie wyśniłaś?

– To moja sprawa.

– A to – moja. – Quaisoir odwinęła papier, którym Concupiscentia staran-

nie opakowała sześciocienną grudkę kreauchee. Wyglądało apetycznie, przypominało cukierek. – Możesz moralizować, siostrze, bo nie masz żadnych nałogów. Ale ja i tak nie będę cię słuchać.

Włożyła do ust całą porcję i z zadowoleniem zaczęła żuć. Jude znalazła sobie tymczasem bardziej tradycyjny pokarm. Wybrała owoc, który wyglądał jak karłowaty ananas. Smakował też podobnie – sok miał kwaskowy, ale miąższ bardzo smaczny. Potem sięgnęła po chleb i pokrojone w plastry mięso. Pierwsze kęsy pobudziły jej apetyt i jadła z zapałem, splukując pożywienie gorzkawą wodą z butelki. Natłok głosów, który w pierwszej chwili wydał się jej nie do zniesienia, nie wytrzymał konkurencji z cielesnymi doznaniem po spożyciu owocu, chleba, wody i mięsa – rozbrzmiewał w tle i nie myślała o nim, dopóki nie skończyła jeść. Kreauchee zdążyło już zadziałać na Quaisoir, która kołysała się w przód i w tył, jakby kołysana falami niewidocznego przypływu.

– Słyszysz mnie? – zapytała ją Jude.

– Podejdz bliżej – odparła po chwili milczenia Quaisoir. – Pocałuj mnie; podzielimy się kreauchee. Z ust do ust, z umysłu do umysłu.

– Nie chcę cię całować.

– Dlaczego? Czy tak bardzo się nienawidzisz, że nie chciałabyś się ze mną kochać? – Quaisoir uśmiechnęła się na myśl o perwersyjnej logice tego pytania. – Robiłaś to kiedyś z kobietą?

– Nie przypominam sobie.

– Ja tak, w Bastionie. Było lepiej niż z mężczyzną. – Quaisoir wyciągnęła przed siebie ramiona i złapała Jude za rękę z taką pewnością, jakby wcale nie była niewidoma. – Zmarzłaś.

Jude odsunęła się od niej.

– Nie, to ty masz gorączkę.

– Wiesz, dlaczego tu jest tak zimno, siostrze? Wieje chłodem z czeluści pod miastem, w której przepadł fałszywy Odkupiciel.

Jude spojrzała w dół, na kratę w podłodze. Wzdrygnęła się. Gdzieś tam leżeli umarli.

– Masz skórę zimną jak trup – ciągnęła Quaisoir śpiewnie, kołysząc się w rytm słów. – I serce z lodu. Moja biedna siostrzyczka. Umarła za życia.

– Mam tego dość! – Do tej pory udawało się Jude zachować spokój, ale gadanina Quaisoir wyprowadziła ją z równowagi. – Zostawię cię tutaj, jeśli się nie zamkniesz.

– Nie rób tego. Chcę, żebyś została i kochała się tu ze mną.

– Już ci powiedziałam...

– Z ust do ust. Z umysłu do umysłu.

– Powtarzasz się.

– Taki stworzono ten świat. Zapętlony, powtarzalny. – Quaisoir przytknęła dłoń do ust, jakby chciała je zasłonić, i uśmiechnęła się złowieszczo. – Nie ma wejścia i nie ma wyjścia. Tak mówi bogini. Kiedy się Kochamy, poruszamy się w koło...

Drugi raz bezbłędnie złapała Jude za rękę – i drugi raz Jude uwolniła się z uścisku. Quaisoir prowadziła z nią jakąś własną, egoistyczną grę. Dwa identyczne ciała zamknięte w kręgu. Czy naprawdę tak wygląda świat? Jude poczuła, że jest w pułapce, z której postanowiła natychmiast się uwolnić.

– Nie mogę tu zostać – stwierdziła.

– Ale wrócisz?

– Tak, wkrótce.

W odpowiedzi usłyszała kolejną powtórkę:

– Ale wrócisz...

Nie tracąc czasu na odpowiedź, wróciła do korytarza i otworzyła drzwi. Concupiscentia drzemała na parapecie; światło brzasku podkreślało miękkie kontury jej ciała. Jude zdziwiła się, widząc, że świt jest tak blisko; była przekonana, że do wschodu komety pozostało jeszcze kilka godzin. Musiała być bardzo zdezorientowana, skoro spędziła z Quaisoir nie minuty, jak sądziła, lecz godziny na słuchaniu modlitw, jedzeniu i dyskusji.

Wyjrzała przez okno na skryte w półmroku dziedzińce. Gdzieś poniżej, za załomem muru, ptaki przebudziły się i zerwały do lotu. Wystrzeliły wprost w jaśniejące niebo, a ona podążyła za nimi wzrokiem, patrząc w górę Wieży Osi. Quaisoir nie powiedziała wyraźnie, czego powinna się w wieży obawiać; ale czy mimo gadania o miłości między kobietami nie była wciąż niewolnicą mitu człowieka, który uczynił ją królową Yzordderrex? Czy w związku z tym nie uważała, że skoro nie pozwalał jej zapuszczać się do wieży, to coś mogło jej tam grozić? Jude uznała, że lepsza okazja do sprawdzenia tej mitologii już się nie nadarzy. Wstawał nowy dzień, a siła, która wyrwała Oś z ziemi, przeniosła ją tutaj i obudowała murem – odeszła z miasta.

Schody zakręciły i Jude znalazła się w całkowitej ciemności. Szła naprzód tak samo ślepa jak siostra, którą zostawiła w podziemiach. Opierała się o zimną ścianę, ale po jakichś trzydziestu krokach namacała w niej drzwi, cięż-

kie i masywne, tak że z początku uznała, iż muszą być solidnie zamknięte. Zaparła się jednak i pchnęła z całej siły. Za nimi znajdował się korytarz, w którym było więcej światła niż na schodach, choć i tak widziała najwyżej na dziesięć metrów. Nie odrywając dłoni od ściany, z największą ostrożnością ruszyła dalej. Korytarz dawniej kończył się drzwiami – wyrwane z zawiasów i potrzaskane leżały na podłodze komnaty, której kiedyś strzegły. Zatrzymała się, nasłuchując; nie wiedziała, czy ten, kto je zniszczył, nie czai się w pobliżu. Nic się nie poruszało, weszła więc do środka, gdzie jej wzrok przyciągnęły odchodzące w lewo schody. Skręciła na nie i poszła dalej do góry. Najpierw znowu zrobiło się całkiem ciemno, a potem mrok przebiła blada smuga światła. Schody kończyły się przed lekko uchylonymi drzwiami.

Przystanęła. Nie czuła żadnych ewidentnych emanacji mocy (atmosfera była niemalże sielska), ale nie miała wątpliwości, że potęga, z którą chciała się zmierzyć, czeka na nią za tymi właśnie drzwiami. I że prawie na pewno jest to świadomy byt. Może ten spokój był tylko pozorny, może cisza i łagodne światło miały uspić jej czujność, ale jeżeli Oś chciała ją zwabić do siebie, musiała mieć jakiś powód. A jeśli nie – jeśli była równie martwa i niema jak kamienne schody – to Jude nie miała nic do stracenia.

– Przekonamy się, z czego jesteś zrobiona – powiedziała, rzucając wyzwanie i Osi, i sobie samej. Podeszła do drzwi.

2

Chociaż do wieży prowadziły zapewne dziesiątki krótszych dróg niż ta, którą przeszli z Nikaetomaas, Gentle wolał próbować odtworzyć ją z pamięci, niż iść na skróty i zabłądzić w pałacowym labiryncie. Rozstał się z Floccusem, Sighshy i szczeniakami przy Bramie Dwóch Świętych i zagłębił się w sieć korytarzy. Z każdego okna sprawdzał, gdzie znajduje się Wieża Osi.

Świt był blisko. Ptaki ze śpiewem zrywały się z gniazd w krużgankach, śmigaly ponad dziedzińcami, nie bacząc na gryzący dym, który tego ranka zastąpił mgłą. Wprawdzie Gentle zdołał się trochę zdrzemnąć, kiedy jechali z Wybielu do miasta, ale czuł, że przenikające do szpiku kości zmęczenie wkrótce go pokona – tym szybciej chciał więc załatwić to, co miał do zrobienia.

nia. Wrócił do Yzordderrex z dwóch powodów. Przede wszystkim zamierzał dokończyć zadanie, od którego oderwało go pojawienie się Pie i późniejsze próby uratowania go – chciał zabić Sartoriego. A potem, bez względu na to, czy uda mu się znaleźć go w pałacu, wróci do Piątego Dominium; Sartori wspomniał, że tam właśnie chciałby zbudować Nowe Yzordderrex. Gentle był przekonany, że odkąd jest świadomym swojej mocy maestrem, nie powinien mieć problemu z powrotem – i to nawet bez mistyfa, który wskazałby mu drogę. Z pewnością wygrzebie z pamięci jakiś sposób przemieszczania się między dominiami.

Ale najpierw Sartori. Minęły dwa dni, odkąd pozwolił mu uciec, miał jednak nadzieję, że autarcha wciąż pomieszkuje w pałacu. Porzucenie własnoręcznie stworzonego gniazdka, w którym każde jego słowo było rozkazem, a każdy czyn powodem do uwielbienia ze strony podwładnych, musiało być bolesne. Dlatego Gentle spodziewał się, że Sartori zabawi jeszcze trochę w domu i nie będzie zbyt oddalał się od Osi, która czyniła z niego niekwestionowanego władcę wszystkich dominiów.

Właśnie zaczął się w duchu przeklinać za gapiostwo, gdy trafił do komnaty, w której Pie został ranny. Rozpoznał ją od razu, tak jak rozpoznał drzwi prowadzące do sali Osi. Zatrzymał się i pozwolił sobie na chwilę zadumy, ale nie myślał o czułych słówkach, jakie wymieniali z Pie, lecz o ostatnich słowach, które mistyf wypowiedział w bólu, tuż przed tym, jak Wybiel go zagarnął:

– Sartori... Znajdź go. On wie...

Cokolwiek wiedział Sartori – a Pie przypuszczalnie miał na myśli plany spisku przeciw Pojednaniu – Gentle był gotów zrobić wszystko, co okaże się konieczne, by wydusić z autarchy te informacje, nim zada mu śmiertelny cios. Skrupuły nie wchodziły w grę. Jeżeli okaże się, że musi połamać Sartoriemu wszystkie kości, i tak będzie to nic w porównaniu ze zbrodniami, których dopuścił się autarcha. Gentle z przyjemnością się nim zajmie.

Myśli o torturach – i o radości, jaką by z nich czerpał – wyrwały go z transu. Przestał szukać równowagi wewnętrznej; z sercem pełnym jadu zagłębił się w korytarz, otworzył drzwi i wszedł do wieży. Zrobił się już późny ranek i kometa wspięła się wysoko na niebo, ale niewiele jej światła przenikało do wnętrza budowli. W półmroku widać było odchodzące we wszystkich kierunkach korytarze. Gentle szedł ostrożnie naprzód.

W tym labiryncie nieprzyjaciele mogli kryć się w każdej komnacie. Był

trochę ociężały ze zmęczenia, ale bez przeszkód dotarł do schodów wiodących w górę silosu. Wszedł na stopnie. Pamiętał, że drzwi u szczytu schodów otwierał odcisk kciuka Sartoriego; wiedział, że będzie musiał otworzyć je w ten sam sposób. Palce mieli identyczne, aż do najmniejszego zakrzywienia linii papilarnych.

Drzwi zostały otwarte; ktoś wszedł do środka. Gentle zatrzymał się dziesięć kroków od progu i wstrzymał oddech. Musiał szybko unieszkodliwić przeciwnika – jedna pneuma w prawą rękę, druga w lewą. Nabrał powietrza w płuca i pobiegł do drzwi.

Jego nieprzyjaciel stał pod Osią i wyciągał w jej stronę wzniesione ramiona. Był w cieniu. Gentle podniósł pięść do ust, dmuchnął. Kiedy powietrze wypełniło jego dłoń, rzekomy Sartori odezwał się. Kobięcym głosem. Gentle zrozumiał swoją pomyłkę i zacisnął pięść, lecz pneuma wyrwała mu się pomiędzy palców, rozdrobniona, choć wcale nie osłabiona. Jej fragmenty pofruwały we wszystkie strony – jedne pomknęły po ścianach silosu, inne śmignęły w górę Osi, inne zgasły w jej cieniu. Kobieta krzyknęła ze strachu i cofnęła się pod przeciwległą ścianę, gdzie światło dosięgło jej doskonałych kształtów. To była Judith. Takie w każdym razie miał wrażenie. Raz już widział tę twarz w Yzordderrex – i wtedy się pomylił.

– Gentle? – spytała. – To ty?

Głos też pasował, ale przecież Gentle obiecał Roxboroughowi, że kopia będzie nie do odróżnienia od oryginału.

– To ja – dodała. – Jude.

Prawie dał się przekonać. Ostatnie słowo brzmiało tak prawdziwie, że żadne złudzenie wzrokowe nie mogłoby się z nim równać. Nikt z adoratorów nie nazywał jej Jude. Nikt poza Gentle'em. Niektórzy mówili „Judy”, inni „Juju” – ale nigdy Jude. On wymyślił to zdrobnienie i chyba z nikim nie musiał się nim dzielić.

Opuścił dłoń, powtórzył jej imię. Widząc uśmiech na jego twarzy, podeszła bliżej, znikając w cieniu Osi. Ten ruch ocalił jej życie; w sekundę po tym, jak odsunęła się od ściany, w tym właśnie miejscu spadł olbrzymi kawał kamienia odłupany gdzieś wysoko siłą pneumy. Zaraz po nim ze wszystkich stron sypnął zabójczy deszcz odłamków, ale Oś chroniła ich oboje. W jej cieniu objęli się i pocałowali, jak gdyby rozstali się nie kilka tygodni temu, ale znacznie dawniej, w innym wcieleniu – co na dobrą sprawę było prawdą. Łoskot kamieni (choć spadły dosłownie kilka metrów od nich) w cieniu

brzmiał słabo i nie zagłuszał ich szeptów. Jude ujęła twarz Gentle'a w dłonie.

– Tęskniłam... – powiedziała łagodnym, ciepłym głosem, jakże miłym po poprzednich oskarżeniach i gniewie. – Śniłam nawet o tobie...

– Opowiedz mi o tym. – Gentle przytknął wargi do jej warg.

– Później. – Oddała pocałunek. – Mam ci tyle do opowiedzenia...

– Ja tobie też.

– Może znajdziemy sobie jakąś lepszą kryjówkę?

– Tu jesteśmy bezpieczni.

– Jak długo?

Gruz wciąż sypał się z góry. Skala zniszczeń dalece przewyższała uwolnioną przez Gentle'a moc, tak jakby Oś wchłonęła pneumę i wielokrotnie ją wzmocniła. Może wiedziała (jak mogłaby nie wiedzieć?), że odszedł człowiek, który ją spętał, i chciała wydostać się z więzienia, które dla niej zbudował? Sądząc po rozmiarach walących się na ziemię kamiennych płyt – podłoga pękała pod ich uderzeniami – rozpad wieży postępował w szalonym tempie.

– Mój Boże! – krzyknęła Jude. – Quaisoir!

– Co? Kto?

– Jest tam, na dole! – Jude patrzyła bezradnie na poszerzające się szpary w posadzce. – Pod nami jest komnata, w której została Quaisoir!

– Pewnie dawno uciekła.

– Nie! Naćpała się kreauchee. Musimy po nią zejść!

Podeszła do skraju ich schronienia, ale zanim zdecydowała się przebiec do otwartych drzwi, nowy grad kamieni zawałił jej drogę. Gentle zauważył, że sypią się nie tylko kawałki wieży. Wśród gruzu widniały spore odłamki Osi. Co chciała osiągnąć? Unicestwić siebie samą? Czy raczej zrzucić starą skórę i odsłonić rdzeń? W każdym razie schronienie w jej cieniu z każdą chwilą stawało się coraz bardziej niepewne. Szczeliny w podłodze miały już po trzydzieści centymetrów szerokości i rosły w oczach. Zawieszony w powietrzu monolit drżał, jakby wysiłek związany z utrzymaniem się nad ziemią był ponad jego siły. Lada chwila Oś mogła runąć im na głowy. Nie mieli wyboru, musieli zaryzykować i wystawić się na kamienny grad.

Gentle rozpaczliwie szukał w pamięci jakiegoś sposobu ochrony – i przypomniał sobie Chickę Jackeena, jak stał na skraju Wybielu i wzniesionymi rękoma osłaniał ich obu przed deszczem szczątków. Czy i on to potrafi? Nie czekając, aż pojawią się wątpliwości, wzorem Jackeena podniósł ręce nad

głową, rozczapierzył palce i wyszedł z cienia Osi. Rzut oka w górę potwierdził jego podejrzenia, że Oś się rozpada, i uświadomił mu skalę ryzyka. Powietrze zgęstniało od kurzu, ale widział, jak z potężnej kolumny odłupują się kamienne drzazgi zdolne zmiażdżyć ich oboje. Na szczęście zapora wytrzymała. Metr nad jego głową wielkie skalne bloki rozłupywały się na kawałeczki, które osypywały się po chroniącym go niewidzialnym kloszu. Czuł każde uderzenie jako wstrząs w nadgarstkach, łokciach i barkach, i wiedział, że tę sztukę może podtrzymywać zaledwie przez parę chwil. Na szczęście Jude błyskawicznie zrozumiała jego zamiar i doskoczyła do niego. Od drzwi dzieliło ich mniej więcej dziesięć kroków.

– Prowadź mnie – powiedział Gentle. Bał się, że jeżeli odwróci wzrok, zdekoncentruje się i osłabi moc sztuki.

Jude go objęła. Kiedy szli, mówiła mu, gdzie ma stawiać stopy, żeby ominąć kamienie, i ostrzegała o miejscach, gdzie gruzu było tak dużo, że musieli w nim brnąć. Szli bardzo wolno, Gentle'owi słabły ręce; kiedy dotarli do drzwi, dłonie miał tuż nad głową, ale wytrzymał. Razem wymknęli się z komnaty. Z wieży i Osi sypał się już nieprzerwany strumień odłamków.

Jude natychmiast popędziła w dół po ciemnych schodach. Mur drżał i pękał pod wpływem wstrząsów, ale udało się obojgu zejść po schodach, pokonać korytarz i drugie schody, na niższy poziom podziemi. Gentle'a zaskoczył widok Concupiscentii, która miotła się po korytarzu, piszcząc jak przerażona małpka. Za nic nie dałaby się namówić, żeby włączyć się w poszukiwania jej pani. Jude zresztą na nią nie czekała. Zbiegła do komnaty na końcu pochylego tunelu, wołając Quaisoir. Gentle ruszył za nią, ale musiał zwolnić kroku, gdy uderzyła go fala dźwięków: łoskot rozgrywającej się nad ich głowami katastrofy mieszał się z natężonymi szeptami wielu ludzi. Zanim wpadł do pokoju, Jude poderwała siostrę na nogi. W suficie pojawiły się szpary, przez które sączyły się strużki pyłu, Quaisoir jednak najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– Wiedziałam, że wrócisz. Mówiłam tak, prawda? Prawda? Chcesz mnie pocałować? Pocałuj mnie, siostró, proszę.

– O czym ona mówi? – zdziwił się Gentle.

Quaisoir z wrzaskiem wyrwała się z uścisku Jude.

– Coś ty najlepszego zrobiła? – krzyknęła. – Po co go tu sprowadziłaś?

– On nam pomoże – odparła Jude.

Quaisoir splunęła w kierunku, skąd dobiegł ją głos Gentle'a.

– Daj mi spokój! – wydarła się. – Nie dość mnie już skrzywdziłeś? Chcesz mi jeszcze odebrać siostrę?! Ty łajdaku! Nie oddam ci jej! Obie zginiemy, zanim pozwolę ci ją tknąć! – Wyciągnęła ręce do Jude i zanosła się szlochem. – Siostro! Siostro!

– Nie bój się – uspokajała ją Jude – To przyjaciel. – Spojrzała na Gentle'a. – Przekonaj ją jakoś; powiedz, kim jesteś, bo inaczej stąd nie wyjdziemy.

– Obawiam się, że ona już wie.

Jude nie zdążyła zapytać „Co takiego?”, gdy Quaisoir znów poddała się fali paniki.

– To Sartori! – krzyknęła ogłuszająco. – To Sartori, siostro! Sartori!

Gentle podniósł ręce w udawanym geście rezygnacji. Cofnął się.

– Nawet cię nie dotknę – powiedział. – Wytłumacz jej, Jude. Nie zamierzam jej skrzywdzić.

Ale Quaisoir skowyczała rozpaczliwie:

– Nie zostawiaj mnie, siostro! – Złapała Jude za rękę. – Nie zabije nas obu!

– Nie możesz tu zostać.

– Nigdzie nie pójdę! On ma żołnierzy! I Rosengartena! I oprawców!

– Na zewnątrz będzie bezpieczniej niż tutaj. – Jude spojrzała na sufit, który w kilku miejscach się wybrzuszył. – Musimy się pospieszyć.

Quaisoir wilgotną od potu dłonią głaskała ją po policzku krótkimi, nerwowymi ruchami.

– Zostaniemy razem – wymamrotała. – Z ust do ust. Z umysłu do umysłu.

– Nie – odparła Jude, starając się zachować spokój. – Ani ja, ani ty nie chcemy dać się pogrzebać żywcem.

– Jeżeli zginiemy, to trudno. Nie chcę, żeby mnie dotykał, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nigdy mnie nie dotknie! Nigdy!

– Nie dotknie cię. – Jude chwyciła dłoń Quaisoir. – Już go tu nie ma. Więcej się do nas nie zbliży.

Gentle rzeczywiście wycofał się w korytarz, ale mimo znaków, jakie dawała mu Jude, nie chciał się ruszyć ani kroku dalej. Zbyt często takie nagłe rozstania źle się kończyły, żeby miał ją teraz stracić z oczu.

– Na pewno sobie poszedł?

– Na pewno.

– Może się czaić gdzieś na zewnątrz.

– Nie, siostrze, wystraszył się i uciekł.

Quaisoir uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Bał się?

– Jeszcze jak!

– A nie mówiłam? Wszyscy są tacy sami. Mocni w gębie, udają bohaterów, ale w ich żyłach płyną szczyny. – Quaisoir wybuchnęła śmiechem, równie beztroska, jak przed chwilą przerażona. – Wracajmy do sypialni – wykrztusiła wreszcie. – Prześpijmy się.

– Jak chcesz – zgodziła się Jude. – Ale chodźmy czym prędzej.

Rozchichotana Quaisoir pozwoliła Jude poprowadzić się do drzwi. Były w połowie drogi – Gentle usunął się już na bok – gdy jeden z bąbli w suficie pękł i do komnaty sypnął się gruz. Gentle zdążył jeszcze zobaczyć, jak uderzona w głowę Jude pada na ziemię, a potem wszystko zniknęło w gęstym, niemal lepkiem pyłe.

Kierując się ledwie widocznym światłem lampy, wpadł do pokoju. Nad jego głową grzmot obwieścił zawalenie się kolejnego kawałka wieży. Nie było czasu ani na sztuki ochronne, ani na dyskrecję; jeżeli nie znajdzie Jude w kilka sekund, zginą tu wszyscy troje. Zawołał ją, a kiedy odkrzyknęła, skierował się w stronę, skąd dochodził głos. Znalazł Jude na wpół zagrzebaną w stercie odłamków.

– Zdążymy – zapewniał ją, odrzucając pierwsze kamienie. – Na pewno zdążymy. Razem nam się uda.

Uwolnił spod gruzu jej ramiona, dzięki czemu mogła mu pomóc, a za chwilę objęła go, żeby wyciągnąć się na powierzchnię. Mając Jude uwieszoną u szyi, zaczął się prostować, gdy nagle zabrzmiał hałas, jakiego do tej pory nie słyszeli – nie grzmot zagłady, lecz wrzask wściekłości. W kurzawie nad ich głowami pojawiła się Quaisoir. Unosiła się w powietrzu kilka centymetrów pod splekanym sufitem. Jude była już raz świadkiem takiej przemiany, gdy wyrastające z pleców wypustki uniosły Quaisoir w powietrze, ale Gentle widział to po raz pierwszy. Rozdziawił usta i zamarł w bezruchu, zapominając o ucieczce.

– Ona jest moja! – krzyknęła Quaisoir, nurkując w ich stronę nieomylnie, z dokładnością, jaką wykazywała już wcześniej. Wyciągnęła przed siebie ręce, gotowa zerwać Gentle'owi głowę z karku.

Jude jednak była szybsza. Wyswobodziła się, zasłoniła Gentle'a swoim ciałem i zawołała ją po imieniu. Pikująca Quaisoir zawahała się i zatrzymała

w powietrzu z rękoma dosłownie o centymetry od twarzy siostry.

– Nie jestem twoja! – krzyknęła Jude. – Ja do nikogo nie należę, słyszysz?! Do nikogo!

Quaisoir odrzuciła głowę w tył, zawyła z wściekłości – i to był jej koniec. Rozdygotany od jej wrzasku sufit zatrzęsł się i zawalił. Jude wydawało się, że Quaisoir ma jeszcze szansę uskoczyć; na Bładym Kopcu poruszała się przecież z szybkością błyskawicy. Jednak wola, którą ją wtedy napędzała, osłabła. Quaisoir trwała nieruchomo z twarzą wystawioną na sypiący się z góry gruz, a jej krzyk – który nie przeszedł bynajmniej w okrzyk przerażenia, lecz wciąż pulsował gniewem – brzmiał nieprzerwanie do chwili, gdy kamienie pogrzebały ją żywcem. A trwało to długo. Skowyt Quaisoir, niosący zagładę jej samej, rozbrzmiewał jeszcze, gdy Gentle chwycił Jude za rękę i wciągnął ją w korytarz. W zamieszaniu zatracił zupełnie poczucie kierunku i nigdy nie trafiliby do drzwi, gdyby nie dobiegający zza nich pisk Concupiscentii.

Udało im się, chociaż wszechobecny kurz przytępił wszystkie zmysły. Przedśmiertny krzyk Quaisoir ucichł już, lecz łoskot za ich plecami systematycznie narastał. Ścigało ich rozrastające się pęknięcie w sklepieniu korytarza, ale byli szybsi. Gdy tylko Concupiscentia zrozumiała, że jej pani przepadła na dobre, wyprzedziła ich i pomknęła przodem do jakiejś swojej kryjówki, gdzie mogła oddać się lamentom.

Jude i Gentle biegli bez przerwy, aż wydostali się spod wszelkich kamiennych sklepień, dachów i łuków, które mogły zawalić się im na głowy. Wypadli na dziedziniec, gdzie roilo się od pszczoł uwijających się wokół krzewów, które akurat ten dzień wybrały sobie na kwitnięcie. Wtedy objęli się znowu, pochlipując z wdzięczności i smutku, a ziemia drżała w rytmie katastrofy, przed którą uciekli.

3

Grunt pod ich stopami na dobrą sprawę uspokoił się, dopiero gdy wyszli poza mury pałacu i zagłębili się w ruiny Yzordderex. Jude zaproponowała, żeby jak najszybciej wrócili do domu Peccable'a, gdzie (jak wyjaśniła Gen-

tle'owi) znajdował się początek często używanego przejścia między Drugim i Piątym Dominium. Gentle nie oponował. Nie przeszukał wprawdzie wszystkich potencjalnych kryjówek Sartoriego – w tak rozległej budowli byłoby to chyba niemożliwe – ale był kompletnie wyczerpany; jego ciało, umysł i wola rozpaczliwie domagały się wytchnienia. Jeżeli autarcha ukrywał się gdzieś w Yzordderrex, nie stanowił wielkiego zagrożenia; teraz szczególnej opieki wymagało Piąte Dominium. Świat, w którym magia poszła w zapomnienie, mógł łatwo paść łupem szaleńca.

W większości kesparatów ulice zmieniły się w krwawe wąwozy wśród wysokich stert gruzu, Jude znalazła jednak dość punktów orientacyjnych, żeby wrócić do dzielnicy, w której znajdował się dom Peccable'a. Nie miała oczywiście pewności, że dom jeszcze stoi – kataklizm trwał przecież cały dzień i noc – ale była gotowa w razie potrzeby gołymi rękami odgruzować piwnicę.

Przez pierwsze pół godziny w ogóle się nie odzywali, dopiero później Gentle zaczął – naturalnie – od wyjaśnienia, dlaczego Quaisoir wzięła go za swojego męża. Relację poprzedził ostrzeżeniem, że nie zamierza się usprawiedliwiać ani za nic przeproszać i że opowie wydarzenia zwyczajnie, jak ponurą baśń. Tak też zrobił, chociaż w swojej opowieści, skądinąd klarownej i treściwej, zmienił jeden znaczący szczegół. Opisując spotkanie z autarchą, przedstawił go jako mężczyznę, który tylko nieznacznie go przypomina; człowieka tak oddanego złu, że popełnione zbrodnie odmieniły jego ciało. Nie skomentowała jego słów. Wyobraziła sobie istotę, która dosłownie emanuje nieludzkim okrucieństwem; potwora, którego ohydna powierzchowność wywołuje mdłości.

Kiedy Gentle skończył mówić o swoim sobowtórze, przejęła pałeczkę. Niektóre szczegóły, które przytoczyła, pochodziły z jej snów, inne wywnioskowała ze zdawkowych uwag Quaisoir, jeszcze inne ze słów Oscara Godolphina. Wzmianka o Oscarze rozpoczęła nowy wątek. Jude opowiedziała o romansie z nim, co z kolei zaprowadziło ją do Dowda, Clary Leash i stowarzyszenia Tabula Rasa.

– Nie będziesz miał w Londynie łatwego życia – uprzedziła, streściwszy mu pokrótce dzieje czystki, którą Tabula Rasa podjęła na podstawie edyktu Roxborougha. – Kiedy się dowiedzą, kim jesteś, nie zawahają się przed morderstwem.

– Niech spróbują – odparł Gentle. – Nie zaskoczą mnie. Mam zadanie do

wykonania, nie mogą mi przeszkodzić.

– Skąd zaczniesz?

– Z Clerkenwell. Mieszkałem kiedyś przy Gamut Street; Pie twierdzi, że dom jeszcze stoi. Tam znajdę tajemnicę mojego życia. Wszystko sobie przypomnę. Oboje potrzebujemy naszej przeszłości, Jude.

– A gdzie ja znajdę swoją?

– U mnie i u Godolphina.

– Dzięki za propozycję, ale wolałabym jakieś bardziej bezstronne źródła. Najpierw straciłam Clare, teraz Quaisoir. Muszę sobie kogoś poszukać.

Jude pomyślała o Celestine uśpionej w mrokach pod wieżowcem Tabula Rasa.

– Masz na myśli kogoś konkretnego? – zainteresował się Gentle.

– Może... – Na razie nie chciała się z nim dzielić tym sekretem.

Gentle zauważył tę próbę uniku.

– Będę potrzebował pomocy, Jude. Mam nadzieję, że wszystko, co między nami zaszło, dobre i złe, nie przeszkodzi nam we współpracy. Oboje możemy na tym skorzystać.

Pomysł był sympatyczny i kuszący, ale nie zamierzała skorzystać z propozycji.

– Ja też mam taką nadzieję – odparła krótko.

Nie naciskał. Zmienił temat rozmowy.

– Co ci się śniło? – zapytał, a kiedy zmarszczyła brwi, dodał: – Mówiłaś, że śniłaś o mnie, nie pamiętasz?

– Ach tak! To nic takiego. Było, minęło.

*

Dom Peccable'a stał nienaruszony, chociaż z kilku pobliskich budynków – za sprawą pocisków albo podpalaczy – zostały zgliszcza. Drzwi były otwarte, a wewnątrz doszczętnie złupione; zniknął nawet wazon z tulipanami. Nigdzie jednak nie było śladów rzezi, tylko plamy krwi, które zostawił ranny Dowd. Jude miała więc nadzieję, że Hoi-Polloi i jej ojciec uszli z życiem. Wyglądało natomiast na to, że rabusie nie dotarli do piwnicy; z półek poznikały wprawdzie wszystkie ikony, talizmany i posążki, ale pozbierano je spokojnie i systematycznie. Nie został żaden różaniec, nie było oznak zniszczeń. Z dawnego skarbca został jedynie wmurowany w podłogę kamienny krąg, taki sam jak w

Azylu.

– Tu właśnie wylądowaliśmy – powiedziała Jude. Gentle obejrzał wzór na posadzce.

– Co to jest? Jak działa?

– Nie wiem. A co za różnica? Jeżeli przeniesie nas do Piątego...

– Musimy bardziej uważać – przerwał jej Gentle. – Cały wszechświat tworzy spójny system. Dopóki nie zrozumiemy, gdzie jest nasze miejsce, jesteśmy bezbronni.

Spójny system. Jude zastanawiała się nad tym, gdy weszła do pokoju pod Wieżą Osi: Imajica jako nieskończenie złożony wzorzec przemian. No, ale czas na rozważania minął i trzeba było działać. Nie mogła rozwodzić się nad lękami Gentla'a.

– Jeżeli znasz inny sposób na to, żeby się stąd wydostać, powiedz. Ja przybyłam przez ten krąg. Wiem, że Godolphin używa go od lat i nigdy nie stała mu się krzywda, dopóki Dowd wszystkiego nie schrzanił.

Gentle przykucnął i powiódł palcami po tworzących mozaikę kamykach.

– Kręgi mają wielką moc... – mruknął.

– Użyjemy go czy nie?

Wzruszył ramionami.

– Nie znam lepszego sposobu – przyznał niepewnie. – Wystarczy wejść do środka?

– Tak.

Gentle wstał. Kiedy Jude położyła mu dłoń na ramieniu, złapał ją za rękę.

– Musimy się mocno trzymać – uprzedziła go. – Widziałam In Ovo tylko w przelocie, ale nie chciałabym się tam zgubić.

– Nie zgubimy się – zapewnił ją i wszedł w krąg.

Stała obok niego ułamek sekundy później. Ekspres Yzordderrex już nabierał szybkości. Ściany i półki w piwnicy zaczynały się rozmazywać. W ciążach podróży rysowały się kształty ich transponowanych jaźni.

Ta podróż obudziła w głowie Gentle'a wspomnienia poprzedniej, kiedy u jego boku zamiast Jude stał Pie'oh'pah. Poczł bezgraniczny żal po stracie mistyfa. W dominiach spotkał mnóstwo ludzi, których już nigdy nie zobaczy. Jedni – tacy jak Efreet Splendid, jego matka, Nikaetomaas czy Huzzah – zginęli; inni – jak Athanasius – nie chcieliby się z nim spotkać, skoro zbrodnie Sartoriego stały się jego zbrodniami i żadne dobre uczynki nie wymażą ich śladu. Ten żal był oczywiście niczym w porównaniu z bólem, jakiego zaznał

na Wybielu, ale do tej pory bał się o tym rozmyślać. Nie chciał, żeby rozpacz do reszty go obezwładniła. Teraz jednak dopuścił do siebie tę myśl i zalał się łzami, które zmyły ostatni ślad mozaiki w domu Peccable'a.

Gdyby opuszczał Yzordderrex samotnie, to – paradoksalnie – nie cierpiałby aż tak bardzo. Ale (jak lubił powtarzać mistyf) w każdym dramacie jest miejsce tylko dla trzech postaci. Kobieta, która wraz z nim znalazła się w tym wirze i której świetlisty kontur majaczył mu przez łzy, miała mu od tej pory zawsze przypominać, że odchodząc z Yzordderrex, stracił jedną z tych trzech istot.

ROZDZIAŁ 43

1

Sto pięćdziesiąt siedem dni po rozpoczęciu podróży przez Pojednane Dominia Gentle ponownie stanął na angielskiej ziemi. Był zaledwie początek czerwca, ale wiosna przyszła tego roku wcześniej i lato już deptało jej po piętach. Kwiaty, które jeszcze przez miesiąc powinny spokojnie drzemać, poprzekwitały już i opadały pod ciężarem nasion. Wszędzie roiło się od ptaków i owadów; gatunki, które zwykle ożywiały się w miesięcznych odstępach, tym razem rozpleniły się wszystkie jednocześnie. Nadejścia lata nie zwiastowały jakiejś nieśmiałe trele, lecz pieśni śpiewane pełną piersią. W południe niebo od jednego wybrzeża do drugiego zapełniały miliony żywych istot, które ruszały na żer. Później z wolna ich ubywało, aż wieczorem dotychczasowy zgiełk stawał się muzyką (ci, którzy się nasycili, i ci, którzy przeżyli, zgodnie dziękowali za piękny dzień) – tak piękną, że nawet obłąkani zapadali w uzdrawiający sen. Gdyby rzeczywiście udało się doprowadzić do Pojednania w dzień letniego przesilenia, Imajica powitałaby w swoim gronie kraj w rozkwicie: Anglię dobrych plonów i rozśpiewanych niebios.

Muzyka towarzyszyła Gentle'owi, gdy wyszedł z Azylu i skierował się na skraj zagajnika. Park wyglądał znajomo, chociaż zadbane dawniej zakątki zmieniły się w dżunglę, a odkryte trawniki zarosły zielskiem.

– Tu mieszkał Joshua, prawda? – spytał. – Gdzie jest dom?

Jude wyciągnęła rękę ponad łąnem złocistych traw. Dach dworku majaczył w oddali wśród liści i motyli skrzydeł.

– Poznaliśmy się właśnie w tym domu – powiedział Gentle. – Pamiętam... Joshua zawołał, żebyś zeszła na dół... Nazywał cię tak jakoś pieszczotliwie, nie znosiłaś tego przezwiska. Jak to było... Morelka? Ledwie cię zobaczyłem...

– Nie mnie. – Jude wyrwała go z romantycznej zadumy. – Quaisoir.

– Jesteś taka, jaka ona była.

– Wątpię. To dawne czasy, Gentle. Dom popadł w ruinę, żyje już tylko jeden Godolphin. Historia nie zatoczy koła. I bardzo dobrze. Nie chcę być niczyją własnością.

Na zawarte w jej słowach ostrzeżenie Gentle zareagował rodzajem oficjalnego komunikatu:

– Chcę naprawić wszystkie szkody, jakie mogłem wyrządzić tobie i wszystkim innym ludziom. Czy zrobiłem to z miłości, czy dlatego że byłem maestrem i wydawało mi się, że zwykła przyzwoitość mnie nie obowiązuje... Przybyłem tu, by zaleczyć rany. Chcę doprowadzić do Pojednania, Jude, między nami, między dominami, między żywymi i umarłymi, jeśli tylko zdołam.

– Jesteś cholernie ambitny.

– Z mojego punktu widzenia po prostu dostałem drugą szansę. Nie każdy ma tyle szczęścia.

Jego szczerość sprawiła, że Jude dała się ugłaskać.

– Chcesz zobaczyć dom? – zapytała. – Przez wzgląd na stare czasy?

– Nie pójdę tam bez ciebie.

– Piękne dzięki. Ja swoją działkę *déjà vu* przyswoiłam, kiedy Charlie mnie tu przywiózł. Wystarczy.

Gentle opowiedział jej, naturalnie, o spotkaniu z Estabrookiem w namiotach niebytowców i o jego późniejszej śmierci. Nie okazała wzruszenia.

– To był pokręcony stary piernik – dodała teraz. – Musiałam przeczuwać, że jest z Godolphinów, bo inaczej nie zdzierzyłabym jego kretyńskich załotów.

– Wydaje mi się, że pod koniec życia się zmienił. Może byś go polubiła.

– Ty też się zmieniłaś – zauważyła Jude, gdy ruszyli do bramy. – Ludzie będą ci zadawać masę pytań, Gentle. Gdzie byłeś, co się z tobą działo...

– Czy ktokolwiek musi się dowiedzieć, że wróciłem? Właściwie tylko Taylorowi bym o tym powiedział, ale on nie żyje.

– I Clemowi.

– Być może.

– Sam zdecydujesz, ale kiedy ma się tylu wrogów, przyjaciele są tym bardziej potrzebni.

– Wolałbym nie rzucać się w oczy – odparł Gentle. – Wtedy nikt na mnie nie zwróci uwagi, ani przyjaciele, ani wrogowie.

Kiedy już widzieli okalający posiadłość mur, niebo z niewiarygodną szybkością się zachmurzyło. Nieliczne puchate obłoczki, które jeszcze przed chwilą szybowały po bezkresnym błękitnie, połączyły się w nisko wiszącą chmurę. Zaczął padać kapuśniaczek, który w minutę zmienił się w ulewę, jakby chmura pękła pod naporem wody. Deszcz miał też swoje zalety – wypłukał z ich skóry, ubrań i włosów resztki przywleczzonego z Yzorderrex kurzu i sadzy. Kiedy przedarli się przez zastępującą bramę, oplecione powojem drągi i deski, i błotnistą drogą dotarli do wsi, z powodzeniem mogli ujść za parę turystów (z dziwnym gustem, jeśli idzie o strój wycieczkowy), którzy za daleko zbczyli z utartego szlaku i beznadziejnie pobłądzili.

2

Byli bez grosza przy duszy, ale Jude zdołała przekonać jednego z dwóch chłopaków, którzy akurat zajechali na pocztę, żeby podrzucił ich do Londynu, obiecując sowitą zapłatę na miejscu. Burza się nasilała, lecz siedzący z tyłu Gentle otworzył okno i chłonał wzrokiem mijane krajobrazy, których nie widział od pół roku. Nie przeszkadzało mu, że deszcz przemoczy go do suchej nitki. Jude musiała tymczasem cierpliwie słuchać monologu kierowcy, a że chłopak mówił z natury bełkotliwie, co trzecie słowo było praktycznie niezrozumiałe. Na szczęście sens całości dało się zrozumieć. Wszyscy, którzy jako tako znali się na pogodzie – a miał na myśli ludzi, co to żyli na roli i zawsze lepiej od przemądrzałych meteorologów umieli przewidywać susze i powodzie – otóż wszyscy, których znał, twierdzili, że lato będzie beznadziejne.

– Albo się potopimy – wyjaśnił – albo usmażymy żywcem.

Nieraz słyszała już podobne słowa (dla Anglików temat pogody jest prawdziwą obsesją), ale po powrocie z Yzorderrex, gdzie na niebie płonęło ogniście oko komety, a w powietrzu unosił się odór śmierci, niepokoił ją apokalip-

tyczny bełkot kierowcy. Wyglądało to tak, jakby chciał, żeby kataklizm spustoszył cały świat – i jakby nie zdawał sobie sprawy, co by to znaczyło dla niego osobiście.

Kiedy znudziło mu się krakanie, zaczął wypytywać Jude, skąd szli z Gentle'em i dokąd się wybierali, kiedy burza ich zaskoczyła. Nie widziała powodu, żeby przemilczeć wizytę w posiadłości Godolphinów, więc opowiedziała o niej. Uzyskała efekt, jakiego wcześniej nie osiągnęła trzema kwadransami uporczywego milczenia: chłopak zaniemówił. Spojrzał na nią groźnie w lusterku i włączył radio, co dowodziło, że cień Godolphinów skutecznie uciszyłby samą Kasandrę. Dojechali na przedmieścia Londynu bez zbędnych słów; kierowca odzywał się tylko po to, żeby zapytać o drogę.

– Podrzucić cię do pracowni? – spytała Jude Gentle'a.

Milczał przez chwilę, zanim stwierdził, że to dobry pomysł.

Jude wytłumaczyła kierowcy, jak ma jechać, i odwróciła się do Gentle'a, który cały czas wyglądał przez okno. Kropelki deszczu jak pot ściekały mu po czole i policzkach, zawisały na rzęsach, nosie i podbródku. Uśmiechał się lekko, prawie niedostrzegalnie. Przyglądając mu się teraz, kiedy się tego nie spodziewała, żałowała, że odepchnęła go w posiadłości Godolphinów. Przecież ta właśnie twarz przyśniła jej się, gdy zasnęła w łożu Quaisoir. Był wyśnionym kochankiem, po którego nierzeczywistych pieszczotach jej okrzyki rozkoszy słyszała nawet śpiąca dwa pokoje dalej Quaisoir. Z pewnością nie było dla nich powrotu do osiemnastego stulecia i czasu zalotów, ale wspólna historia połączyła ich na wiele sposobów, z których nie wszystkie jeszcze odkryli. Może kiedy poznają wszelkie tajemnice, znajdą sposób, by zrealizować marzenia z królewskiej sypialni.

Burza ich uprzedziła. Nadciągnęła nad Londyn, wyszałała się i przeszła dalej, tak że gdy znaleźli się na przedmieściach, strzępki błękitu nad ich głowami zapowiadały ciepły, choć wilgotny po deszczu wieczór. Korki uliczne jeszcze się nie rozładowały i pokonanie ostatnich pięciu czy sześciu kilometrów zajęło im niemal tyle samo czasu co przejechanie poprzednich pięćdziesięciu. Zanim dojechali do domu Gentle'a, kierowca, przyzwyczajony do spokojnych wiejskich dróg, miał serdecznie dosyć całego przedsięwzięcia. Głośno przeklinał londyński ruch uliczny i zapowiadał, że zażąda bardzo konkretnej rekompensaty za zszargane nerwy.

Pasażerowie wysiedli i weszli na schody, gdzie chłopak nie mógł ich słyszeć. Jude spytała Gentle'a, czy ma w domu dość pieniędzy, żeby zapłacić;

sama woli, jak stwierdziła, pojechać do siebie taksówką, niż dalej znosić towarzystwo wieśniaka. Gentle odparł jednak, że jeśli nawet w pracowni są jakieś pieniądze, na pewno za mało.

– No to chyba wdepnęłam – stwierdziła Jude. – Muszę z nim jechać dalej. Nieważne. Chcesz, żebym weszła z tobą na górę? Masz klucze?

– Na parterze na pewno kogoś zastanę – uspokoił ją Gentle. – Mają zapasowy komplet.

– To chyba byłoby tyle. – Pożegnanie wypadło żałośnie po tym wszystkim, co razem przeszli. – Przekręcę do ciebie, jak odeśpię ostatnie parę dni.

– Podejrzewam, że odłączyli mi telefon.

– W takim razie zadzwoń do mnie z budki, dobra? Będę w domu, nie u Oscara.

Na tym pewnie rozmowa by się skończyła, gdyby nie odpowiedź Gentle'a:

– Nie musisz go unikać z mojego powodu.

– Co masz na myśli?

– Ty masz swoje romanse...

– A ty swoje, tak? O to ci chodzi?

– Nie do końca...

– A o co?

– Nie do końca romanse. – Gentle pokręcił głową. – Nieważne. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. – Odwrócił się.

– Nie. – Jude złapała go za ramię. – Porozmawiamy teraz.

– To i tak nie ma znaczenia – westchnął ciężko.

– Tym bardziej możesz mi powiedzieć.

Gentle się zawahał.

– Ożeniłem się – przyznał wreszcie.

– Naprawdę? – spytała Jude z udawaną obojętnością. – Kim jest ta szczęściara? Chyba nie masz na myśli dzieciaka, o którym mi opowiadałeś?

– Huzzah? Nie, na miłość boską!

Gentle umilkł. Zmarszczył brwi.

– No śmiało – zachęciła go Jude. – Wykrztuś to.

– Ożeniłem się z Pie'oh'pahem.

Najpierw miała ochotę się roześmiać, tak absurdalny był ten pomysł, ale zanim prychnęła, mars na czole Gentle'a dał jej do myślenia. Poczowała odrazę. Facet nie żartował. Naprawdę ożenił się z tym mordercą, z pozbawioną płci istotą, która reagowała na każde życzenie kochanków. Co ją właściwie tak

zaskoczyło? Przecież kiedy Oscar opowiadał jej o mistyfach, sama zauważyła, że Gentle tak właśnie wyobraża sobie raj.

– Niezły sekrecik – stwierdziła.

– Wcześniej czy później i tak bym ci powiedział.

Teraz nie wytrzymała – parsknęła cicho, z goryczą.

– A jeszcze niedawno myślałam, że naprawdę coś nas łączy.

– Bo tak było. Zawsze coś nas będzie łączyć.

– Jakie to ma teraz dla ciebie znaczenie?

– Muszę zachować coś ze swojej przeszłości. Z tego, o czym marzyłem.

– To znaczy?

– Śniło mi się, że... – Gentle westchnął. – Że znajdziemy jakiś sposób na to, by być razem. We troje. – Nie patrzył na nią; spuścił głowę i wbił wzrok w dzielący ich stopień, gdzie powinien stać jego ukochany mistyf. – On by się nauczył cię kochać...

– Nie chcę tego słuchać.

– Stałby się wszystkim, co tylko by ci się zamarzyło.

– Przestań – powiedziała. – Po prostu przestań.

Wzruszył ramionami.

– Już wszystko w porządku. Pie nie żyje, a nasze drogi się rozchodzą. To był tylko taki głupi sen. Pomyślałem, że ci o nim opowiem.

– Nic od ciebie nie chcę – odparła chłodno Jude. – Od tej pory zachowaj swoje poronione pomysły dla siebie!

Dawno już puściła jego ramię, ale ociągał się z wejściem na schody. Patrzył na nią, mrużąc oczy jak pijaczek, który z trudem łączy niepokorne myśli w spójny ciąg. W końcu to ona odeszła; odwróciła się, pokręciła głową i zeszła do samochodu, omijając kałuże na chodniku. Trzasnęły drzwiczki. Kazała kierowcy jechać i wóz ruszył.

Nie ruszając się z miejsca, Gentle długo wpatrywał się w skrzyżowanie, na którym zniknęło auto, jakby oczekiwał, że spóźnione słowa ukojenia wypłyną mu na usta, pomkną za Jude i sprowadzą ją z powrotem. Zabrakło mu argumentów. Wrócił tu jako Pojednawca, ale zdawał sobie sprawę, że właśnie otworzył ranę, której nie mógł zaleczyć – przynajmniej dopóki się nie prześpi i nie odzyska pełni władz umysłowych.

3

Czterdzieści pięć minut po rozstaniu z Gentle'em Jude otwierała okna w swoim mieszkaniu, żeby wpuścić słońce i trochę świeżego powietrza. Jazda do domu upłynęła jej błyskawicznie, tak była zaszokowana. Gentle się ożenił! To wyznanie, choć z pozoru absurdalne, jakoś jej nie śmieszyło. Wróciła do mieszkania po wielotygodniowej nieobecności (tylko najodporniejsze kwiaty zniosły tak długą samotność; ona sama zapomniała, jak działa ekspres do kawy i zamki w oknach), ale tu czuła się najlepiej. Jak w domu. Po kilku filiżankach kawy, prysznicu i zmianie ubrania stwierdziła, że dominium, które opuściła zaledwie kilka godzin wcześniej, zaciera się w jej pamięci. Wobec tylu znajomych widoków i zapachów niezwykłość Yzordderrex nie była jego siłą, lecz słabością. Jej umysł nieproszony zaczął już wykreślać linię oddzielającą miasto, z którego przybyła, od tego, w którym się znalazła – podział tak sztywny, jak między snem i jawą. Nic dziwnego, pomyślała, że Oscar uczynił swoisty rytuał z wizyt w skarbcu i przeglądania zgromadzonych zbiorów. Tylko w ten sposób mógł zachować łączność z krainą, która zacierała się w codzienności.

Kiedy kilka porcji kofeiny zaczęło na dobre krążyć w jej żyłach, zmęczenie ulotniło się bez śladu. Postanowiła wykorzystać wieczór na wizytę u Oscara. Dzwoniła do niego kilkakrotnie i choć nikt nie podniósł słuchawki, wiedziała, że nie świadczy to jeszcze, iż Oscar wyjechał czy umarł. Rzadko odbierał telefony (ten obowiązek należał do Dowda); nie krył też pogardy do wszelkich urządzeń i maszyn. Powiedział kiedyś, że w raju przeciętna błogosławiona dusza używa telegrafu, a święci – mówiących gołębic. Telefony są tylko w piekle.

Okolo siódmej wyszła więc z domu, złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Regent's Park Road. Dom zastała zamknięty – nie było nawet jednego uchylonego okna, co w tak pogodny wieczór dobitnie świadczyło o nieobecności właścicieli. Dla pewności obeszła go od tyłu i zajrzała przez okno do środka. Na jej widok trzy papugi zerwały się z żerde i narobiły straszego jazgotu. Nie uspokoiła ich bynajmniej, gdy osłoniwszy oczy stulonymi dłońmi przytknęła twarz do szyby, żeby sprawdzić, czy mają wodę i pokarm w miseczkach. Naczynia stały jednak za daleko od okna, a rozdrażnienie ptaków kazało się jej spodziewać najgorszego. Oscar najwyraźniej dawno ich

już nie głaskał. Gdzie się w takim razie podziewał? Umarł pod Azylem i leży martwy gdzieś w wysokiej trawie? Nawet jeśli tak, nie było sensu wracać i szukać go w tej chwili – do zmroku pozostała najwyżej godzina. Poza tym kiedy mignął jej po raz ostatni, wstawał z ziemi, opierając się o drzwi. Był może rozpustny, ale krzepki; nie mogła uwierzyć, że nie żyje. Prędzej uwierzyłyby, że ukrywa się przed Tabula Rasa. Wróciła do drzwi frontowych, nagryzmoliła anonimową notkę, w której zapewniała go, że dobrze się czuje, i wrzuciła ją do skrzynki na listy. Oscar się domyśli. Kto inny mógłby napisać, że wrócił do domu ekspresem cały i zdrowy?

*

Było po wpół do jedenastej i miała już się kłaść, gdy ktoś zawołał ją z ulicy. Wyszła na balkon i ujrzała Clema, który na cały głos wykrzykiwał jej imię. Nie rozmawiali od miesiący i choć ucieszyła się, że go widzi, zaraz poczuła wyrzuty sumienia, że tak go zaniedbała. Ale po tym, jaka ulga odbiła się na jego twarzy i jak szczerze ją później wyściskał, poznała, że nie przyszedł domagać się przeprosin. Chce jej powiedzieć o czymś absolutnie niesamowitym, powiedział, ale zanim to zrobi (a ona pomyśli, że zwariował), musi się napić. Czy mógłby dostać szklaneczkę brandy? Oczywiście, poczęstowała go. Przełknął brandy jednym haustem i spytał:

– Gdzie Gentle?

Kompletnie ją zaskoczył – i samym pytaniem, i nie znoszącym sprzeciwu tonem. Gentle chciał zniknąć i chociaż była na niego wściekła, czuła się zobowiązana dotrzymać tajemnicy. Ale Clemowi strasznie zależało, żeby się tego dowiedzieć.

– Nie było go jakiś czas, prawda? – mówił dalej. – Klein mi mówił, że próbował się do niego dodzwonić, ale Gentle'owi odłączyli telefon. Więc napisał list, na który nie doczekał się odpowiedzi...

– Tak – przerwała mu Jude. – Chyba wyjechał.

– Właśnie wrócił!

– Poważnie? – Jude była coraz bardziej zdezorientowana. – Chyba lepiej ode mnie wiesz, co się z nim dzieje.

– Nie ja – odparł Clem i dolał sobie brandy. – Taylor.

– Jaki Taylor? Co ty wygadujesz?

Clem opróżnił szklaneczkę.

– Powiesz, że zwariowałem, ale najpierw mnie wysłuchaj, dobrze?

– Już cię słucham.

– Staralem się nie rozkleić po śmierci Taylora; nie przesiadywałem w domu, czytając listy miłosne, które od niego dostałem; nie słuchałem piosek, przy których tańczyliśmy. Próbowałem gdzieś wyjść, poruszać się, dla odmiany zrobić coś pożytecznego. Ale w jego pokoju niczego nie dotykałem. Nie mogłem się zebrać, żeby przejrzeć ubrania po nim, czy choćby zdjąć pościel. Odkładałem to na później. A im dłużej zwlekałem, tym trudniej było mi się do tego zabrać. Kiedy dzisiaj wróciłem do domu koło ósmej, usłyszałem czyjś głos. – Clem siedział nieruchomo, jak zauroczony tym wspomnieniem. – Pomyślałem, że zostawiłem włączone radio, ale nie; głos dobiegał z góry, z jego sypialni. To był on, Judy. Wołał mnie tak samo jak zawsze. Tak się spietrałem, że prawie uciekłem. Głupie, nie? Najpierw modliłem się i modliłem, by Bóg dał mi jakiś sygnał, że Taylor jest w dobrych rękach, a kiedy zesłał mi znak, prawie zesrałem się ze strachu. Wiesz co? Pół godziny przesiadywałem na schodach, czekając, aż w końcu przestanie mnie wołać. Czasem głos cichł, a ja zaczynałem sobie wmawiać, że mi się zdawało. Wtedy znów się odzywał. Nie rozczulał się, po prostu mówił, że mam się nie bać i przyjść się przywitać. No więc w końcu do niego poszedłem. – Łzy napłynęły Clemowi do oczu, ale głos miał radosny. – Lubił przesiadywać u siebie popołudniami. Pokój jest wtedy taki słoneczny... Nie widziałem go, ale wiedziałem, że jest blisko. Sam mi to powiedział. I dodał, że dobrze wyglądam. „To wspaniały dzień, Clem”, mówił dalej. „Gentle wrócił. Zna odpowiedzi”.

– Jakie odpowiedzi? – wtrąciła Jude.

– O to samo go zapytałem: „Jakie odpowiedzi, Tay?”. Ale sama wiesz, jaki jest Taylor, kiedy się cieszy. Wariuje jak dziecko. – Clem uśmiechnął się, zapatrzony w sceny z dawnych dobrych czasów. – Taki był uszczęśliwiony, powrotem Gentle'a, że niewiele więcej mogłem z niego wyciągnąć. – Spojrzał na Jude. – Dzień się kończył, słońce zachodziło; chyba chciał odejść razem z nim. Powiedział jeszcze, że musimy pomóc Gentle'owi, że to nasz obowiązek. Dlatego do mnie przyszedł. Mówił, że to nie było łatwe, ale rola anioła stróża sama w sobie jest trudna. Zapytałem: „Dlaczego tylko jeden? Jeden anioł na nas dwóch?”. A on na to: „Jesteśmy jednością, Clem. Zawsze byliśmy i zawsze będziemy jednym”. Tak właśnie powiedział, przysięgam. Potem odszedł. Wiesz, co sobie pomyślałem?

– No?

– Żałuję, że tyle czasu przesiedziałem na schodach, zamiast spędzić go z nim. – Clem odstawił szklanę, wyjął chusteczkę i wytarł nos. – To tyle.

– Całkiem sporo – zauważyła Jude.

– Wiem, co sobie myślisz – zaśmiał się. – Biedny Clem. Nie umiał płakać i wpędził się w halucynacje.

– Nie – odparła cicho. – Myślę co innego. Gentle nie ma pojęcia, jaki z niego szczęściarz, że ma takich aniołów stróżów jak wy.

– Nie pocieszaj mnie.

– Wcale nie próbuję cię pocieszyć. Wierzę, że było dokładnie tak, jak mówisz.

– Serio?

– Tak.

Clem prychnął.

– Dlaczego?

– Bo Gentle naprawdę wrócił dziś do domu, a ja byłam jedyną osobą, która o tym wiedziała.

*

Dziesięć minut później Clem wyszedł, zadowolony chyba, że nawet jeśli zwariował, to wśród bliskich znajomych miał bratnią obłąkaną duszę, do której mógł przyjść ze swoim obłędem. Jude opowiedziała mu tyle, ile uznała za konieczne w tej sytuacji – czyli niewiele – ale obiecała skontaktować się w jego imieniu z Gentle'em i opowiedzieć mu o wizycie Taylora. Clem rozpląwał się z wdzięczności, ale nie tak, żeby nie zauważyć, że coś przed nim ukrywa.

– Wiesz znacznie więcej, niż mi mówisz, prawda?

– Tak. Może wkrótce będę mogła powiedzieć ci coś jeszcze.

– Czy Gentle'owi grozi niebezpieczeństwo? Czy chociaż tyle możesz mi zdradzić?

– Wszystkim nam grozi, tobie, mnie, Gentle'owi, Taylorowi.

– Taylor nie żyje, odszedł do światła. Nic mu się nie stanie.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odparła ponuro Jude. – Ale jeżeli jeszcze raz przyjdzie...

– Przyjdzie, na pewno przyjdzie.

– Ostrzeż go. Powiedz mu, że nikt nie jest bezpieczny. To, że Gentle znów

jest... że wrócił, nie oznacza, że kłopoty się skończyły. Przeciwnie, dopiero się zaczną.

– Tay mówił, że stanie się coś wzniosłego. Właśnie takiego sformułowania użył: coś wzniosłego.

– To możliwe, ale mnóstwo rzeczy może się nie udać. A jeśli coś pójdzie nie tak... – Zawiesiła głos, przypomniawszy sobie In Ovo i ruiny Yzordderex.

– W porządku, powiesz mi, kiedy będziesz gotowa. Ja zawsze cię wysłucham. Obaj cię wysłuchamy. – Clem spojrział na zegarek. – Na mnie już czas. Jestem spóźniony.

– Na imprezę?

– Nie, pracuję w schronisku dla bezdomnych. W nocy mamy dyżury, zbieramy dzieci z ulic. W mieście jest ich pełno.

Jude odprowadziła go do drzwi.

– Pamiętasz nasze pogańskie przyjęcie bożonarodzeniowe? – zapytał na progu.

– Pewnie – uśmiechnęła się. – Niezła imprezka.

– Kiedy goście sobie poszli, Taylor zalał się w pestkę. Wiedział, że większości z nich już nigdy nie zobaczy. Potem oczywiście w środku nocy zrobiło mu się niedobrze i w efekcie zamiast spać, gadaliśmy o... Rany, o wszystkim, co nam do głowy przyszło. I wtedy mi powiedział, że zawsze kochał Gentle'a, który był dla niego chodzącą zagadką. Śnił mu się nawet, jak mówił w dziwnych językach.

– Mnie też o tym wspominał.

– I nagle ni z tego, ni z owego stwierdził, że w przyszłym roku muszę urządzić Boże Narodzenie jak się patrzy. I iść na pasterkę, tak jak kiedyś razem chodziliśmy. Wydawało mi się, że doszliśmy do wniosku, że cała ta szopka nie ma sensu. Powiedziałem mu o tym. I wiesz, co on na to? Światło to światło, mówi. Możesz je różnie nazywać, ale lepiej jest, kiedy promieniuje ze znajomej twarzy. – Clem uśmiechnął się. – Wtedy byłem pewien, że ma na myśli Chrystusa, ale teraz... Teraz sam nie wiem.

Jude wyściskała go z całej siły i ucałowała w zarumienione policzki. W tym, co mówił, było zapewne ziarenko prawdy, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby przyznać mu rację. Wiedziała przecież, że ta sama twarz – dla Taya uosobienie jasności słońca – równie dobrze może reprezentować mrok, który wkrótce ich wszystkich pochłonie.

ROZDZIAŁ 44

1

Łóżko, na które poprzedniej nocy zwałił się jak kłoda, pachniało kurzem, poduszka była nieprzyjemnie wilgotna, ale chyba sama Matka Ziemia lepiej nie ukołysałaby go do snu. Obudził się piętnaście godzin później w piękny czerwcowy poranek, a sen bez marzeń przywrócił mu siły. W domu nie było gazu, prądu ani ogrzewania, musiał więc wykąpać się i ogolić w zimnej wodzie; prysznic był doświadczeniem orzeźwiającym, golenie – krwawym. Odświeżony poświęcił trochę czasu na ocenę stanu pracowni, która nie ostała się całkowicie nietknięta podczas jego nieobecności: w którymś momencie musiała zajrzeć tu albo któraś z jego dawnych sympatii, albo jakiś wybredny złodziej (dwa okna Gentle zostawił otwarte, więc wejście do środka nie stanowiło problemu). W każdym razie człowiek ten zabrał tylko część ubrań i trochę osobistych drobiazgów. Minęło tyle czasu, że nie był nawet pewien, co właściwie zginęło – jakieś listy i pocztówki z półki nad kominkiem; kilka zdjęć (teraz rozumiał przynajmniej, dlaczego nigdy nie lubił się fotografować), drobna biżuteria (złoty łańcuszek, dwa pierścionki, krzyżyk na szyję). Nie zmartwił się specjalnie, nigdy nie był kolekcjonerem pamiątek. Przedmioty traktował jak kolorowe magazyny – przez jeden dzień go bawiły, potem je wyrzucał.

Inne, bardziej obrzydliwe ślady swojej nieobecności znalazł w łazience: ubrania, które zostawił wilgotne i nie rozwieszzone, porosły zielonym futerkiem; w śmierdzącej zgnilizną lodówce załęgły się larwy, które wyglądały

jak młode zarzi. Musiał jakoś doprowadzić prąd do mieszkania, jeśli miał się wziąć za sprzątanie, a to wymagało odrobiny dyplomacji. W przeszłości zdarzało się już, że odcinano mu gaz, telefon i prąd, kiedy nastawały chude czasy – między sprzedażą jakiejś udanej kopii a spotkaniem z gotową go sponzorować kochanką. Gadkę, która pozwalała naprawić sytuację, miał wyćwiczoną do perfekcji, postanowił więc od tego zacząć.

Włożył najczystsze ubranie i poszedł na parter zameldować się u czcigodnej, choć ekscentrycznej pani Erskine. To ona wieczorem wpuściła go do domu. Nie omieszkała przy tym zauważyć – z typową dla niej szczerością – że Gentle wygląda, jakby ktoś skopał go prawie na śmierć, na co odparł, że podobnie też się czuje. Nie wypytywała go o przyczyny tak długiej nieobecności, w czym nie było nic dziwnego (w pracowni zawsze pomieszkiwał nieregularnie), zapytała natomiast, czy tym razem zatrzyma się w domu na dłużej. Kiedy odparł, że najprawdopodobniej tak, wyraziła zadowolenie. W gorące letnie dni ludzie wariują, powiedziała, a ona od czasu śmierci pana Erskine'a czasem się boi. Zaparzyła herbatę, podczas gdy Gentle załatwiał z jej telefonu ponowne podłączenie mieszkania do cywilizacji. Było to dość frustrujące zajęcie. Stracił gdzieś dar przekonywania kobiet, żeby wyświadczyły mu przysługę. W odpowiedzi na uprzejmości i pochlebstwa napotykał tylko chłodny, oficjalny protekcjonalizm. Dowiadywał się, że ma niezapłacone rachunki i dopóki nie ureguluje należności, nie ma co liczyć na wznowienie usług. Zjadł parę tostów, którymi poczęstowała go pani Erskine, wypił kilka filiżanek herbaty, a potem zszedł do piwnicy i zostawił notkę dla dozorkcy, że wrócił już do domu i uprzejmie prosi o włączenie ciepłej wody.

W pracowni zamknął drzwi na zamek. Uznał, że jedna rozmowa dziennie w zupełności wystarczy. Zaciągnął żaluzje i zapalił dwie świece. Dymiły trochę, gdy zakurzone knoty stanęły w ogniu, ale dawały łagodniejsze światło niż oślepiające słońce. W ich blasku wziął się do przeglądania poczty, która niczym śnieg zalegała podłogę przy drzwiach. Znalazł, rzecz jasna, mnóstwo rachunków, drukowanych w coraz bardziej gryzących kolorach, nieuniknioną porcję reklamowego śmiecia i dosłownie garstkę osobistych listów, z których dwa dały mu do myślenia. Przysłała je Vanessa, której rada, żeby poderznął sobie gardło, odbiła się tak niepokojącym echem w słowach Athanasiusa na skraju Wybielu. Pisała, że tęskni za nim i nie może przestać o nim myśleć. W drugiej wiadomości jeszcze mniej było owijania w bawełnę: Vanessa chciała, żeby znów pojawił się w jej życiu. Jeżeli nadal chciałby spotykać się z inny-

mi kobietami, ona się z tym pogodzi. Czy mógłby się chociaż odezwać? Życie jest za krótkie, żeby długo chować do siebie urazę.

Jej błagania Gentle'a trochę podbudowały, a następny list jeszcze bardziej poprawił mu humor. Klein pisał czerwonym atramentem na różowym papierze, z jego słów przebijał znajomy napuszony ton:

„Drogi gnojku! Czyjeż to serca teraz łamiesz i gdzie? Dziesiątki porzuconych kobiet wypłakuje mi się w rękaw, błagając, bym wybaczył ci wszelkie niecnoty i pozwolił wrócić na łono rodziny. Jest wśród nich przemiła Vanessa. Wracaj do domu, na miłość boską, i ratuj mnie, bo inaczej ją uwiodę! Mam erekcję w twoim imieniu”.

Więc Vanessa poszła do Kleina; rzeczywiście musiała być zdesperowana. O ile dobrze sobie przypominał, spotkali się tylko raz, i twierdziła, że Kleina nie cierpi.

Zachował wszystkie trzy listy, chociaż nie miał zamiaru nic robić w ich sprawie. Wyczekiwał tylko jednego spotkania – z własnym domem w Clerkenwell, nie zamierzał jednak udawać się tam w środku dnia; na ulicach było za dużo światła i ruchu. Wolał poczekać do zmroku, kiedy to przemknie przez miasto niewidzialny. Resztę listów podpalił i patrzył, jak płoną. Potem położył się do łóżka i przespał całe popołudnie, przygotowując się na pracowitą noc.

2

Odczekał, aż na ciemnoniebieskim niebie pojawią się pierwsze gwiazdy, zanim podniósł żaluzje. Ulica pod domem świeciła pustkami, ale zdawał sobie sprawę, że po drodze do Clerkenwell (nie miał pieniędzy na taksówkę) spotkałby jeszcze sporo ludzi. W tak piękny wieczór na Edgware Road musiało być tłoczno, w metrze też. Jeżeli chciał dotrzeć na miejsce niezauważony, musiał ubrać się w jakieś przeciętne ciuchy. Trochę czasu zajęło mu wybranie z przerzedzonej garderoby stroju, w którym jak najmniej rzucałby się

w oczy. Z Marble Arch do Chancery Lane było tylko pięć stacji metra, ale wysiadł już na drugiej, roztrzęsiony i spocony jak neurotyk cierpiący na klaustrofobię. Przeklinając się w duchu za własną słabość, pół godziny siedział na stacji i odprowadzał wzrokiem kolejne pociągi; nie mógł się zmusić, żeby do któregoś wsiąść. Co za ironia losu! Oto on, człowiek, który przemierzył połowę Imajiki, siedzi bezradnie na ławce, bo boi się przejechać parę kilometrów metrem. Opanował dreszcze, poczekał na mniej zatłoczony pociąg i zajął w nim miejsce blisko drzwi. Przez całą drogę siedział z głową ukrytą w dłoniach.

Zanim wyszedł spod ziemi przy Chancery Lane, niebo mocno ściemniało. Długą chwilę stał na High Holborn z zadartą głową i chłonał ten widok. Kiedy wreszcie nogi przestały mu drżeć, skręcił w Gray's Inn Road, która prowadziła w pobliże Gamut Street. Prawie wszystkie domy przy głównych ulicach dawno zostały zajęte przez firmy i biura, ale z tyłu, za barykadą ciemnych o tej porze budynków biurowych, rozpościerała się płatanina uliczek, które – zapewne dzięki nie najlepszej sławie tej okolicy – ostały się nietknięte. Wąskie, kręte zaułki ciągnęły się kilometrami, pozbawione oświetlenia i nazw, jak gdyby od pokoleń nikt o nich nie pamiętał.

Nie potrzebował światła ani tabliczek, przemierzał tę drogę setki razy. Shiverick Square ze zdziczałym skwerkiem na środku,

Flaxen Street, Almoth, Sterne. A pośród nich – otulony mgłą anonimowości – cel jego wędrówki.

Kiedy do rogu Gamut Street zostało dwadzieścia metrów, zwolnił kroku, żeby dłużej rozkoszować się tym spotkaniem. W domu oczekiwały go niezliczone wspomnienia – także te związane z mistyfem; choć nie wszystkie równie radosne i miłe. Powinien ostrożnie się nimi sycić, jak człowiek o delikatnym żołądku, który siada przy suto zastawionym stole i musi zachować umiar. Kiedy poczuje, że ma dość, wróci do pracowni, przetrawi zdobytą wiedzę i dzięki niej stanie się silniejszy. Dopiero potem wróci po drugą porcję. Zdawał sobie sprawę, że odzyskanie pamięci długo potrwa, a czasu ma niewiele, ale nie potrafił oprzeć się wspomnieniom. Co komu przyjdzie z Pojednawcy, który zadławił się przeszłością?

Z bijącym sercem skręcił za róg i spojrzał na świętą Gamut Street. Niewykluczone, że żyjąc dwa stulecia w zapomnieniu, trafiał na nią wielokrotnie i jej widok nie był mu całkiem obcy, ale szczerze w to wątpił – najprawdopodobniej zaglądał tu po raz pierwszy od dwustu lat. Okolica prawie się nie

zmieniła, chroniona przed planistami i hordami uzbrojonych w młoty pneumatyczne robotników za pomocą sztuk, o których autorach krążyły legendy. Rosnące przy ulicy drzewa uginały się pod ciężarem nieprzyciętych konarów i nadmiaru liści; w powietrzu – osłoniętym labiryntem uliczek przed spalarniami z High Holborn i Gray's Inn Road – unosiła się ostra woń żywicy. Czy tylko mu się tak wydawało, czy też drzewo przy domu z numerem dwudziestym ósmym naprawdę było zdrowsze i bardziej zielone od innych, jakby odżywiało się magią przesączającą się do gleby z siedziby maestra?

Ruszył ku domowi. Wspomnienia już zaczynały zalewać go jak fale. Słyszał dziecięce głosy śpiewające tę samą piosenkę, która tak go poruszyła, gdy autarcha uświadomił mu, kim jest. „Sartori”, powiedział, i wraz z imieniem wróciła ta nędzna rymowanka, skandowana piskliwie. Wtedy mu się nie podobała; miała banalną melodię i beznadziejne słowa. Teraz jednak przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz ją usłyszał. Szedł tym samym chodnikiem co teraz, a po drugiej stronie ulicy biegła gromadka dzieciaków. Jaki był dumny, że jego sława sięga tak daleko: znalazł się na ustach dzieci, które nigdy nie nauczą się czytać ani pisać – ba, prawdopodobnie nawet nie dożyją piętnastu lat. Cały Londyn go znał. To mu się podobało. Roxborough twierdził, że coraz częściej mówi się o nim na królewskim dworze i lada dzień może się spodziewać zaproszenia. Ludzie, których ledwie kojarzył, przyznawali się do bliskiej z nim znajomości.

Byli jednak i tacy – dzięki Bogu! – którzy nie próbowali się z nim spoufałać. Jedna taka osoba mieszkała, jak pamiętał, w domu naprzeciwko. Allegra, piękna niczym nimfa, siadywała przy toalecie pod oknem w rozsznurowanym gorsecie, wiedząc, że z drugiej strony ulicy podgląda ją maestro. Miała małego kudłatego pieska; wieczorami słyszał czasem, jak wysokim głosem woła go na kolana – i zazdrościł mu. Pewnego popołudnia, dosłownie kilka kroków od miejsca, w którym się w tej chwili znajdował, spotkał ją osobiście. Wyszła z matką na spacer. Zachwycał się psiakiem, zniósł nawet to, że zwierzak polizał go po nosie – wszystko po to, by poczuć w jego sierści jej zapach. Co się z nią stało? Umarła jako dziewica? Roztyła się i zestarzała, wspominając mężczyznę, który był jej najgorętszym wielbicielem?

Spojrzał w okno, przy którym zasiadała. Było ciemne, jak większość okien w okolicy. Z westchnieniem spojrzał na dom pod numerem dwudziestym ósmym, przeszedł ulicę i stanął przy drzwiach. Były oczywiście zamknięte, za to jedno z okien na parterze, rozbite dawno temu, nigdy nie zo-

stało załatanane. Włożył rękę przez stłuczoną szybę, podciągnął okno do góry i wśliznął się do środka. Powoli, upomniał się; nie spiesz się tak. Musisz panować nad tym, co się dzieje.

W środku było zupełnie ciemno, ale przewidział to, zabrał z domu świeczkę i zapalki. Z początku knot nie chciał się zapalić, potem cały pokój zachybotał w rytm jego niezdecydowania, aż wreszcie płomyczek się ustabilizował i Gentle poczuł coś, czego najmniej się spodziewał. Przepęniała go duma. Kiedyś w tym domu – jego domu – spotykały się wielkie indywidualności, by rozważać najpoważniejsze problemy; nie prowadziło się tu debat na przyziemne tematy. Na ploteczki i pogaduszki o polityce szło się do kawiarni; jeśli ktoś chciał rozmawiać o interesach, udawał się na giełdę. Tutaj mówiło się o cudach, o rozwoju duchowym i – tak, tak! – o miłości, o ile dotyczyła któregoś z obecnych (a zwykle tak było) i wiązała się z rozlewem krwi. Sprawy prozaiczne i trywialne nie miały tu wstępu. Człowiek, który przynosił najbardziej niezwykłą opowieść, mógł liczyć na najgorętsze przyjęcie; wszelkie ekscesy były dopuszczalne, jeżeli zsyłały wizje, które następnie drobiazgowo analizowano w poszukiwaniu wskazówek na temat natury wieczności.

Wziął świecę do ręki i ruszył w głąb domu. Wszystkie pokoje – a było ich sporo – nosiły ślady straszego zaniedbania, osłabione zgnilizną i kornikami deski podłogi skrzypiały pod stopami, wilgoć kreśliła na ścianach mapy najdziwniejszych kontynentów. Ale terażniejszość mało go obchodziła; zanim stanął u stóp schodów, pamięć wszędzie pozapalała świece. Ich ciepły blask sączył się z jadalni i z pokojów na piętrze; nagie ściany okrywały się kobiercami, puszyste dywany rozścielały się na ziemi, meble wracały na swoje miejsca. Dyskutanci próbowali wprawdzie sięgnąć esencji ducha, ale skoro już musieli znosić przekleństwo ciała, nie zamierzali gardzić wygodami. Kto by pomyślał, widząc z zewnątrz całkiem przeciętny, skromny dom, że kryje w swym wnętrzu taki przepych? Widok luksusów przywołał wspomnienie głosów tych, którzy się w nich pławili. Najpierw usłyszał śmiech. Potem zjadła kłótnię gdzieś na schodach. Nie widział jeszcze rozmówców – zapewne umysł, któremu nakazał powściągliwość, chronił go przed nadmiarem emocji – ale rozpoznawał ich po głosie. Jednym z nich był Horace Tyrwhitt, drugim – Isaac Abelove. A ten śmiech? To był Joshua Godolphin, któż by inny? Śmiał się jak sam diabeł, głośno, gardłowo.

– Chodźcie do mnie – powiedział Gentle, zwracając się do wspomnień. – Chcę zobaczyć wasze twarze.

Nie musiał długo czekać. Na schodach pojawił się Tyrwhitt, jak zwykle ubrany z przesadą i nadmiernie upudrowany. Zachowywał bezpieczny dystans od idącego za nim Abelove'a, na wypadek gdyby sroka, którą Abelove trzymał w dłoniach, zerwała się do lotu.

– To zły znak! – mówił. – Ptak w domu przynosi pecha!

– Pech jest dobry dla rybaków i hazardzistów – odparł Abelove.

– Jeszcze trochę, a któraś z twoich złotych myśli okaże się warta zapamiętania – zauważył Tyrwhitt. – A na razie wyrzuć stąd to ptaszysko, zanim mu łeb ukęcę. – Spojrzał na Gentle'a. – Wytłumacz mu, Sartori.

Gentle był wstrząśnięty, że postać z jego wspomnień potrafi tak go przyszpilić wzrokiem. Zanim się zorientował, co się dzieje, odparł:

– Nikomu nie robi krzywdy. To też istota boża.

Sroka wyrwała się z rąk Abelove'a, podfrunęła i wypróżniła się wprost na jego twarz i perukę. Tyrwhitt roześmiał się głośno.

– Tylko nie wycieraj! – ostrzegł Abelove'a, gdy ptak odleciał. – To przynosi szczęście.

Jego śmiech wywabił z pokoju jak zwykle wyniosłego Joshuę Godolphina.

– Co tu się dzieje?

Abelove rzucił się w pogoń za sroką, ale swoimi okrzykami tylko dodatkowo ją płoszył. Fruwała w kółko po holu, skrzeczając rozpaczliwie.

– Otwórzcie drzwi, do diabła! – krzyknął Godolphin. – Wypuście to cholerstwo!

– Mamy sobie popsuć taką zabawę? – zaoponował Tyrwhitt.

– Jakbyście się wszyscy zamknęli, uspokoiłaby się i usiadła – zauważył Abelove.

– Po co właściwie ją przyniosłeś? – zainteresował się Joshua.

– Siedziała na schodkach. Myślałem, że coś jej się stało.

– Wygląda na zdrową. – Godolphin odwrócił się do Gentle'a. Twarz miał czerwona od nadmiaru brandy. – Maestro... – powiedział z lekkim skinieniem głowy. – Przykro mi, ale zaczęliśmy kolację bez ciebie. Wejdz, proszę. Niech te ptasie mózdzki bawią się dalej same.

Gentle skierował się do jadalni, gdy usłyszał za sobą głucho uderzenie. Odwrócił się i zobaczył, jak sroka po zderzeniu z szybą opada na ziemię. Abelove jęknął cicho; Tyrwhitt przestał się śmiać.

– No proszę! – powiedział. – Zabiłeś biedactwo!

– To nie ja! – zaperzył się Abelove.

– Chcesz ją wskrzesić? – spytał Joshua konspiracyjnym szeptem.

– Ze złamanym karkiem i skrzydłami? – zasmucił się Gentle. – To nie byłoby miłe.

– Ale zabawne. – W podpuchniętych oczach Joshuy błysnął psotny ognik.

– Nie sądzę – odparł Gentle kwaśno.

Patrząc, jak wesołość znika z twarzy Godolphina, pomyślał, że Joshua się boi. Moja moc go przeraża, pomyślał.

Joshua wszedł do jadalni, ale zanim Gentle zdążył przekroczyć jej próg, tuż obok niego wyrósł jak spod ziemi młody chłopak. Miał najwyżej osiemnaście lat, pociągłą twarz i loki jak cherubinek.

– Maestro?

Jego rysy wydały się Gentle'owi bardziej znajome niż twarze Godolphina i pozostałych – może za sprawą jakiejś niezwyklej nowoczesności w leniwym spojrzeniu, a może z powodu drobnych, niemal kobiecych ust. Nie sprawiał wrażenia inteligentnego, ale kiedy się odezwał, mówił spokojnie i ze swadą, chociaż widać było, że jest zdenerwowany. Bał się spojrzeć Sartoriemu w oczy.

– Chciałem zapytać, panie, czy rozważałeś sprawę, o której rozmawialiśmy? – odezwał się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

„Jaką sprawę?”, chciał zapytać Gentle, gdy jego język zareagował odruchowo. Kiedy popłynęły słowa, wróciły wspomnienia:

– Wiem, że się niecierpliwisz, Luciusie.

Chłopak nazywał się Lucius Cobbitt, miał siedemnaście lat i znał na pamięć wszystkie wielkie dzieła, a w każdym razie ich zasadnicze tezy. Był ambitny, miał dryg do polityki, wybrał Tyrwhitta na swojego mecenasa (to, jakich usług zażądał w zamian Tyrwhitt, pozostało tajemnicą alkowy, ale z pewnością groził za nie stryczek) i jako jego sługa zapewnił sobie wstęp do domu Sartoriego. Nie zamierzał jednak na tym poprzestać; praktycznie co wieczór próbował przebłagać maestra.

– Nie o moją cierpliwość tu chodzi, panie. Znam wszystkie rytuały. Na podstawie „Wizji” Flute'a wykreśliłem mapę In Ovo. Wiem, że to tylko początki, ale skopiowałem też wszystkie znane symbole magiczne i nauczyłem się ich na pamięć.

Lucius miał też talent artystyczny, kolejną cechę – poza ambicją i wątpliwymi zasadami moralnymi – która łączyła go z Gentle'em.

– Mogę ci pomóc, maestro – mówił dalej. – Przyda ci się ktoś, kto stanie przy tobie w tę noc.

– Doceniam i pochwalam twoje zdyscyplinowanie, Luciusie, ale próba Pojednania to nie przelewki. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności...

– Nie będziesz musiał, panie.

– Poza tym mam już asystenta.

Chłopak zmarkotniał.

– Tak?

– Naturalnie. Pie'oh'paha.

– Tu chodzi o twoje życie, panie! Zaufasz chowańcowi?

– A czemu nie?

– No bo... przecież on nawet nie jest człowiekiem!

– I właśnie dlatego mu ufam, Luciusie. Przykro mi, że musiałem cię rozczarować...

– Nie mógłbym chociaż popatrzeć, panie? Nie będę się do was zbliżał, obiecuję. Przysięgam! Przecież wszyscy tam będą...

Miał rację. Im bliżej było do nocy Pojednania, tym bardziej rozrastała się spodziewana publika. Mecenasi, którzy z początku bardzo poważnie potraktowali obietnice zachowania tajemnicy, przeczuwali bliską już chwilę triumfu, a to rozwiązało im języki. Ze wstydem przyznawali się, że zaprosili przyjaciela czy krewnego, żeby był świadkiem ceremonii; kimże był on, narzędzie w ich rękach, żeby pozbawić ich tej chwili pławienia się w blasku cudzej chwały? Nie ułatwiał im życia, kiedy przychodzili mu to wyznać, ale w gruncie rzeczy niewiele sobie z tego robił. Lubił być podziwiany. A kiedy dojdzie do Pojednania, im więcej będzie świadków, którzy pochwalą jego sprawcę, tym lepiej.

Lucius nie ustępował:

– Błagam, panie, będę ci wdzięczny do grobowej deski.

Gentle skinął głową i zmierzwił mu włosy.

– Możesz się przyglądać.

Chłopak ze łzami w oczach podniósł jego dłoń do ust.

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Anglii. Dziękuję, panie. Dziękuję.

Gentle uciszył go gestem i wszedł do jadalni. Zastanawiał się, czy naprawdę wszystkie te wydarzenia i rozmowy tak zgrabnie się zazębiały, czy też raczej jego umysł wybrał fragmenty różnych dni i nocy i połączył je w całość.

Jeśli – jak podejrzewał – oglądał tylko wybór wspomnień, prawdopodobnie zawierały się w nim wskazówki do nieodkrytych jeszcze tajemnic. Powinien starać się zapamiętać wszystkie szczegóły. Miał z tym jednak sporo kłopotu, był jednocześnie Gentle'em i Sartorim, świadkiem i aktorem. Nie potrafił jednocześnie grać i patrzeć, nie umiał wychwycić głębszego znaczenia faktów. Nie dość, że z pozoru wszystko wyglądało tak idealnie, to w dodatku sam grał pierwsze skrzypce we wszystkich scenach. Ci ludzie traktowali go jak boga! Słuchali jego beknięć i pierdnięć jak kazań, a kosmologiczne teorie (w których się lubował) przyjmowali z czcią i wdzięcznością – wszyscy, nawet ci najważniejsi.

Trzech z nich już czekało. Zebrali się przy końcu stołu, który – choć nakryty dla czterech osób – ugiął się pod ciężarem takiej ilości dań, że cała Gamut Street nie przejadłaby ich w tydzień. W tej trójce znalazł się naturalnie Joshua, a także Roxborough o ascetycznych rysach, wydatnym, haczykowato zakrzywionym nosie i przysłoniętych dłonią ustach, i jego odwieczne alter ego, Oliver McGann. McGann zdążył już sobie zdrowo wypić, Roxborough zaś był jak zwykle trzeźwy i milczący. Gentle'owi przyszło do głowy, że musi nienawidzić swoich ust, gdyż zdradzają jego prawdziwą naturę; mimo niezmiernego bogactwa i zamiłowania do spirytyzmu był bowiem małostkowy, skąpy i ponury.

– Religia jest dla wiernych – mówił właśnie McGann. – Modlą się, a kiedy nikt nie słucha, ich wiara się umacnia. Magia zaś... – Przerwał i skupił pijackie spojrzenie na stojącym w drzwiach Gentle'u. – No proszę, o wilku mowa! Tak, panowie! Powiedz im, Sartori! Powiedz, czym jest magia.

Roxborough zetknął dłonie czubkami palców, unosząc je na wysokość nosa.

– Prosimy, maestro – zawtórował. – Oświeć nas.

– Z przyjemnością. – Gentle wziął od McGanna kieliszek z winem i zwilżył gardło, szykując się do przemówienia. – Magia jest największą religią tego świata. Jej moc może nas scalić, otworzyć nasze oczy na dominia, przywrócić nam samych siebie.

– Piękne słowa – stwierdził bezbarwnym głosem Roxborough. – Ale co naprawdę znaczą?

– Ich znaczenie jest oczywiste – wtrącił McGann.

– Nie dla mnie.

– Rodzimy się podzieleni, Roxborough – wyjaśnił Sartori. – I od początku

tęsknimy za zespoleniem.

– Czyżby?

– Tak sędzę.

– Po co nam to zespolenie? Wytłumacz mi. Wydawało mi się, że sami dla siebie jesteśmy jedynym towarzystwem, którego możemy być pewni.

W głosie Roxborougha brzmiała irytująca pewność siebie, ale maestro znał jego sposób bycia i miał gotową odpowiedź.

– Jesteśmy także wszystkim, co nami nie jest – odparł i podszedł do stołu. Ponad dymiącymi świecami spojrzał Roxboroughowi w oczy. – Jesteśmy połączeni ze wszystkim, co było i co będzie, z całą Imajicą, od najmniejszej drobinki kurzu, która unosi się nad tym płomieniem, po samo Bóstwo. – Odechnął głęboko, dając Roxboroughowi czas na reakcję, a ponieważ się jej nie doczekał, mówił dalej: – Śmierć nie będzie dla nas ograniczeniem. Przeciwnie, staniemy się więksi, osiągniemy wielkość całego Stworzenia.

– Właśnie... – wysyczał uśmiechnięty drapieżnie McGann.

– Magia pozwala nam osiągnąć to objawienie wcześniej, kiedy jeszcze mamy ciało – dodał maestro.

– Czy uważasz, że ktoś nas do tego objawienia dopuszcza? – spytał z powątpiewaniem Roxborough. – A może je wykradamy?

– Rodzimy się po to, by posiąść wszelką wiedzę, jaką zdołamy.

– Rodzimy się, by cierpieć w naszych ciałach.

– Może ty cierpisz. Ja nie.

McGann parsknął śmiechem.

– Zamknięcie w ciele nie jest karą – ciągnął maestro. – Ciało ma być źródłem radości, choć stanowi zarazem granicę między nami i resztą Stworzenia. Tak przynajmniej się nam wydaje. To naturalnie złudzenie.

– Świetne... – przyznał Godolphin. – To mi się podoba.

– Powiedz, czy podejmujemy dzieło boskie, czy nie? – Roxborough domagał się wyraźnej odpowiedzi.

– A co, masz wątpliwości?

– Jeszcze jakie – mruknął McGann. Roxborough spiorunował go wzrokiem.

– A czy przysięgaliśmy ich nie mieć? Nie przypominam sobie. Dlaczego karcicie mnie za to, że zadałem proste pytanie?

– Przepraszam – powiedział McGann. – Powiedz mu, maestro. To, co robimy, to jest boże dzieło, prawda?

– Czy Bóstwo chce, żebyśmy byli bardziej sobą niż w tej chwili? – zapytał retorycznie Gentle. – Oczywiście! Czy chce, żebyśmy kochali? Żebyśmy się zjednoczyli, stali całością? Naturalnie. Czy chce, żebyśmy na wieki uczestniczyli w Jego chwale? Tak.

– Zawsze mówisz o Bogu „Bóstwo”, w rodzaju nijakim. Dlaczego? – zdziwił się McGann.

– Stwórca i jego dzieło, Stworzenie, są jednym, czyż nie?

– Tak.

– W Stworzeniu jest tyle samo mężczyzn, co i kobiet, prawda?

– Prawda, oczywiście że prawda.

– Co nie przestaje mnie cieszyć. – Gentle zerknął z ukosa na Godolphina. – W łóżku i poza nim.

Joshua zaśmiał się swoim szatańskim śmiechem.

– Zatem w boskości jest pierwiastek męski i żeński, a ja dla wygody mówię „Bóstwo” – dokończył Gentle.

– Odważne słowa! – przyznał Joshua. – Uwielbiam cię słuchać, Sartori. Mogę mieć namączone w głowie, ale wystarczy jedno twoje zdanie i myśli robią mi się klarowne jak źródłana woda.

– Mam nadzieję, że bez przesady – zauważył maestro. – Nie potrzeba nam purytanów, którzy zepsuliby ceremonię Pojednania.

– Przecież mnie znasz – odparł Joshua, patrząc mu w oczy.

W tej samej chwili Gentle uzyskał ostateczny dowód na potwierdzenie swoich podejrzeń, że te rozmowy, chociaż połączone w nieprzerwany ciąg, odbywały się w różnych chwilach i sytuacjach, i tylko jego pamięć spletała je w całość, gdy pokoje, do których zaglądał, budziły wspomnienia ze snu. Postaci McGanna i Roxborougha zbladły i rozpląnęły się w powietrzu, świece w większości pogasły, zniknęły karafki, kieliszki i półmiski. Zostali przy stole we dwóch z Joshuą, jak para konspiratorów. Wszyscy inni spali.

– Chcę przy tym być – powiedział właśnie Joshua, śmiertelnie poważny, niespokojny, zmartwiony nawet. – Ona jest dla mnie bezcenna, Sartori. Gdyby coś jej się stało, postradałbym chyba zmysły.

– Będzie całkowicie bezpieczna – zapewnił go maestro.

Usiadł przy stole. Leżała na nim rozłożona mapa Imajiki, na której wpisano imiona maistrów i ich asystentów z różnych dominiów – każde w pobliżu miejsca, w którym mieli odprawić rytuał. Stwierdził, że niektóre z nich brzmią znajomo: pamiętał Tickę Raw, który miał asystować Uterowi Mu-

sky'emu; rozpoznał imię Scopique'a – pomocnika asystenta Heratae Hamme-ryocka (zapewne dalekiego krewnego Hammeryocka, którego poznali z misty-
fem w Vanaeph). Imiona z dwóch przeszłości spotykały się na mapie.

– Słuchasz mnie?

– Powiedziałem, że nic jej nie grozi – odparł maestro. – Ta ceremonia wy-
maga precyzji, ale nie jest niebezpieczna.

– Pozwól mi przy niej być – prosił Godolphin, wyłamując palce. – Będę ci
asystował zamiast tego paskudnego mistyfa.

– Nawet nie powiedziałem Pie'oh'pahowi, co zamierzamy; to sprawa mię-
dzy nami dwoma, tylko i wyłącznie. Przyprowadź jutro Judith, a ja zajmę się
resztą.

– Ona jest taka delikatna.

– Mnie się wydaje bardzo opanowana. Poza tym ma chyba temperament,
co?

Gniew zmroził zatroskane rysy Godolphina.

– Uspokój się, Sartori. Nie dość, że przez cały wczorajszy dzień musiałem
wysłuchiwać Roxborougha, który nic, tylko powtarzał, że ci nie ufa, to jesz-
cze teraz ty popisujesz się swoją arogancją.

– Roxborough nic nie rozumie.

– Twierdzi, że masz obsesję na punkcie kobiet, więc nie jest taki głupi.
Podobno podglądasz jakąś dziewczynę z domu naprzeciwko...

– Jeśli nawet, to co z tego?

– Jak możesz w pełni poświęcić się Pojednaniu, skoro pochłaniają cię ta-
kie sprawy?

– Chcesz mnie przekonać, żebym zapomniał o Judith?

– Myślałem, że magia jest twoją religią.

– Magia też.

– Najwyższym prawem. Uświęconą tajemnicą.

– Obie są dla mnie sekretem – roześmiał się Gentle. – Kiedy ją pierwszy
raz ujrzałem, wydawało mi się, że otworzył się przede mną inny świat. Zro-
zumiałem, że zaryzykuję własne życie, byle tylko znaleźć się w niej. Kiedy
jestem przy niej, czuję się znów jak adept sztuki, który wyczekuje cudu. Je-
stem taki niepewny, podniecony...

– Przestań!

– Mówisz poważnie? Nie interesuje cię, dlaczego tak bardzo chcę w niej
być?

– Niespecjalnie, ale jeśli mi nie powiesz, i tak będę się zastanawiał – odparł zrezygnowany Godolphin.

– Bo wtedy chociaż na chwilę zapomnę, kim jestem. Wszystko, co małoskone i nieważne, zniknie. Nie będzie ambicji, nie będzie przeszłości; rozplynę się w nicość. A to stan najbliższy boskości.

– Jak ty to robisz, że zawsze wszystko sprowadzasz do Boga? Nawet swoją żądę!

– Wszystko jest jednością.

– Nie lubię, kiedy mówisz o jedności. Przypominasz mi Roxborougha z tymi jego maksymami: „W prostocie siła” i tak dalej...

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. Widzisz, kobiety znajdują się u początku wszechrzeczy, a ja, jak by to powiedzieć... lubię być blisko źródła.

– Uważasz, że jesteś doskonały, prawda?

– Skąd u ciebie ta gorycz? Jeszcze tydzień temu spijałeś każde słowo z moich ust.

– Nie podoba mi się to, co chcemy zrobić. Chcę mieć Judith dla siebie.

– Będziesz ją miał. Obaj będziemy ją mieli i to jest w tym wszystkim najwspanialsze.

– Niczym się nie będą różnić?

– Niczym. Będą identyczne, co do zmarszczki, co do rzęsy.

– To dlaczego mam się zadowolić kopią?

– Znasz odpowiedź. Oryginał kocha mnie, nie ciebie.

– Niepotrzebnie was ze sobą poznałem.

– Nie zdołałbyś nas długo trzymać w nieświadomości. Nie krzyw się tak żałośnie. Zrobię ci Judith, która będzie cię ubóstwiać. Ciebie, twoich synów, ich synów i wszystkie następne pokolenia mężczyzn, aż nazwisko Godolphinów zniknie z powierzchni Ziemi. Co w tym złego?

Nagle zgasły wszystkie świece poza tą, którą trzymał w dłoni; wraz z nimi odeszła przeszłość. Znowu był sam w pustym domu. Gdzieś niedaleko zawodziła policyjna syrena. Wrócił do holu i zdążył dostrzec radiowóz pędzący Gamut Street, rzucający na wszystkie strony niebieskie odbłaski. Chwilę później przejechał następny wóz na sygnale, potem zaś, mimo że wycie syren ucichło, migotanie bynajmniej nie ustąpiło – światło z niebieskiego zrobiło się białe i straciło rytm, a w jego blasku dom znów wrócił do dawnej wspaniałości. Tym razem nikt się w nim nie śmiał, nie prowadził uczonych dysput; zewsząd dobiegał szloch, z zakamarków niósł się zwierzęcy odór stra-

chu. Zagrzmiało, dachówki zaklekotały, ale deszcz nie padał.

Nie chcę tu być, pomyślał Gentle. Tamte pierwsze wspomnienia były zabawne, podobała mu się rola, jaką odgrywał. Teraz zaś z ciemności wyzierała śmierć, przed którą miał ochotę uciec jak najdalej.

Następny makabrycznie jasny piorun przeszył niebo. W jego świetle Gentle ujrzał stojącego na schodach Luciusa Cobbitta, który trzymał się kurczowo poręczy, jakby od tego zależało jego życie. Musiał sobie przygryźć język albo wargę, bo zmieszana ze śliną krew ściekała mu po ustach i lepiła się do brody. Z bliska Gentle poczuł odór kału; zwieracze nie wytrzymały i chłopak narobił w spodnie. Na widok Gentle'a podniósł wzrok.

– Dlaczego nam się nie udało, maestro? – spytał. – Dlaczego?

Gentle wzdrygnął się, gdy obudzone pytaniem Luciusa obrazy zaczęły nieproszone napływać mu do głowy. Wyglądały potwornie, gorzej niż rzeź, której był świadkiem przy Wybielu. Niepowodzenie przyszło nagle, zastało maistrów w trudnej chwili, gdy zupełnie nie mogli zapobiec katastrofie. Duchy całej piątki wzniosły się już ponad Imajicą. Każdy niósł w sobie podobną sferę świata, z którego wyruszył. Spotkały się wszystkie w Ana, nienaruszalnej, bezpiecznej strefie, która co dwieście lat tworzy się w samym sercu In Ovo. W niej właśnie przez krótki czas możliwe są cuda; maestrowie – bezpieczni od zagrożeń In Ovo, a zarazem wolni od ograniczeń narzucanych przez byt materialny – pozbyli się brzemienia światów i czekali, by duch Ana ostatecznie zespolił dominia. To był delikatny moment, ale zbliżał się ku końcowi, gdy nagle krąg, w którym maestro Sartori zostawił swoje ciało i który chronił Ziemię przed bezpośrednim kontaktem z In Ovo, pękł. Z wielu możliwych tragedii, które groziły niepowodzeniem rytuału, ta była najmniej prawdopodobna – tak jakby cud Przemienienia nie nastąpił, bo ktoś wypiekł hostię bez soli. A jednak stało się, krąg pękł i nie mogło być mowy o załataniu szczeliny, póki maestrowie nie wrócili do swoich ciał fizycznych i nie użyli odpowiednich sztuk. Przez ten czas jednak wygłodniałe bestie z In Ovo miały swobodny dostęp do Piątego Dominium – i nie tylko do niego, lecz także do niczego niespodziewających się maistrów, którzy wracając, sami zaprowadzili je do swoich ciał.

Gdyby nie interwencja Pie'oh'paha, Sartori także by zginął razem z pozostałymi. Kiedy krąg został przerwany, mistyfa właśnie wyrzucano z Azylu na wyraźny rozkaz Godolphina, gdyż wyczuwając niebezpieczeństwo, szepnął ostrzeżenie, czym przeszkodził publiczności. Obowiązek usunięcia go przy-

padł w udziale Abelove'owi i Cobbittowi, ale nie mieli dość siły, żeby powstrzymać mistyfa. Pie wyrwał im się, przebiegł przez Azyl i skoczył do środka kręgu, w którym ciało jego pana widoczne było jako oślepiająca plama światła. Mistryf wiele się nauczył pod okiem maestra; umiał obronić się przed wypełniającą krąg mocą i wyszarpnął Sartoriego spod samych nosów wygłodniałych mieszkańców In Ovo.

Reszta towarzystwa – rozdarta między ostrzegawczymi okrzykami mistyfa i słowami Roxborougha, który desperacko próbował zaprowadzić porządek – stała niezdecydowana, gdy stwory wydostały się z kręgu.

Były szybkie. Azyl, który chwilę wcześniej stanowił dla widzów pomost do metafizycznego przeżycia, w mgnieniu oka zmienił się w rzeźnię. Oszołomiony swoim nagłym upadkiem maestro widział tylko urywki masakry, ale te kilka chwil na trwałe wypaliło mu się w mózgu i teraz oglądał je ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami. Pamiętał Abelove'a, który leżał przerażony na ziemi, gdy potwór wielkości byka (choć o wyglądzie płodu jakiejś nienazwanej istoty) otworzył pozbawioną zębów paszczę i wciągnął go do środka jęzorami długimi jak bicze; McGanna, któremu smukłe czarne zwierzę o fałującym ciele odgryzło ramię, ale on mimo to odczołgał się, brocząc krwią; i Floresa, biednego Floresa, który dzień wcześniej zjawił się na Gamut Street z listem polecającym od Casanovy, a którego dopadły dwie bestie o czaszkach płaskich jak łopaty i przezroczystej skórze (dzięki czemu widać było, jak umiera, gdy jedna odgryzła mu głowę, a druga pożarła nogi).

Ale najbardziej zapadła Gentle'owi w pamięć makabryczna śmierć siostry Roxborougha – także dlatego, że brat starał się za wszelką cenę nie dopuścić do jej obecności w Azylu. Poniżył się przed maestrem, błagając go, by ją przekonał. Owszem, porozmawiał z nią, ale zamiast ostrzec, starał się ją uwieść (co prawie mu się udało) i kiedy przyszła obejrzeć Pojednanie, uczyniła tak nie tylko dla samej ceremonii, ale i po to, by jeszcze raz spojrzeć mu w oczy. Zapłaciła za to straszliwą cenę. Potwory biły się o nią jak głodne wilki o kość, a ona wyła i modliła się o ratunek, gdy wreszcie wywlekły jej wnętrzności i rozplątały czaszkę. Zanim maestro z pomocą Pie'oh'paha zebrał dość sił i użył swoich sztuk, by zapędzić bestie do kręgu, umarła zaplątana we własne jelita. Do końca miotała się jak nadziana na hak, wypatroszona ryba.

Później dowiedział się, jakie potworności wydarzyły się w sąsiedztwie innych kręgów. Wszędzie było tak samo. Istoty z In Ovo wdarły się w tłum

niewinnych widzów, urządziły rzeź i dopiero któremuś z asystentów maestra udawało się je powstrzymać. Sami maestrowie – poza Sartorim – zginęli.

– Szkoda że nie umarłem z nimi – powiedział do Luciusa.

Chłopak próbował go przekonać, że nie ma racji, ale łyzy zdławiły mu głos.

– Sartori! – zawołał ktoś z dołu schodów. Ten głos był chrapliwy, przepełniony smutkiem, ale silny. – Sartori!

W holu stał Joshua. Elegancki jasnobłękitny płaszcz miał cały zachlapany krwią. Ręce i twarz również.

– Co teraz będzie? – krzyczał. – Ta burza rozedrze nasz świat na strzępy!

– Nie, Joshua.

– Nie okłamuj mnie! Takiej nawałnicy nigdy jeszcze nie było! Nigdy, słyszysz?!

– Opanuj się...

– Chryste, wybacz nam nasze winy!

– To nic nie pomoże, Joshua.

Godolphin przytknął do ust trzymany w dłoniach krzyżyk.

– Ty bezbożne ścierwo! Jesteś demonem?! Przyszedłeś zabrać nam dusze?! – Łzy spływały mu po wykrzywionej w opętańczym grymasie twarzy. – Z jakiego piekła przybywasz?

– Z tego samego co ty. Piekła ludzkości.

– Powinienem był słuchać Roxborougha. On wiedział! Cały czas powtarzał, że masz jakiś plan, a ja nie chciałem mu uwierzyć, bo Judith cię kochała, a jak istota tak czysta może pokochać człowieka przeklętego? Ale i przed nią ukryłeś swą prawdziwą naturę, prawda? Biedna, słodka Judith! Co jej zrobiłeś, że cię pokochała? Co jej zrobiłeś?

– Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

– Gadaj! Jak to zrobiłeś?

Godolphin nie panował już nad sobą, rzucił się na maestra. Gentle podniósł rękę do ust. Godolphin zatrzymał się; znał jego moc.

– Czy nie dość przelano dziś krwi? – zapytał maestro.

– Ty ją przelałeś, nie ja – odparł Godolphin i wyciągnął oskarżycielsko palec. Z zaciśniętej pięści zwisał krucyfiks na łańcuszku. – Nie zaznasz spokoju. Roxborough już nawołuje do przeprowadzenia czystki, a ja zamierzam go wesprzeć każdą gwineą, jaką mam, byle tylko przetrącił ci kark. Bądź przeklęty, ty i twoje dzieło!

– Judith też?

– Nie chcę więcej widzieć tego monstrum na oczy!

– Ależ ona należy do ciebie, Joshua – zauważył spokojnie maestro i zaczął schodzić po schodach. – Jest twoja na wieki. Nie będzie się starzeć, nie umrze... Należy do rodu Godolphinów do czasu, aż słońce zgaśnie.

– Zabiję ją.

– Chcesz mieć jej niewinną duszę na sumieniu?

– Ona nie ma duszy!

– Obiecałem ci Judith, która będzie nie do odróżnienia od oryginału, i taka właśnie jest. Jak religia. Jak najwyższe prawo. Jak uświęcona tajemnica, pamiętasz?

Godolphin ukrył twarz w dłoniach.

– To jedyna prawdziwie niewinna istota z nas wszystkich, Joshua. Dbaj o nią. Kochaj ją tak, jak nigdy nie kochałeś żadnego żywego stworzenia. Ona jest naszym jedynym sukcesem. – Złapał Godolphina za ręce i odsunął mu je od twarzy. – Nie wstydz się ambicji. I nie wierz nikomu, kto by twierdził, że to dzieło diabła. Zrobiliśmy to z miłości.

– Co masz na myśli? Judith czy Pojednanie?

– Wszystko jest jednością. Przynajmniej w to spróbuj uwierzyć.

Godolphin wyszarpnął ręce z jego uchwytu.

– W nic już nie uwierzę.

Odwrócił się i znudzony wyszedł.

Stojąc na schodach i patrząc, jak odchodzi, Gentle żegnał się z nim po raz drugi. Po tamtej nocy więcej go już nie spotkał. Kilka tygodni później Godolphin zaszył się w swojej wiejskiej posiadłości i dogorywał tam w umartwie- niu, aż wrażliwe serce pękło mu z rozpacz.

– To moja wina – odezwał się stojący z tyłu chłopiec.

Gentle całkiem o nim zapomniał.

– Nie – odparł. – Nie obwiniaj się.

Lucius otarł krew z brody, ale nie potrafił zapanować nad dreszczami.

– Zrobiłem wszystko, co kazałeś, panie... – wyjąkał, szcękając zębami. – Naprawdę... Przysięgam... Ale coś musiałem przegapić w rytuałach... albo... sam nie wiem... Może pomyliłem kamienie...

– O czym ty mówisz?

– Dałeś mi kamienie, panie, żebym wymienił te, które były uszkodzone.

– Nie dawałem ci żadnych kamieni, Luciusie.

– Dawałeś, maestro! Dwa kamienie, które miały znaleźć się w kręgu. Te,

które wyjąłem, miałem zakopać pod progiem. Nie pamiętasz, panie?

Słuchając go, Gentle zrozumiał wreszcie, dlaczego nie doszło do Pojednania. Jego sobowtór, zrodzony w tym właśnie domu, na piętrze, kazał Luciusowi zastąpić część kręgu kamieniami, które do złudzenia przypominały prawdziwe (talent do fałszerstw jest dziedziczny). Wiedział, że w kluczowym momencie krąg będzie musiał pęknąć.

O ile jednak człowiek, który oglądał te sceny jako wspomnienia, rozumiał, co się stało, o tyle prawdziwy maestro Sartori, nieświadomy istnienia bliźniaka, nie umiał rozwikłać tej tajemnicy.

– Nie wydałem ci takiego polecenia.

– Rozumiem – odparł chłopak. – Musisz zrzucić winę na mnie, panie. Po to właśnie maestrom potrzebni są adepci. Błagałem cię o szczyptę odpowiedzialności i cieszę się, że ją dostałem. Chociaż zawiodłem. – Sięgnął do kieszeni. – Wybacz mi, maestro – dodał, wyciągnął z kieszeni nóż i pchnął się w serce. Gdy tylko ostrze przebiło skórę, maestro wyrwał mu nóż i cisnął na schody.

– Kto ci pozwolił to zrobić? – zapytał. – Wydawało mi się, że chcesz być adeptem.

– Bo chciałem.

– A teraz już ci przeszło? Zrozumiałeś, co znaczy upokorzenie, i już masz dość?

– Nie! Dalej pragnę mądrości, ale dziś cię zawiodłem.

– Dzisiaj wszyscy zawiedliśmy! – Maestro położył chłopcu dłonie na ramionach i mówił cicho dalej: – Nie wiem, jak doszło do tej tragedii, ale w powietrzu czuję coś więcej niż tylko twoją kupę, mały. Ktoś tu uknuł spisek, ktoś, kto chciał pokrzyżować nasze wzniosłe plany. Gdyby nie zaślepiła mnie żądza sławy, może bym to dostrzegł wcześniej. Nie jesteś niczemu winien, Luciusie. To, że umrzesz, nie wróci życia ani Abelove'owi, ani Esther... nikomu. Posłuchaj mnie.

– Słucham, panie.

– Czy wciąż chcesz być moim uczniem?

– Oczywiście!

– Czy zatem wypełnisz moje polecenia? Co do joty?

– Zrobię, co zechcesz, maestro! Tylko powiedz.

– Weź moje książki – tyle, ile zdołasz udźwignąć – i odejdz jak najdalej stąd; jeżeli ci się uda, możesz udać się nawet na drugi kraniec Imajiki. Zaszyj

się gdzieś, gdzie nie znajdą cię psy gończe Roxborougha. Dla takich jak my nadchodzą ciężkie czasy, przeżyją tylko najsprytniejsi. Ale ty przecież jesteś sprytny, prawda?

– Tak.

– Nie wątpię – uśmiechnął się maestro. – Studiuj księgi w sekrecie, Luciusie, naucz się żyć poza czasem. Wtedy lata nie będą się ciebie imać, a gdy Roxborough umrze, będziesz mógł spróbować jeszcze raz.

– Gdzie wtedy będziesz, maestro?

– Jeżeli dopisze mi szczęście, zostanę zapomniany. Chociaż nie sądzę, by ludzie kiedykolwiek mi wybaczyli. Nie bądź taki przygnębiony; muszę wiedzieć, że wciąż istnieje nadzieja. Chcę, żebyś ty ją ucieleśniał.

– To dla mnie zaszczyt, maestro.

Gentle znów miał wrażenie *déjà vu*, tak jak kiedy pierwszy raz spotkał Luciusa przy wejściu do jadalni – tym razem jednak było słabsze i ulotniło się, nim zdołał je ogarnąć.

– Pamiętaj, Luciusie, że wszystko, czego się uczysz, jest już częścią ciebie. Nawet Bóstwo. Dlatego studiując, nie zapominaj, że wszystko to już wiesz. Kiedy zechcesz coś czcić, czcij tylko jako swoje prawdziwe „ja”. Niczego się nie obawiaj... – wzdrygnął się, jakby na chwilę opanowały go złe przeczucia – ...i miej zawsze świadomość, że twój nieprzyjaciel też jest w tobie i że tylko ty możesz go uzdrowić. Wszystko, co złe, zawiera się w bólu. Zapamiętasz?

– Najlepiej jak umiem – odparł niepewnie chłopiec.

– To nam będzie musiało wystarczyć. A teraz zmykaj, zanim przyjdą ludzie Roxborougha i zaczną się czystka.

Puścił chłopca, który tyłem wycofał się po schodach, jak prostak sprzed oblicza króla. Odwrócił się dopiero w holu na dole.

Burza szalała dokładnie nad Gamut Street i kiedy wraz z Luciusiem zniknął smród odchodów, powietrze przesyciła woń ozonu. Płomień świecy w ręce Gentle'a zadrżał; przez chwilę wydawało mu się, że zgaśnie, oznajmiając koniec przedstawienia (przynajmniej tej nocy), ale czekały dalsze atrakcje.

– Byłeś bardzo miły – powiedział Pie'oh'pah.

Gentle odwrócił się. Mistyf stał u szczytu schodów. Ze zwykłą sobie niechęcią pozbył się zabrudzonych szat, ale spodnie i biała koszula w zupełności wystarczały, by wyglądał absolutnie idealnie. W całej Imajice nie ma piękniejszej twarzy, pomyślał Gentle. Ani wdzięczniejszej sylwetki. Makabrycz-

ne sceny, które przywołała burza, traciły wszelkie znaczenie, dopóki mógł się napawać jego widokiem. Ale maestro, którym był w tej scenie, nie popełnił jeszcze tragicznego błędu i nie stracił mistyfa, toteż bardziej zmartwił się tym, że jego oszustwo może wyjść na jaw.

– Byłeś tutaj, kiedy przyszedł Godolphin? – zapytał.

– Tak.

– W takim razie wiesz o Judith?

– Domyślam się.

– Nie mówiłem ci o tym, bo wiedziałem, że ten pomysł ci się nie spodoba.

– Nie do mnie należy ocena twoich pomysłów. Nie jestem twoją żoną; nie musisz obawiać się mojej opinii.

– A jednak się obawiam. Pomyślałem sobie, że po udanym Pojednaniu będzie to wyglądało jak drobne ustępstwo na rzecz zmysłów, a ty powiesz, że na nie zasłużyłem, po tym, czego dokonałem. Teraz zaś cała rzecz wygląda jak zbrodnia. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

– Żałujesz? Z głębi serca?

Maestro podniósł wzrok.

– Nie – odparł zdziwiony nagłym odkryciem. Zaczął wchodzić po schodach na górę. – Chyba wierzę w to, co powiedziałem Godolphinowi, że ona jest naszym jedynym...

– Sukcesem. – Pie usunął się na bok, przepuszczając Gentle'a, który skierował się do pokoju medytacyjnego, pustego jak zawsze. – Chcesz zostać sam?

– Nie – odrzekł pośpiesznie maestro. – Proszę – dodał ciszej.

Podszedł do okna, z którego tyle razy podglądał Allegrę przy wieczornej toalecie. Gałęzie drzewa, które ich rozdzielały, były starte na miazgę od uderzania w okiennice.

– Umiesz sprawić, bym o wszystkim zapomniał. Pie'oh'pahu? Są przecież odpowiednie sztuki, prawda?

– Naturalnie. Ale czy tego właśnie chcesz?

– Nie. Nade wszystko chciałbym umrzeć, tylko na razie za bardzo boję się śmierci. Tak że... zapomnienie będzie mi musiało na razie wystarczyć.

– Prawdziwy maestro włączyłby ból w swoje doświadczenie.

– Nie jestem prawdziwym maestrem. Brak mi odwagi. Pomóż mi zapomnieć, mistyfie. Oddziel mnie na zawsze od tego, kim jestem i co zrobiłem. Niech twoja sztuka stanie się rzeką, za którą zostawię tę chwilę, i niech mnie

nie kusi, żeby ją przekroczyć.

– Jak będziesz żył?

Maestro zamyślił się na chwilę.

– Po kawałku. Każdy kolejny kawałek będzie nieświadomy tego, który był przed nim. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście.

– Ja zrobiłem to samo kobiecie, którą stworzyłem dla Godolphina. Co dziesięć lat jej życie będzie się rozpadać, a ona wymyśli sobie nowe i zapomni, co było wcześniej.

Gentle słyszał we własnych słowach jakąś pokrętną satysfakcję. Skazywał się na dwieście lat beznadziei, ale zdawał sobie dokładnie sprawę, co robi. Dokładnie tak samo ułożył życie nowej Judith i w jej imieniu rozważył wszystkie konsekwencje. To nie tchórzostwo kazało mu się wyzbyć wspomnień – w ten sposób mścił się na samym sobie za to, że zawiódł pokładane w nim nadzieje, planował sobie tak samo pustą przyszłość, jak istocie, którą stworzył.

– To może być przyjemne, Pie – mówił dalej. – Będę wędrował po świecie i żył chwilą, nie będę tylko umiał zebrać tych chwil w całość.

– A co ze mną?

– Kiedy zrobisz to, o co proszę, będziesz wolny.

– Co z tego? Co się ze mną stanie?

– Albo zostaniesz dziwką, albo płatnym mordercą. Nic mnie to nie obchodzi.

Rzucił tę uwagę od niechcienia; z pewnością nie zamierzał rozkazywać mistyfowi – ale czy obowiązkiem niewolnika było odróżniać polecenia, których miał bezwzględnie przestrzegać, od tych, które jego pan wydawał dla żartu? Nie. Niewolnik miał służyć i słuchać, zwłaszcza kiedy polecenie pochodziło z ust ukochanej osoby. W ten sposób maestro jednym przypadkowym zdaniem określił życie Pie na następne dwa stulecia, zmuszając go do rzeczy, które z pewnością były mu wstrętne.

Widział, że oczy mistyfa zaszyły łzami, poczuł jego cierpienie jak cios potężnego młota wymierzony w samo serce. Brzydził się swojej arogancji i bezmyślności – to przez nie skrzywdził istotę, która tylko chciała go kochać. Nigdy tak bardzo za nim nie tęsknił, jak w tej chwili; gdyby mógł, błagałby go o przebaczenie.

– Chcę zapomnieć – powiedział. – Niech się to wszystko skończy.

Pie poruszył wargami. Maestro nie słyszał jednak słów, które przyniosły mu zapomnienie. Poruszony oddechem mistyfa płomyk świecy zadrżał niespokojnie i zgasł, a wraz z nim zniknęły wszystkie wspomnienia.

Gentle wymacał w ciemności zapaliki. Zapalił dymiący jeszcze knot, ale burzliwa noc przeszła tymczasem do historii, a z nią Pie'oh'pah – piękny, posłuszny, kochający Pie'oh'pah. Tak go stracił. Usiadł przy świecy i czekał na zakończenie przedstawienia, lecz dom był pusty i martwy od piwnic po dach.

– Co dalej, maestro? – powiedział na głos.

Odpowiedział mu własny żołądek; zagrzmiało, jakby burza przeniosła się do jego wnętrza.

– Głodny jesteś? – zapytał Gentle i usłyszał radosny gulgot w odpowiedzi.
– Ja też.

Wstał i zaczął schodzić na dół, szykując się na powrót do współczesności. Kiedy jednak znalazł się na dole, usłyszał jakieś chrobotanie. Podniósł świecę.

– Kto tam?! – zawołał.

Ani światło, ani głos nie sprowokowały wyraźnej reakcji, lecz chrobot nie ustawał. Dołączyły do niego inne, równie nieprzyjemne dźwięki: cichy, bolesny jęk, wilgotne szuranie, rżący oddech. Gentle był ciekaw, jaki melodramat szykuje mu pamięć, skoro potrzebuje tak wyświechtanych rekwizytów. Kiedyś może by się ich nawet wystraszył, ale nie teraz; zbyt często stawał twarzą w twarz z makabrą, żeby przejąć się imitacją.

– Co jest grane? – zapytał i zdziwił się, gdy tym razem nadeszła odpowiedź:

– Długo na ciebie czekaliśmy – zabrzmiał świszczący głos.

– Myśleliśmy, że już nie przyjdiesz – zawtórował mu drugi, bardziej dźwięczny, jakby kobiecy.

Gentle na granicy kręgu światła dostrzegł coś, co wyglądało jak fałda szkarłatnej sukni, która jednak zaraz zniknęła w cieniu. Na deskach podłogi połyskiwała świeża krew. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Nie musiał długo czekać.

– To była twoja wina – zaświszczał mężczyzna. – Ale ból był nasz. Tyle lat musieliśmy czekać.

Głos, chociaż zniekształcony złością, wydał się Gentle'owi znajomy. Słyszał go już w tym domu.

– To ty, Abelove?

– Pamiętasz srokę? Tyle razy sobie wmawiałem, że to był mój błąd, że nie powinienem był przynosić tego ptaka do domu. Tyrwhitt nie chciał mieć z nim nic wspólnego... i przeżył, prawda? Zmarł jako zdziecinniały staruszek. Roxborough też ocalał, i Godolphin, i ty. Nic wam się nie stało. A ja? Cierpiałem tu, tłukąc się o szybę, ale nie mogłem uderzyć dość mocno, żeby zgiąć. – Abelove jęknął znowu i choć jego słowa były kompletnie pozbawione sensu, Gentle'a przebiegł dreszcz. – Nie jestem sam, naturalnie. Jest ze mną Esther, Flores, i Byam-Shaw, i szwagier Bloxhama. Pamiętasz go? Nie będziesz się nudził.

– Nie zostanę z wami – odparł Gentle.

– Zostaniesz – powiedziała Esther. – Tyle przynajmniej możesz dla nas zrobić.

– Zdmuchnij świecę – polecił Abelove. – Oszczędź sobie naszego widoku. Kiedy wyłupimy ci oczy, będziesz mógł żyć wśród nas. Jako ślepiec.

– Nie ma mowy. – Gentle podniósł świecę, rozszerzając krąg światła.

Zobaczył ich. Stali na granicy cienia, światło połyskiwało na wywleczonych z brzucha jelitach. To, co wziął za rąbek sukni Esther, było w istocie wleczonym po podłodze płatem skóry zdartym z jej biodra i nogi. Przytrzymała go ręką, próbując zasłonić łono przed wzrokiem Gentle'a. Ta próba zachowania pozorów była absurdalna, ale nie wiedział, czy dwustuletnia sła-wa kobieciarza nie sprawiła, że Esther – nawet w tak potwornym stanie – boi się jego żądz.

Poza tym to nie jej widok był najbardziej odrażający. Byam-Shaw prawie nie przypominał człowieka, a szwagier Bloxhama wyglądał, jakby pogryzły go tygrysy. Wszyscy jednak byli gotowi się zemścić i na rozkaz Abelove'a zaczęli zacieśniać krąg wokół Gentle'a.

– Dość się już nacierpieliście – powiedział. – Nie chcę wam robić krzywdy. Lepiej mnie przepuście.

– A po co? – zdziwił się Abelove, coraz lepiej widoczny w blasku świecy. Miał zdartą skórę z czaszki, jedno oko wypłynęło mu na policzek, gdzie trzymało się na włóknach nerwu. Kiedy podniósł rękę w oskarżycielskim geście, wskazał Gentle'a małym palcem, jedynym ocalałym. – Chcesz spróbować jeszcze raz, prawda? Nie masz co zaprzeczać! Stare ambicje wcale nie wywietrzały ci z głowy!

– Umarliście w imię Pojednania – odparł Gentle. – Nie chcecie go zobaczyć?

– To potworność, która nigdy nie powinna się wydarzyć! Nasza śmierć właśnie tego dowodzi. Jeżeli spróbujesz ponownie i znów ci się nie uda, nasza ofiara będzie daremna.

– Uda mi się.

– Nie – wtrąciła Esther. Wypuściła z ręki płat skóry i wyciągnęła sobie z brzucha kawałek jelita, chwytając je oburącz jak garotę. – Nie uda ci się, bo nie będziesz miał okazji spróbować.

Rzut oka na ich twarze wystarczył, by Gentle zrozumiał, że nie zdoła ich przekonać. Nie po to czekali tyle lat, żeby teraz dać wiarę jego argumentom. Pragnęli zemsty. Musiał powstrzymać ich pnięciem, chociaż nie chciał przysparzać im cierpień. Przełożył świecę do lewej ręki – i w tej samej chwili ktoś od tyłu złapał go za ramiona. Świeca upadła i potoczyła się w kierunku napastników, ale zanim płomień utonął w wosku, Abelove ujął ją w okaleczoną dłoń.

– Doskonale, Flores – powiedział.

Mężczyzna przytrzymujący Gentle'a chrząknął potakująco i potrząsnął jeńcem. Jego ręce, choć obdarte ze skóry, trzymały jak imadło. Abelove skrzywił się w grymasie mającym uchodzić za uśmiech; jego twarz, która miała strzępy skóry zamiast policzków i szereg wrzodów zamiast ust, wyglądała makabrycznie.

– Nie stawiasz oporu – stwierdził, podchodząc bliżej. – Czemu? Pogodziłeś się z tym, że do nas dołączysz? A może wydaje ci się, że wzruszeni twoim męczeńskim spokojem puścimy cię wolno? Ładniutki jesteś – westchnął, przekrzywiając głowę. – Ludzie kochali tę twarz. I tę pierś. Kobiety biły się o to, żeby złożyć na niej głowę! – Rozdarł Gentle'owi koszulę na piersi. – Jaki błąd! I bezwłosy! To chyba nie jest włoskie ciało, co?

– A jakie to ma znaczenie? – spytała Esther. – Grunt, że krwawi.

– Nigdy nie raczył nam nic o sobie powiedzieć. Musieliśmy wierzyć we wszystko, co chciał, bo miał moc. Tyrwhitt uważał go za boga. Ale nawet bogowie mają rodziców. – Abelove nachylił się tak blisko, że płomień świecy opalił Gentle'owi rzęsy. – Kim naprawdę jesteś? Nie jesteś Włochem. Może Holendrem? Mógłbyś być Holendrem. Albo Szwajcarem, taki opanowany i dokładny. I co? Mam rację? Czy po prostu jesteś dzieckiem szatana?

– Abelove! – Esther próbowała przywołać go do porządku.

– Chcę wiedzieć! – zakwilił Abelove. – Chcę usłyszeć, jak mówi, że jest synem Lucyfera! No, dalej, mów!

– Nie jestem nim.

– Żaden maestro w całym chrześcijańskim świecie nie mógł ci dorównać w sztukach. A przecież taka moc musi skądś pochodzić. Jak to z tobą było, Sartori?

Gdyby Gentle znał odpowiedź, chętnie by jej teraz udzielił, ale był bezradny.

– Kimkolwiek jestem i cokolwiek wam zrobiłem...

– Cokolwiek! – prychnęła Esther. – Słyszeliście?! Cokolwiek! Cokolwiek!

Odepchnęła Abelove'a i zarzuciła Gentle'owi na szyję pętlę swoich jelit. Abelove próbował zaprotestować, ale zbyt długo już tokował. Wyśmiali go, a najgłośniej śmiała się Esther. Szarpnęła stryczek, próbując przewrócić Gentle'a na podłogę: bardziej wyczuwał, niż widział czyhające na niego monstra. Któreś ugryzło go w nogę, inne uderzyło w genitalia. Ból był straszny i Gentle zaczął się miotać na wszystkie strony, ale trzymali go zbyt mocno – rękoma, zębami, jelitem – i nie mógł się uwolnić. Czerwona mgiełka krwi Esther zasnuwała mu widok. Ujrzał w niej, jak Abelove żegna się jednopalcząstą dłonią i podnosi świecę do ust.

– Nie! – krzyknął. Najmniejsza nawet odrobina światła była lepsza od całkowitej ciemności.

Abelove spojrział na niego, wzruszył ramionami i dmuchnął. Oślizłe ciała opadły Gentle'a ze wszystkich stron i pociągnęły w dół. Pięść, która biła go po genitaliach, otworzyła się i zacisnęła na nich. Krzyknął z bólu, a potem zawył całą oktawę wyżej, gdy ktoś wgryzł mu się w ścięgno pod kolanem.

– Na ziemię go! – wrzasnęła zgrzytliwie Esther. – Na ziemię!

Zaciśnięte na szyi jelito nie pozwalało mu zaczerpnąć tchu. Przyduszony, obity i pogryziony Gentle przewrócił się, zdołał jeszcze tylko odrzucić głowę w tył. Wiedział, że będą chcieli wyłupić mu oczy – i jeśli im na to pozwoli, będzie po nim. Gdyby nawet jakimś cudem uszedł z życiem, byłby bezradny. Mógł żyć pozbawiony męskości, ale nie ślepy. Upadł na kolana; czuł na sobie palce, którymi próbowali dosięgnąć jego twarzy. Wiedząc, że za kilka sekund może stracić oczy, otworzył je i w zalegającym pod sufitem mroku wypatrywał ostatniej pięknej rzeczy, na której mógłby zaczepić wzrok – wystarczyłby snop księżycowego światła, rozedrgana pajęczyna... Ale w górze panowała absolutna ciemność. Stracił oczy, zanim zdążył ich ponownie użyć.

I wtedy coś drgnęło w tej ciemności, przepłynęło jak dym, układając się w urojony kształt. Zapewne halucynował z bólu, ale ucieszył się na widok che-

rubinkowatej twarzy dziecka, które patrzyło wprost na niego.

– Otwórz się na mnie – powiedziało. – Poddaj się. Pozwól mi w ciebie wniknąć.

Następny znajomy motyw, pomyślał. Przyszedł do mnie we śnie mały orędownik, który mnie obroni; pokona koszmar, w którym mam zostać wykastrowany i oślepiiony. Ale skoro koszmar jest prawdziwy – a ból najlepiej tego dowodzi – to może i ta wizja... Dziecko poruszyło ustami.

– Wpuść mnie do swojej głowy. Do serca.

– Jak?! – krzyknął.

Abelove i pozostali zaczęli go przedrzeźniać.

– Jak? Jak? Jak? – powtarzali rytmicznie.

– Poddaj się – odparło dziecko.

To nie mogło być trudne. I tak przegrywał, więc co właściwie miał do stracenia? Patrząc w oczy dziecka, rozluźnił wszystkie mięśnie, przestał zaciskać pięści, kopać, otworzył usta i pochylił głowę.

– Otwórz się na mnie – usłyszał.

– Tak...

Gdzieś w głębi umysłu delikatnie jak ćma zatrzepotały ostatnie wątpliwości. Czy ta scena od początku nie pachniała melodramatem? Opowieść o duszy, którą cherubin wyrwał z czyścica i która otwierała się na zbawienie. Ale serce otworzył już szeroko i zanim niepewność zdążyła je zatrasnąć, dziecko rzuciło się na nie. Poczul jego obecność w gardle, chłód zmroził mu żyły. Mały intruz dotrzymał słowa – dręczyciele rozplýwali się w powietrzu, ich krzyk ginął we mgle.

Upadł. Dotknął twarzą podłogi – suchej, choć jeszcze przed chwilą ścielił się po niej krwawy tren Esther. Zniknął też bez śladu ohydny, dławiący odór. Gentle przetoczył się na bok i ostrożnie obmacał ścięgna; były nietknięte. Jądra, o których myślał, że zostały zmiażdżone na papkę, nawet nie bolały. Roześmiał się z ulgą i wyciągnął rękę, żeby namacać świecę. Urojenie! To były tylko zwidy, ostatni rytuał, którego jego umysł musiał dopełnić, żeby wyzbył się poczucia winy i wolny od jej brzemienia stał się Pojednawcą. Duchy świetnie się spisały. Był wolny.

Znalazł świecę. Podniósł ją, chwilę biedził się nad zapalkami, ale w końcu zapalił knot. Teatr, który zapełnił gbulami i cherubinami, był pusty od sceny po galerię. Gentle wstał. Mimo że rany i obrażenia istniały tylko w jego wyobraźni, szarpał się i walczył z potworami na serio. Jego ciało (po okrucień-

stwach Yzordderrex dalekie od najwyższej formy) źle to zniosło. Zaczął kuśtykać do drzwi, gdy usłyszał cherubina:

– Nareszcie sami.

Odwrócił się na pięcie – głos dobiegał z za jego pleców, ale na schodach nie było nikogo, podobnie jak na podeście i w odchodzących od holu korytarzach.

– Niesamowite, prawda? – odezwało się znowu dziecko. – Słyszeć, nie widząc. Można od tego oszaleć.

Gentle odwrócił się błyskawicznie. Płomień świecy zadygotał.

– Nadal tu jestem – powiedział cherubinek. – Nie opuszczę cię przez długi czas, więc lepiej będzie, jak polubimy się nawzajem. O czym chciałbyś pogadać? O polityce? O jedzeniu? Mnie to bez różnicy, byleśmy trzymali się z dala od religii.

Kiedy i tym razem Gentle spojrzął do tyłu, kątem oka dostrzegł ruch. Jego towarzysz nie przypominał już cherubina, raczej małą małą, miał bladą, jakby upudrowaną lub anemiczną, twarz, oczy jak czarne paciorki i ogromną paszczę. Zamiast tracić siły na pościg za zwinną bestią (która przed chwilą zwieszała się przecież spod sufitu), Gentle stał nieruchomo. Małpka gadała jak nakręcona – pewnie zaraz znów się odezwie, i w końcu mu się pokaże.

Nie musiał długo czekać.

– Te twoje demony musiały być naprawdę straszne – usłyszała. – Tak się rzuciłaś i kłęłaś...

– Nie widziałeś ich?

– Nie. I nie chcę ich widzieć.

– Włożyłaś mi paluchy do mózgu, prawda?

– Tak, ale nie zamierzam ci w nim grzebać. To nie moja sprawa.

– A co jest twoją sprawą?

– Jak ty możesz żyć w tym mózgu? Jest taki mały i ciasny.

– Co z twoimi sprawami?

– Mam ci dotrzymać towarzystwa.

– Ja niedługo wychodzę.

– Nie sądzę. Jest to, naturalnie, tylko moja prywatna opinia...

– Kim jesteś?

– Możesz mnie nazywać Spokojkiem.

– Co to za imię?

– Mój ojciec był strażnikiem więziennym. Spokojek to była jego ulubiona

cela. Powinienem się cieszyć, że nie zajmował się obrzezaniem chłopców, bo nazywałbym się pewnie...

– Wystarczy.

– Próbuję tylko podtrzymać rozmowę. Jesteś zdenerwowany. Niepotrzebnie. Nic ci się nie stanie, przynajmniej dopóki nie wystąpisz przeciwko mojemu maestrowi.

– Mówisz o Sartorim.

– Właśnie. Wiedział, że tu przyjdiesz, że przygna cię tu tęsknota i duma. Miał rację. Pewnie sam zrobiłby dokładnie to samo; w twoim umyśle nie ma nic, czego nie znałbym z jego umysłu. Poza mną samym, naturalnie. Nawiasem mówiąc, powinienem ci podziękować za pośpiech. Maestro kazał mi uzbroić się w cierpliwość, a ty przybyłeś już po dwóch dniach. Musiało ci strasznie zależeć na tych wspomnieniach.

Małpa kontynuowała swój monolog, gulgocząc gdzieś w głębi świadomości Gentle'a, ale on nie zwracał na nią uwagi. Planował następny krok. Kimkolwiek był ten stwór, przeniknął w głąb jego czaszki podstępem. Otwórz się na mnie, powiedział, a on, głupiec, posłuchał. Dał mu się osiąść i teraz musiał wymyślić jakiś sposób, żeby się go pozbyć.

– Tam, skąd przybyły, jest ich więcej.

Gentle zdążył już zgubić wątek.

– Czego więcej? – spytał.

– Wspomnień. Chciałeś poznać przeszłość, ale na razie widziałeś tylko ułamek ułamka całości. Najlepsze jeszcze przed tobą.

– Nie chcę niczego więcej.

– Dlaczego? To cały ty, maestro, tylko w różnych wcieleniach. Powinieneś dostać wszystko, co do ciebie należy. A może boisz się, że utoniesz w tym, czym byłeś?

Nie odpowiedział. Podejrzewał, że wiele szkody może mu wyrządzić przeszłość, gdyby się nią zachłysnął. Przed przyjściem do domu starał się przewidzieć taką możliwość i zabezpieczyć przed nią. Spokojek musiał wy czuć, że puls mu przyspieszył.

– Rozumiem, że się boisz – stwierdził. – Masz tyle na sumieniu, prawda?

Czuł, że musi jak najszybciej wyjść z tego domu. Dopóki tu siedział, prosił się o kłopoty.

– Dokąd to? – zainteresował się Spokojek, gdy Gentle ruszył do drzwi.

– Chcę się przespać – odparł niewinnym tonem.

- Możesz spać tutaj.
- Tu nie ma łóżka.
- Połóż się na podłodze. Zaśpiewam ci kołysankę.
- Nie ma też nic do jedzenia i picia.
- W tej chwili nie potrzebujesz pokarmu.
- Jestem głodny.
- Krótki post ci nie zaszkodzi.

Dlaczego Spokojek tak usilnie próbował go zatrzymać? Chciał go zameczyć bezsennością i głodem, nie dając mu wyjść? Czy też bał się, bo na progu kończy się jego moc? Gentle'owi serce zabiło żywiej na tę myśl, ale próbował nie dać nic po sobie poznać. Czuł, że intruz nie potrafi przejrzeć wszystkich jego myśli, chociaż chełpił się tym, że siedzi mu w mózgu i w sercu. Nie mógł nim sterować; w przeciwnym razie po prostu kazałby mu rozluźnić całe ciało i położyć się. A Gentle wciąż miał wolną wolę, nawet jeśli Spokojek zawładnął jego pamięcią. Miał zatem szansę dopaść drzwi i wydostać się poza zasięg jego mocy. Na razie stanął tyłem do wyjścia, próbując uspić czujność intruza.

– W takim razie chyba zostanę – powiedział.

– Mamy przynajmniej siebie nawzajem dla towarzystwa. Pozwól tylko, że wyjaśnię jedną rzecz. Nie ma mowy o żadnym związku cielesnym, choćbyś nie wiem jak bardzo mnie pragnął. Nie uznaj tego za afront: po prostu znam twoją reputację i korzystając z okazji podkreślam, że seks mnie nie interesuje.

– Nie chcesz mieć dzieci?

– To co innego. Składam dzieci w głowach moich wrogów.

– Czy to ostrzeżenie?

– Ależ skąd. Chociaż jestem pewien, że mógłbyś przygarnąć małą rodzinę. Wszystko jest przecież jednością, prawda? – Intruz zmienił głos, naśladując Gentle'a: – „Śmierć nie będzie dla nas ograniczeniem. Przeciwnie, osiągniemy wielkość całego Stworzenia”. Wyobraź sobie, że jestem częścią tej całości. Dogadamy się.

– Dopóki mnie nie zabijesz.

– Po co miałbym to robić?

– Sartori chce mojej śmierci.

– Niesłusznie go podejrzewasz. Nie zatrudnił mnie do roli zabójcy. Mam tylko dopilnować, żebyś do dnia letniego przesilenia nie miał okazji wziąć się

do roboty. Nie chce, żebyś dokonał Pojednania, bo wtedy przybędą tu jego wrogowie. I nie można mieć o to do niego pretensji. Zamierza zbudować Nowe Yzordderrex i rządzić całym Piątym Dominium. Wiedziałeś o tym?

– Coś mi wspominał...

– Kiedy osiągnie swój cel, z pewnością przyjmie cię jak brata.

– A tymczasem?

– Tymczasem mam zrobić wszystko, co konieczne, żebyś nie został Pojednawcą. Jeżeli będę musiał w tym celu doprowadzić cię do obłądu twoimi własnymi wspomnieniami...

– Zrobisz to.

– Nie mam wyjścia. Jestem z natury posłuszny...

Gadaj zdrów, pomyślał Gentle, jednym uchem słuchając poetyckiego opisu służalczości intruza. Uznał, że nie uda mu się uciec przez drzwi, z pewnością zamknięte na głucho. Okno, przez które tu wszedł, wyglądało bardziej obiecująco; może rzucić się na nie całym ciałem. Jeśli nawet połamie przy tym parę kości, będzie to umiarkowana zapłata za możliwość ucieczki.

Rozejrzał się, jakby chciał wybrać wygodne miejsce do spania. Ani razu nie zerknął przy tym na frontowe wyjście. Od drzwi pokoju z otwartym oknem dzieliło go jakieś dziesięć kroków, dalej miał następne dziesięć do ściany. Spokojek bełkotał coś do siebie, zagubiony w labiryncie własnej pokory. Lepsza okazja mogła się już nie nadarzyć.

Dla odwrócenia uwagi Gentle zrobił jeden krok w stronę schodów, a potem skręcił w miejscu i rzucił się pędem do pokoju. Zdążył zrobić trzy kroki, zanim intruz zorientował się w sytuacji.

– Nie bądź głupi! – warknął.

Gentle zauważył, że był zbyt ostrożny w obliczeniach. Do drzwi miał za ledwie osiem kroków, a do okna tylko sześć następnych.

– Ostrzegam! – wrzasnął Spokojek, ale widząc, że słowa na nic się nie zdadzą, postanowił działać.

Gentle znajdował się dosłownie o krok od progu, gdy poczuł, jak w głowie otwiera mu się jakaś klapka. Szczelina, przez którą wspomnienia sączyły się dotąd wątlą strużką, rozwarła się szeroko i miejsce strużki zajął wezbrany strumień. Krok później stał się spienioną rzeką, po następnym był jak zalew. Gentle widział już okno i biegnącą za nim ulicę, ale powódź wspomnień zmyła bez śladu wolę, która kazała mu tam dotrzeć.

Między Sartorim i Johnem Furie Zachariasem żył dziewiętnaście razy. Za-

programowana przez Pie podświadomość pozwalała mu porzucić stare życie i rozpocząć nowe, a zasłona niewiedzy podnosiła się, dopiero gdy było po wszystkim. Budził się wtedy w obcym mieście, z nazwiskiem ściągniętym z książki telefonicznej albo z przypadkiem podsłuchanej rozmowy. Wszędzie, gdzie się zjawiał, zostawiał po sobie cierpienie. Zawsze starał się oddzielić od ludzi, z którymi się związał i – odchodząc – zatrzeć ślady, ale jego nagłe zniknięcie na pewno przysparzało wiele smutku tym, którzy darzyli go cieplejszymi uczuciami. Tylko on sam wychodził z kolejnych historii nawet nie drażnięty.

Aż do teraz, kiedy wszystkie te żywoty go dopadły i cały ból, którego tak starannie unikał, odezwał się jednocześnie. Jego umysł wypełniły wspomnienia: fragmenty dziewiętnastu niedokończonych opowieści, które po sobie zostawił; opowieści, które cechowała ta sama dziecinna żądza sensacji, co życie ostatniego Johna Furie Zachariasasa. Za każdym razem był podziwiany, kochany, ubóstwiany – za urok osobisty, za charakter, za tajemniczość. Teraz jednak nie osłodziło mu to męczarni; nie uchroniło też przed strachem, gdy odrobina własnej jaźni, którą znał i rozumiał, ugięła się pod mnogością szczegółów zawartych w innych życiorysach.

Przez dwieście lat nie musiał zmagać się z pytaniami, które co drugi człowiek prędzej czy później sobie stawia: Kim jestem? Po co zostałem stworzony? Co się ze mną stanie, gdy umrę?

Teraz znał zbyt wiele odpowiedzi, co było gorsze od niewiedzy. Miał całą gromadkę jaźni, które zdejmował i zakładał jak maski; każda z nich miała swoje własne, trywialne powody, by istnieć. Dotychczas jednak pamiętała za każdym razem zbyt mało, by zgłębiać swój żal i poczucie winy – tym trudniej przychodziło mu znieść to, co działo się z nim teraz. Nigdy też nie przeżyła go śmierć, nie bolała zbyt długa żałoba. Zapomnienie koło nerwy, lecz zrobił się bardzo delikatny.

Stało się to, czego się obawiał; natłok wrażeń okazał się zbyt silny i choć usilnie starał się nie zapomnieć, kim był, gdy przekraczał próg tego domu, świadomość ta szybko zatoneła w powodzi obrazów. Gdzieś po drodze od drzwi do okna pragnienie ucieczki, wyrosłe z przekonania, że musi się bronić, ulotniło się bez śladu. Wyraz zdecydowania zniknął z jego twarzy niczym kolejna maska, ale nic nie zajęło jego miejsca. Gentle stał na środku pokoju jak niewzruszony wartownik. Żaden ślad wewnętrznego wzburzenia nie mącił łagodnej symetrii jego rysów.

*

Noc ciągnęła się bez końca, odmierzana odległym dźwiękiem dzwonów, ale nawet jeśli je słyszał, nie poruszył się. Dopiero gdy świt wstawał nad Gamut Street i brzask wśliznął się przez okno, do którego tak rozpaczliwie zmierzał, świat na zewnątrz wywołał jakąś reakcję. Gentle zapłakał – nie nad sobą, raczej nad łagodnością bursztynowego światła, które na twardej podłodze tworzyło promieniste plamy. Przyszła mu do głowy myśl (choć bardzo niesprecyzowana), że mógłby wyjść na dwór i poszukać źródła tego cudu. Ktoś jednak, kto siedział w jego głowie, domagał się odpowiedzi na proste pytanie, zanim pozwoli mu pójść się pobawić. Jego głos wznosił się ponad panujące w umyśle Gentle'a zamieszanie:

– Kim jesteś? – dopytywał się.

Nie umiał odpowiedzieć. Pamiętał wiele imion, do każdego pasowało mnóstwo wspomnień, ale nie wiedział, którym z tych ludzi naprawdę jest. Musiałby przekopać się przez masę drobiazgów, żeby dojść do jakichś wniosków – a dzień był zbyt piękny, żeby zajmować się takimi żalnymi problemami. Światło w oknie zachęcało, by wyszedł poszukać jego źródła.

– Kim jesteś? – powtórzył głos.

Musiał mu powiedzieć prawdę:

– Nie wiem.

– Głos chyba się tym zadowolił.

– W takim razie możesz iść – powiedział. – Ale chciałbym, żebyś czasem do mnie wracał. Zrobisz to?

Odparł, że tak, naturalnie, będzie go odwiedzał, w odpowiedzi usłyszał, że jest wolny i może odejść. Nogi tak mu zeszywniały, że gdy próbował się poruszyć, upadł i musiał przeczołgać się do miejsca, w którym światło padało na podłogę. Odpoczął chwilę, zebrał siły i wygramolił się przez okno na ulicę.

Gdyby wyskakując na chodnik potrafił sobie przypomnieć wydarzenia ubiegłej nocy, wiedziałby, że słusznie domyślił się interwencji wysłannika Sartoriego i że cherubin istotnie nie miał nad nim władzy poza domem. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że przed nim ucieka. Poprzedniego wieczora znalazł się w tym domu jako człowiek gotowy na wszystko, Pojednawca Imajiki, który przyszedł zmierzyć się z własną przeszłością i w samopozna-

niu odnaleźć siłę. Teraz wychodził z niego pokonany tą właśnie wiedzą. Sta-
nął na ulicy jak człowiek obłąkany, ze wzrokiem utkwionym w słońce, nie
mając pojęcia, że łuk, który zakreśla na niebie, przybliży świat do dnia prze-
silenia. A w tym dniu człowiek, którym dawniej był, musiał zrobić, co do
niego należało – albo ponieść ostateczną klęskę.

ROZDZIAŁ 45

1

Mimo że Jude nie spała najlepiej po spotkaniu z Clemem (śniły jej się rzędy żarówek migające szyfrem, którego nie potrafiła złamać), obudziła się wcześniej i zaplanowała sobie zajęcia na cały dzień. Zamierzała podjechać na Highgate Hill i spróbować dostać się do celi w podziemiach wieżowca, gdzie spoczywała zapomniana przez wszystkich jedyna kobieta, która mogła jej pomóc. Wiedziała o nieszczęsnej więcej niż podczas pierwszej wizyty, w sylwestra. Dowd sprowadził Celestine Niewidzianemu, tak w każdym razie twierdził; zabrał ją z ulic Londynu i wywiózł na granicę Pierwszego Dominium. Sam fakt, że przeżyła ten koszmar, graniczył z cudem; Jude rozumiała, że liczyć na to, iż Celestine ostała się przy zdrowych zmysłach, to nadmiar optymizmu. Na szczęście nie było to ważne: zdrowa czy obłąkana, Celestine mogła stać się nieocenionym źródłem wiedzy. Jude wiedziała, że musi z nią porozmawiać.

Wieżowiec był tak absolutnie nijaki, że za pierwszym razem minęła go, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Zawróciła, zaparkowała w bocznej uliczce i poszła dalej pieszo. Na podjeździe nie było ani jednego wozu, w oknach nie dostrzegła ani śladu życia, ale zadzwoniła do drzwi – miała nadzieję, że może przekona dozorcę, by wpuścił ją do środka. Postanowiła powołać się na Oscara. Igrała z ogniem, ale nie miała czasu na subtelności. Bez względu na to, czy Gentle zrealizuje swój ambitny plan, w najbliższych dniach roztoczą się przed nią możliwości wprost nieograniczone. To, co za-

mknięte, otworzy się; istoty, które dotąd milczały, nabiorą tchu, by przemówić.

Drzwi pozostały zamknięte, chociaż dzwoniła i dobijała się do nich dłuższą chwilę. Rozdrażniona obeszła gmach od tyłu; ścieżka była zarosła kolczastym zielskiem znacznie gęściej niż pół roku wcześniej. Miejsce śmierci Clary znajdowało się w cieniu wieży, namokła ziemia śmierdziała stojącą wodą. Dopóki Jude nie stanęła przed drzwiami wieżowca, nie myślała o szukaniu kawałków błękitnego oka, ale nie mogła wykluczyć, że jej podświadomość od samego początku snuła takie właśnie plany. Nie znalazłszy innego wejścia do budynku, zaczęła rozglądać się za odłamkami. Wspomnienia poprzedniej wizyty były wciąż wyraźne, lecz nie potrafiła dokładnie wskazać, w którym miejscu pająki Dowda pochłonęły kamień. Całą godzinę kręciła się po okolicy, przeczesując gęstą trawę, aż w końcu jej cierpliwość została wynagrodzona. Daleko od budynku – znacznie dalej, niż początkowo sądziła – znalazła resztkę kamienia. Była wielkości małego otoczaka, który nie zwróciłby niczyjej uwagi, jednak charakterystyczny odcień błękitu nie pozostawiał cienia wątpliwości. Ze złości przyklękła i podniosła go z ziemi. Wyglądał jak złożone w wymoszczonym trawą gniazdku jajo, które tylko czeka, by ciepło czyjegoś ciała obudziło je do życia.

Wstając, usłyszała dobiegający od frontu trzask drzwiczek samochodu. Ścisnęła w dłoni kamyk i zaczęła wracać, skradając się pod boczną ścianą wieżowca. Z podjazdu dobiegało kilka głosów męskich, jeden damski. Przybysze wymieniali uprzejme pozdrowienia. Wyjrzała zza rogu wieżowca. Oto oni: Tabula Rasa. Wyobrażała ich sobie jako wielkich inkwizytorów, surowych i bezlitosnych sędziów, którzy okrucieństwo mają wypisane na twarzach. I może rzeczywiście jeden z czwórki stojących przed gmachem ludzi – najstarszy z trzech mężczyzn – nie wyglądałby idiotycznie w szatach inkwizycji, pozostali jednak byli tak bezbarwni, że żaden strój nie mógł im przydać dostojności. Żadne z nich nie cieszyło się chyba specjalnie z tego, co muszą robić. Sądząc z wyrazu oczu, sen nie bywał ostatnio ich bliskim przyjacielem; kosztowny ubiór w kolorze smolistej czerni nie mógł zamaskować zmęczenia w ich ruchach.

Odczekała, aż wejdą do środka, licząc na to, że ostatni z wchodzących zostawi uchylone drzwi – ale zamknęli je starannie, a ona tym razem nie miała ochoty pukać. Może udałoby się jej przegadać dozorcę, lecz wobec tej czwórki nie dawała sobie cienia szansy. Ledwie odeszła od drzwi, kolejny samo-

chód skręcił z głównej drogi i wjechał na dziedziniec. Kierował nim mężczyzna młodszy od wszystkich, których przed chwilą widziała. Nie miała czasu szukać kryjówki, pomachała więc przyjaźnie i wyszła mu na spotkanie. Kiedy zrównała się z samochodem, zatrzymał się. Przyspieszyła kroku. Słyszała, jak otworzyły się drzwi wozu i zabrzmiał przesadnie wyniosły głos:

– Halo! Co pani tu robi?

Nie zatrzymała się. Z trudem zwalczyła pokusę, by nie zacząć biec, chociaż słyszała kroki kierowcy na żwirze, a potem następny okrzyk. Udawała, że nie zwraca na niego uwagi, dopóki nie znalazła się przy ogrodzeniu. Miał ją na wyciągnięcie ręki, kiedy odwróciła się i zapytała z uśmiechem:

– Wołał mnie pan?

– To teren prywatny.

– Najmocniej przepraszam, musiałam pomylić adres. Nie jest pan ginekologiem, prawda? – Nie miała pojęcia, co ją podkusiło, żeby to powiedzieć, ale mężczyzna natychmiast poczerwieniał. – Muszę się pilnie skonsultować z lekarzem.

Pokręcił zmieszany głową.

– Szpital jest gdzie indziej – wykrztusił. – Minęła go pani po drodze, w połowie podjazdu na wzgórze.

Dzięki Ci, Boże, za Anglików, pomyślała. Jedna wzmianka o kwestiach płci robiła z nich zupełnych idiotów.

– Na pewno nie jest pan lekarzem? – upewniła się, bawiąc się jego zawstydzeniem. – Może chociaż studentem medycyny? Wystarczyłby mi student.

Cofnął się, słysząc to, jakby się bał, że zażąda natychmiastowego badania.

– Nie, ja... Przykro mi.

– Mnie również. – Podała mu rękę. Był tak zmieszany, że odruchowo uściskał jej dłoń. – Siostra Concupiscentia^[7].

– Bloxham.

– Szkoda, że nie jest pan ginekologiem – dodała z uznaniem. – Ma pan takie cudowne, ciepłe dłonie.

Zostawiła go, żeby rumienił się w samotności.

2

Po powrocie do domu zastała na automatycznej sekretarce wiadomość od Chestera Kleina; zapraszał ją wieczorem do siebie na przyjęcie mające uczcić, jak to nazwał, „powrót gnojka do świata żywych”. Zdziwiła się, że Gentle jednak postanowił się spotkać z przyjaciółmi – tak przecież nalegał na zachowanie dyskrecji – ale czuła się pochlebiona, że posłuchał jej rady. Może zbyt pospiesznie go odepchnęła. Pobyt w Yzordderrex, choć krótki, sprawił, że myślała i zachowywała się w sposób, jaki wcześniej nie przyszedłby jej do głowy. Co dopiero powiedzieć o Gentle'u, którego przygody zapełniłyby tużin pamiętników. Może teraz, wróciwszy na Ziemię, zaczynał opierać się dziwnym wpływom innych dominiów, tak jak człowiek, który po pobycie wśród dzikusów wraca do cywilizacji, zmywa z twarzy barwy wojenne i na nowo uczy się chodzić w butach. Oddzwoniła do Kleina i przyjęła zaproszenie.

*

– Drogie dziecko! Cóż to za uczta dla oczu! – powitał ją wieczorem. – Stylowo wychudzona, niedożywiona *à la mode*. Idealna.

Dawno się nie widzieli, ale nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek jego pochlebstwa były równie przesadzone i nieszczerze. Ucałował ją w oba policzki i zaprowadził do ogrodu na tyłach domu. Zachodzące słońce grzało przyjemnie, na trawniku czworo gości Kleina – dwoje z nich Jude już znała – popijało koktajle. Nieduży, ogrodzony wysokim murem ogród przypominał tropikalny park. Znając naturę Kleina, można się było domyślać, że zdominują go kwiaty; żadna roślina, która nie kwitła z bezwstydną obfitością, nie mogła liczyć na przychyłność gospodarza.

Klein oprowadził Jude, żeby mogła przywitać się po kolei ze wszystkimi – zaczęła od Vanessy, której twarz (choć bardzo zmieniona, odkąd ostatnio się widziały) była jedną z dwóch znajomych. Vanessa wyraźnie przybrała na wadze – i na makijażu, jakby chciała jednym nadmiarem zatuszować drugi. Kiedy się przywitały, Jude poznała po jej oczach, że od krzyku rozpaczki powstrzymują ją tylko resztki przyzwoitości.

– Czy Gentle przyszedł z tobą? – zapytała Vanessa bez wstępów.

– Nie – odparł Klein. – Napij się jeszcze i idź wachać róże.

Niezrażona pogardą w jego głosie, Vanessa sięgnęła po butelkę szampana, Klein zaś przedstawił Jude dwóm nieznanym jej gościom. Łysawy mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych nazywał się Duncan Skeet.

– Jest malarzem – wyjaśnił Klein. – A właściwie impresjonistą. Mam rację, Duncanie? Malujesz przecież impresje: z Modiglianiego, Corota, Gauguina...

Duncan nie zrozumiał żartu, przeciwnie niż Jude.

– Czy to nie jest nielegalne? – zapytała.

– Byłoby, gdyby trzymał to w tajemnicy – odparł Klein, na co wąsaty mężczyzna, który rozmawiał dotąd z Duncanem, parsknął śmiechem. Miał na imię Luis i mówił z dziwnym akcentem.

– Luis nie jest żadnym artystą – dodał Klein. – Ty chyba w ogóle nic nie robisz, Luisie?

– A co z jedzeniem lotosów?

Źródłem zapachu, który Jude wzięła początkowo za woń kwiatów na rabatach, był używany przez Luisa płyn po goleniu.

– Wypiję za to – powiedział Klein i wraz z Jude podszedł do ostatniej osoby w towarzystwie.

Kobieta wyglądała znajomo, ale Jude nijak nie potrafiła skojarzyć jej twarzy. Dopiero kiedy Klein zwrócił się do niej po imieniu – Simone – przypomniała sobie rozmowę u Clema i Taylora, która zakończyła się, gdy Simone poszła upolować nową zdobycz. Klein zostawił je i wrócił do domu otworzyć następnego szampana.

– Poznałyśmy się w Boże Narodzenie – zauważyła Simone. – Pamiętasz mnie?

– Oczywiście.

– Zmieniłam fryzurę i słowo daję, nie poznaje mnie co drugi znajomy.

– Do twarzy ci w niej.

– Klein twierdzi, że powinnam była zachować ścięte włosy i kazać je przerobić na biżuterię. Na przełomie wieków brosze z włosami były podobno szczytem elegancji.

– Tylko jako *memento mori* – odparła Jude, a widząc pytające spojrzenie Simone, dodała: – Włosy zwykle pochodziły od zmarłych.

Trochę już pijana szampanem Simone zrozumiała, co Jude ma na myśli, dopiero po dłuższej chwili. Jęknęła z niesmakiem.

– To chyba miał być żart – stwierdziła. – Ten facet nie ma za grosz przyzwyczajenia. – Klein właśnie szedł w ich stronę z butelką. – Tak, o tobie mówię! Czy ty w ogóle myślisz poważnie o śmierci?

– Coś przegapiłem? – zdziwił się Klein.

– Stary piernik! – Simone podeszła i rzuciła mu pod nogi kieliszek. – W dodatku bezguście.

– Co ja takiego zrobiłem?

Luis przyszedł mu z pomocą, próbował ugłaskać Simone. Jude nie miała ochoty bardziej angażować się w konflikt. Zeszła na odchodzącą w bok ścieżkę, gładząc trzymane w kieszeni jajo z niebieskiego kamienia. Zaciśnęła na nim dłoń. Przystanęła, zauroczona widokiem pięknych róż, ale kiedy je powąchała, okazało się, że nie wydzielają żadnego zapachu, jakby były martwe. Dotknęła ich płatków – suche jak pieprz. Wstała i powiodła wzrokiem po innych kwiatach; wszystkie były sztuczne.

Lament Simone ucichł, zaniknął też głos Luisa. Kiedy się obejrzała, z domu do ogrodu wchodził właśnie Gentle.

– Ratuj! – powiedział Klein. – Bo mnie Simone żywcem ze skóry obedrze. Gentle posłał mu olśniewający uśmiech i podszedł, żeby go przytulić.

– Dość kłótni.

– Powiedz to Simone.

– Simone, czy naprzykrzasz się Chesterowi?

– To drań!

– Nie, to ja jestem draniem. Pocałuj mnie i powiedz, że mu wybaczasz.

– Wybaczam mu.

– Pokój Chesterowi dobrej woli.

Wszyscy się roześmiali i Gentle zaczął witać się z gośćmi, rozdając całusy i uściski. Najdłużej – z zamierzonym zapewne okrucieństwem – tulił Vanesę.

– Kogoś przegapiłeś – zauważył Klein, wskazując mu Jude.

Nie próbował olśnić jej uśmiechem; wiedział, że jej nie oszuka. Spojrzał na nią niemal przepaszająco i uniósł kieliszek, który Klein zdążył mu już włożyć w dłoń. Zawsze błyskawicznie się zmieniał (może w ten właśnie trywialny sposób objawiała się w nim moc maestra) i tym razem Jude też widziała przed sobą zupełnie nowego człowieka – nie miał nic wspólnego z tym Gentle'em, którego pożegnała dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Przystrzygł nieporządne włosy, domył się i ogolił. W białym stroju wyglądał jak

gracz w krykieta, który dopiero co zszedł z pola gry opromieniony zwycięstwem. Szukała w nim choćby cienia udręczonego człowieka, którym był poprzedniej nocy, ale doskonale ukrywał zdenerwowanie, za co musiała go podziwiać. Więcej niż podziwiać. Był tym samym kochankiem, którego wyśniła sobie na łożu Quaisoir, tak samo na nią działał. We śnie znalazła się już raz w jego ramionach, co skończyło się bólem i łzami. Dopraszanie się o powtórkę zakrawało na masochizm, ale pozwalało zapomnieć o poważniejszych problemach.

A jednak... A jednak. Czy to naprawdę było nieuniknione, że prędzej czy później musieli się odnaleźć? A skoro tak, może ta zabawa w spojrzenia miała poważniejszy sens? Może sugerował, że powinni zapomnieć o wrogości i pogodzić się z tym, że są nierozłączni? Znali już swoją przeszłość i mogli budować przyszłość na solidnych podstawach, zamiast dać się nękać historii, której żadne z nich nie rozumiało. Pod warunkiem że i on tego chciał.

Klein próbował przywołać ją skinieniem ręki – ciekaw, jak potoczy się akcja dramatu, który zainscenizował – ale nie ruszyła się z miejsca. On sam, Luis i Duncan byli widzami, przyszli oglądać scenę sądu nad Parysem. Simone, Vanessa i Jude zostały obsadzone w rolach bogiń, Gentle zaś miał dokonać wyboru jednej z nich. Sytuacja rozwijała się groteskowo i Jude uznała, że nie ma ochoty na udział w tym przedstawieniu. Odeszła w głąb ogrodu, zostawiając za sobą zgiełk przyjęcia. Pod samym murem w sztucznej kwiatowej dżungli znajdowała się polanka, a na niej rósł maleńki różany krzew, prawdziwy, choć znacznie mniej wytworny od otaczających go falsyfikatów. Jude przyglądała mu się zakłopotana, gdy zjawił się obok niej Luis z kieliszkiem szampana w dłoni.

– Tu leży pochowany jeden z jego kotów – wyjaśnił. – Gloriana. W marcu wpadła pod samochód. Był wstrząśnięty, źle sypiał, z nikim nie rozmawiał. Bałem się, że palnie sobie w łeb.

– Jest dziwny. – Jude zerknęła przez ramię na Kleina, który, wsparty na Gentle'u, zaśmiewał się do rozpuku. – Udaje, że wszystko jest grą...

– To przez to, że jest taki wrażliwy.

– Wątpię.

– Od dwudziestu jeden... nie, dwudziestu dwóch lat prowadzę z nim interesy. Kłócimy się, godzimy, znów kłócimy, ale to dobry człowiek, możesz mi wierzyć. Tylko tak panicznie boi się uczuć, że woli wszystko obracać w żart. Nie jesteś Angielką?

– Jestem.

– To powinnaś go zrozumieć. Też masz pewnie małe, pochowane tu i tam nagrobki.

– Tysiące. – Patrzyła, jak Gentle znika w domu Kleina. – Przepraszam cię na chwilę.

Wróciła do reszty towarzystwa; Luis podążał za nią krok w krok. Kiedy Klein próbował zastąpić jej drogę, podała mu kieliszek i weszła do domu.

Zastała Gentle'a w kuchni. Buszował w lodówce, zaglądając do wszystkich garnków.

– To tyle, jeśli idzie o niewidzialność – zauważyła.

– Wolałabyś mnie nie oglądać?

– Czy to znaczy, że gdybym poprosiła, tobyś nie przyszedł?

Uśmiechnął się, jakby właśnie znalazł wyjątkowy smakołyk.

– To znaczy, że oni się nie liczą. Przyszedłem, bo wiedziałem, że tu będziesz. – Włożył dwa palce do salaterki i rozsmarował na języku porcję musu czekoladowego. – Chcesz?

Z początku nie chciała, ale jego apetyt okazał się zaraźliwy. Nabrała sobie trochę – mus był słodki i kremowy.

– Co, dobre? – zapytał Gentle.

– Grzeszne. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– W jakiej sprawie?

– W sprawie ukrywania się.

– Życie jest za krótkie. – Wepchnął palce do ust. – Poza tym powtarzam: wiedziałem, że tu będziesz.

– Co to znaczy? Umiesz czytać ludziom w myślach?

– Rozwijam się – odparł. W jego uśmiechu było teraz więcej czekolady niż bieli zębów. Wyrafinowany facet, którego niedawno widziała w ogrodzie, zmienił się w łakomego chłopczyka.

– Cały się umazałeś czekoladą.

– Chcesz ją scałować?

– Tak.

Nie było sensu się oszukiwać. W przeszłości sekrety wyrządziły im sporo szkody.

– No to czemu jesteśmy tu jeszcze?

– Klein nam nie wybaczy, jeśli teraz się urwiemy. To przyjęcie na twoją cześć.

– Mogą o nas rozmawiać i bez nas. – Gentle odłożył salaterkę i otarł usta wierzchem dłoni. – Pewnie nawet by woleli, żebyśmy sobie poszli. Dlatego znikajmy, zanim się zorientują. Tracimy czas na gadanie...

– ...a moglibyśmy się kochać.

– Wydawało mi się, że to ja umiem czytać w myślach.

Otwierając drzwi frontowe, usłyszeli jeszcze Kleina, który wołał ich z ogrodu. Jude poczuła nawet wyrzuty sumienia, które jednak szybko ustąpiły, gdy przypomniała sobie jego minę na widok Gentle'a – był dumny, że skompletował pierwszorzędną obsadę do swojej małej farsy. Poczucie winy ustąpiło miejsca irytacji. Trzasnęła drzwiami na tyle mocno, żeby na pewno to usłyszał.

3

Kiedy wrócili do mieszkania, Jude pootwierała okna, żeby łagodny, nocny powiew mógł swobodnie wpłynąć do środka. Wraz z nim wpuściła też odgłosy ulicy, ale w mieście nie działo się nic niezwykłego: czasem zawyła syrena, jacyś ludzie rozmawiali na chodniku, w klubie przy sąsiedniej przecznicy (gdzie okna też były otwarte na oścież) rozbrzmiewał jazz. Usiadła na łóżku obok Gentle'a. Przyszedł czas, żeby naprawdę szczerze porozmawiali.

– Nie sądziłam, że tak się to skończy – powiedziała. – Że wylądujemy tutaj. Razem.

– Cieszysz się z tego?

– Cieszę – przytaknęła po chwili wahania. – Dobrze się stało.

– To świetnie. Dla mnie to też naturalny układ.

Położył się za jej plecami, wplótł palce w jej włosy i zaczął ją głaskać po głowie. Westchnęła.

– Lubisz to? – zapytał.

– Tak.

– Chcesz mi powiedzieć, co czujesz?

– W związku z czym?

– Ze mną. Z nami.

– Powiedziałam już: dobrze się stało.

– To wszystko?

– Nie.

– Co jeszcze?

Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że dotykiem namawia ją do odpowiedzi.

– Cieszę się, że tu jesteś, bo chyba możemy się od siebie sporo nauczyć. Może nawet znów się pokochać. Co ty na to?

– Mnie pasuje.

– O czym myślisz?

– Że zapomniałem, jak dziwne jest to dominium. I że potrzebuję twojej pomocy, żeby odzyskać siłę. Boję się, że czasem mogę się dziwnie zachowywać, robić błędy... Chcę, byś kochała mnie wystarczająco mocno, żeby mi wybaczyć. Co ty na to?

– Wiesz, że ci wybaczę.

– Chcę, żebyś dzieliła ze mną moje wizje, Judith. Żebyś dostrzegła to, co we mnie błyszczy najjaśniej, i nie bała się tego.

– Nie boję się.

– Miło mi to słyszeć. Bardzo miło. – Nachylił się i przysunął usta do jej ucha. – Od tej pory to my ustanawiamy zasady – szepnął. – A świat musi podążać za nami. Zgoda? Jesteśmy jedynym prawem; liczy się tylko to, czego chcemy i co czujemy. Ogień, który nas pochłonie, sam się rozprzestrzeni. Zobaczysz.

Pocałował ją w ucho, w policzek, na koniec w usta. Odpowiedziała na jego pocałunki od razu, namiętnie, ujęła jego głowę w dłonie, gładziła ją, czuła na skórze dotyk jego włosów. Sięgnął rękoma do jej karku, ale nie bawił się w rozpinanie bluzki; rozdzierał ją miarowo, bez pośpiechu, rytmicznymi szarpnięciami, jakby dokonywał rytualnego odsłonięcia jej ciała. Gdy tylko obnażył jej piersi, zaczął je całować. Miała rozpaloną skórę, ale jego język był jeszcze gorętszy, gdy wodził po nich spiralną linią, zdążając ku brodawkom, w końcu zamknął je w ustach i czuł, jak twardnieją. Zdzierał z niej spódnicę równie metodycznie, jak przed chwilą bluzkę. Osunęła się na łóżko, na strzępy ubrania. Spojrzał na nią z góry i położył jej dłoń między nogami, chociaż dostępu wciąż broniła mu cienka warstwa bielizny.

– Ilu cię miało? – zapytał spokojnie. Nie widziała wyrazu jego twarzy, ciemnej na tle wydętych wiatrem zasłon w oknie. – Ilu? – powtórzył i poruszył dłonią, zataczając nią małe kółeczka.

Gdyby ktoś inny zadał jej to pytanie, byłaby urażona, może nawet zła, ale

lubiła jego ciekawość.

– Kilku.

Sięgnął między jej uda, wsunął dwa palce pod figi i dotknął jej od tyłu.

– A tutaj?

To pytanie – i dotyk w tym miejscu – było mniej przyjemne.

– Powiedz – Gentle nie ustępował. – Kto tu był?

– Tylko jeden.

– Godolphin?

– Tak.

Cofnął dłoń i wstał.

– Rodzinne zamięłowania – zauważył.

– Gdzie idziesz?

– Zasłonię okna. To, co planujemy, lepiej robić po ciemku. – Zaciągnął zasłony. – Masz na sobie jakąś biżuterię?

– Tylko kolczyki.

– Zdejmij je.

– Nie możemy zapalić światła?

– I tak jest za jasno – odparł, chociaż ledwie majaczył w mroku. Rozbierając się, wiedziała, że na nią patrzy. Widział, jak odpina kolczyki i zdejmuje bieliznę. Zanim się rozebrała, był już nagi.

– Nie poprzestanę na jakiejś części ciebie – zapowiedział, podchodząc do łóżka. – Pożądam cię całej, do ostatka. I chcę, żebyś ty tak samo mnie pragnęła.

– Pragnę cię.

– Mam nadzieję, że mówisz serio.

– Jak mam ci to udowodnić?

Zdawało jej się, że jego sylwetka, do tej pory szara, pociemniała nagle, jakby rozpływała się w cieniu. Mówił, że stanie się niewidzialny – i tak właśnie było. Mimo że czuła, jak chwyta ją za kostkę, spuściwszy wzrok nic nie dostrzegła. Najważniejsze było to, że jego dotyk przepęśniał ją rozkoszą.

– Chcę tego – powiedział, pieszcząc jej stopę. – I tego. – Przesunął się wyżej, na łydkę, na udo... – I tego. – ...na srom. – Chcę cię mieć całą. – Brzuch. Piersi. Wszędzie czuła jego dotyk, musiał być więc bardzo blisko, ale nadal go nie widziała. – Pragnę tej pięknej szyi i cudownej głowy. – Zsunął dłonie w dół jej ramion. – Ręk również, po czubki palców.

Wrócił do jej stóp, ale wszędzie tam, gdzie ją dotknął – czyli na całym

ciele – drżała, wyczekując ponownego muśnięcia. Podniosła głowę, próbując zobaczyć go w ciemności.

– Połóż się – powiedział

– Chcę cię widzieć.

– Jestem tutaj – odparł i w jego oczach mignął skradziony skądś błysk; dwa jasne punkciki osadzone w przestrzeni, która (gdyby nie świadomość, że jest ograniczona) mogłaby rozciągać się w nieskończoność. Później zostało już tylko jego tchnienie. Jude nie mogła się powstrzymać; poddała mu się, zrównała rytm oddechu z jego oddechem, z powolną, usypiającą regularnością.

Podniósł jej stopę do ust i jednym ruchem przesunął językiem od pięty po palec. Za chwilę poczuła jego oddech; chłodził ślinę, która została na skórze. Kolejne wydechy stawały się coraz rzadsze, aż Jude – wciąż dopasowana do niego – miała wrażenie, że umiera, nie mogąc doczekać się chwili, gdy znów zaczerpnie powietrza; ciało trwało przez sekundę zawieszony między istnieniem a niebytem, niepewne, czy ten oddech nie był właśnie ostatnim. W tej krótkiej chwili poza czasem, między wydechem i wdechem, mogły dziać się cuda, gdyż ani ciało, ani rozum nie miały do niej przystępu. Jude poczuła, jak Gentle otwiera usta, zamyka je na jej palcach, a potem – chociaż wydawało się to niemożliwe – zaczyna pochłaniać jej stopę.

Połknie mnie całą, pomyślała, przywołując wspomnienie znalezionej u Estabrooka książki, w której ilustracje przedstawiały kochanków zaklętych w zamkniętym kręgu – pozerali się nawzajem i znikali oboje. Wcale jej to nie martwiło. To, co robili, nie należało do świata rzeczywistego, w którym strach pasł się na ludzkich obawach i gdzie tak wiele można było stracić lub zyskać. Znajdowali się w azylu kochanków, gdzie zawsze wychodzili na swoje.

Podniósł jej drugą nogę i owionęło ją takie samo gorąco. Ująwszy ją za biodra, zaparł się, wpychając ją sobie centymetr po centymetrze coraz głębiej do gardła. Być może, jego ciało rozszerzyło się bezgranicznie, jego usta zmieniły się w paszczę potwora, jego przełyk – w ogromny tunel; a może to ona zrobiła się miękka jak jedwab i wciągał ją tak samo, jak iluzjonista upycha w różdżce sztuczne kwiaty? Chciała dotknąć cudu, ale nie umiała rozpoznać, co czują jej palce. Dotykała swojego ciała czy Gentle'a? Kostki czy policzka? Nie miała pojęcia – i właściwie jej to nie obchodziło. Chciała tylko naśladować parę z książki i odpowiedzieć mu tym samym.

Złapała za brzeg łóżka i przetoczyła się na bok, pociągając go za sobą. Mimo całkowitej ciemności widziała teraz jego cień, spleciony z cieniem jej ciała. Nic się w nim nie zmieniło: pożerał ją, ale jego ciało wcale nie było zdeformowane. Leżał przy niej, jakby spał. Dotknęła go ponownie i tym razem wiedziała, na co trafia. To było jego udo, łydka, kostka. To stopa. Kiedy tak przesuwiała dłonią po jego ciele, zmieniało się pod jej dotykiem, jak gdyby miękło. Pot pachniał tak apetycznie, że poczuła skurcz w żołądku. Przysunęła głowę do jego stóp, dotknęła ich wargami. I nagle zaczęła się nim karmić, rozpostarła swój głód wokół niego jak olbrzymie usta, zacisnęła umysł na jego wilgotnej skórze. Zadygotał; poczuła jego rozkosz jak własną. Pochłonął ją po same biodra, ale miała nie mniejszy od niego apetyt: przełknęła jego nogi, wchłonęła członek i brzuch. Podobała jej się absurdalność tego, co robią: ich ciała zaprzeczały prawom fizyki i biologii, definiując je na nowo. Czy poza miłością mogło istnieć coś równie prostego i skomplikowanego zarazem? A czym, jak nie miłością, był paradoks, który tworzyli spleceni w tej pościeli? Gentle zwolnił i zaczekał na nią; teraz mogli zamknąć pętlę, aż ich ciała stały się tylko urojeniem, a oni sami znaleźli się usta w usta.

Jakieś zdarzenie za oknem – może krzyk na ulicy, może fałszywy akord saksofonu – przywróciło Jude z powrotem do świata rozsądku i ujrzała źródło ich wspólnej fantazji. Wyglądało zwyczajnie – oplatała nogami jego biodra, a on tkwił głęboko w niej. Nie widziała jego twarzy, ale wiedziała, że nie ma go przy niej; został tam, gdzie wciąż mógł śnić, jak ją pożera. Spanikowała, że nie może wrócić do tego drugiego świata, świata wizji. Zacisnęła się mocniej na nim, czym sprowokowała go do ruchu bioder. Zaczął się w niej poruszać, dysząc powoli prosto w jej twarz. Zapomniała o lęku i znów zrównała się z nim oddechem. Świat wokół niej rozplątał się i wróciła do miejsca, z którego została wbrew woli wyrwana. Pętla, którą tworzyli, zaciskała się coraz silniej; on pochłaniał jej głowę, a ona odpowiadała mu tym samym, byli jak warstwy jakiejś fantastycznej cebuli – każda kolejna mniejsza od poprzedniej. Taka zagadka mogła istnieć tylko tam, gdzie materia zapadała się w głąb umysłu, który powołał ją do istnienia.

Rozkosz nie mogła jednak trwać wiecznie. Wkrótce wizja – skażona kolejnymi ingerencjami z zewnątrz – znów zaczęła tracić swą klarowność. Tym razem Jude wyczuła, że i Gentle odpływa ze świata złudzeń. Może ucząc się na nowo miłości, dowiedzą się także, jak utrzymać ten stan dłużej, jak spędzać dni i noce w nieskończonej chwili między oddechem i świtem. Na razie

jednak ekstaza, której zaznali, musiała jej wystarczyć. Niechętnie pozwoliła, by tropikalna noc, w której wzajemnie się pochłaniali, roztopiła się w bardziej zwyczajnej ciemności i – nie wiedząc, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy świadomość – zasnęła.

Obudziła się sama w łóżku, ale poza tym drobnym rozczarowaniem czuła się lekka i podekscytowana. To, czego doświadczyli, sprzedawałoby się lepiej niż krople na katar. Znaleźli sposób, jak być na haju i nie mieć potem kaca. Usiadła i sięgnęła po prześcieradło, żeby się nim owinąć, ale nie zdążyła wstać, gdy w szarudze przedświt usłyszała jego głos. Gentle stał przy oknie. Dwoma palcami rozchylił zasłonę i przytknął oko do szpary.

– Muszę brać się do roboty – wyszeptał.

– Jeszcze jest wcześnie.

– Zaraz wszędzie słońce. Nie mam chwili do stracenia.

Puścił zasłonę i podszedł do łóżka. Objęła go mocno. Nie chciała się z nim rozstawać, wołała rozkoszować się jego spokojem, ale miał rację. Czekaly ich obowiązki.

– Wolałbym nie wracać do pracowni – dodał. – Mogę zostać?

– Podoba mi się ten pomysł.

– Będę przychodził i wychodził o dziwnych porach.

– Byłeś tylko zaglądał czasem do łóżka.

– Będę przy tobie. – Przesunął dłonią w dół od jej szyi i pogładził ją po brzuchu. – Od tej pory będę przy tobie dniem i nocą.

ROZDZIAŁ 46

1

Mimo że obrazy ostatniej nocy wciąż tkwiły Jude żywo w pamięci, nie mogła sobie przypomnieć, żeby któreś z nich zdejmowało słuchawkę telefonu z widełek. A jednak tak właśnie się stało; odkryła to dopiero pół do dziesiątej rano, kiedy chciała zadzwonić do Clema. Odłożyła słuchawkę na miejsce. Chwilę później telefon się rozdzwonił i w słuchawce zabrzmiał głos, którego nie miała już nadziei usłyszeć. Oscar! Wydawało jej się, że jest bardzo zdyszany, ale po chwili zdała sobie sprawę, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

– Gdzie byłaś, najdroższa? Dzwonię i dzwonię, odkąd dostałem twój liścik. Myślałem, że nie żyjesz.

– Nic mi się nie stało, telefon był źle odłożony. Gdzie jesteś?

– W domu. Przyjedziesz? Proszę cię, przyjeźdź. Jesteś mi potrzebna. – W głosie Oscara narastała panika, zupełnie jakby Jude odmawiała mu spotkania.
– Mamy mało czasu.

– Naturalnie, że przyjadę.

– Pospiesz się – nalegał. – Przyjeżdżaj natychmiast.

Obiecała, że za godzinę u niego będzie; odłożyła rozmowę z Clemem na później, umalowała się i wyszła z domu. Było jeszcze wcześniej, lecz słońce już grzało mocno i przypomniała sobie monolog kierowcy, który podwiózł ją i Gentle'a do Londynu – wieśniak przepowiadał monsunowe deszcze na przemian z falami upałów. A jak się cieszył swoim krakaniem! Wtedy jego entu-

zjazm wydał się jej groteskowy: ot, prosty chłopak, który wszystkim sprzedaje apokaliptyczne fantazje. Teraz jednak, po niezwyklej nocy spędzonej z Gentle'em, zastanawiała się, co by się stało, gdyby wszechpotężna ulewa spłukała z ulic samochody, a potem słoneczny żar rozmiękczył nawierzchnię, która spłynęłaby jak melasa, spajając miasto – podzielone dotąd na dzielnice lepsze i gorsze, publiczne i prywatne, enklawy zamożności i rynsztoki – w całość. Czy to właśnie miał na myśli Gentle, mówiąc o swojej wizji? Bo jeśli tak, była gotowa ją przyjąć.

Na Regent's Park Road panował mniejszy ruch niż zwykle. Nie było bawiących się na chodniku dzieci, a w promieniu kilometra od domu Oscara nie parkował żaden samochód – chociaż dwie przecznice stąd musiała przebijać się przez piekielne korki! Dom stał opuszczony, jakby ktoś zostawił go specjalnie dla niej. Nie musiała pukać; nie zdążyła nawet postawić stopy na progu, a drzwi już się uchyliły i wymizerowany Oscar skinął na nią, by weszła do środka. Miał suche oczy, ale gdy tylko zatrzasnął drzwi i pozamykał je na trzy spusty, objął ją i wybuchnął płaczem. Całym jego potężnym ciałem wstrząsnął szloch. Powtarzał jej bez końca, jak ją kocha, jak za nią tęsknił i jak jej potrzebuje, nawet bardziej niż zwykle. Przytuliła go i próbowała pocieszyć.

Wreszcie opanował się i zaprowadził ją do kuchni. W całym domu płonęły lampy, ale w tak jasny dzień ich światło zdawało się słabe i żółtawe. Nie wyglądał w nim najlepiej, był blady (przynajmniej w tych miejscach, gdzie nie miał siniaków), ręce miał opuchnięte i poharatane do krwi. Domyślała się, że pod wymiętym ubraniem kryje się więcej ran; patrząc, jak parzy jej earl greya, zauważyła, że każdy gwałtowniejszy ruch sprawia mu ból. Rozmowa zeszła oczywiście na ich rozstanie w Azylu.

– Byłem przekonany, że jak tylko wylądujecie w Yzordderrex, Dowd poderżnie ci gardło...

– Palcem mnie nie tknął. No, w każdym razie na wstępie, bo później próbował. Ale z początku był poważnie ranny. – Jude zawiesiła głos. – Tak jak i ty.

– Faktycznie, źle się miałem – przyznał Oscar. – Chciałem pójść za tobą, ale ledwie trzymałem się na nogach, więc wróciłem do domu. Wylizałem się z najgorszych ran, wziąłem broń i poszedłem po ciebie, ale cię nie znalazłem.

– Szukałeś mnie?

– Oczywiście! Miałem cię zostawić w Yzordderrex?

Postawił przed nią ogromny kubek z herbatą, obok słoik miodu. Zwykle nie folgowała sobie ze słodyczami, ale tego dnia nie jadła śniadania, więc dostała do herbaty tyle miodu, że powstał aromatyczny syrop.

– U Peccable'a w domu nikogo nie zastałem – ciągnął Oscar. – Na ulicach wybuchły zamieszki. Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. To był koszmar!

– Wiesz, że obalono autarchę?

– Nie, nie wiedziałem... ale i nie jestem szczególnie zdziwiony. W każdym sylwestra Peccable powtarzał: W tym roku będzie po nim, zobaczycie. A co się stało z Dowdem?

– Nie żyje – uśmiechnęła się z zadowoleniem Jude.

– Jesteś pewna? Takich jak on trudno zabić, kochanie, wiem to z doświadczenia. Gorzkiego doświadczenia.

– Mówiłeś, że...

– Tak, tak. Na czym stanąłem?

– Że kiedy poszedłeś za nami, dom Peccable'a był pusty.

– A pół miasta stało w ogniu – westchnął Oscar. – To był potworny widok. Bezmyślne zniszczenie, zemsta proli. Wiem, powinienem świętować zwycięstwo demokracji, ale co zostanie z tego miasta? Moje ukochane Yzorderrex legło w gruzach. Patrzyłem na nie i mówiłem sobie: Skończyła się jakaś epoka, Oscarze. Teraz wszystko się zmieni. Zapadną ciemności. – Podniósł wzrok znad kubka z herbatą. – Nie wiesz, co się stało z Peccable'em?

– Chcieli z Hoi-Polloi wyjechać z miasta. Przypuszczam, że zdążyli to zrobić; opróżnił piwnicę.

– Nie on, lecz ja. I cieszę się z tego.

Oscar spojrział na parapet, gdzie pośród domowych drobiazgów leżały małe figurki – przypuszczalnie talizmany, domyśliła się Jude. Stanowiły część łupu z piwnicy Peccable'a. Niektóre były zwrócone twarzą do pokoju, inne na zewnątrz, ale wszystkie zdawały się ucieleśniać agresję w najczystszej postaci. Ich żywo pomalowane twarze wyrażały wściekłość i gniew.

– Jesteś moją najlepszą ochroną – dodał Oscar. – Dopóki jesteś ze mną, czuję, że mam szansę wyjść cało z tego bałaganu. – Położył dłoń na jej ręce. – Kiedy dostałem twój liścik i zrozumiałem, że żyjesz, wróciła mi odrobina nadziei. Potem, kiedy nie mogłem cię złapać, zacząłem wyobrażać sobie najgorsze rzeczy.

Spojrziała na niego i w zatroskanej twarzy dostrzegła rodzinne podobień-

stwo, które do tej pory uchodziło jej uwagi – przypominał jej Charliego, który siedział przy oknie w hospicjum Hampstead i opowiadał o znalezionych w deszczu zwłokach.

– Czemu nie przyjechałeś do mnie do mieszkania? – zapytała.

– Nie mogłem stąd wyjść.

– Aż tak źle się czujesz?

– To by mnie nie powstrzymało. – Oscar przyłożył dłoń do piersi. – Bardziej obawiam się tego, co jest na zewnątrz.

– Boisz się, że Tabula Rasa chce cię dopaść?

– Skądże! To najmniejsze z moich zmartwień. Zastanawiałem się nawet, czy kogoś z nich nie ostrzec. Anonimowo, rzecz jasna. Nie Shalesa czy McGanna, nie tego idiotę Bloxhama. Niech się smażą w piekle. Ale Lionel nawet na trzeźwo jest przyzwoitym facetem. No i panie; nie chciałbym ich mieć na sumieniu.

– Więc przed kim się ukrywasz?

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Widziałem w Pucharze Bostońskim obrazy, których nie rozumiem.

Zupełnie zapomniała o profetycznym pucharze z kamykami. Tymczasem Oscar najwyraźniej ślepo w niego wierzył.

– Coś tu przybyło z dominiów, to pewne. Widziałem, jak cię śledziło. Próbowano cię dopaść...

Wyglądał, jakby zaraz miał się znowu rozpłakać. Jude poklepała go współczująco po rękę, niczym zdziadziałego staruszka.

– Nic mi nie będzie – zapewniła go. – Za dużo w ostatnim czasie przeszłam.

– Nie widziałaś jeszcze, co ta moc potrafi. Całe Piąte Dominium nie ma o niej pojęcia.

– Jeżeli pochodzi z dominiów, to musi być sprawka autarchy.

– Bardzo jesteś tego pewna.

– Bo go znam.

– Nasłuchiłaś się Peccable'a. On na każdą okazję ma jakąś teorię, ale jego pomysły są guzik warte.

– Mam dostęp do bardziej wiarygodnych źródeł niż Peccable.

– Czyżby? – zdziwił się Oscar. – To znaczy? – spytał pojednawczo, gdy zrozumiał, że mógł ją urazić.

– Quaisoir.

– Quaisoir?! Jak to się stało, że ją spotkałaś?

Jego zdziwienie było równie szczerze, jak łagodność udawana.

– Naprawdę nie wiesz? Czy Dowd nigdy ci nie opowiadał o dawnych czasach?

Spojrzał na nią z rezerwą, niemal podejrzliwie.

– Dowd od pokoleń towarzyszył Godolphinom – ciągnęła. – O tym chyba wiedziałaś? Najpierw służył zwariowanemu Joshui; był jego prawą ręką, człowiekiem do wszystkiego, jeśli „człowiek” jest tu na miejscu.

– Wiem o tym.

– To i o mnie musiałaś wiedzieć.

Oscar nic nie odpowiedział.

– Tak czy nie, Oscarze?

– Nie rozmawiałem o tobie z Dowdem, jeśli o to pytasz.

– Dlaczego wymieniliście się mną z Charliem?

Tym razem to on poczuł się urażony; nie podobał mu się taki dobór słów.

– Tak właśnie było, Oscarze. Doszło do wymiany. Wiedzieliście, że zostałam przy Godolphinach. Mogłam gdzieś na chwilę zniknąć, mieć na boku jeden, dwa romanse, ale zawsze musiałam wracać do rodziny.

– Obaj cię kochaliśmy – powiedział bezbarwnym głosem, patrząc na nią obojętnie. – Żaden z nas nie traktował tego jak gry politycznej.

– Czyżby? – Jude nie kryła powątpiewania.

– Wiem tylko, że cię kocham. To w tej chwili jedyny pewnik w moim życiu.

Miała ochotę zaprawić te słodkie słówka odrobiną goryczy, wypominając mu, jak Godolphinowie próbowali jej zaszkodzić, ale uznała, że nie miałyby to wielkiego sensu. Oscar był na skraju załamania nerwowego, nie wychodził z domu, uwięziony przez własne lęki. Okoliczności już zrobiły swoje; gdyby go teraz dobiła, byłaby to czysta złośliwość, a chociaż zdawała sobie sprawę, że z wielu powodów jest godny pogardy – szczególnie nie przypadła jej do gustu wzmianka o zemście proli – łączyło ich zbyt wiele wspomnień (także miłych), żeby mogła sobie pozwolić na takie okrucieństwo. Poza tym to, co chciała mu powiedzieć, będzie trudniejsze do zniesienia od najgorszych oskarżeń.

– Nie zostanę z tobą, Oscarze. Nie po to wróciłam, żeby zamknąć się w czterech ścianach.

– Świat jest niebezpieczny. Widziałem potwora, który przybył tu za tobą,

widziałem go w Pucharze Bostońskim. Chcesz go zobaczyć? – Oscar wstał. – Chodź. Może zmienisz zdanie.

Zaprowadził ją na górę, do skarbcza. Cały czas gadał jak najęty:

– Odkąd to coś zjawiało się w Piątym Dominium, puchar żyje własnym życiem. Nie wymaga obserwatora, sam z siebie w kółko powtarza te same obrazy. Jest przerażony. Boi się tego, co pokazuje.

Usłyszała ten dźwięk, zanim stanęli przy drzwiach; przypominał grzechot gradu o spieczoną słońcem ziemię.

– Chyba nie należy zbyt długo mu się przyglądać – zasugerował Oscar. – Hipnotyzuje.

Otworzył drzwi. Puchar stał na podłodze na środku pokoju, w kręgu wotywnych świec. Płomienie dygotały w podmuchach powietrza wywołanych ruchem skaczących w misie kamieni. Kamyki fruwały w obrębie Pucharu niczym rój rozwścieczonych pszczół, niektóre wyskakiwały nawet ponad krawędź. Oscar musiał osadzić Puchar w kopczyku piasku, żeby go nie przewróciły. Powietrze przesyciła woń, którą nazwał zapachem strachu – gorzki, lekko metaliczny aromat, jaki czasem daje się wyczuć tuż przed burzą. Mimo że kamienie zdawały się nie wypadać poza obrys misy, Jude cofnęła się odruchowo, na wypadek gdyby któryś z nich wyskoczył za daleko i próbował ją trafić; przy takiej szybkości nawet najmniejszy z otoczków mógł wybić człowiekowi oko. Chociaż zatrzymała się w znacznej odległości od Pucharu i mogła zamiast niego podziwiać półki z rozlicznymi skarbami, przyciągał jej wzrok jak magnes. Oscar wraz z całym pokojem rozpływał się w nicość.

– To może chwilę potrwać – usłyszała. – Ale obrazy zaraz się pojawią.

– Widzę – odparła.

Z chmury kamyków wyłonił się Azyl, z kopułą na wpół przesłoniętą drzewami zagajnika. Zaraz zniknął i na jego miejscu pojawił się wieżowiec Tabula Rasa, a chwilę później inny budynek, zupełnie inny od dwóch poprzednich, chociaż podobnie jak Azyl częściowo zasłonięty liśćmi – tym razem jednego drzewa, rosnącego na chodniku obok.

– Co to za dom? – zapytała Oscara.

– Nie wiem, ale cały czas się pojawia. Na pewno jest gdzieś w Londynie.

– Skąd wiesz?

Dom niczym szczególnym się nie wyróżniał; miał dwa piętra, był dość nijaki i zaniedbany. Mógł znajdować się w każdym angielskim mieście. A nawet w wielu miastach w innych europejskich krajach.

– W Londynie koło się zamyka. Tu się wszystko zaczęło i tu się skończy.

Te słowa obudziły wspomnienia. Dowd, który na Bładym Kopcu mówił, że historia zatoczyła koło; ona i Gentle, pozerający się nawzajem w dążeniu do doskonałości.

– Znowu go widać – dodał Oscar.

Tym razem w oknach domu paliły się światła. Ktoś stał na schodkach. Miał spuszczone ręce i patrzył w niebo. Obraz był jednak niewyraźny i nie mogła rozeznaczyć rysów tego człowieka. Możliwe, że miała przed sobą jakiegoś anonimowego czciciela słońca, ale nie wydało jej się to prawdopodobne. Każdy szczegół w tym pokazie miał swoje znaczenie. Obraz rozpadł się na części, prześwietlone słońcem liście zniknęły, błękitne niebo zasnuł skłębienny, ciemny dym.

– Patrz teraz – powiedział Oscar.

W dymie poruszały się niewyraźne kształty – nadymały się, flaczały, opadały chmurą popiołu. Nieświadomie zrobiła krok w stronę Pucharu.

– Nie podchodź, kochanie – ostrzegł ją Oscar.

– Co to jest? – zapytała, nie zwracając uwagi na jego słowa.

– Moc. Siła, która przenika do Piątego Dominium. A może już przeniknęła.

– Ale to przecież nie jest Sartori.

– Sartori?

– Autarcha.

Zapominając o ostrożności, Oscar podszedł do Jude.

– Sartori? Maestro Sartori?

Nie odwróciła się. Monstrum z dymu bez reszty przykuwało jej uwagę. Mogło jej się to nie podobać, ale Oscar miał rację, mówiąc o niezbadanych mocach. Z pewnością działały tu siły niezrozumiałe dla śmiertelników; oszalamiające zjawisko przemieszczało się ponad ziemią, która z początku wydała się Jude porośnięta krótką szarą trawą. Przyjrząwszy się bliżej, ujrzała miasto. Żdźbła były w istocie budynkami, które waliły się w gruzy, gdy tajemnicza siła wypalała ich fundamenty.

Nic dziwnego, że Oscar trząsł się cały i nie chciał wyjść z domu. Widok był porażający, a Jude z pewnością nie była na niego przygotowana. Sartori mógł sobie być okrutnikiem, ale zapisał tylko jedną z wielu kart w długich, obrzydliwych dziejach tyranii w historii ludzi, którzy – przerażeni własną słabością – stali się potworami. Tu jednak widziała makabrę zupełnie innego

rzędu; koszmar, którego nie rozwiązałyby ani polityka, ani trucicielstwo. Bezgraniczna, bezwzględna siła mogła w mgnieniu oka zmieść wszystkich maistrów i despotów, którzy próbowali odcisnąć swoje piętno na powierzchni ziemi. Czy uwolnił ją Sartori? Czy mógł być aż tak szalony, żeby myśleć, że przeżyje jej najście, a potem na gruzach świata zbuduje Nowe Yzordderex? Czy jego obłąd sięgał aż tak daleko? Może niszczycielska chmura była w istocie metropolią, o której śnił – wszechpotężną burzą, która przetrwa do Końca Świata, bo tak właśnie się nazywa?

Puchar pociemniał. Jude wypuściła długo wstrzymywane w płucach powietrze.

– To jeszcze nie koniec – szepnął jej do ucha Oscar.

Ciemność w misie zaczęła się strzępić, odsłaniając leżącą na ziemi postać. To była Jude – może trochę niezdarnie odwzorowana, ale nie mogło być mowy o pomyłce.

– Ostrzegałem cię – dodał Oscar.

Czerń, z której wynurzył się obraz Jude, nie rozwiała się do końca; snuła się po Pucharze niczym mgła, aż wynurzyła się z niej druga sylwetka, która ułożyła się obok pierwszej. Zanim wydarzyło się coś więcej, wiedziała już, że Oscar się myli. Puchar nie wieszczył zguby. Cień, który zaległ między jej nogami, nie należał do mordercy, lecz do Gentle'a. Obecność Pojednawcy w wizji, którą pokazał im Puchar, była znakiem nadziei, przeciw wagą dla rozpacz, jaka biła z poprzedniego obrazu. Słyszała, jak Oscar jęknął, gdy Gentle wsunął jej rękę między nogi, a potem ujął ją za stopę i zaczął pochłaniać.

– On cię zabija – powiedział.

Rzeczywiście, tak to racjonalnie należałoby tłumaczyć – tylko że ta wizja nie miała nic wspólnego ze śmiercią. To był akt miłosny, w dodatku nie prorokowany, lecz relacjonowany z przeszłości. Z ubiegłej nocy. Oscar patrzył na nich jak dziecko, które widzi rodziców w łóżku i myśli, że dzieje się tam jakiś gwałt. W pewnym sensie ucieszyła się z jego omyłki, bo oszczędził jej kłopotliwego tłumaczenia całej sceny.

Wkrótce byli już z Pojednawcą nierozzerwalnie spleceni. Ciemność, która nie ustępowała przez cały czas, teraz zgęstniała, a wraz z nią pogłębiały się cienie. Zmieniona w węzeł para kochanków kurczyła się w mroku coraz bardziej, aż całkiem zniknęła. Grzechoczące kamienie nie pokazywały już nic.

Dziwnie intymnie zakończył się ten pokaz. Najpierw Azyl, potem wieżowiec, tajemniczy dom i burza – tu z obrazu na obraz wizja stawała się coraz

bardziej ponura. Później jednak powiało optymizmem. Może miało to oznaczać, że zespolenie przyniesie kres dotychczasowej ciemności.

– Nic więcej nie ma – wyjaśnił Oscar. – Teraz zaczniesz pokazywać wszystko od nowa, w kółko.

Odwróciła się do niego, gdy kamienie, które wcześniej przycichły, znów głośniejszemu zagrzechotały.

– Nie rozumiesz, że grozi ci niebezpieczeństwo? – zapytał.

– Wydaje mi się, że jestem tylko cieniem ważniejszych wydarzeń – powiedziała, próbując odwrócić jego uwagę od końcowej sekwencji.

– Nie dla mnie. – Objął ją i przytulił. Mimo że pokiereszowany, był silny. – Chcę cię chronić. To mój obowiązek. Teraz to rozumiem. Wiem, że źle cię traktowaliśmy, ale mogę ci to wynagrodzić. Zostaniesz ze mną i włos ci z głowy nie spadnie.

– Sądzisz, że my się tu zaszyjemy, a Sąd Ostateczny przejdzie bokiem?

– Masz lepszy pomysł?

– Tak. Stawimy mu czoło. Za wszelką cenę.

– Z tym, co widzieliśmy, nie da się wygrać.

Słyszała za plecami łoskot kamyków – znów pokazywały burzę.

– Tu przynajmniej możemy się bronić – mówił tymczasem Oscar. – Okien i drzwi pilnują duszki. Widziałas te w kuchni? Są najmniejsze.

– Wszystkie są płci męskiej, prawda?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie obronią cię, Oscarze.

– Niczego więcej nie mamy.

– Może ty nie masz...

Jude uwolniła się z jego ramion i wyszła z pokoju. Stała obok niej na podęciu schodów, dopytując się, co miała na myśli. Rozdrażniona jego tchórzostwem, wypaliła:

– Wielka moc od lat była na wyciągnięcie ręki.

– Jak to? Gdzie?

– Zamknięta w podziemiach wieży Roxborougha.

– O czym ty mówisz?!

– Nie wiesz, kim jest?

– Nie – odparł rozeźlony Oscar. – Bzdury wygadujesz.

– Ja ją widziałam, Oscarze.

– Niby jak? Nikt poza członkami Tabula Rasa nie ma wstępu do wieżow-

ca.

– Mogłabym ci ją pokazać. Zaprowadzić cię do niej. – Jude zniżyła głos, obserwując malujący się na twarzy Oscara niepokój. – Podejrzewam, że jest boginią. Dwa razy próbowałam ją stamtąd wyciągnąć, ale mi się nie udało. Potrzebuję pomocy. Twojej.

– To niemożliwe. Ten wieżowiec jest strzeżony jak forteca! Zwłaszcza teraz. Posłuchaj mnie, mój dom to ostatnie bezpieczne schronienie w całym Londynie. Musiałbym być samobójcą, żeby stąd wyjść.

– W takim razie skończmy tę rozmowę – zdecydowała Jude. Nie miała ochoty zadawać się z tchórzem. Zaczęła schodzić po schodach, nie zwracając uwagi na wołanie Oscara.

– Nie możesz mnie tak zostawić – powiedział zdziwiony. – Kocham cię, słyszysz? Kocham cię!

– Są rzeczy ważniejsze niż miłość – odparła. Przyszło jej do głowy, że łatwo to mówić, gdy w domu czeka na nią Gentle, ale w gruncie rzeczy miała rację. Widziała, jak jej miasto zmienia się w gruzowisko. Powinna starać się temu zapobiec, a nie słuchać o miłości. Zwłaszcza w nieszczerym Oscarowym wydaniu. – Nie zapomnij za mną pozamykać – dodała, znalazłszy się przy drzwiach. – Nigdy nie wiadomo, kto następny do ciebie zapuka.

2

Po drodze do domu zrobiła zakupy. Nigdy za tym nie przepadała, ale tego dnia ta prosta czynność zdawała się graniczyć z surrealizmem – wszystko przez złe przeczucia, które towarzyszyło jej nieprzerwanie, odkąd wyszła od Oscara. Kupowała niezbędne drobiazgi, a obraz burzowej chmury nie dawał jej spokoju. Życie jednak musiało toczyć się normalnie, nawet jeśli się zbliżał kataklizm. Potrzebowała mleka, chleba i papieru toaletowego; poza tym przydałby się dezodorant i worki na śmieci do kubła w kuchni. Tylko w książkach i filmach dawało się zapomnieć o codziennej rutynie, żeby zrobić na scenie miejsce dla głównych wydarzeń. Będzie jeść, pocić się i trawić aż po kres swoich dni. Myśl ta wydała się jej dziwnie pocieszająca i choć cienie gromadzące się na obrzeżach jej świata powinny – zdałoby się – odwrócić jej uwa-

gę od przyziemnych spraw, stało się dokładnie odwrotnie. Dłużej niż zwykle marudziła przy wyborze sera, a potem obwąchała z pół tuzina dezodorantów, zanim wybrała taki, który jej odpowiadał.

Na rozpalonych słońcem ulicach panował ożywiony ruch, gdy wracała po zakupach do domu. Wyglądało na to, że o pomocy Oscara nie ma co marzyć. Musiała szukać jej gdzie indziej, co przy wąskim kręgu znajomych oznaczało, że wybór ma niewielki – albo Clem, albo Gentle. Pojednawca miał naturalnie własne sprawy na głowie, ale po tym, jak obiecali sobie w nocy, że będą zawsze razem, by dzielić wszystkie wizje i lęki, z pewnością zrozumie jej pragnienie uwolnienia Celestine. Chociażby po to, by jej uwięzienie przestało być tajemnicą. Postanowiła jak najszybciej opowiedzieć mu wszystko, co wie o więźniu Roxborougha.

Nie zastała Gentle'a w domu, co bynajmniej jej nie zdziwiło. Uprzedzał przecież, że będą się widywali w dziwnych godzinach, kiedy zaczną przygotowywać Pojednanie. Przyrządziła lunch, uznała, że nie ma apetytu, i poszła posprzątać w sypialni, gdzie po burzliwej nocy panował chaos. Ścieląc łóżko, odkryła w nim błękitny kamień (czy raczej, jak wołała o nim myśleć, jajo), który musiał wypaść z kieszeni jej podartej spódnicy. Na jego widok zapomniała o porządkach, usiadła na skraju materaca i zaczęła obracać jajo w dłoniach. Przyszło jej do głowy, że mogłoby ją przenieść chociaż na chwilę do celi, w której więziono Celestine. Pająki Dowda niewiele z niego zostawiły, ale przecież już kiedy pierwszy raz znalazła kamień w sejfie Estabrooka, stanowił tylko cząstkę większej całości, a mimo to miał moc. Może wciąż ma?

– Pokaż mi boginię – zażądała, ściskając kamień w rękach. – Pokaż mi boginię.

Kiedy tak mówiła, myśl o tym, że jej umysł mógłby opuścić ciało i fruwać gdzieś samodzielnie, wydał się absurdalny. W tym świecie takie rzeczy się nie zdarzały – może poza pewnymi wyjątkowymi nocami, teraz zaś było wczesne popołudnie; za oknem tętniło życiem miasto. Postanowiła jednak nie zamykać okna. Nie mogła chować się przed światem za każdym razem, gdy chciała wprowadzić się w odmienny stan świadomości. Ulica, ludzie, kurz, zgiełk, letnie niebo – wszystko musiało stać się częścią transcendentnego mechanizmu. W przeciwnym razie źle skończy, jak jej siostra, spętana i ślepa na długo przed tym, jak straciła oczy.

Zaczęła mówić do siebie.

– Raz już się to zdarzyło. Może się zatem powtórzyć. Cierpliwości, kobie-

to.

To było śmieszne. Ujrzała oczyma wyobraźni, jak siedzi na łóżku i niczym kretynka gapi się na kawałek kamienia. Kwintesencja głupoty.

– Ty idiotko – mruknęła.

Nagle znużona nieudanym eksperymentem wstała z łóżka – i natychmiast zrozumiała swój błąd. Oglądała samą siebie z dystansu, jakby stała przy oknie. Poczowała nagłe ukłucie strachu i drugi raz w ciągu ostatnich trzydziestu sekund nazwała się idiotką – nie dlatego że traciła czas na gapienie się w kamienne jajko, ale ponieważ nie zorientowała się, iż obraz, który zinterpretowała jako potwierdzenie własnej niemocy, dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Opuściła swoje ciało tak dyskretnie, że nawet tego nie zauważyła.

– Do celi – powiedziała. – Pokaż mi celę bogini.

Mimo że jej magiczne oczy znajdowały się przy samym oknie i mogły od razu przez nie wyfrunąć, poszybowały najpierw pod sufit. Zakręciło się jej w głowie. Widziała, jak zatacza się, siedząc na łóżku. Oczy opadły w dół. Własna głowa rozpościerała się przed nią niczym rozległa planeta widziana z kosmosu. Wtedy wpadła w głąb własnej czaszki i zanurzyła się w mrokach ciała. Czowała otaczające ją ze wszystkich stron wyziewy strachu; serce waliło jej jak młotem, płuca pracowały szybko, wypełniały się płytkimi oddechami. Nie było w niej nawet cienia jasności, jaką znalazła w ciele Celestine, ani śladu błękitnej poświaty, której bogini używała kamieniowi – nic, tylko wzburzona czerń. Próbowała jakoś dać jaju do zrozumienia, że popełnia błąd; chciała jak najszybciej wydostać się z tej otchłani, ale prośby pozostały bez odpowiedzi. Spadała coraz głębiej i głębiej, była jak drobinka materii, która wpadła do studni i jeszcze przez wiele godzin nie osiągnie dna.

Nagle w dole dostrzegła świecący punkcik. Rósł w oczach i wkrótce zmienił się w falującą smugę blasku, niczym magiczny symbol nakreślony czystą esencją światła. Co mógł robić w jej ciele? Czy był śladem rytuału, w którym została stworzona? Częstką sztuki Sartoriego, ukrytym jak podpis Gentle'a na podrobionym obrazie? Była tuż przy nim – czy raczej w nim; lśnił tak oślepiająco, że musiała zmrużyć oczy.

Z jasności płynęły obrazy. I to jakie! Nie wiedziała ani skąd pochodzą, ani czemu mają służyć, ale były tak niezwykle, że wybaczyła kamieniowi, iż zabrał ją tutaj, a nie do celi pod wieżowcem. Znajdowała się w rajskim mieście, zatopionym we wspaniałych roślinach, które rosły gęsto i bujnie dzięki wszechobecnej wodzie rozpryskującej się w postaci licznych fontann. W gó-

rze śmigają roje gwiazd, kreśląc idealne koła na niebie. Przy ziemi snuła się mgła. Jude szła w tej mgle przez miasto jak święta pani, aż znalazła się w ogromnej, przewiewnej komnacie, gdzie zamiast drzwi znajdowały się kaskady wody, a najmniejszy promyk słońca budził do życia tęczę. Usiadła i magicznymi oczyma ujrzała siebie samą, swoją twarz i piersi. Wznosiły się wysoko ponad nią, jakby należały do stojącego w świątyni posągu. Czy wydawało jej się, czy naprawdę z jej piersi płynęło mleko? I czy rzeczywiście śpiewała kołysankę? Chyba tak, ale zanim zdążyła się upewnić, odwróciła się i spojrzała w drugą stronę. Do komnaty wszedł mężczyzna tak poraniony, że w pierwszej chwili go nie rozpoznała. Dopiero kiedy znalazł się tuż obok, zdała sobie sprawę, że to Gentle. Nieogolony, wychudzony Gentle witał ją łzami radości. Nie słyszała, czy coś mówi. Padł przed nią na kolana. Przeniosła wzrok z jego twarzy na swoją olbrzymią podobiznę stojącą za jego plecami. Widziała już, że posąg nie jest kamienny, lecz ma normalne ciało, że porusza się, płacze, nawet zerka na swoją wyznawczynię.

Jakby cała ta wizja nie była dość niesamowita, Jude ujrzała, jak Gentle wyciąga z czyjejś dłoni – nie mogła należeć do niej, była za mała! – niebieski kamyczek, który zesłał jej te obrazy. Przyjął go z wdzięcznością, opanował szloch i wstał. Wyszedł przez wodną kaskadę, a światło znajdującego się na zewnątrz świata zalało pokój.

Jude czuła, że zagadkowa wizja się kończy, lecz nie potrafiła jej zatrzymać. Znow zobaczyła tkwiący w głębi jej ciała magiczny symbol i zaczęła się od niego oddalać niczym nurek od skarbu, którego morskie głębiny nie dały sobie wydrzeć. Przemknęła przez mrok i znalazła się w miejscu, w którym jej podróż się zaczęła.

W pokoju nic się nie zmieniło, za to przez otwarte okno wpadł poryw wiatru, niosąc falę deszczu. Jude wstała, ściskając kamyczek w dłoni. Ciągłe kręciło się jej w głowie, więc się położyła, oddając głowę poduszcze pod opiekę.

3

Wydawało jej się, że nie zasnęła, ale miała podobne kłopoty z rozróżnieniem, co jest snem, a co jawą, jak w łożu Quaisoir. Wizje, których doświad-

czyła w głębi swojego ciała, dręczyły ją niczym proroczy sen. Nie dawały jej spokoju, przy wtórze deszczu rozpamiętywała je wciąż na nowo. Dopiero kiedy chmury odpłynęły, zabierając ze sobą ulewę i odsłaniając słońce, przyszedł sen.

Obudził ją zgrzyt klucza w zamku. Musiał być późny wieczór, gdyż Gentle od razu włączył światło w drugim pokoju. Usiadła i już miała go zawołać, ale nagle się rozmyśliła i zaczęła mu się przyglądać przez szparę w drzwiach. Jego twarz mignęła jej tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby zamarzyła o jego pocałunkach. Nie przyszedł jednak do niej, lecz chodził po pokoju, rozcierając ręce od palców po nadgarstki, jakby okropnie go bolały.

Wreszcie straciła cierpliwość. Zaspanym głosem wymruczała jego imię. Z początku jej nie usłyszał, musiała zawołać go drugi raz. Dopiero wtedy odwrócił się i uśmiechnął.

– Nie śpisz jeszcze? – spytał czule. – Nie trzeba było na mnie czekać.

– Nic ci nie jest?

– Oczywiście że nie. – Przesunął dłońmi po twarzy. – Wiesz, to ciężka robota. Nie wiedziałem, że będzie aż tak trudno.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Kiedy indziej. – Podszedł, złapał ją za rękę. – Co to jest?

Wciąż ścisnęła kamienne jajo, które ze zręcznością kieszonkowca wyłuskała jej z dłoni. Chciała mu je odebrać, ale zwalczyła instynktowną pokusę.

– Ładna rzecz – stwierdził. – Skąd to masz? – spytał już mniej bez troskim tonem.

Dlaczego się zawahała? Czy chodziło o to, że był zmęczony i nie chciała mu się naprzykrzać z nowymi tajemnicami, kiedy miał dość własnych? Po części na pewno, ale w jej wahaniu było coś więcej, coś, czego nie rozumiała. Widziała go w swojej wizji znacznie bardziej pokiereszowanego niż w tej chwili i czuła, że – nie wiedzieć czemu – powinna to na razie zachować w tajemnicy.

Podniósł kamyk do nosa.

– Czuję twój zapach – powiedział.

– Nie...

– Tak, czuję. Gdzie trzymałaś to cudo? – Wolną rękę włożył jej między nogi. – Tutaj?

Właściwie nawet nie tak bardzo się pomylił. Chętnie ukryłaby niebieskie jajo właśnie tam i cieszyła się jego ciężarem.

– Nie? – zdziwił się. – Na pewno tego żałuje. Założę się, że pół świata chciałoby ci się tam wcisnąć. Ale to moje miejsce, prawda?

– Tak.

– Nikt poza mną tam nie zagląda.

– Nikt – odpowiadała mechanicznie Jude, myśląc tylko o tym, jak odzyskać kamień.

– Masz coś, żebyśmy się mogli nakręcić? – zapytał.

– Powinnam mieć gdzieś trochę trawki...

– Gdzie?

– Ale chyba wypaliłam już resztki. Nie jestem pewna. Mam poszukać?

– Bardzo proszę.

Sięgnęła po jajo, ale nie zdążyła go złapać, gdy Gentle podniósł je do ust.

– Na razie zatrzymam kamyk – wyjaśnił. – Nacieszę się twoim zapachem.

Nie masz chyba nic przeciwko temu?

– Chciałabym go dostać z powrotem.

– Nie dam – odparł przekornie, jakby go bawiła jej dziecinna zachłanność.

– Potrzebuję pamiątki, która by mi o tobie przypominała.

– Dam ci moją bieliznę.

– To nie to samo.

Położył sobie kamień na języku i obrócił go w palcach, śliniąc ze wszystkich stron. Patrzyła, jak to robi. On też bacznie ją obserwował. Zdawał sobie sprawę, że bardzo zależy jej na tej zabawce.

– Mówiłaś coś o trawce – przypomniał.

Wróciła do sypialni, włączyła nocną lampkę i zajrzała do górnej szuflady, gdzie ostatnio trzymała marihuanę.

– Wychodziłaś gdzieś? – zapytał Gentle.

– Byłam u Oscara.

– Jakiego Oscara?

– Godolphina.

– Jak się miewa? Cały i zdrowy?

– Nie widzę trawy. Musiałam całą wypalić.

– Mówiliśmy o Oscarze.

– Zamknął się w domu i nie chce wyjść.

– A gdzie mieszka? Może powinienem go odwiedzić. Pocieszyć.

– Nie będzie chciał cię widzieć. Nikogo nie przyjmuje. Boi się, że nadchodzi koniec świata.

– A ty co o tym sądzisz?

Wzruszyła ramionami. Była na Gentle'a wściekła, chociaż nie wiedziała czemu. Zabrał na chwilę jajo, ale to przecież żadna zbrodnia. Jeżeli kamień dawał mu poczucie bezpieczeństwa, czy powinna być o niego zazdrosna? Nie lubiła w sobie tej małostkowości, ale musiała przyznać, że bez przepływających między nimi seksualnych fluidów wygląda jak prostak. Nie spodziewała się tego po nim. Chociaż Bóg jeden wiedział, że w swoim czasie oskarżała go o różne niedoskonałości, to finezji nigdy mu nie brakowało. Czasem przeciwnie – bywał nazbyt delikatny i ugrzeczniiony.

– Mówiłaś coś o końcu świata – przypomniał.

– Tak?

– Czy Oscar cię nastraszył?

– Nie, ale widziałam u niego coś, czego się boję. Opowiedziała mu pokrótce o Pucharze Bostońskim i jego prorocत्वach. Słuchał w milczeniu.

– Piąte Dominium chwieje się w posadach; oboje o tym wiemy – powiedział, kiedy skończyła. – Nam jednak nic nie grozi.

Te same – albo prawie te same – emocjonalne bzdury słyszała od Oscara. Obaj chcieli stworzyć jej przystań, w której schroni się przed burzą. Właściwie powinno jej to pochlebiać.

Gentle spojrział na zegarek.

– Muszę wyjść. Nic ci się tu nie stanie, prawda?

– Spokojna głowa.

– Powinnaś się przespać, zebrać siły. Czekają nas mroczne czasy, zanim znów zabłyśnie słońce. Część tej ciemności odnajdziemy w sobie nawzajem. To naturalne, nie jesteśmy przecież aniołami – zachichotał. – No, może ty jesteś. Ja na pewno nie. – Schował kamień do kieszeni. – Wracaj do łóżka. Rano będę z powrotem. Nie bój się, poza mną nikt się do ciebie nawet nie zbliży. Przymierzam ci to. Będę przy tobie, Jude, przez cały czas. To nie są tylko czułe słówka zakochanego faceta.

Uśmiechnął się i wyszedł, a Jude zaczęła się głowić, o co właściwie mu chodziło, jeśli nie mówił tego z miłości.

ROZDZIAŁ 47

1

– Coś ty za jeden? – spytał brudny, brodaty włóczęga.

Nieznajomy, którego złapał za gardło, bezradnie pokręcił głową. Miał pecha, że napatoczył się na brodacza. Krew płynęła mu z czoła; pokaleczył się, gdy waląc głową o ścianę, próbował uciszyć zgiełk głosów pod czaszką. Na próżno – wciąż kłębiły mu się w myślach twarze i nazwiska, których nie potrafił rozpoznać. Dlatego teraz mógł tylko pokręcić głową. Nie wiedział, kim jest.

– Wypierdalaj stąd!

Brodacz trzymał w ręce butelkę taniego wina. W jego oddechu dało się wyczuć odór alkoholu zmieszany z inną, głębszą wonią zgnilizny. Pchnął intruza na ścianę w przejściu podziemnym.

– Nie będziesz tu, kurwo jedna, spał, jasne? Najpierw zapytaj, czy możesz. Bo to ja mówię, komu wolno tu spać, a komu nie. Mam rację?

Spojrzał przekrwionymi ślepiami w stronę bandy obszarpańców, którzy gramolili się z urządzonych w kartonach i wysłanych gazetami łóżek, by popatrzeć, jak szef się zabawia. Wiedzieli, że poleje się krew. Jak się Tolland wściekł, zawsze się lała, a nie wiedzieć czemu ten smutas drażnił go bardziej niż inni bezdomni, którzy próbowali schronić się tu bez jego zezwolenia.

– Mam rację?! – powtórzył. – Irish! Powiedz mu, czy mam rację?

Człowiek, do którego zwrócił się Tolland, zabełkotał coś niezrozumiale. Stojąca obok niego kobieta o włosach tak utlenionych, że praktycznie niewi-

docznych (poza odrostami, które były zupełnie czarne), podeszła na wyciągnięcie ręki do Tollanda – mało kto by się na to odważył – i odparła:

– Masz rację, Tolly. Absolutnie. – Bez cienia litości spojrzała na ofiarę. – Myślisz, że to parch? Ma taki żydowski nochal.

Tolland pociągnął wina z butelki.

– Jesteś Żydem, fiucie jeden?

Ktoś z pozostałych zaproponował, żeby go rozebrać i sprawdzić. Kobieta – znana pod wieloma imionami, chociaż Tolland mówił do niej Carol, kiedy ją rznął – już chciała to zrobić, ale wycofała się, gdy zamierzył się na nią.

– Zabieraj od niego te brudne łapska! Sam nam powie, prawda, bracie? Powiesz nam? To jak? Jesteś, zasrańcu, parchem, czy nie?

Złapał intruza za kłapy kurtki.

– Czekam!

– ...Gentle... – z wysiłkiem odparł mężczyzna.

– Gentle? Żyd czy goj, właściwie mam to w dupie. Nie chcę cię tu widzieć!

Intruz skinął głową i zamierzał odejść, ale Tolland jeszcze nie skończył. Cisnął go na ścianę, aż wypchnął mu powietrze z płuc.

– Irish! Weź ode mnie flaszkę!

Irlandczyk zabrał od Tollanda butelkę i cofnął się, czekając, co będzie dalej.

– Tylko go nie zabij – powiedziała kobieta.

– Chuj ci do tego!

Tolland splunął i uderzył Gentle'a – raz, drugi, trzeci, czwarty – prosto w splot słoneczny, a na koniec kopnął go kolanem w jądra. Trzymany za gardło Gentle niewiele mógł zrobić; zebrał wszystkie ciosy, z oczu pociekły mu łzy. Patrzył na Tollanda zdziwiony, jęknięciem kwitując każde uderzenie.

– On jest psychiczny – zauważył Irlandczyk. – Przyjrzyj mu się, on jest psychiczny!

Szef nie zwrócił na niego uwagi, tylko posłał kolejną serię ciosów. Gentle zwisał bezwładnie, przytrzymywany drugą ręką Tollanda. Jego twarz straciła wszelki wyraz.

– Słyszysz mnie, Tolly? To świrus. Nic nie czuje.

– Nie mieszaj się do tego, palancie!

– Daj mu spokój...

– Po co laź, gdzie go nie prosili?

Tolland pociągnął Gentle'a za sobą. Tłumek rozstał się przed nim. Kiedy Irish umilkł, nie było więcej sprzeciwów. Najpierw Tolland paroma uderzeniami przewrócił Gentle'a, potem zaczął go kopać. Gentle skulił się i pojękiwał, próbując osłonić głowę rękoma, ale Tolland nie zamierzał mu łatwo przepuścić. Chwytał go za dłonie i odciągnął je od twarzy. Wziął zamach nogą. Nie zdążył jednak kopnąć; butelka, którą oddał Irishowi, roztrzaskała się na betonie.

– Dlaczego to zrobiłeś, do kurwy nędzy?

– Nie można bić psychicznych – odparł Irish pojednawczo.

– Podskoczysz mi?

– Mówię tylko...

– Podskoczysz mi, kutasie?

– On ma nie po kolei w głowie, Tolly.

– W takim razie wkopię mu do łba trochę rozumu.

Tolland puścił ofiarę i odwrócił się do buntownika.

– A może ty chcesz to zrobić?

Irish pokręcił głową.

– No, zrób to dla mnie. – Tolland ominął Gentle'a i ruszył w stronę Irisha.

– Dalej, śmiało...

Irish zaczął się cofać, ale Tolland nie ustępował. Gentle przetoczył się na brzuch i próbował odczołgać. Krew płynęła mu z nosa i otwartych ran na czole. Nikt mu nie pomógł. Kiedy Tolland się wściekł, nie znał granic. Ktokolwiek wszedłby mu w drogę – mężczyzna, kobieta, dziecko – był stracony. Tolland bez namysłu łamał ludziom kości i karki. Kiedyś dwadzieścia metrów od przejścia podziemnego wbił szyjkę butelki w oko człowiekowi, który za długo mu się przyglądał. Słyszeli o nim wszyscy mieszkańcy kartonowych miasteczek po obu stronach rzeki – i modlili się, żeby nie przyszedł ich odwiedzić.

Irish podniósł ręce w geście rezygnacji.

– W porządku, Tolly, w porządku – powiedział. – Mój błąd. Słowo daję, przepraszam.

– Rozbiłeś moją butelkę, złamasie.

– Zaraz przyniosę ci drugą. Już lecę.

Irish znał Tollanda dłużej niż pozostali i wiedział, jak go ugłaskać. Należało go gorąco przeproszać, najlepiej w obecności całego plemienia poddanych. Ta metoda nie zawsze się sprawdzała, ale tym razem miał szczęście.

– Chcesz nową flaszkę? – upewnił się.

– Dwie, pokurczu jeden.

– Tak jest, Tolly. Jestem pokurczem.

– I jedną dla Carol.

– Robi się.

Tolland wymierzył w niego palec.

– I nie próbuj mnie więcej ruchnąć, bo ci jaja oberwę.

Złożywszy tę obietnicę, odwrócił się do swojej ofiary. Widząc, że Gentle zdążył już kawałek odpełznąć, ryknął z wściekłości. Wszyscy, którzy stali mu na drodze, rozstąpili się czym prędzej, on jednak wcale się nie spieszył. Patrzył, jak Gentle z wysiłkiem wstaje i próbuje uciec, potykając się o kartony i posłania.

Młody – mniej więcej szesnastoletni – chłopak klęczał na betonie i rysował coś na nim kolorową kredą, od czasu do czasu zdmuchując nadmiar kredowego pyłu. Pochłonięty rysowaniem nie zauważył bójki, teraz jednak dobiegł go dudniący w tunelu głos Tollanda:

– Monday, pojebańcu! Złap go!

Chłopak podniósł wzrok. Włosy miał krótko przycięte i beznadziejnie zmierzwiłone, skórę całą w dziobach po ospie, uszy odstające jak uchwyty od garnka, a ręce zdeformowane od ukłuć igły. Był jednak bystry i w sekundę zrozumiał, jaki ma wybór. Jeśli złapie zakrwawionego uciekiniera, skaże go na śmierć; jeżeli tego nie robi, sam zginie. Udał zaskoczenie, chcąc zyskać na czasie; przytknął stuloną dłoń do ucha, jakby nie dosłyszał słów Tollanda.

– Zatrzymaj go!

Monday zaczął się prostować.

– Spierdalaj! – mruknął pod adresem intruza, ale ten kretyn zatrzymał się ze wzrokiem utkwionym w rysunek na ziemi. Monday skopiował w tym miejscu zdjęcie z gazety, przedstawiające młodą gwiazdkę filmową o wielkich oczach, z misiem koala w ramionach. Kobietę odtworzył zdumiewająco wiernie, natomiast miś wyglądał jak jednooki potwór wzięty z jakiegoś patchworku.

– Nie słyszysz, co mówię?

Intruz nie zwracał na niego uwagi.

– Już nie żyjesz. – Monday wstał i odepchnął go od rysunku. – Zjeżdżaj stąd, bo mi zniszczysz obrazek! Wypad, facet! – Pchnął mocniej, ale intruz stał jak wrośnięty w ziemię. – Zakrwawisz go, kutafonie!

Tolland zawołał Irisha, który usłużnie wyrósł u jego boku jak spod ziemi.

– Co jest, Tolly?

– Przytrzymaj dzieciaka.

Irish posłusznie złapał Mondaya, Tolland zaś dopadł Gentle'a, który nie ruszył się z miejsca.

– Uważaj, żeby go nie zakrwawił! – krzyknął Monday.

Tolland spojrzał na niego z ukosa – i wszedł na rysunek, zdzierając buciorami delikatną twarz. Monday jęczał bezsilnie, gdy jaskrawe barwy zmieniały się w brunatny pył.

– Nie rób tego, facet! Proszę cię, daj spokój!

Jeszcze bardziej rozwścieczony tym biadoleniem Tolland podszedł do puszek po cygarach, w której chłopiec trzymał kredę, i chciał ją kopnąć. Monday wyrwał się jednak Irishowi i zasłonił puszkę własnym ciałem. Dostał kopniaka w żebra, padł na ziemię, prosto w kredowy pył. Tolland przewrócił puszkę i wrócił do jej niedoszęłego obrońcy. Monday skulił się, czekając na drugi cios. Rozległ się głos Gentle'a:

– Nie rób tego.

Nikt Gentle'a nie trzymał, mógł spokojnie uciec, gdy Tolland zajął się Mondayem. Stał jednak w miejscu, ze wzrokiem utkwionym w człowieka, który zniszczył rysunek.

– Co ty, kurwa, gadasz? – Rozdziawione usta Tollanda wyglądały jak krwawa rana ukryta w gęstej brodzie.

– Powiedziałem: nie rób tego.

Do tej pory polowanie na intruza sprawiało Tollandowi przyjemność, lecz nagle sytuacja diametralnie się zmieniła – i każdy z jego ludzi to wyczuwał. Zabawa, której efektem byłoby odgryzione ucho czy połamane żebra, dobiegła końca. Ci, którzy nie mieli ochoty dalej patrzeć, wycofywali się jak najdalej; nawet najtwardsi odsunęli się o krok czy dwa, zdając sobie sprawę (w głębi zapitych, zaćpanych albo zwyczajnie otepiałych mózgów), że bójka skończy się czymś więcej niż zwykłym puszczaniem krwi.

Tolland odwrócił się do Gentle'a i sięgnął za pazuchę. Wyjął nóż, którego dwudziestocentymetrowe ostrze znaczyły liczne rysy i szczyrby. Na ten widok nawet Irish się odsunął. Tylko raz zdarzyło mu się widzieć, jak Tolland użył noża – i ten jeden raz na długo mu wystarczył.

Skończyły się wyzwiska i bijatyka na pięści. Tolland bez ostrzeżenia rzucał się na przeciwnika, żeby swoją masą przygwoździć go do ziemi. Gentle

się uchylił. Spojrzał w dół, na rysunki. Przypominały mu obrazy, które wypełniały mu głowę; smugi jasnych barw wtarte w szarość. Z tej szarości wyłaniało się wspomnienie bardzo podobnego miejsca: prowizoryczne miasto, brudne, niebezpieczne, gdzie ktoś dybał na jego życie – tak jak ten człowiek teraz próbował go zabić. Tylko że tamten niósł w głowie ogień, którym mógł go wypalić na popiół, a on był bezbronny.

Podniósł ręce. Były zakrwawione po tym, jak próbował otrzeć płynącą z nosa krew. Postanowił użyć prawej. Zaciśnął pięść (tak jak czynił to wiele razy wcześniej), nabrał powietrza i – nie rozumiejąc, co robi – podniósł dłoń do ust.

Pneuma wystrzeliła, zanim Tolland zdążył uderzyć. Trafiła go w bark. Przewrócił się na ziemię i na dłuższą chwilę zaniemówił. Zdrową ręką sięgnął do rany i zamiast ryku z jego ust dobył się pisk. Nieliczni świadkowie, którzy czekali na śmierć Gentle'a, stali jak skamieniali. Później, kiedy opowiadali o całym wydarzeniu, każdy mówił co innego: jeden widział nóż, którego Gentle dobył, pchnął nim i ukrył z powrotem w mgnieniu oka; inny twierdził, że z jego ust wystrzelił pocisk. W każdy razie nikt nie wątpił, że zdarzyło się coś niesamowitego. Cudotwórca pojawił się wśród nich i obalił tyrana, nie tknąwszy go palcem.

Tolland jednak nie zamierzał się poddać. Mimo że stracił gdzieś nóż (kiedy wypadł mu z ręki, Monday dyskretnie podniósł go z ziemi), miał jeszcze swoich ludzi. Wezwał ich do siebie.

– Widzieliście, co mi zrobił? – wrzasnął. – Na co czekacie, skurwysyny? Łapcie go! Łapcie chuja! Nikt mnie tak nie załatwi! Irish? Irish?! Gdzie jesteś, kutasie jeden? Niech mi ktoś pomoże!

Podeszła Carol, ale ją odepchnął.

– Gdzie Irish?

– Tu jestem.

– Złap drania.

Irish ani drgnął.

– Słyszałeś? To była jakaś żydowska sztuczka! Sam widziałeś, nie? Pierdolona żydowska sztuczka!

– Widziałem – przyznał Irish.

– On to może zrobić jeszcze raz! Tobie też!

– Ja tam myślę, że on już nikomu nic nie robi.

– To skręć mu kark!

– Jak chcesz, sam to zrób. Ja go palcem nie ruszę.

Mimo znacznej masy i osłabienia raną Tolland błyskawicznie poderwał się na nogi. Rzucił się jak rozjuszony byk na swojego dawnego porucznika – ale zanim go dopadł, palce Gentle'a zacisnęły się na jego ramieniu. Zatrzymał się, a widzowie mieli okazję zobaczyć drugi tego dnia cud: na twarzy Tollanda odmalował się strach. Co do tego byli zgodni. Kiedy wieść rozeszła się po mieście – a rozeszła się w godzinę, błyskawicznie przenikając między kartonowymi miasteczkami, które znały Tollanda – to mimo późniejszych ozdobników jej zasadnicza treść się nie zmieniła. Tolland zaczął się pocić, a z jego rozdziawionych ust pociekła strużka śliny. Niektórzy twierdzili, że zlał się w spodnie i nasikał sobie do butów.

– Zostaw Irisha w spokoju – powiedział Gentle. – Albo nie, wszystkich nas zostaw w spokoju.

Tolland nie odpowiedział. Spojrzał tylko na dłoń, która go przytrzymała, i zdawał się kurczyć w oczach. Nie z powodu rany tak spotulniał, nawet nie ze strachu przed ponownym atakiem; w przeszłości znacznie poważniejsze obrażenia zwykle tylko go rozwścieczały. Bał się dotyku Gentle'a, lekko opartej na ramieniu dłoni. Cofnął się, zerkając na boki, jakby szukał pomocy. Nikt – nawet Irish i Carol – nie chciał się do niego zbliżyć.

– Nie wyślizgasz się... – zagroził Tolland, gdy od Gentle'a dzieliło go już pięć kroków. – Ja mam wszędzie przyjaciół! Zginiesz, fiucie, zobaczysz. Już ja się postaram.

Gentle odwrócił się do niego plecami i zaczął zbierać rozrzucone na ziemi kawałki kredy. Ten niewinny gest wyrażał więcej niż wszelkie groźby czy demonstracje siły – świadczył o całkowitej obojętności. Tolland patrzył chwilę na pochylonego Gentle'a, jakby zastanawiał się, czy warto zaatakować – a potem, rozważywszy wszystkie za i przeciw, obrócił się na pięcie i uciekł.

– Zwiął. – Monday przykucnął obok Gentle'a.

– Masz ich więcej? – zapytał intruz, pokazując mu zebrane w dłoń odłamki kredy.

– W tej chwili nie, ale to nie problem. Rysujesz?

Gentle wstał.

– Czasem.

– Kopiujesz, tak jak ja?

– Nie pamiętam.

– Nauczę cię, jak będziesz chciał.

– Nie. Będę kopiował z głowy. – Gentle spojrzał na trzymane w dłoni kawałki. – W ten sposób ją opróżnię.

– A farby by ci się nie przydały? – spytał Irish, widząc, jak Gentle wodzi wzrokiem po betonowej posadzce.

– Macie farbę?

– Ja i Carol możemy ci wszystko załatwić. Czego tylko sobie zażyczysz, Gentle.

– Przynieście mi... wszystkie kolory, jakie znajdziecie.

– Tylko tyle? A nie napiłbyś się czegoś?

Gentle nie odpowiedział, bez słowa podszedł do kolumny, do której na początku przygwoździł go Tolland. Żółtą kredą zaczął rysować słońce.

2

Kiedy Jude się obudziła, dochodziło południe. Od powrotu Gentle'a do domu minęło co najmniej jednaście godzin. Zabrał jajo, które zesłało jej wizję nirwany, i gdzieś sobie poszedł. Nie chciało jej się ruszać z łóżka; promienie słońca raziły w oczy.

Nawet gdy skręciła ciepłą wodę do minimum i stanęła pod zimnym prysznicem, jakoś nie mogła się obudzić. Wytarła się z grubsza i naga przeszła do kuchni. Od podmuchu z otwartego okna na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. To jest przynajmniej jakaś oznaka życia, pomyślała. Drobną, bo drobną, ale zawsze. Wstawiła kawę i włączyła telewizor. Trochę poskakała po różnych programach, a potem zostawiła na byle którym, żeby bełkotał do wtóru bulgoczącego ekspresu, i zaczęła się ubierać. Szukała właśnie drugiego buta, gdy zadzwonił telefon. Ze słuchawki dobiegł zgiełk ruchu ulicznego, a po paru sekundach zapadła głucha cisza. Jude nie odchodziła od telefonu. Przyszło jej do głowy, że może Gentle usiłuje się z nią skontaktować. Pół minuty później zabrzmiał następny dzwonek. Tym razem dobiegł ją męski głos, chrapliwy i ledwie słyszalny.

– Chryste Panie...

– Kto mówi?

– Och, Judith... Boże mój... Boże... Judith? To ja, Oscar...

– Gdzie jesteś? – spytała.
Na pewno nie dzwonił z domu.
– ...nie żyją, Judith.
– Kto nie żyje?
– A teraz ja. Chce mnie.
– Nic nie rozumiem. Kto nie żyje?
– Pomóż mi... Musisz... mi pomóc... Nigdzie nie jest... bezpiecznie.
– W takim razie przyjedź do mnie.
– Nie... ty przyjedź tutaj...
– To znaczy gdzie?
– Do St Martin's-in-the-Field... Wiesz, gdzie to jest?
– A co ty tam robisz, do cholery?!

– Będę czekał w środku. Pospiesz się. Znajdzie mnie. Na pewno mnie znajdzie.

*

Przy placu korek był straszny, jak zwykle koło południa. Wietrzyk, który przed godziną przyprawiał Jude o gęsią skórę, osłabł i nie miał szans rozproszyć ani gęstej mgły spalin, ani ponurych nastrojów kierowców. W kościele powietrze też stało bez ruchu, choć w porównaniu z wonią strachu bijącą od człowieka, który siedział nieopodal ołtarza, pachniało jak najczystszy ozon. Mężczyzna tak mocno zaciskał ręce, że knykcie mu zbieleły.

– Mówiłeś, że nie wyjdiesz z domu – przypomniała mu Jude.

– Coś po mnie przyszło – odparł Oscar. Ze strachu oczy wychodziły mu z orbit. – W nocy. Próbowano wejść, ale nie dało rady. W którymś momencie rano, w biały dzień, papugi zaczęły strasznie jazgotać, a potem tylne drzwi wyleciały z zawiasów.

– Widziałeś, co to było?

– Gdybym widział, pewnie byśmy już nie rozmawiali. Co to, to nie; po pierwszym razie byłem gotowy i jak tylko usłyszałem krzyk ptaków, popędziłem do drzwi frontowych. Zrobił się straszny hałas, światła pogasły... – Oscar z całej siły złapał Jude za ramię. – Co mam teraz zrobić? Wcześniej czy później mnie znajdzie. Pozostałych już zabiło...

– Kogo?

– Nie oglądasz telewizji? Oni wszyscy nie żyją! Lionel, Bloxham,

McGann. Kobiety też. Shales zginął we własnym łóżku. Sam nie wiem...
Jaki potwór mógł to zrobić?

– Dyskretny.

– Jak możesz żartować?!

– Ja żartuję, ty umierasz ze strachu. Radzimy sobie, jak umiemy – westchnęła Jude. – Stać cię na więcej, Oscarze. Nie możesz się wiecznie ukrywać. Czeka nas sporo pracy.

– Nie chcę więcej słyszeć o tej twojej cholernej bogini, Judith. To przegrana sprawa. Wieżowiec pewnie dawno się zawalił.

– Jeżeli ktoś może nam pomóc, to właśnie ona. Jestem tego pewna. Chodź ze mną. Kiedyś potrafiłeś być odważny. Co się z tobą stało?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Przez tyle lat jeździłem do Yzorderrex i z powrotem i nigdy się nie przejmowałem, gdzie wtykam nos. Nie obchodziło mnie, ile ryzykuję; chciałem tylko, żeby ciągle działało się coś nowego. To był inny świat. Może i ja byłem inny.

– A co z tym światem?

– To jest Anglia – odparł zakłopotany. – Bezpieczna, deszczowa i nudna Anglia, w której nie umieją grać w krykieta i podają ciepłe piwo. Tu nie powinno mi nic grozić.

– Ale prawda wygląda inaczej, Oscarze, czy ci się to podoba, czy nie. Takiego mroku, jaki tu nadciąga, Yzorderrex nigdy nie poznało. A ten mrok cię wytropił. Nie uciekniesz przed nim. Dopadnie cię. Mnie pewnie też.

– Dlaczego?

– Może myśli, że jesteś w stanie mu zaszkodzić.

– Jak?! Ja nic nie wiem!

– Razem możemy się czegoś nauczyć. Przynajmniej nie umrzemy pogrążeni w niewiedzy.

ROZDZIAŁ 48

Mimo ponurych przepowiedni Oscara wieżowiec Tabula Rasa stał na swoim miejscu, bardziej chyba anonimowy niż zwykle, w blasku słońca, które grzało, jakby stało w zenicie, chociaż było dawno po trzeciej. Żar dawał się we znaki nawet drzewom oddzielającym gmach od ulicy, liście zwisały z gałęzi jak wymięte ścierki. Jeśli jakieś ptaki znalazły wśród nich schronienie, były zbyt zmęczone, żeby śpiewać.

– Kiedy ostatnio tu byłaś? – spytał Oscar, gdy zajechali na pusty dziedzi-
niec.

Opowiedziała mu o niedawnym spotkaniu z Bloxhamem, podkreślając hu-
morystyczny aspekt całej sytuacji. Miała nadzieję oderwać Oscara od czar-
nych myśli.

– Nigdy nie przepadałem za Bloxhamem – odparł. – Był taki cholernie za-
rozumiały. No, właściwie wszyscy byliśmy... – Zawiesił głos i z entuzja-
zmem skazańca, który wkracza na szafot, wysiadł z samochodu. – Nie sły-
chać alarmu – zauważył, gdy podeszli do drzwi. – Jeżeli ktoś jest w środku,
musi mieć klucz. – Wyjął z kieszeni pęk kluczy i wybrał jeden. – Czy to na
pewno dobry pomysł?

– Na pewno.

Zrezygnowany – chociaż bynajmniej nie przekonany – otworzył drzwi i z
wahaniem wszedł do środka. W foyer panował półmrok i orzeźwiający chłód.

– Którędy do piwnicy? – spytała.

– Chcesz od razu tam zejść? Nie powinniśmy sprawdzić, co się dzieje na
górze? Przecież ktoś tu może być.

– Ktoś na pewno tu jest, Oscarze. W piwnicy. Jeżeli chcesz, idź rozejrzeć

się po piętrach, ale ja schodzę na dół. Im mniej czasu stracimy, tym szybciej stąd wyjdziemy.

Tym argumentem go przekonała. Posłusznie przejrzał pęk kluczy, wybrał właściwy i podszedł do najmniejszych, znajdujących się najdalej od wejścia drzwiczek w holu. Nie spieszył się, grzebiąc w kluczach; teraz jeszcze wolniej wkładał ten wybrany do dziurki i próbował przekręcić.

– Często zaglądałeś do piwnicy? – zapytała Jude, kiedy biedził się z zamkiem.

– Tylko dwa razy. To dość ponure miejsce.

– Wiem o tym – przypomniała mu.

– Mój ojciec chyba lubił się tam zapuszczać. Mamy regulamin, który zabrania samodzielnego buszowania po bibliotece, na wypadek gdyby księgi miały kogoś skusić. Ojciec miał ten przepis w nosie. Jest! – Udało mu się przekręcić klucz. – Jeden mamy z głowy – dodał, wyszukał następny klucz i zaczął grzebać przy drugim zamku.

– Mówił ci coś o tej piwnicy?

– Raz czy dwa tak... Wiedział o dominiach więcej, niż powinien. Podejrzewam, że znał nawet parę sztuk, chociaż pewności nie mam. Był ostrożny, skubaniec. Ale pod koniec życia, jak już zwariował, wygadywał różne rzeczy. Zapamiętałem nazwę Patashoqua. Cały czas ją powtarzał.

– Myślisz, że był w innych dominiach?

– Wątpię.

– Czyli sam wpadłeś na to, jak się tam dostać?

– Znalazłem tu kilka ksiąg i przemyciłem je do domu. Użycie kręgu nie jest trudne. Magia się nie starzeje. Jest chyba jedyną rzeczą... – Chrząknął i mocniej napał na klucz. – Jedyną, o której można to powiedzieć. – Klucz zaczął się obracać, ale wciąż stawiał opór. – Myślę, że podobałoby się papie w Patashoqua. Biedaczysko! Do końca życia pozostało dla niego pustym słowem.

– Po Pojednaniu wszystko się zmieni. Wiem, że dla niego to za późno...

– Wręcz przeciwnie. – Oscar skrzywił się z wysiłku. – Moja wiedza podpowiada mi, że zmarli są tak samo uwięzieni na Ziemi jak zwykli ludzie. Pecable twierdzi, że wszędzie słyhać głosy duchów. Gadają i gadają.

– Tutaj też?

– Zwłaszcza tutaj.

Zamek poddał się i otworzył.

– No proszę, zupełnie jakbym użył czarów.

– Cudownie. – Jude poklepała Oscara po plecach. – Jesteś genialny.

Uśmiechnął się do niej. Ponury, zrezygnowany człowiek, którego przed godziną znalazła w kościelnej ławie, ożywił się wyraźnie, odkąd miał czym zająć myśli i zapomniał o rzekomo niechybnym wyroku śmierci. Wyjął klucz i nacisnął klamkę. Drzwi, chociaż masywne i ciężkie, uchyliły się łatwo. Oscar pierwszy zanurzył się w mrok.

– O ile mnie pamięć nie myli, tu gdzieś jest włącznik. Nie? – Pomacał ścianę obok drzwi. – Aaa, tu cię mam!

Coś pstryknęło i piwnicę rozświetlił blask zawieszonych pod sufitem gołych żarówek. Pomieszczenie było rozległe, wyłożone boazerią i urządzone po spartańsku.

– Ta komnata to poza piwnicą jedyna część starego domu, która przetrwała do naszych czasów – wyjaśnił Oscar. Pośrodku pokoju stał okrągły dębowy stół, a przy nim osiem krzeseł. – Tu założyciele Tabula Rasa pewnie się spotkali po raz pierwszy. Spotykali się zresztą i później, do czasu aż dom został zburzony.

– To znaczy?

– Do końca lat dwudziestych.

– Czyli na jednym z tych krzeseł półtora wieku temu Godolphinowie sadzali swoje tyłki.

– Zgadza się.

– Wśród nich Joshua.

– Najprawdopodobniej.

– Ciekawe, ilu z nich znałam.

– Nie pamiętasz?

– Niestety nie. Ciągle czekam, aż mi pamięć wróci. Właściwie zastanawiam się, czy to w ogóle nastąpi.

– Może nie bez powodu wypierasz wspomnienia?

– Co masz na myśli? Są tak straszne, że nie mogę ich znieść? Bo byłam dziwką, krążyłam wokół stołu jak butelka portwajnu, przekazywana z rąk do rąk? Nie, nie sądzę, żeby o to chodziło. Nic nie pamiętam, bo nie żyłam prawdziwym życiem. Lunatykowałam. Nikt nie chciał mnie obudzić.

Spojrzała na Oscara wyzywająco, jakby prowokowała go, żeby zaczął bronić rodzinnych praw do jej osoby. Nic nie powiedział, naturalnie, tylko podszedł do szerokiego kominka, wygrzebując po drodze trzeci klucz z pęku.

Schylił się i wszedł do środka. Słyszała, jak wkłada klucz do zamka i przekręca; szczęknęły zapadki, kółka zębate i przeciwwaga, potem rozległ się zgrzyt i otworzyły się sekretne drzwi. Oscar obejrzał się przez ramię.

– Idziesz? Uważaj, schody są strome.

Były nie tylko strome, ale i długie. Po pierwszych kilku stopniach światło przesączone z pokoju z kominkiem przestało im wystarczać i szli po ciemku, zanim Oscar namacał włącznik na ścianie i blask zalał ciągnące się przed nimi korytarze. Jude poczuła dreszcz triumfu. Odkąd sen niebieskiego oka zaprowadził ją do więzienia Celestine, wiele razy odkładała na później pomysł znalezienia drogi do tego podziemnego świata. Teraz jednak udawała się tam, gdzie dotarła w wizji. Miała pokonać pełen ksiązek labirynt i znaleźć boginię.

– Od czasów biblioteki aleksandryjskiej nie było na świecie większego zbioru świętych ksiąg – powiedział Oscar tonem kustosza muzealnego. Jude miała wrażenie, że próbuje w ten sposób zaprzeczyć wielkości chwili, którą przeżywali. – O istnieniu niektórych przechowywanych tu tomów nie wie nawet Watykan. – Zniżył głos, jakby nie chciał przeszkadzać innym ewentualnym gościom. – Na łożu śmierci papa zdradził mi, że znalazł tu księgę napisaną przez czwartego króla.

– Przez kogo?

– Do Betlejem przybyli trzej królowie, pamiętasz? W każdym razie tak twierdzą ewangelie. To nieprawda. Królów było czterech. Szukali Pojednawcy.

– To Chrystus był Pojednawcą?

– Tak twierdził papa.

– Wierzysz w to?

– Nie miał powodu kłamać.

– Chodzi mi o księgę, Oscarze. W niej mogły być kłamstwa.

– A w Biblii nie? Papa mówił, że czwarty król spisał swoją historię, bo wiedział, że wyrzucą go z ewangelii. To on wymyślił nazwę „Imajica”; w tej jego księdze pojawia się po raz pierwszy. Papa mówił mi, że rozplakał się, kiedy ją zobaczył.

Jude z nowym szacunkiem spojrzała w głąb rozpoczynającego się u stóp schodów labiryntu.

– Próbowalesz odszukać tę księgę?

– Nie musiałem. Po śmierci papy zacząłem szukać tego, o czym mówiła.

Podróżowałem po dominiach tam i z powrotem, jak gdyby Christosowi się udało i Piąte Dominium zostało zjednoczone z Imajicą. I znalazłem liczne dwory Niewidzianego.

Właśnie, pozostał jeszcze najbardziej zagadkowy aktor w tym interdromialnym dramacie. Hapexamendios. Czy to, że Christos był Pojednawcą, czyniło Niewidzianego jego ojcem? Czy moc ukryta za mgłą strzegącą granic Pierwszego Dominium była mocą Najwyższego? A jeśli tak, to dlaczego Najwyższy zniszczył wszystkie boginie Imajiki, jak mówiły legendy? Jedno pytanie rodziło kolejne, a wszystkie brały się z kilku słów człowieka, który był świadkiem Narodzenia Pańskiego. Nie dziwota, że Roxborough pogrzebał te księgi żywcem.

– Wiesz, gdzie ukrywa się twoja tajemnicza kobieta? – spytał Oscar.

– Nie bardzo.

– No to czeka nas sporo pracy, jeśli mamy ją znaleźć.

– Pamiętam, że tuż przy jej celi kochała się dwójka ludzi. Bloxham i jakaś kobieta.

– A to świntuchy... Czy sugerujesz, że powinniśmy szukać plam na podłodze? W każdym razie proponuję się rozdzielić, bo inaczej spędzimy tu całe lato.

Rozstali się przy schodach. Jude wkrótce odkryła, jak dziwnie niesie się głos w tunelach. Chwilami słyszała kroki Godolphina tak wyraźnie, jakby szedł tuż za nią. Potem skręcała w boczny korytarz (albo Oscar gdzieś się zatrzymywał) i odgłos kroków nie zanikał stopniowo, lecz cichł jak nożem uciał i słyszała tylko tupot własnych stóp. Na tę głębokość nie przenikał nawet najcichszy szmer z ulicy, nie dochodziły też żadne dźwięki zza ścian – ani buczenie kabli elektrycznych, ani plusk wody w rurach.

Kilka razy korciło ją, żeby ściągnąć którąś książkę z półki; może przy odrobinie szczęścia natrafiłaby na pamiętnik czwartego króla. Powstrzymała się jednak. Nie miała czasu, żeby pogrzebać w bibliotece, w dodatku księgi spisano w językach wielkich teologów i filozofów – łacinie, grece, sanskrycie i po hebrajsku. Nie znała żadnego z nich. Musiała zaufać instynktowi i liczyć na łut szczęścia, do czego zdążyła już przywyknąć. Do pomocy miała jedynie niebieskie oko, ale odkąd Gentle zabrał jej kamień, straciła i tego sprzymierzeńca. Gdy tylko się spotkają, zażąda zwrotu jaja. Da mu w zamian wszystko, czego zażąda – nawet loczek włosów łonowych, jeśli takie będzie miał życzenie. Ale odbierze mu jajo, zimne błękitne jajo.

Może właśnie takie myśli zaprowadziły ją do miejsca, w którym w sylwestra stali kochankowie. A może ten sam łut szczęścia, który miał jej wskazać pamiątnik czwartego króla. Jeśli tak, to szczęście jej nie zawiodło. Nie miała cienia wątpliwości, że tu właśnie Bloxham parzył się ze swoją kochanką. To były te same półki, o które opierała się kobieta, gdy żaloszny kochaś starał się ją zaspokoić. Pomiedzy stojącymi na nich książkami zaprawa miała lekko błękitnawy odcień.

Jude postanowiła nie wołać Oscara. Podeszła bliżej, zdjęła z półek kilka naręczny ksiąg i dotknęła niebieskim płam. Ściana była lodowata. Zaprawa kruszyła się pod palcami, jak gdyby pot Jude ją rozpuszczał. Zaskoczona odsunęła się i obserwowała błyskawicznie postępujący proces rozkładu. Zaprawa sypała się spomiedzy cegieł jak drobnuteńki piasek. W ułamku sekundy wąta strużka stała się rwącą rzeką.

– Jestem tutaj – powiedziała Jude, zwracając się do uwięzionej za ścianą kobiety. – Bóg mi świadkiem, że długo to trwało, ale nareszcie jestem.

*

Oscar nie słyszał jej słów; nie dotarło do niego nawet ich echo. Dwie, może trzy minuty wcześniej jego uwagę przykuł dobiegający z góry dźwięk, wszedł więc po schodach, żeby sprawdzić, co jest jego źródłem. W ostatnich dniach jego męskość została wystarczająco upokorzona, chował się w domu jak najgorszy tchórz. Myśl o tym, że może dzięki konfrontacji z intruzem odzyska szacunek w oczach Jude, dodała mu sił. Uzbrojony w znaleziony przy schodach kawał deski, miał właściwie nadzieję, że się nie przesłyszał i że na górze spotka jakiegoś prawdziwego przeciwnika. Dość już uciekania przed plotkami i chowania się po kątach przed obrazkami z fruwających kamieni. Jeżeli tu, na górze, było jakieś materialne zagrożenie, chciał stawić mu czoło. Wiedział, że albo wyda na siebie wyrok, albo wyleczy się z tchórzostwa.

U szczytu schodów się zawahał. Światło przesączające się pod drzwiami z pokoju Roxborougha poruszało się delikatnie. Ujął prowizoryczną maczugę oburącz i wszedł do środka. Sala zdawała się kołysać w rytm huśtających się żarówek; masywny stół i ciężkie krzesła falowały mu w oczach. Nic nie czało się w cieniu, podszedł więc jak najciszej do drzwi foyer. Chybotliwe światło się uspokoiło. Wyszedł z pokoju. W jednej chwili poczuł słodki zapach w nozdrzach i przenikliwy ból w boku. Chciał się odwrócić, ale deska

wypadła mu z rąk. Zdążył jeszcze krzyknąć...

*

– Oscar?

Nie chciała odchodzić od muru więzienia Celestine, który tak ochoczo się rozsypywał – cegły osuwały się jedna na drugą, gdy zabrakło łączącej je zaprawy, a półki trzeszczały, jakby lada chwila miały spaść ze ściany – ale nie mogła zignorować krzyku Oscara. Wróciła przez labirynt do schodów, chociaż dudniący echem odgłos kruszącej się ściany nie pozwalał się jej skupić. W końcu jednak znalazła drzwi. Cały czas nawoływała Oscara, a kiedy nie odpowiedział z biblioteki, postanowiła wejść na górę, do sali spotkań. Tam też było cicho i pusto – podobnie zresztą jak w foyer, gdzie jedynym śladem obecności Oscara była porzucona przy drzwiach deska. Co on znowu wykombinował? Wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nie wrócił po coś do samochodu, ale nigdzie go nie znalazła. W takim razie została jej tylko jedna możliwość. Oscar musiał pójść gdzieś na górę.

Poirytowana, ale i zaniepokojona zerknęła w stronę otwartych drzwi do piwnicy. Stała chwilę w miejscu, rozdarta między pragnieniem powitania Celestine i odszukania Oscara na piętrach wieżowca. Tłumaczyła sobie, że Oscar nie jest ułomkiem i potrafi się w razie czego obronić, nie mogła jednak pozbyć się poczucia, że w jakimś sensie jest za niego odpowiedzialna. Namówiła go, żeby tu przyjechali.

Jedne z drzwi wyglądały tak, jakby za nimi znajdowała się winda. Jude usłyszała buczenie silnika. Cofnęła się na schody i zaczęła wchodzić na górę. Na klatce schodowej panował mrok. Przeskakiwała po trzy, cztery stopnie, aż dotarła do drzwi na ostatnim piętrze. Sięgnęła ręką do klamki, gdy zza drzwi dobiegł ją czyjś głos. Nie mogła rozróżnić słów, chociaż brzmiał elegancko, nieco ostro. Czyżby jednak ktoś z Tabula Rasa ocalał? Może Bloxham, piwniczny Casanova?

Otworzyła drzwi. W środku było tylko trochę jaśniej, chociaż wszystkie pokoje, do których wchodziło się z korytarza, miały pozaciągane zasłony. Głos zaprowadził ją w końcu do uchylonych drzwi, za którymi paliło się światło. Ostrożnie podeszła bliżej. Gruby dywan skutecznie tłumił jej kroki. Nawet kiedy głos na chwilę ucichł, nie zatrzymała się. Uznała, że nie ma sensu dłużej czekać. Pchnęła drzwi.

Na środku pokoju znajdował się stół, a na nim leżał Oscar w podwójnej kałuży – krwi i światła. Nie krzyknęła, nie zrobiło się jej nawet niedobrze, chociaż miał rozprutą całą pierś, jak pacjent w trakcie operacji. Żył jeszcze. Widziała jego serce, które miotano się w piersi jak ryba w zbiorniku z krwią.

Obok leżał skalpel.

– Nareszcie jesteś – odezwał się chirurg, który do tej pory stał z boku, w cieniu. – Podejdź bliżej. To tylko ja, kochaniutka.

– Dowd...

– Ach, więc mnie pamiętasz! Jakie to miłe, prawda? Nie, wcale nie.

Nie wyzbył się teatralnych nawyków, chociaż melodyjna słodycz zniknęła z jego głosu. Przypominał własną karykaturę, wyglądał, jakby ktoś porznął mu całą twarz tasakiem.

– Dołącz do nas, kochaniutka. Jedziemy przecież na jednym wózku.

Była oszołomiona jego widokiem (a Oscar ostrzegwał ją, że istoty w rodzaju Dowda bardzo trudno zabić!), lecz nie czuła lęku.

Znała na wylot jego sztuczki i gierki. I widziała, jak zawieszony nad przepaścią błagał o życie. Teraz wydał się jej załosny.

– Ach, byłbym zapomniiał... na twoim miejscu nie ruszałbym Godolphina – powiedział, gdy podeszła do stołu. – Jego życie wisi na włosku. Jeśli go poruszysz, słowo daję, bebechy wypadną mu z brzucha. Dlatego radzę go zostawić w spokoju i cieszyć się chwilą.

– Cieszyć się? – spytała, dając upust swojemu obrzydzeniu, chociaż zdawała sobie sprawę, że to właśnie chciał usłyszeć.

– Nie tak głośno, maleńka. – Dowd się skrzywił. – Obudzisz dzidziusia – zachichotał. – W porównaniu z nami jest naprawdę dzieckiem. Takie krótkie życie...

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Od czego powinienem zacząć? Od najmniej istotnych powodów? Nie, od najważniejszego. Zrobiłem to, żeby się uwolnić. – Dowd nachylił się do Jude. W blasku wiszącej u góry lampy jego twarz wyglądała jak puzzle ze światła i cienia. – Kiedy wyzionie ducha, kochaniutka, a to się stanie już niedługo, wygaśnie ród Godolphinów. Nie będziemy już niczymi niewolnikami.

– W Yzordderrex byłeś wolny.

– Nie. Miałem tylko długą smycz. Czułem jego pragnienia, wiedziałem, kiedy cierpi. Jakaś cząstka mnie szeptała mi do ucha, że powinienem być przy nim, w domu, robić herbatę i wycierać mu stopy. W głębi serca cały

czas byłem jego niewolnikiem! To zakrawa na cud, jak długo ten facet trzyma się przy życiu. – Spojrzał na umierającego Oscara i sięgnął po skalpel.

– Zostaw go! – warknęła.

Dowd, o dziwo, nie zaprotestował. Odsunął się natychmiast.

Pochyliła się nad Oscarem. Mięśnie twarzy drgały mu nerwowo, podobnie jak zbielełe wargi. Bała się go dotknąć, żeby nie przysporzyć udręczonego organizmu o kolejny wstrząs, który mógłby okazać się śmiertelny.

– Oscar? Słyszysz mnie, Oscarze?

– Myśl o sobie, kochaniutka – mruknął Dowd. – Czemu tak się nad nim rozczulasz? Zapomniałaś, jak cię wykorzystał? Jak cię zniewolił?

Nachyliła się jeszcze bardziej i powtórzyła jego imię.

– Nigdy nie kochał ani ciebie, ani mnie – ciągnął Dowd. – Byliśmy dla niego niewolnikami, inwentarzem. Częścią...

Oscar zamrugnął i otworzył oczy.

– ...spadku – dokończył Dowd prawie niesłyszalnie. Wycofał się w półmrok.

Białe wargi Oscara ułożyły się w imię Judith, choć nie towarzyszył temu żaden dźwięk.

– Mój Boże... – szepnęła. – Słyszysz mnie? Chcę, żebyś wiedział, że twoje cierpienie nie poszło na marne. Znalazłam ją. Rozumiesz? Znalazłam ją.

Oscar lekko skinął głową, a potem ostrożnie oblizał wargi i wykrztusił:

– To nieprawda...

Zrozumiała słowa, ale ich sens jej się wymykał.

– Co jest nieprawdą?

Jeszcze raz przesunął językiem po ustach. Wykrzywił twarz w grymasie bólu. Tym razem wypowiedział tylko jedno słowo:

– ...spadek...

– Nie byłam spadkiem? Wiem o tym.

Wtedy uśmiechnął się ledwie widocznym uśmiechem. Powiódł wzrokiem po jej twarzy – od czoła, przez policzki, po usta, na koniec spojrzał jej w oczy. Nie unikała jego spojrzenia.

– Kochałem... cię...

– O tym też wiedziałam – odparła szeptem.

Oczy mu się zamgłyły, serce przestało bić, twarz się rozluźniła. Ostatni z Godolphinów zmarł na marmurowym stole Tabula Rasa.

Jude wyprostowała się, nie odrywając od niego wzroku, chociaż nie był to

miły widok. Gdyby kiedyś korciło mnie, żeby wdać się w romans z siłami mroku, niech ten widok będzie przestrogą, pomyślała. W całej scenie nie było cienia poezji ani szlachetności. Tylko zniszczenie.

– No i już – stwierdził Dowd. – Zabawne, wcale nie czuję się inaczej. To wymaga czasu. Wolności trzeba się nauczyć tak samo jak wszystkiego innego.

Jude słyszała skrzętnie skrywaną rozpacz w jego głosie. Dowd cierpiał.

– Muszę ci coś jeszcze powiedzieć – dodał.

– Nie chcę cię słuchać.

– Zaczekaj, kochaniutka. Chcę, żebyś wiedziała... On zrobił mi dokładnie to samo, tu, na tym stole. Wypatroszył mnie na oczach całego Stowarzyszenia. Może to brzydko żywić pragnienie zemsty, ale przecież jestem tylko nędznym aktorzyną... Co ja mogę?

– I za to ich wszystkich zabiłeś?

– Kogo?

– Członków Stowarzyszenia.

– Jeszcze nie. Ale dopadnę ich, w imieniu nas obojga.

– Spóźniłeś się. Nie żyją.

Tym razem Dowd umilkł na długą chwilę, a kiedy znów się odezwał, jego gadanina brzmiała równie pusto jak cisza, którą usiłował wypełnić.

– Wszystko przez tę cholerną czystkę, wiesz? Narobili sobie wrogów. W najbliższych dniach z ukrycia wyleżą całe zastępy pomniejszych maistrów. Nielicha okazja się nam szykuje, prawda? Ja zamierzam się zalać w trupa, a ty? Jak uczysz rocznicę? Sama? Z przyjaciółmi? Właśnie, ta kobieta, którą znalazłaś... Lubi się zabawić?

Jude przekłęta się w duchu za niedyskrecję.

– Kim właściwie jest? – dopytywał się Dowd. – Nie mów mi, że Clara miała siostrę – zaśmiał się. – Przepraszam, nie powinienem się śmiać, ale chyba sama widziałaś, że kompletnie ześwirowała. Nie rozumiała cię. Tylko ja cię rozumiem, kochaniutka, bo...

– ...jesteśmy tacy sami.

– Właśnie! I nie jesteśmy już niczyją własnością. Jesteśmy sobą. Robimy, co chcemy, kiedy chcemy i w dupie mamy ewentualne konsekwencje.

– To ma być wolność? – Jude spojrzała mu prosto w twarz.

– Tylko mi nie mów, że jej nie chcesz. Nie każę ci mnie za to kochać. Nie jestem aż takim głupcem, ale mogłabyś chociaż przyznać, że sprawiedliwości

stało się zadość.

– Dlaczego nie zamordowałeś go dawno temu, w domu, w łóżku?

– Byłem za słaby. Wiem, wiem, w tej chwili też nie jestem okazem siły i zdrowia, ale od naszego ostatniego spotkania bardzo się zmieniłem. Mieszkałem przez jakiś czas z umarłymi. To bardzo... kształcące doświadczenie. Kiedy byłem tam na dole, zaczął padać deszcz. A właściwie grad, kochaniutka, bardzo twardy grad. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chcesz zobaczyć, jak wyglądał?

Dowd podciągnął rękaw i wystawił rękę do światła. Jude zaczynała rozumieć, dlaczego wyglądał tak makabrycznie: całe przedramię – zapewne całe ciało – przypominało patchwork; skóra nie zasklepiła się jeszcze na ranach, w których tkwiły kawałki kamienia. Od razu rozpoznała charakterystyczną poświatę, która udzielała się całemu jego ciału. Deszcz, który złapał go w studni, był deszczem odłamków Osi.

– Wiesz, co to jest, prawda?

Denerwowała ją łatwość, z jaką czytał w jej twarzy, ale nie było sensu mu zaprzeczać.

– Tak – przyznała. – Byłam w Wieży Osi, kiedy zaczęła się walić.

– Dar od Boga, co? Oczywiście wolniej się poruszam, odkąd noszę w sobie tyle kamienia, ale od dziś nie będę już chłopcem na posyłki, więc nie przeszkadza mi, że przejście przez pokój zajmie mi pół godziny. Mam za to moc, kochaniutka. Moc, którą mógłbym się podzielić... – Cofnął rękę. – Co to było?

Gdzieś z dołu dobiegł odległy grzmot.

– Co robiłaś w piwnicy? Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy zniszczyć bibliotekę, tę frajdę rezerwuję dla siebie. A zresztą... Będę miał jeszcze nieraz okazję zabawić się w barbarzyńcę. Takie mamy czasy, nie uważasz?

Jude myślami była już przy Celestine. Dowd mógł ją skrzywdzić. Musiała wrócić i ostrzec boginię, może wymyślić jakiś sposób obrony. Ale na razie postanowiła podjąć grę.

– Dokąd stąd pójdziesz? – zapytała, siląc się na niedbały ton.

– Chyba wrócę na Regent's Park Road. Moglibyśmy spać razem w łóżku naszego pana. Co ja gadam! Nie myśl, że chodzi mi o twoje ciało. Wiem, że cały świat wariuje na twoim punkcie, ale po dwustuletnim celibacie popęd seksualny gdzieś mi się zapodział. Moglibyśmy żyć jak brat i siostra. Co ty na to?

– Nie. – Jude z trudem powstrzymała się, żeby nie napluć mu ze wstrętem w twarz.

– To co, zaczekasz na mnie na dole? Muszę tu jeszcze coś załatwić. Sama rozumiesz, rytuał to rytuał.

– Jak chcesz.

Zostawiła go, żeby odprawił swoją ceremonię pożegnalną, i wyszła. Dudnienie ustało, ale pędziła po schodach jak na skrzydłach. Wiedziała, że cela stoi otworem, że za chwilę zobaczy boginię i – co najważniejsze – bogini zobaczy ją. Dowd miał w pewnym sensie rację; śmierć Oscara uwolniła ją od kłątwy, która towarzyszyła jej od chwili stworzenia. Teraz mogła się ujawnić.

W domu Roxborougha i na schodach do piwnicy wyczuwała zmianę, która zaszła podczas jej nieobecności. Nie musiała szukać drogi. Powietrze było przesycone energią, która płynęła wezbraną falą, niosąc ją prosto do źródła. Znalazła się pod celą – ściana zmieniła się w sięgającą pod sufit stertę gruzu, a rozpad wciąż postępował. Kolejne cegły leciały na ziemię, zaprawa kruszyła się jak piach. Jude wdrapała się na górę odłamków i zajrzała do celi. Kiedy oczy przywykły jej do ciemności, dostrzegła leżące na ziemi zmumifikowane ciało.

Nie poruszało się. Podeszła i zaczęła zdzierać cieniutkie nici, którymi Roxborough lub jego wysłannicy spętali Celestine. Nie mogła zerwać ich palcami, więc brała je w zęby i przegryzała. Miały gorzki smak, ale kiedy pierwsza nic pękła, z następnymi poszło już łatwiej. Przez ciało przebiegł dreszcz, jak gdyby uwięziona kobieta oczekiwała wyzwolenia. Podobnie jak w wypadku rozpadającego się muru, tutaj również rozkład postępował lawinowo. Wystarczyło przerwanie pierwszych kilku włókien, a reszta z własnej woli napięła się i pękała, zwłaszcza gdy ciało zaczęło się ruszać. Jude odsunęła się na bezpieczną odległość, kiedy jedna z nici cięła ją boleśnie w policzek. Pozrywane włókna zakreślały krzywe w powietrzu, połyskując na końcach.

Ciało Celestine drżało konwulsyjnie, ożywiane gwałtownymi ruchami nici, które – jak zdała sobie sprawę Jude – nie miały się na oślep, lecz wyciągały we wszystkich kierunkach, sięgały do sufitu, do ścian. Wiedząc, jak przykry może być kontakt z nimi, postanowiła wycofać się na korytarz. Wdrapała się na górę cegieł i wyczołgała przez tę samą dziurę, którą weszła do środka.

– Co ty wyrabiasz, kochaniutka? – dobiegł ją skądś głos Dowda.

Szczerze mówiąc, sama nie bardzo wiedziała, co robi. Zainicjowała

wprawdzie proces uwolnienia Celestine, ale szybko straciła nad nim panowanie. Więzy same się rozplątywały. Czy poruszała je moc Celestine, czy wpleciony w nie rozkaz Roxborougha, żeby unicestwić każdego, kto próbowałby uwolnić więźnia? Były nieokiełznane. Jedne szarpały mur przy krawędzi otworu, inne – dziwnie elastyczne i ruchliwe – węszyły ponad górą gruzu, roztrącając cegły i książki.

– Mój Boże! – szepnął Dowd.

Stał w korytarzu parę metrów za plecami Jude. W jednej ręce ścisnął skalpel, w drugiej zakrwawioną chusteczkę. Dopiero teraz ujrzała całą jego postać i mogła docenić brzemię ciężących mu odłamków Osi. Wyglądał potwornie niezgrabnie, miał nierówne ramiona i lewą nogę skręconą do wewnątrz, jakby złamana kość źle się zrosła.

– Co tam jest? – spytał i podkuśtykał bliżej. – Twoja przyjaciółka?

– Radzę ci, nie podchodź za blisko.

– Czy Roxborough kogoś tam uwięził? – mówił dalej Dowd, jakby nie słyszał ostrzeżenia. – Popatrz tylko! To jakieś monstrum z In Ovo!

– Nie.

– A co? Godolphin nigdy mi o czymś takim nie wspomniał.

– Bo nie wiedział.

– A ty wiedziałaś? – Zerknął na Jude z ukosa. – Jestem pod wrażeniem. Oboje mamy jakieś tajemnice.

Nagle jedna z nici uniosła się ponad gruzem i Dowd odskoczył odruchowo. Uniósł chusteczkę. Wypadł z niej kawałek ciała Oscara – jakiś strzęp wnętrzości, który chciał zachować na pamiątkę.

Jude jęknęła z odrazą. Kiedy Dowd schylił się, żeby podnieść krwawy ochłap, wybuchnęła gniewem.

– Ty gnoju! – krzyknęła i rzuciła się na niego, splótłszy dłonie nad głową.

Dowd, ociążony od wbitych w skórę kamieni, nie zdążył się uchylić. Trafiła go w kark, co zapewne bardziej zabolalo ją niż jego, ale stracił równowagę. Przewrócił się ciężko na ziemię i legł z rozrzuconymi ramionami.

– Ty głupia krowo! – wrzasnął, rozwścieczony tym poniżeniem. – Głupia, sentymentalna krowo! Weź go sobie! Weź, jeśli tak ci na nim zależy.

– Nie chcę go.

– Będę nalegał. To mój prezent dla ciebie. Od brata dla siostry.

– Nie jestem twoją siostrą! Nigdy nią nie byłam i nigdy nie będę.

Z ust Dowda zaczęły wypełzać pająki. Dzięki mocy, która ze skóry prze-

nikała w głąb jego ciała, były ogromne jak karaluchy. Jude nie miała pojęcia, czy Dowd chce ją zniszczyć, czy tylko bronić się przed stworzeniem zza ściany, ale na wszelki wypadek zrobiła krok do tyłu.

– Wybaczę ci to – stwierdził wspaniałomyślnie. – Wiem, że jesteś rozdrażniona. Pomóż mi wstać. – Wyciągnął do niej rękę. – Przepraszam, a o wszystkim zapomnę.

– Nienawidzę cię – odparła.

Mimo zagrożenia ze strony pajaków to nie odwaga, lecz instynkt samozachowawczy podpowiedział jej te słowa. W miejscu, gdzie płynęła taka moc, wolała powiedzieć prawdę, niż uciec się do dyplomatycznego kłamstwa.

Dowd zaczął podnosić się z ziemi. Jude tymczasem schyliła się po ostatnie szczątki Oscara. Kiedy się wyprostowała, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. W ciemnej celi majaczył blady kształt, zaokrąglony i łagodny w głębi poszarpanego otworu. Celestine szybowała w powietrzu, a raczej unosiła się (tak jak kiedyś Quaisoir) wsparta na mackach wyrastających z jej ciała. Włókna z kokonu otulały ją jak postrzępiony płaszcz, a wokół głowy tworzyły żywy kaptur. Wyzierająca spod niego twarz miała delikatne, lecz poważne rysy; kiedyś zapewne była piękna, teraz szpecił ją obłęd.

Gramolący się z podłogi Dowd zobaczył bladego ducha. Nogi ugięły się pod nim i upadł na twarz. Z ust, w których kłębiły się pajaki, dobiegło jedno słowo:

– Celestine?

Celestine oparła się o cegły, które od stuleci ją więziły. Lekko je musnęła, ale to wystarczyło, żeby – jakby uciekając przed jej dotykiem – posypały się ze ściany. Teraz miała już dość miejsca, by wyjść z celi. Zatrzymała się jednak. Mrugała nerwowo, a jej wargi drżały, odsłaniając zęby, jakby szykowała się do przekazania jakiegoś makabrycznego objawienia. Odpowiedziała też jednym słowem:

– Dowd.

– Tak... – wyszeptał Dowd. – To ja.

Czasem jednak mówił prawdę, pomyślała Jude. Celestine znała go, a on znał ją.

– Kto ci to zrobił? – odezwał się.

– Czemu mnie o to pytasz? Przecież brałeś udział w tym spisku. – W głosie Celestine szaleństwo mieszało się z opanowaniem w podobny sposób, jak w jej ciele. W łagodnym tonie brzmiało jakieś chaotyczne trzepotanie, jakby

równocześnie próbowały przemawiać dwie różne osoby.

– O niczym nie wiedziałem, przysięgam! – Dowd przekrzywił ociężałą głowę i spojrzał błagalnie na Jude. – Powiedz jej – poprosił.

Celestine przeniosła wzrok na Jude.

– Kim jesteś? – spytała. – Czy też knułaś przeciwko mnie?

– Nie. Przyszłam cię uwolnić.

– Sama się uwolniłam.

– Ode mnie wszystko się zaczęło.

– Podejź tu. Niech ci się lepiej przyjrzę.

Jude zawahała się. Musiałaby zbliżyć się do Dowda, a w jego ustach wciąż roiły się pająki. Dopiero kiedy rozkaz został powtórzony, posłuchała. Celestine podniosła głowę i pokręciła nią na boki, jakby chciała rozruszać zastępsze mięśnie.

– Jesteś kobietą Roxborougha? – spytała.

– Nie.

– To dobrze. Czyją w takim razie? Do którego z nich należysz?

– Do nikogo nie należę. Oni nie żyją.

– Roxborough też?

– Zmarł dwieście lat temu.

Wreszcie oczy Celestine znieruchomiały – i stały się przez to jeszcze bardziej niepokojące. Taki wzrok mógł topić stal jak masło.

– Dwieście lat – powtórzyła. Nie zabrzmiało to jak pytanie, raczej jak oskarżenie. I to pod adresem Dowda. – Dlaczego po mnie nie przyszedłeś?

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Nie żyję? O nie, to byłoby zbyt proste. Urodziłam dziecko, wychowywałam je nawet przez jakiś czas. Wiedziałaś o tym.

– Niby skąd miałem wiedzieć? To nie była moja sprawa.

– Stałam się twoją sprawą w dniu, kiedy wyrwałeś mnie z mojego życia i oddałeś Bogu. Nie prosiłam o to. Nie chciałam...

– Byłem tylko sługą.

– Chyba raczej psem. Kto teraz trzyma twoją smycz? Ta kobieta?

– Nikomu nie służę.

– To dobrze. Możesz służyć mnie.

– Nie ufaj mu – wtrąciła Jude.

– A komu, twoim zdaniem, powinnam ufać? – odpowiedziała pytaniem Celestine, nie racząc na nią spojrzeć. – Tobie? Chyba nie. Masz krew na rę-

kach i śmierdzisz spermą.

Te słowa były tak pełne odrazy, że Jude nie zdołała powściągnąć języka.

– Gdyby nie ja, wciąż spałabyś za tą ścianą – wypaliła.

– Powiedzmy, że okażę ci wdzięczność, pozwalając ci stąd odejść. Moje towarzystwo i tak szybko by ci się znudziło.

W to akurat Jude była skłonna uwierzyć. Czekwała na to spotkanie od miesięcy, ale nie doznała żadnego objawienia. Poznała tylko szaleństwo i lodowaty gniew Celestine.

Dowd wstał wreszcie, a wtedy jedna z macek wynurzyła się z cienia i sięgnęła w jego stronę. Nie protestował. Przybrał podejrzanie pokorną pozę. Nie dość, że nie próbował uciekać, to jeszcze podał Celestine złożone ręce do skrępowania. Macka opłótła jego nadgarstki, zacisnęła się i szarpnęła, żeby podciągnąć go na kopiec cegieł.

– Uważaj – ostrzegła Jude boginię. – Jest silniejszy, niżby się mogło wydawać.

– To kradziona siła – odparła Celestine. – Tak jak wszystkie sztuczki, maniery, moc. Dowd nie ma nic własnego, bo Dowd jest aktorem. Prawda?

Skinął głową, jakby w pełni się z nią zgadzał, ale w tej samej chwili zaparł się mocno o gruz i nie dał się dalej pociągnąć. Jude próbowała jeszcze raz ostrzec Celestine, lecz nie zdążyła, Dowd zacisnął dłoń na macce i mocno szarpnął. Zaskoczona Celestine poleciała do przodu, na krawędź prowadzącego do celi otworu. Zanim zdążyła się zaprzec innymi mackami, Dowd podniósł ręce nad głowę i niedbałym ruchem zerwał cielesne włókno, którymi go spętała. Celestine zaskowyczała z bólu i cofnęła się w głąb wyrwy, wlokąc za sobą oberwaną mackę. Dowd nie zwlekał, rzucił się za nią w pościg.

– Nie jestem twoim niewolnikiem! – krzyczał. – Nie jestem psem! A ty nie jesteś żadną boginią, suko jedna!

Z rykiem wpadł do celi. Jude odważyła się podejść bliżej, ale oboje zniknęli w ciemności i nie mogła śledzić przebiegu walki. Słyszała jednak bolesne syczenie, łoskot ciał uderzających o mur. Ściany drżały, w całym korytarzu książki spadały z półek, luźne kartki i broszury fruwały w powietrzu, miotane płynącą wszędzie mocą jak ptaki huraganem. Najcięższe tomy spadały na ziemię z przetrąconymi grzbietami.

Nagle wszystko się uspokoiło. Dopiero po chwili rozległ się jęk i nad gruzem pojawiła się dłoń, sięgnęła do krawędzi otworu. Dowd podciągnął się, zatoczył i wynurzył z półmroku. Drugą ręką trzymał się za twarz. Mimo że

tkwiące w jego skórze odłamki miały wielką moc, cały organizm był bardzo słaby. Celestine wykorzystała tę słabość z wprawą doświadczonego wojownika. Połowę twarzy miał Dowd obdartą do kości, a resztę ciała zmasakrowaną bardziej niż zwłoki, które zostawił na górze. W brzuchu ziała mu wielka dziura, ręce i nogi były pogruchothane.

Upadł, zanim wydostał się na zewnątrz. Nie próbował wstać – zapewne nie byłby do tego zdolny – lecz czołgał się po gruzie jak ślepiec, wymacując drogę przed sobą. Szlochał i pojękiwał z bólu. Ucieczka szybko wyczerpywała resztki jego sił. Osunął się na podłogę, upadł twarzą na ziemię wśród drgających jeszcze książek.

Jude policzyła do dziesięciu, nie odrywając od niego wzroku, a potem ruszyła w stronę celi. Znalazłszy się dwa metry od zwłok Dowda, dostrzegła jakiś ruch i zamarła. W jego ciele wciąż tliło się życie – chociaż nie jego własne. Pająki wybiegały z jego otwartych ust niczym pchły, które uciekają ze stygnącego żywiciela. Wyłaziły też nosem i uszami i choć pozbawione kierującej nimi woli były zapewne nieszkodliwe, nie zamierzała tego sprawdzać na sobie. Obeszła je szerokim łukiem i wdrapała się po gruzie na skraj kryjówki Celestine.

Zalegającą w niej ciemność potęgowały unoszące się w powietrzu tumany kurzu, pozostałe po starciu tytanicznych sił. Jude dostrzegła jednak Celestine, która leżała przechylona pod przeciwległą ścianą. Na udzie, barku i z boku tułowia w bladej skórze ziały otwarte, przypalone rany. Najwyraźniej duch Roxborougha, opętanego wizją oczyszczenia świata, wciąż błąkał się po więzowcu; w ciągu godziny Jude była świadkiem klęski trzech istot, które mu się sprzeciwiały – jednej na górze i dwóch w piwnicy. Wyglądało na to, że Celestine, którą sam uwięził, najmniej ucierpiała. Była ranna, ale zwróciła ku Jude ogniste spojrzenie.

– Przyszłaś się ze mnie naigrawać? – spytała.

– Próbowałam cię ostrzec – odparła Jude. – Nie chcę mieć w tobie wroga, Celestine. Chciałabym ci pomóc.

– Kto ci kazał to zrobić?

– Nikt. Dlaczego zakładasz, że wszyscy na tym świecie to niewolnicy, dziwki albo psy, do cholery?

– Bo to prawda.

– Świat się zmienił, Celestine.

– Naprawdę? To znaczy, że ludzie wymarli?

– Niewolnictwo nie leży w naturze ludzkiej.

– Co ty o tym wiesz? Niewiele wyczuwam w tobie z człowieka. Jesteś uzurpatorką, prawda? Dziełem maestra.

Takie słowa musiały zboleć bez względu na to, kto je wypowiadał, ale Jude je usłyszała z ust kobiety, którą traktowała jak ucieleśnienie nadziei, i to było najgorsze. Tak bardzo się starała być czymś więcej niż kopią, falsyfikatem wyhodowanym w stworzonym przez człowieka łonie, tymczasem te parę słów pozbawiło ją złudzeń.

– Nawet nie jesteś istotą naturalną – dodała Celestine.

– Ty też nie.

– Przynajmniej kiedyś nią byłam. To mi daje siłę.

– Czerp siłę, skąd chcesz, ale faktów nie zmienisz. Żadna zwyczajna kobieta nie przeżyłaby dwustu lat.

– Żądza zemsty trzymała mnie przy życiu.

– Zemsty na Roxboroughu?

– Na wszystkich. Poza jednym.

– Poza kim?

– Poza maestrem... Maestrem Sartorim.

– Znałaś go?

– Zbyt słabo.

Jude wiedziała, że może ją pocieszyć. Mimo okrucieństwa Celestine nie zamierzała bardziej jej przygnębiać.

– Sartori żyje – powiedziała.

Celestine, która odwróciła się do ściany, znów spojrzała na nią.

– Jak to? Żyje?

– Jeśli chcesz, przyprowadzę go do ciebie.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić?

– Tak.

– Jesteś jego kochanką?

– Niezupełnie.

– Gdzie on jest? Gdzieś w pobliżu?

– Nie wiem dokładnie. Na pewno jest w mieście.

– Dobrze, przyprowadź go. Bardzo cię proszę. – Celestine oparła się o ścianę i usiadła wygodniej. – Nie wie, kim jestem, ale ja go znam.

– Co mu mam powiedzieć, że do kogo go zabieram?

– Zapytaj... Zapytaj, czy pamięta Nisi Nirvanę.

- Kogo?
- Powtórz mu moje słowa.
- Nisi Nirvanę?
- Tak.

Jude wstała i podeszła do wyrwy w ścianie. Miała już przestąpić jej krawędź, gdy Celestine zapytała:

- Jak masz na imię?
- Judith.

– Nie dość, że śmierdzisz spermą, Judith, to jeszcze ściskasz w dłoni kawałek świeżego mięsa. Niepotrzebnie. Wyrzuć go.

Wstrząśnięta Jude spojrzała na swoją dłoń. Strzęp jelita zwisał jej z zacienionej pięści. Cisnęła go na podłogę.

– Jesteś zaskoczona, że wzięłam cię za dziwkę? – spytała Celestine.

– Obie popełniłyśmy błąd – odparła Jude. – Myślałam, że jesteś moim zbawieniem.

– Myliłaś się bardziej niż ja.

Po tej ostatniej porcji pogardy Jude wyszła z celi. Pająki kręciły się bez celu po piwnicy, szukając nowego właściciela. Ciało, z którego wyszły, zniknęło. Nie zdziwiła się zbytnio – Dowd do ostatka pozostał aktorem. Zamierzał w nieskończoność odwlekać pożegnanie; liczył na to, że w ostatnim akcie, zanim spadnie kurtyna, znajdzie się na środku sceny, w centrum uwagi. Nadzieja ta wydała się Jude płonna, jeśli wziąć pod uwagę, z kim przyszło mu grać. Nie zamierzała jej z nim dzielić. Im lepiej rozumiała rozgrywający się wokół niej dramat, osnuty na motywach opowieści o Christosie Pojedynawcy, tym mniejszą miała ochotę brać w nim udział. Tak jak dla czwartego króla, odsuniętego od cudu Narodzenia, dla niej też miało zabraknąć miejsca w przyszłej ewangelii. Poznawszy zaś żałosne losy jego testamentu, nie zamierzała spisywać własnego.

ROZDZIAŁ 49

1

Clem uporał się z przewidzianymi na tę noc obowiązkami. Wyszedł z domu o siódmej wieczór. Zajmowało go to co zwykle: wyszukiwał bezdomnych, którzy byli zbyt słabi lub za młodzi, żeby przetrwać na ulicy, mając goły beton i tekturę za posłanie. Do letniego przesilenia zostały już tylko dwa dni; noce zrobiły się krótkie i ciepłe, lecz oprócz zimna najślabszym groziło jeszcze inne niebezpieczeństwo, z ludzką twarzą. Właśnie przed nim próbował chronić ich Clem, kiedy spędzał na ulicach puste godziny nocy i przedświt. Zawsze był potem wykończony, ale zbyt naładowany energią, żeby po prostu położyć się spać. Przez trzy miesiące, odkąd pracował z bezdomnymi, więcej się napatrzył na ludzką niedolę niż przez poprzednie czterdzieści lat swojego życia. Na wyciągnięcie ręki od symboli sprawiedliwości, wiary i demokracji, którymi szczyciło się miasto, ludzie żyli w skrajnej nędzy – bez grosza przy duszy, bez nadziei, a często (i to były najsmutniejsze spotkania) pozbawieni resztek rozumu. Pustki, którą pozostawiło odejście Taylora, nie umiał wypełnić, ale dzięki nocnym wędrówkom przynajmniej mógł o niej na jakiś czas zapomnieć. Kiedy wracał rankiem do domu, obrazy, które nosił w głowie, sprawiały, że wydawało mu się, iż wiedzie beztroski żywot.

Tej nocy zabawił na ulicach dłużej niż zwykle. Zdawał sobie sprawę, że gdy słońce wzejdzie, nie wystarczy mu już czasu na sen. Nie martwił się tym zbyt. Minęły dwa dni, odkąd po wizycie Taylora postanowił odwiedzić Judy i opowiedzieć jej o aniołach; od tamtej pory Taylor się nie pojawił, jed-

nak Clem wszędzie napotykał ślady działania sił z zaświatów, dokąd odszedł jego ukochany.

Na przykład dowód z ostatniej nocy: niedługo po dwunastej człowiek nazwiskiem Tolland, który najwyraźniej napawał lękiem różne kruche społeczności nocujące pod mostami i na stacjach w okolicy Westminsteru, zaczął rozrabiać w Soho. Poturbował w zaułku dwóch pijaczków, którzy narazili mu się tylko tym, że znaleźli się na jego drodze. Clem nie widział tej bójki na własne oczy. Dopiero później – Tolland siedział już wtedy w areszcie – zjawił się w Soho, żeby wyciągnąć z rynsztoka chociaż kilku spośród tych, którzy przez Tollanda stracili nędzny dobytek. Nikogo nie przekonał, za to pewna kobieta, którą do tej pory zawsze widywał całą we łzach, z uśmiechem mu wytłumaczyła, że tej nocy powinien zostać z nimi, zamiast chować się do łóżka. Pan nadchodzi, twierdziła, i właśnie ludzie ulicy pierwsi Go zobaczą. Gdyby nie przelotne odwiedziny Taylora, nie przywiązywałyby wagi do jej nawiedzonego bełkotu, ale zbyt wiele niezwykłych fluidów przesyciło powietrze, żeby mógł zignorować choćby najmniejszą zapowiedź cudu. Zapytał więc, kogo kobieta ma na myśli, mówiąc o Panu, na co odparła (całkiem przytomnie), że to nie ma żadnego znaczenia. Co ją obchodzi, kim będzie Pan? Najważniejsze, że przyjdzie.

Teraz, godzinę przed świtem, przechodził właśnie po Waterloo Bridge na drugą stronę Tamizy. Słyszał, że Tolland najczęściej grasował na południowym brzegu rzeki, więc musiało wydarzyć się coś niezwykłego, żeby zapuścił się tak daleko na północ. Wątpa to była wskazówka, ale wystarczyła, by pchnąć Clema w drogę, chociaż oddalał się przez to od ciepłego kominka i łóżka.

Betonowe bunkry zabudowań kompleksu South Bank były dla Taylora ulubionym obiektem narzekań – za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na dokonania współczesnej architektury, mógł przeklinać ich wyjątkową brzydotę. Noc kryła jeszcze brudne, szare fasady, ale zmieniała też okoliczne uliczki i przejścia podziemne w labirynt, w który nie zapuściłby się żaden przyzwoity mieszczanin ceniący sobie własne życie – lub portfel. Doświadczenia ostatnich miesięcy nauczyły Clema, że tego rodzaju lęki są raczej nieuzasadnione. Dzielnice te zamieszkiwali zwykle ludzie, którzy częściej padali ofiarami agresji, niż sami zachowywali się agresywnie; dusze, których krzyki miały być obroną przed wyimaginowanymi wrogami i których tyrady – choć brzmiały przerażająco, dopóki mówca krył się w cieniu – najczęściej kończy-

ły się łzami.

Schodząc z mostu, nie słyszał w ciemności nawet najcichszych szeptów, chociaż tam, gdzie sięgało żałosne światło latarni, widział obrzeża kartonowego miasta. Większość posłań kryła się przed ludzkim wzrokiem w cieniu przejść podziemnych, gdzie zalegała cisza. Zaczynał już podejrzewać, że Tolland nie był jedynym, który porzucił swój skrawek ziemi i podążył na północ. I rzeczywiście, jego podejrzenia się potwierdziły, gdy zajrzał do pierwszych z brzegu pudeł. Zagłębił się w mrok, przyświecając sobie latarką. Na ziemi widział te same odpadki co wszędzie: resztki psującego się jedzenia, szkło z rozbitych butelek, zaschnięte wymiociny. Tylko kartony i gazetowe łóżka z brudnymi kocami były puste. Coraz bardziej zaintrygowany, brnął przez śmieci w nadziei, że znajdzie jakąś istotę – za słabą albo zbyt obłąkaną, żeby opuścić South Bank – która wyjaśni mu przyczyny tego nagłego exodusu. Przeszedł jednak przez całą papierową metropolię, nie napotkawszy żywej duszy, aż znalazł się w miejscu, które planiści tego betonowego piekła nazwali placem zabaw. Z zabawek został tylko ponury szkielet zjeżdżalni i jedna drabinka, za to chodnik pokrywały kolorowe obrazki. Podeszedł bliżej, Clem znalazł się w samym środku galerii kiczu – kredowe portrety gwiazd filmowych i panienek z magazynów dla panów ciągnęły się w dal, znikając w mroku poza zasięgiem światła.

Poświecił latarką nieco dalej. Rysunki kończyły się przy ścianie, którą również zdobiły obrazy, lecz o klasę lepszego autora. Tutaj artysta nie bawił się w kopiowanie rzeczywistości, lecz stworzył dzieło o takim rozmachu, że Clem musiał długą chwilę wodzić snopem światła w tę i z powrotem, zanim ogarnął całość jego zamysłu. Najwidoczniej grupa malarzy filantropów postanowiła ożywić ponurą okolicę. W efekcie powstał krajobraz rodem ze snu – z zielonym, poznaczonym żółtymi pasmami niebem, które rozciągało się nad czerwono-pomarańczową, piaszczystą równiną. Na piasku stało miasto. Znad otaczającego je muru strzelały pod niebo najbardziej niezwykle w kształcie iglice i wieże. Kiedy światło latarki wyłowiło z ciemności ostrzejszy połysk, Clem podeszedł bliżej i stwierdził, że artyści dopiero niedawno zakończyli pracę. W wielu miejscach farba była jeszcze świeża. Z bliska przekonał się też, że nakładano ją z pozoru byle jak, w pośpiechu. Na całe miasto poszło niespełna dziesięć maźnięć pędzla, a do wymalowania biegnącej od jego bram drogi wystarczyła jedna kręta smuga.

Kiedy oderwał się od podziwiania obrazu i poświecił przed siebie, zrozu-

miął, dlatego malarze tak się spieszyli. Ozdobili swoimi dziełami wszystkie okoliczne mury. Powstała galeria niezwykłych, kolorowych prac, z których miasto na pustyni wcale nie było najbardziej niesamowite. Po lewej Clem dostrzegł człowieka, który w miejscu głowy miał dwie złożone dłonie. Między nimi przeskakiwały błyskawice. Z prawej miał rodzinę stworów o twarzach porośniętych futrem. Obok rozciągał się alpejski krajobraz, zupełnie zwyczajny, gdyby nie szubujące nad śniegiem nagie kobiety. Jeszcze dalej rozpościęrał się usłany ludzkimi czaszkami step. Na horyzoncie widać było pociąg, który pluł czarnym dymem wprost w przepiękne niebo. Następny obraz przedstawiał wyspę na morzu, którego powierzchnię wzburzyła jedna jedyna fala. Z piany wynurzała się ludzka twarz.

Wszystkie obrazy cechował ten sam gorączkowy pośpiech, który nadawał im pozory szkiców i dodatkowo wzmacniał ich siłę wyrazu. Clem musiał przyznać, że dziwnie go poruszały; nie wiedział, czy to dlatego że jest zmęczony, czy tylko przez to że znalazł wystawę w tak niespodziewanym miejscu. Nie próbowały przypodobać się widzowi, nie grały na sentymentalnej nucie – przedstawiały zawartość obcych umysłów. Był zachwycony, że udało mu się odkryć takie cuda.

Błądząc tak wzrokiem, zupełnie zatracił poczucie kierunku. Musiał zgasić latarkę, żeby poszukać najbliższej lampy ulicznej – wtedy ujrzał płonące całkiem niedaleko ognisko. Z braku innych punktów orientacyjnych ruszył prosto w jego kierunku. Płonęło w małym parku, posadowionym w samym środku betonowej pustyni. Kiedyś park szczycił się zapewne różaną rabatą, ozdobnymi krzewami, może nawet ławeczkami dla spacerowiczów i nosił imię jednego z zasłużonych ojców miasta. Teraz został z niego żałosny trawnik, prawie całkiem zdeptany. Na trawie zgromadzili się mieszkańcy kartonowego miasta. Większość zwinęła się w koce i płaszcze i posnęła, ale pięciu czy sześciu czuwało. Stali przy ogniu, rozmawiali i podawali sobie papierosa z rąk do rąk.

Na niskim murku przy parkowej furtce siedział Murzyn z szopą dredów na głowie. Na widok Clema wstał i zagroził mu wejście. Clem nie zatrzymał się. Strażnik nie chciał mu chyba nic zrobić, w parku panował spokój, śpiący nie mieli koszmarów, bo spali spokojnie. Ludzie przy ognisku rozmawiali szeptem, a kiedy się śmiali – co od czasu do czasu się zdarzało – nie był to śmiech chrapliwy i pełen rozpacz, jaki zwykle słyshał wśród bezdomnych.

– Kto ty jesteś? – zapytał Murzyn.

- Nazywam się Clem. Zabłądziłem.
- Nie wyglądasz na takiego, co śpi na ulicy, facet.
- Bo nie śpię na ulicy.
- To po co tu przyszedłeś?
- Już mówiłem: zabłądziłem.

Murzyn wzruszył ramionami.

– Tam jest dworzec Waterloo. – Wyciągnął rękę mniej więcej w tym kierunku, z którego przyszedł Clem. – Ale nieprędko będzie jakiś pociąg. – Zauważył, jak Clem zerka do parku. – Przykro mi, stary, nie możesz wejść. Jeśli masz gdzie spać, to zjeżdżaj.

Clem nie ruszył się z miejsca. Coś w sylwetce jednego ze stojących przy ogniu mężczyzn przykuło jego wzrok.

- Kto to jest? – zapytał. – Ten, co teraz mówi.

Murzyn obejrzał się przez ramię.

- Gentile – odparł.

- Gentile? – powtórzył Clem. – Chyba Gentle.

Mówił cicho, ale głos musiał daleko się nieść w nocnej ciszy, bo w tej chwili człowiek przy ognisku umilkł i odwrócił się w stronę furtki. Trudno go było rozpoznać, gdy stał tyłem do światła, ale Clem wiedział już, że się nie myli. Tamten zwrócił się do swoich towarzyszy i coś powiedział, po czym podszedł do furtki.

- Gentle? Co ty tutaj robisz? – zapytał Clem.

Murzyn odsunął się na bok i przepuścił Gentle'a, który przyjrzał się bacznie przybyszowi.

– Czy ja cię znam? – W jego głosie nie było wrogości, ale nie było też śladu zachęty. – Chyba tak...

- Tak, przyjacielu. Znasz mnie.

*

Poszli na spacer brzegiem rzeki, zostawiając za sobą ognisko i śpiących przy nim ludzi. Clem dość szybko zorientował się, że Gentle bardzo się zmienił. Przede wszystkim nie wiedział, kim jest, ale to był dopiero wierzchołek góry lodowej. Mówił bezbarwnym tonem, a twarz miał zupełnie nieprzeniknioną, co Clema na przemian drażniło i uspokajało. Gdzieś zniknęła – być może bezpowrotnie – jakaś część Gentle'a, którą Clem i Taylor dobrze zna-

li. Zanosiło się jednak na to, że Gentle może zyskać coś w zamian. Clem chciał przy nim wtedy być, opiekować się nim jak anioł stróż.

– Czy to ty namalowałeś te wszystkie obrazy?

– Do spółki z Mondayem. Malowaliśmy razem.

– Nigdy nie widziałem, żebyś malował takie cuda.

– Znam te miejsca – odparł Gentle. – Znam tych ludzi. Kiedy biorę farby do ręki, wraca mi pamięć. Ale powoli. Mam taki zamęt w głowie... – Dotknął palcami czoła, na którym widniało kilka źle zagojonych rozcięć. – Ty mnie nazywasz Gentle'em, ale mam jeszcze inne imiona.

– John Zacharias?

– Na przykład. Jest też we mnie człowiek, który nazywa się Joseph Bellamy i Michael Morrison, i jakiś Almoth, i Fitzgerald, i Sartori. Wszyscy są mną, Clemie, chociaż to chyba niemożliwe, prawda? Pytałem Mondaya, Carol, Irisha; wszyscy mówią, że człowiek może mieć dwa, czasem trzy imiona, ale nie dziesięć.

– Może przypominasz sobie swoje inne wcielenia, Gentle.

– Jeśli to prawda, nie chcę ich pamiętać. To boli. Nie mogę zebrać myśli. Chcę być jednym człowiekiem, mieć jedno życie; chcę wiedzieć, gdzie się zaczynam i kończę, zamiast trwać i trwać.

– Co w tym straszego? – Clem naprawdę nie potrafił zrozumieć jego wątpliwości.

– Boję się, że będę żył wiecznie – powiedział Gentle. Mówił spokojnie, jak filozof, który stanął na skraju przepaści i opisuje rozciągającą się w dole otchłań na użytek tych, którzy nie chcieli lub nie mogli przy nim być. – Że jestem połączony z całym światem i mogę się w nim zatracić. Chciałbym być tym czy tamtym człowiekiem, ale nie wszystkimi jednocześnie. Jeżeli będę wszystkimi, będę nikim. – Zatrzymał się i położył Clemowi dłonie na ramionach. – Kim jestem? Powiedz mi, proszę. Jeśli mnie kochasz, zrób to dla mnie. Kim jestem?

– Jesteś moim przyjacielem.

Nie była to zbyt wyrafinowana odpowiedź, ale innej Clem nie znał. Gentle przyglądał mu się przez dobrą minutę, jakby próbował ocenić siłę tego argumentu w walce z przepętniającym go lękiem. Wreszcie koniuszki ust uniosły mu się w niepewnym uśmiechu, oczy zaszklily się łzami.

– Widzisz mnie, prawda? – spytał szeptem.

– Naturalnie.

– Nie oczami, chodzi mi o to, że widzisz mnie w swojej głowie. Istnieję w twoim umyśle. Widzisz mnie.

– Jasno i wyraźnie.

To była szczerza prawda. Gentle skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

– Ktoś już próbował mnie tego nauczyć – powiedział. – Ale go nie rozumiałem. – Zamyślił się. – Nieważne, jak się nazywam. Imiona nic nie znaczą. Jestem tym, kim jestem dla ciebie. I w tobie. Twoim przyjacielem.

Objął Clema, przytulił ze wszystkich sił, a potem puścił go i cofnął się. Łzy już wysychały.

– Kto mógł mnie tego uczyć?

– Może Judith?

Gentle pokręcił głową.

– Cały czas widzę jej twarz, ale to nie ona. To był ktoś, kogo już nie ma.

– Taylor? Pamiętasz Taylora?

– On też mnie znał?

– On cię kochał.

– Co się z nim stało?

– To zupełnie inna historia.

– Inna? A może jedna i ta sama?

*

Szli brzegiem Tamizy, zadając sobie nawzajem pytania i udzielając odpowiedzi. Na prośbę Gentle'a Clem opowiedział mu dzieje Taylora – od życia do śmierci i od śmierci do światła. W zamian Gentle podzielił się z nim przemyśleniami na temat podróży, z której wrócił. Pamiętał niewiele szczegółów, ale był pewien, że w przeciwieństwie do Taylora nie trafił do światła. Po drodze stracił przyjaciół – ich imiona mieszały mu się z imionami postaci, którymi był – i stał się świadkiem śmierci wielu innych ludzi. Ale widział też cuda, które namalował na murach: niebo bez słońca, połyskujące zielenią i złotem; pałac luster, piękny jak Wersal; rozległe, tajemnicze pustynie i lodowe katedry, które wypełniał dźwięk dzwonów. Clem słuchał opowieści, które otwierały przed nim nieznaną dotąd perspektywę, i dochodził do wniosku, że idea nieskończonej jaźni, przeżywającej niezliczone przygody, coraz mniej mu się podoba. Pomysły, od których próbował początkowo odwieść Gentle'a, wyglądały coraz bardziej kusząco – ale wiedział, że prowadzą prosto w pu-

łapkę. Ich łagodność i ciepło mogły go stłamsić i okaleczyć. Musiał oduczyć się myśleć w taki sposób, jeżeli miał u boku tego człowieka odwiedzić krainy, w których dusze zmarłych pławiły się w świetle, a byt stawał się funkcją myśli.

– Po co wróciłeś? – zapytał.

– Też chciałbym to wiedzieć.

– Powinniśmy znaleźć Judith. Ona może wiedzieć o tym wszystkim więcej niż my obaj razem wzięci.

– Nie chcę zostawić tych ludzi, Clemie. Przyjęli mnie jak brata.

– Rozumiem cię, ale teraz nie mogą ci pomóc, Gentle. Nie wiedzą, co się dzieje.

– My też nie – zauważył Gentle. – Słuchali, kiedy opowiadałem im swoją historię. Patrzyli, jak maluję, zadawali pytania, nie śmiali się z moich wizji. – Zatrzymał się i wskazał stojący na drugim brzegu gmach parlamentu. – Niedługo zasiądą tam nasi prawodawcy. Czy powierzyłbyś im sekrety, które ci zdradziłem? Jak by zareagowali, gdybyśmy opowiedzieli im o zmarłych, którzy wracają na ziemię, i o światach, gdzie niebo jest złoto-zielone?

– Nazwaliby nas wariatami.

– Właśnie. I posłaliby nas do rynsztoka, do Mondaya, Carol, Irisha i całej reszty.

– Oni nie dlatego tkwią w rynsztoku, że mają wizje, Gentle, tylko dlatego, że ktoś ich skrzywdził. Albo sami się skrzywdzili.

– To zaś oznacza, że nie mogą walczyć z rozpaczą w taki sposób jak inni ludzie. Nie mają jak zapomnieć o bólu. Piją i popadają w obłęd, a dzień później są jeszcze bardziej zagubieni. Mimo to prędzej zaufałbym właśnie im niż biskupom i ministrom. Są nadzy, ale czy nagość nie jest stanem ludzi świętych?

– I bezbronnych – stwierdził Clem. – Nie możesz wciągać ich w tę wojnę.

– A kto mówi, że będzie wojna?

– Judith. Zresztą nawet gdyby nic nie mówiła, wojna wisi w powietrzu.

– Czy Judith wie, kto będzie naszym wrogiem?

– Nie, ale szykuje się okrutna bitwa i jeśli zależy ci na tych ludziach, nie wystawiaj ich w pierwszej linii. Wygraj wojnę, a oni będą na ciebie czekać.

– Zbudują pokój – mruknął Gentle po długim namyśle.

– Czemu nie? Mogą szerzyć dobrą nowinę.

– To mi się podoba. – Gentle pokiwał głową. – Oni też będą zadowoleni.

- To jak, poszukamy Judith?
- Dobrze, tylko najpierw muszę się pożegnać.

*

Wstał nowy dzień i gdy znaleźli się w przejściu podziemnym, cienie ze smoliście czarnych zrobiły się sinoblękitne. Promienie słońca znajdowały jakąś drogę wśród betonowych mostów i ścian, skradały się ku progom parku.

– Gdzie byłeś? – spytał Irish przy furtce. – Myśleliśmy już, że się nam urwał.

– Chciałbym wam przedstawić mojego przyjaciela – odparł Gentle. – To jest Clem. Clemie, to są Irish, Carol i Benedict. Gdzie Monday?

– Śpi – odparł Benedict, nocny strażnik.

– Clem? To jakieś zdrobnienie? – spytała Carol.

– Od Clementa.

– Ja cię znam... Kiedyś roznosiłeś zupę, prawda? Chyba się nie mylę? Mam świetną pamięć do twarzy.

Weszli do parku. Ognisko dogasało, ale żaru wystarczyło jeszcze, żeby rozgrzać skostniałe dłonie. Gentle przykucnął i szturchnął popioły kijem. Ski-
nął na Clema, żeby podszedł bliżej. Clem postąpił krok i nagle zamarł w bez-
ruchu.

– Co się stało? – zdziwił się Gentle.

Clem powiódł wzrokiem po leżących dookoła ludziach. Było ich co naj-
mniej dwudziestu, wciąż pogrążonych w sennych marzeniach.

– Posłuchaj – powiedział.

Jeden ze śpiących śmiał się – tak cicho, że ledwie było go słyszeć.

– Kto to? – spytał Gentle.

Śmiech musiał być zaraźliwy, bo i on się uśmiechnął.

– Taylor – odparł Clem.

– Nie ma tu żadnego Taylora – stwierdził Benedict.

– Właśnie że jest.

Gentle wstał i przyjrzał się swoim ludziom. W kącie parku spał Monday. Leżał na plecach, niedbale przyrzucony kocem. Brzask znalazł sobie drogę pomiędzy betonowymi filarami, liznął jego blade wargi, brodę i padł mu na pierś. Monday śmiał się przez sen, jakby słońce go łaskotało.

– To jest ten chłopak, z którym malowałem – wyjaśnił Gentle.

– Monday.

– Właśnie.

Podeszli bliżej. Monday uśmiechał się cały czas; słońce złociło meszek nad jego górną wargą. Oczy miał zamknięte, a jednak kiedy się odezwał, mówił tak, jakby wszystko widział:

– Proszę, proszę! Gentle wrócił z podróży. Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

Nie był to dokładnie głos Taylora – krtań, z której się dobywał, była o dwadzieścia lat za młoda – ale miał tę samą melodię i brzmiało w nim znajome ciepło.

– Clem chyba ci mówił, że kręcę się w pobliżu.

– Oczywiście – przytaknął Clem.

– Dziwne czasy nastały, co? Zawsze powtarzałem, że urodziłem się nie w porę, ale wygląda na to, że przynajmniej umarłem we właściwym momencie. Możesz wszystko zyskać albo wszystko stracić.

– Od czego mam zacząć? – zapytał Gentle.

– To ty jesteś maestrem, Gentle. Nie ja.

– Maestrem? Ja?

– Nie przypomniiał sobie jeszcze wszystkiego, Tay – wyjaśnił Clem.

– Lepiej żeby się pospieszył. Wakacje się skończyły, Gentle. Czeka cię robota. Będziesz uzdrowicielem. Jak spieprzysz sprawę, pochłonie nas pustka, która już szczyrzy kły. A wtedy... – Uśmiech zniknął z twarzy Mondaya. – Wtedy żadna dusza nie będzie mogła oglądać światła, bo światło zgaśnie. Gdzie twój Chowaniec?

– Kto?

– Mistryf.

Gentle'owi serce zabiło żywiej.

– Raz go już straciłeś, musiałem go dla ciebie szukać. I znalazłem. Opłakiwał swoje dzieci, pamiętasz?

– O kim mówisz? – zdziwił się Clem.

– Nie znałeś go – odparł Taylor. – Pamiętałbyś.

– Gentle też chyba nie pamięta – zauważył Clem, spoglądając na zatroskanego maestra.

– Nie, nie, mistryf gdzieś mu tam tkwi w myślach. Jego nie sposób zapomnieć. Dalej, Gentle. Powiedz, jak się nazywał. Zrób to dla mnie. Masz jego imię na końcu języka.

Na twarzy Gentle'a odmalowało się cierpienie.

– Kochałeś go, Gentle. Jak nikogo innego – kusił Taylor. – Jak się nazywał? Mów! Imię!

Gentle zmarszczył brwi i bezgłośnie poruszał wargami, aż wreszcie z jego gardła dobył się dźwięk:

– Pie...

Monday się uśmiechnął.

– Dobrze...

– Pie'oh'pah.

– A nie mówiłem? Ich się nie zapomina.

Gentle powtarzał imię mistyfa w kółko, jakby miało moc zaklęcia.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Taylor. – Wiesz?

Gentle przykucnął przy pograżonym we śnie Mondayu.

– Odszedł. – Próbował chwycić w palce promyk słońca.

– Nie rób tego – poradził mu Taylor. – W ten sposób łapiesz tylko ciemność.

Gentle patrzył, jak słońce pada mu na otwartą dłoń.

– Mówisz, że odszedł? – powtórzył Taylor. – Dokąd, na miłość boską? Jak mogłeś go drugi raz zgubić?

– Jest w Pierwszym Dominium. Umarł i odszedł tam, gdzie nie mogłem za nim pójść.

– Przykro mi to słyszeć.

– Ale znów się spotkamy, kiedy zrobię, co do mnie należy.

– Nareszcie dochodzimy do sedna sprawy – mruknął Taylor.

– Jestem Pojednawcą – ciągnął Gentle. – Przybyłem tu, żeby otworzyć dominia...

– W rzeczy samej, maestro.

– ...w noc letniego przesilenia.

– Co za wyczucie czasu – zauważył Clem. – To już jutro.

– Zrobię to – powiedział Gentle. Wstał. – Wiem, kim jestem. On nie może mnie już skrzywdzić.

– Kto taki? – zainteresował się Clem.

– Mój nieprzyjaciel. – Gentle obrócił twarz do słońca. – Ja sam.

Tymczasem ten nieprzyjaciel, dawny autarcha Sartori, już po paru dniach pobytu w Londynie zaczął tęsknić za leniwymi świtami i żałobnymi zmierzchami w dominium, z którego przybył. Tutaj dzień wstawał stanowczo za szybko, a później równie gwałtownie się kończył. Trzeba będzie to zmienić, postanowił. Planował zbudować w Nowym Yzordderrex pałac z luster i szkła nasyconego sztuką, by mogło chłonać blask świtu i przetrzymywać go, aż znacznie nadciągną zmierzch. Tak, wtedy będzie szczęśliwy.

Nie oczekiwał specjalnego oporu przy próbie przejęcia władzy w Piątym Dominium – zwłaszcza po tym, z jaką łatwością poradził sobie z członkami Tabula Rasa. Żył już tylko jeden z nich; reszty Sartori się pozbył, zapędzwszy ich w kozi róg w ich własnych kryjówkach. Zajęli mu po parę minut – umierali szybko, bez zbędnych płaczów i modlitw. Wcale go to nie dziwiło. Ich przodkowie mieli wielką moc i silną wolę, ale nawet najszlachetniejsza krew musi rzednąć z pokolenia na pokolenie, toteż wnuki wnuków ich wnuków były już tylko nędznymi tchórzami.

Jedyną niespodziankę w tym dominium – i to miłą – sprawiła mu kobieta, z którą sypiał, niezrównana, nieśmiertelna Judith. Pierwszy raz posmakował jej ciała w sypialni Quaisoir, gdy – pomyliwszy ją z żoną – kochał się z nią wśród muślinów. Dopiero później, kiedy szykował się do opuszczenia Yzordderrex, usłyszał od Rosengartena, że Quaisoir została okaleczona i że w pałacu widziano jej sobowtóra. To był ostatni raport, jaki wierny Rosengarten złożył swojemu panu. Chwilę później odmówił wykonania rozkazu, nie chciał się udać wraz z autarchą do Piątego Dominium. Urodził się w Drugim, szczyił się tym, że mieszka w Yzordderrex, i jeżeli miał umrzeć, chciał, by stało się to pod niebem, na którym świeci kometa. Sartori miał ochotę skarcić go za niedopełnienie obowiązków, ale nie chciał rozpoczynać pobytu w nowym świecie z rękami splamionymi krwią. Pozwolił więc Rosengartenowi odejść i sam udał się w podróż, przekonany, że kobieta z królewskiego łóża została gdzieś w mieście. Ledwie jednak przywdział maskę brata i zaczął żyć jego życiem, znowu się spotkali – tym razem w sztucznym ogrodzie Kleina.

Zawsze poważnie traktował wszelkie znaki i omeny, dobre i złe. Judith wróciła do jego życia, co oznaczało, że byli sobie przeznaczeni; najwyraźniej zresztą ona – choć nieświadomie – czuła to samo. Spotkał kobietę, przez któ-

ra rozpoczęła się cały ten smętny korowód śmierci i samotności. Dodawała mu siłę, przy niej komórki jego ciała przypominały sobie, jakim wielkim był kiedyś człowiekiem. Otrzymał drugą szansę – mógł zacząć wszystko od nowa w towarzystwie ukochanej istoty. Miał okazję zbudować imperium, którego wspaniałość zatrze wszelkie ślady klęski. To, jak się kochali, najlepiej dowodziło, że są dla siebie stworzeni; doskonalszego sprzężenia erotycznych impulsów nie potrafił sobie wyobrazić. Kiedy potem wyszedł w miasto, zabijał z niezwykłym ożywieniem i zapałem.

Musiało minąć trochę czasu, zanim Judith zrozumie, że zeswatało ich przeznaczenie. Na razie brała go za Gentle'a i wściekła się, gdyby nagle pozbawił ją złudzeń. Z czasem jednak przekona ją do siebie. Musi. Nawet w tym żyjącym beztrząsanie mieście zdarzało mu się ocierać o koszmary i spotykać potwory, przy których najohydniejsze poczwary z In Ovo wyglądały kusząco. Ona mogła go przed nimi obronić, scałować mu pot z czoła i ukołysać do snu. Nie obawiał się, że go odrzuci. Miał argument, przy którym wszystkie opory moralne przestawały się liczyć – od dwóch dni nosiła w łonie jego dziecko.

Jego pierwsze dziecko. Wiele razy próbowali z żoną założyć dynastię. Najpierw Quaisoir regularnie zdarzały się poronienia, a potem jej zatrute kreacchee ciało przestało produkować komórki jajowe. Judith zaś była niesamowita – nie dość, że dawno nie zaznał takiej rozkoszy, to jeszcze miłość przynosiła owoce. W odpowiednim momencie (kiedy pozbędzie się tego irytującego Oscara Godolphina, na którym zakończy się ród właścicieli Judith) powie jej o tym, a ona doceni doskonałość tego związku drżącą w jej łonie.

3

Jude nie spała. Żądanie Celestine nie dawało jej zasnąć. Chciała mieć je jak najszybciej z głowy, żeby móc przestać o niej myśleć. Wolała też, żeby Gentle – gdy wróci z kolejnej nocnej włóczędzy – nie zastał jej śpiącej (choć jeszcze dwa dni wcześniej taki pomysł uznalaby za niezwykle kuszący). Gentle poślinił i ukradł jej jajo. Będzie mogła odpocząć, dopiero kiedy je odzyska, a on pojedzie na Highgate Hill. Nie wcześniej.

Świt zakradał się już do miasta, kiedy Gentle wrócił. Nie mogła nic wyczytać w jego twarzy, dopóki nie znalazł się kilka kroków od niej, a wtedy uśmiechał się już promiennie. Czule ją zbeształ, że na niego czekała. Nie trzeba było, powiedział. Nic mu nie groziło. Na tym jednak uprzejmości się skończyły, zauważył, że jest zaniepokojona, i zaczął ją wypytywać, co się stało.

– Byłam w domu Roxborougha.

– Mam nadzieję, że nie poszłaś tam sama? Tym ludziom nie można ufać.

– Pojechałam z Oscarem.

– Co u niego słyhać?

– Nie żyje – odparła bez ogródek.

– Co się stało? – Gentle był szczerze zasmucony.

– To bez znaczenia.

– Nie dla mnie. Chciałbym wiedzieć.

– Dowd był w wieżowcu. To on zabił Godolphina.

– Ale ciebie nie skrzywdził?

– Nie, chociaż próbował.

– Nie powinnaś była jechać tam beze mnie. Co ci do głowy strzeliło?

Wyjaśniła mu to najprościej, jak potrafiła:

– W podziemiach wieżowca Roxborough pogrzebał więźnia. Kobietę.

– I zachował ten sekrecik dla siebie – mruknął Gentle.

Jude miała wrażenie, że w jego głosie brzmi nuta podziwu, ale darowała sobie rzucanie oskarżeń.

– A ty poszłaś wykopać jej kości, tak? – zapytał.

– Poszłam ją uwolnić.

Tymi słowami przykuła jego uwagę.

– Nie rozumiem...

– Ona żyje.

– A zatem nie jest zwykłą kobietą. – Uśmiechnął się przelotnie. – Co ten Roxborough tam wyrabiał? Hodował ladacznice z niebiańskim rodowodem?

– Do Celestine to określenie nie pasuje. – Jude zarzuciła przynętę, nazywając więźnia po imieniu, ale Gentle nie zareagował. – Ona jest człowiekiem. W każdym razie była.

– A czym jest teraz?

Jude wzruszyła ramionami.

– Czymś... innym. Nie znam się na tym. Ma wielką moc. Omal nie zabiła

Dowda.

– Dlaczego?

– Chyba lepiej będzie, jak sama ci opowie.

– Dlaczego miałbym jej słuchać?

– Chce się z tobą zobaczyć. Mówi, że cię zna.

– Naprawdę? A nie mówiła skąd?

– Nie, prosiła tylko, żebym wspomniała o Nisi Nirvanie.

Gentle tylko się roześmiał.

– To ci coś mówi? – zapytała.

– Pewnie! To taka bajka dla dzieci. Nie znasz jej?

– Nie – odparła Jude, natychmiast zdając sobie sprawę, dlaczego nie może jej znać.

Gentle powiedział to na głos:

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie byłeś dzieckiem.

Przyglądała mu się uważnie, niepewna, czy okrucieństwo, jakie wyczuwała w nim ostatnio – w tej chwili także – nie jest przypadkiem dziecinną naiwnością.

– Spotkasz się z nią?

– Niby po co? Nawet jej nie znam.

– Ale ona cię zna.

– O co ci chodzi? Dlaczego próbujesz mi wcisnąć jakąś babę? – Podszedł bliżej. Próbowwała nie dać po sobie poznać, że czuje do niego niechęć, ale nie potrafiła się opanować. – Przysięgam, Judith, że nie znam żadnej Celestine. Kiedy wychodzę z domu, myślę tylko o tobie...

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

– O co ty mnie podejrzewasz? Nic złego nie zrobiłem, słowo! – Gentle założył ręce na piersi. – Ranisz mnie, Judith. Nie wiem, czy robisz to celowo, ale tak właśnie jest. Ranisz mnie.

– To dla ciebie nowe doświadczenie, co?

– Co to ma być? Jakaś nauczka? Błagam, nie dręcz mnie. Mamy zbyt wielu wrogów, żeby stawać przeciwko sobie.

– Ja z nikim nie walczę. I nie chcę walczyć.

– To dobrze. – Gentle rozłożył ramiona. – Chodź do mnie.

Jude ani drgnęła.

– Judith!

– Chcę, żebyś się spotkał z Celestine. Obiecałam jej, że cię znajdę. Pomy-

śli, że ją okłamałam.

– Dobrze, pójdę do niej, ale możesz być pewna, że wrócę, kochanie. Nie wiem, kim jest ta Celestine, nie wiem, jak wygląda. Pragnę tylko ciebie. Nigdy nie pragnąłem cię tak jak teraz.

Wiedziała, że czeka, by zapytała dlaczego. Przez chwilę odmawiała mu tej satysfakcji, lecz widząc jego promienną twarz, nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

– Dlaczego?

– Nie chciałem ci jeszcze o tym mówić...

– O czym?

– Będziemy mieli dziecko, Judith.

Wytrzeszczyła oczy, oczekując wyjaśnień – że znalazł na ulicy sierotę albo chce ściągnąć jakiegoś malca z innego dominium. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie o to mu chodzi. Serce szybciej jej zabiło. Gentle mówił o dziecku, które narodzi się z ich nocnego zespolenia. Będzie jego skutkiem.

– To moje pierwsze dziecko – dodał. – Twoje chyba też?

Chciała nazwać go kłamcą. Skąd mógł wiedzieć, że jest w ciąży, skoro ona jeszcze nie wiedziała? Ale był bardzo pewny siebie.

– Zostanie prorokiem. Zobaczysz.

Już widziałam, pomyślała. Kiedy jajo wciągnęło ją do wnętrza jej ciała, widziała, co je czeka. Zielone miasto, żywa woda – i ranny Gentle, który wyjął jajo z czyjejś drobnej dłoni. Czy to było pierwsze proroctwo dziecka?

– Nikt w tym dominium nie potrafiłby się tak kochać jak my – mówił Gentle. – Dziecko jest tego dowodem.

– Wiedziałaś, co robisz?

– Wiązałem z tobą pewne nadzieje...

– A moje zdanie nic cię nie obchodziło? Jestem tylko macicą, tak?!

– Nie to miałem na myśli...

– Chodzącą macicą!

– To brzmi absurdalnie.

– Bo to jest absurd.

– Jak możesz tak mówić? Jak coś, co od nas pochodzi, może nie być doskonałe? – Gentle mówił teraz z niemal religijną czcią. – Ja się zmieniam, kochanie. Odkrywam, czym jest czułość i miłość, myślę o przyszłości, snuję plany. To ty mnie tak zmieniłaś.

– To znaczy jak? Ze wspianiałego kochanka stajesz się świetnym ojcem?

Nowy dzień, nowy Gentle?

Wyglądał, jakby miał gotową odpowiedź, ale ugryzł się w język.

– Oboje wiemy, ile dla siebie znaczymy – powiedział. – Warto mieć na to jakiś dowód. Proszę cię, Judith... – Wciąż miał rozłożone ramiona, ale Jude nie zamierzała się przytulić. – Uprzedzałem, że będą mi się zdarzały błędy. Prosiłem, żebyś mi wybaczyła. Teraz też o to proszę.

Spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Odejdź.

– Spotkam się z tą kobietą, jeśli tak ci na tym zależy, ale zanim wyjdę, chcę, żebyś mi coś obiecała. Obiecuj, że nie będziesz próbowała skrzywdzić życia, które nosisz.

– Idź do diabła!

– Tu nie chodzi o mnie, nawet nie o dziecko, tylko twoje dobro. Gdybyś przeze mnie miała zrobić sobie krzywdę, moje życie straciłoby sens.

– Nie potnę się, jeśli o to ci chodzi.

– Nie o to.

– A o co?

– Jeżeli będziesz próbowała usunąć tę ciężę, dziecko łatwo się nie podda. Odziedziczyło naszą determinację i naszą siłę. Będzie walczyć o życie. Może cię zabić. Rozumiesz, co mówię?

Jude wzdrygnęła się.

– Powiedz coś – naciskał Gentle.

– Nie mam ci do powiedzenia nic, co chciałbyś usłyszeć. Porozmawiaj z Celestine.

– Może pojedziesz ze mną?

– Idź. Już.

Jude podniosła wzrok. Promienie słońca zalały pokój; Gentle jednak stał w cieniu. Przyświecał mu wspaniały cel, ale on sam miał naturę kłamcy i fałszerza.

– Chciałbym móc do ciebie wrócić – powiedział.

Milczała.

– Jeżeli cię tu nie zastanę, zrozumiem.

Wyszedł bez dalszych słów. Dopiero trzask drzwi na dole wyrwał Jude z ośpienia. Nagle zdała sobie sprawę, że Gentle nie oddał jej niebieskiego jaja. Uwielbiał symetrię i pewnie cieszył się, że ma w kieszeni coś, co należy do niej, skoro ona nosi w sobie część jego istoty.

ROZDZIAŁ 50

1

Mimo że znał bezdomnych z South Bank zaledwie od kilku godzin, trudno mu się było z nimi pożegnać. Przez ten krótki czas czuł się w ich towarzystwie bezpieczniej niż niekiedy z przyjaciółmi znanymi od lat. Jego nowi towarzysze byli przyzwyczajeni do tego, że coś muszą stracić – ten motyw przewijał się przez wszystkie życiorysy, które poznał – tak że obeszło się bez melodramatycznych wystąpień. Żegnali go w ciszy. Tylko Monday, którego cierpienie wyrwało Gentle'a z letargu, nieśmiało próbował go zatrzymać.

– Już niedużo murów zostało do pomalowania – mówił. – Zajmie nam to parę dni, góra tydzień.

– Przykro mi, ale nie mam tyle czasu – odparł Gentle. – Nie mogę dłużej odkładać tego, po co wróciłem.

Monday naturalnie spał, gdy Gentle rozmawiał z Taylorem (kiedy się obudził, bardzo go zdumiał szacunek okazywany mu przez wszystkich), ale zostali – zwłaszcza Benedict – mogli co nieco dodać do spisu cudów, których byli świadkami.

– Czym się zajmuje Pojednawca? – spytał Gentle'a. – Bo jeżeli wybierasz się do innych dominiów, facet, to chcemy iść z tobą.

– Nie zamierzam opuszczać Ziemi, ale w razie czego pierwsi się o tym dowiecie.

– A jeśli się już nie spotkamy? – zapytał Irish.

– To będzie znaczyło, że mi nie wyszło.

– I że nie żyjesz?

– Tak.

– Nie bój się, on nie spieprzy sprawy – uspokoiła Irisha Carol. – Prawda, skarbie?

– Co mamy zrobić z tą naszą wiedzą? – dopytywał się Irish, któremu brzemie tajemnicy ciążyło chyba najbardziej. – Bez ciebie straci sens.

– Wcale nie. Opowiecie o mnie innym i legenda przetrwa do chwili, aż otworzą się przed ludźmi wrota dominiów.

– Czyli mamy o tym mówić?

– Każdemu, kto zechce was wysłuchać.

Rozległy się pomruki aprobaty. Mieli przynajmniej jakiś powód, żeby pamiętać niezwykłą historię i tego, który ją opowiedział.

– Gdybyś nas potrzebował, wiesz, gdzie szukać – dodał Benedict.

Gentle z Clemem podeszli do furtki.

– A gdyby ktoś o ciebie pytał? – zainteresowała się Carol.

– Powiedzcie, że spotkaliście jakiegoś świra i skopaliście go z mostu do rzeki.

Kilku się uśmiechnęło.

– Tak właśnie powiemy, maestro – obiecał Irish. – Ale pamiętaj, jeśli prędko do nas nie wrócisz, znajdziemy cię.

*

Wyszli na Waterloo Bridge. Dochodziła szósta i choć ruch w kierunku północnym nasilał się z każdą chwilą – pierwsi ludzie spieszyli do pracy – taksówek było jak na lekarstwo. Ruszyli więc przez most pieszo, licząc, że złapią coś przy Strand.

– W różnym towarzystwie spodziewałbym się cię znaleźć – odezwał się Clem – ale to chyba było najdziwniejsze z możliwych.

– Szukałeś mnie tam – zauważył Gentle – więc musiałeś mieć jakieś przeżycie.

– Chyba tak...

– Poza tym możesz mi wierzyć, że obracałem się już w bardziej niezwykłych kręgach. Znacznie bardziej.

– W to nie wątpię. Któregoś dnia, niedługo, opowiesz mi o swojej podróży, dobrze?

– Postaram się, chociaż bez mapy będzie mi trudno. Mówiłem Pie, żeby naszkicował mapę, na wypadek gdybym kiedyś znów zabłądził w dominiach...

– Wtedy mógłbyś znaleźć drogę z powrotem.

– Właśnie.

– A ty? Nie mogłeś rysować sam?

– Jakoś nigdy nie było czasu. Ciągłe coś mnie rozpraszało.

– Powiedz mi chociaż... Hej! Taxi!

Clem wyskoczył na jezdnię i pomachał na kierowcę, a kiedy wsiedli, powiedział mu, dokąd ma jechać. Taksówkarz zerknął w lusterko.

– To panów znajomy?

Odwrócili się i zobaczyli pędzącego przez most Mondaya. W kilka sekund dopadł taksówki, wetknął pomazaną farbami twarz przez okienko i zaczął błagać, żeby wzięli go ze sobą.

– Szefie, nie możesz mi tego zabronić. To by było nie fair! Dałem ci kredę, nie? Co ty byś zrobił bez kredy i farb, szefie?

– Nie mogę ryzykować, że coś ci się stanie.

– To będzie moja wina i moja sprawa.

– Jedziemy czy nie? – zdenerwował się kierowca.

– Szefie, weźcie mnie ze sobą, proszę.

Gentle wzruszył ramionami i skinął głową. Uśmiech, który zdążył już zniknąć z twarzy Mondaya, wrócił w pełnej krasie. Chłopak wgramolił się do auta, ściskając puszkę z kredą jak amulet.

– Wziąłem kredę. Może się jeszcze przydać. Nigdy nie wiadomo, czy nie będzie trzeba w trymiga machnąć jakiegoś nowego dominium na ścianie, nie?

*

Nie jechali długo, ale nawet na tym krótkim odcinku mogli się przekonać – znaki były wszędzie, drobne, lecz w masie łatwo zauważalne – że fale upałów i wściekłe burze dają się mieszkańcom miasta we znaki. Ludzie wyklócali się na chodnikach i na jezdniach, wszyscy krzywili się i marszczyli gniewnie brwi.

– Tay mówił coś o pustce, która ma nas pochłoniąć – przypomniał sobie Clem, gdy na światłach czekali, aż ludzie rozdziela dwóch wściekłych kierowców, którzy próbowali nawzajem udusić się krawatami. – Myślicie, że to

ma z tym coś wspólnego?

– To jakiś obłąd, panie. Cholerny obłąd – odezwał się taksówkarz. – Przez ostatnie pięć dni policja zanotowała więcej morderstw niż od początku roku. Gdzieś o tym czytałem... A morderstwa to jeszcze nie wszystko. Ludzie świrują, panie! Świrują! Mój kumpel, co też na taryfie jeździ, był we wtorek koło Arsenалу, jak mu kobieta wyskoczyła przed maskę! Bum! Pod koła mu się rzuciła, panie! Tragedia!

Przechodnie wreszcie walczących rozdzielili i odeskortowali do przeciwnych narożników skrzyżowania.

– Nie wiem, co się dzieje – dodał kierowca – ale to jakiś obłąd!

Włączył radio i zaczął fałszywie pogwizdywać w takt nadawanej ballady. Samochody ruszyły.

– Czy możemy to jakoś powstrzymać? – spytał Clem. – Czy też teraz już będzie coraz gorzej i gorzej?

– Mam nadzieję, że Pojednanie załatwi sprawę, ale nie jestem pewien. To dominium tak długo było odcięte od reszty, że dławi się własnym gównem.

– Może trzeba będzie po prostu zburzyć mury – powiedział Monday z uśmiechem urodzonego wandalę na twarzy. Potrząsnął puszką. – Pokaż tylko które, a ja je rozwalę. Spokojna głowa.

2

Gentle ostrzegał ją, że dziecko jest bardziej zdeterminowane od innych. Nie miała powodu, żeby mu nie wierzyć. Zastanawiała się tylko, co to właściwie znaczy, poza tym, że próbując je usunąć, naraziłaby się na jego gniew? Czy będzie szybciej rosło? Czy do wieczora brzuch jej napęcznieje, a rano odejdą wody płodowe i zaczną rodzić? Leżała w sypialni ociążała od upału, modląc się, żeby pełne zachwyty opowieści, które słyszała od młodych matek, okazały się prawdziwe i w jej wypadku. Miała nadzieję, że jej organizm zareaguje normalnie i uwolni do krwioobiegu naturalne hormony, które pomogą mu wyżywić i wydać na świat potomstwo.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, miała ochotę go zignorować, ale tajemniczy goście łatwo się nie poddawali. W końcu zaczęli ją nawoływać

przez okno – jeden wołał „Judy”, drugi – co było dziwne – „Jude”. Usiadła na łóżku i przez chwilę miała wrażenie, że coś się w niej zmieniło: serce tłukło się pod czaszką, a myśli musiała wyciągać gdzieś z trzewi, żeby wziąć się w garść i pójść otworzyć drzwi. Zanim zeszła na dół, głosy ucichły i nie zdziwiłaby się, gdyby na progu nie zastała nikogo. Ktoś tam jednak stał: młody, umazany farbą chłopak, który na jej widok odwrócił się i zawołał dwóch innych mężczyzn. Stali po drugiej stronie ulicy, wpatrzeni w jej okna.

– Jest! – krzyknął. – Szefie! Jest tutaj!

Ruszyli do drzwi, a jej serce (wciąż dudniące w skroniach) zaczęło bić w iście samobójczym tempie. Oparła się o framugę. Mężczyzna idący obok Clema spojrział jej w oczy i uśmiechnął się. To nie był Gentle – w każdym razie nie ten, który zabrał jej jajo i przed paroma godzinami wyszedł z tego domu. Ten, którego miała przed sobą, nie golił się od kilku dni, a czoło miał całe w strupach. Cofnęła się, ale nie zdążyła zatrzasnąć drzwi gościom przed nosem.

– Nie podchodź – powiedziała.

Widząc strach na jej twarzy, zatrzymał się dwa metry od progu. Dał znak chłopcu, żeby sobie poszedł.

– Wiem, jak wyglądam – powiedział. – Ale to naprawdę ja, Jude.

Cofnęła się jeszcze o dwa kroki od plamy słońca, w której stał (światło go kochało – nie tak jak tego drugiego, którego zawsze oglądała w cieniu), cała roztrzęsiona, jakby zaraz miała dostać histerycznych drgawek. Oparła się o poręcz przy schodach.

– To niemożliwe – stwierdziła.

Nie odpowiedział. Tym razem jego współnik w tym oszustwie, Clem (kto by pomyślał?!), zabrał głos:

– Musimy porozmawiać, Judy. Mogę wejść?

– Ale sam. Oni zostaną tutaj.

– Sam.

Podszedł do drzwi, pokazał jej puste dłonie.

– Co się stało? – zapytał.

– To nie jest Gentle – wyjaśniła. – Gentle mieszka ze mną od dwóch dni. I dwóch nocy. A to... Ja go nie znam.

Intruz to słyszał. Widziała jego twarz ponad ramieniem Clema: wyrażała taki szok, jakby każde jej słowo było niczym cios w brzuch. Im dłużej tłumaczyła Clemowi, co się wydarzyło, tym mniej wierzyła, że to prawda. Tego Gentle'a, który nic nie rozumiejąc stał teraz za progiem, w słońcu, zostawiła

samego na schodach pracowni. A skoro tak, to kochanek, który do niej przychodził – który zabrał jej jajo i ją zapłodnił – był kimś innym.

Zobaczyła, jak usta Gentle'a składają się w imię tego drugiego:

– Sartori.

Zrozumiała, że to prawda – rzeźnik Yzordderrex zakradł się do jej łóżka, serca i łona. Bała się, że dreszcze zupełnie zawładną jej ciałem, ale na razie ze wszystkich sił trzymała się tego upalnego, materialnego świata. Uznała, że ci ludzie – jego wrogowie – powinni dowiedzieć się o wszystkim.

– Wejdz – zwróciła się do Gentle'a. – I zamknij drzwi. Mimo że chłopiec wszedł razem z nim, nie miała siły protestować.

– Nie zrobił ci krzywdy? – spytał Gentle.

– Nie – odparła. Żałowała niemal, że to prawda, że nie dał jej poznać swojego prawdziwego, zwyrodniałego „ja”. – Mówiłeś mi, że się zmienił, Gentle, że stał się potworem. Plugawym potworem. A on wygląda dokładnie tak samo jak ty.

Czuła narastający gniew. Cieszył ją, bo przemieniał irracjonalną odrazę w inne uczucie, czystsze i mądrzejsze. Gentle nieświadomie wprowadził ją w błąd opisem Sartoriego. Stworzyła sobie w wyobraźni obraz istoty tak skalanej okrucieństwem, że prawie nieludzkiej. Tymczasem nie zmylił jej złościwie; chciał po prostu całkowicie odciąć się od potwora, który nosił jego twarz. A teraz zrozumiał swój błąd i było mu wstyd. Nie podchodził bliżej, czekał, aż Jude zapanuje nad sobą. Była silna – i ta siła pozwoliła jej wytrwać i dokończyć opowieść. Nie było sensu ukrywać przed Gentle'em i Clemem ostatniego oszustwa Sartoriego, skoro prawda i tak wkrótce musiała wyjść na jaw. Położyła rękę na brzuchu.

– Jestem w ciąży – powiedziała. – To jego dziecko. Sartoriego.

W innym, bardziej racjonalnym świecie udałooby się jej może odszyfrować wyraz twarzy Gentle'a, tu jednak musiała się poddać. Był zbyt złożony. Na pewno gniew, na pewno rozczarowanie; może lekka zazdrość? Nie pożądał jej po powrocie z Imajiki – świadomość misji Pojednawcy przygasiła jego libido. Teraz jednak, kiedy okazało się, że ten drugi jej dotykał, więcej, dał jej rozkosz (czyżby widział na jej twarzy poczucie winy, równie nieudolnie maskowane jak jego zazdrość?), czuł się urażony jako właściciel. Jak każde uczucie w ich związku, także i to było niejednoznaczne.

Clem, kochany, czuły Clem rozłożył szeroko ramiona i zapytał:

– Dasz się przytulić?

– Jezu, pewnie że tak! Z przyjemnością.

Objęli się mocno.

– Powinam była się domyślić – szepnęła, żeby chłopak i Gentle jej nie słyszeli.

– Teraz łatwo ci to mówić. – Clem całował jej włosy. – Ja tam się cieszę, że żyjesz.

– Nie groził mi. Nie dotknął mnie, dopóki...

– ...o to nie poprosiłaś?

– Nie musiałam prosić. Wiedział.

Skrzypnęły drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła, jak Gentle z chłopcem wychodzą z domu. Gentle osłonił oczy dłonią i spojrzał w niebo. Zrozumiała, że to on był czcicielem słońca, którego widziała w Pucharze Bostońskim. Niewiele to zmieniało, ale nie zamierzała rezygnować z tej drobnej satysfakcji.

– Sartori jest bratem Gentle'a, tak? – spytał Clem. – Obawiam się, że ciągle nie mogę się rozeznać w kwestiach pokrewieństwa.

– Nie są braćmi, lecz bliźniakami. Sartori jest jego idealnym odbiciem.

– Jak idealnym? – Spojrzał na nią, uśmiechając się ironicznie.

– No... doskonałym.

– Czyli nie było wcale tak źle z nim mieszkać?

– Ani trochę. – Pokręciła głową. – Mówił, że mnie kocha – dodała po chwili.

– Mój Boże...

– Wierzyłam mu.

– Ile dziesiątek mężczyzn ci to powtarzało?

– Wiem, wiem, ale to było co innego...

– Gdzieś już to słyszałem...

Jude przyglądała się wpatrzonemu w słońce Gentle'owi, zdumiona, że udaje się jej zachować taki spokój. Czy samo wspomnienie łączącego ich uczucia wystarczyło, żeby wszystkie strachy zbladły?

– O czym myślisz? – zainteresował się Clem.

– Że jest w nim coś, czego Gentle'owi brakuje. Nie musisz mi mówić, że to obrzydliwe: jest niszczycielem i mordercą, który unicestwiał całe krainy. Jak mogę coś do niego czuć?

– Chcesz usłyszeć jakiś banał?

– Mów.

– Czujesz to, co czujesz, i już. Jedni kochają marynarzy, inni facetów w gumowych kombinezonach i boa z piór. Tacy jesteśmy. Nie tłumacz się, nie przepraszaaj. To wszystko.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.

– Jesteś cudowny. Przeżyjemy to, prawda?

– Przeżyjemy. Będzie dobrze. Ale na razie lepiej chyba byłoby znaleźć twojego kochasia, dla dobra nas... – Clem zamilkł, gdy Jude mocniej przycisnęła mu dłonie do policzków. Spoważniała. – Co się stało?

– Celestine. Wysłałam go do Highgate, do domu Roxborougha.

– Chyba nie nadążam...

– Źle się stało. – Jude podbiegła do drzwi i zawołała Gentle'a.

Spojrzał na nią, wrócił pod dom i wysłuchał tego, co przed chwilą mówiła Clemowi.

– Co takiego jest w Highgate? – zapytał.

– Kobieta, która chciała się z tobą spotkać. Czy imię Nisi Nirvana coś ci mówi?

Gentle zmarszczył brwi.

– To jakaś bajka – odparł.

– Nie, Gentle. Ona żyje naprawdę. Przynajmniej niedawno żyła

3

Nie tylko czysty sentyment kazał autarsze oddać tyle szczegółów, gdy postanowił obrazem ozdobić ściany pałacu. Mimo że spędził w tym mieście niewiele czasu – dosłownie kilka tygodni od narodzin do chwili, gdy wyruszył do Pojednanych Dominiów – ojciec Londyn i matka Tamiza wyedukowali go po królewsku. Rzecz jasna, metropolia widziana z Highgate Hill, gdzie w tej chwili się znajdował, rozciągała się znacznie dalej i była bardziej ponura niż miasto, które wtedy opuścił, ale wyglądała dostatecznie znajomo, żeby budzić wzruszenie. Od profesjonalistek z okolic Drury Lane uczył się seksu; nad rzeką dowiedział się, jak wygląda morderstwo, kiedy w niedzielne ranki fale wyrzucały na brzeg ofiary sobotnich rzezi; w Lincoln's Inn Field przyswajał sobie prawo, a w Tyburn patrzył, jak wymierza się sprawiedli-

wość. Te doświadczenia po części go ukształtowały. Jednej tylko lekcji sobie nie przypominał; nie przyswoił jej sobie ani w Londynie, ani w innych miastach, które pamiętał: jak być architektem. Zakładał jednak, że w którymś momencie musiał mieć jakiegoś nauczyciela. To przecież w jego głowie powstała wizja pałacu, który przeszedł do legendy, chociaż jego wieże legły w gruzach. Gdzie zrodziła się iskra tego geniuszu – w genach czy w historii? Może odkryje tę tajemnicę, dopiero gdy zbuduje Nowe Yzordderrex. Jeśli będzie cierpliwy i uważny, oblicze mistrza powinno objawić się w murach miasta.

Zanim jednak położy pod nie fundamenty, będzie musiał sporo domów wyburzyć. Takie prostackie budowle jak wieżowiec Tabula Rasa, który właśnie wyłonił się zza drzew, pójdą na pierwszy ogień. Pogwizdując, przeszedł dziedziniec i stanął przy drzwiach. Ciekaw był, czy kobieta, z którą Jude każała mu się spotkać – Celestine – słyszy jego trele.

Drzwi były otwarte, ale wątpił, by jakiś złodziej (nawet największy oportunistą) odważył się zakraść do środka. Powietrze przy wejściu niemal skrzyło się od magii. Przypomniała mu się ukochana Wieża Osi.

Przeszedł przez foyer do drugich drzwi i znalazł się w znajomym pokoju. Dwa razy w życiu szedł po tutejszej wiekowej podłodze. Najpierw na dzień przed Pojednaniem przyszedł do Roxborougha, podając się za Pojednawcę – dla perwersyjnej przyjemności uściśnięcia rąk dostojnym gościom, zanim podstępem wyśle ich wszystkich do piekła. Drugi raz zjawił się tu w noc po ceremonii, kiedy burze rozdzierały niebo od Muru Hadriana po Land's End. Zamierzali z Chantem – jego nowym chowańcem – zlikwidować Luciusa Cobbitta, nieświadomego współnika sabotażu. Nie znalazłszy go w Clerkenwell, postanowił stawić czoło wściekłej nawałnicy (całe zagajniki legły wtedy wyrwane z korzeniami, a na Highgate Hill trafiony przez piorun człowiek spłonął żywcem), ale i w domu Roxborougha nikogo nie zastał. Nigdy nie udało mu się znaleźć Cobbitta, który – wypędzony przez dawnego maestra z bezpiecznego schronienia przy Gamut Street – padł zapewne ofiarą rozszalałych żywiołów.

Pokój był pusty. Lordowie, którzy postawili ten dom, nie żyli, podobnie jak ich potomkowie, którzy później wybudowali nad nim wieżowiec. Panowała tu przyjemna cisza. Czas na hałaśliwą zabawę nadejdzie później, na razie jednak Sartori wszedł przez kominek na schody i znalazł się w bibliotece, o której istnieniu nie miał do tej pory pojęcia. Czuł pokusę, żeby porozglądać

się trochę po uginających się od książek półkach, ale moc, którą czuł na progu, powodowała coraz silniejsze mrowienie w palcach i przyciągała nieodparcie.

Zanim ujrzał kobietę, usłyszał jej głos. Dobiegał z korytarza, w którym unoszący się w powietrzu kurz był gęsty jak mgła u ujścia Tamizy. Ledwie majaczył w nim obraz zniszczeń: książki, zwoje i manuskrypty podarte w strzępy, na wpół zagrzebane pod potrzaskanymi regałami, a w głębi – wyrwa w ścianie. Stamtąd właśnie usłyszał:

– Czy to ty, Sartori?

– Tak.

– Podejdź bliżej, chcę cię zobaczyć.

Zatrzymał się przed górą gruzu.

– Myślałam już, że cię nie znalazła. Albo że nie chciałeś przyjść.

– Jak mógłbym odmówić takiemu wezwaniu? – rzekł szeptem.

– Uważasz, że przyszedłeś tu na schadzkę? – spytała zgorzkniałym, zachrypniętym od kurzu głosem.

Podobało mu się jego brzmienie. Kobiety, które potrafiły się złościć, zawsze bardziej go pociągały.

– Chodź, maestro. Niech cię zobaczę.

Wdrapał się na kopczyk cegieł i zajrzał do ciemnego wnętrza. Cela wyglądała paskudnie, brudna i wstrętna jak lochy pod jego pałacem, ale kobieta, która ją zamieszkiwała, wcale nie była wychudzoną pustelniczką. Jeśli nie liczyć świeżych ran, więzienie nie zaszkodziło jej pięknemu ciału. Oplatające je macki podkreślały bujne kształty, wijąc się po udach, brzuchu i piersiach, śliskie niczym węże. Niektóre przywarły do jej głowy i muskały słodkie usta, inne błogo zaległy między nogami. Czuł na sobie jej czułe spojrzenie. Napawał się nim.

– Przystojny jesteś – stwierdziła.

Potraktował to jako zaproszenie i zaczął podchodzić bliżej. Zatrzymał się jednak, gdy warknęła zaniepokojona.

– Co za cień w tobie widzę?

– Nie musisz się go obawiać – odparł.

Oplatające ją włókna się rozdzieliły; te, które stanowiły część jej istoty, wsparły się o szorstką ścianę i pomogły Celestine podnieść się z ziemi.

– Już to słyszałam. Kiedy mężczyzna mówi, że nie ma się czego obawiać, kłamie. Ty jesteś taki sam, Sartori.

– Nie podejdę bliżej, jeżeli cię to denerwuje – odparł poruszony nie jej

niepokojem, lecz mackami, które falowały delikatnie. Pamiętał, że po bliższych kontaktach z wariatkami z Bastionu Banu Quaisoir też potrafiła wypuszczać z ciała podobne wypustki. Dowodziły istnienia w kobietach siły, której kompletnie nie pojmował; sztuki, którą Hapexamendios niemal całkowicie wyplenił z Imajiki. Być może, odkąd opuścił Piąte Dominium, rozkwitła w nim na nowo. Postanowił zachować ostrożność, dopóki nie zorientuje się, na co stać Celestine. – Chciałbym cię o coś zapytać. Pozwolisz?

– Mów.

– Skąd wiedziałaś, kim jestem?

– Najpierw powiedz mi, gdzie się podziewałeś przez tyle lat?

Miał ochotę powiedzieć jej całą prawdę, popisać się swoimi osiągnięciami, zrobić na niej wrażenie... Ale grał przecież prawdziwego Sartoriego. Podobnie jak z Judith, musiał dobrze wybrać moment, kiedy ujawni prawdę o sobie.

– Podróżowałem – odparł.

Właściwie nie kłamał.

– Gdzie?

– Głównie po Drugim Dominium, trochę też po Trzecim.

– Byłeś w Yzordderrex?

– Kilkakrotnie.

– A na pustyni za murami?

– Też. Czemu pytasz?

– Bo i ja tam byłem, jeszcze zanim się urodziłeś.

– Jestem starszy, niż mogłoby się wydawać – uprzedził. – Wiem, że tego nie widać...

– Wiem, ile masz lat, Sartori – przerwała mu. – Co do dnia.

Jej pewność siebie nie zmniejszyła bynajmniej niepokoju, który budziły w nim macki. Czyta mu w myślach? A jeśli tak – jeśli wie, kim naprawdę jest i co zrobił – to dlaczego się go nie boi?

Nic by nie zyskał, udając, że jej wiedza go nie interesuje. Uprzejmie, choć bez ogródek zapytał, jak to możliwe, szykując w myśli wyrafinowane przeprosiny, gdyby okazała się jedną z przelotnych zdobywczy maestra i chciała mu zarzucić, że o niej zapomniał. Oskarżenie zabrzmiało jednak zgoła inaczej:

– Skrzywdziłeś wielu ludzi, prawda?

– Nie więcej niż inni – zaprotestował słabo. – Naturalnie, parę razy zasha-

lałem, ale przecież każdemu się to zdarza.

– Zaszalałeś? To chyba za słabe słowo. Jest w tobie zło, Sartori. Wyczuwam je, tak jak w tej kobiecie wyczułam spermę.

Wzmianka o Judith – bo kim innym mogła być owa rozpustnica? – przypomniało mu, co jej dwa dni wcześniej zapowiedział. Uprzedzał, że odnajdą ciemność w sobie nawzajem, ale wyjaśnił też, że to ludzka rzecz. Argument zadziałał. Może teraz okaże się równie skuteczny?

– To, co we mnie czujesz, to po prostu człowieczeństwo – powiedział.

– O nie – odparła, bynajmniej nieprzekonana. – To ja jestem tym, co w tobie ludzkie.

Miał ochotę ją wyśmiać, ale pod jej spojrzeniem śmiech zamarł mu na ustach.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie rozumiesz? Jestem twoją matką.

*

Weszli do chłodnego holu wieżowca. Gentle prowadził. Znikąd – ani z góry, ani z podziemi – nie dobiegał żaden dźwięk.

– Gdzie jest Celestine? – zapytał.

Jude zaprowadziła ich do drzwi dawnej sali spotkań Tabula Rasa.

– Muszę to załatwić sam, jak brat z bratem.

– Ja się go nie boję – wtrącił Monday.

– A ja tak – uśmiechnął się smutno Gentle. – I nie chciałbym, żebyście widzieli, jak sikam w spodnie. Zostańcie tutaj. Migiem wrócę.

– Dobrze by było – zauważył Clem. – Bo inaczej po ciebie zejdziemy.

Po tych słowach pocieszenia Gentle zniknął w starym domu Roxborougha. Kiedy wchodził do wieżowca, wspomnienia nie dawały mu znać o sobie, teraz jednak wszystko się zmieniło. Obrazy nie były tak konkretne i namacalne jak przy Gamut Street, gdzie wydawało się, że nawet podłoga przechowała obraz tych, którzy po niej chodzili; jak przez mgłę przypominał sobie biesiady i debaty przy okrągłym dębowym stole. Nie chcąc jednak, by zatrzymała go nostalgia, przemknął szybko przez pokój, jak człowiek, który ma dość armii pochlebców. Zszedł do piwnicy.

Jude opisała mu labirynt, widok jednak był zdumiewający: tak wielka mądrość, pogrzebana w ciemnościach. Czy mógł się dziwić, że przez ostatnie

dwa wieki świadomość istnienia Imajiki wygasła w Piątym Dominium niemal całkowicie, skoro wszystkie jej źródła zostały ukryte w tym lochu? Nie przyszedł jednak oglądać ksiązek (choć była to kusząca perspektywa); przybył do Celestine, która – aby go zwabić – podsunęła mu imię Nisi Nirvany. Nie rozumiał, co ma na myśli. Wydawało mu się, że je pamięta i że wiąże się z nim jakaś dłuższa historia, ale nie mógł sobie przypomnieć ani samej opowieści, ani tego, na czyich kolanach pierwszy raz ją usłyszał. Może Celestine znała odpowiedzi na te pytania.

W podziemiach panowało niezwykle ożywienie, nawet kurz nie zalegał spokojnie na podłodze i półkach, lecz przepływał Gentle'owi przed oczami w rozfalowanych konstelacjach. Nie błądził, ale droga od schodów do celi była dość długa i zanim doszedł na miejsce, usłyszał krzyk – kobiecy zapewne, lecz tak zniekształcony echem, że nie mógł mieć pewności. Przyspieszył kroku.

Więcej krzyków nie było, za to gdy się zbliżył – piwnica wyglądała, jakby ktoś wykopał w ścianie grotę, w sam raz nadającą się na dom dla wyroczni – usłyszał chrobot trących o siebie cegieł. Z sufitu sypały się kawałki zaprawy, posadzka drżała mu pod stopami. Zaczął wdrapywać się po stosie gruzu, usłanym wypatroszonymi książkami niczym pole bitwy trupami. Przez szczelinę u szczytu dostrzegł gwałtowny ruch w głębi celi. Potknął się i wpadł do środka.

– Bracie? – odezwał się, zanim jeszcze odnalazł Sartoriego w ciemności. – Co robisz, bracie?

Ujrzał go wreszcie, jak podchodzi wolno do stojącej w rogu pomieszczenia kobiety, prawie nagiej, lecz wcale nie bezbronnej. Z ramion i pleców wyrastały jej podobne do strzępów ślubnej sukni włókna i pasma, wyglądające na delikatne, lecz najwyraźniej bardzo mocne. Niektóre opierały się o sufit nad jej głową, ale większość oplatała Sartoriemu głowę duszącym kapturem. Szarpał je, próbując wcisnąć pod spód palce i lepiej chwycić. Z poranionych macek sączyła się jakaś ciecz, gdy wrywał je garściami. Widać było, że wkrótce się uwolni i zemści na kobiecie.

Gentle nie wołał go już (w tym kapturze Sartori nie mógł go usłyszeć), lecz podbiegł bliżej i złapał go od tyłu za ręce. Przyszpilił mu ramiona do boków. Widział, jak Celestine przenosi wzrok z Sartoriego na niego i z powrotem. Albo wstrząs, jakiego doznała, albo wyczerpanie dało o sobie znać. Okaleczone macki rozluźniły się i opadły z twarzy Sartoriego. Celestine, zu-

pełnie już skonfundowana, cofnęła je i zebrała przy sobie.

Sartori mógł wreszcie normalnie widzieć. Zobaczył Gentle'a, od razu przestał się szarpać i spokojnie stał w ramionach Pojednawcy.

– Dlaczego ilekroć cię widuję, bracie, zawsze próbujesz kogoś skrzywdzić? – spytał Gentle.

– Bracie? Odkąd to masz mnie za brata?

– Jesteśmy przecież braćmi.

– W Yzordderrex próbowałeś mnie zabić, nie pamiętasz? Coś się zmieniło?

– Tak. Ja się zmieniłem.

– Czyżby?

– Pogodziłem się z naszym... pokrewieństwem.

– Ładne słowo.

– Przyjąłem na siebie odpowiedzialność za to, kim byłem, jestem i kim się stanę. Muszę za to podziękować twojemu podopiecznemu z In Ovo.

– Miło mi to słyszeć. Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Sartori obejrzał się na Celestine. Stała wyprostowana, chociaż widać było, że podtrzymują ją jedynie przyssane do ścian macki. Miała półprzymknięte oczy, drżała na całym ciele. Gentle widział, że potrzebuje pomocy, ale dopóki trzymał Sartorigo, był bezradny. Pchnął go w stronę wyjścia z grotty. Autarcha poleciał na ziemię bezwładnie jak szmaciana lalka, w ostatnim momencie podparł się rękami.

– Pomóż jej, jeśli chcesz. – Spojrzał na Gentle'a obojętnie. – To nie moja broszka.

Dźwignął się z ziemi. Gentle podniósł dłoń do ust; przez chwilę wydawało się, że Sartori może próbować jakiejś sztuczki, ale powiedział tylko:

– Chyba nie kopniesz mnie leżącego, bracie? – I żeby udowodnić, jak nisko upadł, zaczął się wyczołgiwać na zewnątrz. – Jest twoja – dodał i zniknął w korytarzu.

Kiedy Gentle mógł ponownie spojrzeć na Celestine, miała zamknięte oczy, a jej ciało zwisało bezwładnie na mackach. Ruszył w jej stronę. Z wysiłkiem uniosła powieki.

– Nie... podchodź... do... mnie... – wykrztusiła.

Nie dziwił się jej. Mężczyzna, który miał jego twarz, próbował ją przed chwilą zgwałcić albo zamordować – albo jedno i drugie. Dlaczego miałyby teraz zaufać człowiekowi, który niczym się od niego nie różnił? Nie był to też

najlepszy moment, by przysięgać, że jest niewinny. Potrzebowała pomocy, nie przeprosin, a on musiał wymyślić, kto jej może pomóc. Celestine oddechnęła Jude tak samo jak jego, ale może Clem się nada.

– Zaraz tu kogoś przyślę – powiedział Gentle i wygramolił się na zewnątrz.

Sartori zniknął; pozbierał się i uciekł. Po raz drugi podążając jego śladem, Gentle ruszył do wyjścia. W połowie drogi spotkał Jude, Mondaya i Clema, którzy rozchmurzyli się na jego widok.

– Baliśmy się, że cię zamordował – wyjaśniła Jude.

– Palcem mnie nie ruszył, próbował za to skrzywdzić Celestine, która nie chce mnie teraz widzieć. Spróbujesz jej pomóc, Clemie? Tylko uważaj. Wygląda kiepsko, ale jest bardzo silna.

– Gdzie ją znajdę?

– Jude cię zaprowadzi. Ja idę po Sartoriego.

– Poszedł gdzieś na górę – wtrącił Monday.

– Nawet na nas nie spojrział – dodała Jude. – Wyszedł z piwnicy i od razu skręcił do schodów. Coś ty mu zrobił?

– Nic.

– Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy. U ciebie zresztą też nie.

– To znaczy?

– Jakby przeżył straszną tragedię – stwierdził Clem.

– Może zwycięstwo przyjdzie nam łatwiej, niż sądziłem.

Gentle wyminął ich i ruszył do schodów.

– Zaczekaj – powstrzymała go Jude. – Nie możemy zaopiekować się Celestine tutaj. Potrzebna nam jakaś bezpieczna kryjówka.

– To fakt.

– Mamy ją zabrać do pracowni?

– Nie. Znam pewien dom w Clerkenwell, tam nic jej nie grozi. Kiedyś Sartori mnie z niego przepędził, ale dom wciąż należy do mnie. Tam właśnie pójdziemy.

ROZDZIAŁ 51

Słońce w foyer sprawiło, że Gentle pomyślał o Taylorze, od którego słów – wypowiedzianych ustami śpiącego chłopca – rozpoczął się dzień. Tyle się od tego czasu zdarzyło, tak wiele zobaczył i takich objawień doznał, że świat wydawał się odległy o całe wieki. Tak już miało być aż do chwili Pojednania. Londyn, który znał dawno temu i o którym Pie powiedział kiedyś, że skrywa więcej aniołów niż Boże szaty, znów stał się miastem wielkich możliwości. Ta świadomość dodawała mu siłę, gdy przeskakując po dwa i trzy stopnie biegł na górę. Dziwne, ale naprawdę miał ochotę spotkać się znowu z Sartorim, porozmawiać z nim, dowiedzieć się, co myśli.

Jude ostrzegła go, że znajdzie na górze pusty korytarz wiodący do sali z marmurowym stołem, a na nim zwłoki Godolphina. Rzeczywiście, już u wylotu schodów powitał go odór śmierci – obrzydliwe (i zbędne) przypomnienie, że istnieje druga, ponura strona objawienia i że piękne, spokojne dni, gdy uchodził za najszlachetniejszego spirytystę w Europie, miały krwawe zakończenie. Poprzysiągł sobie, że drugi raz tego błędu nie powtórzy. Poprzednia ceremonia zakończyła się tragicznie za sprawą jego brata, który teraz czekał w sali na końcu korytarza. Jeżeli będzie musiał posunąć się do bratobójstwa, żeby zlikwidować zagrożenie, nie zawaha się ani chwili. Sartori był ucieleśnieniem jego niedoskonałości; zabicie go byłoby doświadczeniem oczyszczającym, pożądanym. Być może dla nich obu.

Mdła, trupia woń nasilała się z każdym krokiem. Gentle wstrzymał oddech i bezszelestnie podszedł do drzwi. Same się przed nim otworzyły. Usłyszał dobiegający z pokoju własny głos:

– Nic ci tu nie grozi, bracie. Nie z mojej strony. Nie muszę też oglądać cię

upokorzonego, żeby uwierzyć w twoje dobre zamiary.

Gentle wszedł do środka. Zasłony były szczelnie zaciągnięte, ale można by oczekiwać, że nawet najgrubszy materiał przepuści choćby najslabszy promyk światła. Nie tutaj. Nie same mury i kotary oddzielały to wnętrze od świata. Sartori siedział przy stole, widoczny tylko dzięki odrobinie jasności sączącej się przez uchylone drzwi.

– Nie usiądziesz? – zapytał. – Wiem, że stół nie wygląda zachęcająco...

Ciało Oscara Godolphina zniknęło, lecz blat był cały umazany krwią i pokryty psującymi się kawałkami mięsa.

– ...ale za to oficjalnie. A powinniśmy przecież rozmawiać jak istoty cywilizowane, nie sądzisz?

Gentle skinął głową, podszedł do drugiego końca stołu i usiadł. Był gotów okazywać dobrą wolę, dopóki Sartori nie spróbuje go zdradzić. Wtedy zareaguje – szybko i bezwzględnie.

– Gdzie ciało? – zapytał.

– Jest tutaj. Pogrzebię je, kiedy skończymy rozmawiać. Człowiek nie powinien gnić w takim miejscu. Chociaż... może lepszego nigdzie by nie znalazł. Sam nie wiem. Potem zagłosujemy, co z nim zrobić.

– Nagle zrobiłeś się demokratą.

– Mówiłeś, że się zmieniasz. Ja również.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– O tym później. Najpierw... – Sartori zerknął na drzwi, które posłusznie się zamknęły. Pokój zatonął w całkowitej ciemności. – Nie masz chyba nic przeciwko temu? Przy takiej rozmowie nie powinniśmy się widzieć. Mam dość patrzenia w lustro...

– W Yzordderrex lustra ci nie przeszkadzały.

– Tam miałem ciało, tu czuję się... niematerialny. Nawiasem mówiąc, jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłeś w Yzordderrex. Wystarczyło jedno twoje słowo i miasto legło w gruzach.

– Ty do tego doprowadziłeś, nie ja.

– Nie wygłupiaj się. Obaj wiemy, jak zapamięta cię historia. Intrygi niktogo nie zainteresują. Będzie wiadomo, że kiedy przybył Pojednawca, mury miasta runęły. Nie zaprzeczaj. Tak rodzą się legendy. Wyjdiesz na mesjasza, a o to ci właśnie chodzi, prawda? Pytanie tylko, co stanie się ze mną, jeśli ty zostaniesz Pojednawcą.

– Nie musimy być wrogami.

– To samo mówiłem w Yzorderrex. Próbowaleś mnie wtedy zamordować.

– Miałem powody.

– Wymień choć jeden.

– Udaremniłeś pierwszą próbę Pojednania.

– Wcale nie pierwszą; wiem jeszcze o trzech innych.

– Moją pierwszą. Zniszczyłeś moje wielkie dzieło.

– Kto ci to powiedział?

– Lucius Cobbitt.

Nastała cisza. Gentle'owi wydało się, że słyszy ruch ciemności – jakby jedwab ślizgał się po jedwabiu. Ostatnio jednak w głowie miał taki zamęt, że zanim rozeznał się w tych szelestach, Sartori zdążył się otrząsnąć i przemówić:

– Więc Lucius żyje.

– Tylko w mojej pamięci, w domu przy Gamut Street.

– Spokojek nieźle cię wyedukował, co? Wypatroszę skurczybyka. – Sartori westchnął. – Tęsknię za Rosengartenem, był taki lojalny. Brakuje mi też Racidia i Mattalause. Miałem w Yzorderrex paru swoich ludzi. Mogłem im ufać; kochali mnie. Myślę, że to dzięki twojej twarzy: budzi miłość. Na pewno sam to zauważyłeś. Ciekawe, czy w ten sposób przejawia się twoja boskość, czy też po prostu mamy uwodzicielski uśmiech? Nie podoba mi się pomysł, że jedno jest tylko funkcją drugiego; garbus może być świętym, a chodząca piękność – potworem. Zgodzisz się chyba ze mną?

– Naturalnie.

– Widzisz? Nawet myślimy podobnie. Siedzimy tu po ciemku i rozmawiamy jak przyjaciele. Naprawdę uważam, że gdybyśmy nigdy więcej nie oglądali światła, z czasem byśmy się pokochali.

– To wykluczone.

– Dlaczego?

– Mam coś do zrobienia i nie pozwolę, żebyś mi w tym przeszkodził.

– Ostatnim razem okrutnie skrzywdziłeś wielu ludzi, maestro – mówił Sartori. – Nie zapominaj o tym. Przypomnij sobie, jak otworzyły się wrota In Ovo...

Po zmianie w jego głosie Gentle domyślał się, że Sartori wstaje od stołu – chociaż w absolutnej ciemności nie mógł być tego pewien. Sam również poderwał się gwałtownie, przewracając krzesło.

– In Ovo to paskudne miejsce – mówił dalej Sartori. – Naprawdę nie chcę, żeby jego ohyda splugawiła to dominium, lecz obawiam się, że to nieuniknione.

Teraz Gentle wiedział już z całą pewnością, że dzieje się coś dziwnego. Głos nie dobiegał z jednego punktu, lecz rozpraszał się po całym pomieszczeniu, jakby Sartori roztopiał się w mroku.

– Jeżeli wyjdiesz z tego pokoju, bracie, jeśli zostawisz mnie tu samego, potwory z In Ovo zaleją świat.

– Tym razem nie popełnię błędu.

– A kto mówi o błędach? Dopilnuję po prostu, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie zostawiaj mnie tutaj.

– To chodź ze mną.

– Po co? Miałbym zostać twoim uczniem? Zastanów się, co mówisz! Mam takie samo prawo być mesjaszem jak ty, więc niby dlaczego miałbym zadowolić się rolą żalosnego apostoła? Bądź tak miły i spróbuj chociaż tyle zrozumieć.

– Czy to znaczy, że muszę cię zabić?

– Spróbuj.

– Jestem na to przygotowany, bracie. Zabiję cię, jeśli mnie do tego zmusisz.

– Ja też jestem gotów. Ja też.

Gentle uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Jeżeli miał zabić Sartoriego – a wyglądało na to, że nie ma wyboru – musiał zrobić to szybko. Potrzebował jednak choć odrobiny światła. Podeszedł do drzwi, żeby je otworzyć, kiedy nagle coś musnęło mu policzek. Sięgnął ręką, żeby zerwać to coś z twarzy, ale umknęło gdzieś pod sufit. Co to mogło znaczyć? Wchodząc do pokoju, wyczuł w nim tylko jedną żywą istotę. Sartoriego. Ciemność była wtedy martwa. A zatem albo Sartori siłą woli natchnął ją iluzorycznym życiem, albo pod jej osłoną przywołał jakąś nową istotę. Tylko jaką? Nic nie mówił, nie użył chyba żadnej sztuki. Jeżeli mimo to zdołał wezwać jakieś stworzenie, musiało być słabe i głupie. Słyszał, jak tłucze się o sufit niczym ślepy ptak.

– Myślałem, że jesteśmy sami – zauważył.

– Gdyby nasza ostatnia rozmowa odbyła się bez świadków, świat nigdy by się nie dowiedział, że dałem ci szansę go ocalić.

– Potrzebowałeś kogoś, kto napisze twoją biografię?

– Niezapełnie...

– A kogo? – Gentle wyciągnął rękę, namacał palcami ścianę i zaczął się przesuwając do drzwi. – Pokaż mi go. – Położył dłoń na klamce. – Wstydzisz się?

Szarpnął jednocześnie oba skrzydła drzwi. To, co nastąpiło później, bardziej go zaskoczyło niż przeraziło: mdłe światło z korytarza zostało błyskawicznie zassane do pokoju – niczym mleko wysrane z piersi dnia, żeby nasycić wygłodniałą, czającą się w mroku istotę. Strumień światła rozdzielał się przy wejściu i opływał Gentle'a z obu stron, a dalej rozpadał się na kilkanaście mniejszych strug i rozchodził po całym pokoju. Klamki wyrwały się Gentle'owi z rąk, drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Odwrócił się. Usłyszał łoskot przewracanego stołu. Część światła została wchłonięta przez to, co znajdowało się pod spodem – na podłodze leżał Godolphin. Wypatroszony, z wnętrznościami rozsnutymi wszędzie dookoła, nerkami na oczach i sercem ułożonym w kroku. Dookoła śmigwały zwabione do zwłok stwory, unosząc ze sobą cząstki wykradzonego z korytarza światła. Nie miały kończyn, twarzy, a w większości wypadków nawet głów, na których twarz mogłaby się znajdować – bezkształtne strzępki czerni, posklejane jak odpadki w studziencie kanalizacyjnej. Niektóre podrygiwały w bezmyślnym pędzie, inne leżały nieruchomo, obrzmiałe jak gnijące owoce, i rozpękały się na części, odsłaniając pozbawione nasion wnętrza.

Gentle spojrzał na Sartoriego, który sam nie wchłonął ani odrobiny światła. Nad jego głową zawisła rozedrgana, podobna do grubej glisty pętla, której złowroga poświata padała mu na twarz.

– Coś ty zrobił? – zapytał Gentle.

– Są sekrety, które Pojednawca brzydziłby się poznać. To właśnie jedna z takich sztuczek. Peripeteria pochodzą z In Ovo. Z zimnego trupa nie da się wyhodować nic groźniejszego, ale peripeteria wiedzą, co to posłuszeństwo, a przecież ani ja, ani ty nie żądamy od naszych sprzymierzeńców nic więcej, nieprawdaż? Od naszych ukochanych też zresztą nie.

– No dobrze, napatrzyłem się. Możesz je teraz odesłać do domu.

– Nie, bracie, najpierw pokażę ci, co potrafią. Są malutkie, ale znają kilka oszałamiających sztuczek.

Sartori podniósł wzrok i ohydna glista spłynęła w dół, w stronę Gentle'a. Jej celem nie był jednak żywy człowiek, lecz zwłoki. W kilka chwil oplotła szyję Godolphina; mniejsze peripeteria krążyły wokół jak pulsująca chmura. Pętla zacisnęła się i zaczęła unosić w powietrze, ciągnąc trupa za sobą. Nerki

spadły Godolphinowi z powiek; miał otwarte oczy. Serce ześliznęło się z kroczka, w którym ziała rana po utraczonej męskości. Resztki jelit wypadły z rozprutego brzucha na ziemię, pozlepiane krzepnącą krwią jak galaretą. Peripheria ułożyły się tymczasem w szubienicę i pociągnęły pętlę do góry, aż zwłoki uniosły się nad ziemię.

– To wstrętne, Sartori – mruknął Gentle. – Daj spokój.

– Paskudny widok, prawda? Zastanów się, bracie, co potrafi armia takich istotek. Ty nie umiałbyś zapobiec jednej takiej scenie, a co dopiero tysiącom... – Sartori zawiesił głos. – A może się mylę? – spytał ze szczerym zainteresowaniem. – Mógłbyś sprawić, żeby Oscar wstał? To znaczy, wstał z martwych, rzecz jasna. – Ruszył w stronę Gentle'a. Jego twarz, rozjaśniana poświatą szubienicy, wyrażała szczerą zapał. – Jeżeli to potrafisz, przysięgam, że będę twoim uczniem. Najwierniejszym.

Minął wiszącego Godolphina i zatrzymał się dwa kroki przed Gentle'em.

– Przysięgam – powtórzył.

– Opuść go na ziemię.

– Dlaczego?

– Ten pokaz jest żałosny i niczemu nie służy.

– Może ja też taki właśnie jestem? Może zawsze byłem żałosny, tylko nie starczyło mi rozumu, żeby sobie to uświadomić?

Nagła zmiana tematu trochę zaskoczyła Gentle'a. Pięć minut wcześniej ten człowiek żądał szacunku należnego mesjaszowi, a teraz sobie zaprzeczał.

– Miałem takie wspaniałe marzenia, bracie! Jakie piękne miasta budowałem w wyobraźni! Jakie imperia! Ale wciąż nie mogłem wyzbyć się wątpliwości, jakby jakiś robał wżarł mi się po cichu w mózg i cały czas powtarzał: wszystko na nic, wszystko na próżno. I wiesz, co ci powiem? Miał rację. Wszystko, za co się brałem, od początku było skazane na niepowodzenie – przez to, kim dla siebie jesteśmy.

Clem wspomniał, że uciekając z piwnicy Sartori wyglądał, jakby przeżył tragedię. Może tak właśnie było. Tylko co się naprawdę stało? Co go tak przygnębiło? Gentle musiał to z niego wyciągnąć. Teraz albo nigdy.

– Widziałem twoje imperium – odparł. – Rozpadło się nie dlatego, że ktoś skazał je na zagładę. Musiało runąć, bo zbudowałeś je z gówna.

– Nie rozumiesz, że to właśnie był wyrok? To ja byłem architektem i zarazem surowym sędzią, który uznał je za niewarte tego, by trwało. Od początku miałem siebie samego za przeciwnika, po prostu nigdy tego nie rozumiałem.

– A teraz doznałeś olśnienia?

– Właśnie.

– Dlaczego? Bo zobaczyłeś w tym bagnie własne odbicie? Czy o to chodzi?

– Nie, bracie. Tylko kiedy na ciebie patrzę...

– Na mnie?

Sartoriemu łzy napłynęły do oczu.

– Pomyliła nas...

– Judith?

– Celestine. Nie wiedziała, że jest nas dwóch. Skąd miała wiedzieć? Ucieszyła się na mój widok. Przynajmniej z początku.

Gentle nie spodziewał się, że w jego słowach usłyszy tyle bólu. Szczerego bólu. Sartori cierpiał jak potępieniec.

– Ale wyczuła mnie – mówił dalej. – Powiedziała, że śmierdę złem. Brzydziła się mnie.

– I co z tego? Przecież chciałeś ją zabić.

– Wcale nie! Nie tknąłbym jej palcem, gdyby mnie nie zaatakowała.

– Strasznie się zrobiłeś czuły.

– To naturalne.

– Nie dla mnie.

– Jesteśmy braćmi, tak? Sam tak mówiłeś.

– Owszem.

– A zatem Celestine jest także moją matką. Czy nie mam prawa oczekiwać jej miłości?

– Matką?

– Tak. To twoja matka, Gentle. Po tym, jak Niewidziany ją zgwałcił, ty przyszedłeś na świat.

Gentle był zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować. Do tej pory z trudem gromadził przypadkowe elementy łamigłówki, aż nagle poznał jej rozwiązanie – i nie mógł znieść tego nagłego oświecenia.

Sartori otarł twarz dłońmi.

– Urodziłem się po to, by grać rolę diabła, bracie – powiedział. – Przyszedłem z piekła, gdy ty pochodziłeś z nieba. Rozumiesz teraz? Wszystkie moje plany, zamiary, ambicje to jeden wielki fałsz. Ta część mnie, która jest tobą, pragnie miłości, sławy i chce czynić cuda; druga częśćka mojej istoty, ta, która pochodzi od naszego Ojca, wie, że to wszystko gównno i sprowadza mnie z

obłoków na ziemię. Sam się unicestwiam, bracie. Nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się ze zniszczeniem, które niosę, i żyć z nim do końca świata.

*

Sześć pięter niżej, w foyer, wyzwoliciele Celestine zdołali ją wreszcie namówić, by porzuciła mroki labiryntu i wyszła na światło dzienne. Mimo osłabienia długo się opierała, powtarzając, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, woli zostać pod ziemią i tam szczeznąć. Na szczęście praca z bezdomnymi nauczyła Clema, jak radzić sobie z takim uporem. Nie kłócił się z nią, ale i nie wyszedł z celi. Stał na progu, przytakiwał, powtarzał Celestine, że najprawdopodobniej ma rację i niewiele jej przyjdzie z oglądania słońca. Po jakimś czasie zaczęła mu zaprzeczać, mówiąc, że wcale tak nie twierdziła i że gdyby był przyzwoitym człowiekiem, na pewno próbowałby jakoś ulżyć jej cierpieniu. Czy naprawdę chciał, by zmarła jak zwierzę? Zamknięta w ciemnym lochu? Przyznał, że istotnie zachował się niewłaściwie i jeżeli takie jest jej życzenie, zrobi, co się da, żeby zabrać ją na górę.

Posłał Mondaya po samochód Jude i zaczął wyprowadzać Celestine z celi. Najtrudniejszy moment nastąpił, gdy znalazła się na skraju otworu i ujrzała Jude – niewiele brakowało, by zmieniła postanowienie; nie chciała, jak mówiła, mieć nic wspólnego z tą plugawą lubieżnicą. Jude nie odezwała się ani słowem, Clem zaś – istne wcielenie taktu i uprzejmości – kazał jej przynieść koce z auta. Sam zajął się wyprowadzeniem Celestine po schodach. Szli powoli, kilkakrotnie prosiła, by się zatrzymał, wczepiała się w niego z całej siły. Powtarzała wtedy, że drży nie ze strachu, lecz z nadmiaru wolności, do której jej ciało nie przywykło. Gdyby ktoś – zwłaszcza ta plugawa kobieta – zamierzała skomentować jej wygląd, miał ją natychmiast uciszyć.

Tak oto – raz wsparta na ramieniu Clema, raz odpychająca go, żeby się za bardzo na niej nie opierał, chwilami ledwie powłócząca nogami, chwilami okazująca nadnaturalną wręcz siłę mięśni – uwięziona przez Roxborougha kobieta po dwustu latach odzyskała wolność i wyszła z lochu na światło dnia.

Lecz wieżowiec Tabula Rasa nie wyczerpał jeszcze przewidzianej na ten dzień puli niespodzianek. Na parterze Clem stanął jak wryty, ze wzrokiem utkwionym w drzwi wejściowe, a raczej we wpadające przez nie światło. W promieniach słońca tańczyły miriady drobinek – kurz z drogi mieszał się z

pyłkiem i nasionami drzew. Dzień był praktycznie bezwietrzny, one jednak poruszały się w ożywionym tańcu.

– Mamy gościa – stwierdził Clem.

– Tutaj? – zdziwiła się Jude.

Nie widziała w świetle zarysu ludzkiej sylwetki, ale drobinki nie poruszały się zupełnie przypadkowo. Coś nimi kierowało. Clem wiedział, co to za siła.

– Taylor – powiedział łamiącym się głosem. – Taylor przyszedł.

Zerknął na Mondaya, który bez zbędnych pytań zajął jego miejsce. Celestine, która balansowała na granicy przytomności, podniosła nagle głowę. Wszyscy patrzyli, jak Clem idzie ku drzwiom.

– To ty, prawda? – spytał szeptem.

Pyłki w świetle zawirowały gwałtownie.

– Tak myślałem. – Clem zatrzymał się kilka kroków od plamy światła na podłodze.

– O co mu chodzi? – spytała Jude. – Rozumiesz go?

Clem obejrzał się na nią z twarzą zarazem wylęknioną i pełną zachwyty.

– Chce, żebym go wpuścił. Chce wejść. – Clem postukał się w pierś. – We mnie.

Jude się uśmiechnęła. Dotąd dzień przyniósł im głównie niewesołe nowiny, ale oto na jej oczach mogło dojść do zjednoczenia, które jeszcze niedawno uznawały za całkiem niemożliwe. Clem jednak wahał się i nie podchodził bliżej.

– Nie jestem pewien, czy dam radę – wyjaśnił.

– On cię nie skrzywdzi.

– Wiem. – Clem zerknął przez ramię na plamę blasku. Złociste punkciki śmigają jak oszalałe. – Nie o to chodzi...

– A o co?

Clem pokręcił głową.

– Facet, mnie się udało – wtrącił Monday. – Wystarczy zamknąć oczy i wyobrazić sobie Anglię.

Clem parsknął śmiechem. Nie odrywał wzroku od światła, gdy Jude przytoczyła ostateczny argument:

– Kochałeś go.

Śmiech zamarł mu w gardle.

– Wciąż go kocham – odparł półgłosem.

– To wyjdź mu na spotkanie.

Clem po raz ostatni zerknął na Jude, uśmiechnął się i wszedł w lśniąca płamę na podłodze.

Zdaniem Jude na pozór nie stało się nic niezwykłego. Clem po prostu wyszedł na dwór przez rozświetlone słońcem drzwi. Wyczuła jednak, że jego gest znaczy coś więcej, że niesie przesłanie, jakiego nigdy by się nie domyśliła. Przypomniało jej się, co mówił Oscar, gdy udawali się we wspólną podróż do Yzordderrex: ostrzegwał wtedy, że wróci odmieniona, że będzie oglądać świat w nowy, bardziej wyrazisty sposób. Teraz miała tego najlepszy dowód. Może światło zawsze miało nadnaturalne właściwości, a wszystkie drzwi oznaczały przejścia bardziej znaczące niż z pokoju do pokoju – tylko ona tego dotąd nie dostrzegała.

Clem stał w promieniach słońca jakieś pół minuty, z uniesioną otwartą dłonią, a kiedy odwrócił się do Jude, zobaczyła, że Taylor rzeczywiście przybył. Nie potrafiłaby wskazać, w czym przejawia się jego obecność. Twarz Clema nie zmieniła się ani na jotę, chyba że były to zmiany zbyt subtelne, by umiała je rozpoznać – leciutkie przechylenie głowy, zaciśnięte mocniej niż zwykle usta – a jednak nie miała wątpliwości. W słowach Clema też brzmiała nagląca nuta, której wcześniej nie było:

– Zabierzcie stąd Celestine. Na górze dzieje się coś straszego.

Skręcił na schody.

– Pomóc ci? – spytała Jude.

– Nie, zostań przy Celestine. Ona cię potrzebuje.

Celestine odezwała się wtedy po raz pierwszy od wyjścia z piwnicy:

– To nieprawda.

Clem zawrócił i stanął z nią twarzą w twarz.

– Wiesz co, paniusiu? Coraz mniej cię lubię – warknął.

Jude parsknęła śmiechem, rozpoznając wściekły ton Taylora. Zdążyła już zapomnieć, jak doskonale uzupełniali się z Clemem, zanim choroba stępiła wredny charakter Taya.

– Nie zapominaj, że przez ciebie tu jesteśmy – dodał. – Gdyby Judy nas tu nie sprowadziła, dalej siedziałybyś w piwnicy i po ciemku wyskubywała sobie paprochy z pępka.

– W takim razie zabierzcie mnie tam z powrotem – odparła Celestine, mrużąc oczy.

– I właśnie dlatego... – zaczął Taylor.

Jude wstrzymała oddech. Chyba nie zamierza...

– ...dam ci buziaka i grzecznie poproszę, żebyś przestała wreszcie zrędzić, stara sekutnico. – Taylor pocałował Celestine w czubek nosa. – Do roboty – dodał pod adresem Mondaya i zanim Celestine zdążyła zareagować, wbiegł na schody i zniknął jej z oczu.

*

Wyczerpany nagłym wybuchem żalu Sartori odwrócił się od Gentle'a i skierował w stronę krzesła, które zajmował na początku rozmowy. Nie spieszyło mu się. Szturchnął nogą łaszące się do niego potworki, obejrzał z bliska zwłoki Godolphina i rozbujał je ruchem ręki, przez co na przemian zasłaniały go i odsłaniały, gdy szedł zasiąść na swoim małym tronie. U stóp krzesła zebrało się już stadko służalczych peripeteriów, ale Gentle nie czekał, aż go nimi poszczuje; to, że Sartori wylał z siebie całą rozpacz, nie czyniło go bynajmniej mniej groźnym. Przeciwnie, w ten sposób pogrzebał ostatnią szansę na zawarcie pokoju. Gentle też wyzbył się resztek wątpliwości. Musiał raz na zawsze rozprawić się z bratem – inaczej diabeł, którym Sartori postanowił zostać, ponownie zniweczy jego wielkie dzieło. Nabrał powietrza do płuc, gotów wypuścić pneumę, gdy tylko Sartori spojrzy w jego stronę.

– Dlaczego uważasz, że możesz mnie zabić, bracie? – spytał Sartori, wciąż odwrócony plecami. – Bóg odszedł do Pierwszego Dominium, twoja matka umiera na dole. Zostałeś sam. Masz tylko swoje tchnienie.

Ciało Godolphina kołysało się miarowo. Sartori nadal się nie odwracał.

– Czy pomyślałeś, co się z tobą stanie, jeżeli się mnie pozbędziesz? Zabijając mnie, możesz zabić siebie.

Gentle zdawał sobie sprawę, że Sartori może przez całą noc sączyć mu takie wątpliwości do ucha. Ta zdolność świetnie uzupełniała jego własny (utrącony już) dar uwodzenia; zasiewał ziarno zwątpienia, licząc, że padnie na podatny grunt. Gentle nie zamierzał dać się zwieść: z pneumą w ustach ruszył za nim. Przystanął tylko na moment, uchylając się przed wahnięciem zwłok Godolphina. Kiedy jednak Sartori nadal stał bez ruchu, Gentle był zmuszony zmarnować część oddechu na wypowiedzenie kilku słów:

– Spójrz na mnie, bracie.

Widział, że Sartori zaraz się odwróci; dostrzegł lekki skręt tułowia, ruch głowy i stóp. Zanim jednak zobaczył twarz brata, usłyszał jakiś dźwięk za

plecami. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył trzeciego aktora na scenie – Godolphina, który właśnie spadał z szubienicy. Zdążył jeszcze dostrzec kłębiące się w trzewiach trupa potwory, gdy Godolphin rzucił się na niego. Łątwo byłoby przed nim uskoczyć, ale bestie nie tylko zagnieździły się w zwłokach, lecz poruszały rozkładającymi się mięśniami, dokonując cudu wskrzeszenia. Ręce trupa chwyciły Gentle'a mocno.

Ciężar zwłok – powiększony jeszcze o masę mrocznych istot – powalił go na kolana i wydusił powietrze z płuc w nieszkodliwym wydechu. Zanim zdążył ponownie nabrać tchu, trup wykręcił mu ręce do tyłu.

– Nigdy nie stawaj plecami do martwego człowieka – rzekł Sartori, odwracając się wreszcie.

Na jego twarzy nie malował się triumf, chociaż jednym sprawnym manewrem unieszkodliwił przeciwnika. Przeniósł smutny wzrok na gromadę peripeteriów, które tworzyły szubienicę, i kciukiem lewej dłoni zatoczył małe kółeczko. Musiały zrozumieć ten znak, bo natychmiast się ożywiły.

– Jestem bardziej przesądny od ciebie, bracie – dodał i przewrócił stojące za nim krzesło, które zamiast upaść i leżeć bez ruchu, zaczęło się toczyć przez pokój, jakby reagowało na ruch wirujących w powietrzu istot. – Nawet cię nie dotknę, na wypadek gdyby się okazało, że za odebranie komuś życia grożą jednak jakieś konsekwencje. – Pokazał Gentle'owi otwarte dłonie. Cofnął się pod okno. – Spójrz, jestem niewinny. Umrzesz tylko dlatego, że cały świat się rozpada.

Peripeteria przyspieszyły, reagując na kolejny sygnał. Pojedynczo nie wyglądały groźnie, ale w masie budziły respekt. Wirowały coraz szybciej, aż wzbudzony przez nie pęd powietrza poderwał w górę przewrócone krzesło. Kinkiety wyrwały się ze ścian wraz z kawałkami tynku, kłamki odpadały od drzwi, pozostałe krzesła dołączyły do wariackiej tarantelli, trzaskając przy każdym zderzeniu. Nawet stół – choć ciężki i ogromny – drgnął i zaczął się przemieszczać. Znajdujący się w oku tego cyklonu Gentle próbował uwolnić się z lodowatego uścisku Godolphina. Gdyby miał więcej czasu, z pewnością by mu się udało, ale okalający go pierścień odłamków zaciskał się błyskawicznie. Mógł schylić głowę, by ją uchronić przed kawałkami drewna, szkła i tynku. Sartori stał pod ścianą i śledził przebieg egzekucji. Jeżeli jego twarz cokolwiek wyrażała, to chyba jedynie niezadowolenie z tego, co widział. Był niczym jagnię, które bezradnie się przygląda, jak jego towarzysz ginie gwałtowną śmiercią.

Wyglądało na to, że nie słyszy odgłosów dobiegających z korytarza – Clem wykrzykiwał imię maestra i walił rozpaczliwie w drzwi. Gentle słyszał to wyraźnie, jednak tak bardzo już osłabł, że nie miał siły zareagować. Pod ostrzałem kawałków mebli i ścian – trafiały wszędzie, w głowę, w pierś, w uda – zwiotczał w objęciach Godolphina. Na szczęście Clem (niech go Bóg błogosławi!) nie potrzebował odpowiedzi: raz za razem próbował barkiem wyważyć drzwi, aż wreszcie zamek ustąpił i oba skrzydła otworzyły się jednocześnie.

W korytarzu było naturalnie jaśniej niż w pokoju i światło tak jak poprzednim razem zostało zassane w mrok obok zaskoczonego Clema. Peripetria rzuciły się w rozpaczliwą pogoń za strzępkami blasku i w zwartej dotąd chmurze zapanował chaos. Gentle poczuł, jak uścisk ramion Godolphina słabnie – istoty, które go ożywiały, dołączyły do swoich braci w walce o światło. Wir odłamków zwolnił, gdy zabrakło napędzającej go energii – lecz stało się dopiero w chwili, gdy kawał blatu wyrwał połówkę drzwi z zawiasów. Clem w porę dostrzegł zagrożenie i zdążył się cofnąć, ale jego krzyk zaalarmował Sartoriego.

Gentle widział, jak Sartori, porzuciwszy myśl o niewinności, z błyskiem w oku wpatruje się w intruza. Nie ruszył się spod ściany; spod sufitu spadał właśnie deszcz szczątków, na który nie miał zamiaru się wystawiać. Podniósł natomiast rękę, żeby za pomocą wydartej z oka influencji powalić Clema, zanim znów narobi mu kłopotów.

Przygnieciony zwłokami Godolphina do podłogi Gentle zdołał krzyknąć ostrzegawczo. Clem usłyszał go i dostrzegł, jak Sartori wyrывa sobie oko z oczodołu. Nie miał pojęcia, co ten gest może oznaczać. Zareagował odruchowo – schował się za ocalałym skrzydłem drzwi, nim pocisk sięgnął celu. W tym samym momencie Gentle odepchnął ciało Godolphina i stanął na nogi. Zerknął w bok, żeby upewnić się, iż Clemowi nic się nie stało, a potem skoczył w stronę Sartoriego. Miał dość powietrza w płucach, żeby wystrzelić pneumę, ale jego dłonie dopominały się o coś więcej niż samo powietrze. Chciały krwi, chciały rozszarpać mięso i łamać kości.

Nie bacząc na zalegający podłogę i wciąż sypiący się z góry gruz, zaczął biec. Sartori musiał wyczuć, że się zbliża, bo odwrócił się w jego kierunku. Gentle zdążył jeszcze ujrzeć, jak jego twarz wykrzywia się w dzikim grymasie, i w tej samej chwili go dopadł. Niesieni impetem zderzenia polecieeli na zasłonięte okno. Szyna z kotarami pękła, zasłona opadła, Sartori uderzył o

szybę i roztrzaskał ją w kawałki.

Tym razem pokój zalała prawdziwa powódź blasku. Światło opromieniło twarz Gentle'a, który – choć przez chwilę oślepiony – działał dalej automatycznie. Cisnął brata na niski parapet i wypchnął go za okno. Sartori, desperacko próbując się uchronić przed upadkiem, chwycił zerwaną zasłonę, lecz materia darła mu się w rękach. Walczył jak lew, ale w sercu Gentle'a nie było dla niego litości. Sartori zamłócił jeszcze rękoma i wypadł za okno. Krzyczał i spadał w dół, w dół i w dół.

Gentle nie widział jego upadku – i wcale tego nie żałował. Odczekał, aż krzyk się urwie, zanim cofnął się od okna i zakrył dłońmi twarz. Słońce wypaliło mu pod powiekami niebieskie, zielone i czerwone powidoki, i kiedy wreszcie mógł otworzyć oczy, powitał go widok jak po katastrofie. Jedynym ocalałym obiektem w pokoju był Clem, ale i on nie prezentował się najlepiej. Patrzył, jak stwory z In Ovo, które wcześniej walczyły o każdy okruczeństwo światła, umierają od nadmiaru jasności. Ich ciała zmieniały się w ciemną maź, zamiast podrygiwać i fruwać, odczołgiwały się smętnie od okna.

– Widywałem ładniejsze kawałki gówna – zauważył.

Zaczął zrywać z okien kotary. Promienie słońca, rozproszone na gęstym kurzu z zasłon, rozświetlały całe pomieszczenie, aż nie został ani skrawek cienia, w którym peripetria mogłyby się ukryć.

– Taylor jest tu z nami – oznajmił, dokończywszy dzieła.

– W tym świetle?

– Lepiej, w mojej głowie. Uznaliśmy, że przydadzą ci się dwa anioły stróż, maestro.

– Też tak myślę. Dziękuję wam.

Gentle wyjrzał przez okno na zarośnięty kawałek ziemi, gdzie spadł Sartori. Nie spodziewał się zobaczyć ciała – i nie mylił się. Przez wieki panowania jako autarcha Sartori z pewnością poznał sztuki, które pozwoliły mu teraz ocalić cielesną powłokę.

Na schodach spotkali Mondaya, który biegł na górę, bo usłyszał trzask pękającego szkła.

– Myślałem, że już po tobie, szefie.

– Niewiele brakowało.

– Co zrobimy z Godolphinem? – zapytał Clem, gdy razem ruszyli w dół.

– Nic nie musimy robić. W pokoju jest teraz wybite okno...

– Chyba nigdzie nie polecisz?

– Nie, ale ptaki go znajdą – odparł beztrosko Gentle. – Lepiej żeby napa-
sły się nim ptaki niż robactwo.

– Brzmi to sensownie, chociaż trochę ponuro – przyznał Clem.

– Gdzie Celestine? – zaciekał się Gentle.

– W samochodzie – odpowiedział Monday. – Siedzi pozawijana w koce i
prawie się nie odzywa. Chyba słońce ją drażni.

– Po dwustu latach w ciemnicy to nie dziwota. Na Gamut Street urządzi-
my jej jakiś przytulny kącik. To wspaniała kobieta, panowie. I moja matka.

– Więc to po niej masz taki wredny charakter – zauważył Taylor.

– Czy ten dom, do którego jedziemy, jest bezpieczny? – zaniepokoił się
Monday.

– Jeżeli pytasz, jak zagrozić do niego drogę Sartoriemu, przyznam, że to
chyba niemożliwe.

Wyszli do zalanego słońcem foyer.

– Jak myślisz, co ten sukinsyn teraz zrobi? – spytał Clem.

– Tutaj na pewno więcej się nie pojawi. Podejrzewam, że przez jakiś czas
będzie się błąkał po mieście, ale wcześniej czy później wróci tam, gdzie jego
miejsce.

– To znaczy?

Gentle rozłożył ramiona.

– Do mnie – odparł.

ROZDZIAŁ 52

1

W tamto gorące popołudnie nie było chyba w Londynie uliczki bardziej nawiedzanej niż Gamut Street. Ani dzielnice słynące w całym mieście z często widywanych zjaw i widm, ani mniej znane (tylko dzieciom i wariatom), a także odwiedzane przez duchy okolice nie mogły pochwalić się większą liczbą gości z zaświatów niż ten jeden zaułek w Clerkenwell. Mimo że niewielu ludzi, nawet tych gotowych na ujrzanie cudu (a samochód, który tuż po czwartej skręcił w Gamut Street, wiozł kilka takich osób), postrzegało zjawy jak twory materialne, ich obecność dało się poznać po zimnych, nieruchomych obszarach powietrza w rozedrganej od słonecznego żaru mgiełce, która unosiła się znad asfaltu. Drugą wskazówką mogły być stada bezpańskich psów, zwabionych tu przenikliwymi gwizdami, jakie wydają niektórzy umarli. Tak oto Gamut Street dusiła się we własnym, gęstym od duchów sosie.

Gentle uprzedził, że w domu nie mogą liczyć na nadmiar wygod; był nieumeblowany, pozbawiony wody i elektryczności, za to przesycony wspomnieniami, które wszystkim przyniosą pociechę po wizycie w wieżowcu nieprzyjaciela.

– Pamiętam ten dom – stwierdziła Jude, wysiadając z auta.

– Musimy uważać – ostrzegł ją Gentle i wszedł na schodki. – Sartori zostawił w środku jednego ze swoich potworków z In Ovo. Mało nie postradałem przez niego zmysłów. Trzeba się go pozbyć, zanim wszyscy wejdziemy.

– Idę z tobą – uparła się Jude i razem stanęli pod drzwiami.

– Daj mi się najpierw rozprawić ze Spokojkiem.

– To imię tego potwora?

– Tak.

– Tym bardziej chcę go zobaczyć. Nie bój się, nie zrobi mi krzywdy. – Jude poklepała się po brzuchu. – Nie zapominaj, że noszę tu dziecko jego maestra. Nic mi nie grozi.

Gentle nie sprzeciwiał się dłużej. Odsunął się na bok, robiąc miejsce Mondayowi, który z wprawą doświadczonego włamywacza otworzył zamek. Nie zdążył jeszcze zejść ze schodków, gdy Jude już wchodziła do domu.

– Zaczekaj. – Gentle wszedł za nią do holu.

– Jak ten stwór wygląda? – spytała Jude.

– Jak mała. Albo jak dziecko. Nie wiem. Jest bardzo gadatliwy.

– Spokojek...

– Właśnie.

– To imię świetnie pasuje do tego domu.

Stanąła przy schodach, patrząc na górę, gdzie znajdował się pokój medycyjnny.

– Uważaj, Jude...

– Nie musisz mi tego powtarzać.

– Wydaje mi się, że nie rozumiesz, jaką moc...

– Przecież tam właśnie się urodziłam – odparła lodowatym tonem. Odwróciła się i spytała: – Mam rację?

– Tak.

Skinęła głową i znów spojrzała na schody.

– Powiedziałeś, że w tym domu czeka na nas przeszłość.

– To prawda.

– Moja też?

– Nie wiem, pewnie tak.

– Nic nie czuję, mam wrażenie, jakbym przyszła na cmentarz. Widzę tylko jakieś mętne, niewyraźne obrazy w głowie.

– Cierpliwości.

– Jesteś bardzo pewny swego.

– Musisz stać się całością, Jude.

– Co masz na myśli?

– Musimy się... pojednać... zjednoczyć ze wszystkim, czym byliśmy. Dopiero wtedy będziemy mogli zrobić następny krok.

– A gdybyśmy nie chcieli go zrobić? Gdybym chciała wymyślić siebie całą od początku, od zera?

– To niemożliwe. Musimy stanowić całość, jeżeli mamy wrócić do domu.

– Jeśli tak wygląda ten dom – skinieniem głowy wskazała znajdujący się na piętrze pokój – to możesz go sobie zatrzymać.

– Nie miałem na myśli kołyski.

– A co?

– Miejsce, skąd do niej trafiliśmy. Niebo.

– W dupie mam niebo. Na razie nie udało mi się jeszcze zrozumieć, co dzieje się na Ziemi.

– To niepotrzebne.

– Pozwól, że sama o tym zadecyduję. Nie mam nawet życia, które mogłabym nazwać swoim własnym, a ty już pakujesz mnie w jakiś wielki plan. Więc powiem ci, że on mnie nie interesuje. Chcę być sobą.

– Będiesz. Jako część...

– Chcę być sobą, a nie częścią całości. Chcę o sobie decydować.

– To nie są twoje słowa. Tak mówi Sartori.

– Jeśli nawet, to co z tego?

– Wiesz, co zrobił. Słyszałaś o jego zbrodniach. Dlaczego chcesz się na nim wzorować?

– To znaczy, dlaczego nie wzoruję się na tobie, tak? A od kiedy to jesteś taką chodzącą doskonałością?! – Ponieważ Gentle nie odpowiedział, wzięła jego milczenie za kolejną oznakę wyniosłości. – Nie chcesz się zniżyć do taplania w błocku?!

– Później o tym podyskutujemy.

– Podyskutujemy? – powtórzyła szyderczo. – Co to, maestro, zamierzasz nam dać lekcję etyki? Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego niby taki z ciebie wyjątkowy facet!

– Jestem synem Celestine – odparł spokojnie Gentle.

Jude wytrzeszczyła oczy.

– Słucham?

– Jestem synem Celestine. Została uprowadzona z Piątego Dominium...

– Wiem o tym, Dowd ją porwał. Myślałam, że wszystko mi już opowiedział.

– A co, ten szczegół pominął?

– Właśnie, ten szczegół pominął.

– Mogłem ci o tym powiedzieć w miłszych okolicznościach. Przykro mi.

– Nie... To doskonałe miejsce – zapewniła Gentle'a Jude. Wróciła spojrzeniem do schodów, a kiedy znów się odezwała (co nastąpiło dopiero po długiej chwili), mówiła szeptem: – Ty szczęściarzu. Dla ciebie niebo i dom to jedno i to samo miejsce.

– Może nie tylko dla mnie – mruknął. – Może dla wszystkich.

– Wątpię.

Cisza się przedłużała. Mąciło ją tylko smętne pogwizdywanie Mondaya czekającego na schodkach przed wejściem.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żeby to wszystko wyprostować – stwierdziła w końcu Jude. – Załatwiasz... jak to się mówi? Kontynuujesz dzieło Ojca.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

– Ale to prawda.

– Na to wychodzi. Mam tylko nadzieję, że do tego dorosłem. Raz wydaje mi się, że dam radę, a za chwilę...

Monday za drzwiami zaczął od nowa swoją melodyjkę.

– O czym myślisz, Jude?

– Żałuję, że nie zbierałam twoich listów miłosnych.

Znów zapadło bolesne milczenie. Jude zniknęła w głębi domu, a Gentle stał przy schodach i zastanawiał się, czy nie powinien jej dogonić – gdyby miało się okazać, że pupil Sartoriego nadal gdzieś się tam kręci. Bał się tylko, że swoją natarczywością jeszcze bardziej ją urazi. Obejrzał się na drzwi wejściowe. Były otwarte. Na progu kładła się plama słońca. W razie czego Jude będzie miała gdzie uciekać.

– Jak tam? – zawołał do Mondaya.

– Gorąco. Ciem poszedł po przegryzkę i piwo. Dużo piwa. Powinniśmy zrobić imprezę, szefie. Chyba sobie zasłużyliśmy, nie?

– Zasłużyliśmy. Co z Celestine?

– Śpi. Można już wejść?

– Momencik. Pogwizdź jeszcze trochę, dobrze? Gdzieś w tym gwizdaniu jest melodia.

Monday się roześmiał. Ten śmiech – całkiem zwyczajny, a zarazem niesamowity jak wielorybia pieśń – sprawił Gentle'owi przyjemność. Jeśli nawet Spokojek chował się po pokojach, w taki piękny dzień nie mógł im specjalnie zaszkodzić. Uspokojony Gentle zaczął wchodzić na piętro. Ciekawe, myślał,

czy światło słońca zapędziło wszystkie wspomnienia w jakiś ciemny kąt. Zanim jednak pokonał połowę schodów, przekonał się, że się mylił. Stała przed nim przywołana z wyobraźni zjawa Luciusa Cobbitta – zasmarkana, zapłakana, rozpaczliwie szukająca wiedzy. Chwilę później usłyszał, jak sam udziela chłopcu rad w tę ostatnią, pamiętną noc:

– Studiując, nie zapominaj, że wszystko to już wiesz. Kiedy zechcesz coś czcić...

Zanim dane mu było skończyć drugie przykazanie, jego słowa podjął melodyjny głos płynący gdzieś z góry:

– ...czcij tylko jako swoje prawdziwe „ja”. I niczego się nie obawiaj...

Widmo Luciusa Cobbitta zbladło. Gentle szedł dalej, głos rozbrzmiewał coraz głośniej:

– ...i miej zawsze świadomość, że twój nieprzyjaciel też w tobie tkwi i tylko ty możesz go uzdrowić.

Słuchając tych słów, uświadomił sobie nagle, że mądrość, którą przekazał Luciusowi, wcale nie pochodzi od niego. Sam poznał ją z ust mistyfa.

Drzwi do pokoju medytacyjnego stały otworem. Na parapecie siedział Pie i uśmiechał się do Gentle'a z przeszłości.

– Kiedy to wymyśliłeś? – zapytał maestro.

– Nie wymyśliłem, lecz nauczyłem się – odparł mistyf. – Od matki. Jej opowiedziała to jej matka... A może ojciec, kto wie? Teraz ty możesz przekazać tę mądrość dalej.

– A kim dla ciebie jestem? Synem czy córką?

– Jesteś moim maestrem – odparł zakłopotany Pie.

– To wszystko? Nadal obowiązuje nas podział na panów i sługi? Nie mów, że tak.

– Co innego mogę powiedzieć?

– To, co czujesz.

– Ech... – uśmiechnął się mistyf. – Dnia by zabrakło, gdybym miał ci opowiedzieć, co czuję.

Psotny błysk w jego oku był tak rozczulający, wspomnienie tak rzeczywiste, że Gentle z najwyższym wysiłkiem pohamował się, by nie podejść do okna i nie wziąć w ramiona powietrza wypełniającego miejsce, na którym dawno temu siedział Pie. Na razie jednak miał ważniejsze sprawy na głowie – dzieło Ojca, jak powiedziała Jude, dopominało się o jego uwagę. Kiedy na dobre pozbędzie się Spokojka, wróci tu i wysłucha znacznie ważniejszego

wykładu – tym razem o mechanizmach rządzących Pojednaniem. Ta wiedza była mu pilnie potrzebna, a w domu z pewnością rozbrzmiewały echa wielu rozmów na ten temat.

– Wróć – powiedział do siedzącego na parapecie mistyfa.

– Będę czekał.

Słońce, które świeciło prosto w okno, wgrzyzło się na moment w sylwetkę Pie, wycinając z niej cząstkę cienia. Gentle'owi zrobiło się niedobrze, bo pamięć podsunęła mu zupełnie inny, wstrząsający obraz: przez Wybiel przewalają się wzburzone fale, a w uszy się wwierca skowyt Pie, który wrócił do Drugiego Dominium, żeby go ostrzec.

– Odczyniony... – jęczał mistyf, zmagając się z mocą Wybielu. – Wszyscy jesteście... odczynieni...

Czy wiatr poniósł mistyfowi jakąś jego uspokajającą odpowiedź? Tego Gentle nie pamiętał. Usłyszał jeszcze, jak Pie każe mu odnaleźć Sartorigo. Sartori miał wiedzieć coś, z czego on, Gentle, nie zdawał sobie sprawy. Potem mistyf zamilkł i zniknął, zabrany do Pierwszego Dominium.

Gentle z bijącym sercem odepchnął od siebie ten koszmar i spojrzał trzeźwo na pusty parapet. Dlaczego Sartori był taki ważny? Nawet jeśli Pie odkrył w Pierwszym Dominium sekret pochodzenia Gentle'a i nie zdołał mu tej informacji przekazać, musiał zdawać sobie sprawę, że Sartori również nie ma o niczym pojęcia. A jednak wiedział coś, co zmusiło mistyfa do wyrwania się poza granice Królestwa Bożego i posłania Gentle'a za nim w pościg.

Słyszając dobiegający z parteru krzyk, zapomniał o zagadce i zbiegł po schodach. To Jude go wołała. Za jej głosem trafił do przestronnej, chłodnej kuchni. Jude stała przy oknie, które dawno temu straciło szyby. Powój wpełzł z ogrodu do domu, a potem zgnął w półmroku, który zagaścił nadmiarem własnych łodyg. Przez płataninę liści przenikały tylko wąskie promyki słońca, wystarczyło ich jednak, by oświetlić Jude i Spokojka, którego przygwoździła nogą do podłogi. Z ustami rozdziawionymi jak teatralna maska wił się pod jej butem.

– To on? – spytała Jude.

– Tak.

Na widok Gentle'a Spokojek najpierw zaczął skamleć:

– ...Nic nie zrobiłem! Zapytaj ją, sam zapytaj, zobaczysz, nic nie zrobiłem! Prawda? Nic a nic. Po prostu nie chciałem wam wchodzić w drogę.

– Sartori nie będzie z ciebie zadowolony – zauważył Gentle.

- Nie miałem szans. Nie z tobą. Nie z Pojednawcą.
- Więc o tym też wiesz.
- Teraz już tak. „Musimy stanowić całość” – zacytował, doskonale naśladowując głos Gentle'a. – „Zjednoczyć się ze wszystkim, czym byliśmy...”.
- Podśluchiwałeś.
- Musiałem. Taką już mam wścibską naturę. Ale nie rozumiałem nic – dodał pospiesznie. – Nie szpiegowałem was, słowo!
- Kłamczuch – przerwała mu Jude i zwróciła się do Gentle'a: – Jak go zabijemy?
- Nie ma potrzeby go zabijać. Boisz się, Spokojku?
- A jak myślisz?
- Czy jeżeli cię oszczędzę, przysięgniesz, że będziesz mi posłuszny?
- Zgodzę się na wszystko!
- Chcesz oszczędzić takie coś? – Jude nie posiadała się ze zdziwienia.
- Tak.
- Po co? Popatrz tylko na to paskudztwo. – Przycisnęła Spokojka obcasem.
- Przestań! – kwiknął Spokojek.
- Gentle ukucnął przy nim
- Przysięgnij.
- Przysięgam! Przysięgam!
- Gentle spojrzął na Jude.
- Zabierz nogę.
- Ufasz mu?
- Nie chcę tu nikogo ani niczego zabijać. Nawet jego. Puść go, Jude.
- Jude ani drgnęła.
- Powiedziałem: puść go.
- Z najwyższą niechęcią uniosła stopę centymetr ponad podłogę. Spokojek wygramolił się spod niej i uczepił ręki Gentle'a.
- Jestem cały twój, *liberatore* – powiedział, przyciskając spocone czoło do dłoni maestra. – Moje życie należy do ciebie. Na Hyo, na Herateę, na Hapexamendiosa, oddaję ci moje serce.
- Przyjmuję twoje usługi.
- Czego sobie życzysz, *liberatore*!
- Na piętrze jest pewien pokój. Idź tam i zaczekaj na mnie.
- Będę czekał choćby całą wieczność.

– Wystarczy parę minut.

Spokojek wycofał się tyłem do drzwi, kłaniając się głupkowato. W progu okręcił się na pięcie i uciekł.

– Jak możesz ufać czemuś takiemu? – zdumiała się Jude.

– Na razie mu nie ufam.

– Ale nosisz się z tym zamiarem.

– Cholera by cię wzięła, gdybyś miała komuś wybaczyć, prawda, Jude?

– A ty przebaczyłybyś nawet Sartoriemu, co?

– Jest mną, moim bratem i moim synem. Jak mógłbym mu nie przebaczyć?

2

Mając pewność, że dom jest bezpieczny, Gentle zawołał wszystkich. Monday – urodzony poszukiwacz skarbów – poszedł rozejrzeć się po okolicznych domach, czy nie znajdzie sprzętów, które zapewniłyby im jakieś minimum komfortu. Dwa razy przynosił naręcze łupów, a na trzeci wypad zabrał Clema. Wrócili po półgodzinie z dwoma materacami i stosem pościeli, zbyt czystej, żeby mogła zostać porzucona i zapomniana.

– Minąłem się z powołaniem – oświadczył Clem. Uśmiechnął się filutecznie, tak jak tylko Taylor potrafił. – Praca włamywacza jest o wiele ciekawsza niż bankowca.

Monday poprosił Jude, żeby pożyczyła mu samochód. Chciał pojechać do South Bank i zabrać rzeczy, które musiał zostawić, gdy popędził za Gentle'em. Zgodziła się, poprosiła tylko, żeby prędko wracał. Na razie panował dzień, powiedziała, ale gdy nadejdzie noc, każda para rąk i każdy sprawny umysł przyda się do obrony domu. Clem ułożył Celestine na większym z dwóch materaców w dawnej jadalni i siedział przy niej, aż zasnęła. Kiedy dołączył do reszty towarzystwa, charakterystyczne dla Taylora ożywienie było już mniej wyczuwalne.

– Celestine zasnęła? – spytała Jude.

– Nie wiem, czy to zwykły sen, czy śpiączka. Gdzie Gentle?

– Coś kombinuje na górze.

– Pokłóciliście się.

– To nic nowego. Wszystko się zmienia, a my się kłócimy.

Clem usiadł na schodkach przed wejściem, otworzył piwo i napił się z wyraźną przyjemnością.

– Wiesz, chwilami się zastanawiam, czy to wszystko nie jest jedną wielką iluzją. Ty pewnie lepiej rozumiesz te rzeczy; widziałeś inne dominia, wiesz, że naprawdę istnieją... Ale kiedy poszliśmy z Mondayem po materace, parę ulic stąd widziałem ludzi, którzy żyją normalnie, spacerują jak gdyby nigdy nic. I kiedy sobie pomyślałem, że znam kobietę przez dwieście lat pogrzebaną żywcem w piwnicy, matkę syna boga, o którym nigdy nie słyszałem...

– Więc powiedział ci o tym, tak?

– Naturalnie. Kiedy tak rozmyślałem, miałem ochotę pójść do domu, zamknąć drzwi na klucz i udać, że to wszystko mi się przyśniło.

– Co cię powstrzymało?

– Głównie Monday; chłopak nie główkuje bez potrzeby, tylko akceptuje to, co widzi. No i świadomość, że Tay we mnie siedzi. Chociaż z drugiej strony wydaje mi się to tak naturalne, jakbym miał go w sobie od zawsze.

– Może tak właśnie jest... Mamy jeszcze piwo?

– Pewnie.

Naśladowując go, Jude stuknęła butelką o stopień. Kapsel odskoczył, piwo spieniło się w szyjce.

– No to dlaczego chciałeś uciec? – zapytała, gdy zaspokoiła pragnienie.

– Nie wiem. Może ze strachu przed tym, co ma się wydarzyć. Głupie, nie? Szykuje się coś wzniosłego, jak mówił Tay; światło spłynie na świat z krainy, o jakiej nawet nam się nie śniło. To będą Narodziny Niezwycięzonego Syna, prawda?

– Synowie mogą być spokojni. Zawsze spadają na cztery łapy.

– Martwisz się o córki?

– Tak. Hapexamendios pozabijał wszystkie boginie w Imajice, a przynajmniej próbował to zrobić. Teraz dowiedziałam się, że Gentle jest jego synem. To mi nie pomaga.

– Rozumiem cię.

– Jakaś częśćka mnie uważa... – Jude zawiesiła głos.

– Co? Powiedz.

– Że zachowujemy się jak durnie, ufając któremuś z nich, Hapexamendiosowi albo jego Pojednawcy. Skoro był takim kochającym bogiem, dlaczego

przyniósł tyle cierpienia? Nie mów mi tylko, że nie możemy poznać wszystkich jego sekretów, bo oboje wiemy, że to bzdura.

– Rozmawiałaś o tym z Gentle'em?

– Próbowałam, ale on teraz myśli tylko o jednym...

– O dwóch. O Pojednaniu i Pie'oh'pahu.

– A tak, o cudownym Pie'oh'pahu.

– Wiesz, że się z nim ożenił?

– Mówił mi o tym.

– To musiała być niesamowita istota.

– Obawiam się, że jestem do niej uprzedzona – odparła oschle Jude. – Próbowała mnie zabić.

– Gentle powiedział, że takie zachowanie nie leży w naturze Pie.

– Nie?

– Podobno to on, Gentle, kazał mu prowadzić życie dziwki i płatnego mordercy. To przez niego, jak mówi. O wszystko się obwinia.

– Obwinia się, czy tylko przyjmuje odpowiedzialność? Bo to dwie różne rzeczy.

– Nie wiem – przyznał Clem, nie chcąc się wdawać w takie subtelności. – Ale na pewno bez Pie czuje się zagubiony.

Jude wolała milczeć. Chciała powiedzieć, że ona też jest zagubiona i też tęskni, ale nawet Clemowi nie mogła powierzyć tych myśli.

– Gentle mówi, że duch Pie wciąż żyje, tak jak duch Taylora – ciągnął Clem. – Kiedy będzie po wszystkim...

– On w ogóle dużo mówi – przerwała mu Jude. Miała dość powtarzanych setki razy złotych myśli Gentle'a.

– Nie wierzysz mu?

– A jakie to ma znaczenie? – spytała lodowato. – Nie pasuję do tej ewangelii. Nie jestem jego kochanką i nie będę jego apostołem.

Odwrócili się na dźwięk kroków. Gentle stał w holu. Promienie słońca odbijały się od schodów przy progu i niczym światła rampy padały na jego twarz. Był spocony, koszula kleiła mu się do ciała. Zakłopotany Clem zerwał się na równe nogi, trącając butem butelkę. Sturlała się dwa stopnie w dół, chlapiąc pianą i piwem, zanim Jude udało się ją złapać i postawić.

– Na górze jest okropnie gorąco – stwierdził Gentle.

– Tu też. I wcale nie robi się chłodniej – zauważył Clem.

– Mogę cię prosić na słówko?

Jude widziała, że Gentle chce porozmawiać z Clemem z dala od niej, ale Clem albo był zbyt prostoduszny, żeby to zauważyć (w co raczej wątpiła), albo nie chciał podjąć tej gry. Nie ruszył się z miejsca, więc Gentle musiał podejść do drzwi.

– Kiedy Monday wróci, pojedziesz do wiejskiej posiadłości Godolphina i przywieziesz kamienie z Azylu. Dokonam Pojednania tutaj, na piętrze. Wspomnienia mi pomogą.

– Dlaczego wysyłasz Clema? – spytała Jude. Nie wstała, nawet nie odwróciła się do niego. – Ja wiem, jak się tam jedzie. On nie. Wiem również, jak wyglądają kamienie. On nie.

– Lepiej będzie, jak zostaniesz ze mną.

Tym razem się odwróciła.

– Po co? Do niczego ci się nie przydam. No chyba że po prostu chcesz mnie mieć na oku.

– W żadnym wypadku.

– To pozwól mi jechać. Wezmę sobie Mondaya do pomocy. Clem i Tay zostaną z tobą. I tak są twoimi aniołami stróżami, nie?

– Jeżeli tego właśnie chcesz... Proszę bardzo.

– Nie bój się, wrócę – uspokoiła go kpiarskim tonem. Podniosła butelkę. – Chociażby po to, żeby wypić za cud.

3

W jakiś czas potem, kiedy niebieski przypływ zmierzchu zaczął zalewać ulice, wypychając dzień ku dachom, Gentle zostawił Pie i zszedł do Celestine. W jadalni panował lepszy nastrój do medytacji niż w pokoju na piętrze, gdzie z taką łatwością przywoływał wspomnienia o Pie, że chwilami zapomniał, iż mistyf nie jest przy nim obecny ciałem, lecz tylko duchem. Clem zapalał świece i postawił je przy materacu Celestine. W ich świetle Gentle znalazł kobietę śpiącą głębokim snem bez marzeń. Nie była może wychudzona, ale rysy miała przesadnie ostre, jakby jej ciało częściowo zmieniło się w kość. Zastanawiał się, czy i jego twarz pewnego dnia podobnie spochmurnieje. Przykucnął pod ścianą u stóp materaca i wsłuchał się w równomierny, po-

wolny rytm oddechu śpiącej.

W głowie kręciło mu się od nowin, które poznał – lub przypomniał sobie – w pokoju na górze. Podobnie jak większość znanych mu sztuk magicznych, także Pojednanie nie wiązało się z jakąś wielką ceremonią. Największe religie Piątego Dominium pławiły się wprawdzie w rytuałach, by ukryć przed wiernymi prawdę o swoim nędznym pojmowaniu istoty bóstwa (liturgie, msze, pieśni i sakramenty miały służyć wzmocnieniu tej odrobiny zrozumienia, którą święci mężowie rzeczywiście posiadli), ale teatralne ceremonie stawały się zbędne, gdy duchowni poznali prawdę. Z pomocą wspomnień mógł stać się takim właśnie kapłanem.

Przekonał się już, że zasady rządzące Pojednaniem nie są nazbyt złożone. Wyglądało na to, że co dwa stulecia zakwitał osobliwy kwiat, lotos o pięciu płatkach, który przez krótkie chwile unosił się w śmiercionośnym przestworze In Ovo, odporny zarówno na jego jad, jak i na zakusy jego mieszkańców. Ta enklawa pokoju nosiła różne nazwy, ale najczęściej – i najprościej – nazywano ją Ana. W Ana zamierzali się spotkać maestrowie. Każdy miał przynieść zapisany w głębi swojej istoty obraz dominium, z którego przybył. Od momentu, gdy złożą te obrazy w całość, proces powinien toczyć się dalej siłą rozpędu; elementy stopią się ze sobą, zasilane energią Ana rozrosną, odepchną materię In Ovo i otworzą drogę z Pojednanych Dominiów do Piątego.

– Sprawy same układają się jak najlepiej dla ciebie – rozbrzmiewał głos mistyfa z innych, lepszych czasów. – Wszystko, co zniszczone, instynktownie dąży do naprawienia. Imajica również jest pęknięta i wyczekuje Pojednania.

– To dlaczego tyle razy się nie powiodło?

– Nie było tych prób tak znowu dużo – zauważył Pie. – I zawsze o porażce decydowały zewnętrzne siły. Christos przegrał z polityką; Pineo został zniszczony przez Watykan. Zawsze ktoś obcy niweczył wysiłki maestra. My nie mamy takich wrogów.

Teraz, po latach, jego słowa brzmiały żałośnie. Gentle nie mógł sobie pozwolić na taką błogą beztroskę, dopóki Sartori pozostawał przy życiu, a on sam miał przed oczami ostatnie, rozpaczliwe spotkanie z Pie przy Wybielu.

Nie było sensu tego rozpamiętywać. Spojrzał na Celestine. Nie umiał myśleć o niej jak o matce. Może wśród niezliczonych wspomnień zebranych w tym domu były i takie, w których jako dziecko siedział u niej na kolanach, przyciskał bezzębne usta do jej piersi i karmił się jej mlekiem – ale na razie

mu się wymykały. Chyba jednak upłynęło za dużo czasu, zbyt wiele żywo-
tów i kobiet oddzielało go od kołyski. Potrafił doszukać się w sercu wdzięcz-
ności za to, że dała mu życie, ale nic więcej.

Po jakimś czasie stróżowanie przy Celestine zaczęło go przygnębiać. Za-
nadto przypominała trupa, leżąc tak bez ruchu, on zaś upodabniał się do su-
miennego, choć obojętnego żałobnika. Już chciał wyjść z pokoju, ale zatrzy-
mał się jeszcze i musnął policzek Celestine. Nie dotykał jej od blisko dwóch i
pół stuleci – być może, nie dotknie już nigdy więcej. Wbrew temu, czego się
spodziewał, jej skóra nie była wcale lodowata, lecz ciepła. Przytrzymał dłoń
przy twarzy Celestine dłużej, niż zamierzał, aż gdzieś w otchłani snu poczuła
jego dotyk i wyglądało na to, że zaczyna o nim śnić. Jej twarz złagodniała.
Błede wargi się poruszyły.

– Moje dziecko?

Nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć, ale kiedy powtórzyła pytanie,
odparł:

– Słucham, mammo?

– Czy będziesz pamiętał, co ci opowiadałam?

Co teraz? – zmartwił się Gentle.

– Nie... nie jestem pewien. Spróbuję.

– Mam powtórzyć? Chcę, żebyś zapamiętał, dziecko.

– Tak, mammo. To dobry pomysł. Powiedz mi wszystko jeszcze raz.

Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie i zaczęła historię, którą musiała opo-
wiadać dziesiątki razy.

– Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana...

W tym momencie sen, który śniła, odpłynął i zaczęła się ześlizgiwać w ot-
chłań bez marzeń. Jej głos słabł z każdą chwilą.

– Mów, mammo – odezwał się Gentle. – Ja cię słucham. Była sobie kobie-
ta...

– ...tak...

– ...nazywała się Nisi Nirvana...

– ...tak. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości, w któ-
rym żaden duch nie był święty, a żadne ciało zdrowe. Ktoś ją w tym mieście
okrutnie skrzywdził...

Głos Celestine stał się silniejszy, ale uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Jak ją skrzywdził, mammo?

– Tego nie musisz na razie wiedzieć, moje dziecko. Pewnego dnia się do-

wiesz, a wtedy zaczniesz żałować, że nie możesz o tym zapomnieć. Wiedz jednak, że była to krzywda, jaką tylko mężczyzna może wyrządzić kobiecie.

– Kto jej zrobił krzywdę?

– Mówiłam ci, dziecko, mężczyzna.

– Jaki mężczyzna?

– Nie ma znaczenia, jak się nazywał. Najważniejsze, że uciekła od niego i wróciła do swojego miasta. Wiedziała, że musi przekuć w dobro to zło, które jej wyrządzono. I wiesz, co było tym dobrem?

– Nie, mammo.

– Dziecko, śliczne, malutkie dzieciątko. Kochała je strasznie, ale kiedy urosło, zrozumiała, że wkrótce od niej odejdzie. Powiedziała więc: Zanim mnie opuścisz, chcę ci coś opowiedzieć. Wiesz, jaką historię mu opowiedziała? Zapamiętaj ją, moje dziecko.

– Mów, mammo.

– Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości...

– To ta sama historia, mammo.

– ...w którym żaden duch nie był święty...

– Nie skończyłaś poprzedniej historii, mammo. Zaczynasz ją od początku.

– ...a żadne ciało zdrowe. Ktoś ją w tym mieście...

– Przestań, mammo. Przestań.

– ...okrutnie skrzywdził...

Zaniepokojony Gentle cofnął dłoń, ale Celestine nie umilkła – przynajmniej nie od razu. Historia potoczyła się dokładnie tak samo: ucieczka z miasta, dobro ze zła, dziecko, śliczne, malutkie dzieciątko. W końcu Celestine zaczęła odpływać w głąb snu. Jej słowa stały się niewyraźne. Gentle podszedł do drzwi. Teraz już szeptała:

– Powiedziała więc: Zanim mnie opuścisz, chcę ci coś opowiedzieć.

Sięgnął do tyłu i otworzył drzwi, nie odrywając od niej oczu.

– Wiesz, jaką historię mu opowiedziała? Zapamiętaj ją... moje... dziecko...

Wymknął się do holu. Przypadkowy słuchacz nie zrozumiałby ostatnich słów, lecz on wiedział, że Celestine, odpływając w czerń bez marzeń, zaczyna opowiadanie od nowa:

– Była sobie kobieta...

Zamknął drzwi. Nie wiedzieć czemu, drżał jak osika. Dobrą chwilę trwa-

ło, zanim opanował dreszcze, a kiedy odwrócił się od progu, ujrzał Clema, który stał przy schodach i grzebał w pudełku ze świecami.

– Cały czas śpi? – zapytał Clem.

– Tak. Rozmawiałeś z nią?

– Niewiele, a co?

– Właśnie opowiedziała mi przez sen pewną historię, o Nisi Nirvanie.

Wiesz, co to znaczy?

– Nisi Nirvana? Gdyby Niebo. To czyjeś imię?

– Tak, i to chyba bardzo dla niej ważne. Prosiła, żeby Jude mi je przekazała.

– A ta historia?

– Cholernie dziwna.

– Może jak byłeś mały, bardziej ci się podobała.

– Może...

– Mam cię zawołać, jeśli znów zaczniesz mówić przez sen?

– Chyba nie. Tę opowieść znam już na pamięć.

Gentle wszedł na schody.

– Przydadzą ci się świece – zauważył Clem. – I jakieś zapałki.

– Faktycznie. – Wziął od Clema sześć grubych białych świec i oddał jedną. – Pięć to magiczna liczba.

– Zaniosem ci na górę coś do jedzenia – dodał Clem. – Znajdziesz żarcie koło schodów. Nie jest może wybitne, ale można się nim najeść. A poza tym jak je tak zostawisz, zniknie, gdy tylko wróci Monday.

Nie zatrzymując się, Gentle podziękował mu, zgarnął z podłogi chleb, truskawki, butelkę piwa i wrócił do pokoju medytacyjnego, pustego jak więzienna cela. Pie tym razem nie czekał. Gentle wciąż miał umysł zaprzątnięty słowami matki. Dopiero gdy ustawił świece na kominku i próbował jedną zapalić, zza pleców dobiegł go szept mistyfa:

– Sprawilem ci ból.

Pie siedział na parapecie. Miał zatroskaną twarz.

– Nie powinienem był pytać – ciągnął. – To była czcza ciekawość. Wczoraj czy przedwczoraj słyszałem, jak Abelove pytał o to Luciusa. To mi dało do myślenia.

– Co Lucius odpowiedział?

– Że pamięta, jak ssał pierś. To jego najdawniejsze wspomnienie, sutek w ustach.

Dopiero teraz Gentle zrozumiał, o czym mówią. Jego pamięć kolejny raz wygrzebała fragment dawnej dyskusji, który odnosił się do jego obecnej sytuacji. Tutaj, w tym pokoju, rozmawiali kiedyś o wspomnieniach z dzieciństwa i maestro – tak jak teraz – był w kropce. Z tych samych powodów.

– Ale żeby zapamiętać opowieść, w dodatku taką, która ci się nie podobała...

– Nie to, że mi się nie podobała. Nie przerażała mnie jak opowieści o duchach; była gorsza...

– Nie musimy o tym rozmawiać – przerwał mu Pie i Gentle miał przez chwilę wrażenie, że temat został zamknięty. Chyba nawet nie miały nic przeciwko temu. Wyglądało jednak na to, że jedna z niepisanych zasad w tym domu stwierdza, iż przed żadnym, nawet najbardziej niepokojącym pytaniem nie da się uciec.

– Czekaj, chciałbym to wyjaśnić – uparł się maestro. – Jeśli zdołam, bo trudno sobie czasem wyobrazić, czego może bać się dziecko.

– Chyba że będziemy słuchać jego uszami i sercem.

– To jeszcze trudniejsze.

– Ale warto spróbować, nie sądzisz? Opowiedz mi tę historię.

– No dobrze... Matka zawsze zaczynała ją tak samo: „Zapamiętaj ją, moje dziecko”, a ja już wiedziałem, co będzie dalej. „Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości...”

Gentle po raz kolejny usłyszał historię Nisi Nirvany, tym razem z własnych ust. Kobieta, miasto, krzywda, dziecko, a potem nieunikniona powtórka – kobieta, miasto, krzywda...

– Gwałt w bajce dla dzieci to kiepski pomysł – zauważył Pie.

– Nigdy nie użyła tego słowa.

– Ale to właśnie jest ta krzywda, prawda?

Gentle przytaknął, chociaż czuł się z tym nieswojo. To był sekret jego matki. Jej ból. Naturalnie, Celestine i Nisi Nirvana były jedną osobą, a miasto grzechu – Pierwszym Dominium. Opowiadała mu własną historię, zakamuflowaną pod postacią ponurej bajki. Co dziwniejsze, wplotła w opowieść jego samego, a także siebie, kiedy ją relacjonowała, tworząc koło, z którego nie sposób wyjść, ponieważ wszystkie jego składniki są w nim uwięzione. Czy to właśnie poczucie zniewolenia tak go niepokoiło, gdy był mały? Pie miał inną teorię na ten temat.

– Nic dziwnego, że tak się bałeś – mówił właśnie. – Nie wiedziałeś, jaką krzywdę wyrządzono kobiecie, ale rozumiałeś, że to coś okropnego. Matka chciała dobrze, lecz twoja wyobraźnia oszalała.

Gentle nie odpowiedział; nie mógł odpowiedzieć. Po raz pierwszy w tych rozmowach z Pie wiedział więcej, niż pamięć mogła mu podsunąć. Ta zmiana strzaskała zwierciadło, w którym oglądał przeszłość. Nagle poczuł dotkliwy ból po stracie, który zmieszał się z żalem, jaki wniósł do pokoju. Zupełnie jakby historia Nisi Nirwany wyznaczała linię podziału między człowiekiem, który (nieświadomy swojej boskości) zamieszkiwał ten dom dwieście lat wcześniej, i współczesnym Gentle'em, który wiedział, że Nisi Nirvana to jego matka, a zbrodnia z jej opowieści to akt, który doprowadził do jego poczęcia. Mając tę świadomość, nie mógł już więcej bezkarnie rozgrzebywać minionych czasów. Dowiedział się o Pojednaniu wszystkiego, co konieczne; dla dłuższego babrania się w przeszłości nie znajdował usprawiedliwień. Przyszedł czas, by porzucić wspomnienia, a wraz z nimi Pie'oh'paha.

Otworzył piwo. Zapewne nie powinien był w takiej chwili pić alkoholu, ale chciał uczcić przeszłość, zanim na dobre zniknie. Przyszło mu na myśl, że w którymś momencie musieli chyba z Pie wypić za powodzenie wspólnego przedsięwzięcia. Może udałoby mu się przywołać tę chwilę i ostatni raz zatopić się we wspomnieniach. Podniósł butelkę do ust i usłyszał śmiech mistyfa. Ujrzał rozpływającą się w powietrzu postać Pie, który wznosił toast za przyszłość, i to nie kieliszkiem, lecz karafką wina. Próbował jeszcze stuknąć się z nim butelką, ale mistyf za szybko się rozwiął. Zanim przeszłość i przyszłość spełniły wspólny toast, wizja się ulotniła. Czas zaczynać.

Wrócił Monday – z parteru dobiegał jego podekscytowany głos. Gentle odstawił piwo na półkę nad kominkiem i wyszedł z pokoju, ciekaw, co się wydarzyło. Chłopak stał w drzwiach wejściowych i tłumaczył Jude i Clemowi, jak wygląda miasto. Mówił, że nigdy nie widział tak niesamowitego sobotniego wieczoru – na wymarłych ulicach tylko światła na skrzyżowaniach migały jak zwykle.

– Przynajmniej szybko dojedziemy – zauważyła Jude.

– Dokąd?

Kiedy mu wyjaśniła, ucieszył się.

– Lubię wieś – stwierdził. – Tam człowiek może robić, co mu się żywnie podoba.

– Wystarczy, jak wrócimy cali i zdrowi. On nam ufa.

– Nie ma sprawy! – Monday był cały w skowronkach. Zwrócił się do Clema: – Pilnuj szefa, dobra? Jakby coś się popieprzyło, zawsze możemy dać znać Irishowi i pozostałym.

– Powiedziałaś im, gdzie jesteśmy? – zdziwił się Clem.

– Spoko, nie przyjdą upomnieć się o łóżko. Ale coś mi się widzi, że im więcej będziemy mieli kumpli, tym lepiej. Jestem gotowy – dodał pod adresem Jude i wyszedł przed dom.

– Nie zajmie nam to więcej niż dwie, trzy godziny – powiedziała Jude. – Uważaj na siebie, Clem. I na niego.

Spojrzała w górę schodów, ale palące się u ich stóp świece rzucały słabutki blask i nie mogła dostrzec stojącego na piętrze Gentle'a. Dopiero kiedy wyszła i z ulicy dobiegł warkot samochodu, Gentle zszedł na dół.

– Monday wrócił – poinformował go Clem.

– Słyszałem.

– Przeszkodził ci? Przykro mi.

– Nie, nie, i tak już skończyłem.

Clem spojrzał w gwiazdy.

– Upalną mamy noc.

– Może się zdrzemniesz? Ja postoję na straży.

– A gdzie ten twój przydupasek?

– Spokojek, Clemie. Jest na górze. Czuwa.

– Nie ufam mu.

– Nic nam nie zrobi. Idź się położyć.

– Rozmawiałaś z Pie?

– Więcej się chyba od niego nie dowiem. Sprawdzę jeszcze, co słyhać u pozostałych maistrów z Synodu.

– Jak chcesz to zrobić?

– Zostawię ciało w pokoju na piętrze i udam się w podróż.

– To chyba niebezpieczne?

– Już to robiłem, ale w pewnym sensie masz rację, moja cielesna powłoka będzie narażona na niebezpieczeństwo.

– Obudź mnie, jak będziesz gotowy. Popilnuję cię. Jak pies.

– Idź, kimnij się godzinę.

Clem wziął świecę i poszedł szukać miejsca do spania, a Gentle zajął jego pozycję przy wejściu. Usiadł na schodkach, oparł się plecami o futrynę i chłonał ledwie wyczuwalne powiewy nocnego zefirka. Przy Gamut Street nie

świeciła się ani jedna latarnia – tylko blask księżyca i otaczających go gwiazd pozwalał dostrzec dom naprzeciwko i blade spody liści, którymi poruszał wiatr. Ukołyszany do snu Gentle przegapił spadające gwiazdy.

*

– Jakie piękne! – powiedziała dziewczyna.

Mogła mieć najwyżej szesnaście lat, a kiedy się śmiała (tego wieczora jej towarzysz chętnie ją rozweselał), wydawała się jeszcze młodsza. Teraz jednak nie śmiała się, lecz z zadartą głową śledziła rój meteorów. Sartori nie mógł oderwać od niej wzroku.

Spotkał ją trzy godziny wcześniej na targu świętojańskim na Hampstead Heath i z łatwością wkradł się w jej łaski. Handel szedł kiepsko – kupujący jakoś nie dopisali – więc gdy tylko o zmierzchu zamknięto kramy, namówił ją, żeby przeszli się po mieście. zaproponował, że kupią jakieś wino i powłóczą się trochę bez celu; potem znajdą jakiś miły zakątek, żeby usiąść, porozmawiać i popatrzeć w gwiazdy. Dawno już nie zabawiał się w uwodziciela – Judith to zupełnie co innego – ale stare sztuczki przychodziły mu z łatwością. Satysfakcja ze skruszenia oporów dziewczyny, w połączeniu z wypitym winem, pomogła mu złagodzić ból niedawnych niepowodzeń.

Dziewczyna – Monica – była prześliczna i posłuszna. Z początku tylko ukradkiem spoglądała mu w oczy, ale był to element gry, którą Sartori chętnie podjął, aby odwrócić myśli od nieuchronnej tragedii. Mimo nieśmiałości nie oponowała, gdy zaproponował spacer przez łąkę nieopodal zburzonych domów na tyłach Shiverick Square; napomknęła tylko coś o tym, żeby traktował ją przyzwoicie. Spełnił jej życzenie. Szli po ciemku, aż znaleźli miejsce, w którym zarośla wyraźnie rzedły, tworząc małą polankę. Niebo było bezchmurne i Monica mogła stąd bez przeszkód oglądać deszcz meteorów.

– Zawsze się trochę boję, jak widzę gwiazdy – zdradziła mu swoim bezbarwnym cockneyem.

– Dlaczego?

– No bo... Jesteśmy przy nich tacy malutcy, nie?

Wcześniej już poprosił, żeby opowiedziała mu o sobie, i poznał strzępki jej biografii – było coś o chłopcu imieniem Trevor, który mówił, że ją kocha, a potem uciekł z jej najlepszą przyjaciółką; o żabkach z porcelany, które kolekcjonuje jej matka; i o tym, że chciałyby mieszkać w Hiszpanii, bo tam

wszyscy są tacy szczęśliwi.

Teraz natomiast stwierdziła bez ogródek, że Hiszpania, Trevor i porcelanowe żaby nic jej nie obchodzą. Była szczęśliwa, a widok gwiazd, który zwykle ją przerażał, dziś sprawił, że miała ochotę pofrunąć w powietrzu. Odparł, że jeśli naprawdę tego chce, mogą polatać razem. Wystarczy jedno jej słowo.

Spojrzała na niego i westchnęła z rezygnacją.

– Wiem, co masz na myśli – stwierdziła. – Wszyscy jesteście tacy sami. Latanie... Czy tak to właśnie nazywasz?

Zaczął jej tłumaczyć, że opacznie go zrozumiała. Nie po to tu przyszli, żeby ją obmacywał.

– A po co? – spytała.

W odpowiedzi wyciągnął rękę – Monica nie zdążyła zaprotestować – by dokonać innego, niż myślała, choć równie pierwotnego aktu. Stawiała opór z taką samą rezygnacją, z jaką mówiła i niespełna minutę później leżała martwa na trawie. Gwiazdy spadały całym rojem, tak jak dwieście lat wcześniej; nietypowy dla końca czerwca deszcz niebieskich ciał, proroctwo nadchodzącej nocy.

Poćwiartował ją i wypatroszył z największą ostrożnością. Rozłożył resztki na polance zgodnie z uświęconą przez czas tradycją. Nie musiał się spieszyć. Najlepszy moment na dopełnienie rytuału miał nadejść bladym przedświtem, a więc dopiero za kilka godzin. Wiązał z tą ceremonią spore nadzieje. Ciało Godolphina (który, nawiasem mówiąc, nie był wcieleniem niewinności) zdążyło wystygnąć, zanim go użył. Stwory zwabione tak nieatrakcyjną przynętą musiały być bardzo prymitywne. Monica jednak była ciepła i żyła za krótko, by świat zdążył ją poważnie zbrukać.

Jej śmierć otworzyła szerszą bramę do In Ovo, przez którą zamierzał sprowadzić istoty pewnego konkretnego gatunku, idealnie nadające się do zadania, jakie im jutro wyznaczy. Udowodni, co potrafi dziecko, którego żywiołem jest zniszczenie.

ROZDZIAŁ 53

Po tym, co opowiadał Monday, Jude spodziewała się ujrzeć Londyn całkiem wymarły, ale niezupełnie tak było. Między powrotem chłopaka z South Bank a wyjazdem do posiadłości Godolphina ulice – na których istotnie próżno by szukać romansujących turystów i miłośników sobotnich rozrywek – wypełniły się ludźmi, którzy wstali z łóżek i włączyli się po mieście bez celu. Prawie wszyscy spacerowali samotnie, jakby niepokój, który wygnał ich z domów, był zbyt przykry, by dzielić go z innymi. Niektórzy ubrali się jak do pracy – w garnitury, krawaty, eleganckie spódnice i buty; inni ledwie zachowywali minimum przyzwoitości, chodzili boso, często półnaczy. Wszyscy przechadzali się niespiesznie, ze wzrokiem utkwionym w niebo.

Zdaniem Jude niebo nie było tego warte: owszem, dostrzegła parę spadających gwiazd, które jednak w pogodną letnią noc nie były dla niej niczym nadzwyczajnym. Mogła się tylko domyślać, że londyńczycy przebudzili się nagle z irracjonalnym przeświadczeniem, że objawienie jest bliskie, a podświadomie spodziewali się, że musi spłynąć gdzieś z wysoka.

Na przedmieściach wyglądało to podobnie, zwyczajni mężczyźni i kobiety w nocnych strojach stali na skrzyżowaniach i przydomowych trawnikach wpatrzni w niebo. Im dalej od centrum – a może od Clerkenwell – tym rzadszy był to widok, przynajmniej do obrzeży Yoke, miejsciny, w której kilka dni wcześniej przemoczona Jude schroniła się z Gentle'em na poczcie. Przypomniała sobie, że wróciła do Piątego Dominium, żywiąc naiwną nadzieję, by drogi jej i Gentle'a znów się zeszyły. Teraz znalazła się w tym samym miejscu, ale nadzieje rozwiały się bez śladu, a ona była w ciąży z jego najgorszym wrogiem. Dwustuletnie zaloty nieodwołalnie i ostatecznie dobiegły końca.

Zielsko wokół posiadłości Godolphinów rozrosło się do monstrualnych rozmiarów i żeby przebić się do bramy, musieli użyć ostrzejszego narzędzia niż patyk, który wystarczył Estabrookowi. Mimo że rośliny pięknie się rozwijały, śmierdziały wstrętnie, jakby się rozkładały, a w pąkach miały ukryte gnijące kwiaty. Monday prowadził, siekąc nożem na prawo i lewo. Dotarli do zardzewiałej bramy, przez którą dostali się do parku. Mimo że późna godzina sprzyjała raczej ćmom i sowom, park tętnił zupełnie zwyczajnym, dziennym życiem. Ptaki szybowały w powietrzu, jakby zapomniały drogi do gniazd. Czyżby bieguny Ziemi nagle zamieniły się miejscami? Muchy, pszczoły, ważki i mrowie innych dziennych owadów bzycało w rozświetlonej blaskiem księżyca trawie. Natura – podobnie jak ludzie, którzy wyszli nocą z domów – również wyczuwała nieuchronność cudu i nie mogła zaznać spokoju.

Jude jednak nie straciła poczucia kierunku i chociaż w szarobłękitnym świetle wszystkie zagajniki wyglądały identycznie, bezbłędnie wskazała ten, w którym znajdował się Azyl. Brnęli więc w jego stronę, zmagając się z błotnistą ziemią i gęstwiną traw. Monday pogwizdywał, wykazując tę samą obojętność na kwestię melodii, o której wspomniał Gentle.

– Wiesz, co się jutro wydarzy? – spytała go Jude. Trochę mu zazdrościła, że zachowuje niewzruszony spokój.

– Mniej więcej. Gdzieś tam jest niebo, prawda? I szef otworzy nam do niego drogę. Kapitalna sprawa.

– Nie boisz się?

– Czego?

– Wszystko się zmieni.

– I dobrze. Mam już dość tego ogólnego popieprzenia.

Monday znów zaczął gwizdać. Przeszli bez słowa jakieś sto metrów, aż jego uwagę zwrócił jakiś dźwięk.

– Posłuchaj. – W miarę jak zbliżali się do Azylu, zgiełk czyniony przez ptaki i owady, systematycznie narastał. Do tej pory nie zwrócili na to uwagi, gdyż wiatr niósł dźwięki w przeciwnym kierunku. – To ptaki i pszczoły. Jest ich tam od zarąbania i ciut, ciut

Do tej pory nie zdawali sobie sprawy ze skali tego zjawiska. Promienie księżyca nie wnikały w głąb zagajnika, ale widać było, że na wszystkich drzewach wokół Azylu, na każdej najmniejszej gałązce siedzą ptaki. Ich wspólna woń kłuła w nozdrzach, od jazgotu bolały uszy.

– Pięknie nas obesrają, nie ma co – stwierdził Monday. – A nawet jeśli nie, to robactwo nas zagryzie.

Owady tworzyły żywą zasłonę przed zagajnikiem – tak gęstą, że po kilku krokach przestali się od nich oganiać. Znosili dzielnie pacnięcia na czole i policzkach, bzyczenie we włosach, próbując jak najszybciej przedrzeć się do pawilonu. W trawie też siedziało mnóstwo ptaków – zwykłych szarych obywateli w tym parlamencie, dla których zabrakło miejsca na drzewach. Zerwały się jak na komendę, skrzecząc przeraźliwie i płosząc braci na gałęziach. Wszystkie ptaki zgodnie zaczęły startować do lotu; łopotały ogłuszająco skrzydłami, mniejsze liście spadały z drzew pod naporem powietrza. Zanim Jude i Monday dotarli do skraju zagajnika, biegli już w podwójnym obłoku: jeden – pierzasty – wznosił się, drugi – zielony – opadał z góry.

Jude wyprzedziła chłopca, okrążyła Azyl (którego ściany były wprost czarne od insektów), dopadła drzwi i stanęła jak wryta. W środku, na skraju mozaiki, płonęło małe ognisko.

– Ktoś nas uprzedził – zauważył Monday.

– Nikogo nie widzę – odparła Jude.

Chłopiec wskazał jej leżący po drugiej stronie ogniska tobołek; miał wprawę i łatwiej było mu dostrzec życie w stercie szmat. Weszła do Azylu, ale nie musiała podchodzić bliżej, żeby wiedzieć, kogo ma przed sobą. Jakżeby inaczej? Trzykrotnie – tutaj, w Yzorderrex i ostatnio w wieżowcu Tabula Rasa – zjawiał się niespodziewanie, jakby chciał udowodnić tezę, którą niedawno wysnuł: że ich ścieżki zawsze się krzyżują, ponieważ są tacy sami.

– Dowd?

Nie poruszył się.

– Daj nóż – poprosiła Mondaya.

Uzbrojona odważyła się podejść do zawiniątka. Dowd leżał z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jakby zamierzał tu umrzeć. Oczy miał zamknięte, ale poza tym w jego twarzy ziały same rany – pamiątki po spotkaniu z Celestine. Mimo legendarnych zdolności regeneracyjnych nie był w stanie się z nich wyleczyć. Miejscami ciało miał zdarte do kości, ale mimo to oddychał jeszcze (choć słabo) i pojękiwał, jakby śnił o karze i zemście. Jude miała ochotę zabić go we śnie i oszczędzić mu dalszych cierpień, ale ciekawiło ją, dlaczego przyszedł do Azylu. Czyżby bez powodzenia próbował wrócić do Yzorderrex? Czy raczej czekał na kogoś, kto miał stamtąd przybyć? Czasy były niepewne i obie możliwości wydały się Jude równie prawdopodobne i

znaczące. Mimo że czuła, iż potrafiłaby go z zimną krwią zabić, powstrzymała się. Dowd od wieków obcował z najpotężniejszymi istotami i mógł się jeszcze przydać jako posłaniec. Przykucnęła obok i zawołała go po imieniu, przekrzykując ptaki, które gromadnie obsiadały dach pawilonu. Dowd wolno podniósł powieki. Szkliste oczy pasowały do oślizłej, poranionej twarzy.

– No proszę, świetnie wyglądasz, skarbie. – Mimo fatalnego stanu tę kwestię, jakby żywcem wyjętą z bulwarowej komedyjki, wygłosił z prawdziwie oratorską swadą. – Ja za to gównianie. Nie przysuniesz się bliżej? Nie mam siły tak głośno mówić.

Jude się zawahała. Był o krok od śmierci, ale sadystyczne skłonności z pewnością w nim nie wygasły, a wbite w ciało odłamki Osi wciąż dawały mu moc.

– Świetnie cię słyszę – odparła.

– Tchu mi wystarczy na sto słów, ale gdybym mógł mówić szeptem, starczyłoby na dwieście – próbował się targować.

– A cóż mamy sobie jeszcze do powiedzenia?

– Bardzo dużo. Wydaje ci się, że nasłuchiłaś się już o innych, co? Słyszałaś moją historię, Sartoriego, Godolphina, teraz także Pojednawcy. Ale jednej wciąż ci brakuje.

– Czyżby? – Mało ją to obchodziło. – Czyjej?

– Zbliź się.

– Albo wysłucham cię stąd, gdzie jestem, albo wcale.

Posłał jej płaczliwe spojrzenie.

– Ależ z ciebie wredna suka.

– Tracisz czas. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów. Czyjej historii nie znam?

Nie spieszył się z odpowiedzią, chcąc maksymalnie wyzyskać potencjał dramatyczny sceny.

– Ojca – odparł wreszcie.

– Jakiego ojca?

– Przecież jest tylko jeden: Hapexamendios. Pierwotny. Niewidziany. Ten, który mieszka w Pierwszym Dominium.

– Nie znasz jego historii.

Dowd wyciągnął rękę i złapał Jude za ramię, zanim zdążyła się odsunąć. Monday skoczył jej na pomoc, ale powstrzymała go, żeby nie rzucił się na Dowda. Kazała mu zaczekać przy ognisku.

– W porządku – uspokoiła go. – Nic mi nie zrobi. Prawda? – Spojrzała na Dowda. – No jak, mam rację? Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby mnie stracić. Stanowię twoją ostatnią publiczność i dobrze o tym wiesz. Jeżeli mnie nie opowiesz tej historii, nikomu jej nie opowiesz. Chyba że w piekle.

– To prawda – przytaknął.

– Więc mów. Wyrzuć to z siebie.

Dowd odetchnął z wysiłkiem.

– Wiesz, że kiedyś Go widziałem – powiedział. – Ojca Imajiki. Nawiedził mnie na pustyni.

– Osobiście? – spytała Jude, nie kryjąc powątpiewania.

– Niezupełnie. Słyszałem Jego głos dobiegający z Pierwszego Dominium. Ale widziałem też znaki, wiesz. Na Wybielu.

– Jak wyglądał?

– Jak człowiek. Tak mi się w każdym razie wydawało.

– Albo tak go sobie wyobraziłeś.

– Może. Jednak tego, co mi powiedział, nie musiałem sobie wyobrazać...

– Obiecał, że cię awansuje. Na alfonsa. Opowiadałeś mi o tym.

– Nie o wszystkim. Po tym spotkaniu wróciłem do Piątego Dominium. Użyłem sztuk, których mnie nauczył, żeby przemierzyć In Ovo, a potem przeczesałem calusienki Londyn w poszukiwaniu kobiety, która zostanie błogosławiona.

– I znalazłeś Celestine?

– Właśnie, znalazłem Celestine. W Tyburn, nawiasem mówiąc, gdzie oglądała egzekucję. Nie wiem, dlaczego ją wybrałem. Może dlatego że śmiała się do rozpuku, kiedy skazaniec całował pętlę. Pomyślałem: Ta kobieta na pewno nie jest sentymentalna, nie zapłacze się, kiedy trafi do innego Dominium. Nawet wtedy nie była żadną wybitną piękną, ale miała w rysach jakąś taką czystość... Jak niektóre aktorki. Te największe. Miała twarz, która potrafi okazać najróżniejsze emocje i pozostać naturalna. Może trochę się w niej zabijałem... – Dowd się wzdrygnął. – Za młodu umiałem kochać. W każdym razie... przedstawiłem się jej i powiedziałem, że chcę zabrać ją do miasta ze snów, którego nigdy nie zapomni. Z początku się opierała, ale ja w tamtych czasach umiałbym namówić księżyc, żeby oddał mi swoją twarz, więc w końcu się zgodziła. Otumaniałem ją influencjami i zabrałem w podróż. Piekielną podróż, cztery miesiące drogi przez dominia. No i w końcu dotarliśmy na miejsce, do Wybielu.

- I co się tam stało?
- Wybiel się otworzył.
- I...?

– Zobaczyłem Miasto Boga.

Nareszcie coś interesującego, pomyślała Jude.

- Jak wyglądało?
- Widziałem je tylko przez chwilę...

Mimo że do tej pory odmawiała Dowdowi swojej bliskości, teraz nachyliła się nad nim i powtórzyła pytanie z ustami o kilka centymetrów od jego pokierszowanej twarzy:

- Jak wyglądało?
- Było ogromne, lśniące i przepiękne.
- Złote?

– Kolorowe. Ale trwało to tylko chwilę, bo nagle Wybiel wybrzuszył się, pękł, coś sięgnęło po Celestine i zabrało ją do środka

– Widziałeś, co to było?

– Wiele razy próbowałem sobie przypomnieć. Czasem wydaje mi się, jakbym widział sieć, czasem chmurę... Sam nie wiem. Coś ją porwało.

– A ty, naturalnie, próbowałeś ją ratować – podsunęła Jude.

– Nie. Ze strachu narobiłem w spodnie i uciekłem. Co miałem zrobić? Należała do Boga. Poza tym z perspektywy czasu można chyba powiedzieć, że miała szczęście, co?

– Bo ją porwał i zgwałcił?

– Porwał, zgwałcił i przez to udzielił jej części boskości. A ja, który odwaliłem całą robotę, kim byłem?

– Alfonsem.

– Właśnie, alfonsem. No, przynajmniej się zemściła – stwierdził kwaśno Dowd. – Spójrz na mnie! Odpłaciła mi z nawiązką!

Miał rację. Oscar i Quaisoir nie zdołali zgasić tłęcej się w nim iskry życia, lecz Celestine praktycznie dopięła swego.

– Więc tak brzmi historia Ojca? – Jude nie kryła rozczarowania. – Większość słyszałam już wcześniej.

– Tak, to koniec opowieści, ale jak brzmi morał?

– Powiedz mi.

Dowd pokręcił głową.

– Czy ty ze mnie szydzisz? – zapytał.

– Słucham cię przecież, prawda? Bądź wdzięczny losowi za drobne łaski. Mógłbyś leżeć tu sam, bez publiki.

– Widzisz? Miałem rację. Nie jestem sam. Mogłaś tu zajrzeć dopiero po mojej śmierci; mogłaś w ogóle się nie pojawić. Tymczasem nasze drogi po raz ostatni się skrzyżowały. W ten sposób los daje mi znać, że powinienem pozbyć się brzemienia.

– Jakiego brzemienia?

– Już ci mówię. – Dowd westchnął ciężko. – Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, dlaczego Bóg wziął takiego żalosnego, godnego pogardy aktorkę i wysłał go w podróż przez trzy dominia, każąc sprowadzić sobie kobietę.

– Chciał mieć Pojednawcę.

– I nie mógł znaleźć żony u siebie w mieście? Czy to nie dziwne? A poza tym co Go obchodzi, czy Imajica zostanie Pojednana, czy nie?

Musiała przyznać, że to interesujące pytanie. Oto mieli Boga, który zamknął się na głucho w swoim mieście, nie zamierzał zburzyć zapory oddzielającej Jego dominium od pozostałych, a zarazem dokładał wszelkich starań, żeby spłodzić dziecko, które ją obali.

– To rzeczywiście dziwne.

– Prawda?

– Znasz jakąś odpowiedź?

– Nie bardzo, ale tak sobie myślę, że musiał mieć w tym jakiś cel, nie? Po co w przeciwnym razie zadawałby sobie tyle trudu?

– Miał plan...

– Bogowie nie planują. Bogowie tworzą. Bronią. Potępiają.

– A co robi Hapexamendios?

– W tym właśnie sęk. Może ty się czegoś dowiesz. Może inni Pojednawcy już wiedzą.

– Jacy inni?

– Synowie, których zesłał na Ziemię przed Sartorim. Może zrozumieli, do czego zmierza, i Mu się sprzeciwili. To był jakiś pomysł...

– Może Christos umarł nie po to, by wybawić śmiertelników od grzechu...

– ...ale by obronić ich przed jego Ojcem?

– Właśnie.

Przyszły jej do głowy sceny, które widziała w Pucharze Bostońskim: potworny widok miasta (a może całego dominium) pochłoniętego przez mrok.

Jej ciało, zazwyczaj tak podatne na wywołane wizjami drzenie, zamarło. Nie była zdenerwowana, nie czuła podniecenia – ogarnął ją lodowaty, wszechobecny strach.

– Co mam zrobić?

– Nie wiem, kochaniutka. Możesz zrobić, co zechcesz, pamiętasz?

Gdy parę godzin wcześniej siedziała obok Clema na schodkach, była przygnębiona tym, że zabraknie dla niej miejsca w nowej ewangelii. Teraz zaś ten fakt dawał jej cień nadziei. Jak powiedział kiedyś Dowd – nie była niczyją własnością. Godolphinowie wymarli, Quaisoir nie żyła; Gentle szedł w ślady Christosa, a Sartori albo budował Nowe Yzordderrex, albo kopał sobie grób. Należała tylko do siebie, i to w świecie, w którym wszystkich zaślepiała obsesja posiadania i posłuszeństwa. Mogła być jedyną osobą, która oceni tę historię chłodno i z dystansem.

– Czyli mam spory wybór.

– Może powinnaś zapomnieć o tym, co powiedziałem. – Dowd starał się zachować dziarski ton, choć głos łamał mu się coraz bardziej. – To tylko plotka, którą sprzedał ci jakiś trzeciorzędny aktorzyzna.

– Jeżeli spróbuję przeszkodzić w Pojednaniu...

– Wypowiesz wojnę Ojcu, Synowi, a zapewne także Duchowi Świętemu.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Będiesz odpowiedzialna za wszystko, co się wydarzy.

– Dlaczego?

Dowd szeptał tak cicho, że zagłuszał go trzask ogniska:

– Bo... ja myślę, że tylko ty możesz tu coś wskórać... – Jego dłoń ześliznęła się z ramienia Jude. – To by było... tyle... – Zamrugnął i zamknął oczy. – Jeszcze jedno... kochaniutka...

– Słucham.

– Może proszę o zbyt wiele...

– O co chodzi?

– Tak się zastanawiam... Czy mogłabyś mi... wybaczyć? Wiem, to... to idiotyczne, ale nie chcę umierać... wiedząc, że mnie... nienawidzisz.

Przyszło jej do głowy jego okrucieństwo wobec Quaisoir, która prosiła, by był dla niej dobry. Zastanawiała się jeszcze, gdy ponownie się odezwał:

– Byliśmy... trochę... podobni, nie uważasz?

Wyciągnęła rękę, żeby go pocieszyć, jeśli zdoła, ale zanim go dotknęła, przestał oddychać i zamknął oczy. Jęknęła; wbrew wszelkiej logice żałowała,

że umarł.

– Czy coś się stało? – zainteresował się Monday.

Jude wstała.

– To zależy od punktu widzenia – odparła, zapożyczając od Dowda fatalistyczno-komediowy ton. Uznała, że warto go poćwiczyć, bo w najbliższym czasie mógł się przydać. – Masz fajki?

Monday rzucił jej paczkę papierosów. Wzięła jednego i oddała mu pudełko. Przypaliła papierosa wyjętą z ogniska zapaloną gałązką.

– Co mu się stało? – spytał chłopiec.

– Nie żyje.

– To co robimy?

Rzeczywiście, co dalej? Jeżeli w którymś momencie miała powiedzieć, że stanęła na rozstajach, to właśnie teraz. Czy powinna zapobiec Pojednaniu – nie byłoby to trudne; kamienie, o które prosił Gentle, leżały pod jej stopami – i dać się nazwać niszczycielką? Czy lepiej, żeby Pojednanie się dokonało, nawet gdyby miało zakończyć przeszłość i przyszłość?

– Ile czasu zostało do świtu? – spytała Mondaya.

Chłopiec zdobył zegarek w pierwszej wyprawie po łupy. Teatralnym gestem podsunął go sobie pod nos.

– Dwie i pół godziny.

Tak mało czasu na działanie; jeszcze mniej na podjęcie decyzji. Gdyby wróciła z Mondayem do Clerkenwell, wpakowałyby się w ślepy zaułek – to pewne. Gentle był wysłannikiem Niewidzianego i nie zmieni planów, zwłaszcza z powodu Dowda, który przez całe życie kłamał jak najęty. Zaczęłyby jej tłumaczyć, że jego przedśmiertne słowa to zemsta na żyjących, ostatnia desperacka próba odebrania im chwały, w której sam nie mógł uczestniczyć. Może miałyby rację, może dała się nabrać.

– Zbieramy kamienie czy nie? – niecierpliwiał się Monday.

– Chyba nie mamy wyjścia – odparła zamyślona.

– Po co mu one?

– Są jak... most nad rzeką – mówiła z roztargnieniem Jude.

Rzeczywiście, były jak most – do Yzorderrex. Mogła tam wrócić i znaleźć kogoś, kto w tych ostatnich godzinach pomoże jej podjąć decyzję.

Rzuciła niedopałek w ognisko.

– Sam zawieszysz je na Gamut Street – dodała.

– A ty dokąd idziesz?

– Do Yzordderrex.

– Po co?

– To zbyt skomplikowane, żebym ci teraz wyjaśniała. Obiecay mi, że zrobisz, co ci powiem.

– Zrobię.

– Dobrze. Posłuchaj mnie. Kiedy zniknę, zabierz kamienie na Gamut Street i przekaz Gentle'owi wiadomość. Osobiście, rozumiesz? Poza tym nikomu ani słowa, jasne? Nawet Clemowi.

– Rozumiem. – Monday cały się rozpromienił. Spotkał go nieoczekiwany zaszczyt. – Co mu mam powiedzieć?

– Po pierwsze, dokąd poszłam.

– Do Yzordderrex.

– Świetnie. Poza tym... ostrzeż go, że Pojednanie jest niebezpieczne i żeby wstrzymał się z rytuałem, aż się z nim skontaktuję.

– Jest niebezpieczne i ma się wstrzymać z rytuałem...

– ...aż się z nim skontaktuję.

– Zrozumiałem. Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. A teraz muszę znaleźć krąg.

Jude zaczęła przyglądać się mozaice, wypatrując delikatnych różnic odcieni, które wyróżniały kamienie tworzące krąg. Z doświadczenia wiedziała, że z chwilą gdy zostaną wyjęte ze swoich miejsc, Ekspres Yzordderrex ruszy w drogę. Kazała Mondayowi poczekać na zewnątrz. Zmartwił się, więc go uspokoiła, że nic jej nie będzie.

– Nie o to chodzi – odparł. – Chcę zrozumieć. Jeżeli Pojednanie jest takie groźne, czy to znaczy, że szef nie otworzy nam dominiów?

– Nie wiem.

– Ale ja chcę zobaczyć Patashoqua, L'Himby i Yzordderrex! – zaskomlał. Wypowiadał te nazwy jak zaklęcia.

– Wiem o tym. I możesz mi wierzyć, że nie mniej od ciebie pragnę, by dominia stanęły przed nami otworem.

Spojrzała mu w oczy w słabnącym blasku ognia. Nie była pewna, czy udało się jej go uspokoić, ale Monday mimo młodego wieku po mistrzowsku umiał ukrywać uczucia. Musiała mu zaufać, że obowiązek posłańca przedłoży ponad pragnienie ujżenia Imajiki i przekaże choć ducha jej ostrzeżenia, jeśli nie jego dokładną treść.

– Gentle musi zrozumieć, że znalazł się w niebezpieczeństwie – powie-

działa, żeby obudzić w nim sumienie.

– Postaram się go przekonać – odrzekł, rozdrażniony jej naleganiem.

Przestała go nagabywać i wróciła szukać kamieni. Nie pomógł jej. Cofnął się do drzwi i od progu zapytał:

– A jak stamtąd wrócisz?

Udało jej się znaleźć cztery kamienie. Ptaki na dachu podniosły rwesty, jakby przeczuwały, że zaraz coś się wydarzy.

– Pomyślę o tym w swoim czasie.

Ptaki zerwały się jak na komendę. Zdenerwowany Monday wypadł z Azylu na dwór. Jude zerknęła na niego przelotnie, wygrzebując następny kamień. Dzielące ich ognisko zapłonęło żywszym płomieniem, popioły wzbily się w powietrze i chmura sadzy zasłoniła drzwi. Jude przebiegła jeszcze wzrokiem mozaikę, żeby sprawdzić, czy zgarnęła wszystkie kamienie. Przez ciało przebiegały jej już dreszcze, które zapamiętała z pierwszej podróży – najlepszy znak, że korytarz do dominiów lada chwila się otworzy.

Tutaj, w Azylu, Oscar tłumaczył jej, że nieprzyjemności związane z podróżą są z każdym kolejnym razem coraz mniej dokuczliwe. Miał rację. Kiedy ściany zaczęły się jej rozmazywać przed oczami, zdążyła jeszcze zerknąć na majaczące w kłębach popiołu drzwi. Pomyślała – ponieważ – że powinna była jeszcze raz spojrzeć na świat, zanim go opuści, ale wtedy Azyl zniknął i znalazła się w In Ovo. Mieszkańcy tej ponurej krainy przemykali obok niej całymi legionami, próbując jej dosięgnąć. Miała wrażenie, że sama przemieszcza się szybciej niż z Dowdem; przemknęła przez In Ovo, zanim potwory zdążyły na serio wpaść na jej trop.

W piwnicy domu Peccable'a było jaśniej niż ostatnio. Metr od kręgu stała lampa, rzucająca światło na ścianę, a w półmroku krył się jakiś stwór, którego twarzy Jude nie widziała. Uderzył ją jakimś tępym przedmiotem i pozbawił przytomności, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić.

ROZDZIAŁ 54

1

Płaszcz nocy zaczynał spowijać Czwarte Dominium, gdy pod szczytem Lipper Bayak Gentle spotkał się z Tickiem Raw, który podziwiał spływające z nieba ostatnie kolory dnia. Siedział i jadł kolację; między nogami trzymał dwie miski – z parówkami i kiszonymi ogórkami – a obok garnuszek musztardy, w której maczał i parówki, i ogórki. Mimo że Gentle był przy nim tylko jako projekcja astralna – siedzące po turecku ciało zostawił w pokoju medytacyjnym przy Gamut Street – nie potrzebował nosa ani podniebienia, by docenić smak posiłku. Wyobraźnia robiła swoje.

Tick Raw podniósł na niego wzrok. Obecność zjawy najwyraźniej mu nie przeszkadzała.

– Chyba przyszedłeś trochę za wcześnie? – zdziwił się tylko i zerknął na kieszonkowy zegarek, uwiązany na sznurku do płaszcza. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Wiem. Chciałem...

– ...sprawdzić, co u mnie słychać – dokończył Tick głosem kwaśnym niczym ogórki, którymi się zajadał. – Jak widzisz, jestem na posterunku. W Piątym Dominium wszystko gotowe?

– Prawie... – odparł niepewnie Gentle.

Mimo że jako maestro Sartori odbył mnóstwo takich podróży (w których wspomagany mocą sztuk umysł przenosił jego obraz i głos do innych dominiów) i łatwo przyswoił sobie zapomniane techniki, dziwnie się z tym czuł.

– Jak wyglądam? – zapytał. Przypomniawszy sobie, jak sam próbował opisać wygląd mistyfa, gdy stanęli na zboczach Lipper Bayak.

Tick Raw zmrużył oczy.

– Niematerialnie – odparł i znów zajął się jedzeniem. – Co bardzo mi odpowiada, bo parówek nie wystarczyłoby dla dwóch.

– Nadal nie mogę się przyzwyczaić do tego, co potrafisz.

– Lepiej się pospiesz. Czeka nas robota.

– Powinienem być się zorientować, że masz w niej uczestniczyć, kiedy pierwszy raz tu trafiłem. Przepraszam.

– Przepraszam, przyjęte.

– Musiałeś pomyśleć, że zwariowałem.

– Na pewno... Jak by to powiedzieć? Na pewno byłem zmieszany. Całymi dniami rozmyślałem, dlaczego zrobiłeś się taki uparty. Wiesz, że Pie próbował mi coś tłumaczyć, ale ja już tak długo czekałem, aż zjawi się ktoś z Piątego Dominium, że słuchałem go jednym uchem.

– Pie liczył chyba na to, że spotkanie z tobą przypomni mi, kim jestem.

– Ile czasu ci to ostatecznie zajęło?

– Kilka miesięcy.

– Czy mistyf pomógł ci się ukryć przed samym sobą?

– Tak, naturalnie.

– Świetnie się spisał. Będzie miał nauczkę. Nawiasem mówiąc, gdzie masz ciało?

– W Piątym Dominium.

– Coś ci poradzę. Nie zostawiaj go zbyt długo bez opieki. Zauważyłem, że kiszki lubią się buntować. Może się okazać, że kiedy wrócisz, będziesz cały umazany kupą. Chociaż może to tylko moja słabość...

Tick sięgnął po następną parówkę, zanim spytał, dlaczego, do ciężkiej cholery, Gentle kazał mistyfowi pozbawić się pamięci.

– Byłem tchórzem. Nie umiałem stawić czoła klęsce.

– Tak, to trudne. Cały czas się zastanawiam, czy mógłbym ocalić Utera Musky, mojego maestra, gdybym był sprytniejszy. Tęsknię za nim.

– To ja jestem odpowiedzialny za to, co się z nim stało. Nic mnie nie tłumaczy.

– Wszyscy mamy jakieś słabości, maestro. Ja mam słabe kiszki, ty jesteś tchórzem... Nikt nie jest doskonały. Domyślam się jednak, że twoja obecność oznacza, iż podejmujemy następną próbę?

– Taki mam zamiar.

Żując, Tick Raw znów spojrział na zegarek i coś policzył w pamięci.

– Zostało nam mniej więcej dwadzieścia godzin według rachuby Piątego Dominium.

– Zgadza się.

– Będę gotowy – zapewnił Gentle'a Tick, wkładając do ust cały spory ogórek.

– Masz kogoś do pomocy?

– Nie boczebuj – odparł Tick Raw z pełnymi ustami. Przełknął i dodał: – Nikt mnie tu nie widział. Nadal jestem wyjęty spod prawa, chociaż, jak sły-
szałem, Yzordderrex padło.

– Zgadza się.

– Podobno Oś też się zmieniła. To prawda?

– Jak to? Zmieniła się?

– Nikt nie może się do niej zbliżyć, żeby sprawdzić, co się właściwie sta-
ło. Jeżeli zamierzasz odwiedzić wszystkich członków Synodu...

– Chciałbym.

– To może będziesz miał okazję się przekonać. O ile dobrze pamiętam, Drugie Dominium reprezentował jakiś Eurhetemec...

– Nie żyje.

– Kto go zastąpił?

– Mam nadzieję, że Scopique kogoś znalazł.

– Scopique jest w Trzecim Dominium, tak? Przy dziurze, z której wyrwa-
no Oś?

– Tak.

– Kto przy Wybielu?

– Niejaki Chicka Jackeen.

– Nie znam go. Dziwne, bo wydawało mi się, że o wszystkich coś niecoś
wiem. Jesteś pewien, że to maestro?

– Całkiem pewien.

Tick Raw wzruszył ramionami.

– No to poznam go w Ana. O mnie możesz być spokojny, Sartori, nie za-
wiode.

– Cieszę się, że się pogodziliśmy.

– Mogę walczyć o jedzenie i kobiety, ale nie o metafizykę. Poza tym łączy
nas doniosła misja. Jutro o tej porze będziesz mógł piechotą wrócić stąd do

domu.

Zakończywszy rozmowę tym optymistycznym akcentem, Gentle zostawił Tickę Raw samego z nadchodzącą nocą i skierował myśli ku Kwem, gdzie spodziewał się znaleźć Scopique'a. Mógł znaleźć się tam błyskawicznie – wystarczyło sobie wyobrazić, że przemieszcza się do Trzeciego Dominium – ale pozwolił sobie na mały, podyktowany wspomnieniami skok w bok. Opuszczając Lipper Bayak, zwrócił myśli ku Beatrix, gdzie też skierował się jego duch. Wylądował na obrzeżach wioski.

Tam też, oczywiście, zapadła już noc. Doeki porykiwały cicho na skrytych w mroku zboczach, pobrzękując zawieszonymi na sztykach dzwoneczkami. W samym Beatrix panowała jednak cisza. Z zarośli przy domach zniknęły latarnie, na ulicach nie było dzieci – zgasły światła i zgasło życie. Zasmucony tym widokiem Gentle chciał już uciekać z wioski, gdy nagle ujrzał majaczące w oddali światełko. Zbliżył się i rozpoznał człowieka, który niósł lampę – był nim Coaxial Tasko, odludek ze wzgórza, dzięki któremu mogli zapuścić się w dzicz Jokalaylau. Tasko zatrzymał się w pół drogi przez uliczkę i podniósł wyżej latarnię.

– Kto tam jest? – zawołał.

Gentle chciał się odezwać, przeprosić, pogodzić się z nim, tak jak pogodził się z Tickiem Raw, porozmawiać o obietnicach, jakie niósł następnego dnia. Powstrzymał się jednak na widok wyrazu jego twarzy. Tasko nie byłby mu wdzięczny ani za przeprosiny, ani za pogaduchy o świetlanej przyszłości. Zbyt wielu ludzi, których znał, nigdy jej nie zobaczy. Jeśli domyślał się, kto gości w wiosce, najwyraźniej również uznał spotkanie za bezcelowe. Wzdrygnął się, opuścił lampę i wrócił do swoich spraw.

Gentle nie czekał dłużej. Odwrócił się ku górom i siłą myśli przeniósł się daleko od Beatrix, do Trzeciego Dominium. Wioska zniknęła i znalazł się na Kwem, gdzie światło dnia sączyło się przez tumany kurzu. Z czterech lokalizacji, w których miał nadzieję znaleźć maistrów Synodu – Lipper Bayak, Kwem, kesparat Eurhetemeców i Wybiel – tylko tej równiny nie odwiedził podczas podróży z Pie. Spodziewał się, że może mieć trudności z trafieniem na miejsce spotkania, ale Scopique był na tym pustkowiu widoczny jak latarnia morska na zdradliwym brzegu. Mimo że na wietrze kłębiły się chmury kurzu, na wpół oślepiiony nimi Gentle znalazł go błyskawicznie. Scopique siedział przycupnięty w prymitywnym namiocie z koców, rozpiętych na wbitych w szarą ziemię tyczkach. Nie było to komfortowe schronienie, ale w ka-

rierze dysydenta zdarzało mu się cierpieć gorsze niewygody – zwłaszcza podczas pobytu w *maison de sante*. Kiedy wstał, żeby przywitać się z Gentle'em, uczynił to z wigorem człowieka, który na nic nie narzeka. Miał na sobie nie-skazitelny trzyczęściowy garnitur z muszką. Jego twarz, mimo dość niezwykłych rysów (miał wiecznie wytrzeszczone oczy i dwa otwory nad ustami zamiast nosa), była znacznie weselsza i wysmagana wiatrem. Podobnie jak Tick Raw, on również oczekiwał gościa.

– Właż do środka! Dalej, śmiało! Chociaż tobie wiatr pewnie nie przeszkadza, co?

Była to szczerza prawda (wiatr przelatywał przez ciało astralne w niezwykle sposób, tworząc wiry wokół pępka), ale Gentle wśliznął się pod osłonę koców, gdzie mogli usiąść i porozmawiać. Scopique'owi jak zwykle usta się nie zamykały – sypał opowiastkami i anegdotami jak z rękawa, w jednym długim monologu. Był przygotowany, jak twierdził, żeby reprezentować Trzecie Dominium w świętym obszarze Ana, chociaż zastanawiał się, czy nieobecność Osi nie zaburzy równowagi rytuału. Przypomniał Gentle'owi, że Oś po to znalazła się w centrum Pięciu Dominiów, by przewodzić – a może także przetwarzać – moc, która wypełnia Imajicę. Jej zniknięcie z pewnością bardzo osłabiło Trzecie Dominium.

– Sam zobacz. – Zaprowadził Gentle'a na skraj pozostałego po Osi dołu. – Będę odprawiał rytuał obok zwykłej dziury w ziemi!

– Myślisz, że to może mieć wpływ na jego przebieg?

– Kto wie? Wszyscy jesteśmy amatorami, którzy próbują udawać ekspertów. Mogę tylko oczyścić miejsce ceremonii i trzymać kciuki.

Zwrócił uwagę Gentle'a na stojącą nieopodal wypaloną skorupę sporej budowli, widoczną w tych krótkich chwilach, gdy kurz osiadał na ziemi.

– Co to jest?

– Pałac tego łajdaka.

– Kto go zniszczył?

– Ja, naturalnie. Nie chciałem, żeby jego dzieło towarzyszyło mi podczas rytuału. To i tak będzie delikatna operacja, nie potrzeba mi obcych wpływów, które mogłyby wszystko spieprzyć. I tak wyglądał jak burdel. – Scopique odwrócił się plecami do ruin. – Zdajesz sobie sprawę, że powinniśmy mieć kilka miesięcy, a nie kilka godzin na przygotowania?

– Tak...

– No i jest problem z Drugim. Wiesz, że Pie kazał mi znaleźć zastępcę na

miejsce tego Eurhetemeca? Chciałem o tym z tobą porozmawiać, ale kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałeś amnezję. Pie uparł się, żebym nie mówił ci, kim jesteś, chociaż... Mogę być z tobą szczerzy?

– A mógłbym cię przed tym powstrzymać? – spytał Gentle.

– Nie. Miałem cholerną ochotę dać ci w twarz, żebyś się otrząsnął. – Scopique spojrział na niego spode łba, jakby wciąż chciał go spoliczkować, a przeszkadzał mu tylko brak materialnego ciała Gentle'a. – Bardzo go zasmuciłeś. A on, jak ostatni dureń, mimo wszystko cię kochał.

– Miałem swoje powody – odparł szeptem Gentle. – Mówiłeś coś o zastępcy...

– A tak! To będzie Athanasius.

– Athanasius?!

– Jest naszym człowiekiem w Yzordderrex, będzie reprezentował Drugie. Co się tak dziwisz? Zna rytuał i jest zdecydowany doprowadzić rzecz do końca.

– Athanasius jest kompletnie szalony. Wziął mnie za wysłannika Hapexamendiosa.

– No... To oczywiście bzdura...

– Próbował napuścić na mnie Madonny. To wariat!

– Każdy może mieć chwilę słabości, Sartori.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Niewielu spotkałem w życiu takich świętych ludzi jak Athanasius.

– Przecież on w jednej chwili oddaje cześć Matce Boskiej, a zaraz potem uważa się za Jezusa!

– Może chyba czcić własną matkę. Co w tym złego?

– Czy ty na serio twierdzisz...

– ...że Athanasius to zmartwychwstały Christos? Nie. Jeżeli mielibyśmy wybierać mesjasza, głosowałbym na ciebie. – Scopique westchnął ciężko. – Posłuchaj, wiem, że poprztykaliście się z Athanasiusem, ale spróbuj mnie zrozumieć. Kogo innego miałem zaproponować? W Imajice zostało niewielu maistrów, Sartori.

– Mówiłem ci...

– Wiem, wiem, nie lubisz tego imienia. Musisz mi wybaczyć, ale póki żyję, pozostaniesz dla mnie maistrem Sartorim. Jeśli ci to nie odpowiada i chciałbyś mieć tu kogoś, kto będzie się do ciebie inaczej zwracał, proszę bardzo, szukaj.

– Zawsze byłeś taki zawzięty?

– Nie, ale praktyka czyni mistrza.

Zropaczony Gentle pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Athanasius... to jakiś koszmar!

– I jeszcze jedno. Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien, czy nie drzemie w nim duch Jezusa. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

– Jeszcze chwila i ja też zwariuję. Athanasius! Przecież to katastrofa!

Wściekły Gentle wypadł z namiotu, miotając przekleństwa. Optymizm, z jakim wyruszał w tę podróż, znacznie osłabł. Zamiast spotykać się w takim stanie z Athanasiusem, znalazł sobie zaciszny skrawek Postnej Drogi, gdzie mógł wszystko w spokoju przemyśleć. Sprawy nie układały się najlepiej: Tick Raw siedział na Lipper Bayak jako banita, któremu grozi aresztowanie; Scopique powątpiewał w moc Trzeciego Dominium, z którego usunięto Oś; a w dodatku trafił im się Athanasius, któremu nie zostało chyba dość rozumu, żeby w razie potrzeby umiał schronić się przed deszczem.

– Mój Boże, Pie – mruknął pod nosem. – Potrzebuję cię.

Wiatr, który wiał w stronę przejścia między dominiami, zawodził żałośnie, jakby ponaglał go do wyruszenia do Yzordderrex. Gentle opierał się jego namowom, rozważając wszystkie możliwości działania. Doszedł do wniosku, że ma trzy wyjścia. Pierwsze – zrezygnować z Pojednania, zanim niedoskonałości Synodu skumulują się i doprowadzą do kolejnej tragedii. Drugie – znaleźć maestra, który zastąpi Athanasiusa. Trzecie – zaufać opinii Scopique'a, udać się do Yzordderrex i zawrzeć rozejm z wariatem. Pierwszej możliwości nie mógł poważnie brać pod uwagę; podjął dzieło Ojca i miał święty obowiązek doprowadzić je do końca. Drugie rozwiązanie z braku czasu nie wchodziło w grę. Zostawał mu tylko trzeci wariant, paskudny, ale nieunikniony. Musiał pogodzić się z obecnością Athanasiusa w Synodzie.

Podjąwszy decyzję, poddał się sugestii wiatru i z prędkością myśli ruszył w drogę. Pomknął wprost do bramy między dominiami, przefrunął ponad deltą rzeki i skierował się do boskiego miasta.

– To ty, Hoi-Polloi?

Córka Peccable'a odłożyła obuch i klękła obok Jude. Z jej zezowatych oczu płynęły łzy.

– Przepraszam! Och, przepraszam! – powtarzała. – Ja nie wiedziałam. Nie wiedziałam!

Jude usiadła. W jej głowie zespół perkusyjny stroił instrumenty, ale poza tym nic jej się nie stało.

– Co ty tu robisz? – zapytała. – Myślałam, że wyjechałaś razem z ojcem.

– Bo tak było. – Hoi-Polloi hamowała łzy. – Ale zgubiliśmy się na grobli, takie mnóstwo ludzi próbowało po niej przejść. W jednej chwili szedł obok mnie, a w następnej straciłam go z oczu. Najpierw czekałam tam na niego, ale potem przyszło mi do głowy, że może wrócić tutaj, do domu, więc przyszałam...

– Ale tu go nie było.

– Nie.

Hoi-Polloi pociągnęła smutno nosem. Jude przytuliła ją, próbując szeptem pocieszyć.

– Na pewno nie zginął – ciągnęła dziewczyna. – Po prostu jest rozsądny i się ukrywa. W mieście jest niebezpiecznie. – Spojrzała niepewnie do góry, na sufit. – Jeżeli w ciągu paru dni nie wróci, może zabierzesz mnie do Piątego Dominium? Znajdzie mnie tam.

– W Piątym wcale nie jest bezpieczniej niż tutaj. Naprawdę.

– Co się dzieje z tym całym światem?

– Zmienia się. Nie pozostaje nam nic innego, jak przygotować się na zmiany, choćby i najdziwniejsze.

– Chciałabym, żeby wszystko było po staremu. Żeby papa prowadził swój interes i w ogóle...

– Żeby tulipany stały na stole w jadalni.

– Właśnie!

– Na razie to niemożliwe. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy te czasy mogą wrócić.

Jude wstała z podłogi.

– Dokąd idziesz? – zaniepokoiła się Hoi-Polloi. – Nie możesz mnie tu zostawić!

– Przykro mi, ale nie mam wyjścia. Czeka mnie sporo pracy. Jeżeli chcesz, możesz mi towarzyszyć, ale będziesz zdana na siebie.

Hoi-Polloi pociągnęła nosem.

– Rozumiem.

– To co, idziemy?

– Nie chcę być sama. Pójdę z tobą.

*

Jude spodziewała się ujrzeć zniszczenia na ulicach, ale zaskoczyło ją wszechobecne uczucie radości. Gdzieś niedaleko rozlegał się czyjś lament, z pewnością wiele domostw pograżyło się w żałobie, ale łagodne, aromatyczne powietrze niesło także dziwną nadzieję.

– Z czego się śmiejesz? – zdziwiła się Hoi-Polloi.

Jude nie zdawała sobie sprawy, że się uśmiecha.

– Wesolo mi, bo czuje się w powietrzu nowy dzień – odparła, zdając sobie sprawę, że może to być zarazem ostatni dzień Yzordderrex. Promienne miasto zdawało się potwierdzać jej przecucie, jak chora dusza, która odzyskuje odrobinę sił na chwilę przed ostatecznym upadkiem.

Oczywiście nie powiedziała tego na głos; Hoi-Polloi i tak była wystarczająco przerażona. Szła krok za Jude, popłakując pod nosem i walcząc z czkawką. Na pewno bardziej by się zaniepokoiła, gdyby wiedziała, jaki zamęt panuje w duszy Jude, która nie miała pojęcia, gdzie szukać rady. Miasto się zmieniło; zamiast dawnego labiryntu urokliwych zaułków wszędzie rozciągały się ruiny i zgliszcza. Pożary dogasały, ale nad Yzordderrex utrzymywała się czarna zasłona dymu. Światło komety w kilku miejscach przedzierało się przez ten żałobny całun i nabierało intensywnych barw, jakby przesączało się przez zawieszony w powietrzu odłamki witraży. Nie mając lepszego pomysłu, Jude skierowała się ku najbliższej plamie światła. Dzielił ją od niej niespełna kilometr. Wiatr niósł stamtąd drobną mżawkę, a szum wody wkrótce zdradził źródło deszczyku.

Nawierzchnia ulicy pękła i szczelinę wypełniła spieniona woda z pękniętego wodociągu albo z jakiegoś podziemnego źródła. Widok ten przyciągnął sporo gapiów, chociaż żaden nie odważył się podejść blisko. Powstrzymywał ich nie strach, że grunt obsunie im się pod nogami, lecz obawa przed niezwykłością zjawiska. Woda bijąca ze szczeliny nie spływała po asfalcie w dół zbocza, ale przelewała się w górę i z zapalem płynącego na tarło łososa pokonywała naturalne przeszkody. Tylko dzieci się jej nie bały. Kilkoro uciekło

rodzicom i taplało się wesoło w zaprzeczającym prawom fizyki strumyku. Biegały i chlapały się w wodzie albo siedziały w nurcie i chichotały, gdy woda zalewała im nogi. Jude gotowa była się założyć, że w ich pokrzykiwaniach słyszy nutki seksualnej przyjemności.

– Co to za strumień? – spytała Hoi-Polloi, bardziej zirytowana niż zaskoczona, jakby ten widok osobiście ją uraził.

– Może pójdziemy wzdłuż brzegu i same się przekonamy?

– Te dzieciaki się potopią – zauważyła oschle dziewczyna.

– W wodzie głębokiej na cztery palce? Nie żartuj.

Jude ruszyła przed siebie, nie czekając na dziewczynę. Hoi-Polloi wkrótce znów znalazła się za jej plecami. Czkałka ustąpiła i szły w milczeniu. Mniej więcej dwieście metrów dalej natknęły się na drugi strumień, który łączył się z pierwszym. Płynął z zupełnie innej strony i był na tyle wartki, że niósł z dołu zbocza różne drobiazgi, głównie odpadki i śmieci; jakieś ubrania, utopione grobowniki, parę kromek przypalonego chleba, ale nie tylko – także przedmioty, które najwyraźniej celowo jej powierzono: listy poskładane w papierowe łódeczki, wianuszki wyplatane z trawy i ozdobione drobnymi kwiatkami, lalkę owiniętą pękiem wstążek. Jude wyłowiała jeden liścik i rozłożyła go. Litery trochę się rozmazały, ale były jeszcze czytelne:

Tishalulle, nazywam się Cimarra Sakeo. Wysyłam ten list jako modlitwę za moich rodziców i mojego brata Boema, którzy zginęli. Widziałam cię we śnie, Tishalulle, i wiem, że jesteś dobra. Zawsze znajdziesz miejsce w moim sercu. Proszę, wypełnij też serca mojej matki i ojca, i przynieś im ukojenie.

Jude podała list Hoi-Polloi, śledząc wzrokiem połączone strugi wody.

– Kto to jest Tishalulle? – zapytała.

Hoi-Polloi nie odpowiedziała. Spoglądała w górę zbocza.

– Tishalulle? – powtórzyła Jude.

– To bogini. – Hoi-Polloi zniżyła głos do szeptu, chociaż w zasięgu głosu nie było nikogo. Upuściła list i Jude musiała podnieść go z ziemi.

– Cudze modlitwy należy szanować – powiedziała, złożyła łódeczkę z powrotem i puściła ją na wodę.

– Ten list nigdzie nie dopłynie. Ona nie istnieje.

– To czemu boisz się nazwać ją po imieniu?

– Nie wolno wypowiadać na głos imion bogiń, papa mnie tego nauczył. To zabronione.

– Więc ona nie jest jedyną boginią?

– Nie. Oprócz niej są siostry z rzecznej delty. A papa mówił, że jest jeszcze jedna, nazywa się Jokalaylau i mieszka w górach.

– Skąd pochodzi Tishalulle?

– Chyba z Kołyski Chzercemit, ale nie wiem na pewno.

– Jakiej kołyski?

– To takie jezioro w Trzecim Dominium.

Tym razem Jude uśmiechnęła się w pełni świadomie.

– Rzeki, śniegi i jeziora... – Przykucnęła nad brzegiem strumyka i włożyła dłoń do wody. – One przybyły w wodzie, Hoi-Polloi.

– Kto?

Chłodny strumień omywał palce Jude.

– Nie wygłupiaj się. Boginie. Są tutaj, w mieście.

– To niemożliwe. Nawet gdyby jeszcze żyły, a papa twierdzi, że to nieprawda, nie miałyby tu czego szukać.

Jude nabrała wody w dłoń i podniosła do ust. Miała słodki smak.

– Może ta woda odpowiada na czyjeś wezwanie.

Zerknęła na Hoi-Polloi, która przyglądała się jej z niesmakiem.

– Kogoś z góry?

– Wiesz, żeby gdzieś się wdrapać, trzeba mieć sporo siły. Zwłaszcza dla wody to ogromny wysiłek. Nie po to płynie pod górę, żeby podziwiać widoki. Coś ją przyciąga. Jeżeli podążymy za nią, to prędzej czy później...

– Chyba nie powinniśmy tego robić.

– Nie tylko wodę coś tam ciągnie, nas też. Nie czujesz?

– Nie – uparła się Hoi-Polloi. – W każdej chwili mogę zawrócić i pójść do domu.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

Dziewczyna spojrzała na strugę. Los sprawił, że woda niosła akurat mniej sympatyczny ładunek: flotyllę obciętych kurzych łbów i nadpalone truchło psa.

– I ty to piłaś – zauważyła Hoi-Polloi.

– Smak ma w porządku – odparła Jude, chociaż odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na psa.

Ten widok utwierdził Hoi-Polloi w jej postanowieniu.

– Tak, wracam do domu – stwierdziła. – Nie jestem gotowa na spotkanie z boginiami, nawet gdyby miały na nas czekać na górze. Za dużo nagrzeszyłam.

– Nonsens. Tu nie chodzi o grzech i wybaczenie; takie bzdury są dobre dla mężczyzn. To coś... – Jude zawiesiła głos, niepewna, jak dobrać słowa. – To coś mądrzejszego.

– Skąd wiesz? Nikt tak naprawdę tego nie rozumie. Nawet papa. Zawsze mówił, że wie, jak powstała kometa, ale kłamał. Tak samo ty kłamiesz, kiedy mówisz o boginiach.

– Czego się tak boisz?

– Gdybym się nie bała, już bym nie żyła. Nie traktuj mnie jak dziecko. Wiem, wydaję ci się śmieszna, ale gdybyś była trochę bardziej uprzejma, próbowałabyś to ukryć.

– Wcale nie uważam, że jesteś śmieszna.

– Uważasz.

– Nie, po prostu wydaje mi się, że za bardzo kochałaś papę. To nie zbrodnia. Ja bez przerwy powtarzam ten sam błąd. Zaufasz jakiemuś mężczyźnie, a on... – Jude z westchnieniem pokręciła głową. – Nieważne. Może masz rację i faktycznie powinnaś iść do domu. Kto wie, czy papa już na ciebie nie czeka. Moje zdanie się tu nie liczy.

Bez dalszej dyskusji odwróciła się plecami do Hoi-Polloi i ruszyła pod górę. Było jej przykro, że nie umiała w bardziej taktowny sposób przedstawić swoich racji. Zrobiła może pięćdziesiąt kroków, gdy usłyszała za sobą cichy tupot.

– Papa nie wróci do domu, prawda? – spytała Hoi-Polloi.

– Chyba nie.

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Wydaje mi się, że od początku to przeczuwałam, tylko nie chciałam się przed sobą przyznać. – Kiedy podniosła oczy, wbrew oczekiwaniom Jude nie lśniły od łez. Co więcej, Hoi-Polloi wyglądała na zadowoloną, że pozbyła się wątpliwości. – Teraz obie jesteśmy samotne, prawda?

– Tak, obie jesteśmy samotne.

– Więc może pójdziemy dalej razem? To nam wyjdzie na zdrowie.

– Dziękuję, że o mnie myślisz.

– My, kobiety, musimy trzymać się razem.

Zgodnie ruszyły w drogę.

3

Zdaniem Gentle'a Yzordderrex wyglądało tak, jak mógłby je sobie wyobrazić chory majaczący w malignie. Nad pałacem lśniła ciemna zorza, na ulicach i placach wszędzie działa się cuda. Rzeki były z potrzaskanych chodników i w podskokach pędziły na wzgórze, kpiąc z grawitacji. Nad każdym z tych nowych źródeł powietrze mieniło się wszystkimi kolorami tęczy niczym stadko papug. Pie byłby zachwycony, pomyślał Gentle, notując w pamięci wszystkie niezwykłości, żeby umieć odmalować tę scenę w słowach, gdy spotka się z mistykiem.

Nie wszystko jednak wyglądało tak pięknie. Tęcze tryskały wśród wypalonych domów. Na progach siedziały zapłakane wdowy odziane w czerni, prawie niewidoczne na tle zgliszcz. Gentle stał właśnie przy bramie kesparatu Eurhetemeców, który jedyny wyglądał, jakby pożoga go ominęła. Był jednak całkiem opustoszały i Gentle zdążył przygotować bardzo wyrafinowaną wiązaną przekleństw na następne spotkanie ze Scopique'em, zanim znalazł człowieka, którego szukał. Athanasius z podziwem przyglądał się jednemu z drzew przy ulicy. Mimo że nie straciło jeszcze liści, kształt konarów przebiegał spod listowia i nie trzeba było aspirować do roli Christosa, żeby się zorientować, iż świetnie nadawałoby się do krzyżowania ludzi. Gentle kilka razy zawołał go po imieniu, lecz Athanasius, pogrążony w swoim śnie na jawie, nie odwrócił się. Dopiero gdy Pojednawca stanął tuż obok niego, powiedział:

– Przybywasz we właściwym momencie.

– Samoukrzyżowanie – stwierdził Gentle. – To by był cud.

Teraz Athanasius na niego spojrzał. Miał poóółkłą cerę i całe czoło we krwi. Kiedy zobaczył strupy na czole Gentle'a, pokręcił głową.

– Aleśmy się dobrali... – Pokazał Gentle'owi ręce. Rany pośrodku dłoni nie pozostawiały cienia wątpliwości. – Takie też masz?

– Nie. A tych na głowie dorobiłem się w inny sposób, niż myślisz. Po co tak się krzywdzisz?

– To nie ja. Kiedy się obudziłem, już byłem tak poharatany. Nie mam się

z czego cieszyć.

Gentle spojrział na niego sceptycznie.

– Nie chciałem ich – tłumaczył z ożywieniem Athanasius. – Nie pragnąłem ani stygmatów, ani snów.

– Czemu tak się przyglądasz temu drzewu?

– Jestem głodny. Zastanawiałem się, czy wystarczy mi sił, żeby na nie wejść.

Gentle podążył za jego wzrokiem. Na wyższych gałęziach rosły kiście dojrzałych w blasku komety pasiastych mandarynek.

– Obawiam się, że niewiele ci pomogę. Za mało jest we mnie ciała, żebym mógł je zerwać. Może spadną, jak potrząsniesz drzewem?

– Już próbowałem. Zresztą mniejsza z tym, są ważniejsze sprawy niż mój pusty brzuch...

– Dobrze by było na przykład znaleźć jakież bandaże – zauważył Gentle, chwilowo wyzbywszy się podejrzeń. – Nie chcę, byś wykrawił się na śmierć, zanim zaczniemy Pojednanie.

– To się na nic nie zda. – Athanasius spojrział na swoje dłonie. – Krwawią, kiedy chcą, i przestają, kiedy chcą. Już się przyzwyczaiłem.

– No to przynajmniej znajdziemy ci coś do jedzenia. Zaglądałeś do tych domów?

– Nie jestem złodziejem.

– Nie sądzę, żeby któryś z mieszkańców jeszcze tu wrócił. Zjedz coś, zanim zemdlejesz z głodu.

Podeszli do pierwszego z brzegu domu. Athanasius potrzebował zachęty ze strony Gentle'a (mimo zaskoczonego oporami natury moralnej, jakie przejawiał jego towarzysz), zanim zdecydował się kopniakiem otworzyć drzwi. Wnętrze zostało już splądrowane, ale kuchnią nikt się nie zainteresował i nie brakowało w niej zapasów. Athanasius ostrożnie wziął się za robienie kanapek. Starał się nie urazić pokaleczonych rąk, ale i tak zakrwawił chleb.

– Ależ jestem głodny! Ty pewnie pościsz, co?

– Nie. A powinienem?

– To twoja decyzja. Każdy idzie do nieba własną drogą. Znałem człowieka, który nie umiał się modlić, póki nie usiadł na gnieździe zarzi.

Gentle skrzywił się z obrzydzeniem.

– To już nie religia, tylko masochizm.

– A masochizm to nie religia? Zdziwiasz mnie.

Gentle ze zdumieniem stwierdził, że Athanasius potrafi żartować. Z każdą chwilą coraz bardziej się do niego przekonywał. Może to spotkanie wyjdzie im obu na dobre? Chociaż jeżeli poruszą sprawę Wybielu i wydarzeń, które tam zaszły, wszelki rozejm straci sens.

– Jestem ci winien wyjaśnienie – rzekł Gentle.

– Tak?

– W związku z tym, co stało się w obozie. Przeze mnie straciłeś wielu wiernych.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł inaczej się zachować. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z natury sił, z którymi zadarliśmy.

– Ja chyba dalej sobie nie zdaję sprawy.

Athanasius spochmurniał.

– Mistyf narobił sobie niezłych kłopotów, żeby wrócić i cię nawiedzić.

– To nie było nawiedzenie.

– Jak zwał, tak zwał. To, co zrobił Pie'oh'pah, wymagało wielkiego hartu ducha, ale musiał wiedzieć, jakie będą konsekwencje. Dla niego samego i dla moich ludzi.

– Nie znosił krzywdzić ludzi.

– Co takiego miał zatem do powiedzenia, że tylu zabił?

– Chciał mieć pewność, że rozumiem, jaka jest moja rola.

– To za mało.

– Innego powodu nie umiem ci podać – odparł Gentle, pomijając wzmiankę o Sartorim. Athanasius nie mógł znać odpowiedzi na tę zagadkę, po co więc było go drażnić?

– Dzieje się coś, o czym nie mamy pojęcia. Widziałeś wodę?

– Tak.

– I co, nie zaniepokoił cię ten widok? Bo mnie bardzo. W grze biorą udział nieznane siły, Gentle. Nie jesteśmy sami. Może powinniśmy ich poszukać, zapytać je o zdanie?

– Jakie siły masz na myśli? Innych maestrów?

– Nie. Matkę Boską. Podejrzewam, że jest teraz w Yzordderrex.

– Ale pewności nie masz.

– Coś przecież porusza tę wodę.

– Czy gdyby się tu zjawiała, nie powinienes pierwszy się o tym dowiedzieć? Byłeś jednym z jej najwyższych kapłanów.

– To nieprawda. Oddawaliśmy jej cześć przy Wybielu, ponieważ popeł-

niono tam zbrodnię. Pewna kobieta została stamtąd uprowadzona do Pierwszego Dominium.

Floccus Dado opowiadał o tym Gentle'owi, gdy jechali przez pustynię, ale Gentle miał wtedy tyle na głowie, że zapomniał o tej historii. Historii jego matki, naturalnie.

– Nazywała się Celestine, prawda?

– Skąd wiesz?

– Znam ją. Żyje do dziś w Piątym Dominium.

Athanasius zmrużył oczy, jakby chciał sprawdzić, czy Gentle go nie nabiera, ale po chwili się uśmiechnął.

– A więc spotkałeś świętą kobietę. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

– Kiedy będzie po wszystkim, i ty będziesz mógł ją poznać.

– Z przyjemnością.

– Ale na razie musimy trzymać się planu. Żadnych zmian, rozumiesz? Możemy iść szukać Matki Boskiej po Pojednaniu, lecz nie wcześniej.

– Czuję się taki cholernie nagi...

– Jak my wszyscy. To nieuniknione, ale jest coś jeszcze, przed czym też nie możemy uciec.

– To znaczy?

– Jedność wszechrzeczy. Zespolenie. Uzdrawienie. To pewniejsze niż grzech, śmierć i mrok.

– Ładnie powiedziane... Kto cię tego nauczył?

– Powinieneś wiedzieć, dałeś mi z nim ślub.

– Ach tak... – uśmiechnął się Athanasius. – Pozwolisz, że przypomnę ci, po co mężczyzna się żeni? Żeby stać się całością. Dzięki kobiecie.

– Ze mną jest inaczej.

– Mistyf nie był dla ciebie kobietą?

– Czasami...

– A poza tym?

– Nie był ani kobietą, ani mężczyzną. Był czystą rozkoszą.

– To brzmi jak bluźnierstwo – zauważył wyraźnie poruszony Athanasius.

Gentle nigdy nie myślał w ten sposób o łączących go z mistykiem więzach; teraz też nie miał ochoty zmagać się z takimi wątpliwościami. Dla niego Pie był nauczycielem, przyjacielem i kochankiem, a także altruistycznym zwolennikiem Pojednania. Nie wierzył, żeby jego Ojciec mógł zaaprobować taki związek, gdyby było w nim coś bluźnierczego.

– Zostawmy tę sprawę – zaproponował – bo inaczej zaraz skoczmy sobie do gardeł. Nie wiem jak ty, ale ja wołałbym tego uniknąć.

– Ja również. Nie wracajmy do tego. Dokąd się teraz wybierasz?

– Na Wybiel.

– Kto będzie tam reprezentował Synod?

– Chicka Jackeen.

– No proszę! Sam go wybrałeś?

– Znasz go?

– Niespecjalnie. Wiem, że przybył na Wybiel długo przede mną; chyba nikt z naszych nie wiedział, od jak dawna Jackeen tam siedzi. Dziwny facet.

– Gdyby to go miało dyskwalifikować, my też nie nadawalibyśmy się do tej roboty.

– To prawda.

Gentle pożyczył Athanasiusowi powodzenia i rozstali się – w uprzejmej, choć nie przesadnie życzliwej atmosferze. Zwrócił myśli ku otaczającej Yzordderrex pustyni. Wnętrze domu rozplynęło się i jego miejsce zajął Wybiel, zatopiony we mgle, w której miał szczerą nadzieję znaleźć ostatniego członka Synodu.

4

Jude i Hoi-Polloi szły z biegiem strumienia, który zbierał po drodze dopływy i zanosilo się na to, że wkrótce będzie zbyt szeroki, żeby dało się go przeskoczyć, i zbyt wartki, żeby bezpiecznie przejść go w bród. Zamiast nadbrzeży ograniczały go tylko rynsztoki, ale ta sama siła, która ciągnęła go do góry, ograniczała też rozplywanie się wody na boki. Rzeka nie traciła na próżno energii, lecz biegła pod górę, podobna do zwierzęcia, które rośnie, wchłaniając inne istoty swojego gatunku. Nie można było mieć cienia wątpliwości, dokąd zmierza; na szczycie górującego nad miastem wzniesienia znajdowała się tylko jedna budowla – pałac autarchy. Jeżeli gdzieś po drodze nie otwierała się otchłań, w której ginęła cała woda, strumień musiał nieomylnie doprowadzić Jude i Hoi-Polloi do bram pałacu.

Pałacu, z którego Jude wyniosła mieszane wrażenia. Jedne – związane z

Wieżą Osi i komnatą, do której ściekały modlitwy – przerażające, inne – słodkie i erotyczne, jak wspomnienia czasu spędzonego w łożu Quaisoir, kiedy słuchała śpiewu Concupiscentii, a wyśniony kochanek, zbyt idealny, by mógł naprawdę istnieć, okrywał jej ciało pocałunkami. Nie było go już w pałacu, ona jednak wracała do labiryntu, który zbudował. Nie tylko pachniała nim („śmierdzisz spermą”, powiedziała Celestine), ale nosiła w łonie owoc jego miłości. Nawet po tym, jak Taylor powiedział Celestine wprost, co o niej myśli, a Clem ją pocieszył, nadal traktowała Jude jak najpodlejszego wyrzutka. Skoro ta kobieta, która ledwie otarła się o boskość, wyczuła na jej skórze woń Sartoriego, Tishalulle z pewnością też ją rozpozna i będzie wiedziała o dziecku. Jude postanowiła zresztą powiedzieć jej prawdę. Miała swoje powody, dla których zrobiła to, co zrobiła, i nie zamierzała się z nich tłumaczyć. Chciała stanąć przed ołtarzem bogiń z sercem przepełnionym – w równych proporcjach – pokorą wobec nich i szacunkiem dla samej siebie.

Widać już było bramę pałacu. Rzeka z hukiem toczyła spienione wody prosto w jej stronę. Oba skrzydła wrót były otwarte na oścież – Jude nie wiedziała czy pod naporem powodzi, czy wskutek jakiegoś wcześniejszego ataku – i woda swobodnie wlewała się za mury.

– Jak tam wejdziemy? – zaniepokoiła się Hoi-Polloi.

– Strumień nie jest głęboki – zauważyła Jude. – Razem możemy go pokonać w bród. Podaj mi dłoń.

Nie dając dziewczynie czasu na dyskusję, złapała ją za rękę i weszła w nurt rzeki. Woda istotnie była płytka – piana osiadała im nieco ponad kolanami – ale nurt rwący, toteż musiały iść wolno i ostrożnie. Nie widziały dna, lecz Jude czuła, jak woda wyrywa jej kamienie spod stóp. Zniszczenie bruku, którego przez dwa stulecia nie naruszyły pochody żołnierzy, niewolników i pokutników, rzece miało zająć kilkanaście minut.

Niepewny grunt nie był zresztą jedynym niebezpieczeństwem, z jakim Jude i Hoi-Polloi musiały się liczyć. Ładunek próśb, modlitw i śmiecia, zebrany w pięciu czy sześciu niżej położonych kesparatach, był już pokaźny; kłody drewna uderzały boleśnie w łydki, szmaty owijały się wokół kolan. Jude jednak mocno trzymała się na nogach i brnęła uparcie do przodu, aż znalazły się za bramą. Od czasu do czasu zerkała za siebie, żeby dodać dziewczynie otuchy, chociaż ani przez chwilę nie groziło im poważne niebezpieczeństwo.

W obrębie pałacowych murów rzeka bynajmniej nie straciła impetu –

przeciwnie, zdawała się zyskiwać nowe siły, gdy coraz bardziej wzburzona pięła się na kolejne dziedzińce. Nad pałacem kometa świeciła jaśniej niż w dole zbocza i na ponurym kamieniu kładły się delikatne, srebrzyste wzory odbitego od fal światła. W którymś momencie zapatrzona w nie Jude straciła równowagę i runęła na plecy do wody, pociągając za sobą Hoi-Polloi. Nie musiały się raczej obawiać utonięcia, ale wartki nurt niósł je swobodnie i Hoi-Polloi, znacznie lżejsza od Jude, popłynęła przodem. Obie próbowały stanąć na nogi, lecz wśród tyłu wirów i zmiennych prądów było to niemożliwe. Wreszcie całkiem przypadkowo Hoi-Polloi, ciśnięta na spiętrzoną zaporę z naniesionego śmiecia, częściowo blokującą przepływ wody, zdołała podźwignąć się na kolana. Rzeka napierała cały czas, nieustępliwie próbując ją porwać, ale dziewczyna zapała się mocno i gdy Jude przepływała obok, zdołała już prawie stanąć na nogi.

– Daj rękę! – krzyknęła, jakby odpowiadając na wcześniejszą propozycję Jude.

Jude wyprężyła się jak struna, próbując dosięgnąć dłoni Hoi-Polloi, rzeka jednak miała wobec niej inne plany. Kiedy dzieliły je dosłownie centymetry, nurt obrócił Jude i pchnął dalej z taką siłą, że na chwilę zabrakło jej tchu. Nie zdążyła nawet odpowiedzieć, lecz natychmiast wpadła pod monolityczny łuk i zniknęła Hoi-Polloi z oczu.

Woda ryczała i pieniała się gwałtownie, miotając nią na wszystkie strony i niosąc przez kruzganki i kolumnady, ale Jude nie czuła lęku. Wprost przeciwnie – udzielał się jej entuzjazm rzeki. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do tej, która przywołała wody – i która była zarazem ich źródłem. Dopiero na końcu tego szalonego rejsu mogło się okazać, czy Tishalulle, Jokalay-lau czy jakakolwiek inna bogini, która tego dnia nawiedziła Yzordderrex, uzna ją za swoją poddaną, czy za jeszcze jeden śmieć w nurcie rzeki.

5

O ile w Yzordderrex szczegóły piękniały – każdy kolor śpiewał, każdy pęcherzyk w wodzie skrzył się jak kryształ – o tyle Wybiel wyglądał absolutnie nijako. Nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało gęstej mgły. Otulała

powalone namioty i zmarłych, którzy nie pogrzebani spoczywali w zwojach jak w całunach. Kometa nie miała w sobie dość blasku, by przebić mgłę zalegającą wyżej w powietrzu, świeciła ponuro i blado. Na lewo od Gentle'a majaczył krąg Madonn, w którym schronił się Athanasius z uczniami. Nie było w nim jednak człowieka, którego szukał. Nie widział go też po drugiej stronie, gdzie mgła ograniczała widoczność do dziesięciu kroków. Zagłębił się w nią. Wolał nie wołać Chicki Jackeena, mimo że jego głos sięgnąłby zapewne dalej niż wzrok. Zdawało się, że cała okolica zawiązała niemy spisek i nie chciał rzucać jej wyzwania. Szedł więc w milczeniu przed siebie; ledwie rozdzielał pasma mgły, jego stopy nie zostawiały śladów na piasku. Czuł się tu bardziej zjawą niż w poprzednio odwiedzonych dominiach. Mgła i ten krajobraz idealnie pasowały do jego obecnego stanu.

Nie musiał długo błądzić. Wkrótce mgła zaczęła rzednąć i dostrzegł Chickę Jackeena, który wygrzebał z ruin obozu krzesło i stolik, usadowił się plecami do muru Pierwszego Dominium i stawiał pasjansa. Cały czas mówił do siebie. Wszyscy jesteście obłąkani, pomyślał Gentle. Tick Raw obzera się musztardą, Scopique bawi się w podpalacza, Athanasius stygmatyk robi ofiarne kanapki, a Chicka Jackeen gada sam do siebie jak neurotyczna małpa. Wariaci, co do jednego. A on Gentle, był chyba najgorszy z nich wszystkich. Zakochał się w istocie, która przeczyła wszelkim definicjom płci, w dodatku stworzył człowieka, który niósł zagładę całemu narodowi. Jedyne, co pozwalało mu zachować resztki rozumu, to świecący jasno płomień od Boga – rola Pojednawcy.

– Jackeen?

Zmieszany Chicka Jackeen podniósł wzrok znad kart.

– Och, maestro... Witaj.

– Nie mów, że się mnie nie spodziewałeś.

– Nie tak szybko. Już czas? Udajemy się do Ana?

– Jeszcze nie. Chciałem tylko sprawdzić, czy jesteś gotowy.

– Jestem gotowy, maestro. Możesz mi zaufać.

– Wygrywasz?

– Gram sam ze sobą.

– To jeszcze nie znaczy, że nie możesz wygrać.

– Nie? No... nie. Masz rację. Zatem tak, wygrywałem.

Jackeen wstał od stołu i zdjął okulary, w których rozkładał karty.

– Czy odkąd tu siedzisz, ktoś wynurzył się z Wybielu?

– Nie, nikt stamtąd nie wychodził. Od czasu gdy Athanasius sobie poszedł, nie słyszałem ludzkiego głosu.

– Athanasius jest członkiem Synodu. Scopique namówił go, żeby dołączył do nas jako przedstawiciel Drugiego Dominium.

– A co się stało z Eurhetemekiem? Nie został chyba zamordowany?

– Umarł ze starości.

– Jesteś pewien, że Athanasius się do tego nadaje? – zapytał Jackeen, po czym, jakby uznając, że tym pytaniem przekroczył przewidziane w protokole spotkania granice, powiedział: – Wybacz, nie mam prawa podawać w wątpliwość twojego osądu sytuacji.

– Przeciwnie, masz do tego pełne prawo. Musimy ufać sobie nawzajem bez zastrzeżeń.

– Mnie wystarczy, że ty mu ufasz.

– W takim razie jesteście gotowi.

– Za pozwoleniem... jest jeszcze jedna sprawa.

– Słucham.

– Powiedziałem, że nikt się stamtąd nie wynurzył. To prawda...

– Ale coś weszło na Wybiel, tak?

– Tak. Zeszłej nocy jak zwykle spałem sobie pod stołem. – Jackeen wskazał rozłożone na ziemi posłanie. – Obudziłem się zziębnięty do szpiku kości. Nie byłem pewien, czy wciąż nie śpię, więc nie spieszyłem się ze wstawaniem, ale kiedy wygrzebałem się z koców, widziałem, jak z mgły wynurzyły się te stwory. Były ich dziesiątki.

– Jakie stwory?

– Nullianaki. Wiesz, jak wyglądają?

– Pewnie.

– Naliczyłem ich co najmniej pięćdziesiąt, i to tylko w zasięgu wzroku.

– Próbowaly ci coś zrobić?

– Chyba mnie nawet nie widziały. Wszystkie szły ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt...

– Pierwsze Dominium?

– Nie inaczej. Zanim jednak weszły na Wybiel, rozebrały się, rozpały ogniska i spaliły to, co miały na sobie i przy sobie.

– Wszystkie?

– Wszystkie, które widziałem. To było coś niesamowitego.

– Mógłbyś mi pokazać te ogniska?

– Jasne. – Jackeen ruszył przodem, cały czas mówiąc: – Nigdy przedtem nie widziałem nullianaca, ale słyszałem o nich.

– To prawdziwe potwory. Parę miesięcy temu zabiłem jednego takiego w Vanaeph. Potem w Yzordderrex spotkałem jego brata. Zamordował dziewczynkę, którą się opiekowałem.

– Słyszałem, że wprost uwielbiają niewinne ofiary. Poza tym wszystkie są ze sobą spokrewnione, chociaż nikt nigdy nie widział samicy nullianaca. Niektórzy twierdzą, że takich samic w ogóle nie ma.

– Sporo o nich wiesz.

– Dużo czytałem. – Jackeen zerknął przez ramię na Gentle'a. – Jak to się mówi: studiując, nie zapominaj...

– ...że wszystko to już wiesz.

– Właśnie.

Słyszając z ust Jackeena tę starą maksymę, Gentle przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem. Czy była tak rozpowszechniona, że każdy uczeń znał ją na pamięć? Czy też Chicka Jackeen miał na myśli coś więcej? Gentle przystanął. Jackeen zatrzymał się obok niego, uśmiechając się szelmowsko. Tym razem Gentle zmienił się w pilnego studenta i wpatrywał się w jego twarz jak w książkę. I wyczytał w niej prawdę.

– Mój Boże... Lucius!

– Tak, maestro. To ja.

– Lucius! Lucius!

Mimo że minęło sporo czasu, Lucius wcale nie wyglądał najgorzej. Jego twarz nie była już twarzą młodego akolity, z którym Gentle pożegnał się przy Gamut Street, ale i tak odcisnęła się na niej ledwie dziesiąta część dwustu lat, jakie minęły od tamtej pory.

– To niewiarygodne!

– Myślałem, że mnie rozpoznałeś, tylko się ze mną bawisz.

– Skąd mogłem wiedzieć?

– Naprawdę aż tak się zmieniłem? – spytał rozczarowany Lucius. – Potrzebowałem dwudziestu trzech lat, żeby opanować sztukę zatrzymania czasu, ale wydawało mi się, że zdążyłem uchwycić resztki młodości, zanim przeminęła. To próżność z mojej strony, wybacz.

– Kiedy się tu znalazłeś?

– Całe życie temu. Najpierw wędrowałem trochę po dominiach, miałem różnych mistrzów, ale z żadnego nie byłem naprawdę zadowolony. Zawsze

porównywałem ich z tobą, a oni nie mogli ci dorównać.

– Nauczycielem akurat byłem żalonym.

– Wcale nie! Nauczyłeś mnie podstaw sztuki, dzięki którym świetnie dałem sobie radę. Przynajmniej w moich oczach.

– Jedynej lekcji udzieliłem ci wtedy na schodach, w ostatnią noc. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam! O nauce i strachu. Coś wspaniałego!

– Ale to nie były moje słowa. Luciusie. Mistyf mnie ich nauczył. Ja tylko przekazałem je tobie.

– Czy nie tym właśnie zajmują się nauczyciele?

– Ci najlepsi doskonałą mądrość, zamiast po prostu ją powtarzać. Ja niczego nie doskonaliłem. Uważałem, że wszystko, co mówię, jest doskonałe, bo spływa z moich ust.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś kolosem na glinianych nogach?

– Na to wygląda.

– I sądzisz, że o tym nie wiedziałem? Widziałem, co się stało w Azylu. Widziałem, jak przegrywasz, i dlatego właśnie czekałem tu na ciebie.

– Nie rozumiem...

– Byłem pewien, że nie pogodzisz się z porażką. Trochę odczekałeś, ułożyłeś nowy plan, ale któregoś dnia, choćby i za tysiąc lat, musiałeś jeszcze raz spróbować.

– Kiedy przy okazji opowiem ci, jak było naprawdę, mina ci zrzędzie.

– To nieważne, grunt że tu jesteś. Mój sen nareszcie się spełni.

– Jaki sen?

– Że będziemy razem pracować. Spotkamy się w Ana, jak maestro z maestrem. – Lucius wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jest Bóg w niebie! Odrobinię więcej tego szczęścia i chyba bym umarł. No, jesteśmy na miejscu. – Zatrzymał się i wskazał płamę na ziemi kilka metrów przed nimi. – Patrz, maestro, to właśnie resztki jednego z ognisk.

W popiele zostały jakieś resztki ubrania. Gentle podszedł bliżej.

– Nie mogę go przeszukać – stwierdził. – Zrobisz to za mnie?

Lucius posłusznie pochylił się nad ogniskiem i wygrzebał strzępy ubrań: kawałki szat i płaszczy w różnych stylach, jedne bogato wyszywane na pata-shoquańską modłę, inne proste jak jutowe worki, jeszcze inne ozdobione medalami, jakby ich właściciel był żołnierzem.

– Nullianaki musiały tu zejść z całej Imajiki – zauważył Gentle.

- Ktoś je wezwał.
- Prawdopodobnie.
- Tylko po co?
- Wydaje mi się, że Niewidziany zabrał je do swojego pieca, Luciusie – odparł po chwili namysłu Gentle. – Spalił je.
- Chce oczyścić dominia?
- Tak. Nullianaki o tym wiedziały. Zrzuciły ubrania jak pokutnicy, bo wiedziały, że czeka je sąd ostateczny.
- Widzisz? Naprawdę jesteś mądry.
- Spalisz te resztki, kiedy odejdę?
- Dobrze.
- Powinniśmy podporządkować się Jego woli i oczyścić Imajicę.
- Zaraz się tym zajmę.
- Ja wracam do Piątego Dominium, żeby dokończyć przygotowania.
- Czy Azyl jeszcze stoi?
- Tak, ale nie tam się udaję. Sprowadziłem się z powrotem na Gamut Street.
- To był kiedyś piękny dom.
- Nadal na swój sposób jest piękny. Parę dni temu spotkałem cię w nim na schodach.
- Ciałem tutaj, duchem tam? Cóż może być doskonalszego?
- Być ciałem i duchem w zjednoczonym Stworzeniu.
- A tak... To rzeczywiście byłoby coś.
- I będzie. Wszystko jest jednością, Luciusie.
- Nie zapomniałem tej lekcji.
- To dobrze.
- Chciałem tylko zapytać...
- Tak?
- Czy możesz mnie od tej pory nazywać Chicką Jackeenem? Młodość przeminęła, wraz z nią mogę stracić imię.
- Niech będzie, maestro Jackeen.
- Dziękuję.
- Niedługo znów się spotkamy – powiedział Gentle i pomyślał o powrocie.

Tym razem nie szukał okrzęnej drogi, nie zwlekał z przyczyn sentymentalnych. Przemknął przez Yzorderrex, Postną Drogą nad Kołyskę, minął

ciemne wzniesienia Jokalaylau, Lipper Bayak i Patashoqua (tutaj miał jeszcze wrócić), i wrócił do Piątego Dominium – do pokoju w domu przy Gamut Street.

Był dzień. Clem stał przy drzwiach i cierpliwie czekał na powrót maestra. Nie chciał zwlekać ani chwili z przekazaniem mu nowin. Gdy tylko zauważył, że twarz Gentle'a drgnęła, oznajmił:

– Wrócił Monday.

Gentle przeciągnął się i ziewnął. Łupało go w karku i krzyżu, pęcherz mało mu nie pękł, ale – wbrew temu, co prorokował Tick Raw – kiszki nie zawiadły.

– To dobrze – odparł. Wstał i pokuśtykał do kominka. Oparł się o ścianę i zaczął przestępować z nogi na nogę, żeby wróciło mu w nich czucie. – Ma kamienie?

– Tak. Ale przyjechał sam, bez Jude.

– A gdzie ona się podziała?

– Nie chciał mi nic powiedzieć. Twierdzi, że ma ci coś od niej do przekazania, ale z nikim innym nie będzie rozmawiał. Chcesz z nim pogadać? Je na dole śniadanie.

– Chętnie. Powiedz mu, żeby przyszedł. I skombinuj mi jakąś przegryzkę. Byle nie parówki.

Kiedy Clem zszedł po schodach, Gentle otworzył okno na oścież. Ostatni dzień, który oglądał Piąte Dominium przed Pojednaniem, wstał jakiś czas temu i temperatura zdążyła wzrosnąć na tyle, że powiędły liście na drzewie obok domu. Słyszac tupot stóp Mondaya, Gentle odwrócił się do drzwi. Chłopiec wpadł do pokoju z niedojedzonym hamburgerem w jednej ręce i niedopalonym papierosem w drugiej.

– Chciałeś mi coś powiedzieć...

– Zgadza się, szefie. Mam wiadomość od Jude.

– Gdzie ona jest?

– W Yzordderrex. To część wiadomości: jest w Yzordderrex.

– Widziałeś, jak się tam udała?

– Niezupełnie. Kazała mi wyjść, więc jej posłuchałem.

– A co z resztą wiadomości?

– Miałem ci powiedzieć... – tu Monday dał popis koncentracji – ...gdzie jest, i to już zrobiłem. Kazała ci jeszcze powtórzyć, że Pojednanie jest niebezpieczne i żebyś nic nie robił, dopóki się z tobą nie skontaktuje.

– Niebezpieczne? Tak powiedziała?

– Właśnie tak. Nie żartuję.

– Wiesz, co miała na myśli?

– Możesz mnie zabić, szefie, ale nie. – Monday spojrział w ciemny kąt pokoju. – Nie wiedziałem, że masz małpkę. Teraz ją przyprowadziłeś?

W kącie siedział Spokojek i patrzył na Gentle'a żałośnie. Musiał w nocy zakraść się do pokoju. Monday przykucnął.

– Lubi hamburgery?

– Nie wiem, spróbuj – odparł z roztargnieniem Gentle. – Czy to wszystko, co Jude ci powiedziała: Pojednanie jest niebezpieczne?

– Wszystko, szefie, słowo honoru.

– Przyszliście do Azylu, a potem powiedziała, że nie wraca z tobą?

– Nie tak od razu. – Monday skrzywił się, gdy stworzenie, które brał za małpkę, wychynęło z kąta i zaczęło się skradać po hamburgera.

Próbował wstać, ale widząc żarłoczny uśmiech zwierzątka postanowił się nie ruszać, tylko wyciągnął rękę z hamburgerem jak najdalej. Spokojek zatrzymał się, powąchał kanapkę i zamiast wydrzeć ją zębami z dłoni chłopca, wziął delikatnie do ręki, odchylając mały palec w bok.

– Powiesz mi, co było dalej? – upomniał się Gentle.

– Jasne. Kiedy przyszliśmy do Azylu, leżał tam jakiś gość i Jude trochę z nim pogadała.

– Znała go?

– Tak.

– Jak się nazywał?

– Zapomniałem – odparł Monday, a widząc mars na czole Gentle'a, zaczął się tłumaczyć: – Jakby to była część wiadomości, tobym pamiętał!

– Spróbuj sobie przypomnieć. – Gentle zaczynał węszyć spisek. – Kto to był?

Monday wstał i nerwowo zaciągnął się papierosem.

– Nie mogę... To przez te ptaki, pszczoły i w ogóle... Nie słuchałem. Jakoś tak krótko, Cody, Coward...

– Dowd?

– Właśnie, Dowd! Mówię ci, strasznie był pociachany.

– Ale żywy.

– Przez chwilę. No więc pogadali sobie.

– I po tej rozmowie Jude powiedziała, że wybiera się do Yzordderrex?

– No tak. Kazała mi zawieźć ci kamienie i przekazać wiadomość.

– A ty zrobiłeś jedno i drugie. Dziękuję.

– Ty jesteś tu szefem, szefie. To wszystko? Jakbyś coś chciał, będę na schodkach. Szykuje się niewąski upał.

Monday zbiegł na dół.

– A ty co tu robisz? – zapytał Gentle Spokojka.

– Nudziło mi się samemu.

– Obiecałeś, że będziesz posłuszny.

– Nie ufasz jej, prawda? Myślisz, że chce się spotkać z Sartorim.

Nie, do tej pory Gentle na to nie wpadł. Kiedy jednak Spokojek podsunął mu tę możliwość, nie wydała się wcale nieprawdopodobna. Przecież sam słyszał – tu, w tym domu – jak mówiła, co czuje do Sartorigo. Wierzyła, że i on ją kocha. Może po prostu, korzystając z chwili nieuwagi Mondaya, wymknęła się z Azylu i udała na poszukiwania ojca jej dziecka. Jeśli tak, to zachowywała się nielogicznie, uciekając w ramiona człowieka, którego wrogowi pomagała osiągnąć zwycięstwo. Nie był to jednak dzień na analizowanie takich zagadek. Jude zrobiła to, co zrobiła, i miała w tym swój cel.

Gentle podciągnął się na parapet, gdzie często siedział, planując swoje podróże, i starał się nie myśleć o Jude. W tym pokoju nie przychodziło mu to łatwo, tu przecież przyszła na świat.

W szparach między deskami z pewnością po dziś dzień tkwiły drobinki piasku, którym wysypał krąg, i to przesycone olejami, którymi namaścił jej nagie ciało. Starał się skoncentrować, ale jedna myśl nieubłaganie pociągała następną. Przypomniał sobie ją nagą, wyobraził sobie, jak jej dotyka śliską od olejku dłonią, jak ją całuje... Nie minęła minuta, a już członek w erekcji wypychał mu bieliznę.

Że też akurat w ten rano rozpraszały go takie myśli! W dziele, do którego się szykował, nie było miejsca na cielesne pokusy. To przez nie poprzednia próba Pojednania zakończyła się tragicznie. Tym razem nie zamierzał dać im się zwieść ani na krok z uświęconej drogi. Spojrzał zde gustowany na swoje lędźwie.

– Obetnij go sobie – poradził mu Spokojek.

Gdyby mógł tego dokonać, nie robiąc zarazem z siebie inwalidy, nie ważyłby się ani chwili. Teraz darzył swoją męskość jedynie pogardą; miał ochotę pozbyć się tego napalonego idioty.

– Panuję nad sytuacją – odparł.

– To słynna ostatnia kwestia – zauważył potworek.

Kos usiadł na gałęzi i pogwizdywał beztrosko. Gentle spojrział w jego stronę i przeniósł wzrok wyżej, na rozpalone błękitne niebo. Udało mu się oderwać od poprzednich myśli; gdy Clem wszedł do pokoju, niosąc śniadanie, spazm cielesności minął i Gentle spokojnie przywitał swoich aniołów stróżów.

– Teraz musimy czekać – powiedział.

– Na co?

– Na powrót Jude.

– A jeśli ona nie wróci?

– Wróci. Tu się urodziła; tu jest jej dom, czy się jej to podoba, czy nie. Nie ma wyboru. Jeżeli okaże się, że spiskuje przeciw nam, Clemie... Jeśli spiknęła się z wrogiem, to przysięgam, że tu, w tym pokoju wykreślę magiczny krąg i odczynię ją tak zgrabnie, jakby nigdy nie istniała.

ROZDZIAŁ 55

1

Lekceważąca prawo ciężenia rzeka była delikatna. Mimo że ze sporą szybkością niosła Jude przez pałacowe korytarze (odarte już z obić i wyposażenia), traktowała cenny ładunek z niezwykłą ostrożnością. Zamiast obijać się o ściany i kolumny, Jude unosiła się na falach, które nie wzbierały ani nie opadały gwałtownie, lecz mknęły do przodu. Wiedziała, dokąd zmierza; Wieża Osi zawsze stanowiła najbardziej niezwykły element zbudowanego przez autarchę labiryntu i choć widziała na własne oczy, jak Oś się rozpada, nie miała wątpliwości, że tam właśnie skończy się podróż. Modlitwy i prośby wiernych zmierzały tam od wieków, a siła, która wezwała wzburzone wody, postawiła własny tron na gruzach upadłego.

I rzeczywiście, woda wyniosła Jude z ogołoconych korytarzy prosto w surowe okolice wieży, zwolniła biegu i wyrzuciła ją w gęste od odpadków bajorro. Spomiędzy śmiecia wyrastały schody. Jude z wysiłkiem wczołgała się na nie i położyła – wyczerpana, lecz szczęśliwa. Fale omywały stopnie jak żwawy wiosenny przypływ, aż zaraziły ją swoją ochotą do wdrapania się na górę. Wstała więc i ruszyła dalej.

Na schodach nie paliły się wprawdzie żadne lampy, ale i tak z góry spływało światło, które – podobnie jak przy bijących z asfaltu źródłach – rozszczepiało się i tworzyło tęcze. Miało się wrażenie, że wyżej pałac też jest zalany, i to wodą, która całkiem inną drogą dostała się do wnętrza. Jude nie zdążyła dojść nawet do połowy schodów, gdy u szczytu stanęły dwie kobiety.

Obie były ubrane w proste, luźne szaty w kolorze lnu. Wyższa z nich (o posturze prawdziwej olbrzymki) miała rozpiętą suknię i obnażone piersi, przy których trzymała dziecko. Wyglądała podobnie dziecinnie jak jej pociecha; miała rzadkie włosy, okrągłą twarz i rumianą cerę. Jej towarzyszka była starsza, szczuplejsza i bardziej śniada. Rozpuszczone siwe włosy opadały jej na ramiona jak kaptur. Na rękach nosiła rękawiczki, na nosie okulary. Przyglądała się Jude z dziwnie profesjonalnym dystansem.

– Jeszcze jedna dusza ocalona z powodzi – stwierdziła.

Jude zatrzymała się. Kobiety nie próbowały bronić jej wstępu, ale chciała znaleźć się przy nich jako gość, a nie intruz.

– Czy mogę...

– Naturalnie – odparła kobieta z dzieckiem. – Chcesz poznać boginie?

– Tak.

– Czyli jesteście z Bastionu Banu?

Zanim Jude zdążyła zareagować, druga z kobiet zaprotestowała:

– Oczywiście że nie! Spójrz tylko na nią!

– Ale przyniosła ją woda.

– Woda poniesie każdą, która odważy się w niej zanurzyć. Nas też przyniosła, prawda?

– Dużo was jest? – spytała Jude.

– Setki. Teraz już może nawet tysiące.

Nie zdziwiła się zbytnio. Skoro nawet ona, obca w dominiach, zaczęła podejrzewać, że boginie wciąż żyją, to o ileż większe nadzieje musiały żywić kobiety żyjące tu na co dzień i pamiętające Tishalulle i Jokalaylau!

Kiedy weszła na schody, kobieta w okularach się przedstawiła:

– Nazywam się Lotti Yap.

– A ja Judith.

– Miło nam cię poznać, Judith – odezwała się kobieta z dzieckiem. – Jestem Paramarola. A ten maluch nazywa się Billo.

– To twoje dziecko?

– A gdzie ja bym znalazła mężczyznę, który by mnie obdarzył takim małościem?

– Dziewięć lat spędziłyśmy w Aneksie – wyjaśniła Lotti. – Jako goście autarchy.

– Oby zwiądł jego kolec, a jagody zgniły – dodała Paramarola.

– Skąd jesteście?

– Z Piątego Dominium – odparła Jude, słuchając ich jednym uchem. Jej uwagę przyciągnęło okno po drugiej stronie zachlapanego korytarza – a właściwie nie okno, raczej roztaczający się za nim widok. Zdumiona podeszła do parapetu. Zobaczyła coś naprawdę niecodziennego. W samym środku pałacowego kompleksu woda wymiotła do czysta obszar o promieniu blisko pół kilometra – zburzyła ściany i kolumny, zniosła dachy, porwała sprzęty. Z jeziora wystawały tylko kamieniste wyspy w miejscu najwyższych wież, a tu i ówdzie narożnik któregoś z amfiteatrów, ocalały chyba po to, by szydzić z dumy i zadufania architekta. Zanosiło się zresztą na to, że powódź niebawem pochłonie i te fragmenty budowli; woda płynęła wśród nich niespiesznie, ale sam jej ciężar musiał być wystarczający, by zburzyć resztki arcydzieła Sartoriego.

Pośrodku tego miniaturowego morza znajdowała się wyspa większa niż inne. Zamiast plaży miała szczątki komnat, uniesione nurtem i skupione wokół Wieży Osi; zamiast wysokiego wybrzeża – kamienie ze ścian wieży, przemieszane z okazałymi odłamkami Osi, a dalej wznosiła się sama wieża, wyszczerbiona, lśniąca piramida, w której zdawało się, że płonie biały ogień. Widząc ogrom zniszczeń (woda w kilka dni, a może nawet godzin, miała zmieść budowlę, którą autarcha projektował i tworzył przez dziesięciolecia), Jude zaczęła się dziwić, że bez szwanku dotarła tak daleko. Siła, którą w źródłach na zboczach góry traktowała jak niewinną, choć świadomą moc, tutaj objawiła pełnię swoich niszczycielskich możliwości.

– Widziałyście, jak to się stało? – zapytała.

– Widziałam samą końcówkę – odparła Lotti. – Muszę przyznać, że było na co popatrzeć. Jak te wieże padały...

– Bałyśmy się – wtrąciła Paramarola.

– Mów za siebie – skarciła ją Lotti. – Woda nie po to nas uwolniła, żeby zaraz utopić. Bo widzisz, kiedy byłyśmy uwięzione w Aneksie, wezbrała, wyrwała drzwi i zburzyła ściany.

– Przecież wiedziałyśmy, że boginie się zjawiają, prawda?

– Nie uwierzyłyście, kiedy mówiono, że nie żyją?

– Nigdy. Mogły zostać pogrzebane żywcem, mogły zasnąć, mogły nawet postradać rozum. Ale żyły.

– Rola ma rację – przytaknęła Lotti. – Czekałyśmy na ten dzień.

– Wasz triumf może się okazać krótkotrwały.

– Co masz na myśli? Przecież autarchy już nie ma.

– Autarcha oszczędł, ale jego Ojciec pozostał.

– Jego ojciec? – zdziwiła się Paramarola. – Myślałam, że autarcha jest bękartem.

– To kto jest jego ojcem?

– Hapexamendios.

Paramarola parsknęła śmiechem, ale Lotti szturchnęła ją pod zebro.

– To nie żarty, Rola.

– Niemożliwe!

– A widzisz, żeby Judith się śmiała? Bo ja nie. – Lotti zwróciła się do Judith: – Możesz to udowodnić?

– Nie...

– To skąd ten pomysł?

Jude nie wiedziała, jak przekonać ludzi o pochodzeniu Sartoriego, ale optymistycznie zakładała, że w stosownym momencie dozna olśnienia. Tymczasem była rozczarowana i wściekła. Jeżeli będzie musiała opowiedzieć historię swojego żalosego romansu z autarchą Sartorim wszystkim, którzy staną jej na drodze do bogiń, świat się skończy, zanim dojdzie do połowy. Nagle wpadła na świetny pomysł.

– Oś jest najlepszym dowodem – powiedziała.

– Jak to? – Lotti z nowym zainteresowaniem przyglądała się kobiecie, którą powódź rzuciła jej do stóp.

– Nie dałby rady ruszyć jej z miejsca, gdyby Ojciec mu nie pomógł.

– Ale przecież Oś nie jest własnością Niewidzianego – zauważyła Paramarola. – Nigdy nie była.

Jude zmieszła się trochę.

– Rola ma rację – przyznała Lotti. – Posługiwał się nią, żeby kontrolować słabych mężczyzn, ale nigdy do niego nie należała.

– A do kogo?

– Mieszkała w niej Uma Umagammagi.

– Kto taki?

– Siostra Tishalulle i Jokalaylau; przyrodnia siostra córek rzecznej delty.

– To w Osi była bogini?

– Tak.

– I autarcha o tym nie wiedział?

– Nie. Ukryła się w Osi przed Hapexamendiose, kiedy przemierzał Imajicę. Jokalaylau schowała się w śniegu, a Tishalulle...

– ...w Kołysce Chzercemit – dokończyła Jude.

– No właśnie. – Lotti była wyraźnie pod wrażeniem jej wiedzy.

– Uma Umagammagi schroniła się w kamieniu – ciągnęła Paramarola, jakby opowiadała dziecku bajkę. – Myślała, że on jej nie zauważy w takiej kryjówce. Ale uczynił Oś środkiem Imajiki i przelał w nią swoją moc. Uma Umagammagi została uwięziona.

Co za ironia losu! – pomyślała Jude. Architekt Yzordderrex zbudował swoją fortecę – ba, całe imperium! – wokół uwięzionej bogini. Analogia do sytuacji Celestine też nie uszła jej uwagi. Roxborough nieświadomie kontynuował niechlubną tradycję, grzebiąc Celestine w fundamentach swego domu.

– Gdzie są teraz boginie? – zapytała Jude.

– Na wyspie. Za kilka dni wezwą nas i pobłogosławią.

– Nie mam tyle czasu. Jak mogę dostać się na wyspę?

– Zostaniesz wezwana, gdy nadejdzie czas.

– Nie mogę czekać. Teraz albo nigdy. – Jude rozejrzała się po korytarzu. – Dziękuję za lekcję. Może jeszcze się spotkamy.

Postanowiła wybrać prawą odnogę korytarza, gdy nagle Lotti złapała ją za rękaw.

– Ty nic nie rozumiesz, Jude. Przy boginiach jesteśmy bezpieczne. Nic nam tu nie grozi, nawet Niewidziany jest bezsilny.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Naprawdę chcę w to wierzyć, ale muszę je ostrzec. Na wypadek gdybyście jednak nie miały racji.

– Lepiej będzie, jeśli pójdziemy z tobą. Sama nigdzie nie trafisz.

– Zaczekaj – powstrzymała Lotti Paramarola. – Czy to rozsądne? Ona może być groźna.

– A my nie? Przecież dlatego nas zamknęli. Zapomniałaś?

2

Już atmosfera na ulicach przywodziła na myśl jakiś postapokaliptyczny karnawał – woda tańczyła wesoło, dzieci chichotały, powietrze mieniło się barwami tęczy – ale w okolicach zatopionego dziedzińca wrażenie to było

stokroć silniejsze. Także i tutaj nie brakowało dzieci. Chłopcy i dziewczynki (żadne chyba nie miało więcej niż pięć lat) bawili się tłumnie w korytarzach, wypełniając je melodyjnym śmiechem, jaki nie rozbrzmiewał w tych murach, odkąd je wybudowano. Wody też było pełno – stała w kałużach, ciekła strumykami, jak kurtyna spływała ze zworników łukowatych przejść, w komnatach bulgotały źródła, a pod sufit biły fontanny. W każdej struzce Jude wyczuwała tę samą wolę i świadomość, co w rzece, którą przyniosła ją do pałacu; to była żywa woda, przepelniona duchem bogiń. Promienie stojącej w zenicie komety przez każdą możliwą szczelinę wdzierały się do wnętrza gmachu, zmieniały kałuże w cudowne jeziora i wplatały się w bryzgi tryskające z rzygaczy.

Po korytarzach kręciły się również tłumy kobiet. Niektóre (jak wyjaśniła Lotti) były dotąd uwięzione w Bastionie Banu lub jego budzącym grozę Aneksie, inne dały się ponieść instynktowi, podążyły z biegiem strumieni i same znalazły drogę na pałacowe wzgórze, zostawiwszy na dole żywych lub martwych mężów.

– Czy tu w ogóle nie ma mężczyzn?

– Tylko chłopcy – odparła Lotti.

– Oni wszyscy są jak dzieci – zauważyła Paramarola.

– W Aneksie był taki kapitan, prawdziwy bydlak – mówiła dalej Lotti. – Kiedy przyszła woda, musiał chyba opróżnić pęcherz, bo jego trup przepłynął koło naszej celi ze spuszczonej spodniami...

– I wiesz co? – wtrąciła Paramarola. – Jeszcze trzymał ptaszka w ręce. Miał wybór: albo tak zostać, albo pływać...

– ...ale nie puścił go i utonął.

Paramarola śmiała się tak serdecznie, że jej sutek wysliznął się dziecku z ust. Mleko trysnęło maluchowi na buzię, co wywołało następną falę wesołości. Jude nie pytała, skąd Paramarola ma pokarm, skoro ani nie urodziła dziecka, ani – najwyraźniej – nie jest w ciąży. To była po prostu jedna z wielu tajemnic, jakie czekały ją podczas tej podróży – taka sama, jak pełna połykliwych ryb kałuża, która przylgnęła do ściany; jak woda udająca ogień, z której kobiety robiły sobie korony; jak niewiarygodnie długi węgorz niesiony przez grupę ludzi – łeb ryby spoczywał na barkach dziecka, a ciało było kilkanaście razy oplecione na ramionach sześciu kobiet. Gdyby zaczęła się domagać wyjaśnienia choćby jednego z tych cudów, musiałaby wypytać o wszystkie, a wtedy nigdy nie ruszyłyby z miejsca.

Wreszcie jednak dotarły do wypłukanej przez wodę płytkiej zatoczki, położonej nieco powyżej brzegu wielkiego jeziora. Zasilały ją drobne strumyczki, które rażno wpływały do góry po kamieniach. Woda przelewała się przez krawędzie zatoki, przy której (i w której) kręciło się ze trzydzieścioro dzieci i kobiet. Jedne bawiły się, inne rozmawiały – ale większość stała nago w wodzie, wpatrzona ponad wzburzonymi wodami jeziora w wyspę Umy Umagmagi. Kiedy Jude z przewodniczkami zbliżyły się do nich, fala nadciągnęła od wyspy i rozbiła się o skraj zatoczki. Dwie kobiety, które trzymając się za ręce stały przy brzegu, rzuciły się na wodę i dały unieść cofającej się fali prosto w stronę wyspy.

W całej tej scenie było coś niepokojąco erotycznego, chociaż w innych okolicznościach Jude pewnie zaprzeczyłaby, że odniosła takie wrażenie. Tutaj jednak podobne świętoszkowate zachowanie byłoby całkowicie nie na miejscu. Puściła wodze fantazji. Zastanawiała się, jakie to uczucie, zanurzyć się w tym nagim tłumie, gdzie jedyną oznakę męskości można by znaleźć między nóżkami oseska. Mogłaby otrzeć się piersią o pierś, poczuć, jak ktoś całuje jej palce, pieści kark, i odpowiedzieć taką samą pieśczołą.

– Jezioro jest bardzo głębokie – odezwała się Lotti. – Sięga daleko do wnętrza góry.

Ciekawe, co się stało ze zmarłymi, pomyślała Jude. Z tymi, których towarzystwo tak sobie chwalił Dowd. Czy woda zabrała ich razem z ludzkimi błaganiami, które spod Wieży Osi spadały w tę samą czeluść? Czy też roztopili się w wielkiej zupie z trupów (w której płeć mężczyzn całkiem zanikła, a kobiety znalazły ukojenie) i razem z modlitwami stali się częścią niezmordowanej powodzi? Miała nadzieję, że tak właśnie się stało. Jeżeli boginie chciały mieć coś do powiedzenia w starciu z Niewidzianym, potrzebowały każdej zapomnianej dotąd cząstki mocy. Mury między kesparatami runęły i wartkie strumienie zrównywały pałac z miastem, ale należało jeszcze upomnieć się o przeszłość, zachować cuda, jakie skrywała... Przecież nawet w takim mieście musiały zdarzać się cuda. Ze strony Jude nie było to jakieś czysto abstrakcyjne pragnienie – wszak sama była jednym z tych cudów, kopia kobiety, która nie mniej okrutnie od męża rządziła Yzorderrex.

– Czy tylko w ten sposób można dostać się na wyspę? – zapytała.

– Żaden prom tam nie kursuje, jeśli o to ci chodzi – odparła Lotti.

– W takim razie popłynę wpław.

Ubranie krępowało jej ruchy, ale nie czuła się na tyle swobodnie, żeby je

zrzucić i nago zanurzyć się w wodzie. Podziękowała w paru słowach Lotti i Paramaroli i zaczęła schodzić po kamieniach okalających zatoczkę.

– Mam nadzieję, że się mylisz, Judith! – zawołała za nią Lotti.

– Ja też. Naprawdę.

Ta wymiana zdań i niezbyt zgrabne ruchy Jude zwróciły uwagę kąpiących się kobiet, które jednak nie sprzeciwiły się jej obecności. Im bliżej była wody, tym bardziej chciała jak najszybciej dostać się na wyspę. Dawno już nie pływała i wydawało się jej mało prawdopodobne, że oprze się wirom i nurtowi, jeśli postanowią nie dopuścić jej w pobliże wieży. Wierzyła tylko, że nie będą próbowały jej utopić. Woda przyniosła ją przecież aż tu, do pałacu, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy. Jedyna różnica (aczkolwiek, trzeba przyznać, niebagatelna) polegała na tym, że teraz była znacznie głębsza.

Do krawędzi zatoczki sunęła już następna fala, której na spotkanie wyszła kobieta z dzieckiem. Zanim jednak zdążyli się w nią zanurzyć, Jude wzięła krótki rozbieg i skoczyła w dół. O włos wyprzedziła kobietę z dzieckiem i zanurkowała w jeziorze. Z początku poszła na dno jak kamień. Młóćąc rozpaczliwie rękoma, otworzyła oczy, ale nie mogła się połapać, gdzie jest dół, a gdzie góra. Na szczęście woda wiedziała, co robić; wypchnęła ją jak korek do góry, prosto w pianę, dobre dwadzieścia metrów od brzegu. Jude pędziła ku wieży. Zdążyła jeszcze dostrzec wypatrującą jej Lotti, a potem wir obrócił ją raz i drugi, aż straciła orientację. Kiedy fala zwróciła ją ku wyspie, Jude zaczęła płynąć z całych sił. Woda chyba zadowolona się wspomaganiami jej wysiłków; nurt opływał wieżę spiralą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Blask komety, który kładł się na powierzchni fal, nie pozwalał dojrzeć dna. Jude była zadowolona. To, że z łatwością utrzymywała się na wodzie, nie znaczyło jeszcze, że chciała zobaczyć, jak głębokie jest jezioro. Musiała płynąć przed siebie, nie uległa więc pokusie rozkoszowania się rytmem fal. Ten luksus – podobnie jak odpowiedzi na pytania, które wcześniej ją zaprzątały – musiał poczekać.

Znajdowała się już niespełna pięćdziesiąt metrów od brzegu wyspy, ale jej wysiłki odnosiły coraz mizerniejszy skutek. Spirala, po której się poruszała, i tak zacieśniała się bez jej udziału, toteż Jude w końcu całkowicie poddała się nurtowi. Dwukrotnie okrążyła wyspę, zanim dotknęła stopami leżących na dnie kamieni; mimo kołysania mogła w tym czasie dobrze przyjrzeć się świątyni Umy Umagammagi. Naturalnie w pobliżu wyspy woda była najbardziej

wzburzona. Napierała na tworzące wieżę monumentalne głazy, wypłukiwała spomiędzy nich zaprawę, wgryzała się w nie od góry i od dołu, przeciwstawiając ich masie i powadze matematycznie regularny upór fal. Kiedy zabrakło łączącego je spoiwa, kamienne bloki (dorównujące wzrostem człowiekowi) balansowały jak akrobaci, wsparte rogiem o róg. Woda przepływała między nimi, niezmordowanie przekształcając niezniszczalną wieżę w kolumnę z kamienia i światła. Zerodowany kamień sypał się strużkami ze ścian i osiadał na brzegu w postaci drobniutkiego, miękkiego piasku. To na nim położyła się Jude, gdy wydostała się z wody, witana chichotem bawiącej się nieopodal czwórki dzieci.

Odpoczęła chwilę, a potem ruszyła w stronę świątyni. Drzwi były nie mniej zniszczone od ścian i wewnątrz zasłaniała tylko połyskliwa kurtyna wody. Przed progiem czekało kilkanaście kobiet. Jedna z nich – dziewczyna, która dopiero wyrosła z młodzieńczych lat – chodziła na rękach; inna chyba próbowała śpiewać, ale melodia tak bardzo zlewała się z szumem wody, że Jude nie była pewna, czy to jej głos płynie jak strumień, czy jakaś strużka szmerze tak melodyjnie. Podobnie jak przy basenie, tak i tu nikt nie sprzeciwił się jej obecności, nikt też nie zwrócił uwagi, że pojawiła się w mokrym, ale kompletnym ubraniu, podczas gdy inne kobiety były mniej lub bardziej rozebrane. Wszystkie tkwiły w stanie błogiego ośpienia. Jude nie poddała mu się tylko dzięki swojej silnej woli. Bez wahania weszła za wodną zasłonę, odprowadzana cichym pomrukiem pozostałych.

W środku nie dostrzegła żadnych materialnych przedmiotów, na których mogłaby zaczepić wzrok. W powietrzu unosiły się lśniące kształty, które składały się i rozkładały na jej oczach, jakby czyjeś niewidzialne ręce robiły origami ze światła. Nie chodziło jednak o uzyskanie zwyczajnego podobieństwa do świata materialnego – figury zmieniały się nieustannie; zanim nabrały określonego kształtu, już przechodziły w inny. Spojrzała w dół, na swoje ręce. Widziała je jeszcze, ale nie były już rękoma z krwi i kości. Błyskawicznie nauczyły się sztuczki ze światłem i rozkwitały setkami kształtów, żeby przyłączyć się do zabawy. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć innego origami. Przez ułamek sekundy dostrzegła kobietę, z której brało początek – widziała ją w podobny sposób, jak mogłaby widzieć człowieka oblepionego wydętym przez wiatr, wilgotnym prześcieradłem: przykleiłoby się na chwilę do jego biodra, twarzy, piersi, a potem wydeło ponownie, zacierając obraz. Była jednak pewna, że kobieta się uśmiechała.

Mając pewność, że nie jest ani samotnym, ani źle widzianym gościem, weszła głębiej. Erotyczne obietnice, które niósł widok zatoki, teraz stawały się rzeczywistością. Rozpływała się jak kropla mleka w ciekłym powietrzu, ocierając się o ciała innych kobiet. Docierały do niej na wpół uformowane, niedokończone myśli. Chciała się rozpuścić bez reszty, przeniknąć przez ściany i połączyć z opływającą je wodą... A może już się w niej znalazła? Może ciało, które uważała za swoje, było tylko wytworem tych wód, przywołanych dla ukojenia samotnej wyspy? Może, może, może... Te rozważania nie istniały w oderwaniu od wrażeń cielesnych, lecz łączyły się z nimi w rozkoszy. Jej nerwy, coraz bardziej wyczulone na dotyk, posłusznie przenosiły te doznania.

Zdała sobie sprawę, że otacza ją coraz mniej kobiet. Idąc w głąb świątyni, posuwała się coraz wyżej; jeśli nawet miała pod stopami posadzkę, zatraciła świadomość jej istnienia w chwili, gdy przekroczyła próg, i teraz wznosiła się bez wysiłku, opanowana tym samym duchem, który poruszał przeczące prawo grawitacji wody. Przed sobą i u góry też dostrzegła ruchomy kształt, inny jednak, bardziej gibki niż te, które widziała przy wejściu. Zbliżała się do niego, jakby ją przywoływał; w duchu modliła się, żeby we właściwej chwili znaleźć właściwe słowa i wyrazić myśli, które przepełniały jej głowę. Kształt stawał się coraz wyraźniejszy i o ile wcześniej, na dole, mogła mieć wątpliwości, czy świetliste origami widzi naprawdę, czy tylko je sobie wyobraża, o tyle teraz podobne rozdwojenie nie miało sensu.

Widziała oczyma wyobraźni – i jednocześnie wyobrażała sobie, że widzi – świetlisty symbol w powietrzu: prześwietlona blaskiem woda tworzyła wstęgę Möbiusa, pulsowała rytmicznie i emanowała jaskrawymi kolorami, które opadały wokół Jude niczym deszcz. Miała przed sobą tę, która obudziła źródła, tę, która wezwała rzeki, łagodną siłę, która obróciła pałac w ruinę i z miejsca, którym dawniej władał strach, uczyniła dom dla dzieci i wód. Stała przed Umą Umagammagi.

Mimo że bacznie przyglądała się jej świetlistemu obrazowi, nie widziała śladu żywej istoty – nic w nim nie oddychało, nie pociło się, nie rozkładało. Promieniał za to taką czułością, że choć bogini nie miała twarzy, Jude wydawało się, że widzi jej uśmiech, pocałunki, łagodne spojrzenie. I miłość. Bogini nie znała jej przecież, ale Jude czuła się tak spokojna i utulona, jak tylko miłość potrafi uspokoić i utulić. W całym swoim życiu nie zaznała takiego stanu jak w tej chwili, kiedy żadna cząstka jej istoty nie musiała się niczego

obawiać. Być żywym stworzeniem – to znaczy nawet w chwilach największej błogości bać się, że rozkosz się skończy.

Tutaj jednak podobne lęki wyglądałyby absurdalnie. Ta kobieta kochała ją bezgranicznie i na wieki.

– Słodka Judith – rozległ głos bogini, tak dźwięczny i melodyjny, że te kilka sylab brzmiało jak aria operowa. – Co cię sprowadza, słodka Judith? Jaka sprawa może być tak pilna, że ryzykujesz dla niej życie?

Kiedy Uma Umagammagi przemówiła, Jude dostrzegła odbicie własnej twarzy w powierzchni wstęgi: zadrzało, zapłonęło i zmieniło się w świetlistą nić, która wplotła się w symbol bogini. Czyta w moich myślach, pomyślała Jude. Stara się zrozumieć, dlaczego tu przyszłam; kiedy zrozumie, weźmie odpowiedzialność na siebie. A ja będę mogła na zawsze zostać przy niej.

– Rzeczywiście – powiedziała bogini po chwili. – Ponuro to wygląda. Musisz wybierać, czy zapobiec Pojednaniu, czy dopuścić do niego i zaryzykować, że Hapexamendios cię skrzywdzi.

– Właśnie. – Jude była jej wdzięczna, że oszczędziła jej wyjaśniania wszystkich szczegółów. – Nie wiem, co zamierza Niewidziany. Może nic...

– ...a może zechce na zawsze okaleczyć Imajicę.

– Mógłby to zrobić?

– Czemu nie? Wiele, bardzo wiele razy niszczył nasze świątynie i krzywdził nasze siostry, zarówno osobiście, jak i przez swoich wysłanników. Jest śmiertelnie niebezpieczny.

– Ale czy mógłby zniszczyć całe dominium?

– Nie lepiej od ciebie znam jego myśli, będzie mi jednak żal, jeżeli szansa scalenia kręgu zostanie zmarnowana.

– Kręgu? Jakiego kręgu?

– Kręgu Imajiki. Zrozum, siostrze, nikt nigdy nie zamierzał dzielić dominium w taki sposób. Dokonały tego pierwsze ludzkie duchy, które na Ziemi przybrały ciała. Zresztą na początku nie było w tym nic złego. W ten sposób oswajały się z sytuacją, która je przerażała. Podnosiły głowy i widziały gwiazdy; patrzyły w dół – widziały ziemię. Do nieba nie miały dostępu, za to ziemię mogły dzielić, posiadać i toczyć o nią wojny. Z tego podziału wyrosły następne. Ludzie pogubili się w tym rozróżnianiu krajów i narodów – kształtowanych i nazywanych, rzecz jasna, przez mężczyzn. Kazali się nawet grzebać w ziemi, żeby bez reszty ją osiąść, od światła woleli towarzystwo robaków. Byli ślepi na Imajicę i krąg został przerwany. Hapexamendios, którego

ich wola powołała do istnienia, urósł w siłę, porzucił ich i udał się do Pierwszego Dominium...

– ...mordując po drodze boginie.

– Istotnie, wyrządził ogromne krzywdy, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby znał kształt Imajiki. Mógłby odkryć, jaki sekret kryje się w środku kręgu i wejść właśnie tam.

– A co to za sekret?

– Wrócisz do miejsca, które jest bardzo niebezpieczne, słodka Judith. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej dla ciebie. Kiedy nadejdzie czas, razem, jak siostry, odkryjemy tę tajemnicę. A na razie pomyśl o tym, że błąd syna jest także błędem ojca, z czasem zaś wszystkie błędy same się unicestwią.

– Jeśli tak, to po co mam wracać do Piątego Dominium?

Zanim Uma Umagammagi zdążyła odpowiedzieć, zabrzmiał inny głos. Przed oczami Jude pojawiły się w powietrzu drobnutkie pyłki światła, kłując ją po całym ciele, jakby ogień muskał lód.

– Dlaczego jej ufasz?

– Ponieważ ma czyste serce, Jokalaylau – odparła bogini.

– Jak może mieć czyste serce, skoro znalazłszy się tu, gdzie zginęła jej siostra, nie uroniła ani jednej łzy? Jak może mieć czyste serce kobieta, która bez cienia wstydu staje przed nami, nosząc w łonie dziecko autarchy Sartoriego?

– Między nami nie ma miejsca na wstyd.

– Między wami może nie – odparła Jokalaylau, teraz już dobrze widoczna.

– Między mną i nią jest go mnóstwo.

Podobnie jak druga bogini, także i ona przebywała w wieży w swojej pierwotnej postaci – tworzyła kształt bardziej złożony i mniej miły dla oka, ruchy, które go ożywiały, były bardziej gwałtowne. O ile wstęga Umy Umagammagi marszczyła się delikatnie, o tyle Jokalaylau cała zdawała się gotować, siejąc na wszystkie strony kłującymi szpilkami.

– Wstyd byłby jak najbardziej na miejscu w wypadku kobiety, która sypiała z naszym wrogiem – dodała.

Mimo lęku, jakim napawała ją Jokalaylau, Jude postanowiła powiedzieć coś na swoją obronę.

– To nie takie proste – odezwała się. Odwagi dodawała jej frustracja: Jokalaylau zniszczyła jej łagodny związek z boginią. – Nie wiedziałam, że jest autarchą.

– A kim? Może nic cię to nie obchodziło?

Kłótnia zaogniłaby się pewnie, gdyby nie Uma Umagammagi, która przemówiła tym samym co przed chwilą spokojnym głosem:

– Słodka Judith, pozwól, że porozmawiam z siostrą. Więcej wycierpiała z rąk Niewidzianego niż ja i Tishalulle, i niechętnie wybacza tym, których dotknął – osobiście lub rękoma swoich apostołów. Zrozum jej ból, a ja przekonam ją, by zrozumiała twój.

– Przepraszam – powiedziała Jude. – Zachowałam się... niestosownie.

– Jeżeli zaczekasz na brzegu, niedługo znów się spotkamy.

Od chwili, gdy bogini wspomniała o jej powrocie do Piątego Dominium, Jude zdawała sobie sprawę, że chwila rozstania nadejdzie. Nie była jednak gotowa, żeby tak szybko porzucić jej gościnę. Kiedy grawitacja się o nią upomniała, odczuła ją jak fizyczny ból. Nic jednak nie mogła na nią poradzić. Jeśli nawet Uma Umagammagi wiedziała, jak cierpi (a jak mogła nie wiedzieć?), nie zrobiła nic, by jej ulżyć, lecz cofnęła się w głąb wieży, pozwalając Jude opaść jak płatek z kwiatu – lekko, lecz z poczuciem straty gorszym niż gdyby odtrąciła ją siłą. Origami kobiet, które minęła na niższym poziomie, wciąż składały się i rozkładały przepięknie, kurtyna wody w drzwiach szemrała tak samo melodyjnie jak przedtem, ale nic nie mogło zagłuszyć poczucia straty. Muzyka wody, wcześniej tak radosna, teraz brzmiała elegijnie – jak pieśń żniwiarzy, którzy cieszą się z darów natury, lecz zarazem lękają się zimy, która niebawem nadejdzie.

A zima czekała po drugiej stronie zasłony. Wprawdzie dzieci nadal wesoło bawiły się na brzegu, a w jeziorze rozgrywało się precudne widowisko z udziałem światła i wody, ale Jude nie mogła opanować żałoby po rozstaniu z kochającym duchem bogini. Jej łzy zaskoczyły czekające na progu kobiety. Podeszły, żeby ją pocieszyć, ale pokręciła przecząco głową i rozstały się bez słowa, pozwalając jej zejść na brzeg. Usiadła nad wodą, bojąc się obejrzeć do tyłu, na świątynię, w której ważył się jej los. Wolała patrzeć na jezioro.

I co dalej? – pomyślała. Gdyby boginie wezwały ją do siebie i oznajmiły, że nie nadaje się do tego, by podejmować jakiegokolwiek decyzje w związku z Pojednaniem, byłaby szczęśliwa. Oddałaby sprawę w dobre ręce i wróciła do okalających jezioro zabudowań. Po jakimś czasie nauczyłaby się żyć na nowo i przybyłaby ponownie na wyspę, tym razem jako nowicjuszka, gotowa poznać tajniki świetlnego origami. Gdyby jednak po prostu ją odepchnęły,

jak chciała Jokalaylau, i przegnały ze świątyni... Co wtedy? Jakąż wiedzę posiadała, by pozbawiona ich rady decydować, co lepsze, a co gorsze przy Pojednaniu? Żadnej.

Wkrótce łzy żalu obeschły, ale jego miejsce zajęło straszliwe poczucie osamotnienia, jakby znalazła się w piekle – w pilnie strzeżonej części, wydzielonej dla kobiet, które kochały bez umiaru i zniesławione utraciły swoją szansę na doskonałość.

ROZDZIAŁ 56

W ostatnim liście do syna, pisanym w noc przed wypłynięciem do Francji (skąd zamierzał szerzyć dobrą nowinę Tabula Rasa w całej Europie) Roxborough – postrach maistrów – opisywał koszmar, z którego się przebudził.

Śniłem, że jadę powozem przeklętymi uliczkami Clerkenwell. Nie muszę chyba pisać dokąd – wiesz to, podobnie jak wiesz, jakie bezceństwa tam wyprawiano. Jak to często w snach bywa, byłem całkowicie bezwolny. Kilkakroć wołałem na woźnicę, błagając go, żeby miał na względzie dobro mej duszy i pozwolił mi wysiąść, lecz moje słowa nie miały nad nim żadnej władzy. Kiedy jednak skręciliśmy w Gamut Street i z za rogu wyłonił się dom maestra Sartoriego, przerażona Bellamare stanęła dęba i nie chciała ruszyć z miejsca. Zawsze była moją ulubioną klaczą, teraz zaś czułem wobec niej taką wdzięczność za to, iż nie chciała wieść mnie pod te przeklęte drzwi, że wyskoczyłem z powozu, by jej podziękować.

Ledwie moje podeszwy dotknęły ziemi, gdy brukowce jak żywe przemówiły dudniącym, płaczliwym głosem. Zawtórowały im cegły ze ścian, dachówki, balustrady i kominy – wszystkie uderzyły w płacz, łącząc się w żałobnym krzyku, który wzniósł się pod niebiosa. Nigdy przedtem nie słyszałem podobnego zgiełku, nie mogłem jednak zatkać sobie uszu – czyż nie byłem po części odpowiedzialny za ten smutek? Słyszałem, jak mówią:

– Panie, jesteśmy zwykłymi, niechrzczonymi kamieniami. Nie mamy nadziei, że znajdziemy się w Twoim królestwie, błagamy jednak, byś zesłał nam burzę i w słusznym gniewie zgniótł nas na proch; oczyść nas i zniszcz, nie pozwól, byśmy cierpiały, widząc, co się wokół nas dzieje.

Zadziwił mnie ten lament, synu. Zapłakałem nad nimi i zawstydzilem się,

słyszając, jak błagają Wszechmogącego, podczas gdy ja byłem tysiąckroć bardziej winny niż one! Och, jakże marzyłem wtedy, żeby stopy poniosły mnie w inne, mniej ohydne miejsce! Przysięgam, że w takiej chwili nawet palenisko hutniczego pieca byłoby miłym schronieniem, złożyłbym w nim głowę, słuchając hosann, zamiast przebywać tam, gdzie działy się rzeczy tak straszne. Lecz nie mogłem się cofnąć. Przeciwnie, moje nogi zbuntowały się i poniosły mnie do drzwi domu. Próg zbryzgany był spienioną krwią, jak gdyby męczennicy zostawili znak dla anioła zagłady, który mógł sprawić, że ziemia się rozstąpi i na wieki pochłonie przekłętą domostwo. Z wnętrza dobiegały znane mi głosy mężczyzn, którzy debatowali o swej pogańskiej filozofii.

Klęknąłem w kałuży krwi i zawołałem, by wyszli do mnie i razem ze mną błagali Wszechmogącego o przebaczenie. Oni jednak śmiali się szyderczo, nazwali mnie głupcem i tchórzem, kazali odejść. Co też uczyniłem – w pośpiechu uciekłem z tej ulicy, a kamienie powtarzały mi, że powinienem wyruszyć na krucjatę, nie bojąc się zemsty Boga, albowiem zaparłem się grzechów przeklętego domu.

Taki miałem sen. Zapisuję go natychmiast po przebudzeniu i każę jak najprędzej wysłać list, żeby cię ostrzec, jak niebezpieczne są okolice Clerkenwell. Do mojego powrotu nie zapuszczaj się w ogóle na południe od Islington. We śnie objawiono mi, że gdy nadejdzie czas, Gamut Street zostanie unicestwiona za zbrodnie, których była świadkiem. Nie chciałbym, by choć jeden włos spadł z twojej ślicznej głowy za to, że w obłędzie dopuściłem się występków przeciw prawu Pana naszego. Mimo że Wszechmogący złożył w ofierze swojego jedyne Syna, który cierpiał i umarł za nasze grzechy, wiem, że nie zażąda takiego poświęcenia ode mnie. Jestem Jego najpokorniejszym sługą i modłę się, by uczynił mnie swym posłusznym narzędziem, aż opuszczę ziemski padół i doczekam sądu ostatecznego.

Niech Bóg czuwa nad tobą do naszego ponownego spotkania.

Prom, na którego pokład Roxborough wszedł zaledwie kilka godzin po napisaniu tego listu, zatonął zaraz po wyjściu z portu w Dover, choć szkwał nie dał się we znaki żadnym innym statkom w okolicy. Nikt nie ocalał.

Dzień po otrzymaniu listu zapłakany adresat zajrzał do stajni, do boksulubionej kłaczy ojca. Od wyjazdu właściciela Bellamare zachowywała się niespokojnie i chociaż dobrze знаła młodego Roxborougha, wierzgnęła i kopnęła go w podbrzusze. Nie zginął na miejscu, z pękniętym żołądkiem i

śledzoną przeżył jeszcze sześć dni, lecz uprzedził ojca, którego ciało morze wyrzuciło dopiero tydzień później, i pierwszy znalazł się w rodzinnym grobowcu.

*

Pie'oh'pah opowiedział tę smutną historię Gentle'owi, gdy śladem Scopique'a zmierzali z L'Himby do Kołyski Chzercemit. Była to jedna z wielu opowieści – zabawnych, absurdalnych, smutnych – które umilały im podróż. Mistryf podsuwał je Gentle'owi nie jako elementy jego biografii (choć zazwyczaj tym właśnie były), ale dla rozrywki. Wszystkie zaczynały się w ten sam sposób:

– Słyszałem kiedyś o człowieku, który...

Zwykle historie zajmowały mu dosłownie kilka minut, nad tą jednak rozwodził się dłużej; cytował dosłownie cały list Roxborougha. Gentle nie miał pojęcia, skąd znał jego treść, rozumiał jednak, dlaczego mistryf postanowił nauczyć się go na pamięć i zadał sobie tyle trudu, by przekazać mu go słowo w słowo. Pie musiał przypuszczać, że sen Roxborougha ma głębsze znaczenie, i włączył go do swoich nauk jako ostrzeżenie dla maestra. Ostrzeżenie przed tym, co niesie przyszłość.

A przyszłość właśnie nastąpiła. Od powrotu Mondaya czas włókł się niemiłosiernie, lecz Jude nie było nigdzie widać. Z braku innego zajęcia Gentle zaczął rozbierać list Roxborougha na czynniki pierwsze, szukając jakiegoś klucza, który pomógłby mu zrozumieć zagrożenie. Zastanawiał się, czy jego autor znajdował się wśród duchów, które rano majaczyły w rozedrganym od gorąca powietrzu. Czy wrócił, żeby oglądać koniec ulicy, którą przeklinał? Jeżeli tak właśnie było, jeśli podsłuchiwał pod drzwiami tak jak we śnie, musiał być chyba równie sfrustrowany jak mieszkańcy domu. Nie mógł się doczekać, kiedy rozpoczną dzieło, które w jego mniemaniu musiało doprowadzić do katastrofy.

Mimo wątpliwości, jakie budziło zachowanie Jude, Gentle nie mógł uwierzyć, by próbowała zniweczyć jego Wielkie Dzieło. Skoro mówiła, że Pojednanie może być niebezpieczne, musiała mieć po temu powody. Powstrzymał się więc od przyniesienia kamieni do pokoju medytacyjnego, ale też bał się, że nie wytrzyma długo przymusowej bezczynności. Nie chciał, żeby skusiły go do przedwczesnych przygotowań. Czekał więc, czekał i czekał. Upał się

wzmagał, w pokoju zrobiło się duszno. Scopique miał rację, takie zadanie wymaga miesięcy przygotowań, a nie godzin. Teraz zaś i te godziny bezpowrotnie umykały. Jak długo można zwlekać? Kiedy zrezygnować z czekania na Jude i zacząć ceremonię? Czy miał czas do szóstej? A może do zmroku? Gentle nie umiał tego ocenić.

Niepokój wyczuwało się nie tylko w domu, ale i w całej okolicy. Nie było kwadransa, żeby do rozbrzmiewającego w mieście chóru nie dołączyła kolejna syrena. Kilka razy w pobliskich kościołach odzywały się dzwony – biły na trwogę, a nie po to, by wezwać wiernych. Z niedalekich ulic dobiegały krzyki i wrzaski. Niosły się daleko w powietrzu tak gorącym, że umarły by się spoćić.

Tuż po pierwszej Clem zajrzał do pokoju. Miał wytrzeszczone ze strachu oczy i mówił głosem Taylora:

– Ktoś wszedł do domu.

– Kto?

– Jakiś duch z innego dominium. Jest na dole.

– Jude?

– Nie, to prawdziwa potęga. Nie czujesz? Wiem, że nie zadajesz się już z kobietami, ale nosa się tak łatwo nie traci. Mam rację?

Wyszli z pokoju. W domu było cicho. Gentle nie wyczuwał niczyjej obecności.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

– Jeszcze przed chwilą tu była – odparł zakłopotany Clem. – Słowo daję.

Gentle chciał podejść do schodów, gdy Clem złapał go za ramię.

– Najpierw anioły – powiedział, ale Gentle już zaczął schodzić. Cieszył się, że długi letarg dobiegł końca, nie mógł się doczekać, kiedy powita gościa. Może przynosi mu wiadomość od Jude?

Drzwi frontowe stały otworem. Na schodkach połyskiwało rozlane piwo, nigdzie jednak nie było śladu Mondaya.

– Gdzie się podział ten chłopak?

– Wciąż gapi się w niebo. Podobno widział latający spodek.

Gentle się zdziwił. Clem położył mu dłoń na ramieniu i skinął na drzwi do jadalni. Ze środka dobiegał ledwie słyszalny szloch.

– Mamo! – krzyknął Gentle. Zapominając o ostrożności, zbiegł ze schodów. Clem deptał mu po piętach.

Szloch ucichł. Gentle wziął głęboki wdech (z myślą o obronie), nacisnął

klamkę i pchnął drzwi barkiem. Nie były zamknięte na klucz, toteż otworzył je bez trudu i wpadł do środka. W jadalni panował półmrok; ciężkie, pachnące pleśnią zasłony ledwie przepuszczały pojedyncze promienie słońca, które rozpraszały się na wirującym w powietrzu kurzu. Wyławiały z ciemności pusty materac. Kobieta, która na nim leżała i której Gentle nie spodziewał się już ujrzeć chodzącej o własnych siłach, stała pod przeciwległą ścianą. Pociągała nosem. Na widok syna zasłoniła się prześcieradłem i odwróciła do ściany. Gentle przypuszczał, że gdzieś w głębi muru pękła rura, bo słychać było szum płynącej wody.

– Wszystko w porządku, mamó – odezwał się. – Nic ci nie grozi.

Celestine bez słowa podniosła rękę i wpatrywała się w swoją dłoń jak w lustro.

– Duch wciąż tu jest – zauważył Clem.

– Gdzie?

Clem wskazał Celestine. Gentle natychmiast podszedł do niej i rozłożył szeroko ramiona, oddając się duchowi.

– Chodź do mnie – powiedział. – Gdziekolwiek jesteś, chodź.

W pół drogi do ściany poczuł na twarzy kropelki wody – drobne, niewidoczne. Przyjemnie chłodziły skórę i orzeźwiały. Westchnął.

– Pada? Tutaj? – zdziwił się.

– To bogini – wyjaśniła Celestine, podnosząc wzrok znad dłoni, która spływała wodą, jakby w jej środku było źródło.

– Jaka bogini?

– Uma Umagammagi.

– Dlaczego płakałaś, mamó?

– Bałam się, że umieram. Myślałam, że przyszła po mnie.

– Ale nie...

– Nadal tu jestem, synku.

– Czego w takim razie chce?

Celestine podała Gentle'owi rękę.

– Chce, żebyśmy się pogodzili. Chodź ze mną do wody, moje dziecko.

Gentle wziął ją za rękę. Pociągnęła go ku sobie, wystawiając twarz na deszcz, który zmył ostatnie ślady łez. Wyraz smutku ustąpił miejsca błogości. Gentle czuł się podobnie – miał ochotę przymknąć oczy i poddać się rozkoszy. Oparł się jednak pokusie. Jeżeli woda chciała mu coś przekazać, powinna się pospieszyć. Każda zwłoka oznaczała zagrożenie dla Pojednania.

– Powiedz mi... – Stał obok matki. – Powiedz, czy zostaniesz z nami...

Deszcz nie odpowiadał, w każdym razie Gentle nie usłyszał odpowiedzi. Jego matka coś jednak musiała usłyszeć, bo rozpromieniła się i ścisnęła go mocniej za rękę. Upuściła prześcieradło, wystawiając brzuch i piersi na muśnięcia deszczu, i Gentle pierwszy raz zobaczył ją nagą. Na jej ciele wciąż znać było ślady walki z Dowdem i Sartorim, lecz gojące się rany tylko podkreślały jej urodę. Patrzył z podziwem; wiedział, że to jego matka, ale był bezsilny.

Celestine wolną ręką otarła łzy i otworzyła oczy. Gentle nie zdążył odwrócić wzroku – i przeżył wstrząs; nie dlatego że odczytała w jego spojrzeniu pożądanie, ale dlatego że to samo zobaczył w jej oczach.

Cofnął się kilka kroków, płacząc się w zaprzeczeniach. Była znacznie mniej zawstydzona od niego. Zawołała go do siebie, w deszcz, cichym jak westchnienie głosem. Kiedy wciąż się odsuwał, usłyszał wyraźniejsze słowa:

– Bogini chce cię poznać. Chce zrozumieć, co robisz.

– Kontynuuj... dzieło... Ojca – odparł Gentle, po części broniąc się, po części tłumacząc. Za wszelką cenę chciał odgrodzić się od tej uwodzicielskiej siły.

Ale bogini – jeśli rzeczywiście w kroplach deszczu była jakaś bogini – nie dała się tak łatwo zbyć. Celestine zaniepokoiła się, gdy wodna mgiełka odsunęła się od niej, podążyła za Gentle'em i rozbłysła kolorami w pojedynczym promieniu słońca.

– Nie bój się jej – powiedział Clem. – Nie masz nic do ukrycia.

Gentle jednak odruchowo cofał się coraz dalej od matki i od mgły, aż poczuł tuż za plecami uspokajającą obecność aniołów.

– Strzeżcie mnie – poprosił drżącym głosem.

Clem objął go od tyłu.

– To kobieta, maestro – mruknął. – Od kiedy to boisz się kobiet?

– Od zawsze. Trzymaj mnie, na litość boską!

Deszcz uderzył w ich twarze i Clem sapnął z rozkoszy, zauroczony jego łagodnością. Gentle zacisnął dłonie na jego przedramionach, nie dając mu rozluźnić uścisku, ale chmura wody nie próbowała ich rozłączyć. Przez jakieś pół minuty omywała im twarze, a potem wypłynęła z pokoju przez otwarte drzwi.

Gentle odwrócił się do Clema.

– Nic do ukrycia, tak? Chyba ci nie uwierzyła.

– Zrobiła ci coś?

– Nie, wlażła mi tylko do głowy! Dlaczego każde paskudztwo, jakie spotkam, pakuje mi się do mózgu?

– Stamtąd musi być wspaniały widok – odparł Taylor, uśmiechając się ustami swojego kochanka.

– Chciała tylko sprawdzić, czy masz uczciwe zamiary, synku – stwierdziła Celestine.

– Uczciwe zamiary? – powtórzył Gentle zjadliwie. – A kim ona jest, żeby mnie oceniać?

– Mówiłeś o dziele Ojca, ale twoje plany dotyczą wszystkich żywych istot w Imajice.

Celestine nie podniosła prześcieradła, więc kiedy podeszła bliżej, Gentle spuścił wzrok.

– Zasłoń się, mamó, na miłość boską! Narzuć coś na siebie!

Odwrócił się i wyszedł do holu.

– Nie wiem, kim jesteś, ale wynoś się z tego domu! – zawołał pod adresem intruzki. – Poszukaj jej na dole, Clemie. Ja pójdę na piętro.

Wbiegł po schodach na górę, wściekły na myśl o tym, że duch mógł nawiedzić pokój medytacyjny. Drzwi były otwarte, Spokojek siedział przycupnięty w kącie.

– Gdzie ona jest?! – krzyknął Gentle. – Tutaj?!

– Kto?

Gentle nie odpowiedział. Obszedł całe pomieszczenie jak więzień celę, bijąc otwartą dłońią w ściany. Nie słyszał szumu wody, w powietrzu nie czuł najdrobniejszego nawet kapuśniaczku. Zadowolony, że pokój uniknął splugawienia, wrócił do drzwi.

– Gdyby zaczęło tu padać, drzyj się, jakby cię ze skóry obdzierali.

– Jak sobie życzysz, *liberatore*.

Gentle trzasnął drzwiami i przeszukał pozostałe pokoje. Nie znalazłszy nikogo, wszedł na drugie piętro, żeby się rozejrzeć. Powietrze było suche jak pieprz. Schodził już na parter, gdy z ulicy dobiegł śmiech Mondaya. Nigdy nie słyszał, żeby chłopiec śmiał się tak beztrudnie. Pełen najgorszych przeczuc, przyspieszył kroku. Od Clema na dole dowiedział się, że na parterze nikogo nie ma, i wybiegł przed dom.

Monday musiał sporo czasu spędzić z kredą w ręce. Cały chodnik przed drzwiami pokrywały rysunki – i to nie kopie zdjęć roznegliżowanych panie-

nek, lecz skomplikowane, abstrakcyjne kształty, które spływały z krawężnika na rozmiękczony słońcem asfalt. Artysta stał bez ruchu na środku jezdni. Gentle natychmiast rozpoznał tę pozę: głowa odrzucona w tył, oczy zamknięte – jakby kąpał się w powietrzu.

– Monday!

Chłopiec go nie słyszał. Pławił się w rozkoszy, mieniąca się woda ściekała mu po włosach – mógłby się chyba utopić, gdyby na widok Gentle'a bogini nie postanowiła się wycofać. Kapuśniaczek natychmiast wyparował, Monday otworzył oczy, zmrużył je i śmiech zamarł mu na ustach.

– Gdzie się podział ten deszcz?

– Nie padał żaden deszcz.

– Tak? A co powiesz na to, szefie? – Monday wyciągnął przed siebie ręce, po których jeszcze spływała woda.

– Uwierz mi, to nie deszcz.

– Nie wiem, co to było, ale było miłe. – Chłopiec ściągnął przemoczoną koszulkę i wytarł nią twarz. – Wszystko gra, szefie?

Gentle rozglądał się po ulicy, wypatrując bogini.

– Będzie grało. Możesz wracać do pracy, Monday. Nie ozdobiłeś jeszcze drzwi.

– Co mam na nich machnąć?

– To ty jesteś artystą, nie ja – odparł z roztargnieniem Gentle.

Nie zwrócił dotąd uwagi, jak wiele istot nawiedziło Gamut Street. Duchy nie tylko stały wszędzie na chodniku – kołysały się jak wisielcy wśród zwiedłych liści, siedziały wyczekująco na dachach. Przyszło mu do głowy, że zachowują się bardzo przyjaźnie; miały powody, żeby życzyć mu powodzenia. Pół rok temu, gdy z Pie'oh'pahem wyruszał w podróż, mistyf udzielił mu gorzkiej lekcji na temat bólu, jaki jest udziałem wszystkich duchów.

„Żaden duch nie jest szczęśliwy. Tłoczą się przy bramie, ale nie mają dokąd pójść”.

Czy Gentle nie żywił wówczas nadziei, że u kresu wędrówki znajdą lekarstwo na cierpienie zmarłych? Pie znał je już wtedy; nie mógł doczekać się chwili, gdy znów nazwie maestra Pojednawcą i powie mu, że w jego pamięci tkwi klucz do wrót, przy których czekają udęczone dusze.

– Cierpliwości – szepnął Gentle. Wiedział, że i tak go usłyszą. – Już niedługo, obiecuję. Już niedługo.

Słońce osuszało krople boskiego deszczu na jego twarzy. Z przyjemnością

wystawił się na jego ciepło i odszedł kawałek od drzwi. Monday wrócił na schodki i znów wesoło pogwizdywał.

Gamut Street bardzo się zmieniła – domu pilnowały anioły, na ulicy padał lubieżny deszczyk, na drzewach przesiadywały duchy. A on, maestro, przechadzał się wśród nich, szykując się do dzieła, które na zawsze zmieni wszystkie światy. Taki dzień już się nie powtórzy.

Gentle stracił jednak dobry nastrój, gdy dochodził do końca uliczki. Jeśli nie liczyć odgłosu jego kroków i przenikliwych gwizdów Mondaya, świat zamarł w zupełnej ciszy. Umilkły syreny, które przed południem tak hałasowały, dzwony ucichły, nikt nie krzyczał – zupełnie jakby wszelkie życie z dala od Gamut Street złożyło śluby milczenia. Przyspieszył kroku. Albo jego podniecenie udzieliło się pobliskim duchom, albo po prostu te akurat były bardziej niespokojne, bo kręciły się nerwowo, wzbijając kurz z rynsztoków. Nie próbowały Gentle'a zatrzymać – rozstępowały się przed nim jak lodowata kurtyna. Przekroczył niewidzialną granicę uliczki i rozejrzał się na boki. Psy, które zbiegły się jakiś czas temu, gdzieś się pochowały, ptaki poznikały z dachów i drutów telefonicznych. Wstrzymał oddech, nasłuchując oznak życia w okolicy – warkotu silnika, skowytu syreny, ludzkiego głosu. Nic z tego. Coraz bardziej zdenerwowany odwrócił się i spojrzał w głąb Gamut Street. Bardzo nie chciał jej porzucać, przypuszczał jednak, że nic jej nie grozi, dopóki jest strzeżona przez duchy. Nie mając ciała, nie mogłyby wprowadzić przeszkodzić napastnikom, ale sama ich obecność – i liczba – powinna odstraszać intruzów. Ruszył w stronę Gray's Inn Road. Zaczął biec. Żar lał się z nieba, ale Gentle nie zwolnił, dopóki nie znalazł się na skrzyżowaniu. Gray's Inn Road i High Holborn były jednymi z większych arterii komunikacyjnych w tej dzielnicy; nawet gdyby stanął na tym rogu w zimną, grudniową noc, zobaczyłby jakiś samochód. Teraz jednak obie ulice były puste i ciche. Z pobliskich przecznic, placów i zaułków nie dobiegał nawet najlżejszy szmer. Strefa spokoju, która przez dwieście lat chroniła Gamut Street przed obcymi wpływami, musiała się ogromnie rozszerzyć. Jeżeli mieszkańcy Londynu nie wyprowadzili się gremialnie z miasta, to najwyraźniej unikali tych okolic.

A jednak mimo pozornej martwoty coś wisiało w powietrzu i Gentle nie mógł po prostu okręcić się na pięcie i wrócić na Gamut Street. Do jego nozdrzy docierał niezwykle zapach, tak delikatny, że woń rozmiękłego asfaltu niemal całkowicie go tłumiała, ale tak przy tym niezwykle, że nie potrafił go zignorować. Stał więc na rogu, czekając na jakiś podmuch powietrza, aż le-

ciutki zefirek potwierdził jego podejrzenia. Mdląco słodki zapach mógł pochodzić tylko z jednego źródła i tylko jeden człowiek w Londynie (i w całym Piątym Dominium) miał do niego dostęp. Ten właśnie człowiek otworzył In Ovo i wypuścił z niego potwory znacznie groźniejsze od bezrozumnych istot, które Gentle spotkał w wieżowcu Tabula Rasa. Tylko raz w życiu widział podobne bestie i czuł ich odór. Dwieście lat temu, gdy wyrządziły niepowetowane szkody. Ponieważ wiatr był ledwie wyczuwalny, nie mógł przynieść woni aż z Highgate, a zatem Sartori i jego legiony musieli znajdować się gdzieś w pobliżu. Może o dziesięć przecznic stąd, może tylko o dwie... Może lada chwila wychyną z za rogu Gray's Inn Road.

Nie miał czasu do stracenia. Niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegała go Jude, mogło w ogóle nie istnieć. Natomiast ten zapach był rzeczywisty, podobnie jak istoty, które go wydzielają. Nie mógł dłużej odwlekać rytuału. Zawrócił i rzucił się biegiem w stronę domu, jakby horda potworów już deptała mu po piętach. Duchy rozproszyły się przed nim, gdy w pełnym pędzie skręcił w Gamut Street. Monday, który rysował coś przy wejściu, upuścił kredę.

– Już pora, chłopcze! – krzyknął Gentle. Jednym skokiem przesadził stopnie przy drzwiach. – Przynies kamienie na górę.

– To znaczy, że zaczynamy?

– Zaczynamy.

Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu, wrzasnął triumfalnie i wpadł do domu, mijając w progu Gentle'a, który podziwiał zdobiący drzwi rysunek. Obraz został ledwie naszkicowany, ale prezentował się znakomicie; przedstawiał olbrzymie oko, z którego we wszystkich kierunkach strzelały promienie światła. Gentle wszedł do domu, zadowolony, że takie ogniste spojrzenie powita każdego – wroga czy przyjaciela – kto stanie na progu. Zamknął drzwi na zasuwkę. Kiedy stąd wyjdę, pomyślał, dzieło mojego Ojca będzie już skończone.

ROZDZIAŁ 57

Jude czekała na plaży. Nie wiedziała, jakie dyskusje i kłótnie toczą się w świątyni Umy Umagammagi, ale procesja wiernych ustała. Fale nie wyrzucały już na brzeg kobiet ani dzieci, a po jakimś czasie wody jeziora uspokoiły się i wygładziły niczym lustro, jakby rządzące nimi siły zajęły się innymi, dalece ważniejszymi sprawami. Nie miała zegarka, więc mogła tylko zgadywać, ile czasu upłynęło, ale pozycja komety na niebie wskazywała, że powinna go mierzyć raczej w godzinach niż w minutach. Nie była pewna, czy boginie rozumieją powagę sytuacji i konieczność pośpiechu. Może wieki niewoli i wygnania tak bardzo je otepiły, że teraz mogły debatować tygodniami, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu? Zarzucała sobie, że bardziej ich na to nie uczuliła. W Piątym Dominium dzień mijał nieubłaganie i nawet jeśli udało się przekonać Gentle'a, by odwleknął rozpoczęcie ceremonii, nie mógł czekać w nieskończoność. I trudno było mieć o to do niego pretensję. Przekazała mu tylko krótką wiadomość – i to przez niezbyt godnego zaufania posłańca – żeby zachował ostrożność. To mogło nie wystarczyć, by zgodził się zaryzykować powodzenie Pojednania. W przeciwieństwie do niej nie znał makabrycznych wizji z Pucharu Bostońskiego, toteż na dobrą sprawę nie rozumiał, o co toczy się gra. Kontynuował – jak sama powiedziała – dzieło Ojca; z całą pewnością nie przypuszczał, że może w ten sposób zniszczyć Imajicę.

Dwa razy musiała porzucić te ponure rozmyślenia – najpierw młoda dziewczyna przyniosła jej coś do jedzenia i picia (za co Jude była jej bardzo wdzięczna), a potem natura upomniała się o swoje prawa i Jude musiała znaleźć jakieś ustronne miejsce. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się niedorzecznie, kryjąc się z tym oddawaniem wody, ale nawet napatrzywszy się na

przeróżne cuda, nie umiała się pozbyć nawyków z Piątego Dominium. Może z czasem nauczy się nie przejmować takimi drobiazgami, ale jeszcze nie teraz.

Kiedy wróciła z kryjówki wśród skał, znów rozbrzmiewała przed świątynią pieśń, która dawno ucichła. Zamiast iść na plażę, Jude skierowała się ku wejściu. Przyspieszyła kroku, widząc, jak woda w jeziorze ożywia się i burzy, a fale zaczynają się rozbijać o skały. Boginie najwyraźniej podjęły decyzję. Chciała jak najszybciej ją poznać – to naturalne – ale nie umiała wyzbyć się poczucia, że wraca do świątyni jak oskarżona na salę sądową.

Kobietom przed świątynią udzieliła się atmosfera wyczekiwania. Musiały jednak bardzo różnie interpretować swoje przeczucia – jedne się uśmiechały, inne były ponure.

– Mam wejść do środka? – spytała.

Dziewczyna, która przyniosła jej jedzenie, pokiwała głową. Chyba chciała ją ponaglić, by reszta nie musiała czekać. Jude weszła za wodną kurtynę. Wnętrze świątyni bardzo się zmieniło. Świadomość, że zmysły i intuicja łączą się tu w jedno, była równie silna jak przedtem, ale to, co nimi odbierała, nie wyglądało już tak zachęcająco. Zgasło świetliste origami, zniknęły gdzieś ciała, z których brało początek. Wyglądało na to, że Jude jest jedyną w wieży przedstawicielką świata materialnego, w dodatku wystawioną na działanie światła znacznie mniej delikatnego niż wzrok Umy Umagammagi. Zmrużyła oczy, ale powieki nie radziły sobie z blaskiem, który płonął jej pod czaszką. Przerazał; chciała się cofnąć, ale powstrzymało ją wspomnienie łagodnej bogini, która gdzieś tam wciąż musiała być.

– Bogini? – zaryzykowała Jude.

– Jesteśmy tutaj – odparła Uma Umagammagi. – Razem: Jokalaylau, Tishalulle i ja.

Kiedy bogini wymieniła ich imiona, Jude zaczęła dostrzegać jakieś kształty w oślepiającej poświacie. Nie przypominały wiecznie zmiennych symboli, które widziała wcześniej; zamiast abstrakcyjnych kształtów widziała łagodnie nakreślone ludzkie sylwetki, które unosiły się nad jej głową. Zdziwiła ją ta zmiana. Jeżeli wcześniej mogła dzielić z Umagammagi i Jokalaylau ich prawdziwą naturę, to dlaczego teraz pokazywały jej się pod tak zwyczajnymi postaciami? Nie wróżyło to nic dobrego. Czy boginie odziały się w materię, ponieważ uznały ją za niegodną oglądania ich prawdziwych kształtów? Starała się uchwycić jakieś szczegóły ich wyglądu, lecz albo zawodził ją niedosko-

nały wzrok, albo boginie nie chciały się jej pokazać. W jej umyśle formowały się tylko ogólne wrażenia – że są nagie, mają świetliste oczy, a ich ciała ociekają wodą.

– Widzisz nas? – usłyszała obcy głos, który musiał należeć do Tishalulle.

– Oczywiście, ale... nie w pełni.

– A nie mówiłam? – odezwała się Uma Umagammagi.

– O czym? – zdziwiła się Jude, zanim zrozumiała, że te słowa były skierowane do siostr bogini.

– Jest rzeczywiście niezwykła – przyznała Tishalulle.

Jej głos zmieniał się w niezwykle sposób. Kiedy Jude się w niego wsłuchiwała, postać bogini zarysowała się wyraźniej, jakby z każdą sylabą przybywało szczegółów w obrazie. Miała orientalne rysy i bladą cerę – bez cienia koloru na policzkach, wargach i powiekach. A jednak jej twarz była subtelna. Światło jej oczu podkreślało symetrię i łagodność rysów. Całe ciało Tishalulle pokrywały rysunki, które Jude wzięła z początku za tatuaże. Kiedy przyjrzała się im dokładniej (co uczyniła bez fałszywego wstydu), zrozumiała, że wciąż się poruszają. Znajdowały się nie na skórze bogini, lecz w niej – tysiące malutkich dziurek, które rytmicznie otwierały się i zamykały. Zwróciła uwagę, że tworzą kilka ławic, z których każda pulsuje niezależnym od pozostałych, falującym ruchem: jedna wyrastała spomiędzy ud bogini, inne przepływały po jej nogach i rękach, aż po czubki palców. Co jakieś dziesięć, piętnaście sekund wszystkie otworki zbiegały się w zwarte skupiska i wypływała z nich jakaś substancja, jak gdyby odtwarzając ciało Tishalulle.

– Chyba powinnaś wiedzieć, że znam twojego Gentle'a – stwierdziła bogini. – Tuliłam go w mojej Kołysce.

– Nie jest już mój.

– A stanowi to dla ciebie jakąś różnicę, Judith?

– Naturalnie że nie – wtrąciła Jokalaylau. – Jego brat grzeje jej łóżko. Autarcha. Rzeźnik Yzordderrex.

Jude spojrzała na Boginię Wielkich Śniegów. Szczegóły tej postaci wymykały się jej oczom bardziej niż sylwetka Tishalulle, uparła się jednak, żeby zobaczyć ją taką, jaka jest naprawdę. Utkwiła wzrok w spirali zmrożonego ognia, który płonął we wnętrzu istoty Jokalaylau, i patrzyła, jak strzela na boki ognistymi łukami, wykreślając kontur ciała bogini. Błyski trwały krótko, ale wystarczyły, by Jude zorientowała się, że ma przed sobą dostojną Muzyczkę o ciężkich powiekach, które przysłaniały pałające żarem oczy. Joka-

laylau skrzyżowała ręce w nadgarstkach i splotła palce, odginając je w tył. Wcale nie wyglądała groźnie, ale kiedy wyczuła, że Jude ją obserwuje, przeszła gwałtowną przemianę – bujne ciało błyskawicznie skurczyło się i zwiędło, oczy zapadły się w głąb czaszki, usta zmarszczyły się i odsłoniły zęby, wśród których uwijały się robaki pożerające język.

Jude krzyknęła z odrazą i w oczach Jokalaylau zapłonął dawny ogień. Chrapliwy śmiech zadudnił echem w całej świątyni.

– Wcale nie jest taka niezwykła, siostrze. Spójrz, jak się trzęsie.

– Zostaw ją w spokoju – odezwała się Uma Umagammagi. – Dlaczego musisz wszystkich ludzi wystawiać na próbę?

– Żyjemy tylko dlatego, że stawiliśmy czoło najgorszemu i udało się nam przeżyć. Ona by w górach zamarła.

– Wątpię. Słodka Judith...

– Nie boję się śmierci – odparła roztrzęsiona Jude. – Ani jarmarcznych sztuczek.

– Spójrz na mnie, Judith.

– Chcę, żeby zrozumiała...

– Słodka Judith...

– ...że nie można mną pomiatać.

– ...spójrz na mnie.

Dopiero teraz Jude posłuchała Umy Umagammagi. Tym razem nie musiała zmagać się z niedoskonałością swoich zmysłów. Bogini ukazała się jej w swojej prawdziwej postaci. Zakrawało to na paradoks; była wiekową kobietą, tak zasuszoną, że niemal zatraciła wszelkie oznaki płci, miała lekko wydłużoną, bezwłosą czaszkę i małe oczy, zagubione w siateczce zmarszczek, a jednak całe ciało wyrażało piękno, które Jude dostrzegła w świetlistym symbolu, w jego drzeniu, migotaniu, niezmordowanym ruchu.

– Widzisz mnie teraz?

– Tak.

– Nie zapomniałyśmy naszych ciał. Znamy słabe strony twojej istoty, pamiętamy ból i niewygodę, wiemy, co to znaczy zostać ranną – w serce, w głowę, w łono.

– Wierzę ci.

– Nie wyjawimy ci sekretów naszego istnienia, gdybyśmy nie wierzyły, że pewnego dnia możesz znaleźć się pośród nas.

– Pośród was?

– Są bóstwa, które powstają wskutek zbiorowego wysiłku ludzkiej woli. Inne rodzą się w rozpalonych sercach gwiazd, jeszcze inne na zawsze pozostają niematerialną abstrakcją. Ale są i takie, odważę się twierdzić, że najdoskonalsze i najbardziej kochające, które wyrastają z żywych dusz. Takie właśnie jesteśmy, siostrzo. Zachowałyśmy pamięć naszego życia i śmierci. Rozumiemy cię, słodka Judith, i nie zamierzamy oskarżać.

– Jokalaylau też nie?

Bogini Wielkich Śniegów odsłoniła się przed Jude w całej okazałości. Spod jej skóry przeświecała falująca bladość, oczy – poprzednio świetliste – były całkiem ciemne, zimne i bezlitosne.

– Chcę, żebyś zobaczyła, co ojciec ojca twojego dziecka zrobił z moimi poddanymi.

Dopiero teraz Jude zrozumiała, że blady odcień skóry bogini pochodzi od śniegu. Zawieja szalała w jej ciele, zadając ból tysiącem lodowych igiełek. Śnieg zalegał w olbrzymich zaspach, ale na żądanie Jokalaylau dał się przewiać w inne miejsce i odsłonił miejsce okrutnej zbrodni. Wszędzie leżały zamrożone trupy kobiet z wyłupionymi oczami i odciętymi piersiami. Przy niektórych widać było inne, mniejsze ciała – zwłoki zgwałconych dzieci i poćwiartowanych niemowląt.

– To tylko kilka krzywd, które wyrządził – dodała bogini.

Mimo że widok był wstrząsający, Jude tym razem zdołała nad sobą zapanować i patrzyła, dopóki Jokalaylau nie zaciągnęła nad sceną śnieżnej kurtyny.

– Czego ode mnie żądacie? – spytała Jude. – Mam dorzucić następne ciało do stosu? Jeszcze jedno dziecko? – Położyła dłoń na brzuchu. – To dziecko?

Do tej pory nawet nie przypuszczała, jak zaborcza jest w stosunku do istoty, którą w sobie nosi.

– Należy do rzeźnika – zauważyła Jokalaylau.

– Nie – odparła Jude. – Do mnie.

– Weźmiesz na siebie odpowiedzialność za jego uczynki?

– Naturalnie – przytaknęła Jude, dziwnie podekscytowana tą perspektywą. – Zło można przekuć w dobro; to, co pęknięte, można naprawić.

Zastanawiała się, czy boginie mają świadomość, skąd czerpie swoje myśli; czy wiedzą, że na swój własny, macierzyński użytek przyswoiła sobie filozofię Pojednawcy. Jeśli nawet tak było, wcale jej przez to mniej nie szanowały.

- Duchem będziemy z tobą, siostrze – obiecała Tishalulle.
- Odsyłacie mnie? Znowu?!
- Przybyłaś tu w poszukiwaniu odpowiedzi. Możemy ci jej udzielić.
- Wiemy, że czas nagli – dodała Uma Umagammagi. – Przetrzyśmy cię tutaj nie bez powodu. Przez ten czas przemierzyłam całą Imajicę, szukając wskazówek, które pomogłyby nam rozwikłać tę zagadkę. We wszystkich dominiach maestrowie czekają na chwilę, gdy będą mogli przystąpić do Pojednania...
- To znaczy, że Gentle jeszcze nie zaczął?
- Nie, czeka na wieści od ciebie.
- Co mam mu powiedzieć?
- Zajrzałam w ich serca, żeby sprawdzić, czy nie kryją spisku...
- Znalazłaś coś?
- Nie. Nie są oczywiście bez skazy, ale któż jest? Wszyscy chcą, aby Imajica stała się całością. I wierzą, że mogą do tego doprowadzić.
- A wy? Też w to wierzycie?
- Tak – odpowiedziała Tishalulle. – Oni, rzecz jasna, nie mają pojęcia, że w ten sposób zamkną krąg. Może gdyby o tym wiedzieli, przemyśleliby sprawę.
- Dlaczego?
- Ponieważ koło jest domeną naszej płci, nie ich – wyjaśniła Jokalaylau.
- To nieprawda – zaprotestowała Uma Umagammagi. – Należy do każdej istoty, w której umyśle się zrodzi.
- Mężczyźni są niezdolni do rodzenia, siostrze. Czyżbyś o tym nie słyszała?
- To też może się zmienić, jeśli z naszą pomocą wyzbędą się swoich lęków – uśmiechnęła się Uma Umagammagi. Dobrze wiedziała, że jej słowa budzą więcej pytań, niż dają odpowiedzi. Spojrzała na Jude. – Zajmiemy się tym, kiedy wrócisz. Teraz musisz się spieszyć.
- Powiedz Gentle'owi, żeby stał się Pojednawcą – przypomniała Tishalulle. – I nie powtarzaj mu ani słowa z naszej rozmowy.
- Czy muszę mu to oznajmić osobiście? Skoro już raz go odwiedziłaś, czy nie mogłabyś tam wrócić i przekazać mu tej wiadomości? – spytała Jude, patrząc na Umę Umagammagi. – Chciałabym tu zostać.
- Wiemy o tym, ale teraz Gentle nam nie zaufa. Musisz to załatwić osobiście.

– Rozumiem.

Jude straciła nadzieję, że dalszymi prośbami coś wskóra. Zadała proste pytanie, dostała prostą odpowiedź i musiała z nią wrócić do Piątego Dominium, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

– Czy mogę jeszcze o coś spytać?

– Słuchamy.

– Dlaczego objawiłyście mi się w taki sposób?

– Żebyś rozpoznała nas, kiedy zasiądziemy przy twoim stole – powiedziała Tishalulle. – Albo kiedy spotkasz nas na ulicy.

– Czy to znaczy, że przybędziecie do Piątego Dominium?

– Być może... Po Pojednaniu czeka nas tam sporo pracy.

Judith wyobraziła sobie, że Londyn mógłby stać się widownią takich zmian, jakie widziała w pałacu: matka Tamiza występuje z brzegów, niesie brud z Whitehallu i Mall, płynie przez miasto, zmienia place w baseny, a katedry w parki wodne. Od razu zrobiło się jej lżej na duszy.

– Będę na was czekać – odparła, podziękowała boginiom i ruszyła do wyjścia.

Fale już na nią czekały, miękkie jak poduszki. Zeszła prosto na plażę i rzuciła się na wodę. Tym razem nie musiała płynąć – woda niczym rydwan przeniosła ją na brzeg jeziora, na skały, skąd pierwszy raz skoczyła w fale. Lotti Yap i Paramarola zniknęły, ale i bez nich nie miałyby kłopotu ze znalezieniem drogi powrotnej. Woda rozmyła ściany wielu korytarzy i komnat – zarówno w pobliżu wieży, jak i przy niżej położonych dziedzińcach – i wszędzie, aż do zburzonych bram pałacu roztaczała się panorama stawów i fontann. Powietrze zrobiło się bardziej przejrzyste, toteż wzrokiem sięgała do leżących daleko w dole kesparatów, portu i morza, które z pewnością tęskniło do bogiń.

Na schodach stwierdziła, że woda opadła, pozostawiając po sobie sterty śmieci. Lotti Yap uwijała się wśród nich jak kolekcjoner wyrzuconych przez morze przedmiotów, który nagle trafił do raju. Na jednym z niższych stopni siedziała Hoi-Polloi i gawędziła z Paramarolą.

Przywitały się i dziewczyna opowiedziała, jak po chwili wahania poddała się rzece, która uniosła Jude w dal. Woda przetransportowała ją bezpiecznie do podnóża schodów, a chwilę później zniknęła, jakby odwołana do innych obowiązków.

– Właściwie straciłyśmy już nadzieję, że cię jeszcze spotkamy – przyznała

Lotti. Wygrzebywała spisane na kartkach modlitwy i prośby, rozkładała je, czytała i chowała do kieszeni. – Widziałaś jakieś boginie?

– Widziałam.

– Są piękne? – zaciekawiała się Paramarola.

– Na swój sposób...

– Opowiedz nam o nich.

– Nie mam czasu. Muszę wracać do Piątego Dominium.

– To znaczy, że znalazłaś odpowiedź – stwierdziła Lotti.

– Owszem. Nie musimy się o nic martwić.

– A nie mówiłam? Świat ma się dobrze.

– Mogę iść z tobą? – spytała Hoi-Polloi, gdy Jude zaczęła kluczyć wśród stert odpadków.

– Myślałam, że zaczekasz z nami – zauważyła Paramarola.

– Wróćę spotkać się z boginiami, ale chciałabym najpierw zobaczyć Piąte Dominium, zanim wszystko się pozmienia. Bo przecież się pozmienia, prawda?

– Naturalnie – przytaknęła Jude.

– Chcesz coś do czytania na drogę? – zaproponowała Lotti, podając jej garść modlitw. – To niesamowite, co ludzie potrafią wymyślić.

– Powinny trafić na wyspę. Zabierzcie je i zostawcie przy drzwiach świątyni.

– Ale przecież boginie nie mogą odpowiadać na każdą prośbę porzuconych kochanków, okaleczonych dzieci...

– Nie bądź taka pewna. Jutro wstanie zupełnie nowy dzień.

Z Hoi-Polloi u boku Jude pożegnała się z nowymi znajomymi – drugi raz w ciągu godziny – i skierowała się mniej więcej w stronę bramy.

– Wierzysz w to, co powiedziałaś Lotti? – zainteresowała się dziewczyna, gdy schody zostały daleko w tyle. – Czy naprawdę jutro wszystko się zmieni?

– W ten czy w inny sposób...

Nie chciała, by odpowiedź zabrzmiała aż tak dwuznacznie, ale może jej język wiedział swoje. Mimo że opuszczała świątynię zbrojna w słowa istot znacznie od niej potężniejszych, jakoś nie mogła zapomnieć wizji ze skarbca Oscara i wyczytanego w Pucharze Bostońskim proroctwa, że wszystko obróci się w pył.

Zbeształa się w duchu za brak wiary. Skąd brała się w niej ta arogancka duma, która kazała wątpić w mądrość samej Umy Umagammagi? Postanowi-

ła na razie o niej zapomnieć. Może pewnego cudownego dnia spotka boginie na ulicy w Piątym Dominium i przyzna im się, że nawet rozmowa z nimi nie rozwiązała do końca jej śmiesznych wątpliwości. Teraz jednak z pokorą przyjmie ich radę i zanieśnie Pojednawcy dobre wieści.

ROZDZIAŁ 58

Gentle nie był jedynym mieszkańcem domu przy Gamut Street, który wyczuł w popołudniowej bryzie odór In Ovo. Rozpoznał go również Spokojek, dawny więzień rozciągającego się między dominiami piekła. Kiedy Gentle zajrzał do pokoju medytacyjnego, potworek siedział przy oknie. Miał łyzy na policzkach i rozpaczliwie szczekał zębami.

– On tu przyjdzie, prawda? – zapytał. – Widziałeś go, *liberatore*?

– Tak, przyjdzie, i nie, nie widziałem. Nie bój się, nie pozwolę, żeby tknął cię palcem.

Spokojek uśmiechnął się krzywo, ale zęby tak mu latały, że wyglądał groteskowo.

– Mówisz jak moja matka. Co noc mi powtarzała: nie bój się, nic ci się nie stanie.

– Przypominam ci matkę?

– No, nie masz cycków. Nie była żadną pięknością, ale wszyscy moi ojcowie ją kochali.

Z parteru dobiegł jakiś łoskot. Spokojek podskoczył.

– To nic takiego, Clem zamyka okiennice.

– Chciałbym się na coś przydać. Co mógłbym robić?

– To co w tej chwili. Obserwuj ulicę. Jeżeli kogoś zobaczysz...

– Wiem, mam się drzeć, jakby mnie ze skóry obdzierali.

*

Kiedy zamknięto okiennice, dom pogrążył się w półmroku. Clem, Mon-

day i Gentle pracowali w milczeniu, bez wytchnienia. Zanim przenieśli wszystkie kamienie na górę, powoli zapadł zmierzch. Wychylony z okna Spokojek obdzierał garściami liście z gałęzi i wrzucał je do pokoju. Gdy Gentle zapytał go, co robi, wyjaśnił, że po zmroku liście zasłaniają mu widok, więc postanowił je usunąć.

– Proponuję, żebyś przeniósł się na drugie piętro, kiedy zacznę Pojednanie.

– Jak sobie życzysz, *liberatore*. – Spokojek zsunął się z parapetu i podniósł wzrok na Gentle'a. – Mam tylko jedną prośbę...

– Tak?

– ...dość delikatnej natury.

– Śmiało, słucham.

– Niedługo rozpocznie się ceremonia. Boję się, że dłużej nie będę miał zaszczytu ci towarzyszyć. Po udanym Pojednaniu staniesz się sławny. Nie twierdzą, że już nie jesteś... – dodał pospiesznie Spokojek. – Jesteś, jesteś, jak najbardziej. Ale od jutra wszyscy będą cię znali jako Pojednawcę, człowieka, który osiągnął coś, co nie udało się samemu Christosowi. Zostaniesz papieżem, zaczniesz pisać pamiętniki... – tu Gentle się roześmiał – ...i już się nie spotkamy. Tak zresztą powinno być, nie przeczę. Tylko tak się zastanawiałem, czy zanim staniesz się beznadziejnie sławny, mógłbyś mnie... pobłogosławić.

– Pobłogosławić?

Spokojek podniósł ręce, jakby chciał z góry odeprzeć ewentualne protesty.

– Nic nie mów! Rozumiem! I tak byłeś dla mnie ponad miarę łaskawy...

– Nie o to chodzi. – Gentle przykucnął obok Spokojka, tak samo jak wtedy, gdy Jude przydepnęła potworkowi głowę. – Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie wiem jak. Nie jestem mesjaszem ani nawet kapłanem, nigdy nie wygłosiłem kazania, nikogo nie wskrzesiłem z martwych.

– Ale masz apostołów – zauważył Spokojek.

– Nie. Miewałem przyjaciół, którzy byli w stanie mnie ścierpieć, i kochanki, które umiały mi się przypodobać. Nikomu nie umiałem dać natchnienia; jeśli nawet miałem taką moc, rozmieniałem się na drobne jako uwodziciel. Nie mam prawa nikogo błogosławić.

– W takim razie przepraszam, więcej o tym nie wspomnę. – Spokojek znowu wziął Gentle'a za rękę i przywarł do niej głową. – Życie bym za ciebie oddał, *liberatore*.

– Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Spokojek spojrział mu w oczy.

– Prawdę mówiąc, ja też.

Odwrócił się i zaczął zbierać liście z podłogi. Wepchnął sobie dwa zwitki do nosa, żeby nie czuć ohydnej woni In Ovo. Resztę Gentle kazał mu zostawić. Zapach żywicy był o wiele przyjemniejszy od tego, który przepełniłby dom, gdyby Sartori się w nim zjawił (co zdaniem Gentle'a prawie na pewno musiało nastąpić). Spokojek wdrapał się z powrotem na okno.

– Widzisz coś? – zaciekawiał się Gentle.

– Nic.

– A czujesz?

– Ach... piękna noc, *liberatore*. Ale on i tak przyjdzie tu, żeby ją zepsuć.

– Pewnie masz rację. Zostaniesz tu jeszcze chwilę? Chciałbym rozejrzeć się z Clemem po domu. Gdybyś coś zobaczył...

– Będzie mnie słychać aż w L'Himby.

Spokojek dotrzymał słowa. Gentle nie zdążył jeszcze zejść po schodach, gdy dobiegł go jazgot, od którego kurz sypnął się z belek stropowych. Krzyknął do Mondaya i Clema, żeby sprawdzili, czy drzwi są pozamykane, i pobiegł z powrotem na górę. Drzwi pokoju otworzyły się z hukiem i wypadł z nich rozwrzeszczany Spokojek. Gentle nie zrozumiał ani słowa, jednak rzucił się prosto do drzwi, robiąc po drodze wdech, żeby odeprzeć atak sprzymierzeńców Sartoriego. W kręgu na podłodze materializowały się dwie postaci. Nigdy nie oglądał końcowego etapu podróży przez Imajicę z tej perspektywy, toteż stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy. Widok nie był przyjemny – zbyt wiele pojawiało się w nim oślizłych, krwawych kształtów – ale śledził go z narastającym podnieceniem, tym bardziej że w jednej z postaci szybko rozpoznał Jude. Drugą okazała się zezowata, mniej więcej siedemnastoletnia dziewczyna, która w chwilę po przybyciu padła na kolana. Płakała ze strachu i z ulgi jednocześnie. Nawet Jude, która czwarty raz odbyła taką podróż, była roztrzęsiona. Przewróciłaby się, gdyby Gentle jej nie złapał.

– In Ovo... – wysapała. – Prawie nas... pochłoneło... – Jedną nogę miała rozciętą od kolana po kostkę. – ...Zęby...

– Nic ci nie będzie – uspokoił ją Gentle. – Nie straciłaś przecież nogi. Clem! Clem!

Clem pojawił się w drzwiach; Monday stanął za jego plecami.

– Mamy coś, żeby ją opatryć?

– Pewnie! Zaraz przyniosę...

– Nie – wtrąciła Jude. – Chcę zejść na dół. Lepiej nie zakrwawić podłogi w tym pokoju.

Monday zajął się Hoi-Polloi, a Clem z Gentle'em wzięli Jude pod ramiona.

– In Ovo nigdy wcześniej tak nie wyglądało – stwierdziła Jude. – Jakiś obłąd...

– To przez wizytę Sartoriego – wyjaśnił Gentle. – Werbował sobie żołnierzy.

– Na pewno bardzo poruszył całe towarzystwo.

– Myśleliśmy, że już po tobie – stwierdził Clem.

Jude spojrzała na niego. Była blada jak ściana, uśmiechnęła się niepewnie – ale przynajmniej się uśmiechnęła.

– Nigdy nie wątpcie w posłańca. Zwłaszcza gdy przynosi dobre wieści.

*

Do północy zostały trzy godziny i cztery minuty, nie mieli więc czasu na długą rozmowę, ale Gentle koniecznie chciał usłyszeć – choćby pokrótce – co skłoniło Jude do podróży do Yzordderrex. Ułożyli ją wygodnie we frontowym pokoju, zaopatrzonym przez Mondaya w zdobywcze poduszki, zapas jedzenia i stosik kolorowych pism. Clem opatrzył jej nogę, Jude zaś postarała się w kilku zdaniach streścić, co przeżyła od opuszczenia Azylu.

Nie było łatwo, kilka razy brakowało jej słów, by opisać, co widziała w mieście. Gentle słuchał w milczeniu. Spochmurniał, gdy usłyszał, jak Uma Umagammagi sprawdzała wszystkich członków Synodu, czy mają czyste intencje.

– Ja też byłem w Yzordderrex – powiedział, gdy Jude skończyła. – Sporo się tam zmieniło.

– Na lepsze.

– Ruiny nigdy mi się nie podobały, nawet te najbardziej malownicze.

Jude spojrzała na niego z ukosa, ale nie odpowiedziała.

– Czy nic nam tu nie grozi? – spytała Hoi-Polloi. – Jest tak ciemno...

– Oczywiście, że nic nam nie grozi. – Monday objął ją i przytulił. – Pozamykaliśmy się na cztery spusty. On tu na pewno nie wlezie, prawda, szefie?

– Kto? – zdziwiła się Jude.

– Sartori.

– A jest gdzieś w pobliżu?

Milczenie Gentle'a wystarczyło Jude za odpowiedź.

– I co, sądzicie, że powstrzyma go zamek w drzwiach?

– A nie? – zaniepokoiła się Hoi-Polloi.

– Jeżeli naprawdę będzie chciał tu wejść, to nie – odparła Jude.

– Nie odważy się – mruknął Gentle. – Kiedy rozpocznie się Pojednanie, przez cały dom popłynie wielka moc... moc mojego Ojca.

Dla Jude pomysł ten był chyba równie ohydny jak – zdaniem Gentle'a – dla Sartoriego, ale odpowiedziała łagodnie:

– Jest twoim bratem, nie zapominaj. Nie byłabym taka pewna, że nie zechce uczestniczyć w dzisiejszych wydarzeniach. A wtedy po prostu wejdzie i weźmie sobie to, po co przyszedł.

Gentle spiorunował ją wzrokiem.

– Masz na myśli moc, o której mówiłem? Czy siebie?

– Jedno i drugie – odparła Jude po chwili wahania.

– Zrobisz, co zechcesz. – Gentle wzruszył ramionami. – Podejmowałaś już sama pewne decyzje i nie miałaś racji. Przydałaby ci się odrobina wiary, Jude. – Wstał. – Wiary w to, co wszyscy poza tobą wiedzą.

– To znaczy?

– Że za kilka godzin ten dom przejdzie do legendy.

– Właśnie... – szepnął Monday.

Gentle uśmiechnął się i dodał:

– Zostańcie tutaj i uważajcie na siebie.

Wyszedł z pokoju.

Jude wsparła się na Clemie, żeby wstać. Zanim dokuśtykała do drzwi, Gentle był już na schodach. Nie powiedziała ani słowa, lecz on zatrzymał się na chwilę i – nie odwracając głowy – rzekł:

– Nie chcę tego słyszeć.

Ruszył dalej zgarbiony, ciężkim krokiem. Wiedziała, że chociaż mówi jak prorok, toczy go ten sam robal wątpliwości, który i jej nie dawał spokoju. Gentle bał się, że jeśli spojrzy jej w oczy, robal napasie się jej widokiem i go zadławi.

Na progu przywitał go zapach żywicy, który (zgodnie z oczekiwaniami) maskował paskudny odór dolatujący przez okno. Poza miłą wonią pokój – w którym odpoczywał, bawił się i dyskutował o zagadkach wszechświata – nie

miał mu nic do zaoferowania. Zatechły od nadmiaru sztuk i influencji, wydał mu się nagle najgorszym miejscem na Ziemi, jakie mógł wybrać na dokonanie wielkiego dzieła. Chociaż... przecież przed chwilą zbeształ Jude za to, że brakuje jej wiary. Miejsce nie miało tu nic do rzeczy – wszystko zależało od wiary maestra w świat nadprzyrodzony i od woli, która z tej wiary brała początek.

Rozebrał się i podszedł do kominka, żeby zdjąć stojące na nim świece i rozstawić je na obwodzie kręgu. Z bliska kominek przywodził na myśl kaplicę i Gentle uklęknął przed pustym paleniskiem. Słowa modlitwy same cisnęły mu się na usta. Zaczął odmawiać na głos „Ojcze nasz”. Okazja była po temu doskonała, chociaż następnego dnia pacierz można będzie odłożyć do lamusa pełnego pamiątek z odległych czasów, zanim przyszło królestwo Jego i stała się wola Jego tak na niebie, jak i na Ziemi.

Poczuł na karku delikatne muśnięcie. Urwał w pół słowa, otworzył oczy. Pokój był pusty, ale mrowienie nie ustępowało. Wiedział, że było to coś więcej niż zwykłe wspomnienie, delikatne napomknienie o nagrodzie, jaka go czeka, gdy dopełni dzieła. Nie pragnął sławy ani wdzięczności wszystkich dominiów – tylko Pie'oh'paha. Wydawało mu się przez chwilę, że na poplamionej ścianie nad kominkiem majaczy rozedrgana jak światło świec twarz mistyfa. Athanasius twierdził, że miłość, którą czuł do Pie'oh'paha, jest zła. Wtedy nie dał mu się przekonać i teraz też w to nie wierzył. Wola dokonania Pojednania i chęć zespolenia się z mistyfelem łączyły się w jedno w jego duszy.

Modlitwa uleciała mu z głowy, ale się tym nie martwił. Sam mógł sprawić, by się spełniła. Wstał z kolan, zdjął z kominka świecę i z uśmiechem stanął w kręgu – nie jako zwykły podróżnik, lecz jako maestro, który wykorzystuje moc kamieni, by czynić cuda.

*

Leżąca w salonie na parterze Jude wyczuła gwałtowny przepływ energii. Zapowiadał go ból w piersi i w brzuchu, lekki, jakby nabawiła się niestrawności. Próbowwała rozmasować sobie żołądek, a kiedy to nie pomogło, wstała i z wysiłkiem wyszła na korytarz, zostawiając Mondaya i Hoi-Polloi samych. Chłopiec zabawiał dziewczynę paplaniną i rysowaniem. Wziął do ręki świecę i sadzą kreślił na ścianach kształty, które później poprawiał kredą. Hoi-Polloi

bardzo się podobały jego wizje. Jude słyszała jej śmiech – po raz pierwszy w życiu – nawet z holu, gdzie Clem pilnował zamkniętych na głucho drzwi frontowych. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Też to czujesz? – zapytała w końcu Jude.

– Tak. Nic miłego, prawda?

– Myślałam, że tylko ja się męczę.

– Dlaczego?

– Nie wiem, może za karę...

– Dalej podejrzewasz, że nie jest z nami szczerzy?

– Nie. – Jude spojrzała w stronę schodów. – Wszystko, co robi, robi w dobrej wierze. Jestem tego pewna. Uma Umagammagi zajrzała mu do głowy...

– Musiał być wściekły.

– Nie wiem, czy był, ale wystawiła mu pochlebną opinię.

– No i co?

– Wiem, że ktoś coś knuje.

– Sartori?

– Nie. To ma jakiś związek z ich ojcem i całym tym cholernym Pojednaniem. – Jude skrzywiła się, gdy ból brzucha gwałtownie się nasilił. – Nie boję się Sartoriego, lecz coś mi nie pasuje... – Zaciśnęła zęby. – Tutaj, w domu.

Odwróciła się do Clema. Wiedziała, że słuchał jej – jak zawsze – jako przyjaciel, ale nie mogła oczekiwać wsparcia. I on, i Tay byli aniołami Pojednania i gdyby kazała im wybierać – albo ona, albo Pojednanie – musiałyby przegrać.

Znów doleciał ją śmiech Hoi-Polloi, nie tak beztrojski jak poprzednio, lecz przekorny, z ewidentnie seksualnym podtekstem. Odwróciła się plecami do pokoju, z którego dobiegał, i do Clema.

Jej wzrok padł na drzwi jedyne pomieszczenia, do którego jeszcze nie zaglądała. Były lekko uchylone, sączył się zza nich blask świecy. Nie spodziewała się znaleźć wsparcia u Celestine, lecz nie miała wyboru. Otworzyła drzwi na oścież. Materac był pusty, stojąca przy nim prawie wypalona świeca nie mogła oświetlić całej jadalni, toteż Jude musiała dobrze wyteńczyć wzrok. Celestine stała pod ścianą naprzeciw wejścia.

– Dziwię się, że wróciłaś – stwierdziła.

Od ostatniego ich spotkania Jude słyszała wiele cudownych słów, a jednak było coś niesamowitego w tym, jak Celestine mieszała różne głosy. Przenikały się, jeden dominował, drugi zdawał się rozbrzmiewać w tle, jakby ta częst-

ka jej umysłu, która miała kontakt z bóstwem, nigdy nie zespoliła się w pełni z drugą, bardziej prymitywną częścią.

– Dziwisz się? Dlaczego?

– Myślałam, że zostaniesz z boginiami.

– Korciło mnie, żeby to zrobić.

– Ale musiałaś wrócić. Dla niego.

– Byłam tylko posłańcem, to wszystko. Nic mnie z Gentle'em nie łączy.

– Nie chodzi mi o Gentle'a...

– Rozumiem.

– ...tylko o...

– Wiem, kogo masz na myśli.

– I nie możesz znieść dźwięku jego imienia? – Celestine, do tej pory wpatrzona w płomień świecy, przeniosła wzrok na Jude. – Co zrobisz, kiedy umrze? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że musi umrzeć? Gentle'owi, tak jak wszystkim zwycięzcom, marzy się wspaniałomyślność. Chciałby wybaczyć bratu wszystkie grzechy, ale zbyt wielu pokrzywdzonych się o niego upomni.

Do tej pory Jude nie brała tej możliwości pod uwagę. Nawet w więzowcu, gdy wiedziała, że Gentle zamierza dopaść brata i z nim skończyć, jakoś nie wierzyła, że Sartori zginie. Celestine jednak miała rację – i boscy, i ludzcy mieszkańcy Imajiki zażądają jego głowy. Gentle może mu okazać litość, Jokalaylau nie. Niewidziany też nie.

– Jesteście do siebie bardzo podobni, wiesz o tym? – ciągnęła Celestine. – Dwie kopie perfekcyjnych oryginałów.

– Nie znałaś Quaisoir – zauważyła Jude. – Nie wiesz, czy jestem od niej gorsza.

– Kopia jest z natury niedoskonała. Przyznaję, że instynkt cię nie zawiódł. Pasujecie do siebie. Chciałabyś z nim być, prawda? Nie zaprzeczaj...

– Dlaczego miałabym otworzyć przed tobą serce?

– A nie po to do mnie przysłaś? Nikt w tym domu nie będzie ci współczuł.

– Co to, podsłuchujesz pod drzwiami?

– Odkąd tu jestem, słyszę wszystko, co się w domu dzieje. A to, czego nie słyszę, czuję. A jeśli nie czuję, to potrafię przewidzieć.

– Na przykład?

– Na przykład to, że mały Monday przeleci tę młodą prawiczkę, którą przywiozłaś z Yzorderrex.

– Do tego nie trzeba być prorokiem.

– I że stwór z In Ovo niedługo się z nami rozstanie.

– Jaki stwór?

– Spokojek. Przydepnęłaś go, pamiętasz? Niedawno prosił maestra, żeby go pobłogosławił. Przed świtem odbierze sobie życie.

– Dlaczego?

– Bo wie, że kiedy Sartori zginie, dla niego nie będzie miejsca na tym świecie, choćby nie wiem jak gorąco przysięgał wierność zwycięzcy. Ma łeb na karku. Chce sam wybrać moment, kiedy odejdzie.

– Czy to ma być dla mnie jakaś nauczka?

– Nie sądzę, żebyś była zdolna do samobójstwa.

– I słusznie. Mam po co żyć.

– Mówisz o dziecku?

– I o przyszłości. Londyn się zmieni, tak jak Yzordderrex się zmieniło. Woda wystąpi z brzegów...

– ...i wielkie siostry wszystkich obdzielą swoją miłością.

– Czemu nie? Clem mówił mi, że kiedy bogini się ukazała, wszystkim wam sprawiła rozkosz. Mam rację?

– Pewnie tak, ale nie wyobrażasz sobie chyba, że ty i ja staniemy się przez to siostrami? Nic poza płcią nas nie łączy, prawda?

Te słowa miały zboleć, lecz przede wszystkim sprawiły, że Jude ujrzała Celestine w innym świetle. Dlaczego tak się upierała, że łączy je tylko płć? Dlatego że nie była to prawda, a u podstaw ich wrogości leżał związek, o którym nie chciała mówić. Pogarda Celestine pozwoliła Jude zapomnieć o dawnym dla niej szacunku i dostrzec, co jeszcze mają ze sobą wspólnego. Już przy pierwszym spotkaniu Celestine jej wytknęła, że śmierdzi spermą. Dlaczego? Bo pod tym względem wcale się nie różniły. Podobnie było z kwestią ciąży i dziecka, do której wracała przy każdej okazji. Celestine była matką dziecka z tej samej dynastii bogów i półbogów; ją również wykorzystano i nigdy się po tym nie pozbierała. Kiedy wściekała się na Jude – plugawą kobietę, która nie chciała pokajać się za to, że jest lubieżnicą – w istocie walczyła z własną słabością.

Jaką? To też było łatwo zgadnąć – i ubrać w słowa. Celestine zadała proste pytanie. Teraz przyszła pora na Jude.

– Czy to naprawdę był gwałt? – zapytała.

Celestine posłała jej mordercze spojrzenie. Odpowiedziała jednak spokoj-

nie:

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Cóż... spróbuję wyrazić to inaczej. Czy ojciec Sartoriego wziął cię siłą? Celestine udała, że dopiero teraz zrozumiała intencje Jude. I była wstrząśnięta.

– Oczywiście! Jak śmiesz mnie o to pytać?

– Wiedziałaś chyba, dokąd idziesz? Wiem, że Dowd dał ci coś na sen, ale przecież nie mogłaś przespać całej drogi przez dominia. Musiałaś wiedzieć, że na końcu podróży czeka cię coś niesamowitego.

– Nie...

– Nie pamiętasz? Ależ pamiętasz doskonale, każdy kilometr. Nie przypuszczam też, żeby Dowd przez cały ten czas milczał jak zakłęty. Był dumny z tego, że Bóg wybrał go na stręczyciela, nieprawdaż? – Odbierając milczenie Celestine jak prowokację, Jude z zadowoleniem mówiła dalej. – A zatem powiedział ci, dokąd się wybieracie, tak czy nie? Uprzedził, że waszym celem jest Święte Miasto, że czeka cię spotkanie z Niewidzianym i że On będzie cię kochał. Nie tylko o tym wiedziałaś, ale to ci pochlebiało.

– Nieprawda.

– Nie? A jak było naprawdę? Kazał aniołom, żeby cię przytrzymały, kiedy będzie to robił? Nie sądzę... Położyłaś się i pozwoliłaś mu na wszystko, na co miał ochotę, bo dzięki temu stałaś się oblubienicą Boga i matką Chrystusa...

– Przestań.

– Jeżeli się myłę, oświeć mnie. Powiedz, że krzyczałaś, szarpałaś się i próbowałaś Mu wydrapać oczy.

Celestine spiorunowała ją wzrokiem, ale milczała.

– Dlatego właśnie tak mną gardzisz, przez to śmierdę dla ciebie spermą. Poszłam do łóżka z tym samym Bogiem co ty i nie lubisz, kiedy ci się o tym przypomina.

– Nie osądzaj mnie, kobieto! – krzyknęła nagle Celestine.

– To i ty mnie nie osądzaj! Zrobiłam to, na co miałam ochotę, z mężczyzną, którego pożałowałam, a teraz ponoszę konsekwencje. Ty postąpiłaś tak samo. Różni nas to, że ja się nie wstydzę, ty tak. I dlatego nie jesteśmy siostrami, Celestine.

Jude nie miała ochoty słuchać dalszych obelg, ruszyła więc do drzwi. Kiedy Celestine się odezwała, nie zaprzeczała niczemu. Mówiła szeptem, zato-

piona we wspomnieniach:

– Skąd miałam wiedzieć, że to miasto grzechu i niegodziwości? Myślałam, że Bóg mnie wybrał, pobłogosławił, że będę Jego...

– Oblubienicą? – Jude zatrzymała się i spojrzała na nią.

– To łagodne określenie, ale niech będzie. Oblubienicą – westchnęła Celestine. – Nigdy nie zobaczyłam mojego małżonka.

– A kogo widziałaś?

– Nikogo. Miasto było pełne ludzi, cienie przemykały w oknach, drzwi zamykały się, gdy szłam ulicą, ale nikt mi nie pokazał swojej twarzy.

– Bałaś się?

– Nie. To takie piękne... Kamienie promieniały światłem, wysokie domy prawie zasłaniały niebo. W życiu nie widziałam nic podobnego. Szłam przed siebie i myślałam: Zaraz przyśle anioła, który zabierze mnie do Jego pałacu. Ale anioł się nie zjawił. Zewsząd otaczało mnie miasto, a ja szłam i szłam, aż się zmęczyłam. Usiadłam, żeby chwilę odpocząć, i zasnęłam.

– Zasnęłaś?!

– Właśnie! Wyobrażasz sobie? Przyszłam do Miasta Boga i zasnęłam. Śniło mi się, że wróciłam do Tybum, gdzie znalazł mnie Dowd. Patrzyłam, jak wieszają człowieka. Przepchnęłam się przez tłum pod samą szubienicę. – Celestine podniosła głowę. – Pamiętam, że przyglądałam mu się, jak podrygiwał na sznurze. Miał rozpięte spodnie. Stał mu. – Celestine skrzywiła się z niesmakiem, lecz musiała dokończyć opowieść. – Położyłam się pod nim na ziemi, na oczach tłumy ludzi, a on pęczniał i czerwieniał coraz bardziej. Kiedy skonał, wytrysnął. Chciałam się odsunąć, ale nogi trzymałam rozłożone i nie zdążyłam. Skapnął na mnie. Nie było tego wiele, parę kropel, ale każdą z nich czułam jak ogniste dotknięcie w głębi ciała. Chciało mi się płakać. I wtedy usłyszałam głos.

– Jaki głos?

– Dobiegał z ziemi, spode mnie. Szept.

– Co mówił?

– Powtarzał w kółko dwa słowa: Nisi Nirvana. Nisi Nirvana. Nisi... Nirvana.

Łzy trysnęły strumieniami z oczu Celestine. Nie próbowała nad nimi zapłakować.

– To Hapexamendios do ciebie przemówił? – zapytała Jude.

Celestine pokręciła głową.

– Po co miałyby to robić? Dostał to, na czym mu zależało. Położyłam się przed nim i spałam, kiedy mnie zapładniał. Zdążył już wrócić do swoich aniołów.

– Jeśli nie on, to kto?

– Nie wiem. Dużo o tym myślałam, przerobiłam nawet tę historię na bajkę dla mojego synka, żeby tajemnica nie zginęła razem ze mną. Wydaje mi się, że nigdy nie chciałam jej rozwikłać. Bałam się, że jeżeli poznam odpowiedź, serce mi pęknie, cały świat się skończy. Teraz już wiesz, czemu się wstydzę.

– Poznałam twoją historię, ale nie widzę w niej powodów do wstydu.

Jude powstrzymywała łzy od chwili, gdy Celestine zaczęła swoją makabryczną opowieść. Teraz płakała – trochę z bólu, trochę wskutek dręczących ją wątpliwości, ale przede wszystkim z powodu uśmiechu, który po tych słowach rozkwitł na twarzy Celestine. A także dlatego że Celestine rozłożyła szeroko ramiona i objęła ją mocno, jakby tuż przed zagładą świata znalazła dawno zagubioną ukochaną istotę.

ROZDZIAŁ 59

1

Na drodze do Pojednania Gentle odzyskał wprawdzie pamięć i odnalazł swoją tożsamość, lecz najważniejsze z jego wspomnień – sam akt Pojednania – wciąż pozostawało dla niego tajemnicą.

Kiedy poprzednio próbował go dokonać, działał w zupełnie innych okolicznościach. Przede wszystkim ceremonii towarzyszyło zamieszanie, jakie cechuje wszystkie wielkie uroczystości. Wkraczał w wyznaczony kamieniami krąg jak bokser na ring. Nie zdążył się nawet zmęczyć, a już otaczała go aura zwycięstwa. Jego opiekunowie i wielbicielowie zbierali się wokół, jakby z góry chcieli mu pogratulować sukcesu. Teraz był sam. Po drugie, wówczas czekały go bardzo konkretne nagrody – wiedział, jakie kobiety będą go kochały, jakie bogactwo i sława staną się jego udziałem. Tym razem walczył o zupełnie inną nagrodę, której nie dałoby się przeliczyć na brzęczące monety i splamione dziewiczą krwią prześcieradła. Był narzędziem w rękach wyższej, mądrzejszej siły.

To właśnie pozwalało mu zapomnieć o strachu. Kiedy otworzył umysł, żeby rozpocząć Pojednanie, nagle poczuł wielki spokój, choć chwilę wcześniej z lękiem szedł schodami na górę. Zapowiedział Jude i Clemowi, że dom nie zaznał dotąd mocy, jakie będą przepływać przez jego mury – i miał rację. Czuł, jak poruszają jego osłabiony umysł, ponaglają go, by zebrał myśli, ogarnął nimi całe dominium i wciągnął je do kręgu.

Zaczął od pokoju, w którym siedział. Jego umysł rozpostarł się we

wszystkich kierunkach, także do góry i w dół, obejmując całe pomieszczenie. To było łatwe. Swobodnie czerpał z doświadczeń całych pokoleń poetów, którzy tworzyli w więziennych celach.

Tylko ściany ograniczały jego ciało; drzwi stały się ustami, okna oczami – takie proste porównania nie wymagały żadnego wysiłku z jego strony. Później uwzględnił w swoim więziennym poemacie deski, tynk, szkło i tysiące innych drobiazgów, a kiedy stały się częścią jego istoty, przełamał ich granice i zapuścił się dalej w otwarty teren.

Zaczął się rozpędzać. Jego wyobraźnia gnała po schodach w dół i równocześnie wybiegała na dach, intelekt zaś, obciążony dosłownością, zostawał w tyle. Instynktowna wrażliwość podsunęła mu stosowne metafory dla całego domu, zanim świadomość znalazła się na parterze.

Ciało stało się miarą dla całego budynku – piwnica znajdowała się w jego brzuchu, włosy zastąpiły dach, kręgosłup zajął miejsce schodów. Dostarczywszy mu tych dowodów identyczności, myśli wybiegły z domu, przeniknęły po dachówkach, rozproszyły się po ulicach. Nie przejmował się obecnością Sartoriego, który musiał kryć się gdzieś w mroku. Umysł miał ruchliwy jak żywe srebro; był zbyt podekscytowany, żeby szukać wroga, którego już pokonał.

Ruch przychodził mu z coraz większą łatwością. Wchłonięcie ulic nie sprawiło mu więcej problemów niż zagarnięcie domu. Ciało miało swoje rury i przewody, skrzyżowania dróg, kanały ściekowe i eleganckie fasady, rzeki i ich źródła, gmach parlamentu i katedrę.

Zaczynał widzieć, jak cały Londyn zostaje odwzorowany w jego ciele, krwi i kościach. Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Gdzie architekt, który chce zbudować miasto, szuka natchnienia? Najpierw w ciele, w którym żyje od dziecka; dla każdego twórcy to ono jest pierwszym i najważniejszym modelem. Ciało staje się jego szkołą, knajpą, jatką i kościołem, więzieniem, burdelem i domem wariatów. Na ulicach Londynu nie stanął żaden gmach, który nie powstałby wcześniej w prywatnym mieście anatomii architekta. Wystarczyło otworzyć umysł i pogodzić się z tym, a wszystkie dzielnice należały do niego i dołączały do zbioru form w jego głowie.

Poleciał na północ przez Highbury i Finsbury Park do Palmer's Green i Cockfosters. Skręcił na wschód z biegiem rzeki, minął Greenwich z jego wieżą zegarową, skierował się do Tilbury. Na zachodzie wchłonał Marylebone i Hammersmith, na południu Lambeth i Stratham, gdzie dawno, dawno temu

spotkał Pie'oh'paha.

Nazwy zresztą wkrótce straciły wszelkie znaczenie. Szczegóły ulic i dzielnic zacierały się jak oglądane z okien startującego samolotu, wchodząc w skład innego, rozleglejszego obrazu, jeszcze bardziej ekscytującego dla ambitnego ducha. Na wschodzie migotały wody Morza Północnego, na południu spokojny tej nocy kanał La Manche. Czy jego ciało, które sprostało miastu, poradzi sobie teraz? A dlaczego by nie? Przepływem wody rządziły te same prawa – obojętne, czy płynęła zmarszczką na jego czole, czy rowem między dwoma kontynentami. Czy jego złożone na podołku dłonie nie przypominały dwóch łądów, pofałdowanych i zrytych dolinami, niemal stykających się półwyspami?

Nie zostało nic, co nie znalazłoby odbicia w jego ciele – żadne morze, miasto, ulica, dom, pokój. Był w Piątym Dominium, a ono było w nim. Niósł je do Ana jako mapę i poemat napisany ku czci jedności wszechrzeczy.

*

W innych dominiach odbywała się podobna pogoń za podobieństwami.

Siedząc w kręgu na zboczu Lipper Bayak, Tick Raw wciągnął już w sieć swojego ciała zarówno Patashoqua, jak i drogę, która biegła od jego bram w stronę gór. W Trzecim Dominium Scopique (którego obawy, że brak Osi może pokrzyżować ich plany, rozwiały się bez śladu) rozprzestrzenił się po Kwem i sięgał w kierunku pustynnej niecki Mai-Ké. Mieszkańcy L'Himby, do którego się udawał, gromadzili się w świątyniach, podnieceni słowami proroków, którzy ubiegłej nocy wyszli z ukrycia i głosili nieuchronność Pojednania.

Nie mniej od nich podekscytowany Athanasius zmierzał właśnie Postną Drogą do granic Trzeciego Dominium. Przeniknął nad oceanem i sięgnął wysp, podczas gdy inna, mniej delikatna część jego osobowości przemierzała odmienione Yzordderrex. Napotykał przeszkody nieznane Scopique'owi, Tickowi Raw czy nawet Gentle'owi. Oślizłe cudactwa na ulicach nie poddawały się łatwym analogiom, ale zapraszając go do Synodu, Scopique dokonał znakomitego wyboru. Obsesja na punkcie Christosa, krwawiącego boga, pozwoliła Athanasiusowi docenić dar bogiń, którego nie dostrzegłby ktoś mniej opętany ideą śmierci i zmartwychwstania. Ruiny Yzordderrex były dla niego odbiciem zniszczeń w jego wnętrzu, w muzyce obrazoburczych wód słyszał

echo tętniącej krwi, która płynęła z jego ran, przeobrażona miłością Matki Przenajświętszej w delikatny, uzdrawiający kordiał.

Tylko Chicka Jackeen na posterunku przy granicy Pierwszego Dominium musiał zmagać się z abstrakcjami, gdyż nie było w pobliżu krajobrazu, którego fizyczną naturę zdołałby naśladować. Mógł się koncentrować tylko na pustce Wybielu. O dominium, które rozpościerało się za Wybielem (miał je wchłonąć i przenieść do Ana) nie wiedział nic.

Lata studiów nad sekretem Wybielu sprawiły jednak, że wcale nie był bezradny. Ciało nie dostarczało mu wprawdzie żadnych analogii dla wielkiej niewiadomej za murem, ale w jego głowie krył się obszar równie niedostępny dla postronnych obserwatorów i równie otwarty na sondowanie myślą. Chicka Jackeen użył swojego umysłu (który – choć niewidzialny – kierował każdym świadomym działaniem i w którym zrodziła się trzymająca go w Synodzie wiara) jako obrazu Pierwszego Dominium. Jego naga czaszka, odarta ze skóry i włosów, stała się ścianą Wybielu, jej wnętrze zaś było zarazem Bogiem Pierwszego Dominium i myślami Chicki Jackeena.

Kiedy noc dobiegnie końca, z obu zostanie zdjęta klątwa niewidzialności. Wybiel zniknie, a Bóstwo wróci do Imajiki. Kiedy zaś to nastąpi, kiedy to samo Bóstwo, które zgarnęło nullianaki do pieca i na zawsze wypaliło ich zło, połączy się z dominiami, ześle wszystkim objawienie, jakiego świat nie widział. Dla umarłych, zniewolonych w ich obecnym stanie i niezdolnych znaleźć bramę na zewnątrz, zapłonie światelko, które ich poprowadzi. Żywi zaś przestaną się bać i wyjdą z domów równi bogom, obnosząc się publicznie ze swymi prywatnymi niebiosami w głowach.

*

Zajęty swoją pracą Gentle nie miał czasu śledzić, co robią inni maestrowie, ale ponieważ z pozostałych dominiów nie dochodziły żadne niepokojące wieści, był spokojny. Ból i upokorzenia, które musiał znieść, by się znaleźć się w Ana, zostały mu wynagrodzone przez te kilka godzin, które spędził w kręgu. Ogarnęła go błogość, jaką zwykle odczuwał tylko przez mgnienie oka; musiał zmienić zdanie na jej temat, dotąd sądził bowiem, że podobnej rozkoszy nie można doświadczać dłużej, gdyż człowiekowi serce pęknie. Mylił się. Trwał w ekstazie – i wciąż żył. Nie tylko żył, rozkwitał; z każdym miastem i morzem, które zagarnął, coraz lepiej panował nad Pojednaniem.

Wchłonał już prawie całe Piąte Dominium; mieściło się w nim bez trudu, pomagało mu odszukać prawdziwą moc Pojednawcy. Nie liczyła się biegłość w sztukach i influencjach, nie chodziło o pneumy, wskrzeszenia ani egzorcyzmy. Musiał umieć przełożyć miriady cudów całego dominium na alfabet ciała i nie ugiąć się pod ich ciężarem. Musiał zagłębić się w świat aż do najmniejszego szczegółu, dać mu się przeniknąć, a jednocześnie panować nad jego przyprawiającą o obłąd złożonością i zachwycać się panoramą, którą ogarniał. Musiał wreszcie zachować pamięć człowieka, którym był.

Sprawiało mu to taką przyjemność, że śmiał się w głos. Dobry humor bynajmniej go nie rozpraszał – przeciwnie, ułatwiał mu zadanie: robiło mu się lekko na duszy i bez trudu sięgał myślami wszędzie, w obszary świetliste i mroczne. Odbierał swoją nagrodę i wracał, jak goniec wysłany z wierszem do ziemi obiecanej, który przynosił ją – rozkwitającą – ze sobą.

2

W pokoju na drugim piętrze Spokojek usłyszał śmiech *liberatore* i zaczął podskakiwać z radości. Cóż innego mógł znaczyć ten śmiech, jeśli nie rychłe ukończenie wspaniałego dzieła? Nawet nie rozumiejąc konsekwencji tego faktu, musiał przyznać, że to wszystko, w czym uczestniczył, cudownie osłodziło jego ostatni dzień w świecie żywych. A gdyby miało się okazać, że istoty jego pokroju wiodą jakieś życie po śmierci (czego w żadnym wypadku pewien nie był), zrobi furorę, opowiadając o tej nocy swoim praojcom.

Bojąc się, że przeszkodzi Pojednawcy, zakończył taniec zwycięstwa i już miał wrócić na stanowisko wartownika na parapecie, gdy doleciał go dźwięk, który dotąd zagłuszał tupotem stóp. Spojrzał na sufit. Wiatr nagle wzmógł się i zaklekotał dachówkami – tak przynajmniej myślał Spokojek, dopóki nie zwrócił uwagi, że drzewo pod oknem stoi nieporuszone jak Kwem w dzień zrównania dnia z nocą.

Spokojek nie pochodził z plemienia bohaterów. Przeciwnie – jego rodowe legendy wymieniały głównie sławnych pochlebców, dezertarów i tchórzy. Dlatego też instynkt podpowiadał mu, by uciekać na dół najszybciej, jak go krótkie nóżki poniosą. Ze względu na Pojednawcę zwalczył jednak pierwszy

odruch i ostrożnie podkradł się pod okno. Przy odrobinie szczęścia mógłby się zorientować, co się właściwie dzieje.

Wgramolił się na parapet, położył na plecach i wysunął głowę na zewnątrz, żeby zerknąć do góry. Niestety, brudna mgła przesłoniła gwiazdy i dach skrył się w ciemności. Spokojek wychylił się jeszcze dalej, chociaż parapet wrzynał mu się boleśnie w kościsty grzbiet. Z okna poniżej dobiegał radosny śmiech Pojednawcy. Spokojek chciał mu zawtórować, gdy coś ciemnego jak dach i brudnego jak mgła wyciągnęło się w dół i zatkało mu usta. Atak był tak gwałtowny, że potworek puścił framugę okna i zatoczył się w tył. Ten jednak, kto go przydusił, trzymał mocno. Wciągnął go na dach. Na widok zebranych na górze istot Spokojek zrozumiał, że popełnił kilka błędów. Po pierwsze, zatkał sobie nos, przez co nie wyczuł, że się zbliżają. Po drugie, za bardzo przejmował się teoriami teologicznymi, które twierdziły, że zło pochodzi spod ziemi. Nieprawda, oj nieprawda! Wypatrywał Sartoriego i jego armii na ulicy, a zupełnie zaniedbał okoliczne dachy, które dla zwinnych stworzeń były równie wygodnym traktem.

Naliczył ich najwyżej sześć – ale też więcej nie było potrzeba. Gek-a-geków bali się wszyscy, nawet inni mieszkańcy In Ovo; tylko najsilniejsi i najbardziej zadufani w sobie maestrowie odważali się je przywoływać do domniów. Były podobne do tygrysów i zwinne jak one, miały dłonie wielkości ludzkiej głowy i głowy płaskie jak ludzka dłoń. Zwykle miały także przezroczyste ciała, tu jednak zawarły z ciemnością jakiś pakt i zrobiły się całkiem czarne. Poza tym jednym, który złapał Spokojka, wszystkie leżały na kalenicy. Maestro krył się za nimi, ale teraz wstał i półgłosem kazał postawić potworka na nogi.

– No, Spokojku... – szepnął dość cicho, by nie słyszano go na dole, wystarczająco jednak głośno, żeby przerażony Spokojek posikał się po nogach.
– Dziś nie skończy się na rozlewie twoich szczyn.

3

Przyglądanie się umierającemu Spokojkowi nie sprawiło Sartoriemu szczególnej satysfakcji. Radość, jaką czuł rano, kiedy po przywołaniu gek-a-

geków rozmyślał o bliskiej już konfrontacji z Gentle'em, wyparowała z niego wraz z litrami potu. Silne z natury gek-a-geki przetrwałyby zapewne bez uszczerbku na zdrowiu wędrowkę z Shiverick Square na Gamut Street, ale w żadnym dominium mieszkańcy In Ovo nie przepadali za światłem niebios. Zamiast ryzykować osłabienie swojej sfory, Sartori przesiedział z nią cały dzień wśród drzew, odliczając wlokące się niemiłosiernie godziny. Tylko raz poszedł na krótki spacer i przekonał się, że ulice zupełnie opustoszały. Właściwie powinien się ucieszyć – wyglądało na to, że przemknął z gek-a-gekami niezauważony do domu przy Gamut Street. Kiedy jednak wrócił do cieniowego zagajnika, gdzie nawet bzyczenie much nie mąciło letniej ciszy, wróciły lęki, które dotychczas zawsze udawało mu się odsunąć na bok. Karmiły się widokiem wymarłego miasta. Czy nie mogło się okazać, że jego plany będą musiały ustąpić przed czyimiś innymi, ważniejszymi zamierzeniami? Zdawał sobie sprawę, że idea zbudowania Nowego Yzordderrex jest bezwartościowa; powiedział o tym bratu, kiedy spotkali się w wieżowcu. Ale przecież nawet jeżeli nie zbuduje w Piątym Dominium nowego imperium, wciąż miał po co żyć. W domu przy Gamut Street czekała na niego Judith, tęskniła za nim (taką miał nadzieję) nie mniej niż on za nią. Chciał, żeby ich związek przetrwał, chociaż byłby zakałą w idealnym świecie Gentle'a. Puste ulice sprawiły, że zaczął się obawiać, czy nie jest to kolejne marzenie, które nie da się zrealizować.

Nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie na Gamut Street; był pewien, że tam przynajmniej spotka żywe istoty. Gdy jednak zjawił się na miejscu, niewielką przyniosło mu to pociechę. Tłum duchów tylko mu przypominał, jak paskudna potrafi być śmierć; dźwięki, które dobiegały z domu (dziewczęcy chichot z parteru, później donośny śmiech jego brata z pokoju medytacyjnego) wyglądały na oznaki kretyńskiego optymizmu.

Najchętniej wyrzuciłby z głowy te wszystkie myśli, lecz nie było od nich ucieczki – chyba że w ramionach ukochanej. Wiedział, że Jude jest w domu, ale kiedy uwolnione zostały tak potężne siły, nie odważył się wejść. Nade wszystko chciał się dowiedzieć (i te informacje wyciągnął w końcu od Spokojka), jak się Jude miewa i gdzie dokładnie jest. Zakładał dotąd (błędnie, jak się okazało), że cały czas towarzyszyła Pojednawcy. Tymczasem Spokojek twierdził, że była w Yzordderrex. Wróciła z niewiarygodnymi opowieściami, które jednak nie zrobiły na Pojednawcy wielkiego wrażenia i po krótkim zamieszaniu Gentle wziął się do pracy. Sam. Sartori chciał wiedzieć, czego

Jude szukała w Yzordderrex. Niestety, Spokojek odparł, że nie ma o tym zielonego pojęcia i nie dało się z niego nic więcej wydusić, chociaż gek-a-geki wykręciły mu ręce, a jeden rozłupał mu czaszkę i zapuścił jęzor do mózgu. Sartori zostawił zwłoki sforze do zabawy; odszedł na drugi kraniec dachu, żeby w spokoju przetrwać uzyskane informacje.

Dużo by dał za grudkę kreauchee, która albo pomogłaby mu zachować cierpliwość, albo dodała odwagi – załomotałby wtedy do drzwi i wywołał Jude na dwór, żeby kochać się z nią wśród zjaw. Był jednak za słaby, żeby stawić czoło siłom, które przenikały dom. Wiedział, że niedługo Pojednawca ogarnie całe dominium i uda się do Ana, a wówczas magiczny krąg skoncentruje moc na przetransportowaniu go przez In Ovo. Siły, które pozwalały mu odwzorować cały świat we własnym ciele, staną się zbędne. Wtedy właśnie – między odejściem Pojednawcy do Ana a jego powrotem i zakończeniem rytuału – Sartori przystąpi do ataku. Wejdzie do domu, poszczuje Gentle'a (i wszystkich, którzy staną w jego obronie) gek-a-gekami, a sam upomni się o Judith.

Myśląc o niej (i o kreauchee, za którym bardzo się stęsknił), wyjął z kieszeni niebieskie jajo i przytknął je do ust. Przez ostatnie kilka godzin całował je chyba z tysiąc razy, oblizywał, ssał – ale wciąż chciał wchłonąć je głębiej w siebie, poczuć je w trzewiach, tak jak ją, kiedy znów będą się parzyć. Odrzucił głowę w tył i połknął jajo. Bez oporu ześliznęło mu się do żołądka, zapewniając kilka chwil spokoju w oczekiwaniu na godzinę zemsty.

*

Gdyby ciało Clema nie miało dwóch lokatorów, porzuciłoby zapewne posterunek przy drzwiach, zanim Pojednawca zakończyłby swoje dzieło. Wywołany działaniem przewalających się przez dom sił ból brzucha zelżał po jakimś czasie. Clem najchętniej poszukałby sobie jakiegoś cichego kąta, żeby zasnąć i śnić. Tay pilnował go jednak surowo i gdy Clem dekoncentrował się choć na chwilę, wyraźnie wyczuwał jego obecność i dezaprobatę (na co dzień byli z Tayem tak subtelnie złączeni, że zauważali się wzajemnie, dopiero gdy dochodziło do jakiegoś konfliktu interesów). Trwał więc na stanowisku, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie jest już potrzebny.

Knot świecy, którą postawił obok drzwi, tonął w roztopionym wosku. Clem schylił się i wyszczerbił krater świecy, żeby nadmiar wosku spłynął na

bok, gdy nagle z ulicy dobiegło go pląsnięcie, jakby ktoś rzucił na kamienie śniętą rybę. Wstał i przytknął ucho do drzwi. Nic więcej nie usłyszał. Czy to możliwe, żeby z drzewa spadł jakiś owoc? A może tej nocy w Clerkenwell miał spaść inny, jeszcze dziwniejszy deszcz? Poszedł do pokoju, w którym po południu bawili się Monday i Hoi-Polloi. Musieli znaleźć sobie jakiś bardziej zaciszny kącik, bo zniknęli gdzieś, zabierając przy okazji dwie poduszki. Miło mu się zrobiło na myśl o tym, że w taką noc są w tym domu młodzi kochankowie; życzył im w duchu jak najlepiej. Podszedł do okna. Na ulicy było ciemniej, niż się spodziewał, i chociaż widział schody przed wejściem, nie potrafił rozpoznać, czy coś na nich leży wśród wymalowanych przez Mondaya wzorów.

Bardziej zdziwiony niż zdenerwowany wrócił do drzwi. Jeszcze chwilę nasłuchiwał, a kiedy nie doszły go żadne nowe dźwięki, miał ochotę zapomnieć o całej sprawie. Po cichu liczył jednak na to, że na Gamut Street rzeczywiście pada niezwykle, nadnaturalny deszcz. Ciekawość nie pozwoliła mu zignorować tajemnicy. Odsunął świecę od drzwi. Przy okazji chlapnął woskiem i zdusił płomień, ale świece stojące przy schodach rzucały dość światła, żeby znalazł i otworzył zasuwki.

*

Jude się obudziła. Godzinę wcześniej przyłożyła głowę do poduszki – rozmawiały jeszcze przez jakiś czas po tym, jak się pogodziły, ale w końcu zmęczenie dało o sobie znać. Celestine spała – leżała na podłodze, tylko głowę oparła na materacu – i chrapała donośnie. Dźwięk, który obudził Jude, najwidoczniej uszedł jej uwagi.

Drzwi jadalni były uchylone. Sączyła się przez nie słodka woń, od której Jude robiło się trochę niedobrze. Usiadła, rozmasowała kark i wstała z materaca. Zanim się położyła, zdjęła buty, teraz zaś zamiast szukać ich po omacku, wyszła boso z pokoju. W holu zapach był znacznie silniejszy i z całą pewnością dolatywał z ulicy. Drzwi frontowe były otwarte. Anioły, które stały przy nich na straży, zniknęły.

Zawołała Clema i ruszyła do drzwi. Świece na schodach na piętro rzucały słabą poświatę, w której coś połyskiwało tuż za progiem. Przyspieszyła kroku, modląc się w duchu do bogiń, żeby czuwały nad nią i Clemem. Niech to nie będzie on, prosiała. Widziała już kałużę krwi, w której leżały strzępy ciała.

Niech to nie będzie Clem.

Nie był. Stanąwszy w drzwiach, dostrzegła w bezkształtnej masie resztki czyjejś twarzy. Rozpoznała ją od razu – zausznik Sartoriego, mały Spokojek. Miał wydłubane oczy i wyrwany język, ale to na pewno był Spokojek. Tylko istota pochodząca z In Ovo mogła jeszcze trzepotać się tak jak on, zachowując pozory życia, które w rzeczywistości już z niej uszło.

Jude rozejrzała się po zaciemnionej ulicy, wołając Clema. Nie od razu się odezwał.

– Wracaj do środka! – krzyknął po chwili dziwnie zduszonym głosem. – Na miłość... boską... wracaj...

– Clem?

Kiedy przekroczyła próg, powitały ją następne rozpaczliwe okrzyki:

– Nie wychodź! Wracaj!

– Bez ciebie nie wrócę – oznajmiła, przestępując nad głową Spokojka. Z ciemności dobiegł gardłowy dźwięk, podobny do warczenia psa, w którego pysku zalągl się rój pszczoł. – Kto tam jest?

Nikt się nie odezwał, ale była pewna, że jeśli będzie cierpliwa, doczeka się odpowiedzi. I wiedziała, czyj głos usłyszy. Zaskoczył ją jednak zbolący ton Sartoriego:

– Nie tak miało być...

– Jeżeli zrobiłeś coś Clemowi...

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Jude wiedziała, że to kłamstwo, ale zdawała sobie sprawę, że Sartori nic Clemowi nie zrobi, dopóki potrzebny mu będzie zakładnik.

– Puść go – powiedziała.

– A przyjdiesz do mnie?

Odczekała z odpowiedzią ułamek sekundy, żeby nie okazać nadmiernej uległości.

– Tak – odparła. – Przyjdę.

– Nie, Judy! – krzyknął Clem. – Nie rób tego! On nie jest sam!

Teraz – gdy jej oczy przywykły do ciemności – dostrzegła, że Clem mówi prawdę. W pobliżu kręciły się nerwowo paskudne, smukłe stwory. Jeden stał na tylnych łapach i ostrzył pazury o drzewo, inny przycupnął w rynsztoku – był tak blisko, że widziała przeświecające spod przezroczystej skóry wnętrzności. Ich brzydota nie robiła na niej wrażenia. Takie odpadki zbierały się na śmietniku każdego dramatu – szczątki porzuconych postaci, zaplamione ko-

stiumy, potrzaskane maski. Ich obecność nie miała znaczenia. Jej ukochany zabrał je ze sobą, bo czuł się z nimi związany. Jej mogło być ich żal, bardziej jednak litowała się nad nim, bo tak nisko upadł.

– Nie ruszę się, dopóki Clem nie stanie na progu obok mnie – zapowiedziała.

– Zaufam ci – stwierdził Sartori po chwili wahania.

Potwory z In Ovo zawtórowały mu pomrukami. Dwa następne wynurzyły się z ciemności. Clem szedł między nimi. Każdy trzymał w pysku jego jedną rękę. Podeszły na tyle blisko, że widziała, jak się ślinią, i dosłownie wypluły więźnia. Clem upadł na asfalt, całe ramiona miał umazane pianą z ich pysków. Jude chciała mu pomóc, ale kiedy dwa prowadzące go gek-a-geki cofnęły się, bestia stojąca przy drzewie odwróciła łeb w jej stronę. Łakome spojrzenie wyłupiastych, czarnych jak u rekina ślepi wbiła w leżącą na drodze zdobycz. Jude bała się, że wystarczy jeden jej ruch, by gek-a-gek zaatakował; czekała więc na progu, aż Clem sam pozbiera się z ziemi i do niej podejdzie. Ręce miał całe w bąblach od śliny gek-a-geków, ale poza tym wyglądał nieźle.

– Nic mi nie jest... – stęknął. – Wracaj do domu.

Milczała. Dopiero gdy wszedł na schodki, zaczęła z nich powoli schodzić.

– Wracaj! – rzucił rozkazująco.

Objęła go i wyszeptała:

– Nie kłóć się ze mną. Wejdź do domu i zamknij drzwi. Ja zostanę tutaj.

Chciał coś powiedzieć, ale go uciszyła.

– Powtarzam, nie kłóć się ze mną. Ja chcę się z nim spotkać, Clemie. Chcę... być z nim. A teraz proszę cię, jeśli mnie kochasz, wejdź do środka i zamknij drzwi.

Wiedział zbyt dobrze, czym jest miłość (zwłaszcza taka, która zaprzecza przyjętym standardom), i nie próbował dłużej się z nią spierać.

– Nie zapominaj, co zrobił – przypomniał jej tylko.

– To też część jego natury – odparła i uwolniła się z jego objęć.

Łatwo było odejść od światła. Ból, który tajemnicze siły obudziły w jej kościach, słabł, gdy oddalała się od domu. Przyspieszyła kroku, nie mogąc się doczekać wyśnionego uścisku. Oboje go pragnęli. Mimo że zabrakło tych, którzy dali początek ich miłości – Quaisoir rozpadła się w proch, Gentle stał się półbogiem – Jude i Sartori byli ucieleśnieniem łączącej ich namiętności i nic nie mogło ich rozdzielić.

Tylko raz obejrzała się w stronę domu. Clem stał jeszcze na progu i patrzył w jej stronę. Nie tracąc więcej czasu na przekonywanie go, by wszedł do środka, odwróciła się i zapytała:

– Gdzie jesteś?

– Tutaj – odparł jej kochanek i wynurzył się zza szeregów swojego legionu.

Oplatała go cienka świetlista nić, tak delikatna, jakby utkał ją widmowy pajak z In Ovo. W paru miejscach widniały na niej podobne do pereł zgrubienia, które nabrzmiewały i ściekały z włókien, spływały Sartoriemu po twarzy i rękach, skapywały na ziemię pod jego stopami. Bardzo pochlebnie prezentował się w tym blasku, ale Jude koniecznie chciała zobaczyć jego prawdziwą twarz. Przebiła wzrokiem magiczną zasłonę – i przekonała się, że błyskotliwy dandys, którego spotkała na przyjęciu u Kleina, zniknął bezpowrotnie. Z jego oczu wyzierała rozpacz, usta miał ściągnięte, włosy w nieładzie. Istniała możliwość, że zawsze tak wyglądał, tylko maskował się jakąś banalną influencją, ale Jude nie mogła w to uwierzyć. Zmienił się fizycznie, bo coś zmieniło się w jego wnętrzu.

Mimo że stanęła przed nim całkiem bezbronna, nie próbował jej nawet dotknąć, czekał na zaproszenie jak grzesznik, który boi się z własnej woli podejść do ołtarza. Podobała się jej ta jego nowa nieśmiałość.

– Nie skrzywdziłem aniołów – rzekł.

– Nie powinieneś był ich w ogóle dotykać.

– To nie moja wina. Gek-a-geki są niezdarne. Zrzuciły z dachu kawał mięsa.

– Widziałam go.

– Chciałem poczekać, aż moc osłabnie, i wtedy z fasonem upomnieć się o ciebie. – Sartori zawiesił głos. – Zgodziłabyś się, żebym cię zabrał?

– Tak.

– Nie byłem pewien. Trochę się bałem, że mnie odrzucisz, a wtedy mógłbym się zrobić okrutny. Jesteś całym moim rozsądkiem. Bez ciebie zwariuję.

– W Yzorderrex jakoś sobie radziłeś. Całe lata.

– Byłaś przy mnie, chociaż znałem cię pod innym imieniem.

– Mimo to byłeś okrutny.

– Wyobraź sobie, do czego byłbym zdolny, gdyby nie twoja twarz... – powiedział Sartori, jakby pełen podziwu dla tej nowej możliwości. – Oblaska-wiłaś mnie.

- Tym dla ciebie jestem? Twarzą?
- Przecież wiesz... – zniżył głos do szeptu.
- Powiedz mi, słucham.

Sartori obejrzał się przez ramię na gek-a-geki. Jude nie słyszała, żeby coś mówił, ale cofnęły się w mrok, jakby zastraszone jego spojrzeniem. Odwrócił się do niej i obiema dłońmi dotknął jej twarzy; małe palce oparł od dołu o szczękę, kciuki w kącikach ust. Miał lodowate ręce, chociaż noc była gorąca i asfalt wciąż promieniował nagromadzonym za dnia ciepłem.

– Zostało nam niewiele czasu – zaczął – więc będę się streszczał. Nie ma dla nas przyszłości. Może wczoraj była jeszcze jakaś nadzieja, ale dziś...

– Słyszałam, że chcesz zbudować Nowe Yzordderrex.

– Chciałem. Mam doskonały model. Tutaj. – Pogładził ją po wargach. – Zmiotłbym z powierzchni ziemi te żalosne zaułki i stworzył miasto na twój obraz i podobieństwo.

– Co się stało? Zmieniłeś zdanie?

– Nie mamy tyle czasu, najdroższa. Mój brat przystąpił do swojego wielkiego dzieła. Kiedy skończy... – Sartori westchnął ciężko. – Kiedy skończy...

– To co? – Jude widziała, że bardzo chciałby się z nią czymś podzielić, ale coś go przed tym powstrzymuje.

– Słyszałem, że wróciłaś do Yzordderrex.

Chciała go jeszcze przycisnąć, żeby dokończył poprzednie zdanie, ale bała się przesadzić. Miała nadzieję, że przy odrobinie cierpliwości zdoła jeszcze pociągnąć go za język.

– Tak – odparła – byłam w Yzordderrex. W pałacu wiele się zmieniło.

To go zaciekawiło.

– Kto przejął władzę? Chyba nie Rosengarten, co? Wiem, niebytowcy. Athanasius, ten przeklęty klecha...

– On też nie.

– A kto?

– Boginie.

Świetlista pajęczyna wokół głowy Sartoriego zafalowała gwałtownie.

– Jedna z nich zawsze była w pałacu – wyjaśniła Jude. – Nazywa się Uma Umagammagi. Słyszałeś kiedyś o niej?

– Legendy...

– Ukryła się w Osi.

– Bzdura! Oś jest własnością Niewidzianego, tak jak cała Imajica.
Pierwszy raz słyszała, żeby mówił tak wiernopoddańczym tonem.

– My też? – spytała.

– My możemy przed tym uciec, ale to niełatwe, kochanie. Jest naszym Ojcem; chce, żebyśmy byli Mu posłuszni. Do końca. – Zapadła kolejna przykra cisza, tym razem zakończona nieśmiałą prośbą: – Przytulisz mnie?

W odpowiedzi rozłożyła ramiona. Jego dłonie zsunęły się z jej twarzy, prześliznęły po włosach i splotły za jej plecami.

– Kiedyś wydawało mi się, że budując miasta, staje się równy Bogu – szeptał. – I że jeżeli któreś z nich wyjdzie mi dostatecznie wspaniałe, będzie trwało wiecznie. A ja razem z nim. Ale przecież wszystko przemija, prawda? Wcześniej czy później...

Słyszała w jego słowach rozpacz będącą dokładnym przeciwieństwem wizjonerskiego zapału Gentle'a, jak gdyby w czasie, gdy ich znała, zamienili się umysłami. Gentle, niewierny kochanek, przynosił ludziom niebo, Sartori zaś, dawny wysłannik piekieł, tylko dzięki miłości trwał przy zdrowych zmysłach.

– A na czym miałyby polegać dzieło boskie, jeśli nie na budowaniu miast? – zapytała.

– Nie wiem.

– Może to nie nasza sprawa – zauważyła Jude, udając charakterystyczną dla zakochanych obojętność wobec przyziemnych problemów. – Zapomnijmy o Niewidzianym. Mamy siebie nawzajem. I mamy dziecko. Możemy być razem tak długo, jak tylko zechcemy.

Ile w tych słowach kryło się prawdy i nadziei! Jude czuła się paskudnie, manipulując w ten sposób ukochanym. Jednak słyszała w jego słowach echo tych samych wątpliwości, które i z niej uczyniły wyrzutka. Pogodziła się z tym, że musi wykorzystać łączące ich uczucie, by ostatecznie rozwikłać zagadkę. Skuteczność fortelu nie pomogła jej bynajmniej uciszyć wyrzutów sumienia. Kiedy Sartori zaszlochał cicho, chciała wszystko mu wyznać – ale zwalczyła tę pokusę i kazała mu cierpieć. Miała nadzieję, że wyrzuci z siebie dręczące go myśli, chociaż nigdy wcześniej nie musiał ich zapewne wyraźnie formułować.

– Nie będzie dziecka... – jęknął. – Nie możemy być razem...

– Dlaczego? – Jej głos nadal tchnął optymizmem. – Jeśli chcesz, możemy stąd odejść. Teraz, zaraz. Ukryjemy się.

- Nie mamy dokąd iść.
- Coś sobie znajdziemy.
- Nie. Nie ma dla nas kryjówki.

Odsunął się od niej. Cieszyła się, że płacze – przez łzy trudniej mu było wyczytać przebiegłość w jej twarzy.

– Powiedziałem Pojednawcy, że sam niosę sobie zagładę – ciągnął Sartori.
– Że widziałem swoje dzieła i od początku spiskowałem przeciwko nim. Ale potem zadałem sobie pytanie: Czyimi oczami patrzę? I wiesz, jak brzmi odpowiedź, Judith? Oczami Ojca. Mojego Ojca...

Judy przypominały się słowa Clary Leash: mężczyzna jako niszczyciel całego świata. A czy mógł istnieć mężczyzna doskonalszy niż Bóg Pierwszego Dominium?

– ...skoro oglądam swoje dzieła Jego oczami i chcę je zniszczyć... to co On widzi? I czego chce?

– Pojednania.

– Pojednania... A dlaczego? To nie jest żaden początek, Judith, to koniec. Kiedy Imajica stanie się jednością, On obróci ją w perzynę.

Jude odchyliła się i spojrzała mu w twarz.

– Skąd o tym wiesz?

– Chyba zawsze wiedziałem.

– I nic nie mówiłeś? Całe to gadanie o przyszłości...

– Bałem się sam przed sobą przyznać, że to prawda. Nie mogłem uwierzyć, że nie jestem panem swojego losu. Ty to rozumiesz; widziałem, jak walczyłaś, żeby patrzeć na świat własnymi oczami. Jesteśmy w tym do siebie podobni. Nie umiałem pogodzić się z tym, że jakaś częśćka mnie w rzeczywistości należy do Niego.

– A teraz się pogodziłeś. Co się zmieniło?

– Widzę cię moimi oczami, kocham moim sercem... Kocham cię, Judith, a to znaczy, że się od Niego uwolniłem. Mogę potwierdzić to... co... wiem.

– Rozpłakał się, ale nadal trzymał ją w ramionach, cały drżący. – Nie mamy gdzie uciec, najdroższa. Zostało nam najwyżej parę minut, kilka słodkich chwil. Potem nastąpi koniec.

Słuchała go, ale myślami była w domu, z którego wyszła. Mimo słów Umy Umagammagi, mimo zapału maestra i tragedii, do jakiej mogła doprowadzić jej interwencja, musiała zapobiec Pojednaniu.

– Możemy Go jeszcze powstrzymać – zauważyła.

– Za późno. On już wygrał. Możemy mu się jednak sprzeciwić w inny, czystszy sposób.

– To znaczy?

– Możemy razem umrzeć.

– To nie byłby sprzeciw, tylko klęska.

– Nie chcę żyć, jeżeli On ma być we mnie stale obecny. Wolę położyć się tu, na ziemi, obok ciebie, i umrzeć. To nie będzie bolało.

Rozpiął marynarkę. Za pasek miał zatknięte dwa sztylety. Połyskiwały odbitym światłem pajęczej nici, ale i tak wydawały się ciemne w porównaniu z błyskiem w jego oczach. Łzy już obeschły. Sartori się rozpromienił.

– Nie ma innego wyjścia – dodał.

– Nie potrafię...

– Potrafisz. Jeśli mnie kochasz, potrafisz.

Wyrwała się z jego objęć.

– Chcę żyć.

– Nie zostawiaj mnie – powiedział na wpół błagalnie, na wpół grożąc. – Nie zostawiaj mnie mojemu Ojcu, proszę cię. Jeżeli mnie kochasz, nie oddawaj mnie Jemu.

Wyciągnął sztylety z za pasa i podał jej jeden rękojeścią do przodu, jak handlarz śmiercią. Wytrąciła mu go z ręki. Sztylet nie upadł jeszcze na ziemię, gdy odwróciła się i spojrzała na dom, pełna nadziei, że Clem ciągle stoi na progu. Istotnie – stał, a sądząc z blasku, jaki bił od wejścia, musiał zapalić i przenieść pod drzwi wszystkie zgromadzone świece. Ruszyła w jego stronę, nie zwracając uwagi na Sartoriego. Wypowiedział tylko jej imię, ale nie miała cienia wątpliwości – groził jej. Nie odpowiedziała (wystarczyło, że od niego uciekła), tylko zerknęła za siebie. Schylił się po nóż, wyprostował i powtórzył:

– Judith...

Tym razem ostrzeżenie zabrzmiało znacznie poważniej. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Gek-a-gek spod drzewa pędził prosto na nią. Jego płaski łeb był wielki jak właz do studzienki kanalizacyjnej, a pysk najeżony zębami chyba po sam żołądek.

Sartori krzyknął coś, próbując go powstrzymać, ale niesforny gek-a-gek nie posłuchał. Jude rzuciła się biegiem w stronę domu. Dobiegł ją głośny okrzyk Mondaya. Chłopak pojawił się w drzwiach, ubrany tylko w przybrudzone szorty. W ręce trzymał prowizoryczną maczugę i wywijał nią nad gło-

wą jak opętany. Jude zrobiła unik, żeby uchylić się przed przypadkowym ciosem, i wpadła na schodki. Clem, który stał za plecami chłopca, chciał ją wciągnąć do środka, ale zatrzymała się, krzyknęła na Mondaya, żeby się schował – i zobaczyła depczącego jej po piętach gek-a-geka. Monday nie cofnął się, lecz uderzył na odlew. Maczuga świsnęła w powietrzu i trafiła prosto w łeb potwora. Zmiażdżyła jedno z wyłupiastych ślepi, lecz niesiony rozpe-dem gek-a-gek doskoczył do Mondaya i jednym ze świeżo wyostrzonych pazurów rozorał mu skórę na plecach. Chłopak wrzasnął z bólu i byłby upadł, gdyby Clem nie złapał go wpół i nie pchnął w głąb domu.

Gek-a-gek znalazł się dosłownie o metr od stóp Jude. Z odrzuconym w tył łbem wył z wściekłości, ale Jude nie widziała jego rozwartego pyska – patrzyła na Sartoriego. Szedł w stronę domu z nożami w rękach, towarzyszyły mu dwa gek-a-geki. Nie odrywał od niej wzroku. Miał smutne oczy.

– Włóż! – ryknął Clem.

Jude otrząsnęła się i wbiegła do środka. Jednooki gek-a-gek skoczył za nią, ale Clem był szybszy, zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Hoi-Polloi zamknęła zasuwki. Ranny potwór – i jego zraniony pan – zostali w ciemnościach na dworze.

*

Siedzący piętro wyżej Gentle nic nie słyszał. Dzięki mocy kręgu przebył już In Ovo i znalazł się w Ana, które Pie nazywał Domem Splotu. Tutaj właśnie miał z innymi maestrami przeprowadzić przedostatnią fazę Pojednania. Zmysły stały się w Ana zbędne i Gentle czuł się jak we śnie – wszystko wiedział, ale sam pozostał incognito i obserwował sam siebie z dystansu. Nie płakał za ciałem, które zostało na Ziemi przy Gamut Street; nie zmartwiłby się, gdyby nie mógł już do niego wrócić. Tutaj, w Ana, mógł istnieć w doskonałej formie, niczym cyfra w złożonym równaniu, której nie można usunąć ani pomniejszyć, a która zarazem wpływa na sumę całości.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest w Ana sam – mimo że fizyczny wzrok był mu zbędny, jego wyobraźnia dysponowała paletą barw i obrazów tak żywą i obszerną jak nigdy przedtem. Nie musiał bawić się w fałszerza. Zyskał w swej metempsychozie wizjonerski talent, o jakim nigdy nie śmiał marzyć. W myślach bez trudu znajdował drogę do swoich towarzyszy.

Wyobraził sobie Ticka Raw ubranego w przypadkowo zestawione szaty,

w jakich zobaczył go pierwszy raz w Vanaeph, uszyte jednak nie z materiału, lecz z cudów Czwartego Dominium: kurtka z gór, przyprószona śniegiem Jokalaylau; koszula z Patashoqua, spięta pasem jego murów; blask złotozielonej aureoli na twarzy, na której panował ruch jak na Drodze Patashoquańskiej.

Scopique'a widział w mniej jarmarcznych barwach: szary pył Kwem otulał go jak postrzępiony płaszcz, jego drobinki wykreślały w fałdach materii najpiękniejsze widoki Trzeciego Dominium – Kołyskę Chzercemit, świątynię L'Himby, Postną Drogę, a nawet tory kolejowe; dym z komina lokomotywy piał się pod ciemne, burzowe chmury.

Odziany w brudne łachmany Athanasius niósł w zakrwawionych dłoniach doskonały wizerunek Yzordderrex – od grobli po pustynię, od portu po teatr „Iipse”. Ocean wypływał mu ze zranionego boku, a cierniowa korona na skroniach rozkwitała, obsypując go płatkami w tęczyowych kolorach.

Chicka Jackeen siedział w blasku błyskawic. Wyglądał tak samo jak dwieście przesileń wcześniej, na schodach domu Gentle'a. Wtedy płakał i ze strachu był blady jak ściana, teraz rozkazywał burzy, zamiast się jej bać. Ogniste łuki, które przeskakiwały mu między palcami, tworzyły surowy, przepiękny obraz, odkrywały sekret Pierwszego Dominium i z własnej doskonałości czyniły nową tajemnicę.

Gentle zastanawiał się, jak widzą go pozostali maestrowie – być może, nie dzielali jego malarskiej żądz patrzenia na świat i wyobraźnia podsuwała im wrażenia znacznie subtelniejsze od tych, jakich mógł dostarczyć wzrok. Przypuszczał, że tak byłoby nawet lepiej, i wiedział, że z czasem uwolni się od dokuczliwej dosłowności, tak jak pozbędzie się cielesnej skorupy, która nosiła jego imię. Nie czuł się związany ani z Gentle'em, którego zostawił w pokoju medytacyjnym, ani z jego historią. Związek z każdym „ja” był jedną wielką tragedią, nieodwołalnie skazywał człowieka na stratę i cierpienie. Gdyby nie to, że chciał jeszcze zobaczyć Pie'oh'paha, modliłby się, żeby nagrodą za Pojednanie był stan wiecznego niebytu w Ana.

Wiedział, naturalnie, że to niemożliwe. Azyl Ana istniał tylko przez krótką chwilę, w dodatku służył wtedy bardziej uniwersalnym celom niż ukojenie jednej zbolełej duszy. Maestrowie zrobili, co do nich należało, przenieśli dominia do sanktuarium Ana i wkrótce mieli stać się zbędni – wrócą do swoich kręgów, zostawią dominia, by same się połączyły i odepchnęły In Ovo jak wzburzone morze daleko od granic Imajiki. Można było tylko zgadywać, co

będzie dalej. Osobiście wątpił, by nastąpiło jakieś ogólne, gwałtowne objawienie, by wszyscy mieszkańcy Piątego Dominium w jednej chwili odczuli, że są wolni. Proces będzie raczej powolny i potrwa całe lata. Najpierw rozejdą się plotki, że jeżeli ktoś wie, gdzie szukać, może znaleźć osnute mgłą mosty prowadzące w nieznane; potem plotki znajdą potwierdzenie, mosty zmieniają się w groble, tajemnicza mgła w wielkie chmury, a pokolenie lub dwa później dzieci będą przychodzić na świat z wrodzoną świadomością, że pięć dominiów stoi przed nimi otworem. Pewnego dnia ludzkość odkryje w Imajicie własne Bóstwo i nie było ważne, kiedy ten dzień nadejdzie. Od chwili gdy pojawi się pierwszy most – choćby najwątlejszy – Imajica stanie się jednością. Każdy obywatel Piątego Dominium – od niemowlęcia w kołysce po starca na łożu śmierci – zostanie w pewnym sensie uzdrowiony i każdy oddech da mu większą radość.

*

Jude odczekała chwilę w holu, by się upewnić, że Monday żyje, a potem podeszła do schodów. Moc, która sprawiła im tyle bólu, przestała płynąć przez dom – najwidoczniej ceremonia weszła w następną (być może ostatnią) fazę. Clem podszedł do Jude, niosąc dwie następne maczugi.

– Ile jest tych potworów? – zapytał.

– Ze sześć...

– W takim razie idź popilnuj tylnego wejścia. – Podał Jude broń.

– Wy się nimi zajmijcie – odparła Jude. – Spróbujcie je powstrzymać, jak długo zdołacie.

– A ty gdzie idziesz?

– Muszę przeszkodzić Gentle'owi.

– Przeszkodzić mu?! Mój Boże, dlaczego?

– Dowd miał rację. Jeżeli Gentle dokona Pojednania, będzie po nas.

Clem rzucił maczugi na podłogę i złapał Jude za ramiona.

– Nie, Judy, wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

Mówili do niej obaj – i Clem, i Taylor. Dwa głosy się mieszały. To było chyba jeszcze gorsze od Sartoriego i jego bestii; taki rozkaz z ust człowieka, którego kochała. Starła się jednak zachować spokój.

– Puść mnie – powiedziała i złapała się poręczy.

– Zamącił ci w głowie, Judy – mówili Clem z Taylorem. – Nie wiesz, co

robisz.

– Wiem doskonale, do cholery! – Jude usiłowała się im wyrwać, ale mimo bolesnych bąbli na rękach trzymali ją mocno. Próbowwała szukać pomocy u Mondaya, lecz on wraz z Hoi-Polloi zaparli się plecami o drzwi, w które nieustępliwe gek-a-geki łomotały mocarnymi łapami. Deski były solidne, ale nie mogły długo wytrzymać takich ciosów. Wiedziała, że albo dotrze do Gentle'a, zanim potwory wedrą się do środka, albo wszystko będzie stracone.

Nagle ponad łoskot wzniósł się głos, który tylko raz słyszała podniesiony:

– Puśćcie ją.

Opatulona prześcieradłem Celestine pojawiła się w drzwiach z jadalni. Padające na nią światło świec chybotąło niespokojnie, ona jednak szła zdecydowanym krokiem. Anioły obejrzały się na nią, napotkały jej hipnotyzujący wzrok, ale nie wypuściły Jude.

– Ona chce...

– Wiem, co chce zrobić – ucięła Celestine. – Jeżeli jesteście naszymi strażnikami, brońcie nas, ale ją puśćcie.

Uścisk aniołów zelżał. Nie czekając, aż zmienią zdanie, Jude wyrwała im się i wbiegła na schody. Była w połowie drogi, gdy odwróciła się, słysząc z dołu krzyk. Hoi-Polloi i Monday padli na ziemię, środkowa deska w drzwiach pękła i olbrzymia łapa sięgnęła do środka – na szczęście pazury przecięły tylko powietrze.

– Biegnij! – krzyknęła Celestine, stając u stóp schodów. Jude odwróciła się i popędziła na piętro.

Na górze było znacznie ciemniej, ale z każdym krokiem coraz wyraźniej widziała szczegóły wnętrza. Schody pod jej stopami zmieniły się nagle w cudowny labirynt słoi i sęków, w którym z przyjemnością można by się zagubić. Nie tylko wzrok gwałtownie się jej wyostrzył. Poręcz, której dotykała, była gładsza niż jedwab, żywica pachniała oszałamiająco, kurz miał cudowny smak. Odepchnęła nadmiar wrażeń – zdjęła rękę z poręczy, wstrzymała oddech – i skoncentrowała się na drzwiach u szczytu schodów. Mimo to szła z trudem. Skrzypienie stopni brzmiało jak dźwięki orkiestry, cienie na podeście zmieniały się i falowały, błagały o jedno jej spojrzenie. Ale było coś, co dodawało jej sił – zamieszanie na parterze nie słabło. Hałas narastał. Głos Sartoriego wzniósł się ponad ogólną wrzawę:

– Dokąd to, najdroższa? Nie możesz mnie tak zostawić. Nie pozwolę ci na to. Spójrz! Kochanie, spójrz na mnie! Mam nasze sztylety.

Nie odwróciła się. Zamknęła oczy i zatkała sobie uszy, ostatnie stopnie pokonała ślepa i głucha. Dopiero gdy weszła na piętro, odważyła się rozejrzeć. Rzeczywistość natychmiast upomniała się o jej zmysły. Każde zagłębienie w każdym łebku gwoździa w drzwiach powtarzało: „Zaczekaj, przyjrzyj mi się z bliska”. Kurz wzbijany jej stopami tworzył konstelacje, w których mogłaby zabłądzić. Dotarła do drzwi ze wzrokiem utkwionym w klamkę i z całej siły zacisnęła na niej dłoń. Zabolało, ale przynajmniej pokusy zmysłów na chwilę zbladły. Zdążyła nacisnąć klamkę i pchnąć drzwi. Sartori znów coś krzyczał, lecz jego głos dobiegał na górę zniekształcony, jakby tonął w nadmiarze wrażeń.

Miała przed sobą drugiego Sartoriego. Siedział nagi pośrodku ułożonego z kamieni kręgu, w tradycyjnej pozycji medytacyjnej – ze splecionymi nogami, z zamkniętymi oczami i otwartymi dłońmi opartymi na kolanach, żeby chwycić w nie spływające z niebios błogosławieństwa. Wiele innych obiektów dopominało się o jej uwagę – kominek, okno, podłoga, belki stropowe – ale nawet połączywszy wysiłki, nie mogły rywalizować z cudem ludzkiej nagości, zwłaszcza nagości tego ciała, które kochała i przy którym spędziła tyle nocy. Ani plamy na ścianach, upodabniające je do mapy jakiegoś nieznanego lądu, ani zapach zmiądzonych liści na parapecie nie mogły jej teraz zdekoncentrować. Wszystkimi zmysłami uczepiła się Pojednawcy. Zawołała go po imieniu.

Nie poruszył się. Nie wiedziała, gdzie błąka się jego umysł, ale z pewnością znalazł się bardzo daleko od domu (a raczej dom stał się mikroskopijną cząstką jego świata) i nie reagował na najbardziej nawet rozpaczliwe wezwania. Stała na krawędzi kręgu. Nic nie sugerowało, że wewnątrz kręgu szaleje energetyczny wir, ale dobrze pamiętała, jak skończyła się dla Dowda i jednego z jego pustkowców nierozważna próba wskoczenia do Ekspresu Yzorderrex. Z parteru dobiegł ją ostrzegawczy krzyk Celestine. Nie było czasu na ostrożność. Cokolwiek miało się stać, niech się stanie. Była gotowa wziąć na siebie wszelkie konsekwencje.

Zacisnęła zęby i przekroczyła granicę okręgu. Natychmiast poczuła znajome swędzenie, ukłucia bólu i drgawki, które towarzyszyły podróży między dominiami, i przez chwilę bała się, że krąg wyekspediuje ją w drogę do In Ovo. Jednak dzieło maistrów blokowało tę prostą funkcję kręgu, więc czuła tylko narastający ból, który w końcu zmusił ją do uklęknięcia przed Gentle'em. Popłakała się i bluznęła najgorszymi przekleństwami. Na razie krąg

jej nie zabił, ale miała wrażenie, że nie wytrzyma długo jego naporu. Musiała się spieszyć.

Z wysiłkiem otwarła zaciśnięte kurczowo powieki. Ani jej krzyki, ani przekleństwa nie wywołały żadnej reakcji Gentle'a. Złapała go za ramiona i potrząsnęła ze wszystkich sił. Był zupełnie rozluźniony i leciał jej przez ręce, ale przynajmniej zareagował – albo na jej dotyk, albo na samą jej obecność w magicznym kręgu. Zrobił gwałtowny wdech, jakby wyciągnęła go z jakiejś pozbawionej powietrza otchłani.

– Gentle! Otwórz oczy! Otwórz oczy, ty skurwysynu!

Cierpiał. Oddychał coraz szybciej i coraz gwałtowniej, a jego twarz, dotychczas błoga i pogodna, wykrzywiła się w bolesnym grymasie. Podobał jej się ten widok; Gentle w roli mesjasza robił się cwany... Pora skończyć z tym samozadowoleniem. Jeśli to, co robiła, sprawiało mu przykrość, sam sobie był winien. Za bardzo wdał się w ojca.

– Słyszysz mnie? Gentle, musisz przerwać ceremonię! Słyszysz?! Przerwij rytuał!

Zamrugął.

– Świetnie, Gentle! Doskonale! – Czuła się jak nauczycielka, która próbuje zmusić do współpracy leniwego ucznia. – Dalej, postaraj się! Prędeziej! No, otwórz oczy, bo sama ci je otworzę! Ostrzegam!

Kciukiem prawej dłoni uniosła mu lewą powiekę, ale Gentle przewrócił oczami i odsłoniła tylko białko. Nadal był bardzo daleko od niej, a ona nie wiedziała, czy wytrzyma napór kręgu dostatecznie długo, żeby przywabić Gentle'a do domu.

– Za późno, kochanie – dobiegł ją z podestu głos Sartoriego. – Nie czujesz tego? Spóźniłaś się.

Nie musiała się odwracać, wiedziała, że stał przy schodach ze sztyletami w dłoniach i smutkiem malującym się na twarzy. Nie zareagowała. Musiała bez reszty skupić się na obudzeniu Gentle'a.

Nagle przyszło olśnienie. Sięgnęła ręką w dół, do jego krocza; od oczu do genitaliów. Z pewnością Pojednawca miał w sobie dość z dawnego Gentle'a, żeby niepokoić się o swoją męskość. W ciepłym pokoju jego moszna zrobiła się miękka i luźna, Jude poczuła w dłoni ciężar jego jąder. Były takie delikatne... Złapała je mocno.

– Otwórz oczy – powtórzyła. – Bo jak nie, to słowo daję, zrobię ci krzywdę.

Nie zareagował, więc zacisnęła dłoń.

– Zbudź się!

Nic z tego. Ścisnęła jeszcze mocniej i przekręciła rękę w nadgarstku.

– Obudź się!

Zaczął jeszcze szybciej oddychać, a kiedy szarpnęła trochę mocniej, nagle otworzył oczy. Ostatnie sapanie przeszło w przeciągły, bolesny jęk. Gentle złapał Jude za szyję. Musiała puścić jego jądra, ale w tej chwili nie miało to już znaczenia. Najważniejsze, że się obudził – i był wściekły. Wypchnął ją poza obwód koła. Upadła niezdarnie na podłogę.

– Musisz przerwać rytuał!

– Zwariowałaś?! – warknął.

– Mówię serio! Musicie przerwać ceremonię! To spisek! – Podniosła się na kolana. – Dowd miał rację, Gentle, nie można dopuścić do Pojednania.

– Już nie możesz nam przeszkodzić. Spóźniłaś się.

– Zrób coś! Na pewno jest jakiś sposób!

– Jeżeli jeszcze raz się do mnie zbliżysz, zabiję cię. – Gentle powiódł wzrokiem po kamieniach. Krąg był nienaruszony. – Gdzie Clem? – spytał. – Clem!

Dopiero teraz spojrzał przez otwarte drzwi w stronę schodów i dostrzegł majaczącą na podeście sylwetkę. Skrzywił się z odrazą i Jude zdała sobie sprawę, że nie ma już szans go przekonać. Jego teoria spiskowa znalazła potwierdzenie.

– Widzisz, najdroższa? – odezwał się Sartori. – Mówiłem ci przecież, że się spóźniłaś. – Dwa gek-a-geki łąsiły mu się do nóg. W rękach miał sztylety, ale tym razem nie zamierzał jej jednego dać. Sam ją zabije. – To koniec, kochanie.

Przeszedł przez próg.

– Zróbmy to tutaj, w pokoju, w którym nas stworzono. Znasz lepsze miejsce?

Jude nie musiała odwracać się do Gentle'a, by wiedzieć, że słucha z uwagą. Czy Sartori był jej ostatnią nadzieją? Czy mógł użyć argumentu, który przekona Gentle'a?

– Będę musiał zadbać o nas oboje, najdroższa – ciągnął Sartori. – Ty jesteś na to za słaba. Nie widzisz tak jasno jak ja.

– Nie chcę... umierać.

– Nie masz wyjścia. Zginiesz albo z ręki syna, albo Ojca. Tylko taki masz

wybór, Ojciec albo syn.

Zza pleców dobiegł ją szept Gentle'a. Dwie sylaby:

– Och, Pie...

Sartori zrobił drugi krok. Wyszedł z cienia w krąg światła. W oczach wzbierały mu łzy rozpacz, spierzchnięte usta wyglądały jak pokryte kurzem, przez bladą skórę przeświecały kości czaszki, odsłonięte zęby układały się w uśmiech szkieletu. Sartori był wcieleniem śmierci. Jeżeli ona, która go kochała, potrafiła to dostrzec, także Gentle musiał to rozumieć.

Sartori postąpił jeszcze krok w stronę Jude i wzniosł oba sztylety. Nie spuściła wzroku – spojrzała mu w oczy, jakby chciała go sprowokować, żeby zbeczczył stalowym ostrzem tę samą skórę, którą nie tak dawno czule pieścił.

– Byłem gotów umrzeć za ciebie – szepnął. Błyszczące w blasku świec ostrza zawisły nieruchomo w najwyższym punkcie łuku. – Czemu więc ty nie miałabyś umrzeć dla mnie?

Nie czekał na odpowiedź, lecz uderzył oboma sztyletami jednocześnie. Odwróciła głowę, przez co chybiły jej oczu, a gdy miały rozorać jej policzek i szyję, stojący za nią Pojednawca krzyknął przenikliwie. Cały pokój się zatrzęsł. Jude przewróciła się i ostrza sztyletów minęły ją o centymetry. Świece na kominku zachwiały się i pogasły, ale w pokoju nie zapanowała ciemność. Tworzące krąg kamienie migotały jak maleńkie ogniska zduszone gwałtownym podmuchem wiatru, tryskały iskrami na wszystkie strony. Na obwodzie koła stał Gentle, w ręce trzymał kamień. Za jednym zamachem uzbroił się i przerwał krąg – i dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Wydawało się, że nagle osłabł. Stał nieruchomo, stracił impet, który pchnął go do przerwania ceremonii.

Jude zerwała się z podłogi, chociaż pokój drżał coraz gwałtowniej. Czuła pod stopami solidne deski, ale w ciemności widziała tylko gwoździe, którymi umocowano je do legarów. Mimo poświęty magicznych kamieni reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Jude odwróciła się w stronę kręgu. Miała wrażenie, że porusza się w absolutnej pustce.

Każdemu wstrząsowi towarzyszył trzask drewna i pękającego tynku, a w tle rozlegało się gardłowe bulgotanie, którego źródło ujrzała, stanąwszy na skraju koła. Ciemność, która je wypełniała, była rzeczywiście ciemnością pustki. W kręgu ziało wejście do In Ovo, wyrwany z transu Gentle nie zdążył go zamknąć. Więźniowie dzielącej dominia pustki, poruszeni niedawną wizy-

tą Sartoriego, zwęszyli szansę ucieczki i tłoczyli się w czarnej dziurze.

Gek-a-geki przy drzwiach podniosły radosny wrzask, przeczuwając bliskie spotkanie z braćmi, lecz mimo pozornie ogromnej siły niewielki miałyby udział w nadchodzącej masakrze. W otchłani kłębiły się potwory, przy których wyglądały niewinnie jak kociaki. Jude była przerażona, ale jeśli tylko tak mogła zapobiec Pojednaniu – trudno, musiała to zrobić. Historia zatoczy koło, a maestro ponownie zostanie potępiony.

Gentle też dostrzegł nadciągające bestie i ich widok zmroził mu serce. Jude, zdecydowana za wszelką cenę powstrzymać go przed zamknięciem kręgu, próbowała wyrwać mu kamień z ręki i wyrzucić przez okno.

Już nie patrzył na nią, lecz na kogoś za jej plecami. Sartori! Jude odskoczyła w bok, drugi raz uniknęła ciosu sztyletów i oparła się o kominek. Odwróciwszy się, ujrzała braci stojących twarzą w twarz.

Sartori powiódł za nią wzrokiem i wtedy Gentle uderzył z góry na dół trzymanym oburącz kamieniem. Wytrącił Sartoriemu sztylet z ręki. Sypnęły się iskry. Chciał zadać następny cios, mierząc w drugie ostrze, lecz tym razem Sartori zdążył cofnąć rękę. Gentle trafił więc w pustą dłoń brata. Trzask zmiażdżonych kości wybił się ponad ryki potworów z In Ovo, trzeszczenie desek i łoskot pękających murów.

Sartori zaskowyczał z bólu i podniósł okaleczoną dłoń, podsuwając ją bratu pod nos, jakby oczekiwał wyrazów współczucia. Kiedy jednak Gentle od ruchowo na nią spojrział, Sartori zadał mu z boku cios drugą ręką, zdrową i zbrojną w nóż. Gentle dostrzegł kątem oka błysk stali, zdążył się uchylić, ale sztylet rozciął mu rękę od nadgarstka po łokieć i sięgnął kości. Trysnęła fontanna krwi. Gentle upuścił kamień, Sartori zaś wkroczył do kręgu, siekąc sztyletem na odlew.

Bezbronny Gentle cofnął się, odchylił, stracił równowagę i upadł. Wystarczyłby jeden cios, żeby go w tym momencie dobić, ale Sartori chciał nacieszyć się bliskością brata. Usiadł mu okrakiem na brzuchu i ciął po rękach, którymi maestro próbował zasłonić się przed ostatnim pchnięciem.

Jude po omacku szukała sztyletu na rozedrganej podłodze. Nie mogła odebrać wzroku od złowrogich kształtów, które niemal wystawiały łby z In Ovo, wężąc wolność. Wiedziała, że sztylet na nic się jej przeciwko nim nie przyda, ale mogłaby zadźgać Sartoriego. Sam przecież chciał się nim zabić. Jeżeli znajdzie ostrze, może uda się jej użyć go zgodnie z przeznaczeniem.

Zanim namacała sztylet, usłyszała bolesny szloch, a odwróciwszy się, zo-

baczyła Gentle'a przyciśniętego do ziemi. Był potwornie poraniony – miał rozprutą pierś, rozciętą skórę na szczęce, policzku i skroniach, dłonie i przedramiona całe we krwi. Jednak szlochał nie on, lecz Sartori, który właśnie podniósł sztylet do ostatniego ciosu. Płacząc, mierzył prosto w serce brata.

Jego rozpacz była przedwczesna. Sztylet opadał już po łuku, gdy Gentle wykrzesał z siebie resztki sił, szarpnął się i ostrze, chybiwszy serca, weszło pod obojczykiem w płuco. Śliska od krwi rękojeść wysunęła się Sartoriemu z ręki, ale sztylet już nie był potrzebny. Po ostatnim desperackim spazmie Gentle znieruchomiał.

Sartori wstał i spojrzał w pustkę In Ovo. Potwory znajdowały się tuż pod powierzchnią, on jednak bez pośpiechu podziwiał roztaczającą się wokół niego panoramę. Wreszcie jego wzrok spoczął na Jude.

– Najdroższa... – powiedział cicho. – Patrz, co narobiłaś. Oddałaś mnie mojemu Ojcu Niebieskiemu.

Schylił się po kamień, który wypadł Gentle'owi z ręki, i z delikatnością malarza kładącego ostatnią warstwę farby na płótnie wstawił go na miejsce.

Nie od razu wszystko wróciło do normy. Mroczne kształty kłębiły się jak przedtem i zbliżały do Piątego Dominium, zanim się zorientowały, że ktoś zamknął im drogę. Ogień w kamieniach zaczął przygasać. Sartori rzucił półgłosem jakiś rozkaz i gek-a-geki odsunęły się od drzwi, schylając płaskie łby do ziemi. Jude bała się, że idą po nią, ale ich pan kazał im zabrać Gentle'a. Obeszły krąg z dwóch stron, delikatnie wyciągnęły ze środka ciało i odsunęły je Sartoriemu z drogi.

– Na parter z nim – powiedział głośnie.

Stwory posłusznie cofnęły się i wyszły, zostawiając go samego w kręgu.

Zapanował przerażający spokój. Ostatni ślad In Ovo zniknął, blask w kamieniach zgasł niemal całkowicie. Jude patrzyła, jak Sartori siada w środku koła.

– Nie rób tego... – ostrzegła.

Podniósł głowę i chrząknął, jakby zdziwiony, że nie jest sam w pokoju.

– Już po wszystkim – odparł. – Muszę tylko popilnować kręgu do północy.

Z parteru dobiegł jęk Clema, który musiał właśnie zobaczyć, co gek-a-geki wywlekły na podest. Potem rozległ się stłumiony łoskot, gdy zrzuciły Gentle'a ze schodów i Jude wiedziała, że zaraz przyjdą po nią. Zostały jej do słownie sekundy, żeby jakoś wywabić Sartoriego z kręgu. Znała tylko jeden

sposób – jeżeli miałby zawieść, podda się ostatecznie.

– Kocham cię – powiedziała.

Nie widziała go już, ale czuła, że na nią patrzy.

– Wiem – odparł wypranym z emocji głosem. – Ale mój Ojciec Niebieski bardziej mnie umiłuje. Zresztą wszystko jest już w Jego rękach.

Słyszała za plecami kroki gek-a-geków, czuła na karku ich lodowaty oddech.

– Nie chcę cię już nigdy więcej oglądać – dodał Sartori.

– Odwołaj gek-a-geki, proszę. – Przypomniała sobie, jak złapały Clema, niemal odgryzając mu ręce.

– Jeżeli odejdziesz stąd z własnej woli, nawet cię nie tkną. Ja muszę kontynuować dzieło Ojca.

– On cię nie kocha...

– Wyjdź.

– Jest niezdolny...

– Wyjdź!

Jude wstała; nie miała nic więcej do powiedzenia, nie mogła nic zrobić. Kiedy odwróciła się plecami do kręgu, gek-a-geki otarły się o jej nogi z obu stron i odprowadziły ją do drzwi. Do końca pilnowały, czy nie będzie próbowała ich panu zaszkodzić. Na podest wyszła już sama. Clem szedł właśnie na górę z maczugą w ręce, ale kazała mu się zatrzymać; bała się, że jeśli wejdzie choćby jeden stopień dalej, gek-a-geki rozszarpią go na strzępy.

Drzwi pokoju medytacyjnego zatrzęsły się za nią z hukiem. Odwróciła się. Gek-a-geki usiadły przed progiem i pilnowały wstępu do pokoju. Ostrożnie, jakby obawiała się, że jeszcze mogą się na nią rzucić, powoli na palcach podeszła do schodów i dopiero tam odważyła się przyspieszyć.

Na parterze paliły się świece, ale scena, którą Jude ujrzała, była jeszcze bardziej przygnębiająca niż to, co widziała na górze. Gentle leżał z głową na kolanach matki. Prześcieradło, którym owinęła się Celestine, zsunęło się z ramion i jej nagie piersi znaczyła krew syna.

– Żyje? – spytała Jude szeptem.

– Na razie tak – odpowiedział Clem cicho.

Nie musiała pytać, co go trzyma przy życiu. Drzwi domu były otwarte, a właściwie wyłamane, bo zwisały przekrzywione na jednym zawiasie. Z odległego kościoła dobiegały dźwięki dzwonu. Biła północ.

– Krąg został zamknięty – stwierdziła Jude.

– Jaki krąg? – zdziwił się Clem.

Nie odpowiedziała; jakie to miało teraz znaczenie? Celestine spojrzała jednak na nią pytająco. Jude postanowiła udzielić im najprostszej możliwej odpowiedzi.

– Imajica jest kołem.

– Skąd wiesz? – zapytał Clem.

– Boginie mi powiedziały.

Teraz, gdy podeszła bliżej, widziała, że Gentle kurczowo trzyma się życia – w jak najbardziej dosłownym sensie. Ścisnął rękę Celestine i patrzył jej w oczy. Dopiero gdy Jude usiadła obok nich na najniższym stopniu, odwrócił się w jej stronę.

– Nie... wiedziałem...

– Też nie mogłam w to uwierzyć – odparła Jude, mając na myśli knowania Hapexamendiosa.

– Myślę o... kole... Nie wiedziałem, że Imajica tworzy krąg...

– To była tajemnica bogiń.

– Hapexamendios o niczym nie wie? – zdumiała się Celestine. Głos miała równie delikatny jak światło świec, które kładło się na jej ustach.

Jude pokręciła przecząco głową.

– Jeśli zatem zechce unicestwić dominia, ogień jego gniewu zatoczy krąg... – Celestine urwała.

Jude zmarszczyła brwi. Rozumiała, że to bardzo ważne stwierdzenie, ale była zbyt zmęczona, żeby się nad nim głowić.

– Moje dziecko... – Celestine zerknęła na Gentle'a.

– Tak, mamie?

– Idź do Niego. Przenieś się duchem do Pierwszego Dominium i znajdź swojego Ojca.

Zdawało się, że Gentle'owi brakuje siły, żeby chociaż odetchnąć, nie mówiąc już o takich podróżach. Jednak choć ciało bardzo osłabło, duch wciąż mógł być zdolny do wędrówki. Gentle sięgnął do twarzy matki. Złapała go za rękę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Ściągnąć na siebie Jego ogień.

Jude zerknęła na Clema, lecz podobnie jak ona absolutnie nic nie rozumiała. Po co dopominać się o śmierć, skoro i tak nastąpi – i to bardzo niedługo?

– Musisz go zwieść – ciągnęła Celestine. – Pójdź do Niego jako kochający syn i zajmij Go czymś. Schlebiaj Mu. Powiedz, jak bardzo chcesz zobaczyć Jego twarz. Zrobisz to dla mnie?

– Dobrze, mamó.

Zadowolona z syna Celestine odsunęła jego dłoń i położyła mu ją na pierś. Ostrożnie złożyła jego głowę na podłodze. Miała dla niego jeszcze jedną wskazówkę:

– Kiedy się tam udasz, idź przez wszystkie dominia. On nie może się zorientować, że istnieje inna droga. Rozumiesz?

– Tak, mamó.

– A gdy znajdziesz się na miejscu, wsłuchaj się w głos. Będzie dobiegał z ziemi. Usłyszysz go, jeśli się postarasz. Powtarza dwa słowa...

– Nisi Nirvana.

– Właśnie.

– Pamiętam je: Nisi Nirvana.

Z tym imieniem na ustach odszedł, jakby mogło mu służyć za błogosławieństwo na drogę. Celestine nie rozczulała się nad nim dłużej. Wstała, owinęła się prześcieradłem i stanęła na schodach.

– Muszę porozmawiać z Sartorim – oznajmiła.

– To nie będzie łatwe – uprzedziła ją Jude. – Zamknął drzwi i wystawił strażę.

– Jest moim synem. – Celestine spojrzała ku górze. – Spotka się ze mną. Weszła na piętro.

ROZDZIAŁ 60

1

Opuszczając dom, Gentle nie myślał o Ojcu, do którego się udaje, lecz o matce, którą zostawia za sobą. Od powrotu z wieżowca Tabula Rasa mieli dla siebie stanowczo za mało czasu. Klęczał kilka minut przy jej łóżku, słuchając historii Nisi Nirvany; był przy niej, gdy bogini objawiła im się pod postacią deszczu (zawstydzony swoim pożądaniem i niezdolny mu zaprzeczyć); a przed chwilą utuliła go, gdy się wykrwawiał. Dziecko, kochanek, trup. Ta odrobina wspólnych przeżyć musiała im wystarczyć.

Nie wiedział, dlaczego Celestine wysłała go w tę podróż, ale był tak zdezorientowany, że po prostu jej posłuchał. Miała swoje powody, a on musiał jej zaufać. Tego, co naprawdę stało się podczas ceremonii, też do końca nie rozumiał. W jednej chwili znajdował się tak daleko od ciała, że był gotów całkiem o nim zapomnieć, w następnej znalazł się w pokoju medytacyjnym; Jude miażdżyła mu jądra, on sam wrzeszczał z bólu, a jego brat wchodził po schodach z błyszczącymi sztyletami w rękach. Widząc morderczy wyraz twarzy Sartoriego, zrozumiał przynajmniej, dlaczego Pie dał się rozedrzeć na strzępy, żeby kazać mu go znaleźć. W desperacko wykrzywionej twarzy Gentle widział odbicie ich Ojca. Zawsze musiało w niej być, ale nigdy przedtem go nie zauważył. Dostrzegał w Sartorim tylko własne zdeformowane piękno i powtarzał sobie, jak to miło być niebem dla takiego piekła. Co za ironia losu! Był bezmyślnym sługą Ojca, jego gońcem i błaznem. I prawdopodobnie nigdy by się o tym nie dowiedział, gdyby Jude siłą nie wyrwała go z Ana i nie

pokazała mu niszczyciela, którego znał z lustra.

Niestety, otrzeźwienie przyszło zbyt późno, a on nie mógł nic zrobić, by naprawić krzywdy, które wyrządził. Miał tylko nadzieję, że matka lepiej wie, gdzie szukać okruchów nadziei. Dlatego teraz stał się jej posłańcem; posłusznie uda się do Pierwszego Dominium i spełni jej prośbę.

*

Zgodnie z jej zaleceniem wybrał dłuższą, określną drogę, która prowadziła przez tereny znane mu z czasu, gdy odwiedzał członków Synodu. Miał ogromną ochotę zboczyć z kursu i spędzić dzień w ich towarzystwie, ale zdawał sobie sprawę, że nie może zwlekać.

Widział ich jednak w przelocie, co dowodziło, że wyszli cało z ostatnich niespokojnych chwil w Ana i rozpromienieni triumfem wrócili do swoich dominiów. Tick Raw stał na zboczu Lipper Bayak z zadartą głową i wył jak szalenciec; musiał chyba obudzić całe Vanaeph i poważnie zaniepokoić strażników przy bramach Patashoqua. Na Kwem Scopique gramolił się z krateru po Osi, na którego dnie odprawiał rytuał. W oczach miał łzy radości. W Yzordderrex Athanasius klęczał przed bramą kesparatu Eurhetemeców. Dłonie zanurzył w wodzie ze źródła, które omywało mu twarz jak liżący pana pies. A kiedy Gentle zwolnił na granicy Pierwszego Dominium, znalazł Chickę Jackeena zapatrzoną w Wybiel – czekał, aż mur runie i odsłoni Pierwsze Dominium.

Ledwie jednak wyczuł obecność Gentle'a, rozejrzał się dookoła.

– Maestro, to ty?

Właśnie przy nim Gentle najbardziej chciał być w tej cudownej chwili, ale nie odważył się zatrzymać. Skryty za Wybielem Bóg mógłby podsłuchać ich rozmowę, Gentle zaś dobrze wiedział, że musiałyby ostrzec Jackeena, który okazał mu tyle przywiązania. Wolał nie ryzykować. Pomknął naprzód, słysząc, jak Jackeen woła go znowu. Zanim młody maestro zdążył krzyknąć po raz trzeci, Gentle przeleciał przez Wybiel. Jeszcze nie ujrzał Pierwszego Dominium, gdy w uszach zabrzmiały mu słowa matki:

– Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości, w którym żaden duch nie był święty, a żadne ciało zdrowe.

Wreszcie zostawił Wybiel za sobą i zawisł w powietrzu na obrzeżach Miasta Boga.

Nic dziwnego, że Sartori został architektem, pomyślał. Miasto Boga – jego budowa zajęła zapewne wiele stuleci, ale stworzyła je istota, dla której stulecie trwało nie dłużej niż jeden oddech – mogło być natchnieniem dla całej rzeszy geniuszów. Rozpościerało się w trzech kierunkach od Wybielu. Ulice – szersze niż Droga Patashoquańska i idealnie proste – ciągnęły się aż po horyzont, a budynki były tak wysokie, że między nimi niebo ledwie prześwitywało. Gentle nie wiedział, czy po niebie krąży jakieś słońce, czy może satelita, ale miasto nie potrzebowało światła z góry; przez płyty chodników, cegły i kamienie domów biegły świetliste linie – i to w takiej ilości, że na ulicach i placach tworzyły się tylko najbledsze z bladych cieni.

Z początku sunął powoli, w każdej chwili spodziewając się spotkania z mieszkańcami, ale kiedy po przebyciu kilku skrzyżowań wciąż nikogo nie widział, zaczął się rozpędzać. Zwalniał tylko w takich momentach, gdy zdawało mu się, że dostrzega wśród zabudowań ślady życia. Nie był dość zręczny, by uchwycić konkretną twarz, nie chciał też nieproszony pchać się do domów – parę razy miał jednak wrażenie, że poruszają się zasłony w oknach, jak gdyby jakiś wścibski, ale płochliwy obywatel cofał się od parapetu, zanim Gentle zdąży mu się przyjrzeć. Zresztą nie brakowało i innych oznak życia: dywany na trzepakach falowały jeszcze, jakby właściciele dopiero przed chwilą przestali je czyścić i uciekli z podwórek; z winorośli spadały liście, potrącone przez umykających w popłochu zbieraczy.

Wyglądało na to, że choć porusza się bardzo szybko (znacznie szybciej niż pojazdy, które znał), nie ma szans wygrać wyścigu z wieścią o własnym przybyciu, która zagoniła mieszkańców pod dachy. Nic po nich nie zostało – ani zapomniany zwierzak domowy, ani dziecko, żaden śmieć, żaden rysunek na murze. Wzorowi obywatele pędzili spokojne życie w zamkniętych domach, za zasłoniętymi oknami.

Widok opustoszałej metropolii mógłby być przygnębiający, gdyby nie same domy. Zbudowano je z materiałów o tak różnych barwach i fakturze, a przenikające je światło dodawało im tyle uroku, że – chociaż puste – zdawały się żyć własnym życiem. Budowniczości wyrzucili ze swojej palety brązy i szarości, chociaż najwyraźniej udało im się znaleźć kamień, bruk i cegłę we wszystkich wyobrazalnych barwach i odcieniach. Przemieszali je z odwagą, na jaką nie zdobyłby się żaden architekt z Piątego Dominium. Każda kolejna ulica pyszniła się niezwykłymi kolorami – liliowe i bursztynowe fasady domów, fioletowe kolumnady, place brukowane w szachownicę w odcieniach

ochry i błękitu. Nie brakowało gryzącego szkarłatu i oślepiającej bieli, tu i ówdzie, rzadziej rozrzucone, migwały plamy czerni – pojedyncze płytki, cegły, fragmenty zaprawy.

Jednak nawet i to piękno musiało z czasem wyblaknąć. Kiedy Gentle poznał tysięczną taką ulicę (a wszystkie były równie pięknie wytyczone i równie odważnie kolorowe), zaczął mieć dość nadmiaru barw i kształtów. Dlatego ucieszył się, gdy w jednej z przecznic zapłonęła błyskawica – domy na ułamek sekundy wyblakły w białym świetle. Skręcił w poszukiwaniu jej źródła i znalazł się na placu, na środku którego stał samotny nullianac. Z odrzuconą w tył głową słał pioruny prosto w niebo, ledwie widoczne z dna miejskiego kanionu. Gentle nie widział jeszcze istoty jego rodzaju, której błyskawice miałyby taką siłę. W tym mieście nullianaki niosły w głowach niszczyielską, prawdziwie boską moc.

Nullianac wyczuł obecność intruza, zaprzestał prób z błyskawicami i wzbił się w powietrze. Gentle nie wiedział, czy teraz stwór jest dla niego groźny. Skoro Hapexamendios uczynił z nullianaców swoją elitarną gwardię, mógł je obdarzyć różnymi mocami. Ale nie było sensu się wycofywać – musiał zapytać o drogę, bo inaczej w nieskończoność błąkałby się po mieście.

Nullianac był nagi, lecz nie sprawiał wrażenia ani zmysłowego, ani delikatnego. Ciało miał prawie tak samo białe jak światło błyskawic, bez śladów narządów płciowych czy wydalniczych; nie miał włosów, sutków, pępka. Obracał się w miejscu, nie mogąc nigdzie dostrzec istoty, której obecność czuł. Być może, zwiększenie destrukcyjnej mocy przytępiło mu zmysły, bo namierzył Gentle'a dopiero w odległości kilku metrów.

– Szukałeś mnie? – zapytał Gentle.

Nullianac odwrócił się w jego stronę. Między dłońmi jego czaszki zapłonął łuk elektryczny. Z jego trzasków wyłoniło się jedno słowo:

– Maestro.

– Znasz mnie?

– Ależ oczywiście! – Zbliżając się do Gentle'a, nullianac kołysał głową na boki jak zahipnotyzowany wąż. – Po co tu przyszedłeś?

– Chcę się spotkać z moim Ojcem.

– Ach tak...

– Przybyłem oddać Mu cześć.

– Tak jak my wszyscy.

– Niewątpliwie. Możesz mnie do Niego zaprowadzić?

– On jest wszędzie – odparł nullianac. – To Jego miasto; jest tu w każdej drobinie materii.

– Czyli kiedy mówiąc, patrzę w ziemię, słyszy mnie, tak?

Nullianac się zawahał.

– W ziemię... nie. Nie mów do ziemi.

– A gdzie się mam zwrócić? Do ścian? Do nieba? A może do ciebie? Czy mój Ojciec jest także w tobie?

Błyskawice w głowie nullianaca wyraźnie się ożywiły.

– Nie. Nie przypuszczam...

– Czy w takim razie mógłbyś zaprowadzić mnie tam, gdzie naprawdę mógłbym oddać Mu cześć? Mamy mało czasu.

Ta uwaga chyba najbardziej trafiła nullianacowi do przekonania, bo skinął śmiertelnie łbem.

– Zaprowadzę cię. – Wzleciał wyżej i odwrócił się tyłem do Gentle'a. – Ale masz rację, musimy się pospieszyć. Jego sprawa nie może czekać.

2

Jude z najwyższą niechęcią myślała o tym, że ma puścić Celestine samą na górę – wiedziała przecież, co tam zastanie – ale zdawała sobie sprawę, że jej obecność zniweczyłaby szansę, jaką mogło przynieść spotkanie Celestine z Sartorim. Została więc na parterze, nasłuchując (podobnie jak Clem, Monday i Hoi-Polloi), co dzieje się na piętrze. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszeli, było warczenie gek-a-geków. Później rozległ się głos Sartorigo, który ostrzegał intruza, że ryzykuje życie, próbując wejść do pokoju. Celestine coś odpowiedziała, ale zniżyła głos niemal do szeptu i sens jej słów nie dotarł na parter. Jude miała wrażenie, że w ciszy upłynęło następne kilka minut. Czy na pewno? Może były to tylko sekundy ciągnące się niemiłosiernie w oczekiwaniu na nieunikniony tumult. Nie zastanawiając się dłużej, zdmuchnęła najbliższe świece i na palcach zaczęła wchodzić na górę.

Bała się, że anioły będą próbowały ją powstrzymać, ale zajęły się ciałem Gentle'a i nie przeszkodziły jej. W połowie schodów zorientowała się, że Celestine stoi jeszcze pod zamkniętymi drzwiami, ale gek-a-geki nie bronią jej

już wstępu do pokoju; na rozkaz Sartoriego cofnęły się posłusznie, przypadły do ziemi i czekały na kolejny znak. Z miejsca, w którym się zatrzymała, Jude słyszała urywki rozmowy.

– ...to koniec, mamó – doleciał ją chrapliwy szept Sartoriego.

– Tak, moje dziecko. – Głos Celestine brzmiał kojąco, nie było w nim śladu potępienia.

– On wszystkich zabije...

– O tym też wiem.

– Musiałem przypilnować Mu kręgu... Tego właśnie chciał...

– A ty musiałeś Go posłuchać. Rozumiem cię, moje dziecko. Naprawdę. Ja też musiałam Mu służyć, prawda? To nie zbrodnia.

Po tych słowach przebaczenia szczęknął zamek i drzwi wolno się otworzyły. Ze swojego punktu obserwacyjnego Jude widziała tylko belki stropowe w pokoju. Musiało padać na nie światło świecy albo poświata nici z In Ovo, która ciągnęła się za Sartorim na ulicy.

– Wejdiesz? – zapytał.

Przy otwartych drzwiach było go znacznie lepiej słychać.

– A chcesz, żeby weszła?

– Tak, mamó, proszę. Chcę, żebyśmy razem doczekali końca.

Znajomy motyw, pomyślała Jude. Najwyraźniej nie robiło mu różnicy, na czyjej piersi złoży głowę, byle nie musiał umierać w samotności. Celestine nie wahała się dłużej, lecz bez słowa weszła do środka. Drzwi pozostały otwarte, gek-a-geki nie stanęły ponownie na straży. Celestine zniknęła. Jude miała ogromną ochotę wejść wyżej i zajrzeć do pokoju, ale bała się, że potwory Sartoriego wyczują jej obecność. Usiadła więc ostrożnie na stopniu w pół drogi między maestrem na piętrze i jego umierającym bratem na parterze. Siedziała wsłuchana w ciszę domu, ulicy i świata. Zaczęła układać w myślach modlitwę.

Bogini... To ja, Judith, twoja siostra. Nadciąga wielki ogień, bogini. Jest blisko. Boję się...

Sartori znów przemówił, ale tak cicho, że nawet przy otwartych drzwiach nie rozróżniła słów. Jego szloch wyrwał ją jednak z zamyślenia; straciła wątek pacierza.

Mniejsza z tym. I tak wyraziła wszystko, co czuła.

Wielki ogień jest blisko. Boję się...

Co jeszcze mogła dodać?

*

Szybkość, z jaką przemieszczali się Gentle z nullianakiem, nie sprawiła bynajmniej, że miasto nagle wydało się mniejsze. Przeciwnie – gdy mijały minuty, a oni przelatywali nad tysiącami sięgających horyzontu ulic i tysiącami wielobarwnych i niebotycznych budynków, rozmach tego dzieła coraz bardziej zakrawał na obłąd. Kuszące barwy, cudowne kształty i niezrównane detale wyciskały na mieście piętno zbiorowego szaleństwa, jakby powstało pod wpływem natrętnej wizji, która kazała architektowi w każdym wolnym skrawku dominium wystawić pomnik ku czci własnego bezmiar. Brak oznak życia na ulicach sprawił, że w głowie Gentle'a zrodziło się niejasne podejrzenie.

- Kto tu mieszka? – zapytał.
- Hapexamendios.
- Kto jeszcze?
- To Jego miasto – odparł nullianac.
- Nie ma innych mieszkańców?
- To Jego miasto.

Ta odpowiedź wszystko wyjaśniała. Miasto było bezludne. Drżenie liści i kołysanie zasłon powodowało jego pojawienie się w okolicy, albo – co bardziej prawdopodobne – stanowiły element złudzeń wymyślonych przez budowle, by wytrzymać stulecia beczynności.

W końcu jednak, kiedy mieli za sobą nieprzeliczone mnóstwo identycznych ulic, coś zaczęło się zmieniać. Kolory gmachów stały się żywsze, jakby lada chwila miały popłynąć strumieniem z przesyconych nimi kamieni. Fasady, bardziej ozdobne, nabrały doskonalszych proporcji. Gentle zaczął się domyślać, że zbliżają się do źródła perfekcji, którego pozostałe ulice były tylko mniej wyrafinowanym odbiciem.

Nullianac odezwał się, potwierdzając jego przypuszczenia:

- Spodziewał się ciebie. Rozesłał moich braci na obrzeża miasta, żeby cię wypatrywali.
- Dużo was jest?
- Dużo. Ale o dwa mniej. – Nullianac odwrócił się do Gentle'a. – O tym chyba nie muszę ci przypominać. Ty ich zabiłeś.
- Bo inaczej oni zabiliby mnie.

– Przynajmniej mielibyśmy się czym pochwalić, nie uważasz? Zabić syna Boga – to jest coś!

Błyskawice zatrzeszczały w taki sposób, jakby nullianac się zaśmiał, ale chyba nawet dźwięk żałobnej kołatki brzmiałby weselej.

– Nie boisz się? – spytał Gentle.

– Czego miałbym się bać?

– Mój Ojciec może usłyszeć, co mówisz.

– Jestem Mu potrzebny. Poza tym nie przejmuję się tym, że mógłbym umrzeć... – Nullianac się zawahał. – Chociaż szkoda by było nie zobaczyć pożaru w dominiach.

Gentle nie zrozumiał.

– Urodziłem się po to, by wypalić dominia – tłumaczył nullianac – ale za długo czekałem na tę chwilę.

– To znaczy?

– Tysiące lat, maestro. Wiele tysięcy.

Myśl o tym, że jego przewodnik jest od niego wielokrotnie starszy, a w dodatku niecierpliwie wyczekuje bliskiej już zagłady Imajiki, kazała Gentle'owi zamilknąć. Zastanawiał się, czy nullianac długo jeszcze będzie musiał czekać. Jego poczucie czasu zawodziło, gdy nie mógł mierzyć chwil oddechem i biciem serca; nie miał pojęcia, czy opuścił swoje ciało dwie minuty temu, pięć, czy może dziesięć. Była to zresztą kwestia czysto akademicka: od momentu Pojednania Hapexamendios mógł wybrać dowolny moment do ataku i jedyną pociechę stanowiła dla Gentle'a obecność nullianaca, który na pewno zostawi go samego, gdy Bóg wezwie gwardię do siebie.

Siatka ulic się zagęściła. Nullianac zwolnił i opadł niżej, tuż nad powierzchnię gruntu. Otaczające ich budynki były aż groteskowe w swej ozdobności – każdy skrawek fasady pokrywały delikatne zdobienia. Piękno ustąpiło miejsca obsesji; nadmiar ozdób wyglądał makabrycznie, przywodził na myśl wijące się, bezrozumne glisty. Podobna dekadencja zapanowała w świecie kolorów, które na przedmieściach wydały się Gentle'owi takie wyrefinowane. Subtelne różnice odcieni zniknęły bez śladu, każda barwa rywalizowała z wszechobecnym szkarłatem, lecz zamiast cieszyć wzrok, raziła go boleśnie. Ulice stały się też mniej świetliste niż przedtem. Wprawdzie w kamieniu wciąż połyskiwały świecące żyły, lecz rzeźbienia odbierały im blask i wszędzie dookoła zalegały głębokie cienie.

– Dalej nie mogę ci towarzyszyć, Pojednawco. Idź sam.

– Czy mam powiedzieć Ojcu, kto mnie znalazł? – spytał Gentle, licząc na to, że drobnym pochlebstwem wyciągnie z nullianaca jakąś użyteczną informację.

– Nie mam imienia. Jestem moim bratem, a on jest mną.

– Rozumiem... Cóż, szkoda.

– Jesteś dla mnie miły, Pojednawco. Odwdzięczę ci się tym samym.

– Słucham?

– Powiedz mi, które miejsce w dominiach mam zniszczyć w twoim imieniu, a dopilnuję, by tak się stało. Wybierz sobie jakieś miasto, kraj... Co tylko zechcesz.

– Dlaczego miałbym chcieć to robić?

– Bo jesteś synem Ojca. Chcesz tego samego co On.

Gentle się skrzywił.

– Więc nie? – spytał nullianac.

– Nie.

– W takim razie żaden z nas nie ma daru, który mógłby ofiarować drugiemu.

Nullianac odwrócił się, wzbił w powietrze i odleciał. Gentle nie musiał pytać go o drogę – mógł iść tylko dalej przed siebie, prosto w przytłoczone przepychem serce metropolii. Mógł, rzecz jasna, poruszać się z szybkością myśli, nie chciał jednak bez potrzeby drażnić Niewidzianego. Szedł więc jak zwykły przechodzień, przemyczał wśród cieni pomiędzy budynkami, które groziły zawaleniem się od nadmiaru ozdób.

Tak jak wspaniałość przedmieść poddała się dekadenskiemu nieumiarkowaniu, tak i dekadencja ustąpiła przed patologią. Zmysły nie reagowały na nią zwykłym niesmakiem czy odrazą, lecz strachem. Fakt, że nadmiar piękna może doprowadzić do paniki, kompletnie zaskoczył Gentle'a. Kiedyż to wykształcił w sobie tak wyrafinowany gust? On, prymitywny fałszerz i sybaryta, który nie używał słowa „dość” i nie wiedział, co znaczy „za dużo”. Kim się stał, że widok Miasta Boga napawał jego ducha przerażeniem?

Nigdzie nie widział śladu samego architekta. Zamiast brnąć dalej w całkowity mrok, zatrzymał się i zawołał:

– Ojczy?

Jego głos nie miał tu wielkiej mocy, ale w ciszy niósł się daleko, z pewnością słyszano go we wszystkich domach w promieniu kilkunastu przecznic. Hapexamendios – o ile w ogóle znajdował się gdzieś w pobliżu – milczał.

– Ojcze! – powtórzył Gentle. – Chcę Cię zobaczyć!

Spojrzał w głąb zaciemnionej ulicy, wypatrując Niewidzianego. Nic się nie poruszało, panowała całkowita cisza, ale dzięki chwili koncentracji Gentle zaczynał rozumieć, że jego Ojciec – choć z pozoru nieobecny – jest przy nim: z lewej i z prawej, u dołu, pod stopami, i u góry, nad głową. Połyskujące fałdy nad oknami to jego skóra, kształtne łuki były jego kośćmi, szkarłatny, prześwietlony blaskiem chodnik – jego ciałem. Gentle widział rdzeń kręgowy i szpik kostny, zęby, rzęsy i paznokcie. Kiedy nullianac mówił o wszechobecności Hapexamendiosa, nie miał na myśli jego ducha. W Mieście Boga Bóg był całym miastem.

Tylko dwukrotnie w życiu Gentle czuł coś podobnego. Pierwszy raz w Yzordderrex, powszechnie nazywanym „bogiem miast”, które (co teraz widział) było mimowolną kopią arcydzieła Ojca, stworzoną przez Sartoriego. Drugi raz – gdy próbował przyswoić sobie Piąte Dominium jako ciąg podobieństw i zagarnąwszy Londyn zdał sobie sprawę, że każda cząstka miasta, od kopuły katedry po najdrobniejszy kanał ściekowy, znajduje odzwierciedlenie w jego ciele.

Tutaj na własne oczy oglądał dowody tej teorii. Świadomość tego, zamiast dodać mu sił, jeszcze bardziej go przerażała, nie mógł bowiem nie myśleć o tym, jak ogromne jest ciało Ojca. W drodze do Jego miasta przemierzył cały kontynent i nigdzie nie widział nic podobnego. Ciało Ojca niewyobrażalnie zwielokrotnione służyło za surowiec cieślom i murarzom Jego woli. A jednak... Czym właściwie było Miasto Boga, jeśli nie pułapką cielesności? Kim był architekt, jeśli nie jego więźniem?

– Ojcze... – westchnął Gentle.

Tym razem – może dlatego że przemówił z takim smutkiem – doczekał się odpowiedzi:

– Świetnie się spisałeś.

Monotonny ton był Gentle'owi znajomy. Tę samą ledwie uchwytną modulację miał głos, który przemówił do niego w cieniu pod Osią.

– Powiodło ci się tam, gdzie inni zawiedli – ciągnął Hapexamendios. – Zboczyli z wytyczonej drogi albo dali się ukrzyżować. Ty jednak, Pojednawco, wytrwałeś.

– Dla Ciebie, Ojcze.

– W nagrodę za wierną służbę czeka na ciebie miejsce u mego boku. W moim mieście i w moim sercu.

– Dziękuję – odparł Gentle, pełen obaw, że na tym szczerym goście rozmowa się zakończy.

Znaczyłoby to, że zawiódł matkę. Powiedz Mu, że chcesz zobaczyć Jego twarz, mówiła. Zajmij Go czymś. Schlebiaj Mu. Właśnie, pochlebstwo to doskonały pomysł!

– Chcę się od Ciebie uczyć, Ojczy. Chcę zabrać Twoją mądrość do Piątego Dominium.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało, Pojednawco. Nie masz po co wracać do Piątego Dominium. Zostaniesz ze mną i będziesz podziwiał moje dzieło.

– Jakie dzieło?

– Wiesz jakie. Słyszałem, twą rozmowę z nullianakiem. Dlaczego udajesz, że mnie nie rozumiesz?

Gentle nie umiał zinterpretować subtelnej zmiany w głosie Hapexamen-diosa – czy Ojciec naprawdę był ciekawy, czy też wściekły na syna, który próbuje Go oszukać?

– Nie śmiałem zgadywać Twoich planów, Ojczy – odparł Gentle, przeklinając się w duchu za popełnioną gafę. – Myślałem, że sam będziesz mi chciał o nich opowiedzieć.

– A po co miałbym ci mówić o czymś, co już wiesz? – Bóg nie dawał się łatwo przekonać. – Posiadałeś przecież wszelką niezbędną wiedzę...

– Jeszcze nie – wtrącił Gentle, dostrzegając dla siebie szansę.

– Powiem ci, co zechcesz. Czego ci brakuje?

– Twojej twarzy, Ojczy.

– Mojej twarzy?

– Pragnę ją zobaczyć.

– Widziałeś moje miasto – odparł Niewidziany. – To właśnie jest moja twarz.

– Nie masz innego oblicza, Ojczy? Naprawdę?

– A to ci nie wystarczy? Czy nie jest doskonałe? Czy nie błyszczący?

– Aż za bardzo, Ojczy. Jest dla mnie nazbyt wspaniałe.

– Jak coś może być nazbyt wspaniałe?

– Jestem po części człowiekiem, Ojczy. To, co we mnie ludzkie, jest słabe. Patrzę na Twoje miasto i drżę z podniecenia. To prawdziwe arcydzieło...

– Istotnie.

– Twój genialny.

– W rzeczy samej.

– Proszę Cię jednak, Ojczy, byś zesłał mi inną, prostszą wizję. Pokaż mi twarz, z której moja twarz wzięła początek. Chcę poznać tę część mnie, która jest Tobą.

Rozległ się dźwięk do złudzenia przypominający westchnienie.

– Tobie może się to wydać śmieszne – nalegał Gentle – ale pokonałem tę drogę po to, by ujrzeć jedną, jedyną twarz. Umiłowane oblicze. – Słowa te były wystarczająco prawdziwe, by zabrzmiało w nich autentyczne uczucie; istotnie, u kresu podróży chciał zobaczyć ukochaną twarz. – Czy proszę o zbyt wiele?

Coś poruszyło się w półmroku. Gentle wyteńczył wzrok. Czy otworzą się przed nim jakieś gigantyczne wrota? Lecz Hapexamendios powiedział:

– Odwróć się, Pojednawco.

– Mam odejść?

– Nie, po prostu nie patrz.

Prośba brzmiała paradoksalnie: odwróć wzrok, jeśli chcesz coś zobaczyć. Zanosilo się jednak na coś więcej niż zwykłe objawienie bóstwa. Odkąd Gentle znalazł się w Pierwszym Dominium, pierwszy raz usłyszał dźwięk inny niż głos – ciche szelesty, stłumiony tupot, piski i buczenie dobiegały ze wszystkich stron. Wszędzie też zaczął się ruch, nieznaczny z początku, jakby monolityczne budowle miękły w oczach i pochylały się ku tajemnicy, do której on odwrócił się plecami. Stopień na schodach rozpękał się, ze środka wybiekła szpik; ściana pękła i ze szczeliny trysnął szkarłat, jakiego dotąd nie widział, płynął coraz żwawszą strużką, gdy kamienne płyty traciły kształty i poddawały się woli Niewidzianego. Balkon nad głową Gentle'a rozpadł się, uwalniając zęby; z parapetów odwinęły się zwoje jelit, pociągając za sobą całe płachty skóry.

Rozpad postępował coraz szybciej i Gentle mimo zakazu obejrzał się przez ramię. Cała ulica falowała, jedne kształty rozplływały się, inne zajmowały ich miejsce, jedne padały, inne powstawały. Chaotyczne przeobrażenia zdawały się prowadzić donikąd i Gentle chciał już odwrócić wzrok, gdy jedna ze ścian runęła wprost w serce wiru przemian i na mgnienie oka dostrzegł ukrytą za nią ludzką postać. Rozpoznał jej twarz i zachował ten obraz przed oczami, kiedy się odwrócił. Drugiej takiej twarzy nie było w całej Imajice – mimo że smutna i poraniona, nie miała sobie równych.

Pie żył. Czekal na niego w głębi ciała Ojca, był więźniem więźnia. Gentle z trudem pohamował instykt, który mu kazał rzucić się w sam środek zamie-

szania i wydrzeć Ojcu mistyfa. Mógłby powiedzieć, że Pie jest jego mistrzem, odnowicielem, przyjacielem doskonałym. Powstrzymał się jednak; bał się, że doprowadziłby do katastrofy. Spojrzał jednak ponownie na skręcającą się w konwulsjach ulicę, wypatrując znajomego widoku.

Mistyf sprawiał wrażenie ciężko poranionego, ale i tak wyglądał lepiej, niż Gentle się spodziewał. Być może, czerpał siłę z krainy, w której powstało miasto Hapexamendiosa – przecież w tym dominium jego rodacy ćwiczyli się w sztuce, zanim Bóg przybył i zbudował tę metropolię.

Jak miał przekonać Ojca, żeby oddał mu Pie? Jak błagać? Jak Mu schlebiać? Rozmyślał nad tym, gdy zamieszenie z wolna się uspokajało, aż wreszcie usłyszał głos Hapexamendiosa:

- Pojednawco?
- Tak, Ojcze?
- Chciałeś zobaczyć moją twarz.
- Tak, Ojcze.
- Odwróć się i patrz.

Gentle posłuchał. Ulica, na której stał, wciąż jeszcze przypominała arterię komunikacyjną – domy stały jak dawniej, miały drzwi i okna, lecz ich twórca zaczerpnął z nich znaczne fragmenty budulca, żeby na użytek Gentle'a odtworzyć swoje ciało. Miał, naturalnie, ludzką postać i w pierwszym wcieleniu nie był pewnie wiele większy od syna. Teraz jednak objawił się Gentle'owi jako postać trzykrotnie od niego wyższa, chwiejący się na nogach olbrzym, zrodzony z ulicy, którą ograbił z materii, ale i utrzymywany przez nią w równowadze.

Jak na tak wielkie rozmiary, stworzył się dość nieporadnie, jak gdyby zapomniał, co to znaczy „być całością”. Głowę miał ogromną; składały się na nią odłamki tysiąca czaszek wydarte ze ścian domów, tak jednak niezręcznie dopasowane, że drżący mózg, który miały osłaniać, wyzierał przez szpary. Jedną rękę miał Bóg potężną i długą, a przy tym zakończoną dłonią tylko trochę większą od dłoni Gentle'a; druga kończyła się karłowatą, jakby uschniętą, za to jej palce miały po kilkanaście stawów. Tułów Hapexamendiosa był jedną wielką plątaniną niedopasowanych elementów: płuca pulsowały w klatce o tysiącu żeber, serce tłukło się o delikatny mostek, który – zbyt słaby, żeby utrzymać je w piersi – już zaczynał pękać. Ale najdziwniej wyglądało jego zdeformowane krocze – nie zdołał uformować wyraźnego organu płciowego i spomiędzy nóg zwisały mu krwawe, bezużyteczne strzępy

ciała.

– Czy teraz mnie widzisz? – zapytał Bóg. Jego głos, dotąd bezbarwny i monotony, brzmiał niczym chór, gdy dziesiątki potrzaskanych krtani próbowało formować słowa. – Czy jesteśmy... podobni?

Gentle wytrzeszczył z odrazą oczy, lecz musiał przyznać, że istotnie dostrzega podobieństwo. Nie umiałby go wskazać w kończynach, torsie czy w narządach płciowych, ale nie miał wątpliwości, że jest do Ojca podobny. Zobaczył samego siebie w ruinie, która zastępowała Hapexamendiosowi twarz – może było to tylko odbicie odbicia odbicia, w dodatku w rozbitym lustrze, ale na pewno się nie mylił. Widok ten sprawił mu ogromny ból – nie dlatego, że rozumiał łączące ich pokrewieństwo, ale dlatego że nagle ich role zdawały się odwracać. Mimo pokaźnej postury, Bóg przybrał postać dziecka. Miał nieproporcjonalnie wielką, głowę jak u płodu, i nie do końca wykształcone kończyny. Był wprawdzie bardzo stary, ale nie umiał rozstać się ze swoim ciałem, podczas gdy Gentle, młody i naiwny, pogodził się z tym stanem.

– Dość już się napatrzyłeś, Pojednawco?

– Niezupełnie.

– O co ci jeszcze chodzi?

Gentle zdawał sobie sprawę, że musi przemówić właśnie teraz, zanim ciało Ojca rozpadnie się, a ściany zasklepią.

– Chcę tego, co jest w Tobie, Ojcze.

– We mnie?

– Mówię o Twoim więźniu, Ojcze. Chcę go odzyskać.

– Nie mam więźniów.

– Jestem Twoim synem, krwią z krwi, kością z kości. Dlaczego mnie okłamujesz?

Niezgrabna głowa się zatrzęsała. Serce biło coraz mocniej o pękniętą kość, ręce Boga podrygiwały niespokojnie.

– Nie chcesz, żebym się czegoś dowiedział. – Gentle ruszył w stronę zdeformowanego olbrzyma. – Twierdziłeś, że powiesz mi wszystko, co zechcę, w nagrodę za wierną służbę. Tymczasem coś przede mną ukrywasz.

– To nieprawda.

– W takim razie pozwól mi zobaczyć mistyfa. Pokaż mi Pie'oh'paha.

Ciało Boga zatrzęsało się, zadrzały stojące wokół niego mury. Ze szczeliny tworzącej Jego czaszkę mozaiki trysnęło światło – to małe, wściekłe myśli wypalały powietrze spomiędzy fałd Jego mózgu. Gentle uświadomił sobie, że

dziecinna postać, tak z pozoru delikatna, odzwierciedla tylko drobną cząstkę istoty Hapexamendiosa. Bóg był miastem wielkim jak cały świat. Jeżeli moc, która je stworzyła i ożywiała płynącą w kamieniach krwią, stałaby się siłą niszczycielską, nullianaki wyglądałyby przy niej jak niewinne baranki.

Powietrze nagle zgęstniało. Gentle przybył do miasta jako duch i wydawało mu się, że żadna przeszkoda go nie powstrzyma, tymczasem właśnie natknął się na barierę, której nie umiał pokonać. Mimo lęku, jakim napawała go moc Ojca, nie cofnął się; wiedział, że na tym spotkaniu by się zakończyło i Hapexamendios zająłby się swoim ostatnim dziełem, nie uwolniwszy więźnia.

– Gdzie jest mój szczerzy, posłuszny syn? Co się z nim stało?

– Stoi przed Tobą. Nadal chce Ci służyć, ale prosi, żebyś uczciwie go traktował.

W splekanej czaszce Boga zapłonął siny ogień; iskry strzeliły z jej szczytu w powietrze. Przenosiły obrazy, fragmenty myśli Boga. Pie był jedną z nich.

– A tobie nic do mistyfa – powiedział Hapexamendios. – Jest mój.

– Nie, Ojczy.

– Jest mój.

– Ożeniłem się z nim, Ojczy.

Wyładowania lekko przygasły, Bóg zmrużył oczy.

– Dzięki niemu przypomniałem sobie, kim jestem i co to znaczy być Pojednawcą – mówił dalej Gentle. – Nie byłoby mnie tutaj... W ogóle nie mógłbym ci służyć, gdyby nie Pie'oh'pah.

– Może kiedyś i on kochał ciebie... – odparły połączone głosy. – Teraz jednak żądam, byś o nim zapomniał. Na zawsze.

– Dlaczego?

Hapexamendios odpowiedział mu tak samo, jak od wieków odpowiadają rodzice, których dzieci zadają zbyt wiele pytań:

– Bo ja tak mówię.

Ale Gentle nie dał się tak łatwo uciszyć.

– Co takiego wie mistyf, Ojczy?

– Nic.

– Wie, skąd pochodzi Nisi Nirvana? O to chodzi?

Ogień w głowie Niewidzianego zafalował gwałtownie. Bóg był wściekły.

– Kto ci o niej powiedział?

– Moja matka – odparł Gentle, uznając, że nie ma sensu kłamać.

Wszelki ruch w ciele Boga zamarł, nawet tłukące się o mostek serce znie-
ruchomiło, tylko błyskawice nie gasły. Następne słowo wypłynęło nie z po-
łączonych gardeł, lecz wprost z ognia. Miało cztery sylaby – i śmiercionośną
moc:

– Ce-les-ti-ne.

– Tak, Ojcze.

– Ona nie żyje – stwierdziły błyskawice.

– Żyje, Ojcze. Przed chwilą mnie tuliła do piersi. – Duch Gentle'a pod-
niósł przezroczystą rękę. – Trzymała moją dłoń, całowała moje palce. I prosi-
ła...

– Nie chcę tego słyszeć!

– ...żebym ci przypomniał...

– Gdzie ona jest?

– ...o Nisi Nirvanie.

– Gdzie ona jest?! Gdzie?! Gdzie?!

Hapexamendios, do tej pory nieruchomy, zerwał się na nogi i wyrzucił
ręce nad głowę, jakby chciał je skapać w ogniu wyładowań.

– Gdzie ona jest?! – ryknął głosem ognia i dziesiątków gardeł. – Chcę ją
zobaczyć! Chcę ją zobaczyć!

*

Jude wstała ze schodów. Gek-a-geki zawarczały gardłowo; bały się. Od-
czołgały się od drzwi z brzuchami przy ziemi jak psy, które spodziewają się
lania.

Spojrzała na parter. Anioły klęczały przy rannym maestrze, Monday i
Hoi-Polloi cofnęli się od drzwi w krąg światła, jak gdyby mógł ich ochronić
przed drzemiącymi w pobliżu mocami.

– Mamo... – wyszeptał Sartori.

– Tak, moje dziecko?

– On nas szuka, mammo.

– Wiem.

– Czujesz to?

– Tak, synku. Czuję.

– Przytul mnie, mammo. Przytul mocno.

*

– Gdzie?! – krzyczał Bóg. – Gdzie?!

W błyskawicach nad jego głową migaly fragmenty obrazów, które oglądał w wyobraźni. Meandrująca rzeka. Jakieś miasto – mniej doskonałe niż Jego metropolia, ale dzięki temu piękniejsze od niej. Znajomy dom. Gentle dostrzegł oko, które Monday namalował na drzwiach; gek-a-geki wybiły mu źrenicę. Widział własne ciało, pochylonego nad nim Clema, schody i idącą po schodach Jude.

I pokój na piętrze, a w nim krąg, w którym siedział jego brat. Ich matka klęczała na obrzeżu koła.

– Ce-les-ti-ne – powiedział Bóg. – Ce-les-ti-ne.

*

Wypowiedział to słowo Sartori, lecz mówił zupełnie obcym głosem. Jude, która znalazła się już u szczytu schodów, widziała, jak poruszył ustami. Twarz miał mokrą od łez i pozbawioną wyrazu. Nigdy nie widziała tak pustych rysów – był jak naczynie, które wypełnia obca dusza.

– Synku? – zaniepokoiła się Celestine.

– Odsuń się od niego – mruknęła Jude.

Celestine wstała.

– Źle się czujesz, moje dziecko?

Głos zabrzmiał ponownie – tym razem niósł wściekłe zaprzeczenie:

– Nie jestem żadnym dzieckiem!

– Chciałeś, żebym cię utuliła. Pozwól mi to zrobić.

Sartori podniósł głowę i spojrzał na Celestine obcym wzrokiem.

– Nie zbliżaj się – ostrzegł ją.

– Chcę cię przytulić – odparła Celestine i zamiast cofnąć się, przekroczyła granicę kręgu.

Na podeście gek-a-geki szalały ze strachu, jak obłąkane waliły łbami w ściany. Z ust Sartoriego płynął potworny, rozpaczliwy głos, który powtarzał:

– Nie zbliżaj się. Nie zbliżaj się.

Celestine nie dała się łatwo zbyć. Uklękła przed Sartorim, a kiedy się odezwała, mówiła nie do syna, lecz do Ojca – do Boga, który zabrał ją do miasta niegodziwości:

– Pozwól mi się dotknąć, najdroższy. Chcę Cię dotknąć, tak jak Ty mnie dotykałeś.

– Nie! – zawył Hapexamendios, ale ręce Jego syna nie były mu posłuszne i Sartori nie odepchnął matki.

Bóg krzyczał jeszcze, gdy Celestine objęła ich obu – ciało i zamieszkującego je ducha.

Niewidziany zaprotestował, lecz do uszu Jude zamiast słów doleciał nieartykułowany jęk, zarazem żalony i przerażający.

W Pierwszym Dominium Gentle patrzył, jak błyskawice nad głową Ojca skupiają się w oślepiającą kulę ognia, która wystrzeliła do przodu jak meteor.

Chicka Jackeen – w Drugim Dominium – widział, jak płomień rozświetlił Wybiel. Uklęknął na kamienistej ziemi. Ogień z pewnością oznaczał zwycięstwo.

Boginie w Yzordderrex lepiej orientowały się w sytuacji. Kiedy meteor przebił Wybiel i wpadł do Drugiego Dominium, woda wokół świątyni uspokoiła się, żeby nie ściągnąć na nie zagłady. Matki uciszyły dzieci, strumyki zamarły, jeziora przestały falować. Ogień nie był jednak przeznaczony dla nich; meteor przeleciał nad miastem, nie czyniąc nikomu krzywdy. Tylko na chwilę przyćmił kometę.

*

Gentle odprowadził wzrokiem ognisty pocisk i odwrócił się do Ojca.

– Co zrobiłeś?

Uwaga Boga jeszcze przez chwilę była skupiona na Piątym Dominium, ale gdy Gentle powtórzył pytanie, Hapexamendios otrząsnął się i spojrzał na niego.

– Posłałem mój ogień po tę dziwkę – odparł, znów przemawiając dziesiątkami gardeł.

– Dlaczego?

– Bo cię splugawiła... To przez nią pragniesz miłości.

– Czy to coś złego?

– Miłość jest słabością. Nie możesz na niej budować miast, nie możesz tworzyć arcydzieł.

– A co z Nisi Nirvaną? Czy ona też jest słabością?

Gentle uklęknął i przyłożył dłonie do chodnika. Gdyby miały w tym miej-

scu jakąkolwiek rzeczywistą moc, zaczęłyby rozgrzebywać ziemię. Jego duch nie potrafił jednak przeniknąć w jej głąb – ta sama siła, która nie pozwalała mu zbliżyć się do Ojca, broniła mu dostępu do podziemi Jego dominium. Mógł tylko zadawać pytania.

– Kto to powiedział, Ojczy? Kto powiedział „Nisi Nirvana”?

– Zapomnij, że kiedykolwiek słyszałeś te słowa. Dziwka nie żyje. Wszystko skończone.

Gentle zacisnął pięści i zaczął bić nimi w ziemię.

– Nie ma tu niczego poza mną – mówiły połączone gardła. – Jestem wszędzie. Moje ciało jest światem, a świat jest moim ciałem...

*

Na Lipper Bayak Tick Raw zakończył już swój radosny taniec. Siedział na skraju kręgu, czekając, aż z domów wynurzą się pierwsi ciekawscy i zaczną o wszystko wypytywać, gdy ognista smuga przecięła niebo Czwartego Dominium. Podobnie jak Chicka Jackeen, Tick również przypuszczał, że widzi gwiazdę zwycięstwa. Wstał, żeby w ten sposób oddać jej cześć.

Niżej na zboczach Lipper Bayak ludzie również dostrzegli płomień nad szczytami Jokalaylau, a teraz cieszyli się jak dzieci, widząc pędzący po niebie meteor. Kiedy znalazł się w zenicie, w Vanaeph na chwilę zapanował dzień. Zaraz potem ogień rozświetlił Patashoqua i opuścił Czwarte Dominium, zagłębiwszy się we mgle, która z jednej strony podeszła pod miasto. Tam właśnie znajdowało się przejście z krainy zielonozłoty niebios do świata błękitu.

*

W Clerkenwell utworzyły się dwa podobne obszary mgły – jeden na południowy wschód od Gamut Street, drugi bliżej jej północno-zachodniego krańca. Oba znaczyły nowo otwarte wrota do Pojednanych Dominiów. Nagle obłok na północnym zachodzie zapłonął oślepiającym światłem. Z Czwartego Dominium przybywała ognista kula.

W okolicy kręciło się trochę duchów, które – choć nieświadome znaczenia poświaty – wyczuły, że niesie zagrożenie i cofnęły się przed nią. Chciały uprzedzić mieszkańców domu, ale poruszały się zbyt wolno. Były w połowie

drogi na Gamut Street, gdy obłok został rozdarty na pół i ogień Niewidzianego rozjaśnił pograżone w ciemności ulice Clerkenwell.

Monday porzucił ciepły krąg światła świec i wyszedł na próg; niedobitki sfory Sartoriego podniosły straszny jazgot, postanowił więc przepędzić je spod domu, gdy nagle noc zmieniła się w dzień.

Stojąca na schodach Jude patrzyła, jak Celestine całuje syna w usta, a potem – z siłą, której nikt by się po niej nie spodziewał – bierze go na ręce i wyrzuca z kręgu. Ocknął się i próbował wstać. Nie zdążył już wrócić do kręgu. Ogień był szybszy.

Okno rozbryznęło się w migotliwą chmurę odłamków i płomień wypełniły pokój. Gorący podmuch przewrócił Jude, ale ujrzała jeszcze, że Sartori zasłania twarz dłońmi, jakby chciał ukryć się przed zagładą, a Celestine rozkłada szeroko ramiona, z radością witając ognisty pocisk. Spłonęła w mgnieniu oka, ogień jednak wydawał się nienasycony i pochłonałby dom aż do fundamentów, gdyby nie miał takiego rozpędu – przeleciał przez pokój, zburzył ścianę naprzeciw okna i pomknął w stronę drugiego obłoku mgły, który tej nocy pojawił się w Clerkenwell.

– Co to było, do ciężkiej cholery?! – zawołał z dołu Monday.

– Bóg – odparła Jude. – Wpadł do nas na chwilę.

*

W Pierwszym Dominium Hapexamendios przekrzywił zniekształconą głowę. Nie potrzebował osadzonej w spękanej czaszce maszynerii, żeby widzieć, co się dzieje w Jego dominium (miał oczy dosłownie wszędzie), ale odruchowo, jakby poruszony wspomnieniem prawdziwego ciała, które miał kiedyś, obrócił się – najlepiej jak potrafił – i spojrzał za siebie.

– Co to jest? – zapytał.

Gentle nie widział jeszcze ognistej kuli, ale czuł, że jest coraz bliżej.

– Co to jest?! – powtórzył Hapexamendios.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął pospiesznie demontować swoją podobiznę. Gentle obawiał się tej chwili – chociaż zarazem niecierpliwie jej oczekiwał. Bał się, gdyż wiedział, że ciało, z którego wystrzelił ogień, będzie jego celem ostatecznym; gdyby rozsypało się zbyt szybko, ognista kula nie miałaby w co uderzyć. Cekał zaś, gdyż tylko po rozpadzie ciała mógł mieć nadzieję na znalezienie Pie. Bariera oddzielająca go od Ojca zmiękała, gdy

Hapexamendios zajął się rozplataniem swych członków. Gentle'owi na razie nie udało się drugi raz dostrzec mistyfa. Skoncentrował się na wnikięciu w ciało Boga, lecz Bóg, chociaż nie mógł mu poświęcić całej swej uwagi, stał się zdecydowany opór. Gentle dostał się w szpony potężnej siły.

– Co to jest? – zapytał Hapexamendios po raz trzeci.

Chcąc zyskać choćby kilka bezcennych sekund, Gentle odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Imajica tworzy krąg.

– Krąg?

– To twój ogień, Ojcie. Wraca tu.

Hapexamendios nie tracił czasu na zbędne słowa. Natychmiast zrozumiał, co znaczy odpowiedź Gentle'a, uwolnił go z uścisku i skupił się całkowicie na rozpadzie ciała.

Niezdarna postać nikła w oczach i w końcu Gentle dostrzegł Pie gdzieś w jej wnętrzu. Tym razem mistyf również go zobaczył. Młócił wątlymi ramionami, próbując przedrzeć się przez wir szczątków, ale zanim Gentle zdołał wyrwać go z więzienia, ziemia rozstała się mistyfowi pod nogami. Wyciągnął jeszcze ręce, szukając jakiegoś oparcia w ciele Boga, lecz za szybko się rozpadało. W ziemi ziała podobna do grobu dziura. Pie posłał ukochanemu ostatnie rozpaczliwe spojrzenie i zniknął mu z oczu.

Gentle zawył z bólu. Zagłuszył go podobny skowyt, dobywający się z ust Ojca, który też krzyczał – bardziej jednak z wściekłości niż ze smutku. Drżał cały i miotał się, próbując przyspieszyć proces dekompozycji.

Ogień znajdował się tuż za Jego plecami. Gentle miał wrażenie, że w płomieniach widzi twarz matki, jakby uformowaną z popiołu. Z szeroko otwartymi ustami i oczami przybyła spotkać się z Bogiem, który zgwałcił ją, odrzucił, a teraz zamordował. Przelotna wizja zniknęła i ogień dopadł swego stwórcy, wydając na niego wyrok.

Duch Gentle'a z szybkością myśli odskoczył na bezpieczną odległość; Hapexamendios (świat był jego ciałem, jego ciało – całym światem) nie miał szans uciec. Niekształtna głowa eksplodowała, ogień pochłoniął rozpryskujące się odłamki, wypalił serce i wnętrzności, rozpostarł się na niesymetryczne kończyny i pożarł je aż po czubki palców.

Skutek zagłady Boga natychmiast dał się odczuć w całym mieście. Wszystkie ulice od jednego końca dominium do drugiego zatrzęsły się, gdy z epicentrum rozeszły się fale zniszczeń. To, że Gentle nie musiał bać się o

własną skórę, nie sprawiło bynajmniej, że ze spokojem przyglądał się katastrofie. Patrzył na śmierć swojego Ojca i nie miał powodów do radości i satysfakcji, gdy ten, który go spłodził, chwiał się na nogach i krwawił. Wyniosłe wieże waliły się w gruzy, sypiąc rokokowym deszczem odłamków; łuki triumfalne nie przypominały już kamiennych budowli, lecz padały na ziemię jak zwykle kawałki ciała; ulice falowały i zmieniały się w żywe mięso; domy zrzucały kościane dachy. Mimo postępującego spustoszenia Gentle nie ruszył się z miejsca, w którym ogień pochłoniął jego Ojca; wciąż liczył na to, że gdzieś w tym chaosie odnajdzie Pie'oh'paha. Wyglądało jednak na to, że ostatnim świadomym wysiłkiem Hapexamendios postanowił na zawsze rozdzielić kochanków: otworzył ziemię i pogrzebał w niej mistyfa jak w grobie. Dopilnował, żeby Gentle nie miał szans go znaleźć.

Pojednawca odszedł z umierającego Miasta Boga. Nie wrócił jednak okrężną drogą przez wszystkie dominia, lecz pomknął w kierunku, z którego przybyła ognista kula. Lecąc, coraz lepiej zdawał sobie sprawę, jak wielka jest skala zjawiska, które obserwował. Gdyby wszystkie istoty, które dokonały żywota na Ziemi, trafiały tutaj, do Pierwszego Dominium, połączona materia ich ciał nigdy nie dorównałaby ogromowi Miasta Boga. Poza tym tutaj zwłoki nie gniły w glebie, by dać życie nowym pokoleniom – same stawały się glebą, same były życiem. Kiedy zaś tego życia zabraknie, zostanie tylko zepsute mięso, zgnilizna na zgniliznie – dominium brudu zanieczyszczone po wszystkie czasy.

Gentle wpadł w obłok mgły, który oddzielał miasto od Piątego Dominium – i z ulgą wynurzył się z niego na spokojnych uliczkach Clerkenwell. Wyglądały ponuro, zwłaszcza po wspaniałościach metropolii, z której przybywał. Wiedział jednak, że w powietrzu unosi się słodki zapach letnich liści (choć w swojej obecnej postaci nie mógł go poczuć) i że z High Holborn lub z Gray's Inn Road dobiega miły dla ucha warkot silnika samochodu – widocznie jakiś łebski facet, wiedząc, że najgorsze minęło, wracał do swoich zajęć, chociaż wątpliwe było, żeby o tak wczesnej porze zaczynał jakąś legalną pracę. Gentle w każdym razie życzył mu jak najlepiej, nawet jeśli gość był bandzirem.

Dominium zostało ocalone i dla złodziei, i dla świętych.

Jude nie czekała, aż dym się rozwieje, lecz od razu weszła do pokoju. Zlekceważyła ostrzegawcze wołanie Clema i zniknęła w mroku, szukając Sartoriego. Gek-a-geki padły, ich zwłoki dygotały jeszcze na progu. Ogień ich nie dosięgnął, ale musiały umrzeć, gdy zabrakło utrzymującej je przy życiu mocy ich pana. Sartoriego znalazła bez trudu, leżał tam, gdzie pchnęła go Celestine, obrócony w stronę kręgu.

Ogień, który przyniósł śmierć jego matce, poparzył całe jego ciało. Spopielone ubranie wtopiło się w pokryte pęcherzami plecy, włosy spłonęły, twarz żywcem się upiekła, a jednak Sartori – podobnie jak jego leżący przy schodach brat – uparcie nie chciał się rozstać z życiem. Drapał palcami po deskach, poruszał ustami, odsłaniając białe zęby w trupim uśmiechu. Nawet w jego mięśniach drzemały jeszcze resztki energii; kiedy jego nabiegłe krwią oczy spoczęły na Jude, spróbował dźwignąć się z podłogi, ale przetoczył się tylko na plecy. Ból musiał dodać mu sił, bo złapał Jude za rękę i przyciągnął ją do siebie.

– Moja matka...

– Odeszła.

Jego twarz wyrażała zdumienie

– Dlaczego? – Zadygotał. – Ona chyba tego... chciała. Dlaczego?

– Żeby być przy tym, jak ogień pochłonie Hapexamendiosa – odparła Jude.

Sartori pokręcił głową.

– Jak... to... możliwe?

– Imajica tworzy zamknięty krąg – wyjaśniła Jude, a widząc, że nadal jej nie rozumie, dodała: – Ogień wrócił do tego, kto go przysłał.

Nareszcie dotarł do niego sens jej słów.

– Nie ma Go już?

Jude miała ochotę odpowiedzieć: „Mam nadzieję”, lecz tylko skinęła potakująco głową.

– Mojej matki też? – Drgawki osłabły, ale i jego głos ścichł. – Zostałem sam...

Ogarnął go bezgraniczny smutek. Jude bała się, że nawet najdelikatniejszą pieszczotą zrobi mu krzywdę, ale zarazem wyglądało na to, że odmawiając mu pociechy, rani go jeszcze bardziej. Delikatnie oparła dłoń na jego dłoni.

– Nie sam – powiedziała. – Jestem przy tobie.

Nie zareagował, może nawet w ogóle jej nie słyszał. Myślami był gdzie

indziej.

– Nie powinienem był robić mu krzywdy – szepnął. – Nie można krzywdzić własnego brata.

Ledwie jego słowa przebrzmiały, z dołu schodów dobiegł cichy jęk, a zaraz po nim radosny okrzyk Clema i wrzask Mondaya:

– Szefie, och, szefie! Szefie!

– Słyszysz? – spytała Jude.

– Tak...

– Chyba jednak go nie zabiłeś.

Usta Sartoriego drgnęły w dziwnym tiku, który dopiero po chwili zinterpretowała jako namiastkę uśmiechu. Myślała, że cieszy się z tego, że Gentle przeżył, ale nie o to mu chodziło.

– Mnie to już nie pomoże – stwierdził.

Z całej siły zacisnął trzymaną na brzuchu dłoń. Zadrżał spazmatycznie, a gdy krew wystąpiła mu na usta, podniósł rękę do twarzy, jakby próbował się zasłonić. Splunął na dłoń i wyciągnął ją do Jude.

– Weź je – powiedział i otworzył pięść.

Poczuła, że coś wpadło jej w dłoń. Nie spuściła jednak wzroku, lecz patrzyła na jego twarz, dopóki nie odwrócił się w stronę kręgu. Zdała sobie sprawę, że patrzył na nią ostatni raz w życiu, próbowała go jeszcze zawołać, wymówiła jego imię, powiedziała, że go kocha, że nigdy nie chciała się z nim rozstać i że zawsze już będą razem, jeśli teraz z nią zostanie. Na próżno. Znalazłszy krąg, jego oczy zgasły. Umierając, nie patrzył na nią, lecz na łono, z którego przyszedł na świat.

Na dłoni Jude leżało zakrwawione niebieskie jajo.

Upłynęło sporo czasu, zanim wstała z klęczek i wyszła na schody. Ciało Gentle'a zniknęło. W blasku świec widziała tylko Clema, który uśmiechał się od ucha do ucha i płakał ze szczęścia. Słyszając jej kroki, podniósł wzrok.

– Co z Sartorim? – zapytał.

– Nie żyje.

– A Celestine?

– Odeszła.

– Ale to już koniec, prawda? – odezwała się Hoi-Polloi. – Przeżyliśmy.

– Tak?

– Tak – stwierdził Clem. – Gentle widział, jak Hapexamendios został unicestwiony.

- A gdzie on się podział?
- Wszedł. Ma dość sił...
- Na jeszcze jedno życie?
- Na dwadzieścia, farciarz jeden – odparł Tay.

Jude objęła obu stróżów Gentle'a, przytuliła ich i wyszła przed dom. Gentle stał na ulicy, opatulony jednym z prześcieradeł Celestine, wsparty na ramieniu Mondaya. Patrzył na drzewo przy domu z numerem dwudziestym ósmym. Ogień Hapexamendiosa spalił większość liści, pozostawiając nagie, osmalone gałęzie. Lekki wietrzyk poruszał listkami, które ocalały. Po tak długim okresie bezruchu najłżejszy wiatr był prawdziwym wybawieniem, ostatecznym dowodem, że Imajica wyszła cało z kłopotów i na nowo nabierała oddechu.

Jude nie wiedziała, czy powinna do niego podejść; może chciał tę chwilę zadumy mieć tylko dla siebie. Wkrótce jednak zbłądził wzrokiem w jej stronę i choć przyświecały im tylko gwiazdy i dogasające płomyki na gałązkach, jego uśmiech prezentował się jak zwykle olśniewająco i zachęcająco. Kiedy zeszła ze stopni, przekonała się, że uśmiech Gentle'a jest w istocie wątpliwy, a rany głębsze od powierzchownych cięć.

- Przegrałem – powiedział Gentle.
- Imajica została zjednoczona – odparła. – To nie porażka.

Odwrócił wzrok i spojrzał w ciemność, gdzie poruszały się niewyraźne kształty.

– Duchy wciąż tu są. Obiecałem im, że znajdę dla nich wyjście z tego świata. Po to wyruszyłem z Pie w podróż, chciałem wskazać Taylorowi drogę... Zawiodłem.

- Może nie ma żadnej drogi – wtrącił się ktoś trzeci.

Clem stanął w drzwiach, ale głos należał do Taya.

- Obiecałem ci odpowiedź – rzucił smutno Gentle.

– Znalazłeś ją. Imajica jest kołem, z którego nie ma wyjścia. Krążymy w nim bez końca, a to wcale nie takie złe. Cieszymy się z tego, co mamy.

Gentle zdjął rękę z ramienia Mondaya i odwrócił się plecami do drzewa, Jude i stojących na progu aniołów. Kiedy ze schyloną głową odkuśtykała na środek jezdni, odpowiedział Tayowi głosem tak cichym, że tylko anioł mógł go usłyszeć:

- To nie wystarczy.

ROZDZIAŁ 61

1

Można powiedzieć, że dni, które nastąpiły po letnim przesileniu, były dla mieszkańców domu przy Gamut Street równie niezwykle jak wszystko, co wydarzyło się przedtem. Świat, który wszędzie dookoła wracał do życia, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że tamtej nocy jego istnienie zawisło na włosku. Jeśli wyczuwał w sobie jakieś zmiany, doskonale się maskował. Tropikalne upały ustąpiły bez śladu; nowy dzień przywitał ich słońcem bladym – jak na angielskie lato przystało – i kapuśniaczkiem, stając się wzorem dla ludzkich zachowań w nadchodzących tygodniach. Irracjonalne wybuchy gniewu, które z każdego skrzyżowania potrafiły uczynić miniaturowe pole bitwy, szybko się skończyły. Nie spotykało się już wpatrzonych w gwiazdy, lunatykujących zjaw, które widzieli Monday i Jude.

W innym niż Londyn mieście zmiany szybko by zostały odkryte – ku ogólnej radości mieszkańców. Gdyby mgła, która zaległa nad Clerkenwell, pojawiła się w Rzymie, najdalej po tygodniu Watykan wydałby oficjalny komunikat w jej sprawie; gdyby zauważono ją w Mexico City, miejscowa biedota, stęskniona za lepszym życiem w innym świecie, błyskawicznie by się nią zainteresowała. Ale w Anglii... Ach, Anglia! Nigdy nie miała szczęścia do mistyków, a kiedy Tabula Rasa wymordowała prawie wszystkich znaczących wywoławców i mistrzów sztuki, nie został nikt, kto podjąłby się uwolnienia umysłów spętanych dogmatami i codziennością.

Nie znaczy to jednak, że pojawienie się mgły przeszło całkowicie bez

echa. Londyńskie zwierzęta szybko się zorientowały, co się święci, i tłumnie przybywały do Clerkenwell. Bezpańskie psy, które królowały w okolicach Gamut Street przed przybyciem sfory Sartoriego, wróciły, węsząc w powietrzu nieziemskie wonie. Zjawiły się również koty. Miauczały głośno, kryjąc się po gałęziach – wścibskie, ale ostrożne. W ciągu trzech pierwszych dni po przesileniu pszczoły i ptaki dwukrotnie zgromadziły się na Gamut Street w podobnie oszłamiającej liczbie, jak wcześniej wokół Azylu. Wszystkie te stada, sfory i roje rozprasały się wkrótce, odkrywszy źródło nęcących je zapachów – przenikały do nowego dominium, żeby żyć pod innym niebem.

*

Żadne dwunogi nie zapuszczały się do Czwartego Dominium, lecz ruch w drugą stronę rozpoczął się szybko. Od Pojednania minął nieco ponad tydzień, gdy na progu domu pod numerem dwudziestym ósmym stanął Tick Raw. Przedstawił się Clemowi i Mondayowi i zapytał o maestra. Dom przy Gamut Street z pewnością prezentował się bardziej komfortowo niż jego chata pod Vanaeph – zdobyte przez Mondaya i Clema łupy bardzo mu w tym pomagały – ale wrażenie przytulności było dość powierzchowne. Gek-a-geki zostały pochowane razem z ich panem w grobie na Shiverick Square; domownicy naprawili drzwi frontowe, zmyli krwawe plamy ze schodków, wyszorowali podłogę w pokoju medytacyjnym; tworzące krąg kamienie, zapakowane oddzielnie w płótno, trafiły pod klucz. Jednak wspomnienia gwałtownych zgonów, czułych chwil, objawień i spotkań po latach nie dało się zatrzeć.

– Tworzycie historię – powiedział Tick Raw, sadwiąc się przy łóżku Gentle'a.

Pojednawca wracał do zdrowia. Przesypiał po dwadzieścia – i więcej – godzin na dobę, a kiedy nie spał, prawie nie ruszał się z łóżka.

– Napatrzyłeś się na różne wojny, przyjacielu, co? – dodał Tick.

– Więcej niżbym chciał.

– Wyczuwam smród In Ovo.

– To gek-a-geki. Ale nie przejmuj się, nie żyją.

– Wdarły się tu podczas ceremonii?

– Nie, to skomplikowana historia. Spytaj Clema; wszystko ci opowie.

– Nie chcę urazić twoich przyjaciół... – Tick Raw wyjął z kieszeni słoik ogórków i parówkę. – Wolałbym jednak usłyszeć to od ciebie.

– Za dużo już o tej sprawie myślałem i nie chcę do niej wracać.

– Przecież wygraliśmy! Nie należałoby trochę poświątować?

– Świątujcie sobie z Clemem. Ja muszę się wyspać.

– Jak chcesz, przyjacielu, jak chcesz. – Tick Raw wycofał się pod drzwi. – Ach, tak się zastanawiałem... Mógłbym się tu zatrzymać na parę dni? Całe Vanaeph chciałoby zobaczyć Piąte Dominium, zaofiarowałem się, że będę przewodnikiem. Sęk w tym, że sam jeszcze za dobrze go nie znam...

– Czuj się jak u siebie w domu. I wybacz mi mój nędzny występ w roli gospodarza.

– Nie musisz mnie przeproszać. Śpij.

Wieczorem Tick wypytał Mondaya i Clema, którzy zrelacjonowali mu ostatnie wydarzenia.

– Kiedy poznam czarującą Judith? – zapytał.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle poznasz – przyznał Clem. – Od pogrzebu Sartoriego nie pojawiła się w tym domu.

– Gdzie teraz jest?

– Nie mam pojęcia, ale jest z nią Hoi-Polloi – wtrącił Monday. – Takie już moje zasmarkane szczęście.

– Dobra, posłuchaj mnie – powiedział Tick Raw. – Zawsze umiałem postępować z damami. Pokaż mi miasto, ale tak porządnie, a ja zapoznam cię z paroma ciekawymi kobietami.

Monday wyciągnął rękę z kieszeni (gładził się po oburzonym nieobecnością Hoi-Polloi członku) i złapał dłoń, której Tick Raw nie zdążył jeszcze wyciągnąć do uścisku.

– Porządny z ciebie gość. Wycieczkę po Londynie masz jak w banku.

Tick Raw zwrócił się do Clema:

– A co z Gentle'em? Może marnieje z braku damskiego towarzystwa?

– Po prostu jest zmęczony. Niedługo wydobrzeje.

– Nie byłbym taki pewien. Wygląda jak ktoś, kto wolałby nie żyć.

– Nie mów tak.

– Dobrze, nic nie mówiłem. Ale to fakt. Wszyscy to wiemy.

*

Ożywienie, jakie Tick Raw wniósł w życie domu, tylko podkreślało prawdziwość jego słów. Dni mijały, łączyły się w tygodnie, a Gentle nadal nie

wstawał z łóżka. Marniał, jak to powiedział Tick, w oczach i Clem musiał przyznać, że zaczyna się czuć podobnie jak w ostatnim okresie życia Taylora – znowu ktoś kochany odchodzi ze świata, a on jest całkowicie bezradny. Tym razem nie mógł liczyć na miłe chwile, jakie spędzał z Taylorem, snując wspomnienia lepszych czasów, bo Gentle nie życzył sobie fałszywego pocieszenia, zabawy, współczucia. Błądł z dnia na dzień, coraz bardziej upodabniając się do pościeli, w której leżał. Czasem anioły słyszały, jak mówi przez sen dziwnymi językami, tak jak kiedyś przy Tayu, lecz mówił od rzeczy; jego umysł błąkał się po obcych krainach bez celu i mapy.

Tick Raw został z nimi przez miesiąc. Wychodził z Mondayem o świcie, wracał w nocy, poznawszy nowe oblicza miasta i nabrawszy apetytu na nowe, nieznane dominium. Wszystko go zachwycało, wszystkim potrafił się cieszyć. Odkrył w sobie zamiłowanie do pasztecików z węgorka i muzyki Elgara; uwielbiał niedzielne południa w Speaker's Corner i nocne spacery śladami Kuby Rozpruwacza; pokochał wyścigi psów, jazz, kamizelki z Savile Row i kobiety urzędujące na tyłach dworca King's Cross. Jeśli chodzi o Mondaya, to widać było, że znajduje pocieszenie po stracie Hoi-Polloi. Kiedy Tick Raw oznajmił, że musi wracać do Czwartego Dominium, chłopak był zrozpaczony.

– Nie martw się – pocieszył go Tick. – Wrócę. I to nie sam.

Zanim ruszył w drogę, zajął jeszcze do Gentle'a.

– Chodź ze mną do Czwartego Dominium – zaproponował. – Najwyższy czas, żebyś zobaczył Patashoqua.

Gentle pokręcił głową.

– Nie widziałeś przecież Merrow Ti' Ti'!

– Wiem, co ci chodzi po głowie, Ticku. I naprawdę jestem ci za to wdzięczny, ale nie chcę więcej widzieć Czwartego Dominium.

– A czy jest coś, co dla odmiany chciałbyś zobaczyć?

Odpowiedź Gentle'a była prosta:

– Nie.

– Daj spokój, Gentle! Nudny jesteś. Zachowujesz się tak, jakby wszystko było stracone, a to nieprawda!

– Dla mnie jest.

– Ona jeszcze wróci, zobaczysz.

– Kto?

– Judith.

Gentle omal nie parsknął śmiechem.

– Nie ją straciłem.

Nagle Tick Raw zrozumiał swój błąd – i zamurowało go jak nigdy w życiu.

– Aha... – stęknął bezradnie.

Po raz pierwszy, odkąd Tick miesiąc wcześniej zjawił się przy jego łóżku, Gentle spojrzał na niego z żarem w oczach.

– Powiem ci coś, czego nikomu nie mówiłem – rzekł.

– Słucham...

– Kiedy byłem w mieście mojego Ojca... – Gentle zawahał się, jakby już zabrakło mu przekonania, że powinien kontynuować. Po chwili jednak dookończył: – Widziałem Pie'oh'paha.

– Żywego?

– Z początku tak.

– Jezu! Jak zginął?

– Ziemia się pod nim rozstąpiła.

– To straszne, naprawdę straszne.

– Rozumiesz teraz, czemu dla mnie to nie jest zwycięstwo?

– Tak, Gentle, rozumiem, ale...

– Przestań, Ticku. Nic mi już nie tłumacz.

– ...tyle rzeczy się zmieniło! Może w Pierwszym Dominium też zdarzają się cuda, tak jak w Yzordderrex! Nie można tego wykluczyć.

Gentle zmrużył oczy. Uważnie obserwował swojego gościa.

– Nie zapominaj, że Eurhetemecowie przybyli do Pierwszego Dominium na długo przed Hapexamendiose – ciągnął Tick. – I umieli wtedy czynić cuda. Może te czasy wróciły? Ziemia nigdy nie zapomina. Ludzie tak, maestrowie też, ale ziemia? Nigdy. – Wstał. – Chodź, przekonamy się. Co masz do stracenia? Jeżeli nogi nie będą cię słuchać, zaniosę cię na własnych plecach.

– Nie będziesz musiał. – Gentle odrzucił koc i wstał z łóżka.

*

Sierpień jeszcze się wprawdzie nie zaczął, ale poprzednie miesiące były tak intensywne, że lato przedwcześnie się wypaliło. Kiedy Gentle wyszedł z Clemem i Tickiem Raw na Gamut Street, na progu powitał go pierwszy je-

sienny chłód. Już w dwa dni po Pojednaniu Clem odkrył obłok mgły, który skrywał przejście do Pierwszego Dominium, ale nie próbował się do niego dostać. Tyle się nasłuchał o Mieście Niewidzianego, że wcale nie miał ochoty oglądać jego potworności. Chętnie jednak odprowadził maistrów do przejścia. Znajdowało się niespełna kilometr od domu, ukryte na tyłach opuszczonego biurowca. Wał szarej mgły, dwa razy wyższy od człowieka, falował i burzył się w kącie zapomnianego podwórka.

– Pójdziemy przodem – zaproponował Clem. – Przecież jesteśmy twoimi aniołami stróżami.

– I tak zrobiliście już więcej, niż do was należało – odparł Gentle. – Zostańcie tutaj, to nie potrwa długo.

Clem nie upierał się przy swoim, lecz odsunął na bok i przepuścił maistrów. Tick Raw i Gentle zagłębili się we mgłę. Gentle, który już wielokrotnie pokonywał granice między dominiami, przyzwyczyił się do towarzyszącej przejściu krótkotrwałej dezorientacji, ale nic – nawet krwawe koszmary, które dręczyły go po Pojednaniu – nie przygotowało go na makabryczny widok, jaki roztoczył się przed nimi po drugiej stronie. Tick Raw jak zwykle zareagował błyskawicznie – zwymiotował, gdy tylko z mgły powiało zgnilizną, i chociaż nie zawrócił w miejscu (nie chciał zostawić Gentle'a samego), wystarczyło mu jedno spojrzenie. Zakrył oczy rękoma.

Całe dominium, aż po widnokrąg, gniło; ze wszystkich stron otaczały ich morza i góry rozkładającej się materii. Na niebie, które poprzednio umknęło uwagi Gentle'a, dwa żółtawe księżyce wyzierały zza chmur barwy starych sińców. Oświetlały krajobraz tak potworny, że chyba najgorszy padlinożerca z Kwem wolałby umrzeć z głodu, niż pożywić się mięsem z Miasta Boga.

– To było Miasto Boga – powiedział Gentle. – To był mój Ojciec. To był Niewidziany, Ticku! – Rozwścieczony dopadł do Tick'a Raw, złapał go za rękę i oderwał mu je od twarzy. – Patrz, do cholery, patrz! Powtórz mi to, co mówiłeś o cudach! Mów, Ticku! Mów! Mów!

*

Kiedy znów wynurzyli się z mgły, Tick nie wrócił z Gentle'em do domu, lecz wymruczawszy krótkie przeprosiny, zniknął w mroku. Tłumaczył się, że musi mieć chwilę na dojście do siebie. Obiecał, że wróci, gdy tylko trochę się pozbiera.

Istotnie, trzy dni później zjawił się w domu, trochę jeszcze roztrzęsiony i zawstydzony. Okazało się, że Gentle nie wrócił do łóżka, lecz ożywił się wyraźnie, chociaż nie wróciła mu dawna pogoda ducha. Wyjaśnił Tickowi, że łóżko przestało być dla niego bezpiecznym azylem. Kiedy zamykał oczy, widział pod powiekami rzeźnię Pierwszego Dominium, ze wszystkimi ohydny- mi szczegółami. Odpoczywał tylko wówczas, gdy ze zmęczenia zasypiał natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki i jego umysł nie miał czasu roz- pamiętać koszmarów.

Na szczęście Tick znów zadbał o rozrywkę – tym razem w postaci ósmior- ga turystów (czy też „wycieczkowiczów”, jak wolał mówić) z Vanaeph, któ- rym miał przedstawić sekrety i ciekawostki Piątego Dominium. Zanim wy- cieczka się rozpoczęła, goście chcieli koniecznie złożyć hołd Pojednawcy. Każdy odczytał przygotowane w bólach, przesadnie wyrafinowane wystąpie- nie, a następnie przekazał Gentle'owi specjalnie przywieziony prezent: wę- dzone mięso, perfumy, przedstawiającą Patashoqua wyklejankę ze skrzydeł zarzi, tomik erotyków pióra siostry Pluthero Quexosa.

Była to pierwsza z wielu grup, które przez następne tygodnie Tick Raw oprowadzał po Piątym Dominium, nie kryjąc się bynajmniej z tym, że nieźle na nich zarabia. Klientów łapał na hasło „Weekend w mieście Sartoriego”. Im bardziej zadowoleni wracali do Vanaeph, zachwyceni pasztecikami z wę- gorza i Kubą Rozpruwaczem, tym więcej chętnych zapisywało się na następ- ne terminy. Tick zdawał sobie sprawę, że fenomenalna koniunktura długo się nie utrzyma; wkrótce duże patashoquańskie biura podróży wejdą na rynek, a wtedy będzie miał nad nimi tylko jedną przewagę: swoim podopiecznym mógł zagwarantować (choćby króciutką, ale zawsze) audiencję u maestro Sartoriego.

Gentle wiedział, że niedługo Piąte Dominium będzie musiało uznać fakt Pojednania – czy mu się to podoba, czy nie. Pierwszych turystów z Patasho- qua i Vanaeph można było nie zauważyć, ale kiedy zaczną przyjeżdżać z ro- dzinami i przyjaciółmi – a były wśród nich istoty, których kształty i rozmiary przyciągnęłyby powszechną uwagę – mieszkańcy Ziemi nie przejdą koło nich obojętnie. Gamut Street stanie się świętym zaułkiem, który podróżni będą przemierzać w obu kierunkach; nie da się wtedy dłużej tu mieszkać. Opuści dom z Clemem i Mondayem i zostawi, by zmienić się w kapliczkę.

Kiedy ten dzień nadejdzie – a stanie się to niedługo – będzie musiał pod- jąć decyzję niezmiernej wagi. Czy powinien znaleźć sobie kryjówkę w An-

glii, czy też wyjechać do kraju, do którego nie trafił jeszcze w żadnym ze swoich dwudziestu paru żywotów? Jedno było pewne – nie wybierał się do żadnego z pozostałych dominiów. Rzeczywiście, nie widział jeszcze Patashoqua, ale stracił istotę, z którą chciałby to miasto oglądać.

*

Jude również przeżywała trudne, niezwykle chwile. Pod wpływem impulsu porzuciła towarzystwo z Gamut Street, chociaż nie wykluczała, że w swoim czasie jeszcze tam wróci. Im dłużej jednak pozostawała z dala od Clerkenwell, tym trudniej było jej myśleć o powrocie. Dopóki Sartori żył, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie go jej brakowało. Nie wiedziała, skąd bierze się w niej taki żal po jego śmierci, ale nie miała wyrzutów sumienia z jego powodu. Straciła wszystko, co w życiu ważne. Noc w noc zrywała się z płaczem ze snu w małym mieszkanku, które wynajmowały na spółkę z Hoi-Polloi (do starego mieszkania nie chciała wracać, budziłoby zbyt wiele wspomnień). Zawsze dręczył ją ten sam koszmar – stała na schodach domu przy Gamut Street, na piętrze Sartori płonął żywcem, a ona nie mogła postąpić ani kroku naprzód. Kiedy Hoi-Polloi nią potrząsała, Jude zawsze wybudzała się z tymi samymi słowami na ustach:

– Zostań przy mnie. Zostań przy mnie...

Wiedziała, że odszedł na zawsze i kiedyś będzie musiała się z tym pogodzić, ale zostawił jej pamiątkę. Nastąpiła jesień i pamiątka niedwuznacznie dawała o sobie znać – kopała tak mocno, że Jude nie mogła spać, nawet gdy nie męczyły jej koszmarne sny. Nie lubiła oglądać się w lustrze. Jej brzuch upodobił się do połyskliwej kopyły, piersi nabrzmiały i zrobiły się tkliwe. Na szczęście Hoi-Polloi zawsze służyła jej wsparciem. Lepszej towarzyszki Jude nie mogła sobie wymarzyć; dziewczyna z Yzordderrex była wierna, chętna do nauki i miała głowę na karku. Z początku obowiązujące w nowym dominium zwyczaje stanowiły dla niej wielką zagadkę, ale z czasem poznała je lepiej i polubiła.

Ten stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie. Gdyby zostały na Ziemi i Jude zdecydowałyby się tutaj urodzić dziecko, jaka czekałaby je przyszłość? To dominium dopiero w niewiadomej przyszłości miało docenić cud Pojednania, a tymczasem niezwykle talenty, jakie dziecko na pewno będzie przejawiać, nie zostaną zauważone – lub wręcz doprowadzą do jego odrzucenia.

W połowie października podjęła decyzję. Nie oglądając się na Hoi-Polloi, odejdzie z Piątego Dominium i znajdzie w Imajice kraj, w którym dziecko – mały prorok, melancholik czy zwyczajny erotoman – będzie mogło swobodnie się rozwijać. Zdawała sobie sprawę, że podróż będzie musiała rozpocząć z okolic Gamut Street. Ta perspektywa nie była może zbyt atrakcyjna, ale Jude nie miała czasu do stracenia; bała się, że dalsza bezsenność osłabi ją tak bardzo, iż nie będzie w stanie ruszyć się z miejsca. Podzieliła się przemyśleniami z Hoi-Polloi, która ochoczo zadeklarowała, że nie odstąpi jej ani na krok. Poczyły niezbędne przygotowania i cztery dni później rozstały się z przytulnym mieszkankiem, zabrawszy ze sobą tylko garść cennych drobiazgów; miały nadzieję sprzedać je w Czwartym Dominium.

Wieczór był chłodny, mgliste halo otaczało księżyc. W jego blasku na ulicach Clerkenwell połyskiwała pierwsza mroźna skorupka. Jude nalegała, żeby po drodze zajrzały na Shiverick Square, by mogła się pożegnać z Sartorim. Monday i Clem bardzo się postarali zamaskować zarówno jego mogiłę, jak i grób gek-a-ge-ków, toteż chwilę trwało, zanim trafiła na miejsce. Spędziła tam dwadzieścia minut; Hoi-Polloi czekała za ogrodzeniem. Jude wiedziała, że Sartori nie dołączył do krążących po okolicy duchów – nie urodził się, jak one, lecz został stworzony, żył kradzionym życiem. Po śmierci mógł istnieć tylko w jej pamięci – i w ich dziecku. Nie płakała po nim; już wcześniej zrobiła, co mogła, błagając go, by żył i został z nią. Powiedziała tylko ziemi na Shiverick Square, że kocha to, co ona skrywa, i prosiła, by dała Sartoriemu spokojny sen.

Wyszła z cmentarzyka. Razem z Hoi-Polloi wyruszyły na poszukiwanie bramy do Czwartego Dominium, w którym panował dzień i w którym Jude zamierzała znaleźć sobie nowe imię.

*

W domu pod numerem dwudziestym ósmym było tej nocy głośno. Wyprawiano przyjęcie ku czci Irisha, który właśnie skończył trzymiesięczną odsiadkę za drobną kradzież. Prosto z więzienia przyszedł na Gamut Street z Carol, Benedictem i paroma skrzynkami kradzionej whisky, żeby wypić za wolność. Dom zdążył się już zmienić w prawdziwy skarbiec, tyle prezentów nazwozili maestrowi wycieczkowicze Ticka Raw, i nie było końca pijackiej zabawie z całą tą tajemniczą zbieraniną. Gentle był chyba równie podchmie-

lony i wesolutki jak Irish (jeśli nie bardziej); po trwającej od tygodni abstynencji już odrobina whisky zamącała mu w głowie i stanowczo opierał się próbom wciągnięcia go w poważną rozmowę, chociaż Clem nie ustępował i twierdził, że sprawa jest pilna. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się zaciągnąć Gentle'a w cichy kąt i wytłumaczyć, że Judith jest w pobliżu. Gentle spoważniał.

– Przyjdzie tutaj?

– Raczej nie – odparł Clem, oblizując się, jakby czuł na wargach jej smak.

– Ale jest blisko.

Gentle'a nie trzeba było dłużej namawiać. Zawołał Monday a i wyszli przed dom. Na ulicy dostrzegli jednak tylko duchy, jak zwykle niespokojne i ponure. Teraz tym bardziej rzucało się to w oczy, że z domu dobiegały odgłosy radosnej zabawy.

– Nie widzę jej – poskarżył się Gentle Clemowi, który stanął za jego plecami. – Jesteś pewien, że się nie mylisz?

– Sądzisz, że mógłbym nie wyczuć obecności Jude? – odezwał się Taylor.

– Jestem pewien.

– W którą stronę mamy iść? – spytał Monday.

– Może ona nie chce, żebyśmy ją widzieli – zauważył Clem.

– Ale ja chcę się z nią spotkać – uparł się Gentle. – Wypijemy po kieliszku za stare czasy. Dokąd, Tay?

Zaraz ruszył w stronę wskazaną przez anioły. Monday z butelką w ręku szedł tuż za nim.

*

Błada mgła, za którą kryło się Czwarte Dominium, falowała leniwie, kłębiła się, ale cały czas tworzyła nieprzerwaną zasłonę. Już miały się w nią zagłębić, gdy Jude spojrzała w niebo, gdzie świeciła Wielka Niedźwiedzica, której już nigdy nie zobaczy.

– Wystarczy tych pożegnań – powiedziała.

Weszły we mgłę.

Za ich pleców dobiegł odgłos kroków i głos Gentle'a. Jude przewidziała, że ich obecność może zostać odkryta, i wraz z Hoi-Polloi omówiły taką możliwość. Teraz nie odwróciły się więc, lecz przyspieszyły kroku. Mgła zgęstniała, ale po paru krokach zaczęło przez nią przebijać światło dnia; zrobiło

się ciepłej. Gentle znowu zawołał Jude, lecz nikt go nie usłyszał w zgiełku Czwartego Dominium.

Zatrzymał się na granicy zamglonego obszaru. Obiecał sobie, że nie opuści Piątego Dominium, ale krążący mu w żyłach alkohol osłabił to postanowienie. Korciło go, żeby pójść dalej.

– To jak, szefie? – spytał Monday. – Wchodzimy czy nie?

– A co wolisz?

– Właściwie...

– Serce ci się rwie do Hoi-Polloi, co?

– Jeszcze jak, szefie! Co noc śnią mi się zezowate dziewczyny.

– No tak... Jeżeli chcemy gonić sny, chyba jest to dobry powód, żeby wejść w tę mgłę.

– Poważnie?

– Jedyne powód.

Gentle wziął od Mondaya butelkę i pociągnął solidny łyk.

Zanurzyli się we mgłę. Zaczęli biec. Ziemia pod ich stopami miękła i jaśniała, chodnik zmienił się w piasek, noc się skończyła i nastał dzień.

Jude i Hoi-Polloi mignęły im przez moment – szare sylwetki na tle pawiego nieba – i rzucili się za nimi w pogoń. Światło robiło się coraz jaśniejsze, hałas narastał. Gdy ostatecznie wynurzyli się z przejścia między dominiami, przywitały ich krzyki rozentuzjasmowanych ludzi. Kupcy i złodzieje tłoczyli się ze wszystkich stron, a dwie kobiety właśnie znikwały w tłumie. Gentle i Monday ruszyli w pościg, lecz ludzka masa sprzysięgła się chyba przeciw nim, bo po półgodzinie bezowocnego pościgu wrócili na ten sam tętniący życiem bazar. Musieli pogodzić się z porażką.

Wywołane alkoholem lekkie, miłe zawroty głowy ustąpiły bez śladu. Ich miejsce zajął zwyczajny ból. Gentle słał się na nogach.

– Uciekły – stwierdził. – Dajmy sobie spokój.

– Cholerny świat!

– Ludzie przychodzą i odchodzą, nie można się do nich za bardzo przywiązywać.

– Za późno – odparł smętnie Monday. – Ja już się przywiązałem.

Mrużąc oczy, Gentle spojrzął na obłok mgły. Wydął w zadumie wargi. Po drugiej stronie był już zimny październik.

– Wiesz co? – odezwał się w końcu. – Przejdziemy się do Vanaeph i poszukamy Ticka Raw. Może on coś poradzi.

Monday cały się rozpromienił.

– Prawdziwy z ciebie bohater, szefie. Prowadź!

Gentle stanął na palcach, próbując się rozejrzeć.

– Kłopot w tym, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest Vanaeph.

Zatrzymał pierwszego z brzegu przechodnia i zapytał, jak może się dostać na Lipper Bayak. Zgodnie z wskazówką przedarli się na skraj targowiska, skąd ujrzeli oddzielające ich od Lipper Bayak, obwiedzione murem miasto. Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To Patashoqua? – zapytał, powtarzając nazwę, którą nauczył się traktować niemal jak zaklęcie.

– Tak.

– Malowaliśmy je na murach, szefie. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Jak wygląda?

Gentle zerknął na trzymaną w rękę butelkę. Ciekaw był, czy niezwykle podniecenie, jakie odczuwał, minie wraz z towarzyszącym mu bólem głowy.

– Szefie?

– Tak?

– Pytałem, jak wygląda Patashoqua?

– Nie wiem, nigdy tam nie byłem.

– Może czas coś z tym zrobić?

Gentle wepchnął Mondayowi butelkę w dłoń i westchnął.

– Tak, przyjacielu – uśmiechnął się. – Chyba masz rację.

2

Tak oto zaczęła się ostatnia pielgrzymka maestra Sartoriego – zwanego także Johnem Furie Zachariasem, Gentle'em i Pojednawcą Dominiów – w Imajice.

Nie planował jej, lecz obiecawszy Mondayowi, że odnajdą kobietę z jego snów, nie mógł go zostawić i wrócić do Piątego Dominium. Poszukiwania rozpoczęli naturalnie od Patashoqua, które rozkwitało jak nigdy; służyła mu bliskość nowo otwartego dominium. Gentle, który od roku rozmyślał o tym,

jak wygląda miasto za murami, znalazłszy się w środku musiał doznać rozczarowania. Za to Monday reagował na Patashoqua z niewiarygodnym wręcz entuzjazmem, który boleśnie przypominał Gentle'owi jego własne zachwyty, gdy z Pie pierwszy raz wkroczył do Czwartego Dominium.

Nie trafili w mieście na ślad Jude i Hoi-Polloi, udali się więc do Vanaeph, żeby spotkać się z Tickiem. Dowiedzieli się, że ich przyjaciel jest obecnie w podróży. Za to pewien człowiek o sokolim wzroku twierdził, że kobiety, które pasowały do opisu Jude i Hoi-Polloi, próbowały złapać autostop na Drodze Patashoquańskiej. Godzinę później Gentle i Monday wzięli z nich przykład i pościg przez dominia rozpoczął się na dobre.

Dla maestra była to podróż zupełnie inna od poprzednich. Za pierwszym razem nie wiedział, kim jest, nie doceniał wagi spotkań z ludźmi i znaczenia miejsc, które z Pie odwiedzali. Później, jako duch, mknął z szybkością myśli, odwiedzając członków Synodu. Obowiązki nie pozwalały mu zwolnić i napawać się oglądanymi po drodze cudami. Dopiero teraz miał dość czasu – i wiedzy – by odbywać pielgrzymkę świadomie, i choć wyruszył w nią bez entuzjazmu, wkrótce cieszyła go tak jak Mondaya.

Więści o zmianach w Yzorderrex doszły do wszystkich, najmniejszych nawet wioszczek; upadek rządzonego przez autarchę imperium stał się powodem do ogólnej wesołości i świętowania. Rozeszły się również pierwsze plotki o uzdrowieniu Imajiki, toteż gdy Monday opowiadał ludziom, skąd przybywa (co czynił przy każdej sposobności), mogli z Gentle'em liczyć na poczęstunek i setki pytań ze strony żądnych nowin gospodarzy. Wiedząc, że drzwi do Piątego Dominium stoją otworem, wielu z nich zamierzało się tam wybrać. Pytali więc, jakie dary mają zabrać do rajskiej krainy, która sama w sobie jest przecież niezwykła. Kiedy padało takie pytanie, Gentle (choć zwykle w tych rozmowach nie przerywał Mondayowi) zabierał głos:

– Weźcie wasze rodzinne sagi – mówił. – Weźcie wiersze, żarty, kołysanki. Niech ludzie w Piątym Dominium zrozumieją, jakie cuda czekają ich tutaj.

Wtedy gospodarze popatrywali na niego z ukosa i odpowiadali, że w ich rodzinnych historiach i dowcipach nie ma nic szczególnego.

– Coś o was mówią – tłumaczył wtedy Gentle. – A to wy jesteście najwspanialszym darem dla Piątego Dominium.

*

– Szefie, moglibyśmy zbić fortunę, gdybyśmy przywieźli na handel mapy Anglii – zauważył któregoś dnia Monday.

– Zależy nam na pieniądzach?

– Tobie może nie, szefie, ale ja bardzo je lubię.

I masz rację, pomyślał Gentle. Rzeczywiście, sprzedaliby już pewnie z tyśiąc map, a dotarli dopiero na skraj Trzeciego Dominium. Ludzie kopiowali by je w nieskończoność, za każdym razem dodając coś od siebie. Gentle pomyślał, że przez całe życie własnymi rękoma nie stworzył niczego, co miało by trwałą wartość. Jednak w przeciwieństwie do malowanych przez niego falsyfikatów, mapy nie podlegałyby przekleństwu ustalonego oryginału; autorzy uzupełniali je, poprawiali, zapełniali białe plamy, opracowywali na nowo legendy. A nawet gdy wprowadzono na nich wszelkie możliwe poprawki, wciąż trudno było je nazwać skończonymi. Przecież zmieniał się oryginał, który odzwierciedlały. Rzeki rozlewały się szerzej, zmieniały bieg albo całkiem wysychały, jedne wyspy tonęły w morzu, inne się z niego wynurzały, nawet góry rosły. Zwlekał z tym od miesięcy, ale uznał w końcu, że warto poświęcić jeszcze trochę czasu na wykreślenie mapy, o której od dawna marzył.

*

Zdarzało im się spotykać na swojej drodze osoby, które – nieświadome, z kim mają do czynienia – chełpiły się bliższym lub dalszym związkiem z najśłynniejszym synem Piątego Dominium, maestrem Sartorim, i chętnie o nim opowiadały. Opowieści te brzmiały różnie, zwłaszcza gdy przychodziło do opisywania towarzysza, z którym maestro podróżował. Jedni mówili o pięknej kobiecie, inni o jego bracie imieniem Pie, jeszcze inni (najmniej liczni) – o mistyfie. Z początku Monday miał kłopoty z zachowaniem tajemnicy, ale Gentle uparł się, by podróżowali incognito, i kazał mu przysiąc, że ich nie zdradzi. Chłopiec dotrzymał słowa. Milczał jak grób, gdy podróżni opowiadali o maestrze niestworzone historie: o nocach poślubnych spędzonych na suficie sypialni; o zagajnikach wyrastających w jedną noc w miejscu, gdzie Sartori się zdrzemnął; o kobietach, które zaszły w ciążę, gdy napiły się z jego kubka. Z początku świadomość, że stał się bohaterem zbiorowej wyobraźni,

niezmiernie Gentle'a bawiła, z czasem jednak zaczęła mu coraz bardziej ciążyć. Czuł się jak duch przy tych innych, żywych wersjach samego siebie; niewidzialny pośród słuchaczy jego dziejów, które stale obrastały w nowe szczegóły i ozdobniki.

Pocieszał się, że nie jest jedyną osobą, o której powstają legendy. Nie brakowało innych historii, którymi karmiono ich wszędzie, gdzie wypytywali o Jude i Hoi-Polloi – opowieści o czyniących cuda kobietach. Po upadku Yzorderrex w dominiach pojawiło się nowe, nieznanne dotąd plemię koczowniczych czarownic, które świętowały wyzwolenie i odprawiały swoje rytuały (dotąd zarezerwowane dla domowego ogniska) publicznie, by wszyscy mogli je oglądać. W przeciwieństwie do historii maestro Sartoriego, w większości nie mających nic wspólnego z rzeczywistością, relacje o obdarzonych mocą kobietach potwierdzały dowody. Gentle i Monday napotykali je na każdym kroku. W okolicach Mai-Ké, które Gentle zapamiętał z pierwszej pielgrzymki jako suchą, piaszczystą nieckę, rozciągały się zielone pola, zapowiadające pierwsze od sześciu lat żniwa – a wszystko dzięki pewnej kobiecie, która wykryła podziemną rzekę i za pomocą influencji i modłów wywabiła wodę na powierzchnię. W jednej ze świątyń w L'Himby sybilla wyrzeźbiła w kamieniu (za pomocą własnych palców i śliny) wizję miasta zgodną z jej proroczymi wizjami, które w ciągu roku miały się spełnić. Przepowiednia miała tak hipnotyzującą moc, że wierni wymaszerowali na ulice i zrównali z ziemią te części L'Himby, które najbardziej je szpeciły. W Kwem, dokąd trafili w poszukiwaniu Scopique'a, odkryli, że miejsce dołu po wyrwanej Osi zajęło jezioro o kryształowo czystej wodzie. Jego dna nie było jednak widać, gdyż w toni bez ustanku powstawało nowe życie – głównie ptaki, które w pełni upierzone, rozkrzyczanymi stadami zrywały się znad wody do lotu.

Tutaj zresztą Gentle i Monday spotkali się z cudotwórczynią osobiście. Kobieta, która stworzyła jezioro (w sensie dosłownym, jak twierdzili jej akolici – w jedną noc napełniła je własnym moczem), wprowadziła się do wypalonych ruin pałacu autarchy. Licząc na to, że może wiedzieć coś na temat Jude i Hoi-Polloi, Gentle postanowił ją odwiedzić. Nie ukazała mu się, ale przynajmniej odpowiedziała na pytanie. Nie widziała podróźnych, które odpowiadałyby podanemu przez niego opisowi, ale mimo to może mu powiedzieć, gdzie je znajdzie. W tych dniach, wyjaśniła, kobiety wędrują tylko w dwóch kierunkach: albo idą do Yzorderrex, albo je opuszczają.

Podziękował i spytał, jak może się odwdziżyć. Powiedziała, że nic od

niego nie chce, ale byłaby mu wdzięczna, gdyby na godzinę czy dwie przysłał do niej swojego chłopca. Nieco upokorzony Gentle wyszedł z pałacu i zapytał Mondaya, czy nie zechciałby poświęcić nieznajomej trochę czasu. Ponieważ Monday nie miał nic przeciwko temu i szybko zniknął w buduarze cudotwórczyni, Gentle został sam nad brzegiem rodzącego ptaki jeziora. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że kobieta w poszukiwaniu rozkoszy wybrała innego mężczyznę. Jeżeli miałby wątpić, że jego dni minęły bezpowrotnie, miał tego najlepszy dowód.

Kiedy po dwóch godzinach Monday wrócił (trochę oszołomiony i z wypiekami na twarzy), znalazł Gentle'a nad wodą, wśród kamiennych kopczyków. Maestro już dawno porzucił pomysł narysowania mapy Imajiki.

– Co oznaczają te kamienie? – zdziwił się chłopak.

– Liczyłem moje romanse – odparł Gentle. – Jeden kopczyk to sto kobiet. Kopczyków było siedem.

– To wszystkie?

– Więcej nie pamiętam.

Monday przykucnął obok niego.

– Założę się, że chciałbyś znów się z nimi wszystkimi pokochać.

– Nie – odparł Gentle po chwili zadumy. – Moje dzieło jest skończone. Kobiety zostawię młodszym. – Wrzucił trzymany w ręku otoczek do jeziora. – Dobrze się domyślasz. To Jude.

*

Od tego momentu nie musieli się już błąkać bez celu, gonić za plotkami. Wiedzieli, gdzie szukać Jude i Hoi-Polloi. W parę godzin od opuszczenia Kwem znaleźli się na Postnej Drodze, która – o dziwo – wcale się nie zmieniła. Jak zwykle panował na niej ogromny ruch. Była jak strzała wymierzona w rozpalone serce Yzordderrex.

ROZDZIAŁ 62

1

Do Piątego Dominium zawitała zima – niespieszna, ale nieubłagana. Ostatni dzień października przyniósł kres łagodnej jesieni, która pozwalała mieszkańcom miasta wybierać się na nocne spacery bez ciepłych płaszczy, czapek i rękawiczek. Na Gamut Street pierwszy raz zawitały większe grupy londyńczyków, którzy świętowali wigilię Wszystkich Świętych i przyszli osobiście się przekonać, ile prawdy jest w niezwykłych plotkach na temat Clerkenwell. Większość szybko odeszła w swoją stronę, ale najodważniejsi postanowili trochę zostać. Kręcili się przed domem z numerem dwudziestym ósmym, zdumiewali zdobięcymi drzewi malunkami, spoglądali ciekawie na zwęglone drzewo, które skrywało dom przed światłem gwiazd.

Od tamtej pory mróz kąsał coraz bardziej dokuczliwie, aż pod koniec listopada zapędził pod dachy nawet najodporniejsze na chłód kocury. Jednakże ruch na Gamut Street nie ustawał. Noc w noc zwyczajni obywatele spotykali tutaj turystów z Czwartego Dominium. Clem zaczynał już rozpoznawać stałych bywalców Clerkenwell. Widział, że czują się coraz pewniej, bo przekonują się, że niezwykle wrażenia nie oznaczają bynajmniej początków obłędu. Dostrzegali coraz to nowe cuda i kolejno musieli odkrywać ich źródło, ponieważ po jakimś czasie zawsze znikali. Inni, zapewne bardziej strachliwi, przychodzili z przyjaciółmi, żeby samotnie nie stawać twarzą w twarz z nieznanym. Pokazywali im Gamut Street jak swój najtajniejszy sekret, mówili szepcąc i śmiali się głośno, gdy okazywało się, że przyjaciele widzą to samo co

oni.

Wieści rozchodziły się po mieście, lecz w tych gorzkich dniach była to jedyna pociecha dla mieszkańców domu pod numerem dwudziestym ósmym. Tick Raw spędzał w nim wprawdzie coraz więcej czasu i okazał się uroczym kompanem, ale Clem bardzo tęsknił za Gentle'em. Nie zdziwiło go jego nagłe zniknięcie (wiedział coś, czemu sam maestro zaprzeczał: że prędzej czy później Gentle opuści Piąte Dominium), lecz najbliższego towarzysza miał teraz w człowieku, z którym dzielił umysł. Zbliżająca się pierwsza rocznica śmierci Taya obu ich przygnębiała. Obecność tylu żywych istot na Gamut Street sprawiała, że zamieszkujące ją przez całe lato duchy poczuły się nagle wydziedziczone; ich smutek był zaraźliwy. Tay cieszył się, mogąc towarzyszyć Clemowi w przygotowaniach do wielkiego dzieła, lecz teraz ich rola aniołów stróżów się skończyła i podzielał pragnienia wszystkich duchów z Clerkenwell – chciał odejść.

Z nadejściem grudnia Clem zaczął się zastanawiać, jak długo będą jeszcze razem, skoro z godziny na godzinę Tay wydawał się coraz bardziej przybity. Długo bił się z myślami, ale w końcu uznał, że po Bożym Narodzeniu odejdzie z Gamut Street. Wycieczkowicze Ticka Raw obejmą dom maestra we władanie, a on wróci do siebie, gdzie przed rokiem świętowali z Taylorem powrót Niezwycięzonego Słońca.

2

Jude i Hoi-Polloi nie spieszyły się w swej podróży przez dominia; kiedy do wyboru było tyle dróg i przy każdej czekało ich tyle miłych spotkań i zdarzeń, pośpiech wydawał się zupełnie nie na miejscu. Miały mnóstwo czasu; nic ich nie goniło, nic nie wzywało – tak w każdym razie utrzymywała Jude. Kiedy od czasu do czasu w rozmowie wypływała kwestia celu ich wędrówki, zmieniała temat, nie chcąc mówić o mieście, do którego – w głębi serca nie miała co do tego wątpliwości – musiały w końcu trafić. Mimo że unikała wymawiania jego nazwy, i tak słyszały ją wszędzie, z ust wszystkich spotkanych kobiet, a gdy Hoi-Polloi przyznawała się, że z niego pochodzi, pytaniom nie było końca.

Czy to prawda, że przy każdym przypływie woda niesie do portu mrowie ryb z głębin oceanu; wiekowych istot, które znają tajemnicę pochodzenia kobiet i które co noc płyną zamienionymi w rzeki ulicami, by na wzgórzu oddawać cześć boginiom? Czy to prawda, że kobiety nie potrzebują tam mężczyzn, żeby zająć w ciążę? I że niektórym udaje się nawet wyśnić dziecko? Czy w mieście naprawdę tryskają fontanny, których woda przywraca młodość? Czy drzewa rodzą w nim owoce, jakich świat nie widział? I tak dalej, i tak dalej.

Jude dawała się zwykle namówić, żeby opowiedzieć o tym, co widziała w Yzordderrex, ale jej opowieści o zniszczonym przez wodę pałacu i przeczących prawu ciąży rzekach błądy w porównaniu z plotkami, jakie krążyły na temat miasta. Po kolejnej rozmowie, w której proszono, by opisała cuda, o jakich nie miała pojęcia – zupełnie jakby słuchaczki wolały słuchać jej fantazji, niż poczuć gorycz rozczarowania – powiedziała Hoi-Polloi, by nie wciągała jej więcej w podobne dysputy. Wyobraźnia nie chciała jednak odrzucić plotek i z każdym przebytym kilometrem Postnej Drogi wizja miasta, które ich oczekuje, stawała się coraz bardziej przerażająca. Jude martwiła się, że wyniesione z Yzordderrex błogosławieństwa okażą się po tak długiej nieobecności bezwartościowe. A może boginie wiedziały, że powiedziała Sartoriemu – szczerze – że go kocha? Jeśli tak, i jeśli wróci do świątyni bogiń, postępowanie ze strony Jokalaylau będzie jej ostatnim doświadczeniem w życiu.

Na Postnej Drodze strach Jude nie miał wielkiego znaczenia – nie mogły z Hoi-Polloi zawrócić, tym bardziej że obie były coraz bardziej wyczerpane. Miasto przyzywało je uparcie, nie bacząc na mgły dzielące dominia. Musiały razem do niego wejść i wspólnie stawić czoło osądom, cudom i głębinowym rybom.

*

Ależ Yzordderrex się zmieniło! Do Drugiego Dominium zawitała pora roku cieplejsza od tej, w której Jude poznawała miasto. Wszechobecna woda sprawiła, że zapanował tu iście tropikalny klimat. Wilgotność powietrza zapierała dech w piersi. Z rozpadlin i grot pod miastem woda wypłukała ogromne ilości nasion i zarodników, które pod wpływem sztuk bogiń dojrzewały z nadnaturalną szybkością. Prastare rośliny, w większości od dawna uważane za wymarłe, zieleniły się wśród gruzów, zmieniając kesparaty w gę-

ste dżungle. Przez ostatnie pół roku Yzordderrex stało się miastem zapomnianym, oddanym we władanie kobietom i dzieciom, ocalonym przez florę od ostatecznego upadku. Wszędzie w powietrzu unosił się zapach dojrzałych owoców, które pyszniły się kolorami na pnączach, gałęziach drzew i krzewów. Ich woń przyciągała zwierzęta, jakie nigdy chyba nie zawitałyby do starego Yzordderrex. A wśród tych sypiących się jak z rogu obfitości darów pieniały się wieczne rzeki – karmiły wyniesione spod ziemi nasiona i płynęły wytrwale pod górę, wolne jednak od flotylli próśb. Albo modlitwy zostały wysłuchane, albo chrzest w wodzie sprawił, że mieszkańcy sami stali się dla siebie uzdrowicielami i odnowicielami.

Jude i Hoi-Polloi nie poszły do pałacu pierwszego dnia. Nie uczyniły tego również dnia następnego, ani nawet dzień później. Najpierw znalazły dom Peccable'a i rozgościły się w nim, chociaż tulipany w jadalni zastąpiły kwiatami, które wyrosły wprost z podłogi, a pozbawiony części dachu budynek zmienił się w ptaszarnię. Po długiej podróży, w której nigdy nie miały pewności, gdzie będą spać następnej nocy, kwiaty i ptaki były tylko drobnymi niewygodami. Jude i Hoi-Polloi zasnęły w podobnych do altan łózkach, ukołysane gruchaniem i trelami. Kiedy się obudziły, znalazły dość jedzenia. Mogły nazrywać owoców, popić je chłodną, czystą wodą ze strumienia na ulicy, a nawet – w którejś z większych rzek – nałapać ryb, które stanowiły podstawę wyżywienia żyjących w pobliżu klanów.

Owe rozbudowane rodziny składały się z mężczyzn i kobiet, którzy musieli należeć do wojsk i tłumów toczących krwawe walki w noc upadku autarchy. Jednak albo z wdzięczności za przetrwanie rewolucji, albo dzięki kojącemu działaniu bujnie rozwiniętej natury ludzie ci zmienili się nie do poznania. Te same ręce, które wtedy mordowały i okaleczały, teraz odbudowały kilka okolicznych domów, i to nie po to, by stawić czoło dżungli czy wodzie, lecz w ścisłej z nimi współpracy. Tym razem kobiety wzięły na siebie rolę architektów. Chrzest w strumieniach natchnął je ideą zbudowania nowego miasta na gruzach dawnej metropolii.

W każdym ich dziele Jude dostrzegała odbicie spokojnej, wysmakowanej estetyki bogiń.

Domy nie sprawiały wrażenia wybudowanych w pośpiechu, nie było też widać, by zostały podporządkowane jakiemuś ogólnemu zamysłowi. Epoka imperium dobiegła końca, a wraz z nią skończył się czas dogmatów, edyktów i konformizmu. Każdy na własną rękę rozpinał sobie dach nad głową, włą-

czając w konstrukcję cieniste, zasobne w owoce drzewa. Efektem były domy tak rozmaite jak oblicza tworzących je kobiet. Taki Sartori, jakiego poznała przy Gamut Street, na pewno by im przyklasnął. Kiedy widzieli się po raz przedostatni, musnął ją przecież w policzek, prawda? Powiedział, że marzyło mu się miasto zbudowane na jej obraz i podobieństwo. Jeżeli miał na myśli po prostu kobietę, to takie właśnie miasto wyrastało z ruin.

Za dnia miały więc szeleszczące sklepienie, szemrzące rzeki, ciepło i śmiech, a nocą spały pod pierzastym dachem i śniły łagodne, słodkie sny. Cieszyły się takim życiem przez tydzień. Ósmej nocy Hoi-Polloi zbudziła Jude i zawołała ją do okna.

– Spójrz – powiedziała.

Jude wyjrzała na zewnątrz. Gwiazdy świeciły nad miastem i odbijały się srebrzyście w pobliskiej strudze wody. W strudze, w której widać było też inne kształty – bardziej namacalne, choć wcale nie mniej srebrzyste. Plotki mówiły prawdę; w górę strumienia podążały istoty, których nie wyłowiłby żaden kuter, choćby nie wiedzieć jak daleko na morzu zarzucił sieci. Niektóre miały w sobie coś z delfinów, inne przypominały kalmary, jeszcze inne płaszczyki, ale wszystkie łączyło ledwie uchwytnie piętno człowieczeństwa, ukryte w ich przeszłości (albo przyszłości) równie głęboko jak ich domy w oceanie. Czasem trafiało się stworzenie wyposażone w prawdziwe łapy – bardziej wówczas podskakiwało w wodzie, niż płynęło; innym razem Jude mignął jakiś wijący się, węgorzowaty stwór o dziwnie ssaczym łbie, z na wpół ludzkim błyskiem w oku i ustami zdolnymi chyba do formowania słów.

Widok tych istot był tak ekscytujący, że Jude nie potrafiła odejść od okna, dopóki cała ławica nie zniknęła jej z oczu. Nie miała wątpliwości, dokąd płyną; wiedziała też, że sama będzie musiała za nimi podążyć.

– Bardziej już nie wypoczniemy – powiedziała do Hoi-Polloi.

– Czy to znaczy, że czas udać się na wzgórze?

– Chyba tak.

O świcie wyszły z domu Peccable'a, chcąc pokonać jak największy odcinek, zanim kometa wdrapie się wysoko na niebo i wilgotny upał zacznie wysysać z nich siły. Droga na górę nigdy nie była łatwa – teraz też, mimo chłodnego poranka, okazała się mordęgą dla Jude, która miała wrażenie, że zamiast żywej istoty dźwiga w łonie bryłę ołowiu. Kilkakrotnie musiały się zatrzymać, by mogła usiąść w cieniu i złapać oddech; za czwartym razem stwierdziła, że oddycha coraz płycej, a ból w brzuchu przyprawia ją niemal o utratę

przytomności. Krzyki Hoi-Polloi zwróciły uwagę przechodniów. Zdążyli przenieść Jude na kopczyk porośnięty kwitnącymi trawami, gdy odeszły wody płodowe.

Niespełna godzinę później, mniej niż kilometr od miejsca, w którym znajdowała się Brama Świętych Creaze i Evendown, w zagajniku, gdzie roiło się od maleńkich ptaszków o turkusowych piórkach, Jude powiła jedyne dziecko autarchy Sartoriego.

3

Mimo że Gentle i Monday uzyskali od stwórczyni jeziora dokładne wskazówki, do Yzordderrex dotarli całe sześć tygodni później niż Jude i Hoi-Polloi. Na pewno po części zawdzięczali to Mondayowi, którego apetyt seksualny wyraźnie się zmniejszył po przygodzie w pałacu w Kwem, przez co chłopek nie narzucał już tak gorączkowego tempa podróży jak wcześniej. Przede wszystkim jednak odpowiedzialny był za to Gentle, którego entuzjazm dla sztuki kartograficznej niespodziewanie wzrósł po niedawnym okresie niżkowym. Nie było godziny, żeby nie przypomniał sobie prowincji, którą przemierzył, punktu orientacyjnego, który zapamiętał – a wtedy zatrzymywał się, wyjmował własnoręcznie rysowany atlas i z religijnym namaszczeniem nanosił na mapy nowe szczegóły, recytując jak litanie nazwy wyżyn, nizin, lasów, równin, dróg i miast. W tej sytuacji nie było mowy o pośpiechu, nawet jeśli mieli przez to przegapić dogodną podwózkę lub przemoknąć do suchej nitki w nagłej ulewie. Powtarzał Mondayowi, że mapa Imajiki to największe dzieło jego życia i żałuje, iż zabrał się za nią tak późno.

Mimo tych przerw z każdym dniem zbliżali się do miasta, aż kiedy pewnego dnia wstali z posłań pod krzakiem głogu i przebili wzrokiem rozwiewające się mgły, dostrzegli w oddali olbrzymią, zazielenioną górę.

- Co to może być? – zdziwił się Monday.
- Yzordderrex – odparł nie mniej zaskoczony Gentle.
- A gdzie pałac? Gdzie aleje? Widzę tylko mnóstwo drzew i tęcze. Gentle też nie umiał tego wyjaśnić.
- Kiedyś miasto było całe szaro-czarne i krwawe.

– A teraz jest zielone jak wszyscy diabli!

Im bardziej się do niego zbliżali, tym zieleńsze się wydawało. Dolatujący do nich słodki zapach roślin sprawił, że Monday wkrótce przestał się krzywić i doszedł do wniosku, że Yzorderrex nie będzie takie znów najgorsze. Skoro zmieniło się w puszcę, to może wszystkie jego mieszkanki stały się dzikuskami, odzianymi tylko we własny uśmiech i sok z jagód. Nie zmartwiłyby się tym specjalnie.

To, co zobaczyli już na niższych zboczach góry, przerastało, rzecz jasna, najniezwyklejsze wyobrażenia chłopca. Widoki, które mieszkańcy Nowego Yzorderrex uznawali za naturalne – zwariowane rzeki i drzewa rodem z pierwotnych puszczy – kompletnie zaskoczyły Gentle'a i Mondaya. Po jakimś czasie darowali sobie głośne zachwyty i brnęli przez gąszcz, stopniowo pozbywając się nagromadzonego podczas wędrówki bagażu.

Gentle zamierzał udać się do kesparatu Eurhetemeców i poszukać Athanasiusa, ale po tak odmienionym mieście szło się bardzo wolno, toteż bardziej szczęściu niż sprytowi mogli zawdzięczać, że po godzinie stanęli przed właściwą bramą. Ulice w tym kesparacie były równie zarośnięte jak w innych, tarasy upodobiły się do zdiczatego sadu, z którego drzew spadał zaścielający ziemię gruz.

Monday zaproponował, żeby się rozdzielili. Gentle uprzedził go jeszcze, że gdyby zobaczył gdzieś na drzewie ukrzyżowanego Jezusa, będzie to Athanasius, spotkali się jednak wkrótce przy bramie, nie znalazłszy nikogo. Gentle musiał więc zapytać bawiące się przed bramą dzieci, czy nie widziały człowieka, który do niedawna mieszkał w kesparacie.

– On sobie poszedł – powiedziała dziewczynka mniej więcej sześciolatka, z wplecioną we włosy winoroślą, która zdawała się wyrastać jej z głowy.

– Wiesz dokąd?

– Nie.

– A kto może to wiedzieć?

– Nikt – odparła dziewczynka w imieniu swojej małej bandy.

Poszukiwania Athanasiusa utknęły w martwym punkcie.

– Dokąd teraz? – spytał Monday, gdy dzieci wróciły do zabawy.

– Pójdziemy za wodą – odparł Gentle.

Ruszyli dalej pod górę, przeciwnie do ruchu komety, która dawno już minęła zenit. Byli zmęczeni i co krok musieli walczyć z pokusą, żeby nie położyć się w miękkiej trawie. Gentle nie odpuszczał jednak Mondayowi, przypo-

minając mu, że na łonie Hoi-Polloi będzie mu się odpoczywało znacznie przyjemniej niż w hamaku, a jej pocałunki ożywią go bardziej niż kąpiel w jeziorze. Miał chyba dar przekonywania, bo chłopiec odnalazł w sobie takie pokłady energii, że Gentle zaczął mu zazdrościć. Wreszcie dotarli do znaczących dawne mury pałacu kopców ciemnego gruzu. Wyrastały z nich kolumny, z których niegdyś zwieszały się skrzydła olbrzymich wrót, zmiecione później przez rzekę. Woda wspinała się strużkami na prawą kolumnę i tryskała prosto na szczyt lewej, tworząc nad wejściem pryskający kropelkami łuk. Był to widok tak olśniewający, że Gentle stanął jak wryty.

Monday sam wszedł między kolumny i po chwili Gentle usłyszał jego radosny krzyk:

– Szefie! Prędszej, szefie!

Gentle przebiegł pod wodnym łukiem, dał mu się spryskać ciepłym deszczem i znalazł się w pałacu. Monday brodził po pachnącym wodnymi liliami zatopionym dziedzińcu w stronę postaci, którą wypatrzył na drugim brzegu, przy kolumnadzie. To była Hoi-Polloi. Mokre włosy kleiły się jej do czoła, jakby właśnie wyszła z wody, łono zaś, na którym Monday tak bardzo chciał złożyć głowę, miała nagie i odsłonięte.

– Nareszcie! – powiedziała, patrząc na Gentle'a.

Napalony kochaś pośliznął się w pół drogi; roztrącił rękoma lilie, łapiąc równowagę.

– Spodziewałyście się nas? – zdziwił się.

– Naturalnie. Ciebie może nie, ale maestra... Tak, wiedzieliśmy, że jest blisko.

– Ale cieszysz się na mój widok? – wyrwało się Mondayowi. – Bo cieszysz się, prawda?

Rozłożyła ramiona.

– A jak myślisz?

Chłopak wydał triumfalny okrzyk i rozchlapując wodę, rzucił się w jej stronę, zdzierając po drodze przemoczoną koszulę z grzbietu. Gentle brnął za nim. Kiedy wyszedł na drugi brzeg, Monday miał na sobie już tylko bieliznę.

– Skąd wiedzieliście, że przyjdziemy?

– Znaki są wszędzie – odparła Hoi-Polloi. – Chodź, zaprowadzę cię na górę.

– A co, sam nie trafi? – zaprotestował Monday.

– Później będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu – uspokoiła go dziew-

czyna. – Najpierw muszę go zabrać do komnat.

W porównaniu z drzewami rosnącymi w pałacowych murach, te, które rozpleniły się niżej na zboczach góry, sprawiały wrażenie karłowatych. Tym z pałacu dobrze służyła wyczuwalna na każdym kroku aura świętości. Wśród ich korzeni i na gałęziach Gentle widział kobiety i dzieci, nigdzie jednak nie było ani jednego mężczyzny; przypuszczał, że gdyby nie eskorta Hoi-Polloi, zostaliby z Mondayem wyproszeni. Mógł się tylko domyślać, jak próbowano by wyegzekwować taki nakaz, ale nie wątpił, że istoty, których moc przenikała tutejsze powietrze i ziemię, umiałyby sobie z nimi poradzić. Wiedział, kim są – boginiami, o których pierwszy raz usłyszał w Beatrix, w kuchni Larumday Splendid.

Z konieczności szli okrężną drogą. W kilku miejscach nie mogli rwących rzek przejść w bród i Hoi-Polloi musiała prowadzić ich do grobli i mostów, a potem wracać do ścieżki na drugim brzegu. Im dalej się zapuszczali, tym silniejsze wydawały się Gentle'owi emanacje świadomej myśli i choć niezliczone pytania cisnęły mu się na usta, wołał milczeć, niż odsłonić głębię swojej naiwności. Hoi-Polloi rzucała od czasu do czasu zdawkowe uwagi, tak wywane z kontekstu, że same w sobie stanowiły zagadkę:

– ...ogień bywa taki zabawny... – zauważyła w pewnej chwili, gdy mijali stertę poskręcane metalu, dawną maszynę wojenną autarchy. Kiedy indziej znów, nad stawem o błękitnej wodzie, w którym pływały wielkie jak ludzie ryby, dodała: – Chyba mieszkają w mieście, tak jak my... ale jest tak głęboko pod wodą, że zapewne nigdy go nie zobaczę. Co innego dzieci, im na pewno się uda. I to właśnie jest cudowne...

W końcu stanęli przed wejściem, które zasłaniała wodna kurtyna. Hoi-Polloi odwróciła się do Gentle'a.

– Czekają na ciebie – powiedziała.

Monday podszedł bliżej, gotowy wejść za zasłonę, ale Hoi-Polloi zatrzymała go i pocałowała w szyję.

– Tylko maestro – wyjaśniła. – Chodź, popływamy.

– Co ty na to, szefie?

– Możesz iść – uspokoił go Gentle. – Nic mi się nie stanie.

– W takim razie do zobaczenia – rzucił na pożegnanie Monday, z ulgą dając się odciągnąć dziewczynie.

Zanim młodzi zniknęli mu z oczu, Gentle zanurzył się w chłodną kurtynę i wszedł do znajdującej się za nią komnaty. Jej rozmiary i surowość zaskoczy-

ły go, tak ostry stanowiła kontrast z rozpasaną naturą. Zachował się tu cień szalonych ambicji autarchy. W rozległym, pustym pomieszczeniu wyrosło zaledwie kilka pnączy, a poza wodną zasłoną w wejściu i drugą, podobną, opadającą z łuku naprzeciwko, nie płynął przez nie żaden strumień. Nie znaczy to, że wpływ bogiń pozostał całkiem niezauważalny. W ścianach pozbawionej dawniej okien sali ze wszystkich stron wybito otwory, przez które wpadało łagodne światło. Nieopodal łuku znajdował się jedyny mebel z komnacie – krzesło, na którym siedziała Judith z dzieckiem na kolanach. Podniosła wzrok na Gentle'a i uśmiechnęła się do niego.

– Już się bałam, że zabłądziłeś – powiedziała.

Miała piękny, jakby świetlisty głos; kiedy mówiła, promienie światła falowały delikatnie.

– Nie wiedziałem, że czekasz – odparł Gentle.

– To nic. Nie podejdiesz bliżej?

Gentle ruszył w jej stronę.

– Z początku nie sądziłam, że za nami pójdziesz, ale potem pomyślałam sobie: przyjdzie, przyjdzie, będzie przecież chciał zobaczyć dziecko.

– Szczerze mówiąc... nie myślałem o dziecku.

– Za to ono myślało o tobie – odparła wesoło Jude.

Dziewczynka, którą trzymała na kolanach, miała zaledwie kilka tygodni, ale rozkwitała nie gorzej od drzew i kwiatów w mieście. Siedziała samodzielnie, wczepiwszy silną rączkę we włosy matki. Mimo że piersi Jude były odsłonięte i wyglądały przytulnie, mała nie zamierzała ani jeść, ani spać. Szarymi oczami pytająco wpatrywała się w Gentle'a.

– Co u Clema? – spytała Jude, gdy Gentle stanął przy niej.

– Kiedy go ostatnio widziałem, trzymał się nieźle, ale potem, jak sama wiesz, uciekłem bez pożegnania. Mam wyrzuty sumienia. Tyle że jak już zacząłem...

– Wiem, nie było odwrotu. Miałam to samo.

Gentle przykucnął i wyciągnął rękę do dziecka. Dziewczynka złapała ją bez namysłu.

– Jak jej dałaś na imię?

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu...

– Jak to?

– Nazwałam ją Huzzah.

– Serio? – uśmiechnął się. – Cześć, Huzzah. Jestem Gentle.

– Ona cię zna – stwierdziła Jude. – Wiedziała też o istnieniu tego pokoju, zanim powstał. I o tym, że prędzej czy później się tu zjawisz.

Gentle nie pytał, jak to możliwe, że dziecko dzieli jej wspomnienia – po prostu do katalogu niezwykłości Nowego Yzorderrex doszła jeszcze jedna tajemnica.

– A co na to boginie? – zapytał.

– Na co?

– Nie przeszkadza im, że jest dzieckiem Sartoriego?

– Ani trochę – odparła Jude. Jej głos zmiękł na wspomnienie Sartoriego. – Całe miasto... całe miasto dowodzi, że ze zła może narodzić się dobro.

– Ona jest czymś więcej niż dobrem.

– To prawda.

Dziewczynka tak ochoczo wyciągała rączki do Gentle'a, że mało nie spała matka z kolan.

– Chyba rozpoznaje ojca – stwierdziła Jude i z małą na ręku wstała.

Gentle również się podniósł. Patrzył, jak Jude niesie Huzzah do rozrzuconych na ziemi zabawek. Dziecko wskazało je i zagulgotało radośnie.

– Tęsknisz za nim? – zapytał.

– W Piątym Dominium tęskniłam – odparła Jude. Schyliła się po jakąś zabawkę. – Tutaj już nie. Huzzah to zmieniała. Właściwie do czasu jej przyjścia na świat nigdy nie czułam się całkowicie prawdziwa, jakbym była tworem umysłu tej drugiej Judith. – Jude wyprostowała się i odwróciła do Gentle'a. – Wiesz, że wciąż nie mogę sobie przypomnieć tych wszystkich lat, które przeżyłam? Czasem wychwytyję jakieś strzępki, ale nic, czego mogłabym się ucześcić. Żyłam we śnie, Gentle, i Huzzah mnie z niego obudziła. – Pocałowała dziecko w policzek. – Dzięki niej istnieję naprawdę, bo przedtem byłam tylko kopią. Tak jak on. Oboje o tym wiedzieliśmy. Przynajmniej udało nam się stworzyć coś nowego. Nie tęsknię za nim, ale żałuję, że nie mógł jej chociaż raz zobaczyć. Wtedy też by zrozumiał, co to znaczy istnieć naprawdę.

Jude ruszyła z powrotem na krzesło, ale Huzzah wyciągnęła rączki do Gentle'a i krzyknęła stanowczo.

– Proszę, proszę... – mruknęła Jude. – Zawsze miałeś powodzenie... – Usiadła i dała małej zabawkę: mały niebieski kamyk. – Kochanie, zobacz. Co to jest? Co to takiego?

Huzzah zagulgotała ze szczęścia i ze zręcznością, jakiej nikt by się po takim maleństwie nie spodziewał, wyjęła kamyk z dłoni matki. Zachichotała i

przytknęła go do ust, jakby chciała go pocałować.

– Dużo się śmieje – zauważył Gentle.

– Dzięki Bogu. Patrz, co ja wygaduję! Ciągle Mu dziękuję.

– Stare nawyki...

– O nie, ten na pewno uda mi się wykorzenić.

Huzzah nie odejmowała kamyka od ust.

– Nie, kochanie, nie rób tego – ostrzegła ją matka. – Myślisz, że Wybiel się rozpadnie? – spytała Gentle'a. – Mam tu przyjaciółkę, Lotti; twierdzi, że Wybiel nie przetrwa już długo, a wtedy będziemy musieli znosić smród Pierwszego Dominium, gdy tylko wiatr powieje z tamtej strony.

– Może da się zbudować jakiś mur?

– Kto by miał to zrobić? Nikt się tam nawet nie zbliży.

– Boginie też nie?

– I bez tego mają co robić, tutaj i w Piątym Dominium. Chcą uwolnić wody na Ziemi.

– To będzie niezwykły widok.

– Chyba tak. Może wrócę, żeby go podziwiać.

Huzzah przestała chichotać i znów bacznie obserwowała Gentle'a, wyciągając do niego rączkę. Tym razem ścisnęła w piąstce niebieski kamyk.

– Chyba chce ci go dać – zauważyła Jude.

Gentle uśmiechnął się do małej.

– Dziękuję – powiedział. – Ale myślę, że powinnaś go zatrzymać.

Huzzah przekrzywiła główkę, wpatrując się w niego uważnie; nie miała wątpliwości, że rozumie każde jego słowo. Nie cofnęła rączki.

– Śmiało – rzuciła Jude zachęcająco.

Ostrożnie wziął kamyk do ręki. Musiał przyznać, że mała dłoń trzymała go mocno. Był chłodny i ciężki.

– No to zawarliśmy pokój – oznajmiła Jude. – Tak na poważnie.

– Nawet nie wiedziałem, że toczyliśmy wojnę.

– Właśnie takie wojny są najgorsze, nie uważasz? Ale ta już się skończyła.

Na zawsze.

Kurtyna wodna zafalowała leciutko i Jude obejrzała się za siebie. Miała dotąd poważną twarz, ale kiedy odwróciła się z powrotem do Gentle'a, uśmiechała się szeroko.

– Na mnie już czas – powiedziała.

Dziecko zachichotało, łapiąc w rączki powietrze.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał.

Jude pokręciła głową.

– Po co? – spytała, zniżając głos. – Powiedzieliśmy już wszystko, przebaczyliśmy sobie nawzajem. To koniec.

– Mogę zostać w Yzordderrex?

– Naturalnie! – zaśmiała się Jude. – Tylko po co?

– Bo tu kończy się moja pielgrzymka.

– Tak? – Jude odwróciła się i ruszyła w stronę łuku. – A mnie się wydawało, że zostało ci jeszcze jedno dominium.

– Już w nim byłem. Wiem, jak wygląda.

Zapadła cisza, którą przerwało dopiero pytanie Jude:

– Czy Celestine opowiedziała ci swoją historię? Na pewno tak...

– Tę o Nisi Nirvanie?

– Tak. Mnie opowiedziała ją w noc przed Pojednaniem. Zrozumiałeś ją?

– Nie bardzo.

– Ach tak...

– Czemu pytasz?

– Ja też jej nie rozumiałam i myślałam, że może... – Jude wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem, co myślałam.

Staną pod łukiem. Huzzah zerkała ciekawie za wodną kurtynę, za którą, jak przypuszczał Gentle, stał ktoś, kto nie był zwyczajną istotą ludzką.

– Hoi-Polloi mówiła wam chyba, że mamy gości? – spytała Jude, widząc malujące się na jego twarzy zaskoczenie. – Przybyli do nas w konkury. Z oceanu. Niektórzy są prześliczni. Urodzą się nam cudne dzieci... – Jej uśmiech lekko zbladł. – Nie smuć się, Gentle. My już mieliśmy swoje pięć minut.

Odwróciła się i z dzieckiem na rękach zniknęła za spływającą z łuku zasłoną. Gentle słyszał jeszcze, jak Huzzah śmieje się na powitanie kogoś, kto czekał po drugiej stronie i objął je srebrzystymi ramionami. Potem kurtyna się rozjarzyła, a kiedy światło zgasło, rodzina Jude zniknęła.

Dobre kilka minut stał w pustej komnacie. Wiedział, że Jude nie wróci (nie był nawet pewien, czy chciałby, żeby wróciła), nie chciał jednak wychodzić, dopóki nie utwali w pamięci wszystkiego, co między nimi zaszło. Dopiero wtedy wyszedł. Zapadał zmierzch i dzika puszcza zrobiła się urocza w zupełnie nowym sensie. Spod leśnego sklepienia i znad jezior napływała sina mgła, melodyjne śpiewy wieczornych ptaków zastąpiły trele, które słyszał za

dnia, buczenie pszczoł ustąpiło przed cichym jak oddech szelestem skrzydeł nocnych motyli.

Mondaya nie było nigdzie w pobliżu. Gentle czuł się nieswojo, chociaż mógł do woli rozkoszować się idylliczną atmosferą pałacu. Nie nadawał się do życia w tym mieście. Za dnia zbyt wiele było w nim życia, nocą zaś – zbyt wiele miłości. Nigdy nie czuł się tak bardzo niematerialny jak w tej chwili; nawet w drodze, kiedy unikali ognisk, przy których ludzie snuli bezsensowne opowieści, wiedział, że wystarczy się przedstawić, a wszyscy będą go podziwiać i czcić. Tutaj, w Yzordderrex był nikim. W mieście pojawiło się nowe życie, a wraz z nim nowe tajemnice i nowe związki.

Być może, jego stopy zrozumiały to lepiej niż głowa, bo zanim ostatecznie zdał sobie sprawę, że jest w pałacu zbędny, wyszedł już za mury i znalazł się na drodze wiodącej w dół zbocza. Nie skierował się ku rzecznej delcie, lecz prosto na pustynię. Mimo że podczas rozmowy z Jude nie widział sensu dalszej podróży, teraz nie oponował, gdy nogi niosły go coraz dalej i dalej.

Kiedy poprzednio wyszedł na pustynię, niósł rannego Pie, a ze wszystkich stron otaczał go tłum uchodźców. Teraz nikt mu nie towarzyszył. Wiedział, że i bez dodatkowego brzemienia ta wędrówka będzie wyczerpująca. Wcale go to nie martwiło; nie przejąłby się nawet, gdyby zmarł po drodze. Jude mogła mówić, co chciała; jego pielgrzymka dobiegła końca.

Dochodząc do skrzyżowania, na którym spotkał Floccusa Dado, usłyszał za sobą krzyk. W półmroku dostrzegł Mondaya, półnagi chłopiec galopował na jakiejś pasiastej odmianie muła.

– Co ty sobie wyobrażasz, szefie? Wybierasz się gdzieś beze mnie?

– Szukałem cię, ale nie znalazłem. Myślałem, że chcecie z Hoi-Polloi założyć rodzinę.

– A gdzie tam! – prychnął Monday. – Ona ma dziwne pomysły. Powiedziała, że pokaże mi jakieś ryby. Na to ja, że ryb nie lubię, bo mi ości w gardle stają. No bo tak przecież jest, nie? Człowiek się może udławić, normalna sprawa. A ona spojrzała na mnie, jakbym puścił baka, i mówi, że chyba jednak powinienem iść z tobą, szefie. Ja nawet nie wiedziałem, że już wyjechałem z miasta. Znalazła mi tego dziwoląga... – Monday poklepał zwierzaka po szyi – ...i kazała jechać w tym kierunku. – Obejrzał się w stronę miasta i zniżył głos. – Dobrze, żeśmy się już stamtąd wynieśli. Jak dla mnie, to wszędzie było stanowczo za dużo wody. Widziałeś tę bramę, szefie? Jak jakaś cholerna fontanna!

- Nie widziałem. Chyba musiała niedawno wytrysnąć.
 - No właśnie! To miasto tonie! Wynośmy się stąd. Wskakuj, szefie!
 - Jak się wabi?
 - Tolland. – Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Gdzie jedziemy?
- Gentle wyciągnął rękę przed siebie.
- Nic nie widzę – zaprotestował Monday.
 - W takim razie to dobry kierunek.

4

Monday jak zwykle wykazał się zmysłem praktycznym. Przed wyjazdem zaopatrzył się w prowiant – z koszuli zrobił sobie węzełek i napełnił go soczystymi owocami, które musiały im na razie wystarczyć. Nie zatrzymali się, gdy zrobiło się ciemno, lecz jechali równym tempem przez całą noc. Zmieniali się tylko w siodle, żeby jadąc we dwójkę nie przemęczyć wierzchowca. Pilnowali też, by Tolland dostawał co najmniej taki sam przydział owoców jak oni, a poza tym pestki, ogryzki i skórki z ich porcji.

Jadąc, Monday zwykle drzemał, Gentle natomiast – mimo zmęczenia – nie mógł zasnąć. Cały czas się głowił, jak wykreślić to pustkowie w atlasie. Nie wypuszczał z ręki kamienia, który dostał od małej Huzzah; ręka tak mu się pociła, że chwilami pot zbierał mu się w dłoni w małe kałuże. Wtedy chował kamyk do kieszeni – tylko po to, by za chwilę stwierdzić, że nieświadomie go wyjął i znów obraca w palcach.

Czasem patrzył w tył, na Yzordderrex. Wyglądało niesamowicie, gdy skryte w mroku zbocza połyskiwały srebrzyście, jak gdyby płynące ulicami rzeki stanowiły idealne zwierciadła dla gwiazd. Ale nie tylko miasto przyciągało jego uwagę – prowadzący od bram trakt w wielu miejscach lśnił podobnym blaskiem.

Wszystkie te cuda zatarły się jednak z nadejściem świtu. Yzordderrex zniknęło w oddali, z przodu zaś majaczyły niskie burzowe chmury. Gentle od razu je rozpoznał; taki właśnie kolor miało niebo, które widzieli z Tickiem podczas krótkiej wizyty w Pierwszym Dominium. Wybiel wciąż oddzielał Drugie Dominium od zgnilizny Hapexamendiosa, ale nie był w stanie cał-

kiem jej zneutralizować. Sine chmury rozciągały się coraz szerzej, aż zajęły cały horyzont i wspięły się do zenitu nad głowami Gentle'a i Mondaya.

Na szczęście nie wszystko, co widzieli, równie mocno ich przygnębiało. Przynajmniej nie byli sami. Kiedy na widnokręgu pojawiły się resztki obozowiska niebytowców, dostrzegli wśród nich około trzydziestu wpatrzonych w Wybiel ludzi. Któryś z nich zauważył zbliżających się podróżnych, wieść o ich przybyciu rozeszła się w całej grupie i jeden z niebytowców rzucił się biegiem w ich kierunku.

– Maestro! – krzyczał. – Maestro!

Chicka Jackeen nie posiadał się ze szczęścia, że widzi Gentle'a, ale po pierwszych gorących powitaniach szybko spochmurniał.

– Co zrobiliśmy źle, maestro? – dopytywał się. – Przecież chyba nie tak to miało wyglądać?

Gentle próbował mu wszystko wyjaśnić. Jackeen reagował na przemian zdumieniem i odrazą.

– Czyli Hapexamendios nie żyje? – upewnił się.

– Tak, nie żyje. Całe Pierwsze Dominium jest Jego ciałem, które teraz gnije na potęgę.

– Co się stanie, kiedy Wybiel też zgnije?

– Tego nie wiem. Obawiam się jednak, że całe Drugie Dominium poczuje ten smród.

– Co teraz zamierzasz?

– Nie mam żadnego pomysłu.

Chicka Jackeen spojrział na Gentle'a zdumiony.

– Ale przecież jak tu szedłeś... Miałeś chyba jakiś plan?

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, lecz prawda jest bardziej prozaiczna: przybyłem tu, bo nie miałem już dokąd iść – odparł Gentle, patrząc w stronę Wybielu. – Hapexamendios był moim Ojcem, Luciusie. Może w głębi serca czuję, że powinienem dołączyć do Niego w Jego dominium.

– Wybacz, szefie, że się wtrącam... – odezwał się Monday.

– Tak?

– ...ale to kretyński pomysł.

– Idę z tobą, maestro – oznajmił Chicka Jackeen. – Chcę to zobaczyć na własne oczy. Martwy Bóg... Byłoby o czym dzieciom opowiadać, nie sądzisz?

– Dzieciom?

– No wiesz... Albo dzieci, albo pamiętniki. A do pamiętników nie mam cierpliwości.

– Żartujesz sobie? Dwieście lat na mnie czekałeś, a teraz mówisz, że nie masz cierpliwości?

– Już nie, maestro. Chcę żyć.

– Nie dziwię ci się.

– Ale najpierw chcę zobaczyć Pierwsze Dominium.

Stanęli właśnie przed Wybielem. Chicka Jackeen poszedł podzielić się z niebytowcami nowiną o przybyciu Pojednawcy i ich wspólnych planach, Monday zaś skorzystał z okazji i powtórzył swoją opinię:

– Nie rób tego, szefie. Nie musisz niczego udowadniać. Wiem, że się wpieniłeś, kiedy nikt nie zrobił w Yzorderrex balangi na twoją cześć, ale kij im w oko! Niech się chrzanią z tymi swoimi rybami...

Gentle położył mu dłonie na ramionach.

– Nie bój się – powiedział. – To nie jest misja samobójcza.

– Więc po co ten pośpiech? Jesteś zrypany, szefie. Prześpij się, zjedz coś, nabierz sił. Jutro też będzie dzień.

– Czuję się dobrze – zapewnił go Gentle. – I mam talizman.

– To znaczy?

Gentle pokazał mu kamyk.

– A cóż to za jajo?!

– Jajo? – Gentle zważył kamień w dłoni. – Może i masz rację...

Podrzucił go w powietrze. Niebieski kamień poleciał dziwnie wysoko. W najwyższym punkcie zamarł na ułamek sekundy, a potem spokojnie, jakby igrając z grawitacją, spłynął na dłoń Gentle'owi. Jednocześnie spadł leciutki deszczyk. Monday zamruczał z rozkoszy.

– Deszcz znikąd – powiedział. – Pamiętam go.

Gentle zostawił go sam na sam z wodą zmywającą mu kurz z twarzy i odwrócił się do Jackeena, który skończył rozmawiać z niebytowcami. Cofnęli się i spode łba popatrywali na maestra.

– Uważają, że to pewna śmierć – wyjaśnił Jackeen.

– Mogą mieć rację – mruknął Gentle. – Na pewno chcesz iść ze mną?

– Nigdy w życiu nie byłem tak pewny jak w tej chwili.

Weszli na ziemię niczyją, oddzielającą materialną rzeczywistość Drugiego Dominium od pustki Wybielu. Jeden z przyjaciół Jackeena krzyknął coś, co inni zaraz podchwycili, ale słów nie dało się zrozumieć. Jackeen zatrzymał

się i odwrócił. Gentle nie ponaglał go, sam jednak przyspieszył. Był przygotowany na nasilający się odór zgnilizny. Zamiast wstrzymać oddech, zaciągnął się głęboko ostrą wonią gnijącego ciała Ojca.

Usłyszał kolejny wrzask – tym razem jednak krzyczał Jackeen, bardziej chyba zdumiony czymś niż przestraszony. Ton jego głosu przykuł uwagę Gentle'a, który obejrzał się przez ramię. Nie dostrzegł jednak Chicki; nicłość Wybielu zdążyła na dobre ich rozdzielić. Zaczął brnąć dalej. Nagle przybyło mu sił, nogi pracowały niczym tłoki, serce waliło jak młotem.

Wybiel rozsnuwał się przed nim, wynurzały się z niego niewyraźne kształty Pierwszego Dominium.

– Maestro! – krzyczał tymczasem Jackeen. – Maestro, gdzie jesteś?!

Gentle zwolnił kroku.

– Tutaj! Luciusie, tutaj!

– Zaczekaj! – wysapał Jackeen. – Zaczekaj na mnie! – Wynurzył się nagle z pustki i oparł Gentle'owi dłoń na ramieniu. Wyglądał, jakby nagle lat mu ubyło. – Woda... – wykrztusił.

– Co woda?!

– Woda przybyła za tobą, maestro! Jest tutaj!

Nie skończył mówić, gdy woda ich dogoniła. I to jak! Opływała stopy Gentle'a migotliwymi strugami, ochlapywała mu kostki i łydki, srebrnymi węzami sięgała mu do rąk – a właściwie do kamienia, który trzymał w dłoni. Zdawało mu się, że znów słyszy śmiech Huzzah, czuje dotyk jej malutkich paluszków. Na pewno wiedziała, co przyniesie mu jej dar, tak jak Jude musiała zdawać sobie z tego sprawę. Stał się ich wysłannikiem, tak jak przedtem był posłańcem swojej matki. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej słodkiej misji.

Jajo sprowadziło mżawkę, od której dodatkowo przybywało im wody pod nogami, jednak szybko szmer pojedynczych kropel zmienił się w werbel ulewy i zaczął się istny potop. Z nieba spadało tyle wody, że bez trudu wypłukiwała z powietrza materię Wybielu. Po chwili wokół maestra zrobiło się wyraźnie jaśniej – odkąd Hapexamendios otoczył swoje dominium pustką, kraj ten nie widział tyle światła naraz. Zachwyt na twarzy Jackeena błyskawicznie ustąpił miejsca panice.

– Potopimy się! – krzyknął Chicka Jackeen, z trudem utrzymując równowagę w coraz głębszej wodzie.

Gentle nie cofnął się; zdawał sobie sprawę, co powinien zrobić. Niepomny

fal, które rozbijały mu się o plecy, i przyływu, który próbował ściąć go z nóg, podniósł do ust prezent od Huzzah i ucałował go – tak jak ona to robiła – a potem zebrał resztki sił i rzucił jajem daleko przed siebie, w odsłaniający się przed nimi krajobraz. Kamień wyleciał mu z dłoni napędzany nie mocą jego mięśni, lecz własnymi pragnieniami, i woda rzuciła się za nim w pogoń: rozdzieliła się, opłynęła maestrów z obu stron i runęła na pustkowia Pierwszego Dominium.

*

Zmycie całego dominium musiało jej zająć wiele tygodni, może nawet miesiące ciężkiej harówki, której postępów nikt by nie obserwował, ale przez następne parę godzin maestrowie, stojący na skraju dawnego Miasta Boga, mogli podziwiać choć część wykonanej przez wodę pracy. Chmury, które dotąd trwały na niebie równie nieruchome jak kraj, nad którym zawisły, zaczęły się nagle burzyć, kotłować i dawać upust swej złości w potężnych burzach, od których wzbierały oczyszczające dominium rzeki.

Woda nie wzgardziła szczątkami Hapexamendiosa. W każdej jej kropli przejawiała się wola bogiń, toteż raz po raz zmywała tę rzeźnię, wypłukiwała trucizny i zgarniała oczyszczoną materię w parujące kopce.

Pierwszy skrawek ziemi wyłonił się pod stopami maestrów i błyskawicznie rozszerzył w poszarpany półwysep o wysokich brzegach, sięgający daleko w głąb dominium. Fale rozbijały się o niego bez wytchnienia, niosąc nowe zapasy bożej gliny. Z początku Gentle zachowywał cierpliwość i nie ruszał się z miejsca, nie mógł jednak bez końca odmawiać zaproszeniu. Nie bacząc więc na ostrzeżenie Jackeena, ruszył przed siebie przesmykiem, żeby z bliska oglądać niezwykle spektakl. Nowa ziemia ociekała jeszcze wodą, tu i ówdzie strzelały błyskawice, ale grunt zdążył już stwardnieć. Wszędzie też było pełno nasion, przyniesionych – jak domyślał się Gentle – aż z Yzordderrex. Zanosiło się więc na to, że wkrótce w Pierwszym Dominium rozkwitnie życie.

Zanim dotarł do końca półwyspu, chmury (lżejsze o całą masę wody) częściowo się rozproszyły. W głębi ładu proces, który śledzili z Jackeenem od początku, dopiero się zaczynał; burze rozchodziły się po niebie we wszystkich kierunkach. W blasku ich ogni widział kręte rzeki, które z niesłabnącą energią kontynuowały swoje dzieło. Na samym półwyspie światło było jednak łagodniejsze – wyglądało na to, że Pierwsze Dominium ma własne słoń-

ce. Nie czekając, aż bardziej się ociepli, Gentle wyjął zza pazuchy atlas i pióro, rozsiadł się na błotnistej ziemi i zabrał do pracy. Nie wykreślił jeszcze mapy obszaru dzielącego Yzordderrex od Wybielu i choć zdawał sobie sprawę, że będą to karty najmniej zapełnione w całym atlasie, tym bardziej musiał się przyłożyć do ich narysowania. Chciał, żeby ich pustka wyglądała pięknie.

Po mniej więcej godzinie wytężonej pracy usłyszał Chickę Jackeena – najpierw jego kroki, potem głos:

– Mówisz w dziwnych językach, maestro.

Gentle nie zdawał sobie sprawy, że recytuje na głos nazwy kolejnych miejsc na mapie, których lista musiała być dla postronnego słuchacza całkiem niezrozumiała. Dla niego zaś każde z nich było przystankiem w pielgrzymce.

– Malujesz nowy świat? – zapytał Jackeen.

Bał się podejść bliżej, żeby nie przeszkodzić artyście.

– Nie, nie, kończę rysować mapę... – Zawahał się. – Chociaż nie, wcale nie kończę. Dopiero zaczynam.

– Mogę zerknąć?

– Jeśli chcesz...

Lucius przykucnął obok Gentle'a i zajrzał mu przez ramię. Pełniejszego obrazu pustyni Gentle chyba nie zdołałby stworzyć. Próbował właśnie wykreślić kształt półwyspu, na którym siedział, i odmalować widok, który mieli przed sobą. Na razie wszystkiego były dwie, trzy linie, ale początek został zrobiony.

– Tak się zastanawiałem... Mógłbyś tu przyprowadzić Mondaya?

– Potrzebujesz czegoś, maestro?

– Chcę, żeby zaniósł te mapy do Piątego Dominium i dał je Clemowi.

– Kto to jest Clem?

– Anioł.

– Aha...

– To jak, przyprowadzisz go?

– Teraz?

– Jeśli łaska... Już prawie skończyłem.

Jak zwykle posłuszny Jackeen wstał i ruszył w drogę powrotną do Drugiego Dominium, zostawiając Gentle'a sam na sam z jego pracą. Gentle dokończył niezręczny rysunek półwyspu, zaznaczył biegnącą środkiem kropkowa-

na linię (swoją ślad), a na jej końcu postawił krzyżyk (oznaczający miejsce, w którym siedział). Następnie przejrzał cały atlas, żeby sprawdzić, czy mapy są ułożone we właściwym porządku. Uderzyło go, że właściwie stworzył w nim swój autoportret: podobnie jak on, mapy były niedoskonałe, ale chyba dla nich i dla niego była jeszcze nadzieja na lepszą przyszłość; z czasem powstaną ich doskonalsze wersje, które będą odtwarzane i poprawiane bez końca.

Chciał już odłożyć atlas na ziemię, gdy usłyszał niezwykłą, zgodną nutę w szumie rozbijających się o brzeg fal. Zszedł do skraju urwiska; grunt nie zgęstniał jeszcze należycie i groził osunięciem się, ale Gentle przechylił się ponad krawędzią. To, co zobaczył i usłyszał, sprawiło, że cofnął się, uklęknął i drżącą ręką zaczął pisać list, który zostawił przy atlasie.

List był z konieczności krótki. Gentle coraz wyraźniej słyszał wyróżniające się z huku fal słowa. Rozpraszały go swoimi obietnicami.

– ... Nisi Nirvana... – powtarzały. – ... Nisi Nirvana...

Kiedy skończył notkę, odłożył ją wraz z piórem obok atlasu i wrócił na krawędź stromego brzegu, słońce Pierwszego Dominium wynurzyło się zza chmur i zalało wzburzone morze światłem. Fale na chwilę uspokoiły się i Gentle'owi mignęło dno, po którym się przetaczały: nie była to bynajmniej ziemia, lecz drugie niebo. Świeciła na nim kula tak piękna, że wszystkie ciała niebieskie w całej Imajice, wszystkie gwiazdy, słońca i księżyce połączywszy swój blask nie miały szans jej dorównać.

Odnalazł bramę, którą jego Ojciec chciał na wieki zamknąć i ukryć pod swoim miastem; wrota, zza których dobiegał szept powtarzający bajkowe imię jego matki. Od tysięcy lat pozostawały zamknięte, teraz zaś otworzyły się i dała się słyszeć muzyka wielu głosów, skierowana do wszystkich blakających się po Imajice duchów. Wzywała je do domu, gdzie miały zaznać wiecznej radości.

W tym chórze Gentle rozpoznał znajomy głos. Zanim zobaczył tego, kto nim przemawiał, jego wyobraźnia uformowała ukochaną twarz, jego ciało poczuło na sobie wyimaginowane ramiona – i nagle z bramy wynurzyła się istota o tej właśnie twarzy i tych ramionach. Już nie musiał jej sobie wyobrażać.

– Skończyłeś? – usłyszał.

– Tak – odparł. – Skończyłem.

– To dobrze – uśmiechnął się Pie'oh'pah. – W takim razie możemy zaczynać.

*

Niebytowcy, których Chicka Jackeen zostawił za sobą na granicy dominiów, zapuszczali się coraz dalej na półwysep, w miarę jak popychała ich naprzód coraz większa ciekawość i brawura. Był wśród nich także Monday, ale zanim Jackeen zawołał go i wyjaśnił, że ma się spotkać z Pojednawcą, chłopiec krzyknął głośno i wskazał na drugi koniec półwyspu. Jackeen okręcił się na pięcie i wraz z innymi ujrzał dwie objęte, przytulone sylwetki. Później długo dyskutowali o tym, co naprawdę widzieli. Wszyscy zgadzali się wprawdzie, że jedną z postaci był maestro Sartori, ale co do drugiej opinie były podzielone: jedni widzieli kobietę, inni mężczyznę, jeszcze inni chmurę z płonącym w środku okruchem słońca. O ile jednak nie mogli się porozumieć w kwestii tego widoku, o tyle późniejsze wydarzenia nie budziły kontrowersji: przytulone postaci zeszły na skraj urwiska, zrobiły krok do przodu i rozplynęły się w powietrzu.

*

Dwa tygodnie później, w przedostatni dzień smętnego grudnia, Clem siedział przy kominku w jadalni domu pod numerem dwudziestym ósmym (od świąt prawie się stamtąd nie ruszał), gdy nagle usłyszał głośne łomotanie do drzwi. Nie miał zegarka – czas nic przecież teraz nie znaczył – ale domyślał się, że dawno minęła północ. Jeśli niespodziewany gość nie był po prostu jakimś spragnionym towarzyszem nocnym markiem, mógł okazać się niebezpieczny, ale Clem miał tak ponury nastrój, że nie przejąłby się zbytnio, gdyby nagle stała mu się jakaś krzywda. I tak nic już go nie trzymało w tym życiu – Gentle odszedł, Judy również, a ostatnio opuścił go nawet Taylor.

Pięć dni wcześniej Tay wyszeptał:

– Clem... Muszę odejść.

– Odejść? – powtórzył Clem. – Dokąd?

– Ktoś otworzył bramę. Umarli wracają do domu. Muszę odejść.

Płakali razem – łzy płynęły z oczu Clema, szloch Taylora wstrząsał jego ciałem – ale nic nie mogli na to poradzić. Zabrzmiął zew i chociaż Taya ogarnął bezgraniczny smutek, nie mógł dłużej egzystować między życiem a śmiercią i gdzieś w głębi ducha odczuwał radość, że ten stan wreszcie się

skończy. Ich niezwykły związek dobiegał końca; żywi i umarli musieli się rozstać.

Do czasu odejścia Taya Clem nie rozumiał, co to znaczy stracić kogoś. Cierpiał po utracie fizycznego ciała ukochanej osoby, to fakt, lecz rozstanie z duchem (który wrócił do niego w tak cudownych okolicznościach) było bez porównania gorsze. Nie wyobrażał sobie, że mógłby pozbyć się jeszcze choćby ułamka duszy i wciąż pozostać człowiekiem. W mrocznych dniach, które potem nastąpiły, kilkakrotnie myślał o samobójstwie; może wtedy mógłby podążyć za Tayem i przejść przez tę samą tajemniczą bramę, która nagle stała się otworem? To, że tego nie zrobił, wynikało raczej z wrodzonego poczucia odpowiedzialności niż z braku odwagi: był jedynym w Piątym Dominium świadkiem cudów, jakie wydarzyły się przy Gamut Street. Gdyby go zabrakło, kto by o nich opowiadał?

Takie nakazy brzmiały jednak niepoważnie o dwunastej w nocy, gdy wstał przed kominka i wyszedł do holu. Przyszło mu do głowy, że jeżeli nocni goście przynosili mu w prezencie śmierć, to chyba powinien ją przyjąć. Bez pytania otworzył drzwi – i ku swemu ogromnemu zdumieniu zobaczył Mondaya. Zacinął deszcz ze śniegiem, obok chłopca stał drżący z zimna obcy mężczyzna. Rzadkie, mokre włosy kleiły mu się do czoła.

– To jest Chicka Jackeen – oznajmił Monday, wciągając gościa do domu.
– Jackie, to jest Clem, ósmy cud świata. Co to, za mokry jestem, żebyś mnie uściskał?

Clem rozłożył ramiona. Monday rzucił mu się na szyję.

– Myślałem, że już z Gentlem nie wrócicie.

– No, jeden z nas rzeczywiście nie wrócił.

– Domyślałem się tego. Tay poszedł za nim, tak jak wszystkie duchy.

– Kiedy to się stało?

– W Boże Narodzenie.

Jackeen szcząkał zębami, więc Clem zagonił go przed kominek, w którym palił połamanymi resztkami mebli. Dorzucił do ognia dwie nogi od krzesła i zaproponował Jackeenowi, żeby rozgościł się i odtajał. Maestro z wdzięcznością przysunął się do ognia. Monday musiał być ulepiony z twardszej gliny, bo sięgnął po stojącą przy kominku butelkę whisky, pociągnął kilka głębokich łyków i wziął się do sprzątanego pokoju. Przepychnął stół do kąta, wyjaśnił tylko, że będą potrzebować dużo miejsca do pracy. Odsłoniwszy w ten sposób kawał podłogi, wyciągnął z za pazuchy wykreślony przez Gentle'a

atlas i rzucił go Clemowi pod nogi.

– Co to jest?

– Mapa Imajiki.

– Dzieło Gentle'a?

– Tak jest. – Monday kucnął, otworzył atlas i podał Clemowi kilka luźnych kartek. – Jest jeszcze list – dodał.

Kiedy Clem czytał skreśloną w pośpiechu notkę, Monday zaczął rozkładać na ziemi arkusze z mapami, stykając je krawędziami, by tworzyły nieprzerwaną wstęgę. Wręcz kipiał entuzjazmem, usta mu się nie zamykały:

– Rozumiesz, czego od nas chce, prawda? Mamy wyrysować tę mapę na wszystkich murach, jakie znajdziemy! Na chodnikach! Na swoich czołach, do diabła! Wszędzie, kapujesz? Wszędzie!

– Ambitne zadanie – zauważył Clem.

– Pomogę wam – oznajmił Chicka Jackeen. – Na ile dam radę.

Wstał od ognia i stanął obok Clema, skąd mógł objąć wzrokiem całą otwierającą się przed nimi panoramę.

– Ale chyba nie tylko po to tu przyszedłeś, co? – podpuszczał go Monday. – Przyznaj się.

– No, nie... Bo ja... szukam żony. Ale to będzie musiało poczekać.

– Święte słowa, kurczę! Na razie to jest nasze główne zadanie.

Monday wyszedł z kręgu, w jaki ułożyły się arkusze atlasu. Przed nimi rozpościerała się Imajica, a raczej ten jej skrawek, który Pojednawca widział na własne oczy: Patashoqua i Vanaeph; Beatrix i góry Jokalaylau; Mai-Ké, Kołyska, L'Himby i Kwem; Postna Droga, rzeczna delta i Yzordderrex. Dalej znajdowało się skrzyżowanie pod miastem, pustynia i wąski szlak, prowadzący do granicy Drugiego Dominium. Po jej drugiej stronie kartki były prawie puste – wędrowiec naszkicował tylko półwysep, na którym siedział. Obok niego napisał: „To jest nowy świat”.

– A tutaj maestro zakończył pielgrzymkę. – Jackeen pokazał krzyżyk przy końcu półwyspu.

– Czy tam został pogrzebany? – zainteresował się Clem.

– O nie. Odszedł do krainy, której nasze światy są tylko nędzną namiastką. Maestro opuścił ten krąg, rozumiesz?

– Nie rozumiem. Jeżeli nie ma go w kręgu, to gdzie się podział? Dokąd oni wszyscy poszli?

– Weszli do środka.

Clem zaczął się uśmiechać.

– Pozwolisz? – Jackeen wyjął mu z ręki kartkę z wiadomością od Gentle'a.

„Przyjaciele”, pisał maestro. „Pie jest tutaj. Znalazł mnie. Pokażcie te strony świata, żeby wszyscy zbłąkani wędrowcy mogli trafić do domu”.

– Nasze zadanie jest chyba jasne, panowie. – Jackeen schylił się i położył list Gentle'a w środku koła, zaznaczając miejsce, do którego odszedł duch Pojednawcy. – Kiedy je wykonamy, mapa wskaże nam dalszą drogę. Pójdziemy za nim, bez wątpienia. Pewnego dnia wszyscy za nim pójdziemy.

KONIEC

Przypisy

- [1] *hoi-polloi* (ang. z gr.) – masy ludzkie, tłum, plebs (wszystkie przypisy tłumacza)
- [2] pierwszy dzień powszedni po Bożym Narodzeniu, wolny od pracy
- [3] *gentle* (ang.) – umiarkowany, łagodny, delikatny
- [4] *skin* (ang.) – skóra
- [5] *huzzah!* (ang.) – okrzyk entuzjazmu, odpowiednik polskiego „wiwat!” lub „hurra!”
- [6] *Rosengarten* (niem.) – ogród różany
- [7] od *concupiscence* (ang.) – pożądanie



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[PIĄTE DOMINIUM](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[1](#)

[2](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[1](#)

[2](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[1](#)

[2](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

ROZDZIAŁ 12

1

2

ROZDZIAŁ 13

1

2

3

ROZDZIAŁ 14

1

2

3

ROZDZIAŁ 15

1

2

3

ROZDZIAŁ 16

1

2

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

1

2

ROZDZIAŁ 19

1

2

3

ROZDZIAŁ 20

1

2

3

4

5

ROZDZIAŁ 21

1

2

3

4

ROZDZIAŁ 22

1

2

ROZDZIAŁ 23

1

2

ROZDZIAŁ 24

1

2

ROZDZIAŁ 25

1

2

3

ROZDZIAŁ 26

1

2

ROZDZIAŁ 27

1

2

3

ROZDZIAŁ 28

1

2

ROZDZIAŁ 29

1

2

ROZDZIAŁ 30

1

2

3

ROZDZIAŁ 31

1

2

3

ROZDZIAŁ 32

1

2

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

1

2

ROZDZIAŁ 35

1

2

ROZDZIAŁ 36

1

2

POJEDNANIE

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

1

2

ROZDZIAŁ 40

1

2

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

1

2

3

ROZDZIAŁ 43

1

2

3

ROZDZIAŁ 44

1

2

ROZDZIAŁ 45

1

2

3

ROZDZIAŁ 46

1

2

3

ROZDZIAŁ 47

1

2

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

1

2
3

ROZDZIAŁ 50

1
2
3

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

1
2
3

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

1
2
3
4
5

ROZDZIAŁ 55

1
2

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

1
2
3

ROZDZIAŁ 60

1
2

ROZDZIAŁ 61

1
2

ROZDZIAŁ 62

1
2
3
4

Przypisy